

FELIKS W. KRES
**PANI DOBREGO
ZNAKU**



Feliks W. Kres

Pani Dobrego Znak

Księga całości

Pani Dobrego Znaku

Copyright © by Feliks W. Kres
All rights reserved

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Ilustracje map: Maria Łepkowska

Ilustracja na okładce: NeoCore Games, użyta na licencji Creative Commons Attribution-Share
Alike 3.0

ISBN 978-83-64416-68-2

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39
02-495 Warszawa
<http://www.bookrage.org>

Mapy

Prolog

Puszcza Bukowa była największą knieją Szereru. Leżała na dartańsko-armektańskim pograniczu, niczym porzucona tarcza uchodzącego z pola bitwy wojownika. Należała do Dartanu. Stanowiła istny skarbiec, kryjący nieprzebrane zasoby wszelkich bogactw — choć od czasu nastania imperium przetrzebiono mocno jej obrzeża. Armekt, podbiwszy cały Szerer, mógłby łatwo sięgnąć po tę knieję. Jednakże Puszcą od dawien dawna władał, niczym udzielnym księstwem, jeden z najpotężniejszych rodów dartańskich. Pomimo całkowitego uzależnienia Złotej Prowincji od Kirlanu, stolicy Armektu, politycznym błędem byłoby zrażanie do cesarstwa niezwykle wpływowej rodziny, której dobra, pozostawione w spokoju, tak czy owak zapewniały napływ znacznych sum do imperialnej szkatuły. Ściągano przecież podatki — i to niemałe... Oto była pierwsza przyczyna, dla której Puszcę Bukową zostawiono w rękach prawowitych właścicieli.

Drugi powód łączył się z pierwszym. Względna niezależność władców Puszczy nie była czymś wyjątkowym, podobnymi swobodami cieszyło się bardzo wiele Domów magnackich i rycerskich. Armektańska polityka wobec podbitych krain (a zwłaszcza wobec Dartanu) była polityką rozsądku; przecież utrzymywanie przywilejów stanowiło najlepszy sposób sprawowania kontroli. Tu i ówdzie powtarzano złośliwie (ale nie bez racji), że trzosa Dartańczyków wypchane są... lojalnością wobec Kirlanu. W rzeczy samej: nic tych trzosów nie mogło odchudzić skuteczniej niż właśnie brak lojalności, dostrzeżony u ich posiadaczy.

Wreszcie trzecia przyczyna, z pozoru najmniej ważna, lecz w istocie najbardziej złożona. Nie mająca nic wspólnego z polityką i trudna do ogarnięcia dla kogoś, kto nie znał armektańskiego sposobu myślenia. Oto Armekt, kraj wielkich jak morze, otwartych równin, po prostu nie wiedział, co począć z tak gigantyczną knieją. Były lasy i w Armekcie, oczywiście. Na dodatek wcale niemałe. Przecież stanowiły zaledwie plamki na bezkresnych trawiastych przestrzeniach, należały do nich i w nich się zawierały. Gdy tymczasem Puszcza Bukowa stanowiła omal

świat osobny, rozpostarty na przestrzeni stu mil, z własnymi jeziorami, bagnami, rzekami i wzgórzami... Ba, mówiono nawet, że pośród najdzikszych ostępów, w których nigdy ludzka noga nie powstała, jest prawdziwe morze śródlądowe. Taki kraj był obcy wszelkiej armektańskiej tradycji i obyczajowości, obcy wszystkiemu, co syn Wielkich Równin rozumiał i co przyjmował za swoje. Można by więc pewnie włączyć Puszcę Bukową do Armektu — ale tylko na mapie. Żaden Armektańczyk nigdy nie nazwałby tego kraju, takiego kraju, Armektem. Było to po prostu niemożliwe i równie niedorzeczne jak próba zmuszenia żeglarza, by zaczął mianować nie tylko wody, ale i lądy, morzem. Pusty nakaz, za którym pójść nie mogło żadne przekonanie.

*

Wbrew powszechnym mniemaniom Puszcza Bukowa nie wszędzie jest tak samo dzika, nieprzebyta i groźna. Skrajne jej połacie dawno padły pod ciosami siekier, ustępując miejsca licznym wsiom, zwłaszcza od strony Potrójnego Pogranicza, gdzie stykają się Armekt, Dartan i Grombelard. Zbudowano też trakt przecinający, na przestrzeni parunastu mil, południowo-zachodni skraj lasu, by skrócić nieco podróż między dwoma najważniejszymi miastami Szereru: Kirlanem i „Złotą” Rollayną. Ponadto, jadąc od dartańskiej stolicy, wystarczy przebyć dwudziestomilowy (bagatela...) pas kniei, by odnaleźć coś, czego dla ogromnych rozmiarów tej przestrzeni, prawie niepodobna nazwać polaną. Ów pofałdowany nieco obszar przecina kilka strumieni, a nawet małych rzek, zrodzonych na północnym wschodzie, gdzie ostępy dźwigają się ku niebu. To pasmo dość wysokich pagórków nazywane jest Młodym Lasem Yenett. Polana zaś nosi nazwę Sey Aye; sey po dartańsku znaczy „dobry”, ale w rozumieniu „przyjazny”, zaś stare słowo aye ma kilka różnych znaczeń — tradycyjnie nazywa się tak tarczę herbową, lecz w potocznym użyciu aye to tyle, co „symbol” albo „znak”.

Od kilku miesięcy Dobrym Znakiem, odwieczną siedzibą Domu K.B.I., władała jej wysokość Ezena. Armektanka, której imię nie schodziło z ust wysoko urodzonych Dartańczyków, największy skandal Dartanu. Była wyzwoloną niewolnicą. Niewolnicą, którą niepojęty kaprys umierającego, bezdzietnego pana Sey Aye, podniósł do godności małżonki i wyłącznej dziedziczki wszystkich dóbr. Prawo Wiecznego Cesarstwa, nie zezwalające na adopcję wyzwoleńców, milczało w

sprawie zawierania takich małżeństw. Były chyba jakieś precedensy, ale nie w Dartanie — a żyli przecież krewni zmarłego. Puszcza Bukowa warta była procesu. O, warta była dziesięciu procesów. Jednak wytoczono tylko jeden: o unieważnienie małżeństwa. „Jej godność wyzwolona niewolnica”, tak nagle podniesiona do rangi jednej z pierwszych kobiet prowincji, przegrała ów proces, jeszcze zanim wyznaczono termin wstępnej rozprawy. Bo choć Puszcza Bukowa była częścią Wiecznego Cesarstwa, to jednak bardziej jeszcze była częścią Dartanu...

Tom pierwszy. Wieczny pokój

Część pierwsza. Polana

1.

Tuż przy drodze hurkotał młyn. Spiętrzona woda biła w łopatki nasiebiernego koła, kipiała w dole i rwała spienioną strugą, rozlewając się szeroko dopiero za niewielkim mostkiem. Tam, rozleniwiona, już nie niosła ze sobą drobin piasku. Duże okrągłe kamienie umożliwiały dostęp kobietom urządzającym pranie.

Mężczyźni pochłonięci pracą rozmawiają z rzadka; na słowa jest czas w chwili przerwy, gdy można rozluźnić mięśnie i rozprostować kości. Jednak przy strumieniu pracowały same kobiety i żadnych przerw nie było. Młyńskie koło huczało z całej siły, syczała gniewnie woda, ale ponad wszystkim królował nieprawdopodobny jazgot praczek, wkładających w rozmowę dwa razy tyle wysiłku, ile pochłaniało samo pranie. Zresztą słowo „rozmowa” nie jest tu na miejscu; przecież żadna z tych kobiet nie słuchała drugiej... W ościennym Grombelardzie powiadano, że Szerń zrobiłaby słuszniej, dając kobiecie zamiast głosu rozum.

Taka też była pierwsza myśl młodego mężczyzny stojącego na mostku. Człowiek ten, wyraźnie zdrożony, trzymał za uzdę wierzchowca, daremnie próbując za pomocą okrzyków i gestów zwrócić na siebie uwagę. Wreszcie, rozzłoszczony, przywiązał konia do drewnianej barierki, zszedł z mostu na drogę, po czym zsunął się z niewielkiej skarpy ku rzece. Grzęznął w błocie, a potem w mokrym piachu, ślizgając się i potykając na kamieniach, mężczyzna wymachiwał ramionami, próbując utrzymać równowagę. Począł kłać — na szczęście nic nie było słychać. Zbliżywszy się do praczek, zauważył, że w większości były młode i dość zgrabne, więc gniew trochę mu minął; stare babska zelżyłyby bez cienia litości. Nie chcąc wchodzić do wody, uniósł dłonie do ust i zawołał raz jeszcze. Odniósł sukces: jedna z pochyłonych dziewczyn odrzuciła rudy

warkocz na plecy i rozejrzała się dokoła, zdezorientowana. Ujrawszy przybysza, którego strój i miecz przy boku wyraźnie wskazywały, że człowiek ten należy do dobrze urodzonych, krzyknęła na swoje towarzyszki, potem jeszcze raz, aż po trzeciej próbie cisnęła w którąś zwiniętą moką szmatą. Tamta obejrzała się z gniewem i zamilkła. Po chwili wszystko, co siedziało w strumieniu, gapiło się na mężczyznę, wytrzeszczając zielone, niebieskie, brązowe i czarne oczy. Zaległa błoga cisza, jeśli nie liczyć huku młyna i szumu pędzącej wody.

Przybysz pokazał na migi, że chce rozmawiać, ale nie zamierza krzyczeć ani brodzić w wodzie. Jedna z dziewczyn machnęła ręką i wskazała most, po czym zaczęła wyzyskać i wrzucać do koszyka sztuki wypranej bielizny. Podróżny wrócił do swojego konia. Odwiązał go, powoli zszedł z mostu na drogę i czekał. Długowłosa brunetka zręcznie wspinała się na skarpe, jedną ręką przytrzymując na głowie ciężki kosz z bielizną. Stanąwszy na drodze, uśmiechnęła się do przystojnego pana, jednocześnie odwijając zatkniętą za pas spódnicę. Zdążył zauważyć, że miała zgrabne łydki i ładne kolana. Kapiąca z kosza woda zmoczyła gors białej koszuli, która przylepiła się do ciężkich, bardzo dużych piersi. Mężczyzna otworzył usta, lecz dziewczyna ubiegła go z nieoczekiwaną śmiałością.

— Nie jesteś z Sey Aye, panie! — zawołała, przekrzykując łoskot koła młyńskiego.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Tak czy owak, zakrawało na zuchwalstwo; musiała przecież wiedzieć, że nie stoi przed równym sobie. Mężczyzna zmarszczył brwi, ale nie umiał gniewać się na czupurną młodą praczkę, która znów się uśmiechnęła, pokazując równe zęby. Miała zabawny wyraz oczu. Nagle spostrzegł, że jedno jest zielone, drugie zaś czarne.

Wskazał pobliskie rozwidlenie dróg. Wcześniej powiedziano mu, że jadąc prosto, trafi do celu; nie było mowy o rozstajach.

— Do twojej pani którądy?

Spojrzała we wskazanym kierunku.

— Do pani Sey Aye? — upewniła się.

Począł tracić cierpliwość.

— Czy masz inną panią?

Szybko potrząsnęła głową, odwracając wzrok.

— Nie, nie mam — powiedziała, dziwnie spłoszona. — To tutaj, zaraz. Poprowadzę... poprowadzę waszą godność. Proszę mi pozwolić.

Pokazał, żeby szła, po czym dosiadł wierzchowca.

Droga rozwidła się, omijając płaskie wzgórze, porośnięte przez kilkaset wielkich świerków. Lewy trakt wiódł hen! prosto jak strzelił, ginąc dopiero pośród jakichś zabudowań. Prawe odgałęzienie zdawało się okrążyć pagórek; dziewczyna ruszyła tą drogą. Jeździec sięgnął ręką do tyłu i skrzywiony przycisnął dłoń do krzyża, z trudem prostując plecy. Ścisnął kolanami boki konia. Jadąc, w zamyśleniu obserwował bosonogą przewodniczkę. Z niesionego na głowie kosza nadal sączyła się woda, mocząc pasma czarnych, granatowo połyskujących włosów. Powoli zbliżał się wieczór, ale słońce wciąż mocno dawało się we znaki i jeźdźcowi zaświtała w głowie myśl, że sam chętnie skorzystałby z takiej samej ochłody, jakiej zaznawała dziewczyna. Najpierw przyglądał się okrągłym, bardzo kobiecym biodrom, kołyszącym się pod spódnicą — miała na czym usiąść, bez dwóch zdań... Potem, znużony, utkwiał wzrok w jej plecach, popadając w głęboką zadumę.

Oto już za chwilę miał stanąć u celu swej podróży... i mocno się tego obawiał. Racje, które przemawiały za podjęciem tej niezwyklej wyprawy, wydawały się dobre tam, w Rollaynie. Lecz minęło trochę czasu, przemierzył puszczański trakt... Ach, trakt! Wiele razy słyszał o drodze przez góry Grombelardu, wiodącej do starej stolicy tej prowincji — miał to być najgorszy szlak Szereru, konie łamały na nim nogi. Wyobrażał sobie teraz, że wyboista ścieżka, wijąca się pośród bagien, czasem wprost wiodąca przez mokradła, musiała być mocno do tamtego gościńca podobna. Cóż tu robił właściwie? Oto dotarł do kraju odciętego od Rollayny, od Dartanu, ba! od całego Wiecznego Cesarstwa. Pasma Szerni zapomniały o tej ziemi, to pewne. Czy możliwe, by istotnie ten kawałek świata przedstawiał taką wartość? Gdy padały cyfry, wszystko wydawało się jasne. Lecz podróż przez leśne ostępy uczyła niejednego — i rodziła poważne wątpliwości. Łatwo oszacować, doprawdy, wartość ziemi uprawnej: tyle to a tyle worków zboża, które pójdzie morzem na Garrę albo do Grombelardu. Ale tutaj? Jak właściwie obliczyć, co warte są bory, których nikt do końca nie przemierzył? I jeszcze ta polana — dość wielka, by pomieścić własne lasy, wzgórze, strumienie i pola uprawne, drogi, młyny... Sey Aye. Uniósł wzrok i rozejrzał się dokoła, odruchowo

szukając granic tej przestrzeni, borów napierających ze wszystkich stron świata. Odbiegłszy daleko myślami, najpierw nie pojął, co widzi, a gdy pojął — mimowolnie szarpnął wędzidłem, osadzając konia. Trwał przez chwilę zupełnie nieruchomo, czując przyspieszone bicie serca.

Za wzgórzem opasanym przez drogę znajdowało się drugie — niewysokie, ale niedostępne i strome. Wieńczyły je mury zameczku, będącego chyba najstarszą zachowaną budowlą Dartanu. Prapoczątki rodu K.B.I. ginęły w mrokach przeszłości; to pewne, że ten sam mrok dziejowy pochłoniął imię pierwszego mieszkańca warowni. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek jeszcze korzystał z tych omszałych murów.

Tym bardziej że nie było takiej potrzeby. Warownia na wzgórzu przyciągała spojrzenie — ale tylko na krótką chwilę. Rozłożysta, olbrzymia budowla, wyłaniająca się z lewej strony, obejmowała zameczek wraz z pagórką, jakby chcąc ochronić i podtrzymać stare mury. Nedorzeczny, a zarazem dziwnie wzruszający był to widok: pyszny biały pałac, jakby przeniesiony wprost ze Złotych Wzgórz w środkowym Dartanie, roztaczał opiekę nad chorym i zniedołężniałym starszym bratem. Ale nie, na Szerń... Złote Wzgórze? Ten dom nie miał sobie równych ani na Złotych Wzgórzach, ani w Rollaynie, ani nigdzie na świecie! To było niczym miasto, parterowe miasto, bo nie oszczędzono tu miejsca i dom zbudowano w starym stylu dartańskim, wypaczonym później przez pałace Rollayny — stolicy, w której każda szanująca się rodzina musiała znaleźć miejsce dla siebie. Dartańska architektura już się nie podniosła po ciosie, jaki jej zadała ciasnota (tak, ciasnota...) największego miasta Szereru. Kto nie mógł mieć smukłego, wielopiętrowego pałacu w obrębie murów Rollayny, ten wznosił taki pałac gdzie indziej, za wszelką cenę próbując chociaż przez wygląd rezydencji zbliżyć się do stołecznych elit. Dartańskie mury wystrzeliły więc ku niebu. Wszędzie, ale nie tutaj. Nie w Sey Aye.

Młody przybysz nie wierzył własnym oczom. Oto znalazł się w świecie baśni, świecie legend. Ależ tak, bo czasy, gdy wznoszono takie budowle, już dawno przeszły do legendy. Stały się częścią tajemniczej, może pięknej, ale bardzo odległej przeszłości, kiedy Dartan był jedyną rycerską perłą Szereru, mając za sąsiadów dzikie ludy grombelardzkie, a dalej armektańskie księstwka, w których miecz i dziwaczne tradycje były prawem, a ogłada słowem nieznanym.

Przewodniczka oddaliła się znacznie, lecz młody Dartańczyk już jej nie potrzebował. Popędziwszy konia, wyprzedził dziewczynę nie rzucając jej nawet drobnej monety, co najpierw zamierzał uczynić. Zapomniał. Okrążywszy uwieńczony zameczkiem pagórek, znalazł się pomiędzy wygiętymi skrzydłami pałacu — i trafił wprost na dziedziniec, wyłożony wielkimi, prostokątnymi płytami. Znow wydało mu się, że śni. Było dokładnie tak, jakby baśniowy wielkolud przyniósł skądś ten pałac na dłoni i położył go w miejscu całkiem przypadkowym: zakurzona droga urywała się jak ucięta nożem, od razu ustępując równym płytom dziedzińca; z innych stron tak samo podchodziły trawy i zarośla, a strumyczek o mocno zabagnionych brzegach wił się w odległości najwyżej stu kroków od pióropusza delikatnej fontanny... Wszystko to było nierealne, nieprawdopodobne. Jakim cudem opowieści o tym miejscu nie krążyły po całym Dartanie? Dlaczego uczeni Przyjęci woleli wyczytywać historię ze stronic starych ksiąg, gdy tutaj całą przeszłość mieli jak na dłoni?

Nigdzie nie było służby; podjechawszy do samego domu, jeździec zeskoczył z siodła wprost na stopnie wiodące do szerokich drzwi i czekał. Po obu stronach wejścia czuwali dwaj żołnierze w pełnych zbrojach i zamkniętych przyłbicach, zwieńczonych pękami granatowych, zielonych i szkarłatnych piór, wsparci na dwuręcznych obnażonych mieczach. Spojrzał na prawo i lewo, ale wciąż nie było widać nikogo, kto zająłby się koniem, czy choćby dostrzegł przybycie gościa... Może i dom ten był najbardziej dartański w Dartanie, ale że nie znano tu rycerskich obyczajów, to pewne. Pozostawiwszy wierzchowca samopas, przybysz powoli ruszył w górę schodów. Głowy żołnierzy zwróciły się ku niemu, ale gdy podszedł bliżej, zauważył, że opuszczone zasłony hełmów wcale nie mierzą prosto w niego. Oczy patrzące przez wąskie wizury skierowane były gdzie indziej. Przystanął...

Wciąż z koszem na głowie minęła go jego przewodniczka, wbiegając po schodach.

— Dalej, dalej wędrowcze — rzuciła mimochodem. — Chodź śmiało, koniem zaraz się zajmą.

Stalowe rękawice huknęły o blachy zbroi, gdy strażnicy uderzyli się w piersi, salutując. Machnęła ręką i minąwszy ich, zniknęła w drzwiach pałacu.

*

Stał jeszcze na schodach, pocierając dłonią podbródek, zdumiony, ale i rozgniewany dziwnym żartem, jaki mu splełano, gdy nagle pałac ożył. Jacyś ludzie pojawili się jak wyczarowani z powietrza, pochwycili jego konia i powiedli gdzieś; zaraz potem wysoki mężczyzna, w granatowej narzucie ze szkarłatną dartańską koroną na piersi, wieńczącą zielony herb rodu, ukazał się w drzwiach i lekkim ukłonem dał do zrozumienia, że czeka właśnie na niego. Ruszył powoli. Został wprowadzony do sali, której wielkie okna uzbrojone były w najdroższe szyby z Llapmy, co ocenić mógł dopiero teraz, spoglądając przez nie na zewnątrz. Te szkła, doskonale przejrzyste, prawie nie zniekształcały. Postanowił, że będzie odtąd ślepy. Tak, ślepy. Nie chciał widzieć i szacować tego, co go otaczało. Nie był przecież nędzarzem; przeciwnie... Ale wokół wybuchała nie zamożność, nie bogactwo, a przepych. Na dwadzieścia szklanych tafli, sprowadzanych ową leśną „drogą”, dowożono tu może jedną. To nie były małe szybki, osadzone w ramach z ołowiu. Tafle, szklane tafle, długie i szerokie na dwa łokcie. Zważywszy, ile tego potłuczono w drodze, gdyby w te okna wstawiono srebrne blachy, koszta byłyby niższe, dużo niższe! Nikt w Dartanie nie miał takiego domu. Czyli nikt w całym Wiecznym Cesarstwie, nikt nigdzie w całym Szererze... Więc o to — o to właśnie chodziło! Przecież warto było nie tylko wytoczyć proces, ale zgoła rozpętać wojnę, by zdobyć sam ten dom.

Potem, gdy wiedziono go przez liczne sale, opanował nieco wzburzenie. Spostrzegł, że dokoła nie ma nawet śladu dartańskiego rozmachu. Tylko dom. Wnętrza, świetne i wykwintne, urządzone były jednak z niezwykłą prostotą. Widywał już takie wnętrza. W Armekcie...

To spostrzeżenie sprowadziło go na ziemię. Panią tego domu była Armektanka.

Został wprowadzony do niewielkiej komnaty, której całe wyposażenie stanowiło kilka foteli oraz mały stół. W wielkiej misie pyszniły się rozmaite owoce. Ze ścian spływały ku posadzce aksamitne, błękitno-białe kotary. Poproszono go, by odpoczął. Usiadł zatem i próbował zebrać rozbiegane myśli, skupić je na celu, który go tu przywiódł. Nie było to łatwe. Zbyt wiele zaskoczeń, niespodzianek. Wspaniały dom. Pobiegł spojrzeniem do góry, wysoko, gdzie na białym

suficie pyszniły się świetne stiuki. Wspaniały, baśniowy dom...

Gdy weszła, wciąż w tej samej mokrej koszuli i szarej prostej spódnicy, bosy, z potarganymi granatowoczarnymi włosami, wyzbył się ostatnich wątpliwości — ale też ogarnął go niespodziewany, wielki spokój. Próg absurdu został przekroczony; przestało go dziwić cokolwiek. Wstał. Z czystą, niezmaconą ciekawością patrzył, jak dziewczyna opada na fotel i opiera skrzyżowane w kostkach nogi na stole, omal nie zrzucając półmiska z owocami. Stopy miała okropnie brudne, w pięty wgryzł się pył drogi. Zręcznie złapała jabłko, staczające się z blatu. Ugryzła soczyście, z apetytem.

— No, witam — powiedziała z pełnymi ustami. — Co jest źle? Że prałam w strumieniu?

Pokręcił tylko głową.

— Witam waszą wysokość — powiedział. — Przyznam, że jestem całkowicie zagubiony. Sytuacje, które znałem, nie pasują do niczego, co zobaczyłem w Sey Aye. Ale jestem tu... na razie... tylko gościem. I chętnie przyswoję sobie wszelkie tutejsze formy. Najpierw chcę zapytać: czy powinienem się przedstawić? Być może miejscowy obyczaj nakazuje, bym najpierw uczynił coś innego. Jeśli tak, to co?

Czekała, zatopiwszy zęby w jabłku. Gdy skończył, odgryzła nowy kęs. Aprobująco skinęła głową.

— Ładnie — oceniła.

Miała dość słaby armektański akcent i przez chwilę zastanawiał się, dlaczego nie spostrzegł tego od razu? Ale przypomniał sobie huk młyńskiego koła, będący tłem pierwszej ich rozmowy... Nie wyglądała zresztą na Armektankę; była za wysoka i nie miała skóry tak smagłej, jak większość cór Wielkich Równin. Może tylko te czarne włosy. Były jednak aż nazbyt czarne. Chociaż, może nie czarne. Dziwne, wyjątkowe.

Zmarszczyła lekko brwi.

— Rządę tym wszystkim tutaj — oznajmiła z namysłem. — Mogę robić, co mi się podoba. No to piorę w strumieniu, na przykład. Jeszcze nie tak dawno chodziłam do strumienia, bo musiałam. Lubię te dziewczyny. Z dnia na dzień zostałam królową łysiny w największych krzakach Szereru i nie bardzo wiem, co z tym począć.

Wzruszyła ramionami.

— Mogę robić, co mi się podoba — powtórzyła, jakby sama nie do

końca była o tym przekonana. — Ale nie wiem, co mi się podoba. Jeszcze nie wiem. Na razie kazałam wyrzucić połowę rupieci z tego domu. Mówisz, panie, że czujesz się tu zagubiony. A ja?

— Naprawdę nie ciekawi cię, pani, komu opowiadasz to wszystko?
— zagadnął, patrząc uważnie.

— Ciekawi. No właśnie, komu?

— Nazywam się Denett. K.B.I.Denett, wasza wysokość. Jestem bratankiem człowieka, który wytoczył ci proces. Jestem też jedyną i ostatnią twoją szansą, pani.

Zamilkł, czekając na reakcję.

Spoglądała z namysłem. Odniósł dziwne wrażenie, że zielona część jej oczu ściemniała.

— Denett. K.B.I.Denett — powtórzyła. — Bratanek. I czym jesteś jeszcze, ostatnią szansą? Ech, powiedziałabym ci panie, czym jesteś. Ale ci nie powiem, bo jem jabłko. Posłuchanie skończone. Możesz, panie, przenocować na dziedzińcu, bo nie jestem specjalnie gościnna. Jutro nie chcę cię widzieć w Sey Aye. Wyruszysz o świcie, z kopyta.

Pokazała drzwi.

— No? Wynocha.

Rozejrzał się dokoła, jakby szukał pomocy.

— Nie, na Szerń... — wymruczał. — Ja śnię. Nikt nie mówił, że brak jej piątej klepki... Tu nie trzeba żadnego procesu, ta kobieta jest pomyłona.

— Fruwaj stąd, wasza godność — przerwała z niezmałym spokojem. — Jeszcze słowo, a połamię cię kołem, ale wcześniej obedrą ze skóry. Potem każę nakarmić tobą psy. Nie żartuję — ostrzegła. — Jedno słowo, no? Czekam. Wypowiedz dowolne słowo.

Nigdy w życiu nie widział tak poważnych oczu. Nie, nie żartowała. Pomyłona czy nie — na pewno nie żartowała.

Czy rzeczywiście wystarczyłoby słowo?...

Jeśli nawet nie obłąkana, to na pewno była nieobliczalna. Dość, że uwierzył jej tak dalece, iż w milczeniu odwrócił się i wyszedł.

*

Przyprowadzono mu konia. Wiodąc go za uzdę, wolno przemierzał dziedziniec. Kilkakrotnie obejrzał się na pałac — znów nierealnie cichy, spokojny. Tylko strażę przy drzwiach...

Pani domu obserwowała go przez okno.

— Co myślisz? — zapytała.

Stojący za jej plecami wysoki mężczyzna, czterdziestopięcioletni lub niewiele starszy, ten sam, który wprowadził gościa, nieznacznie wzruszył ramionami.

— Dalej, Yokes! — ponagliła przez ramię. — Nie po to wyręczałeś służbę, bawiąc się w odzwiernego, by teraz stać i milczeć. Chciałam, żebyś mu się przypatrzył.

Znów zaległo milczenie.

— No?! — prychnęła.

— Czego oczekujesz, pani? Jestem komendantem prywatnych oddziałów Sey Aye — nie powiedział „twoich oddziałów”. — Nikim więcej. Wydaj rozkaz, a ja go wypełnię.

— „Prywatnych oddziałów Sey Aye” — wytknęła, odwracając się ku niemu. — Które nigdy nie będą wojskami jakiejś tam Armektanki, co?

Spokojnie wytrzymał jej wzrok.

— Wiesz, co myślę, pani. Jestem na prywatnym żołdzie właścicieli tej ziemi. Ten, kto mnie wynajął i opłacił, dał ci wolność i monogramy swoich imion rodowych. W ten sposób stałaś się spadkobierczynią, albo raczej współwłaścicielką, wszystkich jego dóbr i praw. Prosiłem o zwolnienie ze służby; odmówiłaś. Winien ci jestem pani bezgraniczną lojalność jeszcze przez pół roku.

— Ale wytoczono mi proces... — podsunęła zjadliwie.

— Ale wytoczono ci proces — podchwycił ze spokojem. — I jeśli sądy imperialne zawieszą twoje prawa do czasu, aż zapadnie wyrok, natychmiast przestanę wykonywać twe polecenia. A gdy twoje małżeństwo, pani, zostanie unieważnione, niezwłocznie oddam się pod rozkazy prawowitych — zaakcentował prawie niedostrzegalnie, być może mimowolnie — właścicieli Sey Aye.

— Niezwłocznie i z rozkoszą — skomentowała gniewnie.

— Niezwłocznie i bez żadnych rozterek — poprawił. — Z rozkoszą? Nie. Może z ulgą, ale z rozkoszą?

— Wiesz, że przegram ten proces.

— Tak uważam.

— Pomimo, iż własnym podpisem poświadczyłeś zawarcie tego małżeństwa!

— Przykro mi, pani. Żałuję, że zaszła taka... przykra i smutna pomyłka.

— Jego wysokość... mój mąż był w pełni władz umysłowych.

— Co nie wyklucza popełnienia omyłki.

— Oczywiście — powiedziała. — Tu nie chodzi nawet o majątek, prawda? Choćbym nic nie dostała, nic, zupełnie, oprócz nazwiska... I tak byłby proces, prawda? I tak samo bym go przegrała. Przecież Dartańczyk takiego rodzaju nigdy nie uczyniłby czegoś podobnego, nie dodałby imion swych najznamienitszych przodków do imienia jakiejś niewolnicy. Musiała zająć pomyłka, choćby cały świat zaświadczał, że nie zaszła. I dartańskie sądy natychmiast tę sprawę rozstrzygną.

— Imperialne sądy, nie dartańskie.

— Imperialne — przytaknęła szyderczo. — Imperialne sądy w stolicy Dartanu.

Na twarzy oficera odbiło się pewne znużenie.

— Tak, w stolicy Dartanu, wasza godność — powiedział. — To już chyba po raz piąty rozmawiamy o tym. Po co? Przekonania i prywatne opinie najemnika nikogo nie powinny obchodzić. Obowiązany jestem ci służyć, więc służę. Muszę też okazywać ci szacunek. Okazywać. Ale nie muszę wcale go odczuwać. Proszę mnie nie zmuszać do podobnych wyjaśnień.

— Lecz ja właśnie żądam tych wyjaśnień.

— Nie masz prawa, pani. Dysponujesz moim mieczem i życiem, ale myślami... tylko do pewnych granic. Żądaj wyjaśnień dotyczących twojego bezpieczeństwa. Kwestii spokoju i porządku w Sey Aye. Wojny jakiegokolwiek i z kimkolwiek. Służę opinią i radą. Jeśli tylko zechcesz ich słuchać.

Pokiwała głową.

— Dobrze, zostawmy to.

— Tak najlepiej, pani.

Wróciła spojrzeniem do okna. Jego godność K.B.I. Denett nie kwapił się z odjazdem. Stał na samym skraju dziedzińca, jakby mimo wszystko czekał na zaproszenie, wierząc, iż władczyni Sey Aye odwoła swą pochopną decyzję. Uniosła leciutko brwi, zdając sobie sprawę, jak kosztowne musiało być dla tego mężczyzny takie... oszukiwanie własnej dumy.

— Właściwie powinnam cię ukarać. Czy nikt nie pilnuje drogi do Sey Aye? W jaki sposób ten człowiek pojawił się tutaj tak nagle?

Yokes skinął głową.

— Przyjmuję wymówkę, pani. Oczywiście, odpowiadam za to.

— Ani słowa usprawiedliwienia?

— Nie mam nic na swoją obronę. Ścieżka powinna być pilnowana. I na pewno jest, bo nie wierzę, by strażnicy leśni zaniedbali obowiązki. Ale dalej ścieżka rozgałęzia się na kilka odnóg, potem te odnogi znowu się zbiegają. Jego godność Denett chyba zmylił drogę, i wyminął strażników, nawet o tym nie wiedząc. Potem znowu wrócił na szlak. Ale to dowodzi jedynie, że placówki wartownicze rozstawione są w złych miejscach. Zbadam, jak wygląda sprawa i zarządzę co trzeba.

— Co myślisz o tym człowieku? Pytam jeszcze raz, bo to może dotyczyć sprawy spokoju w Sey Aye — zauważyła. — No więc...? Nie przejechał przez puszcę sam, bez bagaży, z pewnością towarzyszy mu poczet. Gdzie są ci ludzie? Dlaczego nie przybyli razem z nim? Czy może z tego wyniknąć jakieś zagrożenie dla mnie? A może ktoś chce przyspieszyć wyrok sądu? — pytała. — Usunięcie niewolnicy-oszustki, która wyłudziła czyjś majątek, to chyba żadne przestępstwo?

Zmarszczył brwi. Po chwili zaczerpnęła tchu, ale ubiegł jej złość.

— Poczekaj, pani. Milczę, bo myślę, nic więcej. Zagrożenie? — Pokręcił głową. — Nie, nie sądzę. W każdym razie nie miał złych... no, może raczej wrogich intencji, wybierając się tutaj. Pozwoliłaś mi słyszeć rozmowę; jego godność Denett przyjechał z jakąś propozycją. Niestety, wyrzuciłaś go, pani, nim zdążył powiedzieć dwa słowa.

— Wolno mi, to mój dom.

— Ależ pani, wolno ci wszystko. Założyć sobie pętlę na szyję też ci wolno.

— Chciałbyś, prawda?

Na twarzy oficera po raz drugi pojawił się wyraz znużenia.

— Stracisz mnie. A jestem najlepszym i najdroższym żołnierzem w Dartanie, wasza god... wasza wysokość.

— Odejdiesz?

— Rozchoruję się, pani. Bo zaleje mnie nagła krew.

— Propozycja. Oferta Denetta — przypomniała po długiej chwili.

Znowu milczał. Tym razem czekała cierpliwie.

— Nikt w Dartanie palcem nie kiwnie, by cokolwiek odbierać ci przemocą, pani. Nawet życie, a może zwłaszcza życie. Ono, tak naprawdę, nikogo w Rollaynie nie obchodzi.

Przygryzła dolną wargę, bo wiedziała, że taka jest prawda.

— Wkrótce odbędzie się rozprawa — ciągnął Yokes — i zapadnie wyrok, wiesz jaki. Pomimo to jego godność K.B.I.Denett odbywa długą, uciążliwą, a nawet niebezpieczną podróż, by złożyć ci jakąś ofertę. Co takiego masz, czego nie odbiorą ci sądy, pani, a co warte byłoby wyprawy tutaj?

— Nie wiem. Zupełnie nie wiem.

— Więc może zapytaj, pani. Jego godność Denett wciąż tam stoi i czeka.

— Nie — ucięła.

— Wolisz gubić się w domysłach, pani? Snuć jałowe rozważania, gdy wszystkie wyjaśnienia czekają w zasięgu wzroku?

— Wolę.

Uśmiechnął się nagle.

— Nazwałbym to dumą...

— Ponieważ jednak nie jestem magnatką dartańską, a tylko wyzwoloną niewolnicą, nazwiesz to głupotą, nieprawdą? — dokończyła.

Stała się rzecz niemożliwa: jego godność M.B.Yokes, komendant prywatnych oddziałów Sey Aye, stracił swoją kamienną cierpliwość.

— Na wszystkie moce Szerni, kobieto! — zawołał, wznosząc dłonie do góry. — Czy zostawisz mnie wreszcie w spokoju?! Po raz kolejny proszę: zwolnij mnie! Zanim ta niechciana służba stanie mi się po prostu wstrętna!

Spojrzała mu prosto w oczy.

— A niechby nawet — powiedziała — no to co? Przystaniesz wypełniać rozkazy?

Powoli opuścił ręce.

— Nie, pani — rzekł po długiej chwili, z wysiłkiem, wciąż jeszcze czerwony na twarzy. — Nie przestanę.

Przyglądała mu się uważnie, wreszcie lekko przekrzywiła głowę.

— Każdego dnia i każdej nocy jestem sama — powiedziała trochę figlarnie i wyzywająco, ale zarazem jakby smutno. — Przyjdź do mnie, Yokes, wieczorem... Nie musisz mówić „wasza wysokość”, porozmawiaj

jak... z kobietą.

— Co to ma znaczyć, wasza wysokość? — zapytał sucho; rumieniec już ustąpił mu z policzków.

— A co może znaczyć?

— Nie wiem i chyba nie chcę wiedzieć.

Odsunęła się z cierpkim uśmiechem.

— Skoro tak...

Znów wyjrzała przez okno.

— Zemszczę się — powiedziała spokojnie i z całkowitą powagą. — Pożałujesz.

Po czym nagle zmieniła temat, wskazując palcem dziedziniec.

— Odjechał. Ruszysz za nim i sprawdzisz wszystko co trzeba.

2.

Jego godność Denett, oparty dłońmi na łąku siodła, wracał tą samą drogą, którą przybył. Luźno trzymane wodze wisiały na karku końskim; głowa wierzchowca kiwała się miarowo, w rytm leniwego stępa. Jeździec, nawet o tym nie wiedząc, czynił wszystko, by odwlec przykrą chwilę, gdy stanie między swoimi i będzie musiał opowiedzieć o porażce. O klęsce, druzgocącej, choć niezawinionej.

Ale kto mógł przewidzieć?...

Jego wysokość K.B.I.Lewin, stary pan Sey Aye, cieszył się opinią odludka i dziwaka. Wszyscy tak myśleli — nikt o tym nie mówił. Ród K.B.I. od wieków miał należne mu miejsce w Rollaynie, zaś dobra, jakie dzierżył, rozrzucone były po całym kraju. Prawda, że składały się na nie pojedyncze wioski, prawie nieprzynoszące dochodów; swą wyjątkową pozycję rodzina K.B.I. zawdzięczała tylko Puszczy Bukowej, skąd płynęły niemałe renty, należne bocznym liniom rodu. Pomimo to (a może właśnie dlatego?) o Puszczy Bukowej nie mówiono. Jego wysokość Lewin siedział tam od lat, w Rollaynie nie bywał, gości nie przyjmował, a nawet wręcz wypraszał. Omijano więc jego włości z daleka; czynili tak zarówno członkowie rodziny, jak i przedstawiciele wszystkich innych Domów magnackich i rycerskich. Nie było to zresztą takie trudne, bo nikt w całym Szererze nie miał najmniejszego powodu, by odbywać podróże po najdzikszych kniejach, które na dodatek nie do niego należały. Płynęły z

ich głębi rzadkie gatunki drewna, wielkie ilości dziczyzny oraz futer, a także gotowe produkty, szczególnie wyroby z kości, rogu i skór. Puszcza dostarczała także miodu i owoców leśnych, dowolnych piór ptasich, ziół, a na koniec węgla drzewnego, żywicy, smoły i dziegiu. Nikt nigdy nie miał kłopotów z wykupieniem prawa do polowań na obrzeżach, sprzedawane też były prawa do wyrębu — wszelkie takie sprawy, załatwiane niemal od ręki przez siedzącego w Rollaynie przedstawiciela księcia Lewina, nie wymagały starań. I już choćby dlatego, że Puszcza Bukowa żyła swoim własnym życiem, dostarczając wszystkiego, co potrzebne, a nikomu w niczym nie przeszkadzając, była tematem nudnym i niewdzięcznym co się zowie. Jej właściciele zaś łatwo i bez szkody dla życia towarzyskich elit Dartanu mogli zostać i zostali zapomniani. Prawda, że tylko do czasu, gdy stary książę odszedł, zostawiając Puszcę niczym porzucony na gościńcu worek złota, po który zaraz wyciągnęły się liczne ręce. Należało wyjąć go z dłoni, które chwyciły pierwsze, i przekazać tym, do których naprawdę należał.

Zrazu cała sprawa, choć wywołała zrozumiałe poruszenie, wcale nie była skandalem. Burzliwa historia Złotego Dartanu znała wiele przypadków, gdy pieczę nad majątkiem, po zgonie właściciela, przejmowali niewolnicy Domu; wszak od tego byli, by służyć swemu panu, choćby i po śmierci. Jeśli trwały spory o prawo do dziedziczenia, ludzie Domu sprawowali pieczę nad majątkiem niejako w imieniu wszystkich zainteresowanych, w imieniu rodu, do którego należeli i który miał wyłonić nowego ich właściciela. Sprawiedliwe i słuszne było przecież, by majątek, do czasu rozstrzygnięcia sporów bądź procesów, po prostu zarządzał się sam... Gdy więc przyszła wiadomość o śmierci K.B.I.Lewina, wyprawiono tylko specjalnego wysłannika z instrukcjami i nie uczyniono nic więcej. Burza rozpełtała się dopiero wtedy, gdy wysłannik wrócił, przywożąc liczne pisma: przede wszystkim odpis listu małżeńskiego, potwierdzonego przez wymaganą liczbę świadków; dalej kopię testamentu starego pana Sey Aye; wreszcie oświadczenie... jej wysokości K.B.I.Ezeny, nikomu nieznaney dziedziczki trudnej do oszacowania fortuny i staroksiążęcego tytułu. Do tego załączono upokarzające gwarancje utrzymania stałych rent dla pozapuszczańskich odgałęzień rodu. Zrozumiano, że wyzwolona Perła Domu żąda odstępnego. Nikt nie myślał kłócić się o to, choć postępowanie hardej

niewolnicy zakrawało na nie lada bezczelność. Jednak nadal nikomu z rodziny nawet nie przyszło do głowy, by ruszyć się z Rollayny — no bo po co? Sprawa, tak czy inaczej, rozstrzygnięta być musiała w stolicy; nikt nie zamierzał przedzierać się przez knieje, by obejrzeć jakąś tam polanę, na którą wystarczyło „zesłać” dobrego i wiernego zarządcę, skoro wyzwolona niewdzięcznica nie chciała pełnić tej roli. Wreszcie — i to był może najistotniejszy powód — wyprawa w leśne ostępy, zamiast przybliżyć, wręcz oddaliłaby niefortunnego podróżnika od złota Sey Aye... Przecież, chcąc uszczknąć z tego skarbcza, należało mieć pilne baczenie na innych chętnych, trzymać rękę na pulsie wydarzeń, układać się o podział wielkiej schedy, a wszystko to w Rollaynie, nie gdzie indziej. Tak więc do Puszczy Bukowej wyruszył tylko kolejny posłaniec, wiozący surowe napomnienie, ale i pełnomocnictwa do zawarcia ugody. Wrócił wkrótce; nie wpuszczono go do Sey Aye.

I dopiero wtedy wytoczono proces. Nikt nie miał wątpliwości, jaki będzie wyrok. Tyle tylko że uderzenie wymierzono w próżnię. Po spotkaniu z panią Sey Aye jego godność K.B.I. Denett widział to bardzo dokładnie. Nie umiał sobie wyobrazić, jak skończy się cała sprawa. Ale że nie skończy się normalnie był pewien. Mało tego: uważał, że nie skończy się też tak, jak jego ojciec obmyślił i zaplanował w Rollaynie...

Było już ciemno, gdy odnalazł niedużą polankę przy ścieżce nazywanej szumnie „traktem do Sey Aye”. Przy czterech ogniskach siedziało dwudziestu kilku ludzi w sukiennych, narzuconych na zbroje tunikach, których barwy układały się w granatowo-zieloną szachownicę. Barwy rodu K.B.I. Tyle tylko że w granatowym polu widniał pojedynczy zielony liść dębu. Dodatkowych liści i dartańskiej korony księżęcej nie było. I zapewne nigdy miało nie być... Wszystko na to wskazywało.

Na widok powracającego jeźdźca kilku ludzi poderwało się z ziemi. Udzielono mu pomocy przy zsiadaniu z konia, po czym powiedziano zwierzę tam, gdzie stały inne wierzchowce, przywiązane do drzew obok wielkiej sterty bagaży. Młody człowiek, w tym samym wieku co Denett, wyraźnie nachmurzony, niecierpliwie czekał przy najmniejszym ognisku. Nie miał na sobie mundurowej tuniki z herbami, tylko zwykłe podróżne odzienie — inaczej niż towarzyszący mu pięćdziesięcioparoletni człowiek, będący chyba dowódcą eskorty.

— Nie nadużywaj mojego zaufania, wasza godność — rzekł

młodzieniec. — Nigdy więcej nie zapoluję, wiedząc, że uciekniesz mi wtedy i pojedziesz sobie dokądś... Zostawiłem cię tylko dlatego, że byłeś pod opieką żołnierzy.

Denett wzruszył ramionami.

— Miałem kaprys, przyznaję — powiedział.

Usiadł przy ogniu i milczał, obserwując skaczące płomienie. Jego towarzysze cierpliwie czekali, co powie.

— Widziałem tylko dom — oznajmił Denett. — Nikt w Rollaynie nie ma pojęcia, o jaką fortunę tu chodzi.

Po czym, bez upiększeń, bardzo dokładnie i szczerze opowiedział o wszystkim, co widział i co mu się przydarzyło. Kilkakrotnie przerywał opowieść, wrzucał kilka szyszek do ognia i podejmował wątek.

Niebo między koronami drzew zaroilo się od gwiazd.

— Nic nie wiem — rzekł Denett na zakończenie, znowu rzucając w ogień kilka szyszek. — Słyszycie mnie? Nic a nic.

Zaległo długie milczenie.

— Nic a nic... — powtórzył wreszcie, zamyślony.

Jego młody towarzysz, o ponętnej dla kobiet urodzie zuchawadiaki, poruszył się lekko, zmieniając niewygodną pozycję.

— Ale przecież rozmawiałeś z nią.

— Rozmawiałem! — odpowiedział Denett.

Zabrzmiało to tak, jakby mówił: „stąpałem po księżycu!”.

— Rozmawiałem! — powtórzył tym samym tonem. — Na wszystkie lasy i przekłete polany świata, przecież dopiero co przytoczyłem wam każde słowo tej „rozmowy”! Rozmawiałem! — zawołał raz jeszcze.

Znowu zaległa cisza. Denett wrzucił do ognia kilka kolejnych szyszek; blask płomieni obrysował wyrazisty profil jego przystojnej twarzy. Płynne cienie kładły się między pasmami żółtopłowych, sięgających ramion włosów.

Roześmiał się nieoczekiwanie.

— Mówię ci, Halet — rzekł do rówieśnika — nikt nigdy nie potraktował mnie gorzej. Ranezen, przyjacielu — zwrócił się z kolei do starszego mężczyzny w tunice — sprawdź gotowość swoich ludzi. Możliwe, że niedługo będą mi potrzebni.

Armektański dowódca eskorty natychmiast podniósł się i odszedł w stronę innych ognisk — rzecz jasna nie po to, by dokonać zbytecznego

sprawdzianu. Jego asysta przy rozmowie przyjaciół była zbędna, rozumiał to doskonale. Strzegł życia i zdrowia młodego pana, od lat służył mu radą i pomocą, będąc bardziej opiekunem niżli podkomendnym. Znał jednak swoje miejsce na świecie i wcale nie chciał wdzierać się w sprawy, które nie do niego należały.

Gdy żołnierz odszedł, Denett znowu zaczął szukać szyszek, aż wybierał wszystkie leżące w zasięgu ramienia.

— Nie pojmuję tego — wyznał po raz kolejny. — Jak ją sobie wyobrażałeś, powiedz? Nie, nie mów, wiem jak. Tak jak ja. Nawet nigdy nie rozmawialiśmy o tym, tak bardzo byliśmy pewni, jaka jest. Pierwsza z Pereł, prawda?

Status Perły Domu miała jedna, czasem dwie, bardzo rzadko aż trzy niewolnice. Ich wartość liczono nie w dziesiątkach, lecz w setkach sztuk złota. Były to sumy po prostu krociowe.

— Każdy Dom ma Perłę — mówił z roztargnieniem Denett. — „Pokaż mi konie i kobiety Domu, a powiem ci, co wart jest twój ród”. Czy nie tak? A ta tutaj... Nie wiem. Czyżby mój stryjeczny dziad, zamroczony bliską śmiercią... Prawda, zawsze było wiadomo, że to dziwak. Ale nie szaleniec! Tam w Dartanie o niczym nie wiedzą, pojmujesz? Tak jak ja nie wiedziałem. Przyjechałem tu rozmówić się z kimś, kto pojmie wszystko w pół słowa. Przyjechałem do Pierwszej Perły Domu z ofertą, która nie mogła zostać odrzucona. Ale... Teraz nie wiem. Ja nie wiem, kim ona jest!

— Ależ tylko zwykłą niewolnicą. Nie ma powodu, żeby...

— Halet! Proszę cię, przestań! Nie widziałeś jej i nie słyszałeś. Czy znasz jakąkolwiek niewolnicę, która, otrzymawszy taki majątek, biegałaby boso po drodze? Z tytułem, który w Dartanie honorują nawet Armektańczycy? Halet, przecież ją należy tytułować „wysokością”, przynajmniej do czasu, gdy sądy orzekną inaczej... Widzę tylko jedno wyjaśnienie: ta kobieta postradała zmysły! Jej rozum nie wytrzymał tak wielkiego wstrząsu. Podobno czasem tak bywa.

Przesunął dłonią po twarzy.

— Tylko że to nieprawda — dorzucił.

— Jest Armektanką.

— Tak, i co z tego?

— Bardzo piękna? — pytał Halet.

— Piękna? — Denett roześmiał się, zerwał z ziemi i odszedł kilka

kroków. Wrócił. — Piękna? Halet, przyjacielu! Każde oko inne! Za wysoka, prawie taka jak ja. Piersi... o! Nie! Jeszcze więcej i niżej! Ma zbyt szerokie pęciny, stopy brudne, pewnie stwardniałe, włosy pod pachami i na łydkach, a więc pewno w ogóle wszędzie, bo o wosku do depilacji nigdy nie słyszała.

— Armektanki tego nie robią.

— W Armekcie. Ale tu jest Dartan i co druga Perła jest właśnie Armektanką, a pomimo to nie udaje zwierzęcia. Tylko trzeba być Perłą Domu, a to praczka, niewolnica do prac! W stolicy nie wziąłbyś jej nawet za darmo. Prawda, twarz ma niebrzydka, no i włosy zupełnie wyjątkowe... Wąska w talii, okrągła gdzie trzeba... Ale dłonie? Pomyśl Halet, jakie ma paznokcie? Przecież ona pierze. W strumieniu!

— Czyli niezbyt ładna do tego?

Denett wrócił na swoje miejsce i usiadł. Zapatrzył się na żołnierzy siedzących przy dalszych ogniskach.

— Przecież nie zawrócę — rzekł po długiej chwili. — Ożenię się z nią, choćbym nawet miał to przeprowadzić siłą. Słyszysz?

Wymienili spojrzenia.

— Wrócimy tam zaraz — mówił Denett z narastającym ożywieniem. — Doprowadzę do rozmowy. Jeśli będzie trzeba, to ją zmuszę do rozważenia mojej oferty. Nie jest głupia, zrozumie przecież, że to jedyna szansa na zatrzymanie... czegokolwiek.

— Mamy zaledwie dwudziestu sześciu żołnierzy i to z Ranezenem.

— Ty sam wart jesteś dziesięciu, a Ranezen przynajmniej pięciu. Uważasz, że na całej tej polanie ilu siedzi?

— Nie wiem, Denett. Na pewno więcej niż dwudziestu sześciu. Chodzą słuchy, że wcale nie ma, podobno...

— Plotki, pogłoski — przerwał tamten. — Muszą tu mieć licznych gajowych, potrafiących obchodzić się z kuszą albo łukiem. Ale gajowi pilnują lasu. A na samej polanie? Dwóch tkwiło przed domem, wojacy jak rycerstwo ze starych gobelinów, mówię ci. Głowę daję, że wszystko, co potrafią, to podpierać się na swoich mieczach. No ilu, ilu żołnierzy można trzymać w takim Sey Aye, do pilnowania porządku w sześciu czy siedmiu wioskach, a niechby i dla fasonu?

— Pięciuset — rozbrzmiało nieoczekiwanie.

Zaległa głęboka cisza. Denett powoli uniósł głowę i z narastającą

konsternacją spoglądał na wychodzącego z ciemności człowieka. Halet zachował kamienny spokój, niemniej zmienił troszeczkę pozycję... i uważne oko mogło poznać, że ten człowiek jest gotów do walki. Słodko-buńczuczna powierzchowność tego chłopca mogła być tylko maską, skrywającą sprawnego strażnika-zabójcę. Wiele starych dartańskich rodów wciąż szkoliło i trzymało takich ludzi.

— Pięcuset żołnierzy, wasza godność — powtórzył M.B.Yokes, kucając przy ognisku i wyciągając ręce ku skaczącym płomieniom. — Do tego trzy setki tropicieli, myśliwych, przewodników i leśników, do których obowiązków należy także zwalczanie kłusownictwa. Nazywamy ich tutaj leśną strażą.

Denett dość szybko ochłonął z zaskoczenia, wywołanego nieoczekiwaną wizytą.

— Pozwolę sobie zapytać, panie... — zaczął z chłodną wyższością.

Komendant Sey Aye zignorował go w sposób aż obraźliwy. Odwrócił głowę i zawołał przez ramię:

— Ranezen!

Denett zamilkł, zdumiony. Siedzący przy niedalekim ognisku dowódca eskorty podniósł się, przeszedł parę kroków i — dopiero wtedy zobaczywszy obcego — stanął jak wryty. Yokes skinął mu głową, wciąż siedząc w kucki przy ogniu.

— Dowódca poczty, czy tak? — zapytał. — Wartownik leży tuż przy ścieżce — oznajmił. — Każ zabrać go, panie, i opatryć, bo ma mocno rozbitą głowę. Apeluję o spokój — dorzucił, wskazując kciukiem ukryte w mroku gąszcze za plecami — nie przyszedłem tu przecież sam.

Armektańczyk nie rzucił okiem we wskazanym kierunku; zdawało się nawet, że nie bardzo słucha... Wymienił krótkie spojrzenie z Haletem, po czym, z dłonią opartą na mieczu, wpatrywał się w twarz Denetta, oczekując dowolnego rozkazu.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Dobrze, Ranezen — powiedział młody Dartańczyk. — Znam tego człowieka, to... najemnik jej wysokości księżnej K.B.I.

Słowo „najemnik” zabrzmiało pogardliwie, zaś następujące po nim tytuły co najmniej kpiąco, jeśli nie szyderczo. Lecz Yokes nie zareagował.

Przy pozostałych ogniskach zorientowano się już, że w obozie jest obcy. Żołnierze trwali czujni i przygotowani. Ranezen odszukał

wzrokiem swojego zastępcę i przywołał go skinieniem.

— Weź dwóch ludzi — polecił. — Na ścieżce ogłuszono wartownika.

Po czym stał dalej, czekając na rozkazy Denetta. Drgnął lekko, gdy przybysz wymienił swoje nazwisko.

— Jestem M.B.Yokes, komendant prywatnych oddziałów Sey Aye. Szpiegowanie spokojnych podróżnych nie zasługuje na szacunek i wstydzilibym się tego, wasza godność. Lecz podsłuchiwanie rozbójników, planujących zbrojny napad, przynosi raczej chlubę mej przenikliwości — oznajmił bez cienia uśmiechu. — Czy zgodzisz się ze mną, wasza godność?

Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej:

— Usłyszałem dość, by wiedzieć, po co przybyłeś panie do Sey Aye. Czy zechcesz porozmawiać teraz ze mną w cztery oczy? Proszę o to.

— Wasza godność — powiedział Ranezen i brzmiało w tym kategorię: nie.

Prośba Yokesa była właściwie rozkazem; do rozmowy dojść musiało tak czy owak. Denett nie był głupcem, wyraźnie widział, że słówko „proszę” w ustach przybyłego jest po prostu furtką, wskazaną mu jako honorowe wyjście. Mógł skorzystać z tej furtki i zachować twarz zarówno wobec podwładnego, jak i przyjaciela: mógł też tego nie zrobić i... pogрузić się zupełnie. Komendant Yokes panował nad sytuacją i trzeba by go chyba zarąbać, by pozbawić przewagi.

— W dość niezwykły sposób, wasza godność, zabiegasz o tę rozmowę. Halet, spełnimy chyba prośbę gościa, co ty na to? — Po czym zwrócił się do Armektańczyka, który już otwierał usta: — Ranezen, przyjacielu, pod twoim okiem czuję się zawsze bezpieczny i nie ma żadnego znaczenia, czy stoisz tuż obok, czy dziesięć kroków dalej. Wróć proszę do swoich żołnierzy. Wróć, proszę — powtórzył z naciskiem, dając staremu wojakowi identyczną szansę jak ta, którą sam przed chwilą otrzymał od Yokesa.

Halet podniósł się i oddalił, nieznacznie skinąwszy na Ranezena. Denett i komendant Sey Aye zostali sam na sam.

— Wasza godność — zagaił Yokes, sadowiac się wygodniej — zapomnijmy o twym zamiarze zdobycia Sey Aye szturmem... — Uśmiechnął się lekko i chyba mimowolnie, uznawszy snadź pomysł za zabawny.

— Co śmiesznego widzisz w tym, panie? — przerwał Denett. — Nawet nie będę udawał, iż wierzę w to tysięczne wojsko, którym próbowałeś mnie przestraszyć.

Yokes nieznacznie unióśł brwi.

— Więc kłamałem? — zapytał, już z wyraźnym rozbawieniem... bo istotnie kłamał, ale niezupełnie tak, jak chciał Denett; w Sey Aye było trzy razy więcej żołnierzy, niż powiedział. — Dobrze, wasza godność, nie o tym będziemy mówić... Jesteś tutaj, wasza godność, osobą niepożądaną, usłyszałeś to dzisiaj wprost, z ust jedynej właścicielki tego kraju. — Yokes nie zamierzał oddać inicjatywy. — Ja zaś podążyłem za tobą, otrzymawszy wyraźny rozkaz. Wyraźny, ale niejednoznaczny i pozostawiający mi niejaką swobodę. Nie wpuszczę cię, panie, z powrotem do Sey Aye — oświadczył prosto z mostu. — Ale zdam dokładny raport i być może będziesz mógł za moim pośrednictwem powiedzieć jej godności to, czego osobiście powiedzieć nie zdążyłeś.

Młody Dartańczyk, spostrzegawczy i wyczulony na wszelkie formy, nie przegapił przejęzyczenia.

— Jej godności, komendancie? — zapytał powoli. — Chyba: jej wysokości?

Trafił! I natychmiast zobaczył, jak celnie.

— Jej wysokości. Jej wysokości księżnej Sey Aye — niezwłocznie i aż nazbyt skwapliwie poprawił się tamten. Zbyt pośpiesznie i skwapliwie, jak na zwykłe przejęzyczenie.

Denett lekko pokiwał głową i uśmiechnął się. Yokes pojął, że niepotrzebnie lekceważy tego młodego człowieka — wychowanego przecież pośród nieustannych słownych gier, intryg, niedomówień, którymi żyły stołeczne elity... Krążąc wokół sedna i próbując wybadać swego przeciwnika, łatwo sam mógł stać się ofiarą. Kilka słów wystarczyło, by Denett zyskał świadomość, iż tytułowanie niewolnicy wysokością nie bardzo chce przejść przez gardło lojalnemu dowódcy oddziałów Sey Aye...

— Usłyszałem, wasza godność — rzekł, zmierzając do bardziej otwartej gry — że nosisz się z bardzo poważnymi zamiarami. Przyznam, że... byłbym zdumiony.

Denett, któremu odniesiony przed chwilą drobny sukces wyraźnie dodał pewności siebie, spokojnie wytrzymał spojrzenie.

— Zdumiony — skonstatował — lecz bynajmniej nie rozbawiony. Czyżby więc taki pomysł mógł być w ogóle rozważany poważnie? Otóż, panie — ciągnął, jakby czytał w myślach swego rozmówcy — ani tobie tutaj, ani nikomu w Rollaynie coś takiego w ogóle nie przyszło do głowy. To nie jest jakaś młodzieńcza szarża, wasza godność, bez nadziei na pomyślne zakończenie. Czy też raczej: nie była nią dotąd. Bo prawda, że nie taką osobę spodziewałem się tu znaleźć... — Denett zmarszczył brwi.

— Na co liczyłeś, wasza godność?

Denett uśmiechnął się — trochę gorzko, a trochę bezradnie... i przez moment znów był podobny do tego młodzieńca, który żywiołowo i bez zahamowań dzielił się wrażeniami z przyjacielem, nawet nie podejrzewając, że jest obserwowany i podsłuchiwany.

— No cóż, panie — powiedział — skoro widziałeś i słyszałeś tyle, to równie dobrze mogę powiedzieć ci resztę. Mogę, a nawet powinienem, bo znając tylko część prawdy, gotów jesteś dopowiedzieć sobie nie wiadomo jakie rzeczy. Ale czy uzyskam coś w zamian? Cokolwiek. Nie chcę, byś był niełojalny, rozumiem twoją powinność, wasza godność — zastrzegł, widząc lekki grymas na twarzy tamtego.

Pochylił się nagle.

— Kim jest ta... dziewczyna?

— Nie powiem nic, wasza godność, dopóki nie poznam dokładnie celu twego przybycia do Sey Aye. Słyszałem, jak przy tym ognisku snuto plany podstępного napadu na ziemie i osobę, których bronię. Jesteś, panie, intruzem. A niewiele brakowało, byś został rozbójnikiem — padła sucha odpowiedź. — Chcę usłyszeć wszystko, co masz mi do powiedzenia, wasza godność. W przeciwnym razie odejdę, a równo z nastaniem świtu moi żołnierze wyrzucą cię stąd siłą. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Teraz słucham.

Denett pojął, że „zabawa w słówka” skończyła się nieodwołalnie. M.B.Yokes być może nie był biegły w intrygach, ale gdy szło o czyny, rzecz miała się zgoła inaczej. Młody przybysz znał nazwisko komendanta Sey Aye, bo w Dartanie znał je każdy. Gdy ten człowiek powiadał „wyrzucę cię stąd, panie”, to znaczyło, że na pewno wyrzuci, bez względu na to, czy naprawdę ma pod komendą pięciuset, czy tylko pięciu żołnierzy. Będąc nieproszonym (a nawet wręcz wypraszonym) gościem, Denett mógł teraz położyć na szali swą szczerłość, czepiając się ostatniej

szansy, albo wrócić do Rollayny. Wybór oczywisty, jeśli zważyć, że od samego początku nie miał nic do ukrycia. Sądził tylko, że przedstawi swe zamiary kobiecie rządzącej w Sey Aye. Zamiast tego mówił z jej żołnierzem.

— Jej wysokość księżna Sey Aye przegra proces — powiedział równie sucho, jak przed chwilą Yokes. — Nikt w całym Dartanie nie uzna tego małżeństwa za ważne. Ale gdyby znalazł się ktoś, kto by uznał? Człowiek z nazwiskiem, z pozycją i majątkiem, cieszący się poparciem wielu świetnych rodzin...

— Czarna owca. Taki człowiek natychmiast zostałby napiętnowany — zauważył Yokes.

— Być może. W zamian zyskałby Puszcze Bukową i staroksiążęcy tytuł. Ten tytuł jest przecież przywiązany do ziem — przypomniał Denett.

— Wasza godność. Jeśli dojdzie do procesu, małżeństwo pani Sey Aye zostanie unieważnione. A jeśli pierwsze małżeństwo okaże się nieważne, to drugie... z człowiekiem, o którym mówimy... przestanie mieć jakikolwiek sens. Okaże się, że ów nieszczęsny głupiec wzenił się w tanią niewolnicę bez majątku.

— Wolno jednak uważać, że proces będzie ciągnął się latami. Nigdy nie zostanie jednoznacznie rozstrzygnięty.

— Skąd ta pewność, panie?

— Bo jesteśmy w Dartanie, wasza godność. Każdy tutaj ma jakiś proces i większość z nich nigdy nie zostanie rozstrzygnięta. Bardzo trudno o bezsporne dowody w takich sprawach, przegrywają więc tylko ci, za którymi nikt się nie ujmie — Denett odchylił się do tyłu i podparł na łokciu. — A za mną i za moją... żoną... — uśmiechnął się mimo woli — za małżeństwem księżat Sey Aye ujmie się bardzo wielu. Pozapuszczańskie gałęzie rodu K.B.I. nie cieszą się w Rollaynie sympatią, wielu ludziom odmawia się praw do rodowych monogramów. Tak się składa, że z różnych przyczyn ojciec mój od pewnego czasu skupia wokół siebie prześladowanych.

— Jakie to są przyczyny?

Denett przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Mam ci panie odpowiedzieć tak, jak na to zasłużyłeś tym pytaniem?

Yokes uśmiechnął się lekko.

— Wasza godność, przedstawiasz mi pewien bardzo niezwykły plan. Ten plan nie jest moją sprawą. Wszystkie związane z nim szczegóły to także nie jest moja sprawa. Ale mnie tu w ogóle nie ma. Są tylko uszy jej wysokości K.B.I.Ezeny. Usta przyczepione do tych uszu powtórzą księżnej to, co zostanie tu powiedziane. Ani trochę więcej, ani trochę mniej.

Denett raz jeszcze zdał sobie sprawę, że dowódca Sey Aye ma nad nim wielką przewagę. Ten człowiek niczego nie chciał. Petentem był on, Denett.

— Mój ojciec roztoczył opiekę nad wszystkimi pomniejszych Domami rodu. Nie jest ubogim krewnym zmarłego księcia Sey Aye — rzekł krótko. — Umiał pomnożyć swój majątek i teraz jest... bogatym krewnym. Czy to coś wyjaśnia? Czy uszy siedzące przede mną mają między sobą jakiś rozum?

Yokes skwitował sarkazm kolejnym lekkim uśmiechem.

— Rozumiem, że blask Domu twojego ojca, panie, skupia różne ćmy — powiedział, dowodząc, że reguły rządzące życiem elit nie są dla niego tajemnicą. — Wiemy tutaj to i owo o rodowych procesach. Stronnictwo twego ojca, wasza godność, chyba rzeczywiście jest silne, a ta siła nie tyle wynika z rodowych monogramów, co właśnie z pieniędzy. Bo powiedzmy sobie szczerze, wasza godność, szacunek i zasługi to jedno. Ciężar złota to sprawa druga.

Denett skinął głową.

— Nie jesteś panie leśnym dzikusem — zauważył z ironicznym uznaniem, zabarwionym odrobiną wesołości. — Potrafisz też dobrze mówić.

— Jeśli dodać do tego — ciągnął Yokes — że twoje pokrewieństwo z nieżyjącym księciem nie daje ci raczej nadziei na wyrwanie dużego kęsa z Puszczy...

Młodzieniec znów skinął głową.

— I jeśli dodać jeszcze, że inne bogate i wpływowe rody muszą żywić naturalne obawy przed wzrostem znaczenia pozostałych... Dla wszystkich byłoby najlepiej, oprócz, ma się rozumieć, oczywistych spadkobierców księcia, gdyby to K.B.I. Enewen, twój ojciec, wasza godność, pozostał najsilniejszy. Zwłaszcza że drogo okupi uznanie

małżeństwa swego syna. Udzielone wam poparcie kosztować będzie znaczną część majątku; może wreszcie uda się porozrywać Puszczę Bukową na drogocenne strzępy, choć oczywiście tobie przypadnie tytuł i najlepsza część. Ale może to lepiej, niż gdyby cała Puszcza miała dostać się komuś, kto w tej chwili niewiele znaczy... To nie będzie tak, jak z dobrym starym księciem Sey Aye, samotnym odludkiem, który był, ale tak, jakby go nie było — myślał głośno Yokes. — Czy to możliwe, wasza godność, że K.B.I. Enewen, twój czcigodny ojciec, wcale nie jest człowiekiem szalonym? Bo to przecież on (nic nie ujmując twemu rozumowi, panie) wymyślił cały ten plan, czy tak?

— Zapłacimy, nie mylisz się, panie — potwierdził Denett. — Złotem, wzrostem znaczenia, przyjaźnią Domu K.B.I. Zapłacimy każdemu, kto nas poprze. A poparcie ma polegać na prostej bierności... Mój ojciec już teraz ma duże wpływy w Rollaynie, władza nad Sey Aye tylko te wpływy utwierdzi, nic więcej. Układ sił w stolicy nie ulegnie zmianom — bogaci zostaną na górze, biedni zostaną na dole. Jeśli prawa Ezeny do Puszczy zostaną potwierdzone, to nikt nie zajmie miejsca, którego nie zajmowałby już wcześniej.

— Wojna z własną rodziną...

— Wojna trwa od dawna, to nic nowego, i nie wnikaj w to za bardzo, wasza godność, bo to nie twoja sprawa — uciął Denett. — Zamierzam właśnie tę wojnę wygrać. Wyzwolona niewolnica stoi na przegranej pozycji dlatego, że jest właśnie wyzwoloną niewolnicą. Ja jestem kimś więcej. Jeśli ja uznam jej prawa, jeśli mój ojciec uzna synową... — zawiesił głos — ...to nikt więcej uznawać jej nie musi. To nas trzeba będzie uznać, nie ją. Przyznasz, panie, że różnica jest znacząca?

— Uważasz więc, wasza godność, że procesy będą trwały latami?

— Wygram wszystkie wstępne rozprawy, potem będą tylko odwołania. Znowu wygram i kolejny raz, pod byle pretekstem, choćby przedłożenia jakichś nowych „dowodów”, proces zostanie wznowiony. Jeszcze moje wnuki będą się sądzić o Puszczę.

— Czy naprawdę uważasz, że to możliwe, wasza godność? Że wygrasz wstępne rozprawy?

Denett przechylił głowę i uśmiechnął się swoim — jakże mylącym — chłopięco-naiwnym uśmiechem.

— Jej wysokość księżna Ezena bez żadnych wątpliwości ma prawo

do nazwiska i wszystkiego, co się z nim wiąże — powiedział. — Tak czy nie? Ależ tak, nie protestuj! Czy to nie twój podpis widziałem na małżeńskim liście, wasza godność? Ach, no proszę! Więc być może już wkrótce będziesz, panie, przysięgał przed sądem, że małżeństwo zostało zawarte zgodnie z prawem. Skłamiesz? Więc zostaniesz oskarżony o poświadczenie nieprawdy na małżeńskim liście, wasza godność. To bardzo poważna sprawa, to przestępstwo ścigane z urzędu. Staniesz, panie, przed Trybunałem Imperialnym.

— Nie zamierzam kłamać. Zamierzam...

— Stroić miny, panie. Krzywić się i chrząkać znacząco. Właśnie tyle będziesz mógł zrobić.

Yokes w duchu przyznał mu rację.

— Jedynym orężem sądów w tej sprawie — ciągnął Denett — jest nagięcie prawa do oczekiwań rodów magnackich i rycerskich. Prawo imperialne w Dartanie, za cichym przyzwoleniem samego imperatora, istnieje głównie na pokaz, obaj o tym wiemy, wasza godność. By uniknąć zadrażnień z najbogatszymi i najświetniejszymi rodami imperium, cesarz gotów jest spoglądać na pewne rzeczy przez palce, tym bardziej że z punktu widzenia Kirlanu jest zupełnie obojętne, kto będzie płacił podatki do imperialnej szkatuły. A może nawet lepiej, żeby czynił to ktoś, kto wszedł w posiadanie majątku niezupełnie zgodnie z prawem... Zawsze można zrewidować proces, jeśli podatnik okaże choć cień nielojalności. Tak czy nie, wasza godność? No więc nie przybędą tu żadne legiony, by bronić praw niewolnicy, a sądy w Rollaynie wyjdą naprzeciw oczekiwaniom większości dartańskich Domów. Jakie będą te oczekiwania? Gdzie znajdzie się większość? Dziś wiadomo, ale jutro? Gdy niewolnica z Sey Aye zostanie uznana przeze mnie i mojego ojca?

— Łatwo pomylić się w takich szacunkach.

— Tak i nie. Przyjmuję do wiadomości, że istnieje pewne ryzyko, wasza godność, a ty przyjmij moje argumenty. Prawda, dzisiaj dowiedziałem się, że wszystkie obliczenia mogą zawieść. Ze względu na... osobę jej wysokości Ezeny. — Denett nieco spochmurniał.

— Nic nie wiesz, panie, na temat jej wysokości.

— Wystarczająco dużo. To ktoś bardzo, bardzo wyjątkowy.

Yokes potrząsnął głową i z nagłym znużeniem ukrył twarz w dłoniach, przecierając palcami powieki. Potem rozejrzał się dokoła, jakby

zdziwiony, że tłem rozmowy wciąż jest zwyczajny, cicho szumiący las, mrok uciekający przed blaskiem słabnącego ogniska, mech i sosnowe igiełki...

— Wyzwolona niewolnica, wasza godność — powiedziała stłumionym głosem, trochę jakby wbrew sobie. — Poślubiona zgodnie z prawem czy nie... Tylko niewolnica, wasza godność. Twój plan uważam za... niesmaczny. Niegodny twego Domu, twojej Czystej Krwi, niegodny twojej osoby.

Denett pochylił się nagle.

— Jak długo ją znasz, komendancie? — zapytał prawie szeptem.

Cofnął się i zaraz sam odpowiedział:

— Za długo. Zbyt blisko stoisz, by ocenić. Nie widzisz tego co na dłoni.

— Czego mianowicie?

— Tego jaka z niej niewolnica. Nie wiem, kim ona jest. Liczyłem, że ty mi to powiesz?

Yokes potrząsnął głową. Wyzbył się już chwilowego znużenia.

— Nie, panie. Obojętne mi, co sobie wyobrażasz. I tak powiedziałem za dużo. No, szykuj się do drogi, wasza godność.

Na twarzy młodzieńca pojawiła się konsternacja.

— Sądziłem... — rzekł, na chwilę tracąc pewność siebie. — Zapewniłeś mnie, że przekażesz...

— Nie przekażę, zrobię coś innego — oznajmił Yokes, wstając. — Nie chcę, panie, żeby ci się udało. Liczyłem, że Sey Aye przypadnie w udziale komuś, komu będę chciał służyć. Powodzenie twego planu oznacza, że dalej będę poniżany przez niewolnicę z tytułem. Twoją małżonkę, czy tak? Nigdy tego nie uznaję. Dość już mam widoku tej ohydy. Raz spełniłem prośbę człowieka, którego kochałem, i złożyłem swój podpis... Żałuję. Nigdy więcej tego nie zrobię. Odejdę, gdy tylko wygaśnie mój kontrakt.

Denett z trudem powściągnął gniew.

— Wasza godność pouczasz kogoś, kto jest trochę lepszy od ciebie. Żaden najemnik...

— Pochodzę z rycerskiego rodu, panie. Moi przodkowie służyli wszystkim dartańskim dynastiom. Wiesz o tym doskonale. Nigdy nie mieliśmy ziem i bogactw. Tylko miecz i honor. Nie próbuj pomniejszać

znaczenia jednego ani drugiego.

Denett zamilkł. Yokes nie kłamał. Igranie z dumą tego człowieka mogło być niebezpieczne. A już na pewno było niestosowne.

— Jeśli przekażę wszystko, co tutaj usłyszałem, twój plan spełnie na niczym — orzekł Yokes.

Uniósł dłoń, przerywając Denettowi w pół słowa.

— Czekaj, wasza godność, jeszcze nie skończyłem. Nie znasz księżnej. — Tym razem pozwolił sobie na nieznaczące skrzywienie ust, przy wymawianiu tytułu. — Przekażę jej twoje słowa i nie będzie najmniejszej nadziei, by zgodziła się z tobą zobaczyć. W jaki sposób, przy moim nastawieniu, mam wydać się przekonujący? Twój plan runie. Jedyny plan, w którym kryje się szansa dla niej. Tak bardzo życzę sobie tego, że jest to aż nielojalne. A przysięgałem lojalność. Postąpię więc dokładnie wbrew sobie, ale dla jej dobra, bo przysięgałem mieć je na względzie. Rozkaż, panie, swym ludziom, by złożyli broń. Jesteście moimi jeńcami. Pod eskortą zabieram was do jej wysokości Ezeny. Będziesz miał zatem jedyną okazję, by przemówić do niej raz jeszcze. To wszystko — zakończył sucho.

— W jaki sposób, rycerzu, zamierzasz eskortować dwudziestu ośmiu ludzi? — padło lekko kpiące pytanie. — Rozbrojonych, czy tak?

— Przywołaj dowódcę swojej straży, panie. Nie przyszedłem tutaj sam, już mówiłem. Gdy wezwę żołnierzy, będą na tej polanie dwa uzbrojone oddziały. To o jeden za dużo. Ktoś gotów popełnić głupstwo.

Młody magnat w milczeniu badał wzrokiem twarz swego rozmówcy.

— Ranezen! — zawołał niegłośno.

Stary żołnierz natychmiast pojawił się przy ognisku.

— Jego godność komendant Yokes chce wezwać tu swoich żołnierzy. Pod ich... opieką udamy się do Sey Aye. Trzeba, żebyśmy oddali całą broń.

— Nie zgadzam się, panie.

— Składamy broń, Ranezen.

— Odpowiadam za twoje życie, panie.

— Nic mu nie zagraża. Masz rozbroić ludzi.

— Nie, panie. Otrzymałem rozkazy od ojca waszej godności. W tym wypadku to one są dla mnie wiążące.

Yokes w milczeniu śledził wymianę zdań. Chrząknął cicho.

— Zdawało mi się, że moje nazwisko jest ci znajome, panie? —

powiedział do Ranezena.

— Każdy, kto nosi broń, zna twoje nazwisko, wasza godność. Czy rozumiesz moją powinność względem osoby, której strzegę?

— Rozumiem. Czy ręczysz za swoich ludzi, Ranezen?

— Nie zrobią nic bez mojego rozkazu.

— A zatem ostrzeż ich, by nie działali pochopnie.

— To niepotrzebne. Są gotowi na wszystko, ale nie zrobią nic bez mojego rozkazu.

— A jego godność Halet?

— Za Haleta ja ręczę — rzekł Denett.

Yokes skinął głową, włożył w usta dwa palce i gwizdnął. Na polanie zrobiło się cicho. W tej ciszy oddalone od ognisk cienie, krzewy i drzewa ożyły. Owi zbrojni byli tam przez cały czas — niektórzy wstawali z ziemi, ujawniając, że aż do tej chwili nic ich nie skrywało przed spojrzeciami — nic poza mrokiem, bezruchem i magiczną wręcz umiejętnością stapania się z każdym tłem. Migotliwe światło czterech ognisk pokazało ponad dwadzieścia sylwetek kuszników i łuczników — większość stanowili ci drudzy. Wszyscy mieli na sobie brunatno-zielono-czarne, obcisłe sukienne ubiory, niektórzy ponadto takie same opończe lub tylko kaptury. Z przyczernionych ziemią twarzy błyskały białka oczu. Rozglądając się, zaskoczony Denett ujrzał kota, będącego najwyraźniej członkiem leśnego oddziału. Kot na prywatnym żołdzie? W legiach imperialnych — no, to było co innego. Chociaż, z drugiej strony... Bardzo niewielu ludzi potrafiło pojąć, co powoduje przedstawicielami tego dziwnego gatunku, wespół z ludźmi wybranego przez Szerń do noszenia rozumu.

— To gajowi Sey Aye. — Yokes odezwał się na tyle głośno, by słyszeli wszyscy, po czym rzekł wprost do Ranezena: — Dowódco, rozkaż swym żołnierzom, by złożyli broń. Jeśli pragniesz bezpieczeństwa jego godności Denetta, tylko twoje posłuszeństwo może je teraz zapewnić. — Uniósł rękę i w tej samej chwili dwadzieścia grotów skierowało się ku środkowi polany.

Stary żołnierz lekko przygryzł usta.

— Sto lub sto pięćdziesiąt kroków stąd, w zasięgu głosu, na drodze — dorzuci! Yokes — mam drugi oddział o podobnej sile. Z tą różnicą, że jest to regularne wojsko Sey Aye. Nie wiedziałem, jak silny poczet

prorowadzisz, wasza godność — zwrócił się do Denetta — musiałem więc być przezorny. Proszę złożyć broń. To doskonalili żołnierze — pochwalił z całkowitą powagą, ogarniając wzrokiem ludzi w granatowo-zielonych tunikach, kryjących świetne kirysy.

Nie były to słowa rzucone na wiatr. Skupieni w kręgu ludzie Ranezena stali zupełnie spokojnie, z dłońmi opartymi na rękojeściach mieczów. W większości byli to weterani spod Północnej Granicy; Yokes przyjrzał im się już wcześniej i ocenił. To nie była zgraja młodzików szukających przygód w zbrojnej służbie. Nie zdradzali strachu, niepewności czy choćby podniecenia — spoglądali na swojego dowódcę, gotowi natychmiast rozsiekać łuczników lub zginąć. Uderzało też opanowanie młodego Haleta, siedzącego nieruchomo przy ognisku, ze spojrzeniem wbitym w płomienie.

— Złożyć broń — powiedział Ranezen.

Spokojnie, bez śladu emocji, żołnierze poskładali swój oręż na ziemi. W odpowiedzi, na znak Yokesa, strzelcy natychmiast zdjęli pociski z cięciw.

— Zachowaj to, panie — rzekł komendant Sey Aye, odsuwając podetknięty przez Ranezena miecz. — Broń twoich ludzi każ przytrzymać do bagaży; nikt z mojego oddziału jej nie dotknie. Jego godność Halet niech zatrzyma przy sobie swój sztylet.

Stary żołnierz docenił gest.

3.

Gdy tylko Yokes, posłuszny rozkazom, ruszył w ślad za Denettem, Ezena poszła do swojej sypialni. Nie kazała zaciągnąć kotar; owszem, położyła się na łóżku i podłożywszy ramiona pod głowę, spoglądała przez ostrołukowe okno. Purpurowa kula słońca chowała się za lasem.

Księżna chciała z kimś porozmawiać. Za niczym nie tęskniła tak, jak za rozmową. Z kimś, kto szczerze przejąłby się jej sprawami, pomógł rozważyć racje, doradził. W Sey Aye nie było nikogo takiego. Ani w Sey Aye, ani nigdzie na świecie. Niedawna rozmowa z Yokesem przepełniła czarę goryczy.

Wszyscy byli jej obcy. Nie należała już do dziewczyn, które chodziły prac w strumieniu. Owszem, po staremu śmiała się z nimi, plotkowała —

ale i dla nich, i dla niej samej było w tym coś nienaturalnego. Może nawet głupiego. Stała się ich panią, właścicielką; próby podtrzymania zażyłości były skazane na niepowodzenie. Mogła z nimi rozmawiać, mogła nawet urządzić przepychankę w strumieniu, pośród śmiechu i bryzgów wody. Spełniały, dokładając starań, każdą jej zachciankę.

No właśnie: każdą zachciankę...

Nie była już jedną z nich. Czasem jeszcze chodziła do strumienia, ale tylko po to, by zamknąwszy oczy, z dłońmi zanurzonymi w chłodnej wodzie, odnaleźć smak życia sprzed kilku miesięcy. Tego łatwego, dobrego życia bez trosk. A potem iść z ciężkim koszem na głowie i pozwalać, by kapiąca woda moczyła gors koszuli.

Żołnierze, służba, domownicy. Zakrawało nieledwie na kpinę, że właściwie wszyscy ją... lubili. Nawet Yokes, ależ tak, nawet on, a może — zwłaszcza on. Było wiele powodów. Ot, choćby to, że wyrzuciła część sprzętów — prawda, ale ludzi zostawiła w spokoju. Nie zaprowadziła żadnych nowych (dziwacznych!) porządków, czego obawiano się skrycie. Wszyscy, którzy mieli jakieś przywileje, zachowali je. Nikogo nie prześladowała. Nikt nie był faworyzowany. Jednak powietrze, którym oddychano w domu, dawało jej do zrozumienia swoim smakiem, że jest niepożądana. Nikt nie chciał takiej pani Sey Aye. Niewolnice i niewolnicy nie umieli szanować kogoś, kto wywodził się spośród nich. Żołnierze pamiętali grube żarciki, wymieniane z młodymi praczkami, cięty język ładnej Ezeny, która z mokrą szmatą w ręku potrafiła ich czasem pogonić... Nawet chłopci spotykani na drodze oglądali się za nią ukradkiem, bo „słyszał kto takie cuda, żeby bez Krwi, a rządziło?”. Wszyscy myśleli tak jak Yokes. Lubili wesołą, niepokorną i wojowniczą niewolnicę Ezenę — lecz denerwowała ich cicha, zagubiona i prawie niewidoczna księżna Ezena, pani życia wszystkich ludzi Sey Aye. Służyli i słuchali, bo innego wyjścia nie było. O, gdyby znalazł się choć pretekst! Ale stary książę do ostatniej chwili zachował pełną, a nawet nadzwyczajną jasność umysłu. Wiedział, co czyni. Wyzwolił i przez cztery miesiące osobiście nauczał, a potem poślubił wybraną przez siebie dziewczynę. To nie był ktoś przypadkowy, chodziło o niebieskowłosą Ezenę-Armektankę, nikogo innego. We wszystkich wioskach Sey Aye odczytano list jego wysokości do poddanych. Odnowiono żołnierską przysięgę, lecz zmieniono nieco rotę — prywatne wojsko przysięgało

spełnić każdy rozkaz już nie księcia, lecz książęcych wysokości Sey Aye. Jego wysokość Lewin uczynił wszystko co w jego mocy, by nie został nawet cień wątpliwości, iż dokonał świadomego, ostatecznego i nieodwołalnego wyboru, podnosząc Ezenę do godności małżonki. Dopiął swego o tyle, że nikt nie ośmielił się negować jej nazwiska, tytułu i prawa do rządzenia. Teraz czekano, aż ktoś to unieważni. Krewni, sądy... ktokolwiek. Albo cokolwiek.

Było kilka nocy, gdy Ezena, nie mogąc spać, krążyła po dziedzińcu, między domem a starym zameczkiem. Było kilka innych, gdy płakała. Była wreszcie noc, gdy potłukła szyby w swej sypialni, wyrzucając sprzęty przez okno i jak zwierzę wyjąc do księżyca. Nie wiedziała, jak odnaleźć się w tym nowym życiu; obietnica szczęścia była równie wielka, co złudna. Okrutnie z niej zadrwiono — i nawet nie wiedziała dlaczego. Stary pan niczego nie wyjaśnił, a nauczył niewiele, tak niewiele! Z jakichś przyczyn uznał, że najpierw musi poznać tajemnice noszenia świętych strojów, obyczaje biesiadne, sposoby prowadzenia rozmów, taniec. Odkrył przed nią stare rodowe sekrety: sposoby rozpoznawania i przyrządzania różnych trucizn. Najmłodsza z Pereł Domu uczyła ją, jak walczy się sztyletem i lekką włócznią o długim, tnącym grocie — wszystkie kobiety książęcej linii K.B.I. umiały posługiwać się tą bronią, na pozór tak niezwykłą w słabych rękach... Lecz po co, na co to wszystko? Nauczyła się zbędnych bzdur, po czym lekcje zostały przerwane... Lekkie przeziębienie przerodziło się w ciężką chorobę, zabójczą dla starczego ciała. Książę umierał — i milczał. Nie wyjawiał powodów, dla których na łożu śmierci podjął swą decyzję o małżeństwie. Wtedy jeszcze nie rozumiała, że wolność, tytuł, bogactwo — wszystko to w jednej chwili może przerodzić się w drwinę, za sprawą tego ślubu. On wiedział. Dobrze wiedział, że robi jej krzywdę; wiedział i bardzo nad tym bolał. Była przy nim, gdy umarł. Do ostatniej chwili gładził ją po włosach, nie myśląc o śmierci ani w ogóle o sobie. Wiedział i czuł, że umiera; przez ostatnie dwie doby nie mógł już nawet mówić. Lecz jego palce wciąż drżały w granatowoczarnych włosach kłęczącej przy łożu dziewczyny, mówiąc starczym dotykiem: kocham cię, biedne dziecko. Potwierdzały to lśniące od gorączki oczy. Wreszcie spojrzenie zgasło, a ręka znieruchomiała.

Przez tych kilka dni, gdy byli mężem i żoną, nie zdołała się do tego przyzwyczaić. No bo jakim sposobem? Jego wysokość książę Lewin był

jej panem. Wiedziała, że ją poślubił, ale było to jak dziwny sen. Sto szerokich, bezdennych przepaści dzieliło bajecznie bogatego starca z nazwiskiem ginącym w pomroce dartańskich dziejów — od dwudziestoczteroletniej niewolnicy z Armektu, którą siedem lat wcześniej zwykła nędza zmusiła do sprzedania się w niewolę. Przez tych kilka dni małżeństwa nie ośmieliła się nawet odezwać nie pytana. Och, o ileż odważniejsza była wcześniej, pobierając swoje lekcje od księcia! Wtedy owszem, pytała. Lecz odpowiedź ciągle była taka sama: „Cierpliwości, pani (zawsze ją tytułował, począwszy od dnia wyzwolenia), razem dokonamy wielkich rzeczy”. Co to mogło oznaczać? Wszystko, co jej przekazał, cała wiedza o powodach, dla których uczynił to, co uczynił, zaklęta została w dotyku starczej dłoni, gładzącej jej włosy. Powiedział w ten sposób tylko tyle, że na pewno nie chciał jej krzywdy. Dlaczego więc ją wyrządził?

Nie wiedziała.

Może nawet zostawiłaby wszystko i uciekła. Nikt nie chciał jej odebrać darowanej wolności. Zdawała też sobie sprawę, że może liczyć na „upominek” w zamian za ciche usunięcie się z Sey Aye. Nieduża wioska? Połąć lasu? A może po prostu aksamitny, bardzo ciężki trzosik? Dano by jej tyle, ile by zażądała. Cóż znaczyła odprawa dla małej niewolnicy wobec wartości całego majątku Sey Aye?

Lecz drżące palce konającego każdej nocy pieściły jej włosy — i nie był to dotyk upiorny. Nie był przykry ani przerażający. Odnajdywała w nim współczucie, ale także coś w rodzaju nieśmiałej czci i prośby o przebaczenie... To było niezrozumiałe. Budziła się i leżała, rozpamiętując dziwnie ciepłe, senne marzenie o starym, dobrym człowieku, który gładził ją po głowie z uczuciem, jakiego nikt nigdy dotąd jej nie dał. I wiedziała, z każdym dniem coraz lepiej, że chce walczyć o powody, dla których dotykano jej tak łagodnie i tkliwie — ze współczuciem, ale także z miłością.

Potrzebowała jednak pomocy. Wszystko, czego nauczyła się od księcia, było ledwie wstępem do prawdziwej nauki; zły los udaremnił dalsze lekcje. Wprawdzie sporo dowiedziała się potem, na przekór całemu światu sprawując rządy w Sey Aye. Na szczęście umiała czytać i pisać (w Armeckie uczono tego każde dziecko) — lecz daleko było jej do biegłości. Przez tak wiele lat nie czytała i nie pisała, ponadto wszelkie

dokumenty Sey Aye sporządzone były w języku dartańskim; zrozumienie ich kosztowało bardzo wiele czasu i trudu. Nie miała nikogo, kto posłużyłby pomocą i radą, nikogo, na kim mogłaby się oprzeć. Zarządca dóbr jego wysokości Lewina, zasuszony zrzęda o nieprawdopodobnej wręcz pamięci, na każde żądanie sypał setkami liczb i nazw, wymieniał imiona, udzielał dowolnych wiadomości. Suchych wiadomości... Gdy pytała o szczegóły, próbując nazwiska i liczby uczynić jakoś bliższymi, bardziej rzeczywistymi, patrzył, nie rozumiejąc, po czym od początku recytował: „wydano koncesje na wyręb... dwieście sztuk kozłów i saren złowiono dla jego godności... zaległe pobory flisaków... wartość zamówień opiewa... wykupiono długi tego a tego Domu...”. Słuchała z rezygnacją, coraz lepiej uświadamiając sobie, że nie jest w stanie objąć umysłem finansów tego, czym rządzi.

Zresztą — rzecz znamienna i poniekąd zabawna — zrazu nie wiedziała prawie nic o Dartanie, kraju, w którym mieszkała. Po głowie snuły się jej tylko różne półprawdy i plotki, krążące w Wiecznym Cesarstwie. Dartan, kraj mężczyzn-próżniaków i pięknych kobiet-kapryśnic. Wielkie bogate miasta, świetne magnackie i rycerskie posiadłości — oraz najbiedniejsze wioski imperium, zasiedlone przez chłopską ciemnotę, podludzi nie mających pojęcia o świecie, nie znających historii własnego kraju, nie wiedzących nawet, że istnieje coś takiego, jak pismo. Kraj, który zemścił się na Armeckie za militarny podbój, zalewając cały Szerer swą sztuką i doskonałymi wyrobami rzemiosła, a szczególnie przedmiotami zbytku. Kraj, którego architektura naznaczyła swym piętnem wszystkie miasta Armektu; którego ceremoniały i formy towarzyskie wtargnęły nawet na dwór cesarski, zatrzymując się dopiero na rubieżach bronionych przez odwieczne armeckańskie tradycje. I jeszcze wspaniała Rollayna, „złota” stolica Dartanu, wzniesiona i nazwana na cześć jednej z Cór Szerni, którą przed wiekami Pasma zesłały do walki ze złem. I legendy, najbarwniejsze legendy Szereru, jakże inne od krwawych mitów grombelardzkich czy gromkich wojennych historii Armektu! Baśnie o bohaterach-rycerzach; o honorze zwaśnionych rodów; wreszcie takie jak ta o Trzech Siostrach: Rollaynie, Seili i Delarze — największa, najpiękniejsza legenda Dartanu, znana w całym Szererze. Cudowna bajka o zrodzonych z Pasm Szerni czarodziejkach, które podjęły walkę z całym złem świata...

I to było wszystko. Nic więcej. Właśnie tyle jej wysokość Ezena wiedziała o Złotym Dartanie. Więc, na przekór wszystkiemu, od nowa zagłębiała się w rachunkach, czytała doniesienia i raporty swego przedstawiciela w Rollaynie, pytała o dziesiątki różnych spraw, przesiadywała w bibliotece — i zdawało jej się czasem, że zaczyna rozumieć, jakimi prawami rządzi się Wieczne Cesarstwo, Dartan, Złota Rollayna. Ale taka wiedza, książkowa, niepotwierdzona, właściwie nie była wiedzą... Jakieś strzępy, domysły, czasem ledwie mgliste wyobrażenia. Nigdy nie widziała dartańskiego miasta. Nigdy nie rozmawiała z osobą wielkiego rodu — pomijając, rzecz jasna, księcia K.B.I. Do Sey Aye docierało bardzo mało wieści ze świata.

*

Panowała już noc, gdy księżna przebrała się w suknię i wyszła na spacer do ogrodu. Wielki park, starannie utrzymany, zajmował znaczną przestrzeń na tyłach domu. Wysypane białym żwirem alejki, wyraźnie widoczne mimo mroku, łagodnie wiły się między żywopłotami, krzewami dzikiej róży i kępami drzew. Ezena lubiła ten park. Zwłaszcza że mogła chodzić po nim sama, bez przykrej asysty żołnierzy czy choćby przybocznych niewolnic. Zresztą, w Sey Aye nigdy nie przesadzano z taką ostrożnością; oczywiście nie było możliwe, by księżna sama błądziła po lesie, w wioskach także musiała mieć eskortę. Ale do strumienia, z praczkami, uciekała czasem bez ochrony (na złość Yokesowi, a także dlatego że obecność strażniczek psuła jej beztroski nastrój i nie pozwalała zapomnieć o ciężkim brzemieniu władzy). Ezena miała świadomość, że podobna niefrasobliwość jest możliwa tylko tutaj, na tej polanie, zwanej Dobrym Znakiem. W Dartanie, jeszcze jakieś dziesięć lat temu, mało kto obawiał się intryg, mogących pozbawić go życia. Teraz w Rollaynie — podobno — wrócili do łask niewolnicy próbujący potraw, czy aby nie są zatrute, przyboczne strażę zaś dobrze było mieć nawet u drzwi sypialni. Co takiego zaszło w Dartanie? Skąd te zmiany? Czym różniły się czasy obecne od tych sprzed kilku lat? Może miało to związek z rozpadem Drugiej Prowincji cesarstwa, może rozprzężenie i bezprawie zakradało się wszędzie?... Znowu luki w wiadomościach. Ta wspinała polana w największej kniei świata była niczym wyspa na morzu. Dartan... Wieczne Cesarstwo... cały Szerer z Bezmiarami i Wyspami... To wszystko było daleko; to wszystko był inny świat.

Zamyśliwszy się, Ezena doszła do niedużej sadzawki w środku parku. Kilka wielkich olejowych zniczy rzucało na ziemię obszerne kręgi światła — oznaczało to, że w altanie przy sadzawce ktoś przebywa. Księżna łatwo domyśliła się kto. W nocy bardzo niewiele osób miało prawo chodzić po parku. Poza tym altana przy sadzawce była ulubionym miejscem Anessy. Piękna niewolnica lubiła tutaj czytać — bądź pisać — poezje. Zdarzało się jej też zapraszać kochanków... Z myślą o takiej możliwości Ezena przystanąła niezdecydowana. Jednakże w tej samej chwili Perła Domu wyszła jej na spotkanie. W błękitnej, haftowanej złotem sukni, z wysoko upiętymi jasnymi włosami, odślaniającymi śliczną szyję, była Anessa najpiękniejszą kobietą, jaką można sobie wyobrazić. Ezena widziała ją kiedyś nagą. Począwszy od oczu, uszu i wykroju ust, na pęcinach i palcach stóp kończąc, Perła wszystko miała doskonale i rasowe. Kunsztowne, delikatne tatuaże na brzuchu i udach, ostatni błysk zanikającej gałęzi starej sztuki dartańskiej, podnosiły jeszcze urodę (i cenę) tej niezwyklej kobiety.

— Dlaczego nie śpisz, co właściwie tu robisz po nocy? — zapytała Perła i... zabrzmiało to trochę obcesowo, lecz zarazem niezwykle bezpośrednio.

Ezena uniosła brwi. Nieczęsto zdarzało się przytapać Anesę na jakiegokolwiek niezręczności. Prawdę mówiąc, coś takiego miało miejsce po raz pierwszy.

— Przepraszam, pani — niewolnica błyskawicznie zdała sobie sprawę, że nie zapanowała nad głosem; teraz momentalnie odzyskała równowagę, ale już... stało się.

Ezena stała przez chwilę w milczeniu, oglądając tę pierwszą rysę, dostrzeżoną na nieskazitelnej dotąd powierzchni. Uświadomiła sobie, że to doskonale COŚ wcale nie jest doskonałe. Anessa była człowiekiem. I kobietą. Księżna, wyczulona na każdy gest i każde słowo swego największego wroga (bo na tle Perły Domu taki Yokes wydawał się wręcz serdeczny), zauważyła coś szalenie istotnego. Nie chodziło przecież o to, jakim tonem Anessa zadała jej pytanie, ani że w ogóle odezwała się nieproszona. Chodziło o to, że... nigdy dotąd tego nie robiła!

— Nie znosisz mnie Anesso, czy tak? Proszę, powiedz mi prawdę. Chcę tego.

Pierwsza niewolnica domu pokłoniła się z przesadnym szacunkiem.

— Dlaczego tak sądzisz, pani? Czy dałam jakieś powody do niezadowolenia? Przykro mi, przepraszam. Proszę wymierzyć mi karę. Sama dojdę do tego, co uczyniłam niedobrze, i poprawię się, obiecuję.

Stara poza! Ezena czuła, że wciąż ma przewagę. Słowa i zachowanie Perły były teraz takie jak zawsze: poprawne do tego stopnia, że aż... obelżywe. Niewolnica tej rangi miała zupełnie wyjątkowe przywileje, była KIMS. Składanie podobnej samokrytyki, natychmiastowa gotowość do poniesienia kary, choćby niezasłużonej, były dobre w ustach... praczki. Ezena uśmiechnęła się lekko; Perła Domu obrażała ją w najbardziej finezyjny i wyszukany sposób, jaki można sobie wyobrazić. Będąc każdego dnia przedmiotem zamaskowanych drwin, księżna nie mogła nawet marzyć o nawiązaniu równorzędnej walki na tym polu z kimś takim jak Anessa. Z kobietą znającą biegle cztery główne języki Szereru, wszechstronnie wykształconą, o umyśle uczonego mędrca, przed którą historia i algebra zdawały się nie mieć tajemnic, dla której nie istniały żadne zawilości prawa imperialnego... Zrodzona ze specjalnie dobranej pary rozplodowej, Anessa od dziecka przygotowywana była do swej roli, w najlepszej niewolniczej hodowli cesarstwa. Mając lat piętnaście, warta była tysiąc sześćset pięćdziesiąt sztuk złota — Ezena wiedziała to bardzo dokładnie, bo za tyle właśnie Perłę kupiono, co zostało starannie zaznaczone w księgach. Potem, do osiemnastego roku życia, jej cena stale rosła, by pomiędzy dziewiętnastym a trzydziestym rokiem ustalić się na pewnym poziomie — później miała gwałtownie spadać... Anessa liczyła sobie dwadzieścia trzy lata i mogła kosztować grubo ponad dwa tysiące sztuk złota. Była to suma zawrotna. Przepelniona (starannie skrywanym) poczuciem niższości wobec tej kobiety, Ezena miała jednak świadomość, że w niewolnicach tej próby, jak i w wielu innych przedmiotach zbytku, najdroższa była... cena. Gdyby z tą samą urodą, wiedzą i umiejętnościami zgłosiła się do Sey Aye z własnej woli; jako wolna kobieta, byłaby nic nie warta lub warta niewiele. Liczyły się przecież wydane pieniądze. To one dodawały splendoru właścicielowi Perły.

A jednak tym razem, w potyczce z tą półboginią, Ezena była górą. Jedno niebaczne zdanie Anessy uświadomiło księżnej, że Perła prowadzi grę. Od dawna, od bardzo dawna! Zawsze i nieustannie dawała jej odczuć swą niechęć. Zawsze była przesadnie uprzejma, wręcz służalcza. I teraz

nagle to jedno, jedyne pytanie, skierowane bezpośrednio i swobodnie, jak... do prawdziwej pani Sey Aye, która może mieć w swej pierwszej niewolnicy przyjaciółkę. Dlaczego Anessa zapomniała, że stoi przed nią uzurpatorka? Czy Perła Domu mogła choć na moment zapomnieć, że rozmawia z praczką?

Czy Yokes, oddany pod rozkazy proszalnego dziada, mógłby zrównać się z nim choćby na chwilę?

— Anesso — rzekła Ezena, patrząc niewolnicy prosto w oczy — jesteś żywą kobietą, nie kawałkiem drewna. Co oznacza, że musisz czuć do mnie niechęć, albo raczej nienawiść. Obie wiemy, że zajęłam twoje miejsce. Jeśli już któraś z niewolnic Sey Aye musiała zostać tu panią, to Perła Domu, nie praczka. A spośród Pereł Domu ty byłaś jedyną osobą godną podniesienia do rangi pani Dobrego Znak.

— Wasza wysokość, ja nie mogę tego słuchać. To nieprawda. Nie pozwoliłabym sobie na...

— Ha! — powiedziała Ezena. — Oto szczerość.

Zrobiła mały krok naprzód.

— Powinnaś mną gardzić i musisz czuć do mnie niechęć — powtórzyła. — Dlaczego więc nie pogardzasz i nie czujesz niechęci?

Anessa milczała. Księżna dostrzegła drobny, prawie nieuchwytny... Tak, to był ślad niepokoju. I poczuła, że to już nie jest potyczka. Toczyła bitwę i być może była w niej górą. Stosując najprostszą możliwą taktykę. Stawiając proste pytania.

— Dlaczego zostałam panią Sey Aye? Dlaczego nie ty?

— Nie wiem, wasza wysokość. Z woli księcia Lewina, to najzupełniej wystarczy.

— Co kierowało księciem?

— Nie wiem, wasza wysokość. Nie wolno mi tego dociekać.

— Wolno ci. Zresztą, ty nie musisz dociekać, ty wiesz. Czy tak? Co kierowało księciem?

— Wasza wysokość, ja... nie wiem.

Sztuka prowadzenia rozmowy była tym, co stary książę Sey Aye uznawał za rzecz najważniejszą. Lekcje, których udzielał Ezenie, zawsze zaczynały się od tego. Rozmawiali zresztą bardzo dużo, nieomal bez przerwy. Oczywiście w finezyjnym pojedynku na słowa Ezena nie miała z Anessą żadnych szans; czegoż w końcu mogła się nauczyć w tak krótkim

czasie? Było jednak kilka bardzo niewyszukanych sposobów, przypominających raczej uderzenia toporem niżli walkę sztyletem. „Zapytaj wiele razy o to samo” — mówił książę — „a być może uda ci się wyprowadzić rozmówcę z równowagi. Nikt nie jest doskonale cierpliwy. Nie przyjmuj więc do wiadomości żadnej odpowiedzi i pytaj tak długo, aż usłyszysz odpowiedź inną niż wszystkie. Złośliwą, pogardliwą lub gniewną. I to może być odpowiedź prawdziwa albo chociaż do prawdy zbliżona”.

— Anesso — powiedziała Ezena — dlaczego nie zostałam panią Sey Aye? Dlaczego książę wybrał mnie? Powinien ciebie.

— Wasza wysokość, proszę. Ja naprawdę nie mogę oceniać decyzji księcia.

— Nie możesz oceniać decyzji?

Uśmiechnęła się, prawie czule.

— Słyszałam kiedyś, jak żartowaliście podczas konnej przejażdżki. Jego wysokość opowiadał dość swobodne dykteryjki. Nazwałaś go lubieżnym starym kozłem, a on był serdecznie ubawiony... Kogo chcesz oszukać, Perło Domu? Dość mam twojej wstrętnej pozy, twoich kłamstw i udawania. Książę mówił ci o wszystkim, byłaś jego przyjaciółką, a niewolnicą chyba nigdy. Wyzwolił cię — strzeliła nagle w ciemno, wiedziona samą tylko intuicją. — Nie musisz tutaj być ani nawet ze mną rozmawiać. Yokes ma swój kontrakt i musi służyć praczce. Ty nie musisz. Dlaczego więc służysz? Słucham.

Wrogie wojsko rozpadało się w pył. Ezena czuła, że jeszcze słowo — może dwa lub trzy słowa — i wyrwie z Anessy istne rewelacje. To wszystko jednak działo się szybko, za szybko. Uderzywszy w sam środek wrogiej linii, księżna nieoczekiwanie poznała swoją siłę i... pogubiła się. Pokonany wróg uciekał z pola bitwy, lecz niedoświadczony wódz zwycięskiej armii nie umiał przeprowadzić pościgu. Powiedziawszy kilka zdań za dużo, Ezena pozwoliła przeciwniczce ochłonać.

— Wciąż jestem niewolnicą, pani. Nie przyjąłam daru jego wysokości. Nie chciałam, żeby mnie wyzwolił. Dziś tego... żałuję.

Zaległo krótkie milczenie. Wróg się pozbierał. Okazja do zadania mu ostatecznego ciosu minęła.

Ezena poczuła ogromne znużenie. Zostawiła Anessę i zbliżyła się do sadzawki. Tafla wody była zupełnie nieruchoma. Wielkie znicze zdawały

się płońć w głębi stawu. Odbicia...

— Męcę się, Anesso. Czy naprawdę tego nie widzisz? Ja nie chciałam tego wszystkiego, przecież wiesz. Każdego dnia dawałaś mi odczuć, że zajęłam twoje miejsce... Ale dzisiaj dowiedziałam się czegoś bardzo ważnego. Że to wszystko nieprawda. Mogłam pojąć twoje zachowanie, gdy nie zgadzałaś się na... moją osobę. Bolało, ale było zrozumiałe. Natomiast teraz? Teraz to jest zwykłe okrucieństwo. Nie żywisz dla mnie pogardy. Ty ją tylko okazujesz. Dlaczego?

Ostatnie słowo właściwie nie było pytaniem. Raczej buntem i protestem. Ezena nie oczekiwała odpowiedzi, a Perła Domu jej nie udzieliła. Stanąwszy obok, zapatrzyła się w toń stawu. Nieruchoma woda pokazała wierne odbicia dwóch kobiet. Księżna, wyzwolewszy się w domu z koszuli i prostej spódnicy, miała teraz na sobie ciemnozieloną suknię z brązowymi i czarnymi dodatkami, równie bogatą i świetną jak suknia Perły Domu. Czarne włosy ujęte były w jedwabną zieloną siatkę z maleńkimi szmaragdami lśniącymi na każdym skrzyżowaniu nici. Jeśli ciało pani Sey Aye ustępowało doskonałością ciała jej niewolnicy, to suknia skrywała mankamenty. Twarze były sobie równe, choć wzięte z dwóch biegunów kobiecej urody. Wyrazista twarz Armektanki — szerokie, odważne brwi, śmiało zarysowane nozdrza, drobny podbródek — przedstawiała zdecydowany, trochę może mroczny, a nawet niesamowity typ urody, choć figlarne, różnobarwne oczy, ocienione długimi rzęsami, nieco łagodziły wrażenie. Dartanka wyglądała na dziewiętnastolatkę: miała rysy delikatniejsze, niezwykle subtelne, nie tyle kobiece co dziewczęce, lecz zarazem otwarcie zmysłowe — zwłaszcza wykrój prześlicznych ust mógł nasuwać myśli wręcz... lubieżne. Te usta zdawały się mówić: „Jestem stale niezaspokojona...”. Niebezpieczne. Te kobiety były niebezpieczne.

— Byłam ślepa — powiedziała Ezena po długiej, długiej chwili; w głosie, nieoczekiwanie, rozbrzmiała prawdziwa złość. — Byłam dotąd zupełnie ślepa. Czułam się uzurpatorką i nie przyszło mi nawet do głowy, że ktokolwiek może widzieć to inaczej. A przecież, wysłuchując od ciebie setek złośliwości, nigdy nie usłyszałam... — urwała. — No właśnie. Więc, Anesso, dlaczego to nie ciebie uczyniono panią Sey Aye?

Na twarzy Dartanki malowało się znużenie.

— Wasza wysokość, nie przedłużajmy tej rozmowy, proszę.

— Musi być jakiś powód! Jeśli nawet go nie znasz, to przynajmniej się domyślasz — Ezena ustąpiła nieco pola. — Dlaczego akurat ja?

— Na Szerń, pani... Tylko księżę mógłby na to pytanie odpowiedzieć. Naprawdę nie wiem i...

— Dlaczego nie ty? Czego ci brakuje?

— Nie wiem, wasza wysokość.

— Spośród wszystkich niewolnic... akurat ja. Dlaczego?

— Nie wiem, wasza...

— Dlaczego nie ty?

— No... przestań!

Zaległo krótkie milczenie.

— Przycisnęłaś mnie dzisiaj, bardzo dobrze — oceniła Perła. — Ale teraz już przestań, nic ci dzisiaj nie powiem. Cierpliwości.

Wyciągnęła nagle rękę i dotknęła policzka Ezeny.

— Pewnego dnia wepchnę cię do tej sadzawki, obiecuję.

Odwróciła się i poszła w stronę domu.

Nie pytając o pozwolenie.

4.

Yokes, eskortujący na czele swych żołnierzy Denetta i jego poczet, starał się być uprzejmy. Leśni strzelcy przepadli gdzieś w mroku, jakby nigdy nie istnieli, natomiast ciężka piechota Sey Aye postępowała przodem; ludzie dartańskiego magnata, prowadzący objuczone bagażami i bronią konie, mieli pełną swobodę. Nikt nie mógł wątpić, że rozbrojenie oddziału — czego tak domagał się komendant — miało wymiar zupełnie symboliczny. Ale nonszalancja Yokesa świadczyła o czymś jeszcze: o wielkiej pewności siebie. I Denett całkiem poważnie zaczął się zastanawiać, czy liczba pięciuset zbrojnych, o których mu wspomniano, nie odpowiada prawdzie. Różne plotki, krążące w Dartanie, zdawały się to potwierdzać. Nie brał ich dotąd poważnie. Rzeczywistą liczebność pocztów Sey Aye mógł znać tylko komendant Legii Dartańskiej, prowadzący rejestry prywatnych oddziałów.

Ale po co? W jakim celu trzymano by tutaj taką armię?

Zaraz za młynem, przy rozstajach, w wielkim żelaznym koszu płonął ogień. Dwaj ludzie, czuwający przy tym koszu, zbliżyli się do Yokesa,

prowadząc za uzdy wierzchowce. W milczeniu czekali na rozkazy.

— Przewodnicy — rzekł komendant Sey Aye, zwracając się do Denetta. — Ludzie z pocztu waszej godności nie mogą nocować w domu księżnej. Możesz, panie, zatrzymać dwóch lub trzech, ale nie więcej. Pozostali znajdą schronienie w gospodzie, która jest tu niedaleko.

Denett skinął głową.

— Widziałem dachy, za dnia.

— Jeśli twoja obecność w Sey Aye przedłuży się, wasza godność, pomyślimy o porządnym kwaterach dla twojego pocztu. A tymczasem... polecam gospodę. Jest tam osobny budynek, w którym znajdują się tylko dwie wielkie izby noclegowe, korzystają z nich często pomocnicy kupieccy.

Denett przywołał Ranezena.

— Powierzam ci ludzi i bagaże, Ranezen. Ci dwaj przewodnicy pokażą wam kwatery. Nie jesteśmy na wojnie, Ranezen, a to nie jest wrogie terytorium — uprzedził zastrzeżenia żołnierza. — Byłem tu bez pocztu za dnia, mogę być i teraz. Halet jedzie ze mną, a ty zrobisz, co powiedziałem.

— Tak, wasza godność.

Dartański poczet ruszył lewą drogą, w ślad za przewodnikami. Yokes skinął na dowódcę swoich żołnierzy i, nadal nie używając słów, wykonał dłonią ruch, który chyba oznaczał „z powrotem”. Rzeczywiście, ciężkozbrojni zawrócili w miejscu i pomaszerowali tą samą drogą, którą przyszli. Denett w milczeniu przyglądał się żołnierzom, nieźle widocznym w świetle ognia; wcześniej widział tylko roztopione w mroku sylwetki. Cóż za wojsko! Każdy szczegół, wszystko w tej krainie ociekało bogactwem. Jeśli Sey Aye rzeczywiście miało pięciuset takich wojaków, to za same ich zbroje można by chyba kupić wyposażenie dla całej Legii Dartańskiej... A nie była to tania formacja.

Yokes prowadził pieszo. Denett ponieważ zdał sobie sprawę, że jadąc wierzchem obok pieszego komendanta, uczynił swą pozycję bardzo niewygodną. Yokes ani myślał zadzierać ku niemu głowę. Chcąc rozmawiać, młody magnat zmuszony był prawie leżeć na końskim karku, pochylając się, by usłyszeć rozmówcę.

— Czy wyjaśnisz mi kilka spraw, wasza godność?

— A co chciałbyś wiedzieć, panie?

— Przewodnicy — powiedział Denett. — Spodziewałeś się więc, że wszyscy wrócimy do Sey Aye. Ty, ja i moi ludzie.

— Nie spodziewałem się. Ale byłem przygotowany.

— Czy twoi żołnierze, panie, wrócili teraz do lasu?

— Tak. Pilnować ścieżki.

— Myślisz, panie, że zechcę stąd uciec?

— Nie. Ale będę przygotowany.

— Mógłbym wybrać drogę na przełaj — powiedział Denett na próbę. — A ścieżkę odszukałbym później.

— Wasza godność — powiedział Yokes i znaczyło to wyraźnie: młodzieńcze, jeśli chcesz o coś pytać, to pytaj, ale nie zwracaj mi głowy.

— Dartańskie zbroje płytowe. Najlepsze i najdroższe na świecie. Na dodatek zdobione. Miecze też chyba nasze — wyliczał Denett. — Przyłbice z piórami, tarcze... To nie jest piechota do walki w lesie. Ani do pilnowania porządku w wioskach. Gwardia jej wysokości?

— Chorągiew ciężkiej jazdy. Gwardia księżnej nie dzwoni żelastwem na pokojach. Jazda trzyma straż tylko na zewnątrz. Nie zalicza się do gwardii pałacowej.

— Jazda?

— Ciężka jazda, walcząca także pieszo, na wzór dawnego rycerstwa. Główną bronią tych żołnierzy nie są miecze, lecz kopie.

— Chcesz mi wmówić, panie, że masz tutaj pięciuset zakutych w zbroje jeźdźców? Na bojowych wierzchowcach?

— Tyłu odpowiednich wierzchowców nie znalazłbym w całym Szererze — zauważył Yokes. — Wyjąwszy, rzecz jasna, rumaki będące w posiadaniu rodów. Ale dartańskie Domy rzadko handlują końmi. Wasza godność, wolałbym już nie rozmawiać na ten temat.

— Dlaczego?

— Prywatne wojska Sey Aye nie są moją własnością. Ja nimi tylko dowodzę. Nie powinienem rozmawiać o uzbrojeniu i liczebności tych oddziałów. Bo każda armia, wasza godność, jest narzędziem przemocy, wymierzonym przeciw komuś.

— Przeciw komu?

— Nie wiem tego, panie. Może jutro dowiem się, że przeciwko tobie? Dlatego nie powiem ci nic więcej.

— Lojalność — skwitował Denett.

— Nigdy, wasza godność, nawet szeptem nie pokpiwaj sobie z tego.

— Umarłbyś na rozkaz księżnej? Oddałbyś za nią życie?

— Bądź pewien, wasza godność — padła odpowiedź tak surowa, że aż groźna. — Przysięgałem posłuszeństwo książęcej parze Sey Aye.

— A granice tego posłuszeństwa? Zabijesz dziecko? Kopniesz ślepca?

— Wojskowe posłuszeństwo, wasza godność. Nie zabije dziecka i nie kopnę ślepca. Ale będę bronił Sey Aye przed każdym. Rozpętam każdą wojnę. Jeśli otrzymam taki rozkaz, to jutro ruszę na Kirlan.

Denett zamilkł. Bo o co jeszcze mógł pytać? Zwrócił głowę w stronę jadącego obok Haleta, ale nie mógł dojrzeć w ciemnościach jego oczu. Niemniej, pełna skupienia cisza, w jakiej pogrążony był jego towarzysz, świadczyła, że chłonał każde słowo.

Wkrótce ciemności zblakły nieco — zza pokrytego lasem pagórka zaczął wyłaniać się dziedziniec domu pani Sey Aye. Oświetlały go wielkie znicze. Yokes nie powiódł do głównego wejścia, skręcił wcześniej, idąc ku bocznemu skrzydłu budowli.

— Nie będziemy dzisiaj budzić jej wysokości — powiedział, jakby odpowiadając na nie zadane pytanie. — Na własną odpowiedzialność wybiorę pokoje gościnne. Jutro rano stawię się przed jej wysokością z raportem. Potem... zobaczymy.

Denett przełknął upokorzenie. Czuł się prawie jak złodziej. A w każdym razie jak natrętny, nieproszony gość, wchodzący bocznymi drzwiami zaraz po tym, jak go wyrzucono frontowymi.

Ale tak też było w istocie.

Yokes nie powiedział już nic więcej. Gdy dotarli na miejsce, zniknął na chwilę w jakichś drzwiach, po czym wrócił, prowadząc służbę. Denett i Halet zsiadli z koni. Odprowadzono je gdzieś.

— Proszę za mną.

Dom był ogromny. Już po kilku chwilach przybysze stracili orientację w labiryncie cichych, pogrążonych w półmroku korytarzy. Różne wzory posadzek, kandelabry, portrety, ustawione pod ścianami zbroje, pozawieszany wszędzie oręż, zasłony i kotary, liczne drzwi — wszystko to tworzyło niemożliwy do zapamiętania galimatias. Denett pomyślał, że księżna Sey Aye wyraźnie w tym skrzydle nie bywała. Jeśli pominąć rozmiary, wszystko tutaj wyglądało dość... normalnie. A więc,

dla jej wysokości, chyba nazbyt „po dartańsku”.

Yokes prowadził pewnie i szybko. Mogło się wydawać, że obrzydła mu już funkcja gospodarza Sey Aye. Denett wcale się temu nie dziwił. Komendant miejscowych wojsk owszem, wywodził się ze starego i znanego rycerskiego rodu — ale w gruncie rzeczy był (i chciał być) tylko najemnikiem. Oprócz nazwiska niewiele różniło go od Ranezena. Denett doskonale znał ten typ ludzi. Yokesowi bardzo musiała ciążyć rola mimowolnego przedstawiciela i pełnomocnika księżnej.

— To tutaj — powiedział krótko komendant, przystając przed dużymi dwuskrzydłowymi drzwiami. — Proszę skorzystać z tych komnat. Zarządzą co trzeba, zaraz pojawi się służba. Możesz dysponować tymi ludźmi, wasza godność. Czy przysłać jakiś... posiłek?

Denett zupełnie nieoczekiwanie poczuł wilczy głód.

— Jeśli nie naduję...

— Nie. Choć wątpię, czy o tej porze znajdzie się coś smacznego.

Żart wypadł raczej blado, ale Denett docenił wysiłek znużonego komendanta Sey Aye.

— Dziękuję, panie — rzekł szczerze. — Wiele dzisiaj dla mnie zrobiłeś.

— Wbrew sobie.

Yokes skłonił się lekko i odszedł.

— Chodźmy, Halet. — Denett otworzył drzwi. — Lepsze to niż nocowanie w lesie.

Wezwany wzruszył ramionami. Skrzywił się.

— Nie wiem. Jesteśmy tu intruzami.

Teraz ramionami wzruszył Denett.

— A czego oczekiwałeś, wybierając się ze mną w drogę?

Halet nie odpowiedział. Denett nagle zdał sobie sprawę, że jego towarzysz nie widział jeszcze komnat tego domu. W pokoju panował półmrok, rozpraszany tylko przez świece płonące w korytarzu. Niemniej, dość było światła, by ujrzeć, jak przepysznie urządzone wnętrze. Oto był pokój w bocznym skrzydle budowli, pokój dla... nieproszonych gości.

— Zaraz przyniosą nam światło. A wtedy zobaczysz, Halet, jak bogato zamierzam się ożenić.

Nagle zaczął się śmiać.

— Widziałeś te zbroje w korytarzach? Można stawiać dwie albo

cztery, na pamiątkę po sławnych przodkach... Ale tutaj ile ich było? Czterdzieści? W jednym korytarzu! Za pomocą tego, co w całym tym domu stoi pod ścianami, albo na nich wisi dla ozdoby, można by wyekwipować ciężkobrajną armię. Myślę, że właścicielka tej polany bez większego uszczerbku mogłaby sobie kupić Rollaynę.

Roześmiał się znowu.

— Co ty na to? Moja narzeczona, Halet, jest najbogatszą kobietą Szereru.

*

Denett nie mylił się, sądząc, że komendant oddziałów Sey Aye ma serdecznie dosyć zadania, jakie mu przypadło w udziale. Yokes był rozdrażniony i zmęczony. Zdał sobie sprawę, jak bardzo rozleniwiła go codzienna służba, polegająca na... nie robieniu właściwie niczego. Opływał w dostatki zarówno pod rządami starego księcia, jak i teraz. Sporo czasu minęło od chwili, gdy przejął pieczę nad wojskiem Sey Aye. Wtedy owszem, pracy mu nie brakło. Na żądanie księcia zreorganizował i przebroił poczty, zaciągał nowych żołnierzy, więcej zresztą przebywał poza granicami Puszczy niż tutaj. Ale od pewnego czasu nie robił właściwie nic. Wymyślał nowe szkolenia dla żołnierzy. Beształ oficera straży pałacowej, gdy Ezenie udawało się wykraść do strumienia bez asysty przybocznych niewolnic...

Teraz czuł się zmęczony.

Widział już drzwi swojej sypialni, gdy usłyszał:

— Wasza godność!

Przystanął.

— Anesso, proszę... Nie dzisiaj — powiedział, nie odwracając głowy; owszem, zwiesił ją ciężko, by poprzeć słowa gestem. — Jestem naprawdę zmęczony.

— No to... sheharea — powiedziała krótko. — Nie będziesz dzisiaj spał.

Odwrócił się ku niej. Szybko szła korytarzem. Miała na sobie białą, delikatnie haftowaną złotem suknię, rozciętą z przodu aż do pępka i lekko spiętą między piersiami. Złoty łańcuszek opasywał talię; wolny koniec luźno kołysał się na biodrze. Suknia była rozciętą także po obu stronach, od samego dołu aż do połowy ud. Bardzo lubił tę szatę, Perła często w niej chodziła po domu.

— Szeharea? Co ty wygadujesz?

— Wyzbądź się zmęczenia. Kubeł zimnej wody na głowę, albo... szeharea. — Zatrzymała się dwa kroki przed nim. — Musisz być przytomny, potrzebuję cię.

Szeharea była bez wątpienia najgorszym świństwem Szereru. Najczęściej miała postać niewielkich brązowych grudek. Sporządzano je z pewnych nasion, które zlepione sokiem rozmaitych liści działały pobudzająco i poprawiały nastrój. Jednak, zbyt często zażywane, działały jak trucizna. Zwłaszcza żołnierze unikali tego jak zarazy — po szeharei rany nie chciały się goić, nie sposób było zatamować krwi... Propozycja Anessy stanowiła dla Yokesa wręcz obelgę.

— Wiesz, że nigdy tego nie dotknąłem. Brzydzę się nawet patrzeć. Ledwie wiem, jak to wygląda.

Podeszła i pocałowała go leciutko.

— Wiem. Chciałam tobą wstrząsnąć. Żebyś sobie uświadomił, że naprawdę musimy porozmawiać. Chodźmy do mnie. Albo do ciebie.

— Lepiej do mnie.

Pokoje Yokesa przypominały pustelnię. Anessa ironicznie nazywała je „kwaterą”. Istotnie, była to kwatera żołnierza. Yokes przez wiele lat przebywał w Armekcie i do cna przesiąkł niektórymi zwyczajami tego kraju. Nie wszystkimi, na szczęście. Lecz sypialnię urządził zaiste po armektańsku. Nie było tam nic, tylko łóżko („legowisko” — jak mawiała Perła Domu). Na podłodze, zamiast puszystego kobierca, rozpostarto szorstką skórę niedźwiedzia, tylko jedną, przy samym pościaniu. Na ścianach wisiały myśliwskie i wojenne trofea: przede wszystkim bajecznie kolorowe tarcze wojowników alerskich — obcej rasy z północnego pogranicza. M.B.Yokes przez kilka lat dowodził tam wojskowym okręgiem, jako dowódca i żołnierz zyskując nie byle jaką sławę.

W kącie pokoju migotała tylko jedna świeca; Anessa przeniosła z niej ogień na kilkanaście innych, zatkniętych w kandelabrze z kości i rogu.

— Gdzie byłeś? — zapytała.

Siedzący na łóżku Yokes wyjaśnił krótko. Słuchała w milczeniu.

— Dlaczego ja o wszystkim dowiaduje się ostatnia?

— Bo tkwisz w tej swojej przeklętej altanie, męczysz konie,

galopując po lasach, albo chodzisz nie wiadomo gdzie. Zresztą... Idź i sama zapytaj swoją panią, dlaczego Pierwsza Perła Domu nic nie wie o wizycie kogoś takiego, jak jego godność K.B.I.Denett.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę, że dowiedziałam się dopiero... no, właściwie przed chwilą? A wcześniej, późnym wieczorem, już prawie w nocy... rozmawiałam z nią w parku, przy sadzawce. Nic mi nie powiedziała.

— To odwrotnie niż wszyscy. W całym Sey Aye nie mówi się o niczym innym. Kesa i Hayna, dlaczego one ci nie powiedziały?

— A jest taki dom w Dartanie, gdzie Pierwsza Perła dowie się czegokolwiek od dwóch innych? — odparowała zgryźliwie. — Dość, bym na chwilę...

Yokes nie był w nastroju do pogwarek.

— Na jaką znów chwilę? Znikasz. Stale gdzieś znikasz. Sam cię dzisiaj szukałem, daję słowo. Co takiego jest w tym sędziwym zameczku? Przecież prawie tam mieszkasz, chociaż dziś i tam cię szukałem na próżno. To nie dziwne, że o czymś dowiadujesz się ostatnia. Zdumiewa raczej, że w ogóle wiesz cokolwiek o czymkolwiek.

Chciała przerwać, ale nie dopuścił jej do głosu.

— Twoja pani znowu dzisiaj taplała się w strumieniu, mając za eskortę praczki uzbrojone w szmaty. Kto ma tego pilnować? Ja tu jestem gościem, moje miejsce jest w lesie, w obozie żołnierzy.

Anessa zaczęła chodzić po komnatce.

— Przestań tupać — zaprotestował zrzędlivie. — Czy usłyszę wreszcie, dlaczego nie dajesz mi spać? Jutro z samego rana będę musiał się gęsto tłumaczyć, dlaczego zaprosiłem pod ten dach kogoś, kogo osobiście wyrzuciła.

Perła zatrzymała się nagle.

— On tu jest? Ten... Denett? Dlaczego? Zrozumiałam, że miałeś tylko...

— Miałem. Ale zrobiłem inaczej i sam już nie wiem czy dobrze.

— Opowiedz mi wszystko — zażądała.

— To nie twoja sprawa. Nie nasza — bronił się nieporadnie.

— Zaraz każę go wyrzucić — zagroziła. — Chcę znać powody, dla których sprzeciwiłeś się rozkazom jej wysokości.

— Jej wysokości — rzekł z przekąsem.

— Przestań. W tej chwili masz mi wszystko powiedzieć. W przeciwnym razie natychmiast każę wypędzić go do lasu — powtórzyła, wskazując palcem drzwi, jakby tam właśnie był las. — Usłyszałeś, co powiedziałam?

Yokes rozgniewał się.

— Posłuchaj no, Perło, koniec końców jesteś tu tylko niewolnicą i życzę sobie...

— Niewolnicą, ale nie twoją, wasza godność. W tym domu rządzi księżna Ezena, a zaraz po niej ja, nie pozwalaj sobie zapominać o tym. Idę wyrzucić twego gościa — zakończyła, istotnie kierując się ku drzwiom.

Znał ją, nie żartowała.

— Czeka! — warknął. — No, czekaj... Jego godność K.B.I.Denett zamierza poślubić naszą panią. Przybył tu w konkury, właśnie tak.

Zatkało ją. Po raz pierwszy w życiu widział tak zaskoczoną i zdezorientowaną Anesę — i ten widok osłodził mu porażkę sprzed chwili. Poza tym poczuł ulgę... bo zrzucił z siebie ciężar.

— Co ty powiedziałaś?

Westchnął i dokładnie, niemal słowo po słowie, opowiedział jej wszystko.

Anessa słuchała w milczeniu. Gdy skończył, usiadła obok na łóżku i przez długą chwilę nic nie mówiła.

— To nie może dojść do skutku — zdecydowała wreszcie.

Teraz już nie tyle zmęczony, co do cna wyczerpany opowieścią, zrozumiał jej słowa opacznie.

— Pewnie, że nie dojdzie — rzekł, tęsknie spoglądając przez okno, za którym różowił się świt. — Ilu mężczyzn rodu K.B.I. może poślubić niewolnicę, taką niewolnicę? Mógłbym zrozumieć, że ktoś tak wyjątkowy jak ty, Esa... — Żartobliwie złapał ją za włosy. — Ale ona?

Odsunęła się, nie kryjąc poirytowania.

— Mówię, że nie może dojść do skutku, bo mamy temu zapobiec! — prychnęła. — Słyszysz mnie? Przecież ten pomysł jest... jest... — szukała słowa. — Ona wyjdzie za niego natychmiast! I zupełnie nie wiadomo, co się wtedy stanie!

— Więc uważasz, że to możliwe?

— To pewne — ucięła. — Rozlatuje się wszystko, cały plan... Nie upilnuję jej, jeśli wyjdzie za tego Denetta — mówiła sama do siebie. — I

to przez ciebie. Prawda, że o niczym nie wiedziałeś, ten przeklęty nadmiar ostrożności...

Spoglądał na nią, niczego nie rozumiejąc.

— Jaki plan? O czym nie wiedziałem?

— Ona nie jest żadną niewolnicą. Zresztą, nawet nie jest Armektanką, nic o niej nie wiesz, w ogóle. A ja też jej nie doceniłam. — Westchnęła niezadowolona. — Tylko raz, właśnie dzisiaj, zrobiłam mały błąd. Ona ma wycucie, instynkt, nie wiem jak to nazwać. Taka malutka szczelina w pancerzu — pokazała palcami, jaka mała — tylko tyle się odstłoniłam, a ona od razu wbiła mi tam sztylet. To dlatego nie mogłeś o niczym wiedzieć, ty w ogóle nie umiesz udawać. Ale dzisiaj chciałam ci wszystko powiedzieć i naradzić się, bo ona już wie, wyrwała ze mnie... no, przynajmniej część prawdy.

— Jakiej prawdy? O czym ty mówisz? — Yokes próbował oprzytomnieć, ale chaotyczne wyznania Perły Domu nie ułatwiały sprawy.

— Ona już wie, że jest właściwą osobą na właściwym miejscu — powiedziała Anessa. — Odgadła, że były powody, prawdziwe powody, coś poważniejszego niż dziwaczny kaprys księcia. To... nawet nie rozum, ona to poczuła. Coś pewnie dałoby się wymyślić, ale teraz, kiedy mamy tutaj jego godność Denetta... Wstawaj! — zarządziła nagle. — No już! Zdążymy go jeszcze przepędzić... a może zresztą nie będzie takiej potrzeby. Porozmawiam dziś z księżną, widzę, że pora na to. Ale najpierw musisz iść ze mną, chodź.

— Dokąd? — pytał oszołomiony.

— Chodź.

Prawie biegiem, najkrótszą drogą ruszyła do frontowego wyjścia, niemal siłą ciągnąc za sobą ogłupiałego mężczyznę. Wkrótce znaleźli się na zewnątrz. Wczesny letni poranek na dobre już rozgościł się w Sey Aye, wszędzie wokół świergoliły i szczebiotały ptaki. Przecięli olbrzymi dziedziniec i znaleźli się u stóp pagórka, na którym stał sędziwy zameczek. Właściwie była to tylko krępa wieża bramna, połączona z murem, do tego niewysoki stołp i warowny budynek mieszkalny, oraz resztki stajni i spichlerza. Wszystko to, zgrupowane na planie trójkąta z zaokrąglonymi rogami, otaczało maleńki podwórzec, pośrodku którego tkwiła zadaszona studnia. Forteczka miała długość co najwyżej stu

kroków, może mniej. Ponoć kiedyś niedaleki strumyk zasilał fosę u stóp pagórka, ale równie dobrze mogła to być tylko legenda; po rzekomej fosie nie został nawet ślad.

Chłodny ranek wygnał wreszcie senność z komendanta Yokesa, zaś bieg przez korytarze i dziedziniec dziwnie pokrzepił mięśnie. Yokes zaczął myśleć i gdy wraz z Anessą znaleźli się pod sklepieniem bramy zameczku, zapytał rozsądnie i trzeźwo:

— Mówisz mi, że to nie jest pomyłka? Znasz powody, dla których jego wysokość poślubił.. panią Ezenę?

Po raz pierwszy Anessa usłyszała, jak Yokes tytułuje księżnę bez śladu sarkazmu w głosie; przeciwnie, dołożył starań, by słowo „pani” zabrzmiało jak należy. Doceniła wysiłek, na jaki zdobył się ten mężczyzna, by zwalczyć swe uprzedzenia.

— Bardzo dobrze, nareszcie — powiedziała tylko.

Przemierzyli dziedziniec zameczku. Drzwi do budynku mieszkalnego nie były zamknięte, wystarczyło je pchnąć. Anessa minęła niewielkie, zimne i puste pomieszczenie; zatrzymała się w kącie drugiej izby.

— Podnieś to — zażądała, wskazując żelazny pierścień, przytwierdzony do desek podłogi. — Szarpnię się z tym prawie codziennie i najwyższy czas, żeby ktoś mi pomógł.

Yokes spełnił rozkaz. Dotąd nie miał pojęcia, że są tu jakieś podziemia. Wąskie kamienne stopnie wiodły stromo w dół.

— Na dole jest światło — uspokoiła go.

Ostrożnie zeszli w głąb chłodnej czeluści, przytrzymując się ścian. Yokes dostrzegł ślady po świeżej zaprawie (w każdym razie nie była tak stara jak cała reszta). Wszystko było tu nadzwyczaj dobrze utrzymane. Ktoś dbał o ów relik.. Yokes nie pamiętał, by prowadzono jakieś prace przy zameczku; musiało to mieć miejsce, zanim przybył do Sey Aye. Ale dbano o staruszka, to pewne. Przecież inaczej byłby już tylko omszałą kupą kamieni.. Książę Lewin. Nic w tym kraju nie działo się bez jego woli.

Brunatna, wolno spalająca się świeca — „błędny ognik”, jak ją czasem nazywano — prawie wcale nie dawała światła, ale też nie takie było jej zadanie. Miała tylko przechowywać płomień. Anessa ostrożnie przeniosła ogień na knoty dwóch zwykłych świec po czym poszli dalej. Podziemia były wcale niemałe.

— To nie jest dobre miejsce — powiedziała Perła. — Wilgoć szkodzi dokumentom i księgom. Kiedyś jego wysokość trzymał wszystko w domu. Ale potem musieliśmy to ukryć... Jest pewnie wiele lepszych i bezpieczniejszych miejsc, ale żadne nie leży dość blisko. No więc, wasza godność — oznajmiła, wchodząc do niedużej kwadratowej izby i unosząc światło — znajdziesz tutaj drugi testament jego wysokości księcia Sey Aye. Pokazuję ci to zgodnie z jego życzeniem i wolą. Choć wcześniej, niż zamierzałam.

Kolejno zapalała świece tkwiące w sześcioramiennym kandelabrze.

Na prostokątnym stole leżało kilka oprawionych w skórę tomów, a obok jakieś rulony. Wygodne krzesło było nakryte puszystym futrem. Yokes łątwo domyślił się, że Perła często przebywała w tej izbie. Rozpoznał parę kobiecych drobiazgów: grzebień, jakiś zapomniany złoty kolczyk pod stołem, pucharek do wina...

— Tam. — Wskazała palcem, sadowiąc się na krześle.

Powiódł wzrokiem za jej ręką i zobaczył wielki portret Ezeny. Miała na sobie królewską purpurę: suknię dopełnioną przez staromodną, szeroką wstążkę na szyi...

— Kto to namalował? — zapytał, podziwiając wierność wizerunku; artyście udało się uchwycić trochę filuterne, a zarazem poważne... i nawet trochę gniewne spojrzenie księżnej. Oddano je po mistrzowsku.

— Kto? Nie... nawet nie wiem... — odparła z roztargnieniem. — Może lepiej zapytaj: kiedy?

Zbliżył się jeszcze bardziej i naraz dostrzegł drobną siateczkę pęknięć, znaczącą warstwy farby. Spłowiałe barwy. Powiódł wzrokiem po zaśniedziałych ramach. Widywał już stare... bardzo stare obrazy.

— Przecież ten portret liczy parę wieków... Przypadkowe podobieństwo! Ale... te oczy i granatowe włosy? Niemożliwe!

Zwrócił się ku Anessie, szukając potwierdzenia. Milczała wyczekująco.

— Kto to jest? — zapytał, mimowolnie zniżając głos do szeptu.

Przez króciutką chwilę zwlekała z odpowiedzią.

— Rollayna. Córka Szerni, najstarsza z Trzech Sióstr. Przodkowie naszego księcia służyli jej swoimi mieczami.

Posunęła ku niemu po blacie jedną z wielkich ksiąg.

— Obiecała, że wróci tu kiedyś. No więc, Yokes, to twoja pani.

Część druga. Potrójne Pogranicze

5.

Obszerna, ale bardzo niska izba o kamiennych ścianach łączyła funkcje jadalni, sypialni, kancelarii... i nie wiadomo czego jeszcze. Pod oknem stała prymitywna wojskowa prycza (na oko bardzo niewygodna), zaś pod drugim oknem wielki stół. Były to jedyne sprzęty dające się łatwo rozpoznać, poza tym z sufitu zwisały jakieś kotary, na ścianach pyszniły się gobeliny i makatki, porozwieszany był oręż, poroża łosi, najróżniejsze tarcze i kolczugi, rozmaite sztuki odzienia, świeczniki i wianki suszonych grzybów oraz straszny łańcuch — chyba okrętowy, kotwiczny. Tuż przy progu stał niski zydelek. Na zydelku blaszany talerz, na talerzu kubek. Wepchnięto weń kawałek słoniny.

W odległym kącie izby znajdował się jeszcze jeden stół, bardzo mały, a przy stole krzesło. Siedziała na nim kobieta w średnim wieku, o dość przeciętnej urodzie, ale za to tuszy trochę więcej niż średniej. Nie była tłusta; właściwie nie była nawet gruba. Jednak potężne dupsko, a zwłaszcza solidne uda i łydki, wystające spod krótkiej spódnicy, wzbudzały niejaki szacunek. Tym bardziej, że nogi, zadarte wysoko na blat stołu, były doskonale widoczne. Kobieta kiwała się na krześle, w zamyśleniu spoglądając na muchę łażącą po słoninie w kubku.

Mucha łażyła i łażyła.

— Zdechnę tutaj — powiedziała baba i ziewnęła. Ziewnięcie ujawniło, dobywając z cienia, dość szeroką, nieładną bliznę, ciągnącą się od kącika ust aż do ucha, przez cały lewy policzek.

Mucha dalej łażyła po słoninie.

Kobieta wstała, przeciągnęła się i podeszła do jednego z okien — przy czym jej poruszenia były zaskakująco sprężyste, chciałoby się powiedzieć: wdzięczne. Wyszło na jaw, że tyłek i nogi zbudowane są z budzących respekt mięśni, dla niepoznaki tylko otulonych warstewką lubego tłuszczu. Jak na czterdziestoparolatkę, lokatorka izby miała figurę wcale proporcjonalną.

Wyjrząwszy przez okno, wzruszyła ramionami, jakby po raz

pierwszy widziała rozpostarte na zewnątrz miasto, po czym otwierała wieko stojącej pod ścianą skrzyni i wyjęła białą tunikę z czarnymi obszyciami. Nałożywszy ją, wygładziła krótkie, wycinane w trójkątne zęby rękawy; błysnęły wyhaftowane na piersi srebrne gwiazdy Wiecznego Cesarstwa. Dupiata właścicielka graciarni miała stopień tysięcznika legii imperialnej. Jako komendantka garnizonu Akali była bardzo ważną figurą.

Akala była miastem niezwykłym co się zowie. Leżała dokładnie w punkcie, gdzie stykały się Dartan, Armekt i Grombelard, i po trosze należała do każdej z tych prowincji — lecz zarazem do żadnej. Przed wiekami, leżącą przy handlowym trakcie osadę rozbudowali Dartańczycy; zresztą miejskie klucze i przywilej składu uzyskała Akala od dartańskiego króla. Później jednak, gdy Dartan popękał od zatargów i waśni rodowych, miasto zostało zdobyte oraz umocnione przez grombelardzkiego rozbójnika-rycerza. Teraz — odkąd nastało cesarstwo — Akalę zamieszkiwali głównie Armektańczycy. I tak, na pamiątkę burzliwych dziejów, stały w Akali pyszne, bielone budowle dartańskie, z szybami w oknach — ale opasane miejskim murem obronnym: szorstkim, ponurym, jak wszystko co grombelardzkie. Białe domy-pałacyki, w otoczeniu trawników i ogrodów, wyglądały kiedyś wykwiśnie; cóż, gdy w każdym parku wyrósł jakiś oktagon, czasem otoczony osobnym murem, bo grombelardzki kupiec (kupiec, nie zbój wcale) tylko w takim domu czuł się bezpiecznie i dobrze. A wszystko to przeplecione siecią znakomitych brukowanych ulic — armektański wkład w wygląd miasta.

Trzy bite gościńce zbiegały się w Akali: północno-zachodni, wiodący z armektańskich okręgów Riny i Rapy; północno-wschodni, biegnący przez góry Grombelardu; wreszcie południowy, łączący Akalę z Rollayną. Sunęły po tych drogach karawany kupieckie, a potwierdzone przez cesarza prawo składu czyniło z Akali największe targowisko w tych stronach. Trwające na Potrójnym Pograniczu miasto było bardzo bogate; dość bogate, by móc cieszyć się zupełnie unikalnym statusem miasta wolnego, nie należącego do żadnej prowincji. Akalczycy, niezmiernie przywiązani do swej dziwacznej odrębności, zaskarbili tym sobie szacunek władców Wiecznego Cesarstwa. Armektańczycy cenili i akceptowali tego rodzaju dumę. Oczywiście nie mogło być mowy, by

Akala pozostała miastem niepodległym w jakimkolwiek rozumieniu tego słowa. Cesarscy poborcy sumiennie ściągali podatki, Trybunał Imperialny ścigał i sądził, legie zaś pilnowały porządku. Niemniej nikt nie mógł nazwać Potrójnego Pogranicza terenem armeckańskim, a tym bardziej grombelardzkim czy dartańskim. Miasto zostało wyłączone spod władzy Książąt Przedstawicieli w prowincjach. Widowym tego znakiem były czarne tuniki żołnierzy — nie kojarzące się nawet z jasnoszarymi mundurami osobistej gwardii cesarza, a już żadną miarą z dartańską czerwienią, armeckańskim błękitem, czy wreszcie zielenią Legii Grombelardzkiej.

Tysięczniczka legii, dowodząca tym garnizonem, była naprawdę kimś.

Teraz, wystroiwszy się w mundurową tunikę, znowu stanęła przy oknie. Spod gratów leżących na stole wyciągnęła pas z mieczem i zapięła na biodrach z obojętną, rutynową sprawnością, używając tylko prawej ręki; palcem lewej dłubała w zębach.

— Zdechnę tutaj — mruknęła po raz drugi.

Wielka jak twierdza grombelardzka baszta, w której mieściła się komendantura, górowała nad pobliskimi domami. Doskonale widać było pustawą już o tej porze ulicę, biegnącą wzdłuż murów garnizonu. Komendantka Akali zdawała się na coś czekać. Na coś albo raczej na kogoś. Tak wyglądał przez okno człowiek, który spodziewa się gości.

Rzeczywiście.

Oddział pieszych łuczników liczący trzydzieści jeden głów, maszerujący ulicami miasta, od strony Bramy Armeckańskiej, wzbudził niejaką sensację — ludzie ci nie należeli do garnizonu okręgu. Nosili brunatne spódnice, na kolczugach zaś niebieskoszare tuniki. Pomimo, iż zbliżający się wieczór wygnał z ulic handlarzy i kupujących, wciąż spotykało się licznych przechodniów. W mieście, gdzie tak wielu było przyjezdnych ze wszystkich stron świata, bardzo szybko znalazł się ktoś, kto rozpoznał przynależność łuczników: do Akali zawitał klin elitarniej Gwardii Armeckańskiej. Tylko rozmieszczone w Kirlanie osobiste oddziały imperatora stały wyżej w wojskowej hierarchii.

Wiść o przybyciu tak świetnego wojska rozniosła się błyskawicznie — rozpowszechnianie intrygujących plotek jest przecież tym, co mieszczanin potrafi najlepiej. Gwardziści nie szli szybko, niemniej trudno

powiedzieć, by wlekli się noga za nogą; pozostanie zagadką, w jaki sposób zacnym akalczykom wystarczyło czasu, by zebrać się na drodze ich przemarszu. Gromada dzieciaków w różnym wieku mknęła przodem, rycząc co sił w płucach: „Gwardia! gwardia!”. Liczne głowy pojawiały się w oknach. Całe rodziny stawały na progach domów, by obejrzeć tak sławne wojsko. Ci żołnierze pełnili kiedyś służbę pod północną granicą Armektu, walcząc z potworami, o których krążyły mroźące krew w żyłach opowieści. Najlepsi z najlepszych, sami bohaterowie — bo do gwardii nie trafiał każdy, kto odsłużył swoje na północy. Tylko ci, którzy odznaczyli się szczególnie. Najdzielniejsi, najwaleczniejsi.

Czekająca w oknie tysięczniczka najpierw zobaczyła dzieciarnię i usłyszała opętańcze wrzaski. Potem wzdłuż ścian domów poczęły tworzyć się szpalery ludzi — najpierw rzadkie, stopniowo gęstniejące. Przemknęła niska kocia sylwetka — jedna, potem druga, kilka innych pojawiło się na dachach. No, jeżeli nawet koty przejawiały zaciekawienie, to znaczyło, że jest co oglądać; czworonożnych nosicieli rozumu nic nigdy nie obchodziło... Komendantka Akali dobrze znała koty, kiedyś wiele ich służyło pod jej rozkazami.

Wreszcie pokazali się żołnierze. Maszerowali niespiesznie, obojętnie, równając krok i szyk nieomal mimochodem. Poprzedzający oddział konny dowódca, w asyście gońca na świetnym rumaku, wyraźnie kiwał się w siodle. Może drzemał?...

— Weterani — kpiąco mruknęła tysięczniczka. — Ach, elita...

Uśmiechnęła się i jej twarz dziwnie zbrzydła w tym uśmiechu. Jednak zarówno w głosie, jak i w wyrazie twarzy, było coś więcej niż sama kpina. Pobłażliwa... życzliwość?

— Elita! — parsknęła jeszcze raz, wzruszając ramionami.

Miała do tego prawo. Przed dwudziestu pięciu laty wygrała na północy małą wojnę. Nie sama, oczywiście... Ale bardzo się do tego przyczyniła.

— Wartownik! — zawołała, nie odwracając głowy.

W drzwiach natychmiast pojawił się żołnierz.

— Tak, pani.

— Do oficera służbowego i z powrotem do mnie. Migiem. Chcę wiedzieć, czy kwatery są przygotowane. Nasi goście będą tu za chwilę. Znajdziesz mnie w sali odpraw.

— Tak, pani.

Żołnierz pobiegł wypełnić rozkaz. Komendantka Akali jeszcze raz wyrzwała przez okno, po czym także opuściła swoją zagrożoną izbę. Ruszyła w dół po wąskich kamiennych schodach, biegnących wzdłuż ścian baszty, poprzez kolejne piętra. Nie miała najmniejszego zamiaru sterczeć przy bramie garnizonu, czekając na jakichś łuczników. Ale musiała rozmówić się z dowódcą tych ludzi. Krótki list, jaki dostała przed paroma dniami, zapowiadający przybycie gwardii, bardzo niewiele wyjaśniał. *Udziel tym żołnierzom, Wasza Godność, wszelkiej możliwej pomocy. Mają do spełnienia trudną misję* — brzmiały słowa rozkazu. Dokument podpisany został przez... cesarzową. Nie sygnował go żaden z urzędników imperatora. Osobisty podpis i pieczęć jej wysokości... Znaczyło to bardzo, bardzo wiele. Komendantce Akali dawano do zrozumienia kilka rzeczy. Po pierwsze, że sprawa jest poważna. Po wtóre, że ma raczej polityczny niż wojskowy charakter; pierwsza kobieta imperium w sposób tyleż nieoficjalny, co prawie otwarcie jawny, sprawowała kontrolę nad poczynaniami Trybunału Imperialnego. Wszystko to pachniało jakąś brzydką intrygą. Ale co miało do tego wojsko? Komu należało dać w łeb?

Sala odpraw, zwykle rozbrzmiewająca gwarem rozmów, była pusta i cicha. Komendantka miała pojęcie, że sprawa, z jaką przybył oficer łuczników gwardii, jest co najmniej poufna. Nie wezwała nikogo ze starszyzny garnizonu. Oczekiwany był w zamian Namiestnik Sędziego Trybunału, właściwie powinien już być. Krzywiła się na samą myśl o tym. Nie znosiła urzędasów i szpicli.

Usiadła na ławie przy jednym ze stołów i czekała.

Nie minęło wiele czasu, gdy w izbie zameldował się żołnierz.

— Wasza godność, kwatery wyznaczone. Dowódca oddziału stawi się...

— Wiem. Znajdź coś do jedzenia i picia. Zapomniałam o tym. Dowódca tych łuczników... mmm... stopień?

— Podsetnik, wasza godność.

— Na pewno jest głodny. Ma prawo. Zapytaj, nim tu przyjdzie, czy ma jakieś specjalne życzenia. Pogoń garkotłuków do roboty.

— Tak, pani.

Żołnierz wyszedł.

Podsetnik. Regulaminowo dla oddziału tej wielkości. Ale nisko. Może jednak sprawa nie była zbyt poważna? Sądząc po treści listu, spodziewała się co najmniej setnika.

Pas z mieczem trochę uwierał ją w brzuch. Odchyliła się do tyłu i oparła o ścianę, daleko wyciągając nogi pod stołem. Zaraz potem znów usiadła prosto. Mający służbę dziesiętnik lekkiej jazdy wprowadził przybyłego oficera, złożył krótki meldunek i oddalił się. Podsetnik gwardii, średniego wzrostu, szczupły człowiek, przy mieczu i w kapalinowym hełmie na głowie, mierzył ją uważnym spojrzeniem. Zmarszczyła lekko brwi, bo odniosła wrażenie...

— Jej godność tysięczniczka Tereza — rzekł oficer i uśmiechnął się.
— Wciąż prowadzisz lekką jazdę, pani?

Komendantka podniosła się z ławy. Znała ten głos... i ten uśmiech! Osoba przed nią zdjęła hełm i zsunęła do tyłu kolczy czepiec, pokazując krótko przystrzyżoną czuprynę i pełny kształt nieładnej, chudej, lecz z całą pewnością kobiecej twarzy.

— Agatra — powiedziała, nie skrywając radości. — Dziewczyno... co ty tutaj robisz?

Pospiesznie wyszła zza stołu, tamta przez króciutką chwilę zwlekąca, nie wiedząc, czy na pewno dobrze odczytuje intencje dawnej przełożonej, lecz w następnej chwili ruszyła jej naprzeciw. Objęły się serdecznie i szczerze.

— Oczekiwałam tu jakiegoś bufona — mówiła ze śmiechem Tereza.
— Nie mogłaś mnie powiadomić?

— Chciałam... niespodziankę — powiedziała gwardzistka, pociągając nosem; była szczerze wzruszona. — Tak bardzo się ucieszyłam, kiedy dano mi to zadanie. Jedyna okazja, wasza godność, żeby...

— Przestań z „waszą godnością” — powiedziała komendantka Akali, prowadząc łuczniczkę do stołu. — Gadamy w cztery oczy, nie podlegasz mi, a stopień gwardyjski mamy taki sam. Wciąż jestem tylko honorpodsetniczką gwardii. — Pokazała wąskie szare paski, oddzielające biel tuniki od czarnych obramowań. — Świetnie wyglądasz — pochwaliła, trzepnąwszy lekko palcami smolistoczarne włosy byłej podkomendnej. — Nawet śladu siwizny, a ja? — Machnęła ręką przy skroni. — Ile ty właściwie masz lat? Zdaje mi się, że tyle, co ja? Nie widać tego — skwitowała z prawdziwą zazdrością.

Rzeczywiście, Agatra raczej zyskała, niżli straciła na urodzie. Twarz zawsze miała nieładną, więc dojrzały wiek jej nie zaszkodził, natomiast gdy szło o sylwetkę, to niegdyś żołnierka była wręcz kanciasta, sucha jak strzała do łuku. Teraz zaokrągliła się troszeczkę tu i tam, zyskując bardziej kobiece kształty. Ponadto życia oficera gwardii nie dało się przecież porównać z życiem zwykłego żołnierza. W swym garnizonowym mieście podsetniczka Gwardii Armektańskiej była nie byle jaką figurą — stale doceniana, zapraszana, rozpieszczana... Nabrała obycia i poloru. Bezdomna sierota, zwykła chłopka, która ochotniczo zgłosiła się do wojska i została natychmiast przyjęta, gdy ujrzano, jak potrafi strzelać z łuku...

Obie przemierzyły dokładnie taką samą drogę. Tysięczniczka Akali także urodziła się w armektańskiej wiosce.

— Ty też, pa... ty także dobrze wyglądasz — powiedziała Agatra.

— Łziesz.

Przez długą chwilę spoglądała z uśmiechem.

— Nigdy nie byłam tak chuda, jak ty. Ale ostatnio troszeczkę się spasałam — stwierdziła. — Byłoby jeszcze gorzej, ale moi żołnierze mają tu kłamoty do siłowych ćwiczeń i z nudów czasem razem z nimi łązę w kucki z belką na ramionach lub przetaczam kamienne kule po majdanie. Jaki wstyd! Potrzebna mi jakaś wojna. Jeszcze trochę, a zdechnę tutaj.

— No, z tą wojną... nie wywołuj wilka z lasu — w głosie gwardzistki zabrzmiała nieoczekiwana powaga.

Tereza uniosła brwi.

— Ano właśnie — zagaіła. — Zaraz przyjdzie tutaj Namiestnik Trybunału... Chcesz mi coś powiedzieć póki jesteśmy same?

— Mnóstwo rzeczy. Ale mogą poczekać, jeśli znajdziesz dla mnie trochę czasu później, w nocy. Ploty. — Agatra uśmiechnęła się.

Tereza zauważyła, że jej dawna podkomendna wysławia się bardzo poprawnie; naprawdę widać było szlif, jakiego nabyła między oficerami.

— To prywatnie. A służbowo?

— Służbowo namiestnik będzie miał więcej do powiedzenia, niż ja.

— Tak też myślałam. A o co w ogóle chodzi?

— O Puszcę Bukową.

— A! — powiedziała komendantka.

— Wiesz coś o tym, wasza godność?

— Żartujesz? Przecież to po sąsiedzku. I zaczynam rozumieć, dlaczego mogę być przydatna. Ale jakim cudem powierzono ci misję w Dartanie? Wędrujesz do Puszczy, tak? Znasz chociaż język?

— Parę lat temu wyszłam za mąż za Dartańczyka — z wyraźnym armektańskim akcentem, ale zupełnie poprawnie, powiedziała po dartańsku gwardzistka. — Z dziećmi rozmawiamy w dwóch językach.

— A! — po raz drugi powiedziała Tereza, doskonale osłuchana z dartańskim, ale władająca tym językiem ledwie ledwie. — Czekaj, to ciekawsze niż Puszcza... Wyszłaś za mąż? Masz dzieci?

— No.

— I jak ci?

— Sama nie wiem.

Tereza uśmiechnęła się życzliwie. I z wyższością. Złośliwie i z zazdrością.

— A twój mąż?

— No... Co z nim? Nie jest żołnierzem i nie wchodzi w skład mojego oddziału — powiedziała Agatra. — Został w Kirlanie, z dziećmi.

— Mhm. Wróćmy do Puszczy. Więc znasz język.

— Wasza godność — nawyk tytułowania dowódczyni był jednak u Agatry dosyć silny — tu nie ma żadnych przypadków. Znam język — uniosła w górę palec, po czym odchyłała następną — dowodzę pieszymi łucznikami, a nie, na przykład, jeźdźcami, znam ciebie, a ty znasz mnie, no i jestem nisko urodzona. Tak jak nowa pani Sey Aye. Jestem też kobietą. W Kirlanie doszli do wniosku, że lepiej posłać do Puszczy kobietę, bo łatwiej będzie jej przewidzieć i zrozumieć drugą. Poza tym kobieta pozostanie raczej obojętna na kobiecą urodę, nie da sobie zawrócić w głowie... no i tak dalej. Nie ma tu żadnych przypadków — podkreśliła raz jeszcze.

W drzwiach pojawił się starszy mężczyzna z dwoma potężnymi półmiskami. Nie miał na sobie mundurowej tuniki; zgodnie z armektańską tradycją osoby pełniące w wojsku funkcje pomocnicze nie były — i nie miały prawa być — żołnierzami. Kucharz postawił półmiski na stole. Zapachniało gotowaną wołowiną i fasolą. Zaraz nadszedł pomocnik kucharza, niosąc wino i piwo.

— No, niezbyt wykwintnie — zauważyła Tereza. — Więc nie miałaś żadnych specjalnych życzeń?

— Miałam. To są moje specjalne życzenia.

— A. No dobrze.

Tym razem w drzwiach stanął żołnierz.

— Jego dostojność T.L.Wadelar, Namiestnik...

— Wprowadzić — przerwała Tereza.

Trzydziestopięcioletni Namiestnik Sędziego Trybunału miał wygląd zupełnie nie pasujący do stanowiska, które zajmował. Był wysokim i mocno zbudowanym mężczyzną, który jak się zdawało, mógł wygrywać zapaśnicze zawody na dartańskich arenach. Twarz pasowała do reszty — była bardzo męska i po męsku surowa, lecz zarazem dość ujmująca. Przedwcześnie łysiejący, nosił jednak krótko przystrzyżoną brodę, chcąc chyba nadrobić braki w owłosieniu... A jednak ciało i twarz tego człowieka stanowiły zaledwie maskę. W oczach komendantki Pogranicza jego dostojność Wadelar był człowiekiem oślizgłym. Urzędnik Trybunału, wyborczy w tym, co robił. Tereza go nie cierpiała. Z wzajemnością.

— Proszę, wasza dostojność — rzekła, z satysfakcją wskazując twardą ławę; nie bez powodu wybrała tę izbę.

Namiestnik skrzywił się prawie niedostrzegalnie, ale zajął wskazane miejsce. Prawie osłupiał na widok prostego żołnierskiego posiłku; cóż dopiero, gdy poczuł zapach. Straszliwa fasola z cebulą zapierała dech. W oczach urzędnika było to jakieś... żarcie. Tereza i Agatra wymieniły dyskretne, rozbawione spojrzenia. Komendantka Akali doceniła spostrzegawczość gwardzistki.

— A zatem, wasza godność, proszę jeść — powiedziała z pełnymi ustami, nie wątpiąc, że urzędnik podziękuje. — I proszę opowiedzieć mi dokładnie, co wspólnego ma Potrójne Pogranicze z Gwardią Armekańską, Gwardia z Puszcą Bukową, a Puszcza z Trybunałem Imperialnym. No, szybkoitko.

Tysięczniczka, wobec urzędników imperium, z lubością udawała nieokrzesaną półchłopkę. Wadelar wiedział o tym i nigdy nie dawał się wciągnąć w żadne gierki. Nazwanie tylko „godnością” wysokiego urzędnika imperium było zwykłą impertynencją. Ale nic nie mógł na to poradzić. Znana w całym Armeckie komendantka Tereza była orzechem, na którym łatwo mógł połamać sobie zęby. Była zresztą nie tylko sławna. Także niegłupia, potrafiąca podejmować decyzje i narwana; słowem:

niebezpieczna.

— Wasza godność wiesz już, jak słyszę, o czym będziemy mówić — miał spokojny, głęboki głos. — To dobrze, że nie muszę opowiadać wszystkiego od początku.

— Panią Puszczy Bukowej została niewolnica — skwitowała Tereza. — Będzie proces i zabiorą jej wszystko. Cała sprawa.

— Nie, nie cała. W majątku Sey Aye mamy swoich ludzi. Ich wartość nie jest duża, są zbyt daleko od osoby księżnej. Jednakże dostatecznie blisko, by dostarczyć pewnych wiadomości. Ta kobieta jest.. osobą niezwykłą. W każdym razie jak na niewolnicę.

Zaległo milczenie.

— No i...? Wasza świetlistość? — ponagliła Tereza.

Dyskretnie beknęła w pięść. Wadelar zastanawiał się przez chwilę, kiedy jej godność komendantka zacznie pierdzieć. Nie powiedział nic, co tłumaczyłoby jej postawę. Po prostu nie lubiła go i już.

— Na tej polanie jest trzymana istna armia — przypomniał. — Wiesz o tym, wasza godność, równie dobrze jak ja. Nikogo nie obchodziło, w jakim celu książę K.B.I.Lewin utrzymywał tak liczne poczty. Dla kaprysu albo dla fasonu. Człowiek wywodzący się z takiego rodu, noszący staroksiążęcą dartańską koronę, ma prawo mieć różne zachcianki. Silne wojsko prywatne istnieje tam od lat, a właściwie chyba od zawsze. Rzecz w tym, że niedługo przed śmiercią jego wysokość książę Lewin co najmniej trzykrotnie pomnożył siły wojska, wyrzucając na ten cel sumy, jakich imperator nie wyklada na swoją gwardię. Wkrótce potem poślubił armektańską niewolnicę i zupełnie nie wiadomo, czego jej nakładł do głowy. Krążą plotki, że jego wysokość być może... nie był całkiem zdrów na umyśle. Trzeba to brać pod uwagę.

Tereza skończyła jeść połeć wołowiny i oblizała ociekające tłuszczem palce.

— Znakomicie — rzekła, dłubiąc palcem w zębach. — Będzie proces i Ezena go przegra. Co nie znaczy, że uzna wyrok. Wtedy Yokes weźmie swoje ciężkozbrojne chorągwie i wykopie z Sey Aye każdego, kto będzie na tyle głupi, żeby zgłosić się po majątek.

Wadelar przez chwilę popatrywał w milczeniu. Zerknął na spokojnie siedzącą z boku gwardzistkę, a potem znów na Terezę. Komendantka знаła nawet imiona... Wiedziała tyle, co on.

— Właśnie tak. Właśnie tego się obawiamy. Nie doceniłem cię, pani.

Tereza znów zajęła się mięsem. Przegryzła kość i, siorbiąc, wysssała szpik.

— Ciągle nie wiem, dlaczego mamy się tym martwić — powiedziała.

— Kogo obchodzi, kto zostanie królem Puszczy Bukowej? Grunt, żeby płacił podatki.

— W prywatnych dobrach ustalane są prywatne prawa. Na ich straży stoją prywatne wojska. Ale sądy w Rollaynie, i w ogóle wszędzie, ferują wyroki w imieniu imperatora. Egzekwują zaś te wyroki wojska imperialne. Jeśli jej wysokość Ezena, pozbawiona praw i tytułu, nie ugnie się przed wyrokiem sądu, to oddziały Legii Dartańskiej będą musiały wyegzekwować prawa nowych właścicieli.

— Licząc gajowych, tam jest tysiąc żołnierzy lub niewiele mniej. — Tereza odłożyła pogryzioną kość. — Żołnierzy dowodzonych przez człowieka, którego dobrze znam. Przed laty biliśmy się razem na północy. Potem Yokes trzymał jeden z zachodnich okręgów. Znakomity dowódca. Urodzony wojownik.

— Wiem o tym.

— Cała Legia Dartańska nie wystarczy do zdobycia tego lasu. Przecież to wojsko na pokaz. W Dartanie, tak naprawdę, liczą się poczty prywatne.

— Legia Dartańska pilnuje porządku na ulicach miast i na traktach. Poza tym jest obecna w dobrach imperialnych. To wszystko — potwierdził namiestnik.

Tereza kiwała głową. Nagle spojrzała na Agatrę. To samo uczynił Wadelar.

— Nie wprowadza się wojsk imperialnych do prywatnych dóbr — przemówiła milcząca dotąd gwardzistka, dając do zrozumienia, że jest świetnie zorientowana w delikatnej materii problemu. — Jeśli nie zostanie naruszone prawo Wiecznego Cesarstwa, więc jeżeli, na przykład, właściciel nie zabrania swoim chłopom zaciągać się do legii, lub sprzedawać w niewolę w koncesjonowanych hodowlach... Idę tam w gości, to wszystko.

— Jakiś pretekst? — zapytała Tereza.

— Wymiana doświadczeń. Mała prośba o doszkolenie trzydziestu gwardzistów. Puszcza Bukowa słynie ze świetnej straży leśnej.

— Słabiutko. — Tysięczniczka wydeła wargi. — Chyba najpierw powinien pojechać goniec z listem? Zapytać, czy Sey Aye zgodzi się szkolić żołnierzy.

— Nie pojechał.

— No jasne. Wróciliby z krótkim: nie.

— Mam takie listy przy sobie — powiedziała gwardzistka. — Co innego nie zgodzić się na przybycie żołnierzy, a co innego wyprosić armektańskich gwardzistów, gdy już przyjdą. Trudno tak w jednej chwili znaleźć wiarygodne usprawiedliwienie dla afrontu wyrządzonego Gwardii Armektańskiej. Ja zaś będę robić dobrą minę do złej gry. Trzeba będzie wręcz wypędzić mnie stamtąd, bo na delikatne sugestie, że jestem niepożądana, będę się tylko uśmiechać. Nie zrozumie ich.

— Nadajesz się do tej roboty — skonstatowała Tereza.

— Chyba tak.

— A więc cesarstwo będzie miało elitarny oddział żołnierzy w samym środku Sey Aye — podsumowała tysięczniczka. — Ale co dalej? Co może zdziałać trzydziestu łuczników, choćby najlepszych na świecie, jeśli rzeczywiście dojdzie tam do awantury?

— Przede wszystkim może temu zapobiec.

— W jaki sposób?

— Cały czas ten sam. Co innego zbuntować się i nie wpuścić Legii Dartańskiej do Sey Aye. Co innego zaatakować armektańskich gwardzistów, którzy już tam będą. Na tej tunice są gwiazdy cesarstwa, barwy Armektu i gwardii. Wielu ludzi, patrząc na nie, może uświadomić sobie, komu i czemu właściwie wydaje wojnę. Kiedy ostatnio widziano tam żołnierzy imperium? Wieczne Cesarstwo, dla większości mieszkańców Sey Aye, nie wyłączając księżnej, to jakiś mglisty, daleki byt, niezbyt rzeczywisty i prawdziwy. Warto więc pokazać, że istnieje naprawdę. Nikt nie twierdzi zresztą, że księżna Sey Aye na pewno myśli o nieposłuszeństwie wobec wyroku sądów. Będzie wahać się, rozważać racje. Widok tych mundurów może pomóc w podjęciu słusznej decyzji. To nie tak, że „zbuntuję się, a później zobaczymy”. Żadne „później” i żadne „zobaczymy”. Zaraz i natychmiast trzeba będzie ukręcić mi łeb. I trzydziestu armektańskim gwardzistom.

— No, no — powiedziała Tereza.

Znów zwróciła się do namiestnika.

— Dobrze. Dlaczego my?

Krótkie, wprost postawione pytanie zabrzmiało ostro i prawie wyzywająco. Wadelar po raz drugi zaczął się zastanawiać, ile ta kobieta wie naprawdę, a co tylko podejrzewa.

— Nie rozumiem, wasza godność — rzekł ostrożnie.

— Co wspólnego ma z tym Akala? To sprawa Trybunału dartańskiego. No i Legii Dartańskiej, tak? Przecież nie moja ani tym bardziej twoja, namiestniku.

— Dlaczego „tym bardziej”?

— Bo ja znam naszą gwardzistkę i mogę jej coś doradzić. Znam też Yokesa, jest dla mnie przewidywalny, o ile, jako żołnierz, może być przewidywalny dla kogokolwiek w Szererze. I na koniec mam wojsko, które może pomóc interesom cesarstwa tam, gdzie Legia Dartańska nie da rady. To nie moja sprawa, ale powiedzmy, że mogę być przydatna. Natomiast ty, panie?

Wadelar milczał.

— Niemożliwe, byś miał swoich własnych szpiegów w Sey Aye. Ma ich co najwyżej Trybunał dartański, bo Puszcza to przecież Dartan, no tak? Czyli wszystkie wiadomości, którymi mnie uraczyłeś, zostały ci przekazane z Rollayny, i to na polecenie z Seneletty, bo to tam siedzi Najwyższy Sędzia. Przekazane bardzo, bardzo niechętnie. — Uśmiechnęła się z jawnym szyderstwem. — Spokojnie, wasza dostojność, wiem przecież doskonale, jak zazdrośnie Trybunał strzeże swych tajemnic. Nawet przed własnymi ludźmi.

Nic na to nie dało się odpowiedzieć. Komendantka Akali świetnie wiedziała, co mówi.

— Masz mnie kontrolować — powiedziała oskarżycielsko. — Moja przydatność może dać mi niepożądaną siłę. To dlatego przekazano sprawę w twoje ręce, panie. Bo jesteś jedyną w tej części cesarstwa osobą, która może zatruć mi życie. Ale czego boi się Kirlan? Że z dnia na dzień obwołam Potrójne Pogranicze jakimś udzielnym księstwem?

Po długiej chwili milczenia zwróciła spojrzenie ku gwardzistce.

— On mi nic nie powie, Agatra. No więc, może ty? Nie chcę wydierać ci żadnych tajemnic — zastrzegła — jesteś żołnierzem i masz swoje rozkazy. Pytam o twoje... no, spostrzeżenia. Coś, czym możesz się ze mną podzielić.

Podsetniczka zerknęła na Wadelara i znów na Terezę.

— No, hm, rozmawiałam z jej cesarską wysokością...

Tereza omal nie uniosła brwi.

Sprawa była bardzo poważna... a Agatra nie była podsetniczką. Przynajmniej stopień wyżej. Wycinana w półokrągłe zęby tunika stanowiła przebranie, nic więcej. Zostawiając na później rozważania, co to właściwie znaczy, tysięczniczka dała znak, że słucha.

— Zwróciłam uwagę cesarzowej na liczebność pocztów Sey Aye. Powiedziała tylko coś takiego, że Akala to zrównoważy.

— Jakim cudem? — zdziwiła się Tereza. — Mam tutaj trzy setki ludzi.

Nagle odchyliła się do tyłu.

— Nieprawda — odpowiedziała sama sobie. — Mogę mieć przeszło tysiąc żołnierzy, dość, by przestawić garnizon na stopę wojenną.

Rzut oka na Wadelara upewnił ją, że Agatra podała dobry trop. Ale rozwinięcie legionu do stanu przewidzianego etatem wojennym? Taki rozkaz mógł wydać w prowincjach jedynie Książę Przedstawiciel Cesarza. A w przypadku Akali sam cesarz.

„No, a któżby?” — zapytała się w myślach. — „To oczywiste, że Kirlan przywiązuje do tej sprawy bardzo dużą wagę. Większą, niż sądziłam”.

— Trzy lata temu, gdy walił się Grombelard — powiedziała — wysunęłam propozycję przestawienia mojego legionu na stopę wojenną. Nie otrzymałam zgody. Czy ta sprawa z Puszcą Bukową jest ważniejsza niż rozsypywanie się całej prowincji? Przemów wreszcie, wasza dostojność! — rozżłościła się. — Czy wiesz coś na ten temat? Mam przejść na etaty wojenne? Kiedy? Nie przeprowadzę tego w dwa dni.

— Rozważana jest... taka możliwość.

— Z powodu Puszczy Bukowej?

— Nie tylko. W Grombelardzie dzieje się coraz gorzej. Ale sama Puszcza Bukowa płaci do szkatuły imperium więcej, niż cały Grombelard płacił kiedykolwiek, wasza godność — zauważył chłodno urzędnik.

Było to bliskie prawdy. Wpływy z Grombelardu były oczywiście większe niż z Puszczy, ale wydatki... Cesarstwo stale dopłacało do górzystej Drugiej Prowincji. Warto było trzymać tam legie, bo tylko siła mogła poskromić zbójckie żywioły tego kraju. Jeśli żyzne pogranicza

Armektu i Dartanu miały być bezpieczne od łupieżczych najazdów, Grombelard musiał trwać w granicach cesarstwa. Ale tylko dlatego. Sam w sobie nie przedstawiał prawie żadnej wartości. Odwrotnie niż Puszcza Bukowa.

— Posłuchaj, wasza dostojność — powiedziała Tereza — nie wiem, co sobie wyobrażasz na temat wojska... Mam tu trzy skadrowane półlegiony, podobnie wygląda sprawa w większości okręgów Armektu i Dartanu. Mamy Wieczne Cesarstwo, a w nim wieczny pokój — znane powiedzenie zabrzmiało nieco cynicznie na tle niedawnego powstania w Morskiej Prowincji i bałaganu w Grombelardzie; bałaganu, który skończył się jego rozpadem. — Nikt nie trzyma w pełni gotowych do walki legionów, bo potrzebni są tylko żołnierze do patrolowania miejskich ulic i szlaków kupieckich. Moje kliny składają się teraz z dziesiątek, które są nimi tylko z nazwy. Każda taka dziesiątka to dziesiętnik z obniżonym żołdem i trzech żołnierzy. Ci żołnierze natychmiast obejmą funkcje trójkowych, gdy nadejdą uzupełnienia: sześciu ludzi dla każdej dziesiątki. Ale tych ludzi nie ma! Chętni do służby w wojsku, a i owszem, bo oto, co w wojsku można uzyskać, wychodząc z byle wioski. — Ujęła dwoma palcami białą tunikę na piersi. — Można gościć nawet namiestników Trybunału, już nie powiem, że rozmawiać z samą cesarzową. — Pokazała palcem Agatrę. — Jutro rozpiszę pobór, a pojutrze stawią się setki i wciąż będą napływać nowe. Wybiorę najlepszych, no a potem... cztery miesiące. Tyle trzeba, żeby wyszkolić żołnierza ciężkiej piechoty. Trochę więcej, żeby mieć sprawnego łucznika. A dwa razy tyle, żeby wyszkolić jeźdźca. Wszystko to zaledwie jako tako.

— Wstępna rozprawa sądowa w Rollaynie odbędzie się już wkrótce — rzekł namiestnik. — Ale wyrok zostanie wydany najprędzej za pół roku. Będziesz miała dosyć czasu, pani, by wyszkolić ochotników z poboru.

— Tak. Pod warunkiem, że już dzisiaj zacznę jakieś przygotowania. Że dostanę fundusze. I że powie mi się wreszcie jasno, jaka jest moja rola! — wrzasnęła nieoczekiwanie, waląc otwartą dłońią w stół. — Mam dosyć tego krętactwa! Co to jest, że Trybunał wie o zadaniach legii więcej niż same legie?!

Tak wściekłej tysięczniczki Wadelar jeszcze nie widział. Złośliwa i

nieuprzejma, otwarcie pokazująca swoją niechęć — a i owszem. Ale krzyżującej i walącej ręką w stół nie widział jeszcze nigdy. Uderzyły go zmiany, jakie zaszły na twarzy kobiety. Zdecydowanie (acz nieoczekiwanie) wyładniała... Te usta nie były stworzone do uśmiechu; lepiej, gdy górna warga wędrowała w górę, odsłaniając równe zęby. Nozdrza rozděły się, poprawiając kształt zbyt wąskiego nosa. Po raz pierwszy zobaczył Terezę taką, jaka była za młodu, gdy wiodła swoją jazdę do szarży.

Wojowniczką wstała z ławy.

— Wynoś się stąd, wasza dostojność — powiedziała, wskazując drzwi. — Wynocha z mojego garnizonu! Przyjdiesz wtedy, kiedy będziesz miał mi coś do powiedzenia. Nie zamierzam bawić się w zgadywanki, dociekając, co też naprawdę stoi za każdym twoim słowem. Już cię tu nie ma!

— Powiedziałem wszystko, co było do powiedzenia — rzekł namiestnik.

— To nie warto było przychodzić, tyle wiedziałam sama. Żegnam, panie.

Wstał i skłonił się lekko, nie kryjąc ironicznego uśmiechu. Gdy wyszedł, Tereza odpięła pas z mieczem, sapnęła z ulgą i z powrotem usiadła na ławie.

— No i co o tym myślisz?

Agatra siedziała cicho, raczej jednak ubawiona sytuacją niż zdenerwowana albo przestraszona. Komendantka Akali po raz kolejny musiała sobie powiedzieć, że to już nie jest prosta łuczniczka z legii, dla której całym światem najpierw była rodzinna wioska, a potem żołnierska izba.

— Chyba niepotrzebnie asystowałam przy tym... wydarzeniu. — Zaśmiała się pod nosem. — On nie podaruje. Możesz pewnie krzyżeć na niego, ale nie przy świadkach.

Tereza barwnie i dosadnie opowiedziała o tym, co może jej zrobić Wadelar. Agatra słuchała, myśląc, że zmieniło się wiele, ale nie język jej dawnej dowódczyni.

— ...i to bardzo głęboko. Chodźmy stąd — rzekła komendantka, skończywszy z Namiestnikiem Sędziego. — Nie wezmę cię do mojej sypialni, bo tam... niewiele jest miejsca. Pójdziemy do ciebie.

Przydzieliłam ci najlepszą z gościnnych izb.

6.

Wyszedłszy na dziedziniec garnizonu, namiestnik T.L.Wadelar przywołał swoich czterech żołnierzy. Własnych żołnierzy, prywatnych... Powinien dostać eskortę od komendantki Akali, wymagała tego uprzejmość. Lecz tysięczniczka Tereza nigdy nie była uprzejma. Żołnierze strzegli siedziby Trybunału Imperialnego, bo musieli. Ale już osobistą eskortę namiestnik Wadelar dostałby tylko wtedy, gdyby o nią wyraźnie poprosił; był pewien, że jej godność komendantka zażądałaby oficjalnego pisma w tej sprawie. Nie zamierzał się do tego zniżyć. Stać go było na kilku pocztowych.

Dosiadł konia i wyjechał za bramę. Dwaj żołnierze jechali przodem, a dwaj nieco z tyłu. Wątpił, by cokolwiek groziło mu w tym spokojnym, bogatym mieście. Zwłaszcza że tysięczniczka, przy wszystkich swoich wadach, potrafiła pilnować porządku. Ale jakaś asysta była przecież potrzebna. Choćby dla powagi urzędu.

Zauważył naraz, że jest... rozżalony. Zabawne. Wysoki urzędnik Trybunału Imperialnego rozżalony zachowaniem żołnierki. Urzędnicy i żołnierze nigdy nie pałali do siebie miłością. Trybunał i armia — dwie najpotężniejsze instytucje imperium — musiały wchodzić sobie w paradę. Żadna nie była w pełni samodzielna. Trybunał rozporządzał setkami (co tam setkami... tysiącami!) szpiegów i donosicieli. To właśnie urzędnicy Trybunału wskazywali cele legionistom, przy czym ściganie pospolitych przestępców było sprawą drugorzędną — przede wszystkim chodziło o utrzymanie politycznej jedności imperium. Wielkie rody w Dartanie cieszyły się znaczną niezależnością; należało to jakoś kontrolować. A Garra, gdzie wiecznie tliło się zarzewie buntu? Wywiadowcy i szpicle wszelkiej maści byli wręcz niezbędni, dzięki nim sędziów Trybunału rzadko dało się czymś zaskoczyć. Ale wykonawcą wszystkich zaleceń było wojsko. Urzędnicy mieli tylko oczy i uszy, za to pozbawiono ich rąk. Owe ręce zaś, przyczepione do ślepych i głuchych korpusów w mundurowych tunikach, nie zawsze chętnie wykonywały polecenia...

Tym bardziej że oczy i uszy można było jakoś zastąpić. Legie

imperialne miały własnych szpiegów, wysocy oficerowie wiedzieli zwykle więcej, niż powinni (o, choćby taka Tereza). Oczywiście na tle potężnej maszyny Trybunału wyglądało to wszystko bardzo blado. Jednak z drugiej strony (Wadelar musiał przyznać w duchu) urzędnikom czasem wyrastały... no, jeśli nawet nie ręce, to przynajmniej paluszki. Zabójcy działający na zlecenie, czy choćby prywatni żołnierze, załatwiający — bywało — sprawy wcale nie prywatne... Jednak wszystkie te — obustronne — zabiegi nie miały większego znaczenia. W sprawach naprawdę poważnych urzędnicy i żołnierze byli na siebie skazani. Dochodziło więc do tarć. Rozmowa z, tysięczniczką Terezą była tego doskonałym przykładem.

Nie lubił tej strasznej baby! Ale jednak, tym razem, w głębi duszy trzymał jej stronę. Miała prawo wiedzieć tyle, co on.

A jeszcze ta gwardzistka. Przysłano mu trochę wiadomości na jej temat. Wyglądało na to, że spełniała postawione wymagania. A jednak... Wadelar znał się na ludziach. Było w tej kobiecie coś bardzo paskudnego. Buntownicza czupurność, dobra pewnie u dowódczyni łuczników, mających wciągnąć wroga w zasadzkę. Ale tutaj? Misja była bardzo delikatna. Wadelar nigdy nie miał wysokiego mniemania o zręczności wojskowych. A już ta... orlica? Gotowa sama rozpętać wojnę. Namiestnik Sędziego spróbował wyobrazić sobie, jak ktoś w Puszczy Bukowej zaczyna działać nie po myśli gwardzistki, albo (co gorsza) pragnie użyć jej do swoich celów... Poczul, jak skóra cierpie mu na karku.

Ona byłaby dobra tylko w jednym wypadku — uświadomił sobie nieoczekiwanie. — Gdyby miała rozkaz stawić się w Sey Aye i zaraz po przywitaniu wsadzić miecz w brzuch nowej księżnej.

Prawie zdrętwiał. Za tym wszystkim stała przecież cesarzowa... Czy możliwe, że i jego nie wtajemniczono w niektóre szczegóły gry? To, co wydumał przed chwilą, mogło być bliskie prawdy.

Ale nie, niemożliwe. Jej cesarska wysokość nie ważyłaby się na coś podobnego. Usunąć niewygodną osobę? Ależ owszem... Lecz zabójca na pewno nie nosiłby tuniki z gwiazdami Wiecznego Cesarstwa. Poza tym w Puszczy Bukowej nic groźnego jeszcze się nie działo, nic aż tak groźnego, by posyłać zabójców. Krnąbrna księżna-niewolnica wyobrażała sobie zbyt wiele, wymachując swoim listem małżeńskim, ale misja Agatry była wcale niegłupim posunięciem. Wystarczyło pokazać jej wysokości

Ezenie, że cesarstwo ciągle istnieje... Akalski garnizon zaś przestawiano na stopę wojenną jednak raczej z powodu Grombelardu niż Puszczy Bukowej. Kirlanowi niezręcznie było przyznać się przed Terezą, że miała słusność, zabiegając o to już przed laty...

Odpędziwszy natrętne myśli, Wadelar wyprostował się w siodle i rozejrzał dokoła. Było już całkiem ciemno, ulicę rozjaśniał tylko migotliwy poblask, padający z niektórych okien. No i wielki, wspaniały księżyc w pełni. Namiestnik Najwyższego Sędziego bardzo skrzętnie skrywał przed światem swą marzycielską naturę... Nigdy by się nie przyznał, jak wiele czasu zajmują mu rozmyślenia, czy ta srebrnozłota tarcza jest w istocie gasnącą gwiazdą, taką samą jak słońce, tylko starszą? Czy naprawdę stanie się kiedyś taką samą ciemną, wypaloną kulą, jak ta, po której stąpał? Czy i tam przybędzie siła podobna do Szerni, by rozpostrzeć swe Pasma nad wielkim oceanem i wyłonić lądy, a potem zapłodnić je życiem?

Świat był kulą, na powierzchni której Szerer stanowił zaledwie małą plamkę. O kulistości świata mógł przekonać się każdy, kto choć raz oglądał znikający za horyzontem okręt. Wadelar, jak każdy Armektańczyk Czystej Krwi, znał trochę matematykę. Przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że uczeni Szereru dawno już policzyli, jakie rozmiary ma świat. Czy ta gasnąca gwiazda nad głową była czymś o podobnej wielkości? Umysł wzdragał się przed nieogarnionym. A zatem te wszystkie maleńkie gwiazdeczki... Jak bezmierne powietrzne przestrzenie musiały rozpościerać się na drodze do nich, skoro kule o rozmiarach świata zdawały się tak niewielkie? Jak tam dotrzeć? Czy będzie to kiedyś możliwe? Powątpiewał. Chociaż... ptaki przecież latały...

Parsknięcie wierzchowca sprowadziło Wadelara na ziemię. Koń przestraszył się jakiegoś żebraka, skulonego w załomie murów domu. Żebranie po zmierzchu było zakazane. Nikogo nie obchodziło, co ze sobą poczną bezdomni, byle nie rzucali się w oczy. Patrol legii na ulicach, ścigając nocnego złodzieja, nie mógł tracić go z oczu wśród wylegujących się wszędzie żebraków. Namiestnik skinął na jednego ze swych jeźdźców; ten natychmiast zeskoczył z konia i kopniakami przepędził dziada precz. Na bruku została porzucona torba, z której wysypało się jedzenie.

— Nie tacy głodni, na jakich wyglądają — rzekł Wadelar.

Żołnierz na powrót dosiadł konia i pojechali dalej.

Ulica kończyła się, płynnie przechodząc w szeroką parkową aleję. Pozostałość po dartańskim ogrodzie. Wśród trawników rosły tylko drzewa; żadnych żywopłotów ani krzewów. W części parku, którą namiestnik miał po prawej ręce, piętrzyły się resztki grombelardzkiej wieży. Odnowiono tylko najniższą kondygnację, służyła teraz za wartownię żołnierzom strzegącym Trybunału. Częściowo zakopane w ziemi głazy zbliżały się do alei, wyznaczając swym kręgiem zarys dawnego muru obronnego. Twierdza w mieście — i to miał być dom...

Z wieży-wartowni wyszli dwaj żołnierze, szybkim krokiem zmierzając ku jadącym. Byli czujni. Jej godność Tereza obdarłaby tych wartowników ze skóry, gdyby choć raz zaspali. Domyślał się, że już sama myśl o uzasadnionej skardze namiestnika, dotyczącej służby żołnierzy, spędzała jej sen z powiek. Ale nie, nie miał prawa narzekać. Sprawiedliwość kazała powiedzieć, że garnizon Akali mógł być wzorem dla wszystkich garnizonów imperium. A już sposób pełnienia wart przed gmachem Trybunału zasługiwał na najwyższą pochwałę. Za namiestnictwa Wadelara nigdy nikt nie doszedł aż do drzwi budynku, nie doświadczywszy wcześniej surowej dociekliwości legionistów. Jeden patrol stale siedział w wartowni. Dwa krążyły po parku. Dodatkowo przy wejściu czuwali halabardnicy. Rozpoznawszy namiestnika w otoczeniu prywatnych żołnierzy, legioniści nie zawrócili. Trójkowy podszedł do samego konia Wadelara.

— Jesteś panie Namiestnikiem Sędziego czy tylko kimś bardzo podobnym? Jest noc, chcę usłyszeć twój głos.

— Jestem Namiestnikiem, żołnierzu.

Trójkowy złożył skąpy wojskowy ukłon i wraz z podkomendnymi spokojnie wrócił do wartowni. Wadelar jechał dalej. Aleja wiodła prosto i kończyła się u stóp szerokich schodów, wiodących do drzwi rezydencji wzniesionej w nowodartańskim stylu. Strzelista biała budowla była wiernym odbiciem magnackich pałaców z Rollayny. W głębi duszy namiestnik uważał, że gmach Trybunału winien być bardziej surowy. Ten tutaj... choć niewątpliwie piękny, zdawał się nazbyt pyszny. Potęga i znaczenie Trybunału nie zależały od tak marnych rzeczy jak fasada tej czy innej budowli. Zdawał sobie sprawę, że przemawia przez niego głęboko zakorzenione w armektańskiej tradycji umiłowanie prostoty i

umiaru. Zbyt bogato odziany człowiek zaraz jawił mu się durniem. Zbyt wiele jadła na stole — to było niczym głośne wołanie: „Drogi gościu, nie mam cię czym zająć, a więc jedz, bo inaczej umrzesz z nudów!”. Zbyt kwieciste przemowy świadczyły o pustocie. A najbardziej złościła go dartańska broń. Jakże można, na wszystkie Pasma Szerni, grawerować głównie mieczy, złocić jelce, srebrzyć napierśniki...?! Wojna, dziedzina Niepojętej Arilory, Pani Losu i śmierci, stawała się jakimś jarmarcznym pośmiewiskiem. Jak mógł służyć wojnie człowiek, który myślał o błyskotkach na broni? Na broni: strażniczce życia, pośredniczce śmierci. Dartańczycy głośno wołali, by ich podbić. I dostali, o co prosili.

Lecz Wadelar, służąc swemu krajowi na stanowisku Namiestnika Sędziego, nauczył się powściągać odruchy dezaprobaty. Dartan był taki, jaki był. Nie mógł stać się Armektem i nikt nie chciał go takim uczynić. Miejsce Pierwszej Prowincji cesarstwa było dlań wystarczające. I niejako także zasłużone. Historia pouczała o przyczynach, dla których należało podbić Złoty Dartan. Lecz zniszczenie go byłoby niepotrzebne. Zbędne, dzikie i głupie. Ten kraj miał prawo istnieć. I miał prawo nie być Armektem.

Znalazłszy się w swoich komnatach, Namiestnik odprawił skinieniem urzędnika, który czekał z jakimiś sprawami. Chciał być sam. Urzędnik odszedł, co znaczyło, że nie czekał z niczym ważnym, pragnął tylko dokładnie wypełnić swoje obowiązki. Zasiadłszy wygodnie na krześle, Wadelar daleko wyciągnął nogi, zapierając je o niski stopień, przecinający komnatę na pół. We wszystkich pomieszczeniach dobudowano takie stopnie, zgodnie z armektańskim obyczajem i tradycją. Były zbędne. Miały tylko przypominać swą uciążliwością, że należy być zawsze gotowym do niewygód. Armektańscy wojownicy sprzed wieków, ojcowie zdobywców Szereru, sypiali pod gołym niebem, trzymając łuki w dłoniach.

Skrzypnęły drzwi; za plecami siedzącego namiestnika rozbrzmiały lekkie, bardzo drobne kroki. Tylko jedna osoba miała prawo wchodzić w ten sposób do komnaty, w której przebywał. Obejrzał się i z uśmiechem spoglądał przez ramię na okrągłutką, ładną kobietkę, którą szczerze lubił — zamiast kochać... Nie umiał być jej mężem, ona zaś nie chciała być mu żoną. Matką, przyjaciółką i powiernicą, może starszą siostrą... Lecz nie żoną.

— Dlaczego nie jestem zdziwiona? — powiedziała z lekką ironią. — Zamyślony i trochę zły, trochę smutny i nie wiadomo jaki... Zawsze tak samo. Jaką trucizną częstuje cię ten wilk przebrany za kobietę? Czy choć raz wrócisz po rozmowie z jej godnością komendantką Terezą w innym nastroju niż dzisiaj?

Pokręcił głową i wzruszył ramionami, ale wszystkie te narzekania i łagodne wyrzuty go rozbroiły.

— Usiądź przy mnie — poprosił, wstając i przynosząc drugie krzesło. — Kiedy właśnie, Akea, jestem w innym nastroju niż zwykle. Czy Lenet już zasnęła? — zapytał, biegnąc myślami do syna.

— Zasnęła. — Uśmiechnęła się ciepło. — Gdy ma się cztery lata, każdy dzień jest niesłychanie męczący i bezsenność to puste słowo... Czekał na ciebie, czekał i czekał, a całe to czekanie trwało właśnie tak długo, jak mówię. Gdy zdmuchiwałam świecę, mówił, że czeka, a gdy zdmuchnęłam, spał. Ale nie uciekaj przede mną, chowasz się! — Pogroziła palcem. — Komendantka Tereza, no? Co ci zrobiła? Gdzie masz wbity zatruty kolec? Pokaż, wyrwiemy go.

— Nic mi nie zrobiła. Dzisiaj to ja wbijałem zatrute kolce.

— Opowiedz mi, jak je wbijałeś. Rzeczywiście, jest to jakaś odmiana. Roześmiał się. Akea roztaczała wokół siebie nieodmiennie ciepłą i pogodną aurę. Nie potrafił martwić się ani gniewać, kiedy była obok.

Spowaźniał.

— Nielojalny. Czuję się nielojalny wobec tysięczniczki Terezy — powiedział. — To suka, naturalnie, że tak. Ale wojsko potrzebuje suk. Jadąc tutaj, rozmyślałem o wszystkim, tylko nie o niej. Lecz teraz ty przychodzisz i pytasz, gdzie mi wbiła zatruty kolec... Otóż nigdzie. Ugryzła mnie, właśnie tak. A ja na to zasłużyłem, Akeo. Bo jestem wobec niej nielojalny.

Przekrzywiła głowę. Słuchała, umiała słuchać.

— Mówiłem ci przecież o Puszczy i o tym, jakie są plany Kirlanu. No więc ta gwardzistka, którą przysłali... — w kilku słowach opowiedział, jakie wrażenie wywarła na nim Agatra. — A wobec Terezy czuję się nielojalny, bo podzielałam jej zastrzeżenia. Nie wolno traktować jej w ten sposób. Albo ma zaufanie Kirlanu, albo nie. Staram się czasem ograniczać jej wpływy, bo na tym, między innymi, polega moje zadanie, zadanie Namiestnika Trybunału. Ale... zatajać przesądzony już termin

przestawienia garnizonu na wojenną stopę? A gdyby dowiedziała się już dzisiaj, to co? Zapytała mnie wprost — słuchasz, Akeo? — otóż zapytała mnie wprost: „Czy oni się obawiają, że z dnia na dzień obwołam Pogranicze niepodległym księstwem?”. I co miałem na to powiedzieć? Prywatnie to jest żmija i suka, ale jako tysięczniczka legii? Czy rzeczywiście komendantka Tereza poczyni jutro przygotowania do zbrojnego marszu na Kirlan? Sprzymierzy się z wojskiem Sey Aye i bandami grombelardzkich zbójów, po czym przyłączy Grombelard do Puszczy, tworząc sojusz dwóch nowych królestw ze stolicą w Akali? Jak można traktować w ten sposób zasłużoną i sławną wojowniczkę, która nigdy, nawet jednym słowem, a cóż dopiero czynem, nie sprzeniewierzyła się interesom cesarstwa? Czy jest w jej chlubnej przeszłości coś, o czym nie wiem? Jakaś plama, cień, skaza? Niemożliwe. Z racji swego stanowiska musiałbym znać takie sprawy.

— Twoje rozterki świadczą o tobie jak najlepiej — powiedziała. — Ale ja przecież wiem, że jesteś człowiekiem wyjątkowym, takim którego nie zepsuje władza ani... Bądź cicho, teraz ja. Mówię, że powiedziałeś jej to, co pozwolono ci powiedzieć. Nie ma w tym twojej winy i nie ma twojej nielojalności.

— Nielojalność to nielojalność, Akeo — uciął. — Osobista czy nie...

Nagle, trochę chaotycznie, zaczął mówić o wszystkim. O sprawach bardzo, bardzo ważnych. Takich które przez lata odsuwał od siebie.

— Akeo, czy ty nie widzisz, że coś się psuje... w całym świecie, w całym Wiecznym Cesarstwie? Zobacz, powstania w Morskiej Prowincji wybuchały co jakiś czas, ale były to zwykłe bunty, mniej lub bardziej kłopotliwe z wojskowego punktu widzenia. Garyjczycy wysokich rodów hałasowali o niepodległości, ale nie stał za nimi naród, zresztą, czy garyjscy magnaci wiedzą w ogóle o jakimś narodzie? Skądże, mają zawsze na myśli niepodległe królestwo, nie naród. Wszystkie rebelie tak tam wyglądały. Wszystkie poza ostatnią. Oderwano od imperium dwie małe wysepki, zapomniane skrawki lądu na Bezmiarach. Agary. Próbuujemy teraz zapomnieć o tej nazwie. Ale one tam są. Dwie wyspy, maleńkie pirackie księstwo.

— No właśnie, dlaczego to takie ważne? Słyszałam o tych... Agarach.

— Dlaczego ważne? Dlatego że, stłumiwszy bunt wielkiej prowincji, cesarskie wojska nie potrafią odzyskać dwóch wysepek! Za daleko. Zbyt

drogo. No i zbyt ryzykownie. Zaraz po powstaniu nasza flota była słaba, poniosła znaczne straty w walce z garyjskimi rebeliantami; potrzebne są pieniądze i czas, by przywrócić jej sprawność i siłę. A morscy zbóje, liczni i bitni, chcieli mieć swoje porty, gdzie można przeczekać sztormy, może też chcieli mieć jakiś... dom i kraj? Dom i kraj, Akea, to są bardzo niebezpieczne słowa. W imię tych dwóch słów armektańskie królestwo podbiło kiedyś cały Szerer. A teraz olbrzymie imperium, cesarstwo nazwane „wiecznym” nie potrafi sprostać zajadłości jakichś zbójów-marynarzy, którzy pazurami uczepili się dwóch skał i gotowi są raczej potopić łupy, utracić wszystkie okręty, złożyć na dnie morza swoje kości, niżli wpuścić na Agary... najeźdźców! Dlaczego? Co sprawiło, że uznali te wyspy za swoje? A może po prostu nigdy dotąd nie mieli żadnej ojczyzny?

Wadelar wstał i chodził po komnacie. Gestykulując, przedstawiał swe racje z żarliwością, na jaką rzadko sobie pozwalał. Obserwowała go w milczeniu.

— A przecież rozpadł się już Grombelard — ciągnął namiestnik, rozkładając bezradnie ręce. — Z innych powodów, ale chyba nieodwracalnie. Oglądaliśmy ten rozpad z Londu, pamiętasz, co wtedy mówiłem? Dziki kraj, zamieszkały przez równie dzikich górali... to nigdy nie było w pełni pod kontrolą. Po co zresztą? Wyrzynanie się pastuchów w wioskach u stóp gór, wzajemne porachunki różnych obwiesiów i banitów, zbiegłych między przełęczą i szczyty, to wszystko nikogo nie obchodziło. Położyliśmy kres wyprawom grombelardzkich rozbójników-rycerzy, zdobyliśmy ich górskie twierdze i przemieniliśmy w miasta, pojawił się tam jakiś handel, rzemiosło... Wszystko to, lepiej albo gorzej, działało przez długi czas. By nagle, za sprawą garstki pomyleńców, igrających z wiszącymi nad światem potęgami, upaść i pogrążyć się w chaosie. Ale przecież Pasma Szerni i Wstęgi Aleru nie spowodowały tej tragedii. To my, istoty obdarzone przez Szerń rozumem! Zawarto chyba jakiś tajny sojusz, bo nie widzę lepszego wyjaśnienia, by stracić Grombelard z powrotem w otchłań zupełnego bezprawia. Co tam teraz zostało? Kilka na poły opuszczonych miast, z których dawno już zbiegli wszyscy mający coś do stracenia... Dziki trakt, którym nikt nie waży się podróżować bez asysty silnego oddziału... Przecież Tereza słusznie żądała już przed trzema laty, by postawić jej garnizon w pełną gotowość

bojową. Pozostaje kwestią miesięcy, kiedy zbrojne bandy znów najadą wioski w Armeckie i Dartanie, by następnie uciec przed pościgiem w dzikie góry. Jak przed wiekami! Cofnęliśmy się o całe wieki!

— Nie spełniono żądania Terezy, bo nie było na to pieniędzy — zauważyła Akea.

Wadelar nagle oprzytomniał. I więcej — zdał sobie sprawę, że ta cicha i łagodna kobietka, pochłonięta na co dzień tylko dzieckiem, stroniąca od wszystkiego, co wypełniało mu życie, nie jest ślepa, głucha... ani głupia.

— Nagle się znalazły — powiedział. — Przecież garnizon Akali przechodzi na stopę wojenną.

— Słuchasz plotek, Namiestniku Sędziego? — zapytała ze swoją ciepłą ironią.

— Jakich plotek? Nie, nie słucham.

— Powinieneś, przecież na tym polega twoja praca.

— Na słuchaniu plotek?

— Plotki często zawierają ziarna prawdy. Odbudowa zniszczonej przez wojnę Garry, odtwarzanie wojennych flot, zamieszenie w Grombelardzie i to wszystko, o czym mówiłeś, pochłonęło takie sumy, że dopiero teraz, wobec groźby utraty kontroli nad Puszcą Bukową, imperator zdecydował się sięgnąć do zapasowej szkatuły. Być może zresztą szkatuły prywatnej.

— To naprawdę są plotki — rzekł Wadelar.

— Tak. Że imperator zastawił część majątków, które wniosła mu w posagu małżonka... To są plotki, mężu.

— Co ty możesz wiedzieć o tym wszystkim?

— Co mogę? Zapytaj raczej, co ja muszę wiedzieć.

— Musisz?

— Ależ muszę, będąc żoną dużego chłopca, który z lada powodu czuje się nielojalny i zbrukany. Chłopca, który w ogóle nie nadaje się na swoje stanowisko i gotów jutro popełnić jakieś głupstwo, od którego ucierpi przyszłość jego syna. Muszę wiedzieć na przykład, że jeżeli coś złego wydarzy się w Dartanie, to dla Wiecznego Cesarstwa nadejdą ciężkie czasy. Prędzej albo później znów wybuchnie powstanie za morzem, bo Garyjczycy nigdy nie wyrzekną się snów o wskrzeszeniu swego wyspiarskiego mocarstwa. A magnaci dartańscy już teraz

korzystają z osłabienia Kirlanu, by powiększyć swoją, i tak nazbyt dużą, niezależność.

— Owszem, i co uczyniono, żeby temu zapobiec? Otóż snuje się zawiłe intrygi, nie ufając zarazem wiernej i zasłużonej dla cesarstwa wojowniczce. To jest... to nie po armektańsku, Akeo.

— Ty wiesz, co jest po armektańsku.

Po raz pierwszy w życiu rozmawiała z nim w taki sposób. Okłamała go. Nie przyszła po to, by wyrwać zatruty cierń. Przyszła, by go wbić. Skąd wychyłała ta istota, której w ogóle nie znał?

— Jesteś zbyt miękki, nie masz prawa być taki — powiedziała, wstając z krzesła. — Masz robić, czego od ciebie żądają, i to robić dobrze. Masz syna i nie pozwolę, byś go skrzywdził przez zbędne i niemądre skrupuły.

— Ja miałbym skrzywdzić... naszego syna? — wymamrotał ogłuszony. — Co w ciebie dzisiaj wstąpiło?

— Nic nie wstąpiło, było zawsze. Masz robić, co do ciebie należy — powiedziała. — Nic więcej i nic mniej. Zawsze za dużo myślałeś, a żąda się od ciebie nie rozterek, lecz całkowitej lojalności. Wobec Kirlanu, nie wobec jakiejś żołnierki. Nie wiem, co ci wbiła do głowy tysięczniczka Tereza. Widzę tylko, że po raz pierwszy gotów jesteś iść za nią na sznurku. Ta kobieta oczywiście mogłaby dopuścić się zdrady, widzę to wyraźnie. A jeśli ty tego nie widzisz, to źle.

7.

Podsetniczka Agatra nie spieszyła się z wyjazdem; przeciwnie, pobyt w Akali wyraźnie przypadł jej do gustu. Tereza nie pytała, jakie są powody tej zwłoki w podróży. Zdawała sobie sprawę, że gwardzistka nic jej nie powie, czy też raczej powie tylko tyle, ile może. Wyglądało na to, że Agatra czeka na kogoś.

Nie była jednak uciążliwym gościem. Formalnie, na czas pobytu w Akali, oddała się pod rozkazy tysięczniczki, nalegając wręcz, by jej żołnierzy użyto z pożytkiem dla garnizonu. Tereza nie widziała sensu w posyłaniu łuczników na uliczne patrole — nie znali miejscowych warunków ani nawet rozkładu miasta. Natomiast chętnie przystała na użycie ich do służby wartowniczej, tradycyjnie nie lubianej przez

żołnierzy. Widok gwardzisty w armektańskiej tunice, karnie stojącego na warcie przy bramie albo zbrojowni, znakomicie wpływał na morale. „Nie jemy darmo chleba” — zdawali się mówić ci żołnierze. — „Biliśmy się świetnie tu i tam, więc jesteśmy w armektańskiej gwardii, ale teraz nie walczymy i możemy nawet stać na warcie”. Nawet — bo do służby wartowniczej i patrolowej doborowych oddziałów zwykle nie używano.

Cenne też były wzajemne kontakty. Komendantka Akali z przyjemnością zauważyła, że gwardziści nie próbują się wywyższać; przeciwnie, chętnie przestają z jej legionistami. Doszło nawet do pewnego... hm, braterstwa broni. Któregoś dnia po służbie mieszana grupka żołnierzy pozwoliła sobie poużywać w jednej z karczm; piwo okazało się zbyt krzepkie. Nie doszło do żadnej awantury, niemniej, na prośbę strapionego oberżysty, pijaków obudzili, a potem z trudem zawlekli do kwater, koledzy z ulicznego patrolu. Winowajcy nie mieli mundurowych tunik ani broni, zaś czasem wolnym mogli dysponować według własnego uznania, komendantka znalazła więc podstawy, by przymknąć oczy na — niewinny w końcu — wybryk. Żadnych dyscyplinarnych kar nie było. Niemniej, rankiem dnia następnego, cały garnizon śmiał się do rozpuku, oglądając jedyne w swoim rodzaju zajęcia na padoku. Schorowani i bladzi, walczący z bólem głowy gwardziści i legioniści pospołu, dyszeli pod ciężarem kolegów, którzy przynieśli ich w nocy. Tereza dość starannie oceniła odległość dzielącą karczmę od bramy garnizonu. „Czterdzieści okrążeń każdy” — zarządziła. — „Jakaś sprawiedliwość być musi”. W ten sposób armektańscy gwardziści na dobre już zbratali się z akalczykami.

Słodką sielankę zakłócało tylko jedno: kobiety.

W garnizonie akalskim nie było ich zbyt wiele. Mniej niż w garnizonach armektańskich. Żołnierze Potrójnego Pogranicza wywodzili się z trzech krajów, a w Dartanie i Grombelardzie idea kobiety-żołnierza nie była zbyt popularna. Dartańczycy z orężnymi kobietami, walczącymi na prawach mężczyzn, zetknęli się dopiero w armiach armektańskich. Było to zetknięcie bolesne, niemniej pozostało bez wpływu na wyobrażenia Dartańczyków o wojnie, i ogólnie o roli i możliwościach kobiet. Prowadzony w Złotej Prowincji nabór w ogóle nie dostarczał żołnierek. Do Legii Dartańskiej — będącej w końcu wojskiem imperialnym — trzeba by kierować Armektanki. Nie czyniono tego,

szanując miejscowe nawyki i zwyczaje. W Grombelardzie z kolei służba była tak ciężka, że żołnierki trafiały się zupełnie wyjątkowo. Po wycofaniu z gór resztek Legii Grombelardzkiej szeregi wojsk w innych prowincjach zasiliło ledwie kilka kobiet; Tereza miała pod komendą jedną jedyną Grombelardkę. W całym garnizonie z trudem dało się naliczyć kilkanaście legionistek.

W gwardyjskim klinie, wraz z Agatrą, było siedem.

Wredne suki — z grubsza biorąc, taka była opinia Terezy o kobietach w wojsku. Sama zresztą miała się za wredną sukę, pod niektórymi względami. Doskonale znała przyczyny. Otóż nie istniały w Armekcie żadne formalne ograniczenia, dotyczące naboru kobiet do legii. Ale nie istniały też żadne przywileje. Zgłaszająca się do wojska kandydatka na żołnierza musiała wykazać się tym wszystkim, co potrafili mężczyźni. Z oczywistych powodów rzadko która mogła. Do legii więc trafiały tylko te dziewczyny, które w zamian za niedostatki tężyzny i krzepy, potrafiły ofiarować coś innego, dla wojska wartościowego. Zwykle było to niechybne oko, umiejętności strzeleckie na tak wysokim poziomie, że warto było machnąć ręką na parę niedomagań, by pozyskać wyborny materiał na łuczniczkę. Trafiały więc do szeregów dziewczyny, które od samego początku musiały udowadniać, że pod pewnymi względami są dużo lepsze od mężczyzn. Z czasem wchodziło to w nawyk i stawało się nieznośną przywarą.

Łuczniczki Agatry nie bratały się z legionistami — i nie uczyniłyby tego nawet na wyraźny rozkaz swojej podsetniczki. Oprócz jednej, w stopniu dziesiątniczki, wszystkie trzymały się razem (co nie znaczy, że w miłej zgodzie; coś takiego nie mogło panować w gronie pięciu kobiet). Władzę Terezy w pełni honorowały, ale nie było w Akali takiego mężczyzny, któremu by zeszyły z drogi. Nadsetnicy Terezy — o niższych szarżach nawet nie wspominając — zaczęli zgrzytać zębami. Ujmując rzecz ściśle regulaminowo, żołnierzowi gwardii miał prawo rozkazywać tylko oficer gwardzista. Tysięczniczka legii Tereza była ledwie honor-podsetniczką gwardii (co znaczyło, że dowodzić mogła co najwyżej klinem lub półsetką). Jej zastępca także był honor-podsetnikiem; reszta oficerów miała stopnie dziesiątników lub zwykłych honor-gwardzistów, a większość wcale nie przynależała do gwardii. Lecz praktyka służby nie zawsze szła w parze z suchymi regulaminami. Dobrym obyczajem

wojskowym było uznanie starszeństwa gospodarzy danego garnizonu, placówki czy posterunku.

Dobrym obyczajem...

Łuczniczki Agatry udawały, że nie zauważają szarych pasków, oddzielających czerń akalskich tunik od białych obszyć stopnia na rękawach. Zmuszone do tego, przepraszały honor-dziesiątnika. Zwykłych honor-gwardzistów zupełnie ignorowały. Innych oficerów gotowe były obrażać. Nadszedł wreszcie dzień, gdy Tereza uznała, że dosyć. Posłała kadrowy klin piechoty dla złuzowania wysuniętego posterunku, utrzymywanego przez Potrójne Pogranicze na terenie Drugiej Prowincji. Następnego dnia wieczorem w garnizonie stawili się akalscy gwardziści. I gwardzistki... Tysięczniczka podjęła wyzwanie.

Po rozpadzie Grombelardu komendantka Akali najzwyczajniej w świecie zaczęła podkradać i podkupywać żołnierzy. Wycofanie resztek garnizonów z górskich miast zaowocowało przeniesieniem części legionistów do Londu, wielkiego portowego miasta na północy — byli to ci, którzy nadawali się do służby w straży morskiej. Całą resztę wcielono do Legii Garyjskiej, gdzie, po niedawnym powstaniu, wciąż jeszcze potrzebowano uzupełnień. Do Armektu i Dartanu odesłano materiał zupełnie bezwartościowy, więc żołnierzy chorych lub zdemoralizowanych. Ale oprócz tego trochę weteranów, których kontrakty wojskowe wygasały lada dzień. Lond, nowa stolica Grombelardu, miał sporo kłopotów z reorganizacją własnego garnizonu, nakładały się na to problemy związane z zaokrętowaniem żołnierzy mających płynąć na Garre, odnawianie kontraktów powierzono więc Akali. Wybór oczywisty — miasto leżało w takim miejscu, że każdy, kto szedł do Armektu lub Dartanu, musiał doń zawitać.

Pośród wszystkich wiarusów, zdatnych jeszcze do służby, a chcących odnowić kontrakt, było kilku grombelardzkich gwardzistów. Tereza znalazła też paru zwykłych legionistów, których staż i chlubny przebieg służby kwalifikowały do wojsk elitarnych. Nie wypuściła już tych ludzi z rąk. Trudno zresztą powiedzieć, by trafiła na poważne kłopoty z werbunkiem. Akala, nie mająca nic wspólnego z grombelardzkimi górami, była przecież położona najbliżej i żołnierzom wydawała się przez to bardziej swojska. Nie bez wpływu pozostawał wygląd miasta, pełnego pamiątek po grombelardzkim rozdziale dziejów.

Wreszcie sama osoba tysięczniczki, znanej i sławnej żołnierki, gwarantowała wysoki prestiż służby. Odnawiający kontrakty wojownicy chętnie prosili o przydział do Akali, a Tereza, w imieniu imperatora, równie chętnie te prośby spełniała... Tak Potrójne Pogranicze zyskało dwie dziesiątki własnych gwardzistów: jedną pełną i jedną kadrową. Doborowy ten oddziałek siedział w małej placówce obserwacyjnej, mając pilne baczenie na wszystko, co działo się w ogarniętej chaosem grombelardzkiej prowincji. Nie było to całkiem zgodne z prawem — żołnierze Potrójnego Pogranicza nie powinni służyć w Grombelardzie. Lecz groźba zbójceckich napadów na tereny Armektu i Dartanu rysowała się tak realnie, że zwierzchnicy Terezy w Kirlanie milcząco zaaprobowali posunięcie, zaś Księżna Przedstawicielka Cesarza w Londzie udawała, że niczego nie widzi. Prawdę rzekłszy, Tereza zdjęła jej z karku spory kłopot.

Teraz komendantka Akali, przy pomocy swych najlepszych żołnierzy, zamierzała utrzyć komuś nosa.

*

Zachowanie dwóch akalskich gwardzistek tak wyraźnie odstawało od tego, co pokazywały armeckańskie koleżanki, że najgłupszy z żołnierzy garnizonu natychmiast musiał pojąć, w czym rzecz... Zacierano ręce ukradkiem a radośnie. W każdym wojsku świata żołnierze różnych formacji rywalizują ze sobą, niezależnie od łączących ich często koleżeńskich więzów. Tutaj zaś chodziło o coś więcej: stawały w szranki już nawet nie dwie formacje i nie dwa garnizony, lecz dwie różne armie, wspólnie służące cesarstwu, ale każda w innych mundurach. Akalscy gwardziści nie zdążyli nawet zameldować o swoim przybyciu, a Tereza już miała dowody, jak mądrą podjęła decyzję. Pewnie, leżały u jej źródła przekora i poirytowanie... Żołnierze garnizonu jednak naprawdę zasłużyli na wsparcie. Obecność elitarnego, mającego do spełnienia jakąś wyjątkową misję, obcego oddziału, była jednak deprymująca, zaś buta okazywana przez gwardzistki zaczynała wołać o pomstę. Akalski legionista, całkowicie bezbronny wobec wrednych armeckańskich bab, czuł się wręcz upokorzony sposobem, w jaki łuczniczki traktowały jego oficerów. Przełożonych, których słuchał i którym okazywał szacunek. Nie łagodziła tego bezpośredniość armeckańskich kolegów-gwardzistów. Tereza, ujrzawszy satysfakcję swoich ludzi, zrozumiała naraz, że nie

doceniła wagi problemu. Pięć pustogłowych dziewczyn mogło jej rozłożyć garnizon... Na szczęście, żołnierze teraz mieli już swoich własnych gwardzistów. Z przybyłymi witano się serdecznie, tak serdecznie, jak nigdy dotąd, a już „własne” gwardzistki wręcz wyrywano sobie z rąk (były najwyraźniej speszzone tą owacją). Ale pod komendą Terezy nie było mowy o żadnych fochach żołnerek i wszyscy legioniści garnizonu chcieli to koniecznie pokazać.

Agatra odnalazła Terezę w jej kwaterze na szczycie baszty. Zameldowała się regulaminowo, lecz tysięczniczka tylko machnęła ręką. Wyglądała przez okno.

— Straszne zbiegowisko na majdanie — powiedziała Agatra. — Ale widzę, że już o tym wiesz?

Tereza wzruszyła ramionami.

— Niech się cieszą. — Wskazała okno. — Przecież to są dzieciaki.

Agatra uniosła lekko brwi.

— No, dzieciaki — powtórzyła komendantka, siadając za swoim stołem. — Nigdy nie przyszło ci to na myśl? Ktoś się nimi stale opiekuje, mówi, co mają robić, nie ponoszą za te decyzje żadnej odpowiedzialności... Nie muszą myśleć o posiłkach, ani o tym, co włożyć na grzbiet. Więc gdy tylko mają trochę wolnego czasu, to zaraz zaczynają się bawić. Wypełnianie poleceń, a w wolnych chwilach zabawa... Czym innym jest życie dziecka?

Agatra, z niejakim trudem, znalazła sobie wolne miejsce do siedzenia.

— Naprawdę, straszną masz tu graciarnię, wasza godność — powiedziała z uśmiechem.

— Nie wiem, po co to trzymam. — Tereza zaśmiała się, zawstydzona. — A właściwie może i wiem... W wojsku panuje porządek. Tutaj od tego uciekam, ten bałagan jest mój własny, nie wojskowy. Kiedyś, jeszcze w naszej stancy — uśmiechnęła się porozumiewawczo — strasznie drażnił mnie bałagan w izbach oficerów. Potem zestarzałam się trochę i chyba zrozumiałam, skąd się brał.

— Bardzo się zmieniłaś — poważnie powiedziała Agatra.

— Czy to dziwne? Mam dwa razy więcej lat. A ty? Co zostało z tamtej Agatry?

— Niewyparzony język. No i wciąż strzelam z łuku, jak kiedyś.

— Zgoda. I to już wszystko.

Zmieniła temat.

— Nie panujesz nad swoimi podkomendnymi — powiedziała.

Gwardzistka zjeżyła się troszeczkę — Tereza trafiła w bardzo czuły punkt.

— Masz na myśli moje łuczniczki?

— Nie są lepsze niż łucznicy. Dlaczego pozwalasz, żeby uważały inaczej?

— Bo myślę tak samo jak one — padła sucha odpowiedź. — Są lepsze. Są dużo lepsze.

— Może lepiej strzelają. Ale kiedyś dojdzie do siłowej młócki, a wtedy oddasz je wszystkie za jednego tęgiego rębajłę.

— Są twardsze — powiedziała Agatra. — Zapomniałaś już, jak trudno dostać się do wojska bez... no, tego? — Pokazała okolice zbiegu ud.

— Wciąż mi „to” nie wyrosło, więc wiem. Sprowadziłam swoich gwardzistów, żeby ustawili twoje podkomendne na właściwym miejscu — oznajmiła otwarcie. — Może przyda im się mała lekcja.

— To mój oddział, nie wtrącaj się w moje dowodzenie, wasza godność — lodowato powiedziała Agatra.

— Ani mi to w głowie. Ale tutaj jest mój garnizon. Mówię tylko, żebyś wzięła swoje podkomendne na smycz. Już raz o to prosiłam, tylko oględniej — przypomniała. — Teraz po prostu ostrzegam.

— Przed czym?

— Przed moimi gwardzistkami. Zderzenie może być bardzo nieprzyjemne. Masz zadanie do wykonania, chcesz mieć pełnowartościowy oddział, no to pilnuj, żeby nikt nie naruszył jego morale.

— Nie rozumiem, o czym mówisz, wasza godność — bardzo oficjalnie oznajmiła Agatra.

Tereza wzruszyła ramionami. Zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, co namiestnik Wadelar odgadł na pierwszy rzut oka: ta gwardzistka nie umiała się cofnąć, a sztuka pójścia na kompromis była jej całkiem obca...

Lecz może właśnie ktoś taki był potrzebny w Puszczy Bukowej?

Zgodnie z wojskowymi regulaminami służbę pełniła trzecia część żołnierzy garnizonu. Z pozostałych połowa miała wolne, druga połowa także, ale tylko na terenie koszar. Żołnierze ci musieli być w mundurach i pod bronią, gotowi do natychmiastowego użycia, gdyby zaszła taka potrzeba. Legioniści, trochę żartobliwie, nazywali to „wolną służbą”.

Kwatery żołnierzy składały się zwykle z dwóch pomieszczeń: większe było wspólną sypialnią, w drugim składowano podręczny ekwipunek i broń. Po przejściu na stopę wojenną do pomieszczeń sypialnych wstawiano po prostu dodatkowe prycze, zsuwając je tak ciasno, jak to było konieczne. Bogata Akala stanowiła pod tym względem jeden z nielicznych wyjątków: rozbudowane w oparciu o starą twierdzę koszary były duże i wygodne, przewidziano nawet dodatkowe izby sypialne. W okresie pokoju stały tam stoły i ławy; żołnierze nie musieli grać w kości na pryczach, zaś odpoczywający mieli możliwość dobrze się wyspać, bo ci z wolnej służby nie hałasowali tuż nad ich głowami.

Po forsownym marszu do miasta ściągnięci z grombelardzkiej placówki żołnierze najpierw solidnie się wyspali. Na porannym apelu dziennym rozkazem komendantki otrzymali dodatkowy przydział czasu wolnego — i już w parę chwil później rzeczą niemożliwą było znaleźć na terenie garnizonu choć jednego akalskiego gwardzistę. Uroki dawno nie oglądanego miasta stanowiły zbyt wielką pokusę. Wrócili dopiero wieczorem, by objąć podwójną wolną służbę (zwykła służba gwardzistów nie obowiązywała). Dopiero wtedy znalazł się czas na pogawędkę. Siedzący w garnizonie legioniści chwalili gości z Armektu, a opowieść o losach szajki pijaków wciąż wzbudzała powszechną wesołość. Rzecz jasna, do beczki miodu natychmiast dodano dziegiu — postawa armeктаńskich gwardzistek drażniła wszystkich bez wyjątku. Ale temat nie utrzymał się zbyt długo. Gwardziści mieli nowiny z Grombelardu — i nie były to wieści pomyślne. Załoga małej placówki musiała coraz częściej szczerzyć zęby, utrzymując na wodzy rozmaite niesforne żywioły. Trwano tam w stanie półwojny; zwykły patrol mógł zakończyć się bójką, lub nawet zbrojną potyczką. Gdyby w Grombelardzie istniała sprawna władza, każdego dnia żołnierze oddawaliby kogoś w ręce Trybunału — ale władzy nie było, a półlegalnie przebywający w prowincji akalczycy nie mogli posyłać schwytanych rzezimieszków namiestnikowi w Akali. Pozostawał kij. Lecz kij nie mógł

się równać z zamknięciem w twierdzy więziennej czy zesłaniem do kopalń soli, a cóż dopiero ze stryczkiem. Wszelkie typy spod ciemnej gwiazdy dawno już zdały sobie sprawę z całkowitej bezkarności. Było tylko kwestią czasu, kiedy zaczną skupiać się w silne, uzbrojone bandy, przeciw którym patrol nic nie wskóra. Gdyby garnizon Akali przestawiono na wojenną stopę choć rok temu i dano mu trochę większe uprawnienia, można by tłumić takie poczynania w zarodku. Ale była tylko jedna placówka, której obsada biegła to tu, to tam... Nieliczni kupcy, ruszający jeszcze do Grombelardu, zapewniali sobie eskortę orężnych pachołków. Było jednak jasne, że już teraz dla podtrzymania, a cóż dopiero ożywienia handlu, potrzebna jest asysta regularnych oddziałów wojskowych. I stała kontrola nad kupieckim szlakiem.

Do kwatery gwardzistów coraz liczniej napływali chciwi wieści słuchacze. To, co opowiadano przy stołach w dziennej izbie, dotyczyło wszystkich. Przeważały mieszane uczucia: legioniści mieli szczerze dosyć rutynowych ulicznych patroli, bardziej aktywne działania poza granicami miasta mogły przynieść odmianę, dać szansę wyróżnienia się, awansu — z drugiej jednak strony, nie o takich bojach marzyli żołnierze. Utarczki z rzezimieszkami nie mogły przynieść chwały. Jeszcze przed kilkoma laty górskie bitwy z oddziałami rozbójników zdarzały się wcale nierzadko. Ale były właśnie bitwami — postawa karnych oddziałów pod wodzą słynnych hersztów wzbudzała pewien szacunek. W Grombelardzie zawsze, w tle władzy cesarskiego przedstawiciela, istniało mroczne imperium bezprawia. Jednak ktoś tym rządził. Rozbójnicy mieli swego króla, a ostatnio królową, organizowali się na sposób wojskowy, istniały pewne ogólnie przestrzegane reguły. Nikt nie atakował karawany pustych wozów; ba, rzadko mordowano kogokolwiek na szlaku. Samotny wędrowiec musiał oddać sakiewkę, ale życie tylko wtedy, gdy był głupi. Kupcom pozwalano wykpić się haraczem, i to na tyle niskim, by nie przeraziła ich wizja ponownego odwiedzenia górskich miast. Ktoś stał za tym wszystkim, żelazną ręką sprawując kontrolę. Zdarzało się, że przed bramą garnizonu miejskiego jacyś ludzie porzucali trupa — i z reguły był to trup szaleńca, albo zwyrodnialca, ściganego przez Trybunał i legie. Niewidzialni egzekutorzy zdawali się mówić w ten sposób: „Nie mamy nic wspólnego ze zbrodniami tego człowieka, nie musicie już płatać się po górach, macie go”. Wojna toczona w ten sposób, z takim

przeciwnikiem, nie była czymś obmierzłym.

Ale teraz? Teraz legioniści stykali się ze zbirami, mordującymi dla przyjemności, a lada dzień miały nadciągnąć bandy łotrów podpalających jakąś wioskę tylko po to, by odwrócić uwagę od drugiej. Zgraje, które więcej niszczyły, niż brały, złożone z bezmyślnych zwierząt, które należało co najwyżej wytępić. Tu nie było miejsca dla sławy.

Była późna noc, a w wielkiej izbie wciąż jeszcze rozprawiano z ożywieniem, toczono spory. Pozostało najwyżej dwadzieścia parę osób, w tym czwórka armektańskich łuczników. Przyszli dosyć późno; teraz ich pytania i opinie rozpały rozmowę na nowo.

— Trzeba tu zbudować stanicę — dowodził jeden z armektańskich żołnierzy. — Tak jak na Północnej Granicy.

— Właśnie po to kiedyś zdobyto Grombelard, żeby nie budować stanic — wytłumaczył jeden z legionistów.

Ten trzydziestoparoletni człowiek nazywał się Elg i przed laty był szpiegiem Trybunału. Obrzydła mu krecia robota i zaciągnął się do Legii Grombelardzkiej, pomimo licznych przeszkód; Trybunał niechętnie widział w wojsku kogoś znającego różne sposoby i wybiegi, używane przez tajnych urzędników. To dlatego właśnie dartański szpicel zaciągnął się w Grombelardzie — nie chciał być prześladowany. Dowódcy legii mieli na temat jego przydatności do służby zdanie akurat odwrotne niż Trybunał i Elg został żołnierzem. Bardzo wyjątkowym, co prawda, bo główną jego zaletą była wiedza, nie umiejętności wojskowe. Lecz — uparty i wytrwały — zdobył je. Był dobrym legionistą, ze stopniem dziesiątnika czekającym w zasięgu ręki — Tereza wcale nie kryła, że nominacja nastąpi natychmiast, gdy zwolni się jakiś etat.

— Stаницe dużo kosztują — mówił dalej Elg. — Garnizony w Grombelardzie pilnowały porządku, w samych miastach żyło się dość bezpiecznie, byli rzemieślnicy i kupcy, karczmarze i kamienicznicy, a wszyscy płacili podatki. Stаницe nie płacą podatków, a kosztują tyle co garnizony w miastach. Nawet więcej.

— Tak było kiedyś — upierał się Armektańczyk. — Ale teraz musicie mieć stаницe i warowne placówki, tak jak u nas. Cesarz nie podbije Grombelardu po raz drugi, a w każdym razie jeszcze nie teraz. Nie zanosz się.

Było w tym sporo racji.

— Strasznie dużo wojska będzie trzeba — zafrasował się ktoś w kącie izby.

— Wcale nie tak dużo. A jak zrobi się ciężko, to na pewno przyjdzie gwardia — powiedziała armektańska łuczniczka. — Wy trzymacie już jedną placówkę, obsadzi się parę innych... — mówiła do akalskich gwardzistów. — Nic nie przejdzie przez taki kordon.

Zaległo krótkie milczenie. Widać prędzej czy później musiał nastąpić zgrzyt. Słowa, które miały być chyba jakimś wyrazem uznania dla siostrzanego oddziału gwardii, uraziły wszystkich legionistów. A więc rozważania, jak to będzie na wojnie ze zbójcami, są niepotrzebne i głupie. I tak wszystko robi gwardia. Tylko elitarne jednostki zdołają zaprowadzić porządek. Legioniści z Potrójnego Pogranicza, a choćby i z Armektu — nie.

— Gwardii Grombelardzkiej już nie ma — powiedziała z uśmiechem kuszniczka Ganea, jedyna Grombelardka w garnizonie. — A nas tutaj jest na razie za mało.

Armektanka nie pojęła, o co chodzi.

— Przyjdzie Gwardia Armektańska — orzekła z takim przekonaniem, jakby sama mogła to sprawić.

— U was wszędzie posyła się gwardię? — pytała zdziwiona Ganea, zupełnie nie pojmując w czym rzecz.

Łuczniczka uważnie przyjrzała się rozmówczyni. Ganea była... prawie odrażająca. Pomimo (a może zwłaszcza dlatego) że jej twarz nosiła ślady bujnej urody. Lewa strona głowy wciąż jeszcze należała do pięknej i niestarej, bo trzydziestoparoletniej kobiety. Z prawej strony jasnożółte włosy odchyłały się czasem, odsłaniając starą ranę na skroni: wrogie ostrze ścięło tam płat skóry. Inny oręż (a może ten sam?) niemal odrąbał policzek, który musiał, po tym ciosie, wisieć na płacie mięsa. Całość na powrót przyrosła do twarzy, ale straszne blizny pozostały. Okropnie wyglądały też przedramiona, wystające spod krótkich, nierównych rękawów kolczugi i narzuconej na nią tuniki. Ktoś pociął je nożem, raz przy razie. Na lewym przedramieniu było ze dwadzieścia blizn, na prawym tylko cztery, ale za to szerokie.

Ganea nie była nadzwyczajnie bystra. Marszcząc brwi, zastanawiała się nad losem armektańskich żołnierzy.

— Strasznie tam wami orzą — powiedziała. — I wszędzie was tak

posyłają?

— Nie — powiedziała skonsternowana Armektanka. — Przecież narzekaliście, że jest was za mało.

— No, ale jak tysięczniczka dostanie wreszcie pozwolenie, żeby uzupełnić nasz legion do pełnego stanu, to jeśli Legia Armektańska i Dartańska będzie nam pomagać...

Jedna mówiąc „my” myślała „gwardia”, podczas gdy druga — „żołnierze”... Nie mogły dogadać się w ten sposób. Może też zawinił trochę język. Kinen — zubożony armektański — ułatwiał poruszanie się po całym Wiecznym Cesarstwie i umożliwiał porozumienie, ale jednak nie bardzo nadawał się do trudnych rozmów.

— Uzupełnią wasz legion gwardią?

— Nie... Dlaczego gwardią?

— Ona mówi — odezwał się w końcu Elg — że legia nie poradzi sobie tutaj. Dlatego potrzebna będzie gwardia. Armektańska, bo akalskiej jest za mało.

Ganea pojęła wreszcie, o co chodzi armektańskiej łuczniczce. Ale nie zauważyła pełnej napięcia ciszy, w jakiej toczyła się rozmowa. Wszyscy czekali na ciąg dalszy.

— Mówisz, że oni — Grombelardka pokazała palcem legionistów — nie dadzą tu sobie rady? A wy dacie?

Jeden z Armektańczyków chciał zmitygować koleżankę. Nic z tego nie wyszło.

— No, to chyba jasne? — zapytała.

Ganea lubiła każdego, kogo spotkała. Ale czasem przestawała lubić. Nagle.

— Ja się nazywam Ganea. A ty?

— Kerita.

— Kerita. Słuchaj, Kerita, to wszystko są gwardziści — powiedziała kuszniczka, znowu pokazując swoich kolegów w jednolicie czarnych tunikach. — Wiesz, czym się od nich różnimy? My już mamy do połowy szare mundury, a oni dopiero będą mieli. Zdobędą je i przejdą do gwardii. Tak jak ty przeszłaś z legii do gwardii. Gwardia nie przyszła, żeby zabrać twoją robotę, dlatego zrobiłaś ją sama, wyróżniłaś się i jesteś gwardzistką.

Nic lepszego nie dało się powiedzieć. Na twarzach akalczyków

zagościły uśmiechy. Ale rozmowa, niestety, nie skończyła się jeszcze... Tam, gdzie mężczyźni przerwaliby spór, kobiety dopiero zaczynały.

— A gdyby ktoś w Akali potrzebował pomocy — Ganea nie dopuściła Armektanki do głosu, nie wiedząc, że już zwyciężyła — to nie łuczników z Armektu. Jesteście na pewno świetni u siebie, ale tutaj nie jest Armekt i Legia Akalska poradzi tu sobie lepiej — niepotrzebnie przeciągała strunę.

— Co masz do łuczników z Armektu? — zapytała tamta, odpychając kolegę, który ujął jej ramię. — Nie szarp mnie... Kto sobie poradzi lepiej? Oni lepiej niż Gwardia Armektańska?

— Wy lepiej u siebie, a my lepiej u siebie.

— Armektanka wszędzie jest u siebie.

To był cios poniżej pasa; tego Grombelardka nie przełknęła.

— Armektanka dostanie grombelardzką nogą w dupę — powiedziała, wstając z ławy. — Chodź no tutaj.

Dwudziestu chłopca rzuciło się zewsząd i przytrzymało wojowniczkę. Kłócono się, hałasowano, tłumaczono.

— No już, nie pobiję jej! — powiedziała wreszcie Ganea.

— Wycięłabym ci parę nowych szram na rękę — odparła łuczniczka, której zabrano nóż.

Nieoczekiwanie ktoś się zaśmiał. Zawtórował mu drugi, a potem reszta, bo akalczycy znali tajemnicę blizn na ramionach Grombelardki... Po chwili śmiechy umilkły.

— Nie, kwiatku — powiedziała właścicielka pokarbowanych przedramion. — To już robię se sama. Gdybym dostała cię z kuszy, to trafiłabyś tu, a gdybym cię udusiła albo zarznęła mieczem, wtedy tutaj. — Pokazała gęsto pobliznioną rękę, a potem drugą, na której były tylko cztery znaki.

Armektanka nie wiedziała, co powiedzieć.

Mężczyźni wypiliby piwo. Kobiety były w połowie drogi.

— Nie mam nic do twojego łuku — rzekła Ganea. — Tylko co to w ogóle za broń?

Teraz już obrażała wszystkich łuczników świata.

— Chodź, Kerita — powiedział jeden z Armektańczyków.

— Nie. Chcę posłuchać, co ona mówi.

— Masz. — Ganea rzuciła na stół bełt do kuszy. — A ty używasz

takich? — Pokazała kołczan gwardzistki.

Kerita wyjęła smukły, piękny pocisk, zakończony liściastym grotem. Grombelardka obejrzała go dokładnie, po czym zupełnie nieoczekiwanie wzięła zamach — i przybiła sobie dłoń do stołu. Ktoś sapnął zaskoczony. Jakiś legionista plasnął się dłonią w czoło, zapanowało powszechne poruszenie.

— Teraz ty — z lekką chrypką powiedziała kuszniczka, ruchem głowy wskazując swój pocisk.

Zaległa martwa cisza. Kerita powoli wzięła bełt, przeznaczony do ciężkiej, napinanej korbą kuszy. Miał grubość męskiego palca... Czworograniasty grot mógłby służyć do łupania orzechów.

— Zostaw to, Kerita — powiedział armektański gwardzista. — Będzie tego na dzisiaj. Zostaw to, no już.

Dla wszystkich było jasne, że jeśli dziewczyna przebije sobie rękę tym... czymś, to już nigdy nie będzie strzelać z łuku. Miałaby pogruchotane kości dłoni.

Armektanka powoli odłożyła bełt, spojrzała na Ganeę, odwróciła się i wyszła. W ślad za nią ruszyli armektańscy łucznicy. Po chwili w izbie pozostali sami gospodarze.

Jeszcze przez chwilę panowało milczenie.

— No... to teraz niech ktoś to przełamie — powiedziała Ganea, pokazując promień strzały. — Może jakoś... wyjmujemy, co?

Krwi na stole było coraz więcej. Pospieszono z pomocą. Ganea, od dawna już ciesząca się niemałym poważaniem, wyrosła na bohaterkę. Prostym żołnierzom imponowały takie popisy. Lecz kuszniczka, skrzywiona i niezadowolona, potrzebowała czasu, by móc cieszyć się wywartym wrażeniem. Na razie była jedyną w izbie osobą potrafiącą ocenić rzecz z dystansu.

— Nie wiem, w co trafiłam — wymruczała, gdy przełamano strzałę — ale... jakbym jeszcze kiedy chciała się popisywać... to niech ktoś pierdolnie mnie w dzbanek.

Zgrzytnąwszy zębami, szarpnęła dłoń do góry. Okrwawiony ułomek pocisku został w blacie stołu:

*

Tereza zawsze wiedziała, co dzieje się w garnizonie — i nawet nie potrzebowała donosicieli. Żołnierzy, funkcyjnych i oficerów łączyła

pewna zażyłość, więc wszelkie plotki łatwo pięły się po szczeblach hierarchii; ktoś opowiedział o zdarzeniu swojemu dziesiątnikowi, ten znów napomknął podsetnikowi, którego był zastępcą i kolegą... Jeszcze nim nastąpiło południe, komendantka miała świadomość, iż w garnizonie jest ranna kuszniczka, którą nieustannie odwiedzają całe zastępy legionistów. Poznawszy szczegóły, przemyślała rzecz dogłębnie i postanowiła, że nic o niczym nie wie. Wpadła jednak w zły humor. Z jednej strony osiągnęła to, czego chciała — bo ktoś odpowiednio potraktował armektanskie gwardzistki; lecz z drugiej znów strony nie było żadnych powodów do dumy. Podobne tarcia między żołnierzami należałoby właściwie tępić, zamiast prowokować. A ona sprowokowała. Poniekąd.

Tego dnia żołnierze pełnili służbę tak starannie, jak tylko mogli, bo zły humor komendantki był aż nazbyt dobrze widoczny. Tereza, w ogóle mająca dość kapryśne usposobienie, bywała wręcz nieznośna, gdy coś ją rozdrażniło. Lecz okazało się wkrótce, że swary pomiędzy gwardzistkami były niczym wobec wojny, jaką mogły rozpętać ich dowódczynie. Agatra ani myślała naśladować żołnierzy; zamiast zejść z oczu złej jak osa tysięcznicze, zrobiła coś wręcz odwrotnego: wybrała się do niej z zażaleniem. Wiedziała o nocnym zajściu i chciała sobie wyprosić podobne rzeczy na przyszłość — tak przynajmniej, jakby to Tereza przybijała sobie rękę do stołu albo osobiście wydała taki rozkaz Ganei.

Tereza, siedząca w swojej rupieciarni, przerwała podsetniczce w pół słowa.

— Czekaj, czekaj — rzekła. — Czy ja mam ukarać swoją kuszniczkę? Zrobiła sobie dziurę w ręce, prawda, żołnierz nie ma prawa czynić się niezdolnym do służby. Ale oficjalnie ja o niczym nie wiem. Jej dziesiątnik, myślę, zdrowo dał jej po dupie, ale nie złożył mi raportu i nie złoży, bo stałby się szpiclem donoszącym na swoich własnych żołnierzy. A dla mnie nieudolnym funkcyjnym, któremu trzeba matkować, bo niczego sam załatwić nie potrafi... Mam iść i zapytać wprost, skąd się wzięła rana? I wysłuchać kłamstw? Zresztą to nie jest sprawa dla komendanta garnizonu, czego ty chcesz ode mnie?

— Twoi legioniści, wasza godność, obrazili moich żołnierzy — oświadczyła lodowato Agatra.

— I co ja ci na to poradzę? Mam ustawić w szeregu połowę

garnizonu, żeby chórem powiedzieli „przepraszamy”? Zejdź z obłoków na ziemię, dziewczyno! — rozzłościła się tysięczniczka. — Mówiłam ci, żebyś swoje suki trzymała na smyczy! A teraz wynocha stąd, mam robotę! — Pokazała jakieś dokumenty, które, pokryte kurzem, najwyraźniej spoczywały w kącie od tygodnia.

Agatra oniemiała.

— Wyniosę się, bądź pewna, pani — powiedziała po długiej chwili. — I nie tylko z tej przepysznie urządzonej izby, ale jeszcze dalej. Zabieram stąd moich żołnierzy, wolę znaleźć im kwatery w gospodach. — Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

Tereza ochłonęła dość szybko.

— Czekaj — powiedziała, o wiele spokojniej niż poprzednio. — No, czekaj, mówię, i nie każ mi powtarzać po raz trzeci..

Milczały przez długą chwilę.

— Cała ta sprawa złości mnie jeszcze bardziej niż ciebie — rzekła na koniec Tereza. — Ale twoi żołnierze to nie jest jakiś prywatny poczet, moi także nie. Dano nam ich pod komendę w jakimś celu, a tym celem jest współdziałanie, zawsze i wszędzie. Lada dzień przepadniesz w tym przeklętym lesie i może lepiej, żeby twoi wojacy mieli tutaj przyjaciół, nie wrogów?

Agatra była blada ze złości.

— Wyprowadzisz się jutro — powiedziała Tereza. — To... no, prosba. Jestem wściekła i nie zdołam dzisiaj dogadać się z tobą, raczej walnę cię w łeb, a ty mnie... i będą nieliczne kłopoty. Jutro rano przyjdź do mnie, zjemy razem śniadanie i albo zostaniesz, albo sobie pójdziesz. No? Czy to brzmi trochę lepiej, niż „wynocha”? Doceń, jak bardzo się staram! — Żart, o ile nim był, wypadł raczej jak ponura pogróżka.

Agatra wzruszyła ramionami, kiwnęła głową i wyszła.

— Nawet oszczać cię nie chcę — powiedziała Tereza do zamkniętych drzwi. — Nadęta dziwko cesarzowej. Gdybym tak mogła, jak nie mogę...

Ale nie mogła. Zupełnie.

Następnego dnia, przy śniadaniu, unikały przykrego tematu. Komendantka wróciła do rozmowy sprzed paru dni, wpytując o jakieś nie mające żadnego znaczenia nowinki z Kirlanu. Agatra zaś chciała lepiej poznać historię Pogranicza.

Armektańscy gwardziści zostali na terenie garnizonu.

8.

T.L.Wadelar, Pierwszy Namiestnik Trybunału w Akali, niewiele wiedział o tym, co działo się w garnizonie. Można by rzec: na szczęście niewiele wiedział — bo gdyby mógł poznać przykre usposobienie dowódczyni gwardzistów, obawy i złe przeczucia zabrałyby mu sen. Jeszcze nim zobaczył Agatrę, wiedział na jej temat to i owo, lecz dostarczony raport dotyczył głównie przebiegu służby, poza tym był wyjątkowo zwięzły i oszczędny w słowach. W powszechnym mniemaniu urzędnicy Trybunału wiedzieli wszystko o wszystkich; Wadelar świetnie rozumiał, że taki mit jest bardzo pożyteczny — niemniej był właśnie mitem. W osobie zadziornej łuczniczki obchodziło go mnóstwo rzeczy, poza przebiegiem wojskowej kariery akurat. Dowiedział się, że była wzorową żołnierką, a potem bardzo dobrym oficerem. Ot, nowina, warto było pisać, doprawdy... Wszak do specjalnych misji wybierano z reguły złych żołnierzy i kiepskich oficerów, czyż nie?

Wadelar niecierpliwił się, bo czekał na tę samą osobę, której wyglądała Agatra. Jednak było to czekanie trochę inne; namiestnik wiedział nie tylko, kto przybędzie, ale też — dlaczego. Gwardzistka знаła tylko tożsamość osoby.

Bo nie wszystkie raporty i listy, jakie otrzymywał Pierwszy Namiestnik Sędziego, były wyzute z treści... Miał przyjaciół, wielu przyjaciół. Na szczęście — bo oto dano mu posmakować tego, czym niedawno karmiono komendantkę akalskiego garnizonu. Nie ufano mu chyba. Cesarzowa w specjalnym piśmie ani słowem nie wspomniała o powodach, dla których grombelardzki mędrzec-Przyjęty miał dołączyć do oddziału Agatry.

Lecz pisała doń nie tylko cesarzowa...

Jego Dostojność T.L.Wadelar
Pierwszy Namiestnik Najwyższego Sędziego
Trybunału Imperialnego
w Akali
Czcigodny Kamracie!

Nie uwierzysz mi chyba, gdy powiem, że wciąż jeszcze wybucham śmiechem, budząc się czasem w nocy. Nie dalej jak wczoraj chodziłam po sypialni, znów nie mogąc uwierzyć, że naprawdę powierzono mi po Tobie namiestnictwo Londu. Minął rok, a ja ciągle się śmieję,

wyobrażasz sobie? Różne rzeczy o mnie powiadają, ale nikt nie wie o najważniejszym, a mianowicie o tym, że Pierwsza Namiestniczka jest osobą zupełnie niepoważną — tak zaczynał się list, doręczony mu przez specjalnego posłańca.

Nazywała go „czcigodnym kamratem”... Wiedział, kim była kiedyś, i nie musiała tego ukrywać, pozwalała więc sobie na kpinę. Przed laty dowodziła wszystkimi szpiegami i wywiadowcami legendarnego już za życia Basergora-Kragdoba, najsłynniejszego w dziejach Grombelardu władcy gór i górskich rozbójników. Potem, gdy Druga Prowincja zaczęła sypać się w gruzy, została powierniczką Wereny, jedynej córki cesarskiej i żony grombelardzkiego Księcia Przedstawiciela; Warena piastowała wówczas stanowisko Pierwszej Namiestniczki Sędziego w Grombie. Lecz przed półtorarokiem objęła w Grombelardzie tron książęcy i nie pozwoliła odejść swojej faworytce. Uczyniła ją Namiestniczką Sędziego w Grombie, a potem Londzie, nowej stolicy Grombelardu. Było to stanowisko zwolnione przez Wadelara. Były Namiestnik, nim przeniósł się do Akali, o co usilnie od wielu lat zabiegał, musiał przekazać wszystkie sprawy swojej następczyni, co trwało dwa miesiące, bo w zrujnowanej prowincji Trybunał zajmował się po prostu wszystkim, będąc ostatnią działającą instytucją. Tak poznał nieładną Armę o słoneczno żółtych włosach. I szczerze polubił, a nawet... połączyło ich na krótko coś poważniejszego. Rzecz niezwykła, lecz rozstali się jak przyjaciele. Krótkie zadurzenie, zamiast zniszczyć, wzbogaciło tę niezwykłą znajomość cesarskiego urzędnika i byłej banitki — ostatniej gwardzistki sławnego Króla Gór.

Zwany jest Głupim bądź Szalonym — pisała teraz doń — lecz nie daj się zwieść pozorom. Przewisko wzięło się od wyrazu jego skrzywionej twarzy. Ale ten kaleka o wyglądzie półgłówka jest może największym z żyjących Przyjętych, a na pewno wśród historyków, bo matematycy Szerni to osobne i trochę zamknięte grono. Szalony Gotah oddał kiedyś wielkie usługi Werenie i jest jej osobistym przyjacielem. Uważaj na to, co mówisz przy tym człowieku, bo to bardzo niezwykły mędrzec Szerni, obchodzi go świat i wydarzenia na świecie, a zdaje się nawet, że ma niejakie pojęcie o politycznych sprawach Cesarstwa. Śmiejąc się co prawda, ale chyba szczerze, powiedział mi kiedyś, że niedawno (lecz niedawno w jego rozumieniu, nieprawdaż, więc zupełnie nie wiadomo co to znaczy) zobaczył prawdziwe pole bitwy, a potem nagą kobietę i uświadomił sobie, że zapomniał, jak wyglądają ludzie i ich sprawy. Zaczął więc przyglądać się światu, oddając Szerni tylko pół swojego czasu. Może to tylko dziwny żart, lecz nikt nie wie, co powoduje Przyjętymi, i myślę, że opowiadane przez nich żarty warto brać trochę serio.

Z rozpostartym listem w dłoni Wadelar, czytający słowa namiestniczki po raz trzeci lub czwarty, znów kiwnął głową na zgodę. Przez wiele lat siedząc w Grombelardzie, wiele widział i słyszał, choć

Lond nie był „prawdziwym” grombelardzkim miastem — wielki port na końcu świata niewiele miał wspólnego z orlimi gniazdami w Ciężkich Górach. Ale o mędrkach Przyjętych mówiło się i w Londzie.

Nawet gdybym wszystko dokładnie rozumiała, musiałabym napisać trzy listy, żeby wytłumaczyć, o co chodzi z Przepowiedniami, jakie Przyjęci czasem odnajdują w Księżde Całości. Ale to nieważne, wystarczy, żebyś wiedział, iż taką Przepowiednię znajdowało się raz na sto czy dwieście lat, a teraz znajdują je ciągle. Nie wiem kto znalazł Przepowiednię o żywym Pęknięciu Szerni w Dartanie, w każdym razie chyba nie Gotah, ale to on napisał o tym do Wereny. Jest w tym wszystkim moja zasługa (albo moja zbrodnia, skoro nie wiadomo, jaki obrót przybiorą sprawy), bo to ja nakłoniłam Werenę, żeby posłała list Gotaha do stolicy. Ona sama panicznie boi się wszystkiego, co jest związane z siłami nad światem, i gotowa była potraktować tę Przepowiednię najwyżej jako ciekawostkę. I co powiesz? Naraz okazało się, że Cesarzowa ma zupełnie inne zdanie na ten temat. Wiemy tu już trochę o sprawach Puszczy Bukowej, a ja je ponadto rozumiem, bo przecież, jak pamiętasz, dosyć długo mieszkałam w Rollaynie. Ale osobista prośba Jej Cesarskiej Wysokości skierowana do mędrca-Przyjętego? To chyba po raz pierwszy w dziejach świata. Nie wiem o co chodzi i się nie dowiem. Domyślasz się, że nie łamałam pieczęci Cesarzowej, chociaż miałam jej pismo w ręku, bo Werenka zleciła mi przesłanie tej korespondencji dalej, do rąk własnych Gotaha (oj, cóż to było za zadanie! nie masz mi czego zazdrościć). Ale rozmawiałam z Przyjętym, kiedy stawił się w Londzie, i chociaż niewiele powiedział, to mam wrażenie, że w liście z Kirlanu wręcz nalegano, by odbył podróż do Puszczy. Tak jak Werenka, trochę zżymam się, Drogi, myśląc o tych wszystkich Przepowiedniach i różnych Prawach Całości. Ale trzeba trafu, przekonałam się na własnej skórze, iż całkiem lekceważyć ich niepodobna. Może więc ma rację Cesarzowa, która najwyraźniej uważa, że Trybunał, legie i całość Wiecznego Cesarstwa to jedno, zaś wszystkim co związane z Szernią winien zająć się mędrzec-Przyjęty. W Sey Aye rzeczywiście dzieją się dziwne rzeczy, więc jeśli ktoś taki uważa, iż wiążą się z siłami nad światem, to dlaczego mu nie uwierzyć? Pewna jestem, że otrzymasz mój list jeszcze przed przybyciem Gotaha, bo ufam swoim posłańcom — nie używam, jak wiesz, tych waszych (ach, co mówię! przecież naszych!) kurierów. Jednakże on już wyruszył, a chociaż jest tylko mędrcem Szerni, to jednak potrafi podróżować. Oczekuj więc rychłych, bardzo niezwykłych odwiedzin. I koniecznie napisz mi wszystko, co wiesz o Puszczy Bukowej, Sey Aye i nowej księżnej, bo umieram z ciekawości i jeśli nie napiszesz, to już nigdy nie uprzedzę Cię o niczym.

Było jeszcze trochę plotek, pozdrowienia i na koniec:

Twoja zawsze oddana przyjaciółka Arma.

Wadelar odłożył list i przetaił palcami powieki.

Słuszność miała Akea: nie nadawał się na swoje stanowisko. Wychowany w surowym domu, został nauczony poszanowania tradycji. Ojciec nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek noszący monogramy przodków rodu mógł nie służyć swemu krajowi. Drogi były dwie: wojskowa albo... I Wadelar, nie chcąc zostać wojakiem, musiał wybrać życie urzędnika Trybunału. Nie nadawał się do tego jednak. Do niczego się nie nadawał.

— Bo to prawda — mruknął sam do siebie.

Marzył kiedyś, że zostanie uczonym. Pozna wszystkie tajniki algebry i geometrii, meandry wyższej matematyki, a potem będzie wykładał w jednej z imperialnych uczelni, może nawet w stołecznej Wielkiej Akademii... Marzenia. Nigdy nie ośmielił się powiedzieć o nich ojcu, dla którego istniała tylko jedna nauka: historia. Lecz wyłącznie historia armektańskiej chwały, armektańskich wojen i podbojów.

A teraz... Teraz słuszność miała Akea. Mając na oku przyszłość swego syna, winien piąć się mozolnie po szczeblach kariery, nie myśleć zbyt wiele, błyszczyć gorliwością... Tymczasem robił wszystko, byle tylko pozostać namiestnikiem sędziego w Akali. Żona nie wiedziała, jak bardzo o to zabiegał ani że w ogóle zabiegał... Była zrozpaczona. Okres „grombelardzkiego zesłania” przeboleła, licząc, że prędzej albo później przeniosą się z powrotem do Armektu, gdzie namiestnictwo w byle okręgu znaczyło dziesięć razy więcej. Zamiast tego trafili do Akali: miasta-państwa, miasta-prowincji... Stąd już nie było ucieczki. Jedyne na Potrójnym Pograniczu wysoki urzędnik Trybunału nie miał przyjaciół ani przeciwników, ani konkurentów; nie mógł znaleźć protektorów, nie mógł się wyróżnić, jego okręg nie mógł błyszczyć na tle innych okręgów prowincji. Nie było innych okręgów. Z akalskiego gmachu dało się przejść tylko do stanu spoczynku. Można było złożyć rezygnację. Dlatego więc Wadelar, nie mogąc już marzyć o wyższej matematyce, marzył o Akali. I gdy dopiął swego, upił się z radości. Z radości i trochę ze strachu, bo był pewien, że gdyby prawda kiedykolwiek wyszła na jaw, żona natychmiast wezwałaby świadków i wręczyła mu list rozwodowy.

Ale życie zadrwiło zeń okrutnie. Jeden z najbogatszych i najspokojniejszych okręgów Wiecznego Cesarstwa był takim do niedawna. Przestał być spokojny, gdy doszło do grombelardzkiej katastrofy. A teraz jeszcze ta Puszcza Bukowa... Istna awantura, w której brali udział szpiedzy, legionści komendantki Terezy i sama komendantka Tereza, sławni dowódcy prywatnych pocztów Sey Aye, jej wysokość księżna-niewolnica, gwardziści dowodzeni przez faworytkę cesarzowej, a na koniec mędrzec-Przyjęty. No i namiestnik Wadelar.

*

Przyjęty przyjechał dwa dni później.

Przeczytawszy list od grombelardzkiej przyjaciółki, Wadelar

oczekiwał starca z groteskowo wykrzywioną twarzą, trochę zrzedliwego (nie wiadomo dlaczego miałby być zrzedliwy...). Chcąc okazać gościowi szacunek, ruszył do drzwi komnaty i... stanął przed pięćdziesięcioletnim krzepkim mężczyzną, średniego wzrostu, o budowie raczej żylastej. Skrzywienie ust, któremu Gotah rzekomo zawdzięczał swój przydomek, budziło nie tyle współczucie, co lekką irytację, był to bowiem nieśmiertelny uśmiezek kpiarza. Ten człowiek winien raczej nazywać się Gotah-Szyderca niż Głupi albo Szalony.

Składając komuś wizytę, do dobrego tonu należało czekać na słowa gospodarza, który miał prawo w swoim domu mówić albo nie. Z drugiej strony, domownik winien przez chwilę zwlekać z zabranieniem głosu, by gość zdążył zademonstrować znajomość dobrych manier. Jednak Wadelar omal nie roześmiał się od ucha do ucha, uprzejmie i w milczeniu stercząc przed człowiekiem o kpiarsko wykrzywionej gębie.

— Witam cię, panie — rzekł wreszcie. — Bardzo rad jestem. Nie domyślasz się nawet jak bardzo.

— Bardzo bardzo — rzekł Gotah. — Także witam waszą dostojność. Rad mi jesteś najwyżej prywatnie, Namiestniku Sędziego Trybunału, bo każdy chce poznać Przyjętego, a niektórzy chcą bardziej niż inni. Lecz jako cesarski urzędnik wolałbyś zobaczyć pożar w swoim domu niż moje nadobne oblicze.

Bezpośredniość przybysza ujęła gospodarza.

— Nie, naprawdę — powiedział zadowolony. — Przebac mi, wasza godność, ale nie oczekiwałem tu kogoś takiego.

— Wasza dostojność nie wiesz jeszcze, jaki jestem. Gdzie mogę sobie stanąć?

— Ależ usiąść, nie stanąć! — zaprotestował Wadelar, ujmując gościa za łokieć i wskazując fotele w głębi sali. — Przebac, mędrco Szerni, ale...

— Jednak stanąć — przerwał Przyjęty. — Przez cały dzień tkwiłem w siodle i okropnie boli mnie... wszystko.

— A zatem stańmy przy oknie. — Namiestnik uśmiechnął się. — Zobaczysz, wasza godność, najdziwniejsze miasto Szereru.

Ruszyli do okna.

— Rzeczywiście słabo znam Akalę. Byłem tu, lecz dawno, bardzo dawno temu. Już jadąc tutaj, zobaczyłem, ile się zmieniło... Wasza

dostojność — Gotah, uprzejmie zerknąwszy na zewnątrz, po chwili zmienił temat — najpierw zapytam, czy pozwolisz mi przenocować w twoim domu?

— To przecież oczywiste. Miałbyś, panie, nocować w gospodzie?

— Rzeczywiście, gospody już mi obrzydły. Ale czas namiestnika Trybunału nie zawsze należy do niego. Mogę przenocować w garnizonie. Jeśli nie dzisiaj, to jutro i tak będę musiał tam zawitać. Mam list polecający dla dowódcy żołnierzy, z którymi mam jechać dalej.

— Komendantka garnizonu jest... na pewno bardzo gościnna, ale koszary to jednak tylko koszary. Możesz panie dysponować moim domem i czasem.

— Jestem wdzięczny.

Spojrząwszy z ukosa, Przyjęty skonstatował, że urzędnik przestępuje z nogi na nogę. Ten człowiek nie przywykł do rozmów na stojąco.

— Usiądźmy, panie — powiedział. — Moje kości już trochę odpoczęły, za to twoje zaraz się zmęczą.

Zajęli miejsca przy stole. Wadelar przywołał służbę, a upewniwszy się, że gość nie odczuwa głodu i nie ma żadnych specjalnych życzeń, kazał podać owoce i wino.

— Wieczere podadzą nam później. Nie ukrywam, wasza godność — zagał — że twoja obecność tutaj, i w ogóle twoja tajemnicza misja, budzą moją ciekawość. Nie zamierzam jednak wyciągać od ciebie żadnych sekretów i tajemnic.

Przyjęty wzruszył ramionami.

— Powiem najkrócej jak, potrafię: otóż w Księdze Całości... myślę, że słyszałeś panie o tym dziele... odkryto pewną ciekawą wzmiankę. Stary przyjaciel, który był kiedyś Przyjętym jak ja, a teraz jest... kimś lub czymś bardzo niezwykłym, szukał swego syna i znalazł go w Dartanie, w Rollaynie. Huczało tam o podstępnej niewolnicy, która została księżną. Przyjaciel mój powiązał tę historię z inną, której sam był bohaterem, i odkrył w Księdze Całości odnoszącą się do tych zdarzeń Przepowiednię. Wybacz mi, panie, lapidarność, ale to opowieść na dwa dni, ja zaś pragnę szybko przejść do sedna sprawy... Słowem, powiadomił mnie o swoim odkryciu. Znajac jej wysokość Księżną Przedstawicielkę Cesarza w Londzie, posłałem list, w którym pytałem, czy w Dartanie zaszły jakieś

szczególne wydarzenia mogące się odnosić do odkrytej Przepowiedni (mój przyjaciel przecież słyszał tylko plotki, Trybunał nie udzielał mu swej wiedzy). Mój list trafił aż do jej cesarskiej wysokości w Kirlanie. Okazało się, że w Puszczy Bukowej (z którą, podobno, mogą być jakieś kłopoty) rzeczywiście pojawiła się osoba, której dokładny opis podałem. W Rollaynie, gdzie każdy teraz chce zostać spadkobiercą księcia Sey Aye, trudno usłyszeć coś wiarygodnego. Ale wiadomości uzyskane od samej imperatorowej zasługują przecież na zaufanie. Czy mówię zbyt szybko, wasza dostojność?

— Nie — zaprzeczył Wadelar. — Czy ta osoba, którą Przepowiednia dokładnie opisuje, to... księżna Ezena? Armektańska niewolnica wyniesiona do rangi...

— Chyba tak. Przepowiednie, których możesz wysłuchać na każdym jarmarku, panie, to sposób na wyciągnięcie paru miedziaków od naiwnych. Mogą znaczyć wszystko albo nic. Lecz w Księdze Całości nie ma takiego bełkotu. Przepowiednie Całości są dosłowne, wasza dostojność. Gdy jest napisane: „niewolnica wywodząca się z narodu zdobywców świata zostanie władczynią wielkiej puszczy”, trudno to rozumieć dwojako, nieprawdaż? Ile niewolnic panuje dziś nad puszciami?

— Ale w jaki sposób — zapytał zdziwiony Wadelar — takie Przepowiednie pozostają przez całe wieki niezauważone?

— Trudno to wyjaśnić w dwóch słowach. Samo określenie „przepowiednia” nie jest tu najszcześniejsze, ja sam stargrombelardzkie słowo nohee prędeż wyłożyłbym jako „komentarz”. Księgi Całości spisywane są po starogrombelardzku. Ten martwy język jest, po armektańskim, najbogatszym językiem Szereru, lecz tylko w mowie, nie piśmie. Starożytny naród Shergardów używał pisma do utrwalania najważniejszych wiadomości i do niczego więcej. Każde słowo, odpowiednio wymówione, właściwie zaakcentowane, może mieć tam jedno z wielu znaczeń, tak jak w dzisiejszym grombelardzkim, lecz pisownia starogrombelardzka w ogóle nie uwzględnia akcentów. Zapisane słowo ma, w domyśle, zawsze znaczenie podstawowe.

— Więc tym bardziej chyba...

— Nie „tym bardziej”, a „pomimo wszystko”. Mimo wszystko, panie, zachodzą czasem w świecie wydarzenia, do których można dopasować

tekst, rozszerzając podstawowe znaczenie starogrombelardzkich słów. Przepowiednie są niewidoczne, bo dowolnie przekładając jakikolwiek fragment Księgi, można bawić się w niezliczone kalambury i nic z tego nie będzie wynikać. To wszystko mogą być Przepowiednie, tylko, wasza dostojność, do czego właściwie je odnieść? Lecz na szczęście bywa i odwrotnie, bo gdy coś się rzeczywiście wydarzy, można znaleźć wytłumaczenie. Wydarzenie ujawnia Przepowiednię, nie na odwrót. Czy rozumiesz mnie, wasza dostojność?

— Nie do końca.

— Głupi osioł.

Wadelar zdumiał się. Lecz Przyjęty pokazał palcem drzwi.

— Wzięłeś to, panie, do siebie, bardzo słusznie, bo jak inaczej miałbyś mnie zrozumieć? Lecz gdyby teraz, przez te drzwi, wprowadzono osła ryczącego bez przerwy i śliniącego się z pyska? Zrozumiałbyś nagle, że nie o tobie mówiłem, i zapytałbyś najwyżej: „Skąd wiedziałeś?!”. Tak mniej więcej objawiają się Przepowiednie Całości.

— Już rozumiem — rzekł rozbawiony Wadelar. — Twój dar tłumaczenia, wasza godność, godzien jest podziwu.

Milczeli przez długą chwilę.

— Czy Przepowiednie Całości odnoszą się czasem do zdarzeń błahych?

— Tak i nie. Co uważasz, panie, za zdarzenie błahę? Przepowiednie zawsze wiążą się z Szernią, więc dla badacza Pasm mogą mieć duże znaczenie. Najczęściej jednak tylko dla badacza Pasm. Nikt nigdy nie znalazł Przepowiedni mówiącej, dajmy na to, o upadku mocarstwa, zamordowaniu panującego lub innych nieważnych sprawach.

— Nieważnych?

— Nie mających znaczenia dla Pasm Szerni. Księga Całości nie jest kroniką dziejów, lecz zapisem wspólnych praw rządzących Szernią i jej światem. Wydarzenia, z którymi związane są Przepowiednie, zawsze mogą dać trochę nowej wiedzy o działaniu Pasm i Smug Szerni. W oczach świata jednak są to zwykle zupełne błahostki. Bardzo dokładnie tłumaczyłem to w liście do jej wysokości księżnej Wereny, bo miała kiedyś do czynienia z pewną Przepowiednią i bałem się, że ją przestraszę. Okazało się wkrótce, że bardzo dobrze zrobiłem, bo mój list trafił aż do jej cesarskiej wysokości i gdyby nie wszystkie wyjaśnienia,

jakie w nim zawarłem, mogłaby pomyśleć nie wiadomo co. Na szczęście zostałem dobrze zrozumiany. Choć i tak wywołałem poruszenie większe niż trzeba.

Wadelar pokiwał głową. Poczł się przytłoczony nawałem wiadomości dotyczących tego, o czym nie miał pojęcia. Każdy wiedział o Szerni. Każdy słyszał o mędracach-Przyjętych. Każdy też jednak słyszał o Trybunale i urzędnikach Trybunału... Wzięty z ulicy człowiek, któremu wyłożono by w krótkiej rozmowie zawilosci imperialnej polityki, poczułby się pewnie przytłoczony tak samo.

— O czym dokładnie mówi ta Przepowiednia? — zapytał. — Nie wiem, wasza godność, czy mogę o to pytać?...

— A dlaczego nie? Dokładnie, wasza dostojność, mówi ona o niczym, przynajmniej z twojego punktu widzenia. O czymś, co nazywa się Pęknięciem Szerni. Choć nim nie jest, bo Szerń nie jest twarda ani miękka i nie może pękać, wasza dostojność — oznajmił z Gotah. — Czasem dochodzi do wtargnięcia Szerni w głąb świata, jakaś rzecz lub istota staje się wtedy odbiciem maleńkiej części Pasma. Kiedyś takich wtargnięć było bardzo wiele i powstały Geerkoto, Ledoo i Dor-Orego, nazywane dziś wspólnie Porzuconymi Przedmiotami. Co jakiś czas powstaje nowy Przedmiot, a czasem istota o cechach Przedmiotu... tylko że troszeczkę mniej trwała.

— I to już wszystko? A co może sprawić taka istota? Czy tyle, co Porzucony Przedmiot?

— Zwykle mniej, bo choć Przedmiot niczego nie sprawia, wasza godność, to można za jego pośrednictwem odwołać się do części jakiegoś Pasma Szerni. W przypadku istot sprawa wygląda gorzej. Jeszcze niedawno żyła w Grombelardzie kobieta, której za sprawą Szerni oddano oczy innego człowieka. Kto ją spotkał, mógł odwołać się najwyżej do jej dobrego humoru...

— Łowczyni — powiedział Wadelar. — Każdy, kto był w Grombelardzie, słyszał o tej kobiecie. Wasza godność... czy w Puszczy Bukowej może pojawić się ktoś taki jak ona? Przecież to grozi...

Gotah westchnął ciężko.

— Pęknięcie Szerni, za sprawą którego Łowczyni odzyskała wzrok, nie ma żadnej wartości dla badacza Pasm, bo zostało mimowolnie spowodowane przez człowieka przyjętego przez Szerń. Wasza

dostojność, czy wiesz, co najtrudniej wytłumaczyć komuś, kto na co dzień nie obcuje z Szernią? Najtrudniej wytłumaczyć, że jest to beznadziejnie bezmyślna i nieżywa potęga, działająca akurat z takim wyrachowaniem, z jakim działa ogień, tylko bardziej skomplikowana. Ogień potrzebuje do życia powietrza, Szerń potrzebuje kawałka lądu, tylko tyle. Nad ogniem pojawia się dym; pod Pasmami pojawia się rozum. Nie ma dymu bez ognia i nie ma rozumu bez potęg takich, jak Szerń. Ale to właśnie my, ty i ja, panie, wszystkie rozumne istoty, jesteśmy żywym i myślącym odbiciem Pasm Szerni. Łowczyni była kimś bardzo niezwykłym dlatego, że uczyniła swoje życie niezwykłym, wasza dostojność, nie stała się taka za sprawą Pasm. Cudowne ozdrowienia, o jakich pewnie zdarzyło ci się słyszeć, to na przykład są właśnie naturalne Pęknięcia Szerni. Jak iskry pryskające z ogniska. Ilu z tych ozdowieńców miało format Łowczyni? Ile iskier wywołuje pożar?

Wadelar myślał o tym, co usłyszał.

— Ale o ozdowieńcach nie mówią Przepowiednie — zauważył.

— Ależ na pewno mówią, wasza dostojność! Tylko kto i w jaki sposób je wykryje? Głupi osioł, wielka dynia, masz oto, wasza dostojność, dwa przykłady jasnowidzenia, bo na pewno gdzieś jest głupi osioł i wielka dynia także. Za sprawą niezwykłego zbiegu okoliczności da się odkryć Przepowiednię, która jest raczej komentarzem, jak już powiedziałem. Jeśli ów komentarz odnosi się do niewolnicy, która została władczynią puszczy, to ktoś może go wykryć. Ale jeśli odnosi się do wieśniaka, który co prawda odzyskał wczoraj władzę w nogach, ale poza tym jest pastuchem i zjadł obiad? Mam szukać podobnych historii, a potem pędzić do ogólnie wiadomego miejsca, w którym siedzi pastuch, co zjadł obiad?

— Do Puszczy wyrusza oddział gwardzistów — rzekł Wadelar. — Jaką rolę masz tam odegrać, wasza godność? Czy to tajemnica?

— Żadną rolę. Ja tylko... jestem ciekaw, co tam jest, wasza dostojność. W Puszczy Bukowej, w Sey Aye. Trafiła mi się, jak ślepej kurze ziarno, wiadomość o tym pastuchu, co zjadł obiad, a ponieważ wiem gdzie go szukać, to idę z nim porozmawiać. Gdybyś był, panie, ogrodnikiem, czy nie poszedłbyś do miejsca, gdzie zakwitła róża wielka jak młyński kamień?

Zabrzmiało to szczerze.

— Jestem ciekaw — powtórzył Przyjęty. — Jej cesarska wysokość poprosiła, bym zechciał udać się do Puszczy, jeśli czas i siły mi na to pozwolą. Potwierdziła prawdziwość niektórych fragmentów Przepowiedni. Przyjęła moje zapewnienie, że Szerń nigdy nie wpływa na losy świata, bo od tego powołała do istnienia rozum, niemniej jako osoba obdarzona ogromnym poczuciem humoru, żartowała w liście, że jednak właśnie wpłynęła... Może wyda ci się, panie, zabawne, ale to za sprawą siedzącego przed tobą brzydala, a raczej za sprawą jego listu, wędruje do Puszczy oddział wojska... Zrozumiałem, że Kirlan nie przywiązywał do tych zdarzeń nadmiernej wagi i dopiero moje pytanie o wiarygodność Przepowiedni... — Gotah rozłożył ręce. — Widzisz więc, że mimowolnie wywołałem większe poruszenie niż trzeba. Ale to ja, nie Szerń.

— I jej cesarska wysokość...?

— Jej cesarska wysokość zapytała, czy zechce jej wyjaśnić, co właściwie dzieje się w Puszczy, gdy już sam będę wiedział. Czy Pęknięcie Szerni dotyczy samej księżnej Sey Aye, czy kogoś z jej otoczenia, bo tego akurat Przepowiednia nie wyjaśnia. Jest możliwe, że niestety niewiele się dowiem, bo najbardziej niezwykłą osobą był chyba w Puszczy zmarły książę i możliwe, że to do niego odnosiło się Pęknięcie Szerni. Tyle prośba jej cesarskiej wysokości. Ponieważ nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałbym rozmawiać o Szerni... Zgodziłem się. Tym bardziej że sam jestem ciekaw i pojechałbym pewnie tak czy owak.

— Czy jej cesarska wysokość... nie zabroniła ci rozmawiać ze mną na ten temat, panie?

— Zabroniła? Nie, nawet wręcz przeciwnie.

— Przeciwnie? To znaczy: coś nakazała?

Przyjęty odchylił się na oparcie krzesła i przekrzywił głowę.

— Uprzedzono mnie tylko, że przyjedziesz — wyjaśnił Wadelar. — Ani słowa o powodach.

— To już nie należy do mnie, namiestniku. Mówiąc między nami, cesarzowa jest chyba zbyt mądra, by mi nakazywać cokolwiek lub czegokolwiek zabraniać. Żywię wielki szacunek dla Armektu, nie podśmiewam się z jego władców ani urzędników, w ogóle zaś istnienie Wiecznego Cesarstwa mam za rzecz... właściwą. Lecz komuś takiemu jak ja trudno coś nakazać z Kirlanu. Zostałem przyjęty przez Szerń i nie bardzo należę do Szereru. Wiszę gdzieś pomiędzy. Tak sobie.

— Lecz spełniłeś, wasza godność, polecenie... prośbę cesarzowej, by stawić się tutaj, w tym gmachu. I jechać dalej w towarzystwie żołnierzy.

— Prośbę, tak. Jej wysokość poprosiła, bym po drodze odwiedził Namiestnika Sędziego w Akali i powiedział mu parę słów o tym, co moim zdaniem, dzieje się w Dobrym Znak. Dlatego rzekłem, że nie zabraniała, wręcz przeciwnie. Ponadto uprzejmie zaproponowała mi towarzystwo armektańskich gwardzistów. Nie odmówiłem. W towarzystwie żołnierzy będzie chyba i bezpieczniejszej, i rażniej.

— Nie wiem, czy będzie ci rażniej, wasza godność.

— A to znów dlaczego?

— Ano, dlatego... — Wadelar, pomimo ostrzeżeń Army, w przypływie sympatii i szczerości wobec widzianego po raz pierwszy uczonego, wyjawiał mu wszystko, co sam wiedział o awanturze w Puszczy. Nie zataił też swych obaw związanych z Agatrą.

Może nie nadawał się na swoje stanowisko. A może mędrzec Szerni po prostu zasługiwał na szacunek i szczerość urzędnika?

Część trzecia. Perły jej wysokości

9.

Pierwsza Perła Domu, orząc mech pazurami, odsłoniła próchniczą glebę leśną i teraz krztusiła się ziemią. Siedząca nieopodal pod drzewem znudzona przyboczna niewolnica bawiła się kawałkami kory, nadziewając je na wąskie ostrze sztyletu. Dopiero gdy dosiadający jej pani mężczyzna zaczął sapać jak niedźwiedź, zostawiła korę w spokoju i wyczekująco zagapiła się między paprocie. Harce miały się ku końcowi: rozplaszczona na ziemi jak żaba Perła Domu gmerała palcami stóp w igliwiu i wypychała biodra do góry, jakby chciała wysadzić jeźdźca z siodła, ale męska dłoń poskromiła ją raz jeszcze, mocniej wtłaczając twarz w ziemię. Przyboczna zaczęła bezgłośnie chichotać, słysząc bezradne, stłumione przez mech stęknięcia i fuknięcia. Ale zaraz potem jego godność Denett, sapnąwszy potężnie kilka razy, spadł z kobyły i walnął się między paprocie. Zawiedziona i rozwścieczona Perła wrzasnęła, aż echo poszło po lesie. Wyrznęła pięścią w ziemię.

— Czego was tam uczą w tej Rollaynie?! Byle pastuch tutaj robi to lepiej!

Denett ziajał w paprociach.

— Chłopiec... Wybrałam się z dzieckiem, ech!

Przyboczna z największym trudem zachowała obojętność i powagę, ukradkiem tylko rzucając złośliwe spojrzenia. Z nosem brudnym od ziemi i odcisniętymi na policzku sosnowymi igłami Anessa parskiała i zrzędziła w paprociach. Wylazła wreszcie i usiadła w kucki; zerwała liść paproci, a potem jeszcze jeden. Znów zaczęła parskać ze złości. Przyboczna, wezwana gniewnym skinieniem, podeszła, niosąc spódnicę, sukienne nogawice, jedwabną koszulkę i zgrabny łosiowy kubraczek. Zła jak osa, obrażona na cały świat Perła sama wciągnęła nogawice, wzięła wysokie skórzane buty, wyrzuciła spódnicę w krzaki i poszła prosto przed siebie, ubierając się dalej w marszu, nie dbając ani o Denetta, ani o strażniczkę, która zresztą nie czekała na wezwanie i od razu ruszyła jej śladem (lecz zdążyła porwać wyrzuconą spódnicę). Denett wołał coś,

wystawiwszy głowę z paproci, ale było to... wołanie na puszczy, właśnie tak. Anessa ani myślała czekać na nieudacznika.

Niewolnica niskiej rangi, potrafiąca co najwyżej milczeć i zabijać, była dla Perły Domu powietrzem. Teraz jednak rozgniewany klejnot Sey Aye gotów był mówić choćby sam do siebie.

— Wyobrażasz sobie? Wyobrażasz?

Przyboczna mogła wyobrazić sobie wszystko, bo — powiedziawszy prawdę — nie takie rzeczy widziała. W żaden sposób natomiast nie mogła rozmawiać z Perłą Domu o jej przygodach z kochankami. Kosztująca krocie niewolnica z certyfikatem Perły miała prawo, zwłaszcza w imieniu właściciela, rozmówić się z każdym, choćby i z cesarzem. Lecz przyboczna strażniczka warta była niewiele więcej niż wieśniaczka. Od takiej Anessy oddzielała ją przepaść, której nic nie mogło zniwelować.

— Bęcwał! — rzekła piękna blondynka, gniewnym mchem zrywając rozpiętą między drzewami pajęczynę. — Gdzie są te konie, no?

To już było pytanie wymagające odpowiedzi. Przyboczna pokazała kierunek. Wkrótce obie znalazły się w siodłach. Ledwie widoczna leśna ścieżka nie nadawała się do dzikich galopad, lecz Perła uważała inaczej: spięła swoją klacz i pognąła, jakby gonił ją zły duch kniei, albo nawet jego godność Denett. Strażniczka, jeżdżąca konno równie dobrze jak jej pani, nie została w tyle. Kolejno przesadziły zwałony w poprzek ścieżki pień drzewa; prawie leżąc na końskich karkach, z plecami smaganymi przez gałęzie, mogły uchodzić za dwie samobójczynie.

Do zachodniego skraju Sey Aye nie było wcale daleko. Kobiety wypadły z lasu i sforsowały galopem płytki strumyk; rozbryźnięta woda szerokimi wachlarzami strzelała spod końskich kopyt. Uwielbiająca jeździć konno Anessa zgubiła swój gniew — prostując się w siodle, zawyła jak wilczyca. Z łomotem przemknęły przez wieś. Jakaś baba w obejściu zagapiła się na drogę, ale zaraz wróciła do roboty; wyjąca z końskiego grzbietu „dobra pani Anessa” zdążyła już wszystkim spowszednieć. Owszem, warto było wybiec na próg domu, bo Perła lubiła czasem cisnąć w powietrze garść srebrnych monet... Teraz jednak niczego nie rzuciła. Dom władców Sey Aye stał bardzo blisko południowo-zachodniego skraju polany; po drodze była tylko jedna wioska, a trochę dalej duża gospoda, której właściciel wciąż jeszcze (i z

niemałym zadowoleniem) gościł żołnierzy K.B.I.Denetta. Anessa i przyboczna, galopujące teraz ramię w ramię, minęły ją, a wkrótce potem wpadły na rozstaje przy młynie, skąd biegła już prosta droga do pałacu. Konie zaryły kopytami, wzniesając obłok kurzu. Perła Domu znowu zawyła co sił w płucach, wysforowała się przed towarzyszkę i ruszyła już nie galopem, a cwałem. Wkrótce podkowy załomotały na płytach dziedzińca. Blondynka zeskoczyła z siodła i roześmiana wbiegła na schody.

— Cudownie! — powiedziała na widok Yokesa. — Uwielbiam to.

Pokręcił głową, widząc wypieki na zakurzonej twarzy. Do spoconego czoła przylepił się kosmyk rozpuszczonych włosów, w których grzywie tkwiły jakieś patyczki i sosnowe igły. Zdyszana Perła mrugnęła doń i poszła w stronę swoich pokoi.

— Gdzie byłaś? — zapytał, idąc obok.

— Na spacerze z księciem Denettem. Że jest głupi, to już wiedziałam, ale ciągle szukam jakichś zalet. Nie znalazłam. Ogier też z niego żaden.

— Pozwoliłaś mu...?

— Och, nie bądź zazdrosny.

Żachnął się.

— Nie jestem.

Skłamał. Był zazdrosny.

Weszli do pokoju. Yokes zamknął drzwi. Perła wezwała służbę i niedługo potem, mrużąc z zadowolenia, pławiła się w gorącej kąpieli. Do wody dodano pachnącego olejku.

— Gdzie księżna? — zapytała.

— Tam gdzie zawsze.

— Znów czyta?

— Nie wiem. Siedzi w tej przeklętej piwnicy i tyle. Nie zaglądam jej przez ramię.

— Trzeba wreszcie przenieść te księgi i dokumenty gdzie indziej.

— A kto ma to zrobić? Ja?

— Wiecznie jesteś skwaszony — powiedziała.

Wzruszył ramionami. Anessa odpowiedziała tym samym gestem.

— Służyłeś praczce — źle. Służysz pierwszej królowej Dartanu, legendarnej Rollaynie — też niedobrze. Czego trzeba, żeby jego godność M.B.Yokes pokazał pogodne oblicze?

Jeszcze raz wzruszył ramionami.

— Może tylko spokoju — powiedział. — Naprawdę dość już nawojowałem się w życiu. Zostawiłem Północną Granicę i wróciłem do Dartanu, ciesząc się, że obejmę wreszcie komendę nad jakimś prywatnym pocztem w najspokojniejszej prowincji imperium. Książę wprawdzie kazał mi zreorganizować swoje wojska i porobić świeże zaciągi, ale to była tylko zabawa...

— O, nie — zauważyła.

— Wiem już, że nie. Ale nie tego chciałem. Ostatecznie — rzekł z namysłem — mógłbym nawet wojować, no trudno... Przynajmniej umiem. Ale wikłać się w to wszystko, w co właśnie się uwikłałem? Ty jesteś w swoim żywiole, oczywiście. Intrygi, podchody, przemilczenia... A ja ciągle wątpię i ciągle niewiele rozumiem.

— Czego znów nie rozumiesz? — zapytała, odchylając głowę i kręcąc nią tak, że mokre włosy pływały w tę i z powrotem. — Hm?

— Choćby tego, że legendarna Pierwsza Siostra nie ma pojęcia, że nią jest — odpowiedział zgryźliwie, obmywając jej szyję i piersi. — Jaki to w ogóle ma sens? Umieram i pojawia się, przykładowo, drugi komendant Yokes, który nie wie, że był kiedyś tysięcznikiem legii, nie ma pojęcia, jak wydać najprostszy rozkaz, patrzy na konia i miecz w taki sposób, jakby nigdy dotąd ich nie widział... Jaka jest wartość tego wodza i wojownika? Dlaczego żołnierze mieliby szanować tego świętego rycerza? Dlaczego piękna Anessa miałaby z nim sypiać, skoro on jej nawet nie pamięta? Dlatego że jest podobny do starego Yokesa? Nie jest nim! Yokes, Ezena i w ogóle każda rozumna istota to najpierw wewnątrz, Esa, zdolności, uczucia, pamięć... Cała reszta to tylko fasada. Zmartwychwstanie samego ciała nie ma żadnego sensu.

— Pewnie, że nie — powiedziała. — Mówiłam ci wiele razy, że wcale nie jesteś głupi... Ale mówiłam też, że księżna odzyska pamięć, zdolności i wszystkie swoje cechy. Armektanka Ezena to przecież tylko maska. Albo nawet nie maska. Jajko. Z tego jajka wykluje się Rollayna. A przynajmniej... mam taką nadzieję — dodała z lekkim namysłem.

Skrzywił usta z powątpiewaniem.

— Na razie czyta o swoich własnych dziejach, jakby chciała nauczyć się tego na pamięć.

— To zrozumiałe.

— Nic nie jest zrozumiałe. O co chodzi z jego godnością Denettem?
— zagadnął niespodziewanie. — Ten... spacer?

— Utopię się — powiedziała.

Opadła w wodę i zaczęła wypuszczać nosem bąbelki powietrza. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego spod wody. Wyciągnął ją za włosy.

— Dzięki za ratunek, rycerzu — powiedziała, biorąc oddech. — Jestem twoja.

— Jesteś wszystkich, to gorzej niż niczyja — Yokes nie miał ochoty do żartów. — Dlaczego to robisz?

— Bo lubię. Co, ożenisz się ze mną? — zapytała z nagłą agresją. — To może chociaż będziemy mieli dziecko i razem je wychowamy? Także nie? Już rozumiem: jest ci bardzo przyjemnie kłaść się na ładnej i do tego cudzej niewolnicy, ale to w końcu tylko niewolnica, a ty przecież pochodzisz z rycerskiego Domu.

— Jesteś taka sama jak ona.

— Jak Ezena? No, a może nie bez powodu? Posłuchaj, wasza godność: kup sobie niewolnicę! Na Perłę chyba cię nie stać, ale dziewczyny pierwszego sortu kosztują nawet trzy razy mniej, a są równie ładne i wcale nie głupsze ode mnie. Będiesz wtedy mówić takiej, z kim ma spacerować albo nie spacerować, z kim ma siedzieć, a z kim może leżeć. A ja jestem cudza. Jeśli Ezena mi każe, to jutro wleżę pod knura. Albo wsadzę sobie między nogi cały miecz i umrę. Albo już nigdy nie spotkam się z mężczyzną, albo może będę milczeć do śmierci, albo będę jadła tylko marchewkę... Wszystko, co rozkaże. Rozmawiaj więc z księżną, komendantce, nie ze mną. Namów ją, żeby coś mi kazała lub czegoś zakazała. Tylko sam nie próbuj mną rządzić, bo mogę być twoją kochanką i przyjaciółką, ale niewolnicą nie zostanę.

Cierpliwie wysłuchał tyrady.

— Kochanką i przyjaciółką — powtórzył. — Właśnie tego bym chciał. Niczego nie chcę ci nakazywać, Esa. Ale gdy przychodzę do ciebie, żeby porozmawiać, a potem razem zasypiamy, to chciałbym... to nie chcę być piątym mężczyzną, który ci się zwierzył w tym tygodniu, i trzecim, który zasnął obok ciebie.

— Odwrotnie: trzecim i piątym.

Pokręcił tylko głową. Ale dotarło do niej, co właściwie powiedział, i

trochę złagodniała.

— Niemądry jesteś. Ile ty właściwie masz lat? Czasem zachowujesz się jak chłopiec, rycerzu... Przecież tylko ty znasz wiele moich tajemnic, nie każdemu mówię to, co tobie. Ale nie będę czekać, aż raz na dziesięć dni przypomnisz sobie o moim istnieniu i przyjdiesz... jak po własne.

Wstała, ociekając wodą.

— No? Wytrzymaj mnie i idź już, jestem zmęczona — powiedziała.

Wziął kąpielowe prześcieradło i spełnił pierwsze polecenie. Drugiego nie zdążył; nim ruszył w stronę drzwi, otworzyły się, przepuszczając panią Sey Aye. Miała na sobie lekką suknię z purpurowego atłasu, niesymetrycznie przybraną złotymi cekinami, a na zebranych z tyłu włosach pasującą do sukni kokardę. Wygląd księżnej zawsze był niespodzianką — o każdej porze dnia i nocy można ją było zobaczyć zarówno na bosaka i w samej koszuli, jak też w sukni kosztującej tyle co zbroje czterech gwardzistów. A czasem umiała włożyć straszliwy serdak, zabrany chyba chłopcu stajennemu, do tego spódnice haftowaną srebrem, na stopy zaś sandały praczki. Yokes dawno już przestał zgadywać, czemu miała służyć ta huśtawka upodobań i gustów. Teraz, gdy szła od drzwi, pokazując kształtną nogę przez rozcięcie w sukni, w zgrabnych pantofelkach na koturnach mocno podwyższonych z tyłu, wyglądała bardzo pociągająco.

— Razem, bardzo dobrze — powiedziała. — Zostań, Yokes. Anesso, gdzie byłaś?

— Jeździłam konno... Po lesie.

— Od tej pory, zanim ruszysz się gdziekolwiek, masz zostawiać dla mnie wiadomość. U Keszy albo u Hayny. Ostatni raz szukam cię po całym Sey Aye.

— Tak, wasza wysokość.

— Jego godność Denett, gdzie jest? Też przepadł jak kamień w wodę.

— Jeździliśmy razem.

— O?! — powiedziała Ezena. — Yokes, wyjdź jednak i poczekaj za drzwiami. Zawołam cię.

Komendant skłonił się po wojskowemu i opuścił komnatę. Ezena wzięła przewieszoną przez oparcie krzesła domową suknię Anessy.

— Ubierz się, bo zmarzniesz. Byliście sami?

— Tak.

— No i...?

Perła ubrała się w suknię. Uczyniwszy gest oznaczający „odwróć się”, Ezena zasznurowała szatę na plecach.

— Nie mam do niego cierpliwości — powiedziała Perła przez ramię.
— Jest beznadziejny... we wszystkim. Przede wszystkim jest bezdennie głupi. Nie wiem, co wyobrażał sobie ojciec jego godności Denetta, ale wiem, co powinien zrobić: spłodzić drugiego syna, nakłąć mu rozum do głowy i dopiero wtedy przysłać tutaj. Bo z pierworodnego pożytku nie będzie.

— Połknął haczyk?

— Jaki tam haczyk! — zachnęła się blondynka. Klasnąwszy w dłonie, wezwwała służebne i gestem pokazała, żeby posprzątały po kąpielu. — Jaki haczyk? Wlazł na mnie od razu w pierwszych krzakach, nie zdążyłabym nawet kichnąć, co dopiero zarzucić przynętę.

Ezena zmarszczyła swe szerokie brwi.

— Myśli, że się nienawidzimy...

— I co z tego? Pierwszy raz zobaczył niewolnicę? Przecież wie, że choćbym nienawidziła cię dziesięć razy bardziej, niż udaję, to nie odważę się skłamać, zapytana. Musiałam cię okłamywać, wypełniając ostatnią wolę księcia... ale igraszki w paprociach? Zapomniałaś już, jak to jest? — pytała. — Okłamałabyś księcia, gdyby cię zapytał o coś podobnego? Przecież by cię za to publicznie zatłukli. Zatłukliby praczkę, a co dopiero Perłę. Za moją psią lojalność wyłożono fortunę.

Ezena uśmiechnęła się lekko, bo istotnie kłamstwo karano surowiej niż otwarte nieposłuszeństwo. W szanującym się domu, dla niewolnika była za to tylko jedna kara.

— A jego godność Denett o tym nie wie — podsumowała Perła Domu. — Jest tak bardzo pewien, iż przyjmiesz jego ofertę, że już uważa mnie za swoją własność. I jak własność traktuje. Naprawdę, tylko czekam, aż rozkaże mi szpiegować cię, czy jesteś mu wierna. Tak jak to mają w zwyczaju mężowie we wszystkich liczących się Domach Dartanu.

— Ale to bezczelność — zauważyła Ezena. — Niewolnice są po to, żeby ich używać... Ale własne niewolnice, nie cudze.

— I po ślubie — dorzuciła Anessa. — Już teraz jesteś dla niego nikim, mimo że czegoś chce. Wyjdź za mąż, a będziesz pracować pościel. Jego i moją...

— Hmm... Skąd to masz?

Perła uniosła rąbek sukni, odsłaniając leciutki sandał z lakierowanego drewna i skór.. Ściśle mówiąc, do zwykłego sandała nawiązywał tylko układ pasków i rzemyków; niewolnica stała niemal na palcach.

— Kazałam zrobić. Hm?

— Bardzo. Nie noś ich albo każ zrobić dla mnie podobne. Ale nie takie same, tylko podobne, niech ten pasek mają... pokaż... o, tutaj. Na krzyż z tym. Białe, czerwone i... niebieskie?

— Niebieskiego nie noś, źle ci w niebieskim.

— To srebrne i złote — powiedziała Ezena. — W ogóle nie mam w czym chodzić. Mówiłaś, że Denett... A, że będę prała wam pościel? Mhm... Nie chcesz, żeby jego godność Denett był twoim panem, Anesso?

— Pytasz czy żartujesz?

— Pytam.

— Wasza wysokość, przecież dobrze wiesz — Perła natychmiast odzyskała dystans.

— Nie, nie — powiedziała Ezena, siadając przy stole i opierając na nim przedramiona. Splotła dłonie. — Wiem, że życzysz sobie, by powiodły się plany księcia Lewina, a jego godność Denett może temu przeszkodzić, choć właściwie nie rozumiem, w jaki sposób. Ale nie o to pytam. Pytam, czy chciałabyś mieć takiego pana? Czy Denett byłby dobrym panem, Anesso?

— Jestem tylko rzeczą, wasza wysokość. Nie mogę decydować, kto mnie będzie miał i używał.

— Toteż nie decydujesz — zniecierpliwiła się pani Sey Aye. — Ja też kiedyś byłam rzeczą, ale wiedziałam, kogo lubię, a kogo nie lubię... Zgłupiałaś nagle? Udzieliło ci się od Denetta? Może coś jest w jego nasieniu...? Bo rozmawiasz ze mną tak, jak parę tygodni temu. Chciałabyś takiego pana czy nie?

— Przecież to głupek! — rzekła ze złością Perła. — Słyszę, że dotarło to do ciebie, więc po co mi każesz powtarzać? Przyjemnie jest należeć do głupka?

— Naprawdę nie chcesz być wolna? Wyzwolę cię — rzekła Ezena, nawiązując do rozmowy, jaką odbyły przed dwoma dniami.

— Nie chcę. Nie umiem być wolna. Pierwsza Perła Domu, takiego

Domu, jest przedmiotem tylko dla swego właściciela. Dla wszystkich innych jestem... kimś. Tu, w Sey Aye, najważniejszą osobą po tobie. Wyzwolona, będę nikim dla każdego.

— Zatrzymałabym cię przy sobie.

— Jako kogo? Kobietę z hodowli, bez przeszłości, bez pochodzenia, która zamiast imienia ojca ma na certyfikacie sygnaturę hodowcy i potwierdzoną czystość pary rozplodowej? Coś, co już nie jest Perłą Domu, więc jest niczym i nikim, ale dalej próbuje rządzić? Opowiedzieć ci o losie pewnej praczki, która nagle została księżną?

— To co innego.

— Nie, to zupełnie to samo. Taki Yokes nie wypełniłby nawet jednego mojego polecenia, a jeżeli nawet, to upokorzony do ostatnich granic. Co dopiero Kesa... Pierwsza Perła Domu nie mająca nic do gadania. Zostaw to, wasza wysokość. Proszę cię, Ezeno. Co jest ze mną źle?

Księżnej zrobiło się żal ślicznej Dartanki z nieuczesanymi mokrymi włosami, która wyglądała na szczerze zmartwioną.

— Wszystko dobrze. Odkąd przestałaś udawać, jesteś...

Urwała, zakłopotana. Po chwili pokazała niewolnicy język.

— Nieznośna.

Anessa podeszła i pocałowała księżną w czubek nosa.

— Nie wyzwolisz mnie?

— Nie wyzwolę — obiecała Ezena ze śmiechem, rozbrojona. — Teraz lepiej opowiedz mi szybko, jak było w tym lesie z Denettem... A potem zawołamy Yokesa.

Perła Domu zaśmiała się złośliwie i opowiedziała o paprociach. Z najdrobniejszymi szczegółami.

*

Yokes przechadzał się po korytarzu i próbował dociec, co właściwie czuje.

Od chwili, gdy poznał prawdę o pani Sey Aye, nie zaznał spokoju. Każdego dnia zamyślał się głęboko, bądź to patrząc przez okno, bądź kiwając się na krześle z kubkiem wina w dłoni... Było tak, jak powiedział Anessie: uciekł od wojska i wojny, chcąc znaleźć wreszcie odrobinę spokoju. Ale — naiwny — szukał nie tam, gdzie trzeba. Wiedział już, że dla kogoś takiego jak on spokój istnieje tylko na wojnie... Spokój ducha.

Gdy jasne było, kto wróg, a kto przyjaciel, serce i sumienie mogły spokojnie spać. W Sey Aye, a być może w całym Dartanie, nic nie było jasne. Nie istniały sprawy oczywiste. Wychowany przez surowego ojca, starego rycerza, komendant oddziałów Sey Aye był dumny ze swego pochodzenia, wysoko nosił głowę, bez namysłu potrafił każdemu wskazać jego miejsce. Do czasu. Po raz pierwszy w życiu poczuł się z tym... śmieszny, no tak, śmieszny. W ciągu kilku zaledwie miesięcy gotów był tej samej osobie pokazywać miejsce — a to w strumieniu, z koszem na brudną bieliznę; a to przed sądem w Rollaynie; a to na tronie królewskim bez mała... Uświadomił sobie nieoczekiwanie, że Czysta Krew w żyłach wcale nie woła do każdego, kto chce i umie słuchać. Gdyby istotnie wołała, gdyby jej istnienie rzeczywiście przejawiało się jakkolwiek, Ezena nigdy nie byłaby praczką. Gdyby zaś nawet zaszła taka przykra pomyłka, to po zajęciu przez rzekomą niewolnicę właściwego miejsca, nikt nie powinien mieć wątpliwości, że istotnie przysługuje jej to miejsce. A tymczasem on sam, jako pierwszy i najpierwszy ze wszystkich, kwestionował prawa „niewolnicy”. W jaki sposób Czysta Krew nie potrafiła rozpoznać innej Czystej Krwi? Może jednak istniało coś jeszcze, poza wojną, poza służbą pod sztandarem Arilory, co mogło zrównać ludzi wszystkich stanów? Ale co to było? Nie wiedział.

Czuł się ośmieszony, upokorzony i żałosny.

Nie czytał żadnej z opasłych kronik zostawionych przez księcia Lewina. Choćby chciał, nie miał kiedy, bo bez przerwy ślęczała nad nimi jej wysokość. Ale rozmawiał z Anessą. Perła, z właściwą sobie swadą, przybliżyła mu prawdziwą historię najstarszej z mitycznych Trzech Sióstr. Historię pierwszej królowej Dartanu, największej w dziejach świata wojowniczką, której dzieła nikt nie umiał poprowadzić dalej. Królowa Rollayna odeszła, zostawiając bogaty i potężny, zjednoczony Dartan, z silną władzą królewską, sprawiedliwym prawem, kwitnącą sztuką, zastępami uczonych mędrców — Dartan, który bez trudu mógł podporządkować sobie wszystkie ziemie i plemiona Szereru, lecz wybrał intrygi i rodowe waśnie. Odeszła... A teraz wróciła i on, Yokes, stał u jej boku.

Gdyby tylko mógł, zanegowałby tożsamość Rollayny-Ezeny. Ale były dowody. Córkę Szerni w armektańskiej niewolnicy zobaczył przecież sam książę Lewin, spadkobierca tradycji najświetniejszego dartańskiego

Domu. Poza tym, nawet jeśli pominąć zewnętrzne podobieństwo Ezeny i legendarnej królowej, były w kronikach (jak zapewniała Anessa) bezsporne dowody. Yokes nie mógł uwierzyć, gdy usłyszał, że teraz to właśnie od niego zaczęła się cała historia. Tak, bo w księgach zapisano nawet imiona — i było wśród nich imię Yoss, starożytny odpowiednik imienia, które nosił. W służbie Domu K.B.I. nigdy nie było nikogo o takim imieniu. Aż do chwili, gdy stary książę, odebrawszy przysięgę wierności od nowego komendanta swych pocztów, zszedł do lochów zameczku, by odszukać fragment mówiący o rycerzu Yossie, który stawi się w Sey Aye, by objąć komendę nad wojskami królowej Rollayny. Praczka Ezena wciąż jeszcze chodziła do strumienia, nikomu nie znana, niezauważona przez władcę Sey Aye, gdy komendant Yokes — rycerz Yoss — czynił nowe zaciągi i przezbierał wojsko, którym miał dowodzić w jej służbie...

Drzwi do komnaty Anessy otwały się szeroko.

— Zasnąłeś? Wołam cię i wołam — powiedziała.

— Zamyśliłem się.

Wróciwszy do komnaty, Yokes zauważył lekkie rumieńce na twarzach obu kobiet. O czymkolwiek rozmawiały pod jego nieobecność, musiało być niezmiernie interesujące.

— Nie wyjdę za mąż — powiedziała bez wstępów Ezena. — A jeśli nawet, to nie za jego godność Denetta... Radź, Yokes. Denett wróci z niczym, bo nie zamierzam oddać mu połowy wszystkiego, co mam, a zwłaszcza połowy wojska i połowy władzy nad ludźmi. Szczególnie takimi ludźmi jak ty. Niezbędnymi. Radź, komendancie. Będą chcieli odebrać mi wszystko. Co wtedy?

— Nie uznasz wyroku i odwołasz się, wasza wysokość.

— Zostaniesz ze mną?

— Tak, wasza wysokość.

— A jeśli jutro znowu wylezie ze mnie praczka?

Czy słyszała jego myśli przez drzwi? Komendant przygryzł wargę.

— Wasza wysokość — powiedziała Anessa.

Skarcona przez Perłę księżna zaśmiała się krótko.

— Przepraszam, komendancie... Prędzej albo później sądy wydadzą wyrok ostateczny, a ja się z nim nie pogodzę. Usiądź, Yokes. Nie chcę, byś udzielił mi pochopnej odpowiedzi. Namyśl się, zastanów.

— Nad czym, wasza wysokość? Nie uznasz wyroku sądu, bardzo

dobrze. Nikt ci niczego nie odbierze.

— A legie imperialne?

— Legie imperialne, wasza wysokość, niczego tu nie wskórają. Pod warunkiem, że dasz mi wolną rękę w prowadzeniu wojny.

— Obronisz Sey Aye przed całym Wiecznym Cesarstwem?

— Nie, wasza wysokość, bo nie mam odpowiedniego wojska.

— Legie niczego nie wskórają... a jednocześnie mówisz, że się nie obronimy? Ach, rozumiem, uważasz, że trzeba pomnożyć chorągwie?

— Zawsze warto, ale myślę o czym innym. To wojsko nie może się bronić.

— Dlaczego?

— Bo jest wojskiem zaczepnym, księżno. Zorganizowanym i wyszkolonym z myślą o agresji. Jego wysokość zostawił ci, pani, twarde rdzeń armii, która, rozwinięta, może za pół roku wkroczyć do Rollayny. Nikt nie będzie oblegał Sey Aye.

10.

K.B.I.Denett wcale nie był głupi. Raczej rozpieszczony. W całym swoim życiu ledwie parę razy widział coś, czego nie mógł dostać. Bardzo chciał, lecz nie umiał sięgnąć po laury na dartańskich arenach walk — od lat królował tam człowiek, z którym nikt nie potrafił się mierzyć. Denett, pomimo młodzieńczej powierzchowności będący nie lada rębajłą i znakomitym jeźdźcem, chciał kiedyś rzucić mu wyzwanie, lecz napotkał opór ze strony własnego ojca. K.B.I.Enewen, bieglący w rycerskim rzemiośle nie mniej niż jego syn, był jednak bardziej doświadczony i potrafił ocenić szanse. „Nie” — powiedział wtedy. — „Ten człowiek nazywany jest Rycerzem Bez Zbroi i wiesz dobrze, że to miano nie wzięło się znikąd. Nie musi dźwigać blach, bo gdy trzyma w dłoniach swoje dwa miecze, nikt nie zdoła przeciąć ostrzem jego kolczugi. Najlepsi niewolnicy, spłodzeni z dobranej pary i od dziecka szkoleni do walki nie są w stanie dotrzymać mu pola. Znam jego godność Weneta” (takie było prawdziwe imię Rycerza Bez Zbroi). „To człowiek łagodny i życzliwy, ale na arenie walczy, żeby wygrać. Zabije cię, chłopcze. Zabije cię niechcący. A jesteś jedynym moim synem i nie pozwolę, żebyś zginął tak głupio. Walcz z każdym, ale nie z nim”. I na tym stanęło. Była to największa

życiowa porażka Denetta. Z drugą poważną sprawą zetknął się dopiero w Sey Aye. Lecz zwątpienie bardzo szybko ustąpiło pola spokojnej pewności siebie. Rozmówiwszy się z Armektanką, młody magnat zyskał przekonanie, że jednak dopnie swego. Ezena nie była głupia. Wyraźnie widział, że Armektanka jest pod wrażeniem propozycji. To była szansa, realna szansa dla niej. Niezwykłość tej kobiety okazała się w dużej mierze złudna. Miała swoje fomy, ooo... Miała. Ale z kobiecymi kapryсами Denett potrafił sobie radzić. Posłał więc krótki list do ojca, zapewniając, że sprawy mają się dobrze.

Minęło kilka tygodni, podczas których przybysz z Rollayny traktowany był tak, jak na to zasługiwał. Dostał do dyspozycji najlepsze pokoje gościnne, przydzielono mu służbę, towarzyszył pani Sey Aye przy posiłkach. Mógł jeździć, gdzie tylko chciał, i robić, co mu się żywnie podobało. Otrzymał w podarunku świetnego małego wierzchowca, farneta — była to krzyżówka hodowana tylko w Dobrym Znak. Konie tej rasy, niezbyt szybkie i wytrzymałe, ale bardzo zwrotne i ruchliwe, znakomicie spisywały się na leśnych bezdrożach; powszechnie używali ich leśni strażnicy Sey Aye. Wrażenia z pierwszego dnia pobytu na polanie zbladły; młody Denett miał owe zajścia za przykre nieporozumienie. Zwłokę w przyjęciu jego propozycji (oświadczyn!) rozumiał już tylko jako pozę rozgrymaszonej niewolnicy, która nieporadnie próbowała mu pokazać, jak bardzo jest niezależna. Ale (tu rację miała Anessa) od pewnego czasu czuł się w jej domu jak u siebie. Bo oferta była nie do odrzucenia i każdy, kto miał w głowie wszystkie klepki, musiał o tym wiedzieć.

W wolnych chwilach Denett kończył pisać drugi list do ojca, znacznie dłuższy od pierwszego. Mozolnie to szło; sztuka kreślenia słów nie była szczególnie poważana w stolicy rycerskiego Dartanu. Młody rycerz obszernie wyjaśniał, kim jest księżna Ezena, jak wygląda jej dom i o jaką stawkę toczy się gra. Miał nadzieję, że w zakończeniu będzie mógł już podać wstępny termin uroczystych zaręczyn.

*

Perła Domu warta była swojej pani — wróciwszy ze spaceru, Denett nawet nie próbował ukryć rozdrażnienia. Halet, strażnik i wierny przyjaciel, wysłuchał opowieści o bezczelnej dziwce (nie była to opowieść wierna do samego końca...), ale nie powiedział ani słowa,

krzywiąc tylko usta w nic nie mówiącym uśmiechu. Denett chodził po komnacie, obmyślając kary, które wkrótce zada krnąbrnej niewolnicy.

— To jedyne miejsce na świecie, gdzie panują takie obyczaje — rzekł wreszcie, zatrzymując się przed Haletem. — Listy ślubne z Ezeną wymienimy w Rollaynie, ale gdy tylko tu wrócę (a wrócę, bo wiele rzeczy trzeba będzie zmienić), każę tej całej Anessie sprzątać stajnie.

Halet ziewnął ostentacyjnie.

— Tak, a potem, brudną po tym sprzątaniu i z połamanymi paznokciami, weźmiesz do sypialni... Co ty wygadujesz? To nie Rollayna! Z kim zamierzasz tu sypiać? Z tym czarnym czupiradłem? To może od razu weź sobie krowę. — Halet dokładnie obejrzał Ezenę i miał wyrobione zdanie, zwłaszcza na temat ciężkich piersi i okrągłego zadu Armektanki. Gustował w kobietach raczej szczupłych w biodrach.

— Mają tu aż trzy Perły. Kesa jest za chuda i za stara, ale widziałeś Haynę? No i co? A gdzie jest powiedziane, że Pierwsza Perła Sey Aye musi się nazywać Anessa?

— Hayna ma się do Anessy jak ścierwo do pieczeni — spokojnie ocenił Halet. — I nie chodzi tylko o urodę. Ale zostanmy przy tym, jeśli wolisz... Widziałem sto różnych domów i dwieście różnych Pereł. Ale takiej nie widziałem jeszcze nigdy. Jest... aż niemożliwa.

Denett parsknął lekceważąco. Ale Halet nie dał się zbyć.

— To najdoskonalsze ciało w Dartanie, a może i w całym Szererze — ciągnął, z tym samym spokojem. — Nominalna cena, według mnie, wynosi jakieś dwa tysiące dwieście sztuk złota, ale gdybyś rzeczywiście chciał ją wystawić na sprzedaż, wziąłbyś trzy razy tyle.

— Jest wytatuowana. Nikt takiej nie kupi.

— Nieprawda. Jest trudno zbywalna, ale jeśli komuś te tatuaże przypadną do gustu, to same są warte sto pięćdziesiąt sztuk złota. Wziąłbyś za nią tyle, ile powiedziałem. Można wystawić za to zbrojny poczet. A ty mówisz, że pošlesz ją do stajni?

— Eee... — rzekł Denett.

Poklepał Haleta po ramieniu.

— Muszę wreszcie się przebrać — powiedział. — Spocony jestem, cały śmierdzą...

Przystanął.

— Zauważyłeś, że one dziwnie pachną? — zapytał z głębokim

namysłem.

— Co robią? — zdziwił się Halet.

— Dziwnie pachną... — powtórzył Denett. — Jakoś tak... jak powietrze po burzy.

— Kto tak pachnie? Nigdy nic nie czułem.

— Ezena i Anessa.

— Zawsze miałeś nos jak ogar. Ja prawie wcale nie rozróżniam zapachów. Róże... kwiaty bzu, jeśli z bliska, to tak. No i różne nieprzyjemne wonie, wiadomo. Ale już na stole rzadko coś mi pachnie.

— Biedaku! — ulitował się Denett.

— Idź już, wasza godność, bo twój zapach rzeczywiście czuję... Jechałeś na koniu czy raczej koń na tobie?

Denett machnął ręką i wyszedł. Halet został sam.

I siedział, zamyślony. Potrafił siedzieć bez ruchu — nawet i pół dnia. Dziwna cecha u młodego, pełnego życia człowieka, o naturze bynajmniej nie flegmatycznej.

Martwił się o Denetta.

Halet był sługą. Kimś takim bez mała, jak przyboczne niewolnice księżnej Sey Aye i Pereł Domu. Urodził się jako człowiek wolny, a nawet miał w żyłach Czystą Krew — niemniej był tylko sługą; od syna rodu K. B. I., którego strzegł, oddzielała go przepaść. Już jako dziecko przyuczony był do służby i potrafił tylko dwie rzeczy: towarzyszyć swemu panu i zabijać. Towarzyszyć wszędzie i we wszystkim: w rozmowie, na polowaniu, w podróży. Towarzysz i obrońca, pieczołowicie poskładany z cech, które miały się podobać tylko jednej osobie na świecie: K.B.I.Denettowi. Jego godność K.B.I.Enewen, myśląc o przyszłości swego syna, trzymał dla niego dom, wyhodował wierzchowce, zamówił szaty i oręż, kupił niewolnice, wystawił zbrojny poczet i wyszkolił powiernikagwardzistę: T. Haleta. W tym świetnie obrobionym i wytresowanym człowieku była jednak drobna skaza. Halet myślał, mówił i działał tak, jak tego oczekiwano, ale gdzieś, na samym dnie serca, zachował swoje „ja”... I najpierw, w tym malutkim, ukrytym zakamarku, trzymał coś, co przeraziłoby jego godność Enewena; przeraziło tak bardzo, że zabiłby Haleta własną ręką.

Bo Halet Denetta nienawidził. Przez długie cztery lata. Nienawidził za nic, bez powodu. Może tylko za to, że dla takich ludzi jak Denett

przemieniano innych w maszyny. Bezmyślne jak katapulta albo kusza.

Skąd wziął się taki człowiek, jak Halet, w samym środku Złotego Dartanu, gdzie od wieków dla wszystkich było oczywiste, iż każdy musi znać swoje miejsce? Nikt nie protestował przeciwko takiemu porządkowi rzeczy... I naraz, w rodzinie, której kolejne pokolenia zawsze komuś z dumą służyły, pojawił się chłopiec nienawidzący służby. Bez powodu.

Nienawidząc, szukał Halet przywar K.B.I.Denetta. Znalazł sto albo tysiąc. Mijały lata, wad przybywało. Zalet nie było wcale. Aż do czasu, gdy osiemnastoletni Denett wyrwał się swemu druhowi-gwardziście i wskoczył do wezbranej rzeki, między ostre kry, żeby wyciągnąć szczeniaka ze złamaną łapą. Psiak zdechł wkrótce, po dwóch lub trzech dniach, mimo troskliwej opieki, a Denett pochował go na łące. Owa nedorzecznie ckliwa historia obnażyła nową wadę Denetta: lekkomyślność, jeśli nie głupotę. Ale oprócz tego pokazała coś jeszcze: ten chłopak był odważny i miał serce. Miał je nie tylko dla psa w rzece, miał je także dla ludzi. Rozpieszczony, pyszałkowaty, gnuśny — jednak nigdy i nikomu nie wyrządził krzywdy. A nawet — wstydliwie i ukradkiem — umiał pomóc... Halet otworzył oczy. Ujrzał coś, czego wcześniej dostrzec nie potrafił.

Malutki schowek na dnie serca, przeoczony przez budowniczych ludzkich machin, nie mógł pomieścić dwóch uczuć. Halet wyrzucił nienawiść i zaczął Denetta kochać.

Teraz siedział, w pysznej komnacie wspianego domu w Sey Aye, nieruchomy, jak miał w zwyczaju, i martwił się. Nie wiedział jak pomóc Denettowi, nie potrafił z nim rozmawiać tak jak należało. Mógł tylko pilnować, by nikt nie wyrządził mu krzywdy.

I bał się, że nie upilnuje.

Być może jego godność Denett czuł zapachy, których inni pochwyć nie umieli. Za to Halet miał instynkt, jak zwierzę. Pożądana cecha u strażnika-zabójcy. Instynkt milczał, gdy w nocy, na polanie, Yokes wyprowadzał z zarośli swych łuczniczków. Lecz odzywał się teraz: w cichej komnacie wspianego domu na polanie zwanej Dobrym Znakiem.

W Dartanie koty nie były rzadkością — nawet w stolicy nikogo nie dziwił widok czworonożnych rozumnych. Ale zaskoczenie Denetta, gdy ujrzał kocich członków straży leśnej Sey Aye, miało uzasadnienie: koty chętnie miały się różnych dorywczych zajęć, lecz na prywatną służbę wstępowały rzadko. Co innego w legiach imperialnych. Zwłaszcza wojska armektańskie i grombelardzkie miały kocich zwiadowców i kurierów, a do niedawna nawet wojowników w słynnej kociej półsetce rahgarskiej. Tam jednak służyły gadba, grombelardzkie koty-olbrzymy, dwa razy większe i trzy razy cięższe od armektańskich tirsów.

Pręgowany buras, drobnym truchtem przemierzający dziedziniec, a potem skaczący po schodach, był właśnie tirsem. Wartownicy przy drzwiach musieli dobrze go znać, bo o nic nie pytali; owszem, oddali mu honory, co wyraźnie dowodziło, iż kocur nie jest przybłędą i ma stopień oficerski lub pełni jakąś wysoką funkcję w Sey Aye. Parsknąwszy w odpowiedzi, tirs zniknął w głębi domu. Służba na korytarzach nie zwróciła nań żadnej uwagi. Nasuwała się myśl, że czworonóg traktowany jest lepiej niż dwunożni nosiciele rozumu; prawie nikt nie mógł bez zapowiedzi pojawiać się w pokojach księżnej, a kot tam właśnie zmierzał. Może z racji pełnionej funkcji miał prawo odwiedzać jej wysokość o dowolnej porze, ale prędeż chodziło tylko o to, że był kotem... Nikt nie musiał korzystać z usług tych niezwykłych stworzeń. Lecz gdy ktoś raz podjął decyzję, że jednak korzystać będzie, musiał liczyć się z kocim sposobem postrzegania świata, więc także pogardą dla dobrych obyczajów i wydumanych reguł. Nawet w legiach imperialnych pogodzono się z faktem, że kosmatych zwiadowców wojskowa dyscyplina nie dotyczy. Gdyby burasowi zastąpiono drogę, na pewno gotów był okrążyć dom i znaleźć się w pokojach księżnej razem z kawałkami llapmańskiego okna... Jeśli tylko uznał swoją sprawę za ważną.

Ktoś jednak zwrócił uwagę na kocura. Idący w przeciwnym kierunku młody niewolnik obejrzał się i zawołał. Kocur przystanął, nie odwracając jednak głowy. Do tego też nie każdy potrafił przywyknąć... Dla kota patrzenie na człowieka, który mówił, było karygodnym marnowaniem aż dwóch zmysłów dla jednej sprawy. Można przecież słuchać, a zarazem badać spojrzeniem coś innego.

— Idziesz do księżnej, wasza godność?

— Z konieczności — odparł zapytany, tym razem odwracając głowę; koci głos miał niewyraźne brzmienie i człowiek, któremu nie mówiono w sam nos, czasem nie potrafił zrozumieć słów. — Szukałem komendanta, ale powiedziano mi, że jest w obozie wojskowym. Szukałem Pierwszej Perły i też jej nie znalazłem. A mam ważną wiadomość, dlatego idę do księżnej.

— Jej wysokość jest w zameczku, a Perła razem z nią — rzekł niewolnik.

Kot nie podziękował, czy też raczej — nie uczynił tego głosem, bo zawrócił i ominął chłopaka. To było podziękowanie; koty nie schodziły z drogi ludziom. W niektórych miastach, gdzie kotów było dużo, powszechnie przyjętym zwyczajem przepuszczano je między nogami. Nikt nie poczytywał tego za uwłaczające.

Po raz drugi przemierzwszy dziedziniec, pręgowany tirs znalazł się w starej warowni. Odnalazł otwartą klapę w podłodze i zbiegł po ciemnych schodach do podziemi. Wkrótce wyraźniej usłyszał głosy kobiet i niedługo potem stał w drzwiach dobrze oświetlonej izby. Perła Domu, zwrócona twarzą w tę stronę, dostrzegła go od razu.

— Vahen! Jak tu trafiłeś?

Księżna obejrzała się zdziwiona i uśmiechnęła na widok szelmowskiego oblicza oficera swojej leśnej straży.

— Słyszać was. Szukałem komendanta.

— Jest w obozie jazdy.

— Już wiem. Będziemy mieli gości, pojutrze rano, a najdalej przed południem.

— Gości? Pojutrze... przed południem?

Kocur nigdy nie rozumiał, dlaczego ludziom wszystko trzeba powtarzać dwa razy.

— Armekańscy gwardziści, klin łuczników pieszych dowodzony przez podsetniczkę, towarzyszy im podróżny, który nie jest wojskowym. Trzy konie wierzchowe, w tym pełnokrwisty dartańczyk klinowego gońca i osiem jucznych mułów. Regulaminowe służby: czterech mulników, kwatermistrz. W jukach sprzęty obozowe i trochę żywności, nic zwracającego uwagę.

Kobiety w milczeniu spoglądały po sobie.

— Muszę jeszcze powiadomić komendanta — rzekł Vahen.

— Zaczekaj — powiedziała Anessa, bo leśny strażnik zbierał się już do odejścia.

Buras usiadł na progu izby, owijając ogon wokół łap. Wiedział, co teraz będzie. Pytania.

— Mówisz, że to gwardziści? I ktoś jeszcze?

Kocur milczał.

— Ale co tu robi trzydziestu gwardzistów? I to jeszcze armektańskich... dobrze usłyszałam? — Ezena pytająco spoglądała to na Perłę, to na burego oficera. — Co to może oznaczać?

Kocur milczał.

— A ten człowiek? Jak wygląda?

— Jak podróżny — powiedział Vahen.

— Nie wiesz, kto to jest?

— Nie jest wojskowym.

— Ale... wygląda jak kto? Kupiec? Urzędnik? Mężczyzna Czystej Krwi?

— Wygląda jak podróżny, księżno — cierpliwie powiedział kocur, dobrze znający ludzi i ich umiłowanie jazgotu. — Gdyby wyglądał na kogokolwiek innego, usłyszałaabyś od razu. Wiem tyle, ile powiedziałem. Gdy dowiem się czegoś więcej, zaraz przyjdę, lub przyślę kogoś z wiadomością. Teraz powinienem iść do obozu jazdy. Czy masz jakieś instrukcje dla komendanta?

Ezena i Anessa oswoiły się już trochę z wieściami — w każdym razie na tyle, by przypomnieć sobie, że rozmawiają z kotem.

— Dziękuję Vahen, wiem wszystko — powiedziała księżna. — Nie, żadnych instrukcji. Yokes będzie wiedział, co trzeba przedsięwziąć.

Kot nastroszył wąsy, doceniając starania kobiety, która mówiła „wiem wszystko”, choć zarazem pękała z ciekawości i gotowa była wysłuchać jego raportu nawet siedem razy, pytając o każde słowo z osobna. Oderwał łapę od posadzki i wysunął pazury w kocim Pozdrowieniu Nocy. Nie każdego człowieka honorowano tym gestem.

Kobiety zostały same.

— Gwardia armektańska?

— Ale... co to może znaczyć?

— I ten jakiś podróżny...

Vahen nie rozchorował się tylko dlatego, że był już daleko i nie

słyszał rozmowy podnieconych kobiet, które dziesięć razy powtórzyły sobie każde jego słowo. Hałas, z którego nic nie wynikało. Nagadawszy się, wreszcie zamilkły.

— Nie wyrzucaj go jeszcze z Sey Aye — powiedziała po chwili Ezena, myśląc o Denecie.

Perła zrozumiała.

— Nie wyrzucę. Zawsze zdążę to zrobić. Dowiemy się najpierw, po co przyszli ci Armektańczycy. A poza tym i tak chciałam doradzić, żebyś jeszcze trochę poczekała.

— Na co?

— Na wieści z Dartanu. Jutro, lub najdalej pojutrze, powinny przyjść listy z Rollayny — przypomniała Perła.

— Myślisz, że dowiemy się o nim jeszcze czegoś wartego uwagi?

— Wątpię. Liczę raczej na potwierdzenie wcześniejszych wieści. No, tych o sporach między Enewenem a innymi Domami K.B.I. Wygląda na to, że Enewen naprawdę boi się wzrostu znaczenia biedniejszych od niego, a bliżej spowinowaconych z księciem krewnych. Procesują się o pochodzenie, tak? Już od dawna. Jeśli w listach przyjdą jakieś nowe szczegóły, to może uda ci się wyciągnąć potwierdzenie tego od Denetta, przy obiedzie albo na przechadzce. To zawsze może się przydać.

Ezena machnęła ręką.

— Nie dają mi spokoju ci gwardziści. Vahen wie, jak zepsuć resztę dnia... Może trzeba było wezwać tu Yokesa?

— A po co? Dobrze zrobiłaś, zostawiając mu wolną rękę. Jest czasem nieznośny, ale w takich sprawach lepiej mu nie przeszkadzać. Żadna z nas nie wymyśli nic mądrzejszego, niż on.

Ezena popatrzyła z uśmiechem.

— Słuchaj, ty go... kochasz?

— Yokesa? — Perła wyglądała na zaskoczoną. Zamyśliła się. — Powinnam odpowiedzieć, że mi nie wolno... Prawda, wasza wysokość?

— Nieprawda.

— Nie wiem, czy go kocham. Ja... trochę myślę jak kot. — Uśmiechnęła się i pokazała drzwi, w których niedawno siedział Vahen. — Nawet jeżeli coś czuję, a przecież czuję... to zaraz się pytam, co z tego wynika. Naucz się wreszcie, że ja... naprawdę jestem rzeczą, w każdym razie nie jestem człowiekiem, a tylko tak wyglądam. Ty kiedyś byłaś.

Potem sprzedałaś swoją wolność, ale tylko wolność. Wcześniej miałaś swoje własne życie, dobre albo złe, wszystko jedno. Ja nigdy nie miałam niczego takiego.

Ezena milczała.

— Nie miałam matki, ojca, rodzeństwa, więc nie miałam kogo kochać, nie miałam nawet towarzyszek zabaw, bo nie wolno nam było się bawić, cały czas wypełniała nauka — ciągnęła Anessa. — Byłam Niebieska, potem byłam Piasek, jeszcze pamiętam, że Jodła i Policzek... Co i rusz zmieniano nam imiona, o ile to były imiona, więc miałam ich chyba ze sto. Anessą nazwał mnie dopiero ksiązę Lewin, ale jeśli jutro mnie sprzedasz, to ktoś gotów nazwać mnie Ezeną, Hayną albo Rzygowiną, jeśli będzie sobie cenił taki rodzaj humoru. A ty mnie pytasz, czy Kocham Yokesa? Potrafię rozpoznać miłość u innych, bo mnie nauczono, ale u siebie... — Pokręciła głową. — Nie wiem, zupełnie nie wiem. Bardzo dobrze mu życzę i lubię z nim sypiać, Ezeno.

Armektanka przyglądała się jej z uwagą. Niewolnica mówiła więcej i szybciej niż zwykle. Pytanie poruszyło ją bardziej, niżli chciała okazać.

— Chciałabym to zmienić.

Perła zachnęła się.

— Znów to samo... Dobrze mi tak, jak jest.

— Nie chciałabyś być taka, jak inni?

— Jacy „inni”?

— Zwykli ludzie.

— To znaczy? Taka jak księżna Ezena? Jak Denett? Między Ezeną a Denettem jest więcej różnic niż między Denettem a znalezionym w lesie patykiem. Co to znaczy „być jak inni ludzie”? Rozpoznawać miłość? Nie wszyscy rozpoznają. Nie być rzeczą? Kiedy Denett nią jest, tylko o tym nie wie. Yokes też jest rzeczą. Wykonali tę rzecz inni rzemieślnicy, niż mnie, ale skoro już o tym mowa, to jestem rzeczą wartą tyle co Yokes, o Denecie nie wspominając. I nie chodzi mi o pieniądze.

— Ja też jestem rzeczą?

— Ty? Ty chyba nie.

— A dlaczego?

— Nie wiem, wasza wysokość.

Gdy Anessa mówiła „wasza wysokość” oznaczało to zwykle, że rozmowa dobiegła końca. Ezena uśmiechnęła się lekko. Nie, nie... Perła

Domu nie była przedmiotem. Albo raczej: owszem, bywała nim wtedy, kiedy chciała. Kiedy jej było wygodnie. Bez względu na to, w co próbowano przemienić ludzkie dziecko, wyrosła zeń kobieta. Miała już swoje przeżycia, nie tylko wiedzę i zasady, którymi ją karmiono. Przyuczona do szybkiego nabywania doświadczeń, zebrała ich więcej, niż gotowa była przyznać.

— Dobrze, Anesso — powiedziała. — Nie mówmy już o tym. Wytłumacz mi raczej, dlaczego mnie okłamywałaś?

Perła na krótką chwilę zmarszczyła brwi.

— Mmm... wtedy? — upewniła się, z właściwą sobie szybkością odgadując, co rozmówczyni ma na myśli.

— Wtedy — potwierdziła Ezena, podchodząc do portretu Rollayny. — Ty i książę, wszyscy, którzy wiedzieli... Dlaczego nie można było po prostu przyjść do Ezeny i powiedzieć jej, kim jest naprawdę? Przeczytałam to wszystko — pokazała ręką wewnątrz izby — nie mogłam myśleć o niczym innym... i dopiero wczoraj uświadomiłam sobie, że nie wiem, dlaczego mi nie powiedziano. Na co czekaliście?

Anessa milczała.

— Dziwiło mnie trochę, że nie zapytałaś — powiedziała wreszcie. — Czekam na to od chwili... od początku. Przygotowałam się do tej rozmowy.

Ezena pojęła nagle, że powody mogły być o wiele ważniejsze, niż podejrzewała. Zbliżyła się do stołu i usiadła.

— Czy nie wiem o czymś ważnym?

— Musiałam coś przemilczeć.

— Co przemilczałaś?

— Nie czytałaś jeszcze kronik Sey Aye. Dzieje Dartanu, historia Trzech Sióstr, to wszystko jest tutaj. Ale kroniki Sey Aye mam ja.

— Co jest w tych kronikach?

— A gdybym cię poprosiła, żebyś nie pytała? Dla twojego dobra, uwierz mi! — spróbowała Anessa, doskonale wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

— Oszalałaś? Co jest w tych kronikach, masz mi zaraz powiedzieć.

— Nie jesteś pierwsza — powiedziała Anessa. — Albo raczej: wróciłaś nie po raz pierwszy. Pasma Szerni próbowały już wskrzesić Rollaynę, ale udało im się tylko powołać kogoś bardzo podobnego.

Ezena uczuła przyspieszone bicie serca.

— Ile razy? — zapytała stłumionym głosem. — I na czym polegało to podobieństwo?

— Najpierw to była dziewczyna bardzo do niej podobna, może taka sama. — Perła pokazała wielki portret. — I nic więcej. Za drugim razem Rollayna odzyskała jakieś strzępy wspomnień, dysponowała też jakąś mocą, trochę chyba taką, jaką mają Przyjęci. Ale nie panowała nad nią. Oszalała... a potem przestała być człowiekiem.

Ezena, z coraz mocniej bijącym sercem, patrzyła blada i milcząca.

— Zdaje się, że Pasma, ożywiając jakąś swoją część pod postacią myślącej istoty — ciągnęła Anessa — tracą nad nią kontrolę. Szerń jest martwa i bezrozumna. W kronikach Sey Aye są zapiski, których nie rozumiem, ale wynika z nich, że Rollayna wróciła do Szerni, tak zresztą powiedział mi książę. Nie rozumiem tego — powtórzyła Perła. — Rollayna... stała się z powrotem Pasmem Szerni. Książę uznał, że należy czekać, aż Rollayna obudzi się sama. Może trzeba czasu, by wszystko ukształtowało się tak, jak powinno. Nie wolno tego przyspieszać.

— Ty jednak przyspieszyłaś.

— Bo nie mogłam inaczej. Proces w stolicy... jego godność Denett ze swoją propozycją, a wreszcie ty sama, twoje rozterki i... nieobliczalność — tłumaczyła się Perła. — Widziałam, że zaraz dojdzie do katastrofy. Gotowa byłaś wyjść za Denetta równie dobrze, jak ugiąć się przed wyrokiem sądu albo rozpętać wojnę. Książę przewidział, że tak może być. Kazał mi czekać tak długo, jak uznam za rozsądne. Wszystko jest tutaj: roczniki, dowody na to, kim jesteś, odpowiednie środki, a na koniec sprzymierzeńcy. Tacy jak ja. Pomyśl: powoli odkrywająca prawdę o sobie, przerażona i zagubiona dziewczyna gdzieś w Dartanie... Skrzywdzono by cię, albo skrzywdziłabyś się sama.

— Ale jesteś tylko przedmiotem — oeniła cicho Ezena. — Pozostawiono twojej decyzji współudział w ożywaniu Pasma Szerni, ty przyjęłaś tę odpowiedzialność i postąpiłaś, jak uznałaś za słuszne. Ale jesteś tylko przedmiotem...

Anessa odwróciła wzrok.

— Kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś — powiedziała pani Sey Aye — podziwiam tego kogoś lub to coś. Przepraszam cię, Anesso... ale zostaw mnie teraz samą. Byłam wiejską dziewczyną, potem niewolnicą

tu i tam, potem księżną, potem półboginią... a mogę być jeszcze Pasmem Szerni, wariatką albo nie wiem czym. Zostaw mnie samą, muszę dojść ze sobą do ładu.

Perła przełknęła ślinę, skłoniła się i ruszyła ku drzwiom.

— Ale nie odchodź daleko — rzekła jeszcze cicho Ezena — bo potem będę chciała wypłakać się przed kimś. A nie mam nikogo oprócz ciebie.

*

Historia armektańskich wojen i podbojów uczyła niejednego. Pokazywała dobitnie, że już przed wiekami dartańskie hufce rycerskie były wojskiem przestarzałym i nieodpowiednim, mającym się nijak do armektańskich armii złożonych z żołnierzy zawodowych, jednolicie uzbrojonych, wyszkolonych, podzielonych na równe oddziały. Dartański rycerz, zakuty w świetną zbroję i dosiadający bojowego rumaka, od dziecka ćwiczony w rycerskim rzemiośle, w pojedynczej walce zdecydowanie górował nad konnym łucznikiem z Równin. Pojedyneków jednak nie staczano... Zrodzona jeszcze w Księstwie Sar Soa armektańska doktryna wojenna zalecała łączenie trzydziśiętnych klinów w kolumny, tych zaś w półlegiony. Najwyższym stopniem organizacji był legion — jednostka dość silna, bo licząca tysiąc do tysiąca pięciuset żołnierzy, zarazem jednak na tyle mała, by można nią było łatwo kierować. Wojska na każdym poziomie organizacji można było łączyć i dzielić bez zmniejszania ich bojowej sprawności — przechodzącą do innego półlegionu kolumnę tworzyli ci sami, zżyci ze sobą żołnierze, mający własnych dziesiętników i własnych oficerów; w każdej armii obowiązywały takie same komendy i sygnały, takie same były wojskowe insygnia i znaki. Wobec tak skonstruowanej wojennej maszyny dartańskie pospolite ruszenie prezentowało się aż humorystycznie: niekarne rycerstwo szło na wojnę z musu, bez widoków na pojmanie znaczniejszego jeńca (armektański oficer, nierzadko wywodzący się z gminu, mógł być zupełnym golcem, żyjącym wyłącznie z żołdu i niezdolnym do wypłacenia za siebie okupu); dyscyplina nie istniała, autorytet wodzów, stale podważany, był niewielki, chyba że dowodził sam król — lecz król nie mógł osobiście dowodzić każdym hufcem i każdą broniącą się twierdzą. Ciężka jazda dartańska, mogąca wgnieść w ziemię trzykrotnie liczniejszego przeciwnika, pozostawała bezradna wobec unikającej twardych czołowych starć lekkiej konnicy

armektańskiej i była w niemałym kłopotcie, stając przeciw piechutom, którzy przyjmowali bitwę tylko na wybranej pozycji, otoczeni rowem i prowizoryczną palisadą, a potem nękali napastników istnym deszczem strzał. To deprymowało i zniechęcało rycerzy, którzy — obrażeni na wroga — potrafili nawet zabrać się z pola bitwy i rozjechać do domów. Mądry książę Lewin wiedział o tym wszystkim. Rozbudowując swoje poczty, ani myślał opierać się na dartańskiej jeździe rycerskiej. Zarazem jednak nie musiał bez zastrzeżeń korzystać z armektańskich wzorców — bo miał pieniądze. Wojska kraju równin musiały być tanie; nawet po nastaniu imperium w całym Armeckie istniał tylko jeden paradny klin ciężkiej jazdy, dodany do Gwardii Cesarskiej. Kiedyś dartański rycerz, otrzymawszy od króla nadział ziemi, obowiązany był w zamian stawić się na wezwanie konno, zbrojno i z pocztem. We własnym interesie dbał o konia i oręż, bo od tego zależało jego życie. W armii stałej utrzymanie takiego jeźdźca i pocztowych było niemożliwe. I mijało się z celem; ciężka jazda rycerska (lub wyposażona według rycerskiego wzoru) musiała być liczna, by wywierać decydujący wpływ na przebieg boju. Przyłączanie słabych oddziałów do poszczególnych legionów nie miało żadnego sensu.

Lecz jego wysokość K.B.I. Lewin nie był władcą Wiecznego Cesarstwa, posyłającym swych żołnierzy na cztery strony świata, dla pilnowania porządku we wszystkich krainach imperium. Mógł wystawić armię, jaką uznał za najlepszą — i wystawił. Może jeszcze nie armię, lecz na pewno załóżek takowej.

Yokes nie kłamał, mówiąc Denettowi, iż brakuje mu bojowych wierzchowców. To istotnie był największy kłopot — tyle że od dawna rozwiązany. Brakowało koni dla nowych formacji, ale istniejące nie odczuwały braków. Na każdego z czterystu jeźdźców w pełnych zbrojach płytowych i na ladrowanych rumakach przypadało dwóch lekkozbrojnych (choć „lekką” tylko w pojęciu dartańskim) strzelców-pocztowych. Pocztowi nie używali olbrzymich bojowych rumaków, wyposażeni byli w pełne kolczugi (bo nawet żelazne rajtuzy) wzmocnione elementami płytowymi, małe tarcze zaś wozili na plecach, jako dodatkową osłonę; zadaniem tych żołnierzy, podczas szarży strzelających ponad głowami towarzyszy — zwano taki ostrzał nawija — było zmieszanie szyku wrogich wojsk przed czołem ciężkiej jazdy.

Ponadto na dwóch kopijników przypadał jeden średniozbrojny, którego miejsce było nie w ostrzu przełamującego szyku, lecz z boku. Średniozbrojny zamiast kopii trzymał włócznię, lecz tak samo używał tarczy i płytowej zbroi, wprawdzie tańszej i lżejszej niż u kopijnika, ale wciąż nie mającej przeciwwagi w wojsku armektańskim (ciężkozbrojny piechur cesarski był chroniony sporo słabiej) — także i ci jeźdźcy nie mieli pod sobą bojowych rumaków rycerskich, a tylko duże i silne wierzchowce ebelskie; była to rasa hodowana w południowym Armekcie. Zwierzęta średniozbrojnych nie miały płytowych ladrów; jedynie na karkach nosiły folgowe osłony, poza tym ubierano je w końskie kolczugi.

Sey Aye wystawiło dotąd tysiąc czterystu kopijników, włóczników i konnych kuszników, zgrupowanych w siedmiu chorągwiach. Komendant zamierzał rozwinąć te siły o dalszych czterystu konnych kuszników, których szkolenie było najłatwiejsze, bo wypełniali tylko wnętrze bojowego szyku i nie od nich zależało powodzenie manewrów ciężkiej jazdy. Nie potrzebował do tego bojowych wierzchowców, a dwustu nowozaciężnych właśnie zaczynał szkolić. Cała reszta regularnego wojska Sey Aye — raptem dwustu piechurów z kuszami i półtora kroć tylu żołnierzy lekkiej konnicy — pomyślana była jako wsparcie dla kopijniczej jazdy; były to zresztą formacje dość tanie, które łatwo dało się rozbudować. Na razie realną siłę stanowiła raczej znakomita straż leśna — kilkuset gajowych uzbrojonych w łuki bądź kusze i miecze.

Pręgowany Vahen, dotarwszy do skrytego w lesie obozu jazdy, musiał pokonać kilka linii wartowniczych placówek — i doprawdy poddano go badaniom bardziej szczegółowym niżli w pałacu księżnej. Wielu wartowników znało oficera gajowych, ale żaden nie przepuściłby go, nie usłyszawszy hasła obowiązującego w tym tygodniu. I nawet kot nie mógł stroić sobie z tego żartów... W wojskowych obozach trzymano psy; ostatnia warta musiała zameldować o przyjsciu Vahena, bo mogłoby dojść do nieszczęścia. Wszystkie te środki ostrożności bardzo dobitnie czegoś dowodziły — a mianowicie tego, że w Sey Aye zdawano sobie sprawę z istnienia Trybunału Imperialnego i szpiegów tej instytucji. Pamiętano też o obecności kocich zwiadowców w legiach...

Ogromna polana była placem ćwiczeń dla jazdy. Pod samym lasem wzniesiono wygodne, choć surowe z wyglądu, domy z sosnowych bali; do

każdego była dobudowana stajnia. Dla siedmiu chorągwi ciężkich i dwóch lekkich przeznaczono dwadzieścia sześć budynków, lecz mieszkalnych domów wzniesiono więcej, choć wciąż stały puste; liczono się tu z powiększeniem liczebności wojsk. Po drugiej stronie obozu widniały budynki gospodarcze, a także służące rozrywce: karczma, dom z dziewczętami i zadaszone podesty zapaśnicze. Żołnierze po służbie nie musieli chodzić aż do Sey Aye.

Yokes był w mniejszym od innych, lecz podobnym z wyglądu, budynku komendantury — mieszkali tu tylko najwyżsi oficerowie i mieściła się izba odpraw. Vahen, zameldowany przez wartownika, zastał komendanta przecierającego twarz po krótkiej drzemce.

— Co tam, Vahen?

Kot przekazał wiadomości, skąpiąc słów tak samo, jak wcześniej w zameczku. Lecz Yokes był wojskowym; zwięzły raport nie widział mu się czymś podejrzanym. Zamyślił się, marszcząc brwi.

— Co tam masz?

— Cztery drużyny. I paru włóczęgów.

Włóczęgami nazywano w Sey Aye tropicieli-zwiadowców, samotnie krążących po lesie, badających jego zasoby, ale także szukających obcych sideł. Lecz drużyny — liczące po siedem głów zbrojne patrole — to już było wojsko. Przeznaczone do rozpraw z dość licznymi czasem bandami kłusowników.

— No? — zdziwił się Yokes. — Aż cztery, mówisz? Nie przypadkiem chyba?

Kot nastroszył wąsy w grymasie, który wprawne oko odczytać mogło jako uśmiech.

— Gdy ruszałem tutaj, jeszcze ich nie było. Ale teraz na pewno już są.

Komendant uśmiechnął się w duchu. Vahen nie czekał na rozkazy, na wszelki wypadek od razu ściągnął najbliższe oddziały.

— Wracaj tam. Ale najpierw zajrzyj do obozu piechoty i weź klin kuszników. Każ im maszerować jakieś ćwierć mili przed czołem naszych gości, ale tak, żeby ci o tym nie wiedzieli. Swoje drużyny trzymaj po bokach. Poślij dwóch rozzgarniętych włóczęgów z uprzejmym pytaniem, czy nie trzeba przewodników. Sam się nie pokazuj, nie muszą wiedzieć, że ma na nich oko kot. Gdy już wyjdą z lasu, każ swoim zrobić to samo;

chcę, żeby nasi gwardziści zobaczyli towarzystwo przed sobą i po obu stronach. Jeśli będą sprzyjające warunki, posłuchaj, o czym gadają na biwakach, ale nie ryzykuj, nie pchaj się na środek żadnej polany. Nie posyłaj tu nikogo z byle głupstwem, chyba żebyś się dowiedział czegoś naprawdę ciekawego.

— Werk — potwierdził kocur.

Yokes skinął głową; Vahen poszedł.

Komendant posiedział trochę, porozmawiał, ale nie trwało to długo. Wkrótce wezwał jednego z wartowników.

— Odprawa sztandarowych i pierwszych prowadzących — rzekł krótko.

Wartownik zniknął. Yokes poprawił odzienie, trochę rozchełstane podczas drzemki, spiął pasem narzutę w barwach Domu i poszedł do izby odpraw. Sztandarowi i kilku prowadzących już tam byli, dwaj następni wychodzili ze swych izb. Zadzwończyły ostrogi na drewnianym ganku — oficer placu przysłał swego zastępcę. Yokes poczekał, aż zebrali się wszyscy, i krótko przedstawił sprawę.

— Wielki Sztandar — rzekł na koniec.

Dowódca wyprostował się służbiście.

— Czarną przeformować do walki pieszej, dołączy do Szarej w straży księżnej — rzekł Yokes. — Stu Róż pełni służbę wartowniczą aż do odwołania. Sztandar Mniejszy: chorągwie Trzech Sióstr i Pierwszego Śniegu zostają w obozie, Błękitna dalej ćwiczy w lesie, nie ściągać.

Leśne ćwiczenia, znieawidzone przez żołnierzy w zbrojach, były karą. Chorągiew Błękitna, najgorsza, niezdiscyplinowana, od trzech dni z drewnianymi mieczami ganiała po mokradłach, licząc puknięcia zakończonych gałkami strzał o kirysy. Trzy drużyny gajowych już dwa razy zdążyły „wymordować” wszystkich spieszonych jeźdźców. Teraz „trzecia” z rzędu Błękitna Chorągiew bawiła się w podchody.

— Chorągiew Domu ma być gotowa do walki konnej — ciągnął Yokes, spoglądając na dowódcę elity Sey Aye, który odpowiedział wojskowym ukłonem. — Wątpię, by Gwardia Armecka miała złe zamiary, ale służymy jej wysokości i wątpienie nie jest naszą sprawą. Jest nią gotowość do walki z tymi, których księżna nam wskaże. Ten oddział może być tylko przednią strażą jakiejś wojskowej ekspedycji, przysłanej dla przejęcia kontroli w Sey Aye. Pytania?

Nie było.

— Do oddziałów.

12.

Jej wysokość księżna Ezena, od wielu dni pochłonięta lekturą kronik w zameczku, tym razem przeszła samą siebie: otrzymawszy cztery wielkie tomy, w których spisano dzieje Domu K. B. I., kazała zanieść je do swojej sypialni, odmówiła udania się na posiłek, zażądała tylko, by przyniesiono jej wino i owoce. Jedwabne zakładki, zostawione przez Anesę w odpowiednich miejscach, służyły za pomoc, niemniej dartańskie teksty wciąż jeszcze sprawiały księżnej kłopot. Czytała je półgłosem, wzdychając od czasu do czasu, a nawet złoszcząc się, gdy nie rozumiała jakichś słów (złościła się zaś trochę zabawnie, bo potrafiła „wygarbować skórę” księdze, otwartą dłonią tłukąc jej stronicę, jakby lała po grzbiecie nieznośnego psa). Minał wieczór. Kesa, która zwykle pomagała Ezenie rozebrać się do snu, została odprawiona skinieniem. Nadszedł ranek. Kesa, ze świeżą suknią w rękach, zobaczyła panią Sey Aye leżącą w poprzek łoża z nosem utkwionym w księdze. Jabłka i słodkie wino. Po południu Hayna przyszła prosić księżną do stołu. Wyszła zaraz, przysyłając w zamian służebną z koszem pełnym jabłek. Dziewczyna postawiła go przy łożu i wyszła, unosząc w zamian chlupoczące nocne naczynie. Nastał wieczór. Anessa znalazła księżnę śpiącą z otwartą księgą pod policzkiem.

— Zabijesz się — powiedziała. — Zostaw, nie trzyj... — tłumaczyła, bo obudzona Ezena zakryła dłońmi oczy i tarła czerwone powieki. — Umyj się i idź spać. Te księgi mają po kilkaset lat, nie uciekną.

— One nie, ale czas — powiedziała Ezena zachrypniętym od snu głosem. Odkaszlnęła. — Jutro rano przyjdą ci żołnierze... Coś się kończy. Nie czujesz?

Wyciągnęła rękę, pokazując kosz palcem. Anessa podała jabłko.

— Coś się kończy — powtórzyła księżna, przetaczając się na plecy; jabłko chrupnęło w zdrowych zębach. — Czytałaś armektańskie sagi? — pytała z pełnymi ustami.

Perła Domu czytała sto armektańskich sag.

— Ja tylko jedną... tą co wszyscy, wiesz... Z której żeśmy uczyli się

czytać we wiosce — zmęczona Armektanka, choć mówiła w swoim ojczystym języku, jak zwykle w rozmowach z Perłą, to jednak trochę niepoprawnie; nauki udzielane przez starego księcia dość mocno zapadły w młody umysł, lecz nie aż tak mocno, by mogła z nich skorzystać śmiertelnie znużona kobieta, przez całą dobę bez przerwy zmagająca się z dartańską pisownią. — Już od roku albo dłużej było wiadomo, że przyjdzie do nas bakałarz, bo uczył niedaleko, a potem bliżej, a potem już w sąsiedniej wsi... Wszystkie dzieciaki czekały. Ja nie mogłam się doczekać najbardziej, bo byłam prawie najstarsza z tych, co się jeszcze nie uczyli. Pięć lat wcześniej byłam za mała do nauki, ale tylko trochę za mała. Ojciec potem nauczył mnie liter, ale że nie było nic do czytania, to sporo zapomniałam. Wreszcie przyszedł bakałarz i uczył nas przez cztery miesiące. Widziałaś zwój do nauki czytania? Inny niż zwykle. Wielki, gruby jak belka, z dużymi literami...

— Widziałam — powiedziała Perła z uśmiechem, trochę wzruszona dziecięcymi wspomnieniami Ezeny. — Też się z takiego uczyłam.

— Ty? Naprawdę?

— A co myślałaś? Że miałam własny zwój do nauki? Hodowle niewolników muszą przynosić zyski. Dziewczyny takie jak ty kupuje się tam i zaraz sprzedaje, ale własne, z rozplodowych par, utrzymuje się i wychowuje całymi latami. To nie może być zbyt drogie, jeśli cena piętnastolatki pierwszego sortu ma z nawiązką pokryć wszystkie koszty, a Perły przynieść zyski. Uczą nas inni niewolnicy, specjalnie do tego przeznaczeni, a zwój do nauki jest jeden. Z tą samą sagą, którą czytałaś na głos ze wszystkimi, podczas gdy nauczyciel wolno przewijał zwój... „Pieśń o jeźdźcach Sar Soa”, nieprawdaż? Opowiedzieć ci, jak wygląda stojak?

Ezena zaśmiała się, inaczej widząc mądrą, wszechstronnie wykształconą niewolnicę, która kiedyś tak samo, jako mała dziewczynka, nie mogła się doczekać pierwszej lekcji czytania.

— Ta historia to bajka ułożona specjalnie dla dzieci — dorzuciła Perła — ale ułożona w taki sposób, żeby mogły się dowiedzieć jak najwięcej o świecie, a zwłaszcza o Armekcie. Zresztą, jej kompozycja nie odbiega od kompozycji innych sag, bo sagi to też część armektańskiej tradycji i każde dziecko powinno wiedzieć, jak coś takiego wygląda.

— No właśnie — przytwardziła Ezena. — I teraz wydaje mi się, że

sama jestem bohaterką takiej sagi. Ja... nie wiem, o czym są inne, ale w „Pieśni o jeźdźcach” najpierw nic się nie dzieje, księżę poślubia narzeczoną, mówi się o wojnie, ale to ma być później... To wszystko jest bardzo piękne i ciekawe, ale właściwie... no wiesz, cały czas wiadomo, że dalej będzie to najważniejsze. Wojna zbliża się, towarzysze nakłaniają księcia, by wyruszył, ale księżę zwleka, nie chce opuścić swojej pięknej żony... Aż nagle biegną gońcy, donoszą, że nieprzyjaciel jest tuż, księżę zbiera wojska, żegna się, wyrusza, żona tylko na to czeka i zdradza go z najwierniejszym przyjacielem, zdradza wojownika, który ruszył w pole, hańba... Wszystko dzieje się szybko, bitwy, knowania, mały łucznik z wioski, który ratuje armię i obejmuje komendę, gdy giną starsi szarżą... — Wsparta na łokciu Ezena, rozbudzona już zupełnie, marszczyła brwi i mrużyła różnobarwne oczy. — Pamiętasz? Mam wrażenie, Anesso, że tak właśnie jest dzisiaj. Czas się skończył, właśnie biegną gońcy. Księżna wie już, kim jest, pokłóciła się z Pierwszą Perłą Domu, pogodziła, nagadały się, naczytały... Komendant Yokes poustawiał sobie wszystko w sercu i w tym miejscu, gdzie nosi swój honor, jego godność Denett oświadczył się i naczekał na odpowiedź. Co jutro? Jutro przyjdą armektańscy gwardziści. Coś mi mówi, że nie zdążę doczytać tych ksiąg. Nie wiem, co będzie jutro.

— Jutro będziesz niewyspana, a przez to nerwowa, lekkomyślna i brzydka — skwitowała Perła. — Jeśli nawet naprawdę jest tak, jak mówisz, to tym bardziej musisz zostawić te tomiska. Spać, wasza wysokość. I wyrzucić ten ogryzek, co tam jeszcze jest do jedzenia?

— Nie zasnę.

— Ależ zaśniesz, jak tylko ściągnę z ciebie suknię. Kąpieli już nie będzie — zawyrokowała Perła Domu. — No już, rozsznurujmy to... Bardzo pięknie. Teraz wstań i ręce do góry... Uff, za duża jesteś dla mnie. Ale mimo wszystko ładna — oceniła.

— Jakie „mimo wszystko”? — obruszyła się pani Sey Aye.

— Bo kudłata jak... Vahen. Przyślę ci jutro rano niewolnicę z woskiem.

— Nie chcę! Boli mnie od samego patrzenia.

— A widziałaś?

— Widziałam! Łzy stawały mi w oczach i trzymałam się za... Nie ma mowy.

— Jesteś Armektanką, księżno. Wszystko masz armektańskie, no,

może poza wzrostem.

— I co z tego?

— To z tego, wasza wysokość, że pocisz się pod pachami jak mężczyzna i widać plamy na rękawach sukni. Chcesz nosić to runo pod pępkiem, no to już trudno, noś, ale pod pachami... Można tym obdzielić dwóch gwardzistów.

— Każdy się poci — orzekła Ezena z owym, tak znamionym dla Armektańczyków, zrozumieniem dla wszystkich spraw cielesnych.

— I każdy pierdzi! — rozzłościła się Anessa. — Dlaczego nie pierdzisz gdzie popadnie?

— Bo trudno wtedy wytrzymać. Ale jak naprawdę muszę, no to...

— Nie — powiedziała Anessa. — Wystarczy mi zupełnie. Idź już spać.

Ezena parsknęła śmiechem.

— No, przecież żartuję sobie z ciebie — powiedziała. — Głupie te wasze zwyczaje, ale pogodziłam się z głupszymi niż ten. Dość długo jestem w Dartanie, żeby pojąć, o co ci chodzi. Wosku nie używam z przekory. Komu mam się tutaj podobać, Yokesowi, czy Denettowi? Naprawdę, wolę drażnić ich obu.

Perła Domu była wyraźnie zbита z tropu, co sprawiło Ezenie niesłychaną przyjemność.

— Żartowałaś sobie?

— No pewnie. Włóż jutro wygniecioną koszulę, zausznice... cicho! Najpiękniejsze zausznice, jakie masz, do tego tę błękitną spódnicę, no wiesz którą, tę z wszytymi perłami, a na nogi sandały praczki albo coś podobnego i pokaż się Yokesowi albo Denettowi, ale tak mimochodem. Jak zobaczysz minę, to będziesz wiedziała wszystko.

— Mam się z nimi droczyć? — Anessa najwyraźniej nie była przekonana. — Znowu sobie ze mnie żartujesz.

— Nie żartuję. Zrób tak — rzekła Ezena, mrużąc czarne oko, gdy w zielonym migotała wesoła iskierka.

— No... dobrze, może zrobię. Ale teraz idź już spać, bo jutro...

— Wiem. Ty też się wyśpij, Seilo. Jutro mogę cię potrzebować.

Perła Domu uśmiechnęła się lekko. Przez chwilę patrzyła na Ezenę, jakby chciała o coś zapytać, ale tylko westchnęła.

— Naprawdę za dużo naczytałaś się tych legend — powiedziała. —

Dobrze, położę się wcześniej.

Po chwili służebna przyszła zgasić świece.

*

Anessa nigdy nie sypiała zbyt wiele, choć lubiła wylegiwać się w łóżku. Nakłoniwszy Ezenę do udania się na spoczynek, zamierzała wprawdzie dotrzymać słowa i położyć się wcześniej, ale owo „wcześniej” oznaczało dla niej: przed północą.

Był dopiero wieczór. Miała ochotę na spacer.

Znalazłszy się w swoich pokojach, Perła wezwała niewolnice i kazała się przebrać. Do łożenia po lesie najlepiej nadawały się wysokie buty, sukienne nogawice i spódnica o męskim kroju, trochę krótsza i szersza, niż nosiły kobiety. Całości dopełniał kosmaty kaftan z długimi rękawami. Prosty strój, godny strażnika lasu, wykonany był jednak z największą starannością; kaftan miał miękkość jedwabiu. Anessa w ogóle nie rozumiała swojej pani, gotowej nosić jakieś zgrzebne łachy. Umarłaby chyba w szorstkiej koszuli praczki. Ani myślała droczyć się z Yokesem; nie w ten sposób.

Czapka z zawadiackim szarym piórkiem jak zwykle nie chciała pomieścić włosów i Anessa złośliwie dokuczała niewolnicy, próbującej rozwiązać problem. Dziewczyna była nowa; pierwszy raz ubierała Perłę Domu w strój do spacerów po lesie i zupełnie nie wiedziała, co począć z żółtą grzywą. Anessa, zerknąwszy w zwierciadło, zaśmiała się, a potem szczerze rozzłościła, bo zatknięta na czubku wielkiego koka czapka wyglądała jak kapelusz dziwnego grzyba.

— Liczę do stu — powiedziała. — Jeśli nie skończysz w tym czasie, to ja skończę z tobą. Na twoje miejsce przyślą mi dwadzieścia zręcznych i mądrych dziewczyn, a ty przydasz się gdzie indziej.

Niewolnica, prawdziwie przestraszona, rozpuściła fatalny kok.

— Ostatnio brakuje praczek — dorzuciła Anessa. — Teraz to praca przyjemna, ale zobaczysz zimą.

— Jak... jak mam to zrobić? — zapytała dziewczyna.

— Nie wiem. Myśl. Raz, dwa, trzy, cztery...

Niewolnica zaczęła splatać warkocz. Anessa nie znosiła warkoczy.

— .. jedenaście, pięćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto! — rzekła rozgniewana Perła Domu. — Zgłoś się do zarządcy i zapytaj, gdzie śpią praczki. Najpierw rozbierz się, bo nie będziesz już miała sukienki, tylko

lniany worek z rękawami; tam mówią, że to koszula. Zarządca niech mi przyśle kogoś na twoje miejsce. Ma to być dziewczyna rozgarnięta.

Niewolnica rozplakała się. Anessa niedbale związała włosy w dwie kiście, przerzuciła na piersi i wepchnęła pod kaftan. Nałożyła czapeczkę.

— Jazda stąd. Nie podoba się życie praczki? A kto powiedział, że karczować las mogą tylko mężczyźni? No to jazda, zanim udowodnię, że niewolnice też mogą.

Dziewczyna uciekła, przerażona i zapłakana. Anessa jeszcze przez chwilę poprawiała włosy, wyciągając pojedyncze kosmyki przez wiązanie kaftana. Popatrzyła z ukosa w taflę lustra, potem także wyszła z komnaty.

— Przyboczna — zażądała, mijając spieszącego gdzieś niewolnika.

Niewolnik zawrócił w miejscu i pobiegł szukać strażniczki. Nim Anessa doszła do wyjścia, dziewczyna już na nią czekała, dopinając na spódnicy pas z mieczem. Pora była zbyt późna, by mogła towarzyszyć Pierwszej Perle, mając tylko swoje sztylety.

Przemierzyły rześkie oświetlony dziedziniec i zagłębiły się w półmrok letniej nocy. Anessa ruszyła drogą prowadzącą do młyna, pozwalając się wyprzedzić strażniczce. Za młynem droga przechodziła w ścieżkę i znikła w lesie. Anessa jednak nie zamierzała iść aż tak daleko. Droga okrążała pagórek porośnięty sosnowym zagajnikiem — ten kawałek prawdziwego lasu zostawiono w dzikim stanie na życzenie księcia Lewina; Anessa często towarzyszyła dostojnemu starcowi podczas wieczornych spacerów. Po śmierci jego wysokości lasek stał się jej wyłączną własnością. Prawie nikt nie miał prawa tam chodzić, a ci, co mieli prawo, nie chcieli. Ezena wołała park za domem.

Mając po prawej ręce łagodny stok pagórka, Anessa skrzyła w stronę drzew. Nie zwróciła uwagi na przyboczną, która poszła drogą jeszcze mały kawałek.

— Perło — powiedziała niewolnica.

Anessa przystanęła.

— Ktoś jedzie. Od rozstajów.

— Kto to?

— Mam sprawdzić?

— Tak.

Przyboczna ruszyła przed siebie. W świetle księżycy majaczyły

ciemne sylwetki dwóch jeźdźców. Padło pytanie i nadeszła stłumiona odległością odpowiedź. Strażniczka zawróciła, prowadząc napotkanych ludzi.

— Jego godność Denett z przybocznym, Perło.

Denett podjechał do stojącej wyczekująco Anessy.

— Nocny spacer? — zagadnął.

— Wieczorny — poprawiła. — No właśnie... Wieczorny spacer?

— Co ma znaczyć to pytanie, Anesso?

— Ma znaczyć, wasza godność, że chcę się upewnić, czy nie zabłądziłeś.

— Nie pozwalaj sobie na kpinki, Anesso. I spuść z tonu.

— Przepraszam, wasza godność.

— Skoro przepraszasz, to odpowiem, że odwiedziłem swoich żołnierzy w gospodzie.

— Rozumiem, wasza godność.

Zamilkła na chwilę.

— Idę właśnie na szczyt tego pagórka — powiedziała. — To malutki, ale najprawdziwszy dziki las. Są tu piaszczyste jamy, w których lubię siedzieć, kiedy nikt mnie nie widzi. Po upalnym dniu piasek jest bardzo ciepły, nawet późnym wieczorem.

Denett zsiadł z konia.

— Piaszczyste jamy?

— Rozpadliny. Wykroty... Chyba wypłukane przez wodę.

— Pokaż mi te wykroty. Może i ja je polubię?

Znów milczała przez krótką chwilę.

— Polubisz, bo dam ci powód, wasza godność — rzekła wreszcie, końcami palców dotykając piersi mężczyzny. — Przepraszam za tamto... w paprociach. Ale mogę wszystko naprawić...

— Nie gniewam się na ciebie, Anesso.

— Dziękuję.

— Ale mówisz, że możesz naprawić? To wcale nie jest zły pomysł.

Zaśmiała się, wyciągając rękę.

— No to chodźmy.

— Halet — rzekł Denett z rozbawieniem — wracaj sam, ja tu trochę zostanę.

— Wasza godność...

— Jest tu przyboczna Pierwszej Perły Domu, więc na pewno nic mi nie grozi. Nie musisz czekać.

— Czy jego godność Halet to twój przyjaciel, panie? — zapytała Anessa, uśmiechając się w mroku; słychać było ten uśmiech w pytaniu.

— A dlaczego pytasz?

— Tak tylko — rzekła stłumionym głosem. — Nie lubisz, wasza godność... podzielić się czasem z przyjacielem?...

Zaległo krótkie milczenie.

— Jesteś dziś skarbnicą pomysłów — rzekł po chwili jego godność Denett. — Halet, nie odchódź. Dostaniesz dziś ode mnie mały prezent. Co ty na to?

Gwardzista nie namyślał się długo.

— Oczywiście przyjmę — powiedział wesoło, zeskakując z siodła.

— Ja myślę. Gdzie więc są te rozpadliny, Anesso?

Perła Domu parsknęła śmiechem.

— Kto pierwszy złapie... ten pierwszy będzie miał! — oznajmiła. — No, wasza godność, masz fory, twój towarzysz jest trochę dalej!

Zwinnie skoczyła za najbliższe drzewo. Denett okrążył je, lecz Perły już nie było, biegiem forsowała stromiznę. Halet puścił się w pogoń, próbując przeciąć jej drogę. Ona jednak знаła każdy krzak na tym wzgórzu, była coraz dalej i wyżej.

— No?! — zawołała, chwytając ramieniem pień sosny i kręcąc się wokół niego. — Hej tam, w dole!

Zniknęła gdzieś, było słychać tylko jej śmiech.

Samotnie stojąca na drodze przyboczna rozejrzała się dokoła, przywiązała wierzchowce do drzewa na poboczu, po czym także ruszyła na wzgórze.

Poznawszy, że łania ma zbyt zdrowe nogi, mężczyźni wybrali współpracę zamiast rywalizacji. Na szczycie pagórka Halet przedzierzgnął się w jednoosobową nagonkę; Denett, ukryty w zaroślach, czekał na zwierzynę. Uciekinierka nie zwietrizyła podstępny, oglądając się w kierunku, gdzie hałasował Halet, przeskoczyła piaszczysty wykrot i wpadła prosto na myśliwego. Krzyknęła, przestraszona, lecz było już za późno, bo Denett pochwyił ją wpół i przerzucił przez ramię. Triumfalnie dźwigając wierzgającą zdobycz, ruszył na spotkanie przyjaciela, nawołując od czasu do czasu. Lasek,

choć malutki i niegęsty, rzeczywiście był zupełnie dziki — nikt tu nawet nie zbierał chrustu. Denett, łamiąc swym ciężarem zalegające ziemię patyki, potknął się raz i drugi, ale utrzymał równowagę. Halet wkrótce odebrał mu zdobycz i zaniósł w upatrzone miejsce, gdzie ścieliła się miękka trawa.

— Au!

Śmiejąc się, Anessa próbowała wyrzucić szyszkę spod pleców, lecz Halet przytrzymał jej ręce po obu stronach głowy, Denett zaś po kolei ściągnął buty. Kopała przez chwilę, ale uspokoiła się zaraz; w ciemności słychać było tylko trzy przyspieszone oddechy. Z furkotem odleciała w mrok nocy spódnica, potem nogawice, a wreszcie futrzany kaftan. Jeszcze jedna spódnica i następny kaftan... Przyboczna bezszelestnie i z niemąłą wprawą pozbierała sztuki odzienia i przysiadła gdzieś w mroku, nasłuchując i spojrzeniem badając las dokoła, choć było zupełnie niemożliwe, by cokolwiek groziło Perle w samym środku Sey Aye; strażniczka wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Przecież gdyby istniały choć najmniejsze powody do obaw, usłyszałyby o tym jako pierwsza. Komendant Yokes bardzo poważnie traktował swoje obowiązki i niezwłocznie przekazałby odpowiednie rozkazy strażniczkom Sey Aye. Nic takiego nie miało miejsca. Jednak przybocznej nie zależało na udowodnieniu, że jest zbędna. Służba u boku Perły była służbą lekką; zbrojna niewolnica nierzadko całymi tygodniami nie miała nic do roboty... Tym bardziej chciała wykazać swą przydatność zawsze wtedy, gdy nadarzyła się okazja.

Jednak tej nocy zadanie okazało się trudniejsze niż zwykle.

— Precz...

W księżycowym półmroku ciało nagiej kobiety było wyraźnie widoczne na ziemi. Przyboczna leniwie spojrzała w tamtą stronę, potem znowu zapatrzyła się w las. Nie od razu pojęła, że Perła zwraca się do niej.

— Słyszałaś...? Precz mówię... Wynoś się.

Strażniczka zastygła w bezruchu.

— Perło? — upewniła się z obawą.

— Wynoś się... Precz, no już...

Niewolnica wstała, trzymając w dłoniach zmiętoszone odzienie. Pierwszy raz wydano jej podobne polecenie. Nie wiedziała jak ma

postąpić. Jej obowiązkiem było towarzyszyć Pierwszej Perle zawsze i wszędzie, gdy ta wychodziła z domu. Nie mogła odejść. Wiedziała, że komendant Yokes, usłyszawszy, iż spełniła taki rozkaz, natychmiast wcieli ją do jakiejś drużyny straży leśnej. Wszystkie przywileje, wszystkie umiejętności... przepadną i zostaną zmarnowane w niekończących się włóczęgach po mokradłach i kniejach.

— Perło? — zapytała raz jeszcze, nie ustrzegłszy się drżenia głosu.

Anessa stęknęła przeciągle.

— Wynoś się. W tej chwili.

Niewolnica zagryzła usta.

— Idę — powiedziała.

Ale nie odeszła. Ruszyła w głąb zagajnika, zaraz jednak przystanęła i z mocno bijącym sercem myślała przez krótką chwilę. Poszła dalej, umyślnie czyniąc sporo hałasu...

Lecz wróciła niemal bezszelestnie. Ukryła się w zaroślach, wcale nie chcąc niczego widzieć ani słyszeć. Jednak czuwać musiała. Choćby nic na świecie nie mogło zagrozić Perle, przyboczna miała jej strzec.

Narażała się na gniew Anessy. Lecz miała nadzieję, że Pierwsza Perła o niczym się nie dowie. Zarazem jednak, gdyby prawda wyszła na jaw, przyboczna mogła złożyć poufny raport komendantowi. Ten żołnierz z krwi i kości — była pewna — doceni, jak poważnie traktowała swoje obowiązki. Jeśli nawet rozgniewana Perła Domu zażąda innej przybocznej na jej miejsce, to Yokes spełni żądanie, lecz nie pošle lojalnej strażniczki do lasu. Prędzej znajdzie jej miejsce w gwardii pałacowej.

Wystraszona gwardzistka wstrzymywała oddech, wbrew rozkazowi przyczajona w krzakach.

Lecz to jeszcze nie był koniec jej rozterek. Bo wkrótce wyszło na jaw, dlaczego Pierwsza Perła kazała swej przybocznej iść precz.

Nieszczęsna czapeczka z piórkiem już dawno przepadła gdzieś w lesie. Halet, jedną ręką przytrzymując oba nadgarstki kobiety, drugą dłoń podłożył pod jej kark, płacząc się w jasnych włosach. Perła posłusznie oderwała głowę od ziemi, szukając ustami ust pochylonego gwardzisty. Denett, klęczący między rozłożonymi udami niewolnicy, ściągał z siebie ostatnie sztuki odzienia. Anessa z głuchym jękiem przytrzymała zębami język Haleta, a potem próbowała go połknąć, ssąc aż do bólu. Wytrzymałszy najdłuższy pocałunek swego życia, gwardzista cofnął się

nieco. Perła zaczerpnęła tchu i wygięła się w łuk.

— Uderz... — powiedziała ochryple. — No, bij mnie... Zasłużyłam...

Denett pochylił się nad nią.

— Proszę... Uderz, proszę...

Młody magnat znalazł drogę, lecz wtargnięcie było gwałtowne. Anessa stęknęła, odruchowo ściskając uda; trzymający nadgarstki Halet poczuł skurcz ramion.

— A... Uderz, uderz mnie wreszcie... Proszę.

Denett przygniótł ją ciałem do ziemi. Rzuciła się, próbując go zepchnąć. Cofnął się, zdeprymowany.

— Uderz... Proszę, najpierw...

Odetchnęła spazmatycznie, otrzymawszy lekki policzek. Halet znowu odczuł skurcz mięśni ramion. Krztusząc się z podniecenia, Perła nieustannie prosiła o karę. Gwardzista uderzył mocniej niż Denett, którego dziwna zabawa najwyraźniej nie pociągała, i zobaczył, że jest na właściwej drodze. Przesunawszy się, odgarnął spódnicę i klęknął okrakiem nad twarzą kobiety, chwytając odsłonięte piersi. Zgniótł mocno i nie przestał, słysząc stłumiony skowyt, bo odpowiedzią był jej oddech i dotyk warg pod spódnicą; gwardzista zadrżał, czując wilgotne wnętrze ust i słaby uścisk zębów. Pochylony, lekko odepchnął Denetta, sięgnął ręką do gładkiego łona i wepchnął palce w niewolnicę, czując gwałtowne pulsowanie rozciąganych mięśni. W gorących zakamarkach królowała lepka wilgoć; podniecenie tej kobiety nie było udawane. Krztusiła się pod spódnicą. Chlasnął dłonią nagie udo, potem jeszcze raz.

Ukryta w krzakach przyboczna cierpiała istne katusze. Uderzenia, które sprawiały rozkosz Pierwszej Perle, nieomal zabijały jej strażniczkę — dziewczynę od dziecka szkoloną do zapobiegania podobnym zdarzeniom. Przyboczna potrafiła używać rozumu i widziała w życiu niejedno, próbowała więc mówić sobie, że na trawie, pośród szyszek i patyków, nie doszło do żadnego zamachu... Ale dygotała jak w gorączce; nie umiała zapanować nad szczękaniem zębów. Było jasne, dlaczego Perła Domu kazała przybocznej iść precz. Bo wiedziała, że zamknięte w ludzkiej skórze, wytresowane tylko do zabijania zwierzę może zapanować nad ludzką częścią istoty. Tak, to było jasne — ale nie dla dygoczącej w zaroślach wilczycy, która z każdą chwilą bardziej traciła kontrolę nad swym ciałem i już prawie nie umiała myśleć. Splecione w

odległości dwudziestu kroków ciała należały do mężczyzny i wijącej się z bólu, płaczącej kobiety, której miała strzec.

Wilczyca patrzyła, jak krzywdzą jej młode.

Na pogniecionej trawie rozpalone żądze wzięły górę nad rozsądkiem i umiarem. Halet usiadł Anessie na piersiach, przygniótł kolanami jej ramiona i wymierzył kilka mocnych policzków. Niewolnica po każdym uderzeniu wydawała stłumiony okrzyk. Denett siedział z boku, wyraźnie zagubiony, patrząc szeroko otwartymi oczami. Powiedział coś, lecz nikt go nie dosłyszał. Halet zerwał się i chwyciwszy kłęby jasnych włosów, zaczął wlec Anesę po ziemi. Pośród urywanych okrzyków, w których ból i dzika rozkosz splotły się w jedno, Perła trzymała Haleta za ręce, by zmniejszyć ciężar wleczonego ciała. Zawołała nagle:

— Już nie... Błagam, już nie!

— Złap ją! — wykrztusił gwardzista.

Ogłupiały Denett pochwycił wierzgające nogi kobiety. Halet odpiął pas; oderwawszy odeń pochwę ze sztyletem, znów złapał Anesę za ręce i kilkakrotnie smagnął po nagim brzuchu, raz za razem. To nie było lanie na pokaz... Perła skowyczała, błagając, żeby przestał. Halet zamierzył się znowu.

Przyboczna zbiła go z nóg jednym uderzeniem rozpędzonego ciała. Dzikie zwierzę z wyszczerzonymi zębami bezgłośnie przypuściło najbardziej zajadły atak swego życia. Pierwszy prawdziwy atak; strażniczka nigdy dotąd nie broniła powierzonej jej opiece osoby. Halet nie miał najmniejszej szansy. Wyszkolony do walki równie dobrze i na pewno silniejszy od dziewczyny, popełnił błąd, którego ustrzegła się przyboczna: po raz pierwszy w życiu zapomniał, kim jest i gdzie się znajduje.

Dostrzegł atak i zdążył osłabić jego impet, czyniąc zakrok i częściowo usuwając się z drogi. Niewielu ludzi na świecie umiałoby zareagować z podobną, iście kocią szybkością. Lecz przyboczna nie była jakimś chuchrem; choć trafiła w bark zamiast w środek ciała, to jednak dość silnie, by przewrócić mężczyznę. Halet zerwał się, lecz było już po wszystkim, bo przyboczna także stała na nogach... on zaś ustać nie mógł. Zwierzę, które go powaliło, miało przecież pazury. Oba ostrza chybiły celu, lecz w niejednakowym stopniu: pierwszy sztylet przeciął powietrze,

drugi, zamiast w brzuch, trafił w miejsce, gdzie udo łączyło się z biodrem i tryskająca krew w mgnieniu oka zmoczyła spódnicę. Halet zachwiał się; wciąż trzymając w ręku swój pas, zdołał użyć go jako pętli przechwytyjącej uzbrojone ramię — lecz w nogach brakło siły do obrócenia szybkości ataku przeciw napastniczce. Pomógł jej, zamiast przeszkodzić: przyboczna nie musiała już łapać przeciwnika, szarpnęła tylko, pociągając ku sobie. Halet nie zdążył puścić pasa.

Tym razem ostrze weszło tuż pod żebra.

Niewolnica walczyła dotąd bezgłośnie. Teraz krzyknęła ochryple, przekręciła broń w ranie, szarpnęła w górę, potem w bok.

Denett powalił ją ciosem w kark. Uniósł splecione dłonie, by z rozmachem grzmotnąć raz jeszcze.

Anessa uderzyła tak jak wcześniej przyboczna: całym ciałem. Pereł nie szkolono do walki tak twardo jak niewolnic przeznaczonych wyłącznie do obrony, ale tym bardziej Denett nie miał szybkości i zręczności swego gwardzisty. Pas z mieczem leżał gdzieś w mroku... Uzbrojony, walcząc konno lub pieszo, młody magnat mógł stawić czoło każdemu, lecz K.B.I.Enewen nie uczył swego syna, potomka rycerskiego rodu, skrytobójczych zapasów w ciemnościach. Anessa nie miała sztyletu, lecz znalazłszy się na powalonym mężczyźnie, najpierw uderzyła go w twarz czołem, a następnie wbiła palce w oczy. Denett ryknął głucho i zepchnął ją na bok. Półślepy, desperacko machnął ramieniem, trafiając Perłę w głowę; zdołał uklęknąć, lecz w tej samej chwili ryknął po raz drugi i skręcił ciało w biodrach, broniąc się przed atakiem przybocznej. Było na to o wiele za późno; dwa ostrza, które weszły w plecy, dokonały dzieła. Denett upadł, wijąc się na trawie i charcząc. Po krótkiej chwili znieruchomiał, dziwacznie wygięty.

W zagajniku zaległa cisza.

Być może piękna Anessa mogła liczyć do stu, czekając, aż służebna wepchnie jej włosy pod czapkę... Lecz od chwili, gdy nastąpił atak przybocznej, nie zdołałaby doliczyć nawet do dziesięciu.

Strażniczka, wciąż ze sztyletami w dłoniach, klęczała na czworakach ze zwieszoną głową, podpierając się rękami po obu stronach nieruchomej nogi Haleta. Jej ciałem wstrząsały dziwne drgawki. Niewolnica spazmatycznie chwytiała powietrze; brzmiało to prawie jak szloch. Trupio blada w świetle księżycy, rozczochrana Anessa siedziała

skulona obok ciała Denetta, dygoczącymi dłońmi rozmazując krew na policzkach i wokół ust. Tatuaze na gołych udach wyglądały jak nierówne rany. Przyboczna uniosła głowę — i przez krótką chwilę dwie półprzytomne kobiety mierzyły się dzikimi spojrzzeniami.

— Zabij się — ochryple powiedziała Perła Domu. — Ezena nie może się dowiedzieć... że to przeze mnie... Nigdy. Zabij się. Już, teraz.

Przyboczna na powrót zwiesiła głowę i przez chwilę trwała nieruchomo, potem usiadła na podwiniętych nogach. Przez jakiś czas oddychała głęboko z zamkniętymi oczami, coraz szybciej, wreszcie zagryzła usta i mocno trzymając swe sztylety przejechała ostrzami po szyi, tnąc tętnice.

13.

Pierwsza Perła Domu dowiedziała się, że nie jest przedmiotem.

Dowiedziała się, że nie jest rzeczą. Była kobietą, mającą swoje zachcianki i kaprysy. Głupie zachcianki i kaprysy... Tego na pewno nie uczono w hodowli.

Zginęli dwaj ludzie, goście Sey Aye. Jeden był potomkiem znakomitego rodu, ale Halet także miał w żyłach Czystą Krew. Nie był niewolnikiem; owszem, pozostawał w czyjejs służbie, ale tak jak Yokes. Denett musiał umrzeć tylko dlatego, że widział śmierć swego gwardzisty. Pani Dobrego Znak odpowiadała za wszystko, co działo się w jej dobrach. Niewolnice księżnej nie mogły mordować bez powodu. Nikogo, a już na pewno nie ludzi Czystej Krwi.

Kaprys. To był tylko kaprys, nic więcej. Pierwsza Perła Domu miała kaprys oddać się człowiekowi, którym pogardzała. Życzyła sobie zaznać upokorzenia; chciała być sponiewierana, chciała zebrać o karę... A następnego dnia słodko powiedzieć: „Wracasz do domu, chłopcze”.

Kaprys pustej, zepsutej piękności.

Słaniająca się na nogach, pokrwawiona i półnaga Perła Domu wywołała w pałacu poruszenie, z którym nic jak dotąd nie mogło się równać. Pośród bieganiny i krzyków zanesiono Anessę do sypialni. Hayna, działająca z nieznaną w domu szybkością i zdecydowaniem, błyskawicznie opanowała bałagan, odsuwając na bok starszą Kesę, wyraźnie przestraszoną. Konny posłaniec natychmiast ruszył do obozu

wojskowego, gdzie wciąż jeszcze przebywał Yokes, mający przybyć dopiero wczesnym rankiem. Hayna kazała Kesie sprowadzić Ezenę.

Księżna pojawiła się w sypialni swojej Perły niemal natychmiast. Była nieuczesa, miała na sobie tylko lekką domową szatę, przewiazaną jedwabnym paskiem. Na jej widok Anessa, roztrzęsiona i obolała, ale przecież nie ranna, natychmiast kazała wszystkim iść precz. Spierano się z nią przez chwilę, ale była stanowcza. Odwołano się do jej wysokości.

— Wyjść. Natychmiast — powiedziała Ezena.

Służba i domownicy zniknęli.

— Denett i Halet nie żyją — powiedziała Anessa, gdy zostały same.
— Są w lasku przy drodze.

Opanowanie księżnej było aż nienaturalne. Mogło się wydawać, że nie dosłyszała.

— Pokaż się — rzekła. — Masz rozciętą wargę, spuchnięty nos i nabitego guza na głowie. Czy coś jeszcze?

— Nie, pani, nic wartego wzmianki.

— Kto to zrobił?

— Denett.

Anessa doskonale wiedziała, że najlepsze kłamstwo to takie, które w dużej mierze składa się z prawdy i przemilczeń.

— Miałam głupi kaprys — powiedziała. — Podczas wieczornej przechadzki spotkałam ich na drodze i zaciągnęłam do lasku. Chciałam upokorzyć Denetta przed jego własnym gwardzistą. Posunęłam się za daleko i dostałam po twarzy. Było ciemno i przyboczna wzięła to za napaść. Zabiła Haleta, a potem jego. Denetta.

— Gdzie jest ta dziewczyna?

— Już nie żyje.

— Upewniłaś się? Może tylko jest ranna?

— Nie zranili jej w walce — wyjaśniła Perła. — Kazałam jej popełnić samobójstwo.

Ezena spoglądała w milczeniu.

— Dlaczego?

— Zrobiła już swoje, a nawet za dużo. W tej hodowli nie szkołą strażniczek, lecz zwierzęta, trzeba je wszystkie sprzedać! I to jak najszybciej. Jeżeli prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw i wszczęte zostanie jakieś śledztwo... a na pewno zostanie wszczęte...

— Nie, nie — przerwała Ezena. — Co to znaczy: jeżeli prawda wyjdzie na jaw? Jak chcesz ukryć śmierć syna Domu K.B.I.?

— Nie śmierć, ale powody, dla których go zabito. Wasza wysokość, przecież to ty odpowiadasz za wszystko, co dzieje się w Dobrym Znak. Jeśli wyjdzie na jaw, że twoje niewolnice mordują mężczyzn Czystej Krwi... z powodu kilku uderzeń po twarzy...

— To co wtedy?

— Trybunał Imperialny to już nie są sądy, przed którymi teraz masz stawać. Nie obronisz się, wasza wysokość. Możesz nawet uciąć mi głowę, ale to nie zmieni postawy śledczych Trybunału. Zwłaszcza wobec ciebie! Za wszystko, co robią twoje niewolnice, odpowiadasz ty.

— I dlatego zabiłaś swoją przyboczną? Nic z tego nie rozumiem!

Anessa też nie rozumiała, czego chce od niej księżna. Martwiło ją mnóstwo rzeczy... ale śmierć przybocznej? Zdążyła już o tym zapomnieć. Nie przewidziała, że Ezena zechce drażnić ten temat.

— Właściwie... nie było specjalnych powodów — powiedziała szczerze. — Przestraszyłam się i najpierw chciałam cię okłamać. Przecież to wszystko przeze mnie. Wasza wysokość... miałaś jakieś plany związane z tą niewolnicą?

— Plan? Nawet nie wiem, która to była... Ale mówisz, że nakazałaś tej przybocznej popełnić samobójstwo ze... strachu? Ze strachu przede mną? Bałaś się, że cię potępię za bezmyślne uwodzenie Denetta?

— Tak — powiedziała Anessa. — Ale...

Ezenie zrobiło się zimno.

— Kim ty jesteś? — zapytała cicho. — Na wszystkie Pasma Szerni... nie rozumiem, co do mnie mówisz. Patrzyłaś, jak z twojego rozkazu odbiera sobie życie dziewczyna, która chwilę wcześniej rzuciła się w twojej obronie na dwóch mężczyzn? Rozkazałaś jej popełnić samobójstwo... bo wstydziałaś się przyznać przede mną do... do zwykłej babskiej głupoty?

Anessa zaczęła pojmować, o co chodzi księżnej. Przecież nie po raz pierwszy Ezena dawała dowody, że zupełnie nie rozumie świata, w którym przyszło jej żyć.

— Gdybym ukradła ci sztylet wysadzany klejnotami i za jego pomocą obroniła się w tym lasku, też bym go wyrzuciła. Ze wstydu, właśnie ze wstydu. Spełnił swoje zadanie, ale nie musi zaświadczać o...

niemądrym uczynku.

Ezena milczała ze ściągniętymi brwiami.

— Zostaw to już — łagodnie poradziła Perła. — Czas ucieka, musimy jak najszybciej znaleźć winnych i powody, dla których stało się to, co się stało. Jutro przyjdzie tu gwardia armektańska, a już dzisiaj mamy dwudziestu paru wojaków jego godności Denetta. Nikt nie może wiedzieć, a już zwłaszcza oni, że twoje niewolnice bez powodu zrobiły to, co zrobiły.

Ezena ciągle milczała.

— Obudź się — powiedziała Anessa, mimowolnie dotykając opuchniętej wargi, która znowu zaczęła boleć. — Musimy...

— Obudź się, wasza wysokość. Tak masz do mnie mówić. Zresztą, nieprędko trafi nam się okazja do rozmowy. Zgłosisz się zaraz do dowódcy gwardii pałacowej i polecisz mu w moim imieniu, by cię zamknął gdzieś, w możliwie jak najgorszych warunkach, i wyznaczył codzienne kary, takie jakie wyznacza się złodziejce. Jesteś kosztownym przedmiotem i nie chcę, byś straciła na wartości, powiesz więc komendantowi, że ma cię dobrze odżywiać, a do bicia wyznaczać ludzi, którzy potrafią to robić. Na razie nie życzę sobie trwałych śladów na ciele ani żadnych spustoszeń wewnątrz. Teraz wyjdź.

— Tak... tak, wasza wysokość.

Anessa powoli poszła do drzwi, oglądając się za siebie. Raz... i drugi. Księżna została sama.

— Hayna — powiedziała po chwili.

Śliczna brązowowłosa Perła najwyraźniej czekała pod drzwiami, bo natychmiast weszła do komnaty. Ezena usłyszała kroki, lecz nie odwróciła się.

— Czy wygodnie ci w twoich pokojach? — zapytała, oglądając armektański arras na ścianie.

— Tak, wasza wysokość.

— Więc nie będzie na razie żadnej przeprowadzki. Poza tym zażądaj wszystkiego, czego potrzebuje Pierwsza Perła Domu. Wiesz komu wydać odpowiednie rozkazy.

— Tak, wasza wysokość.

— Gdy tylko Yokes stawi się w pałacu, natychmiast przyprowadź go do mnie. Będę w swojej sypialni. Gdybym spała, obudzisz mnie.

— Tak, wasza wysokość.

— W lasku za pałacem, no, w tym zagajniku przy drodze, leżą trzy ciała. Przyboczną pochowajcie tak, jak chowa się niewolników. Ciała mężczyzn zostaną odwiezione do Rollayny, trzeba więc je specjalnie przygotować. Nie wiem w jaki sposób; wydaj odpowiednie polecenia.

— Tak, wasza wysokość.

— To wszystko.

Perła odeszła.

Ezena pozostała jeszcze chwilę, potem także wyszła z komnaty i wróciła do swojej sypialni. Przez długą chwilę spoglądała na łożo, ale doszła do wniosku, że nie jest bardzo zmęczona. Jeszcze za dnia dość długo spała z księgą pod policzkiem, nim znalazła ją Anessa... Teraz znowu pospała trochę. A zresztą, w jaki sposób miałyby zasnąć po tym, co się stało?

— Enea czy Seva? — zapytała.

Niewolnica pojawiła się jak wyczarowana z powietrza. Jej obowiązkiem było stale czuwać w sąsiednim pokoju — chyba że księżna zarządziła inaczej.

— Seva, wasza wysokość. Enea wczoraj... ale wasza wysokość czytała przez cały dzień...

— Znajdź mi coś do ubrania.

— Jakieś specjalne życzenia, pani?

— Tak. Szkarłaty.

Niewolnica zniknęła.

Wróciła wkrótce, niosąc dwie suknie. Ezena wskazała palcem, ale rozmyśliła się zaraz i wybrała drugą. Żadnej dotąd nie nosiła. Książę Lewin, jeszcze zanim wyzwolił praczkę, wybrał dwie dziewczyny mające odpowiedni wzrost i figurę, po czym posłał je do Rollayny. Po dwóch miesiącach przywieziono sto pięćdziesiąt różnych ubiorów — bo nie tylko sukni — szytych na miarę specjalnie dla czarnowłosej Ezeny... Potem drugie tyle. Stołeczni krawcy święcili niezwykle urodzajny rok. Szewcy i jubilerzy również nie mogli narzekać.

Miała wszystko, nawet własny hełm i zbroję, wykonane tutaj, w Sey Aye. Na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy dowodzić kiedyś wojskami.

Wybrana suknia nie miała rękawów, lecz nie miała także żadnych

wiązań ani zapieć, sznurowany był tylko dekolt stanika. Przyobleczenie tej szaty było męczącą pracą, lecz potem ciężki brokat znakomicie ułożył się na ciele, choć nieznośnie drapał — trzeba było do tego przywyknąć. Spódnicę sukni uszyto niesymetrycznie, zgodnie z najnowszą modą: od prawego biodra spływały w dół trzy szerokie plisy, obficie wyszywane złotą nicią niż reszta; drugą stroną wykonano bez ozdób. Niewolnica sięgnęła do stanika, układając duże piersi księżnej.

— Słabo sznuruj. Nie, za mocno... O, tak jak teraz.

— Będziesz półnaga, wasza wysokość.

— No i bardzo dobrze.

Niewolnica podeszła do wielkiego lustra i nachyliła je odpowiednio. Ezena poruszyła nagimi ramionami. Piersi zakołysały się w staniku.

— Jednak zasznurowuj mocniej.

Ściśnięte półkule zwały się, zyskując na twardości.

— Czy tak, wasza wysokość?

— Chyba tak. Co myślisz?

— Dobrze, wasza wysokość.

— Tylko: dobrze?

— Wasza wysokość... nie powinna nosić sukni bez rękawów.

— Jeśli powiesz mi, że z powodu zarostu pod pachami, to nie rękę za siebie — powiedziała Ezena. — Pora przenieść trochę Armektu do Dartanu.

— Jak ułożyć włosy, pani?

— Tylko rozczesz, niech spływają luźno.

Niewolnica spełniła żądanie.

— Jeszcze wstążkę na szyję i jakieś trzewiki. Czerwone, ma się rozumieć, ale wszystko jedno jakie, sama wybierz.

Dziewczyna oddaliła się posłusznie i wróciła po długiej chwili.

— Dobrze — powiedziała Ezena. — Już mi nie będziesz potrzebna.

Po chwili została sama. Usiadła przed lustrem i długo poprawiała włosy, układając je w taki sposób, by najlepiej podkreślały krągłość ramion. Potem wygładzała fałdy sukni, wreszcie znowu zajęła się włosami. Bardzo długo nikt nie wchodził do sypialni, a gdyby nawet jakiś zuchwalec uchylił drzwi i zajrzał, na pewno nie umiałby dostrzec, że strojąca się przed lustrem księżna płacze.

Yokes zdążył przyjechać przed świtem. Hayna zgodnie z otrzymanym poleceniem wprowadziła go do sypialni Ezeny, lecz znaleźli tam tylko Sevę. Jej wysokość poszła do parku, należało jej szukać przy sadzawce.

Już idąc zwirową alejką, wyższy od Perły Yokes dostrzegł ponad żywopłotem przechadzającą się panią Sey Aye. Spacerowała przed altaną, z rękami założonymi do tyłu; olejowe znicze wyławiały z brokatowej sukni setki lśnień. Także zobaczyła nadchodzących. Zatrzymała się wyczekująco.

— Zajeździłeś konia? — zapytała, oglądając z bliska zakurzoną twarz komendanta.

— Prawie, wasza wysokość.

Ciasna szczelina między rozpychającymi stanik sukni piersiami nieodparcie wabiła wzrok.

— Nie odchodź, Hayno — powiedziała Ezena, bo niewolnica skłoniła się lekko, jakby dając znak, że spełniła swoje zadanie. — Komendancie, wiesz już, co zaszło tej nocy w Sey Aye?

— Wiem, wasza wysokość. Ale dowiedziałem się dopiero tutaj. W obozie powiedziano mi tylko, że dokonano zamachu na Pierwszą Perłę Domu.

— Co zarządziłeś?

— Przyprowadziłem dwie chorągwie. Na wszelki wypadek. Z tych, co już tu są, jedna poszła właśnie do kwater żołnierzy jego godności Denetta, będzie czekać w pobliżu gospody na dalsze rozkazy.

— Cała chorągiew?

— Przeformowana do walki pieszej.

— Opowiedz mi o tym. Nigdy dotąd nie interesowałam się wojskiem, a dzisiaj tego żałuję. Czy potrafisz mi krótko wyjaśnić... no... właściwie nie wiem. — Uśmiechnęła się. — Wyjaśnić, co tu właściwie mamy. W Sey Aye.

Yokesa uderzył głęboki spokój księżnej. Ta kobieta stanęła nagle przed bardzo trudnym wyzwaniem i podjęła je. Bez żadnych wahań. Niczego nie lekceważyła, ale też niczego się nie bała. Komendant widywał już takich ludzi, najczęściej na polach bitew. Gdy wróg wprowadzał do walki ukryte rezerwy, niektórzy tracili głowę, a inni robili swoje — spokojni, jakby nic się nie stało.

— W każdej chorągwi jest jazda ciężka, średnia i strzelcza. Ciężkozbrojni bez koni nie nadają się do niczego, chyba że na samym polu bitwy. Tutaj wartują przed domem, raz tylko zabrałem ich do lasu, pamiętasz pani, wtedy na spotkanie Denetta, bo chciałem wyrzucić odpowiednie wrażenie. Ale zwykle do służby pieszej wydziela się tylko średniozbrojnych i kuszników, tworząc z nich oddziały o mieszanym składzie. Oba oddziały z Chorągwi Szarej poszły do oberży, gdzie mieszkają żołnierze Denetta. Spieszoną Czarną Chorągiew mam pod bronią w pałacowych koszarach. Tam też zatrzymały się te dwie nowe chorągwie. Czy mówię zbyt zawile, wasza wysokość? Bardziej uprościć tych spraw nie potrafię.

— Przeciwnie. Zrozumiałam, chociaż zupełnie nic nie wiem o wojsku. Zapewniłeś sobie przewagę liczebną nad niczego nieświadomymi żołnierzami w oberży, więc z tej strony nic nam nie grozi, czy tak? Ale lada chwila na polanę wejdą armektańscy gwardziści. Rozumiem, że potrafisz utrzymać oba te oddziały z daleka od siebie, gdy przeciwnie sam w każdej chwili możesz skupić nasze wojska w jednym miejscu?

Yokes milczał przez chwilę, potem zwrócił spojrzenie na Perłę, jakby pytał: ty też to słyszałaś?

— Nic nie wiesz o wojsku, księżno?

Spojrzała zdziwiona.

— No tak, nic... Ale nie rób mi dzisiaj wyrzutów, komendancie.

— Wyrzutów? Jestem tu zbędny — rzekł, nie tając uznania. — Wyłożyłaś mi właśnie w kilku słowach najważniejszą z wojennych reguł.

— Yokes, nie męcz mnie dzisiaj — poprosiła.

Nigdy dotąd nie widział jej takiej. Pomieszenie stanowczości z przyjazną otwartością... Sposób, w jaki mówiła... Pani Sey Aye była kimś stworzonym do podejmowania decyzji. Złośliwa i zagubiona, gdy musiała się zmagać z siecią kłamstw, intryg, niedomówień, w obliczu jasno postawionego problemu budziła się, pokazując inną twarz.

Ruszyła alejką w głąb parku. Komendant i Perła towarzyszyli jej po obu stronach, pozostając pół kroku w tyle.

— Czy wiecie dokładnie, co zaszło dzisiejszej nocy?

Zaprzeczyli. Księżna przedstawiła sprawę, nie mówiąc jednak ani słowa więcej, niż było to niezbędne.

— Postanowiłam, że nie przyznam się do tego zabójstwa. Hayno, powiadomisz Trybunał, że zamordowano w lesie dwóch gości Sey Aye i przydzieloną do asysty niewolnicę. Tylko tyle. Nie spiesz się z tym zbyt, najlepiej gdyby nasi urzędnicy pojawili się tu dopiero wieczorem, a jeszcze lepiej jutro, chcę najpierw wiedzieć, po co przyjechali ci gwardziści. Ale jeśli gończy stawi się już dzisiaj, to trudno, skierujesz go do Kesy. Ona będzie wiedziała najlepiej, jak załatwić tę sprawę, wyjaśnij jej tylko, że nie życzę sobie odpowiadać za tę zbrodnię.

— Tak, wasza wysokość.

— Natomiast od was nie oczekuję na razie żadnej samodzielności, a tylko dokładnego wykonywania rozkazów. Oboje stale macie dostęp do mnie, ale teraz rozciągam to na wszystkie możliwe sytuacje. Słyszysz, Yokes? Jeśli będę akurat leżała pod mężczyzną — rzekła z cierpkim humorem — to podniesiesz go, rozmówisz się ze mną i dopiero potem odłożysz na miejsce.

Iście żołnierski, nieco ciężki żarcik, spodobał się komendantowi. Czarodziejka w brokatowej sukni każdym słowem zjednywała sobie dowódcę pocztów Sey Aye, dokonując sztuki, która nie udała się przez wiele miesięcy.

— Czy chcecie o coś zapytać?

— Tak, wasza wysokość. Czy Anessa... bardzo ucierpiała?

— Nic jej nie jest. Ale kazałam ją uwięzić.

Yokes osłupiał. Hayna, która wiedziała o wszystkim, nie odezwała się.

— To nie było konieczne — rzekł komendant.

— Nie — przyznała Ezena. — Miałam powody, żeby ją ukarać, ale nie musicie ich znać. Dobrze jednak, że o tym mówimy, bo coś sobie przypomniałam. Hayno, jesteś Pierwszą Perłą i zostaniesz nią bez względu na to, co postanowię zrobić z Anesą. Nie musisz się niczego obawiać, nie odbiorę tego, co raz dałam. Anessa nigdy już nie będzie Pierwszą Perłą Sey Aye.

Niewolnica skinęła głową. Księżna odgadła jej najskrytsze wątpliwości.

— Tak, wasza wysokość. Rozumiem.

Yokes, który sądził dotąd, że Hayna tylko zastępuje chorą Anesę, nie mógł dojść do ładu ze swoimi uczuciami i myślami.

— Wasza wysokość... — zaczął.

— Rozbroisz poczet Denetta — powiedziała Ezena, ucinając rozmowę o Anessie. — Bezkrwawo. Rozliczę cię z tego, więc najlepiej dopilnuj osobiście, by nie zdarzył się jakiś wypadek. Wydaj rozkazy natychmiast. Wprawdzie mamy tu całą masę żołnierzy, ale nie będziesz szachował dwudziestu paru wojaków przy użyciu całej chorągwi, gdy do pilnowania rozbrojonych wystarczy pięciu ludzi. Nie wiem, czego chce od nas ten armektański oddział. Nie domyślasz się?

Yokes pozbierał się. Żołnierz wziął górę nad kochankiem — i u tego człowieka była to zwyczajna kolej rzeczy.

— Nie, ale dowodzi nim kobieta. Nie mam żadnych uprzedzeń, zbyt długo służyłem w Armekcie — zastrzegł zaraz. — Ale jednak... ta kobieta jest wredna i na pewno nieobliczalna. Nie ufaj jej w żadnym razie.

— Wredna? Skąd możesz wiedzieć?

— Mogę, wasza wysokość. W całym swoim życiu spotkałem tylko jedną, która była świetnym oficerem... a zresztą i tak była wredna. Służba w wojsku robi kobietom coś bardzo paskudnego. Uwierz mi, pani, na słowo.

14.

Szalony Gotah poznał Agatrę na tyle, że rozumiał już, przed czym ostrzegał go namiestnik Wadelar. Sumienna i lojalna — była taka wyłącznie wobec swoich żołnierzy (być może także wobec przełożonych). Gotah miał przykrą pewnością, że Armektanka, choć uprzejma, sprzedałaby go natychmiast i znowu odkupiła, gdyby tylko był z tego pożytek dla oddziału. Na drodze między Akalą a Puszczą, w kilku przydrożnych gospodach zachowywała się tak, że karczmarzom nawet nie przyszło do głowy żądać zapłaty za posiłek, choć cesarscy żołnierze absolutnie nie stali ponad prawem. Każdy mógł jednak podarować miłym gościom część swoich zapasów, a było jasne, że dowódczyni oddziału tego właśnie oczekuje... Armektańscy gwardziści wszędzie byli u siebie, jej zdaniem, a goszcząc pod czyimś dachem, przydawali domowi splendoru. Gotaha niewymownie to mierziło. Miał nadzieję, że nie zawsze i nie wszędzie wygląda to tak samo. Dotąd stykał się z legionistami jak każdy — widywał uliczne patrole, raz nawet

uczestniczył w wojskowej wyprawie, podczas której nie doszło, co prawda, do bitwy. Ale nigdy nie dzielił z żołnierzami trudów długiej podróży, nie zasypiał przy ogniskach obozowych, nie zrywał się na sygnał... Ze swej strony starał się w niczym nie uchybiać porządkom zaprowadzonym przez dowódczynię. Podsetniczka łuczników traktowała mędrca Szerni z atencją, była bardzo uprzejma i nie kryła, że odczuwa niejaki respekt przed człowiekiem przyjętym przez Pasma. Lecz z tej uprzejmości niewiele wynikało. Usłyszawszy „Pobudka, poobudka!”, Gotah przecierał oczy i choć nikt go nie ponaglał, na wyścigi pędził za drzewo, potem do strumienia, a następnie do juków, z których wrywał porcję wędzonki i przełykał z oczami na wierzchu. Nauczył się tego po pierwszym porannym wymarszu. Podsetniczka siedziała w siodle, wsparta na końskiej szyi, skracając sobie czas zaplataniem grzywy w warkoczyki. Żołnierze, bez śladu zniecierpliwienia, stali w szyku na drodze, spokojnie patrząc na człapiącego w tę i nazad mędrca Szerni. Być może słuchali, jak szeleścił i ciurkał w krzakach, sikając na igliwie; potem znowu patrzyli, jak pakował swoje klamoty... Teraz Przyjęty gotów był wyleźć ze skóry, byle nie czuć ciężaru takich wyrozumiałych spojrzeń.

W czasie podróży rozmawiał niewiele, ale w zamian, zwłaszcza na wieczornych biwakach, lubił opowiadać o zdarzeniach z dziejów Szereru, szczególnie zaś Wiecznego Cesarstwa. Przybliżył gwardzistom historię armektańskich podbojów. Wiedział, co może spodobać się tym prostym ludziom, którzy całe życie poświęcili wojnie. Żołnierze docenili, że nie stronił od nich, nie wywyższał się, znośnie radził sobie w podróży, a nawet potrafił udzielić cennych rad. Wyszukał raz jakieś zioła, z których, po zagotowaniu, otrzymano wyborny napój, trochę gorzki, ale jednak smaczny i bardzo orzeźwiający. Chętnie pokazał, jak wygląda liść tej rośliny. Nawet Agatra nie kryła zadowolenia; wojskowi bardzo cenili proste i tanie sposoby uprzyjemniania sobie życia. Zapytany o inne zioła, odszukał kilka rodzajów i doradził jak je przyrządzać. Szczególnie zajmujący okazał się korzeń przecińca; żołnierze nie wiedzieli, że spożyty na surowo — a więc niesłychanie łatwy do zastosowania — działa podobnie jak kobyłak, a mianowicie hamuje biegunki. Przykra dolegliwość, będąca zmorą wszystkich armii świata (bo przecież na wojennych wyprawach rzadko jadano frykasy), okazała się łatwiejsza do zwalczenia wszędzie tam, gdzie było dość wilgoci i niewiele światła.

Będąc dobrym obserwatorem, Przyjęty potrzebował zaledwie kilku dni, by poznać zapatrywania i odczucia żołnierzy. Podsetniczka nie była lubiana, choć cieszyła się znacznym mirem. Jednak, z różnych półsłówek, Gotah wywnioskował, że ta kobieta dowodzi klinem od niedawna; z oddziału, którym komenderowała wcześniej, w Kirlanie, przyjechały z nią tylko cztery żołnierki: trójka łuczniczek pod wodzą dziesiątniczki — zastępczyni Agatry. Pozostali gwardziści mieli wcześniej innego dowódcę i zostali oddani pod komendę podsetniczki tylko na czas wyprawy (chyba zabrano ich z nieodległej Rapy). Nowa dowódczyni naprawdę była bardzo lojalna wobec swoich żołnierzy — ale tylko na zewnątrz, niestety. Gdyby doszło do jakiegoś konfliktu między, przykładowo, żołnierzami a mędrce-Przyjętym, Gotah mógł w ciemno założyć, że wzięłaby stronę tych pierwszych, nawet nie zagłębiając się w sprawę. Ale już w samym oddziale ulubiona dziesiątka podsetniczki, w skład której wchodziły wszystkie kobiety, była wyraźnie przez nią faworyzowana, choć, zdaniem Gotaha, wyróżniała się wyłącznie na niekorzyść... Już choćby z tego powodu, że członkinie oddziału nie umiały utrzymać języków za zębami. Kilkakrotnie zdarzyło się, że jakaś łuczniczka palnęła do Agatry „nadsetniczo”. Mędrzec Szerni wyobrażał sobie, że na pewno istniały ważne przyczyny, dla których tak wysokiego oficera przebrano w mundur podsetnika, „degradując” aż o dwa stopnie. Nieukaranie żołnierki, która taką tajemnicę zdradzała, zakrawało nieledwie na kpinę.

Idąc z Akali, gwardziści mieli do przebycia znacznie dłuższą drogę przez las niż ta, którą wcześniej pokonał Denett, jadąc wprost z Rollayny. Mogli wprawdzie okrążyć Puszczę i wejść na tamten, bardziej znany, szlak (do Sey Aye wiodły tylko te dwie ścieżki, oprócz tego była droga wodna, po której odbywał się niemal cały handel), ale dowódczyni uznała, że skoro tak czy owak maszerują do lasu, to nie będą obawiać się drzew. Nie tylko Agatra rozumowała w ten sposób. Spotkali po drodze dwie nieduże karawany kupieckie, wracające z Sey Aye — drobnym kupcom nie opłacało się jeździć aż do rzeki; osły i muły nieźle radziły sobie na puszczańskim szlaku. Przyjęty, dosiadający niezłego górskiego wierzchowca, przyzwyczajonego do niewygód, nie mógł specjalnie narzekać. Jednak podróż była męcząca. Pierwsze zetknięcie z leśnymi strażnikami Sey Aye Gotah powitał jako zapowiedź jej kresu — i odczuł zarówno ulgę, jak też przyjemne podniecenie. Zwykła praca Przyjętego

była bardzo monotonna, tak jak praca każdego uczonego; smak nagrody i uczucie satysfakcji mędrzec Szerni odczuwał, dopiero zamykając kolejny rozdział żmudnej pracy. Nie zdarzało się to codziennie. Wyprawa mająca na celu zbadanie czegoś nowego dostarczała dreszczyku emocji i pobudzała wyobraźnię, wyrywając umysł z przykrej gnuśności. Porównywanie zapisków różnych kronikarzy i odnoszenie ich do stanu Pasm Szerni, choć niewątpliwie zajmujące, miało wyraźny posmak rutyny. Gotah od wielu lat świetnie wiedział jakiej przesady oczekiwać w tekście Dartańczyka, jakich przemilczeń w diariuszu kronikarza armektańskiego, jakich zaś bajań w grombelardzkiej legendzie przekazywanej z ust do ust. Rzadko coś go zaskakiwało. Lecz teraz? Powiedział prawdę Wadelarowi: nie oczekiwał czegoś, co przewróci do góry nogami wszystkie jego wyobrażenia o Szerni. Ale jednak nie miał pojęcia czego dokładnie spodziewać się w Sey Aye... I czuł podekscytowanie. Jak przed kilkoma laty, gdy u boku półdzikiej wojowniczki ruszał na poszukiwanie leżącej w górach Wstęgi Aleru.

Podsetniczka rozmówiła się z gajowymi, traktując ich z rezerwą, lecz nie demonstrując wyższości — byli to w jej oczach prywatni żołnierze (oczywiście na pewno nie mogący się równać z armektańską gwardią...), wypełniający zadania zwiadowców, więc odpowiedzialne i trudne. Podziękowała jednak za towarzystwo, nie podając żadnych powodów; upewniła się tylko, czy ścieżka na pewno wiedzie wprost do Sey Aye. Ruszyli dalej w zwykłym szyku. Gotah wiedział już, że jest to „marsz ubezpieczony” — przodem postępowały dwie trójki awangardy, z tyłu zaś trójka ariergardy. Juczne muły prowadzone przez mulników, dowódczyni w asyście gońca i Przyjęty zajmowali sam środek szyku, między dwiema zwartymi dziesiątkami. Drugiego dnia po spotkaniu z gajowymi gwardzistka pozwoliła sobie na żołnierski figiel: awangarda wraz z dziesiątnikiem, po cichej pobudce, wyruszyła wcześniej niż zwykle i niedługo potem towarzyszący głównemu oddziałowi Gotah mógł oglądać ironiczne uśmiešky gwardzistów i ich dowódczyni. Nieopodal ścieżki żołnierze straży przedniej pokazali im opuszczone, w najwyższym pośpiechu obozowisko — porzucono nawet jakiś płaszcz, a wszędzie stratowano zarośla. Przyjęty odczuł mimowolny podziw dla chudej dowódczyni łuczników.

— Więc przed nami idzie jakiś oddział — stwierdził.

— Straż przednia na pewno poderwała ich wartowników na ścieżce — potwierdziła. — Sądząc po rozmiarach biwaku, maszeruje przed nami klin piechoty. Gospodarze chcą nam dać do zrozumienia, że kontrolują nasz marsz, więc ja z kolei powiedziałam, że owszem kontrolują, bo mi to nie przeszkadza. Ale ci tutaj to nie byli gajowi. Widziałeś tych dwóch, wasza godność. Wyszli z lasu nie wiedzieć kiedy i tak samo zniknęli. Tacy ludzie pilnowaliby naszego obozu, nie swojego. Nie daliby się zaskoczyć.

— Może więc towarzyszą nam nadal?

— Jestem prawie pewna. Jak i tego, że nie jest ich dwóch.

Był to ostatni odcinek wędrówki. Wkrótce wyszli z lasu i Gotah na własne oczy mógł się przekonać, jak dokładne były szacunki podsetniczki. Na skraju lasu czekała awangarda, sporo dalej zaś oddział liczący mniej więcej trzydziestu piechurów, a więc tylu, ilu spodziewała się ujrzeć dowódczyni. Armekańscy łucznicy wyszli wkrótce na drogę, już nie wysuwając ubezpieczeń, a wtedy po obu stronach wyłoniły się z lasu kilkunastoosobowe oddziały ubranych w ciemne stroje ludzi. Zaraz z powrotem zniknęły między drzewami.

— Co oznacza taka asysta w wojskowym języku? — zapytał Gotah, skinąwszy głową jadącej obok kobiecie, na znak, że docenia jej przenikliwość.

— Mniej więcej to, co powiedziałam: wiemy o was i kontrolujemy wasze ruchy, ale nie sądzimy, że macie złe zamiary, bo inaczej już dawno byśmy na was napadli. Sey Aye pokazuje ponadto, że dla byle demonstracji może posłać gdzieś klin piechoty, a drugie tyle ściągnąć z głębi lasu. I to rzeczywiście budzi podziw.

— Liczebność?

— Nie, panie. Ktoś wykrył maszerujący oddział, ktoś potem doniósł o tym zwierzchnikom, ktoś biegał po lesie, szukając gajowych, zebrał ich, sprowadził w określone miejsce, wydał wszystkie potrzebne rozkazy... Sądziś, panie, że to takie łatwe? Widziałeś, jaki to las. Tych wieści i rozkazów nie wyćwierkały ptaki. Różni gońcy wiedzieli dokąd iść i kogo tam zastaną.

Historyk-Przyjęty miał pojęcie, jaką rolę na wojnie odgrywa rozpoznanie i jak ważne jest, by rozkazy docierały na miejsce. Ale po raz pierwszy obserwował, jak wygląda to w rzeczywistości. Wodząc palcem po mapie, bardzo łatwo prowadziło się kampanie...

Poprzedzani przez klin miejscowej piechoty minęli dużą wieś. Nieco dalej leżała następna. Droga rozwidlała się kilkakrotnie, ale wciąż widoczni z przodu miejscowi piechurzy wzięli na siebie rolę przewodników. Gwardziści, na których chłopstwo gapło się z otwartymi gębami, niczym na istoty nie z tego świata, nie musieli pytać o drogę.

Agatra dość obojętnie rozglądała się wokół, zdziwiona co najwyżej rozmiarami polany, bo mogło się wydawać, że puszcza bezpowrotnie została za plecami. Ale Gotah podziwiał nie tylko wielkość Sey Aye. Dowódczyni łuczników znała ojczysty Armekt, Dartan zaś bardzo powierzchownie — trudno więc było jej odnieść tę polanę do reszty Złotej Prowincji. Lecz Przyjęty podróżował kiedyś po Dartanie. Przed miesiącem Denett musiał zobaczyć dom, by zrozumieć, jak bogaci są władcy tego kraju; Gotahowi wystarczyły dwie wioski. Mocno wątpił, by ktokolwiek zawracał tu sobie głowę uczeniem chłopów czytania. Obejścia jednak były bardzo zasobne, a liczba żywego inwentarza przyprawiała o zawrót głowy. Książę Lewin, a zapewne także jego przodkowie, najwyraźniej nie mieli ochoty do zabawy w chwywanie chłopskich zbiegów, nie mówiąc już o uśmierzaniu buntów. Wieśniacy nie głodowali, mogli ponadto wyżywić istne stada krów i prosiaków, o kurach nie wspominając, zimą zaś nie trzęśli się z zimna w byle jakich lepiankach. Otrzymali dość narzędzi i drewna, by pobudować solidne chałupy, kurniki, chlewy i obory dla zwierząt. Przede wszystkim ktoś pokazał im jak to robić. Jeśli więc ścieżki do Sey Aye były wyboiste, to tylko dlatego, że władcy polany nie chcieli budować dobrych dróg, łączących tę śródlądową wyspę ze światem...

Jechali i jechali. Przyjęty poważnie zaczął się zastanawiać, czy to, co wziął za koniec podróży, nie było zaledwie początkiem końca. Polana jakby rozciągała się w nieskończoność. Lecz wreszcie, na kolejnych rozstajach, pojawili się jacyś jeźdźcy. Świetne konie i wojskowe ubiory, połączone z pysznym uzbrojeniem, zdawały się dowodzić, że naprzeciw Armektańczykom wysłano powitalny poczet.

Dowodzący czterema żołnierzami mężczyzna odesłał poprzedzający gwardzistów klin piechoty i ruszył stępą, wyjeżdżając gościom naprzeciw. Agatra uniosła rękę i zatrzymała oddział.

— Czy będziesz mi towarzyszyć, wasza godność?

Przyjęty zgodził się chętnie.

Postawny niestary mężczyzna skinął krótko głową Agatrze i tak samo jej towarzyszowi, przyglądając mu się jednak chwilę dłużej. Gotah odgadł, że jego tożsamość wzbudza zaciekawienie gospodarza; wojskowa narzuta Agatry mówiła sama za siebie. Przyjęty cofnął konia o pół długości, dając do zrozumienia, że nie z nim trzeba rozmawiać.

— Witam, pani — powiedział po armektańsku mężczyzna. — Jestem M.B.Yokes, dowódca prywatnych oddziałów jej wysokości księżnej K.B.I.Ezeny.

— Agatra, podsetniczka Gwardii Armektańskiej — kobieta przedstawiła się z lekkim uśmiechem. — Wiem, kim jesteś, panie, bo znamy się od jakichś dwudziestu pięciu lat. Jako zastępca nadsetniczki konnego półlegionu dbałeś o to, by siedzący w warownym obozie łucznicy nie przymierali głodem. Potem zostałeś dowódcą drugiego konnego półlegionu. Przez cały ten czas walczyliśmy razem.

— Siedziałaś więc, pani, w tym obozie?

— Z łukiem w ręku. Tak, komendancie.

Yokes wyciągnął dłoń.

— Obyśmy nigdy nie zostali wrogami — rzekł poważnie. — Służbę pod komendą nadsetniczki Terezy do dziś uważam za zaszczyt. Co zaś tyczy się ciebie, pani, to rad jestem, że żołnierka, która brała udział w tamtej wojnie, jest dziś oficerem gwardii.

Przeniósł spojrzenie na mężczyznę ze skrzywioną twarzą.

— Nie pytam, kim jesteś, panie, bo być może zechcesz to powiedzieć tylko księżnej. Wystarczy mi, że towarzyszysz cesarskim żołnierzom, na pewno więc nie ma powodów, by odmówić ci wstępu na te ziemie.

— Jestem Gotah-Przyjęty.

Yokes nie ukrywał zaskoczenia.

— Pierwszy raz spotykam kogoś takiego, wasza godność. Przyznam, że trochę inaczej wyobrażałem sobie mędrca Szerni.

Gotah uprzejmie nie dał poznać po sobie, że wysłuchał w życiu kilkuset podobnych deklaracji. Yokes ponownie zwrócił się do podsetniczki:

— Domu jej wysokości nie widać z tego miejsca, ale to tylko pół mili. Doradź mi, pani, co począć z twoimi żołnierzami? W pałacowych koszarach nie mam w ogóle miejsca, zaś kwatery w samym pałacu nie wchodzi w rachubę. Lecz o półtorej mili stąd leży miasto... nazywamy je

tylko „miastem”, nie ma żadnej innej nazwy. — Uśmiechnął się lekko. — Jest to miejsce, gdzie swoje domy mają niemal wszyscy kupcy, rzemieślnicy i urzędnicy Sey Aye, oprócz tych, którzy muszą stale przebywać u boku księżnej, a także rodziny żołnierzy. Mieszczą się tam sklepy, kramy, jest rynek, dwie oberże... i wszystko to, co w każdym małym mieście. Tam by było najłatwiej o kwatery.

— Oczywiście, wasza godność. Jednak dwóch lub trzech żołnierzy... do pomocy przy najbardziej błahych sprawach...

— To się rozumie samo przez się. Otrzymają pokój obok twojego, wasza godność.

Agatra odwróciła się, wymieniając imiona dwóch łuczniczek. Pokazała gońcowi, że ma zostać przy klinie. Ze swej strony Yokes skinął na żołnierzy na rozstajach.

— Straż pałacowa jej wysokości — przedstawił. — Twój zastępca, pani, może tymi ludźmi rozporządzać. Pomogą w znalezieniu wygodnych kwater i posłużą radą we wszystkim.

Dziesiątniczka Agatry wydała krótki rozkaz i klin gwardzistów podążył za czterema jeźdźcami, na rozstajach skręcając w prawo. Yokes, Agatra i Przyjęty w asyście dwóch pieszych łuczniczek ruszyli drogą wiodącą prosto.

— Dałaś do myślenia moim kusznikom, pani — zagaił Yokes z uśmiechem. — Mam ich ukarać? Bardzo łatwo dali się przyłapać!

— Ukarać? Nie, nie sędzę. — Kobieta także uśmiechnęła się lekko. — To chyba nie jest piechota do walki w lesie? Twoich gajowych, wasza godność, nawet nie próbowałam podchodzić.

Komendant zastanowił się, co przemawia przez dowódczynię łuczników: uprzejmość, skromność czy ostrożność? Armekt — szczególnie zaś Armekt północny, gdzie żołnierze Agatry zdobywali swe półszare tuniki — wcale nie był równą jak stół łąką. Podjazdowa wojna z Alerem toczyła się między licznymi zagajnikami, a nierzadko w lasach, i to dosyć rozległych. Każdy z tych łuczników musiał świetnie wiedzieć, jak chodzi się po kniei. Być może niektórzy mogliby od razu przyodziać brunatne ubiory gajowych i nie byliby zawadą dla żadnej leśnej drużyny.

Rozmawiając o tym i owym (głównie jednak, ku znudzeniu Przyjętego, o sprawach najogólniej związanych z wojskiem i wojną), przemierzali znaczną część drogi. Znaleźli się na szczycie garbu, przez

który biegła, i gwardzistka wydała okrzyk szczerego zaskoczenia. Niewiele brakowało, by Przyjęty zareagował podobnie. Olbrzymi biały dom, widoczny jak na dłoni, śmiało mógł iść o lepsze z cesarską rezydencją w Kirlanie — przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę przestrzeń, jaką zajmował. Kilkupiętrowy pałac imperatora mieścił na pewno trzy lub cztery razy więcej sal, pokoi i komnat. Ale przecież był siedzibą władcy Wiecznego Cesarstwa i całej jego rodziny, domem dla setek urzędników, dworaków, gości i petentów ze wszystkich stron świata... Podczas gdy książęcy pałac w Sey Aye stanowił sadybę właściciela ogromnego lasu — i niczego więcej.

— Wszystko tu jest niezwykle i ogromne — rzekł Przyjęty. — Naprawdę warto tu przyjechać choćby tylko po to, by patrzeć.

— Zapraszam — powiedział Yokes. — Jej wysokość poleciła mi przekazać, że ma mnóstwo czasu i przyjmie gości wtedy, kiedy zechcą. Zjedźmy na dół. Zaraz zostaną wskazane pokoje, a służba przyniesie wszystko co potrzebne znużonym podróżnym.

15.

Hayna otoczyła Ezenę tak troskliwą opieką, że księżna nie posiadała się ze zdziwienia. Minęło zaledwie pół nocy i pół dnia od chwili, gdy została Pierwszą Perłą Domu, a przewróciła do góry nogami cały porządek Anessy. Zresztą — czy aby na pewno porządek?... Anessa była leniwa, nawet najzyczliwsze jej osoby dostrzegały tę przywarę. Ezena nie miała pojęcia, że życie w domu może toczyć się tak wartko i gładko. W jaki sposób Hayna tak szybko wdrożyła służbę do nowych obowiązków — było jej tajemnicą. Niewolnice pojawiały się, zanim jej wysokość złożyła dłonie do kłaśnięcia, i niosły to właśnie, czego chciała zażądać, lub zabierały coś innego, czego pragnęła się pozbyć. Nim pomyślała, czy warto zmienić suknię (w końcu armektańska podsetniczka nie była kimś wyjątkowym, komu należało się uroczyste powitanie), Hayna stawiała się w jednej z dziennych komnat. Jej śladem podążała Enea, niosąca cztery różne stroje.

— To, jeśli chcesz wyglądać jak królowa — powiedziała uśmiechnięta Perła Domu, pokazując dartańską purpurę; była to suknia cięższa chyba od niejednej zbroi. — To z kolei, wasza wysokość, włóż,

jeśli chcesz okazać tym przybyszom jawne lekceważenie. — Druga suknia była szatą domową, niebywale kosztowną, ale jednak przeznaczoną raczej dla oczu domowników. — To jest suknia, w jakiej podsądna mogłaby stanąć przed sędziami Trybunału, bardzo dobrze skrojona, ale skromna. Jeśli chcesz dać do zrozumienia... szczerze albo nieszczerze... że nie w głowie ci awantury, to doradzę właśnie tę suknię. A to, wasza wysokość, jest suknia wojenna. Jeśli twoi goście mają jakiegokolwiek pojęcie o Dartanie, będą wiedzieli, co nosisz. W podobnie skrojonych sukniach żony dawnych rycerzy towarzyszyły swoim mężom i panom na wojennych wyprawach, dzisiaj zaś zasiadają na arenach walk, bo tyle właśnie zostało z rycerskich tradycji Dartanu. To suknia bardzo trwała, nie przeszkadzająca w jeździe konnej, i to nawet w męskim siodle, sznurowana z boku, nie z tyłu, więc każda kobieta może nałożyć tę szatę bez czyjejkolwiek pomocy. Spinana pasem, z przymocowaną siatką na włosy, wszystko to stanowi jedną całość, niczego nie można zgubić.

— Nawet nie wiedziałam, że to mam — powiedziała Ezena. — Pokaż mi tę suknię dokładniej.

Perła odsunęła się nieco, przykładając szatę do ciała i przytrzymując dłońią na wysokości piersi. Drugą ręką rozpostarła spódnicę.

— Granatowa... Nie wiem — rzekła Ezena. — Chyba źle mi w niebieskim.

— W niebieskim, bo niebieski jest zimny i w ogóle nie pasuje ci do oczu. Ale ta suknia ma kolor twoich włosów. Będziesz mroczna i groźna... Ani skrawka ciała, tylko dłonie i twarz. Hm? Wasza wysokość?

— Nigdy nie nosiłam czegoś podobnego, będę się źle czuła. Najpierw muszę się przyzwyczaić. Nie, Hayno. A może zostanę w tej, którą mam na sobie?

— Nosisz ją już prawie cały dzień.

— Rzeczywiście. Ale lubię pokazywać ramiona.

— I piersi — dorzuciła Perła z uśmiechem. — Łatwo to rozumiem, są wspaniałe... Ale w takim razie przyniosę coś lepszego. Też granat, ale... Poczekaj, pani, dobrze?

Skinęła na Eneę i pobiegła. Żywiołowość tej dziewczyny wywoływała uśmiech. Mówiła bez przerwy, śmiała się, wymyślała coś nowego... i gotowa była rozplakać się nad martwym motylem. Ezena

niewiele czasu spędzała dotąd w jej towarzystwie, ale zawsze były to chwile przyjemne. Hayna potrafiła uśmiechnąć się do niej nawet wówczas, gdy księżna była jeszcze praczką-uzurpatorką, nieuznaną przez nikogo...

Kasztanowobrzazowe włosy nosiła niedługie, nawet nie do ramion. Równo obcięte; zawijały się do wewnątrz, tworząc śliczną oprawę twarzy. Ezena zastanowiła się, czy nie obciąć włosów tak samo. Rozejrzała się za zwierciadłem. Miała kilka w sypialni, ale tutaj chyba nie było żadnego.

— Wasza wysokość?

Dziewczyna stała w drzwiach wiodących do drugiej komnaty. Ezena nie знаła jej, lecz kusy strój, taki sam jaki nosiły Seva i Enea, dowodził, że Hayna przydała księżnej przynajmniej jedną nową niewolnicę do drobnych codziennych posług.

— Nazywałam się Ayana, ale będę nosiła imię, jakie wasza wysokość mi wybierze. Czy wasza wysokość czegoś potrzebuje?

— Najpierw cię obejrzę — powiedziała Ezena, tłumiąc śmiech.

Lecz niewolnica wzięła to zupełnie poważnie.

— Czy mam się rozebrać, wasza wysokość?

Ezena wzniosła spojrzenie do sufitu.

— Przynieś mi jakieś lustro.

— Jest tutaj.

Dziewczyna przytrzymała zwierciadło, ale księżna zdążyła już zapomnieć, do czego jej było potrzebne. Przejrzała się jednak.

— Ayana — powtórzyła. — To chyba najbardziej znane imię w całym Szererze.

— Tak, wasza wysokość.

— Może zostać.

— Dziękuję, wasza wysokość.

— Jesteś taka pokorna, bo nowa, czy po prostu taką masz naturę? Nie chcę przesadnej służalczości. Seva i Enea potrafią zwrócić mi uwagę, jeśli coś robię źle.

Niewolnica przez króciutką chwilę zwlekała z odpowiedzią.

— Jestem nowa, wasza wysokość.

— No to powiedz mi coś niemiłego.

Rozburzywszy nieco włosy na skroni, Ezena przypomniała sobie, do

czego potrzebne było lustro. Spróbowała wyobrazić sobie, jak by wyglądała z krótszymi włosami, takimi jakie nosiła Hayna. Chyba zupełnie dobrze.

Niewolnica upuściła lustro i cofnęła się, zakrywając dłonią usta. Przestraszona Ezena także odruchowo cofnęła się o pół kroku.

— Oszalałaś?! — krzyknęła. — Co to miało znaczyć?

Dziewczyna była szczerze przerażona.

— Twoje włosy, wasza wysokość... — wykrztusiła. — Co się z nimi stało?

Lustro leżało na puszystym kobiercu. Ezena spojrzała z góry i tak samo jak niewolnica przytknęła palce do ust. Patrzyła przez długą chwilę, potem rzuciła okiem na niewolnicę i znów w lustro. Zacisnęła powieki.

— Jakie mam włosy? — wyszeptała. — Szybko. Powiedz mi.

Niewolnica zaczerpnęła tchu.

— Kasztanowe, wasza wysokość. I krótkie... takie jak Hayna...

Ezena otworzyła oczy.

— I to... tak ma wyglądać?

Niewolnica nie wiedziała, o czym mówi jej pani.

— Przyrowadź tu Pierwszą Per... — zaczęła księżna i urwała, marszcząc brwi, jakby coś ją zabolalo. — Nie. Przyrowadź komendanta Yokesa. Ma przyjść natychmiast, oczywiście jeśli już wrócił. Nic mu nie mów.

Odwróciła się, słysząc cichy okrzyk Hayny.

— Jak myślisz? — zapytała trochę niepewnie, a zarazem z wyraźną ironią. — Chciałabyś... chciałabyś zmieniać uczesanie i kolor włosów, ot tak? — Pstryknęła palcami uniesionej ręki. — Szuru-buru, tak jak potrafią Przyjęci?

Hayna tkwiła pośrodku komnaty, oniemiała. Stojąca za nią Enea wytrzeszczała oczy, kurczowo zaciskając dłonie na trzymanej sukni.

— Ciekawe, co jeszcze umiem. — Podniecona Ezena podniosła zwierciadło i zachłannie wpatrywała się w odbicie; po chwili oddała lustro Enei i zaczęła szybko chodzić po pokoju. — Nie wiem, jak to zrobiłam... a najgorsze, że nie wiem, czy umiem to odwrócić. Bo niniejsza o szuru-buru — dorzuciła z wyraźną troską w głosie — ale to nie jest kolor włosów dla mnie.

Miała sporo racji, niestety.

Yokes wszedł do komnaty. W dłoni trzymał kilka opieczętowanych pism.

— Przyszły listy z Rollayny, wziąłem od posłań... — zaczął i urwał.

Księżna przeczesła włosy palcami, pochwyciła przy skroniach i pociągnęła mocno w jedną, potem w drugą stronę.

— Au... Też chcesz poszarpać, komendancie? Jest okazja, żebyś wytargał panią Sey Aye za grzywę. Śmiało, podejdź i targaj.

Mężczyzna nie ruszył się z miejsca.

Księżna odebrała lustro niewolnicy i dała komendantowi.

— Potrzyмай, spróbuję teraz... — Skupiła się i przypomniała sobie rozpuszczone granatowoczarne włosy, jakie miała jeszcze przed chwilą.

Ale nic się nie wydarzyło.

— Jeszcze raz.

Lustro było bezlitosne. Ezena tupnęła nogą i poróżowiła na policzkach z wysiłku. Przymknęła oczy i znów otworzyła. Szatynka o włosach nie sięgających ramion.

— Pięknie. Alem se narobiła, tylko patrzcie — powiedziała rozzłoszczona i skonsternowana, wysławiając się trochę niepoprawnie, co zdarzało jej się czasem, gdy emocje zbyt brały górę. — Granatowa suknia będzie pasowała? A do czego, Hayno, powiedz mi?

— Wasza wysokość — bojaźliwie powiedziała Perła Domu — czy to... ale w jaki sposób wasza...

— Idźcie sobie — przerwała Ezena. — Nikomu ani słowa. Yokes, ty nie wychodź.

Wkrótce zostali sami.

— Pomyślałam, że Hayna ma ładne włosy i przejrzałam się w lustrze — rzeczowo powiedziała Ezena, siadając na krześle przy oknie. — No to popatrz, co się zdarzyło. Anessa... Anessa mówiła mi, że tak może być. Że uzyskam jakąś moc czy coś takiego, ale nie będę jej umiała kontrolować. No i chyba właśnie się zaczęło. Nie wiem co dalej. Co robić? To tylko włosy, zrobiłam z siebie straszdyło i jeśli tak już zostanie... to już nigdy nie wyjdę z domu. Ale to tylko włosy, to jeszcze nie jest najgorsze. Bo jeśli pomyślę o kimś: „A żeby go trafił szlag”?... To co? Będzie tak jak z włosami? Gdyby chociaż zawsze tak samo, ale od przypadku do przypadku? — znów się zdenerwowała.

Komendant nie umiał odpowiedzieć.

— Ci żołnierze już przyszli, tak? — zapytała.

— Posłałem ich do miasta. Dowódczyni jest tutaj. I ktoś jeszcze...

— Jak ja się teraz pokażę... no, komukolwiek? Jak ja się pokażę? — Wyraźnie nie słuchała. — Ale może... może nikt nie zwróci uwagi? Mogłam obciąć włosy, a słyszałam kiedyś, że można jakoś zmienić kolor...

— Też słyszałem. Płucze się je codziennie w jakichś wywarach. Codziennie przez tydzień albo dwa... zresztą nie wiem. Długo. Robią tak przebrzmiałe piękności, żeby ukryć siwiznę.

— No to... mmm! — jęknęła. — Uroczyste posłuchanie, czy nawet skromne powitanie... Każdy domownik, każdy niewolnik i każdy pałacowy gwardzista będzie zatrzymywał się na mój widok, a ktoś bardziej wrażliwy gotów zemdleć. Mam założyć sobie hełm na głowę? Mmm! — jęknęła żałośnie po raz drugi.

Yokes wciąż bezmyślnie trzymał lustro. Podeszła doń i spróbowała raz jeszcze. Po chwili zrobiła bezradny gest rękami.

— No, nic z tego.

— Wasza wysokość, ten mężczyzna towarzyszący gwardzistom...

— Właśnie. Kto to?

— Mędrzec-Przyjęty.

Oniemiała na chwilę. Ale w następnej chwili zdała sobie sprawę, co to znaczy.

— Moje włosy! — zawołała. — Odda mi moje włosy! Przecież to fraszka dla takiego!

Yokes milczał. Nowo odkryta umiejętność księżnej, choć objawiła się w sposób... no cóż, poniekąd zabawny... była sprawą poważną. Pani Sey Aye naprawdę mogła być groźna dla siebie albo dla innych — komendant jasno zdawał sobie z tego sprawę. Nieobliczalność była słowem, które pasowało tu najbardziej. Ale oto w południowym skrzydle pałacu rozgościł się tajemniczy mędrzec, który spadł jak z nieba, przybył nie wiadomo w jakim celu, a mógł, być może, wiele wytłumaczyć. W Sey Aye, gdzie minionej nocy niewolnice zabiły dwóch ludzi Czystej Krwi (mniejsza już o nieodległe procesy sądowe...), toczyła się gra o trochę wyższą stawkę niż kolor i długość czyichś włosów. Jednak Ezena była tylko kobietą. W nocy, w pałacowym ogrodzie, ujęła go spokojem, rozważną stanowczością i przebłyskami żołnierskiego humoru... Ale była

tylko kobietą. Zdolną teraz, co najwyżej, do rozmyślań w rodzaju: „Na Szerń, jak ja wyglądam!”.

— Czy mogę to wreszcie odłożyć, księżno? — zapytał, wskazując podbródkiem lustro i zmiętoszone listy.

Bardzo szybko oprzytomniała i komendant musiał sobie powiedzieć, że ocenił ją niesprawiedliwie. Wróciła do krzesła pod oknem i usiadła.

— Głupstwo. Ofuknij mnie czasem, kiedy wygaduję byle co — powiedziała, jakby słysząc jego myśli. — Co tam włosy... Mędrzec-Przyjęty? Co ktoś taki może robić w Sey Aye? Może dowiedział się jakoś, że Rollayna... że ja... — pogubiła się trochę. — Nie wiem, nie umiem myśleć o Rollaynie jak o sobie, czy odwrotnie! — powiedziała szczerze, znów poirytowana. — Ojciec mi dał Ezena. Co w tych listach? Może coś o naszych gościach?

— Nie, bo o przyjsciu żołnierzy pisaliby do komendanta Sey Aye. Nic ważnego i nic nowego — odparł, pokazując sznurki przy pieczęciach; oba były zielone, ani jeden czerwony. — Coś z przedstawicielstwa handlowego... A to chyba będzie o tych procesach jego godności Enewena.

— Pokaż.

Złamała pieczęć. Potem drugą. Wzruszyła ramionami i rzuciła listy na stół.

— Spór o pochodzenie. Już to wiem. Zaczynam lubić Enewena, jego brat ma go za kogoś wartego tyle co pani Sey Aye... Ale zdaje się, że tylko ten brat i nikt inny. Dartan! — prychnęła. — Co z tym Przyjętym? Myśl, Yokes! Tylko z tobą mogę się naradzić! A może wtajemniczyć Haynę? — zapytała z wracającą złością.

— Wasza wysokość — rzekł Yokes.

— No, co? Wtajemniczyć, mówisz?

— Wasza wysokość — pogodnie powtórzył komendant — ładnie ci w tych włosach. Chyba wolałem granatowe, ale jesteś, pani, piękną kobietą i ta odmiana wcale nie jest taka zła — troszeczkę skłamał, co prawda.

Patrzyła, zaskoczona. Komplement z ust komendanta Yokesa, choćby nawet niewyszukany, był czymś najzupełniej wyjątkowym. Po krótkiej chwili lekko drgnęły jej wargi i rozszerzyły się nozdrza.

— A jaką miałeś minę... — rzekła, wstrzymując śmiech.

Ale Yokes roześmiał się pierwszy. Chyba nigdy dotąd nie słyszała jego śmiechu.

— Otrząśnijmy się, wasza wysokość — powiedział po chwili, poważniejąc. — Nie wiem, dlaczego grombelardzki mędrzec Szerni przyjechał do Sey Aye. O żołnierzach wiem tyle samo, czyli nic, bo podsetniczka umie trzymać język za zębami. Wasza wysokość, chciałaś, jak mi się zdaje, urządzić coś w rodzaju oficjalnego posłuchania?

— Tak — przyznała.

— Formy i ceremonie to nie jest żołnierska sprawa. Spróbuję coś doradzić, ale chyba lepszej rady udzieliłaby ci Anessa.

Ezena udała, że nie słyszy.

— Porozmawiaj o tym z Perłami, zwłaszcza z Kesą. — Yokes wycofał się, czując chyba, że łatwiej może zaszkodzić niż pomóc będącej w niełasce Anessie. — Księżę Lewin nie był pierwszym właścicielem Kesy, ta dziewczyna mieszkała kiedyś w Seneletcie, potem jeszcze gdzie indziej. Widziała kawał świata i wytłumaczy wszystko, o co ją zapytasz. My tutaj mamy zupełnie inne obyczaje, niż panują w Rollaynie i w ogóle w Dartanie, a już odkąd pojawiłaś się ty, pani...

— To co?

— Więcej tu Armektu niż Dartanu — rzekł krótko, ale nie z dezaprobatą. — Nawet twoje suknie, księżno, niewiele mają wspólnego z tym, co można zobaczyć w stolicy.

— Moje suknie? Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Są modne i świetnie skrojone, ale jego wysokość zamówił dla ciebie stroje raczej armektańskie niż dartańskie, pani. Żadna kobieta w Rollaynie nie pokaże się z odsłoniętymi piersiami. Taki strój, a nawet odważniejszy, w Armekcie przystoi choćby i cesarzowej lub cesarskiej córce. W Dartanie jednak ubiera się tak tylko Perły Domu. Żeby podkreślić ich urodę, nie pozycję.

Przekrzywiła głowę. Yokes znający się na sukniach... to była kolejna nowość. Ale komendant pocztów Sey Aye nie był leśnym dzikusiem (co tak łatwo zauważył kiedyś Denett). Pochodził ze starego rycerskiego rodu, a wróciwszy z północnego Armektu, sporo jeździł po Dartanie, wypełniając rozkazy księcia Lewina. Jeśli nawet trochę „zdziczał” w wojskowych stanicach, to miał później dość czasu, by przypomnieć sobie,

jak wygląda dartański wielki świat.

— Nikt ci o tym nie powiedział, wasza wysokość? — Yokes był szczerze zdziwiony.

— Wyobraź sobie, że nikt. A tutaj... w ogóle nie ma dobrze urodzonych kobiet, jego wysokość był przecież samotny... Bogate suknie noszą tylko Perły...

Była naprawdę zmieszana. Próbował sobie wyobrazić, co czuje kobieta, której powiedziano nagle, iż w każdym towarzystwie uchodziłaby za dziwadło, nosząc stroje, które sama wybrała...

— Wasza wysokość, nie twierdzą, że chodzisz nieodpowiednio ubrana — wytłumaczył. — Przecież w Dartanie, a już zwłaszcza w stolicy, armektańska moda nie jest czymś nieznanym. Choćby dwór Księcia Przedstawiciela... Mówię tylko, że twoje upodobania... że twoje suknie są sukniami armektańskimi. Przynajmniej w kroju, bo poza tym są zbyt bogate, jak na gusta armektańskie. — Ezena sama była Armektanką, ale o sukniach i klejnotach wiedziała akurat tyle, ile wiedzieć mogła wiejska dziewczyna; Yokes zdawał sobie z tego sprawę. — Pasują do twojego zachowania i obyczajów panujących w tym domu, ale nie będą pasować do obyczajów dartańskich.

— W tym domu panują... obyczaje armektańskie?

Westchnął mimo woli.

— Ani dartańskie, ani armektańskie. Obyczaje twoje i Anessy. A wcześniej obyczaje jego wysokości, który szczerze gardził Rollayną i jej piętrowymi pałacami, arenami... Wezwij Kesę, wasza wysokość — doradził. — Jestem ostatnim człowiekiem w Sey Aye, który powinien rozmawiać z tobą o tych sprawach. Na Szerń, przecież to aż śmieszne. Co ja mogę wiedzieć o sukniach i posłuchaniach? Posłuchanie w obozie wojskowym nazywa się odprawą, a przemowy ceremonialne brzmią: „nie, żołnierzu”; „tak, komendancie”...

— Wezwę ją — powiedziała. — Ale jeszcze nie odchodź. Może zmienię zdanie, może nie skorzystam z twojej rady... ale jednak powiedz mi, co myślisz.

— O posłuchaniu?

— Tak. Wiem, co chcę powiedzieć tej żołnierce, ale mędrca Szerni się nie spodziewałam. Jak ich przyjąć?

— Zaproś ich na wspólny spacer po parku, niech towarzyszy wam

tylko jedna z Pereł. Nikt nie będzie was widział, unikniesz więc poruszenia wywołanego twoimi... nowymi włosami. To bardzo wieloznaczne powitanie, a właściwie niejednoznaczne. Z jednej strony zdawkowe, bez żadnych uroczystych przygotowań. Ale z drugiej strony nie każdego przecież jej wysokość księżna Sey Aye zaprasza na wspólny spacer. Nie wiadomo, wasza wysokość, co sądzić o takim powitaniu. Podsetniczka, a nawet Przyjęty, nie będą wiedzieli, czy okazujesz im lekceważenie, czy przeciwnie, wyjątkowe względy. No i... raczej nie zaczynaj rozmowy od barwy twoich włosów. To ostatnie mówię chyba niepotrzebnie, wybacz mi; wasza wysokość.

Popatrzyła z namysłem.

— Nie doceniałam cię, Yokes. Przepraszam. Przyślij mi tutaj Haynę i Kesę.

Skłonił się krótko, odwrócił i poszedł ku drzwiom. Ale przystanął jeszcze.

— Wasza wysokość... — powiedział z wahaniem.

— Nie o Anessie, Yokes. Nie dziś.

Przygryzł wargę, skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

*

Od altany przy sadzawce ogrodowa alejka wiła się łagodnymi łukami, uciekała w kwiatowe tunele. Dalej były kamienne mostki, przerzucone nad strumieniem — tym samym, którego zarośnięte brzegi podchodziły, z drugiej strony domu, aż do płyt dziedzińca. Od szemrzącej wody i ozdobnych krzewów ciągnęło lekkim chłodem, ale poza plamami cienia upał mocno dawał się we znaki. Księżna, w aksamitnej ciemnobrązowej sukni z białymi dodatkami, miała na głowie złoty diadem z rubinem, częściowo skryty we włosach, i pas ze złotych ogniw, spięty na łonie klamrą w kształcie serca. Gdy szła, spod rąbka sukni widoczne były noski złotych trzewików. Przyjęty i podsetniczka towarzyszyli jej po obu stronach. Mędrzec przyoblekł się w bardzo porządny strój codzienny, godny każdego mężczyzny Czystej Krwi: miał nogawice wpuszczone w cholewki skórzanych trzewików, wyżej zaś sięgający do połowy ud, spięty pasem ciemnozielony kaftan, wyszywany na rękawach czarną nicią. Był to strój bardzo dartański. Gwardzistka odwrotnie, była ucieleśnieniem wszystkiego co armektańskie. Nałożyła kolczugę i mundur, ale to nie był ekwipunek wojenny... Tak ubrana

mogłaby stawić się na pokojach imperatora: paradna kolcza plecionka lśniła jak czyste srebro, wojskowa tunika zaś wykonana została z jedwabiu. Pas, czarna spódnica i wysokie skórzane buty musiały kosztować połowę rocznego żołdu zwykłej podsetniczki Gwardii Armektańskiej... Tak przynajmniej szacowała Hayna, idąca z tyłu w odległości kilku kroków. Niewolnica, w białej domowej sukni, podobnej do tej, jaką często nosiła Anessa, wolała jednak srebrne ozdoby. Bawiła się zerwaną gdzieś białą różą.

— Daj mi to — powiedziała Ezena, wciąż idąca spokojnym spacerowym krokiem.

Nie odwróciła głowy, uniosła tylko rękę. Perła Domu dogoniła ją i podała list, który przed chwilą odczytała na głos. Księżna rozwinęła zwój, popatrzyła na pieczęć i rzuciła okiem na treść.

— Twój komendant, pani — powiedziała po chwili do gwardzistki — nie szczędzi pochwał moim leśnym strażnikom. Ale nie wiem, co mogę odpowiedzieć.

— Liczę, wasza wysokość, na korzystną wymianę doświadczeń. Walki leśne...

— Otóż to, walki leśne — leniwie przerwała Ezena. — Sposoby prowadzenia walki w lesie są tajemnicą Sey Aye. Sądziysz, pani, że dopuszczę do tej tajemnicy akurat Gwardię Armektańską?

— Nie rozumiem, wasza wysokość?

— Wasza godność, nie wiem, po co naprawdę przybyłaś do Sey Aye. Ale wiem, że powiedziano ci dokładnie, kim jestem, co tutaj robię i dlaczego to takie haniebne — księżna nie kryła rozbawienia zaprawionego sarkazmem. — Wiesz więc doskonale, że jutro lub pojutrze może tu przybyć specjalny posłaniec sądowy z nakazem, bym stawiała się w Rollaynie na rozprawie.

— Nie interesuje mnie to, wasza wysokość. Jestem podsetniczką Gwardii Armektańskiej i procesy nie należą do mnie.

— Ale należy do ciebie doprowadzenie skazanej, gdy już zapadnie wyrok.

— Także nie — zaprzeczyła Agatra. — To zadanie Legii Dartańskiej.

— To zadanie legii imperialnych — sucho sprostowała Ezena. — Cesarz pošle cię tam, wasza godność, gdzie tylko mu się spodoba. Dziś nosisz niebieską tunikę armektańską, jutro zaś nałożysz podobną, lecz

czerwoną, dartańską. To nie zależy od ciebie, lecz od twoich przełożonych. Czy się mylę?

Podsetniczka nie odpowiedziała.

— Nie wiem jeszcze, czy zechcę stawić się przed sądem, a jeśli nawet tak zrobię, to nie wiem, czy uznam wyrok. Jeśli zaś nie uznam, to podsetniczka w czerwonej tunice weźmie swoich wyszkolonych przez moją straż leśną łuczników i przyjedzie do Sey Aye z zamiarem wsadzenia mnie do klatki. Czy wyrażam się jasno, wasza godność? Mogę jeszcze jaśniej: otóż całkiem możliwe, że już wkrótce zbuntuję się przeciw imperialnym sądom, a tym samym złamię prawo Wiecznego Cesarstwa. Teraz domagam się jasnej odpowiedzi: czy podsetniczka wojsk imperialnych stanie wówczas przy moim ramieniu, czy raczej naprzeciw mnie?

Agatra milczała.

— Odpowiedz mi, wasza godność — stanowczo zażądała Ezena — bo inaczej uznam rozmowę za skończoną. Pomożesz mi w buncie przeciw wyrokom sądów imperialnych, czy raczej przeszkodzisz? No, słucham.

Gwardzistka powściągnęła gniew, lecz nie zdołała ukryć rumieńców na policzkach. Była przygotowana na wiele możliwości, lecz nie na taką, że podczas pierwszej rozmowy pani Puszczy Bukowej powie wprost: zamierzam się zbuntować, co ty na to?

— Przeszkodzę.

— A więc mamy sprawę załatwioną. — Ezena oddała pismo Agatrze. — Odwieszysz to, pani, swojemu komendantowi i powiesz, że nie zgodziłam się na żadne wspólne szkolenia.

— A co mam powiedzieć o powodach?

— To co usłyszałaś.

— Czy zdajesz sobie sprawę, wasza wysokość...

— Zdaję sobie sprawę, gwardzistko. Nikt mi na razie niczego nie zarzuci, mogę opowiadać o swoich zamiarach, ile tylko dusza zapragnie. Nie nawołuję nikogo do buntu, nie czynię żadnych przygotowań, a plotę, co mi ślina na język przyniesie. Potrzebne jest faktyczne nieposłuszeństwo i faktyczny bunt, żeby wsadzić mnie do tej klatki. Więc jeszcze z pół roku, przynajmniej. Proces, odwołanie i tak dalej. A może uznam ten wyrok?

— Jednak już dzisiaj odmawiasz, pani, pomocy cesarskim żołnierzom. Armekańskim żołnierzom.

— Odmawiam. Wynika z tego, że jestem nieuprzejma albo że nie lubię armekańskich żołnierzy. To jeszcze nie przestępstwo.

— Najgodniejszy Imperator poczuje się dotknięty.

— Gdzie jest list od Najgodniejszego Imperatora, pani?

— Naczelną komendant Legii Armekańskiej pisze w imieniu cesarza.

— Gdzie to jest napisane? Pokaż mi, wasza godność, ten fragment. Że na prośbę cesarza... No, gdzie jest?

Gwardzistka poczerwieniała jeszcze bardziej.

— O, nie ma? No to, w takim razie, myślę, że dotknięty poczuje się tylko komendant. Co mi tutaj opowiadasz, wasza godność? Że sam cesarz zajmuje się takimi sprawami, jak wysłanie dokądś trzydziestu łuczników? Idę o każdy zakład, że cesarz nawet o tym nie wie — kpiła w żywe oczy Ezena.

— Mylisz się, wasza wysokość, uważając, że wobec podsetniczki Gwardii Armekańskiej można bezkarnie opowiadać o buncie, za całe wyjaśnienie dodając: „Och, tak sobie tylko plotę...”.

Księżna straciła cierpliwość.

— Podsetniczka Gwardii Armekańskiej odpocznie teraz w swojej komnacie, bo posłuchanie skończone. Możesz zostać w Sey Aye do jutra, wasza godność. To wszystko, co chciałam ci powiedzieć.

— Wyrzucasz mnie stąd, wasza wysokość? — Agatra nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Wyrzucam — odparła, po czym zwróciła się do milczącego Przyjętego: — Wasza godność, czy możesz nie słuchać? Tylko przez chwilę, bardzo proszę.

Gotah skłonił się lekko i odszedł.

— A więc w cztery oczy — powiedziała zimno Ezena, przystając i patrząc na gwardzistkę. — Gdybyś... zupełnie przypadkowo, ma się rozumieć... spotkała się z kimś, kto zapyta o zamiary księżnej Sey Aye, to powiedz tak: jej wysokość księżna Ezena zgodnie z prawem weszła w posiadanie majątku po swym mężu i nie przyjmie do wiadomości niesprawiedliwego wyroku. Księżna może być, tak jak dotąd, lojalną poddaną i sumienną płatniczką podatków, ale może też rozpętać

straszną w skutkach wojnę. Powiedz jeszcze, że księżna policzyła, iż o wiele taniej i rozsądniej będzie zadbać o sprawiedliwy proces niż wystawić armię do podboju Sey Aye.

— Wasza wysokość, nie zdajesz sobie sprawy... To są groźby — powiedziała Agatra. — I szantaż.

— No, oczywiście, że tak. To są groźby i szantaż. Ale Wieczne Cesarstwo nie musi wiedzieć o żadnym szantażu. Na razie tylko my dwie o tym wiemy. A o wojnie domowej całe cesarstwo dowie się na pewno.

— Wasza wysokość — zapytała cicho Agatra, zbliżając się o pół kroku — czy jesteś... przy zdrowych zmysłach?

— To niedobre pytanie. Podpowiem ci inne — odparła równie cicho Ezena. — Zapytaj: czy jesteś niewolnicą? A ja odpowiem: tak, jestem. Niewolnicą, do której należy największy majątek świata i której chcą go odebrać. Bo w Dartanie nie wypada, żeby niewolnica miała coś takiego. Nie ma innych powodów, tylko ten. Gdyby na moim miejscu była jakakolwiek kobieta Czystej Krwi, to nie byłoby żadnego procesu.

Agatra milczała przez chwilę. Potem lekko pokiwała głową.

— Chyba cię rozumiem. W Armeckie ten majątek byłby twój bez dwóch zdań.

Księżna tak samo pokiwała głową.

Stały jeszcze przez chwilę, patrząc sobie w oczy.

— A jednak, wasza wysokość — powiedziała na koniec Agatra, odstępując o krok — nigdy nie zapomnę, jak potraktowałaś mnie i moich żołnierzy. Wieczne Cesarstwo jest jedno, a ja stoję na straży pokoju i porządku w jego granicach. Nikt nie może, nawet w słusznej swojej sprawie, burzyć tego porządku. Jeśli zechcesz go zburzyć, to na pewno spotkamy się jeszcze. Będę o to usilnie zabiegać.

Złożyła wojskowy ukłon, odwróciła się i odeszła.

Księżna stała w miejscu, zamyślona.

Wreszcie uniosła głowę i obejrzała się na Przyjętego.

— Wybacz mi, panie — powiedziała, podchodząc. — Źle zrobiłam, zaczynając tę rozmowę przy tobie. Ale może to są sprawy, które cię interesują?

Było to pytanie o przyczyny, dla których mędrzec-Przyjęty pojawił się w Sey Aye. Gotah łatwo zrozumiał, co jej wysokość ma na myśli.

— Taka rozmowa musi być zajmująca dla każdego — przyznał bez

ogródek. — Ale oczywiście nie przyjechałem po to, by ją słyszeć. Obchodzi mnie Szerń, wasza wysokość. A Szerer dlatego tylko, że leży pod jej Pasmami.

— Co wspólnego mają Pasma z Sey Aye? — zapytała, ostrożnie ważąc słowa.

Gotah uśmiechnął się, dziwacznie krzywiąc swą kaleką twarz.

— Myślę, pani, że wiesz. Jeśli nawet nie wiedziałaś dotąd, to dzisiaj dowiedziałaś się na pewno. Przecież coś zdarzyło się dzisiaj?

Ezena poczuła się cokolwiek niepewnie.

— Wasza godność... wiesz o czymś szczególnym? Czymś, co wydarzyło się dzisiaj?

Wciąż uśmiechał się lekko.

— Mniej więcej w południe. Zaraz po tym, wasza wysokość, jak przekroczyłem próg twojego domu.

Ezena zwróciła się ku Perle.

— Hayno, nie będziesz mi już potrzebna.

— Wasza wysokość — niewolnica chciała przypomnieć księżnej, że w ogrodzie nie ma nikogo; władczyni Sey Aye nie powinna zostać bez żadnej asysty, sama z gościem, o którym nikt niczego nie umiał powiedzieć.

— Hayno, nie będziesz mi już potrzebna — tym samym tonem co poprzednio powiedziała Ezena. — A jeżeli zauważę, że zamiast ciebie za żywopłotami kręcą się jakieś przyboczne — dodała z właściwą sobie przenikliwością — to odbędziemy bardzo poważną rozmowę. Doradzisz mi, czy Kesa podoła obowiązkowi Pierwszej Perły Domu.

Zmieszana niewolnica skłoniła się i odeszła.

— Jest tu wygodna altana, a w niej cień... Czy raczej wolisz spacerować, wasza godność?

— W tej spiekocie? Nie, pani.

Pokazała drogę. Ruszyli niespiesznie.

— Widziałaś, panie, w życiu sto albo tysiąc niewolnic — zażartowała słabo — ale ja pierwszy raz widzę czarodzieja.

— Nie jestem czarodziejem, wasza wysokość.

Uśmiechnęła się lekko. Przyjęty rzeczywiście widywał niewolnice, ale jeszcze częściej widywał takie uśmiechy. W Szererze (a szczególnie w Dartanie...) Przyjętych uważano za tajemniczych magów. Przekonanie

kogokolwiek, że obcuje tylko z uczonym, bywało ciężką pracą — nawet mądry namiestnik Wadelar nie bardzo chciał w to uwierzyć. Gotah zastanawiał się, kim jest ta niezwykła kobieta. Czy rozumie, co przydarzyło jej się dzisiaj, czy wie o Szerni choć trochę więcej niż wszyscy. Bo o Przyjętych nie wiedziała nic.

— Wasza wysokość, badając Szerń, dowiedziałem się czegoś o tobie. Nie chcę cię przestraszyć... ale może tylko rozbawię, gdy powiem, że twoja osoba jest bardzo mocno związana z tym, co badam. Czy masz tego świadomość?

Nie odpowiedziała.

— Przyjechałem tu za wiedzą samej cesarzowej — dorzucił.

Skierowała nań zdumione spojrzenie.

— Wszystko zaraz obszernie wytłumaczę, jeśli oczywiście udzielisz mi, pani, dość czasu. Moja towarzyszka nie dostała go zbyt wiele.

Ezena uśmiechnęła się mimo woli, słysząc lekki sarkazm w głosie Przyjętego. Ale... była to dezaprobata czy uznanie?

— To dezaprobata czy uznanie? — zapytała.

— Trochę uznania, ale jeszcze więcej wątpliwości... Chyba jednak słyszałem zbyt wiele — ocenił.

— Nie szkodzi.

W altanie stały marmurowe ławki, wyłożone miękkimi poduszkami. Na stole, także marmurowym, ustawiono wielką czarę z owocami. Księżna wybrała okazałą gruszkę i przez chwilę myślała tylko o tej gruszce: o smaku gruszki, gryzieniu gruszki i doszczętnym zjedzeniu gruszki.

Przyjęty uśmiechnął się w duchu.

— Nie znasz mnie, wasza wysokość, więc wcale nie musisz mi ufać. Chcę jednak powiedzieć, że nie przyjechałem tu na przeszeptegi.

Skorzystał z udzielonego gestem przyzwolenia i usiadł.

— Jej cesarska wysokość była bardzo zaintrygowana moim listem — ciągnął — i pytała, czy nie zechciałbym jej wyjaśnić, co właściwie mają Pasma do Sey Aye...

Po czym spokojnie i dokładnie opowiedział księżnej, jak miały się sprawy; była to opowieść niezmiernie podobna do tej, którą jakiś czas temu usłyszał namiestnik Wadelar. Lecz pani Sey Aye, chociaż mniej pytała — to zarazem sporo mniej wiedziała.

— Twój zatarg z Domami Dartanu, księżno — kończył Przyjęty — albo nawet zatarg z całym Wiecznym Cesarstwem... jeśli do tego dojdzie... to sprawa bardzo zajmująca dla historyka, który własnymi oczami może ujrzeć, jak tworzy się historia. Ale dla istoty przyjętej przez Pasma wszystkie te zdarzenia są zupełnie błahe... Nie, źle powiedziałem. — Uniósł palec na wysokość ucha i zamyślił się. — Nie są błahe. Ale udział w nich, czynny udział, nie jest moim zadaniem. Nie jestem żołnierzem imperium ani żadnym urzędnikiem, ani nawet poddanym cesarza, choć byłby pewnie nierad, gdyby to usłyszał... Nie jestem też jego lub twoim sojusznikiem. Ani wrogiem. Co najwyżej obserwatorem i może jeszcze... — skrzywił się zabawnie, szukając dobrego słowa — .. jeszcze chodzącą księgą. Jeśli zechcesz, znajdziesz w niej wyjaśnienia, choć na pewno nie wszystkie. Znajdzie je każdy, kto zechce szukać, bo takie jest między innymi zadanie owej księgi. Jak już powiedziałem, Szerń nie działa świadomie, ale wszystko, co się dzieje za jej sprawą, wynika z pewnych... konieczności, z praw i reguł, które zapisane są w jej naturze. Nie wyobrażam sobie, bym komukolwiek mógł odmówić wyjaśnień dotyczących tych praw i reguł. Mówię więc, wasza wysokość: pytaj, o co zechcesz, a ja odpowiem najlepiej, jak potrafię. Ale jeśli jutro wyjadę z Sey Aye, a o to samo zapyta cesarzowa, lub nawet ta upokorzona gwardzistka, to nie znajdę żadnych powodów do trzymania języka za zębami. Mówiąc szczerze, wasza wysokość, nie sądzę, by twoje pytania dotyczyły fundamentalnych dla Szerni i świata spraw... ale z drugiej strony, po rozmowie, której byłem dziś świadkiem, naprawdę nie wiem, czy istnieją jakiegokolwiek sprawy związane z twoją osobą, które władcy Wiecznego Cesarstwa mogliby uznać za nieważne.

Zaległa cisza.

Gdyby myśli miały jakąś wagę, to marmurowy stół, na którym księżna trzymała łokcie, zarwałby się niechybnie pod ciężarem wspartej na dłoniach głowy.

Cisza trwała i trwała.

— Może... — rzekła wreszcie i odkaszlnęła. — Może myślę zbyt wolno. Ale wobec ciebie, wasza godność, chyba każdy myśli zbyt wolno... Zrozumiałam, że dajesz mi wybór: wszystko albo nic. Albo będę czytać tę chodzącą księgę, jednocześnie zapisując w niej nowe stronice, ale wówczas przeczytają to wszyscy... albo zaniecham lektury, niczego się nie dowiem, lecz inni także nie.

Gotah rozłożył ręce.

— Mniej więcej tak to wygląda. Mniej więcej, bo to nie jest żaden targ, wasza wysokość. Bez żadnych warunków odpowiem na wszystkie twoje pytania. Ale każde pytanie zawiera jakąś treść, choćby zdradza obszar zainteresowań. Jeśli nawet dopiszesz do tej księgi... jakże nośne porównanie, tylko popatrz... jeśli nawet zapiszesz w niej same swoje pytania i zostawisz zakładki w miejscach, gdzie szukałaś odpowiedzi... — Znow rozłożył ręce. — Wszyscy znajdą te pytania i zakładki. Usunąć można je tylko w jeden sposób: niszcząc księgę.

— I nie obawiasz się tego, wasza godność? Wprawdzie dysponujesz wielką siłą...

— Dysponuję siłą mądrego mężczyzny o dosyć łykowatej posturze — przerwał. — Cała reszta to bajki, a im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej. Rozmowy... jeśli do nich dojdzie... rozmowy o tobie, wasza wysokość, zaczniemy od rozmów o mnie. Jestem zwykłym człowiekiem, niezwykle jest tylko to, czemu się poświęciłem.

Pokręciła głową z lekkim niedowierzaniem.

— Zwykły człowiek, który mówi mi, że wie, co się dzisiaj zdarzyło, choć to tajemnica dla wszystkich...

— Nie wiem, co się zdarzyło. Usłyszałem coś dziwnego, tylko tyle.

— Usłyszałeś?... Jak mam to rozumieć?

— Właśnie tak. Obcując z Szernią na co dzień, mam niezmiernie wyczułone ucho, wasza wysokość. To oczywiście tylko przykład, uproszczenie, lecz oddaje istotę rzeczy. Gdy, nieomal w zasięgu mojej ręki, wydarza się coś, co jest związane z siłami Szerni, niekiedy potrafię

to poczuć. Usłyszeć, jeśli wolisz. Ale potrafi to prawie każdy, kto wytrwale uczy się słuchać. A niektórzy mają wrodzone zdolności i słyszą co nieco nawet bez nauki, choć rzadko wiedzą, co słyszą.

Była zmęczona.

— To tym bardziej. Nie mając żadnej siły, jak zdołasz się obronić? Wróć do swojego pytania: nie obawiasz się, wasza godność, że dowiedziawszy się wszystkiego, zachcę zamknąć ci usta na zawsze?

— Wasza wysokość, czy masz podstawy sądzić, że będą to sprawy aż tak ważne?

— Nie wiem. Zupełnie nie wiem. Odpowiedz na moje pytanie, wasza godność.

— Czy nie boję się, że rozkażesz mnie utopić? Koniec dobry jak każdy inny. Może trochę przedwczesny — skwitował.

— Nie boisz się śmierci?

— Chyba nie bardziej niż wszyscy.

Pokręciła głową, dotykając skroni.

— Nic już nie wiem — powiedziała z westchnieniem. — To wszystko na dzisiaj, wasza godność. Muszę zostać sama, chcę... poukładać sobie to wszystko, co mi powiedziałaś. Nic już nie wiem. Rano albo później... powiem ci, co postanowiłam.

Przetarła oczy dłońmi.

— Nic już nie wiem...

16.

Przepowiednie. Prawa Całości. Księgi Całości, Smugi i Pasma Szerni. Równowaga, odbicie Pasm, Pęknięcia Szerni. Sprawy ważne dla Pasm i nieistotne dla świata. Geerkoto i... co? Dor-Orego. Świadome emanacje nieświadomej potęgi. Reguły zapisane w strukturze. Ezena miała wrażenie, że za moment pęknie jej głowa i wszystko to wyleje się jak smołą, a w kałuży będą kamienie, patyki i nie wiadomo co jeszcze... Z jakiegoś powodu tak właśnie jawiła jej się nabyta wiedza — jak smoła oblepiająca najróżniejsze przedmioty. Próbując wydobyć któryś z tych przedmiotów, grzęzła i nie mogła doń dotrzeć, a gdy już dotarła, to nie umiała oczyścić; wszystko było czarne i lepkie, ciągnęły się za tym wstążki i nitki gęstej mazi.

Od myślenia bolały ją nawet oczy.

Pierwsza Perła i Yokes czekali w jednym z dziennych pokoi. Machnęła tylko ręką i poszła do sypialni. Udali się tam także, korzystając z wyraźnego przyzwolenia, którego udzieliła minionej nocy.

— Wasza wysokość, muszę wiedzieć, co postanowiłaś — rzekł komendant. — Co z tymi Armektańczykami?

Położyła się na łóżku, zakrywając oczy dłonią. Po chwili, wiedząc, że istotnie musi to uczynić, przedstawiła przebieg rozmowy z gwardzistką, ale tak sucho i zwięźle, że Yokes złapał się za głowę.

— Wasza wysokość chcesz powiedzieć, że wydałaś właśnie wojnę... całemu Wiecznemu Cesarstwu? — zapytał, oszołomiony.

Wciąż z dłonią na oczach zebrała się w sobie i wytłumaczyła:

— Nie, komendancie. Dałam tylko jasno do zrozumienia, że wóz albo przewóz. Dla świętego spokoju cesarstwo nie wtrąca się w orzeczenia dartańskich sądów. Ale tylko dla świętego spokoju. A ja powiedziałam jasno, że tym razem właśnie świętego spokoju nie będzie. Dotąd nikt właściwie nie wiedział, co mi chodzi po głowie, ugnę się czy nie ugnę. Teraz wszystko jest jasne. Urzędnicy imperium muszą wybrać: niezadowolenie rozkapryszonych magnatów dartańskich albo wojna z Sey Aye. Cokolwiek myślisz, wobec tak postawionej sprawy wybór jest właściwie tylko jeden. Cesarstwo łatwo znajdzie sto sposobów, by zachować w tajemnicy moją hardość, i nikt nie straci twarzy. Co najwyżej parę dartańskich Domów dowie się, że prawo jest jedno dla całego imperium. Tylko tyle.

Zaskoczony Yokes pozbierał myśli. I w przebłysku krótkim jak mgnienie oka zdał sobie sprawę, że ta wiejska dziewczyna, była niewolnica... już nią nie jest. Może nie była jeszcze mityczną królową Rollayną, ale z całą pewnością była K.B.I.Ezeną, prawowitą księżną Sey Aye. Od kiedy? Od jak dawna? Czy od chwili, gdy patrząc przez okno, rozmawiała o wyrzuconym z Sey Aye Denencie? Czy już wtedy wiedziała, co robi? A może jeszcze wcześniej? Oto właśnie w kilku zdaniach dowiodła, że jej rozumienie politycznych spraw imperium dawno już przekroczyło zdolności rycerza M.B.Yokesa. Musiał zgodzić się z oczywistą prawdą, którą mu podała jak na dłoni. Książę Przedstawiciel Cesarza w Rollaynie nie miał żadnego wyboru. Gdyby z powodu naginania prawa doszło w Dartanie do rebelii, imperator posłałby mu

dymisję, wystrzeliwując ją dla pośpiechu z ustawionej na murach bombardy...

Możliwość, że przymilne pieski w Rollaynie zerwą się do buntu, była żadna. Co innego dzika wilczyca w Dobrym Znak. Prosty wybór. Tak jak powiedziała.

— Co rozkażesz, wasza wysokość? — zapytał, czując, jak mu rośnie serce.

— Jutro wieczorem ma ich tutaj nie być.

— Tak, wasza wysokość.

Yokes zniknął, unosząc w piersi kiełkującą miłość poddanego do mądrej i dumnej pani, której służył.

— Chyba mam gorączkę — powiedziała Ezena, dotykając czoła.

Perła podeszła do łoża i przyłożyła rękę do jej policzka.

— Zimny okład, wasza wysokość?

— Tak, ale za chwilę. Rozbierz mnie albo przyślij Eneę. Albo tę nową, Ayanę... Jest miła.

Hayna namęczyła się, ściągając z księżnej suknię; pani Sey Aye stanęła wprawdzie obok łoża, lecz poza tym nie przejawiała żadnej gotowości do współpracy. Co chwila przykładła dłoń do czoła bądź dotykała skroni.

— Śpię nago, naucz się wreszcie — rzuciła zniecierpliwiona na widok nocnej koszuli. — Czy ktoś zdrowy na umyśle ubiera się latem do spania? Mam się pocić w te przeklęte upały? Idź już! Jedna wrzeszczy na mnie, że się pocę, druga wtrynią mi jakieś nie wiem co! — zrzędziła, nie pamiętając, iż strasznie boli ją głowa.

Hayna oberwała zupełnie bez powodu: nigdy nie kładła księżnej do łóżka ani nie ubierała rano, więc nie miała pojęcia, jakie są jej nocne zwyczaje. Choć skądinąd, jako Pierwsza Perła Domu, powinna wiedzieć o wszystkim.

— Tak, wasza wysokość — powiedziała. — Czy okłady na głowę...

— Nie, już nie chcę.

Perła zabrała suknię, klejnoty i uciekła tak szybko, jak mogła.

Ezena z ulgą opadła na łóżko.

W ciągu jednej doby wydarzyło się wszystko. Zginął K.B.I.Denett. Anessa... jedyna przyjaciółka okazała się... Już nie było Anessy. Przyjechali gwardziści. I mędrzec Szerni. Prawa Całości, Przepowiednie,

znaczenia, równowaga. Rozgniewana gwardzistka z grotami strzał gotowymi do wystrzelenia z czarnych oczu — ktoś, kogo trzeba się bać. „Tak, to jest groźba i szantaż”. „Pasma i Smugi Szerni. Ale każde pytanie zawiera jakąś treść, zostawisz te pytania i zakładki w miejscach, gdzie będziesz szukała odpowiedzi”. Rozbrojeni żołnierze Denetta w gospodzie. „Coś się skończyło, Anesso, nie czujesz? Właśnie biegną gońcy...”. Pęknięcie Szerni. „Nie boisz się śmierci, mędrco?”. „Czy uważasz, wasza wysokość, że dowiesz się czegoś aż tak ważnego?”...

Wszystko tonęło w smole.

Świat wirował.

Armektańska gwardzistka rozmawiała z człowiekiem o pospolitym wyglądzie. Człowiek ten, trzymający w dłoni jakiś rulon, wyglądał na przerażonego, lecz zarazem dokładał wszelkich starań, by przypodobać się ponurej jak czarna chmura podsetniczce imperium. Siedzieli w wielkiej izbie, przy stole. Otwierali usta, lecz z miejsca, gdzie stała Ezena, niczego nie było słychać. Mężczyzna coś tłumaczył, bojaźliwie i ostrożnie, jakby pragnął wyperswadować niemożliwą rzecz osobie, od której bez reszty zależał, potem krzyczał ze strachem. Przestał i skulił się za stołem. Rozwścieczona Armektanka zerwała się z miejsca i trzasnęła go w łeb rękawicą. Poprawiła. Teraz ona krzyczała, pochylona. Nagle obejrzała się przez ramię, spoglądając wprost w oczy Ezeny. Zamilkła. Rozejrzała się jeszcze dokoła, jakby sprawdzając, czy nikogo nie ma, a nawet podeszła do okna, za którym szarzał wieczór... może świt? Potem, znów pochylona, z naciskiem tłumaczyła coś zbitemu nieszczęśnikowi. Mężczyzna słuchał, przełykając ślinę.

Ezena usiadła na łóżku.

Spała dosyć długo. Wciąż było bardzo duszno, ale za oknami gościła ciemna noc. Także sypialnia tonęła w ciemności; nikt nie zapalił świec.

Księżna nie bała się mroku. Nigdy dotąd.

Teraz nagle poczuła prawdziwy strach. Wydało jej się, że z kąta komnaty spoglądają ku niej martwe oczy zamordowanego chłopca, który nie przyjechał po to, by wyrządzić jej krzywdę. Wszystko jedno, czy chodziło mu tylko o złoto... o bogactwo i książęcy tytuł... Usłyszawszy odmowę, zzymałby się i gniewał, nie pojmując, jak do tego doszło. Ale nie wyrządziłby jej żadnej krzywdy. Nawet gdyby mógł.

Klasnęła w dłonie. Potem jeszcze raz.

— Enea! Albo Ayana!

Obudzona niewolnica pojawiła się w drzwiach sypialni; Ezena widziała tylko zarys kobiecej sylwetki.

— Enea? — zapytała.

— Hayna, wasza wysokość.

— Hayna? A ty co tutaj robisz?

— Czuwam... Wasza wysokość źle się dzisiaj czuła — powiedziała niewolnica. — Odesłałam Eneę.

Zamiast wdzięczności dla wiernej Perły Ezena poczuła gorzką złość. Miała żal do Hayny — tylko o to, że nie była Anessą.

— Światło.

Perła zniknęła za drzwiami i wróciła po chwili, niosąc świecę. Przeniosła ogień na kilka innych, tkwiących w kandelabrze przy drzwiach.

— Wszystkie. Zapal wszystkie.

Trochę trwało, nim Hayna spełniła polecenie.

— Możesz odejść — powiedziała Ezena, odwracając się na drugi bok i poprawiając prześcieradło, którym była okryta.

Hayna oddaliła się cicho.

Ezena leżała z otwartymi oczami.

Nocne zmory rozplynęły się w blasku świec. Sen zrobił swoje: gęsta smoła była już tylko brudną cieczą, w której pływały jakieś szczątki. Księżna wyławiała je kolejno, łatwo rozpoznając kształty... Wielu rzeczy wciąż nie rozumiała, ale miała przynajmniej świadomość, czego konkretnie nie rozumie. Rodziły się kolejne pytania, które należało komuś zadać. Wpisać do księgi, tak. Problem, z którym borykała się za dnia, wydał jej się naraz niepoważny. Właściwie nieistniejący. Było najzupełniej oczywiste, że nie wolno jej zmarnować jedynej okazji dowiedzenia się czegoś o sobie. O swym życiu, przeznaczeniu... a może i o śmierci. Odpowiedź na pytanie Przyjętego brzmiała: tak. To były ważne sprawy, najważniejsze. Rollayna już dwa razy próbowała wrócić. Jak dotąd bez powodzenia. Obłąd? Oczywiście, to było możliwe... Ezena widziała wyraźnie, że może oszaleć, jak tamta, o której pisano w kronikach. Czuła, że oszaleje, całymi miesiącami zmagając się z niewiedzą, z dziesiątkami, jeśli nie setkami pytań, z niepewnością. Jak długo można żyć, nie ufając sobie — o ile można być sobą z obcą istotą w

duży, z istotą zdolną do... nie wiadomo do czego. Może do wszystkiego, zawsze albo niekiedy. Czy coś takiego Przyjęty miał na myśli, mówiąc, że przeniknięcia Szerni nie zmieniają świata? W takim razie... mylił się lub kłamał.

Ezena czuła, że nie zaśnie. Wstała, nie wiadomo dlaczego otulając się prześcieradłem, choć było gorąco jak w piecu; na czole miała kropelki potu. Wzięła jabłko ze stołu, ale nie czuła smaku. Odłożyła nadgryziony owoc. Chodząc po komnacie, przydepnęła prześcieradło i niewiele brakowało, a znalazłaby się na posadzce. Cisnęła precz nedorzeczną szmatę, ale przysła jej do głowy pewna myśl... Położyła się poza krawędzią wzorzystego kobierca, napawając się rozkosznym marmurowym chłodem. Po jakimś czasie przetoczyła się na brzuch i znów leżała, czując, jak stygnie pot na nagim ciele. Wstała wreszcie i wiedzioną nawykami podeszła do lustra. Przestraszyła się, ujrzawszy krótkie kasztanowe włosy. Zapomniała... Zupełnie zapomniała.

Uniosła ręce i zebrała włosy z tyłu głowy, a raczej: próbowała je zebrać. Ledwie czuła, że trzyma coś w garści. Popatrzyła w dół i bezradnie skubnęła palcami czarne kędziorki na łonie.

— A pod pachami? — zapytała smutno. — Blondynka?

Kasztanowe były tylko na głowie, poza tym wszędzie czarne. Dartan wygrał: pozostało tylko użyć wosku. Ezenie zachciało się płakać. Ten śmieszny bunt przeciw dartańskim wymogom był dla niej naprawdę ważny. Prawie zapomniała, jak wygląda Armekt, zresztą zawsze znała tylko swoją wieś... Z jakichś powodów bardzo chciała robić coś po armektańsku. Właśnie w Dartanie, który miał dla niej tylko pogardę i niesprawiedliwość. A teraz odbierał nawet taką błahostkę, jak niechęć do użycia wosku. Miała wyprawiać jakieś fanaberie, bo... tak wypadało.

Minionej nocy księżna zapłakała przed lustrem, przeżywając utratę przyjaciółki. Teraz oddychała głęboko, bo powiedziała sobie, że nigdy więcej nie będzie się mazgaić. Lecz przeczuwała już, że nic z tego. Chciało jej się płakać... najbardziej dlatego, że nie mogła się powstrzymać od płaczu. Walczyła dzielnie, ale wreszcie wszystkie wzruszenia minionego dnia znalazły ujście w rozpaczy młodej kobiety, która odkryła w swej sypialni, że jest istnym cudakiem... a do tego, niestety, mazgajem.

Rozpłakała się.

— Anesso... gdzie jesteś?

Ale Anessy nie było.

Wymęczona dziesiątkami zdarzeń i burzą rozterek księżna usiadła na podwiniętych nogach i płakała tak gorzko, jakby umarł bliski jej człowiek. Lecz, poniekąd, tak właśnie było. Straciła Anessę na zawsze... a do tego miała kasztanowe włosy i płakała, chociaż miała nigdy nie płakać. Nikt na świecie nie był bardziej nieszczęśliwy.

Czuwająca pod drzwiami Hayna najpierw nie wiedziała, co słyszy, a potem poczuła, jak ściska jej się serce. Kiedyś... najpierw nie umiała uznać uzurpatorki, ale bardzo szybko zaczęła jej współczuć. Później okazało się, że Anessa i Yokes, dwie najważniejsze osoby w Sey Aye, pogodziły się z tytułem i znaczeniem Ezeny. To nie mogło pozostać bez wpływu. Nastroje w domu odmieniały się szybko; nawet nieliczni wolni służący — a cóż dopiero niewolnicy — potrafili wyczuwać pewne rzeczy. Było jasne, że coś potwierdziło pozycję pani Sey Aye, coś tak istotnego, że kapryśna Pierwsza Perła Domu zaczęła darzyć księżną szczerą przyjaźnią, a surowy komendant pocztów wyraźnym szacunkiem. Perła mogła udawać, ale Yokes w żadnym wypadku. Ludzie Domu odetchnęli z ulgą, bo pomyłka została wyjaśniona: nie było żadnej pomyłki! Książę Lewin wiedział więc, co czyni; po kątach poszeptywano najbardziej nieprawdopodobne historie. Najczęściej przebąkiwano, że piękna niewolnica jest nieślubną córką jego wysokości, rozpoznaną dopiero po latach; ktoś dopatrywał się nawet podobieństwa twarzy... Lecz widocznie brakło mocniejszych dowodów, a prawo imperialne nie pozwalało adoptować wyzwolenców, książę uciekł się więc do wybiegu, jakim było udawane, nieskonsumowane małżeństwo z własną córką... Hayna nie wierzyła w takie opowieści. Ale cieszyła się, że może szczerze służyć Ezenie, która była naprawdę dobrą panią.

Teraz pani płakała.

Tego dnia zdarzyło się coś, czego Perła nie mogła zrozumieć. Zajście z włosami księżnej było dla Hayny naprawdę przerażające. Ani Yokes... ani sama księżna... nikt tego nie rozumiał, wszyscy byli zagubieni. Niewolnica czuła, że stało się coś niedobrego, że te włosy to był chyba pierwszy atak jakiejś okropnej choroby. Potem, w ogrodzie, mędrzec Szerni wspomniął o tym zdarzeniu; było więc związane z Szernią. Hayna bała się Szerni i nie lubiła o niej myśleć, bo było coś strasznego w martwej i zimnej, zawieszanej nad światem potędze, od której wszystko

zależało. Ta potęga dotknęła teraz Ezeny, było to jak... powiew z otwartej mogiły. Pierwsza Perła martwiła się nieustannie, lecz zarazem bała się przy księżnej odezwać choć słowem na ten temat.

Teraz księżna obudziła się w środku nocy i płakała — samotna w swojej sypialni.

Hayna rozplakała się także. Chciała wejść do komnaty i pocieszyć księżną, ale bała się pojawić bez wezwania. Sporo młodsza od Anessy, nie potrafiła w żaden sposób wyobrazić sobie, że mogłaby być przyjaciółką księżnej, tak jak tamta. Zresztą... nigdy dotąd nie było okazji do takiego zbliżenia. Ostatnia z Pereł Domu była zupełnie nikim, kosztownym drobiazgiem, bez żadnej władzy i znaczenia. Kesa rządziła domem przynajmniej przez kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt dni w roku, gdy Pierwsza Perła domu próżniaczyła się w błękitnym namiocie nad jeziorem, udawała się w towarzystwie jego wysokości na polowanie lub za jego zgodą jechała do obozu wojskowego z Yokesem, by spędzić tam kilka miłych dni, podziwiana przez tysiąc żołnierzy... Druga Perła wyręczała także niewolnice niskiej rangi w takich sprawach, jak budzenie księżnej lub pomoc w położeniu się do łóżka. To dawało choćby okazję do rozmowy. Hayna nigdy takich okazji nie miała. To, co potrafiła najlepiej, nikomu tu nie było potrzebne. Mianowana nagle Pierwszą Perłą czuła się winna wobec poprzedniczki, zdążyła już także posmakować zawiści niesprawiedliwie pominiętej Kesy. Starła się ze wszystkich sił wypełniać obowiązki, ale czuła, że te starania to w oczach jednych tanie lizusostwo, a w pojęciu innych nieuzasadnione zadzieranie nosa. W ciągu jednej doby zrozumiała, co to znaczy być uzurpatorką...

Teraz płakała z Ezeną. Była podwójnie nieszczęśliwa.

Usłyszała, jak księżna mówi coś do siebie i znów płacze. Serce biednej dwudziestolatki, którego nie zdołano zmienić w kamień w bezdusznej niewolniczej hodowli, ścisnęło się jeszcze boleśniej. Hayna weszła do sypialni i zobaczyła siedzącą na podłodze Ezenę, rozmazującą łzy na policzkach. Szlochając jak dziecko, Pierwsza Perła rzuciła się księżnej na szyję.

Wyglądały jak siostry — dwie kobiety o identycznych włosach. Ezena objęła szyję Perły ramieniem i płakała z czołem opartym o jej czoło. Hayna nie mogła wykrztusić nawet słowa.

Były same przeciw całemu straszliwemu światu.

17.

Księżna Sey Aye doskonale wiedziała — a zresztą wręcz widziała — że armektańska gwardzistka z najwyższym trudem przełknęła upokorzenie. Byłaby jednak zdumiona i naprawdę zaniepokojona, dowiedziawszy się, iż zyskała nie przeciwniczkę, a śmiertelnego wroga. Agatra w ogóle nie potrafiła oddzielić swojej służby od życia prywatnego; była żołnierką niemal od zawsze, od zawsze służyła cesarstwu i wszystko cesarstwu zawdzięczała: żołd, dom, obycie, pozycję, wykształcenie, którym każdy oficer musiał się wykazać, a na koniec nawet męża, może i nudnego, lecz nie będącego brudnym chłopem, za którego wydałaby się prosta wieśniaczka — gdyby nie jej wojskowa tunika. Upokorzenie, którego doznała, choć dotyczyło tylko tej tuniki, w oczach podsetniczki rozciągało się na samą osobę, na Agatrę. Księżna zyskała wroga, jakiego nie miała w Rollaynie, a nawet zwłaszcza w Rollaynie; przecież (odwrotnie, niż czyniła Agatra) nikt tam nie czuł osobistej urazy do dziewczyny o granatowych włosach, odmawiano tylko praw niewolnicy, jakiegokolwiek niewolnicy, nie konkretnej. Agatra — nadsetniczka legii i setniczka gwardii, a więc ktoś, kto w samej stolicy imperium nie musiał korzyć się przed nikim — nie umiała dokonać takiego rozdziału. Kto lekceważył cesarstwo, lekceważył ją samą; kto buntował się przeciw sądom, buntował się przeciw Agatrze; kto mówił: „pobiję wojska imperium”, powiadał tym samym: „dam ci w pysk, kobieto”. Tak to pojmowała i czuła. Tylko tak.

Wróciwszy do komnaty, którą jej udostępniono, podsetniczka miotła się od ściany do ściany. Zdjęła wreszcie mundurową tunikę i poszła do swoich gwardzistek. Dziewczyny poderwały się na widok dowódczyni.

— Weza, zdejmuj mundur — powiedziała Agatra.

Łuczniczka rzadko widywała przełożoną w takim stanie — ale widywała. Szybko pozbyła się tuniki i stanęła wyczekująco. Domyślała się, o co chodzi.

— Udzielam ci urlopu, a ja sama jestem już po służbie — powiedziała Agatra. — Przyłóż mi.

W wojskowych garnizonach żołnierze wszczynali czasem bójki; nie

było to w końcu nic nadzwyczajnego. Ale nikt nie mógł bezkarnie uderzyć oficera — i tak samo oficer nie mógł bić żołnierza. Armektańczycy, niezwykle surowi w sprawach związanych z wojskiem i wojną, piętnowali takie rzeczy. Oficer bijący podkomendnego mógł być prawie pewien, że przestaną z nim rozmawiać wszyscy towarzysze.

Weza trzasnęła dowódczynię w policzek i otrzymała identyczną odpowiedź. Nie chciały zrobić sobie krzywdy, ale to nie były pieszczotliwe plaśnięcia. Po pięciu czy sześciu uderzeniach Agatra miała lekko rozciętą wargę, a Wezie stanęły w oczach łzy.

— Chyba wracamy na służbę — powiedziała wreszcie Agatra; wydyszała się i trochę uspokoiła. — Zgoda?

Czasem żołnierz oberwał za mocno i mógł czuć się pokrzywdzony. Dowódca, odłożywszy na bok swe insygnia, powinien przestrzegać reguł rozpoczętej gry.

— Dobrze — powiedziała gwardzistka, ocierając palcami łzy.

Policzki miały czerwone jak róże w ogrodzie księżnej.

Weza ubrała się w tunikę.

— Skończył ci się urlop — powiedziała Agatra. — Przyjdź do mnie za chwilę. A ty zostań tutaj — zwróciła się do drugiej gwardzistki. — Gdy wróci Przyjęty, może będzie potrzebował pomocy, albo tylko eskorty, jeśli gdzieś się wybierze. Bądź uprzejma, zaproponuj mu swoje towarzystwo, ale nie nalegaj. To jego sprawa, co robi i z kim chodzi.

— Tak, pani.

Podsetniczka wróciła do swojej komnaty. Usiadła i co jakiś czas przykładła dłonie do twarzy. Rumieńce powoli ustępowały. Gdy Weza stanęła w drzwiach, obie wyglądały prawie normalnie.

— Pójdiesz do stajni. Przyrowadzisz mojego konia i każesz osiodłać wierzchowca dla siebie. Czekaj na mnie przed domem, aż przyjdę.

Było to zgodne z oświadczeniem Yokesa. Komendant wyraźnie zaznaczył, że Przyjęty i dowódczyni gwardzistów, sami lub w towarzystwie, bez pytania kogokolwiek o zgodę, mają prawo poruszać się po całym Dobrym Znaku, wyjąwszy miejsca strzeżone przez prywatnych żołnierzy, gdzie potrzebne było specjalne pozwolenie.

— Tak, pani.

Agatra siedziała jeszcze trochę, potem przebrała się w zwykłe

odzienie podróżne, ale pod skórzany kaftan włożyła lekką kolczugę, cieńszą i słabszą od wojskowej, za to mniej widoczną. Przypasała miecz i zabrała niewielką sakwę. Wkrótce była na dziedzińcu. Dosiadła wierzchowca. Weza wskoczyła na grzbiet drugiego. Nawet w zwykłych klinach lekkiej piechoty dowódcy dbali o to, by żołnierze jako tako umieli trzymać się w siodłach, ale w oddziałach gwardii wręcz uczono sztuki jazdy wierzchem. Wobec tego, co potrafili konni łucznicy legii, umiejętności Wezy były oczywiście żadne, lecz zarazem nikt nie mógł zaprzeczyć, że dziewczyna zupełnie przyzwoicie sobie radzi.

Ruszyły. Agatra poprowadziła drogą, którą niedawno przybyła do Sey Aye. Ominąwszy stary zameczek, znalazły się na drodze. Pokłusowały do rozstajów. Tam skręciły w stronę miasta.

Było tak, jak powiedział Yokes: małe miasteczko nie wyróżniało się niczym szczególnym. Takie same drewniane, ale równie często murowane domy, można było znaleźć chociażby w Akali, a tym bardziej w każdym mieście dartańskim. Droga przemieniła się w utwardzoną drewnianymi okrągłakami ulicę, bardzo przyzwoicie utrzymaną. Ulica wiodła do rynku. Agatra zdziwiła się trochę, ujrawszy herolda w barwach Domu K.B.I. Stojący na podwyższeniu obwoływacz, otoczony wianuszkiem przechodniów, donośnym głosem powiadał o najnowszych zdarzeniach w Sey Aye. Był to obyczaj armektański... W Dartanie nikogo nie obchodziło, o czym wiedzą, lub czego nie wiedzą, mieszczanie. Podsetniczka zatrzymała wierzchowca i przez chwilę słuchała melodyjnej dartańskiej mowy. Herold mówił o sprawach na pewno istotnych dla słuchaczy, ale dla niej zupełnie obojętnych. Nie odnaleziono jeszcze jakichś grzybiarzy, którzy przypuszczalnie zabłądzili w lesie i być może zeszli na bagna... Szukano naganiaczy do polowań, każdy chętny mógł liczyć na darmową strawę w trakcie łowów i opiekę księżnej w razie nieszczęśliwego wypadku... Ugaszono mały pożar w jednej z wiosek; nikt nie zginął, księżna zwolniła pogorzalców z daniny... Nawet ciekawostki! Ktoś złowił wielkiego pstrąga.

Herold powiedział swoje i odszedł. Agatra ruszyła dalej. Była ciekawa, czy wcześniej obwołano wieść o przyjeździe armektańskich gwardzistów. Na pewno. Łucznicy dostali przecież kwatery w mieście. Trudno było utrzymać w tajemnicy ich tożsamość... po co zresztą? Ucierpiałyby najwyżej wiarygodność heroldów, a tym samym księżnej. A

przecież robiono tu wszystko, by poddani kochali swoją panią. Jej wysokość zwalniała pogorzalców ze świadczeń, co obwoływano wszem wobec... Agatra mocno wątpiła, czy jej wysokość Ezena w ogóle wiedziała o pożarze. Inna sprawa, że decyzje intendenta, poborcy danin, czy jakiegokolwiek urzędnika Sey Aye, wydawane były w końcu w jej imieniu.

Niebiesko-szara tunika Wezy zwracała uwagę, ale nie nadmierną. Odwrotnie niż w Akali, a zresztą gdziekolwiek w Szererze, nikt tutaj nie wiedział, jakie są mundury Gwardii Armektańskiej. Miejscowi żołnierze nosili dość rozmaite barwy; przyłapani w lesie kusznicy mieli granatowo-zielone narzuty, ale już spódnice zarówno czarne, jak i brunatne, szare, zielone... Poza tym w Sey Aye często gościli kupcy, mający czasem paru zbrojnych pachołków do ochrony. Tylko czasem ktoś popatrzył uważniej na Wezę; może był to człowiek, który właśnie posłyszał od herolda, że przybyli cesarscy żołnierze? Zakwaterowani w mieście gwardziści, jeśli nawet mogli za zgodą dziesiętniczki iść do gospody na piwo, to bez broni i bez mundurów; Agatra ukręciłaby łeb podkomendnej, dowiedziawszy się, że gwardzista w pełnym rynsztunku włóczy się po knajpach i obmacuje dziwki.

Wypatrzwszy barwny szyld gospody w odchodzącej od rynku ulicy, podsetniczka pojechała w tamtą stronę. Nowa niespodzianka: natychmiast pojawili się posługacze i zajęli końmi przybyłych, zaś wewnątrz gospody odbiegało od oczekiwań. W Dartanie podróże traktowano jako zło konieczne; nikt nie wybierał się w drogę, jeżeli nie musiał. Z tego zapewne powodu zajazdy w Złotej Prowincji cieszyły się sławą najgorszych w całym Szererze. Nawet rycerz jadący dokądś ze swym pocztem rzadko mógł liczyć na coś więcej niż nocleg na sianie w wielkiej izbie. Ale tutaj, w Sey Aye to była oberża prowadzona na armektańską modłę. Podsetniczka nie bardzo wiedziała co sądzić o tym wszystkim. Mało prawdopodobne, by Armektanką Ezena zdążyła w parę miesięcy zaprowadzić takie porządki. Musiał stać za tym wszystkim zmarły książę. Ciekawe. Myślała, że ten zapomniany dziwak i odludek żył tu, oddychając starymi dartańskimi legendami; odcięty od Szereru, bodaj czy wiedział w ogóle, że ktoś zbudował żaglowy okręt bez wiosł, trochę lepszy od dartańskiej galery...? Było akurat odwrotnie. Spostrzegawcza dowódczyni łuczników widziała coraz wyraźniej, że na tej niezwyklej

polanie zebrano wszystko co najlepsze w Szererze. Stary książę był kimś zupełnie wyjątkowym. Potrafił odrzucić uprzedzenia, wybierać to co najwartościowsze, nawet jeśli pochodziło z Armektu. Agatra zaczęła się poważnie zastanawiać, czy sławetne ciężkie chorągwie Yokesa, o których krążyło więcej plotek niż sprawdzonych wieści, to na pewno niekarne gromady obwieszonych bronią zubożałych rycerzy i byle jakich najemników. Świtała jej w głowie myśl, że książę Lewin, mając do pomocy takiego Yokesa, mógł zorganizować swoje poczty na wzór imperialnych legii. Jeśli tak... to w Rollaynie powinni zacząć się bać.

Uprzejmy oberżysta nie gościł pod swym dachem armektańskich gwardzistów (i wielce nad tym bolał), ale wiedział, gdzie trzeba ich szukać. W mieście, a zwłaszcza w oberżach, wieści rozchodziły się szybko. Agatra wyprawiła Wezę do miejsca, które jej opisano; były to jakieś puste zimowe kwatery flisaków.

— Sprawdzisz, czy wszystko jest jak trzeba. Zapytasz dziesiątniczkę, czy ma jakieś życzenia lub pytania. Potem wrócisz tutaj i będziesz czekała, aż przyjdę.

— A jeśli nie przyjdiesz, pani, to gdzie mamy cię szukać?

— Dowiesz się, gdzie jest cmentarz albo gdzie w Sey Aye trzymają zbrodniarzy.

Ponury żart nie przypadł łuczniczce do gustu.

— Jesteśmy w samym środku Wiecznego Cesarstwa — ucięła zniecierpliwiona Agatra. — Czego mam się obawiać? Że ktoś mnie napadnie w zaułku?

Weza odeszła.

— Oberżysto, mam kłopoty z siodłem — powiedziała podsetniczka, podnosząc trochę głos, bo rozochoceni piwem chłopcy zaczęli ryczeć w kącie piosenkę. — Gdzie znajdę dobrego siodlarza? Podano mi jakieś imię, ale nie zapamiętałam... Merf... Merfan?

— Merefina! Oo, dobry, dobry rzemieślnik, wasza godność!

— Jak pięknie. Gdzie go znajdę? — Podała drobną monetę.

Oberżysta poprowadził do drzwi i wyszedł za próg.

— O, wasza godność widzi... onże dach z kogutkiem na śpikulcu...

— Mhm, widzę.

— Trzeba ulicą, przy której stoi wieża z onym kogutkiem... bo to jest strażnica książęcych, wasza godność rozumie. To wasza godność pójdzie

ulicą do samego końca. I wtedy znowu w ulicę, po prawo.

— Skrócić w prawo?

— O, o, o. A to już ulica, przy której dość zapukać do drzwi jakiegoś domu. Każdy tam palcem pokaże dom siodlarza Merefina. Albo wasza godność sama znajdzie, bo szyld ogromniasty jak... a, jak mój! — Ucieszył się, wskazując do góry. — Wasza godność pojedzie tam teraz?

Potwierdziła.

— Hej tam, konia, jej godność już jedzie! — wrzasnął oberżysta w głąb gospody.

Pachołek na łeb na szyję kopnął się po wierzchowca. Wkrótce znalazła się w siodle i pojechała w stronę wskazanej wieży. Pokręciła jeszcze głową, słuchając milknących za plecami przyśpiewek. Była w kraju, gdzie chłopcy mieli dość zbędnych miedziaków i czasu, by popijać piwo w gospodzie... I ochotę, by śpiewać piosenki. Była w kraju nie z tego świata.

Bez trudu przemierzyła krótką drogę opisaną przez gospodarza; miasto było naprawdę niewielkie. O dom siodlarza pytać nie musiała, bo szyld rzeczywiście aż nadto rzucał się w oczy.

Minęła dom z szyldem i pojechała dalej. Pierwsze drzwi, drugie... Trzy kołatki były na czwartych. Rozejrzała się i zawróciła. Przywiązała konia przed domem siodlarza. Wkrótce rozmawiała z rzemieślnikiem o naderwanym popręgu. Zaświeciwszy srebrem, sprawiła, że popręg miał być gotowy przed zmierzchem. Czeladnik zajął się koniem. Zamieniła jeszcze kilka słów z gadułą Merefinem, zostawiła zaliczkę i poszła.

Drzwi z trzema kołatkami nie uciekły. Zastukała raz i drugi. Otworzono.

— Ułożyłam się z siodlarzem Merefinem — powiedziała. — Ale nie wiem, czy to człowiek godny zaufania?

Mężczyzna w drzwiach przełknął ślinę.

— Dlaczego... dlaczego wasza godność pyta mnie o to? Kim jesteś, pani?

Przekrzywiła głowę i czekała. Mężczyzna jeszcze raz przełknął ślinę.

— To sąsiad... Bardzo uczciwy — powiedział.

Wepchnęła go do środka.

— Co za głąb — powiedziała. — Trzeba było jeszcze dłużej trzymać mnie na ulicy. Gdzie możemy porozmawiać? Co to w ogóle za dom?

— Mój własny, wasza godność. Jestem kamienicznikiem.

— A najemcy?

— Korzystają tylko z drugich drzwi.

— „Czy Merefin to uczciwy rzemieślnik?”. A ten nic. No? Będziemy tu sterczeć?

Poprowadził. Rozejrzała się po dużej izbie i rzuciła na stół rękawice.

— Śmiesz mnie to wszystko — powiedziała. — Nacinanie własnego popręgu, liczenie kołatek i targanie rękawic w tym upale... Jak się nazywasz?

Mężczyzna wymienił imię — tak dartańskie, że aż prychnęła.

— Leyoe... no nie, śpiewać nie będę. Posłuchaj, Kołatko, chcę wiedzieć, co się tu dzieje. Jestem tu od rana, dopiero nadciąga wieczór, a ja już zobaczyłam więcej, niż Trybunał dowiedział się od ciebie przez ostatnie dwa lata. Tłumacz się. Dlaczego w Seneletcie nikt nic nie wie? Przecież to nie jest żaden majątek. To udzielne królestwo, bogatsze niż pół Szereru!

Mężczyzna trochę doszedł do siebie, nie był już tak przerażony, jak na progu.

— Wasza godność, przekazuję wiadomości, kiedy tylko mogę. Ale szacowaniem dochodów Sey Aye zajmują się imperialni urzędnicy, poborcy podatkowi. Jest ich tutaj aż trzech i Kirlan na pewno wie, ile warte są dobra księżnej.

— Nie chodzi mi tylko o wartość. Jest tu biblioteka?

— Jest. Przy rynku...

— Biblioteka! — wrzasnęła. — No, wiedziałam! Biblioteka w Dartanie! Gospoda armektańska, herold armektański, w lesie kusznicy wyraźnie podzieleni na dziesiątki... to jest klin piechoty, nie jakaś banda pocztowych! Czyli wojsko też urządzone na sposób armektański! Dlaczego nikt o tym nie wie?!

Mężczyzna zaczerpnął tchu.

— Kiedy... chyba tylko ty o tym nie wiesz, pani... Donosiłem o tym wszystkim już dawno. Pytano mnie, jaki jest stosunek księcia K.B.I.Lewina do Wiecznego Cesarstwa. Pisałem, że bardzo przychylny, że jego wysokość czerpie z armektańskich tradycji, podawałem za przykład właśnie bibliotekę... A o wojsku prawie nic nie wiadomo, jest kilka chorągwi jazdy, ale tutaj, na polanie, tylko jedna, dwie... Wszyscy

żołnierze mieszkają i ćwiczą w lesie, w strzeżonych obozach wojskowych. Bardzo pilnie strzeżonych.

— Ktoś policzył te chorągwie?

— Pięć... może sześć albo siedem...

— .. może osiem albo dziesięć, albo... ile? Nikt nie policzył chorągwi?

— Każda ma nazwę. Jest Szara i Czarna, i chyba Pierwszego Śniegu, właśnie tak, na pewno Pierwszego Śniegu... Ale niczym się nie różnią, nikt nie wie, czy do pałacowych koszar przychodzą w kółko te same trzy czy cztery chorągwie, czy może jest więcej. Tak, wasza godność, może być i dziesięć.

Agatra patrzyła z niedowierzaniem.

— Wszystkie prywatne poczty wpisywane są do rejestrów legii — powiedziała. — Książę Lewin też musiał zgłosić stan i uzbrojenie swoich pocztów. Zgłosił pięć chorągwi po stu ludzi. Nie potrafiłeś sprawdzić, Kołatko, czy rzeczywiście jest ich właśnie tylu?

— Nie, wasza godność. W jaki sposób? Ktoś wysłany specjalnie przez komendanta Legii Dartańskiej, dla dokonania kontroli, mógłby wejść do obozu wojskowego... ale jestem pewien, że i on nie dowiedziałby się, ilu naprawdę żołnierzy ma Sey Aye.

Patrzyła wyczekująco.

— Tu są lasy... Dzikie bory, wasza godność — wyjaśnił. — Nawet gdyby wysłannik rzeczywiście przybył, to zobaczyłby... taki obóz i tylu żołnierzy, ilu by mu pokazano. Gdzieś w Dartanie, gdzie wszyscy wszystko wiedzą, są jacyś sąsiedzi, można chyba sprawdzić takie rzeczy. Na pewno można. Ale tutaj? Nawet jazda... a już straż leśna? Nikt chyba, poza komendantem Yokesem, nie wie, ilu jest tych leśników. Nikt nigdy nie widział więcej, jak dwudziestu na raz.

— Ja widziałam trzydziestu. Mieszkają tu rodziny żołnierzy. A sami żołnierze nie chodzą po karczmach? Nigdy nie mają wolnego? Wśród paru setek ludzi zawsze znajdzie się ktoś, kto nie umie trzymać języka za zębami.

— Pewnie, że tak, wasza godność. Ale ktoś tu dobrze o tym wie. Celowo rozpuszczane są różne pogłoski, chyba nawet przez odpowiednio poinstruowanych żołnierzy. Sam słyszałem, że chorągwie księżnej liczą po trzystu konnych. A kto inny mi mówił, że to półsetki, jak w Armekcie.

— Nie udało się pozyskać nikogo z pałacu?

Mężczyzna zaczął się śmiać, nerwowo wyłamując palce.

— Wasza godność... nie wiesz, co to za kraj! Z pałacu? Tutaj wszyscy kochali jego wysokość jak ojca! A teraz tak samo kochają księżną Ezenę. Co tam pałac... Zaproponuj, pani, w jakiej wiosce, że dasz sztukę złota, żeby ktoś powiedział, w jakiej sukni jej wysokość była na przejeździe. Chłopisko zacuka się, a jak sobie wszystko poukłada we łbie, to wyleci z chałupy, skrzyknie swoich i pogonią cię cepami, wasza godność. A jeszcze zaraz ktoś pobiegnie skłonić się do kolan Perle Domu i pokaże brudnym paluchem, kto pytał o jej wysokość. Kiedyś złapali takiego, co za dużo pytał. Co się działo, wasza godność, na rynku! Cztery konie ciągnęły w cztery strony świata, a i tak najpierw urwały się ręce. Potem przez tydzień obwoływacz jeździł po wszystkich wioskach i ostrzegał przed takimi, co chcą za dużo wiedzieć.

— Doszło tu do takiego bezprawia?

— Bezprawia, wasza godność?

— Rozerwano człowieka końmi, jak słyszę.

— To prywatne dobra, wasza godność. I prywatne prawa. Imperialne są sumiennie przestrzegane. Każdy może zaciągać się do legii, obwieszczenia o poborze są zawsze odczytywane. Nikt nie rozdziela siłą chłopskich rodzin, a małżeńskie listy spisuje się nawet ciemnocie, czego nikt chyba w całym Dartanie nie przestrzega... Każdy ma prawo sprzedać się w niewolę. I każdy wolny człowiek może skarżyć się przed Trybunałem.

— Dlaczego ten się nie skarżył?

— Skarżył się. Skargę oddalono. Trybunał Imperialny nie przyzna się do szpiega w prywatnych dobrach, wasza godność. Trybunał tylko płaci. Wyszło, że poddany księcia szpiegował swego pana, mając jakiś niecny cel na widoku. I książę go osądził. Według wszystkich na tej polanie osądził bardzo łagodnie. Bo nie męczył przez cztery dni.

— To było za czasów księcia — powiedziała po długiej chwili. — A teraz?

— Jej wysokość? Nie od razu ją tu kochano. Nikt nie wiedział, czy będzie taka dobra jak książę, dopiero potem okazało się, że może nawet lepsza. Dała dzieciakom przywilej zbierania poziomek, malin... Ile tylko zjedzą, byle nie na handel. No, ale najpierw wszystkim wydawało się dziwne, że niewolnica... Nikt nie chciał takiej pani-nie-pani. Potem poszły

w świat różne bajdy, ale takie, że teraz wszyscy patrzą na jej wysokość jak na księżniczkę, co wróciła z wygnania. A już odkąd przyjechał jego godność Denett, żeby prosić jej wysokość o rękę... Przecież by nie prosił niewolnicy.

— Denett? Kto to? — przerwała.

Gospodarz opowiedział, co wiedział.

— Nic o tym nie słyszałam — powiedziała z głębokim namysłem. — No, ale niby dlaczego miałabym coś słyszeć, i od kogo... Przyjechał, mówisz, z małżeńską propozycją?

— Tak powiadali. Żołnierze z poczty jego godności niby nic nie wiedzą, ale wiesz, pani... Łażą po całym Sey Aye, a najbardziej po gospodach, wiadomo. Któryś coś kiedyś słyszał, jeszcze w Dartanie. Inny słyszał w drodze tutaj, przy obozowym ognisku. A jego godność Denett mieszka w pałacu, poluje, nawet coś zarządzi tu i tam... Wszystkim się podoba, że jej wysokość nie ogłosiła zaręczyn, tylko ciągle się zastanawia. Nie jest, widać, prędką do tego, wciąż pamięta starego księcia, chociaż była z nim bardzo krótko.

— Dziwne takie oświadczyzny... Żadnych posłańców, konkurów? A może byli posłańcy, kto to wie? — myślała na głos. — Ale... ktoś taki jak K.B.I.Denett chciałby się ożenić z niewolnicą? Której zaraz wszystko odbiorą?

Jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

— No... a może nie? — Zamyśliła się bardzo głęboko.

Dartańczyk siedział cicho. Nie przeszkadzał.

— Dobrze — powiedziała. — To wszystko teraz nieważne. Kogo Trybunał ma tutaj? Oprócz ciebie.

— Nikogo, wasza godność. Jest dwóch urzędników, gończy i śledczy. Śledczy ma prawo ferować wyroki z nadania Najwyższego Sędziego. Książę Lewin sam prosił o przysłanie do Sey Aye kogoś, kto rozpatrywałby uchybienia wobec prawa imperialnego. Bardzo często bywają tu kupcy, a i różni najemnicy szukający zajęcia... To nie są poddani Sey Aye i odkąd w gospodzie ktoś zatłukł biednego handlarzynę... Książę uznał, że Rollayna jest za daleko, by odsyłać tam każdego rzezimieszka.

— Ale tajni urzędnicy?...

— Tylko ja.

Pokiwała głową.

— Czyli nikt — oceniła spokojnie. — Wiesz tyle, ile usłyszysz w gospodzie.

— Niestety tak, wasza godność. Umiem zbierać różne drobne wieści i łączyć je w jedną całość, ale rzadko ośmielam się pytać, a już szpiegować czy śledzić... — Zamachał rękami, jakby chciał odpędzić straszną zmorę. — Może miesiąc. Po miesiącu byłoby po mnie.

Odetchnęła głęboko raz i drugi.

— No to posłuchaj mnie uważnie: już jest po tobie. Bierzesz masę złota, ale nie robisz nic. Nie wierzę nawet w jedno twoje słowo. Wiadomości, owszem, mogą być prawdziwe. Ale cała reszta, te opowieści o tym, jak niemożliwą rzeczą jest dowiedzenie się czegokolwiek... — Zakręciła palcami przed twarzą i dmuchnęła, jakby posyłając w powietrze kłębek pierza. — Koniec twoich kłopotów. Jutro wyjeżdżam. Zanim wyjadę, osobiście poderżnę ci gardło. Jest druga możliwość: pojutrze rozerwą cię końmi. Ale jest i trzecia: zostanę tu dłużej, a kiedy będę odjeżdżać, ty zabierzesz się ze mną, przebrany za mulnika. Bo tuniki gwardzisty nie nałożysz, na to nie licz.

Mężczyzna był blady jak trup.

— Wasza... wasza godność...

— Wyjaśnię. Gardło poderżnę bez żadnych warunków. Rozerwą cię końmi, jeśli złapią po dokonaniu zamachu na Ezenę. Wyjedziesz ze mną, jeśli nie dasz się złapać. Cała sprawa.

Dartańczyk gotów był zemdleć; ta straszna kobieta na pewno nie żartowała. Dysząc z przerażenia, wytrzeszczał nieprzytomne oczy.

— Wasza godność... Nie masz prawa wydać mi takiego rozkazu!

Sięgnęła do sakwy i rzuciła mu zwitek pergaminu.

— Mam prawo, bo nie jestem jakąś wywiadowczynią Trybunału. Jestem specjalną wysłanniczką Najwyższego Sędziego w Seneletcie, z uprawnieniami namiestniczki. Rozmawiasz z Niejawną Namiestniczką Najwyższego Sędziego Trybunału w Sey Aye. Dopóki tu jestem, mogę zarządzić cokolwiek. Wystarczy, że się ujawnię, a mogę osądzić i skazać samą księżnę, jeśli da mi do tego jakikolwiek powód. — Nie powiedziała, że Ezena parsknęłaby na to śmiechem i kopniakami przepędziła ją z Sey Aye, razem z klinem gwardzistów.

Mężczyzna dygoczącymi dłońmi rozwinął pismo i czytał. Pieczęcie

były aż trzy.

— Jej cesarska wysokość... — wykrztusił.

— Jej cesarska wysokość prosi tylko, by okazać mi życzliwość, dla ciebie ważniejsze są tamte dwie pieczęcie. Nie bój się, to tylko nominacja, nic z niej nie wynika poza moimi uprawnieniami — dobijała go bez cienia litości.

— Wasza dostojność... ale żądasz rzeczy niemożliwej! Wasza dostojność... zechciej mnie zrozumieć, bardzo proszę... Błagam, wasza dostojność! Nie mam dostępu do księżnej, w jaki sposób miałbym...

— To mnie nie obchodzi. Masz czas do jutra. Znajdź kogoś lub zrób to sam.

— Nie! — histerycznie wrzasnął gospodarz. — Zabij mnie, pani, dobrze! Co tylko chcesz! Możesz zabić!

Agatra poczuła, że ogarnia ją dzika furia. Księżna niewolnica wytarła nią noski swoich złotych trzewików... Teraz ten tu... marny szpicel, nic nie wart, mówił: nie! Miała chęć dobyć miecza, ale podniosła się tylko i zgrzytnąwszy zębami, trzasnęła durnia przez łeb porwaną ze stołu rękawicą. Poprawiła.

— Nie? — szepnęła. — A ja ci mówię, że tak! — ryknęła, aż zatrzęsły się ściany budynku. — Zrobisz, co powiedziałam, albo...

Zamilkła i szybko obejrzała się przez ramię... bo na chwilę zamarło w niej serce. Gotowa była przysiąc, że w kącie izby ktoś stoi... Ale nie. Przez okno zaglądał zmierzch i w izbie zrobiło się ciemno... to dlatego. Była sama z roztrzęsionym wywiadowcą.

Uświadomiła sobie, że poniosły ją nerwy. Rozejrzała się po izbie, podeszła do okna i wyjrzała, czy nikogo nie zwabiły wrzaski z wnętrza domu. Wróciła do nieszczęśnika.

— Zrobisz, co powiedziałam — rozkazała z naciskiem. — Ezena ma jutro umrzeć. Oddaj mi to. — Wyrwała z osłabłej dłoni pergamin. — Sakwę zostawiam na stole, jest w niej dosyć złota, żebyś mógł opłacić choćby i dziesięciu straceńców, gotowych nawet siłą wdrzeć się do pałacu. Tam prawie nie ma żołnierzy, dwóch wartuje przed wejściem, gwardia pałacowa podpira ściany tu i tam. Malowani wojacy z halabardami. Koszary są dobudowane do północnego skrzydła, nikt stamtąd nie zdąży przybiec.

— Przemocą... Do pałacu? — jęknął nieszczęsny Dartańczyk. — Tu

nie ma ludzi, którzy podjęliby się takiej... takiej szarzy! Za żadną ilość złota! To nie miasto w Dartanie czy Armekcie, wasza god... wasza dostojność! Skąd wezmę płatnych morderców? Jeszcze takich, z których może jeden będzie miał szansę wynieść głowę po wykonaniu zadania, a i to tylko na chwilę? Straceńców, dobrze powiedziałaś! Albo pomyleńców!

— Nic mnie to nie obchodzi. Więc wymyśl coś innego. Zostawię kogoś, kto będzie pilnował, żebyś mi nie uciekł. Zrobisz swoje, może przeżyjesz. Nie zrobisz, zarżnę jak psa. Masz czas do jutra, do wieczora. Pamiętaj.

Ukryła pergamin w zanadrzu, zabrała rękawice i sama poszła do wyjścia. Drzwi z trzema kołatkami huknęły. Głucho jak wieko trumny.

18.

Powiedzieć o Kesie, że jest chuda i stara, mógł tylko K.B.I.Denett, albo ktoś o równie wybrednym guście. Trzydziestoczteroletnia blondynka była bez dwóch zdań najurodziwszą Perłą Sey Aye — lecz, niestety, dotyczyło to tylko twarzy. Znakomita niegdyś figura została zniszczona przez ciążę i poród; próbując odzyskać dawną wagę, Kesa osiągnęła aż zbyt wiele: stała się wiotka i szczupła — i tak już, niestety, zostało. Niewolnica o władczej i dumnej urodzie, bardzo proporcjonalnie zbudowana, wciąż mogła uchodzić za niezwykłą piękność, ale już nie w gronie innych Pereł... Tym bardziej że miała ukryte wady urody, i to wady naprawdę poważne: ciąża wycisnęła okropne piętno na jej brzuchu, pośladkach i udach. Książę Lewin przejął kiedyś Kesę za długi, wraz z zaniedbaną stadniną koni i jakąś biedną wioską leżącą na końcu świata. Poprzedni właściciel, hulaka i utracjusz, nie dbał o nic — czego Kesa była bardzo smutnym dowodem. W szanującym się domu było zupełnie nie do pomyślenia, by taki klejnot chodził z wydętym brzuchem; liczne sposoby na spędzanie płodu pozwalały uniknąć najgorszego. Ale Kesa ciążę donosiła, dziecko natychmiast sprzedano do hodowli — właściciel zaś, zrujnowany tak czy owak, wkrótce niemal cały majątek musiał oddać licznym wierzycielom.

Wchodząc do sypialni Ezeny, Perła spostrzegła najpierw, że płoną wszystkie świece, i przystanęła zaskoczona. Zaraz potem zobaczyła na łożu księżną, okrytą prześcieradłem, śpiącą jak dziecko, z podciągniętymi

do piersi kolanami, przy łożu zaś Haynę. Pierwsza Perła, oddychając przez lekko uchylone usta, spała z głową i jednym ramieniem na pościeli.

Kesa zmarszczyła piękne brwi, na krótką chwilę tracąc panowanie nad twarzą: w grymasie wygiętych ust pojawiła się niechęć, odrobina zazdrości i dużo, dużo smutku. W Sey Aye było jej dobrze jak nigdy i nigdzie wcześniej — ale jednak, Perła wiedziała już, że wszystko co w życiu najlepsze przypadło w udziale innym.

Nie otrzymała rozkazu, by budzić jej wysokość o określonej porze. Miała wprawdzie kilka pytań... ale mogły poczekać, zresztą miała prawo zdecydować sama. Myślała przez krótką chwilę, po czym bezszelestnie okrążyła komnatę, gasząc świece. Raz jeszcze popatrzyła na łożo, najdłużej przyglądając się brązowym włosom księżnej, bo wcześniej widziała ją tylko przez chwilę. Z namysłem pokręciła głową i wyszła tak cicho, jak się pojawiła.

Przyjęty życzył sobie, by obudzić go późnym rankiem. Kesa zleciła to zadanie młodemu niewolnikowi, ale potem odwołała rozkaz. Ktoś taki, jak mędrzec-Przyjęty, zasługiwał na specjalne względy. Poszła sama.

— Wasza godność — powiedziała łagodnie po grombelardzku, rozsuwając kotary w oknie — świeci słońce, a zarazem pada przepiękny letni deszcz. Proszę spojrzeć, bo nie potrwa to długo.

Obudzony mężczyzna uniósł się na łokciu, odchrząknął i przetarł oczy.

— Jestem Perłą Domu, mam na imię Kesa. Przebacz mi, wasza godność, ale nie powiedziałeś, by budził cię mężczyzna. Przyszłam... z ciekawości.

Gotah nie był śpiochem, potrafił oprzytomnieć w kilka chwil.

— Najprzyjemniejsza pobudka, jaką miałem... ech, kiedykolwiek — powiedział. — A już w trakcie podróży tutaj... Nie uwierzysz, pani, co wyprawiają żołnierze, kiedy pora wstawać.

Perła w domu swego właściciela, lub występująca gdzieś w jego imieniu, mogła być tytułowana jak kobieta Czystej Krwi. Ale równie dobrze można było zwracać się: Perło. Gotah wybrał pierwszą możliwość i sprawił niewolnicy przyjemność.

— Odgadłaś, pani, że jestem Grombelardczykiem... Usiądź, proszę, i porozmawiaj ze mną, jeśli nie wzywają cię żadne obowiązki.

— Nie wzywają.

— Rzeczywiście jestem Grombelardczykiem. Ale nie wszyscy Przyjęci urodzili się w Grombelardzie — powiedział z uśmiechem.

— Myślałam, że wszyscy — odparła szczerze. — Wybacz mi, wasza godność, słabą znajomość języka. Bardzo wiele zapomniałam. Minęły lata, odkąd... od kiedy... — zająknęła się i zaśmiała. — No widzisz, panie. Sam widzisz.

— Chciałbym, żeby w Grombelardzie choć co dziesiąty mieszkaniec tego kraju mówił tak jak ty, pani — skwitował Gotah i była to szczerą prawdą. — Widywałem już Perły, ale nie uwierzysz, nigdy nie rozmawiałem z żadną z was. Wiem z grubsza, skąd pochodzą tak niezwykle klejnoty, ale więcej w tym chyba moich wyobrażeń niż wartościowej wiedzy. Nie sądziłem, że aż tak starannie uczą was języków. Jeśli, jak mówisz, rozmawiasz po grombelardzku po raz pierwszy od wielu lat...

Potwierdziła.

— Ale to zależy od hodowli, wasza godność — wyjaśniła. — Wszędzie chcieliby nauczyć wszystkiego, ale nigdzie tego nie potrafią, więc każda hodowla inaczej kształci i szkoli niewolnice. W niektórych hodowlach w Armeckie oferuje się raczej piękne przyboczne gwardzistki — nie zdołała ukryć nutki wyższości w głosie. — Otrzymują staranne wykształcenie, ale przede wszystkim potrafią zabijać niemal równie sprawnie, jak niewolnice przeznaczone wyłącznie do tego. Uzyskują certyfikaty Pereł, ale jednak kosztują sporo mniej niż Perły dartańskie.

— Ty nie jesteś, pani, kimś takim.

— Nie. W tym domu tylko Hayna.

— Ta śliczna dziewczyna o kasztanowych włosach?

— Ta śliczna dziewczyna, wasza godność, uzyskała swój certyfikat dwa lata wcześniej niż inne. Książę Lewin nie kupował byle czego.

— Właśnie widzę.

Chciał sprawić Perle przyjemność, a sprawił przykrość... Nie dała tego jednak poznać po sobie, doceniając intencje mężczyzny.

— Nie jestem więcej warta od Hayny, wasza godność. Języki, prawo imperialne i prawa lokalne, historia i polityka... Ale już na przykład o taktyce i strategii wszystko zapomniałam, a nigdy nie wiedziałam zbyt wiele. Hayna ma to w małym palcu, mogłaby zastąpić komendanta

Yokesa. Oczywiście, gdyby nie brak doświadczenia.

— Żołnierka.

— No nie, wasza godność, nie tylko. Finanse, matematyka... zresztą języki także. To jednak jest Perła, wasza godność — delikatnie przypomniała, o czym mowa. — Nie znalazła certyfikatu na gościńcu.

Rozmowa o Haynie nasunęła Gotahowi pytanie, które dawno pragnął zadać, lecz nie wiedział jak ani komu.

— Uderzyło mnie wczoraj, że księżna i Pierwsza Perła mają zupełnie takie same włosy. Długość, kolor... i układające się tak samo, aż do najdrobniejszych szczegółów. Obie wyglądają bardzo pięknie, ale czy to jakaś miejscowa tradycja? Czy Pierwsza Perła powinna upodobnić się do swojej pani? Nie śmiałem wczoraj zapytać, a zarazem boję się, że nie rozumiejąc czegoś, mogę palnąć głupstwo — wytłumaczył.

Nawet nie zmrużyła oczu.

— Trudno to nazwać tradycją.

Błyskotliwa niewolnica umiała przecież pojąć sens pytań. Gotah czekał, ale to była cała odpowiedź. Oboje zaczęli uśmiechać się oczami, mimo woli porozumiewawczo, choć każde próbowało przerwać tę znowu spojrzeń. Popatrzyła na sufit, on na ścianę. On już wiedział, że Perle nie wolno o czymś mówić. Ona rozumiała, że Przyjęty dowiedział się o tym. Bo też była to taka śmieszna tajemnica, której istnienie musiało wyjść na jaw przy pierwszym niewinnym pytaniu...

Rozbawieni, przez chwilę nic nie mówili. Potem Perła uśmiechnęła się znowu. Do gościa, nie do sufitu.

— Jakie są twoje poranne obyczaje, wasza godność? — zapytała. — Podać coś do picia? Do jedzenia? Śniadania jemy tu późno. Anessa... poprzednia Pierwsza Perła nie była rannym ptaszkiem. W domu wciąż panują jej porządki. Niektóre.

Przyjęty, jak każdy uczony, był człowiekiem niezmiernie dociekliwym. Najchętniej zapytałby jeszcze o Haynę, o Anesę, która już nie była Pierwszą Perłą Domu (chyba od niedawna?), a najbardziej o samą Kesę. Powstrzymał się jednak.

— Nie mam żadnych porannych obyczajów. Ale... deszcz już przestał padać... Czy jest tu gdzieś blisko miejsce, jezioro albo strumień, gdzie mógłbym się wykąpać? Od wielu dni marzy mi się bajoro! — powiedział z utęsknieniem. — Te upały!

Perła Domu roześmiała się serdecznie.

— Do jeziora jest dość daleko, ale przy młynie można się wypluskać, chociaż trudno popływać, bo woda sięga najwyżej do kolan. Z drugiej strony młyna, przed kołem, utonęło już kilku ludzi, więc odradzam kąpiel w tamtym miejscu. Odbędziesz, wasza godność, dość długi poranny spacer. Przyślę kogoś ze wszystkim, co potrzebne. Niewolnicę czy niewolnika? — zapytała.

— Niewolnika — poprosił Przyjęty, ponieważ z lekkim zawstydzeniem podciągając wyżej prześcieradło i bez mała rumieniąc się pod spojrzeniem pięknej kobiety, która, powstrzymując śmiech, coraz wyżej unosiła dumne brwi.

— Gdybym tylko mogła, wasza godność... zakochałabym się w tobie bez pamięci, od pierwszego wejrzenia — powiedziała, wstając. — Przebacz mi to zuchwalstwo. Nie wiesz... nie potrafisz wyobrazić sobie, panie, jak wiele ta rozmowa dla mnie znaczyła. Ostatni raz rozmawiałam tak z księciem...

Bojąc się, że powie o dwa słowa za dużo, szybko wyszła z komnaty, nim zaskoczony Przyjęty zdążył się odezwać.

*

Agatra niewiele spała tej nocy. Obudziła się o brzasku i wyszykowała z istic żołnierską sprawnością. W tym samym mniej więcej czasie, gdy Perła Domu szła budzić Przyjętego, podsetniczka wracała już z dość długiego rekonesansu. Była na rozstajach przy młynie, poszła kawałek w stronę przydrożnej gospody i ze szczytu niewielkiego garbu przypatrzyła się odległym zabudowaniom. Kiedyś, niezwykła bystrość jej oczu była wśród łuczników aż legendarna — i nic się tu nie zmieniło... Zawróciła. Jeszcze w nocy dowiedziała się w mieście trochę o tym i owym — najwięcej w oberży z wielkim szyldem.

Nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna i zdezorientowana.

Służyła Wiecznemu Cesarstwu. Wydawało jej się, że rozumie, na czym polega jego siła. Ale, od lat przebywając w Kirlanie, widziała wszystko wyolbrzymione, nieprawdziwe. W stolicy podejmowano decyzje, rozsyłano zalecenia i rozkazy, a cesarscy posłańcy rozwozili je na cztery strony świata. Agatra oswoiła się z myślą, że całe imperium można kontrolować z cesarskiego pałacu, pociągając za właściwe sznurki. Gdy wynikła sprawa Puszczy Bukowej — mała, śmieszna

sprawa nieposłusznej niewolnicy w jakimś dalekim majątku — wydawało jej się, że oto właśnie Kirlan pociąga za sznurek. I to pociąga aż nazbyt mocno: posyła specjalną wysłanniczkę wyposażoną w nadzwyczajne uprawnienia, na czele żołnierzy, których wojskowe znaczenie na tle całego cesarstwa było żadne, ale polityczna wymowa — druzgocząca. Łucznicy, Gwardia Armektańska. Symbol wojsk imperialnych, znak woli cesarza.

W trakcie długiej podróży dowiedziała się niejednego. Coś dziwnego działało się ze sznurkami: napięte w stolicy, trzymane tam pewną ręką, z każdą milą wiotczały, strzępiły się, rwały... W Armekcie wszystko jeszcze działało jako tako. Właściwie zupełnie dobrze. Ale już Potrójne Pogranicze po prostu Agatrę przeraziło. Tereza nie współpracowała z Wadelarem, sznurki ledwo ledwo napinały się tu i ówdzie, armektańskich gwardzistów traktowano jak uciążliwych gości... Gości! Armektańscy żołnierze byli gośćmi w podbitym przez siebie kraju! W końcu zbesztano ich i postawiono do kąta. Zrobiła to... Armektanka. A wreszcie, jeszcze parę mil dalej, gwardziści imperium stali się gośćmi wręcz nieproszonymi. I natychmiast dano im to odczuć.

Bunt, rebelia — dobrze. Agatra wiedziała, że takie rzeczy mogą się zdarzać. Ale na razie nie było żadnego buntu. Nie było buntu, a pomimo to w Dobrym Znaku, gdzie siedzieli cesarscy urzędnicy, poborcy ściągali podatki, a kupcy handlowali jak wszędzie, rzeczą niemożliwą było sprawdzić, jak liczne są poczty prywatne. Nie dało się sprawdzić czegokolwiek już od lat, a być może od zawsze. Nikt! Sam cesarz nic nie mógł poradzić! Specjalna wysłanniczka Kirlanu, nawet gdyby zdradziła swój stopień i wyjawiała, że jest wysoką urzędniczką Trybunału, nie uzyskałaby żadnych wiadomości; mogła być najwyżej okłamywana w żywe oczy. Mogła puszyć się zakresem swojej władzy przed marnym szpiclem, ale tylko przed nim. Rządząca w Sey Aye utytułowana niewolnica naprawdę gotowa była chichotać na widok dokumentu potwierdzonego pieczęcią cesarzowej i sędziów Trybunału z dwóch prowincji. Wcześniej tak samo mógł chichotać książę Lewin — nie chichotał tylko dlatego, że wolał stroić poważne miny, rozrywając końmi tajnego urzędnika cesarstwa. W majestacie prawa, pod oknami urzędników Trybunału Imperialnego i za ich bezradnym przyzwoleniem. Co jeszcze można było zrobić w Sey Aye? Bezkarne wyciąć klin

gwardzistów? Bo nie zgodzić się na ich pobyt można było, jak najbardziej i bez żadnych przykrych konsekwencji. Gdzie były sznurki łączące tę polanę z Kirlanem? Czy podobnie wyglądała cała reszta imperium? Agatra wściekła się po wojskowemu — i zawzięta z chłopskim uporem, tym samym uporem, który sierotę z biednej wioski doprowadził do komnat cesarzowej. Dopóki istniał choć cień szansy na zaprowadzenie porządku w Sey Aye, nie zamierzała rezygnować. Namiestnik Wadelar, gdyby mógł usłyszeć o wszystkim, co przedsięwzięła w Sey Aye, złapałby się za głowę, lecz zarazem miałby powód do satysfakcji, mogąc powtarzać sobie: wiedziałem! przewidywałem! Tajna wysłanniczka Trybunału, nie znająca się na ludziach, skłonna traktować każdego jak łuczniaka, który musi wypełnić rozkaz, popełniała na razie same głupstwa. Przez całe życie służąc w wojsku, a od wielu lat dowodząc doborowymi żołnierzami, w ogóle nie rozumiała, co znaczy słowo „nie”. Cieszyła się pełnym zaufaniem i poparciem Kirlanu, lecz cesarzowej, zwykle tak przenikliwej i rozważnej, brakło tym razem dystansu: jej faworytka mogła pewnie postraszyć krnąbrną niewolnicę i sprawdzić, jak mają się sprawy w Sey Aye, lecz przenigdy nie powinna otrzymać tak szerokich pełnomocnictw i uprawnień. Dziesięć podobnych do Agatry gwardzistek, rozesłanych po krainach Szereru, w pół roku rozwaliliby cały Trybunał.

Agatra wróciła do pałacu, zatrzymała jakiegoś służącego i zażądała rozmowy z Perłą Domu. Wkrótce Kesa stawiała się w jej komnacie.

— Wasza godność?

— Mam sprawę do jej wysokości. Kiedy będzie mogła mnie przyjąć?

— Chyba nieprędko. Jej wysokość śpi. Jaka to sprawa, wasza godność?

— Zbyt poważna dla niewolnicy.

— Na pewno nie, wasza godność. Proszę mnie nie lekceważyć. — Kesa uśmiechnęła się lekko. — Zastępuję zarówno moją panią, jak też Pierwszą Perłę Domu. Nie istnieją teraz żadne sprawy, których nie mogłabym załatwić. Nic mi o takich sprawach nie wiadomo.

Pewność siebie tej niewolnicy o rysach i spojrzeniu królowej poirytowała Agatrę.

— Doprawdy? Może więc podejmiesz decyzję, czy wolno mi tu zostać jeszcze przez trzy dni?

— Tylko do wieczora. Chyba że jej wysokość postanowi inaczej.

— Ale nie postanowi, jeśli się nie obudzi i nie porozmawia ze mną. To właśnie próbuję ci powiedzieć.

— Jeśli jej wysokość nie obudzi się do wieczora, podejmę decyzję w jej imieniu. Ciągle nie wiem, dlaczego miałabym ją budzić teraz? Proszę dostarczyć mi powód, wasza godność. — Perła Domu uśmiechnęła się znowu, uprzejmie, ale zdawkowo.

No, naprawdę: królowa wobec petentki... Agatra miała dość.

— Czy snu twojej pani nie śmie zakłócić żadna sprawa i żadna osoba?

— Ciągle nie widzę żadnej sprawy, wasza godność.

— A osoba? Widzisz osobę? — zapytała gwardzistka, z tak złowróżbną słodyczą, że każdy z jej żołnierzy natychmiast wzięłby nogi za pas.

Kesa nie była żołnierzem.

— Widzę gościa, który próbuje zaprowadzić swoje porządki w domu gospodarza.

Agatra była gotowa poderwać się z krzesła. Ale już wiedziała, że nie przebije się przez ten mur. Odetchnęła głęboko raz i drugi, po czym złożyła broń.

— Chciałam zapytać o innych gości Sey Aye. Usłyszałam wczoraj w mieście, że są tacy.

— Niestety, już nie, wasza godność.

— Co to znaczy?

— Jego godność K.B.I.Denett, bo o niego pytasz, pani, jak sądzę, nie jest już gościem księżnej. Został wczoraj zasztyletowany.

— Co zrobił?! — Agatra sądziła, że się przesłyszała.

— Jego godność Denett nie żyje. Padł ofiarą zamachu, wasza godność.

Podsetniczka powoli wstała z miejsca, czując, jak mocno uderza jej serce.

— Dlaczego nikt o tym nie wie?

— Jak to nikt? A kto powinien wiedzieć, wasza godność?

— No, chyba urzędnicy Trybunału.

— Zostali powiadomieni.

— Kiedy?! — krzyknęła Agatra.

— Natychmiast po zamachu. Już wczoraj. Może powinnaś pojechać do miasta, pani, i rozmówić się z nimi. Uzyskasz wszystkie potrzebne wiadomości, a przynajmniej te, które zechcą ci przekazać. To już nie do mnie należy.

Agatra czuła, że jeśli rozmowa potrwa jeszcze parę chwil, to dojdzie do rękoczynów. Perła Domu była jak szklana góra. Brakowało jakiegokolwiek punktu zaczepienia, można było się tylko ześlizgiwać. Coraz niżej i niżej.

— Wygląda jednak na to, że podsetniczka wojsk imperialnych ma prawo obudzić jej wysokość w takiej sprawie.

— W jakiej sprawie? W tej sprawie? Nie, pani. Jej książęca wysokość nie zajmuje się takimi sprawami.

— Nie zajmuje się zabójstwem pod jej dachem?

Perła westchnęła, po raz pierwszy dając do zrozumienia, że i ona jest zmęczona tą rozmową.

— Jest panią tego domu — rzekła sucho. — Wasza godność myślisz, że kim? Gończą Trybunału? Od tropienia zbrodniarzy są chyba cesarscy urzędnicy, od ścigania zaś Legia Dartañska, bo znajdujemy się w Dartanie, wasza godność. Nie, pani, teraz ja mówię... Księżna nie tropi zbrodniarzy ani ich nie ściga. W jej imieniu odpowiedziałam na wszystkie pytania, jakie dotąd zadali urzędnicy Trybunału i jeśli to nie wystarczy, gotowa jestem odpowiadać dalej. Księżna nie musi robić tego sama, bo kupiła sobie niewolnice, żeby ją wyręczały. Nie jest podsądną i nie musi przed nikim stawiać się osobiście. Teraz proszę mówić, wasza godność.

Agatra była gotowa raczej zemdleć z gniewu i upokorzenia. Perła oczekwała długą chwilę.

— A zatem, czy to wszystko, wasza godność? Mój czas nie należy do mnie, jest właśnie czasem mojej pani i nie mogę go beztrosko marnować. Proszę pytać dalej albo pozwolić mi odejść.

*

Yokes wstał niewiele później niż Agatra. I od samego rana miał pełne ręce roboty.

Obudził go żołnierz ze strażnicy miejskiej. W Sey Aye, oprócz regularnego wojska, straży leśnej i gwardii pałacowej, była jeszcze straż miejska; żołnierze tej samej formacji patrolowali także drogi i wioski.

Ściśle biorąc, nie byli to żołnierze w pełnym rozumieniu tego słowa, a tylko trzy tuziny pachołków z okutymi żelazem pałkami. Taki właśnie wojak, zdyszany i przejęty doniosłością powierzanej mu misji, stawił się w pałacowej „kwaterze” komendanta, doprowadzony przez służbę. Komendant kazał go wpuścić, nie robiąc żadnych ceregieli — w sprawach związanych z wypełnianiem swych obowiązków w ogóle nie znał się na żartach i nie dbał o wygody. Podniecony miejski pachołek, pierwszy raz z bliska oglądający naczelnego dowódcę, prawdziwego rycerza, dodatkowo przytłoczony rozmiarami i bogactwem domu księżnej, wyciągnął rękę, podając jakieś pismo.

— Co to?

Żołnierz opowiedział. Niedługo po północy do strażnicy miejskiej zaczął dobijać się jakiś człowiek. Wpuszczony do środka plątał się, próbując wytłumaczyć, że jest najemcą izby u jakiegoś kamienicznika. Tajemniczy kamienicznik nie mógł wyjść z domu, z jakichś przyczyn, a tym samym osobiście stawić się w strażnicy. Lecz przysyłał dwa pisma, z których jedno przeznaczone było dla dowódcy wartowni.

— I co w tym piśmie? — zapytał Yokes, wyłaząc ze swego barłogu i szukając odzienia, bo czuł, że posłaniec nie przybiegł bez powodu.

— Tylko to, wasza godność, żeby koniecznie i co szybciej zanieść drugie pismo do jego godności komendanta Yokesa, a jak się nie da, to dać komuś ważnemu w pałacu... Bo to ogromnie ważna sprawa, a tyczy się jej książęcej wysokości. Tak tam stało. Szóstkowy najpierw nie śmiał posyłać do domu jej wysokości w środku nocy, ale się namyślił i powiedział: idź, co będzie, to będzie, ale trudno.

Yokes, jeszcze bez butów, ale już odziany jako tako, usiadł na posłaniu, po raz drugi wziął do ręki odłożony na stronę list, rozwinął go i zaczął czytać. Obserwujący tę niezwykle trudną czynność strażnik nabrzmiewał z wolna na twarzy, starając się pomóc dowódcy. Komendant coraz mocniej marszczył brwi, wreszcie uniósł na chwilę spojrzenie i z namysłem popatrzył na żołnierza.

— Oddychaj, bo umrzesz — powiedział. — Idź i pytaj o kuchnię. Jeżeli nikogo nie spotkasz w korytarzach, to pytaj wartę przy drzwiach. Najedz się, ile dusza zapagnie, i zanieś coś swoim kolegom. Szóstkowemu powiedz, że dobrze zrobił, nie czekając do rana. Ucz się. Twój szóstkowy umie podejmować decyzje.

Żołnierz odszedł uszczęśliwiony.

Yokes czytał dalej. Potem znowu zaczął od początku.

— No, jeżeli to prawda... — rzekł wreszcie sam do siebie.

Znalazł buty, wzuł je i wyszedł, nie wypuszczając pisma z dłoni. Drugą ręką dopinał pas z mieczem — z tą samą obojętną rutynową sprawnością, jak czyniła to tysięczniczka Tereza. Sprawnością jeźdźca, który najpierw rozluźniał pas, by podczas marszu wygodnie zdrzemnąć się w siodle, a potem tak samo, wciąż trzymając wodze w dłoni, budził się i wolną ręką oporządzał ekwipunek.

Ohegened, dowódca gwardii pałacowej, miał swoją komnatkę tam, gdzie mieszkali wszyscy wyżsi dworzanie księżnej: w północnym skrzydle, blisko dobudowanego gmachu pałacowych koszar.

— Wstawaj — powiedział Yokes, bezceremonialnie potrząsając podwładnego za ramię. — Masz, ugryź, oprzytomniej. — Podał jabłko zabrane wcześniej z kosza niesionego przez napotkaną dziewczynę; od dwóch dni, na polecenie Hayny, codziennie rano niewolnica roznosiła owoce do wszystkich komnat domu, w których bywała lub mogła bywać jej wysokość.

— Co to? A tfu, dałbyś kurczaka... Ja co jestem, ona? Księżna, żebyś to żarł? Co ja jestem?... — mruzczał półprzytomny gwardzista, przecierając oczy.

— Jesteś obudzony o świcie. Żryj albo pij cokolwiek, bylebyś rozumiał, co mówię. — Wobec starego legionisty, który nogi schodził w grombelardzkich górach, Yokes zachowywał się zupełnie inaczej niż wobec księżnej, czy nawet Pereł Domu. — Dostałem list od szpicla Trybunału, który dzisiaj chce dokonać zamachu na Ezenę. Czy jest coś, co dotyczy cię bardziej, gwardzisto jej wysokości?

Gwardzista jej wysokości patrzył z otwartą gębą. Yokes usiadł w nogach łóżka i podał pismo. Ohegened czytał, trąc na zmianę to jedno, to drugie zapuchnięte oko. Skończył czytać. Oddał list. I myślał.

— Wszystkie kurwy Dartanu — powiedział na koniec — przybywajcie.

Yokes kiwnął głową, widząc, że Grombelardczyk rzeczywiście oprzytomniał.

— Ale jaka w tym może być zasadzka czy intryga? — zastanawiał się Ohegened, bez pytania wiedząc, jakie wątpliwości nurtują jego

przyjaciela i przełożonego. — Szpicel pisze, że jest szpiclem. To raz. Usprawiedliwia się, wyjaśnia, tłumaczy, jest szpiclem, ale nie mordercą... no, dalej wiadomo bez czytania, poczciwy to jest człowiek i robaka zdejmie ze ścieżki, żeby nie nadepnąć. Tego nie liczę. Pisze, że wysłanniczka Kirlanu każe mu zabić księżną albo poderżnie mu gardło. To dwa. Pisze, że musi spróbować, bo inaczej będzie po nim. Trzy. Prosi, żeby go złapać z wielkim hukiem, tak żeby Trybunał wiedział, że próbował wypełnić rozkaz. Cztery. I pięć: prosi, żeby go zesać na galery lub gdziekolwiek, jeśli można, to za siódmą górę, byle tylko dalej od Sey Aye, a jak nie, to zamknąć w piwnicy, spuścić klapę i postawić na niej dziesięciu więziennych dozorców. — Ohegened przesadzał, wydziwiając nad treścią listu, ale nie była to wielka przesada. — To pismo na miłą czuć moczem. Jaka w tym może być zasadzka? — powtórzył.

— Nie wiem — powiedział Yokes. — Dlaczego nie schronił się pod opiekę śledczego w mieście? Niemożliwe, żeby ci dwaj urzędnicy wiedzieli o tym zamachu, szpicel musiał odebrać rozkaz... nie wiem, z samej Seneletty.

— Schroniłbyś się pod opiekę tych dwóch schorowanych dziadków?

— Jeden jest w naszym wieku...

— Kpiny sobie robisz?

— Nie, nie schroniłbym się — przyznał Yokes. — Trochę ogłuszył mnie ten list.

— Mamy tu wszystko: porę dnia i miejsce, gdzie będzie czekał z kuszą... jeśli mu pozwolimy, bo sam się tam nie dostanie. Pisze, że zapłaci za okno, które potłucze bełtem... — wciąż siedzący w łóżku Ohegened zaczął się śmiać, patrząc w list — .. i prosi... uff... i prosi, żeby tam, czyli w pokoju księżnej, nikogo nie było, bo mógłby... uff.. bo mógłby przypadkiem kogoś zranić. Wiem, Yokesie, że sprawa jest poważna — wytłumaczył się — ale ja nie mogę tego z całą powagą... Zaraz mi przejdzie. Uff. Prosi dalej, żeby wypadli na niego żołnierze, pobili go okropnie, żeby zawlekli do pałacu, żeby wysłanniczka widziała... — urwał nagle i rzeczywiście spoważniał. — Zaraz... Wysłanniczka? — zapytał.

— No właśnie, też o tym myślę. Aż mi się wierzyć nie chce. Oficerka gwardii... sługuską Trybunału?

— Ale to pasuje — powiedział Ohegened. — Przyjechała wczoraj.

Wybrała się do miasta?

— Wybrała.

— Wiesz na pewno?

— Na pewno.

— Nie bądźmy naiwni — powiedział Oheged. — Myślałeś, że Trybunał nikogo nie ma w legiach?

— Jasne, że ma. Ale wiedzieć a spotkać... Podsetniczka gwardii, żołnierka, że aż serce się śmieje — z zalem powiedział Yokes. — Pogoniła w lesie moich kuszników... Ja już mam takich przyjaciół, Ohegen. A teraz było mi i smutno, i radośnie, że może będę miał takich wrogów. Nie alerskie ścierwo, tylko oficerów i żołnierzy, z którymi walczyć to honor i zaszczyt. Podałem jej rękę wczoraj, a ona nasyła skrytobójców? Musisz sam poradzić sobie z tym wszystkim, ja porozmawiam z Ezeną i chowam się w mysią dziurę — rzekł, wstając. — Anessa powiedziała mi kiedyś, że wcale nie potrafię udawać. I taka jest prawda, Oheged. Jeśli przypadkiem wpadnę na tę żmiję w korytarzu, to zupełnie nie wiem, co jej powiem lub zrobię.

Przez pościel poklepał gwardzistę po kolanie, wyszedł z komnatki, ale zaraz wrócił i jeszcze na chwilę uchylił drzwi.

— Zapomniałem... Księżna zmieniła kolor włosów. Nie dziw się.

— Co?

— Nie dziw się — powtórzył Yokes i pomaszerował głównym korytarzem. Zawrócił i poszedł korytarzem bocznym. Nie wiedział, że Agatra już nie śpi, ale liczył się i z taką możliwością. Nie skłamał ani słowem: naprawdę bał się, że ją spotka.

Latem, kiedy bardzo szybko robiło się widno, służba wstawiała dość wcześnie. Spieszący dokądś niewolnicy, tradycyjnie poubierani na biało, pozdrawiali komendanta Sey Aye. Nie odpowiadał nawet spojrzeniami, ponury jak noc burzowa. Ale przystanął na widok mężczyzny z naręczem kąpielowych prześcieradeł, bo zaświtał mu w głowie straszny domysł... Ezena wciąż lubiła płatać różne figle.

— Kto i gdzie idzie się kąpać o tej porze?

— Gość księżnej, wasza godność. Z rozkazu Perły mam mu towarzyszyć.

Mężczyzna miał szatę z czerwonymi dodatkami. Wolny służący. Niewielu takich było w domu. Książę wynagradzał w ten sposób —

biorąc do siebie na służbę — tylko nielicznych mieszkańców Sey Aye, którzy oddali mu jakieś usługi. Ten tutaj mógł być bratem pałacowego gwardzisty; Yokesowi coś się kojarzyło.

— Mężczyzna? Ten gość to mężczyzna? Idzie sam?

— Tak, wasza godność.

Brwi Yokesa powędrowały do góry. Wolny służący, posyłany zwykle do ważniejszych zadań... miał wycierać golasa przy strumieniu? Która z Pereł wymyśliła, żeby okazywać Przyjętemu aż tak wyjątkowe względy? Nawet księżną kąpały niewolnice.

— Dobrze, idź — powiedział.

Bez Anessy ten dom stawał na głowie... Yokes zapomniał o służącym i spochmurniał jeszcze bardziej. Bał się zapytać... wstydził się zapytać Ohegeneda, co z Anessą. Przyniósł list o zamachu, a miał pytać o swoją... nałożnicę? Nie umiał o to zapytać, chociaż bardzo chciał wiedzieć. Co właściwie zaszło? Dlaczego Ezena postanowiła ukarać Pierwszą Perłę? I to tak surowo! Co naprawdę zrobiła Anessa? Dziki atak źle wyszkolonej przybocznej był godny ubolewania (już pozbył się wszystkich strażniczek z tej hodowli), ale Perła Domu nie była bardziej winna niż on sam... Niewolnice do obrony podlegały komendantowi Sey Aye.

Skręcił raz i drugi, wreszcie minął gwardzistów pilnujących dostępu do prywatnych pokoi księżnej. Podążył wprost do sypialni i wszedł, nie posyłając nikogo z zapowiedzią. Wciąż miał prawo nachodzić jej wysokość o dowolnej porze, w każdym miejscu. Nie cofnęła tego przywileju.

Widok dwóch głęboko śpiących kobiet... dziewczyn... wygładził nieco twarz komendanta. Miał tyle lat co one razem wzięte. Przez chwilę słuchał obu głębokich oddechów.

Podszedł cicho i dotknął ramienia Hayny — zadowolony, że nie musi potrząsać za ramię samej księżnej. Wolał, żeby obudziła ją Perła.

Lecz Perła, z przedramieniem na łożu, a głową na przedramieniu, spała tak twardo, że aż się uśmiechnął. Potrząsnął mocniej, a potem jeszcze raz; Ohegened po takim szarpaniu spadłby z łóżka...

Hayna też spadła. Przedramię i głowa zsunęły się wzdłuż krawędzi... Pierwsza Perła bezwładnie legła na podłodze, oddychając równo i miarowo.

Yokesowi zjeżyły się włosy. Spojrzał na Ezenę, znów na Haynę i

wyciągnął rękę, dotykając księżnej.

— Wasza wysokość?

Potrząsnął.

— Wasza wysokość... Wasza wysokość!

Uśmiechała się lekko przez sen.

Yokes wypadł z komnaty, omal nie wyrywając dwuskrzydłowych drzwi.

19.

— Nie ma takich trucizn — powiedziała Kesa.

Yokes krążył wokół łoża księżnej, jakby pilnował śpiących na nim kobiet. Przed chwilą podniósł Haynę z podłogi i ułożył w nogach pośłania.

— A jak to wyjaśnisz? — zapytał. — Dostały coś na sen... dużo więcej niż trzeba.

— Od kogo mogły to dostać? A poza tym nawet najsilniejsze zioła nasenne nie sprawią takiego skutku. Każda z nich musiałaby wypić dzban naparu.

— Słyszałem... że chowano czasem ludzi. Grzebano żywcem, bo wyglądali jak umarli...

— Uspokój się. One przecież tak nie wyglądają.

— Nie można spać tak mocno!

— Widzisz, że można, komendancie.

— Jak to wyjaśnisz? — Yokes już zapomniał, że przed chwilą pytał o to samo.

Nie panował nad sobą, a tym bardziej nad sytuacją. To nie była robota dla żołnierza. Kesa rozumiała, co czuje komendant.

— Najlepiej idź stąd, wasza godność — powiedziała. — Do niczego nie jesteś mi potrzebny.

— Iść? A dokąd, Keso? I co mam robić? Powiedz.

Poruszenie na łóżku przykuło ich uwagę... ale księżna zmieniła tylko pozycję. Spała dalej, z odrzuconym za głowę ramieniem.

— Nie wiesz, co masz robić? Myślałam, że szykuje się zamach. — Spokojnym krokiem podeszła do okna i popatrzyła na ogród. — Co cię tak przerażyło, komendancie? Wiesz chyba więcej ode mnie na temat

tego, co się dzieje w tym domu. Przecież to ja powinnam się bać i gubić w domysłach.

Yokes potrzebował paru chwil, żeby pojąć, co Perła ma na myśli.

— A ty co o tym wiesz? O tym, co się dzieje w tym domu?

— Nic nie wiem, komendancie. Nasz księżę poślubił niewolnicę, ty i Anessa z dnia na dzień zaczęliście jej wiernie służyć... Wczoraj księżna w jednej chwili zmieniła kolor, a nawet gęstość włosów, czego nie potrafi nikt na świecie, a teraz śpi, również jak nikt inny na świecie. Towarzyszy jej w tym śnie przyboczna Perła, kupiona chyba specjalnie dla niej. A do Sey Aye przyjechał mędrzec-Przyjęty. Czy przyjechał polować, wasza godność? — Perła pochyliła się bardziej ku szybie, pragnąc chyba dojrzeć kraniec żywopłotu. — Tak jak tłumy mędrców Szerni, które były tu przed nim?

Odwróciła się i wyczekująco patrzyła na komendanta.

— Ja... co ty w ogóle wygadujesz, Keso?

— O, intrygant... Idź wreszcie i zajmij się swoimi sprawami, wasza godność — ponagliła, chyba troszkę zniecierpliwiona. — Co do tego zamachu, zostawiam ci wolną rękę; wiesz najlepiej, co trzeba przedsięwziąć, a ja się na tym nie znam. Gdy już złapiesz tego nieszczęśnika, przyprowadź go do mnie, komendancie, wtedy pomyślimy, co z nim zrobić. A Przyjętego już powiadomiłam, on bez trudu wyjaśni, co to wszystko znaczy. — Popatrzyła na łożo i lekko wzruszyła ramionami. — Mam nadzieję, że tyle samo, co zmiana koloru włosów.

Yokes trochę doszedł do siebie. Spokój niewolnicy wywarł zbawienny skutek.

— Nic ci nie powiem, Keso, bo nie mogę.

— Tak myślałam. Wasza godność, idziesz czy nie idziesz? Bo chcę ją w coś ubrać, zanim pojawi się Przyjęty. Jest zupełnie naga pod tym prześcieradłem, a trudno powiedzieć, że śpi snem kamiennym.

Pokręciła głową, bo Ezena właśnie poruszyła się znowu, przetaczając na drugi bok. Komendant mimo woli zerknął na łożo, gdzie spod prześcieradła wyzierały plecy i gładkie ramię księżnej, z drugiej zaś strony nogi — jedna zgięta w kolanie, kusząco podciągnięta. Pod spojrzeniem Perły zawstydził się nieco; podglądanie księżnej nie licowało z godnością komendanta pocztów Sey Aye.

— No, już idę, nie krzycz...

Nie krzyczała. Poszedł.

Przyjęty pojawił się niedługo potem. Gdyby Yokes zamarudził jeszcze parę chwil, Kesa nie zdążyłaby ubrać Ezeny. Wiotka Perła nie była siłaczką, natomiast jej wysokość, co tu dużo mówić, rozporządzała naprawdę zdrowym okazem kobiecego ciała... Namęczywszy się solidnie, Perła dopięła swego. Zarumieniona i trochę zdyszana, poprawiła włosy przed lustrem. Zdążyła w samą porę, by wyjść na spotkanie zapowiedzianego przez Sevę Gotaha.

— Proszę dalej, wasza godność — powiedziała. — Jestem wdzięczna, że wyrzekłeś się kąpieli.

— Żaden mężczyzna nie usłyszał jeszcze tego od kobiety czekającej w drzwiach sypialni — skonstatował Gotah.

Niewolnica zakryła usta palcami smukłej dłoni, hamując wesołość. Śmiała się tylko oczami.

— Nie potrafię rozmawiać z tobą, wasza godność — powiedziała po chwili. — Stale mówię nie to, co powinnam. I ciągle chce mi się śmiać.

— Lubię, kiedy się śmiejesz, pani.

— Ale teraz nie mogę, nawet mi nie wypada. Księżna zachorowała, bo nie wiem, jak określić to inaczej... — W kilku słowach przedstawiła sytuację.

Gotah słuchał uważnie. Podeszedł do łoża i patrzył na śpiące kobiety.

— Pytałeś o włosy księżnej, wasza godność — dodała na koniec Perła. — Teraz chyba muszę to powiedzieć... Miała długie, granatowoczarne. Jeszcze wczoraj.

— O, naprawdę? — zdziwił się Gotah. — Jak do tego doszło?

— Właściwie nie wiem.

Popatrzył pytająco.

— Naprawdę nie wiem, wasza godność. Jestem tu prawie nikim. Tego ranka wszędzie mnie pełno, ale tylko dlatego, że w domu są goście, a księżna i Pierwsza Perła śpią. Na co dzień pomagam księżnej rozbierać się do snu, i to jest najważniejszy z moich obowiązków. A może raczej... największy przywilej.

Odcień starannie skrywanej goryczy umknąłby prawie każdemu. Ale Gotah potrafił słuchać. Skinął głową i znów spojrzał na śpiące kobiety.

— Według moich wyobrażeń o tym, co się dzieje, jej wysokości

mogą przytrafiać się różne niezwykle rzeczy. Czy dużo wiesz o Pasmach Szerni, pani?

— Tylko tyle co wszyscy.

— No, akurat — mruknął. — Znam cię, pani, naprawdę krótko, ale nie dostrzegłem ani jednej cechy, która byłaby na miarę przeciętności.

Poróżowiała na policzkach.

— Czy potrafisz je obudzić, wasza godność?

— Nie bardzo mogę, pani. Nawet gdybym chciał.

— Nie możesz i nie chcesz, wasza godność?

— Nie mogę dlatego, pani, że nie wiem, co się dzieje, i mógłbym narobić wiele złego. A nie chcę, bo byłoby po mnie.

— Nie rozumiem?

— Ale zaraz zrozumiesz, i to łatwiej niż ktokolwiek inny. Jesteś Perłą, pani, i możesz w tym domu zastępować księżną, czy się mylę? Ale nie możesz zmieniać jej wyraźnych rozkazów, bo przestaniesz być Perłą i koniec. Otóż, pani, ja też jestem Perłą, chociaż może na to nie wyglądam. Symbolicznie jestem samą Szernią, ale nie mogę wtrącać się do tego, co dzieje się za jej sprawą, bo przestanę być jej symbolem. Jako człowiek mogę zrobić cokolwiek, jako Przyjęty — nic, bo z Gotaha-Przyjętego przedzierzgnę się w Gotaha-Przepędzonego, albo nawet Gotaha-Kopniętego. Mogę najwyżej rozumieć i tłumaczyć. Ale teraz nie rozumiem, więc nie wytłumaczę.

Przyglądała mu się uważnie.

— Rzeczywiście łatwo zrozumiałam — napomniała go tak delikatnie, jak to tylko było możliwe.

Zakłopotał się.

— Przebacz mi, pani... Poruszony czymś, zawsze mówię zbyt dużo i czasem zapominam, do kogo. Przerwij mi czasem... Keso.

Leciutko drgnęły jej nozdrza. Znów gotowa była się uśmiechać.

— Rozumiem, że nie wiemy, wasza godność, jak długo to może potrwać? — zapytała, wskazując łoże.

— Niczego nie wiemy, pani. Przyjechałem tu, żeby zobaczyć Pęknięcie Szerni, to taki dotyk Pasm przenikających czasem do świata. — Wyciągniętym palcem słabo puknął oparcie krzesła stojącego przed zwierciadłem. — A wiesz, pani, jaki dotyk tutaj mamy? — Zacisnął pięść i zastanawiał się przez chwilę.

— Szkoda ręki — powiedziała. — Już wiem.

— W tym pokoju jest więcej Szerni, niż leży na ziemi w Romogokoor, tam gdzie mieszkam. To już nawet nie jest cień Pasm, to są chyba same Pasma... Gotów jestem uwierzyć w cokolwiek. W całej historii świata tylko dwa razy wydarzyło się coś podobnego. Rongolo Rongoloa Krafa stworzony został z odprysków wszystkich Pasm, to żywa i myśląca istota wyłoniona z martwej i bezmyślnej potęgi.

— Krafa powołał do istnienia rozum w Szererze — powiedziała Perła.

— Tak właśnie. Potem raz jeszcze wydarzyło się coś podobnego, ale wydarzyło chyba wbrew regułom rządzącym Szernią. Coś... źle zadziało i pojawiły się trzy kobiety, których być w Szererze nie powinno. Jedna z nich, podobno, do dzisiaj śpi gdzieś w tej puszczy, razem ze swoim wojskiem. — Gotah wskazał podbródkiem okno.

— To chyba legenda, wasza godność?

— Oczywiście, pani, że legenda. Ten odwieczny sen to czysta bajka, zaś cała historia to przede wszystkim legenda. Problem w tym, że do Księgi Całości wpisano dość wierne matematyczne modele Rongoloa Krafa, natomiast wobec tej „legendy” matematycy Szerni są bezradni. Bo istnieją w Pasmach ubytki i dziury, których nie da się wytłumaczyć zakończoną dawno wojną Szerni z Alerem ani żadnym innym wydarzeniem. Pasują tylko do dartańskiej legendy o Trzech Siostrach.

*

Cmentarz książąt K.B.I. położony był na łagodnym wzniesieniu, już poza skrajem polany. Otoczone białym murem grobowce tworzyły drugie miasto Sey Aye. Wysypana żwirem aleja wiodła najpierw do bramy, po czym rozpywała się — w lesie... Bo cmentarne miasto porastał prawdziwy las. Władcy Puszczy Bukowej chcieli odpoczywać w jedności z knieją, która dała im potęgę i wielkość. Nigdy nie wycięto w tym miejscu ani jednego drzewa, a nawet nie usunięto martwych, powalonych. Stuletnie, bywało, a nawet starsze pnie rozsadzały kamienie nagrobne, przebijały sklepienia krypt. Wykuwano nowe napisy, na resztkach ścian mocowano nowe tablice, starannie zbierano i przekładano do kamiennych urn szczątki ludzkie, wypchnięte przez korzenie z sarkofagów, ale nigdy nie walciono tu z puszczą.

Ezena tylko raz była na cmentarzu — wtedy gdy chowano księcia Lewina. Wiele razy myślała o samotnej wyprawie do grobu dobrego pana, który oddał jej całą swoją wielkość, nie żądając w zamian niczego. Ale czuła, że stawiałaby się właśnie z niczym. A chciała przyjść i powiedzieć nie tylko: „Dziękuję, panie”. Najbardziej chciała powiedzieć: „Ja już wiem”.

Nigdy nie myślała o nim jak o mężu. A powinna, już choćby ze względu na dartańskie sądy. Powinna tam mówić nie „mój pan”, lecz „mój małżonek książę K.B.I.”.

Życzyłyby sobie tego.

Stojący w pobliżu dom cmentarnego dozorcę świecił pustką. Drzwi były uchylone. Nikt nie wyszedł sprawdzić, kim są przybyłe.

— Zostań, Hayno — powiedziała przed żelazną bramą. — Muszę iść tam sama.

— Chcę wszędzie iść z waszą wysokością.

— Dobrze. Ale nie tam.

Grobowce, wiele grobowców... Niektóre były olbrzymie, inne mniejsze. Doszczętnie zrujnowane przez drzewa budowle sąsiadowały z innymi, nienaruszonymi. Minęła grobowiec, z którego pozostały tylko dwa fragmenty murów i niewielki kawałek sklepienia. Ciężki sarkofag przesunięto w róg, pod sklepienie. Wrósł w nawianą ziemię; pokrywa była ledwie widoczna spod czapy suchych liści.

Tak tu miało być.

Brakło miejsca, by przyczepić nową płytę w miejsce starej, pękniętej. Oparto ją o sarkofag. Przeczytała inskrypcję i poszła dalej.

Ostrołukowe wejście wiodło do innego grobowca. Mroczne wewnątrz wabiło ciszą i spokojem. Lecz nie grozą... Na tym odludziu, pośród grobów, groza nie chciała zamieszkać.

I znów sarkofagi w otwartej z przodu krypcie. Zburzona ściana tworzyła kamienny wał. Prapradziad księcia Lewina... jego małżonka... i dziecko. Malutkie kamienne pudełko kryjące drobniejsze od kamyków kości noworodka. Sarkofagi zetknięto bokami, stały razem.

Na szerokiej kamiennej tablicy dojrzała coś, czego na innych tablicach nie było. Na samym dole, pośrodku, wykuto jedno słowo. Pochyliła się, zdrapała trochę mchu i przeczytała:

VANADEY

Cofnęła się powoli.

Vanadey. Rycerz królowej.

Z bijącym mocno sercem cofała się aż do drzewa, którego dotknęła plecami. Dalej, w głębi cmentarza, majaczyły najstarsze grobowce. Poszła tam, ale szła coraz wolniej i wolniej... Zawróciła i pobiegła do grobu jego wysokości księcia K.B.I.Lewina.

Pod wykutym w kamieniu epitafium wyryto mniejszymi literami słowo, którego podczas pogrzebu nawet nie zauważyła. Najważniejsze słowo.

vanadey

Ze ściśniętym gardłem znów podążyła w głąb cmentarza, szukała wszędzie, szybko, gorączkowo, to znów metodycznie, powoli. Jeszcze raz pobiegła do najstarszych grobów — i tam znalazła najpierw. A potem w jeszcze jednym miejscu, na ścianie niewielkiego, prawie nienaruszonego grobowca. I to wszystko. Więcej napisów nie było.

Pięciu rycerzy królowej. Dwaj pierwsi służyli Rollaynie.

Na wtopionym w knięję cmentarzu spoczywał ród wojowników, którzy przez wieki żyli i umierali w gotowości do służby u boku swej królowej. Spał snem wiecznym władca Sey Aye, który z dumą kazał wykuć na swym grobie, że był rycerzem dziewczyny tylko z rysów twarzy podobnej do Rollayny. Spoczywał drugi — rycerz oszalałej nieszczęsnicy. Był i trzeci: ostatni z prostej linii rodu... Vanadey. Rycerz niewolnicy, o której nic jeszcze nie wiedział.

Wróciła do tego grobu. Bardzo długo stała, aż napis stał się nieczytelny, rozmazany przez wzbierające w oczach łzy. Ale miała już nigdy nie płakać i wiedziała, że dotrzyma słowa. Odrzuciła głowę do tyłu, oddychając przez otwarte usta, spoglądając na korony drzew, aż łzy wyschły. Potem pokłoniła się przed kamienną tablicą i przez długą chwilę stała pochylona.

— Już wiem. I przysięgam, że oddam ci Dartan, rycerzu. Oddam go wam wszystkim. Nie wiem jeszcze, kim jestem, ale wiem już, kim być muszę i chcę.

Dotknęła napisu na dole tablicy, muśnięciem palca strącając podwójną sosnową igłę, która zaczepiła się w krawędziach liter. Przez chwilę zasłaniała dłonią część napisu, tak że dało się przeczytać tylko: *vana...*

— Odpoczywaj, panie. Ja już wiem.

Poszła do bramy i skinęła na najdroższą przyboczną niewolnicę Szereru, Czarną Perłę kupioną tylko po to, by wszędzie i zawsze strzegła swojej pani.

Przyszłej królowej Dartanu.

*

Księżna znowu zaczęła się wiercić. Spała teraz na brzuchu. Wyprostowała nogę, opierając palce stopy na policzku Hayny. Niewolnica poruszyła głową, a po chwili otworzyła mętne oczy i zamknęła je znowu.

Mędrzec-Przyjęty i Kesa niegłęboko rozmawiali przy oknie. Hayna z wielką przyjemnością przeciągnęła się u stóp księżnej. Przyjęty urwał w pół słowa i zmarszczył brwi, jakby nasłuchiwał. Odwrócił się, ale Kesa wcześniej spojrzała na łożo.

— To nie potrwa kilkaset lat, wasza godność...

Hayna oglądała się na nich, trochę nieprzytomnie.

— Już pół dnia przekonuję cię, pani, że na pewno nie. A oto i dowód... Widzisz więc, że nie trzeba będzie wynosić jej wysokości z sypialni.

Hayna, rozbudzona już zupełnie, zdziwiona i przestraszona, najpierw usiadła pospiesznie, a potem wyskoczyła z łóżka, w którym wylegiwała się ze swoją panią. Ogarnęła spojrzeniem wymiętą suknię i podniosła leżący przy łożu zerwany srebrny łańcuszek. Odruchowo próbowała zapiąć go na sukni. Rozejrzała się dokoła.

— Zaspałam — powiedziała, próbując zrozumieć, co Kesa i Przyjęty robią w sypialni Ezeny.

— Zdaje się, że ja też — wymruczała w poduszkę księżna, nie otwierając oczu. — Miałam bardzo niezwykły sen.

20.

Ryczącego wniebogłosy, srodze poturbowanego zamachowca, dwaj pałacowi gwardziści wlekli w stronę domu. Ogród pełen był halabardników księżnej, przetrząsających każdy żywopłot i każdą kępę

zarośli. Znaleziono tylko kuszę, którą porzucił umykający strzelec, jednak poszukiwań nie przerwano. Podejrzewano, że nędznik miał współników.

Agatrę zwabił do okna brzęk rozbitej szyby — dość odległy, ale jednak nader wyraźny w zwykłej ciszy domu księżnej Sey Aye. Próbowwała dojrzeć, co dzieje się w parku, lecz ozdobne zarośla zasłaniały widok; zresztą z południowego skrzydła, w którym mieściły się komnaty gościnne, było dosyć daleko do środkowej części budowli. Podsetniczka zobaczyła tylko jakichś ludzi, najpierw dwóch, pędzących żwirową alejką. Potem pojawiło się ich więcej. Rozpoznała wreszcie barwy straży pałacowej Sey Aye. W ogrodzie trwał chaotyczny pościg. Tknięta niedobrym przeczuciem, gwardzistka przypasała miecz, wyszła na korytarz i huknęła pięścią w drzwi sąsiedniej komnaty.

— Kerita, Weza, do mnie!

Po chwili szybko szły korytarzem. Skręciły w stronę wyjścia do parku, i niemal zderzyły się z biegnącym dokądś oficerem. Dowódca halabardników, w asyście kilku żołnierzy, zatrzymał się i wydał okrzyk na widok mundurowych tunik gwardii.

— Właśnie chciałem posłać po ciebie, wasza godność! Przyda się każdy żołnierz. Czy twoje łuczniczki mogą wzmocnić wartę przed drzwiami? Komendant Yokes zaraz przyśle więcej ludzi!

Agatra bez namysłu pokazała gwardzistkom, że mają pobiec do drzwi wejściowych. Oficer straży pałacowej ruszył dalej, nawet nie dziękując. Poprzedzający go dwaj halabardnicy bezceremonialnie odpychali przestraszonych niewolników, którzy wylegli zewsząd. Podsetniczka nie miała pojęcia, że w domu jest aż tak liczna służba. Prawie biegnąc, dotrzymała kroku gwardziście.

— Czy zdarzyło się coś złego?

— Zamach! — krótko powiedział oficer. — Strzelano do jej wysokości!

Przeczucia Agatry znalazły potwierdzenie.

— Z jakim skutkiem? — zapytała nerwowo.

— Nic nie wiem! — wrzasnął gwardzista, wyraźnie nie panując nad sobą. — Właśnie idę do księżnej, strzelano przez okno jej sypialni! Posłałem tam kilku żołnierzy, a sam biegałem po parku... Nic nie wiem, nie wiem — powtarzał gorączkowo.

— A zamachowiec?

— Złapani. Niestety, tylko jeden, a na pewno miał pomocników.
Podsetniczka wzięła kilka głębokich oddechów.

Nie pytając o pozwolenie, towarzyszyła komendantowi do prywatnych pokoi księżnej. Było tam pełno ludzi, którzy biegli dokądś, wracali. Wszystkie drzwi pootwierano na oścież.

W sypialni, wokół pustego łóża, kręcili się dwaj żołnierze; dwaj następni czuwali przy rozbitym oknie.

— Co z jej wysokością?

— Nie ma jej tutaj — nieprzytomnie odparł halabardnik.

— Żyje czy nie?! — wrzasnął rozwścieczony komendant gwardzistów. — Widzę, że jej nie ma!

Agatra pomyślała, że żołnierz na tak odpowiedzialnym stanowisku powinien jednak lepiej panować nad sobą. Ale dla tego tutaj księżna była niczym cesarzowa dla niej... Podsetniczka zatrzęsała się na samą myśl. Krzyczałyby pewnie tak samo.

— Żyje, wasza godność... Wyprowadzona, bezpieczna.

Oficer skinął na swoich dwóch żołnierzach i zawrócił na pięcie. Do Agatry dotarła oczywista prawda: zamach spełził na niczym. Prawdę mówiąc... była na to przygotowana. Ale dureń dał się pochwycić. Nie zabili go.

Kto? Kto to mógł być? Kogo wynalazł kamienicznik Kołatka?

— Wasza godność... Komendancie!

Młoda niewolnica w krótkiej białej sukni na pewno służyła przy kimś, przy osobie; spostrzegawcza Agatra poznała już trochę reguły rządzące Dartanem, a zwłaszcza domem księżnej Sey Aye; służba do prac domowych nosiła długie szary. Dziewczyna zbliżyła się szybko.

— Seva! Gdzie księżna? — niecierpliwie zapytał oficer.

— Właśnie mnie posłała... Poprowadzę.

Ruszyli przezienne pokoje jej wysokości. Przy trzecich drzwiach czuwała Pierwsza Perła Domu z wojskowym pasem zapiętym wprost na delikatnej domowej sukni. Płazem trzymanego w ręku miecza lekko uderzała w otwartą lewą dłoń, uważnie oglądając kręcących się wszędzie żołnierzy, niewolników i dworzaków. Wyglądało to dość niezwykle... lecz Agatra wiedziała swoje. W Kirlanie też trzymano Perły. Nawet na dworze cesarza.

Oficer i dwaj gwardziści zniknęli za drzwiami; Agatra przejść nie

zdążyła.

— Wasza godność — powiedziała niewolnica, bezceremonialnie zastępując drogę.

— Jestem podsetniczką gwardii imperialnej — niecierpliwie powiedziała Agatra. — Wiem, że to sprawa legionistów dartańskich, ale trzeba ich tu najpierw sprowadzić. Nie jestem na urlopie i mam obowiązek działać, gdy dochodzi do bezprawia. Gdziekolwiek w Wiecznym Cesarstwie, czyli wszędzie. Z drogi.

Perła ustąpiła. Agatra wkroczyła do komnaty.

W kącie pokoju, z suknią w rękach, cierpliwie czekała młoda niewolnica, ponadto pod ścianami ustawili się czterej gwardziści. Ezena spacerowała tam i z powrotem, spokojnie gryząc jabłko i słuchając przejętego komendanta straży. Miała na sobie taką samą szatę jak Seva — widocznie, gdy zerwała się ze snu, inna niewolnica rozebrała się najszybciej jak mogła i podała pani własną sukienkę, bardzo łatwą do nałożenia. Ale księżna nie spieszyła się z przebraniem. Najwyraźniej kusa szatka prostej niewolnicy nie była dla niej ubiorem jakkolwiek krępującym. W zamian jednak zdążyła zadbać o włosy — ujęte były w bardzo gęstą złotą siatkę, migoczącą przy każdym poruszeniu głowy.

Agatra wkroczyła w środek rozmowy.

— W jaki sposób mógł mnie trafić? W łóżku? — kpiąco pytała Ezena.

— Mógł, wasza wysokość. Zakradł się do samych okien.

— W jaki sposób, Ohegened? Ogród jest strzeżony, czy tak? Jak ktoś z kuszą mógł się tam przedostać?

— Nie wiem, wasza wysokość. Ale kuszę znaleziono w odległości najwyżej trzydziestu kroków od twojego okna. Wyrzucił ją lub zgubił, uciekając.

— Mogłam zginąć? — Ezena niedowierzała.

— Tak, wasza wysokość. Niestety.

Ośłupiała księżna bezwiednie oddała mu nadgryziony owoc, podeszła do stołu i powoli, z namysłem marszcząc szerokie brwi, wybrała z półmiska drugi, taki sam. Pytając popatrzyła na Agatrę.

— Słyszysz, pani, co się tutaj dzieje? Może lepiej by było, gdyby łucznicy gwardii, zamiast łązić po całym imperium, wzięli się za łapanie morderców?

Agatra przygryzła wargę.

— Wasza wysokość... — zaczęła.

— Nie, nie — przerwała Ezena. — Nie wiesz jeszcze, pani, że to nie pierwsze takie zajście w Sey Aye. Dwa dni temu dokonano zamachu na mojego gościa. I ten zamach powiódł się, niestety. Dzisiaj okazuje się, że przeżyłam tylko przez przypadek. Nie pomogły nawet wzmocnione straże, przydały się tylko do tego, żeby gonić i łapać skrytobójcę... Na szczęście został złapany, ale słyszę, że tylko jeden. A jeśli było ich więcej? Może ktoś właśnie mierzy do mnie przez to okno? — pytała gniewnie Ezena. — Może powinniśmy porozmawiać o tym, wasza godność? Bo zdaje się, że wczoraj zbyt pośpiesznie zakończyłam rozmowę!

— A o czym chcesz rozmawiać, wasza wysokość? — Agatrze błysnęło w głowie, że kolejnej porcji upokorzeń nie przyjmie już od nikogo, nawet od pani domu. — O czym chcesz rozmawiać? Wyrzucasz mnie z Sey Aye, a zarazem żadasz, bym pilnowała porządku? Burzysz się przeciw prawom imperialnym, ale krzyczysz, że są łamane?

Zaległa krótka cisza.

— O, nie... — powiedziała Ezena. — Nikt nie będzie tak do mnie mówił. Nie w moim domu. Wyjdiesz sama z tego pokoju, wasza godność, czy mają cię wyprowadzić?

— Każ mnie wyprowadzić, wasza wysokość — z nieoczekiwanym spokojem odparła gwardzistka. — Ale będę się broniła. Jako oficer imperium jestem nietykalna dla każdego. Można mi zarzucić nieznamość dobrych obyczajów, ale nikt nie śmie mnie tknąć.

Ezena szeroko otworzyła swe różnobarwne oczy i Agatra zadała sobie pytanie, czy nie przeszarżowała.

— Czego nie śmie?... No dobrze, to stój sobie tutaj, wasza godność — powiedziała księżna, ruszając ku drzwiom. — Mam bardzo dużo pokoi, a rozkosz nieoglądania twojej twarzy cenię sobie wyżej niż dumę. Wygoniłaś mnie z mojej własnej komnaty. W twojej wojskowej karierze to chyba znaczący sukces.

Przystanęła.

— Ale pewnie zaraz pójdziesz za mną? Będę uciekała, ty zaś będziesz się włamywać do kolejnych pokoi, niech zgadnę? Rozumiem, że powinnam zastawić drzwi krzesłem? — Znów ruszyła przed siebie. — Chodź ze mną, Ohegened, a to zwierzę niech tutaj stoi. Przesłuchałeś już jeńca? — zapytała, jeszcze raz przystając i odwracając się w drzwiach. —

No to na co czekasz? Chcę natychmiast wiedzieć, kto to jest!

Agatra zrozumiała, że żarty się skończyły. Nie wiedziała nawet, kogo złapali... Było prawie niemożliwe, żeby dzielny Kołatka sam wyprawił się z kuszą. Na pewno znalazł jakichś durniów. A jeżeli nie?... Nie bardzo wiedziała co robić. Pokazywać się złapanemu? W każdym razie powinna być w sercu wydarzeń. Dowiedzieć się, ile można.

— Wasza wysokość — powiedziała do pleców Ezeny — proszę mi przebaczyć mój wybuch... Jestem upokorzona tym, co się stało pod bokiem nie tylko twojej straży, ale i żołnierzy Gwardii Armektańskiej.

Księżna stała przez chwilę bez ruchu, a potem odwróciła się zdziwiona.

— Jestem w prywatnych dobrach — dorzuciła Agatra — i zbyt często o tym zapominam. Wasza wysokość, proszę mi przebaczyć. Chcę pomóc... i muszę pomóc. To mój obowiązek.

Ezena skrzywiła się lekko.

— Przyjmuję wytłumaczenie. Ale na razie niczego nie przebaczam. Niemniej, skoro tak stawiasz sprawę, możesz mi towarzyszyć, wasza godność.

Nie czekając dłużej, wyszła z komnaty. Ohegened natychmiast posłał przodem dwóch halabardników dla oczyszczenia drogi. Pierwsza Perła przepuściła księżną i komendanta, lecz zatrzymała Agatrę.

— Nie, pani — powiedziała. — My pójdziemy dziesięć kroków z tyłu. Zdaje się, że postanowiłaś przed chwilą być żołnierką na służbie, nie gościem?

Podsetniczka mogła tylko skinąć głową. Idąca przez pokoje Ezena upewniła się krótkim spojrzeniem, że Agatra niczego nie usłyszy.

— Ohegened, jesteś wspaniały — powiedziała niegłośnie do idącego obok gwardzisty. — Gotowa byłam uwierzyć, że naprawdę ktoś do mnie strzelał.

Komendant straży pałacowej, ujawniwszy tak nieoczekiwane zdolności, bawił się znakomicie. Przepuścił jej wysokość, zatrzymując się przy następnych drzwiach, i także zerknął na Agatrę, na pozór mimochodem. Zaraz dogonił Ezenę.

— Staram się, wasza wysokość.

— Wystarałeś się o konia, którego sam sobie wybierzesz z moich stajni. Jeśli Kesa wywiąże się tak samo...

Jasnowłosa Perła już szła im na spotkanie.

— Keso, gdzie jest jeniec? — głośno zapytała Ezena.

— Zamknięty, wasza wysokość. Ale nie powinniśmy tam iść.

— O, a to dlaczego?

Dołączyły Hayna i Agatra.

— Ten człowiek musi zeznawać — powiedziała Kesa. — Posłałam już do miasta, wkrótce przybędą urzędnicy Trybunału. Myślę, wasza wysokość, że powinni go przesłuchać właśnie oni.

— Nie jest poddanym Sey Aye?

— Jest, wasza wysokość. Ale będzie lepiej, jeśli zbrodniarzem zajmą się ludzie do tego powołani. Nieostrożne badanie może przynieść więcej szkody niż pożytku.

Nieoczekiwanie w sukurs księżnej przyszła armektańska podsetniczka.

— Jej wysokość ma prawo pytać tego człowieka. Gotowa jestem wyegzekwować poszanowanie tego prawa. Nawet przez urzędników Trybunału Imperialnego.

Ezena spojrzała na Kesę i wykonała dłonią gest oznaczający: słyszałaś?

— Tak, wasza wysokość — powiedziała niewolnica. — Nie twierdzę, że nie masz prawa pytać. Doradzam tylko skorzystanie z uprzejmości i pomocy urzędników imperium. Ten pochwycony nikczemnik, jeśli jest dość sprytny, może dowiedzieć się od nas więcej, niż my od niego. To ułatwi mu później obronę i ukrycie współsprawców zamachu, a może i rozkazodawców, jeśli byli takowi. A wolno podejrzewać, że byli.

Ezena pytająco popatrzyła na Agatrę.

— Wygląda na to, wasza godność, że moja Perła może mieć słuszość. Nie znamy się na badaniu zamachowców. Sądzę, że i ty, choć na pewno ścigałaś przestępców, oddawałaś ich następnie w ręce urzędników?

Agatra nie lubiła Sey Aye, nie cierpiała Ezeny — ale Kesy wręcz nienawidziła.

— To prawda, wasza wysokość, niestety — przyznała, z trudem panując nad głosem. — Alerów na Północnej Granicy przesłuchiwać nie można, to są tylko głupie zwierzęta. A w miejskim garnizonie... moi żołnierze chwyтали rzezimieszków. Potem, tak jak powiedziałaś,

zajmował się nimi Trybunał.

Ezena wzruszyła ramionami.

— A zatem najlepiej uzbrójmy się w cierpliwość. Do miasta nie jest daleko, a gończy Trybunału potrafi jeździć konno. Myślę, że śledczy także, choć to już człowiek niemłody. Liczę, że obaj wkrótce tu będą. Dziękuję, wasza godność — rzekła oficjalnie — że zechciałaś ofiarować mi swą pomoc.

— To mój obowiązek. Wyjadę na spotkanie urzędników Trybunału, a jeśli jeszcze nie wyruszyli, ponaglę ich. Im szybciej się tu stawią, tym lepiej.

— Doceniam twoje starania, wasza godność, ale to niepotrzebne. Dość już mam zamieszania w mych dobrach. Mój posłaniec zupełnie wystarczy.

— Ograniczasz mi swobodę poruszania się, wasza wysokość?

Ezena zniecierpliwiła się nie na żarty.

— Ograniczam, tak. Nie chcę twojej pomocy, wasza godność, dość mam twojego wścibstwa i dość kłopotów nawet bez ciebie. Nie życzę sobie żadnych galopad po drogach, moi żołnierze szukają współników złapanego łotra i nie będziesz płatać mi się po Sey Aye. Siedź w swojej komnacie, aż przyślę kogoś, kto ci powie, że możesz już zabrać swoich ludzi i wyprowadzić się z mojego lasu. Potem pójdziesz ze skargą na mnie do kogokolwiek, to już mnie nie obchodzi.

Pomimo nowej fali gniewu Agatra uświadomiła sobie, że księżna naprawdę przestała żartować. W armektańskiej wojowniczej odezwało się coś w rodzaju niechętnego uznania: ta dwa razy od niej młodsza, cycata wdówka o różnobarwnych oczach, była odważna i twarda jak żelazo. Gotowa była dowieść, że nie musi przed nikim uciekać z komnaty do komnaty, a nietykalność oficera gwardii to mit.

Agatrze zachciało się nagle śmiać z samej siebie. Z wyobrażeń, że nastraszy kogoś takiego samym swoim przybyciem do Sey Aye. Strasząc dalej, mogła znaleźć się na czele swych łuczników z nosem rozbitym przez pachołków jej wysokości Ezeny.

Nawet skinieniem nie odpowiedziawszy na wojskowy ukłon podsetniczki, księżna w towarzystwie komendanta i asyście dwóch Pereł Domu zawróciła do swoich pokoi. Podsetniczka poszła korytarzem, przez rzednący tłumek niewolników domu.

— Ohegened. Wydaj rozkazy, żeby nigdzie jej nie wypuszczano. Zatrzymać nawet siłą. A urzędników Trybunału wprowadzić tak, żeby o nich nie wiedziała.

— Tak, wasza wysokość.

*

— Jeszcze z nim porozmawiam — powiedziała Kesa. — Ale to nie jest głupiec, wasza wysokość, chociaż na pewno tchórz. Bardzo szybko zrozumiał, od czego zależy jego życie.

— Ale nie przyzna się przecież do zabójstwa Denetta? Denett nie był moim poddanym i nasz zamachowiec... — Ezena pokręciła głową i rozłożyła ręce. — Pomyślałaś już o tym? Bo ja jeszcze nie miałam kiedy, dopiero co wstałam z łóżka!

— Nie przyzna się, ale wskaże swoich tajemniczych zleceniodawców w Rollaynie. Wolno będzie domniemywać, że ci sami tajemniczy zleceniodawcy zapłacili komuś innemu za zamordowanie jego godności Denetta, nie chcąc dopuścić do małżeństwa, które mogłoby przecież wpłynąć na wyroki dartańskich sądów. Urzędnicy chwycą się tego, bo wybiega naprzeciw ich najskrytszym życzeniom. Będą mogli przekazać dochodzenie Trybunałowi w Rollaynie.

— Uważasz za możliwe — zapytał Ohegened — że nasi urzędnicy nie znają siedzącego w Sey Aye szpiega Trybunału?

— Nie mam żadnych powodów, żeby mu nie wierzyć. Trybunał tak właśnie działa, nikt tam nie wie więcej, niż wiedzieć musi. Szpieg zawsze może się ujawnić, jeśli jest to potrzebne. Ale lepiej, żeby siedział cicho i donosił także na jawnych urzędników. Warto, by wystawiał czasem ocenę, czy nie są nieudolni albo gnuśni — wytłumaczyła Kesa. — A zresztą, nawet jeśli go rozpoznają, to nie dadzą tego poznać po sobie. Przecież nie krzykną „wasza wysokość, to nasz człowiek!”.

Ohegened chodził po komnacie, wciąż zadowolony ze swych nowoodkrytych zdolności. I obiecanego przez jej wysokość konia — bo w stadninach Sey Aye trzymano wierzchowce warte więcej niż dwuletni żołąd komendanta straży pałacowej.

— Ale będą chcieli nam go odebrać, żeby prawda nigdy nie mogła wyjść na jaw. Lub wproszą się na egzekucję. Jak im wytłumaczymy, że niedoszły zabójca księżnej, jej poddany, wymigał się od kary?

Niewolnica leciutko uniosła brwi.

— O, intrygant... — powiedziała, tak samo jak wcześniej do Yokesa, w sypialni. — Przede wszystkim, kto powiedział, że się wymiga? Zawsze można go powiesić lub ściąć. To i tak nagroda, bo powinien być ćwiartowany.

Komendant zrozumiał, że udawać wstrząśniętego zamachem to jedno, a pospinać wszystkie kółeczka tej kolczugi intryg i podstępów — sprawa druga...

— Ale go nie powiesimy, bo jeszcze może się przydać — zauważyła Ezena.

— Sam się powiesi, wasza wysokość. Już tej nocy, ze strachu przed karą. A wtedy niewolnicy Sey Aye pogrzebią go gdzieś jak psa. Tak jak chowa się skrytobójców. Doniesiemy urzędnikom o tym smutnym zdarzeniu.

— Masz pomysł, gdzie można go ukryć?

— Myślę, że komendant Yokes weźmie go do obozu i wsadzi w jakąś zbroję.

— Chcesz, Keso, w obozie wojskowym trzymać szpicla Trybunału?
— Ohegened zapomniał już o pierwszej nauczce.

— Komendancie — powiedziała łagodnie księżna — ten człowiek zdradził Trybunał i cesarza. Wojskowy obóz Sey Aye to może jedyne miejsce, gdzie będzie jako tako bezpieczny, lecz tylko pod warunkiem, że Trybunał nie dowie się o tym... Idź już wybrać swojego konia.

Grombelardczyk zaczerwienił się, bąknął coś, skłonił się i wyszedł. W drzwiach minął się z Yokesem. Komendant Sey Aye był ponury jak śmierć. Donosy, krętactwa i łgarstwa wypełniały pałac po sam dach. Ani umiał, ani chciał w tym uczestniczyć.

— Sprostaleś zadaniu? — zapytał podkomendnego.

— Sprostalem, wasza godność — służbiście odpowiedział Ohegened.

— No to idź.

Skłoniwszy się księżnej, Yokes czekał na rozkazy.

— Dobrze, że już jesteś. Wkrótce zjawią się urzędnicy Trybunału — powiedziała. — Wczoraj Kesa nie miała z nimi kłopotów, bo sami nie wiedzieli, co właściwie powinni zrobić. Nie codziennie ktoś morduje pod ich bokiem dartańskiego magnata. Ale dzisiaj już na pewno doszli do siebie i będą bardziej dociekliwi. Poczёт Denetta masz pod strażą, czy

tak?

— Tak, wasza wysokość.

— Dzisiaj trzeba będzie uwolnić tych ludzi. Czy podejrzewają, co się stało?

— Wątpię, wasza wysokość.

— Powiem prawdę — oznajmiła Ezena. — Powiem, że wydałam rozkaz rozbrojenia tych żołnierzy, obawiając się, że na własną rękę zechcą szukać winnych zbrodni i ich ukarać. A w Sey Aye to ty szukasz sprawców, ja zaś decyduję o karze. Ja lub Trybunał Imperialny, nikt inny.

— Nie będę musiał kłamać, wasza wysokość?

— Nikt nie musi. — Księżna rozłożyła ręce i spojrzała na Kesę, jakby biorąc ją za świadka swoich słów. — Komendancie, jedyne, co chcę ukryć, to ten list, który otrzymałeś dzisiaj rano. Ale i ty chyba nie chcesz, żeby ścięto człowieka, który, zmuszony do zamachu na mnie, wolał oddać się w twoje ręce? Proszę tylko, żebyś milczał o tym liście. Nikt cię zresztą o to nie zapyta. A gdyby jednak zapytał — dodała, wiedząc, że to niemożliwe, bo kamienicznik musiałby się przyznać do zdrady — wtedy powiesz prawdę.

Komendantowi spadł kamień z serca.

— Czy rzeczywiście nic nie mamy do ukrycia, wasza wysokość? Przecież ten list to cenny dowód. Nie muszę kłamać?

„Nie umiesz” — pomyślała Ezena.

„Ty, komendancie?” — pomyślała Kesa.

— Ani jednym słowem — powiedziała księżna.

— A śmierć jego godności Denetta?

No cóż, z tym było gorzej.

— Odmówisz odpowiedzi.

— Odmówię, wasza wysokość?

— Tak, komendancie. Gdyby pytano, powiesz, że nie wolno ci obciążać pani, której przysięgałeś lojalność. I odmówisz jakichkolwiek wyjaśnień.

— Ależ w ten sposób właśnie obciążę cię, wasza wysokość — Yokes nie był intrygantem, ale głupcem też nie.

— Wybronię się — powiedziała. — Nikt nie będzie wiedział, co masz na myśli. Nie skłamiesz, a zarazem dochowasz przysięgi wierności.

Yokes znowu spochmurniał.

— Jeśli to konieczne... będę kłamał, wasza wysokość — powiedział z ciężkim sercem. — Kłamałem już w życiu. Choćby przed jego godnością Denettem, gdy pytał o wojska Sey Aye.

— To co innego. To kłamstwo innego rodzaju, kłamstwo wojskowe, a więc raczej fortel niż kłamstwo. — Ezena umiała dostrzec różnicę i wiedziała, że tak samo postrzega to komendant. — Nie będziesz kłamał w mojej służbie, Yokesie.

— Wasza wysokość — milcząca dotąd Kesa poprosiła o głos.

Ezena przyzwoliła skąpym gestem.

— Księżna odpowiada za wszystko, co dzieje się w Sey Aye. Miałybyś prawo, a nawet musiałbyś odmówić zeznań, komendancie, nawet gdyby jego godność Denetta zagryzły wściekłe psy. Nie do ciebie należy ocena, co może zaszkodzić księżnej. Zawsze i każdemu możesz powiedzieć prosto w oczy, że nie wolno ci mówić nic o niczym, bo nie wiesz, czy to nie zaszkodzi twojej pani. Powołasz się na to, a kłamać będę ja.

— Natomiast ty nie będziesz kłamał w mojej służbie — powtórzyła księżna Ezena. — Mogłeś mieć mnie za uzurpatorkę, ale ja zawsze miałam cię za rycerza. Nie splamisz się w mojej służbie. Powiedziałam, że się wybronię, i tak będzie.

Yokes poczuł, że znalazł swoje miejsce na świecie. Służył komuś, kto gotów był zaryzykować wszystko, cały majątek i przyszłość, byle nie splamić honoru swego poddanego.

Ugiął na chwilę kolano.

— Jesteś wspaniałą panią, księżno Sey Aye — powiedział. — Mógłbym dla ciebie kłamać, ponieważ tego nie żądasz. Nigdy nie zdołam spłacić długu, jaki zaciągnąłem, podając kiedyś w wątpliwość twoje prawa.

Gdy wyszedł, przez chwilę nic nie mówiły.

— Rozmowa z urzędnikami Trybunału to fraszka.

Perła potwierdziła skinieniem.

21.

Urzednicy zjawili się bardzo szybko. Śledczy, człowiek już posunięty w latach, wyraźnie odczuł skutki pospiesznej jazdy do pałacu, jednak nie zgodził się na żadną zwłokę i odmówił nawet przyjęcia pucharka wina.

Dał wyraz swemu oburzeniu, okazał księżnej współczucie i okazał ulgę, że nie doszło do najgorszego. Zleciwszy gończemu zbadanie miejsca zamachu, sam niezwłocznie udał się do pokoju, w którym trzymano jeńca. Księżna, przebrana już we własną suknię (bardzo podobną do tej, w której dnia poprzedniego spacerowała po parku z przybyłymi do Sey Aye gośćmi), nie życzyła sobie być obecna przy przesłuchaniu. Zastąpiła ją Kesa; Perła Domu miała prawo w imieniu swojej pani asystować przy wydobywaniu z jeńca zeznań, potem zaś odwrotnie: księżna mogła — ale i musiała — własnym autorytetem poświadczyć każde słowo niewolnicy odnoszące się do tego, czego była świadkiem. Nikt nie miał prawa dociekać, jak głębokim zaufaniem pani obdarza swoje sługi. Nie musiała się nimi wyręczać, ale gdy to czyniła, widocznie wiedziała, co robi.

Jej wysokość przebywała w swojej w ulubionej komnacie, długiej ale wąskiej, z czterema dużymi oknami wychodzącymi na park. Dwa pokoje dalej mieściła się jej sypialnia. Księżna, pilnowana przez nadal uzbrojoną Pierwszą Perłę Domu, z zaciekawieniem patrzyła przez okno na gończego urzędnika Trybunału, który szukał czegoś między żywopłotami, wypytywał dowódcę gwardii pałacowej, kiwał, to znów potrząsał, łysiejącą głową.

— Powiedz mi, Hayno, co takiego można tam znaleźć?

— Odpowiedzi, wasza wysokość. Ślady, które przeoczyli inni.

— Naprawdę tak uważasz?

— Znam sposoby Trybunału.

— I co o nich myślisz?

Perła zmarszczyła brwi, lekko wydeła usta, a potem pokiwała głową. Nie wiadomo, co to miało oznaczać.

— Hm? — ponagliła Ezena.

— Ten urzędnik, wasza wysokość, na pewno niczego nie znajdzie.

— Źle szuka?

— Nie umie szukać. Chce tylko pokazać, jaki jest gorliwy.

— Skąd wiesz, że nie umie szukać?

Perła była dziwnie małowólna; księżna musiała z niej wyciągać każde słowo.

— Stąd, wasza wysokość — wyjaśniła niechętnie — że ten człowiek w ogóle nic nie potrafi. Wiele lat temu książę Lewin poprosił o przysłanie do Sey Aye urzędnika Trybunału, który rozpatrywałby sprawy nie

dotyczące jego poddanych. Potraktowano to jako szczególny wyraz lojalności wobec Kirlanu. Prośbę spełniono, kierując do najspokojniejszego miejsca na świecie dwóch gapowatych urzędników, niezdolnych do działania gdziekolwiek indziej. Aż dwóch, przez szacunek dla księcia. Ci ludzie przez wszystkie spędzone tu lata mieli do czynienia z jednym zabójstwem oraz zbrodniami takimi, jak bójki kupieckich pachółków i zdemolowanie oberży przez pijanych najemników, których książę nie przyjął do swych pocztów.

Księżna znów popatrzyła przez okno.

— Ale teraz, kiedy Puszczą rządzi niepokorna niewolnica, przydałby się tu chyba ktoś bardziej rozgarnięty?

— Pewnie tak. Kesa wyjaśni ci to lepiej, pani.

— Kesy tutaj nie ma — powiedziała Ezena. — Ciebie pytam. Rozmawiaj ze mną, Pierwsza Perło Domu.

Skarcona niewolnica westchnęła, nawet nie ukrywając, że nie w smak jej pogaduszki.

— Wasza wysokość, żeby gdzieś działać, trzeba znać miejscowe stosunki. Ktoś, kto ich nie zna, wart jest akurat tyle, ile ta gwardzistka mająca jakieś specjalne pełnomocnictwa. Prawda, wasza wysokość? Ci dwaj może są do niczego, ale chociaż wiedzą, którądy do rzeki.

Oburknięta w ten sposób księżna wzruszyła ramionami, postąpiła chwilę, a potem niespiesznie przemierzyła komnatę, zatrzymując się przy każdym oknie. Po jakimś czasie, tak samo niespiesznie, wróciła.

— Zanudzę się tutaj.

Perła nie odpowiedziała. Ezena popatrzyła uważnie. Hayna, siedząca na krześle z dłońmi opartymi na kolanach, wpatrywała się w podłogę, zamyślona tak głęboko, że chyba nie usłyszała, iż księżna zwraca się do niej. Coś takiego miało miejsce po raz pierwszy. Dziewczyna naprawdę nie była sobą. Małomówna, cicha, bez uśmiechu na twarzy... Księżna nigdy nie widywała jej takiej.

— Hayno?

Niewolnica uniosła głowę.

— Wasza wysokość... dzisiaj, kiedy nas nie mogli obudzić, miałam sen — powiedziała. — Bardzo niezwykły. Ja... myślę, wasza wysokość, że powinnaś iść na grób księcia Lewina. To niemądre, wiem. To co mówię. Ale śniło mi się, że znalazłaś tam coś bardzo, bardzo ważnego.

Księżna usiadła na krześle naprzeciwko.

— Śniło ci się, że byliśmy na cmentarzu? — zapytała wolno.

— Tak, wasza wysokość.

— I zostałam przed bramą... a ja bardzo długo chodziłam między grobowcami?

Perła nie mogła uwierzyć.

— Skąd o tym wiesz, wasza wysokość?

— I domek dozorczy był pusty? Nikogo nigdzie nie było... tylko my?

— Skąd znasz mój sen, wasza wysokość?

Księżna i niewolnica spoglądały po sobie.

— Nasz sen, Hayno. Zdaje się, że wspólny. Dowiedziałaś się jeszcze czegoś?

— Nie, wasza wysokość. Ale czuję coś... i muszę to teraz powiedzieć.

— Perła odetchnęła głęboko, zbierając się na odwagę. — Rozmawialiśmy przed cmentarną bramą, to był tylko sen, ale...

Ezena ośmieliła ją lekkim ruchem głowy.

— Przebacz mi, wasza wysokość... ale nie mogę być Pierwszą Perłą Domu! — wybuchnęła dziewczyna, padając przed księżną na kolana. — I nie mogę być odprawiana, gdy zostajesz sama z kimś obcym, tak jak wtedy, w ogrodzie! Nie mogę być Pierwszą Perłą, kiedy mordercy strzelają do ciebie w twojej własnej sypialni! Wszystko jedno, czy to tylko było udawane, ktoś jednak nasyła na ciebie skrytobójców! — mówiła gorączkowo, unosząc ku Ezenie błyszczące oczy. — Nie mogę być Pierwszą Perłą Domu, co innego potrafię najlepiej!

Księżna pochyliła się, podniosła niewolnicę i niemal siłą posadziła sobie na kolanach. Hayna mocno objęła ją za szyję.

— Uczyłam cię kiedyś walczyć, na rozkaz księcia... — mówiła Perła, dotykając ustami siateczki na włosach księżnej. — Nauczę cię wszystkiego, co umiem... pozwól mi! Nie wiem, co się dzieje, i nawet nie wiem, kim jesteś... Twoje włosy, twoje sny... Ale książę chyba wiedział, musiał wiedzieć, skoro oddał ci wszystko, co miał. Nie potrzebował mnie, taka Perła nie miała komu służyć w Sey Aye, kupił mnie dla ciebie, bo wiedział coś, czego ja nie wiem, a może nawet ty nie wiesz, wasza wysokość! Od trzech lat chodzę po tym domu... zupełnie niepotrzebna... najdroższa z armektańskich Czarnych Pereł, tak droga, że nikt nie chciał mnie kupić... Dopiero książę, ale nawet on do niczego mnie nie

potrzebował — Hayna, ze łzami w oczach, mówiła o wszystkim, co przez lata nosiła w biednej duszy. — Ja już prawie zapomniałam, kim jestem, w domu Anessa i Kesa... wszystko zrobią lepiej ode mnie. Czy ty wiesz, pani, co to znaczy być Perłą? Z jaką dumą uzyskuje się certyfikat Perły? A potem nikt tego nie chce, jesteś tylko trochę ładniejszą od innych niewolnicą... Bo komu dziś potrzebna w Szererze taka Perła? Nikomu, najwyżej tobie. Jeśli mnie nie chcesz... — powiedziała, cofając głowę i przez łzy, lecz zarazem z dziwną stanowczością patrząc księżnej w oczy — jeśli mnie nie chcesz, to skorzystam z jedynej prawa, jakiego nikt nikomu nie odbierze, nawet niewolnicy. Potrafię zabić każdego, nawet siebie. Mam już dosyć, wasza wysokość, niech ktoś wreszcie mnie potrzebuje!

— No, no! — ostrzegawczo mruknęła Ezena.

Milczała przez chwilę, a potem musnęła palcem policzek niewolnicy i pocałowała ją w czoło.

— Na razie wepchnęłaś mi rękojeść miecza pod zębra — powiedziała, lekkim kłapsem dając dziewczynie znać, żeby uciekała z jej kolan. — Jesteś cięższa, niż się wydaje... A jako Pierwsza Perła nie nadajesz się do niczego, zagłaskałabyś mnie na śmierć. Oduczyłabym się mówić. Nawet o jabłko już nie mogę poprosić, bo wszędzie jest pełno jabłek. To przecież twój pomysł?

Perła przechyliła lekko głowę.

— Czy to znaczy, wasza wysokość...?

— To znaczy, że gwardią pałacową i wszystkimi przybocznymi Sey Aye zarządzasz od dzisiaj ty. Yokes zda ci wszystkie sprawy z tym związane.

Półprzytomna ze szczęścia Perła rozplakała się jak dziecko.

— I ty masz być moją przyboczną? — zapytała kpiąco Ezena. — Jeśli się nie sprawdzisz... przegonię na cztery wiatry — dodała już bardziej poważnie.

Ale Hayna, rozmazując na policzkach łzy, śmiała się zarazem, pewna siebie, jak jeszcze nigdy dotąd.

— Komendant Yokes to wspaniały dowódca — oznajmiła — ale dla wojsk polowych. Nie zna się na pilnowaniu ważnych osób. Zobaczysz, jak ja to urządzę!

— Najpierw... — zaczęła Ezena.

Do komnaty bez żadnej zapowiedzi weszła Kesa. Być może chciała chociaż o parę kroków wyprzedzić śledczego Trybunału... Ezena spojrzała na nią i zrozumiała, że coś poszło źle.

Zasapany urzędnik skłonił się bardzo oszczędnie, z godnością człowieka, który stoi na straży prawa Wiecznego Cesarstwa. Pani Sey Aye dała znak, że słucha.

— Wasza wysokość — rzekł urzędnik — ten człowiek działał na zlecenie kogoś, kto obawiał się, że przed dartańskim sądem zostaną potwierdzone twoje racje. Ustalimy, kim jest ów ktoś.

— Zamachowiec tego nie zdradził?

— Nie wie, a ja skłonny jestem dać mu wiarę. Temu komuś nie mogło zależeć na zdradzeniu swej tożsamości przed opłaconym mordercą. Lecz sprawa ma ciąg dalszy, a raczej zamach na ciebie, pani, jest ciągiem dalszym czegoś.

— A mianowicie? — zapytała księżna, bo urzędnik wyraźnie czekał na to pytanie.

— Zamordowanie jego godności K.B.I.Denetta na pewno zleciła ta sama osoba. Pochwycony dzisiaj złoczyńca wyparł się udziału w tamtej zbrodni, ale tym razem nie mogę dać mu wiary. Czy niewolnica waszej wysokości, która przeżyła ów napad, będzie umiała rozpoznać jednego z napastników?

Ezena miała nadzieję, że na tle jasnego okna nie widać zmieszania na jej twarzy. Dwie intrygantki... Przeoczyły z Kesą rzecz najbardziej oczywistą i najważniejszą zarazem. Anessa o niczym nie wiedziała. Gotowa była skorzystać z okazji, by odsunąć podejrzenia od swojej pani.

— Trzeba ją o to zapytać — powiedziała, siląc się na spokój.

— Właśnie o to przyszedłem poprosić.

— Każę ją sprowadzić.

— Nie, wasza wysokość. Nie była jeszcze przesłuchiwana i idąc tutaj, może się domyślić, po co ją prowadzą. Wolałbym ją zapytać nieprzygotowaną.

Księżna lekko uniosła brwi.

— Muszę brać pod uwagę wszystkie możliwości — wytłumaczył urzędnik. — Nawet taką, że niewolnica waszej wysokości przynależała do spisku. Przeżyła jako jedyna, udało jej się wymknąć, a spośród wszystkich napadniętych była najsłabsza i najgorzej przygotowana do

walki. To budzi podejrzenia.

Okryty szarą szatą śledczy może i nie był dumą Trybunału, ale nie był też skończonym durniem. Starał się sumiennie wykonywać swoje obowiązki.

— Wykluczone — powiedziała Ezena. — Jestem pewna swoich niewolnic.

— Otóż, wasza wysokość, wszyscy ci, którzy zostali zasztyletowani przez służbę, byli jej bardzo pewni.

Księżna wątpiła, by wiele takich wypadków miało miejsce w najnowszych dziejach Szereru... Ale nie mogła sprzeczać się o to z urzędnikiem.

— Chcesz, wasza godność, postawić tego złoczyńcę przed moją Perłą, czy tak?

— Jeśli go rozpozna, będę musiał wystąpić do waszej wysokości z prośbą o oddanie go nam. Jego godność Denett nie był poddanym waszej wysokości, a tym samym wasza wysokość nie będzie mogła sądzić jego zabójcy.

Stojąca za plecami urzędnika Kesa bardzo lekko zmarszczyła brwi, dając znak księżnej, że chodzi o coś znacznie gorszego. Ezena wiedziała, o co... Rozpoznając w szpiegu zabójcę, Anessa wpędziłaby swoją panią w nie lada kłopoty. Śledczy wprawdzie nie znał (czy aby na pewno?...) tożsamości zamachowca, ale gdyby musiała go oddać, szpicel dla ratowania skóry powiedziałby, kim jest i na czyje zlecenie działał. Wyszłoby na jaw, że Anessa kłamała. A uzasadnione podejrzenie o zabójstwo Denetta to już nie była sprawa spadkowa, Trybunał nie mógł zatuszować czegoś podobnego. Można było zmusić Rollaynę do skontrolowania rzetelności sądowych orzeczeń w procesie o unieważnienie małżeństwa — lecz nie do ochrony byłej niewolnicy o nieczystym sumieniu. Wszystkie odłamy Domu K.B.I., obojętnie jak skłócone z powodu schedy po księciu, gotowe były zjednoczyć się przeciw podobnemu bezprawiu. Kirlan, podpierając resztkami złota walący się Grombelard, uwikłany w wojnę z piratami, odbudowujący przetrzebione siły Garry, nie mógł pozwolić sobie na zatarg z największymi Domami Dartanu. Oskarżona musiałaby przyjąć wyrok sądu lub otwarcie wypowiedzieć wojnę cesarstwu, do tego zaś wcale nie była przygotowana. Yokes nie miał armii do obrony — skoro tak

powiedział, to należało mu wierzyć. Miała więc jutro uderzyć na Dartan siedmioma chorągwiami ciężkiej jazdy, zostawiając na straży Sey Aye gajowych? Księżna nie znała się na wojnie, ale umiała liczyć.

Teraz jednak nie miała wyboru.

— Proszę działać według uznania, wasza godność — powiedziała. — Moja Perła pokaże drogę.

Posłano po zamachowca.

Kesa i urzędnik opuścili komnatę.

Śledczy dostał twardy orzech do zgryzienia. Nie sięgał myślami tak daleko, jak jej wysokość księżna Sey Aye, ale i tak miał nie lada problemy. Poprzedniego dnia rozmawiał tylko z Kesą, bo zupełnie nie wiedział, jak ma postępować wobec takiej zbrodni jak zabójstwo dartańskiego magnata. Urzędnicza skrupulatność kazała najdogłębniej przemyśleć sprawę. Śledczy nie miał pojęcia, jakie pytania powinien zadać i jakich odpowiedzi oczekiwać od poturbowanej niewolnicy, wytrąconej z łask za bezmyślne nocne spacery. Wprawdzie ta niewolnica była aż Pierwszą Perłą Domu — ale kto właściwie miał towarzyszyć jego godności Denettowi podczas spaceru? Niewolna kucharka? Urzędnik ani przez chwilę nie wierzył, że stała za tym morderstwem pani Sey Aye. Niemłody i sflaczały od beczynności (gapowaty, jak chciała Hayna) umiał jednak dodać dwa do dwóch. Pomysł, że wyzwolona niewolnica, czekająca na proces o zawłaszczenie nazwiska, rozkazała zamordować swego gościa, a zdaje się, że i narzeczonego, w zagajniku za swoim domem, nie mógł być rozważany poważnie. Bezcelowe i bezsensowne, obciążające morderstwo na samym progu domu? Nie wypadek na polowaniu... nie zaginięcie w lesie... zresztą, po co miałyby w ogóle zlecać coś takiego? Urzędnik łatwo dał się przekonać, że stał za tą ponurą sprawą jakiś dartański Dom, któremu nie w smak były konkury jego godności Denetta. Przyjęcie oświadczyn przez Ezenę mogło wręcz uniemożliwić proces w Rollaynie — śledczy bardzo dobrze znał Dartan... Szedł teraz, by wysłuchać zeznania ofiary zamachu, najbardziej trapiąc się tym, że gotowa rozpoznać napastnika, a wówczas, zamiast przekazać sprawę do Rollayny, będzie musiał zabrać zamachowca i prowadzić dochodzenie na miejscu. Gotów był jednak przeprowadzić badanie jak najrzetelniej, by nikt nie mógł znaleźć jakichkolwiek uchybień.

Zupełnie nie miał pojęcia, dokąd jest prowadzony. W asyście

halabardników pilnujących jeńca i pod przewodnictwem jasnowłosej Perły o wyniosłej urodzie dartańskiej córki Domu opuścił pałac przez wyjście w północnym skrzydle. Okrążyli gmach koszar.

— Dokąd idziemy, pani?

— Do psiarni.

Urzędnik sądził, że źle usłyszał.

— Ale... dokąd?

— Do psiarni, wasza godność. Dom księżnej nie jest twierdzą więzienną, nie ma w nim żadnych cel do przetrzymywania więźniów, ale za domem są klatki dla psów, myśliwskich i wojskowych. Gdy za jakieś przewiny trzeba zamknąć niewolnika domu, trzyma się go w jednej z pustych klatek.

Urzędnik nie wiedział, co ma o tym myśleć.

Ukryte za wysokim żywopłotem, zadaszona klatki, stały na wolnym powietrzu, jedna obok drugiej. Harmider i smród były nie do wytrzymania. Na widok nadchodzącej grupy ludzi psy zaczęły ujadać, natychmiast rozjuszając inne. Nadzorca psiarni wyszedł na spotkanie; temu człowiekowi hałas na pewno nie przeszkadzał. Zrozumiawszy w czym rzecz, psiarczyk poprowadził do jednej z najdalszych klatek. Lecz urzędnik dotknął ramienia Perły i pokręcił głową, dając znak, że w takich warunkach nie może być mowy o badaniu. Zgodziła się z tym. Na migi dała do zrozumienia, że trzeba wyprowadzić uwięzioną. Nadzorca pokazał dwóch halabardników. Poszli za nim. Śledczy także uczynił kilka kroków.

Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

Skulona w kącie drewnianej klatki, obleczona w brudną szmatę, leżała istota, w której nikt nie zdołałby rozpoznać pięknej Perły Domu. Anessę w Sey Aye widywali wszyscy, jej konne przejażdżki należały do codzienności. Teraz urzędnik Trybunału Imperialnego nie mógł uwierzyć własnym oczom. W ciągu zaledwie dwóch dni, znudzona władzą, bogactwem i własną urodą kapryśnica spadła na samo dno nędzy. Wydawało się, że nie umie rozpoznać tunik pałacowych żołnierzy, musieli wyciągnąć ją z klatki, a potem wlec pod ramiona, bo nie mogła ustać na obrzmiałych stopach. Z opuszczonej głowy zwieszały się brudne włosy, przywodzące na myśl wiecheć siana.

Śledczy wskazał nieodległy pałac i dał do zrozumienia, że żołnierze

prowadzący zamachowca powinni iść przodem. Zatrzymał dumną Perłę Domu, której suknia na tle wstrętnej psiarni wyglądała na zjawisko nie z tego świata. Mieli trzymać się końca pochodu; urzędnik chciał dopilnować, by nikt nie rozmawiał z wleczoną nieszczęśnicą.

Ze względu na jeńców szli wolno, nieomal noga za nogą.

Wreszcie klatki i jazgot zwierząt oddaliły się na tyle, że rozmowa była możliwa, lecz w zamian śledczy usłyszał coś innego: głucho, przeciągłe stękanie. Trzymana pod ramiona niewolnica cierpiała istne katusze; wlokące się za nią stopy, sino-czerwone i spuchnięte, dobitnie świadczyły o liczbie kijów, które jej wymierzono. Podciągnięta koszula odsłaniała pośladki, tak samo poczerwieniałe; długie i wąskie opuchlizny pozwalały policzyć smagnięcia różeg. Urzędnik zatrzymał kawalkadę i postawił kamienicznika przed byłą Pierwszą Perłą. Powoli osunęła się na kolana i zastygła na czworakach, podparta na dłoniach, z pochylonym czołem.

— Czy znasz tego człowieka? — zapytał.

Uniosła głowę i z najwyższym trudem otworzyła zapuchnięte od płaczu oczy. Łzy wciąż z nich płynęły; było to chyba coś więcej niż tylko objaw cierpienia. Także skutek wirującej wszędzie w powietrzu psiej sierści. Pomiędzy klatkami powietrze było od niej gęste.

Wolno pokręciła głową: nie.

— Zastanów się dobrze — napomniął z całą surowością. — Czy w nocy, gdy doszło do zabójstwa jego godności Denetta, ten człowiek mógł być jednym ze sprawców?

Coś zamigotało w zapuchniętych oczach. Długo patrzyła na halabardników, potem na urzędnika, wreszcie znów na poturbowanego mężczyznę w mieszczańskim przydzwiewku. Stojącej z tyłu Kesy nie widziała.

— Czy ten człowiek był pośród zabójców, którzy napadli cię w lesie, gdy towarzyszyłaś jego godności Denettowi?

Otworzyła usta i zamknęła je zaraz, ale po krótkiej chwili powiedziała z lekką chrypką:

— Nie.

— Jak możesz mieć pewność? Była noc!

Kobieta mimowolnie westchnęła. Wciąż klęcząc na czworakach, zwiesiła głowę i przez chwilę milczała.

— Keso, stań przy jego godności i pół kroku przed nim — powiedziała z trudem, nie unosząc spojrzenia. — Przecież jesteś tu w imieniu naszej pani. Nikt, nawet urzędnik Trybunału, nie ma prawa wysuwać się przed ciebie. Zastępujesz księżnę.

Kesa podeszła do śledczego.

— W obecności przedstawicielki jej wysokości Ezeny — powiedziała Anessa, odrywając rękę od ziemi, by obetrzeć łzy na brudnej twarzy — oświadczam ci, wasza godność... że tego człowieka nie było wśród morderców gościa mojej pani. Zamordowali go niewolnicy przyuczeni do walki lub tak samo wyszkoleni ludzie w służbie możnego dartańskiego Domu — mówiła powoli i trochę niewyraźnie, z trudem panując nad bólem, z głową wciąż zwieszoną ku ziemi. — Ludzie potrafiący pokonać jego godność Haleta i moją własną przyboczną. Ten biedny cherlak stojący przede mną, którego zabiłabym bez niczyjej pomocy, nie jest kimś takim. Czy się mylę?

Urzędnik nie odpowiedział.

— Nie jest — odpowiedziała sama, unosząc na chwilę spojrzenie. — Bo gdyby był kimś takim, toby tutaj nie stał. Sługa Domu lub szkolony niewolnik, złapany przez Trybunał, przegryzłby sobie żyły. Proszę o drugie pytanie, wasza godność, jasno sformułowane.

Śledczy wiedział już wszystko i mógł z czystym sumieniem powiedzieć sobie: wystarczy. Ponadto był człowiekiem o umyśle bystrym na tyle, że dotarło doń, iż, pytając dalej, ośmieszy się zaraz, nawet przed halabardnikami. Skatowana Perła, odpowiadając tylko na zadane pytania, gotowa była dowieść... czegokolwiek. A już na pewno tego, że jest dwa razy mądrzejsza i trzy razy bardziej przenikliwa niż śledczy urzędnik Trybunału. Mogła wyglądać jak wszystkie nieszczęścia, ale pod brudnymi włosami wciąż pracował rozum wart setki sztuk złota.

— Nie mam więcej pytań — powiedział, zwracając się do Kesy.

Skinęła głową i pokazała gwardzistom, że mają zawlec Anessę z powrotem. Gdy urzędnik odwrócił się, kiwnęła głową raz jeszcze, do Anessy. „Bardzo dobrze”. Do pałacu wrócili w milczeniu.

22.

Półsetka zakutych w stal żołnierzy — dziesięć piątek, jedna za drugą

— tworzyła na drodze rozkołysany, szybko sunący czworobok, poprzedzany przez konnego oficera. Co czwarty krok wybijany był mocniej, dzwoniły wtedy folgi, żelazne pochwy mieczów uderzały o nabiodrki. Barwne pióropusze rytmicznie trzęsły się ponad przyłbicami. Yokes odprowadzał Agatrę w takiej samej asyście, jaką trzy tygodnie wcześniej zapewnił młodemu Denettowi, lecz o wiele dobitniej pokazywał siłę swojego wojska. Było jeszcze widno; zachodzące słońce kładło na zbrojach czerwone i złote błyski. Posuwający się w ślad za ciężkozbrojnymi armektańscy łucznicy, oślepieni tymi błyskami, ogłuszeni hukiem marszowego kroku, na każdym łuku drogi oglądali tarcze i blachy, przeciw którym ich lekkie pociski niewiele mogły wskórać, na czele szyku zaś widzieli wierzchowca dowódcy — olbrzymie bydlę jakby nie z tego świata, bez wysiłku dźwigające końską zbroję. Prowadząca gwardzistów podsetniczka nie patrzyła na jadącego obok Yokesa, ale wiedziała, że komendant pocztów Sey Aye właśnie kończy rozpoczętą przez swą panią rozmowę. W pałacowym ogrodzie księżna powiedziała: „Nie ugnę się przed niesprawiedliwym wyrokiem”. Yokes to potwierdzał. Jeśli można było latem zmusić żołnierzy w pełnych zbrojach do tak szybkiego marszu w zwartym i równym szyku, to można ich było zmusić do wszystkiego. Lekka gwardyjska piechota z najwyższym trudem dotrzymywała kroku spiesznej jeździe Sey Aye. Okryci sławą, doświadczeni żołnierze imperium, gnuśnieli w swych garnizonach, obejmując podwójną „wolną służbę”. Błada Agatra miała nadzieję, że wyścig skończy się na skraju lasu. W przeciwnym wypadku, malowani wojacy Sey Aye gotowi byli wykończyć jej łuczników samym marszem.

Na skraju lasu czekały dwa kliny kuszników.

— Tu się pożegnamy, wasza godność — rzekł Yokes.

Zjechał z drogi i wykrzyknął kilka dartańskich komend. Ciężkozbrojni z hukiem blach rozeszli się na boki i stanęli. Zaległa dzwoniąca w uszach cisza.

— Tu się pożegnamy — powtórzył komendant Sey Aye. — Otrzymasz przewodników, wasza godność. Vahen!

Spomiędzy drzew wyłoniło się siedmiu ludzi... i kot. Podsetniczka zrozumiała, że tym razem na pewno nikogo nie podejdzie.

— Trafię sama. Znam drogę do Wiecznego Cesarstwa.

Yokes lekko machnął uniesioną ręką i gajowi zniknęli.

— W takim razie, wasza godność, pozostaje mi życzyć samych dobrych przygód w podróży — ani słowem nie wspomniał o czekających kusznikach; wiadomo było, po co są. — Mam nadzieję, podsetniczko, że już nigdy się nie spotkamy.

Odwróciła spojrzenie, bo było dla niej jasne, że komendant wie.

Nie miało to już żadnego znaczenia.

— A ja przeciwnie — powiedziała, a potem nagle, wbrew sobie, usprawiedliwiła się przed sławnym wojownikiem, którego podziwiała: — Służę Wiecznemu Cesarstwu zawsze i wszędzie, wasza godność, tak jak tylko potrafię. Ale jestem żołnierzem i moją wartość ocenić można tylko na wojnie. Chciałabym, żebyś kiedyś mógł ją ocenić.

Pojechała stępą wzdłuż drogi. Nie odwracając się, krzyknęła krótki rozkaz i łucznicy gwardii ruszyli przed siebie — w tym samym tempie, w jakim doszli na skraj lasu. Nie nakazała tego... Yokes słuchał ciężkich oddechów i patrzył na zmęczone, spocone twarze mijających go żołnierzy, którzy dogonili i wyprzedzali swoją podsetniczkę, gotowi paść za linią pierwszych drzew — ale jeszcze nie teraz, gdy ich widział. Jemu także coś powiedziano, a może tylko przypomniano o czymś ważnym...

Patrzył, jak klin łuczników Gwardii Armektańskiej pogrąża się w lesie. Potem zakręcił ramieniem nad głową, dając ciężkozbrojnym rozkaz „Z powrotem!”, zawrócił wierzchowca i pokłusował tam, skąd przybył. Miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę.

Kłusem i galopem na zmianę komendant pocztów Sey Aye zmierzał do gospody, gdzie trzymano rozbrojonych żołnierzy jego godności Denetta. Nie dojechał do dziedzińca pałacu, skorzystał z bocznej drogi omijającej sędziwy zameczek. Wkrótce był na rozstajach przy młynie, znów puścił konia kłusem i po niedługim czasie zeskoczył z siodła na majdanie przed przydrożnym zajazdem. Na powitanie wybiegł oberżysta, pojawiło się też kilku żołnierzy.

— Gospodarzu, chcę być sam w wielkiej izbie — powiedział. — Żołnierzu, sprowadź tam dowódcę pocztu. Uwolnionego z więzów i przy mieczu.

Nie mówiąc słowa więcej, wszedł do gospody, rozejrzał się po przestronnym wnętrzu i wybrał jeden ze stołów. Usiadł na szerokiej ławie, pochylony, opierając przedramiona na blacie i splatając dłonie.

Po niedługim czasie żołnierz przyprowadził Ranezena. Dowódca

pocztu Denetta nie wyglądał na wyczerpanego dwudniową niewolą — zresztą była to niewola naprawdę bardzo łagodna. Rozbrojonych żołnierzy spętano byle jak i uwalniano z więzów do każdego posiłku. Yokes już na leśnej polanie mógł ocenić dowódcę pocztu i wiedział, że to nie jest narwany młodzik. Ranezen miał świadomość, że dwudziestu pięciu uzbrojonych po zęby kuszników nie dałoby jego podkomendnym nawet najmniejszych szans. Stale domagał się rozmowy z komendantem Sey Aye, lecz — przynajmniej jak dotąd — nie zamierzał wprowadzać w czyn żadnych desperackich zamysłów.

— Wasza godność — powiedział Armektańczyk.

Yokes wskazał miejsce — nie przed sobą, lecz obok, przy krótkiej krawędzi stołu. Nie chciał rozmawiać z Ranezenem jak z wrogiem, twarzą w twarz.

Dowódca pocztu usiadł.

— Jego godność K.B.I.Denett nie żyje, zginął także jego godność Halet — powiedział Yokes. — Nic nie mogłeś na to poradzić, panie. Twoi żołnierze zostali rozbrojeni, bo obawiałem się zamieszania w dobrach jej wysokości.

Stary żołnierz milczał ze ściągniętą twarzą. Oczekiwał złych wieści, ale nie aż takich. Sądził dotąd, że jego pan stał się, z jakichś powodów, niemile widziany w Sey Aye. Był młody i porywczy... może nie chciał dobrowolnie opuścić ziem księżnej, rozbrojono więc jego żołnierzy. Lecz prawda była gorsza. Najgorsza.

— Czy to wszystko, panie? — zapytał po długiej chwili.

— Ciała zostaną wydane jego godności K.B.I.Enewenowi. Jutro rano obejmiesz pieczę nad... konduktem. Niewiele mogę powiedzieć, panie. Ale mogę zapewnić o jednym: jego godność Denett nie zginął z rozkazu, ani za przyzwoleniem, ani nawet za wiedzą księżnej K.B.I.Ezeny. Jeśli zażadasz, bym potwierdził to moim uroczystym słowem, otrzymasz je, wasza godność.

Ranezen długo patrzył w twarz siedzącego obok dartańskiego rycerza, szukając w jego oczach potwierdzenia. Znalazł jakiś cień... ale nie dostrzegł fałszu. Być może komendant Yokes nie wszystko mógł powiedzieć, ale to, co powiedział, na pewno było prawdą.

— Czy miał miejsce jakiś... wypadek? Z tą wiedzą, której udzieliłeś mi, panie, nie będę mógł wrócić do jego godności Enewena, odwożąc mu

zwłoki syna. Syna, którego miałem strzec. Czy dowiem się czegoś jeszcze, wasza godność?

— Tak, ale już nie ode mnie. Jej wysokość nie przyjmie cię, panie, ale w jej imieniu porozmawia z tobą Perła Domu. — Yokes ciężko podniósł się z ławy, dając znak, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Ranezen wstał także... i zaraz usiadł z powrotem. Yokes pojął, że stary żołnierz tylko twarz miał z kamienia. Ukryte w piersi serce krwawiło; dowódca pocztu, znający Denetta od dziecka, nie mógł jeszcze ustać na nogach.

— Siedź, panie — powiedział komendant. — Poczekam na ciebie przed gospodą. Chyba powinienem powiedzieć ci coś jeszcze — dorzucił, idąc do drzwi; zatrzymał się z dłonią opartą o framugę. — Za porządek w Sey Aye odpowiadam ja. Nie istnieją takie nieszczęśliwe wypadki, za które odpowiedzialność mógłbym zrzucić na kogokolwiek innego. Jeśli zażadasz ode mnie zadośćuczynienia, to je otrzymasz.

— Dziękuję, wasza godność. Zaraz stąd wyjdę.

Yokes opuścił gospodę i długo rozglądał się po niebie, obserwując pierwsze oznaki nadchodzącej nocy.

*

Gotah-Przyjęty nareszcie zaspokoił głód.

Zwykły porządek dnia został zaburzony tak bardzo, że żadnego posiłku nie podano o właściwej porze. Nikt za to nie odpowiadał. Pierwsza Perła Domu najpierw spała wraz z księżną do południa, potem wszędzie jej towarzyszyła, wreszcie została zwolniona z obowiązków Pierwszej Perły. Kesa zajmowała się tylko urzędnikami Trybunału Imperialnego; pytana o posiłki niecierpliwie odpowiadała „Później!” lub „Nie teraz!”. Nietknięte śniadanie zabrano więc ze stołu i taki sam, a nawet gorszy los przypadł w udziale wszystkim następnym posiłkom, bo wieczerzy nie było wcale. Tylko posiłki dla służby wydano z kuchni o zwykłej porze.

Goście Sey Aye poradzili sobie różnie. Podsetniczka gwardii ani myślała zniżyć się do prośby o jedzenie w domu, który podejmował ją z tak niezwykłą gościnnością. Podany do komnaty posiłek przyjęła obojętnie, upewniając się tylko, czy nie zapomniano o łuczniczkach w sąsiednim pokoju; wkrótce potem odjechała z Yokesem. Mędrzec Szerni także otrzymał poczęstunek, ale lubił sobie dobrze podjeść i wieczorem

desperacko gryzł owoce, znalezione w koszu postawionym w niszy korytarza (był więc ktoś, kto potrafił docenić zarządzenia Hayny...). Zapadła późna letnia noc, gdy nareszcie poproszono go do stołu. Poprzedzany przez niewolnicę odbył długi spacer po domu i... znalazł się w ogrodzie.

Blisko pałacu, na żwirowym placyku otoczonym żywopłotami, przy fontannie, płonęło kilka dużych zniczy; światło wyrywało niezliczone błyski z pióropuszy szemrzającej wody. Na rozkaz księżnej wyniesiono stół z pałacu i zastawiono pod gołym niebem. Między półmiskami płonęły liczne świece.

Księżna siedziała przy stole, skubiąc obrus — widocznie życzyła sobie, by pozostawiono ją w spokoju. Bo nie była sama, bynajmniej. Kilka kroków dalej, przy fontannie skupiła się grupka ludzi, rozmawiających na jakieś lekkie tematy; dość często rozbrzmiewał śmiech. Jej wysokość jadła zwykle w towarzystwie Pierwszej Perły i Yokesa (o ile komendant nie był w swoim obozie) oraz któregoś z najwyższych rangą dworzan. Tego dnia zaszczyt przypadł w udziale koniuszemu (trzeba trafu, Przyjęty zdążył już poznać koniuszego, zupełnie przypadkowo, bo w trakcie zamieszania po udaremnionym zamachu), ale zaproszono także komendanta gwardii. Były też Kesa i Hayna. Czekano tylko na gościa i gdy księżna poprosiła go gestem o zajęcie miejsca, natychmiast wszyscy siedli do stołu. Tylko Hayna zwlekała przez chwilę, wydając jakieś zwięzłe instrukcje żołnierzowi straży pałacowej, który wyłonił się z mroku, a po chwili odszedł.

Posiłek podano obfity, ale niewyszukany — podobnych potraw Gotah zakosztował w domu namiestnika Wadelara, choć proponowano tam znacznie mniej dziczyzny. Był to więc stół armektański co się zowie i mający armektańską wymowę: drogi gościu — powiadano — jedzenie nie jest ważniejsze niż rozmowa z tobą, jesteś traktowany jak domownik, a dowodem tego brak szczególnych przygotowań, związanych z twoją obecnością. W Armekcie tak właśnie okazywano życzliwość i szacunek, a przejawem największej atencji była słynna armektańską nagość, tak gorsząca przybyszów z innych stron Szereru. Nagość symboliczna, czasem w większym, a czasem mniejszym stopniu; najczęściej zaledwie dyskretna niedbałość stroju, mająca tę samą wymowę co niebogaty stół. „Drogi gościu, jesteś u siebie, traktujemy cię jak domownika i

zachowujemy się jak zawsze, nie przysparzasz nam żadnych kłopotów”. No, ale to już by było nazbyt po armektańsku; Gotah wątpił, by księżna siedziała w podkasanej dla ochłody sukni, bądź pozwoliła wyjrzeć piersiom z rozsznurowanego stanika... Komendant gwardii pałacowej też raczej nie zamierzał ściągać kaftana i straszyć włochatym torseem spod rozwiązanej koszuli.

Jedzącym usługiwały zręczne niewolnice; niewolnych mężczyzn było w Sey Aye bardzo niewiele. Gotah wiedział dlaczego. Niewolników zawsze brakowało, bo byli potrzebni do kopalń, kamieniołomów — słowem, do ciężkich prac. Hodowlanych chłopców przysposabiano do walki, w czyjejś służbie lub na arenach. Natomiast nie zdarzało się prawie nigdy, by wolny mężczyzna, obojętnie jak bardzo przymierający głodem, dobrowolnie sprzedawał się w niewolę. Było pewne, że trafi do morderczej pracy, która go zabije w pół roku. Kobiety nic podobnego nie ryzykowały.

Lekka, ogólna rozmowa przy stole nie męczyła Przyjętego, ale trudno też powiedzieć, by go interesowała; obchodziło go w Sey Aye zupełnie co innego niż letnie upały i związane z nimi wysychanie strumieni. Zadał parę zdawkowych pytań, udzielił kilku podobnych odpowiedzi, zażartował... Nikt mu się nie narzucał, choć z drugiej strony, trzeba przyznać, traktowany był bardzo szczególnie, bo to właśnie przy nim wyznaczono miejsce Perle Domu. Hayna posilała się u boku samej księżnej; Kesa dbała o gościa, proponując czasem danie bardziej godne polecenia od innych, albo wręcz zastępując czekającą za krzesłem niewolnicę. Gotah bronił się trochę, bo Perła wyglądała na śmiertelnie zmęczoną, choć starała się to ukryć; wreszcie sam jej usłużył, dolewając wina do złotego kubka, nim zdążyła to uczynić dziewczyna w kusej szatce. Kesa spojrzała pytająco — i przez krótką chwilę tych dwoje prawie całkiem obcych sobie ludzi prowadziło rozmowę spojrzeń, do której nikt nie umiał się włączyć. Przyjęty pochylił się nagle i powiedział cicho parę słów. Zapytała. Odpowiedział. Roześmiała się i trochę karcąco pokręciła głową.

Ezena, zamyślona i cokolwiek nieobecna, uczestnicząca w ogólnej rozmowie tak mniej więcej, jak mędrzec-Przyjęty, usłyszała krótki śmiech Perły i przez chwilę zastanawiała się, dlaczego to takie ciekawe. Popatrzyła uważniej. Kesa uśmiechała się często, odgradzając od świata

uprzejmym wyrazem twarzy, uniesieniem wygiętych brwi — zdawkowym królewskim uśmiechem, który raczej onieśmielał, niż wywierał skutek odwrotny. Ale nie śmiała się nigdy. Nawet wtedy, gdy żartowała, budząc swoją panią lub rozbierając do snu.

— Keso. Rozmawiałaś już z komendantem Yokesem, czy tak?

Pytanie utonęło w rozmowie koniuszego z Hayną i gwardzistą. Ale Kesa wyłowiła je bez trudu.

— Tak, wasza wysokość. Z dowódcą tego prywatnego pocztu także. Komendant Yokes wrócił z nim teraz do gospody, by wydać rozkazy żołnierzom.

— Stawi się tutaj?

— Gdy tylko wróci — powiedziała Perła.

— Dobrze.

Niewolnica upewniła się, czy jej wysokość nie zapyta o nic więcej, po czym wróciła do rozmowy z Przyjętym. Zaintrygowana Ezena przyglądała się temu, prowadząc błahą rozmowę z Ohegenedem.

„Nie, nie...” — powiedziała sobie w myślach. — „Jeszcze raz”.

Doczekała się bardzo szybko. Przyjęty coś tłumaczył, nozdrza Perły drgnęły leciutko. Przyłożyła palce dłoni do ust, jakby powstrzymując wybuch śmiechu, zerknęła z ukosa na księżną... i przestraszyła się, napotkawszy jej badawcze spojrzenie. Nie wiedziała, jak się zachować.

Ezena nie odwróciła spojrzenia. Zamiast tego uśmiechnęła się z ciepłą kobiecą ironią i przekrzywiła głowę jakby pytała: no, co ty?... Mrugnęła zielonym okiem i zaraz ostentacyjnie zwróciła się do komendanta gwardii, podtrzymując rozmowę z takim ożywieniem, jakby opowiadał nie wiadomo o czym.

Perła poróżowiła na policzkach.

Nikt już się nie posilał, prowadzono tylko leniwe pogawędki. Podczas krótkiej chwili ciszy, gdy nikt akurat do nikogo nie mówił, gdzieś daleko, rozbrzmiało posępne wycie.

— Wilki? — zapytał Gotah.

— Tu ich nie ma — odparł koniuszy. — Psy, panie. Jakies pół mili stąd, albo i trochę dalej, za pałacem jest psiarnia. Z mojej komnaty, z północnego skrzydła, słyhać je o wiele wyraźniej.

— Niestety tak — przytwierdził Ohegened.

— To psy myśliwskie? Nigdy jeszcze nie brałem udziału w

polowaniu z psami.

— O, na pewno będzie okazja, wasza godność! Nie wyjeżdżasz chyba już jutro?

— Właściwie... nie wiem — rzekł Gotah.

Księżna, zamyślona i spochmurniała, pokręciła głową.

— Nie, panie. Chyba że mi uciekniesz. Chcę cię prosić, żebyś został w Sey Aye dokąd... jak najdłużej.

— Dziękuję, wasza wysokość.

— Jest księga, którą bardzo chcę przeczytać, panie.

— Rozumiem, wasza wysokość. Czy spalimy ją potem?

— To zależy od tego, co w niej będzie.

Nikt z obecnych nie miał pojęcia, o czym księżna rozmawia z Przyjętym.

— Późno już — zauważyła jej wysokość.

Koniuszy i gwardzista pierwsi wstali od stołu i życzyli księżnej dobrej nocy.

— Keso, przyślij mi do sypialni Eneę. Nie czekaj, aż się położę, zasłużyłaś na odpoczynek jak nikt inny. Wielu rzeczy dowiedziałam się dzisiaj o tobie.

Perła wstała od stołu, pokłoniła się księżnej i gościowi.

Jej wysokość odprawiła także drugą Perłę. Lecz Hayna nie weszła do pałacu. Stała przy drzwiach i oparta o ścianę spoglądała w rozgwieżdżone niebo.

Księżna i Przyjęty zostali sami przy stole. Mędrzec Szerni nie odszedł, bo powstrzymało go spojrzenie księżnej.

— Wasza wysokość — powiedział — przed nami wiele długich rozmów, rozmów bardzo trudnych, także dlatego że... zabrałem ze sobą niewłaściwą księgę. — Porozumiewawczo skinął głową. — Nie tego oczekiwałem w Sey Aye. Chciałbym rozmawiać już teraz, ale jest noc i lepiej będzie, jeśli oboje poskromimy swą ciekawość. Jutro znów będzie dzień.

Spuściła na chwilę wzrok, bo Przyjęty odgadł wszystkie jej myśli.

— Nie nalegam. Dobrze, porozmawiajmy jutro — powiedziała. — Gdy już będziesz, panie, coś o mnie wiedział, czy zgodzisz się spełnić moją prośbę? Na razie tylko komendant Yokes... a oto chyba i on... — Skierowała twarz ku wejściu do pałacu, gdzie przybyły rozmawiał z

Hayną. — Tylko komendant Yokes wie, kim jestem. Chciałabym, żeby ktoś porozmawiał o tych sprawach z moimi Perłami. Lepiej, żeby nie gubiły się w domysłach.

— Słusznie zauważyłaś, księżno, że sam jeszcze niewiele wiem o tobie. Ale zgadzam się, oczywiście.

Yokes i Hayna posprzeczekali się o coś cicho. Wreszcie niewolnica machnęła ręką. Yokes, w zakurzonym odzieniu, ale chyba niezbyt zmęczony, zbliżył się do stołu i skłonił księżnej z wojskową wstrzemięźliwością. Spojrzał na Przyjętego.

— Wasza godność.

— Komendancie — odpowiedział Gotah.

Yokes otworzył usta, ale księżna zaprotestowała.

— Nie, żadnych szczegółów. Wszystko dobrze?

— Tak, wasza wysokość.

— To mi wystarczy.

W oddali znowu rozbrzmiało wycie psów. Księżna zagryzła usta.

— Wasza wysokość, mam jeszcze jedną sprawę.

— Bardzo ważną?

— Tak.

— No to... słucham.

— Wasza wysokość, muszę zapytać o Anesę.

Przyjęty nastawił uszu.

— Nie dzisiaj, komendancie.

— Dzisiaj, wasza wysokość. Odmówiłaś mi już kilkakrotnie, wprost, lub tylko dając do zrozumienia, że nie wolno mi pytać. Ale teraz chcę wiedzieć.

— Jestem trochę zmęczony... Czy mogę już pożegnać waszą wysokość? — zapytał Gotah.

— Nie — ucięła i znów spojrzała na komendanta. — Powiedziałam wyraźnie: nie dzisiaj.

— Dzisiaj, wasza wysokość. Tu i teraz.

Nieugięta postawa komendanta zdeprymowała księżną. Po raz pierwszy okazywał otwarte nieposłuszeństwo, i to nie w cztery oczy (co prawda, świadek był obecny na jej własne życzenie...). Ale w tym nieposłuszeństwie kryło się coś... właściwego. I pochlebnego dla niej. Ezena zrozumiała, że już naprawdę i dla nikogo nie jest uzurpatorką.

Dartański rycerz mógł kłócić się ze swoją panią, z podniesionym czołem narażając się na jej gniew, a nawet karę. Nigdy nie sprowokowałby kłótni z zajmującą nienależne miejsce praczką...

— Wasza wysokość? — Yokes był nieustępliwy.

— Dobrze — powiedziała poirytowana. — Idź do psiarni i... weź ją sobie. Od dzisiaj to jest twoja niewolnica, daję ci ją i zrób z nią, co ci się podoba. Ja już nie chcę tej... rzeczy. No? Dostałeś, o co prosiłeś, teraz odejdz. Chcę jeszcze porozmawiać z moim gościem o poważnych sprawach.

Yokes skłonił się, odwrócił i poszedł do pałacu.

*

Wycie psów nie mogło dotrzeć do sypialni jej wysokości — a jednak słyszała je stale. Nigdy nie była w psiarni, ale wiedziała, że tam właśnie trzymani są rozmaici winowajcy. Dawno temu, jeszcze za rządów księcia Lewina, słyszała, że posłano tam dziewczyny kuchenne. Niedbałe kuchty przygotowały dla służby posiłek z nieświeżego mięsa; pochorował się cały dom.

Księżna chodziła od ściany do ściany, od okna do drzwi i z powrotem.

— Enea!

Dziewczyna stawiała się natychmiast. Ezena dała znak, że chce być rozebrana. Niecierpliwie przytupywała, czekając, aż puszczą wiązania na plecach. Wkrótce niewolnica zabrała suknię i wyszła.

Księżna swoim zwyczajem podeszła do zwierciadła. Chciała usiąść na krześle, ale wcześniej zobaczyła kasztanowe włosy, uwolnione już ze złotej siatki, równym kręgiem rozsypane wokół głowy. Porwała ciężkie krzesło za oparcie i grzmotnęła nim w kryształową taflę.

Enea wbiegła do komnaty. Księżna zamierzyła się krzesłem. Nie doleciało do drzwi, ale porwała drugie, stojące znacznie bliżej. Wysoka i bynajmniej nie drobna pani Sey Aye była kiedyś hożą wiejską dziewczyną, a potem praczką targającą kosze z mokrą bielizną. Enea uciekła. Krzesło załomotało na marmurowej posadzce. Znów posypało się szkło; jej wysokość tłukła o ściany wszystkie lustra, jakie były w komnacie.

Z ogrodu dobiegało wycie psów.

Było jeszcze łoże z baldachimem. Ponury nagi demon zdarł zasłony i z sumienną zajadłością jął rwać na strzępy. Kłęb szmat wylądował pod

oknem. Wlokąc za sobą ostatnią zasłonę, która jeszcze mogła się przydać, księżna chodziła od ściany do ściany, od okna do drzwi i z powrotem.

Ciężki oddech uspokajał się powoli.

Za drzwiami, w przedpokojach, wszczęło się jakieś poruszenie. Kobięcy głos protestował; odpowiedział mu męski. Księżna spojrzała spode łba, owinęła się zmiętoszoną zasłoną i ruszyła ku drzwiom, jakby chciała wyważyć je głową.

Otworzyły się z łomotem, zanim doszła. Komendant Yokes grzmotnął w nie barkiem i plecami, okręcił się na pięcie i wszedł do komnaty, niosąc coś, co wyglądało jak stłamszony pod oknem sypialni kłęb szmat. Obrzucił wzrokiem panią Sey Aye, ale nie zauważył jej stroju ani pobojuwiska w komnacie. Przez długą chwilę stał nieruchomo, a potem uczynił słaby ruch, jakby chciał podać księżnej to, co trzymał w ramionach. Ezena cofnęła się ze ściśniętym gardłem.

— To twoja Perła, pani. To była twoja Perła.

Głos męczyzny, ochrypty ze zmęczenia, pasował do poczerwieniałej twarzy. Yokes niósł Anesę przez dobre ćwierć mili, a potem jeszcze przez korytarze domu.

— Dostałeś ją ode mnie — powiedziała z mocno bijącym sercem. — Miałeś z nią zrobić, co ci się podoba.

— Chciałem zrobić tylko jedno: przynieść ci ją tutaj.

— To moja sypialnia.

— Mogę widzieć się z tobą, kiedy zechcę, pani. Nie cofnęłaś tego przywileju.

Błada Ezena nie mogła oderwać wzroku od spuchniętych stóp, kołyszących się poniżej ramienia męczyzny. Twarzy Anesy, okrytej skołtunionymi włosami i opartej na ramieniu komendanta, nie widziała. Yokes podszedł do pośłania i delikatnie złożył na nim przyniesiony ciężar. Dotknął ręką brudnych włosów, a potem szybko uniósł dłoń do policzka, usuwając z twarzy maleńką plamkę wilgoci.

— Zostawiam ci ją, wasza wysokość. Kazałaś mi zrobić, co zechcę... więc zrobiłem. Jutro stawię się do raportu.

Odwrócił się, jeszcze raz spojrzał na księżną i wyszedł.

Na dłoniach leżącej dziewczyny widoczne były wąskie białe pręgi, otoczone czerwienią. Tylko dwie... Być może Perła, po rozmowie z urzędnikiem Trybunału, żywiła w sercu cichutką nadzieję, że ominie ją

wieczorna część kary. Gdy nadzieja okazała się złudna, rozpacz i ból wygrały z dumą. Bita dziewczyna próbowała zasłaniać się rękami, zanim przytrzymano jej ramiona. Dowiedziała się, że nie będzie przebaczenia. Ezena podeszła do łóżka i przysiadła na samym skraju. Przerażony i wymęczony kłębek przed nią dygotał. Jak zbity pies... Milczenie w sypialni trwało bardzo, bardzo długo.

— Proś — powiedziała cicho księżna.

Niewolnica lekko poruszyła głową i z trudem otworzyła załzawione oczy. Rozmazana twarz pani Sey Aye była blisko i daleko zarazem.

Poprzygryzane z bólu wargi i język nie chciały składać się do słów.

— Proszę cię... Ezeno...

Tylko dwa dni. A nawet mniej, bo jeszcze późnym popołudniem Perła potrafiła rozmówić się ze śledczym. Ale potem odebrano jej nadzieję. Chore oczy znów wezbrały łzami i tym razem nie za sprawą psiej sierści. Anessa nie potrafiła już nawet poprosić. Tylko dwa dni, lecz w psiarni czas płynął inaczej... Ogłuszona bólem i nieustannym ujadaniem psów niewolnica z najwyższym trudem umiała przypomnieć sobie twarz księżnej, jej różnobarwne oczy... granatowe włosy i śmiało zarysowane usta... podbródek...

— Zginął mój gość, syn Domu K.B.I. — powiedziała księżna Ezena.

— Stawisz się przed jego ojcem i przyznasz do lekkomyślności. Stawisz się... tak jak teraz. Chcę, by jego godność Enewen dowiedział się, jak księżna Sey Aye traktuje niewolnicę, która towarzyszyła jego synowi podczas wieczornego spaceru i ośmieliła się nie zginąć wraz z nim. Przyznasz się do tchórzostwa. Opiszesz zamachowców. I poniesiesz karę, jaką ci wyznaczy ojciec tego chłopca. Potem, jeśli będzie to możliwe... a wiem na pewno, że będzie... wrócisz do mnie, do Sey Aye.

Zapłakana Perła nie mogła odpowiedzieć. Ukryła twarz w dłoniach i skinęła tylko głową, że rozumie.

— Płaczesz po raz ostatni — powiedziała księżna, wstając i niecierpliwie odrzucając włosy na plecy. — Ja już nie umiem, oduczyłam się... i ty także nie będziesz umiała. Rozumiesz? Oduczysz się.

— Ezeno...

— Słucham.

— Kocham cię — powiedziała z płaczem Perła. — Jestem twoją własnością i zrobię wszystko... co każesz...

Rozszlochała się, wtulając twarz w poduszkę.

— Ale myślę i czuję... pamiętaj czasem o tym... Nie jestem rzeczą, Ezeno...

Księżna poczuła, że jednak... nie oduczyła się czegoś. Odrzuciła głowę do tyłu i przez chwilę patrzyła do góry, choć w sypialni nie było wiatru, który osuszyłby oczy... Potem kolejno dotknęła nozdrzy kostkami palców i bezwiednie odgarnęła z czoła kosmyk granatowych włosów. Wciąż owinięta zerwaną z łóżka kotarą, wyszła z sypialni i minęła Eneę, która szeroko otworzyła oczy na jej widok.

— Niech Seva i Ayana przygotowują mi drugą sypialnię — stłumionym głosem powiedziała jej wysokość, idąc do ulubionej komnaty z czterema oknami wychodzącymi na park. — Znajdź je. Potem wrócisz tutaj i usłużysz Pierwszej Perle Domu.

Część czwarta. Rycerz

23.

Katafalk z czarnego marmuru samotnie tkwił pośrodku zatłoczonej sali. Dębową trumnę okryto rycerską tuniką w barwach Domu K.B.I., leżał na niej miecz, a poniżej ostrza oparto hełm. Ciało nie można było wystawić; mimo specjalnych zabiegów, którym zostało poddane jeszcze w Sey Aye, letni skwar dokonał wstrętne dzieła.

Sala, ogromna jak miejski rynek, była zapchana do ostatniego miejsca. Od niepamiętnych czasów żaden pochówek w Dartanie nie zgromadził tylu żałobników. Tylko od drzwi do katafalku, a także wokół niego, otwierała się wolna przestrzeń. U wezłowania trumny, wsparty na dwuręcznym mieczu, stał stary dowódca pocztów jego godności Enewena. Ranezen, zakuty w paradną zbroję, miał czarny płaszcz rycerski, okrywający plecy i lewe ramię, na głowie zaś przyłbicę z opuszczoną zasłoną. Ostatni strażnik K.B.I. Denetta czekał, by poprowadzić swego młodego pana w najdłuższą, niekończącą się podróż. Znak przebaczenia, a zarazem straszna kara dla kogoś, kto miał stać na straży życia, nie zaś spokoju po śmierci.

Odwiecznym zwyczajem, wokół katafalku, w starych zbrojach rodowych i czarnych płaszczach, jak Ranezen, stali synowie najznamienitszych Domów. Wielu. Tak wielu, że jego godność Denett spał z daleka od pomruku wypełnionej sali, odgradzony od ciżby wielkim kręgiem stu wojowników. Szpaler wiodący do wejścia tworzyli żołnierze w służbie pana K.B.I. Lecz nie tylko oni... Na początku, więc przy samym wejściu i przed wejściem, stało trzydziestu kilku zbrojnych z tarczami, na których, oprócz liści dębu, pyszniła się szkarłatna korona książęca. Ludzie ci, okryci zbrojami tak świetnymi, jakich nie mieli najbogatsi dartańscy magnaci, wszyscy nosili na ramionach czarne płaszcze, przynależne nie prostym żołnierzom, lecz żałobnikom-rycerzom. Pani Dobrego Znak przysłała K.B.I. Enewenowi kwiat swojego wojska: zubożałych, lecz mogących wykazać się Czystą Krwią, najemnych wojowników, których rody od dziesięcioleci i stuleci służyły rodom

bogatszym, ale nie lepszym od siebie.

Wieść o śmierci syna Enewena wstrząsnęła Domami Dartanu. Lecz jeszcze większym wstrząsem był widok rycerzy w służbie Sey Aye, włączonych do uroczystości żałobnych. K.B.I.Enewen uznawał w ten sposób armektańską uzurpatorkę. Mógł być jej wrogiem, mógł żywić nienawiść — ale już tylko taką, jaką mężczyzna Czystej Krwi może żywić do równej mu kobiety; jaką rycerz Domu może mieć dla damy Domu.

Huk stalowych rękawic uderzających o tarcze rozszedł się po sali i ugrzązł w ciżbie, lecz rozmowy natychmiast zgasły.

W zupełnej ciszy brzęk ostróg i szcęk trących o siebie płyt starej zbroi dochodził do uszu każdego. Jego godność K.B.I.Enewen, z hełmem pod pachą, szedł na ostatnie spotkanie ze swym jedynym synem. Wypolerowana i przechowywana z wielkim pietyzmem rodowa zbroja, kilkakrotnie przebita, przypominała o chlubnej śmierci przodka — oto była godna każdego szacunku relikwia, dająca świadectwo, jakie ciosy powaliły rycerza Domu K.B.I. Prawy nakolaniek i nabiodrek poszczerbiły liczne wrogie ostrza. Wygięty w dwóch miejscach od uderzeń bojowych młotów napierśnik rozszczepiony był z boku, przy dolnej krawędzi, żeleźcem halabardy lub topora, ale najwięcej mówiła niewielka dziura o nierównych brzegach, ziejąca na wysokości serca... Tej kopii nie wbito w pierś martwego jeźdźca; krwawiący z ust rycerz w rozbitej maczugami zbroi, z połamanymi żebrami i zgruchotaną nogą, z biodrem przerąbanym ciosem topora, jeszcze raz ruszył do szarży — lecz nie zdołał już utrzymać w ręku tarczy...

Ostrogi brzęczały na granitowej posadzce.

Twarz Enewena była spokojna i skupiona. Nikt nigdy nie widział, by jego godność śmiał się albo płakał. Młody Denett swój wesoły uśmiech odziedziczył po matce; zawdzięczał jej także twarz, postawę, a nawet barwę głosu. Był męskim odbiciem kobiety, która wydała go na świat, płacąc życiem. Po ojcu miał tylko rycerską rękę i krzepkie uda jeźdźca nad jeźdźcami. Kto wie, czy w konnej walce nie zatriumfowałby nad słynnym Rycerzem Bez Zbroi, jego godnością J. Wenetem, przybyłym przed pięcioma laty do Rollayny tajemniczym olbrzymem, o którym opowiadano najprzedziwniejsze historie? W walce pieszej Wenet nie miał sobie równych; w walce konnej mogłoby mu sprostać najwyżej kilku dartańskich rycerzy, a w ich liczbie być może sam Enewen i właśnie

młody Denett, od lat marzący o turniejowej sławie.

„Synu, gdybym wiedział, że umrzesz w dzikim lesie pod ciosami tchórzliwych skrytobójców, po stokroć dałbym ci zginąć w sławnej walce oglądanej przez setki zachwyconych oczu. Przebacz mi”.

Jeśli takie były myśli jego godności Enewena, to mógłby wypowiedzieć je głośno. W wielkiej sali, pośród głuchoj ciszy, wszystkim wydawało się, że je słyszą.

Wieczny pokój, narzucony w granicach Wiecznego Cesarstwa, sprawił, że pochówki zgodne z wojenną tradycją miały miejsce niezwykle rzadko. Synowie magnackich i rycerskich Domów nie ginęli w walce. Czasem umierał na arenie, lub później, z odniesionych ran, ubogi rycerz, walczący nie dla chwały i sławy, ale dla pieniędzy. Należał mu się rycerski pochówek, ale skromne uroczystości, na miarę znaczenia poległego, nie spełniały wszystkich wymogów tradycji. Nie przybywali żałobnicy z całego Dartanu; nie lśniły zbroje sprzed czterystu lat; okryte płaszczami kobiety nie nosiły — bo nie miały — wojennych sukni skrojonych według starych wzorów. Tym razem wszystkiego było w nadmiarze. A przecież przybyli tylko ci, których zdołano powiadomić dość wcześnie, by podróż do majątku pana K.B.I. nie mijała się z celem — a więc przedstawiciele rodów z okręgu Rollayny i okolic Seneletry... Niemalę włości Enewena z trudem mieściły poczty i służbę przybyłych; żołnierskie namioty pocztowych utworzyły na błoniach istny obóz wojenny. Dom z trudem pomieścił przybyłe damy rodów, które wszakże musiały się obyć niemal bez posługi — łatwe w noszeniu wojenne suknie naprawdę bardzo się przydały, i to nie tylko dla zadośćuczynienia tradycji, bo niejedna kobieta Czystej Krwi zmuszona była radzić sobie sama. Dla przybyłych z paniami Pereł brakło miejsca: prawie dwieście takich niewolnic zamieszkało w smukłym pałacu Enewena w Rollaynie — był to więc nie dom, a istny skarbiec wypełniony klejnotami o wartości ćwierci miliona sztuk złota. Lecz Rollayna leżała zbyt daleko, by mogli tam zamieszkać, korzystając z gościnności innych wielkich Domów, przybyli zewsząd znamienici podróżni.

Każdy krok, każde poruszenie K.B.I.Enewena, idącego ku trumnie, obserwowały setki par oczu. Większość zgromadzonych w sali ludzi po raz pierwszy w życiu — i zapewne po raz ostatni — oglądała rycerski pogrzeb syna magnackiego Domu.

Enewen stanął przed katafalkiem.

W sali zaległa cisza tak kompletna, że dało się słyszeć ohydne brzęczenie przylatujących do trumny much.

Poległy winien opierać dłonie na mieczu, hełm zaś mieć w nogach śmiertelnego łoża. Najbliżsi krewni i towarzysze broni zabitego winni dotknąć hełmu bądź miecza. Miecz i hełm położono na trumnie, lecz to nie zmieniało wymowy obyczaju.

Dotknięcie hełmu było oddaniem sprawiedliwości rycerskim przeciwnikom zabitego — przeciwnikom, którzy spełnili reguły honorowej walki. Dotknięcie miecza oznaczało pragnienie zemsty, zaś wzięcie go do ręki jeszcze więcej, bo uroczystą rycerską przysięgę: „Pomszczę cię albo umrę”. Bardzo ostrożnie i dość rzadko wybierano drugą możliwość, bo łatwo było zostać posądzonym o nieszlachetny gest. Zrozpaczony syn, ojciec lub brat zabitego nie mógł pozwolić na domniemanie, że żal po utracie najbliższej osoby przeważał nad poczuciem sprawiedliwości.

Enewen milczał, z twarzą nieruchomą jak zasłona hełmu stojącego przed nim Ranezena. Przez wąską wizurę patrzyły nań szare oczy starego Armektańczyka. Ojciec zabitego cofnął się nagle o krok i wyciągnął prawicę, pokazując krótkim gestem, że ustępuje mu miejsca. Nikt nic nie powiedział, ale po sali przemknął szmer poruszonych sukni, trąconych nogami mieczów, oddechów. Pan Domu K.B.I. uznawał dowódcę swych pocztów za towarzysza broni poległego syna. Ranezen, od lat pozostający w służbie Domu, miał prawo do rycerskiego pierścienia na palcu i miał prawo do oceny tej śmierci.

Stary żołnierz lewą dłonią ujął swój dwuręczny miecz za zastawę, prawą uniósł do twarzy i otworzył przyłbicę. Uczynił kilka kroków i spokojnie, bez wahania, ujął rękojeść broni Denetta, zważył żelazo w rękę, a następnie podniósł wysoko do góry. Żywe złoto, niesione na wpadających przez okna sali słonecznych promieniach, spłynęło po nagiej głowni aż do jelca. Ranezen odłożył broń, zamknął hełm i wrócił na swoje miejsce. Zgrzytnęło ostrze dwuręcznego miecza, mocno opartego o posadzkę. Jego godność Enewen nie zamierzał celebrować widowiska, bo tym dla większości obecnych była śmierć jego syna. Gdy tylko dowódca pocztów wrócił na swoje miejsce, pan K.B.I. podszedł do trumny, dotknął jej, potem wziął miecz Denetta, odwrócił się i ruszył ku

wyjściu, otoczony wzbierającym pomrukiem. Oczywiście, że wobec skrytobójczego zamachu niepodobna było postąpić inaczej. Ale tym bardziej niezrozumiale jawiła się obecność na pogrzebie pocztów samozwańczej księżnej Sey Aye. Ponadto większość zgromadzonych uważała, że dotknięcie broni wystarczyłoby najzupełniej. Jego godność zapędził się jednak, przysięgając, że własną śmiercią gotów okupić... co właściwie? Ukaranie śmiercią szalonej niewolnicy?

Jego godność K.B.I.Enewen opuścił salę, unosząc miecz syna.

*

W nocy rozszały się pożary.

Rodowy grobowiec przyjął trumnę jedyne go spadkobiercy i następcy K.B.I.Enewena. O granitowy sarkofag oparto tablicę z imieniem poległego, lecz nie wyłobiono na niej żadnego innego napisu. Nagrobna płyta czekała na epitafium, którego treść zależała chyba od tego, co uczyni związany rycerskim ślubowaniem ojciec zamordowanego.

Zaś ojciec Denetta palił własne dobra.

Zgiełkliwa i huczna stypa na wolnym powietrzu przeciągnęła się do późnej nocy. Żałobnicy jedli i pili, zawierali nowe znajomości i odnawiali stare. Dom, objęty w posiadanie przez damy dartańskich Domów, huczał od plotek. Przy stołach, gdzie od nastania nocy biesiadowali przede wszystkim mężczyźni, snuto domysły bardziej powściągliwie, ale i bardziej buńczucznie. Kobiety w domu mówiły o skandalu i księżnej-niewolnicy. Mężczyźni przy stole rozmawiali o jej pocztach. Kobiety gubiły się w domysłach, kim właściwie jest pani Sey Aye; w Dartanie od pewnego czasu krążyły pogłoski przywiezione z Puszczy przez kupców i różnych obieżyświatów — wieści o nieślubnej córce starego księcia Lewina bardzo łatwo torowały sobie drogę do właściwych uszu. Mężczyźni z pucharami i kielichami w dłoniach obliczali, ile warte są zbroje przysłanych na pogrzeb rycerzy; ile warte w złocie, a ile na wojnie. Kobiety mówiły o sukni przysłanej z Sey Aye Perły Domu, a także o samej Perle, zgadzając się, że wartość ma co najwyżej suknia. Mężczyźni mówili tylko o Perle, bez dwóch zdań zgodni, że suknia jest zbędna. W obozie pocztowych żołnierze wygadywali niestworzone historie o ruszającej już jutro wojennej wyprawie do Puszczy. Wszechobecni niewolnicy zgadywali, czy ich los ulegnie poprawie, czy przeciwnie.

Nigdzie nie było miejsca dla K.B.I.Enewena.

Pogrzeb dobiegł końca. Ojciec zamordowanego chłopaka — już nie magnat, nie rycerz i nawet nie gospodarz, bo wszędzie obywano się bez niego — siedział w pustej komnacie, w domu huczącym od plotek obcych kobiet, i pił wino. Nie było przy nim matki Denetta, której ból kazałby mu zapomnieć o własnym. Nie było córek ani młodszych lub starszych synów, bo Denett był jedynym dzieckiem Enewena. Nie było przyrodnich sióstr i braci, bo młodsze rodzeństwo nie mogło przybyć z drugiego końca Dartanu, a starsi bracia z Rollayny stawili się wprawdzie na pogrzebie, lecz nie zechcieli objąć człowieka, którego mieli za złodzieja rodowych monogramów i który teraz pozwolił stać w szpalerze sługom zabójczyni; brat czekał na pierwszą rozprawę, a potem na rozstrzygnięcie procesu, który wytoczył niewolnicy. I drugiego procesu, który wytoczył złodziejowi krwi rodowej. Postarzały w ciągu żałobnego tygodnia rycerz czytał dwa listy, jeden krótki, a drugi nieukończony — jedyne listy, jakie w całym życiu napisał do niego syn. Zerwał się wreszcie i poszedł szukać Ranezena.

Silny oddział pędzących dokądś jeźdźców przewalił się po błoniach, między domem a szeroko rozstawionymi stołami, potem jeźdźcy wpadli do obozu pocztowych, nieledwie tratując kilku żołnierzy. Wypadłszy z drugiej strony, zniknęli w mroku nocy. Nie wiadomo było, dokąd popędzili ludzie w barwach Domu K.B.I., uwagę przykuł tylko prowadzący ich znakomity jeździec, potrafiący nakłonić wierzchowca do wzięcia niemożliwych przeszkód. Przez jakiś czas roztrząsano sprawę tej zagadkowej galopady, potem wróciły ciekawsze tematy. Do czasu, aż w oddali wystrzeliły ognie.

Jego godność Enewen na czele swoich żołnierzy wyganiał chłopów z chałup i palił niepotrzebne już wioski pochowanego syna.

24.

Dartańscy posiadacze świetnych nazwisk rozjechali się do swoich dóbr. Wielu skorzystało z okazji, by zabawić trochę w Rollaynie.

Dom Enewena stał pusty i cichy.

Stał pusty i cichy od dwóch miesięcy bez mała, bo od chwili, gdy Denett wyjechał do Sey Aye. Lecz jeszcze do niedawna, zamiast Denetta

w komnatach były plany i nadzieje z nim związane. Świetna przyszłość... Majątek, znaczenie... Staroksiążęca korona. Jego książęca wysokość Denett, pan Sey Aye.

Teraz w domu nie było nikogo — i nic.

Przysłana przez panią Puszcy wystraszona i dzika Perła, wybornie pasująca do wyobrażeń o najnowszych porządkach w Dobrym Znak, być może nie była taka głupia, na jaką wyglądała (nie mogła być, bo w żaden sposób nie zostałaaby Perłą), ale surowa pani, do której należała, napędziła jej sporo strachu. Jego godność Enewen wysłuchał z mieszaniną bólu, litości i wstrętu historii o zabójstwie swego syna. Nawet przez chwilę nie powstało mu w głowie obwinianie o cokolwiek nieszczęśnicy, która, towarzysząc Denettowi podczas wieczornego spaceru, nieledwie sama postradała życie — cóż kosztowna ozdóbka, przyuczana w hodowli do wszystkiego, a najmniej do walki, mogła począć przeciw mordercom, potrafiącym zakłuć przyboczną niewolnicę, wyszkoloną gwardzistę, a na koniec młodego rycerza? Niewolnicy mieli wiernie służyć, ale K.B.I.Enewen nie był jakimś potworem, gotowym zaraz pławić się we krwi. Dziwił się co najwyżej, że księżna przysłała mu to wystraszone i oczekujące srogiej kary zwierzę, choć doceniał gest, bo Perła była w końcu ostatnią istotą, która widziała jego syna żywego.

W pustej komnacie pustego domu, z pustką w sercu, jego godność Enewen po raz kolejny rozwijał listy przysłane przez księżnę Ezenę. Pierwszy był krótki, podpisany przez dowódcę jej pocztów — żołnierza i rycerza, którego imię dobrze było znane w Dartanie.

M.B.Yokes pisał:

Wasza Godność, nie jestem biegły w sztuce układania listów, przebac mi więc żołnierską oschłość i zwięzłość. Pismo to kieruję do Waszej Godności bez pozwolenia i wiedzy Jego żołnierza, dowódcy przysłanego do Sey Aye pocztu. Jego godność Ranezen miałby mi za złe wstawiennictwo, którego zresztą na pewno nie potrzebuje, proszę więc, Panie, byś nie wydał mnie przed swoim oficerem.

Wasza Godność, o wydarzeniach w Sey Aye pisać nie mogę i nie chcę, bo ważniejsza ode mnie Osoba zechce zwrócić się do Ciebie w tej sprawie. Pragnę napisać tylko, że to za moją sprawą żołnierze Waszej Godności nie mogli zapobiec nieszczęściu, do mnie bowiem należało wyznaczenie im kwater i moich rozkazów obowiązani byli służyć w dobrach Jej Wysokości. Także za moją sprawą nie mogli potem poszukiwać i ścigać zabójców; Wasza Godność łatwo zrozumiesz, dlaczego na to nie pozwoliłem. Ubolewam nad nieszczęściem, które Cię dotknęło, i po części czuję się za nie odpowiedzialny, bo zawiodłem jako żołnierz stojący na straży spokoju w dobrach mojej Pani.

Przyjmij, Wasza Godność, wyrazy poważania i pamiętaj proszę, że rozliczanie twych żołnierzy trzeba zacząć ode mnie.

M.B.Yokes
komendant prywatnych oddziałów
Jej Księżęcej Wysokości K.B.I.Ezeny
w Dobrym Znaku

Był to list żołnierza, który wstawiał się za innym żołnierzem, ale z treści wyzierało coś jeszcze, co dla jego godności Enewena miało duże znaczenie: przede wszystkim był to list rycerza, którego przodkowie służyli nawet dartańskim monarchom. Teraz zaś ów rycerz jawił się jako sługa bez reszty oddany swojej pani — pani, którą gorsi od niego chcieli mieć za zwykłą niewolnicę.

Drugie pismo, znacznie obszerniejsze, przysłała sama księżna Sey Aye. W nagłówku i podpisie, zamiast monogramów, użyto pełnego brzmienia wszystkich imion rodowych — było to zastrzeżone wyłącznie dla spadkobierców tradycji jednego rodu, w prywatnej i najbardziej poufnej korespondencji.

Jego Godność
Keness.Baven.Iss.Enewen
w dobrach Domu
Panie,

cokolwiek napiszę, będzie niewłaściwe, bo zbyt tanie i błahe wobec ojcowskiego bólu. Nie potrafię go podzielić ani nawet ogarnąć; wybaczysz mi tę szczerość i na pewno przyznasz, że nie mając własnego syna, następcy i dziedzica, można tylko nieśmiało domniemywać, co czuje ktoś przeżywający taką stratę. Nie pozwolę sobie na dalsze jątrzenie Twojej rany, bo zabraknie mi odwagi do kontynuowania tego listu.

Wasza Godność, nie mogę uchylić się od podziękowań wobec jedynego człowieka, który podał mi rękę wtedy, gdy wszyscy inni mieli dla mnie tylko wzgardę. Nie zasłużyłam na nią i gotowa jestem wytłumaczyć, dlaczego — ale wytłumaczę się tylko przed Tobą, a dlatego właśnie, że Twój Syn gotów był uznać wszystkie moje prawa. Dla innych mam tylko milczenie.

Wasza Godność, najpierw powiem, że okoliczności śmierci Twego Syna, a także drugiego zamachu, którego ja sama byłam celem, w moim imieniu przedstawi niewolnica doręczająca ten list. Uczynisz z nią, co zechcesz, Wasza Godność, jest to bowiem bezmyślny i zbędny mi klejnot, który dawno już powinnam wyrzucić albo sprzedać. Jego Godność Denett miał prawo czuć się w moim domu jak u siebie; udzieliłam mu tego prawa i nie rozstaję się z myślą, że powinnam wykazać większą dbałość o wszystko. Tak, o wszystko — więc komnaty, które zamieszkiwał, posiłki, które jadał, a na koniec niewolną służbę, którą się otaczał. Nic już nie naprawi tego zaniedbania. Odpowiadam za swoją niewolnicę, Wasza Godność, i gotowa jestem z pochyloną głową stawić się przed Tobą, przyjmując odpowiedzialność za śmierć Twojego Syna, a także — przebac mi, Panie, ale chcę choć raz użyć słów, których nigdy użyć nie zdążyłam — mojego Narzeczonego, zaś w nieodległej i nieosiągalnej już przyszłości, Męża, Księcia Dobrego Znaku. Nie kochałam Twego Syna, Wasza Godność, ale może powinnam napisać: jeszcze nie kochałam, bo gotowa byłam

pokochać i oddać mu Puszcę Bukową nie tyle z rozsądku, co z potrzeby serca. Nie uznasz tego, Wasza Godność, za nieszczere, bo powtórzę raz jeszcze: nie uchylam się od stawiennictwa przed Tobą i gotowa jestem odpowiadać za wszystko, co zdarzyło się pod dachem mego domu.

Lecz tylko przed Tobą, Wasza Godność: przed Rycerzem Domu K.B.I., a przede wszystkim ojcem, który ma prawo żądać ode mnie zadośćuczynienia. Nie stawię się przed urzędnikiem przybyłych znikąd koczowników, którzy w imieniu Czystej Krwi Dartanu pragną ferować swe wyroki. Nie stawię się też przed wstrętymi chciwcami z Rollayny, z których żaden nie śmiał sięgnąć po to, co — jak mniema — słusznie mu się należy. Dartańskie Domy zapomniały o rodowej dumie, Wasza Godność, i jest mi obojętne, czy nikt poza mną o niej nie pamięta. Pobiłabym poczty każdego zuchwalca, który ośmieliłby się wyciągnąć rękę po moją własność — lecz pobiłabym je jako księżna Dobrego Znak, tocząca rycerską walkę z wojownikiem. Ci, co pragną, tchórzliwie i za pośrednictwem obcych urzędników, podawać w wątpliwość rozsądek mego zmarłego Małżonka, ostatniego z prostej linii władcy Puszczy Bukowej, nie mogą liczyć na żadne względy, a tym bardziej szacunek wdowy po Nim i dziedziczki wszystkich tradycji Domu. Nie ścierpię żadnych zarzutów wysuwanych przeciw Księciu K.B.I.Lewinowi, bo jestem jedyną osobą mającą prawo i obowiązek Go bronić, gdy sam już bronić się nie może.

Wasza Godność, nie znam jeszcze całej prawdy o skrytobójczych zamachach, które miały miejsce w moim domu. Ale gotowa jestem wesprzeć Cię, Panie, we wszystkich usiłowaniach mających na celu poznanie tożsamości sprawców, a myślę o sprawcach prawdziwych, nie narzędziach, których używają. Wasza Godność, w każdej chwili wolno Ci przybyć do mojego domu, na czele dowolnie licznych pocztów. Poznasz prawdziwą panią Puszczy Bukowej i dowiesz się, dlaczego właśnie ona została wybrana przez księcia K.B.I.Lewina. Przeczytasz stare kroniki rodu, ujrzysz starożytne artefakty i relikwie. Na koniec pokłonisz się prochom wielkich Krewnych i Przodków, pokażę Ci bowiem cmentarz władców Dobrego Znak. Zrozumiesz, jaką misję mi powierzono, i wesprzesz mnie lub staniesz przeciw, lecz powodowany wiedzą, nie zaś fałszywymi wyobrażeniami. Tylko Ty, Wasza Godność, i na razie nikt inny. Nade wszystko dotkniesz, Rycerzu, ziemi, w którą wsiąkła krew Twojego Syna, i rozstrzygniesz, czy wraz ze mną chcesz pomścić Jego śmierć, czy też pozostanę w tym zamiarze sama. Postawię przed Tobą niedoszłego mego zabójcę, pojmanego przez gwardzystów pałacowych, a wówczas dowiesz się, kim jest i komu służy ten człowiek, mogący dowieść swej tożsamości. Jeśli wszystko, co usłyszysz i zobaczysz, utwierdzi Cię, Panie, w przekonaniu, że jestem jedyną osobą, której możesz dosięgnąć i którą chcesz pociągnąć do odpowiedzialności, ugnę się, bo moja niewolnica uciekła, kiedy mordowano gościa jej pani. Przed Tobą, K.B.I.Enewenie, odpowiem za ten uczynek, co powtarzam po raz trzeci i ostatni. Przed Tobą, ale tylko przed Tobą.

Bądź zdrów.

Keness.Baven.Iss.Ezena

pani Dobrego Znak

Tego listu nie pisała niewolnica.

Tom drugi. Wieczne Cesarstwo

Część piąta. Oddech Arilory

25.

Nigdy nie chorował. Dolegliwości, które powalały innych, miał za niepoważne. Utrata apetytu, słabość, ból, ślepotą... Nigdy tego nie doświadczył. Nigdy dotąd.

Miał lat trzydzieści sześć i uważał, że ciało na pewno już go nie zdradzi. Gdyby chciało okazać nielojalność, okazałoby dawno. Choćby jakiś cień nielojalności.

Było bardzo wierne. Dobre ciało.

— Yy — powiedział.

Tego poranka oddano mu wszystko naraz. Nic nie zginęło przez wszystkie te lata. Otworzywszy oczy, namiestnik natychmiast oślepl — wpadające przez okno światło wiosennego dnia wdarło się w głęb czaszki i poczyniło wewnątrz straszne spustoszenia. Ból przewiercił skronie na wylot. Wadelar sieknął głucho, lecz było jasne, że musi wstać i iść... Nie wiedział, dokąd. Gdzieś, gdzie była woda.

Przytknięto mu do ust krawędź naczynia. Zaczął pić. Woda! Woda... Wypił i wiedział, że nigdy nie zdoła spłacić długu wobec miłosiernej istoty, która bez żadnych warunków uratowała mu życie.

— Aaa... — powiedział z ulgą. — Aa... Aaa.

Wysoki kobiecy głos zabołał. Okrutnica bawiła się z nim, na zmianę pojąc wodą, to znów mówiąc.

— Wasza dostojność, koniecznie trzeba coś zjeść. W przeciwnym wy...

— Nnnn! — krzyknął Wadelar. — N... nnnn...

Na myśl o posiłku żołądek wlaź mu do gardła. Zbita z tropu kobieta zamilkła. Zemściła się po chwili, mówiąc znowu:

— A jednak trzeba koniecznie.

Bezceremonialnie wetknęto mu coś w usta. Chciał krzyknąć i

wypluć, ale... poczuł smak. Kto wie?... To mogło mieć sens. Żołądek cofnął się na swoje miejsce i jął potakiwać. Może warto mu było zaufać?... Ostrożnie i jednak nieufnie namiestnik zacisnął zęby na ogórku; kwaśny sok spłynął do gardła.

— Mhm — powiedział.

Kiszony ogórek był dobry. Żołądek chciał przyjąć ogórka.

— Wasza dostojność?

— Jeszcze — niewyraźnie powiedział Wadelar. — Najlepiej chyba sam sok.

Zachrobotął kamionkowy garniec, postawiony u wezgłowie łóżka.

— Zaraz coś znajdę — powiedziała niewolnica. — Kielich jest za duży... Nie mogę nim zaczerpnąć.

Namiestnik rozchylił powieki, westchnął, bohatersko przetoczył się na bok i gdy mignął mu przed oczami okrągły obrys garnca, wpadł weń twarzą. Pił. W zielonobrunatnej wodzie pływał koper i ząbki czosnku.

— Aaa! — powiedział znowu, z powrotem przetaczając się na plecy i zakrywając otwartą dłońią oczy. — Aaaa. Ja... posłuchaj: ja nie wiedziałem.

— O czym, wasza dostojność?

— Nie wiedziałem... że to aż tak. Myślałem, że wszyscy kłamią — przyznał się powoli, z wysiłkiem.

Poranne dolegliwości naprawdę nigdy go nie trapiły. Owszem — czasem trochę chciało mu się pić. Był może... troszeczkę nieswój? Wypijał kubek wody. Posiłał się ze zwykłym apetytem — a poranny apetyt dopisywał mu zawsze. I śmiał się, nędznik. Niegodziwiec. Żartował z nieszczęśników, którzy obejmowali głowy, uciekali od zapachu pożywienia, pili jakieś paskudztwa.

— O nie, Weseto — powiedział. — To nie od wina. Strułem się, podano nieświeży posiłek.

Niewolnica, ładna jak Perła trzydziestolatka o brązowych oczach, uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Tak, tak, wasza dostojność — powiedziała. — Bardzo nieświeży posiłek. Garniec z odtrutką zostawiam, ale jednak przyniosę jakiś kubek. Nie mogę patrzeć, jak próbujesz się utopić, panie.

Wyszła.

Blask dnia nie był już tak porażający. Namiestnik mógł bezpiecznie

leżeć z otwartymi oczami, ale głowa wciąż bolała tak strasznie, że z trudem potrafił zebrać myśli. Rozczulił się na widok wracającej niewolnicy. Zaczepnęła lekarstwa i podała mu, a potem podtrzymała głowę — delikatna, kochana. Opiekunka i uzdrowicielka. Dygoczącą dłonią doniósł płyn do ust. Nauczył się już mówić i odzyskał trochę władzy w rękach. Przyszła pora na naukę chodzenia... ale czuł, że jeszcze na to za wcześnie.

Odkrył, że nie leży w swoim łóżku. Spoczywał na stopniu przegradzającym komnatę. Garniec z ogórkami stał poniżej. Niezbyt duży... ale dla drobnej kobiety na pewno bardzo ciężki. Przydźwigała go specjalnie po to, by ratować pana.

— Obiecaj mi — powiedział — że nie odejdziesz bez ważnego powodu, już jutro albo pojutrze... Wyzwolę cię, Weseto.

Spoważniała.

— O nie, wasza dostojność. To bardzo poważna sprawa i... to nie jest dobra chwila na podjęcie takiej decyzji.

— Nie podjąłem jej dzisiaj. Jestem Armektańczykiem, Weseto...

Nie miał siły tłumaczyć. Ale powiedział prawdę: decyzję podjął już dawno. Niewolnicy nadawali się najwyżej do pracy w kamieniołomach. W domu służba powinna być wolna. Zbyt wielu Armektańczyków zapomniało o tej mądrej regule.

Odbiło mu się po ogórkowej wodzie.

Nigdy nie stać go było na taką dziewczynę jak Weseta. W hodowlach nazywano je niewolnicami pierwszego sortu. Nieudane Perły, albo wyjątkowo ładne i niegłupie dziewczyny, które sprzedawały się same — dość młode, by uczyć je jeszcze i szkolić przez dwa lub nawet trzy lata. Były drogie. Ale teraz, kupowane z drugiej ręki, kosztowały tyle co nic. Wojna... W całym Dartanie wyzbywano się niewolników. Ogromnie wzrósł popyt na przyboczne strażniczki i strażników, ale śliczne perełki mogły co najwyżej paść łupem rozbestwionego żołdactwa. Wojna, w której wszyscy walczyli ze wszystkimi, żadnego miejsca nie czyniła bezpiecznym. Opuszczone przez rycerzy i ich poczty majątki były plądrowane przez bandy zbiegłych najemników, a czasem pospolitych rabusiów. Sprzedawano wszystko co zbędne, bo wartość miał tylko żywy pieniądz. Wadelar kupił Wesetę za śmieszłą cenę i od początku wiedział, że chce mieć taką... panią domu. Kochankę. Ale nie niewolnicę.

— Pani Akea... — powiedziała.

— Pani Akea ma syna — przerwał. — A ja chcę mieć chociaż ciebie. Ale nie jak domowego ptaka, kruka w klatce. Jestem wszystkim zbędny... Nieudacznik. Dla Kirlanu nikt... Dla żony... też już nikt. Wyszło na jaw, że nie zapewnię wielkiej przyszłości Lenetowi. Przecież jestem nieodpowiedzialny, Weseto. Zamiast piąć się do góry, przynosić do domu worki srebra... chcę tylko świętego spokoju. Najchętniej tylko oglądałbym swoje matematyczne tablice... Nieudacznik. Gdzie schowałaś wino, Weseto?

— Wypiłeś wszystko, wasza dostojność. Ty i twoi... goście.

Połowy tych gości nie znał. Jacyś znamienici uchodźcy z Dartanu. A wino... nie, nie chciał wina. Wyobraził sobie smak, zapach — i zrobiło mu się niedobrze.

— Wszystko jedno, dzisiaj czy jutro... Wyzwolę cię. Potrzebuję kogoś, kto mnie chce, z wyboru. Zostań ze mną albo idź dokąd ci się podoba. Możliwe, że już niedługo przestanę być namiestnikiem, a wtedy będę kompletnym utracjuszem. Niczego nie mam, więc najwyżej wrócę pod ojcowski dach. Rozwód, a nawet kochanka... wszystko mi tam wybaczą, matka od początku nie lubiła Akei. Gorzej z wnukiem, którego dziadek już upatrzył sobie na wojaka albo urzędasę. — Wadelar zaśmiał się, złapał za głowę, zacharczał i zamilkł na chwilę. — I gorzej z nieudacznictwem. Zamiast służyć Wiecznemu Cesarstwu... kupiłem sobie klejnocik. Ojciec popatrzy na ciebie i powie: „Wadelarze, skoro stać cię na taką służkę, stać cię także na jej utrzymanie”, he, he, he... „Twoi bracia, mój synu...” — powie jeszcze. He, he... — Znowu musiał trzymać się za głowę. — Lepiej idź już, Weseto. Jak tylko dojdę do siebie, wezwę świadków, spiszę akt wyzwoleńczy i będziesz mogła zrobić co zechcesz.

Usiadł z najwyższym trudem i długo trwał w bezruchu, samymi końcami palców uciskając skronie. Pod opuszkami okropnie coś tętniło. Nie wiedział, że może tak tętnić.

Obok stopnia leżał podbity futrem płaszcz. Posmutniała niewolnica podjęła go z posadzki.

— Wasza dostojność, ja chciałam... Ale nikomu nie pozwoliłeś ruszyć się z tego stopnia, dlatego przyniosłam ten płaszcz... — próbowała się wytłumaczyć.

Wyciągnął rękę i trochę na oślep dotknął kolana dziewczyny.

Poklepał łagodnie.

— Dziękuję ci. Posiedzę tu sobie trochę, a potem szukaj mnie w kancelarii. Niech tam przyjdzie pisarz... Nie, nie chodzi o twój akt, to spiszę później, teraz... w końcu mam jeszcze jakieś sprawy urzędowe i nie mogę zostawić bałaganu żonie, kiedy już zajmie moje miejsce... Idź, Weseto.

Pokiwała głową i poszła.

Od czterech miesięcy Akea miała uprawnienia śledczej Trybunału. Wątpił, by od razu powierzono jej namiestnictwo. Ale tymczasową nominację mogła dostać na pewno. Doświadczonych urzędników brakowało jak nigdy dotąd. Wszystkich posyłano do Dartanu, do okręgów, gdzie wojna jeszcze nie dotarła. Stanowisko w spokojnej Akali mogło poczekać, zajmowane tymczasowo przez niedoświadczoną, ale bezgranicznie lojalną urzędniczkę, która wybornie umiała donosić nawet na własnego męża. O tak, o tak, tak! Takich ludzi potrzebował Kirlan! Na takich ludziach opierał się Armekt. Kraj wojowników; kraj zdobywców Szereru...

Z wielkim trudem stanąwszy na nogach, Wadelar uczył się chodzić. Poszło łatwiej, niż się spodziewał. He! Nie był jeszcze taki do niczego... Ale z głową jednak działo się coś niedobrego. Gdy wieńczyła ciało w pozycji siedzącej, nic w niej nie wirowało. Co innego na stojąco, a już najgorzej, idąc.

Znowu poczuł nudności. Nudności... czy naprawdę nudności, namiestniku? Nudności miały pewnie brzemiennie kobiety.

Rzygać mu się chciało i tyle.

Zaczerpnął tchu, przykucnął, bo bał się schylić. Zaczerpnął kubkiem wody z garnca, wypił. Zabrał dwa ogórki, odpoczął i powlókł się do kancelarii. Lecz po drodze zmienił kierunek i przyspieszył, pędząc zupełnie nie do kancelarii. Jednak był otruty. Wszystko jedno czym. Wkrótce, z łokciami opartymi na kolanach a czołem na dłoniach, bulgotał, furczał i pryskał jakąś straszną cieczą, do której niechybnie dosypano piasku. Współczuł służbie, która będzie opróżniała i myła wyciągnięty spod deski ceberek, ale najbardziej współczuł sobie. W malutkim pomieszczeniu z przebitym oknem bez szyb znalaziono miejsce na kosz z kwiatami. Chyba właśnie wiedły. Skurczony potworek z olbrzymimi oczami, którego wizerunkiem ozdobiono drzwi po obu

stronach, wytrzeszczał ślepią na brata-bliźniaka.

O nie... Nie oszczędzono mu niczego.

Po jakimś czasie, wycieńczony i obolały, znów człapał do kancelarii. Kancelarii Pierwszego Namiestnika Trybunału Imperialnego w Akali.

Na stole leżały cztery listy i jakaś petycja.

W rogu stołu umieszczono stos kart i kilkanaście rulonów. W drugim rogu list i dwie karty.

Sprawy nowe, sprawy zaległe, sprawy załatwione.

Przyszedł pisarz i zaczął rozkładać swe kłamoty na pulpicie przy oknie. Wadelar zamachał ręką i go odprawił.

Wziął jeden z nowych listów do ręki, odłożył, wziął petycję. Zamożni mieszkańcy Akali prosili o wcześniejsze zamykanie miejskich bram. To nie do niego. Do Terezy albo do rady miejskiej. Wziął drugi list.

I odłożył, bo wszystko miał gdzieś.

Nie, nie wszystko... Siedział, tępo gapiąc się na listy, aż dotarło do niego, skąd jest trzeci. Pochwycił, złamał pieczęć i łakomie zagłębił się w treści.

Jego Dostojność T.L.Wadelar
Pierwszy Namiestnik...
Czcigodny Kamracie!
Co jest?
Twoja zawsze oddana przyjaciółka
Arma

Zaczął się śmiać. Posłała z tym kuriera Trybunału.

Zamilkł i zawstydził się. Mocno przetarł palcami powieki. Nie odpowiedział na dwa poprzednie listy. Była późna wiosna, a pierwszy przyszedł jeszcze zimą. Nie odpowiedział dlatego, że... tak bardzo, bardzo chciał odpowiedzieć. Sto spraw, o których chciał napisać. Aż sto spraw... Brakowało mu czasu, żeby usiąść i spokojnie opowiedzieć o wszystkim. No właśnie, spokoju i czasu, ale najbardziej spokoju. Myślał sobie: jutro... nie, pojutrze. Potem znów: jutro, pojutrze...

Wziął do ręki pióro, sięgnął po czystą kartę i inkaust. Szybko skreślił nagłówki i napisał:

Armo, wszystko się wali, prawie nie ma już Pierwszej Prowincji, więc nie będzie i Wiecznego Cesarstwa...

Pisał szybko, bez zastanowienia, jakby się bał, że może nie zdążyć. Że znów mu zabraknie spokoju.

*

Dartan walił się, jak wzniesiony na plaży zamek z piasku.

Podbite przed wiekami królestwo nigdy nie zatraciło swojej odrębności. Nie zatraciła jej żadna z krain Szereru; Armektańczycy wszędzie i wszystkim narzucili swoje prawa, armektański ład i porządek — lecz nic więcej. Żaden kraj nie stał się częścią Armektu ani drugim Armektem. Olbrzymi grombelardzki półwysep od zawsze był ziemią niczyją, bez tradycji, bez królów, bez praw... Góry i góry, na ich zboczach wioski pasterskie, poniżej trochę pól uprawnych. Pięć miast, z których cztery wyrosły wokół starych twierdz rozbójniczych, piąte zaś było portem — tak armektańskim, jak to tylko możliwe. W miastach i wioskach u stóp gór panował armektański ład (lecz nie obyczaje); były to dobra imperialne, zarządzane przez urzędników imperium. Górami nikt nie zarządzał, miecz po staremu był tam prawem, obyczaje zaś każdy przynosił swoje własne. Panujące w górzystej Drugiej Prowincji porządki najbardziej, jak na ironię, przypominały te, które zaprowadzono na Wyspach. Piratów ścigano, tak jak w górach rozbójników. Rybackie wioski przejęło cesarstwo, wolnych rybaków i chłopów zmuszono do składania daniny — co czynili wcale ochoczo, bo ciężary nie były nadmierne, za to prawa, choć nieliczne, jednak przysługiwały. Każdy mógł zgłosić się do służby w legii, licząc na wojskową karierę, a była to kariera mogąca zakończyć się tak wysoko, jak to tylko możliwe, bo nawet u stóp tronu. Każdy też miał prawo rozporządzić swoją własną osobą i życiem; niewolniczym rynkiem rządził wyłącznie popyt i niejedna wiejska dziewczyna ratowała byt swego rodzeństwa, a także starych rodziców, posyłając brzęczący trzosik srebra otrzymany od przedstawiciela hodowli — potem zaś wiodła wcale dostatnie życie kupieckiej posługaczki, służki w jakimś prywatnym majątku, a nawet, jeśli była dość ładna, prostytutki w armektańskim domu publicznym. Tak było na Wyspach, bo porządki garyjskie, choć zaprowadzone w tej samej Morskiej Prowincji, wyglądały zupełnie inaczej. Garrę zdobyto w krwawej wojnie morskiej — tak krwawej, jakiej nie widziała historia Szereru. Armektańczycy nie znali takich wojen — wojen, w których całe legiony, zaokrętowane na pokładach żaglowców, znikają w wodnych otchłaniach. Nie było rannych, nie było niedobitków i nie było chwały, bo nikt nie mógł jej głosić. Wojenna tradycja Armektu potrzebowała zarówno wygranych, jak i pięknie, bohatercko przegranych bitew,

których uczestnicy po kres swoich dni mogli opowiadać: „Byłem tam!”. Lecz gdy stu majtków i stu żołnierzy przepadało bez wieści wraz z okrętem, nie wiadomo gdzie ani kiedy? Gdy zwycięska bitwa pociągała za sobą utratę ośmiu żaglowców na dziesięć i tak samo wyglądały straty wśród żołnierzy? Podbitą Garrę przeorano żeleźcem katowskiego topora, a następnie posiano na tym strasznym polu niezliczone nakazy i zakazy, z których wkrótce wyrosła nienawiść. Garyjczycy zawsze pogardzali wszystkim co kontynentalne, a pod panowaniem Kirłanu utwierdzili się w tej pogardzie. W Armeckie zbyt późno zrozumiano, że ostatnia z podbitych krain nie ma nic wspólnego z Dartanem i Grombelardem. Garyjczycy bardziej godni byli szacunku niż przedstawiciele jakiegokolwiek innego narodu Szereru. Przed wojną, za murem niechęci do kontynentalnych krain, wyrosło morskie państwo najbardziej ze wszystkich podobne do Armecku... Zamieszkujące wielką wyspę ludy, dumne ze swej historii, świadome swej tożsamości, zasługiwały na szacunek, nie na ucisk. Lecz dzika żądza odwetu i zwyczajny strach przed wznowieniem zmagania na wodzie ten jeden raz tylko, w całej historii armeckich wojen i podbojów, zaważyły na decyzjach zdobywców Szereru — i już nie było odwrotu. Garrę dało się utrzymać tylko siłą. I tak ją utrzymywano.

A Dartanu nie trzymano wcale.

Kiedyś, wyniosłe magnackie i rycerskie rody służyły swemu królowi tylko nominalnie. Blask Domu, świetna przeszłość rycerskich przodków, wzrost znaczenia rodu zawsze były w Dartanie ważniejsze niżli siła królestwa, jego historia i przyszłość. Od niepamiętnych czasów każdy ciągnął tam w swoją stronę, króla uznawano albo nie, obierano własnego i detronizowano, bezkrólewie było codziennością, a pretendenci do tronu ruszali przeciw sobie na czele wielkich armii, popierani przez Domy, którym obiecali wzrost znaczenia, zwalczani przez rody, którym obiecał ktoś inny. Osadzano wreszcie na tronie słabego władcę, który nie był w stanie — ani nawet nie chciał — zapobiec odnawianiu odwiecznych zatargów, niedorzecznie zastarzałych, których przyczyny ginęły w pomroce dziejów, a wydobyte na światło dzienne wydawały się aż niewiarygodne. Czy można było najechać dobra sąsiada dlatego, że przed dwoma wiekami prapradziad, goniąc własnego jelenia, zapędził się za nim do cudzego lasu? Oczywiście, że można było! Syn Domu, który by

nie podjął sprawiedliwej wojny odziedziczonej po przodkach, zasłużyłby na pogardę — a największą w oczach przeciwnika.

Wszystko to przecięła przegrana wojna z Armektem.

Kirlan, rozejrzawszy się po Złotym Dartanie, zaprowadził własne porządki. Już nie było słabego monarchy, mającego władzę odpowiednią do znaczenia tych magnackich Domów, które go popierały — zamiast niego siedział w Rollaynie Książę Przedstawiciel Cesarza. Zwaśnione rody po starym odwołały się do jego sprawiedliwości, żądając rozsądzenia sporu, tak jak wcześniej odwoływały się do króla. Król wydawał werdykt, którego jedna strona natychmiast nie uznawała. Cesarski Przedstawiciel przekazał sprawę sądom, sądy wydały wyrok, Przedstawiciel zaś utrzymał go w mocy. Legioniści imperium pojawili się w dobrach nie zgadzającego się z wyrokiem, dalej próbującego mieczem dochodzić swoich praw magnata i jako nieposłusznego cesarskiego wasala po prostu wywłaszczyli go z dóbr, zabierając wszystko, nawet zbroje z grzbietu i konia spod siedzenia. Pierwsza taka interwencja przyczyniła się do wybuchu drugiej wojny dartańskiej; oburzeni stronnicy pokrzywdzonego gotowi byli ruszać na Rollaynę. Ale Armekt dopiero co wygrał pierwszą wojnę i nie znał żadnych powodów, dla których miałyby przegrać drugą, sporo mniejszą. Nim rycerze zjechali się na wyprawę, karne armektańskie legiony przemaszerowały do ich dóbr — i zabrały wszystko, nawet zbroje... Była jeszcze trzecia wojna dartańska, ale zgasła, nim wybuchła. Stało się zupełnie jasne, że już nie ma słabego króla, zastąpił go ktoś inny, kto z niezmaconym spokojem gotów jest wywłaszczyć cały Dartan, bo ma najsilniejszą armię świata, sto razy liczniejszą od największego prywatnego pocztu i dziesięć razy lepiej zorganizowaną. Waśnie rodowe przeniosły się do sal sądowych, zaś osobiste zniewagi można było po rycersku pomścić na turniejach, których znaczenie niepomniernie wzrosło — Kirlan bardzo przychylnie odnosił się do takich sposobów dowodzenia racji; przecież trzeba było otworzyć jakąś furtkę dla ujścia owego żywiołu niezgody, leżącego zgoła u fundamentów dartańskiej tożsamości. Magnaci grzmocili się więc turniejowymi mieczami po turniejowych zbrojach, w których było rzeczą prawie niemożliwą ponieść uszczerbek na zdrowiu, pokonanych przeciwników po rycersku oszczędzali i brali do niewoli, przeciwnicy tak samo po rycersku wypłacali okup, a sam Książę Przedstawiciel Cesarza

chętnie głosił chwałę zwycięzcy, zaś wspaniałomyślność wobec pokonanego podnosił jako największą z cnót... Nowa tradycja łatwo weszła na miejsce starej, bo była sporo tańsza, a równie honorowa. Mogłaby zaistnieć już dawno, gdyby Dartanem rządził władca mający faktyczne prawo rozsądzania sporów, do którego sprawiedliwości rzeczywiście można się było odwołać i który potrafiłby wyegzekwować wyrok przy użyciu własnego wojska, nie zaś skrzykniętych rycerzy, mających swoje zdanie na temat każdego rodowego zatargu — więc bez mała będących w sporze stroną... Nowe obyczaje utrwaliły się, przy powszechnej aprobacie. Złoty Dartan stał się najspokojniejszą prowincją Wiecznego Cesarstwa. Na straży praw w prywatnych dobrach stali prywatni żołnierze; Legia Dartańska — podobnie jak w Armekcie większość oddziałów Legii Armektańskiej — przemieniła się powoli w rodzaj straży miejskiej, bo liczne legiony o wojennych stanach były tyleż kosztowne, co zbędne.

Ale Dartan pozostał Dartanem. Może bardziej niż Armekt Armektem... Naród zdobywców Szereru mógł zaproponować Dartańczykom co najwyżej tradycję żołnierza-Jeźdźca Równin, służącego Wojnie-Arilorze, zależnego tylko od swoich dowódców; dumnym magnatom i rycerzom trudno było tym zaimponować, gdy przeciwnie, dworskie ceremoniały, rodowe monogramy, pyszne rezydencje i dodające splendoru, niemożliwie kosztowne niewolnice, okazały się bardzo potrzebne w Armekcie. Nie było już koczowniczych plemion, nie było walczących armektańskich księstw, po podboju Grombelardu i Garry zabrakło wojen. Zamiast nich trwało Wieczne Cesarstwo, a w nim wieczny pokój. Wielcy wodzowie ustąpili pola wielkim panom, a ci nie mogli już dowodzić swej wartości przy użyciu mieczy. Liczne mieszane małżeństwa niewiele zmieniły w Złotej Prowincji, a bardzo dużo w Armekcie, który stał się bez mała drugim Dartanem. Drugim i trochę... gorszym.

Wieczne Cesarstwo okrzepło; w jego granicach wszystkim było znośnie, a nawet zupełnie dobrze. Tylko za morzem wybuchały powstania, gaszone jedno po drugim. Chłopskie bunty w Dartanie tłumity prywatne wojska, czasem przy niewielkim wsparciu ze strony Legii Dartańskiej. Było to zresztą wsparcie niechętnie i bez mała symboliczne; Kirlan nie po to zezwalał na utrzymywanie licznych

prywatnych pocztów, by angażować legie w prywatnych majątkach. Ale też prawie nigdy nie proszono cesarskiego przedstawiciela o pomoc w uśmierzeniu rewolty. Imperialni żołnierze pilnowali tylko dóbr należących do cesarstwa i przeganiali chłopskie bandy, które się tam zapędzały.

Sielanka trwała długo, skończyła się zaś w kilka miesięcy.

Kłopotliwa dla Kirlanu sprawa Puszczy Bukowej była właśnie kłopotem — ale niczym więcej. Problem dało się rozwiązać na bardzo wiele sposobów. Przede wszystkim, jak słusznie przewidziała księżna Dobrego Znak, można było wywrzeć nacisk na sądy w Rollaynie. W najgorszym wypadku, gdyby to nie wystarczyło, Legia Dartańska rzeczywiście powinna wyegzekwować prawa nowych właścicieli — ale gdyby nie wyegzekwowała, to co?... Pod byle pretekstem można było odwlekać interwencję, uporządkować ważniejsze sprawy, zdobyć środki na rozbudowę kilku miejskich garnizonów do wojennych stanów, a wreszcie udzielić żądanego wsparcia pocztom nowych właścicieli. Nikt nie liczył się z wybuchem wojny poza granicami Puszczy Bukowej. Kto mógł widzieć w tym jakikolwiek zysk?

Waśń pomiędzy odgałęzieniami rodu K.B.I. dojrzała nieomal z dnia na dzień. Nikt w Armeckie nie rozumiał, co się stało. Jak za dawnych czasów, prywatne wojska dokonały zbrojnego najazdu na ziemie sąsiadów. W mgnieniu oka — chciałoby się rzec: z istic dartańską sprawnością — skłócone Domy pozyskały sojuszników i powstały dwa potężne, zwalczające się stronnictwa. Silniejsze rozpadło się wkrótce i dało początek trzem nowym: ktoś tam dostrzegł możliwość upieczenia własnej sztuki mięsa przy tym ogniu, kto inny wycofał się ostentacyjnie, obiecując wsparcie to jednej, to znów drugiej stronie konfliktu, w zamian za określone korzyści. W środku tego wszystkiego tkwiła Legia Dartańska — armia złożona z pieszych i konnych patroli. Dawno już nie było groźnych, uzbrojonych po zęby legionów, które przed wiekami z taką łatwością rozpędzały awanturników. Nie było kuszników ani ciężkiej piechoty, nie było konnych ani pieszych łuczników. Jak Dartan długi i szeroki, po ulicach miast i drogach przemierzali się, konno lub pieszo, uzbrojeni tylko w miecze legionieści, z bardzo ładnymi tarczami przechowywanymi w arsenalach garnizonów miejskich — tarczami przeznaczonymi do parad, bo w prostokątnych, owalnych lub

trójkątnych polach, na tle dartańskiej czerwieni, przepięknie odznaczały się srebrne gwiazdy Wiecznego Cesarstwa... Oprócz tego byli w Rollaynie halabardnicy malowanej Gwardii Dartańskiej, dobrze wyszkoleni, ale nie mający żadnego wojennego doświadczenia, a w miastach portowych Dartańska Straż Morska — jedyna formacja, która znała smak walki, bo na morzach ścigano czasem okręty, a nawet eskadry pirackie. Lecz piechota morska potrzebna była na pokładach żaglowców, a nawet gdyby zabrano stamtąd tych żołnierzy — ich przydatność w walkach lądowych budziła wątpliwości. Brakowało zresztą czasu na przeprowadzenie reorganizacji wojsk. Rozpoczęta jeszcze zimą wojna domowa z nadejściem wiosny nabrała rozmachu. Wkrótce wyszło na jaw, że stronnictwo K.B.I.Enewena na pewno będzie górą, mając do dyspozycji fundusze, o jakich nie mogli śnić przeciwnicy. Przekupywano neutralne Domy, zaciągano nowych żołnierzy, opłacano niezliczonych szpiegów. Przybrawszy sobie, starym dartańskim obyczajem, tyleż kwiecistą co niezrozumiałą nazwę, Stronnictwo Ahe Vanadeyone — Wskrzeszonych Rycerzy Królowej — rosło w siłę, zaprowadzając własne porządki w całym północnozachodnim Dartanie, od Seneletty aż po Lida Aye nad Morzem Zamkniętym. To już było coś więcej niż zatarg zwaśnionych rodów. Księcia Przedstawiciela Cesarza i jego żołnierzy poproszono o opuszczenie Rollayny. Jego godność Enewen wyrażał w ten sposób troskę o bezpieczeństwo wicekróla Pierwszej Prowincji, ubolewając, że nie potrafi tego bezpieczeństwa zapewnić...

26.

Mokra łąka za miastem, ograniczona jeziorkiem i rzeczką, nie była na tyle rozległa, by urządzać po niej galopady. Nie powiedziano o tym kolumnie konnych łuczników. Trzy pełne kliny, każdy pod wodzą podsetnika, drobnym to znów wyciągniętym kłusem manewrowały między gęsto stojącymi oddziałami piechoty. Dzień był chłodny; wiosna tego roku bardzo skąpiła słońca — jednak rozzłoszczona dziewczyna, biegnąca wzdłuż linii toporników, najwyraźniej nie czuła chłodu. Muskularna, krótko ostrzyżona czarnulka powyżej wojskowej spódnicy miała na sobie tylko przeszywanicę, noszoną zwykle pod kolczugą. Na gołych ramionach nie było nawet śladu gęsiej skórki. Ktoś biegł na

spotkanie rozwrzeszczanej pannicy, prowadząc świetnego deresza. Dziewczyna jednym skokiem znalazła się w siodle, ścisnęła kolanami końskie boki i skoczyła z miejsca galopem, przecinając drogę zawracającemu oddziałowi jazdy. Spocony podsetnik dmuchnął w glinianą świstawkę. Klin zatrzymał się sprawnie. Dziewczyna osadziła konia tuż przed oficerem i zaczęła ryczeć co sił w płucach. Struchlały podsetnik potakiwał. Dziewczyna nie była dziewczyną. Poruszała się jak dwudziestolatka i miała odpowiednią do tego figurę, ale twarz zdradzała dwa razy więcej wiosen.

— Nie! Proste i krótkie słowo, powtórz za mną: nie!

— Nie, pani.

— Bo?...

— Bo grząsko, wasza godność.

— Właśnie.

Krzycząca na swoich oficerów Tereza — to był zwyczajny widok. Nie przejmowała się obecnością prostych żołnierzy. Wszyscy do tego przywykli i wszyscy rozumieli. Nigdy nie podważała autorytetu swoich podkomendnych, ale na placu ćwiczeń nie było czasu i miejsca na ciche napomnienia. Oficerowie wiedzieli, że gdy wreszcie sprostają wymaganiom komendantki, natychmiast usłyszą pochwałę. Zazwyczaj równie głośną. Potrafiła zawołać do żołnierzy: „Podsetnik nikomu was nie odda, jesteście z nim bezpieczni jak w domu!”. Miało to swój wydźwięk, zwłaszcza na tle wcześniejszych połajanek.

Wiedziała kiedy przestać. Nie każdy mógł zostać orłem... Gdy widziała, że lepiej już nie będzie, kiwała głową i chwaliła. To, czego nie sprawiły pouczenia i instrukcje, mogło jeszcze przyjść z czasem, za sprawą doświadczenia i rywalizacji między dowódcami. Żaden nie chciał być gorszy od innych.

Dołączyli oficerowie pozostałych dwóch klinów. Podjechał też setnik, dowódca kolumny.

— Wszyscy tak samo do dupy — powiedziała Tereza. — Gdzie się pchasz? Pod łuki własnej piechoty? — pytała jednego z podsetników. — Zachodzisz w prawo, bardzo dobrze, ale po co to robisz? No, pytam. Po co?

— Żeby... — powiedział podsetnik. — Żeby żołnierze mogli strzelać w kłusie, na przedpole, po lewej ręce.

— No i bardzo dobrze. Ale to jest klin lekkiej piechoty. — Pokazała za siebie. — Mają mocniejsze łuki i nawet z głębi szyku strzelają lepiej niż jazda, a zwłaszcza jazda w ruchu. Jak idziesz między liniami, to przechodź przed frontem toporników, nie łuczników, choćbyś miał skręcać w lewo! Twój nie będą strzelać, no i trudno, zrobią to za ciebie piechurzy, i zrobią znacznie lepiej, ale tylko wtedy, kiedy im pozwolisz.

— Tak, pani.

— Kiedy mówię „zachodź w prawo zawsze, kiedy możesz”, to nie mam na myśli manewrów wewnątrz szyku.

— Tak, pani.

— Za daleko wychodzisz na przedpole — zwróciła się do trzeciego oficera. — Oni już naprawdę dobrze jeżdżą konno, więc prowadź ich krótko przy sobie, bo na pewno nie skłębnią ci się za tyłkiem. Za obszerny ten luk! Trzeba było nawet spróbować zwrotu ze zmianą szyku, z „dziesiątki kolejno” na „szeregiem”, ufaj im już trochę, tym swoim wojakom, co? Jak myślisz? A ty, gdzie pojechałeś? — zagadnęła z kolei setnika. — Dwa kliny poszły w prawo, jeden w lewo, a ty idziesz do tego jednego? Tam wiadomo, kto dowodzi!

— Miały iść dwa w lewo.

— A nie poszły, bo zmieniłam twój rozkaz — powiedziała, rozkładając ręce. — I niejeden raz tak właśnie będzie. Któryś z podsetników źle odczyta sygnał, albo nie usłyszy i podejmie własną decyzję. Musisz się z tym liczyć i być tam, gdzie trzeba, a nie tam, gdzie sobie umyśliłeś. Po co wyszliście przed szyk?

— Bo szła szarża na środek linii — odpowiedział oficer, pokazując przedpole. — Tak powiedziałaś, pani. Kazałaś pomóc piechocie.

— Dwie ciężkie chorągwie, nie do zatrzymania — potwierdziła. — Wyszliście przed szyk tylko po to, żeby ich rozproszyć i ogłupić, wyjść na skrzydła i tyły. Żeby nie wiedzieli, co się dzieje. A ty robisz obszerny łuk przed ich frontem. — Znów wycelowała palec w podsetnika. — Walnęliby cię z boku i pojechali dalej. Jeśli już się zapędzisz, to idź do kontrszarzy, trudno. Tak samo po was przejadą, ale już nie za darmo. Zawsze gorzej wdepnąć w gówna, niż przeskoczyć nad nim. Jeszcze raz! — zarządziła. — Pozorowana kontrszarża zza pleców piechoty, przeciwnik, tak jak poprzednio, ustawiony w podwójny grot. Nadjeżdżacie galopem, w ostatniej chwili ściągnięci z odvodu, i

przechodzicie przez szyk.

— Tak, pani!

Rozbrzmiały świstawki podsetników. Tereza pojechała ku linii piechoty i zmieniła ustawienie klinów, mieszając ciężkie z lekkimi. Nie zamierzała ułatwiać swym oficerom zadania. Wydawszy rozkazy, odjechała na skrzydło i wraz z dwoma nadsetnikami obserwowała poczynania jazdy. Jednak po krótkiej chwili dostrzegła samotnego jeźdźca, pędzącego od strony miasta. Goniec garnizonu, na świetnym srokaczu.

— Oho! — powiedziała. — Coś czuję, że w mieście stęsknili się za mną. Prowadź to dalej, do skutku. — Wskazała podbródkiem ćwiczące półlegiony. — Nawet do wieczora.

Nadsetnik skinął głową. Tysięczniczka wyjechała na spotkanie gońca. Drobnutka kurierka na grzbiecie okazałego ogiera ze Złotych Wzgórz wyglądała jak dziecko. Spotkały się i zamieniły kilka słów. Wkrótce obie gnały ku widocznym w oddali murom miasta. Szlachetny deresz Terezy należał do jednej z odmian stepowych — był to koń znakomity na wojnę, mało wymagający, ale znacznie wolniejszy od pełnokrwistego dartańczyka dosiadanego przez kurierkę. Dziewczyna wyraźnie hamowała bieg wierzchowca. Dopiero na ulicach Akali musiała postarać się trochę, bo zwrotniejsze zwierzę Terezy lepiej radziło sobie w zaułkach, a i tysięczniczka była po prostu lepszym jeźdźcem. Gońcy garnizonu musieli znać sztukę jazdy z wiatrem w zawody, ale nie wymagano od nich opanowania najtrudniejszych zwrotów.

Kobiety minęły przedmieście i musiały zwolnić za miejską bramą, bo było dopiero południe i zbyt wielu mieszkańców Akali chodziło po ulicach. Kłusem dotarły do garnizonu. Tereza zostawiła konia pod opieką żołnierzy mających służbę stajennych i pomaszerowała prosto do swojej wieży. Wlazła na samą górę, do sławetnej graciarni.

Niemożliwie wychudzony i wyleniały kocur leżał na wieku skrzyni, w której trzymała odzienie. Stojąc w progu, tysięczniczka długo patrzyła na zwiadowcę, wreszcie usiadła na krześle pod oknem.

— Chciałam pogadać spokojnie, ale gdy cię stąd wysyłałam, nie wiedziałam, że wrócisz w takim stanie... Po co włąziłeś aż tutaj? Dlatego że przed dwoma miesiącami powiedziałam: „Jak wrócisz, przyjdź prosto do mnie”? A gdzie pozostali?

Kocur lekko poruszył ogonem.

— Przyszedłem tutaj, bo nie chciałem, żeby żołnierze mnie oglądali — rzekł z głębszą niż zwykle kocią chrypką. — Krzepiący widok, tysięczniczko? Pozostałych nie ma. W Sey Aye trzymają psy.

— Psy? Co znaczy: pozostałych nie ma?

— Mają psy w obozach wojskowych, a ostatnio w ogóle wszędzie. Te psy zagryzły i zjadły dwóch twoich zwiadowców, komendantko. Trzeciego zapędziły na drzewo, został zabity z kuszy.

Tereza wzdrygnęła się.

— A co z tobą?

— Przed psami uciekałem dwa razy. Sparszywiałem w tym lesie i mam coś we flakach. Nie mogę jeść, bo od razu rzygam. Robię pod siebie robakami. Lada dzień będzie po mnie, więc przywlokłem się, żeby zdać raport.

— Po co siedziałeś tam tak długo?

— Bo było warto.

Pokiwała głową.

— No to mów... Jak skończysz, marsz do izby chorych. Ściągnę do ciebie z miasta najlepszych konowałów.

— Wolałbym trochę spokoju, tysięczniczko. Sey Aye ma siedem chorągwi ciężkiej jazdy, o nierównych stanach i bardzo zagmatwanej organizacji, opartej chyba na trzy — lub czterokonnych pocztach. Chorągiew Domu czterysta koni, inne różnie, sto pięćdziesiąt do ponad trzystu. Są stale rozwijane, ale dla kopijników brakuje wierzchowców, dlatego dodawana jest sama jazda strzelcza. Nie mnoży się chorągwi, a tylko je wzmacnia. Są dwie chorągwie średniej jazdy, nazywanej tam lekką, po dwieście pięćdziesiąt koni każda. Do tego sześciuset piechurów, w tym trzy setki kuszników. Do piechoty wciąż zaciąga się nowych żołnierzy, ale coraz trudniej w Dartanie o dobry materiał na żołnierza, zwłaszcza że w Sey Aye nie biorą nikogo o niepewnej przeszłości. Lekka jazda jest dosyć sprawna, tak wynikało z rozmowy, którą podsłuchałem. Dostyć sprawna, ale nie za dobra, chociaż wyćwiczona po armektańsku. Jednak to formacja traktowana trochę po macoszemu, oczkiem w głowie są ciężkie chorągwie. Ci oficerowie, których podsłuchałem, uskarżali się na to. Tylko jeden na pięciu żołnierzy lekkiej jazdy ma łuk albo kuszę, w ogóle nie szkoli się ich do walki strzelczej, ale wszyscy są dobrze

uzbrojeni do walki wręcz, dużo lepiej niż nasi. Piechota znacznie gorsza, ponad połowa to właśnie nowozaciężni, zresztą słabo wyszkoleni. Nie cenią tam pieszych regularnych żołnierzy.

— Bardzo po dartańsku — zauważyła Tereza.

— Zdaje się jednak, że komendant Yokes w ogóle nie zamierza wyprowadzać ich z Sey Aye, to piechota tylko do obrony, na wypadek gdyby straż leśna przepuściła kogokolwiek na tę polanę. Nie mają przydzielonych żadnych zwierząt jucznych, wielu to ludzie starsi wiekiem, czasem nawet byli żołnierze, ale już niezdatni do dalekich przemarszów. Liczebność straży leśnej to największa tajemnica wojskowa, myślę, że oprócz komendanta nikt nie wie, ilu jest tych gajowych. Może dwustu, a może tysiąc dwustu.

Kocur zamilkł. Potrzebował odpoczynku. Tereza też milczała. Doniesienia zwiadowcy potwierdziły jej obawy. W Sey Aye, w najgorszym wypadku, mogło siedzieć od czterech do pięciu tysięcy żołnierzy.

— Kto wejdzie do tego lasu, już nie wyjdzie — podjął kocur. — Gajowi dadzą mu łupnia po drodze, a ci piechurzy na polanie, chociaż rozmaicie uzbrojeni i kiepsko wyszkoleni, są jednak dobrze opłacani i chcą się bić. Na pewno nie zdradzą ani nie uciekną z byle powodu. Ale to nie wszystko. Każdy chłop w Sey Aye ma solidny oszczep i dobrze naostrzoną siekierę. Kowale wykuwają groty, a bednarze zamiast beczek klecą proste drewniane tarcze. W całym Szererze nie ma poddanych, którzy bardziej by kochali swoją panią. Kto tam wejdzie, będzie miał sprawę z całą ludnością tej polany, od pastucha świń poczynając, na poborcy danin kończąc. Samego domu księżnej pilnuje stu halabardników. Potrafią bić się każdą bronią, a nawet bez żadnej broni, konno i pieszo, w zbrojach i bez, umrą za księżną na rozkaz. Do gwardii zawsze byli przenoszani najlepsi żołnierze ze wszystkich oddziałów, to wielka nagroda i zaszczyt, o żołodzie nie wspominając. Widziałem, jak uzupełniany jest arsenał gwardii, mają tam wszystko, mogą wystąpić w boju jako kusznicy, średnia lub strzelcza jazda, albo ciężka piechota. Tych stu nie tyle pokona, co zmasakruje postawioną naprzeciw kolumnę imperialnych, a obroni się przed półlegionem. Mają dobrego dowódcę, starego wojaka z Grombelardu, wiele lat temu dowodził chyba gwardią Przedstawiciela w Grombie albo był zastępcą dowódcy, więc to ktoś

obyty, nie jakiś dzikus z gór. Sama księżna jest nieosiągalna dla nikogo, nie istnieje taki zabójca, który przeniknie w jej pobliże. Wszyscy niewolnicy domu zostali wytresowani przez jedną z Pereł księżnej i dopóki ta Perła chodzi po ziemi, Ezena nie zostanie użądlna przez osę. To nie tyle niewolnica, co rozumna suka, liżąca ręce i nogi swojej pani i bez przerwy patrząca jej w oczy. Merda do niej ogonem, ale w następnej chwili zagryzie każdego, kto podejdzie. Wojsko, które wkroczy do tego lasu, już z niego nie wyjdzie — powtórzył zmęczony zwiadowca; mówił tak niewyraźnie, że Tereza ledwie rozumiała. — Nawet kiedy Yokes wyprowadzi stamtąd jazdę, potrzeba będzie jeszcze jakichś sześciu legionów o wyjściowych stanach. Albo czterech takich jak nasz, w połowie złożonych z półsetek, nie z klinów. Do zdobycia, ale nie do utrzymania. Nikt nie utrzyma tej polany. Niedobitki chłopów spalą swoje wioski i uciekną do lasu razem z niedobitkami żołnierzy. Wszyscy legioniści Szereru, zebrani na tej polanie, zdechną tam wkrótce z głodu, jak na bezludnej wyspie.

Tereza wstała i powoli chodziła po izbie. Wyjrzała przez okno. Usiadła i znowu wstała.

— Wiesz coś o zamiarach Yokesa?

— Nie rozmawiałem tam z nikim, a zamiary nie chodzą po ziemi, więc nie można ich policzyć. Domysły to już twoja sprawa, komendantko. — Zwiadowca, jak każdy kot, nie znosił gdybania, a nawet nie bardzo umiał to robić. — Trochę udało mi się podsłuchać. Policzyłem żołnierzy i oceniłem, ile wojska trzeba, żeby ich pokonać. To i tak więcej, niż mogłaś oczekiwać. Ale wiem coś jeszcze, i to na pewno jest ważne. Myślę, że jazda Sey Aye już niedługo wyjdzie z Puszczy. Przy Netenie, tej handlowej przystani na rzece Lidzie, którą są spławiane towary, przygotowano wielki obóz wojskowy i skład materiałów wojennych. To najwyżej mila od traktu z Armektu do Rollayny, tego który przecina południowo-zachodni skraj Puszczy.

— Wiem.

— Na miejscu są montowane wozy. Przepchną je jakoś przez tę milę lasu i będą mieli tabor. Obóz przesłaniany jest przez wszystkich kuszników Sey Aye i liczne drużyny gajowych, nikt tam nie zabłądzi przypadkiem. Zresztą Enewen od dłuższego czasu trzyma tamte okolice.

Tereza pokiwała głową. Nawet koci zwiadowca, żywiący pogardę

dla wszystkiego, co pachniało polityką, wiedział już, że za Enewenem stoi księżna Sey Aye. Nie wiedział o tym tylko Kirlan. W stolicy udawano, że Puszczy Bukowej nie ma. Że dartańska wojna domowa to wewnętrzna rodowa sprawa dwóch zwaśnionych Domów K.B.I. Tak przynajmniej, jakby księżna K.B.I.Ezena przez przypadek nosiła takie same monogramy przed imieniem.

— Koniec raportu. Reszta, jak dojdiesz do siebie. Leż! — rozkazała.
— Już się nabiegałeś. Wartownik!

Żołnierz natychmiast stawił się w izbie.

— Pomóż zwiadowcy. Walczy od dwóch miesięcy, kiedy my tu jemy obiadki... Do izby chorych.

Legionista podniósł kocura ze skrzyni.

— Ty przestałaś jeść obiadki, tysięczniczko — trzymany przez żołnierza, schorowany zwiadowca nie stracił rezonu.

— Komplement czy pochlebstwo? Wynocha.

Wartownik wyniósł zwiadowcę. Komendantka uśmiechnęła się mimo woli, bo kpinka bezczelnego kocura jednak sprawiła jej przyjemność... Pogrzebała w swoich klamotach, znalazła kolczugę i białą tunikę, zapięła pas z mieczem. Usłyszała, że służbowy legionista wrócił na swój posterunek.

— Wartownik!

Drzwi skrzypnęły.

— Świeżego konia, trzech żołnierzy eskorty.

— Tak, pani.

— I do oficera służbowego. Niech pośle gońców do wójta i burmistrza, burmistrz ma zebrać radę. Równo z zamknięciem bram miejskich chcę mieć ich wszystkich w ratuszu.

— Tak, pani.

Wkrótce stępa, poprzedzana przez dwóch konnych legionistów i z trzecim przy boku, zmierzała do gmachu Trybunału Imperialnego.

Wadelar nie widział Terezy prawie od dwóch miesięcy. Gdy było to potrzebne, porozumiewali się przez posłańców, a do osobistego spotkania żadne nie dążyło. Zdziwił się, ujrawszy, jak bardzo tysięczniczka zeszczuplała i odmłodziła z krótkim jeżem na głowie, ale nic nie dał po sobie poznać. Pozycja wojskowej komendantki Akali, zawsze bardzo silna, umocniła się jeszcze od czasu przestawienia

garnizonu na stopę wojenną. Było to równoznaczne ze zmianą statusu okręgu z miejskiego na wojskowy — a w wojskowych okręgach ostatnie słowo należało zawsze do komendantów legii. Od blisko pół roku Tereza po prostu rządziła Potrójnym Pograniczem. Nadal musiała liczyć się z Trybunałem, wójtem i opinią rady miejskiej, ale tylko dlatego, że czasem czegoś potrzebowała. Wadelar był bardzo ciekaw, o co chodziło tym razem. Skoro stawiała się własną nieprzyjemną osobą... To na pewno coś oznaczało.

— Tu przyjmujesz gości, namiestniku? — zapytała, rozglądając się po dużej sali.

Ponad pół roku wcześniej w tej samej komnacie Wadelar podejmował Przyjętego.

— Gości — potwierdził. — Petentów i delegacje w kancelarii, a raczej w pokoju obok.

Usiadła, nieproszona.

— Daj mi wina, wasza dostojność — poprosiła. — Od samego rana galopuję jak wściekła. Jestem głodna i zaschło mi w gardle.

— Jakiś posiłek?

— Nie, na to nie mam czasu.

Namiestnik nie wezwał służby. Sam przyniósł dwa cynowe kubki — bardzo po armektańsku. Napełnił je trunkiem.

— Czemu zawdzięczam tę wizytę, wasza godność? — zapytał oficjalnie, ale nie okazując niechęci.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Mało sypiał albo przemęczał się pracą. Twarz miał szarą, pod oczami zaś wyraźne worki. Broda, zwykle bardzo krótko przystrzyżona, urosła. Wyglądał na czterdzieści parę lat.

— O cokolwiek poproszę, natychmiast dostaję — powiedziała, nie bawiąc się we wstępy. — Boję się, że niedługo zacznę dostawać bez proszenia... Będiesz odgadywał, czego sobie życzę, wasza dostojność? Lubię ciepłe mleko do poduszki.

— Znowu niedobrze? — raczej skonstatował, niż zapytał.

— Ależ dobrze. Tyle tylko, że udzielanie wojskowej komendantce okręgu wszelkiej możliwej pomocy nie jest chyba zadaniem Pierwszego Namiestnika Trybunału? Powinieneś trochę ograniczać moje zapędy, panie. Gdyby Kirlan chciał powierzać wojskowym władzę absolutną,

czyniłby ich królami.

Wadelar westchnął.

— Wasza godność — powiedział — jestem zajęty i zmęczony. Jeśli chcesz mi ciosać kołki na głowie, to lepiej wróć do siebie i wystosuj oficjalne pismo ze skargą, że nie kłócę się z tobą o głupstwa. Nie zażądałaś dotąd niczego, co miałbym za niemądre. Najpoważniejszą sprawą, jaką załatwiłem na twój wniosek, było uzyskanie od namiestniczki Londu zgody na sądzenie w Akali grombelardzkich obwiesiów. Przystała na to z radością.

— Ale i ty przystałaś, wasza dostojność — zauważyła. — A przysporzyło ci to pracy, że hej... Na jednego pogranicznika przypada czterech sądzonych przez ciebie Grombelardczyków.

— Mam to za słuszne — uciął. — Lond jest za daleko, żeby tam odsyłać każdego złapanego przez twoich żołnierzy łotra. Trudno też ich łapać i wypuszczać, bo to robota głupiego. Miałem nie przyznać ci racji?

Pokiwała głową.

— Ponad pół roku temu powędrował do Puszczy Bukowej klin gwardzistów — rzekła z innej beczki. — Jak właściwie skończyła się ta historia? Wiesz coś o tym, panie? Od paru miesięcy mam mnóstwo roboty ze szkoleniem setek nowych żołnierzy, prawie zapomniałam o tej sprawie.

— Przypomniałaś sobie dzisiaj, wasza godność?

— Tak, bo wrócił z Puszczy mój zwiadowca. Oddaję się w twoje ręce, namiestniku. — Wyciągnęła skrzyżowane w przegubach przedramiona, podając je do związania. — Posyłam swoich zwiadowców nie tylko do Grombelardu, na co mam pozwolenie, ale i do Dartanu. Zaraz zacznę szpiegować cesarza w Kirlanie.

Nie wyciągnął sznura z zanadru ani dybów spod stołu.

— Co z tym oddziałem gwardzistów? — powtórzyła pytanie. — Możesz mi powiedzieć, namiestniku?

Ze złośliwą satysfakcją, jaką ma chyba skaczący z mostu samobójca — satysfakcją, że jednak robi swoje — wbrew rozkazom Wadelar opowiedział komendantce Akali o wszystkim, co zdarzyło się w Dobrym Znaku. O pełnomocnictwach Agatry nie wspomniał, bo nie wiedział. Ale szczegóły obu zamachów i wyniki śledztwa znał dobrze. Wiedział też, oczywiście, jak długo gwardziści zabawili w Sey Aye. Tereza słuchała,

marszcząc brwi. Dolała sobie wina, chciała dolać też namiestnikowi, ale zakrył kubek dłonią. Wciąż jeszcze cierpła na nim skóra, gdy wspomniał przebudzenie przed trzema dniami.

— Ten pochwycony zamachowiec — zapytała — nie wiadomo, na czyje zlecenie działał?

— Oficjalnie nie wiadomo.

— A nieoficjalnie?

— Nieoficjalnie, komendantko, Trybunał w Seneletcie chyba coś wie. Przekazano mi dość obszerny raport w tej sprawie, ale ani jednym słowem nie wspomniano o tożsamości tego człowieka. Żadnych domniemań, w ogóle ani słowa.

— Co to może znaczyć? Że wiedzą, kto to jest, tylko nie chcą nic o tym mówić?

— Może.

— A co dalej? O śmierci tego młodego magnata coś słyszałam, było o tym głośno w Dartanie. Ale o zamachu na księżnę Sey Aye dowiaduję się dopiero teraz.

— Ledwie tydzień po pogrzebie syna jego godność K.B.I. Enewen pojechał do Puszczy Bukowej. Siedział tam dosyć długo, a gdy wrócił... najpierw nic nie robił. Zdaje się, że wysyłał tylko dużo, dużo listów i przyjmował bardzo wielu gości. W Rollaynie i w ogóle w Dartanie Domy K.B.I. znaczą naprawdę niemało, i to nawet jeśli pominąć główną linię, która skończyła się na osobie księcia Lewina. Enewen procesował się z przyrodniemi braćmi i po powrocie z Sey Aye zrobił wszystko, żeby proces przegrać. Nie uznał wyroku, ale zamiast się odwołać, rozpętał wojnę, zupełnie jak przed wiekami.

— To już wiem.

— Bracia nigdy się nie kochali. Owdowiały ojciec dwóch starszych poślubił w bardzo sędziwym wieku ciężarną pannę, przyznając się do dziecka, które nosiła. Tym dzieckiem jest Enewen. Od chwili śmierci ojca starsi bracia próbują dowieść, że ich macocha na pewno nie była brzemienna za sprawą siedemdziesięcioletniego mężczyzny z rodu K.B.I. i znajdują sporo zrozumienia w oczach sędziów z Rollayny.

Namiestnik przemilczał całą resztę, bo Tereza zrobiła minę, jakby bolały ją zęby. Dartańskie sądy nie były przychylnie Enewenowi przede wszystkim dlatego, że jego matka, już jako wdowa Domu K.B.I., rodziła

dzieci każdemu, kto się zgłosił z odpowiednim majątkiem. Była zameźna jeszcze trzy razy, zawsze z kimś bardzo wiekowym, i przed laty nikt w Dartanie nie mówił K.B.I.Ayana, tylko Wieczna Wdowa. Sprzedawała najświetniejsze monogramy rodowe, przez całe bujne, choć krótkie życie ciuając majątek dla swego pierwszego syna... Dartańczycy wprawdzie dopuszczali dziedziczenie rodowych monogramów po linii żeńskiej (choć pochodzenie po mieczu stawiano znacznie wyżej) — było to jednak bardzo źle widziane i usprawiedliwione właściwie tylko groźbą wygaśnięcia rodu. Ale matka Enewena nie była z urodzenia damą Domu K.B.I., a podobało się jej wielokrotnie wychodzić za mąż, dokładniej zaś: mayme ourina vasayla — narzeczem wydawali się za nią, jako że dopuszczała ich do własnych (bardzo wątpliwie własnych, bo nabytych przez pierwsze zamążpójście) monogramów rodu. Wszystko to było zgodne z imperialnym i dartańskim prawem — ale nie obyczajem... Byle przybłęda wymachiwał teraz w Dartanie imionami przodków księcia Lewina i jego najbliższych krewnych. Enewen uznawał całe bez wyjątku przyrodnie rodzeństwo; jego starsi bracia — nikogo. Kiedyś wszczynano o podobne sprawy wewnątrzrodowe wojny. Teraz zamiast wojny były niezliczone procesy. Ale było też kilka pojedynków na turniejowej arenie, podczas których jego godność Enewen mocno pogiął zbroje niekochających go braci. Powszechnie wróżono, że następne spotkanie może skończyć się czymś więcej niż tylko rycerskim pokonaniem przeciwnika... Wadelar znał te szczegóły, a plotek drugie tyle, oszczędził ich jednak skrzywionej tysięcznicze.

Oboje milczeli przez chwilę.

— Obrzydlistwo — powiedziała wreszcie. — Nie nadaję się do grzebania w takich... rodowych popierdułkach. Żałuję, że zapytałam. Namiestniku, czy chcesz wiedzieć, co teraz dzieje się w Puszczy? A może dobrze wiesz?

— Nic nie wiem.

Opowiedziała, co wykrył jej zwiadowca.

— Polityki Kirlanu nie rozumiem — rzekła na sam koniec. — Stronnictwo Sprawiedliwych w końcu się rozleci, Rycerze Królowej rządzą już połową Dartanu. Rządziliby całym, ale dartańska wojna koniecznie musi być ślamazarna, przerywana fetowaniem zwycięstw, wykupywaniem się jeńców z niewoli po każdym zawieszeniu broni,

powoływaniem rozjemców, których werdyktu zawsze jedna strona nie uzna, układami i wiecznymi rokowaniami. Ale i tak każdy, kto tylko może, przechodzi na stronę Enewena, bo widać, że sprawa przeciwników jest przegrana. Jeśli Rycerzy wesprze Sey Aye... a księżna na pewno ma coś wspólnego z Enewenem... to za parę miesięcy cały Dartan będzie we władzy jednego Domu K.B.I. Wierzysz, wasza dostojność, że Enewen poprosi wówczas Kirlan o przysłanie do Rollayny Księcia Przedstawiciela? Bo ja już widzę, jaki chleb rośnie z tej mąki. Dzisiaj albo jutro, a najlepiej wczoraj, należałoby pobić Rycerzy Królowej, a samego Enewena i najbliższych jego zauszników puścić z torbami. Pobić ich, nie czekając, aż Sprawiedliwi poproszą imperium o pomoc, bo nieprędko poproszą — to sprawa honoru i rodowej dumy. Może jednak w końcu to uczynią, gdy okaże się, że przegrali z kretesem. Ale wtedy będzie już za późno. Nikt nie pobije Stronnictwa Ahe Vanadeyone, bo wszystko, czym dysponuje imperium, siedzi tutaj. — Popukała palcem w blat stołu. — Silny liczebnie i dobrze przygotowany do walki legion, ale tylko jeden. Bez widoków na uzupełnienie strat bojowych, bo jako rezerwowy obwód wojskowy, mający szkolić żołnierzy dla Akali, wyznaczono Allenay w okręgu Seneletty, miasto, w którym siedzi zaledwie półlegion. Zresztą, wszystko jedno, co w nim siedzi, niechby siedziała kolumna, ale gdzieś na tyłach. Bo pod Senelettą stoją chorągwie jego godności Enewena czy któregoś z jego stronników. Żadnych uzupełnień nie dostanę. Znasz się trochę na wojsku, namiestniku? — zapytała.

— Tyle o ile.

— Dostałam fundusze na doprowadzenie moich trzech półlegionów do wyjściowych stanów bojowych. Rozpisałam pobór i tak gospodarowałam funduszami, że zamiast niskoetatowego legionu mam pod bronią legion rozwinięty. Moim przeciwnikiem są na razie grombelardzcy obwiesie, ale już w trakcie poboru zaczęłam poważnie brać pod uwagę Puszczę Bukową. Bez skrupułów wykorzystałam wszystkie furtki nieopatrznie pozostawione mi przez Kirlan i urządziłam wojsko tak, jak mi się spodobało. Mam bardzo mało ciężkiej piechoty, która jest droga i zbędna, zarówno w potyczkach z rzezimieszkami, jak i w lesie. Jazdy też mam mniej, niż to zwykle bywa, bo szkolenie jeźdźca trwa najdłużej, a utrzymanie jazdy bardzo dużo kosztuje. Przeszło połowa żołnierzy to łucznicy piesi, wojsko najtańsze, wartościowsze od

toporników, chociaż niestety nie tak ruchliwe jak jazda. Zaufanie zaufanie: mam siedemnaście klinów i trzynaście półsetek, do tego dziewięć samodzielnych dziesiątek rezerw kolumnowych i jeszcze odwodową kolumnę dowódcy legionu, a w niej jeden klin własnej Gwardii Akalskiej. No i oczywiście służby, ale niekompletne. To są dane tajne — zaznaczyła, doskonale wiedząc, że namiestnik i tak nie zapamięta tych dziesiątek przy klinach w kolumnach. — Zdradzam je przed tobą, wasza dostojność, bo potrzebuję pomocy. Jeszcze dzisiaj odbędzie się posiedzenie rady miejskiej. Chcę wymóc na mieszczuchach dobrowolny podatek na wojsko.

Wadelar zmarszczył brwi.

— Ani ty, ani ja, wasza godność, nie mamy prawa narzucić im tego. A nawet gorzej: oni sami, choćby i chcieli, nie mogą finansować swojego garnizonu.

Pokręcił głową i dorzucił:

— Wiesz równie dobrze jak ja, wasza godność, że dobrowolne dotacje na legie imperialne można przekazywać tylko za pośrednictwem cesarskiego poborcy, wprost do imperialnej szkatuły. W przeciwnym wypadku zaczęłyby powstawać coraz silniejsze armie miejskie, których dowódcy byłiby zależni od ratusza. Nie mogę przymknąć na to oczu, bo to już nie jest naciąganie prawa, a wręcz jego łamanie. Akalczycy nie mogą finansować swoich legionistów.

— Nie wprost. Ale mogą powołać choćby własną straż miejską. W normalnych warunkach byłby to policzek dla komendanta garnizonu... Ale ja się nie obrażę. Pomogę im zorganizować tych pachółków i wdrożę do służby.

— Co to da? A, chyba rozumiem: w razie konieczności będziesz mogła wyprowadzić z miasta do boju wszystkich swoich żołnierzy, czy tak?

— Co do jednego, nie licząc chorych i paru doświadczonych funkcyjnych, którzy będą szkolić jakieś, choćby skromne, rezerwy. To moja sprawa, jakimi siłami zapewniam porządek na ulicach, może to być nawet pięciu kulawych legionistów. Oprócz powołania straży miejskiej Akala może zrobić coś jeszcze. Otóż ja ciągle mam pieniądze, wasza dostojność. Ale są one przeznaczone na konkretny cel. Mój legion prawie nie ma taboru, no i nie ma wojennych zapasów. Wszystko to muszę

kupić. Właściwie natychmiast. Jeśli kupię po normalnej cenie, no to kupię. Ale jeśli otrzymam za symboliczną opłatą, to natychmiast rozpiszę nowy pobór. Mogłabym rozwinąć do półsetek jeszcze parę klinów.

— Skąd weźmiesz, pani, pieniądze na żołd dla dodatkowych legionistów?

— Moi żołnierze zgodzili się pobierać żołd pokojowy. Wszyscy, z oficerami i komendantką garnizonu włącznie.

Pokiwał głową. Legioniści dopłacali do imperium.

— I co jeszcze, pani?

— I jeszcze... amnestia, wasza dostojność — rąbnęła. — Muszę mieć mulników, woźniców, a przede wszystkim rzemieślników służących przy wojsku: szewców, krawców, siodlarzy, rymarzy, kowali. Mam, ale za mało. Wystarczy jednak, żeby przyuczyć pomocników. Czy amnestia dla drobnych rzeźmieszaków wchodziłaby w rachubę? Zamiast gnąć w twierdzy akalskiej, może mogliby odbębnić skróconą karę, służąc przy wojsku? Oczywiście żadnych poborów, dam im tylko utrzymanie — zastrzegła.

— Ma się rozumieć... Pomyślę o tym, pani.

— No to mam jeszcze dwie dziesiątki łuczników — powiedziała, zadowolona. — Co się stało, namiestniku? Buduję tutaj armię, jakiej istnienia nie przewidział Kirlan. Dlaczego mi w tym pomagasz?

— Może po raz ostatni. Za miesiąc, a może już za tydzień, będziesz dogadywać się z kim innym, wasza godność.

— Co to znaczy?

— To znaczy, wasza godność, że za miesiąc lub za tydzień nikt nie będzie pomnażał z tobą sił legii, a tylko donosił o takich zamiarach komu trzeba. Armekt, Armektanko, chyba nie potrzebuje armii, a nawet strażników prawa, woli mieć bandy donosicieli... Mamy iść na spotkanie z radą miasta, czy tak? — zapytał, wstając; rozmowa była skończona. — Burmistrz i rajcy na pewno pójda ci na rękę, bo umiesz dbać o ich miasto. Ale z wójtem będzie kłopot. Reprezentuje tu Kirlan.

— To okręg wojskowy — przypomniała. — Usadzę wójta. Powołanie straży miejskiej to nie jest coś, czego może zabronić radzie.

Wypełniająca korytarze ciżba dworzan, petentów, urzędników i wszelkiego rodzaju służących wydawała się nie do przebycia. A jednak zwarta grupa idących szybkim krokiem ludzi nie potrzebowała nawet torujących drogę żołnierzy. Na widok białych, szarych i niebieskich mundurów pierzchano z drogi: tłum spływał w boczne odgałęzienia korytarza, urzędnicy i dworacy znikali w jakichś komnatach, służba nieomal wtapiała się w ściany. W Wiecznym Cesarstwie podobne znaczenie jak armia miał tylko Trybunał Imperialny, ale wynikało to z politycznej konieczności. Żaden urzędnik nie mógł równać się z żołnierzem imperium, symbolem armektańskich zwycięstw i chwały. Gdyby tym samym korytarzem kroczyli, zebrani ze wszystkich prowincji, Najwyżsi Sędziowie i Pierwsi Namiestnicy Trybunału, potrzebowaliby asysty halabardników lub mozolnie przepychali się przez tłum. Przed idącymi oficerami otwierała się pustka.

Grupa skręciła w boczny korytarz. Zaskoczeni ludzie gotowi byli poprzewracać się, uciekając z drogi. Oficerowie poszli dalej, wciąż tym samym zdecydowanym, istic wojskowym krokiem. Na końcu korytarza widniały czarne dwuskrzydłowe drzwi. Strzegli ich gwardziści w jednolicie jasnoszarych tunikach, ozdobionych srebrnymi gwiazdami imperium. Poniżej gwiazd, tak samo srebrnymi nićmi, wyhaftowano rodowe monogramy. Żołnierze Gwardii Cesarskiej, prywatny poczet imperatora.

Drzwi otwarto, nim oficerowie do nich doszli. Dalej były drugie, też strzeżone przez halabardników. Otworzyły się podobnie jak pierwsze.

Przestronna sala była urządzona z armektańską surowością i prostotą. Na jednej ze ścian zawieszono tarczę z wielką srebrną gwiazdą, a poniżej trochę oręża. Zwracały uwagę dwa łuki, większy i mniejszy. Oręż pieszego i konnego łucznika.

Wokół długiego stołu stały liczne krzesła, bardzo solidne i proste, chciałoby się rzec: ostentacyjnie tanie. Tylko jedno, u szczytu stołu, wyróżniało się wysokością, ale nie sposobem wykonania. Wzdłuż okien znaleziono miejsce dla pulpity; czekali już przy nich pisarze. Pod ścianą tkwili czterej młodzieńcy, każdy z antałkiem miodu pod pachą.

Niewielkie boczne drzwi otworzyły się, przepuszczając niewysokiego mężczyznę w podeszłym wieku, odzianego w czarnoszare, bardzo dobrze skrojone szaty. Oprócz krótkiej męskiej spódnicy i jedwabnej czarnej

koszuli człowiek ten miał na sobie szare nogawice wpuszczone w cholewy skórzanych butów, nabijany srebrnymi guzami pas, spinający narzutę trochę podobną do wojskowej, równie niewyszukaną w kroju, a na szyi dość drobny srebrny łańcuch, obciążony czteroramienną gwiazdą. Mężczyzna nie pozwolił czekać wchodzącym do komnaty oficerom. Skierował się prosto ku szczytowi stołu i usiadł. Zaszurały nogi krzesel i po chwili zaległa cisza. Bez żadnych przemówień i powitań wojenna narada była rozpoczęta.

Pisarze przy pulpitach i mężczyźni rozlewający miód do kubków, wszyscy bez wyjątku nosili jasnoszare narzuty, ale bez wyszytych czteroramiennych gwiazd. Służący przy wojsku pachółkowie i urzędnicy nie byli żołnierzami, choć obowiązywał ich wojskowy rygor.

— Cesarzu?

Mężczyzna na wysokim krześle przyzwalająco skinął głową. Oficer, który się odezwał, był najwyższym rangą wojskowym w Armekcie. Nadtysięczników legii w całym Wiecznym Cesarstwie dałoby się zliczyć zaledwie kilkunastu. Ale tylko jeden był ponadto honor-nadsetnikiem gwardii. Złożył krótki raport i oddał głos następnemu oficerowi. Wszyscy siedzący przy stole po kolei meldowali o stanie swych oddziałów. Nie były to sprawy bardzo ważne, ale od tego zaczynały się wszystkie wojenne narady. Imperator słuchał, zatrzymując spojrzenie na twarzy każdego mówiącego. Jeden z wojskowych miał niebiesko-szarą narzutę wycinaną w kwadratowe zęby, a zamiast spódnicy szare hajdawery. Nadsetnik Armektańskiej Gwardii Morskiej, dowodzący stojącą w Kirlanie eskadrą — odpowiednikiem półlegionu — zastępował swego dowódcę, który na czele pozostałych dwóch eskadr flotyli był na morzu.

Marynarz składał raport jako ostatni, ale to jemu właśnie udzielono zaraz głosu ponownie.

— Nie, wasza wysokość — odpowiedział. — Eskadry z Bany zdążą, ale nasze nie. O tej porze roku przeważają słabe wiatry południowo-zachodnie, czyli wiejące w sam dziób. A do opłynięcia mamy pół Szereru. Ostatni raport o naszych okrętach mam z Akary na wysokości Bany. To sprzed tygodnia. Myślę, że stoimy tam do dziś.

— Dlaczego?

— Bo z raportu wynika, że wiatr jest taki, jak powiedziałem, a to oznacza, że nasze eskadry mogą robić najwyżej dziesięć, dwanaście mil

na dobę. To prędkość Prądu Zachodniego, najgodniejszy. Pchającego nas w przeciwnym kierunku.

— Wolno jednak sądzić, że Wielka Flota poradzi sobie bez pomocy Trzech Portów? — Imperator nigdy nie ukrywał, że poczynania flot są dla niego, w dużej mierze, sprawą tajemniczą.

— Tak, wasza wysokość. Wystarczy, że Trzy Porty zluzują eskadry z Morza Zwartego, a dokładniej: dopilnują Wysp Przybrzeżnych i Okrągłych, co ostatnio robiła właśnie Bana. Choć powinna robić Mała Flota Wysp.

— Wiem, dlaczego nie robi, i oszczędź mi tego, wasza godność.

Oficer skłonił głowę.

— Co z Północną Granicą?

— Bardzo dobrze, wasza wysokość. — Starszy mężczyzna w białej tunice z trójkątnymi niebieskimi wycięciami tysięcznika Legii Armektańskiej poruszył się i odkaszlnął. — Wojska Okręgu Wschodniego już zostały zluzowane, Okręg Zachodni ruszy lada chwila. Straciliśmy dużo czasu, ale warto było, bo zyskaliśmy doborowych żołnierzy. Na Północnej Granicy spokój, a jeśli nawet Alerowie zaczną wierzgać, to grozi nam najwyżej nieupilnowanie paru wiosek. Pójdą z dymem... Ale wojny takiej jak przed ćwierćwieczem na pewno tam nie będzie. — Uśmiechnął się lekko, bo brał w tej wojnie udział.

— Jaką wartość mają luzujące oddziały?

— No... hm, taką jak zwykle, najgodniejszy. Rezerwowe Okręgi Riny i Rapy bardzo dobrze szkolą żołnierzy, Kanaza i Donar takie nie posyłają do stanic rekrutów. Ale to żołnierz zupełnie zielony. Będzie im tam ciężko bez doświadczonych kolegów — przyznał. — Tym bardziej jednak nie warto ściągać takiego żołnierza do Dartanu.

Imperator pytał o sprawy oczywiste. Lecz nie było tajemnicą, że od kilku tygodni prawie wcale nie zajmował się wojskiem. Wydał ogólne dyspozycje i zaufał swoim dowódcom, nie roztaczając nad ich poczynaniami osobistego nadzoru. Piętrzyły się inne sprawy, których musiał dopilnować osobiście, bo urzędnicy skarbowi, poborczy, wójtowie miast, a na koniec, jak się okazywało, urzędnicy Trybunału, nie byli nawet w połowie tak lojalni i pilni jak żołnierze. Rozpaczliwie brakowało pieniędzy, a jeszcze bardziej ludzi, którzy chcieliby podejmować szybkie i śmiałe decyzje, potrafili wcielać je w życie, umieli choćby spod ziemi

wyrwać wszystko, co było potrzebne. Władca Wiecznego Cesarstwa szukał pieniędzy, szukał ludzi, akceptował, zabraniał, naciskał... Nie miał czasu na przyglądanie się wojskowym przygotowaniom. Dopiero teraz, gdy wojenna machina imperium ruszyła wreszcie z miejsca, chciał wiedzieć, jak gładko się toczy i dokąd zmierza. Przyszła pora na podjęcie nowych decyzji.

— Co dokładnie będziemy mieli i kiedy?

— Cztery legiony, najgodniejszy. Uzupełnione po drodze do pełnych stanów. Z rezerwowych okręgów poszło do stanic tylko tyle wojska, ile musiało iść. Reszta wyrówna ubytki w ściągniętych z północy oddziałach. Do Tarwelu dotrą... trudno powiedzieć kiedy, bo to zależy od pogody. Jeśli już nie będzie śniegu ani zbyt dużo błota, wasza wysokość, to mogą tam być... za trzy tygodnie? Jazda nawet szybciej.

— Każ spowolnić marsz tych oddziałów.

— Spowolnić, wasza wysokość?

— To formacje staniczne, tysięczniku, czy tak? Przeznaczone do działań w oparciu o umocnione placówki.

— Tak, wasza wysokość.

— Czy mają już polowe tabory i służby?

Oficer zmieszał się, bo imperator, choć dawno nie pytał o wojsko, miał przecież o nim pojęcie. Nie należało o tym zapominać.

— Nie, wasza wysokość.

— Czy mi się zdaje, tysięczniku, czy rzeczywiście nie potrafisz się wyzwolić z myślenia kategoriami wojny granicznej, prowadzonej w oparciu o twierdze i stаницe?

Nauczka była dotkliwa; cesarz trafił w sedno. Staniczne tabory — i tak bardzo skromne — musiały zostać przekazane nowo przybyłym oddziałom luzującym. To samo dotyczyło wszystkich stanicznych rzemieślników. Wojska spod Północnej Granicy mogły prowadzić najwyżej kilkadziesiąt zwierząt jucznych. Jednego muła na... klin?

— Jeśli ci żołnierze przemierzą biegiem pół Szereru, głodni i schorowani (bo czy mają namioty, tysięczniku, czy też raczej stawiają sobie daszki z płaszczy, dobre na krótki wypad przeciw zgrai Alerów?), to jakie siły staną pod Tarwelarem? Ułóż marszrutę w ten sposób, by mogli często uzupełniać zapasy, bo na własnych plecach niewiele wezmą na drogę. Uzgodnij z kwatermistrzami, do których miejsc kierować

zakupione wozy z zapasami, tak żeby mogli zabierać je po drodze i stopniowo uzupełniać braki.

— Tak, cesarzu.

Oficer oberwał trochę na wyrost. W chaosie wstępnych przygotowań wcale nie było oczywiste, co jest ważniejsze: szybkość, z jaką oddziały stawiają się pod Tarwelarem, czy zachowanie sił żołnierzy. Tysięcznik, odpowiedzialny za zluzowanie północnych garnizonów, uznał, że zmitrężono już dość czasu, i dostał po nosie za to, czego tak bardzo poszukiwał cesarz: zdolność do podejmowania samodzielnych decyzji, na własną odpowiedzialność...

— Garnizony w środkowym Armeckie. Jak to wygląda?

Głównodowodzący Legii Armeckańskiej bezradnie rozłożył ręce.

— Bardzo źle, wasza wysokość. We wszystkich okręgach rozpisano pobór. Wybrano najlepszych i odesłano do domów. Czekają na wezwanie. Jutro możemy mieć tylu rekrutów, że wystarczy na pięćdziesiąt nowych legionów, nie tylko na uzupełnienie garnizonów do stanów wojennych.

— Nie ma na to pieniędzy.

— Nie ma w ogóle niczego, najgodniejszy.

Była to szczerza prawda. W miejskich arsenałach, jak się okazało, nie było uzbrojenia dla legionów o wojennych stanach. Zapasy broni, nieodnawiane od dziesięcioleci, stopniały w zatrważający sposób — nikt nie poczuwał się do winy i może nawet rzeczywiście nie było winnych... Wykryto zaledwie kilka przypadków defraudacji zapomnianego wojskowego mienia. Złożone w arsenałach tarcze, łuki, włócznie i topory, choć zabezpieczone przed niszczącym oddziaływaniem czasu, nie zawsze wyszły ze zmagania zwycięsko. Najlepiej wyglądała sprawa z uzbrojeniem ochronnym: dość często przecierane oliwą, owinięte w natłuszczone szmaty kolczugi i blachy nosiły tylko nieliczne ślady rdzy; wystarczyło wymienić sparciałe rzemienie. Ale broń ręczna była w opłakanym stanie. Wszystkie łuki domagały się nowych cięciw, a najbardziej brakowało strzał. Styliska toporów, pozornie mocne, lubiły pękać przy pierwszym kontakcie żelźca z tarczą, same tarcze zaś kryły pod cienką warstwą blachy zbutwiałe drewno. W ogóle nie było mundurowych tunik, spódnic, pasów, obuwia, rzędów końskich, derek, pledów, a nawet drewnianych kubków i lnianych toreb na podręczny ekwipunek

żołnierzy. Takie rzeczy w służbie zużywały się najszybciej, a żaden komendant garnizonu nie kupował nowych, dopóki nie musiał. Gdy naprawa uszkodzonych przedmiotów była niemożliwa, po prostu sięgano do składów. Czyniono to zresztą zupełnie legalnie, bo wieloletnie przechowywanie tak nietrwałych rzeczy, jak sukienne tuniki, mogło doprowadzić najwyżej do masowego wyrzucania zetknięch na krawędziach złożów szmat. Taki los spotkał setki wojskowych namiotów, pamiętających przemarsze i obozowiska wielkich armii. Odkąd nastał pokój, wojskowy patrol na gościńcu, jeżdżący od wioski do wioski i od miasta do miasta, nie potrzebował namiotu dla trzydziestu ludzi, ani w ogóle żadnego. Z obawy przed zmarnowaniem pozwalano więc wykorzystywać zalegające w składach wojskowe mienie. A że już od dawna nikt tych zapasów nie odnawiał to była zupełnie inna sprawa... Bardzo bolesna dla władców Wiecznego Cesarstwa, którzy naiwnie uwierzyli w wieczny pokój.

— Do tych północnych legionów miały dołączyć wszystkie rozporządzalne siły z Kirlanu. Co wygospodarowano?

Zapytany — komendant Miejskiego Okręgu Trzech Portów — pokręcił głową.

— Nic, wasza wysokość.

— Zupełnie nic?

— Tylko gwardię legii. Jest jeszcze Gwardia Cesarska.

Kirlan, jak wszystkie portowe miasta imperium, utrzymywał garnizon straży morskiej, nie legii. Dwie eskadry wypłynęły w morze, żołnierze trzeciej, gwardyjskiej, utrzymywali pozostałe okręty i pełnili służbę patrolową na ulicach. Jak na miasto tej wielkości, wcale nie było ich zbyt wielu... Ale w Miejskim Okręgu Trzech Portów stał jeszcze półlegion Legii Armekańskiej, bardzo dobrze uzbrojony i wyposażony, o wzorcowych wręcz stanach bojowych. Jedną kolumną tego legionu była kolumną gwardyjską.

— Gwardia Cesarska zostanie tutaj, w stolicy. Tak długo, aż stanie się jasne, że nikt mi jej nie wyrznie do ostatniego żołnierza.

Żaden z obecnych w komnacie oficerów nie wątpił, że imperator, gdyby tylko mógł, posłałby swoich prywatnych żołnierzy dokądkolwiek. Ale użycie prywatnych oddziałów panującego to już nie było posunięcie czysto wojskowe. Przede wszystkim miało wymiar polityczny. Sama

konieczność wprowadzenia do walki tego najświetniejszego wojska obnażyłaby słabość imperium. O skutkach, jakie pociągnęłyby za sobą klęska Gwardii Cesarskiej — a klęska na wojnie zawsze mogła się zdarzyć — nie warto było nawet wspominać.

— Garra i Grombelard.

— Garra pilnuje swoich spraw i panuje nad nimi. Straż Morska Garry i Wysp wciąż jest wspierana przez eskadry armektańskie i dartańskie, ale Legia Garyjska ma się zupełnie dobrze. Nie potrzebuje żadnego wsparcia ani dalszych uzupełnień. Straż morska zapewnia, że odejście eskadr dartańskich nie spowoduje katastrofy. Poradzają sobie. Z Grombelardem gorzej. W okręgu Londu spokój, ale Ciężkie Góry to jaskinia zbójców. Jeszcze gorzej na dartańskim i armektańskim pograniczu, to dzisiaj druga Północ. Wojna podjazdowa, łupieżcze bandy, zagony. Legia Grombelardzka nie ma już oparcia w górskich miastach, a z Londu nie może nad tym zapanować. Wszystko wzięła na siebie Akala.

— Poleciałem przestawić ten legion na stopę wojenną już dość dawno. Dostali pieniądze, bo wtedy jeszcze były... Nie zmarnowali ich, mam nadzieję? Jak to wygląda?

— Bardzo dobrze, wasza wysokość. Reorganizacja została ukończona. Akala kontroluje cały Niski Grombelard.

— Dobrze. Kto odpowiada za Dartan?

Zgłosił się nadsetnik Gwardii Cesarskiej.

— Ty, Ewinie? — zdziwiony imperator nie ustrzegł się drobnego uchybienia, jakim było podczas rady wojennej nazwanie faworyta (i bez mała przyjaciela) po imieniu. — Dlaczego?

— To tylko przyjmowanie raportów, najgodniejszy — nadsetnik jął się tłumaczyć, jakby dobrowolne nałożenie na siebie dodatkowych obowiązków wymagało usprawiedliwienia. — Wszyscy tutaj mają co robić... Rozmowy z gośćcami i czytanie raportów to wszystko, co znalazłem dla siebie. Zabiegałem o powierzenie mi tej pracy.

W usprawiedliwieniu krył się wyrzut skierowany wprost do imperatora. „Wszyscy tutaj mają co robić...”. Nadsetnik H. H. Ewin, znakomity oficer dowodzący najlepszymi żołnierzami świata, czuł się zupełnie zbędny. Zestawiał więc raporty z dalekiego Dartanu, rysował mapy i wypisywał cyfry oznaczające domniemaną lub stwierdzoną liczbę wojsk.

— W każdej chwili, wasza cesarska wysokość, można wysłać rozkazy do dartańskich garnizonów. Rozstawieni kurierzy czekają. Nie wszystkie raporty są ścisłe, a Legia Dartańska ma już straty bojowe, więc nie da się z całkowitą dokładnością ocenić liczebności tych wojsk.

— Skąd wzięły się straty bojowe?

— Z bałaganu, wasza wysokość. W północno-wschodnim Dartanie wojna, a gdzie indziej właśnie bałagan. Pojawiły się różne bandy, które z tego korzystają. Znikają patrole, mniej w miastach, ale sporo na traktach. Konia i broń łatwo dzisiaj sprzedać w Dartanie, nikt nie pyta, skąd pochodzi dobry miecz i kolczuga. Ponadto coraz trudniej utrzymać porządek w dartańskich dobrach imperialnych. Prywatne strzeżone są lepiej. Legia Dartańska stoczyła już kilka wartych wzmianki potyczek w obronie wiosek należących do imperium. Rozkwitł wstrętny proceder uprowadzania młodych mężczyzn. Różnych jeńców, pojmanych przez walczące stronnictwa, odsyła się pod eskortą tu i tam, więc spętani ludzie na drodze to teraz nic niezwykłego. Niepiśmienny chłopak dartański, uprowadzony z wioski, w której siedział od urodzenia, najczęściej nawet nie wie, skąd pochodzi. Można go łatwo doprowadzić do hodowli i sprzedać, a stamtąd prawie natychmiast trafia do prywatnych kamieniołomów albo kopalń. Wszystko to, oczywiście, odbywa się zupełnie nielegalnie, ale z zyskiem dla każdego. Traci tylko ten chłopak i imperialne wioski, z których ubywa rąk do pracy.

— Podaj nam szacunkowe dane na temat liczebności Legii Dartańskiej.

— W straży morskiej ponad cztery tysiące żołnierzy. Legia od czterech i pół do pięciu tysięcy ludzi, do tego trzystu gwardzistów z Rollayny; są już w Tarwelarze, razem z Księciem Przedstawicielem. Straż morska jest dobrze uzbrojona, znośnie dowodzona, wielu żołnierzy biło się jeszcze podczas garyjskiego powstania, inni mieli jakieś utarczki z łodziami przybrzeżnych rozbójników albo nawet z załogami pirackich żaglowców. Można liczyć, że straż morska utrzyma wielkie porty Dartanu, przynajmniej tak długo, jak długo będą potrzebne. Z legią jest gorzej, znacznie gorzej. Tylko gwardia jest dobrze wyszkolona i niezłe uzbrojona, choć bez żadnego doświadczenia bojowego. No i bez żadnego zaplecza i służb, o taborach nie wspominając. Natomiast zwykli legionieści to wojsko do bitew z pijakami w gospodach i bezdomnymi psami na

traktach, uzbrojone w pałki, miecze i paradne tarcze trzymane w arsenałach. Jednak to aż cztery tysiące ludzi, z czego jedna trzecia na koniach, ludzi zorganizowanych, mających dowódców, znających dyscyplinę i jako tako wyszkolonych według regulaminów ciężkiej piechoty strzelczej. Jeśli dostaną kusze, przypomną sobie jak z nich strzelać.

Głównodowodzący Legii Armekańskiej poruszył się znacząco. Imperator popatrzył nań, po czym uczynił niezbyt obszerny ruch dłońmi, jakby dawał znak, że udziela głosu każdemu, kto chce się wypowiedzieć. Było to hasło do właściwej narady.

Nadtysięcznik w białej tunice z niebieskimi obszyciami poprawił się na krześle jeszcze raz, pokręcił głową i zwrócił się do dowódcy Gwardii Cesarskiej:

— Jeśli dostaną kusze, wasza godność, otóż to. Ale nie dostaną, bo kusze to bardzo droga broń. Zresztą kłopot nie tylko w cenie, bo nawet gdyby znalazły się pieniądze, to czterech tysięcy kusz z zapasem bełtów nie ma do kupienia w całym Wiecznym Cesarstwie. Trzeba by złożyć zamówienia i czekać. I znowu powiem: dobrze, może nawet warto by poczekać, wycofując tych żołnierzy do odwodu. Ale gdzie złożyć te zamówienia na kusze, wasza godność? W Grombelardzie, który jeszcze niedawno dostarczał najlepszych kusz w Szererze? Czy w Dartanie, gdzie robiono — i pewnie robi się nadal — głównie lekkie samostrzały dla konnych kuszników, bardzo pięknie zdobione? Bo w Armeckie... nie wiem, czy w ogóle gdzieś u nas wyrabia się kusze? — Rozejrzał się pytająco, ale odpowiedziało mu milczenie, a kilku oficerów wręcz z powątpiewaniem pokręciło głowami. — Pewnie uciekli tu jacyś rzemieślnicy z Grombelardu, ale kto wie, gdzie ich szukać? Z wielkim nakładem sił i środków wyciągniemy więc z Dartanu cztery tysiące piechurów z końmi i bez (bo przyznasz, wasza godność, że te konne patrole trudno nazwać jazdą) i co z nimi pocniemy?

— Przedstawiłem tylko sytuację — powiedział Evin. — Flota z Bany, a za nią nasza, z Trzech Portów, wypłynęły przecież tylko po to, żeby zluzować i osłonić Flotę Dartańską, a także zarekwirowane statki kupieckie, słowem wszystkie żaglowce, które przyjmą na pokłady wywożonych z Dartanu żołnierzy. Jeśli ich przyjmą.

— Nigdy nie zostało przesądzone, że przyjmą. Rozważamy to

właśnie dzisiaj.

Naczelny dowódca Legii Armeckańskiej wolałby z całą pewnością, żeby środki przeznaczone na zakup kusz dla Legii Dartańskiej dostały się jakimś miejskim garnizonom w Armeckie. Ale nawet, jeśli rzeczywiście tak myślał, to mógł mieć sporo racji. Wzięty z byle wioski rekrut wiedział pewnie więcej o strzelaniu z łuku niż dartański legionista o strzelaniu z kuszy. W armeckańskich wsiach prawie każdy dzieciak uczył się trafiać do celu, marząc o wojskowej tunice w przyszłości. Możliwość zrobienia wojskowej kariery traktowano tam bardzo poważnie. Stary mit o prostym łuczniku, który z czasem zostawał dowódcą legionu, był wciąż żywy w armeckańskiej tradycji. A że nie była to tylko piękna bajka, zaświadczyć mógł chociażby biorący udział w naradzie komendant okręgu Trzech Portów, którego ojciec był drobnym kupcem. Krzepki syn wybrał przyszłość żołnierza ciężkiej piechoty.

— Więc rozważajmy, panie. Mówimy o czterech tysiącach żołnierzy w kolczugach i mundurowych tunikach, w dobrych kapalinach na głowach. O czterech tysiącach dobrych mieczy przy solidnych pasach i z górą tysiącu ułożonych do wojskowej służby koni. Jeśli nawet wartość tych żołnierzy jest żadna, to może warto ich sprowadzić do Armecku choćby po to, żeby rozebrać z tego dobra, którego tak rozpaczliwie brakuje?

Był to argument prawie nie do odparcia. Ale tylko prawie.

Z kolei odchrząknął komendant okręgu stołecznego.

— Nie wiem. Policzmy. Z wojskowego punktu widzenia wartość tych żołnierzy jest naprawdę niewielka. A cztery tysiące mundurów i kolczug... komu właściwie chcesz to dać, Ewinie? Kolczug akurat nie brakuje. Brakuje pieniędzy na wszystko inne, a więc tabory, wyposażenie, brakuje ich także na żołąd dla nowozaciężnych. Dartańczycy mają swoje kontrakty i rozebrani z mundurów nadal będą żołnierzami, a nie można wyrzucić ich z legii ot, tak sobie. To żołnierze imperium, którzy sumiennie wypełniali swoje obowiązki tam, gdzie ich postawiono, a że nie były to obowiązki takie, jakie mają ich koledzy na Północnej Granicy, to już nie jest wina tych żołnierzy. Będziemy więc opłacać, twoim zdaniem, cztery tysiące bezużytecznych nagusów siedzących... no, gdzie właściwie? W dartańskich wioskach, z których pochodzą? Bo jak nie, to trzeba będzie jeszcze zapewnić im kwatery. Może lepiej niech

siedzą w Dartanie? Ich obecność tam, z wojskowego punktu widzenia, nie ma żadnego sensu, ma natomiast wymiar polityczny. Kto pierwszy otwarcie wystąpi przeciw tym żołnierzom, wyda wojnę Wiecznemu Cesarstwu. Na razie nikt się do tego nie kwapi. A przede wszystkim, czy naprawdę leży w naszym interesie pokazanie wszem wobec, że uciekamy z Dartanu? Wyjść łatwo, Evinie. Ale jak potem wrócić?

— Lepiej wyjść, Ranevelu, niż zostać wyrzuconym. A będziemy wyrzuceni na pewno. Liczysz, że ta „waśń rodowa” rozejdzie się po kościach? Że ktoś tam załatwi swoje sprawy, rozpuści wojsko i zaprosi nas z powrotem do Rollayny?

Nadsetnik Evin dotknął sprawy najważniejszej. Mówiono dotąd dużo o reorganizacji, taborach, szkoleniach, a nawet wydostaniu Legii Dartańskiej z Dartanu. Ale wszystkie plany były zawieszony w próżni. Nikt jeszcze wprost nie zapytał: o co toczy się wojna? Czy idziemy tam tylko po to, by przyłać awanturnikom, którzy drwią sobie z prawa imperium? A może raczej Dartan wypowie zaraz Kirlanowi posłuszeństwo? Czy zwycięskie stronnictwo, w mocy którego będzie opanowanie całej Złotej Prowincji, zechce wrócić do starych, imperialnych porządków?

Nikt w to nie wierzył. I tak samo nikt nie miał śmiałości przyznać się do tej niewiary wobec najgodniejszego A.S.N.Awenora, władcy Wiecznego Cesarstwa.

Zaległo krótkie milczenie.

— Nie liczyłbym na to.

Oficerowie zwrócili się ku szczytowi stołu.

— Nie liczyłbym na to — spokojnie powtórzył imperator. — Jeśli ktoś tu uważa inaczej, to na pewno się myli. Wszystko, co zarządziłem do tej pory, postanowione było z myślą o odbiciu Dartanu, nie o jego utrzymaniu, bo to niemożliwe.

Odwrócił się ku pisarzom i skinął na służących z antałkami.

— Dziękuję.

Gdy wyszli, mówił dalej:

— Nie mam żadnej pewności, czy tę wojnę wszczęto z myślą o oderwaniu Dartanu od imperium, choć wiele na to wskazuje. Ale jeśli nawet nikt nie miał takiego zamiaru, to na pewno już ma. Trzeba być ślepcem, żeby nie dostrzec wojskowej słabości cesarstwa, słabości, która

nigdy dotąd nie wyszła na jaw, lecz musiała się ujawnić wobec... splotu różnych przypadków, popartych lekkomyślnością. Największe jak dotąd powstanie garyjskie niemal zbiegło się w czasie z rozpadem Grombelardu. Niefortunnie (i za to ponoszę już osobistą odpowiedzialność) za mojego panowania stale były zmniejszane obciążenia podatkowe i inne, mnożono zaś wydatki z imperialnej szkatuły. Na wszystko oprócz Trybunału i wojska. Przepisano i rozpowszechniono w dziesiątkach zwojów każde z najważniejszych literackich dzieł Szereru. Powstały nowe biblioteki, uczelnie, budowano nowe drogi, przerzucano mosty i otwierano porty — zapomniano zaś o taborach i wojskowych namiotach. Pora wyznać winy wobec własnych zaniedbanych żołnierzy, którzy jutro będą umierać za moje mosty i księgi. Rządę Szererem od trzydziestu siedmiu lat. Chciałem dobrze, lecz dobrymi intencjami wypełnione są twierdze więzienne. Bardzo dobitnie przypomniano pierwszemu Armektańczykowi, że zapomniał o wojennych tradycjach swego kraju, wyżej stawiając pióro poety niż łuk Jeźdźca Równin. Potykając się o stopnie w komnatach, nie chciałem pamiętać, po co je zbudowano. Dość przemilczeń. Nie mówimy tu o tym, jak utrzymać imperium w całości. Mówimy, jak je zdobyć na nowo. I utrzymać w wiecznym strachu, skoro w wiecznym dobrobycie i pokoju nie można.

Armektańskie wyznanie winy wobec towarzyszy mających dzielić trudy. Od tego zaczynało każdą wojnę.

Najgodniejszy A.S.N.Awenor dobrze wiedział, co czyni. Przybył na wojenną naradę nie tylko po to, by zdecydować o losie żołnierzy z dartańskich garnizonów. Przede wszystkim przyszedł zapytać swych dowódców, najznamienitszych żołnierzy Szereru, czy gotowi są ponieść największe ofiary i wyrzeczenia w służbie Niepojętej Arilory, Pani Losu Wojennego. Rozkazy, decyzje — to wszystko mogło poczekać. Armektańczyk pytał innych Armektańczyków: czy możemy jeszcze wrócić do naszych korzeni? Czy możemy, jak ojcowie przed wiekami, usiąść i bez zbędnych przemówień, bez niekończących się narad postanowić: wojna? Prawdziwa i bezlitosna, do pełnego zwycięstwa lub kompletnej klęski? Bez twierdzących odpowiedzi na te pytania, zrujnowany powstaniami w prowincjach Armekt, pozbawiony gotowych do użycia armii, nie mógł wplątać się w zmagania, których wynik był

bardzo niepewny. Wojnę dało się odwlec — nikt jej jeszcze nie wypowiedział Wiecznemu Cesarstwu. Można było przeczekać, zapleść misterną sieć intryg, skłócić dartańskie rody... Może wystarczyło zagrozić wybuchem zbrojnego konfliktu, pokazać ściągnięte z północy legiony, wymóc na dartańskich stronnictwach ustępstwa, przygotować się do odzyskania kontroli nad Dartanem?

Oficerowie milczeli. Imperator zrozumiał, że nie tylko on jeden zapomniał, co symbolizują niewygodne stopnie w komnatach. Siedzący przy stole mężczyźni w mundurach już prawie nie pamiętali, że są przede wszystkim Armeckańczykami. Służyli Wiecznemu Cesarstwu, którego Armekt był zaledwie najważniejszą częścią. Nigdy dotąd nie zebrano ich razem, by wzorem ojców w jednej chwili podjęli decyzję: wojna czy pokój? Nie byli nawet pewni, czy cesarz rzeczywiście o to pytał.

— Zawiniłem — powiedział raz jeszcze. — Przebaczcie żołnierzowi, żołnierze. Nierzetelnie służyłem mojej Pani.

Imperator też był legionistą imperium. Żaden syn panującego rodu nie mógł uchylić się od tego. Przed półwieczem szesnastoletni Awenor z włócznią w ręku wartował przed bramą garnizonu. Rozstał się z wojskiem jako podsetnik. Zdobył oficerski patent jak każdy inny żołnierz.

— I ja zawiniłem, cesarzu. Milczałem służalczo, a widzę od wielu miesięcy, że Wieczne Cesarstwo się rozpada. Przebacz mi. Przebaczcie mi wszyscy.

W komnacie siedzieli tylko wojownicy — wszyscy równi wobec Wojennego Losu. Mógłby zniknąć stół, krzesła, a nawet ściany pałacu... Wystarczyłoby obozowe ognisko koczowników.

— I ja jestem winien. Dowodziłem dziś, że służący tej samej sprawie i tej samej Niepojętej Pani żołnierze Legii Dartańskiej nie zasługują, by dać im oręż do ręki. Byłem nielojalny wobec towarzyszy broni. Zasługują na szansę zwycięstwa lub na klęskę i śmierć z mieczem w dłoni.

— Ja także jestem winien...

— I ja także.

28.

Była późna noc, ale cesarski pałac nie zasypiał nigdy. Zawsze ktoś tam czuwał, zawsze ktoś pracował... Tej nocy pracowały także dwie

najważniejsze osoby imperium. Cesarz i cesarzowa.

Pierwsza kobieta Szereru, sześćdziesięciosześcioletnia, a więc nieco młodsza od męża, nigdy nie wyglądała na zmęczoną. Sypiała mało, jeszcze mniej jadła, każdą sprawę — jeśli tylko było to możliwe — załatwiała od ręki. Bawiła się nieczęsto, a jeśli już, to tylko w męskim gronie. Lubiła czasem wypić piwo w żołnierskiej izbie pałacowych gwardzistów, przegrać parę sztuk złota w kości, a kiedy indziej — z trzema dorosłymi synami, jeszcze gdy byli w Kirlanie — zapolować we własnych podmiejskich dobrach. Kobiece rozrywki — taniec, biesiadne rozmowy, żarciki — uważała za niezrozumiałe.

Nigdy nie ukrywała swego wieku. Zresztą jeszcze niedawno wcale nie miała powodu... Była prawdziwą Armektanką: smagłą, czarnowłosą i czarnooką, wczesnie dojrzałą, długo, długo młodą. Siwizna i zmarszczki przyszły późno, ale za to nagle — również po armeктаńsku. Czy starość jej cesarskiej wysokości miała być prawdziwą armeктаńską starością? Obiecywało to jeszcze wiele lat życia w dobrym zdrowiu, bez śladów niedołęstwa, wreszcie śmierć — równie nagłą, jak pierwsze oznaki starości. Szerń — może martwa i bezrozumna... — bardzo jednak kochała synów i córę Równin.

Jeszcze przed północą jej cesarska wysokość Waseneva przyjęła gościa. Faworytka wiedziała, że pora nie jest zbyt późna — w każdym razie nie dla niej. Jeden z dziennych pokoi cesarzowej przemieniono w zaciszną kancelarię. Jej wysokość przyjmowała tu tylko najbardziej zaufane osoby i załatwiała najbardziej poufne sprawy — półprywatne i całkiem prywatne, znacznie rzadziej państwowe. Zresztą, oficjalnie, jej cesarska wysokość była nikim... Małżonką panującego. Nie piastowała żadnego stanowiska. Każde polecenie, każdy rozkaz sygnowany był przez właściwych urzędników. Mała pieczęć jej wysokości widniała tylko pod pismami, których treść sprowadzała się do uprzejmych próśb: *Zechciej, Wasza Godność, ugościć tego posłańca... Proszę, Panie, o życzliwy stosunek do przedstawionej Ci sprawy...*

— Przeszkadzam, wasza wysokość?

— Nigdy nie przeszkadzasz. Na pogaduszki? Czy w sprawie?

— W sprawie, wasza wysokość.

Cesarzowa skrobała coś piórem na szerokiej karcie. Potrafiła rozmawiać i pisać jednocześnie, a bywało, że jeszcze dyktowała drugi

list. Przerwała na chwilę i z oburzeniem popatrzyła na pobrudzone inkaustem palce.

— Gdzieś musiałam nakapać... nie widzę... No, rozejrzyj się, masz podobno taki świetny wzrok! Zaraz zaplamie list, nie wiem, gdzie kapnęło. Nie tutaj?

Znalazła. Starannie wytarła plamkę z pulpitu, beztriosko używając rąbka sukni. Suknia była czarna z brązowymi dodatkami, bardzo prosta w kroju i aż nazbyt śmiała, jeśli wziąć pod uwagę wiek jej wysokości. „Mam to w nosie” — powiedziała kiedyś mężowi. „Nie zrezygnuję z rozcinanych spódnic, bo przewrócę się na pierwszych schodach. Jestem cesarzową i będę pokazywać nogę zawsze, kiedy usiądę. A kto mi zabroni? Ty?”. Nie zabronił. Śmiał się. Kochał żonę bardziej niż życie i śmierć razem wzięte. Z dziką armektańską wzajemnością, obojętną na upływ czasu.

— No? Czego chcesz ode mnie, Agatra?

— Tak wiele, jak jeszcze nigdy, wasza cesarska wysokość.

— Żartujesz? — Waseneva nie przestała pisać. — Teraz, w nocy? To aż takie ważne i pilne?

— Bardzo pilne, wasza wysokość. A ważne... nie wiem. Chyba tylko dla mnie.

— W takim razie słucham. Ile jest tych spraw?

— Jedna... właściwie dwie, ale łączą się ze sobą.

— Dobrze. Czego chcesz? Dwie sprawy, więc tylko dwa słowa. Krótko: czego?

Agatra zaczerpnęła tchu.

— Awansu i protekcji.

Jej cesarska wysokość roześmiała się.

— Żartujesz — powiedziała znowu, maczając pióro w inkauscie. — Proteguję cię zawsze i wszędzie. A o awanse dziś łatwo, legiony mnożą się jak grzyby po deszczu. Chyba że chcesz zostać nadsetniczką gwardii? — Spojrzała pytająco. — Mądra dziewczyna! Wiedziałam, że nie.

— Wasza wysokość...

— Widzę już, że w dwóch słowach nie da rady. Tysięczniczka legii? Jaki masz staż jako nadsetnik?

— Sześć lat, wasza wysokość.

— Powinno wystarczyć... Ale nigdy nie wtrącam się w awanse, to za

poważna sprawa. Mąż mi nie pozwala. — Spojrzała zupełnie poważnie.

— Wasza wysokość, może lepiej zacznę od drugiej strony. Legia Dartańska zostanie wyprowadzona z Dartanu.

— Skąd to wiesz?

— Postanowiono dzisiaj na naradzie.

— Jeszcze nic nie słyszałam. Wiem tylko, że wojownicy uradzili wojnę. Jak dzieci. A raczej jak ich dziadowie.

— Rzeczywiście, wasza wysokość.

— Byłaś na tej naradzie? Chyba nie?

— Nie, wasza wysokość. Ale zastępuję dowódcę samodzielnego gwardyjskiego półlegionu i z racji tego natychmiast dowiaduję się o decyzjach, które zapadły na radzie.

— Czyli jednak wyciągniemy Dartańczyków z Dartanu?

— Tak, wasza wysokość. Nie wiadomo jednak co dalej z nimi zrobić. Rozważane są różne możliwości, ale już teraz wiadomo, że całą Legię Dartańską trzeba będzie zreorganizować. Z kadrowych garnizonów pochodzących z różnych okręgów i obwodów miejskich trzeba będzie utworzyć kliny i kolumny obsadzone według etatów wojennych. Brak zgody, jeśli chodzi o najwyższy stopień organizacji; proponuje się samodzielne kliny i kolumny porozdzielać między legiony armektańskie jako wsparcie.

— Już mnie zanudziłaś. Dlaczego wy, wojskowi, umiecie mówić tylko takim dziwnym językiem? Miałaś o coś prosić. Więc co to w końcu ma być? Chcesz dowodzić tym swoim półlegionem?

— Do tego niepotrzebny mi awans. Dowodzić będę na pewno, to już dawno postanowione. Mój dowódca to wspaniały żołnierz, ale w pole nie wyruszy z racji wieku. Nie złożył dotąd rezygnacji, bo proszono go, by sprawował komendę, aż zostanie ogłoszony wymarsz.

— No to czego chcesz?

— Rozważano też powołanie choć jednego lub dwóch półlegionów dartańskich. Ale dowódcy dartańskich garnizonów miejskich nie mają żadnego doświadczenia w dowodzeniu czymś większym niż kolumna. Byłby kłopot z obsadą wyższych stanowisk dowódczych. Wiadomo, że żaden naprawdę dobry oficer dobrowolnie nie podejmie się dowodzenia obcojęzycznymi, upadłymi na duchu żołnierzami bez broni i żadnego doświadczenia bojowego. To wróży same klęski. Będą kandydaci, ale na

miarę tych żołnierzy. Dowódcy, którzy zostali nimi przez pomyłkę, a teraz wyobrażą sobie, że samodzielne dowodzenie wyniesie ich na szczyty sławy.

— Nie do wiary. Zrozumiałam, że to ty właśnie chcesz komenderować tym... niepewnym wojskiem? Jesteś dowódczynią, która nią została przez pomyłkę?

Cesarzowa już od pewnego czasu nie pisała. Oparłszy łokcie o pulpit, obracała pióro w dwóch palcach.

— Wasza wysokość wiesz, że nie. Chcę wziąć pod komendę legion armektańsko-dartański. Dwa półlegiony dartańskie i mój własny. Ale jestem tylko nadsetniczką i nie mogę dowodzić legionem.

— Podsunę twoją kandydaturę imperatorowi. Zaproponuję awans. Ma o tobie bardzo dobrą opinię, więc powinien się zgodzić, zwłaszcza gdy podsunę mu pomysł z tym mieszanym legionem. Ceni każdego, kto potrafi podjąć wyzwanie. Zadowolona? To teraz jeszcze powiedz, dlaczego ci na tym zależy.

— Mam rachunki w Dartanie.

— A dokładnie w Sey Aye, tak?

— Tak, wasza wysokość.

— Więc ty także uważasz, że za tym wszystkim stoi Puszcza Bukowa?

— Jestem pewna, wasza wysokość.

— Ale zdajesz sobie sprawę, że możesz wziąć udział w wojnie i nie zetknąć się z nikim stamtąd?

— Jestem żołnierzem, cesarzowo. Wiem. Nie szukam żadnej osobistej zemsty. Chcę tylko udowodnić, że żołnierze Wiecznego Cesarstwa... — Zaczepnęła tchu i rozejrzała się dokoła, jakby szukając odpowiedzi. — Udowodnić, że żołnierze Wiecznego Cesarstwa też potrafią bardzo szybko maszerować.

Waseneva zrozumiała, co Agatra ma na myśli, bo znała wszystkie szczegóły jej wyprawy do Puszczy Bukowej. Po powrocie nadsetniczka nie tylko zdała jej raport, ale jeszcze wyzaliła się szczerze...

Przyznała się do wszystkich popełnionych głupstw. Cesarzowa rozgniewała się, rzuciła w nią kielichem i wypędziła za drzwi, a potem przebaczyła.

— Dostałam list od Przyjętego, z którym byłeś w Sey Aye. Nowa

księżna to, o ile zrozumiałam, coś w rodzaju wspomnienia po jednej z mitycznych Trzech Sióstr. Mają tam rodową tradycję wiecznego czekania na powrót Rollayny. Ale z księżnej cała Szerń już wyparowała.

— Szerń to ostatnia rzecz, wasza wysokość, której trzeba się bać w tej kobiecie.

— Boisz się jej?

— Nie, wasza wysokość. Ale to... bardzo twarda baba — orzekła z powagą Agatra.

— Nie podoba mi się, że idziesz na wojnę.

— A ja, wasza cesarska wysokość, nie mogę się tego doczekać.

— A może nie dać ci tego awansu? Kto tu ze mną zostanie? Dziady i ropuchy.

— Wasza cesarska wysokość... możesz mnie nawet zdegradować. Pójdę w klinie piechoty, z łukiem w ręku, jeśli nie będę mogła inaczej.

*

Blisko i daleko zarazem, bo w tym samym pałacu, ale we wschodnim skrzydle, oddalonym o ćwierć mili od komnat imperatorowej, pracował jej cesarski małżonek. Nieznośny wojskowy język, który tak nudził jej wysokość, dla najgodniejszego Awenora był odpoczynkiem. Zarządca prywatnych dóbr rodziny cesarskiej, Imperialny Intendent i Pierwszy Strażnik Skarbu nie mówili wojskowym językiem.

— Przesunięcie wojsk imperialnych nie może pozostać bez wpływu na wartość państwowych ziem, wasza wysokość wie to najlepiej.

Jego wysokość nie wiedział najlepiej. Ale rozumiał, o czym mówi intendent.

— Postąpiłem więc dokładnie odwrotnie, niż postąpić należało.

— Niestety tak, wasza cesarska wysokość. Nie ma popytu na ziemie leżące na Północnej Granicy. Popyt nigdy nie był duży. To niebezpieczne tereny, które nieprędko przynoszą dochody, najpierw trzeba dużo inwestować. Obniżenie opłat za dzierżawę, lub nawet wyprzedanie tych gruntów po najniższej cenie, mogłoby może dojść do skutku, ale nie teraz, kiedy odeszły stamtąd wojska. Nikt nie kupi ziemi, która została wydana na pastwę Alerów. Przez jakiś czas lasy i grunty uprawne, a nawet pastwiska na północy, nie będą miały żadnej wartości. Należało sprzedać je dwa miesiące temu.

— A imperialne dobra w Dartanie? To samo?

— Nie mają żadnej wartości.

— Czy w ogóle możemy jeszcze coś zastawić i sprzedać? — Zmęczony imperator nie krył rozdrażnienia. — A majątek ruchomy? Nic?

— Najprędzej opłaty mostowe i portowe. Myto wszelkiego rodzaju. Można przekazać prawo do pobierania tych opłat w ręce prywatne. Sprzedać te prawa albo wydzierżawić.

— Zrujnujemy finanse Wiecznego Cesarstwa! — zaprotestował skarbnik. — Postępując w ten sposób, pozbawimy skarb państwa najlepszych, bo przewidywalnych i stałych dochodów. A tym samym staniemy się niewiarygodni dla pożyczkodawców. Pożyczki pod zastaw przyszłych wpływów podatkowych i danin nie są udzielane zbyt chętnie, zwłaszcza gdy pożyczkobiorca jest już mocno obciążony odsetkami. Wierzyciele potrafią liczyć i wiedzą, że im więcej zastawimy, tym większe będą kłopoty ze spłatą odsetek i samego zadłużenia. A przecież wystarczy susza albo zaraza na bydło, by wpływy z podatków i daniny gwałtownie zmalały. To nie miało wielkiego znaczenia, gdy Kirlan uzyskiwał przychód ze wszystkich prowincji imperium, bo trudno oczekiwać suszy od razu w całym Szererze, ale teraz podatki i opłaty dzierżawne pobieramy tylko z Armektu. Morska Prowincja ciągle przejada wszystkie własne uzyski i Dorona chętnie poprosiłaby Kirlan o dotacje, zamiast...

Cesarz zamachał ręką.

— Miejskie łaźnie należące do imperium? Domy publiczne?

— Domy publiczne właśnie sprzedajemy. Łaźnie nie przynoszą dochodów, przeciwnie: wymagają dotacji.

— Kopalnie soli?

— Już zastawione.

— Przecież nie wszystkie? Wiem, że nie!

— Armektańskie wszystkie. Większość od kilku lat, a ostatnia od paru miesięcy. Częściowo sfinansowały wojnę garyjską...

— Cesarstwo nie ma już kopalń soli?

— Ma, najgodniejszy. W Dartanie.

Cesarstwo nie miało kopalń soli.

— Zastawcie i sprzedajcie cokolwiek. Pożyczajcie. — Awenor ciężko wstał od stołu. — Obciąć wszelkie wydatki, oprócz stałych, takich jak pobory. Wszystko kierować na wojsko.

Dostojnicy wstali, gdy wstał cesarz.

— Najgodniejszy...

— Wasza wysokość...

— Wszystko kierować na wojsko — imperator nie zamierzał ustąpić. — Jeśli zawali się cały Armekt, to będziemy siedzieli na trawie, ale z łukami w rękach. Legie przedstawiły już szacunkowe koszty. Na pewno zawyżone, nie mam złudzeń... Polecam sprawdzić te rachunki i uściślić. Te pieniądze mają się znaleźć, nie obchodzi mnie, skąd. Podpiszę wszystko, co mi przedłożycie do podpisu. Mamy wojnę. O opłaty targowe i dochody z myta będziemy martwić się po wojnie. Zastaw bądź sprzedaj wszystko, co mi jeszcze zostało — zwrócił się do swojego zarządcy. — Domu w Rollaynie nie sprzedasz, wiem... Lasów już nie mam, zdaje się? Zaczynij od Pereł jej wysokości, nigdy ich nie lubiła. W ogóle zwolnij zbędną służbę, potrafię ubierać się sam.

— Wasza cesarska wysokość... — intendent miał jeszcze sprawę.

— Tak, już wiem, pamiętam. Tydzień. W ciągu tygodnia życzę sobie mieć przedłożone sprawozdanie, jakie są możliwości złożenia zamówień na wszelkiego rodzaju materiały wojskowe. Po szczegóły zgłoś się, wasza godność, do intendentów legii. Czy coś jeszcze?

Więcej spraw nie było.

Cesarz wyszedł.

*

W wysokim kandelabrze u wezgłowia łoża płonęło kilka świec. Pomimo bardzo późnej pory jej cesarska wysokość swoim zwyczajem czytała do poduszki. Małe zwoje podróżne, coraz powszechniejsze w Armekcie, były wygodne w użyciu.

Na widok małżonka cesarzowa uniosła spojrzenie i uśmiechnęła się. Awenor podszedł do łoża, przysiadł na brzegu i dotknął zwieszającej się ze zwoju wstążki tytułowej.

— „Prawdziwa historia BiałoGrzywej”? Przecież to dla panien na wydaniu. Ona go kochała...

— .. a on tego nie widział — dokończyła pogodnie. — Dla kobiety takie historie nigdy się nie starzeją.

Pokiwał głową.

— Ale niestety starzeją się ludzie. Jestem stary, wasza cesarska wysokość.

— Bez wątpienia. Ja też.

— Kazałem sprzedać wszystkie twoje Perły.

— Dziękuję. Jesteśmy zrujnowani?

Westchnął.

— Ująłbym to inaczej. Jesteśmy najuboższą cesarską rodziną od jakichś dwustu lat. Ale głód nie zagląda nam w oczy i jeszcze nieprędko zajrzy.

— Nie rozmawiajmy o tym.

— Tylko przez chwilę, dobrze? Nie zasnę, jeśli ci się nie zwierzę.

— Mężczyzna to taki wielki kot — powiedziała. — W każdym razie chodzące dziwadło. Chociaż... te wieczne rozterki to na pewno nie jest cecha kocia. Postanowiłeś? Podjąłeś decyzje, wydałeś rozkazy? Ciesz się i śpij.

— Zrujnowałem Wieczne Cesarstwo. Wyobrażałem sobie, że armektański pokój, wieczny pokój, winien wreszcie przynieść światu coś więcej niż zastój i nudę. Uwierzyłem, że cesarstwo naprawdę jest jednością. Może poza Garrą... Nie zdążyłem uczynić gestu, który zjednałby nam ten wielki naród.

— Nie bądź naiwny — powiedziała. — Ten wielki naród, gdyby tylko mógł, już tysiąc lat temu wypaliłby ogniem cały Szerer. I od tego tysiąca lat nic się nie zmieniło. Przyjazny gest w oczach Garyjczyka uczyniłbyś wówczas, gdybyś ściał wszystkich poddanych cesarstwa, a na koniec sam się powiesił.

— Ale Dartan? Przed wiekami zwaśnione armektańskie księstwa narzucały sobie więcej ciężarów i praw, niż Armekt narzucił Pierwszej Prowincji. Dartańczycy są u siebie, w swoim własnym kraju, mówią własnym językiem, a cesarski przedstawiciel jest rdzennym Dartem, który wyrósł z ich ziemi.

— Chcą być wolni. Chcą być narodem.

— Naród? Wolni? Nie, Wasenevo. Dartańscy rycerze i magnaci są wolni. Oni nie chcą wolności, chcą tylko po staremu wodzić się za łby, palić wioski sąsiadów z powodu ciężkostrawnej wieczerzy, podanej komuś przed wiekami. Czy na tym ma polegać ich wolność i prawo do samostanowienia? Wszystko, czego żąda od nich Kirlan, to niewszczywanie bratobójczych wojen.

— Zawsze uważałam, że żądamy za mało.

— Wiem, wiem, Wasenevo... Tu powinien być jeden wielki Armekt, rozpostarty na cały Szerer. Wiem, co myślisz. Ale, Wasenevo, wiem coś jeszcze. Otóż gdybyś to ty rządziła Wiecznym Cesarstwem, gdyby w ogóle światem rządziły kobiety, to płacz i jęki dobiegałyby z każdego, nawet najmniejszego zakątka.

— Jesteśmy okrutnikami — powiedziała wyrozumiale.

— Nie. Ale macie bardzo małe serca, potraficie kochać tylko swoje dzieci. Czasem jeszcze wybranego mężczyznę. W imię tych małych miłości gotowe jesteście na cokolwiek. Chciałbym choć raz w życiu spotkać kobietę mającą na oku jakiś wielki cel, nie związany z jej córeczką i synkiem, a nawet osiągnąć wbrew ich szczęściu. Ten biedny Ramez, jakże go rozumiem! — powiedział, biegnąc myślami do szalonych przedsięwzięć zięcia, które stały się przyczyną upadku Grombelardu. — Musiałem mu przeszkodzić w imię dobra cesarstwa, więc poparłem naszą córkę... Ale Werena chciała tylko mieć swojego mężczyznę, dla siebie i tylko dla siebie. Wszystko, co uczyniła, nie służyło niczemu więcej, bo sprawie Grombelardu najwyżej przy okazji. Małe, kobiece serce.

— Mam trzech synów. Nigdy nie zabiegałam o korzyści dla żadnego z nich.

— Nie, Wasenevo?

— Czyżbym zabiegała?

— Nie zabiegasz. Walczysz z żelaznym uporem. Całe swoje życie poświęciłaś budowaniu ich przyszłości. Armia, z mojej winy, prawie nie istnieje, za to Trybunał Imperialny ma się dobrze, jak chyba nigdy dotąd. Ale jaka to jest instytucja? Jaką stała się za twoją sprawą? Kirlanowi służy dobrze, ale... no tak, najwyżej przy okazji. Urzędników stojących na straży prawa imperialnego i jedności Wiecznego Cesarstwa przemieniłaś w zastęp piastunek dla naszych synów. Bo nasi synowie pozostaną, kiedy nas już nie będzie, a wiemy oboje, że nie nadają się do niczego... Rozszarpią między siebie wicekrólewskie trony w prowincjach, a jeden zechce zasiąść tutaj, w Kirlanie. Przez całe życie wiązesz oczka niewidzialnej sieci, która spęta ich wtedy, gdy sami sobie zechcą zrobić krzywdę.

— Nigdy tak o tym nie myślałam — powiedziała po długiej chwili.

— Wiem.

Najgodniejszy Imperator rzeczywiście nie potrzebował pomocy przy zdejmowaniu szat. Zdmuchnął świece i po niedługim czasie położył się obok żony.

— Pozwolisz mi dzisiaj spać tutaj?

— To bardzo obszerne łóżce — powiedziała ciepło i zachęcająco. — A ty jesteś w nim gospodarzem, nie gościem.

Może w pięknych bajkach o namiętnej miłości aż po grób kryło się ziarno prawdy? Dłonie starego cesarza nie pieściły ciała posuniętej w latach kobiecy, lecz gładziły skórę najbliższej i najważniejszej istoty. Oboje chcieli dawać, nie brać. Ważne było, co czuje to drugie. Całując żonę, Awenor czuł jej przyjemność, i to było źródłem przyjemności własnej; powolutku ciągnąc męża ku sobie, Waseneva chciała dać mu ciepło i tę wspaniałą, opiekuńczą władzę nad kobietą, z której mężczyzna czerpie tyle siły. Wiedziała, że u jej boku nigdy nie czuje się słaby, nawet jeśli czasem lata dawały znać o sobie, zsyłając płytką niemoc. Płytką, bo tylko cielesną... Tych dwoje ludzi, razem, nigdy nie poznało goryczy zwątpienia i niemożności. Może rzadziej, ale za to pełniej niż za młodu, mogli cieszyć się zmęczeniem, smakować błogość zaspokożenia. Pół wieku wspólnego życia pozwalało z pobłażliwym, choć czułym uśmiechem spoglądać na młodzieńcze uniesienia, szybkie, przemijające. Nieważne... Młode wino na pewno zaspokajało pragnienie, lecz pełny smak miało tylko dojrzałe.

Awenor czuł znużenie i senność, zakłęte w zapachu włosów żony i ciepłej kropli potu płynącej po jej szyi.

— Jestem zmęczony. A ty nie?

— Jestem, chociaż tego nie widać — odparła cicho, wiedząc, co ma na myśli jej mężczyzna. — Chcesz... ustąpić?

W ciemnej sypialni długo trwała cisza.

— Gdy tylko skończymy tę wojnę. Abdykuję na rzecz Wereny.

— Kobiety o małym sercu?

— Wielkie serca nie są temu światu potrzebne. Jestem niemądrym, dobrotliwym oprawcą... Moje łagodne rządy wycisnęły z tej ziemi więcej krwi, niż zdołałbym wytoczyć z batem w rękę. Wereny przygniecie kolanem do ziemi cały Szerer. Ktoś taki jest tu teraz potrzebny, Wasenevo.

Milczała, zamyślona, patrząc w mrok. Długo szukała odpowiedzi na

sto pytań.

— Lecz Werena nie może mieć dzieci... A kto po niej?

Nie było żadnej reakcji. Najgodniejszy Imperator A.S.N.Awenor równo oddychał przez sen.

— Ostatecznie... to już nie nasze zmartwienie — powiedziała, zamykając oczy.

29.

Jej wysokość wezwała Agatrę dopiero po tygodniu.

Nadsetniczka niecierpliwiła się, czekając. Mimo że cesarzowa obiecała jej własne wstawiennictwo, wcale nie było oczywiste, czy upragniony awans dojdzie do skutku. Chodziło przecież o coś znacznie ważniejszego niż tylko nadanie komuś stopnia. W zupełnie nieformalny, nie mający nic wspólnego z drogą służbową sposób, średniej rangi oficerka zgłaszała propozycję, której odrzucenie lub przyjęcie mogło mieć bardzo doniosłe — zarówno z wojskowego, jak i politycznego punktu widzenia — skutki. Sprawa faktycznej likwidacji Legii Dartańskiej — bo tym było rozdzielenie jej oddziałów między armektańskie legiony — musiała zostać rozważona od początku; utworzenie dwóch dartańskich półlegionów pod wspólną komendą oznaczało, że Pierwsza Prowincja będzie w istotny sposób reprezentowana w nadchodzącej wojnie. Kliny, a nawet kolumny, można było powierzyć dartańskim podsetnikom i setnikom o wątpliwych umiejętnościach. Lecz złożony głównie z Dartańczyków legion to już była całkiem inna sprawa. Książę Przedstawiciel Cesarza z Rollayny, choć chwilowo siedział w Tarwelarze, wciąż piastował swoje stanowisko. Na pewno nie był skłonny kłócić się o obsadę niższych szczebli dowódczych. Ale nadsetnicy i tysięcznik-komendant legionu? Mogło się okazać, że nadsetniczka Agatra ukręciła sznur na własną szyję — wystarczyło przyjąć jej pomysł, odrzucić zaś prośbę o awans... Doborowy armektański półlegion, wraz ze swą dowódczynią, mógł trafić pod komendę jakiegoś dartańskiego bufona, którego wojenne doświadczenie sprowadzało się do kilku miesięcy spędzonych przed półwieczem w jakiejś stancy na północy (bo każdy od stopnia setnika w górę musiał odbyć tam staż).

Oczekiwanie na decyzję było bardzo męczące.

Agatra nie nudziła się jednak. Od kilku miesięcy wszystkie trzy kolumny póllegionu dostawały w tyłek jak nigdy dotąd. Gdyby komendant Yokes mógł zobaczyć, co sprawiły marszowe popisy jego spiesznej konnicy, urósłby i rozeźlił się zarazem. Niewątpliwie wywarł pożądane wrażenie, lecz przy okazji przyczynił się do wytresowania trzech setek wojskowych zwierząt, które miały wkrótce, być może, stanąć przed frontem jego wojsk. Odpowiedzialna za dyscyplinę i szkolenie zastępczyni dowódcy póllegionu, rozleniwiona pozycją faworytki na cesarskim dworze, rozbawiona, więcej czasu spędzała w Kirlanie niż w swoim podmiejskim garnizonie. Kiedyś. Po powrocie z Puszczy Bukowej niezbyt lubiana nadsetniczka została wręcz znienawidzona przez żołnierzy. Mąż, niski rangą urzędnik miejski, przyjeżdżał czasem do garnizonu — pokpiwano, że w celu wyegzekwowania praw małżeńskich, chociaż raz w miesiącu... Rzeczywiście, chyba tak było. Być może nadsetniczka zapisała gdzieś imiona swoich dzieci, bo jeżeli nie, to na pewno zdążyła je zapomnieć. Niekończące się marsze, strzelania, siłowe ćwiczenia i kąpiele w lodowatej rzece (była dopiero wczesna wiosna!) wychodziły już żołnierzom bokiem. Płytką, leniwie toczącą swe wody Kewra miała u ujścia szerokość pół ćwierci mili. Po miesiącu nie było w póllegionie żołnierza, który by jej nie pokonał w obie strony. Wsparci na końskich kulbakach, opici wodą jeźdźcy, kurczowo trzymali się płynących wierzchowców, idąc o lepsze z łucznikami i topornikami. Nieszczęśni piechurzy, to płynąc, to idąc po licznych płyciznach, popychali przed sobą dziesiątki pokracznych tratw, dźwigających najcięższe lub wrażliwe na wodę części uzbrojenia. Podsetniczka nie zamierzała potopić ani pozaziębiać na śmierć swoich żołnierzy; forsującym rzekę legionistom i gwardzistom towarzyszyły łodzie, gotowe pospieszyć tonącym z pomocą, na brzegu zaś czekały kubki z wódką i kotły z gorącą zupą (nie dotarły tam same, o nie; kucharze wraz z częścią zaplecza póllegionu pokonali rzekę nieco wcześniej, wraz z ochotniczym oddziałem straży przedniej...). Podobnie, gdy zarządzano forsowne marsze, za kolumnami podążały wozy, zbierające tych, którym naprawdę trzeba było pomóc. Przydały się niejednemu. Dwa razy póllegion maszerował przez całą dobę, równo od świtu do świtu. Szli wszyscy, także spieszni jeźdźcy. Za

pierwszym razem pokonano pięćdziesiąt dwie mile. Za drugim pięćdziesiąt sześć. Było to prawie cztery razy więcej, niż przewidywały normy. Uznawano, że piechota powinna pokonywać średnio piętnaście mil dziennie.

Ale nadsetniczka pływała i chodziła razem ze wszystkimi. Nie znoszono jej, ale podziwiano. Ta kobieta miała dwa razy więcej lat niż jej przeciętny podkomendny. Pierwszego całodobowego marszu nie zdołała ukończyć — z poobcieranymi do żywego mięsa stopami musiano ją położyć na wozie. Przełknęła to; istny tabor wiózł razem z nią prawie setkę dwudziestoparoletnich chłopaków i wszystkie dziewczyny półlegionu. Drugi przemarsz, po miesiącu, ukończyła na czele podkomendnych.

Po kilku miesiącach ćwiczeń żołnierze dostali nagrodę. W garnizonie pojawili się dziesiętnicy i oficerowie w jasnoszarych tunikach. Cesarz posłał ich specjalnie po to, by zobaczyli, jak ćwiczy armektański gwardyjski półlegion... Po trzech dniach wrócili do Kirlanu. Wkrótce przyszło pismo z prośbą o czterech tarczowników i tyluż łuczników pieszych. Mieli to być ochotnicy. Po raz pierwszy w historii imperium zdarzyło się, że Gwardia Cesarska była gotowa przyjąć uzupełnienia nie tylko z klinów gwardyjskich, ale też ze zwykłych oddziałów legii... Nadsetniczka odczytała pismo na porannym apelu i zobowiązała swoich oficerów do przedstawienia listy ochotników. Czekwała do wieczora, potem poszła spać.

Nikt się nie zgłosił.

Posłano tę wiadomość do Kirlanu. Cesarz odpowiedział osobiście; jego krótki, złożony z kilkunastu słów list powieszono na ścianie w wielkiej izbie jadalnej. Imperator nie żywił urazy do żołnierzy gwardyjskiego półlegionu. Gratulował wytrwałości i nazywał ich wzorem dla innych.

Wszystkie trzy kolumny, najpierw gwardyjska, potem pozostałe, otrzymały od Agatry po pięć dni urlopu. Potem szkolenia wznowiono.

Nadsetniczka nie nudziła się, czekając na wezwanie do pałacu.

*

Coś bardzo dziwnego wydarzyło się w Kirlanie i nadsetniczka próbowała zgadnąć, co to było. W pałacowych korytarzach tłum dworzan, petentów i służby był pozornie taki sam jak kiedyś. Ale jednak

zaszła jakaś zmiana... Agatra przemierzyła pół pałacu, nim zrozumiała, o co chodzi. W powietrzu wisiała wojna.

W powietrzu wisiała wojna i nadsetniczka gwardyjskiego półlegionu dowiedziała się, co to znaczy. To nie było poetyckie określenie, wydumane przez kogoś, kto nie wiedział, co mówi. Armektańska żołnierka, weteranka wielu bitew i kampanii na Północnej Granicy, przypomniała sobie, jaki ciężar ma spojrzenie Arilory. Gdy Niepojęta Pani zniżała ku ziemi swoją twarz, wszyscy czuli jej oddech. Wojna, trzeci z bytów, najpotężniejszy ze wszystkich. Niezniszczalny, zawieszony między Szernią a światem, rządzący nawet Pasmami i Smugami. Agatra czuła się dziwnie odrodzona. Oddano jej coś zapomnianego; coś, co dla żołnierza było samym sensem istnienia.

Arilora zamieszkała w spojrzeniach, jakimi obrzucali ją mieszkańcy i goście pałacu. Niebieska tunika z szarymi paskami honor-gwardzistki stała się bardziej godna uwagi niż najpiękniejsze suknie. Jakiś obcy mężczyzna na schodach (kto to był? pałacowy urzędnik?) wyciągnął do niej rękę i z uśmiechem podał drewnianego psa. Wzięła odruchowo i przez długą chwilę stała zdziwiona; obejrzała się, ale nieznajomy już poszedł. Niedroga zabawka, kupiona pewnie dla dziecka... Zrozumiała, że ten człowiek po prostu chciał jej coś dać. Miał akurat w ręku zabawkę i dał ją dostrzeżonej żołnierce, która jutro miała gdzieś daleko, budować od nowa armektańską dumę. To był Armektańczyk. Jeśli nawet nie służył Niepojętej Pani, to ją szanował i czcił.

Agatra już wiedziała, że Armekt wygra tę wojnę. Wygra każdą wojnę, prędzej albo później. Armekt wyrósł z wojny — a możliwe, że tak samo wojna wyrosła z Armektu. Przecież narodziła się gdzieś, kiedyś... Agatra wiedziała gdzie.

Jej cesarska wysokość pracowała w dziennej kancelarii. Na widok ulubienicy machnęła tylko ręką i pokazała ruchem głowy drzwi do komnaty obok. Nie przerywała dyktowania, a zarazem słuchała jakiegoś człowieka, niebogatego mężczyzny Czystej Krwi, a może mieszczanina, bo strój nie dawał wyraźnej odpowiedzi. Agatra poszła, gdzie jej nakazano. Nie musiała czekać zbyt długo. Wyglądała przez okno, gdy za plecami skrzypnęły otwierane drzwi. Odwróciła się i skłoniła głowę.

— Mam dwie sprawy i ani chwili czasu — powiedziała jej wysokość, idąc ku ścianie, na której umocowano liczne półki.

Agatra czekała. Waseneva niecierpliwie przekładała jakieś karty i rulony na półkach, szukając chyba właściwego pisma. Znalazła.

— Jutro lub pojutrze twój dowódca wręczy ci patent tysięczniczki lekkiej piechoty. Uciesz się, udaj, że słyszysz nowinę od niego. Niech staruszek ma przyjemność, że sprawił ci niespodziankę. W ten sposób zyskuje się przyjaciół.

Agatra z najwyższym trudem powstrzymała wybuch radości.

— Dziękuję — powiedziała. — Czy to znaczy, wasza wysokość...?

— Będziesz dowodziła legionem, jaki sobie wymyśliłaś. Mało tego, za parę dni dostaniesz rozkaz wyjazdu do Tarwelaru. Sama sobie wybierzesz żołnierzy spośród wszystkich, jacy tam dotrą. Ja też miałam wojskowy pomysł... co, nie wierzysz? Upomnij się tam o półlegion Gwardii Dartańskiej, to straż Przedstawiciela, zdaje się? Nie będzie mu potrzebna, jest twoja. Za dwa, trzy dni zostanie zwołana nowa narada wojenna. Tym razem już weźmiesz w niej udział.

Oszołomiona Agatra milczała.

— Ale teraz mam sprawę. Pół roku temu byłaś w Akali. Słucham. — Pokazała dwa trzymane w ręku pisma. — Posyłam to jeszcze dziś. Najwyższy Sędzia Trybunału w Kirlanie odwołuje Pierwszego Namiestnika, tu akurat nie interesuje mnie twoja opinia. Ale to — uniosła większy rulon — jest przeniesienie dla tysięczniczki dowodzącej garnizonem Akalskim. Tysięczniczka Tereza, tak? — zajrzała do pisma. — Bardzo sławna żołnierka, jak pamiętam. Zostaje przeniesiona na tyły, bo Północna Granica to teraz tyły. Słucham.

Gwardzistka milczała zdumiona.

— Nie mam czasu — powiedziała poirytowana cesarzowa. — Zasięgam twojej opinii, bo mam powody. Byłaś tam i od dawna znasz tę kobietę. Słucham.

— Przeniesienie na tyły? — Agatra nie mogła uwierzyć.

Cesarzowa patrzyła wyczekująco. Nadsetniczka pozbierała się, bo było całkiem jasne, że Waseneva wyrzuci ją zaraz, jeśli nie usłyszy czegokolwiek wartego uwagi.

— To najlepszy garnizon miejski, jaki kiedykolwiek widziałam. A tysięczniczka Tereza jest może najlepszym dowódcą, jakiego ma Wieczne Cesarstwo. Zwłaszcza gdy chodzi o działania jazdy. Jeśli w Morskiej Prowincji nie siedzi ktoś lepszy od niej, to w Armekcie na pewno go nie

ma. Ja nikogo takiego nie widziałam, a znam wszystkich armecktańskich tysięczników i nadtysięczników.

— Gdyby miała jutro zostać naczelnym dowódcą wszystkich wojsk armecktańskich? Tu, w Kirlanie. Nie wodzem na wojnie. Najważniejszym żołnierzem tutaj, w tym pałacu. Słucham.

Agatrę zatkało.

— To... jest rozważane?

— Nadsetniczko, ja naprawdę nie mam czasu.

Gwardzistka nie wiedziała co powiedzieć. Nie miała pojęcia, co sobie umyśliła cesarzowa. Czy naprawdę nadsetniczka półlegionu mogła teraz pomóc lub przeszkodzić swojej dawnej dowódczyni w karierze? Naczelną komendantką wszystkich wojsk w Armeckcie?

— Nie, wasza wysokość — powiedziała z ciężkim sercem.

Cesarzowa wyglądała na zdziwioną.

— Nie? Dlaczego?

Agatra westchnęła.

— Tysięczniczka Tereza to... naprawdę znakomity dowódca. Ale taka funkcja... nie, wasza wysokość. Chyba... chybaby sobie nie poradziła. Chybaby nawet nie chciała... Nie wiem, wasza wysokość.

— Żartujesz. Nie poradziłaby sobie?

— Naczelną dowódcą w Kirlanie to raczej polityk niż żołnierz, cesarzowo. Tysięczniczka Tereza... Nie, wasza wysokość.

— W Akali radzi sobie świetnie. Zdaje się, że nikt tam nie ma nic do powiedzenia. Tylko ona.

— To wojskowy okręg, wasza wysokość. W wojskowych okręgach komendanci garnizonów mają głos decydujący. To... tego się chyba oczekuje, żeby działali zdecydowanie? Ale tutaj, w stolicy? Nie, wasza wysokość. Tysięczniczka próbowałaby tutaj rządzić najwyższymi urzędnikami tak, jak rządzi swoimi oficerami. Ja... sama widziałam, jak wyrzuciła za drzwi Pierwszego Namiestnika. Zasłużył na to! — dodała pospiesznie. — Tutaj... po kilku miesiącach usunięto by ją ze stanowiska. Tak uważam. Odeszłaby... i do tego w niesławie. To krzywdzące.

— Nie lubisz jej? Próbujesz jej złamać karierę?

Agatra przygryzła wargę, ale po chwili uniosła spojrzenie.

— Wasza wysokość, wiem, że nie masz czasu — powiedziała odważnie. — Ale nie mogę ci pomóc, nie wiedząc, o co właściwie pytasz.

Jakie ma znaczenie, czy lubię tysięczniczkę Terezę? Bardzo ją podziwiam i zazdroszczę jej sławy. Odesłanie jej na tyły uważam za... za głupie, wasza wysokość. Mamy wojnę i przegramy ją, odsyłając najlepszych dowódców. A stanowisko w Kirlanie, dla świetnego dowódcy polowego... ale właśnie polowego! Tereza bez żołnierzy... z piórem, wiecznie przy pulpicie? Jedno i drugie jest głupie. Wystarczy, wasza wysokość?

— Pierwsze głupstwo wymyśliłam ja. Druga możliwość nigdy nie była rozważana.

Agatra pogubiła się do reszty.

— Nie było rozważane przeniesienie tysięczniczki do Kirlanu i mianowanie naczelną komendantką legii?

— Nie. Taki pomysł nawet głupia cesarzowa uważa za głupi.

— Wasza wysokość... Ja nie mówiłam...

— Słyszałam, co mówiłaś. Dziękuję. Wracaj do garnizonu i czekaj na swój awans.

Nadsetniczka skinęła głową w żołnierskim ukłonie i ruszyła do wyjścia.

— Czekaj — powiedziała Waseneva, zatrzymując żołnierkę przy drzwiach. — Nie złość się. Chciałam wiedzieć, czy tysięczniczka ma głowę do polityki. Tylko tyle. Uciekaj.

Agatra, wciąż niewiele rozumiejąc, zniknęła za drzwiami.

Cesarzowa została sama, skubiąc trzymane w dłoniach rulony.

Rano poważnie pokłóciła się z mężem. Była to kłótnia polityka z żołnierzem... Teraz stała głęboko zamyślona. Obrażona i niezadowolona. Wreszcie popatrzyła na pieczęcie i przedarła jeden z rulonów. Połówki zmieła i upuściła na podłogę.

Wróciła do kancelarii.

— Wysłać to natychmiast do Trybunału w Akali — powiedziała, podając rulon urzędnikowi. — Na czym skończyłam? — zapytała pisarza. — Już wiem. Pisz: „Skłonna więc jestem przychylić się do prośby, ale jeszcze nie teraz. Uzbrój się, panie, w cierpliwość i nie podejmuj na razie żadnych wiążących decyzji”.

Dyktując, znalazła mały arkusik i stanęła przy wolnym pulpicie. Napisała: *To był głupi pomysł, miałeś rację. Zrób, jak powiedziałaś. Przepraszam, że krzyczałam.* Złożyła arkusik na pół.

— Do cesarza, natychmiast. A ty dalej, pisz: „Dokładne instrukcje

zostaną przekazane...”.

30.

Jej Godność Tereza
Tysięczniczka-Komendantka
Wojskowego Okręgu Akali
honor-podsetniczka Gwardii Armeckańskiej
w Akali
Komendantko!
Wojna.

Nie umiem dobrze pisać listów. Powiedziałaś mi kiedyś że widać ogromną różnicę w moim sposobie mówienia, ale pisanie to napewno nie dotyczy. Ledwie ledwie. Raporty jakoś skrobię. Nie śmieję się ze mnie, Terezo.

Terezo, cały Kirlan, cały Tarwelar i wogóle cały Armekt żyje tylko przygotowaniami do kampanii dartańskiej. Dostałabym po uszach, gdyby wyszło na jaw, że napisałam do Ciebie ten list, schowaj więc go dobrze, a najlepiej od razu wyrzucić. Co mówię wyrzucić? Zniszcz! Nie rozstałyśmy się w wielkiej przyjaźni, ale bardzo mi zależy żeby spotkanie było inne. Po pierwsze muszę koniecznie wkraść się w Twoje łaski, Komendantko. Nie, żartuję sobie. Ale już wkrótce i tak usiądziemy w jakiejś izbie, by wyrębać sobie w oczy wszystkie żale, bo Niepojęta nie zechce wesprzeć w walce żołnierzy, którzy nieprzyjaźń do wrogów przenoszą na towarzyszy. Terezo, kiedy piszę ten list, masz już pewnie w Akali pierwszych legionistów dartańskich, a kiedy go dostaniesz, w całym Dartanie, oprócz straży morskiej, nie będzie już ani jednego żołnierza imperium. W Kirlanie, gdy powstawały pierwsze plany, nikt się nie spodziewał, że wyprowadzenie Legii Dartańskiej do Armektu uda się aż tak dobrze. Wszystko przebiegło nadzwyczaj sprawnie, konni legionieści z północnego i środkowego Dartanu forsownymi marszami przeszli wprost do okręgu Tarwelar i Twojego. Z pierwszych raportów wynika, że nikt ich nie zatrzymywał, ale nawet się temu nie dziwię, bo nie od razu chyba stało się tam jasne, że nie chodzi o jakieś wzmożone patrole, albo przesunięcia sił z garnizonu do garnizonu. A później tym bardziej nikt ich nie niepokoił, bo oznaczałoby to wypowiedzenie wojny cesarstwu i zerwanie rozmów z Kirlanem, a pertraktujemy teraz ze wszystkimi. Żołnierze piesi z północnego Dartanu tak samo przeszli wprost do Armektu, wszyscy inni są już w Dartanie południowym i albo wsiadają na statki, albo właśnie nimi płyną. W południowym Dartanie straż morską będzie trzymać tylko dwa miasta portowe, Llapmę i Nin Aye, tak długo, jak to będzie możliwe. Straż morską po zabraniu legionistów, którzy dojdą do mniejszych portów, już tam nie wróci, zasili garnizony Llapmy i Nin Aye, albo przejdzie do Armektu, także i pod Twoje rozkazy. Nie wiadomo, co zrobić z tymi marynarzami, bo nawet komendy i sygnały mają inne niż piechota legii, więc użycie ich w polu jest prawie niemożliwe. Rozważa się zluzowanie przez tych żołnierzy kilku mniejszych miejskich garnizonów, rozważ i Ty taką możliwość, bo wiem że utrzymujesz jakieś placówki w Grombelardzie. Służbę patrolową na ulicach mogą pełnić choćby i marynarze, a nawet zbrojne utarczki z jakimiś grombelardzkimi bandami to też nie jest to samo, co regularne bitwy z dartańską konnicą rycerską, więc piechota morską na pewno sobie poradzi. Najpierw wogóle brano pod uwagę zluzowanie nie tylko przez straż morską, ale także Legię Dartańską wszystkich możliwych armeckańskich garnizonów, potem jednak zdecydowano, że mija się to z celem. Już dawno zabrano z miejskich garnizonów wszystko, co można było zabrać, bo nie tylko

najlepszych ludzi, zwłaszcza tych, którzy kiedyś służyli na północy, ale także rozporządzalną broń i wyposażenie. Powstałby tylko niepotrzebny bałagan a skutkiem byłoby przyprowadzenie do Dartanu tak samo wartościowych i tak samo uzbrojonych oddziałów, jak te, które stamtąd wyszły, tyle tylko, że armekańscy żołnierze nie znają języka i miejscowych stosunków. Legia Dartańska będzie więc walczyć w Dartanie, Terezo, walczyć będzie pod Twoją komendą! Ja sama przyprowadzę Ci zupełnie dobry legion armekańsko-dartański. Oprócz własnego półlegionu gwardyjskiego mam ciężkozbrojny (ale jak ciężkozbrojny!) półlegion Gwardii Dartańskiej, to żołnierze całkiem dobrze wyszkoleni, prawie jak nasi legioniści. Trzeci półlegion składa się ze zwykłych legionistów dartańskich, jeszcze go organizuję. Brakuje mi wszystkiego: broni, służb, materiałów, zapasów, taborów... Naprawdę wszystkiego. Ale sami żołnierze, choć trudno w to uwierzyć, nie są aż tacy źli, wyszukałam na przykład kilku dziesiętników, którzy jeszcze jako prości żołnierze brali udział w wojnie garyjskiej, bo tutaj każdy, kto kiedykolwiek wziął udział w walce, od razu dostaje stopień funkcyjnego legii, albo jest przenoszony do gwardii — to zasłużony weteran, wyobrażasz sobie? Jest też trochę Armekańczyków, mam bardzo dobrych kurierów na świetnych koniach, wogóle konie wszyscy przyprowadzili znakomite, to nie są nasze stepowce! Znalazłam nawet jedną dziewczynę, rodowitą Dartankę, wzięłam ją. Wszyscy ci żołnierze chcą się bić! Chcą udowodnić, że nie są gorsi od naszych, że niesłusznie się nimi pogardza. Potrzebują tylko broni i dowódców. Teraz siedzę w Tarwelarze i czekam, co jeszcze przyplynie.

Terezo, istnieją już plany wojenne. Wkrótce otrzymasz dokładne rozkazy, ale już teraz myśl o zorganizowaniu i przeszkoleniu ogromnej liczby ludzi. Pod Tarwelarem stawia się wszystkie legiony armekańskie, w tym cztery z Północnej Granicy. Legia Dartańska odesłana zostanie na tyły, wszyscy powinni w to uwierzyć, a najbardziej wszyscy w Dartanie. W rzeczywistości, nie licząc mojego, sformowane zostaną co najmniej dwa pełne legiony. Ci żołnierze trafią pod Twoją komendę, do jakiegoś obozu między Akalą i Rapą, który nie będzie (jak próbuje się to wszystkim wmówić) obozem jakichś bezwartościowych żołnierzy-tułaczy, którzy całą broń przekazali Legii Armekańskiej, lecz obozem do przeprowadzenia reorganizacji. Dartańczycy nie tylko niczego nie oddadzą, ale przeciwnie, trafi do nich tyle uzbrojenia i wyposażenia, ile tylko będzie można posłać. Wszystko to musi być zrobione sprawnie i szybko, nie mówiąc o zachowaniu tajemnicy. Nie będzie wiele czasu na szkolenia, może tydzień. Przez ten czas dartańscy legioniści nauczą się najwyżej rozpoznawać swoich nowych dowódców, przypomną sobie komendy i sygnały, których nie słyszeli od lat, zresztą sama wiesz najlepiej, czego można nauczyć przez tydzień. Poczieszeniem jest, że wszyscy ci ludzie, chociaż dawno i byle jak, przeszli jednak szkołę ciężkiej piechoty strzelczej. Terezo, w każdej chwili oczekuj awansu, powierzone Ci zostanie dowództwo Armii Wschodniej, złożonej z Twojego własnego legionu, mojego gwardyjskiego i tych dwóch lub trzech dartańskich. To my mamy wygrać tą wojnę! Armia Zachodnia, przy wsparciu Stronnictwa Sprawiedliwych, z którym prowadzimy rokowania (z Enewenem prowadzimy także, ale tylko dla stworzenia pozorów) uderzy na Dartan w ogólnym kierunku na Lida Aye, Semenę i Senelette, ściągając na siebie wszystkie siły Wskrzeszonych Rycerzy Królowej, a być może i to, co wyjdzie z Puszczy Bukowej (a byłam tam i myślę, że napewno coś wyjdzie). Jeżeli istnienie zorganizowanej Armii Wschodniej, a także jej przeznaczenie uda się utrzymać w tajemnicy, uderzysz tym wojskiem spod Akali na Rollaynę, a szczególnie na majątki K.B.I.Enewena i sprzymierzonych z nim Domów. Wszystko to puścimy z dymem, prywatne wioski i należące do dartańskich rodów małe miasta, wszystko. Po zajęciu Rollayny, z rodowych pałaców zostawimy tylko gruzy, potem zaś wyjdziemy na tyły Enewena, odcinając go od posiłków i zaopatrzenia z głębi kraju. To

są założenia strategiczne, szczegóły wykonania tego planu będą zostawione oczywiście dowódcy Armii Wschodniej, czyli Tobie. Twierdz o znaczeniu ryglowym nie ma w Dartanie od wieków, a miasta dawno straciły znaczenie obronne, raczej więc nie musisz się liczyć z prowadzeniem działań oblężniczych, zresztą sama wiesz to najlepiej. Zdobądź dobre dartańskie mapy! W kraju, gdzie jest tyle rzek, uchwycenie mostów i przepraw będzie na miarę wygrania wojny. Ale przepraszam, że próbuję Cię pouczać. Wiesz to wszystko lepiej ode mnie.

Terezo, wygramy tą wojnę! Jeśli nawet plan się nie powiedzie, jeśli przeciwnik zgadnie, do czego zostaną użyte wyprowadzone z Dartanu siły imperialne — wygramy tą wojnę, Terezo. Na zamkniętej wojennej naradzie w Kirlanie powiedziano „Idziemy na wojnę!” i usłyszał to cały kraj. Tak samo wszyscy już wiedzą, że Cesarz i Cesarzowa sami sobie ścielą łóżka do snu i sami sobie posługują przy stole, bo zwolnili całą służbę. Wszyscy wiedzą, że Jej Cesarska Wysokość ma tylko trzy skromne suknie, bo sprzedała wszystkie swoje szaty i klejnoty, i oddała pieniądze na wojsko. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego, Niepojęta przyszła do Armektu i spowrotem przyjmuje na służbę swoich łuczników równin, tych łuczników, którzy siedzą w miastach, w imperialnych i prywatnych majątkach, i dawno zamienili łuki na dratwy i dzieże do zagniatania chleba, a konie na wozy kupieckie, ale w duszach pozostali łucznikami, których ojcowie zdobyli cały Szerer. Imperialni poborcy nie mogą nadażyć z kwitowaniem dobrowolnych darowizn na wojsko. Ktokolwiek ma jakiś zbrojny poczet, zostawia w swoich dobrach najwyżej połowę tych żołnierzy, a z resztą zgłasza się do komendantury najbliższego miejskiego garnizonu. Prywatni żołnierze luzują imperialnych, pełniąc patrolową służbę na ulicach i traktach, opłacani z prywatnych pieniędzy. Setki żołnierzy z kadrowych legionów miejskich kierowane są dzięki temu do zbiorczych obozów, gdzie zestawia się z nich pełnoetatowe kliny i kolumny. Mamy już trzy nowe legiony, uzbrojone i częściowo wyposażone. Kupcy oddają wojsku w dzierżawę swoje wozy, przyjmując wojskowe kwity, które można będzie zrealizować dopiero za kilka lat. Miejscy rzemieślnicy naprawiają uszkodzone mienie wojskowe, przedstawiając rachunki tylko za zużyte materiały, bo za swoją pracę nie chcą wynagrodzenia. Zgłosiło się wielu ludzi chcących darmo służyć przy wojsku, tylko za utrzymanie. Nawet tutaj, w Tarwelarze, mam już pierwszych chętnych do służby przy moim legionie. Dostałam już kilka wozów, za które musiałam zapłacić — ale nie za to, co na nich było. Sprzedano mi je jako puste, Terezo, a jest tam płótno na namioty i płaszcze, buty dla żołnierzy, baryłki z wódką, szmaty na opatrunki i nawet lniane torby, kubki, sama nie wiem, co jeszcze. Możemy przegrać dziesięć bitew, możemy przegrać kampanię, ale wojnę wygramy, bo pod niebem Szereru nie istnieje nic, co mogłoby zatrzymać Ciebie, mnie i wszystkich tych, co nawet bez broni chcą służyć swojej armeaktańskiej Niepojętej Pani. Mamy wojnę, Dowódczyni! Mamy prawdziwą wojnę!

— z Tarwelaru

Agatra

tysięczniczka legii

honor-setniczka Gwardii Armeaktańskiej

Agatra nigdy tego listu nie wysłała. Podniecona i rozgorączkowana, pragnęła wykrzyczeć z siebie wszystko, co ją rozpierało, chciała podzielić się nowinami z przyszłą dowódczynią, która jeszcze nie wiedziała, że nią będzie. Ale nie istnieli tak pewni gońcy i tak bezpieczne drogi, którym można by zawierzyć list o podobnej treści. Zawarte w nim wiadomości,

dla Stronnictwa Ahe Vanadeyone warte były każdej sumy w złocie. A Niepojęta Arilora, Pani Losu Wojennego, lubiła surowo karcić tych, którzy lekceważyli jej prawa... Tysięczniczka-komendantka gwardyjskiego legionu miała tego świadomość.

Tereza otrzymała list Agatry z własnej ręki nowej podkomendnej, dopiero wówczas gdy ta stawiała się w Akali. Ale wcześniej tysięczniczka Pogranicza odebrała rozkazy z Kirlanu i obejrzała nową białą tunikę, wycinaną w kwadratowe zęby. Obejrzała, bo jeszcze nie mogła nałożyć, jej awans był na razie wojskową tajemnicą. Otrzymała tunikę i proporzec jedyne w swoim rodzaju, całe białe, bez obszyć w barwach prowincji; mundur ozdobiono tylko wąskimi szarymi paskami honor-setniczki gwardii. Miała dowodzić wojskiem złożonym z żołnierzy dwóch krain i Potrójnego Pogranicza.

Tereza awansowała, bo jej cesarska wysokość Waseneva, wkrótce po tym, jak posłała małżonkowi drobno zapisany arkusik, powiedziała mu coś, co ogromnie podniosłoby na duchu zdjętego z urzędu T.L.Wadelara, Pierwszego Namiestnika Trybunału w Akali:

„Może to ty masz słuszność, Awenorze? Może powinnam ufać Armektance, która bez zarzutu pełni swoją służbę? Zamiast zupełnie bezpodstawnie bać się wzrostu jej siły i znaczenia, odgadywać plany, których pewnie nie ma... Moje zamiary nazwano dziś głupimi, tylko pomyśl. Ale może nie bez powodu. Niech będzie, jak tego chcesz, ty i twój wojskowi. Wycofuję swoje zastrzeżenia”.

Część szósta. Rycerze i żołnierze królowej

31.

Księżna tylko raz przymierzyła swoją pyszną zbroję, wykonaną dla niej z rozkazu księcia Lewina. Ubrana w złożone blachy — wcale lekkie, jak na zbroję płytową — z chrzęstem i łomotem postąpiła pół kroku naprzód, po czym parsknęła śmiechem. „Można się w tym poruszać” — powiedziała. „To i tak więcej, niż oczekiwałam. Zdejmijcie to ze mnie, ale już! Hayno, czy jest coś, co może włożyć kobieta idąca na wojnę? Wszystko jedno, pod suknię, czy na suknię, byleby ważyło trochę mniej?”.

Hayna zagoniła do roboty zbrojmistrza, płatnerza i... krawca. Znakomite kolcze plecionki, cienkie, lecz bardzo gęste, powleczono srebrem. Dopasowane były do wojennych sukni księżnej, granatowej i szarej. W stalowych koszulkach przewidziano z przodu otwory pozwalające na przeciągnięcie wszytych w suknie pasów. Ezena wyglądała w tym jak kobieta, a dźwigała niewiele więcej niż wtedy, gdy przychodziło jej do głowy wystroić się w którąś z uroczystych brokatowych szat. Trzecia zbroja jej wysokości, przeznaczona do sukni brązowej, została pokryta miedzią i złotem — był to krótki łuskowy pancerz, mocniejszy od obu srebrnych kolczug, ale niestety cięższy. Ezena trochę marudziła, lecz Hayna postawiła na swoim.

„Wasza wysokość” — powiedziała — „zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie ruszyła na żadną wyprawę, a już zwłaszcza zadbam o to, żebyś trzymała się z daleka od bitew. Ale jeśli jednak dojdzie do tego, to będziesz nosiła ten pancerz. Chyba że wolisz lekki kirys? Kolczugi przydadzą się w podróży, ale na polu bitwy nie zatrzymają strzały, a tym bardziej bełtu z kuszy. Wystrzelonego z bliska ciężkiego bełtu nic zresztą nie zatrzyma, ale zabłąkany pocisk, nadlatujący z daleka, nie pokona tych łusek. Przynieść kirys? No to koniec, wasza wysokość”.

Od tamtego czasu minęły trzy miesiące.

Ezena parokrotnie kazała sobie pokazywać wszystkie suknie wojenne i zbroje do nich. Spoglądała tęsknie, czasem przymierzała — i polecała odnieść. Nudziła się śmiertelnie, aż nagle wyszło na jaw, że

bardzo, ale to bardzo słabo jeździ konno. Gdy uświadomiono jej tę prawdę, rozłościła się. Oberwali wszyscy.

„Siedzę tu i siedzę, nic nie robię, a potem okazuje się, że nie umiem jeździć! Kto ma o tym wiedzieć, że nie umiem? Ja?”.

Nieszczęsny koniuszy pokazał stadninę Sey Aye. Wszystkie bez wyjątku wierzchowce, które podobały się księżnej, były zupełnie nie dla niej. Nie miała zielonego pojęcia o koniach, ale bezbłędnie wybierała buchające ogniem z nozdrzy, ledwie ułożone pod siodło ogiery, z którymi mógłby mieć kłopoty każdy jeździec. Wybrano w końcu wytrzymałego wałacha-podjezdka i dwie klacze: niewybredną, dzielną armektankę i dużą smukłonogą dartankę ze Złotych Wzgórz, zwierzę szybkie jak wiatr, którego chętnie by dosiadł każdy kurier imperialnych legii. Ezena narzekała, złościła się, marudziła i codziennie, z żelazną wytrwałością, pobierała lekcje jazdy konnej, zarówno w kobiecym, jak i męskim siodle. Wdrożywszy się do niemiłych zajęć, wezwała Haynę i przypomniała o dawno złożonej obietnicy.

„Miałaś mnie uczyć posługiwania się bronią. Pokazywałaś mi, jak trzymać włócznię i sztylet, ale to było kiedy jeszcze żył książę i nic już nie umiem. Zapomniałam”.

Hayna, która dawno już przestała proponować lekcje (bo Ezena machała tylko ręką), nic nie dała poznać po sobie. Wyrzucono wszystkie sprzęty z jednej z komnat. Ezena popatrzyła na Czarną Perłę, która zrobiła coś z włócznią o tnącym grocie... nie wiadomo co, bo wirującej broni w ogóle nie było widać... obejrzała wywiniętego w powietrzu kozła, pogapiła się na drewnianą tarczę zawieszoną na ścianie, w której środek łupnęło smukłe ostrze, potem znowu popatrzyła na zadowoloną niewolnicę, która spod przeciwnej ściany szła wyrwać rzuconą broń — i bez słowa wyniosła się z komnaty. Namawiana i nagabywana, wróciła po kilku dniach. Następnego ranka gotowa była zabić swą gwardzistkę, ale nie mogła wstać z łóżka, by ją znaleźć. Hayna przyszła sama, wpakowała jej wysokość do gorącej kąpieli, wysuszyła, natarła olejkami, a wieczorem znów zabrała do komnaty ćwiczeń.

Tak mijały dni. Lekcje jazdy konnej i wymachiwania sztyletami przerywano tylko wówczas, gdy księżna popadała w przygnębienie. W całym pałacu nie było wówczas nikogo, kto potrafiłby ją namówić do czegokolwiek. Zawsze jednak w końcu wzywała Przyjętego — i wszyscy

już wiedzieli, że następnego dnia będzie lepiej. Może nawet zupełnie dobrze.

*

— Wasza wysokość — rzekł Gotah — nie istnieje taki żart, który można powtórzyć sto razy. A raczej: owszem, powtórzyć można każdy, ale nikt już nie będzie się śmiał. Co wyprawiasz, młoda kobieto?

„Młoda kobieto” od kilku dni dowodziła, że jest praczką i pochodzi z Armektu. Jeżeli nie musiała, w ogóle nie mówiła po dartańsku. Teraz siedziała — od samego rana, a był wczesny wieczór i na zewnątrz gościł już mrok — w swojej wąskiej komnacie. Posiłków nie przyjmowała — jeszcze czego... Wezwała mędrca Szerni zapewne tylko po to, by pokazać, że oprócz koszuli nie nosi na sobie nic więcej. Nie wątpił, bo w ciągu ostatnich dwóch dni mieli możliwość to sprawdzić chyba wszyscy w pałacu. Teraz bosa stopy trzymała na stole, a splecione ręce na karku.

— Nie pouczaj mnie, wasza godność. Rzecz jasna, po armektańsku.

— O, naprawdę nie śmiałybym pouczać księżnej Sey Aye — powiedział. — Ale poszła dokądś, zostawiając w swoich komnatach rozgrymaszone dziecko. Wasza wysokość, czy to rozsądne? — zapytał, rozsiadając się wygodnie. — No, powiedzże o co chodzi! Przecież po to mnie zawołałaś, żeby się wygadać — dorzucił zupełnie poważnie.

Zmarszczyła brwi, wydeła usta i... nic nie powiedziała. Bo miał rację. Przez chwilę walczyła z chęcią obrażenia się także na Gotaha. Ale wzruszyła tylko ramionami, ostentacyjnie podrapała się po udzie, zdjęła nogi ze stołu i wstała. Zagapiła się w okno.

Przez minione pół roku wyszło na jaw, że dwudziestoparoletnia kobieto też czasem potrzebuje matki, albo ojca... Dziadka, stryja, kogokolwiek. Opiekuna. Dobrego wujka. Gotah odkrył to z ogromnym zdziwieniem, bo o niektórych sprawach świata wiedział tyle, ile Ezena o Szerni. Ale i w sobie odkrył jakiś... instynkt ojcowski, coś, o czym dotąd nie wiedział. Bardzo wiele wieczorów spędził z jej księżącą wysokością, rozmawiając o Szerni, Prawach Całości, Rollaynie i jej siostrach... Niektóre z tych rozmów przemieniały się w zwierzenia młodej kobiety, która nie zawsze chciała być księżną. Czasem nawet nie chciała być niczyją przyjaciółką, wołałaby dzieckiem. Albo chociaż... siostrzenicą?

Od kilku miesięcy Przyjęty sumiennie i bez przymusu wywiązywał się z roli dobrego wuja. Nie nadużywała tego, bo też wcale nie była

słabym i bezbronnym biedactwem, stale szukającym współczucia i oparcia. Ale bywały dni, gdy koniecznie, kiedy nikt nie słyszał, chciała powiedzieć Gotahowi, że jest jej źle.

— Siedzę tutaj i siedzę... — powiedziała z westchnieniem. — Była zima, teraz jest wiosna... Yokesa w ogóle nie ma, Hayna łązi i nie może się doczekać, aż ktoś rzuci we mnie ogryzkiem, bo wtedy będę mogła podziwiać, jak moje przyboczne łapią ten ogryzek w powietrzu, a gwardziści rozrywają napastnika... Kesa wiecznie rozmawia z tobą, i to po grombelardzku, a jak raz powiedziała coś o Szerni, to myślałam, że mówię z Przyjętą... Anessa objechała cały Dartan, wróciła w sukni, jakiej nawet nie umiałabym włożyć... Bardzo jej potrzebuję, ale już nie mogę czasem wytrzymać tego jej lenistwa, fumów i tych wszystkich mężczyzn. Biedny Yokes... Moja Pierwsza Perła niczego się nie nauczyła, prędzej albo później znowu narobi mi kłopotów. Ale to nieważne. Najgorsze, że jestem nikomu niepotrzebna. Siedzę tu i siedzę...

Stara piosenka. Gotah domyślał się, że chodzi właśnie o to. Odkrył — podobnie jak kiedyś Yokes — że pani Dobrego Znak bardzo źle znosi beczynność. Była demonem czynu. Gdyby tylko mogła, już zimą uderzyłaby na Dartan, na Armekt, zresztą na cokolwiek, choćby na Grombelard. Najpierw bardzo dużo rozmawiali, potem coraz mniej, bo powoli brakowało tematów... Zimą nie dało się uciec z praczkami do strumienia i Ezena snuła się po swoim pałacu, popadając w coraz gorszy humor. Obzerała się z nudów, ale rozkosze podniebienia okazały się nic nie warte. Dłubiąc w coraz bardziej wyszukanych potrawach, Ezena owszem przytyła troszeczkę, ale to nie poprawiło jej humoru. W Dartanie trwała wojna, Enewen odnosił zwycięstwa, w Armekcie zbierano wojska, a jej wysokość Ezena jadła pasztety i potrawki.

— Nie poradzę sobie — powiedziała posępnie. — Nie jestem Rollayną i nie będę, przecież już to wiemy. Od czasu, kiedy znowu zmieniły mi się włosy, nic i nic. Nawet nie wiem, jak to zrobiłam. A wszyscy myślą...

Westchnęła.

Gotah wiedział, kto przywrócił księżnej pierwotną barwę i długość włosów. Ale nikomu nie powiedział. Dwie córki Szerni w Sey Aye — to już było naprawdę zbyt wiele. Wystarczyły kłopoty z jedną.

— Wasza wysokość, przecież rozmawialiśmy o tym tyle razy —

powiedział. — Siły Szerni potrzebne są ci tak samo jak ogon albo dodatkowa ręka. Ciesz się, że jesteś prawdziwą kobietą z krwi i kości, zdolną do rzeczy wyjątkowych. Czy naprawdę lepiej być cudakiem, którego nie można dobudzić, któremu zmieniają się włosy, a tylko patrzeć, jak wyrosną skrzydła i zaczną świecić w mroku?

— Myślałam, że nauczę się nad tym panować. Że będę miała jakąś siłę albo moc.

— Masz jedno i drugie. A siły Szerni przeniesione do świata w ogóle nie chcą tu pasować. Naiwnością jest sądzić, że można wyszarpnąć z Pasm same pożyteczne rzeczy, zostawiając wszystko, co zbędne i niewygodne. Ubliżam twojemu rozumowi, pani, tłumacząc to po raz dziesiąty. Masz wojska, masz środki, o jakich przeciwnicy nie mogą nawet śnić, masz oddanych ci ludzi, a przede wszystkim masz siebie. Pasma Szerni dały ci więcej, niż myślisz. Dlaczego nie chcesz tego zauważyć?

— Dały mi coś? — ożywiła się.

— Przecież naprawdę byłaś, w jakiejś mierze, odbiciem Rollayny. Gdybyś nie była, to komendant Yokes, Perły Domu, a nawet Gotah-Przyjęty, nie służyliby ci swoimi umiejętnościami i wiedzą. Nie jestem pewien, czy utrzymałabyś pozycję pani Puszczy Bukowej. W tych wszystkich kronikach i księgach, w tym portrecie sprzed wieków, zapisano coś bardzo ważnego. Zapisano, że do Sey Aye przyjdzie ktoś wyjątkowy. Wszyscy tu na kogoś takiego czekali, sam książę Lewin czekał na kogoś takiego i tylko dlatego dostałaś swoją szansę. Wykorzystałaś ją. Teraz wszystko zależy od ciebie, Szerń tu nie pomoże ani nie zaszkodzi. Wojna z Wiecznym Cesarstwem to nie jest sprawa Szerni.

Bawiła się płomieniem osadzonej w lichtarzu świecy. Sparzyła się w palec, ssała go przez chwilę, a potem dmuchała nań, marszcząc brwi.

— Jestem uzurpatorką — powiedziała. — Nie jestem Rollayną.

— Rzeczywiście nie jesteś, ale trochę jednak nią byłaś, a jeszcze bardziej możesz nią zostać! — powiedział zniecierpliwiony. — Kim według ciebie była Rollayną? Boginią Szerni? Tak, ale tylko w legendzie. Może świeciła w nocy, może zresztą robiła jeszcze dziwniejsze rzeczy, ale rycerze królowej nie służyli żadnej sztukmistrzyni, to ich nie obchodziło. Służyli właśnie królowej, swojej królowej. Przez całe wieki czekali na

królową i królowa wróciła. Spójrz na to inaczej. Czy jeśli jutro objawią się, jakimś cudem, uśpione w tobie siły Szerni, a ty do końca życia będziesz spacerować po tym parku, to będziesz Rollayną, na którą czekali jej rycerze? Czy może raczej będziesz nią wówczas, gdy bez żadnego wsparcia ze strony Pasm Szerni zasiądziesz na tronie w stolicy? Pomyśl, wasza wysokość!

— Śniły mi się siostry Rollayny — powiedziała. — Wyglądały jak Hayna i Anessa.

— Hayna? Nie — powiedział i ugryzł się w język.

Przez długą, długą chwilę patrzyła, nic nie mówiąc. Gotah poczuł, jak czerwienieją mu uszy. Kłamać umiał równie dobrze jak Yokes. Nigdy nie musiał tego robić.

— Hayna nie — powtórzyła.

— Miałaś sny, wasza wysokość? — zapytał. — Podobne do tamtych, kiedyś?

Patrzyła jeszcze przez chwilę.

— Nie, nie, mędrze — powiedziała. — O snach za chwilę... Hayna nie — powtórzyła raz jeszcze.

Patrzyła wyczekująco.

Z górą pół roku wcześniej, ale dokładnie tak samo, dała się złapać Anessa, przy sadzawce... Przyjęty o tym nie wiedział, lecz od dawna miał pojęcie, że przy księżnej nie można się zapomnieć. Była nieprawdopodobnie spostrzegawcza.

— A Anessa tak — powiedział, bo o Szerni mógł milczeć, ale kłamać nie potrafił i nie chciał. — Hayna nie, a Anessa niestety tak.

Księżna powoli usiadła na krześle.

— Seila... To Seila. Ona o tym wie? Że jest podobna do Seili?

— Nic nie wie. Nie wiadomo, czy jest podobna.

— Nie jest podobna do Seili?

— To, w pewnym sensie, była Seila, to było odbicie Seili — powiedział Gotah. — Byłyście dwie w Dobrym Znaku. Trzeciej, na szczęście, nie ma i nie było.

— Mam siostrę — powiedziała nieswoim głosem Ezena. — Prawdziwą siostrę... Dlaczego... jak mogłeś mi nie powiedzieć?

— Chciałem, ale trochę później — wytłumaczył się Gotah.

— Później? — zapytała z żalem i wyrzutem.

Po pałacu chodziła Rollayna-nie-Rollayna, dwudziestopięcioletnia kobieta nie mogąca dać sobie rady z własną tożsamością. Na myśl o tym, że chodzić będą dwie takie, Gotah poczuł kiedyś ciarki na plecach i zachował odkrycie dla siebie. A jeszcze kto? Anessa. Seila. Legendarna lekkomyślna kapryśnica, z którą Rollayna miała same kłopoty... Wszyscy mieli kłopoty. Przyjęty nie mógł się nadziwić, że nikogo nie uderzyło, jak bardzo Pierwsza Perła Domu przypomina mityczną Drugą Siostrę, o której legenda mówiła wiele więcej niż o samej Rollaynie. Ale może te podobieństwa uderzały tylko wtedy, gdy się już wiedziało? Teraz było to bez znaczenia. Gotah wstydził się pod spojrzeniem kobiety, przed którą ukrył... może najważniejszą rzecz. I nie mógł się nadziwić, że miał czelność to zrobić. W ogóle nie myślał o tym, że te dwie dziewczyny po prostu mają prawo wiedzieć, kim są dla siebie. Nie pomyślał, bo nie wierzył w to, co one... Od dawna miał wyrobione własne zdanie o powrotach Rollayny.

— Przebacz mi, księżno — powiedział. — Zawiniłem. Gotah Przyjęty... naprawdę słabo zna świat. Poznaje go od niedawna. Myślę o równowadze, wszystko odnoszę do Pasm. Zapominam, że istoty pod nimi czują i myślą, bo choć są odbiciem Szerni, to jednak nie są samą Szernią. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że to nie jest siostra Rollayny, tylko twoja. Że tak pomyślisz i poczujesz.

Powoli pokręciła głową. Była bardzo blada.

— Ja... ja nie wiem, czy będę umiała ci przebaczyć — powiedziała cicho. — Naprawdę nie wiem... Od pół roku mogłam mieć siostrę. Rodzinę... Prawdziwej rodziny prawie nie pamiętam. Najbardziej matkę, która nigdy mnie nie lubiła i przekonała ojca, kiedy zachorował, że to ja powinnam się sprzedać do hodowli... A tutaj mam siostrę. Trzymałam ją w klatkach dla psów. — Przyłożyła dłonie do policzków, na których bladość jęła ustępować miejsca równie nienaturalnej czerwieni.

— Wtedy jeszcze nie wiedziałem.

— Od kiedy wiesz?

Miał ochotę skłamać, że od niedawna.

— Od chwili kiedy ją wypuściłaś — przyznał. — To ona oddała ci włosy, tak myślę. Może zobaczyła cię przez chwilę taką, jaką zapamiętała... Przypadek, że akurat wtedy, tej nocy, coś mogło z tego wyniknąć. Przez całą noc w twojej sypialni kłębiły się siły Pasm Szerni.

Przyszedłem rano, żeby porozmawiać o tym z tobą i dowiedziałem się, że nie spałaś w swojej sypialni. Powiedziano mi, kto tam spał. Następnego dnia jeszcze dwa razy, bardzo słabo, odezwało się w Anessie coś, co było związane z Szernią. Opatrywałem ją i pielęgnowałem, jak pamiętasz, żeby mogła pojechać do Dartanu. Nawet, za moją namową, kazałaś odwlec wyjazd o dwa dni.

— No właśnie, przecież posłałam ją wtedy do Enewena — powiedziała. — Nie przyszło ci na myśl, że może zdarzyć się coś złego?

— Wiedziałem, że nie. Z tobą rzecz miała się inaczej, ale Anessy byłem pewien. Te dwa razy, kiedy coś jeszcze zauważyłem, to był odpływ, wasza wysokość. Pasma odsuwały się od niej tak wyraźnie, że nie miałem żadnych wątpliwości. Zabrały z niej najdrobniejsze ślady swojej obecności. Anessa przez chwilę była Seilą, ale już nią nie jest. Jest nią mniej, niż ty jesteś Rollayną, nieporównanie mniej. I była nią mniej od początku. Zdaje się tylko, że wygląda trochę jak legendarna jasnowłosa Seila i ma wiele jej cech. Jest Seilą w tym rozumieniu, że pojawiła się tutaj tak samo jak ty. Za sprawą Pasm, jako niewyraźne odbicie, a może raczej echo czegoś, co zaistniało dawno temu.

— Co ja mam teraz zrobić? Jak jej powiedzieć? Przecież to jest niewiarygodne... Moja siostra ma być tutaj niewolnicą? Jest ładniejsza ode mnie, znacznie ładniejsza! — powiedziała oskarżycielsko, celując palcem w Przyjętego. — To Rollayna miała być najpiękniejszą z Sióstr. No?!

— Wasza wysokość — powiedział bezradnie — przecież to legenda... Jeśli ten, kto ją spisał, gustował w brunetkach... Będiesz pytać mnie o urodę legendarnych Trzech Sióstr? I o co jeszcze, wasza wysokość? Czy Delara naprawdę śpi w tym lesie? Oczywiście. Pod krzakiem jałowca.

Ezena prawie nie słuchała. Chodziła po komnacie. Miała ochotę pobiec do Anessy... i zaczęła zdawać sobie sprawę, jak wiele racji przemawiało za milczeniem mędrca Szerni. Pani Sey Aye nauczyła się niejednego. Niezwykłe wieści, wzruszenia, odkrywane sekrety — wszystko to od dawna nie było niczym nowym. Nauczyła się zachowywać w obliczu niezwykłych zdarzeń.

— Usiądę — powiedziała, wprowadzając decyzję w czyn. — Muszę pomyśleć. Nie przeszkadzaj mi przez jakiś czas, wasza godność.

Przyjęty siedział cicho, jakby umarł. W jego oczach księżna była kimś naprawdę niezwykłym. Obcował już z niezwykłymi ludźmi. Trzeba trafiać, że najczęściej kobietami. Ale jej królewska wysokość, bo nie wątpił, że ta kobieta może zostać królową Dartanu, przypominała tylko jedną znaną mu osobę — Werene, cesarską córkę, rządzącą Grombelardem. Cokolwiek powiedziano na temat równości ludzi, było bzdurą. Nie każdy mógł być prawdziwym władcą. Wiele rzutkich, przedsiębiorczych i zdecydowanych, mądrzejszych od Ezeny lub Wereny kobiet, mogłoby panować tylko z nadania. Nikt nie umiał nazwać tego „czegoś”, co było potrzebne prawdziwej, niekwestionowanej władczyni. One obie „to” miały. Nie miała Karenira, legendarna grombelardzka Łowczyni. Nie miała Kaga, dobrze znana Gotahowi przywódczyni górskich rozbójników, kobieta o duszy kota. Ale miały Ezena i Werena, miała „to” także jej cesarska wysokość, małżonka panującego — Gotah przeczytał list od tej kobiety i już wiedział. Teraz siedział cicho, bo księżna powiedziała „nie przeszkadzaj”.

— Pójdę do niej i co powiem? Siostrzyczko? Ogłoszę w Sey Aye: „To jest Seila, druga Córka Szerni”? Przecież nawet ona sama nie uwierzy! Pomyśli, że coś ze mną nie tak! Nawet ty jej nie przekonasz, wasza godność. Jak można bez cienia dowodu uwierzyć, że jest się kimś innym? Ja miałam kroniki, portrety, niezrozumiałą najpierw decyzję księcia Lewina... Jesteś, panie, rycerzem dartańskim! — palnęła. — Uwierzyłeś? To może Yokes uwierzy, że nim jesteś?

Rozłożył ręce.

— Akurat Anessa mogłaby uwierzyć, że jest Seilą, tak myślę.

— Wątpię. Ale... — ciągnęła — to nie może tak zostać! Ona ma prawo wiedzieć! I obie mamy prawo się mieć! Chcę ją mieć, chcę mieć siostrę i mam siostrę! Miałabym trzymać Seilę jako swoją niewolnicę?

— Anesę — poprawił łagodnie. — Jeśli chcesz być siostrą Seili, wasza wysokość, to musisz myśleć o sobie „Rollayna”. A jeżeli myślisz „Ezena”, to w jaki sposób Seila może być twoją siostrą? Tak naprawdę, wasza wysokość, chyba jednak nie jesteście siostrami.

— Jesteśmy! — powiedziała i zrozumiał, że już nie da sobie tego odebrać.

— Wasza wysokość...

— Gdzie jest trzecia? — przerwała.

— Trzecia Siostra?

— Tak. Gdzie ona jest?

Zrobił minę, jakby pytała o odległość do najbliższej gwiazdy.

— Nie wiem, wasza wysokość. Chyba nigdzie jej nie ma. Naprawdę trudno przyjąć, że od wieków śpi w Puszczy Bukowej...

— Nie, nie — powiedziała. — Nie tak szybko, wasza godność. Może najpierw pomyśl, zanim odpowiesz? Jeśli nie wiesz, gdzie jest, to chociaż pomyśl, gdzie może być. I nie mów mi, że nigdzie, bo zaraz zacznę się śmiać.

Zastanowił się.

— Chyba wiem, wasza wysokość, o czym myślisz.

— Były trzy. Może od czasu do czasu pojawia się gdzieś, jak mówisz, odbicie któreś z nich. Wyglądało na to, że tylko Rollayny. Coś tam dzieje się w Szerni, prawda? Coś czego nie rozumiemy i wtedy pojawia się tutaj, w Szererze, odbicie Rollayny, tak? — pytała. — Ale od miesiący kładziesz mi do głowy, wasza godność, że Szerń podlega jakimś prawom i nic tam się nie dzieje przez przypadek. Może z praw rządzących Pasmami wynika, że Rollayna pojawia się co jakiś czas, w jakimś miejscu. No to dobrze, pojawia się i koniec. Ale jeśli w jednym miejscu i czasie pojawiają się dwie z Trzech Sióstr, to nie można nie zapytać: a gdzie trzecia? Wygląda na to, że Siostry to jedna całość. Czy nie sądzisz, że zawsze tutaj, w Sey Aye, pojawiały się wszystkie trzy, ale rozpoznawano tylko jedną?

— Dużo się nauczyłaś — powiedział. — Wywód jest bardzo logiczny, ale...

— Dlaczego nie Hayna? — zapytała. — Przecież tylko czasem potrafisz zauważyć, że w któreś z nas, Ezenie albo Anessie, dzieje się coś związanego z Szernią. Może jutro zauważysz to w Haynie? Kim była Delara, wasza godność?

— Według legendy? Wojowniczką. — Pokiwał głową. — Dowodziła wojskami Rollayny. Ale jeśli już wierzyć legendzie, to Hayna w ogóle nie ma nic wspólnego z Delarą. Rollayna musiała pokonać jej wojska. Delara chciała zabić Rollaynę, torturowała Seilę. Najmłodsza Siostra była... no, powiedzmy otwarcie, szaloną zbrodniarką, zdolną do wszystkiego. I zdrajczynią.

— Nie od razu, wasza godność. Stała się taka za sprawą pewnego klejnotu, rubinu, nieprawdaż?

— Geerkoto, tak — powiedział niechętnie. — Ale ja, wasza wysokość, nie potrafię rozumować w ten sposób. Jako historyk opieram się na faktach. Czasem czerpię jakąś wiedzę z legend, a nawet baśni, ale uzyskane w ten sposób wiadomości koniecznie wymagają sprawdzenia. Zestawienia z innymi źródłami. Jeśli w dziesięciu legendach znajduję wzmiankę o tej samej wielkiej bitwie, to mogę założyć, że jakieś zmagania naprawdę miały miejsce. Ale legenda o Trzech Siostrach jest tylko jedna. Kroniki Dobrego Znak to pierwsze wiarygodne źródło... a zresztą w ogóle jedyne, wszystko jedno, czy wiarygodne... które potwierdza kilka opisanych w tej legendzie zdarzeń. A zaprzecza stu innym zdarzeniom. Z kronik w ogóle nie wynika, że Rollayna miała jakiegokolwiek siostry, nie ma tam o nich nawet słowa. A już o tym, że jedna z tych sióstr zdradziła i trzeba było pobić jej armię? Czy rycerze królowej Rollayny zapomnieli o tak błahym zdarzeniu? Opisano wszystkie wojny, w jakich ród księcia Lewina uczestniczył. Ale o tej mitycznej wojnie nie ma ani słowa. Jeśli zapytasz, wasza wysokość, to odpowiem, że sto razy bardziej wierzę kronikom Sey Aye niż wszystkim legendom świata razem wziętym. Jak na zapiski czynione przez Dartańczyków w Dartanie, są niewiarygodnie wręcz ściśle.

— Ale Anessa i Seila? Przecież są takie same! Wszystko, co w legendzie powiedziano o Seili, pasuje do Anessy!

— To prawda — przyznał nierad, bo wyciągała od niego rzeczy, o których chciał milczeć jeszcze przez jakiś czas. — Sam się nad tym zastanawiałem. To wszystko jednak, wasza wysokość, zupełnie nie składa się w spójną całość. Trzy niewolnice w Sey Aye... dwie Perły, jedna praczka... Trzy Siostry, przysłane przez Szerń nie wiadomo po co. Nie wierzę w takie cuda. Seila pasuje do Anessy aż za bardzo.

— No, ale jednak, wasza godność... Dwie niewolnice bez wątplenia są Córkami Szerni, czy też ich odbiciem, jeśli wolisz.

— Wasza wysokość — powiedział — mam pewne przemyślenia na ten temat, mam je już od dawna. Nie pchałem się z nimi za bardzo, bo nie mają dla ciebie większego znaczenia, a właściwie nie miały do tej pory, bo teraz już wiesz o Seili i nie bardzo mogę cię zostawić z dotychczasowymi wyobrażeniami. Nie spodobają ci się te moje przemyślenia, ponieważ są to przemyślenia uczonego, który nie lubi mitów, nie wierzy w żadne cudowne moce, bo wie, co wisi nad światem i

ile to jest warte, szuka więc prostych wyjaśnień. Chcesz posłuchać?

Potarł nos palcem.

— Trzy Siostry rzeczywiście istniały, a na pewno istniała Rollayna — powiedział. — Coś zepsuło się tam na górze i tutaj, na ziemi Szereru, trzy dziewczyny zostały wypchane mocą Pasm, aż wychodziło im uszami. Jedna została królową, zapewne w ten sam sposób, w jaki ty nią zostaniesz, księżno, o ile, rzecz jasna, zostaniesz. — Skinął głową. — Jakieś grono ludzi uwierzyło, że jest to osoba wybrana, i poszło za nią, a dziewczyna (nie wiemy, kim była, może wielką damą, a może tylko praczką?) wykorzystwała swój rozum i swoje zdolności, bo na pewno nie siły Szerni, pokierowała tymi ludźmi i osiągnęła to, co osiągnęło wielu przed nią i po niej, mianowicie władzę. Bo przyznasz, wasza wysokość, że nie trzeba być dziecięciem Szerni, żeby zostać królową albo królem? Minęły wieki, a przez wszystkie te wieki w środku wielkiego lasu żyli dumni rycerze tęskniący do swojej królowej, żyjący myślą o jej powrocie, kultywujący pamięć o latach największej świetności. Ci ludzie czytali stare kroniki, wpatrywali się w portret wspaniałej pani, która ich zostawiła. Otóż, wasza wysokość, pragnienie i wiara potrafią sprawić niejedno, a my, rozumne istoty powołane do istnienia przez Szerń, mamy pewne, choć niewielkie i niepoznane do końca, siły sprawcze. Szerń, choć bezrozumna, potrafi jednak działać celowo, ale z drugiej strony, bezsilne w sensie sprawczym istoty pod jej niebem, czasem coś jednak sprawiają... Uważam, wasza wysokość, że wszystkie rzekome powroty Rollayny zostały spowodowane nieśmiertelnym marzeniem o jej powrocie. Szerń wcale cię nie przysłała. To książę Lewin, w swojej wielkiej duszy znalazł dość siły sprawczej, by cię wyrwać Pasmom, powodując drobne Pęknięcie Szerni. Gdzieś w Szererze dość często, być może, rodziły się kobiety, mające wyglądać jak Rollayna ze starego obrazu. Niektóre z nich trafiały do Sey Aye albo wręcz rodziły się tutaj. Jesteście wymyślone i wytęsknione, wypatrywane i wyczekiwane. Dowiadujecie się, kim jesteście, a wtedy te odrobiny Szerni, które z woli władców Sey Aye ukształtowały wasze twarze, wyrrywają się z was, bo chcecie sprawiać cuda, wierzycie, że będziecie je sprawiać. Szerń przychodzi i zabiera wam wszystko, bo już nie jesteście jej żywymi częściami, żywe części Szerni mogą być tutaj, na ziemi, obecne tylko wtedy, gdy śpią. Mogę uzdrowić albo uśmiercić dotykiem — powiedział

Gotah, przywołując uśmiech na skrzywioną twarz. — Rozumiem Szerń tak bardzo, że mogę latać jak ptak. To nie, bajki, pani. Mogę to wszystko zrobić. Tylko raz. Póki jestem symbolem Szerni póki ty, pani, nosisz Szerń uśpioną, nic się nie wydarzy. Ale jeśli przemienię symboliczną siłę w prawdziwą, jeśli ty sama obudzisz swoją siłę — wtedy Szerń przyjdzie do nas i zabierze wszystko, bo dla Szerni nie ma miejsca na świecie. Nie jesteś Rollayną, jesteś tylko ucieleśnionym marzeniem o Rollaynie, ucieleśnionym przez Szerń, do której nieświadomie sięgnęli marzący o tobie ludzie. Gdybym miał dość śmiałości, poszedłbym do twojej Pierwszej Perły, która, odkąd dowiedziała się o tobie, mało dziesięć razy czytała legendę o Trzech Siostrach, i zapytałbym: „Anesso, czy pokażesz mi wiersze, które tak często pisujesz, a których nikt nigdy nie czytał? Nie marzyło ci się, że jesteś Seilą? Nie myślałaś nigdy o tym, jak bardzo jesteś do niej podobna?”. Jestem prawie pewien odpowiedzi, wasza wysokość. Seili nie wymyślili rycerze Dobrego Znak, Seila wymyśliła się sama. A o wyciągnięcie ręki była Rollayna — Przyjęty wyciągnął dłoń, jakby chciał dotknąć Ezeny — nosząca w sobie okruchy Pasm, których moc dała jej różnobarwne oczy i granatowe włosy, rysy twarzy... Anessa ukradła ci najmniejsze z tych okruszków, gdy zostały obudzone, i na kilka chwil, o których nawet nie wie, że były, stała się Seilą. Nie ma żadnych powrotów, są tylko marzenia, wasza wysokość. Ucieleśnione marzenia. Trzeciej siostry nie ma i nie będzie dopóty, dopóki ktoś jej nie wymyśli. Chcesz mieć siostrę w Haynie, taką siostrę, która nie pochodzi z tych samych rodziców? To miej, wasza wysokość. W moim najgłębszym odczuciu już ją masz. Tak samo, jak masz siostrę w Anessie. Ale przestań wreszcie oglądać się na Szerń, na bajki i legendy. Po co ci to wszystko?

Słuchała bardzo uważnie.

— Więc naprawdę nie ma żadnej z Trzech Sióstr? To tylko wymysł?

— Były przed wiekami, ale już ich nie ma i nie będzie. Tak, wasza wysokość, to wymysł. Ucieleśniony na chwilę, ale tylko wymysł. Nie jesteś Rollayną, Anessa zaś nie jest twoją siostrą Seilą.

— Skąd możesz mieć pewność, mędrco Szerni? Przecież to tylko twoje domniemania.

— Domniemania, tak, ale domniemania biorące pod uwagę ogólne prawa, którym podlega Szerń. Wasza wysokość, wiele razy pytałaś mnie, skąd mogę wiedzieć, skąd mam pewność, na czym się opieram... Zawsze

odpowiadałem ci tak samo i teraz znów odpowiem: niczego o Szerni nie wiadomo na pewno. Opisana i policzona, zamknięta w setkach i tysiącach matematycznych modeli, wciąż wymyka się pełnemu zrozumieniu. Przyjęty to ktoś, kto... — Gotah uniósł palec na wysokość ucha, jak zawsze, gdy szukał najlepszego określenia — ktoś, kto umie utrafić w sedno. Przyjęty to, jak każda rozumna istota, krzywe odbicie Szerni na ziemi, ale odbicie pojmujące, na czym polega owo skrzywienie obrazu. Mogę wyobrazić sobie, jak wygląda obraz wierny, i Szerń to potwierdza, dając mi do dyspozycji całą własną potęgę. Ale jednak nie jestem samą Szernią, wasza wysokość, i mam właśnie tylko wyobrażenia. Ludzkie wyobrażenia o czymś, co jest zupełnie nieludzkie, niepodobne do niczego tutaj. Wyobrażenia prawdziwe w zarysach, dotykające sedna, ale tylko tyle.

— Wasza godność, czy można opowiadać o tym... nie wiem, jakoś inaczej? Bo zawsze, im bardziej próbujesz mi przybliżyć problemy związane z Szernią, tym mniej rozumiem — wyznała.

— To dotyczy nie tylko Szerni, księżno — zauważył. — Dotyczy w ogóle wszystkiego. Każdy problem da się łatwo przedstawić w kilku słowach, ale gdy ktoś docieka dalej, zejść trzeba do poziomu szczegółów i wtedy... jak wy to mówicie w Armeckie? Otóż wtedy jest pies pogrzebany. No, oczywiście, że tak! — powiedział na widok jej miny. — Potrzebujemy może dziesięciu słów, żeby wytłumaczyć, jak działa i do czego służy kusza. Ale zacznij pytać o mechanizm spustowy, sposób wykonania cięciwy i materiał, z jakiego jest zrobiona, potem jeszcze skąd ten materiał pochodzi i dlaczego musi być taki, a zobaczysz, wasza wysokość, ile z tego zrozumiesz. I dokąd zabrnjemy, stawiając coraz to nowe pytania. Na pewno na uprawie konopi i obróbce żelaza nie skończymy.

— Wytłumaczyłbyś w dziesięciu słowach, wasza godność, jak działa i do czego służy kusza? — zapytała z namysłem. — A gdyby tak stanęła przed tobą osoba, która nic, naprawdę nic nie wie o Szerni? Czy potrafiłbyś powiedzieć jej, w dziesięciu słowach, co to jest i do czego służy?

— Ciekawy pomysł, wasza wysokość... Potargowałbym się. A w stu słowach?

— Niechby i w stu, ale bez wdawania się w najdrobniejsze szczegóły.

— Myślę, wasza wysokość, że to przybywa stamtąd. — Wskazał noc nad ogrodem za oknem. — Z gwiazd, wasza wysokość, nie z tych paskudnych chmur... Wiele takich... bytów obsiada świat podobny do naszego, bo wolno sądzić, że światów jest bardzo dużo. Te obce byty rozpościerają się nad lądami, a częściowo na nich, i ta część, która leży na ziemi, to my, a dokładniej rozum. Ta część tutaj, na ziemi Szereru, jest częścią służebną wobec tej na górze, w jakiś sposób potrzebną do istnienia tamtej. Obie części różnią się od siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe, a zarazem podlegają takim samym prawom. Przede wszystkim prawu wiecznej wojny, walki o dominację. Ciemne i Jasne Pasma są aktywne i pasywne, i tak samo tutaj, odkrywczcze i twórcze siły rozumu ścierają się w wiecznej wojnie z mocami zachowawczymi, biernymi. To pierwsze z Praw Całości: Prawo Równowagi. Równowaga Całości to kompromis między chęcią wprowadzenia zmian a potrzebą zachowania czegoś. To samo dzieje się tam — wycelował palec do góry — tyle tylko że bez udziału świadomości. To na górze jest chyba nieśmiertelne; to na dole w pewnym sensie też, bo śmierć to zaledwie moment, w którym dusza istoty rozumnej wraca do Pasm i rozplywa się w nich, a zawarte w tej duszy elementy aktywne i pasywne wracają na swoje miejsca, do odpowiednich Pasm, z których się narodziły. I to wszystko, wasza wysokość, najkrótsza opowieść o Szerni. Czy policzyłaś słowa?

— Nie, ale nawet jeśli było ich sto, to ja także mam od razu sto pytań. To ma być pełny obraz Szerni i Szereru, wasza godność?

— No nie, wasza wysokość, nie możemy rozmawiać w taki sposób... Czy „urządzenie służące do wystrzeliwania pocisków za pomocą napiętej cięciwy” to jest pełny obraz kuszy? Może i pełny, ale do jakiego stopnia wierny i dokładny? A złożoność kuszy w jakiej niby stoi proporcji do złożoności Szerni? Właśnie dlatego, że w stu słowach wyjaśnić wszystkiego się nie da, rozmawiamy o Szerni już pół roku, ja zaś zmagam się z nią od pół wieku. A dość często przy tym mam wrażenie, że nie warto, że to zupełnie beznadziejne — wyznał.

— Czasem mi się wydaje, wasza godność — powiedziała — że ty... pogardzasz Szernią. Nie szanujesz jej.

Zastanowił się.

— Pogardzam? Nie, pani, nawet przeciwnie: podziwiam tę... to zdumiewające urządzenie ponad światem. Ale czy szanuję? Rzeczywiście,

ani mi to w głowie. Szanować mogę tylko tę część Szerni, która leży na ziemi, a i to nie każdą bez wyjątku. Jakaś żywą istotę, która myśli, czuje, cierpi i podejmuje decyzje. Ale to tam, paskudztwo na górze, obojętnie jak pomysłowe, skomplikowane i potężne, obojętnie, jak bardzo interesujące, jest tylko paskudztwem właśnie. My tutaj jesteśmy jego potem, oddechem i wydaliniami, nie wiadomo czym właściwie, czymś czego wyplucie na ziemię jest mu jakoś niezbędne. Więc rodzimy się, umieramy, męczymy... Pół biedy, jeśli tylko radujemy się i odchodzimy we śnie, szczęśliwi. Stary naród Shergardów — powiedział — miał bardzo szczególny stosunek do macierzyństwa i ojcostwa. Ktoś, kto decydował się na powołanie do istnienia nowych ludzi, popełniał tym samym czyn bez mała niegodny i dalszym życiem musiał dowieść, że naprawdę wiedział, co robi, a wszyscy inni się mylili. Zacierał złe wrażenie, wychowując swe dzieci tak, że były zawsze syte, szczęśliwe, dumne ze swego istnienia, ze swych rodziców, a wszyscy wokół byli dumni z tych dzieci. Każdy rodzic do końca życia musiał odpowiadać za wszystko, czego dopuściło się jego potomstwo, bo bez jego rodzicielskiej decyzji nie byłoby tych uczynków. Jeśli coś się stwarza, rozumowali Shergardzi, to trzeba wiedzieć co, odpowiadać za to — lub, wygodniej i rozsądniej, powstrzymać się od stwarzania. Krótko mówiąc, uważano tam, że powołanie na świat potomstwa to nie jest przywilej byle głupka, tylko ogromny obowiązek, świadectwo odpowiedzialności. Tego trzeba było potem dowieść albo nosić piętno do końca życia, zwykle zresztą krótkiego, bo na szafot wraz ze zbrodniczymi dziećmi szli rodzice... Otóż, wasza wysokość, to, co wisi nad światem, niczego nie dowiodło. To taki nieudacznym rodzic Shergardów. Trudno gardzić tym czymś, bo jest bezrozumne i martwe, ale szanować? A za co? Rozumiem Szerń i nie obrażam się na nią — dodał z uśmiechem. — Przyjąłem do wiadomości, że jestem, że wszyscy jesteśmy, malutkimi częściami wielkiej maszyny, która działa tak, jak działać musi. Ale nic nie jestem winien tej maszynie, ty pani także nie. Ceń się wyżej! Pomyśl o Szerni jak o wielkim żaglowcu, z którego zesłałaś na ląd i jesteś zdana na siebie. Ten żaglowiec, obojętnie jak wspaniały i potężny, nie ma nic do roboty na lądzie, w niczym ci nie pomoże ani nie zaszkodzi, trudno też żywić doń wdzięczność, że cię wysadził na wyspie. Zbuduj tam swoje królestwo i tyle. Żaglowiec przyplynie raz jeszcze, żeby zabrać twojego trupa. Ale z tego nic już dla

ciebie nie wyniknie.

— A co z tym narodem Shergardów? Nie wymarł? — zapytała.

Westchnął.

— Ucierpiał od jakiegoś kataklizmu i wyniósł się, nie wiadomo dokąd. Zresztą, wasza wysokość, plemiona Shergardów znały wojny, budowały twierdze, wygląda więc na to, że te wspaniałe dzieci odpowiedzialnych rodziców nie były takie znowu wspaniałe... Powiedziałem ci tylko, za co szanowano tam człowieka, a za co nie szanowano. A że nie zawsze coś z tego wynikało? W całym Szererze ceni się dziś prawdomówność, łgarstwem zaś pogardza. I co z tego, skoro kłamcy jak byli, tak są dalej i niektórym nawet kary za krzywoprzysięstwo niestraszne? Powiedziałem tylko, co cenili Shergardzi, a co piętnowali — powtórzył. — Nie mówiłem, że byli idealni. Wasza wysokość — rzekł, zmieniając temat — zrobisz, co uznasz za najlepsze, ale jeśli chcesz posłuchać rady... przyjaciela, bo nim jestem, księżno... Jeśli chcesz posłuchać rady przyjaciela, to zostaw swojej Pierwszej Perle jej ciche, wstydlive marzenia, na które kiedyś sobie pozwoliła. Pragnęła być kimś niezwykłym, jak dziewczynka marząca o byciu królową. Nie jest Seilą, tak jak ty nie jesteś Rollayną. Nie jesteście siostrami, wasza wysokość, i okłamiesz Anessę, dowodząc, że była dziewczyną z legendy. Przez kilka chwil była co najwyżej marzeniem o tej dziewczynie. Anessę wolno ci kochać, bo i ona bardzo cię kocha. Ale truchło wiszące tam, w górze, nic do tego nie ma. Zostaw to, pani, tak jak jest.

Wstał z krzesła.

— O Szerni już nie chce mi się dzisiaj gadać. Ubierz się, wasza wysokość, i nie pokazuj mi się więcej w takim... dalece niekompletnym stroju. A jeśli już musisz, to nie chodź mi przed nosem w tę i nazad, bo nic mądrego nie powiem. Od pewnego czasu... nawet bez podobnych sprawdzianów odkrywam w sobie zdumiewające rzeczy. Bycie mężczyzną jest nawet przyjemne, ale i trochę straszne.

Skrzywił się zabawnie, skłonił lekko i wyszedł.

32.

Anessa przez całą zimę podróżowała po Dartanie, prowadząc w

imieniu swojej pani niezliczone rozmowy, których nie potrafiłby poprowadzić nikt inny. Wiedziała o każdym, kto miał jakiegokolwiek powiązania z Sey Aye — najczęściej były to stosunki handlowe, ale nie tylko. Pierwsza Perła księcia Lewina była za jego życia prawdziwą królową Puszczy i jedyną, bezsporną panią domu, mającą prawo podejmowania najdonioślejszych decyzji. Stary książę wiedział, czego chce i dokąd zmierza, lecz poza swoją wielką misją wszystko powierzał Anessie. Perła Domu decydowała zarówno o tym, jakie towary i surowce z Puszczy trafią na rynek, komu można sprolongować płatność długu, kogo trzeba natychmiast puścić z torbami, jak i o tym, kto w Dartanie zyska, kto zaś straci na znaczeniu... Podobało jej się, w imię przyszłych zysków, podarować komuś prawo do wyrębu trzystu sosen — to je darowała, nawet nie pytając księcia o zgodę. Miała kaprys zrujnować handlarzy armeckańskim drewnem dębowym — zarzuciła rynek własnym, tak tanim, że bez mała rozdawanym darmo; Sey Aye mogło, przez rok albo dwa lata, dopłacać do czegokolwiek, byle pozbyć się konkurencji. Teraz, w ciągu jednej zimy, głowy kilkunastu znanych rodów dowiedziały się, od kogo właściwie zależy ich byt i dobrobyt. Anessa potrafiła zarówno przedrzeć na pół podpisany akt dzierżawny ze słowami: „Tutaj jest klauzula, że mogę wymówić ci dzierżawę bez podania przyczyn, wasza godność”, jak i położyć na stole plik rewersów. „To są twoje, wykupione przez Sey Aye, długi, wasza godność. Mam zostawić te kwity czy zabrać?”. Prośby, argumenty i próby zastraszania zbywała z największą łatwością. Właściciele Dobrego Znak zbudowali w Szererze nie tyle handlową potęgę, co wręcz gospodarcze imperium. Pierwsza Perła księcia Lewina, a później księżnej Ezeny, mająca wszelkie pełnomocnictwa, bez trudu skaptowała dla Enewena istną armię zauszników. Żaden z tych ludzi, popierających zbrojnie, albo w inny sposób, Stronnictwo Ahe Vanadeyone, nie miał jeszcze pojęcia, że wikła się nie w jakąś — niebywałą, co prawda — waśń rodową, lecz w wojnę z Wiecznym Cesarstwem. Polityczne plany księżnej i jej pierwszego rycerza wciąż były dla wszystkich tajemnicą. Ale zarówno Anessa, jak i Ezena, a na końcu sam Enewen, wiedzieli, że kiedy stanie się jasne, o co toczy się gra, nikt już nie będzie mógł się z niej wycofać. Wojna rozkręcała się powoli, ale nieubłaganie, wciągając w swoje tryby wszystko i wszystkich. Zbrojny zajazd spotkał się z odwetem, zginęli

pierwsi ojcowie i synowie Domów. Odpowiedzią na odwet była kolejna wyprawa... Po spustoszeniu czwartej części Dartanu nikt już nie uczestniczył w wojnie tylko z powodu rewersów Anessy. Zmartwychwstałe po wiekach urazy wybuchały z nową siłą; pojawiły się nowe powody do niechęci i nienawiści. Księżę Lewin wiedział, że dartańskie demony, raz rozbudzone, już nie zasną. Umiała to pojąć także jego wytęskniona królowa... Zaś wyborne narzędzia, jakie pozostawił jej w spadku, używane były zgodnie z przeznaczeniem.

Najpiękniejsze narzędzie Sey Aye wróciło z dartańskich podróży rozkapryszone i zepsute bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. W bagażach wiozło sto kosztownych podarków dla swej pani i drugie tyle własnych „łupów wojennych”. Błyskotliwa, urodziwa, pewna siebie najdroższa Perła Szereru przywiozła do Puszczy Bukowej wspomnienie uczt, tańców, polowań i magnackich sypialni. Upojona władzą, znaczeniem, powodzeniem u mężczyzn noszących najświetniejsze rodowe monogramy, Anessa stawiała się przed księżną Ezeną — i zmieniała w wystraszone zwierzątko, które trzeba było ośmielić, nim rzuciło się na szyję swojej pani. Księżna pokazała tylko tyle, że o żadnych złych rzeczach nie pamięta i czeka na przyjaciółkę. Zyskała więcej, bo siostrę. Przyjęty nie mylił się, dowodząc, że jej wysokość nie musi szukać w Anessie Seili. Piękna niewolnica miała w pogardzie cały świat, wszystkich dartańskich magnatów i rycerzy razem wziętych, ale gotowa była oddać życie za swoją starszą siostrę, przyjaciółkę i panią. Była Anesą, o jakiej kiedyś marzyła Ezena.

Ale tylko dla niej. Poza tym była nieznośnym potworem, którego wszyscy mieli czasem ochotę wypędzić z pałacu, z Dobrego Znak, a najlepiej w ogóle z Szereru.

Chociaż... Oprócz księżnej chodziła po pałacu jeszcze jedna osoba, mająca nad Anesą pewną władzę. Pierwsza Perła, zazdrosna o względy, jakimi u Ezeny cieszyła się Hayna, trochę jednak obawiała się gwardzistki z armektańskiej hodowli. Pod nieobecność Anessy Hayna zaprowadziła w domu bardzo szczególny rygor. Każdy znał tam swoje miejsce. Wiecznie rozgadana, uśmiechnięta Hayna od paru miesięcy wiedziała już jednak, kim jest i do czego się przydaje. Bardzo szybko doszło do pierwszego starcia i Czarna Perła usadziła piękną blondynkę. „Nie zadzieraj ze mną” — ostrzegła. — „Rządzisz tu wszystkim, no to

bardzo dobrze. Ale jeżeli ja postanowię, że coś trzeba zrobić, albo czegoś zaniechać ze względu na bezpieczeństwo Ezeny, to zejdź mi z drogi, bo przytrafi ci się w lesie wypadek. Mógł przytrafić się Denettowi, to na pewno może i tobie”. Anessa nie znała takiej Hayny. I zupełnie nie wiedziała co z tym zrobić. W końcu zrobiła rzecz najlepszą: wieczorem poszła do komnat gwardzistki, nawrzeszczała na nią, złapała za kasztanowe kudły i wydarła trochę, dostała okropne lanie, powiedziała, co jej leży na sercu, poryczyły się obie — wreszcie wlażyły z Hayną do łóżka, gdzie objadały się słodyczami i gadały do samego świtu, aż zasnęły.

Obie bardzo kochały Ezenę.

Raczej jednak schodziły sobie z drogi, niż szukały swojego towarzystwa. Nikt właściwie w Sey Aye nie wiedział, że Anessa i Hayna się przyjaźnią. I to bardzo pięknie się przyjaźnią — uczciwie, rzetelnie, po męsku.

*

Zima wróciła nie wiadomo kiedy. Gotah, który jak zwykle wstał dosyć wcześnie, ujrzał za oknem dziwnie szarą ciemność przedświt. Szarą, a nawet jasnoszarą... Wszędzie leżał śnieg, a drobne iskierki wciąż prószyły z nieba. W komnacie było straszliwie zimno — ogrzanie wielkiego pałacu stanowiło sztukę nie lada. Zimą ciepło było tylko w kilku pokojach księżnej; istniał tam zdumiewająco sprawny system grzewczy, którego działanie zaimponowało Przyjętemu — widywał dotąd rozmaite rozwiązania, ale to było bez wątpienia najlepsze. W podziemnej części pałacu trzymano w wielkiej sali mnóstwo rozgrzanych kamieni, z których ciepło rozchodziło się przez kanały w ścianach i posadzkach. W komnatach jej wysokości żelazne pokrywy zamykały wyloty tych kanałów; owe pokrywy — niektóre, albo wszystkie, zależnie od potrzeby — można było zastąpić gęstymi kratami. Księżna nie marzła w swej sypialni, jadalni ani dziennych pokojach.

Ale marzli, niestety, wszyscy poza nią. Z jakichś przyczyn budowniczowie domu nie rozciągnęli sieci owych kanałów na pokoje gościnne, komnaty wyższych rangą dworzan, o izbach dla służby nawet nie wspominając. Zimą duże pomieszczenia ogrzewano, pałac suto w kominkach, do małych zaś przynoszono żelazne kosze wypełnione gorącymi kamieniami. Nie było to wygodne, piękne ani zbyt skuteczne.

Nawet w niewielkich izbach całe ciepło uciekało pod niedosiężne, po dartańsku zaiste odległe od podłogi, sufity. Gotah-Przyjęty wymarzył zimą jak pies. Zanosiło się, że będzie marzył znowu.

Wylazł z łóżka i wlaźł z powrotem. To nie mieściło się w głowie. Jedna zimowa noc, po kilku tygodniach wiosny, wysała z komnaty całe ciepło. Wielkie okno dartańskie, niewątpliwie imponujące, nawet dla lekkiego przymrozku stanowiło słabą przeszkodę. Gotah z zalem pomyślał o młodych liściach na drzewach, ścinanych paskudnym zimnem.

Kesa pojawiła się jak zwykle o świcie. Lubiła wstawać wcześniej, tak samo jak Przyjęty. Miała na sobie szaro-białą suknię podbitą miękkim futerkiem — zimowy strój domowy, który jeszcze późną jesienią bardzo przypadł Gotahowi do gustu. Niosła kubek roztaczający wspaniałą woń grzanego wina z korzeniami, a na niewielkim półmisku lekki poranny posiłek: pięknie przybrane udko i skrzydełko pieczonego kurczaka. W pałacowej kuchni musieli jej nienawidzić.

— To nie z twojego powodu — powiedziała, jakby odgadując myśli Przyjętego. — Przecież wiesz, że zawsze jadam o tej porze. Są przyzwyczajeni. Po prostu posłałam po drugą porcję dla ciebie.

Ruszyła ku drzwiom.

— Już idziesz?

— Nie... Czekaaj.

Za drzwiami najwidoczniej stał niewolnik. Odebrała coś odeń. Ukazała się zaraz, niosąc dwa olbrzymie tomiska. Położyła je na stole.

— Przeczytałam.

— Mój list też?

— Też.

Przed miesiącem do Gotaha dotarła bardzo niezwykła przesyłka. Grombelardzka wicekrólowa, jedyna cesarska córka, prosiła Przyjętego o ocenę bardzo niezwykłej historii, spisanej na jej żądanie. Była to opowieść o losach legendarnej grombelardzkiej Łowczyni, nieżyjącej już przyjaciółki księżnej Wereny. Gotah także znał tę kobietę.

— I co myślisz? — zapytał.

Przysiadła na brzegu łóżka.

— O liście czy o tych księgach?

— Najpierw o liście.

— Wyrzucić zakończenie — powiedziała — bo jej wysokość Księżna Przedstawicielka Cesarza nie zrozumie z tego ani słowa. Z listu, który przysłała razem z tymi księgami, wynika, że księżna Werena nic nie wie o Szerni. I chyba nie chce wiedzieć. Skróć ten list, napisz tylko o tym, co dotyczy Łowczyni.

— Może i tak. — Zastanowił się. — A historia spisana w tych księgach?

— Piękna i niezwykła. To aż nie do wiary, że jej wysokość nie bała się posłać tych ksiąg przez pół świata. Wprawdzie pisze, że ma jeszcze jeden egzemplarz tego dzieła... Piękna i niezwykła historia — powtórzyła. — No, może za wyjątkiem tego, co dotyczy Dartanu. — Uśmiechnęła się lekko. — To raczej opowieść o tym, jak armeckański kronikarz, piszący o grombelardzkiej rozbójniczce, wyobraża sobie Dartan. Dom A. B. D. w Rollaynie jest jednym z najważniejszych, a jego godność Baylaya nawet kiedyś widziałam.

— O, naprawdę? — ożywił się Gotah.

— Nie całe życie spędziłam w Sey Aye — przypomniała. — Mój pierwszy pan... Bo z drugim nigdzie nie bywałam. Jedyne, co miał dla mnie, to kuksańce.

Posmutniała.

— Szkoda mówić. Ale jego godność A. B. D. Baylay nie mógł wygadywać takich bzdur, a już na pewno przed nikim nie płakał... Skąd biorą się takie historie?

Wzruszył ramionami.

— Armeckańscy dawno temu wygrali wojnę z Dartanem. Niedołęstwo dartańskich dowódców, a także samowola i niekarność rycerstwa obrosły z czasem legendą. Przeniesiono tę legendę na wszystkich dartańskich rycerzy, a może zgoła na wszystkich Dartańczyków. Jak Szerer długi i szeroki, powtarzana jest obiegowa bzdura, że Dartańczyk to tchórz, potrafiący co najwyżej bawić się mieczem w śmiesznym turnieju na arenie. Rollayna trochę potwierdza ten pogląd, nieprawdaż? Jeśli gdzieś naprawdę zanikły rycerskie tradycje, to w stolicy.

— Ale nie zanikła rodowa duma — zauważyła Perła. — Jego godność Baylay na pewno nie rozpłakał się przed nikim. A ponadto, nawet jeśli naprawdę pobierał od kogoś lekcje walki mieczem, to raczej

doskonalił swe umiejętności, niż uczył się wszystkiego od początku. Chociaż, z drugiej strony, to zupełnie oczywiste, że nie nosi broni w swoim domu. Dlaczego miałby stale potykać się o miecz? Pomyliłeś się — zmieniła temat, pokazując prawie ukończony list. — W nagłówku tytułujesz jej książeczkę wysokość Przedstawicielką Cesarza w Grombie.

— Naprawdę? Zmienię to, jeżeli nie zapomnę — powiedział rozbawiony. — Dla mnie księżna Werena zawsze siedzi w Grombie i zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, że stolica jest teraz w Londzie.

Gorące wino rozgrzało wnętrzości. Gotah pokochał zmartwychwstałą zimę, wygodne łóżko, Kesę i pachnące skrzydełko kurczaka.

— Nie ma mowy, żebym się stąd zabrał — powiedział z zamkniętymi oczami, na leżąc kończąc posiłek. — Będę tu mieszkał do końca życia, spał i jadł. Porozmawiam z księżną Ezeną. Może też potrzebuje nadwornego kronikarza? Wprowadź jednego już ma. Ale ja potrafię bardzo pięknie pisać... kiedy mi zależy.

Zjadł i wypił. Kesa odstawiła kubek i półmisek. Gotah wylegiwał się pod ciepłym przykryciem. Popatrzył na śnieg za oknem i na milczącą Kesę.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic... Po prostu przez chwilę pomyślałam, że naprawdę mógłbyś tu zostać.

Zajrzał jej w twarz, ale nie odpowiedziała spojrzeniem. Siedziała na brzegu posłania, spoglądając na splecione na kolanach dłonie.

— Jestem, kim jestem — rzekł. — Niestety. Tu nie jest moje miejsce. Kim mógłbym być tutaj? Naprawdę kronikarzem?

— Przecież wiem.

Usiadł nagle i uczynił coś, co dawno uczynić pragnął, ale nigdy nie miał śmiałości: objął kobietę w pól, przyciągnął do siebie i nim zdążyła zaprotestować, delikatnie pocałował w usta. Nie umiał tego robić, ale chyba zrobił dobrze... Dawno zapomniane, młodzieńcze doświadczenia nie były żadną pomocą; niestary jeszcze, ale jednak więcej niż dojrzały mężczyzna, chciał podzielić się z piękną, onieśmielającą go kobietą wszystkim, co czuł — i nie umiał. Był niezręczny i nieporadny...

Obroniła się bez wysiłku.

— Nie — powiedziała. — Przebac mi... ale nie.

— Jesteś piękna — powiedział cicho. — I wiesz, że nie tylko to. Jesteś dla mnie... Z kim mogę rozmawiać o takich rzeczach, jak z tobą?

— Nie jestem piękna — powiedziała z goryczą, wstając. — Widzisz tylko suknię... Urodziłam dziecko, przecież wiesz. Widzisz tylko to, co warto zobaczyć. Nigdy nie rozbioreę się przed tobą. Przed każdym, ale nie przed tobą.

Gotah znał historię zaniedbanej, nikomu niepotrzebnej niewolnicy, która wbrew rozsądkowi uwierzyła kiedyś, że pozwolą jej zachować urodzone dziecko. Pozwolą zatrzymać przy sobie głupią, małą istotkę, która będzie kochała swoją mamę tylko za to, że jest.

— Ale... jakie to nieważne! — powiedział z najgłębszą szczerością. — Keso, to niemożliwe, żebyś naprawdę myślała w taki sposób. Powiedz, czy... przeszkadza ci moja twarz?

Zaczerpnęła tchu i przymknęła na chwilę oczy, a potem powiedziała ze swoją zwykłą, spokojną stanowczością:

— Nie znęcaj się nade mną, wasza godność. To niepotrzebne, bo sporo wiem o życiu. Przyślę kogoś, kto przyniesie ci ciepłe odzienie. Gdybyś potrzebował czegoś jeszcze, daj mi znać.

— Keso — powiedział.

Uśmiechnęła się po swojemu i wyszła.

Gotah ciężko legł na plecach, podkładając ręce pod głowę.

Długo, długo leżał, ze spojrzeniem utkwionym w suficie.

— „Gdybym jeszcze czegoś potrzebował” — rzekł na koniec do siebie ponuro. — Pomyślmy... Trzydzieści kijów? Jazda stąd. Najwyższy czas wracać do domu.

Zamknął oczy. Zamierzał spać do wieczora. A potem od wieczora do rana.

*

Przysłane przez Yokesa z obozu nad rzeką listy zapowiadały koniec beczynności. Komendant wojsk Sey Aye donosił o wojennych przygotowaniach w Armekcie, zdawał też raport z własnych przygotowań. Były najświeższe wieści o poczynaniach Ahe Vanadeyone: mijał właśnie termin ostatniego rozejmu i Enewen pociągnął pod Senelette, gdzie spodziewał się znaleźć resztki wojsk Stronnictwa Asenavene. Sprawiedliwi zostali sami; trzecie i najmniejsze stronnictwo, Bractwo Sławy i Chwały, próbujące dotąd lawirować między silniejszymi

antagonistami, ociągało się zbyt długo i straciło swą szansę. Przymierze ze Sprawiedliwymi oznaczało już tylko udział w nieuchronnej klęsce, Rycerze Królowej zaś odwrotnie — stali się zbyt silni, by Bractwo mogło im dyktować jakiegokolwiek warunki. Enewen wszystko, co musiał zrobić, to uprzejmie przyjąć posłów z ofertą przymierza oraz ich zapewnienie o całkowitym oddaniu sprawie jego Domu. Yokes pisał o tym z cierpkim uznaniem, bo stosunki z K.B.I.Enewenem, krótko mówiąc, miał dość napięte. Enewen poczuł się jedynym spadkobiercą tradycji rycerzy Dobrego Znaku i ani myślał iść pod komendę prostego rycerza-najemnika, choćby nawet sławnego. W zakończeniu listu Yokes potwierdzał, że po Dartanie krążą już ostrożnie rozpuszczane pogłoski i plotki o powrocie królowej. Odzew był bardzo różny: od niewiary w legendy po domniemania wojskowej intrygi, ale w bardziej wyrobionych politycznie kręgach niemal otwarcie już pytano, kto ma apetyt na tron w Rollaynie, kto jest tego godzien, przede wszystkim zaś: co na to Kirlan i co można zyskać, a co stracić, popierając nowego władcę lub władczynię. Drugi list zawierał instrukcje dla komendantów szkoleniowych w obozach jazdy i piechoty. Ezena przeczytała list trzy razy, pokazała Perłom i komendantowi gwardii pałacowej, po czym zarządziła wojenną naradę po południu dnia następnego. Yokes wprawdzie miał pojawić się w Sey Aye dopiero za tydzień, ale właśnie dlatego księżna chciała przygotować się na jego przybycie. Niektórych spraw nie rozumiała. Z Yokesem chciała snuć plany wojenne, nie zaś prosić go o wyjaśnienia.

— Ohegened — powiedziała, gdy wszyscy zasiedli przy stole w wielkiej sali biesiadnej (pozostało zagadką, dlaczego wybrała właśnie tę komnatę, bodaj najzimniejszą ze wszystkich) — jesteś tu jedynym wojskowym, więc to ty odpowiesz na większość moich pytań. Nie zapadną tu żadne doniosłe decyzje, bo bez Yokesa jest to niemożliwe. Chcę tylko omówić jego list. Myślę, że nawet Hayna, która zna się na wojnie i wojsku, nie wszystko potrafi zrozumieć, bo nie służyła nigdy w imperialnych legiach i wie raczej, jak powinno tam być, niż jak jest w rzeczywistości. Czy mam rację, Hayno?

— Tak, wasza wysokość. Nie mam żadnego wojskowego doświadczenia.

— A my nie mamy nawet wojskowej wiedzy. Ohegened, co właściwie dzieje się w Armekcie i Dartanie? Pomiń rzeczy oczywiste,

takie jak ściąganie legionów z północy, bo wiem, co to znaczy i do czego służy. Ale Legia Dartańska? Dlaczego te wojska są wyprowadzane z Dartanu? Z obawy przed ich utratą?

— Tak i nie, wasza wysokość. Ze wszystkich doniesień wynika, że w Kirlanie, jeśli nawet domyślają się powiązań jego godności Enewena z Puszczą Bukową, to nie jest jasne, co naprawdę jego stronnictwo chce osiągnąć. Może w zamian za określone korzyści niektóre Domy K.B.I. zbrojnie poparły twoje prawa do Sey Aye, występując przeciwko tym, którzy te prawa podawali w wątpliwość? Może to naprawdę jest tylko wewnętrzny konflikt najpotężniejszego dartańskiego rodu?

— To polityka, nie wojskowość — powiedziała księżna. — Na ten temat, komendancie, wiem dużo więcej od ciebie.

— Ale wojny — powiedziała Hayna, spiesząc z odsieczą swemu podkomendnemu — ku ubolewaniu żołnierzy, wasza wysokość, są tylko narzędziem polityki. Przecież to właśnie z tego, co powiedział Ohegened, wynika cała strategia Kirlanu. W Armeckie nie wiedzą, co właściwie dzieje się w Dartanie. Dowiedzą się, gdy Legia Dartańska zostanie zmieciona przez Rycerzy Królowej. Ale wtedy będzie za późno. Wojskowi w Kirlanie rozumują tak: „Jeśli już trzeba stracić tych żołnierzy, to niech przynajmniej nastąpi to teraz. Dowiemy się, kto wystąpi przeciw cesarstwu i czy w ogóle ktoś wystąpi”. To rozpoznanie bojem, wasza wysokość. Prawda, komendancie? Wołają do nas: „Skupiamy nasze wojska, jeśli chcecie je pobić bez strat własnych, to macie ostatnią okazję!”. Legia Dartańska ma sprawdzić, czy nikomu nie przeszkadza zebranie jej w bezpiecznym miejscu w jedną armię, a jeżeli przeszkadza, to komu.

— Enewen nie uderzy na legię. Nie jesteśmy jeszcze gotowi do wypowiedzenia wojny cesarstwu. Legia Dartańska ucieknie do Armektu, bo będziemy gotowi dopiero za tydzień lub nawet dwa tygodnie.

— I tego właśnie cesarstwo się dowie — rzekł Ohegened. — Że nikt nie chce wydać Kirlanowi wojny, a nawet jeśli Rycerzom Królowej marzy się taka wojna, to jeszcze nie są gotowi. Armeктаńscy dowódcy już wiedzą, że zyskali trochę czasu, nawet jeśli wydarzenia w Dartanie to coś więcej niż waśń rodowa.

— Wypuszczamy z Dartanu parę tysięcy żołnierzy, którzy wkrótce staną przeciw nam — powiedziała Ezena.

— Wątpię, wasza wysokość. W Armeckie nie mają pieniędzy na dobrojenie i wyposażenie żołnierzy prawdziwych, zabiorą więc raczej Dartańczykom konie i całą broń. Komendant Yokes też tak uważa, a wie więcej od nas, bo to do niego spływają raporty wszystkich wojskowych wywiadowców. Legia Dartańska to w rzeczywistości tłum miejskich pachółków, nikt nie pośle tego do boju. Nawet gdyby Armekt miał takie środki, jak Sey Aye, użyto by tych wojaków najwyżej do służby pomocniczej. O, i z czymś takim może warto się liczyć. Że Dartańczycy zluzują kilka kadrowych garnizonów miejskich. Możliwe też, że Gwardia Dartańska wesprze jakiś legion armeckański. Ale Gwardia Dartańska jest już w Armeckie od dawna.

— Komendant Yokes pisze, że w Armeckie nadchodząca wojna wywołała wielkie poruszenie. Podobno skarb cesarstwa jest coraz hojniej wspomagany przez prywatnych darczyńców.

Anessa i Hayna wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Księżna nie przeoczyła tego. Chciała zapytać, co knują (Hayna i Anessa? razem? coś knuły?...), ale Hayna sama poprosiła o głos.

— Wydatki na wojsko, wasza wysokość, nie dadzą się porównać z niczym innym. Armie to najbardziej kosztowne zabawki, jakie wymyślił świat, na dodatek bardzo nietrwałe. Prywatni darczyńcy, obojętnie jak liczni, nie zastąpią długotrwałej polityki finansowej państwa. Jeśli przez całe dziesięciolecia zaniedbuje się wojsko, to żadne datki nie zmienią jego wartości z dnia na dzień. Wystawi się za to dodatkowy legion, wyposaży i uzbroi dwa inne. I oby aż tyle! Ofiarność armeckańskiej ludności bardzo podniesie żołnierzy na duchu, to może jest największy zysk. Ale to broń obosieczna. Bo jeśli ta ofiarność nie przyniesie żadnego skutku, to może dojść do załamania nastrojów. Wszystko na próżno, wszystko na nic... Prawda, wasza wysokość?

Ezena z trudem przypomniła sobie, że ktoś kiedyś jej mówił (Anessa? może Yokes?), że Hayna doskonale orientuje się w zagadnieniach finansowych... Ale przywykła już traktować swoją Czarną Perłę jako śliczną komendantkę przybocznych niewolnic, mającą na głowie najwyżej takie problemy, jak gęstość oczek posrebrzanej kolczugi...

— Wasza wysokość — powiedziała Anessa — zaprosiliśmy z Hayną na naradę dwóch bardzo wyjątkowych dowódców... Czekają pod

drzwiami. Prawdę mówiąc, już od kilku dni wiemy, że ci dwaj mogą rozpocząć kampanię. Gdyby dzisiaj nie było tej narady, same byśmy o nią poprosiły. Czas ucieka i jeśli ta kampania ma zakończyć się pełnym zwycięstwem, to trzeba ją rozpocząć już jutro.

Księżna wymieniła zaskoczone spojrzenia z Kesą i Ohegenedem.

— Dwaj dowódcy? O jaką kampanię chodzi?

— Czy wasza wysokość rozkaże ich wezwać?

— Tak, niech wejdą.

Hayna klasnęła w dłonie. Stojący hen, daleko, przy samych drzwiach halabardnik, usłyszał to klaśnięcie i zobaczył gest dowódczyni. Otworzył drzwi, wyszedł i zaraz wrócił, wprowadzając dwóch mężczyzn. Uczestnicy narady, siedzący u szczytu podkowy utworzonej przez biesiadne stoły, patrzyli, jak się zbliżają. Byli to skarbnik i główny intendent Sey Aye.

— Wiem już, że musimy zachować dość pieniędzy na opłacenie żołnierzy i trochę na zapas — powiedziała księżna, spoglądając na Haynę i Anesę. — Wiem, że mogą być kłopoty ze ściąganiem niektórych należności... Po co ci dwaj tutaj?

Jej wysokość nie znosiła spraw finansowych i handlowych. Potrafiła dodać dwa do dwóch — na tym jej rozumienie matematyki się kończyło. A gdy chodziło o handel, potrafiłaby odkupić drogo to, co przed chwilą tanio sprzedała.

Wszyscy oprócz księżnej siedzieli tyłem do drzwi, chcąc więc rozmawiać z wezwanymi „dowódcami” musieli usiąść bokiem. Skarbnik i intendent, wiecznie zakopani w swych rachunkach, nie umieli nawet po ludzku zażartować przy stole, gdy spotykało ich zwyczajowe wyróżnienie, jakim było towarzyszenie jej wysokości przy posiłku. Teraz postawiono ich przed księżną, surowym dowódcą gwardii pałacowej i trzema pięknymi Perłami, z których jedna, ta najstraszniejsza, była ich faktyczną przełożoną, mającą decydujący głos we wszystkich sprawach związanych z handlem i finansami Sey Aye.

— Wasza wysokość — powiedziała Anessa — na twoje polecenie od kilku miesięcy wszystkie rozliczenia Sey Aye prowadzone są wyłącznie w srebrze.

— Na moje polecenie?

Pierwsza Perła miała ochotę kopnąć swą panią i przyjaciółkę w

kostkę.

— A! No, może... — Ezena z najwyższym trudem przypomniała sobie, że w samej rzeczy pytano ją kiedyś o to. — Tak, pamiętam. I co?

Jakie to miało znaczenie, w srebrze czy w złocie?

— Takie rozliczenia są bardzo niewygodne, większe sumy przekazuje się w złocie, wasza książęca wysokość rozumie — powiedział skarbnik, zachęcony gestem przez Perłę. — Sey Aye zezwalało więc regulować należności na bardzo korzystnych warunkach, ratałnie, przez co wpływy były częste, ale kwoty mniejsze, jednak przekazywanie takich kwot w srebrze nie zwracało, wasza książęca wysokość rozumie, nie zwracało uwagi...

— W srebrze — ucięła Anessa, bo Ezena miała pustkę w oczach.

— W srebrze — potwierdził skarbnik. — Cała gotówka Sey Aye ulokowana jest w srebrze, wasza książęca wysokość rozumie. Bardzo znaczna gotówka, bo w czasie wojny nikt nie ufa obligacjom i weksłom, żądamy więc od dawna płatności w żywej gotówce, wasza książęca wysokość rozumie.

Ezena rozumiała tylko tyle, że nie może pokazać się swoim urzędnikom jako kompletny gamoń. Lecz przysięgła sobie, że wywrze pomstę na Haynie i Anessie.

— Doskonale rozumiem — powiedziała.

— Mamy przygotowaną pewną ilość złotych monet, wasza wysokość, o obniżonej zawartości kruszcu. Znacznie obniżonej... To po prostu fałszywe pieniądze, pozornie nie różniące się niczym od tych, które biją imperialne mennice.

Ezena zobaczyła błysk w oczach Kesy, kiedy ta zwróciła się na chwilę ku Haynie. Kesa już wiedziała, o co chodzi... i była gotowa chyba zemdleć z wrażenia.

— Wasza wysokość... — powiedziała, unosząc ręce i zaraz opuszczając je znowu. — One wygrają ci tę wojnę! One i ci dwaj! Wasza godność, proszę szybko mówić! — zwróciła się do intendenta, zupełnie zapominając, że przy stole siedzi ktoś ważniejszy od Perły Domu. — Nasze przedstawicielstwa...?

— W każdej chwili, wasza wysokość — intendent przytomnie zwrócił się do Ezeny, nie do jej niewolnicy — w każdej chwili możemy wprowadzić tę monetę do obiegu. Mamy znakomite połączenia

kurierskie ze wszystkimi przedstawicielstwami handlowymi, tylko dotarcie na Garrę to... hm, spory kłopot. Ale na kontynencie... W ciągu tygodnia, wasza wysokość, możemy wprowadzić te pieniądze do obiegu. I rozpowszechnić wiadomość, że w obiegu jest złoto o bardzo niskiej próbie.

— I jakie... jakie przewidujecie skutki tego? — Ezena stawała na głowie, by nie zdradzić bezmiarów swej niewiedzy.

Efekt był marny. Dwaj nowi „dowódcy” wymienili — niemal otwarcie zgorszone — spojrzenia.

— No... wasza książęca wysokość rozumie... Spadek kursu złota względem kursu srebra. Srebro, wasza wysokość... będzie na wagę złota! — rzekł skarbnik, uszczęśliwiony, że ułożył tak znakomity żart. — Oczywiście nie będzie, nie może być na wagę złota — zastrzegł zaraz, z właściwą swemu fachowi skrupulatnością. — Ale zysk na wymianie szacujemy... — porozumiał się wzrokiem z intendentem, Hayną i Anessą — nawet na osiem, dziewięć od stu, wasza książęca wysokość rozumie.

Ezena rzeczywiście zaczynała coś tam mgliście rozumieć, lecz zarazem jej cierpliwość dobiegała kresu. Anessa, znająca księżną lepiej niż ktokolwiek inny, zauważyła, co się święci.

— Wasza wysokość — powiedziała szybko — Kirlan zaciąga wielkie pożyczki, sprzedaje, co tylko można, a prawie wszystkie płatności są rozliczane w złocie. Gdy w Szererze stanie się jasne, że w obiegu jest moneta o niskiej zawartości kruszcu (a stanie się jasne bardzo szybko, bo dołożymy starań, żeby stało się jasne, przedstawicielstwa handlowe mamy prawie wszędzie), spowoduje to spadek zaufania do złota. Za to srebro zyska na wartości. Zamieszanie nie potrwa długo, bo fałszywą monetę dość łatwo można rozpoznać. I o to właśnie chodzi. Gdy wyjdzie na jaw, że w obiegu jest bardzo mało fałszywych pieniędzy, złoto zacznie odzyskiwać swą pozycję, a odzyskać musi, bo przecież będziemy je kupować, i to szybko, po najniższej cenie. Ale Kirlan nie ma czasu i nie może czekać, aż kurs złota względem srebra wróci do równowagi. Wymieni całe złoto na srebro po kursie, który narzuci ktoś inny, ktoś, kto może poczekać... Te dobrowolne darowizny na wojsko, z których tak się cieszą w Armekcie, nawet nie pokryją strat wywołanych naszym posunięciem.

— Ale to nie wszystko — powiedziała Hayna. — Już wiadomo, że

imperialne dobra w Dartanie nie są wystawiane na sprzedaż tylko dlatego, że nikt nie da za te ziemie przyzwoitej ceny. Lecz może dać ją Sey Aye. Przyzwoitą cenę, co nie znaczy wysoką... Oczywiście Sey Aye nie może wprost zgłosić oferty. Kupimy te dobra albo wydzierzawimy, przez podstawione Domy dartańskie. Mamy licznych dłużników, także wielu nie wplątanych jeszcze w wojnę. Uradują się, jeśli tylko odroczy my spłacanie odsetek w zamian za przedłożenie Kirlanowi ofert handlowych. Nikt nie będzie sprawdzał tych ofert, bo w Armekcie nie mają na to czasu. Za bezcen kupimy ziemie, płacąc naszym srebrem, a Kirlan zgodzi się na prawie każde warunki, bo rozpaczliwie będzie srebra potrzebował. Tak, wasza wysokość? To wszystko wymaga szybkości i bardzo zdecydowanych działań, a przede wszystkim utrzymania pełnej tajemnicy. Anessa twierdzi, że nasze przedstawicielstwa handlowe, a zwłaszcza sztafety kurierskie, podołają zadaniu. Te nabyte od cesarstwa majątki już wkrótce będą dobrami królewskimi, które zechcesz obiecywać i rozdawać według uznania, księżno. To nie są jakieś ziemie za morzem, to ziemie leżące po sąsiedzku z majątkami wielu Domów magnackich i rycerskich. Bardzo łakomy kąsek.

— Mam płacić za ziemie, które jutro zdobędę? — w Ezenie odezwało się skapstwo.

— O, wasza wysokość, to na razie jest skóra na niedźwiedziu! — powiedziała uśmiechnięta Hayna. — A pewna jesteś, że to ty je zdobędziesz? A jeśli zdobędą je rycerze Enewena? Zacznesz panowanie od wywłaszczania swoich nowych poddanych ze zdobytych na wojnie gruntów? I daleko chcesz zajechać w ten sposób?

Księżna popatrzyła na Ohegeneda. Skinął głową. Kesa nie kryła podziwu i zapału. Hayna i Anessa spoglądały wyczekująco. Skarbnik liczył już z maślanymi oczami wpływy, zyski, widział najpiękniejszy interes swego życia. Intendent w myślach spisywał nowo zyskany inwentarz, wioskowe dymy, plony... W tle tego widniał powieszony, nieszczęśliwy i własną ręką z rozpaczy wypatroszony cesarski Strażnik Skarbu. Pobojowisko, trupy wrogów... Oczywiście, ci tutaj, to byli dwaj dowódcy. Wiodący swe brzęczące zastępy do zwycięskiej bitwy.

— Hayna czy Anessa? Która z was tego dopilnuje?

Rozpromienione Perły spojrzały po sobie.

— Oczywiście Anessa — powiedziała Hayna. — Ja tylko... umiem liczyć, wasza wysokość. Nauczono mnie, do czego służą pieniądze, ale to Anessa wie, jak je zarabiamy. Jak ty je zarabiasz, wasza wysokość.

Czy to aby nie była złośliwość?...

— Dziękuję, jestem bardzo zadowolona — powiedziała księżna, spoglądając na intendenta i skarbnika.

Urzednicy pokłonili się i odeszli. Księżna mogłaby przysiąc, że niemłody skarbnik gotów podskakiwać, idąc... Namiętność, z jaką ci ludzie chcieli nurzać się w cyfrach, była aż nieprawdopodobna. Ezena rozumiała, że dzięki swym mądrym niewolnicom naprawdę może osiągnąć bardzo wiele. Ale, choć starała się z całej siły, nie bardzo umiała wykrzesać z siebie entuzjazm. Było jej... prawie żal tych nieszczęsnych Armektańczyków, których wyrzeczenia i ofiarność miały nie zdać się na nic wobec poczynań szajki oszustów z Sey Aye.

Ale jednak obie Perły zasłużyły na nagrodę. Wspierały ją, jak tylko potrafiły. Nawet gdy tego nie żądała.

— Dobrze, że was mam — powiedziała poważnie. — W ogóle nie znam się na finansach... i wszyscy tutaj to wiedzą — dorzuciła z uśmiechem. — Zdaje się jednak, że od dzisiaj wiedzą o tym także skarbnik i intendent. Dopilnuj ich!

Anessa puściła do niej oko.

— Nie rozumiem tylko — zapytała jeszcze Ezena — dlaczego nikt inny nie posłużył się takim... taką bronią? W Kirlanie mają chyba dobrych rachmistrzów?

— To zabawa dla bogaczy, wasza wysokość — rzekła Hayna. — Kirlan nie przetopi ostatniego tysiąca sztuk złota na dwa tysiące fałszywych. A zresztą po co? Bankrutem jest skarb państwa i na razie nikt inny w Szererze. Nikt nie musi panicznie wyprzedawać swego złota. To Kirlan robi teraz największe zakupy w Szererze i tylko Kirlan nie może odłożyć tych zakupów na później. Tylko cesarz musi z dnia na dzień kupić sobie wojsko i tylko on naprawdę, ale to naprawdę, nie może ryzykować podejrzeń, że płaci fałszywymi pieniędzmi. Pytanie, czy nie będzie zmuszony do skupywania z rynku naszych monet... Rozgrywasz grę dla bogaczy, wasza wysokość — powtórzyła ze śmiechem. — Dla bogaczy, a i to nie wszystkich.

Enewen nienawidził brata, który zabił mu syna. Pałac wioski, łupiąc dobra Sprawiedliwych, wytrwale dążył do spotkania z wodzem wrogiego stronnictwa. Miecz Denetta woził zamiast swojego. Rozpoczynane i zrywane rokowania należały do rycerskiej tradycji, ale nie miały znaczenia. Na końcu tych rokowań mogła być tylko krew morderców. Teraz, pod Vemoną, miało dojść do tej walki. Rycerskiej, ale bez jeńców, bez wykupu. Do walki na śmierć i życie.

Enewen nienawidził starszych braci, lecz pod murami Vemony znalazł w okrytej żelazem piersi miejsce dla uznania i szacunku. Szacunku dla wojowników, bo nie dla morderców... Skryta w cieniu niedalekiej Senelety Vemona, jedyna wyspa w morzu zdobycy Ahe Vanadeyone, od początku wojny dostarczała Sprawiedliwym wszelkich materiałów wojennych, a nawet zbrojnych knechtów. Małe bogate miasto, które K.B.I.Ones uznawał za stolicę swego Domu, które niejednokrotnie korzystało ze szczodrości swego pana i właściciela, pozostało mu wierne. Teraz, gdy wojna dobiegała kresu, bezbronne miasto nie mogło liczyć na żadne względy wodza zwycięskiego stronnictwa. Nie było prawdziwych murów obronnych, za którymi mogłaby skryć się broniąca miasta załoga — przed półtorawiekem, gdy Vemona otrzymała miejskie klucze, Dartan był już częścią Wiecznego Cesarstwa i oddychał wiecznym pokojem... Przy okazałych bramach wzniesiono tylko symboliczne umocnienia, nawiązujące wyglądem do dawnych murów miejskich, lecz krótkie, urywające się nagle po kilkudziesięciu krokach. Nie opasywały miasta opiekuńczym kręgiem. Vemona nie mogła się bronić.

Lecz mimo to na drogach nie było tłumu uchodźców. Bardzo nieliczni mieszkańcy (a może tylko przybysze z innych stron Dartanu?) uciekali przez południową bramę, tworząc na widocznej ze wzniesienia drodze cienki, rwący się strumyk.

Rozległe błonia były widoczne z murów, wież bramnych i dachów najwyższych domów. Na owych wieżach i dachach skupiały się maleńkie ludzkie sylwetki. W dole nieliczne chorągwie Sprawiedliwych rozwijały się do bitwy na równinie. Jego godność K.B.I.Ones, cofający się stale, prowadzący rokowania z Wiecznym Cesarstwem i być może już wkrótce mogący liczyć na wsparcie armektańskich legionów, przyjmował beznadziejną bitwę pod murami wierne miasto. Oznaczało to koniec

Stronnictwa Asenavene. Gdyby nie podły mord, czarną plamą ciężący na sumieniach braci, Enewen czułby się dumny, stając do walki przeciw rycerzom, którzy słusznie przybrali miano Sprawiedliwych. Zniszczyłyby ich wojska, służąc swojej królowej, ale głosiłyby chwałę pokonanych.

Lecz miał przed sobą chorągwie w służbie morderców.

Sprawiedliwi stawali w płytkim, bardzo szeroko rozpostartym szyku — podwójnie bezbronni. Ustawienia „w płot” zaniechano już przed wiekami, podczas wojny armektańsko-dartańskiej, bo nie pozwalało na manewrowanie wojskami, przemieniało bitwy w złożone z setek pojedynków turnieje... Z żadnym krwi armektańskim chłopstwem, wypełniającym szeregi legionów, nie można było toczyć pięknej rycerskiej wojny. Teraz jednak Enewen nie mógł i nie chciał odrzucić ostatniej prośby mężnego — choćby nawet zbrodniczego, lecz jednak mężnego — przeciwnika. Wydał rozkazy. Gońcy galopem ruszyli ku ustawionym „w groty” chorągwiom Ahe Vanadeyone. Po niedługim czasie wyszła z szyku pierwsza, Czarnej Tęczy, potem wysunęła się druga, Wielkiej Sprawy. Kolejno szły z wysoko podniesionymi znakami: Chorągiew Nieśmiertelnej Nadziei Mężnych, Mniejsza Domu, Wilcza, Pierwsza i Czterech Domów. Rycerskie poczty stawały jeden obok drugiego, na czele kopijnicy, za nimi lżej zbrojni giermkowie i strzelcy. Długi, płytki szyk żelaznych jeźdźców, stających do walki jeden na jednego. K.B.I.Enewen nie chciał uderzyć w cienki szyk wroga wojskami zwartymi w „groty”.

Czternaście chorągwi Wskrzeszonych Rycerzy Królowej ustawiło się w trzy długie linie, przed frontem pięciu chorągwi Stronnictwa Sprawiedliwych.

Najpierw jednak rzuciły wyzwanie rogi i łopoczące sztandary. Przed szyk wysunęli się jeźdźcy, pragnący na oczach obu wojsk dać świadectwo swego męstwa i rycerskich umiejętności. Enewen dał znak otaczającym go towarzyszom, rycerzom najświetniejszych rodów. Granatowo-zielona chorągiew z powiewającymi u szczytu różowymi wstęgami popłynęła w dół łagodnego stoku, trzymana w mocnych dłoniach chorążego Domu. Lecz to nie był usztywniony gonfanon, będący znakiem wojennym Większej Chorągwi Domu, ani wielka banderia przysługująca Mniejszej. Pierwszy z Rycerzy Królowej, z własnym proporcem dowódcy, wysunął się przed szyk swego wojska, pytając braci, czy zechcą stanąć z nim do

walki w dniu ostatniej bitwy.

Z samego środka pierwszej linii osłaniających Vemonę wojsk wysunęło się kilku jeźdźców. Granatowo-zielona własna chorągiew rycerzy Domu K.B.I. popłynęła na spotkanie swej siostry.

Na równinie, gdzie łagodny stok przemieniał się w równą łąkę, trwały już pierwsze orężne starcia. Huk blach, przebitych mocnym grotem kopii, poniósł się wyraźnie i szeroko, zawtórował mu łomot okrytego żelazem ciała, walącego się z końskiego grzbietu na ziemię. Odgłosowi tego spotkania natychmiast zawtórowały następne: jeszcze jeden huk uderzającej w tarczę kopii, szcęk mieczów o blachy, głuche uderzenia rozbijających zbroje młotów. Jakiś jeździec, strąciwszy z konia przeciwnika, zeskoczył z własnego rumaka, powierzając go giermkowi, i stanął do walki pieszej, dając szansę powalonemu. Daleko, na skraju zagajnika wyznaczającego kraniec prawego skrzydła wojsk Vanadeyone, gdzie płynął niewielki strumień, strzeliła woda spod kopyt wierzchowca. Przeciwnik nadjechał z drugiej strony, składając kopię do uderzenia. Dwaj jeźdźcy pędzili korytem strumienia, jednocześnie trafili w tarcze i wylecieli z siodeł. Wierzchowce rozbiegły się na boki. Grzęznący w błocie spieszeni wojownicy, oszołomieni upadkiem, z najwyższym trudem składali się do ciosów. Wymienili ich po kilka, by wreszcie odstąpić w tył i pozdrowić się uniesionymi dłońmi. Każdy z tych mężczyzn uznał przeciwnika za równego sobie: nie lepszego, ale i nie gorszego. Zaniechali walki i poszli ku liniom towarzyszy, bo żaden nie chciał walczyć z przeciwnikiem, w którym dostrzegł samego siebie.

Pomiędzy pary i grupki walczących, na samym środku równiny, niespiesznie wjeżdżały dwa poczty, ocienione bławatami granatowo-zielonych chorągwi. Takie same barwy miały kropierze kilku koni. Wierzchowiec Enewena nosił na końskiej zbroi szatę, której barwy układały się w ukośną szachownicę. Z drugiej strony nadjeżdżali jeźdźcy mający kropierze granatowe w środku, obwiedzione zielenią.

Dębowe liście były takie same.

Poczty zatrzymały się w odległości mniej więcej dwustu kroków.

Enewen zamknął przyłbicę i pochylił kopię, blokując ją o haki przy zbroi. Jeździec stojący naprzeciwko uczynił to samo, podejmując wyzwanie. Lecz Enewen czekał na gest drugiego jeźdźcy. Człowiek ten wiedział, że pochyłona kopia stojącego naprzeciw starego

armektańskiego żołnierza, który w służbie Domu K.B.I. zdobył rycerski pierścień, jest wyzwaniem dla niego. Ranezen prosił pana K.B.I., by zechciał zmierzyć się z nim, nie bacząc na swe dostojęstwo.

Rycerz przyjął wyzwanie. Opuścił zasłonę przyłbicy i pochylił kopie. Konie ruszyły stępą.

Przez wąskie wizury nie widać było rozległego pola bitwy. Tylko jeźdźców jadących na spotkanie, skrawek łąki... Enewen widział jeszcze w oddali miasto, za które chciał umrzeć jego brat.

Konie poszły kłusem.

Ranezen, syn armektańskiego rzemieślnika, którego w Armekcie uznano za godnego oficerskiej tuniki, a w Dartanie rycerskiego pierścienia, osiągnął w życiu wszystko, o czym marzył, stracił zaś tylko jedno: sens istnienia. Pokochał kiedyś młodego chłopca, któremu opowiadał o Równinach, wiecznej wojnie na północy i wyrokach Niepojętej Arilory; opowiadał o równości wszystkich ludzi, którzy sięgnęli po miecz. Wierzchowce przeszły do galopu.

K.B.I.Ones, z młodszym o dwa lata Kenesem u boku, pędził na spotkanie wielkiego wojownika i wodza, którego nigdy nie uważał za brata, ale mógłby szanować, cenić, a nawet ofiarować mu przyjaźń. Nie umiał jednak pogodzić się z fałszywym świadectwem macochyladaczniczki, która omotała jego schorowanego ojca, potem zaś imionami przodków rodu wycierała podłogi w niezliczonych dartańskich sypialniach.

Jego godność K.B.I.Kenes, dziedzic imienia wielkiego rycerza sprzed wieków, z pochyloną kopią galopował ramię w ramię ze swym starszym bratem, chcąc uczcić wierność i zasługi armektańskiego żołnierza, który pokochał Dartan i przez całe życie duszą i sercem służył swemu panu. Kenes znał i rozumiał armektańską ideę Wojny-Arilory. Nie wierzył, że każdy, kto bierze do ręki broń, godny jest nazwania jej synem. Ale gotów był dać wiarę, że każdy może uzyskać prawo do równej walki z dartańskim rycerzem, nawet jeśli z urodzenia nie przysługiwał mu taki przywilej. Ranezen był godzien, by przyznać mu to prawo.

Cztery wielkie konie dźwigające jeźdźców zbiegły się w jednym punkcie pola bitwy. Pośród huku uderzających o zbroje i tarcze grotów jeden z jeźdźców został wyrzucony z siodła, trzech inni rozjechali się w dwie strony świata. Powstrzymane mocnymi dłońmi wierzchowce

stanęły i zawróciły. Rycerz, który zatrzymał swego konia jako pierwszy, odrzucił ułomek kopii, zeskoczył z siodła i poszedł ku strąconemu na ziemię przeciwnikowi. Lecz do walki pieszej nie doszło. Armektański żołnierz z dartańskim pierścieniem rycerskim, prowadzony przez swoją Niepojętą Panią, wracał już do Szerni, która dała mu krótkie jak mgnienie, ludzkie życie, a teraz roztopiała je w swych Pasmach.

Enewen i Ones zatrzymali wierzchowce i stali naprzeciw siebie. Enewen, ze złamanym drzewcem w ręku, czekał na giermka, który nadjeżdżał z tyłu, wioząc nową kopię. Uniósł zasłonę przyłbicy i patrzył na brata, z trudem utrzymującego się w siodle. O walce pieszej nie mogło już być mowy. Pierwszy rycerz królowej, jeden z najświetniejszych jeźdźców w Dartanie, umiał prowadzić broń jak nikt inny. Nie pamiętał o koniu, bo tworzył z nim jedną całość, czuł każdy ruch potężnych muskułów i naprężonych ścięgien. Uderzenie kopii zerwało przeciwnikowi płytę naramiennika, która, pogięta, wisiała teraz na rzemiennym zapięciu. K.B.I. Ones nie mógł już trzymać tarczy, by osłaniać się nią w pieszym boju. Walcząc z bólem zdruzgotanego ramienia, mógł liczyć tylko na to, że zjechawszy się z Enewenem ponownie, wcześniej dosięgnie go swą bronią.

Enewen wziął od giermka nową kopię, zablokował ją, po czym odrzucił tarczę i znów zamknął przyłbicę. Ruszył z miejsca kłusem.

Zjechali się po raz drugi.

Czworograniasty grot prowadzony przez Enewena trafił dokładnie w to samo miejsce co poprzednio — ale Ones nie miał już tarczy, po której mógłby się ześlizgnąć wrogi oręż. Strąciwszy przeciwnika z siodła, Enewen osadził konia, okręcił go w miejscu i zawrócił. Zeskoczył w biegu na ziemię, klęknął przy powalonym i wyrwał sztylet z pochwy przy pasie. Znalazł szczelinę w zbroi.

— Okup! Wyznacz okup!

Enewen nie posłuchał prośby Kenesa. Dobił Onesa i wstał. Bardzo powoli — a była w tych poruszeniach uroczysta ulga — zdjął hełm.

— Już tylko my... bracie — rzekł, nie patrząc na Kenesa.

Kenes podjął z ziemi tarczę Ranezena i cisnął ją pod nogi zabójcy swego brata. Enewen podniósł puklerz w barwach swego Domu, ale bez liścia dębowego, dobył miecza i ruszył, by dopełnić przysięgi.

Walki na błoniach wygasły. Wszczynano niewiele nowych.

Zwycięzcy z obu walczących obozów zjeżdżali się ku środkowi pola, by oglądać rycerskie zmagania swoich wodzów. Było to coś niezmiernie doniosłego.

Kenes natarł na przeciwnika z zaciętością, jakiej nikt nie oczekiwał u niemłodego człowieka. Lecz odpowiedź Enewena miała siłę, której przyrodni brat żadną miarą nie mógł sprostać. Wymieniwszy z przeciwnikiem trzy ciosy, drugi z wodzów Asenavene chwiał się już tylko i cofał pod nawałą uderzeń, spadających na osłaniającą go tarczę. Enewen zderzył z wrogim puklerzem własną tarczę, pchnął potężnie i przeciwnik upadł na plecy. Odstąpiwszy, rycerz pozwolił mu wstać. I znowu zaatakował z szybkością i siłą, które musiały wzbudzić najwyższy podziw patrzących. Uderzywszy dwa razy mieczem, zwycięzca — bo był już zwycięzcą — jeszcze raz grzmotnął tarczą w tarczę przeciwnika, a gdy ten poleciał do tyłu, zamachnął się i przerąbał stalową opachę na trzymającym miecz ramieniu, tuż powyżej nałokcicy, której zerwane skrzydło odleciało w bok. Kenes krzyknął, padając. Wypuścił broń. Enewen odrzucił tarczę, oburącz chwycił miecz, obejmując rękojeść odwrotnie i kierując oręż sztychem w dół. Stał nad powalonym.

— Który z was kazał zabić Denetta? Ty czy on? Teraz chcę wiedzieć.

— Żaden z nas — powiedział Kenes. — Zabij mnie... ale jesteś szalony, wiedz o tym.

— Kłamstwo w chwili śmierci. Chcesz tak umrzeć, rycerzu Domu K.B.I.?

— Ktokolwiek kazał zabić twego syna... nic o tym nie wiem. Przysięgam.

— Przysięgniesz za swego brata? Na pamięć przodków! — krzyknął Enewen, opuszczając miecz i pokazując stojących w krąg wojowników.

— Przysięgniesz za swego brata? Że nie kazał tego uczynić ani nie wiedział o takim zamiarze? Gotów jesteś na takie zuchwalstwo?!

Kenes był tylko cieniem i narzędziem Onesa. Enewen dokonał już zemsty, bo leżący u jego stóp stary rycerz przez całe życie był nikim.

— Zabij mnie — rzekł po długiej chwili. — Ones zawsze cię nienawidził, ale nie był zdolny do tego, o czym mówisz. Jeśli jednak każesz mi przysiąc za niego... O wszystkim zawsze decydował sam, miał rozum i niczym nieograniczoną wolną wolę. Zabij mnie. Nie przysięgnę.

Broczący krwią wojownik nie kłamał w obronie życia. Chciał i był

gotów umrzeć. Ale nie mógł przysiąc, wobec dwudziestu świadków ze znakomitych rodów, że jego brat nie kazał zabić Denetta ani nawet nie wiedział, że ktoś... gorliwy poplecznik... powziął taki zamiar. Nie było na to dowodów, gdy przeciwnie — Enewen na pewno miał jakieś dowody i świadków. Nie rozpętał przecież najstraszniejszej od stuleci wojny, opierając się na przeczuciach.

— Zabij mnie, Enewenie. Jestem już... zmęczony.

Po czym powiedział jeszcze:

— Ones nie był zbrodniarzem... ale dla dobra Domu umiał nie dostrzegać wielu spraw. Nie kłam jego pamięci, był wielkim rycerzem, prawym człowiekiem i dobrym bratem. Nie wierzę, by popełnił przypisywaną mu zbrodnię, ale mam właśnie tylko tę wiarę. Za nikogo nie przysięgnę w chwili śmierci, nie wiedząc, czy na pewno nie brudzę się kłamstwem.

Enewen pojął cierpienie rycerza, który stojąc nad grobem... nie mógł poręczyć za bliskiego mu człowieka. Bo Ones jednak był intrygantem, człowiekiem zawziętym, a nierzadko małostkowym i niesprawiedliwym. Młodszy brat, będący tylko wykonawcą jego woli, niczego nie mógł wiedzieć na pewno. Tak jak powiedział, miał tylko swoje zaufanie i wiarę. Nikt ze stojących wokół nie mógł uznać tego za wystarczające. Każdy z tych rycerzy chciałby móc ręczyć za najbliższych i prawie żaden nie odważyłby się na to.

— Nawet nie wiesz, kim jesteś, Kenesie... — powiedział z goryczą Enewen. — Powinieneś dzisiaj stać u mego boku, bo jesteś rycerzem królowej, nosisz imię pierwszego spośród wszystkich, którzy jej służyli. Prawdziwa wojna dopiero się zaczęła. Nie rozpętałbym jej tylko z powodu śmierci syna.

Gdzieś daleko toczono jeszcze jakiś pojedynek. Do uszu wojowników docierał niewyraźny szczełk mieczów tłukących o zbroje i tarcze. Nikt nie wiedział, o czym mówi wódz Stronnictwa Ahe Vanadeyone. A raczej prawie wszyscy domyślali się, o czym, ale nikt jeszcze nie wiedział — o kim. Krążące po Dartanie pogłoski niczego nie przesądzały. Kazały tylko czekać na bardzo niezwykle nowiny.

— Śmierć mojego syna... — rzekł głucho Enewen i nagle uniósł dłoń ku twarzy, dotykając oczu stalową rękawicą. — Śmierć mojego syna to rzecz błaha. Mówi to ojciec, który pomścił właśnie śmierć swego

jedynego dziedzica i następcy. Mój syn był jednym z nas, rycerzem królowej, który pierwszy oddał życie za jej sprawę. Wszyscy winniśmy mu pamięć i cześć. Wiem, komu służę, i wy także macie prawo o tym wiedzieć! — zawołał, wodząc wokół ostrzem miecza. — Przysięgam na pamięć moich wielkich przodków, że pokażę wam dzisiaj największą sprawę, jakiej dartański rycerz może służyć! Kenesie, tam stoją twoje chorągwie. Wracaj do nich! — krzyknął. — Zabierz ciało brata i wracaj!

— Wróć.

Rycerz wolno podniósł się z ziemi. Krew żywym strumykiem popłynęła wzdłuż zranionego ramienia, spływając do stalowej rękawicy i kapiąc na stratowaną łąkę.

— Moi rycerze — rzekł Kenes — pomszczą śmierć wszystkich towarzyszy, którzy polegli w tej wojnie, ja zaś jeszcze raz będę szukał zadośćuczynienia za śmierć brata. Będziemy walczyć do południa. W południe, gdy usłyszysz głos rogów, wszyscy ci, którzy przeżyją, oddadzą się w twoje ręce, Enewenie. Oszczędź wtedy bezbronnych, uszanuj swoich jeńców. Rycerzy, którzy nie cofnęli się w obliczu trzykrotnie silniejszego wroga.

— Tak się stanie.

— Ale jeśli przeżyję, będę chciał wiedzieć, o co naprawdę walczyłem i dlaczego przegrałem tę wojnę. Będę chciał dowiedzieć się, co znaczą twoje słowa, jakiej sprawie i komu służysz. Będziesz musiał mi dowieść, że nie jesteś szaleńcem, Enewenie. Będziesz musiał dowieść tego wszystkim.

— Dowiodę. Powiem komu i dlaczego służę.

Giermek Kenesa przyprowadził konia swego pana.

— A zatem, Enewenie, jeszcze raz dowiedz mi dzisiaj, jaka krew naprawdę płynie w twoich żyłach. Pragnąłbym uznać, że Ones... że mój brat, wielki człowiek i rycerz, błądził i mylił się co do ciebie. Lecz najpierw raz jeszcze sięgnę po twoje życie. I wszystkich, którzy służą pod twymi sztandarami.

*

Raniący uszy szczęk oręza, towarzyszący wcześniej pojedynczym zmaganiom na błoniach, był niczym wobec łoskotu, z jakim zderzyły się dwie linie zakutych w zbroje jeźdźców. Trzask kruszonych kopii, huk grotów przebijających blachy, jęk żelaza rysującego krzywizny tarcz,

kwik i chrapanie koni, a wreszcie krzyk ludzi — zlały się w pieśń, której na pewno chciałyby wysłuchać armektańska Pani Śmierci i Wojny. Czy była obecna nad Dartanem i patrzyła na pole bitwy pod Vemoną? Czy podobały jej się takie zmagania, będące wspomnieniem dawnej świetności królestwa, któremu odmówiono wielkości w świecie żeglarzy, górskich zbójów i stepowych jeźdźców? Synowie Równin przynieśli do Dartanu inną wojnę, w której nie było miejsca na wielkość. Być może bezduszne armektańskie legiony, złożone z krocących machin do zwyciężania, walczyły mężnie i z honorem, ale było to inne męstwo i inny, zupełnie inny honor. W bezlitosnej wojnie na wyniszczenie, prowadzonej z myślą o unicestwieniu wroga, przepadały zarówno rycerskie gesty, jak i zwykłe ludzkie odruchy, porywy wielkich serc. Armektańczycy, wbrew temu, w co wierzyli, nie służyli wojnie, lecz przemocy, śmierci i zagładzie. Potrafili być wielkoduszni dopiero wówczas, gdy gasł wszelki opór, a wrogie armie przemieniały się w tłumy niewolników. Lecz może tak właśnie należało prowadzić zmagania? Może traktowanie wojny jako uroczystej zabawy dla szlachetnych i mężnych ubliżało jej? Może w samej rzeczy nie dało się podnieść z pól bitewnych niczego więcej niż podeptanej litości, szczątków wiary w zwycięstwo i upokorzenia pokonanych?

Do walki ruszyła druga linia chorągwi Ahe Vanadeyone. Asenavene drugiej linii nie mieli. Nikt nie mógł wesprzeć skrwawionych, walczących już nie o zwycięstwo, lecz o przetrwanie i życie, rycerzy jego godności K.B.I.Kenesa.

Słońce stało wysoko na niebie, lecz rogi po stronie Stronnictwa Sprawiedliwych milczały. Miały nadejść nowe czasy i nowe pokolenia. Rogi milczały, by nikt zrodzony po wojnie nie śmiał wyrazić przypuszczenia, że przegrywający zbyt wcześnie obwieścili zbawcze dla nich południe.

Enewen ruszył do boju wraz z ostatnią linią swych jeźdźców. Bardzo krótkie cienie kładły się za plecami szarżujących — ale jeszcze niezupełnie pod nimi...

Na skrwawionych błoniach długa fala walczących przesunęła się na południe, zostawiając, jak uciekająca z brzegu woda morska, rozmaite szczątki. Lecz nie były to drobne małże ani ich skorupy, na zielonej plaży pod Vemoną nie zostały barwne i gładkie kamienie. Fala porzuciła

dziesiątki srebrzystych blach, pod którymi jeszcze niedawno były ludzkie serca. Zostawiła pogubiony i potrzaskany oręż, barwne tarcze. Wiele wierzchowców nie mogło podnieść się z ziemi; inne stały między poległymi, jeszcze inne biegały wzdłuż Unii. Nadciągała już czeladź obu stron, żadna zarówno zdobywcy, jak i nagrody z ręki podniesionego z pobojowiska rannego, strzelca, giermka, a kto wie, może nawet rycerza? Coraz więcej sytych walki i sławy wojowników wychodziło z bitwy, w której niełatwo przychodziło znaleźć nowego przeciwnika. Na spotkanie z każdym rannym, zmęczonym wojownikiem Kenesa czekało co najmniej dwóch służących w armii Enewena. Długa linia rwała się, dawno już rozpadła na kawałki, nierówne grupy i grupki.

Lecz słońce nareszcie doceniło męstwo Sprawiedliwych i rozkazało cieniom wybiec spod stóp i kopyt na północ ku wschodowi. Rozbrzmiały rogi, prosząc w imieniu Stronnictwa Asenavene o zawieszenie broni. Szczęk oręża ucichł nieomal w jednej chwili, pozwalając wyraźniej zabrzmieć jękom rannych. Skrwawieni rycerze oddawali zwycięzcom swe miecze, rzucali pod nogi topory, uwalniali przedramiona z uchwytów tarcz. Chyliły się proporce i chorągwie pokonanych — te, których jeszcze nie zdobyto. Najdłużej trzymano w górze granatowo-zielony gonfanon własnej chorągwi braci K.B.I.

Pośród powiewających nad wojskami proporców i chorągwi wciąż tkwiły dwa proporce wodzów. Enewen spotkał się z Kenesem i odmówił przyjęcia jego miecza. Nie chciał jeńca, w zamian pragnął wreszcie odnaleźć brata. A mógł go odnaleźć, bo wierzył uroczystej przysiędze, złożonej w obliczu śmierci. Stary rycerz na pewno nie wiedział o zbrodniczych decyzjach Onesa lub zamiarach ludzi Onesowi służących.

*

Łupem zwycięzców padł zarówno stojący za miastem tabor, jak i samo miasto. Harda Vemona nie oddała swemu zdobywcy kluczy do bram miejskich, nie posłała na spotkanie zwycięzcy żadnego ze swych ojców. Większa Chorągiew Domu, na czele której podążał sam Enewen, zastała bramę otwartą, lecz ani w samej bramie, ani na ulicach poza nią nie było żywej duszy. Mieszkańcy skryli się w domach; czasem tylko skrzypnęła niedokładnie zamknięta okiennica, spoza której czyjeś oczy śledziły przemarsz wojska.

Enewen prowadził chorągiew do rynku. Rycerze na czele swych

pocztów rozjeżdżali się w prawo i lewo, otaczając rynek kordonem. Sam Enewen, w asyście najznakomitszych wojowników, pojechał przed drzwi ratusza, zatrzymał wierzchowca i czekał.

Przez jakiś czas nic się nie działo.

Lecz w końcu drzwi otwarto. Zażywny, wysoki mężczyzna, bardzo dostatnio przyodziany i ustrojony w czarny beret burmistrza, zszedł po wiodących od drzwi schodach i stanął przed konnym rycerzem. Za burmistrem pojawiło się kilku rajców.

Enewen milczał.

— Po raz pierwszy i ostatni — rzekł wreszcie, głosem donośnym na tyle, by wszyscy na rynku mogli dosłyszeć słowa — pozwalam na podobne traktowanie mnie i moich wojsk. Chcę uczcić pamięć wielkiego wojownika, który mógł ocalić swoją armię i życie, lecz własną piersią zasłonił to miasto. Chcę wierzyć, że jesteście tego godni. Nakładam na Vemonę kontrybucję, mającą wynagrodzić śmierć moich rycerzy, a także wszystkie poniesione dzisiaj przez nich straty w broni i wierzchowcach. Kwota tej kontrybucji ustalona zostanie do jutra. Mieszkańcy mogą wyjść z domów, spokojni o swe mienie i życie. Miejska straż niech wróci na ulice, by pilnować ładu i porządku, wy zaś nadal będziecie pełnić obowiązki w ratuszu. Zawdzięczacie to swemu obrońcy, jego godności K.B.I.Onesowi, a także jego godności K.B.I.Kenesowi, który pomimo wielu ran nie odstąpił od obrony miasta. Nie chcę waszej gościnności, ale nie chcę także kluczy do bram miejskich. Przekażcie je swemu panu.

Zawrócił konia, a wraz z nim uczynili to przybocznicy rycerze.

33.

Yokes nie stawiał się w Sey Aye. Dwa dni przed umówionym terminem przysłał na polanę kilka drużyn straży leśnej pod wodzą Vahena. Gajowi przekazali list z wyjaśnieniami. *Wasza Wysokość — pisał komendant — jeśli to konieczne, stawię się przed Tobą, ale lepiej, żebym został w obozie z żołnierzami, mam tu pełne ręce roboty. Przyjedź raczej do mnie, Pani, a mam odwagę prosić Cię o to, bo wyruszysz ze mną na wojnę. Pokaż ten list Haynie, jako dowód, że wojenna wyprawa to nie jest Twoja zachcianka, lecz wymuszona konieczność. Jego godność Enewen odniósł właśnie pod Senelettą zasłużone i całkowite zwycięstwo. Nie znam*

jeszcze wszystkich szczegółów, ale za to mam dokładne rozkazy od Twojego pierwszego rycerza. Ten człowiek gotów jest podporządkować się tylko jednej osobie, a tą Osobą jesteś Ty, Wasza Wysokość. Czy chcesz tego, czy nie, będziesz więc dowodzić armiami, tu polecę się jako wojskowy doradca, skoro wodzem naczelnym być nie mogę. Bierz bagaże i przyjeżdżaj, Pani, bo za tydzień, zamiast z Armektańczykami, będę bił się z Jego Wyjątkową Godnością Enewenem.

Był jeszcze podpis. I drugie pismo, zawierające kilka krótkich rozkazów dla dowódcy obozu piechoty.

Podniecona i niemal zdyszana z przejęcia Ezena swoim zwyczajem przeczytała list parokrotnie, nim kazała oddać go Haynie. Próbowwała zapanować nad sobą, bo radość z wymarszu na wojnę była chyba cokolwiek niestosowna. Poza tym naprawdę nie miała żadnych powodów do zadowolenia. Tarcia między Enewenem a Yokesem zdarzały się od samego początku, teraz jednak mogło dojść do czegoś znacznie gorszego. Z listu Yokesa przebijało rozdrażnienie, a już ostatnie słowa, w których nazywał rycerza z rodu K.B.I. „jego wyjątkową godnością”, zasługiwały na głęboki namysł. Yokes był po prostu wściekły; wściekły do tego stopnia, że nie chciało mu się ukrywać tej wściekłości... Wyglądało na to, że jej książęca wysokość rzeczywiście będzie musiała nominalnie dowodzić wojskami — dowodzić, jak treściwie napisał komendant, „czy tego chce, czy nie”.

Hayna nie czytała listu kilkakrotnie, ani nawet dwa razy. Rzuciła tylko okiem. Zaraz potem znalazła się w pokojach Ezeny. Księżna spojrzała na pochyloną wojowniczo głowę, spadającą na oczy kasztanową grzywkę i już wiedziała, co będzie. Jej rycerze, dowódcy, niewolnice (naprawdę, dlaczego jeszcze nie urzędnicy?) zamierzali bez przerwy kłócić się między sobą.

— Wasza wysokość — rąbnęła od progu gwardzistka — NAJZNAKOMITSZY komendant Yokes przysyła tu jakiś świstek, który ledwie przypomina list. Nic w nim nie ma, tylko polecenia, żebyś się stawiła, gdzie rozkazał. Oprócz listu przysyła bandę zastawiaczy sideł z łukami, którym przewodzi kot. Jak rozumiem, jest to twoja eskorta? Ale dla mnie najwyżej nagonka, jeśli będziesz chciała zapolować. Masz przedzierać się przez puszcę do przystani na rzece, potem płynąć do obozu, którego nawet jeszcze nie widziałam, w którym nie ma ani

jednego twojego gwardzisty, a może nawet dachu nad głową! Ja mu zaraz odpiszę... Gdzie jest pióro?

— Na środku komnaty, na posadzce, wetknięte we flaszkę z inkaustem — powiedziała Ezena, gryząc jabłko. — Co, nie widzisz?

Perła uniosła rozpostarty list, otworzyła usta i chyba chciała coś wrzasnąć, ale księżna odezwała się szybciej:

— Nie, nie, Perło, chyba już wystarczy. Bagaże mam przygotowane od dawna, przedzieranie się przez puszcę to siedem mil po najlepszej drodze, jaką mamy, ta do przystani jest chyba utwardzona, czy nie tak? Oprócz zastawiaczy sideł zabieram moją gwardię i zdaje się, że dwustu najlepszych piechurów z obozu wojskowego. Na rzece mam istny pływający pałac, którego jeszcze nawet nie widziałam, ale Anessa wiele razy pływała tym statkiem i opowiadała, że jest tam nawet łożo z baldachimem... co prawda, jak znam Anesę, solidnie już wygniecione... Zapomniałam o czymś? A, już wiem! Wojskowy obóz Yokesa, do którego jedziemy, zaraz zostanie zbadany przez jedną z moich Pereł, która nie będzie szukać pióra, tylko sama pojedzie do komendanta Yokesa i powie mu, co tylko będzie chciała. A potem przyśle gońca z wykazem wszystkiego, co potrzebne. Ma na to... no, ile mieć musi?

— Tydzień, wasza wysokość.

— No właśnie, cztery dni — rzekła zadowolona Ezena, która albo nie wiedziała, ile dni ma tydzień, albo przed chwilą zapomniała. — Za cztery dni już mnie tutaj nie będzie, więc do tego czasu moja Perła stawi się u komendanta Yokesa, wręczy mu list ode mnie, zrobi awanturę, zbada obóz, napisze, czego jej trzeba, i zdąży pchnąć gońca z powrotem. Czy mi się wydaje, czy też moja Czarna Perła bardzo się spieszy i właśnie wychodzi z komnaty?

— Jesteś niemądra — powiedziała rozzalona Hayna. — Robię, co tylko mogę, a ty sobie jedziesz na wojnę? Tak po prostu?

— Nie sama, tylko z tobą i paroma tysiącami żołnierzy. Nie licząc, oczywiście, czterech przybocznych niewolnic... W tym błocie szara suknia będzie najlepsza, kolczugę do niej mam mieć spakowaną przy własnej kulbace, rozumiano? Przygotuj się do drogi i już cię nie ma w Sey Aye. Zdaj wszystkie obowiązki Ohegenedowi — przypomniała.

— No wiesz?... — obrazila się Hayna.

Oddała list Yokesa i poszła.

Ezena skończyła jabłko i umieściła ogryzek obok dwóch innych, w pucharku z resztką wina. Szczerze mówiąc, owoce z zimowej piwnicy były obrzydliwe.

— Anessa i Kesa — powiedziała.

Drzwi do komnaty uchyliły się.

— Czy natychmiast, wasza wysokość? Pierwszej Perły nie ma w pałacu.

— Tak, Ayano, natychmiast. Każ ją znaleźć. Ale w takim razie Kesy nie wołaj. Niech przyjdą razem.

— Tak, wasza wysokość.

— Zaczekaj. Poproś teraz do mnie Przyjętego. A z Perłami tak, jak słyszałaś.

— Tak, wasza wysokość.

— A ty chciałabyś jechać ze mną na wojnę? Nie, nie, Ayano, żadnych głupstw — ostrzegła. — Jedną z was zabiorę na pewno, ale najchętniej ochotniczkę. Lubisz wojnę czy wolisz pałac i trochę wiosennego lenistwa?

— Jeśli żadna nie będzie chciała jechać, to ja jestem tą, która nie chce najmniej — bardzo dyplomatycznie powiedziała niewolnica.

Ezena myślała przez chwilę.

— Szczerze, ale przebiegle — oceniła ze śmiechem, doszukawszy się wreszcie sensu wypowiedzi. — To wszystko.

— Tak, wasza wysokość.

Przyjęty przyszedł mniej więcej po dwóch jabłkach.

— Wasza godność, list od komendanta Yokesa — powiedziała, podając mu pismo. — Co ty na to?

Gotah przeczytał. Spojrzał pytająco.

— Pytam o twoje plany, wasza godność — wyjaśniła. — Zostajesz? Jedziesz ze mną? Wracasz do Grombelardu?

— Jeśli to tylko możliwe, będę ci towarzyszył. Siedzę tu, pani, już pół roku, naprawdę nie ze względu na tajemnice Szerni, które mogę zgłębiać w Sey Aye. Co mogłem, dawno zgłębiłem.

— Ciekaw jesteś, czy wygram tę wojnę? — droczyła się.

— Zarówno jako historyk, jak też mieszkaniec Szereru.

— Jaki poważny! — zauważyła; była w doskonałym humorze.

— Bo to już naprawdę nie są żarty, pani. Przechodzisz na drugi

brzeg, stamtąd już nie będzie odwrotu... Dopóki siedzisz w Sey Aye, dopóki siedzą tu twoje wojska, wszystko jeszcze można odwrócić. Wszystko jest możliwe. Możesz wydać wojnę Wiecznemu Cesarstwu równie dobrze, jak pobić jego godność Enewena, albo odciąć się od wszystkiego... Co tylko zechcesz. Ale gdy raz wyjdiesz z Puszczy Bukowej, to wrócisz do niej jako królowa Dartanu, albo nie wrócisz wcale. Przejdź się po swoich komnatach, księżno, przejdź się po całym domu — poradził z całkowitą powagą. — Za kilka dni opuścisz to miejsce i już nigdy w życiu nie spojrzysz na nie oczami jej książęcej wysokości Ezeny, pani Dobrego Znak.

Pokiwała głową.

— Nie umiem o tym myśleć w ten sposób — powiedziała. — Jedyne, czego już nie chcę, to być jej książęcą wysokością Ezeną, panią Dobrego Znak. Nie po to dano niewolnicy te dobra, żeby je trzymała do końca marnego życia. Użyczono mi ich tylko, wasza godność, podsunęto stopień, oczekując, że będę wspinała się wyżej. Mam wobec kogoś dług i uczciwie spłacam odsetki. Ale ciąży mi ta pożyczka i chcę wreszcie spłacić ją całą albo ogłosić bankructwo. — Uśmiechnęła się, bo Przyjęty nie znał szczegółów niedawnej „finansowej” narady.

— Bardzo ładnie powiedziane — ocenił. — Ale rzeczywiście jest tak, jak mówisz. Wątpię, czy w całym Szererze istnieje druga praczka, która Puszcę Bukową umiałaby uznać tylko za stopień wiodących dokądś schodów.

— Ha! — powiedziała. — Zasłużona pochwała, ależ ja to lubię!

Zmusiła go w końcu, żeby się uśmiechnął.

— Obiecuj mi, wasza wysokość, że kiedy już zostaniesz królową Dartanu, dasz mi coś, o co poproszę. Nie poproszę o nic, czego byś dać nie mogła — zastrzegł. — Wiem, o co wolno prosić.

Teraz ona spoważniała.

— Dziwny targ... Ale ufam ci na tyle, mędrco Szerni, że mogę powiedzieć: dobrze, zgoda. Koniec! Już! — zawołała, machając ręką, jakby odpędzała owada. — Potrzebuję kilku rad. Oczywiście pojedziesz ze mną, wasza godność. Poprosiłabym cię o to, ale zapraszanie kogoś na wojnę... Nie wiem, czy wolno prosić o coś takiego. Znakomicie, że sam się wprosiłeś. Jest piękna pogoda, wczoraj takiej nie było i jutro znów może nie być. Chodźmy do ogrodu! — powiedziała. — Do altany Anessy.

Zakręciła się na pięcie z furkotem sukni i ruszyła ku drzwiom. Przyjęty miał wrażenie, że masywne skrzydła rozlecą się w drzazgi pod jej wzrokiem. Naładowana była kłębami ognia albo wichrem — nie wiadomo czym. Przechodząc, mogłaby gasić lub zapalać świece. Przekonywał się znowu, że ta niezwykła kobieta nigdy nie powinna trwać w bezruchu. Po stokroć miała rację: nie było dla niej miejsca w Sey Aye. Zestarzałaby się w wieku lat czterdziestu, zgrzybiała dziesięć lat później i umarła przed sześćdziesiątką. Jako władczyni Dartanu, żelazną ręką rządząca wielkim królestwem, zmagając się z problemami godnymi monarchini, mogła żyć i sto lat.

Po raz pierwszy Gotah poszukał odpowiedzi na pytanie, które wypłynęło nie wiadomo skąd... Może z furkotu spódnicy idącej ku drzwiom kobiety, a może ze smagnięcia wysoko upiętego warkocza, który zatoczył łuk i pacnął policzek, gdy się odwracała... Pytanie brzmiało: gdzie jest koniec drogi tej dłużniczki księcia Lewina? Kto za trzydzieści lat będzie rządził całym Szererem i z jakiej stolicy będzie rządził?...

Odpowiedzi musiały poczekać. Przyjęty z kopyta ruszył śladem księżnej, bo było zupełnie jasne, że za chwilę nawet biegiem nie dogoni jej przed drzwiami do ogrodu. Miała zdrowe nogi, słuszny wzrost i chęć do działania, dla której jeszcze nie znalazła ujścia. Maszerowała jak łucznik legii armektańskiej.

— Hayna jedzie ze mną, to jasne — mówiła przed siebie, a Przyjęty doganiał każde słowo. — A oprócz niej? Która? Anessa czy Kesa? Anessa nigdy mi nie daruje, jeśli nie zabiorę jej na taką wyprawę. Wojenne suknie, rycerze, wojskowe namioty, konne parady przed frontem chorągwi... Wyobrażasz sobie, wasza godność? Ale właśnie dlatego z Anessą będę miała same kłopoty. Wolałabym zabrać Kesę, to mądra dziewczyna, wszystko ma dobrze poukładane w głowie. Anessa potrafi załatwić każdą sprawę, o! posłać ją gdzieś z misją, tak jak zimą! Do tego znakomicie się nadaje. Ale ja teraz będę potrzebowała rady, nie samodzielnego działania. Wolałabym zabrać Kesę. To za poważna sprawa, żeby przejmować się humorami Anessy. Nie pojedzie. Będzie obrażona, no to trudno. Wezmę Kesę.

Wybiegli do ogrodu i popędzili żwirową alejką.

— Kesę nie, wasza wysokość.

— Myślałam, że ją lubisz, wasza godność? Przecież dobrze wam się rozmawia?

Szła przodem i tylko dlatego przegapiła najciekawszy widok, jaki mógł się ukazać jej oczom: zarumienionego Przyjętego. Potem było za późno, bo dość szybko odzyskał zwykłą barwę.

— Anessa, wasza wysokość, będzie się tutaj nudziła, jak nigdy — powiedział nie bez racji. — Nie wiadomo, co może się zdarzyć, a Sey Aye to zaplecze całej wojny. Kesa nie popełni żadnego głupstwa, nawet nie skręci karku podczas galopady po lesie. A gdyby wydarzyło się coś naprawdę groźnego, gdyby jakiś legion jednak pokusił się o zdobycie Sey Aye, Kesa ubierze się w kolczugę i z tym samym spokojem, co zawsze, wyda potrzebne rozkazy. Anessa raczej wpadnie w panikę i narobi głupstw. Ja... wasza wysokość, nie chcę zaszkodzić twojej Pierwszej Perle, ale jednak przypomnę pewne zdarzenie w zagajniku, z górą pół roku temu... Chcesz zostawić tu kogoś takiego?

Zwolniła trochę. Dał jej do myślenia. Zresztą altana była blisko. Skądinąd mocno wątpił, czy długo w niej wysiedzą.

— No właśnie, i na tym polegają dobre rady — powiedziała, gdy doszli na miejsce.

Usiadła na tej samej marmurowej ławce, w tym samym miejscu, które zajmowała podczas pierwszej rozmowy z Przyjętym.

— Na tym polegają dobre rady — powtórzyła z namysłem. — Masz słuszość pod każdym względem, mędrco Szerni. Myśleć trzeba nie o tym, kogo zabrać, ale kogo można tu zostawić... Nie mogę zostawić Anessy.

Myślała jeszcze przez chwilę, marszcząc szerokie brwi.

— No to postanowione — rzekła, wstając. — Chodźmy do domu, wasza godność. Nie jest tak ciepło, jak myślałam.

*

Lida — co po dartańsku znaczyło: piękna — miała swoje źródła gdzieś w przepastnych głębiach Puszczy Bukowej, ale gdzie dokładnie, nikt nie wiedział. Nie na wzgórzach Młodego Lasu Yenett, gdzie rodziły się prawie wszystkie strumienie płynące przez Sey Aye. Wcale nie była wielką rzeką, ale jej dość szerokie koryto nadawało się do żeglugi. Od Sey Aye aż do ujścia rzeka rzadko meandrowała, nie obfitowała w zdradliwe płycizny; tylko w niektórych zakolach tworzyły się łąchy piaskowe, z

mrówczą pracowitością zwalczane przez kopaczy Dobrego Znaku. Ci sami ludzie, stale patrolujący oba brzegi, usuwali wszelkie naniesione przez wodę przeszkody, choćby pnie martwych drzew albo wielkie konary — najwięcej pracy mieli wczesną wiosną lub po obfitych opadach, gdy Lida wzbierała i wymywała las w górnym biegu. Był to główny szlak handlowy Sey Aye. Nawet zimą, gdy woda zastygała w okowach lodu, z wygodnego gościńca korzystały wyładowane towarami saniem. Drobnymi handlarzami prowadzili swe muły po ścieżkach, ale większym przedsiębiorstwom kupieckim opłacało się uiścić zimą niewysoką opłatę drogową za skorzystanie z lodowego traktu, od wiosny zaś do jesieni opłatę wodną, również bardzo umiarkowaną i pobieraną tylko wówczas, gdy towar był wieziony na własnych łodziach, bo jeśli wynajmowano rzeczne statki Sey Aye, opłata wodna zawierała się w kosztach wynajmu. Rzeka była spławna od Dobrego Znaku aż do ujścia. W delcie leżało jedno z najpiękniejszych miast Szereru i doskonały port — Lida Aye. Podzielone były zdania, czy miasto wzięło nazwę od rzeki, czy raczej odwrotnie. Lida Aye od niepamiętnych czasów rywalizowała z armektańskim Tarwelarem o miano stolicy Morza Zamkniętego — były to wody rozdzielające południowy Armekt i Dartan, niesłychanie ważne zarówno z handlowego, jak i wojskowego, a wreszcie politycznego punktu widzenia. Kto panował na Morzu Zamkniętym, ciągnął ogromne zyski z handlu z całą Morską Prowincją. Tarwelar był w tej wojnie portów stroną pozornie uprzywilejowaną, bo biorące w nim początek lądowe i wodne drogi pozwalały rozwieźć towary po całym Armekcie, gdy Lida Aye obsługiwała tylko handel z Puszcza Bukową i północnym Dartanem. Ale tam właśnie leżała Rollayna — największe i najbogatsze miasto Szereru. No i Puszcza Bukowa, z której wywożono wszystko, co w Szererze potrzebne. Oba porty, Tarwelar i Lida, były Wiecznemu Cesarstwu niezbędne i chyba tylko jakiś straszny kataklizm, na przykład pożar trawiący całe miasto, mógł dać rywalowi odczuwalną przewagę.

Lida Aye była miastem zaprzyjaźnionym z Dobrym Znakiem. Bez tego portu w delcie rzeki Lidy Puszcza Bukowa straciłaby znaczną część obrotów handlowych, skazana na kosztowny przewóz towarów do odleglejszych i nie mających tak dobrego połączenia z Dobrym Znakiem portów. Ale i odwrotnie: w Lida Aye więcej ładowano na statki, niż z nich wyciągano... Nie tak bardzo odległy od Puszczy Tarwelar zapłaciłby

każde pieniądze za obsługiwane handlu Sey Aye.

Południowo-zachodni skraj Puszczy przecinała, na długości kilkunastu mil, dobra droga, zbudowana przez imperium wielkim nakładem kosztów, ale nieodzowna. Ogromny leśny jęzor koniecznie należało przeciąć u nasady, bo o kilka dni skracało to podróż ze środkowego Armektu do Rollayny i dalej, do całego wschodniego Dartanu. Przy owej drodze, tam gdzie przerzucono most nad Lida, wyrosło bodaj najbogatsze miasteczko Szereru. A dokładniej: byłoby takim, gdyby nie wielka polana w głębi puszczy, która zabierała wszystkie zyski, sprowadzając Neten (czyli, po dartańsku „sień”) do rangi sieni właśnie, przedpokoju Dobrego Znak, przystani przeładunkowej i targowiska (choć Neten nigdy nie uzyskał prawa składu, bo cesarstwo nie po to budowało drogę na skrót, by kupieckie karawany tkwiły z towarami w jakimś prywatnym mieście). W nadchodzącej wojnie z imperium Neten i przecinająca puszczański jęzor droga miały znaczenie strategiczne. Każde armeckańskie uderzenie, wychodzące spod Tarwelu przez Miejski Okręg Lida Aye na środkowy Dartan, musiało być podtrzymane przez posiłki, uzupełnienia, zapasy i materiały wojenne sprowadzane po tej właśnie drodze. Jeśli nie, pozostawało wozic to wszystko wokół leśnego jęzora, po znacznie gorszych drogach, lub zgoła po bezdrożach, albo żyć na koszt odbijanego kraju, co nie rozwiązywało wszystkich problemów, a w zamian zwiastowało nieliczne kłopoty. Natomiast dla Puszczy Bukowej Neten był bramą do całego Szereru. Utrata tej przystani oznaczałaby przepychanie wszystkiego, co potrzebne wojsku, po krętych leśnych ścieżkach. Yokes nie znał jeszcze zamiarów dowództwa armeckańskich legionów, powoli zbierających się pod Tarwelarem. Ale nie musiał ich znać, by bolała go głowa, ilekroć pomyślał o Netenie.

Zdążająca do nieodległej przystani kawalkada, na którą składał się orszak księżnej i prowadzone Yokesowi wojsko — dwustu najlepszych piechurów, setka gwardzistów z własnym taborem i służbami oraz kilka drużyn gajowych — wbrew narzekaniom Hayny nie musiała przedzierać się przez żadne knieje, bo było dokładnie tak, jak powiedziała Ezena: najlepsza droga Sey Aye wiodła właśnie do rzeki. Musiało tak być, bo ruch na tej drodze nie zamierał prawie nigdy. Ogromną część tego, co Puszcza Bukowa kupowała i sprzedawała, przeciągano po owym krótkim

lecz szerokim trakcie; były to właściwie aż dwie drogi, jedna tuż obok drugiej, utwardzone drewnianymi okrągłakami, stale naprawiane, uzbrojone w rowy odwadniające, słowem: zbudowane według planów najlepszych armektańskich budowniczych. Dowolnie długie karawany wygodnie mijały się na owym trakcie i podczas krótkiej podróży Ezena mogła jedną obejrzeć. A patrzyła z wielką ciekawością, bo na samej polanie zmierzający do miasta kupcy korzystali z obwodnic i nie turkotali na dziedzińcu przed jej domem. Księżna, obojętnie jak znudzona, ani myślała brać przykład z Anessy, której zawsze wszędzie było pełno. Przez cały okres swoich rządów w Dobrym Znakui jej wysokość tylko dwa razy zagościła w mieście, ani razu w obozach wojskowych, a lekcji jazdy konnej nie udzielano jej na szlakach karawan; pokazywanie kupieckim pachółkom — czy komukolwiek zgoła — jak ładnie pani Puszczy Bukowej trzyma się na grzbiecie wierzchowca, nie miało żadnego sensu. Ale skutek przesiadywania Ezeny w pałacu był taki, że władając największym przedsiębiorstwem handlowym Szereru, nie za dobrze wiedziała, jak wygląda kupiecki wóz...

Prawdę rzekłszy, nie wiedziała, jak wygląda cokolwiek. Pierwsze miasto, które miała za wielkie, zobaczyła jeszcze jako dziecko, ale było to armektańskie miasto obwodowe, nie dające się porównać z okręgowym, a cóż dopiero stołecznym. Okręgowe miasto zobaczyła wówczas, gdy pośrednik niewolniczej hodowli posłał ją, wraz z kilkoma innymi dziewczynami i przydzielonym przewodnikiem, do Rapy. Tam została kupiona — zdrowa i silna wiejska dziewczucha do pracy — przez handlowego przedstawiciela pana Dobrego Znakui... W towarzyszącym księżnej Gotahu budził się podziw zawsze, gdy myślał, jak celne i zgodne z prawdą były wyobrażenia tej kobiety o polityce, wojsku, nawet o handlu — i w ogóle o życiu w Szererze. Wyobrażenia o wszystkim. Ujrzawszy jedno małe miasto, wiedziała odtąd, na czym polegają miasta, i potrafiła wyobrazić sobie niemal wszystkie konsekwencje związane z rozmiarami. Umiała zgadnąć, że stolica to nie jest po prostu więcej domów, więcej ulic na o wiele większej przestrzeni. Pojmowała, że są to inne domy, inne ulice, a przede wszystkim na pewno inni mieszkańcy... Przyjęty był zupełnie spokojny, gdy myślał o jej wjeździe do Rollayny. Nie wątpił, że księżna obejrzy dartańską stolicę z wielką ciekawością, ale raczej się nie przerazi, że smukłe magnackie pałace zaraz się wszystkie

zawałą, nie postrada mowy na widok parków, placów i fontann, za to kiwnie głową i powie: „No już, to teraz przyślijcie do mnie burmistrza, starszych cechów i kogo tam jeszcze... Powiem im, co mają zrobić, żeby była zadowolona”.

Rozkazy Yokesa i Hayny dawno już dotarły na przystań. Gotah, który wybrał się tu kiedyś na przejażdżkę, ale zimą, kiedy nic się nie działo, ujrzał teraz raczej duży port rzeczny, rozbudowywany od pewnego czasu już nie tylko z myślą o handlu, ale i o ładunkach wojskowych. Zbudowano bardzo wygodną, nową pochylnię dla koni i bydła, pogłębiono mniejszy basen i utrzymywano go w stałej gotowości — kupieckie barki i łodzie nie miały tam wstępu, nawet jeśli przyszło im czekać na rozładunek na rzece. W tym małym basenie stał przycumowany do nabrzeża duży płaskodenny statek księżnej, coś pośredniego między barką a skutą. Księżna, wraz ze swym niewielkim, istic wojennym orszakiem, od razu została zaokrętowana. Portowe władze, uzyskawszy pozwolenie, natychmiast odsunęły statek od nabrzeża, robiąc miejsce dla barek. Anessa, która czuła się na statku jak u siebie, zaraz kazała umieścić na pokładzie miękko wyściełane krzesła, stół, podać wino i lekki posiłek. Zbierało się na deszcz, więc nad stołem rozpięto dach z żaglowego płótna, służyły do tego specjalne maszty. Do tego i tylko do tego, bo statek nie był żaglowcem. Spełniwszy rozkazy Pierwszej Perły, majtkowie szybko porozchodzili się po kątach, z ciekawością ale ostrożnie zerkając na jej wysokość, którą oglądali po raz pierwszy. Księżna też ich sobie obejrzała, a wcześniej, gdy odbijali od brzegu, ku wielkiej uciechu załogi przez chwilę nawet mocowała się z drągami do popychania łodzi, oczywiście wspierana przez marynarza. Teraz z zaciekawieniem obserwowała załadunek wierzchowców gwardii, ale z jeszcze większym zainteresowaniem przypatrywała się poczynaniom swojej Perły, która znów zagoniła kogoś do roboty i wyraźnie oczekiwała słów podziwu. Na statku rzeczywiście nie brakowało niczego. Ujrzawszy pyszny kobierzec, rozpościerany na tylnym (rufowym chyba?) pokładzie, Ezena nie umiała już powściągnąć rozbawienia.

— No dobrze — powiedziała. — A dokładnie, dokąd pływasz na tym flagowym okręcie? Założę się, że gdzieś w górę rzeki, gdzie nie pływa nikt inny. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że o pół dnia lub

dzień drogi stąd kazałaś zbudować wygodny pałacyk myśliwski. Latem biegasz tam nago po lesie, z łukiem w ręku, sama ze swoją przyboczną... albo i nie sama, choć przybocznej nadal nie liczę. Czy Yokes wie o tym pałacu? A straż leśna, Anesso?

Księżna żartowała i nie mogła ukryć zdumienia na widok purpurowego rumieńca niewolnicy. Anessa miała czerwone nawet uszy i szyję.

— Ale... kto ci powiedział? — zapytała. — Ja chciałam... chciałam pokazać ci to kiedyś, ale była zima, a wcześniej... To już bardzo dawno, książe wiedział o tym domku myśliwskim! — tłumaczyła pospiesznie. — Sam tam kiedyś był!

Ezena czuła, że zaraz parsknie śmiechem, a jak nie, to zemdleje z braku powietrza. Wyobrażała sobie ten „domek myśliwski”! Jeśli Anessa naprawdę zbudowała w puszczy rezydencję, to na pewno nie sypiała w barłogu, nie okrywała się skórą i nie siadała na skleconym z paru desek zydelku... Chichocząc trochę kpiąco, a trochę pobłaźliwie, księżna pochyliła się i rozburzyła zawstydzonej Perle złote włosy na czole.

— Kiedyś pokażesz mi to miejsce — powiedziała. — Może nawet pobiegam z tobą nago po głuszy... Ale tylko z tobą.

— Nie biegam nago po głuszy i nie bywam tam sama. Na statku czekają marynarze, a dom jest tylko milę od rzeki.

— Tylko milę? — Jeśli od rzeki nie wiodła wygodna ścieżka, mila przez las to wcale nie było mało. — No dobrze. Na razie idziemy na wojnę, tak czy nie? Ostatni raz — powiedziała poważnie Ezena — siedzimy na miękkich krzesłach i tarzamy się w puchowej pościeli. Nie będziemy spały na ziemi ani stały na warcie, ale na tym koniec przywilejów. Żołnierze nie będą patrzyli, jak pławimy się w zbytku, kiedy oni gryzą suchary i popijają wodą. Rozłożysz kobierce wszystkim albo nikomu. Zrozumiano?

— Tak, wasza wysokość, oczywiście.

— To oprowadź mnie teraz po statku. Co jest w tym... no, domku?

— W nadbudówce? Sypialnia, a zarazem mała jadalnia, to tylko jedno pomieszczenie... Nie jesteśmy jeszcze na wojnie, więc teraz, na rzece, nie będziemy chyba spały na pokładzie?

— Złośnica. Przyjęty już zwiedził cały port i chyba mu się znudziło. — Księżna pokazała małą łódkę, wiozącą Gotaha od nabrzeża. — Pokaż

mi szybko, gdzie będziemy spały, i wymyśl, gdzie położyć Przyjętego. Łóżko opanujemy we dwie, zgaduję, że jest dosyć szerokie, na pewno na dwie albo i trzy osoby?

— O, już przestań, wystarczy mi zupełnie! — rozzłościła się Anessa.
— Nie, to koja żeglarska, przytwierdzona do ściany!

— No już dobrze, cicho. Przyboczne położą się pod drzwiami, Enea i ta twoja przy łóżku — wyliczała księżna, wkraczając do pomieszczenia, o którym rozmawiały. — Wydawało mi się, że będzie tu więcej miejsca... Co z Przyjętym?

Popatrzyły po sobie.

— No... będzie spał z nami, bo przecież nie na pokładzie? — powiedziała Anessa, z nawiązką oddając księżnej wszystkie złośliwości.
— Jesteśmy na wojnie, prawda? Przyjętemu pościelimy na stole.

— A mycie? — księżna jednak przywykła do pałacowych wygod. — A ten... no?

— Do mycia dostaniesz wodę z rzeki, ale chyba jest bardzo zimna. Jak będziesz chciała zrobić siku albo kupę, to naczynie jest pod łóżkiem. Specjalnej wygodki nie ma. Na burcie nie siadaj, bo wypadniesz. Albo wypadną majtkowie, kiedy cię zobaczą, bo nie jesteśmy w Armeckie. To tylko jeden dzień! — powiedziała kpiąco Pierwsza Perła. — Jutro wieczorem na pewno wylądujemy w Netenie.

Ezena trochę obraziła się na wojnę.

— Namiot też dostaniemy tylko jeden, wspólny, Hayna mi mówiła — dorzuciła bezlitośnie Anessa. — Podzielony na kilka części, ale jeden. Wojsko ma bardzo przemyślne, składane łóżka dla najwyższych dowódców, szerokie jak ławka w oberży i obciążane płótnem albo skórą... Zobaczysz, jak się wyśpimy. Zwłaszcza najwyższe i najcięższe z nas.

Księżna zadarła podbródek, odwróciła się i poszła na pokład. Łódź z Przyjętym przybijała właśnie do boku (chyba burty?...) statku.

Załadunek żołnierzy i wojennych materiałów szedł sprawnie. Nie czekano, aż wszystkie oddziały znajdą się na wodzie, powstałyby tylko niepotrzebny tłok. Gdy tylko gwardia znalazła się na barkach, z kapitanatu portu natychmiast dano sygnał do wypłynięcia z zatoki na rzekę. Leniwy nurt kolejno chwycił łodzie i ciągnął na południe. Majtkowie z drągami i szerokimi wiosłami bardzo sprawnie ustawili

statek jej wysokości między łajbami gwardzistów, na czoło kolumny wysunęła się smukła łódka pilotów. Jej wysokość z nowym zaciekawieniem obserwowała wszystkie te manewry i nieprędko znudziło ją oglądanie obu brzegów rzeki. Oprócz dwóch wytrawnych znawców nurtu, wskazujących drogę pierwszej barce, każda łódź miała własnego sternika i pilota, będącego jednocześnie dowódcą załogi. Ezena dowiedziała się, czy nie będzie przeszkadzać w prowadzeniu statku, po czym zarzuciła przejętego, miętoszącego czapkę w garści mężczyznę istną lawiną pytań. Chciała wiedzieć, w jaki sposób jest zorganizowany ruch na rzece, czy łodzie mogą się mijać, w jaki sposób najcięższe ładunki przeciągane są pod prąd, w górę rzeki. Pilot pokazał jej ścieżkę na lewym brzegu, którą zwykle kroczyły ciągnące ciężkie barki muły, wytłumaczył, że wprowadzicie są dwie zatoki, w których można zakotwiczyć łodzie, czekające aż przepłynie zdążająca z drugiej strony kolumna, ale zazwyczaj ruch jest regulowany, barki grupuje się we flotyllę i wypuszcza dopiero wtedy, gdy do portu wpływa flotylla z naprzeciwka albo łódź z wiadomością, że droga jest wolna. „A już dzisiaj, wasza książęca wysokość” — tłumaczył — „dzisiaj nic po rzece nie chodzi, tylko my. Były dane rozkazy, wasza książęca wysokość przecież wie, od pięknej pani Hayny, jak była tu cztery dni nazad, a potem jeszcze rozkazy z Netenu”. To nie wystarczyło; księżna miała jeszcze pięćdziesiąt „ale” i „dlaczego”. Anessa ziewała przy stole, nie mogąc dogadać się z dziwnie skwaszonym Przyjętym (Gotah miewał swoje humory). Pomachała ręką dostrzeżonym na brzegu gajowym, którzy pod wodzą swego kociego oficera maszerowali ścieżką dla mułów. To były wszystkie jej rozrywki — aż do wieczora, kiedy zaczęła siąpić drobna mżawka i Ezena musiała wrócić pod dach z żaglowego płótna. Zapalono latarnie, podano posiłek.

Podróż minęła dość szybko. Ezena i Anessa wyspały się za wszystkie czasy, bo wygramoliły się z łóżka dopiero następnego dnia przed południem. Delikatne kołysanie statku, plusk wody za burtami i rufą, potrzaskiwanie poszycia i chłodny oddech rzeki, stanowiły wyśmienitą pożywkę dla snu. Gorzej było z Gotahem, który przez całą noc wiercił się na twardych deskach stołu, aż wreszcie nad ranem, rozeźlony, wylazł na pokład i dopiero tam się trochę przespał, siedząc na wyściełanym krześle, z nogami opartymi na drugim. Dwa rozleniwione straszycła — bo ani księżnej, ani jej Perle nie chciało się uczesać przed śniadaniem, co

dopiero mówić o czernieniu brwi i rzęs albo różowaniu policzków — posilały się przez pół dnia, gadając o takich rzeczach, że Przyjęty, na spokojnej rzece, niemal dostał morskiej choroby. Zaczął się poważnie zastanawiać, czy tak będzie przez cały czas. Może komendant Yokes mógłby mu wynaleźć jakieś zajęcie przy wojsku? Kobiety, jak się okazywało, nawet te najbardziej niezwykle, były po prostu straszne. Między nielicznymi, mającymi jakiś sens, uwagami, przelewało się niemożliwe babskie ple-ple o wszystkim i wszystkich bez wyjątku, okraszone przekomarzaniem, złośliwościami, a na koniec dowcipami i żartami. Przyjęty trzymał się mężnie, ale, posłyszawszy dwa żarty opowiedziane przez brunetkę oraz jeden, czterokrotnie rozpoczęty i nigdy nie skończony przez blondynkę, uciekł do pustej nadbudówki i siedział tam, myśląc o Grombelardzie. Porozmyślał też trochę o Kesie, z którą całymi dniami potrafił rozmawiać o historii Szereru, która nie słuchała go jak wyroczni nawet wtedy, gdy opowiadał o Szerni, bo miała własne zdanie i własne przemyślenia, nierzadko godne uwagi. Potrafiła zapamiętać argumenty, których użył, i przyjść z nimi dnia następnego, obracając część na swoją korzyść, pokazując miejsca, w których mędrzec Szerni sam sobie zaprzeczał. Była bezcenna. Mijał się z prawdą, dowodząc Ezenie, że niczego już w Sey Aye o Szerni się nie dowie. Niczego nowego nie zobaczy — być może. Ale przez pół roku porządkował wiedzę nabywaną przez całe życie. Pomagał mu w tym ktoś, kto nie zaczynał cztery razy tego samego dowcipu, żeby wreszcie opowiedzieć go od końca. Mężczyźni byli mądrzy albo głupi. Ale kobiety... właściwie chyba wszystkie, poza jedną... bywały mądre i głupie zarazem. Jej wysokość Ezena, gdy tylko przestawała być księżną, natychmiast stawała się dwudziestopięcioletnią pannicą, myślącą każdą częścią ciała, było tylko nie głową... Błyskotliwa Pierwsza Perła, która wróciła z zimowej podróży, ciągnąc dla swojej pani uwiązany na postronku cały Dartan, przy stole pod płóciennym dachem, na rzeczonym statku, nie umiałaby chyba zliczyć do dziesięciu... Zresztą, wszystkie były takie, bez żadnych wyjątków! Ta, którą miał za najmądrzejszą, znamiona po ciąży uważała za coś poniżającego, a na koniec nie przyszła pożegnać się z nim, gdy odjeżdżał. Ani z nim, ani z nikim, nawet ze swoją panią. Tak właśnie można było przyjaźnić się z kobietą.

Późnym wieczorem (było już całkiem ciemno), gdy okazało się, że

zaraz dopłyną do Netenu, księżna i jej Perła wpadły w panikę. Służebne, przy nie najlepszym świetle latarni, czesały i malowały swoje panie, poprawiały byle jak zasnurowane wojenne suknie, grzebały w przepastnych skrzyniach, szukając żądanego obuwia. Gotah, od pół roku mieszkający w pałacu, nigdy nie widział, jak to wygląda z tej strony — „to”, czyli życie kobiet od podszewki. Codzienne pogawędki przy stole, choć błahe (jakie zresztą miałyby być?), nie trwały długo. Liczne rozmowy z księżną zawsze dotyczyły spraw konkretnych. Koszula noszona przez jej wysokość zamiast sukni była przejawem buntu — to rozumiał, bo każdy miał czasem ochotę zrobić coś niemądrego (on sam, będąc w złym humorze, potrafił po prostu przez cały dzień nie wstać z łóżka). Ale teraz, na pokładzie niedużego statku, niczego nie dało się ukryć, wychodziła na jaw codzienność, skryta zwykle w niezliczonych komnatach pałacu. Gotah wiedział już, że będzie klęczał przed Yokesem, będzie nosił za nim miskę z zupą, dmuchał na łyżkę i podawał schłodzoną strawę wprost do ust, byle dostać jakieś zajęcie i trafić do namiotu z wojskowymi urzędnikami, oficerami, a choćby i kucharzami.

Barki gwardii, zręcznie lawirując między zaopatrzonymi w latarnie bojami (wiele takich świecących boi wyznaczało tor wodny na rzece), zbliżały się do rzęsiście oświetlonej przystani. Uwijający się w malutkich łodziach piloci portowi wyznaczali miejsca cumującym jednostkom, inne kierowali na redę. Dla statku jej wysokości przewidziane było wolne miejsce. Wkrótce rzucono trap i księżna w asyście przybocznych niewolnic, Pierwszej Perły i Przyjętego zeszła na nabrzeże. Przybyszów oczekiwał szpaler spieszonych jeźdźców Chorągwi Domu. Wyładowujący się ze swoich barek gwardziści trochę krzywo spoglądali na elitę jazdy Sey Aye, przysłaną nie wiadomo po co, tak jakby ich eskorta była niewystarczająca. Obie doborowe formacje od dawna rywalizowały o miano najlepszego wojska jej książęcej wysokości. Ale Yokes wcale nie chciał pobudzać tej rywalizacji, pragnął tylko nadać przybyciu księżnej należytą rangę i zapewnić właściwą oprawę. Komendant od dawna siedział w obozie wojskowym; Ezena nie bez zdziwienia dostrzegła, że schudł, poruszał się bardziej energicznie, a głos miał jak trąby wojenne — w ciszy Dobrego Znaku nie musiał krzyczeć do żołnierzy, ale tutaj, w portowym hałasie, mrukliwej komendy nikt by nie usłyszał. Jeźdźcy huknęli rękawicami o tarcze; Yokes, w asyście Hayny, powitał księżną w

Netenie. Komendant wymienił znaczące spojrzenie i przelotny uśmiech z Anesą, co spostrzegawcza Ezena natychmiast zauważyła.

Czarnej Perle nie w smak były huczne ceremonie.

— Zabierajmy się stąd, wasza wysokość — powiedziała po krótkim powitaniu. — Komendant i ja mamy zupełnie odmienne zapatrywania na niektóre sprawy. Rozumiem go. Chce podnieść nastroje swoich żołnierzy, więc najchętniej przyprowadziłby tu wszystkich, żeby zobaczyli twoje przybycie. Ale ja odwrotnie, wołałabym, żeby przyniesiono cię schowaną w worku. Pies z kulawą nogą nie powinien wiedzieć, gdzie jest pani Dobrego Znak. Zgodziłam się na pół chorągwi.

Hayna miała na sobie pyszny rynsztunek wojenny: świetną kolczugę skrytą pod czerwoną narzutą, czarną wojskową spódnicę i dwa pasy nabijane złotymi guzami — jeden równo w talii, podtrzymujący pochwy kryjące ostrza sztyletów, drugi skrzyżowany z nim ukośnie, obciążony wiszącym u lewego biodra mieczem. Wszystko ociekało bogactwem, głowice i jelce broni ozdobiono złotem i dużymi rubinami, także spódnica i narzuta były haftowane złotymi nićmi, a cholewy wysokich butów przybrano podobnie jak pasy.

Yokes, który odszedł na chwilę, by wskazać miejsce kucharzowi, kuchcikowi i giermkowi księżnej (przyłątnęli na barkach gwardii), zawołał coś do Hayny. Niewolnica odwróciła się i zrobiła jakiś gest ramieniem, Yokes też odpowiedział gestem. Tych dwoje na pewno umiało się dogadać. Przede wszystkim — co Ezena dostrzegła z prawdziwym zadowoleniem — najwyraźniej dobrze im się współpracowało, nie było żadnych zatargów. Perła wydała rozkaz jeźdźcom Chorągwi Domu, a Yokes polecił coś Ohegenedowi. Skłócenie dowódcy na pewno nie pozwoliłoby komenderować swoimi oddziałami.

Komendant zbliżył się, osobiście prowadząc wałacha Ezeny.

— Wasza wysokość — powiedział — prawdziwe powitanie będzie w obozie wojskowym, to niedaleko stąd, ale musisz już jechać. Hayna pokaże drogę, ja zostanę tutaj jeszcze przez jakiś czas. Muszę wydać rozkazy piechurom, których mi przywiozłaś, bo nie pójdą na razie do obozu, muszę także skierować w odpowiednie miejsce tabor gwardii. Hayna i mój zastępca w obozie wskażą ci namiot... Chciałem odstąpić ci, pani, część budynku komendantury, ale twoja Czarna Perła powiedziała, że już teraz powinnaś się przyzwyczaić do namiotu, żeby w polu nie był

dla ciebie czymś nowym. — Uśmiechnął się lekko. — Może to i racja.

— Wasza godność, czy pozwolisz mi zostać tutaj? — wtrącił się Przyjęty. — Jeśli nie będę przeszkadzał...

Yokes zdziwił się, ale skinął głową.

— Jeżeli masz ochotę, wasza godność, biegać ze mną po całym Netenie, to zapraszam. Nie jesteś ciekaw obozu wojskowego?

— Zdążę go obejrzeć.

— Co prawda, to prawda.

— Nie pytasz nawet, mędrco Szerni, czy będziesz mi potrzebny? — zagadnęła Ezena, trochę urażona.

— Pytam, wasza wysokość. Przepraszam.

— Zostań z komendantem, jeśli nudzisz się w moim towarzystwie — pozwoliła. — Mam dziwne wrażenie, że wzięto mnie tutaj pod komendę.

Yokes spoważniał. Zerknął na Haynę i wrócił spojrzeniem do Ezeny.

— Wasza wysokość, wytłumaczmy się jutro. Ale już teraz zechciej pamiętać, proszę, że to jest obóz wojskowy, z którego lada dzień wyruszymy na wojnę. Ja będę wybierał drogi, którymi pójdą żołnierze, ja wyznaczę miejsce w szyku tobie i twojej gwardii, a Hayna będzie decydowała, w którym miejscu stanie twój namiot i jak daleko od namiotu wolno ci będzie odejść. Jeśli zastanowisz się przez chwilę, księżno, to na pewno łatwo zrozumiesz, że tak musi być. Jutro rano zapraszam na odprawę — dorzucił. — Poznasz, pani, swoich oficerów.

Jeśli była w tym złośliwość, to niezamierzona.

— Rano? — zapytała jej książęca wysokość, która ledwie dobiegła temu pouczała Pierwszą Perłę, że będą żyły bez mała jak proste żołnierki, bez żadnych kobierców i zbytków.

— Pobudka dla żołnierzy jest przed świtem, poranne apele w chorągwiach o świcie. Odprawy odbywają się zaraz po apelach, przed śniadaniem, wasza wysokość.

Anessa i Ezena wymieniły przerażone spojrzenia. O tej porze w Sey Aye wstawała tylko Kesa.

34.

Hayna nie pomyślała o wydzieleniu w wielkim wojskowym namiocie miejsca dla Przyjętego, więc Gotah, wróciwszy z Netenu,

skwapliwie skorzystał z zaproszenia do budynku komendantury, w którym Yokes wynalazł mu izbę. Do tego czasu kobiety rozgościły się już w namiocie. Miały sporo miejsca, było to bowiem schronienie przeznaczone zwykle dla dwudziestu pięciu, trzydziestu żołnierzy.

Składane wojskowe łóżka, którymi Anessa straszyla Ezenę, rzeczywiście były używane w polu przez starszych rangą wojskowych. Co najdziwniejsze, wynaleźli te pożyteczne sprzęty Dartańczycy; zamożniejsi rycerze, wyruszając na wojnę, nie życzyli sobie sypiać na ziemi. Na razie jednak do namiotu przygotowanego przez Haynę wstawiono proste, lecz dość wygodne łóżka zbite z desek przez obozowych cieśli. Nawet w oddzielonej płótnem części dla służebnych niewolnic stanęła szeroka prycza, na której mogły spać jednocześnie nawet cztery osoby. To wystarczało, bo niewolnic było razem sześć, a dwie z czterech przybocznych zawsze miały służbę. Poza tym w namiocie nie było żadnych wygod. Księżna miała do dyspozycji niewielki stół i kilka prostych zydelków. Ustawiono skrzynie z jej bagażami — raptem dwie, bo Ezena jeszcze w Sey Aye naprawdę dzielnie oparła się pokusie zabrania na wyprawę wszystkiego, co przyszło jej do głowy. Inaczej było z Anesą. Księżna wyspała się na statku i tylko dlatego nie przepędziła Pierwszej Perły na cztery wiatry. Blondynka do późnej nocy tłukła się po namiocie, nie pozwalając na odpoczynek nikomu. Służebne porozstawiały jej kufry, wyjęły z nich najniezbędniejsze sprzęty, takie jak trzy zwierciadła, szkatułka z klejnotami, kilkanaście grzebieni i szczotek do włosów, kilka dzbanów i garnuszków z pachnidłami i wonnymi olejkami, srebrna zastawa stołowa, parę kielichów, kubków i pucharek, kandelabr z kości i rogu, lampki oliwne, strój do spania, jakieś lektury i podróżny pulpit do pisania — tablicę, którą można było położyć lub oprzeć na kolanach, zaopatrzoną w uchwyty na przybory. Był jeszcze aksamitny wilk wypchany wełną, pięknie uszyty, z rubinami świecącymi w oczach, kobierczyk do położenia przed łóżkiem (drugi, taki sam, Anessa miała dla swojej pani, ale coś jej mówiło, że na razie lepiej nie wyciągać go z kufra) i olbrzymie futro z lisów, przydatne na wypadek porannego chłodu. Ezena, która oczywiście też miała trochę kobiecych drobiazgów, leżąc w łóżku, wsparta na łokciu, obserwowała w milczeniu krzątanicę Perły. Otwarto trzeci i czwarty kufer. Na widok aksamitnej żaby wypchanej wełną, pięknie uszytej, z turkusami świecącymi w

oczach, która miała służyć Anessie za poduszkę, księżna odwróciła się twarzą do płóciennej ściany. Uważny obserwator dostrzegłby może, jak raz i drugi zadrżały jej plecy. Anessa niczego nie zauważyła, długo jeszcze pochłonięta wyjmowaniem niezbędnych na wojennej wyprawie przedmiotów, z którymi służebne biegały po namiocie, szukając dla nich miejsca.

Wojskowy obóz, widziany za dnia, wywierał wielkie wrażenie. Wydawało się, że cały las wypchany jest wojskiem, namiotami, końmi, budynkami, w których gromadzono zapasy, warsztatami rzemieślników... Gdzieś jazgotał tartak. Wszędzie chodzili ludzie, maszerowały oddziały i oddziały, przeprowadzano jakieś ćwiczenia, prowadzono wierzchowce... Wszędzie były jakieś kuchnie, zbite z nieheblowanych desek stoły, dziwaczne konstrukcje — na przykład dwie wysokie wieże obserwacyjne, z których straż leśna wypatrywała dymu nad puszcą; dym mógł świadczyć o pożarze lub (co bardziej prawdopodobne wczesną wiosną, gdy las był bardzo wilgotny) biwaku nieproszonych gości. Osłonięte od deszczu solidnymi dachami, piętrzyły się beczki i skrzynie, zawierające jakieś dobro wojenne. Budowano i składano liczne wozy, większe i mniejsze, choć dbano o to, by wszystkie koła miały taką samą wielkość — łatwiej było je naprawiać i wymieniać. Las został bardzo znacznie przerzedzony, ale nie wykarczowany, bo pniaki przydawały się do różnych rzeczy. Wiele drzew zostawiono, żeby po ogromnej polanie nie mógł hulać wiatr. Anessa widziała obozy wojskowe w Sey Aye, wprawdzie zupełnie inaczej zagospodarowane, ale tak samo pełne wojska. Księżna trafiła w podobne miejsce po raz pierwszy — i nie mogła uwierzyć, że w tych niezliczonych namiotach zakwaterowano, na bezmiernej przestrzeni niespełna dwa i pół tysiąca żołnierzy. Przysięgłaby, że dziesięć razy tyle.

A jednak. Yokes miał ośmuset jeźdźców w trzech chorągwiach Wielkiego Sztandaru, sześciuset pięćdziesięciu w Sztandarze Mniejszym oraz pięciuset lekkokonnych (lekkokonnych w pojęciu dartańskim, jak słusznie kiedyś zauważył zwiadowca tysięczniczki Terezy, bo uzbrojonych sporo ciężiej niż strzelcza jazda imperialna). Do tego dochodziło pół tysiąca piechurów, licząc tych, których przyprowadziła Ezena, stu gwardzistów i Chorągiew Domu w sile czterystu koni. To były wszystkie wojska Sey Aye, oprócz dwóch setek piechoty i strażników

miejskich, pozostawionych na polanie. No i ośmiuset z górą gajowych, których wartość na puszczańskich bezdrożach była bardzo znaczna, lecz poza lasem żadna.

Ezena wiedziała, ilu mniej więcej ma żołnierzy, ale na porannej odprawie po raz pierwszy poznała dokładne dane. Wiedziała, że najśłabszy imperialny legion, o tak zwanych wojennych stanach wyjściowych, liczył prawie równo tysiąc łuczników, tarczowników i jeźdźców, a rozwinięty mógł być nawet do półtora tysiąca, jeśli zamiast klinów były w nim półsetki. Yokes domyślił się chyba, jakie wątpliwości nurtują jego panią, ale zakończył odprawę, niczego nie wyjaśniając. Na omówienie czekały bardzo poważne sprawy, których jednak nie chciał poruszać w obecności dowódców chorągwi. Zapowiedział, że po śniadaniu stawi się w namiocie jej wysokości.

Z namiotu dobiegał huk młotów, jakieś zgrzytania i wysoki głos Pierwszej Perły. Wartujący przed namiotem gwardziści mieli bardzo nietęgę miny. Po zakończeniu odprawy księżna, poprzedzana przez jedną z przybocznych, weszła do środka i ujrzała armię cieśli i ciesielskich pomocników, majstrujących pod kierunkiem Anessy jakieś sprzęty. Wieszaki na suknie i drabiniaste sklecone półki były już gotowe, rzemieślnicy biedzili się teraz nad małymi stołami, na których mogłyby stanąć lustra. Na widok jej wysokości pracę przerwano; służący przy wojsku biedacy nie bardzo wiedzieli, jak należy powitać księżnę, więc prostowali się tylko, niczym na widok oficera. Z części namiotu przeznaczonej dla służebnych wyjrzała Hayna, popatrzyła na złotowłosą przyjaciółkę, potem na Ezenę i zaprosiła ją gestem do siebie (gwardzistka postanowiła mieszkać tam gdzie przyboczne). Ezena skorzystała z zaproszenia. Obok, zgrzyt piły, szuranie struga i huk młotów rozbrzmiały ponownie.

— Myślałam, że rozmówisz się z Yokesem! — wrzasnęła Perła. — Myślałam, że wrócisz później!

— Ma przyjść tutaj! — odkrzyknęła Ezena. — Yo-kes! Tu-taj!

— Ale tutaj jest tartak! Pójdę do niego! Do Yokesa! Niech każe podać posiłek do siebie, zjesz razem z nim!

— Ty też chodź! Przydasz się przy rozmowie!

Wyszły z namiotu niezauważone przez Anesę.

Wieść o poczynaniach Pierwszej Perły komendant przyjął z wielką

wyrozumiałością, a nawet żartobliwie ofuknął Haynę, która dość złośliwie przedstawiła mu sprawę. Ezena nie po raz pierwszy pomyślała, że Anessa ma ogromny wpływ na tego twardego — i nie będącego przecież młodzieńcem — wojaka. Ale może tak właśnie musiało być, że człowiek wydający na co dzień rozkazy, także potrzebuje jakiegoś przełożonego, choćby dla odmiany?... Nie ulegało wątpliwości, że piękna niewolnica dawno już owinęła sobie Yokesa dokoła palca.

Komendant posłuchał rady Hayny i posłał wartownika do kuchni z rozkazem, by dostarczono posiłek dla czterech osób. Nim księżna zdążyła zapytać, kim ma być czwarty biesiadnik, powiedział:

— Wasza wysokość, mam pewną radę i prośbę zarazem. Twój gość złożył przede mną solenne przyrzeczenie, że dochowa każdej powierzonej tajemnicy. Jestem mu skłonny zaufać, bo goszcząc przez pół roku pod twym dachem, nie dał żadnych powodów do innego traktowania. A jest to człowiek o ogromnej wiedzy, zwłaszcza historycznej, i już wczoraj usłyszałem od niego bardzo wiele ciekawych uwag. Odnosiły się do pierwszej wojny armektańsko-dartańskiej, a doświadczenia z tej wojny mogą być bardzo użyteczne. Nie wiem, czy ktokolwiek wie na ten temat więcej niż twój gość. Jeśli to możliwe, chciałbym zatrzymać go przy sobie jako doradcę.

— Mówisz o Przyjętym? Rzeczywiście, na pewno można mu zaufać. Skoro twierdzisz, że ci się przyda, to go bierz. Co on na to?

— Był rad. Nie ukrywał, że chce być użyteczny, a bezczynność go męczy.

Wezwano Przyjętego, który, swoim zwyczajem, od dawna już był na nogach. Wkrótce potem przyniesiono posiłek. Dla księżnej przygotowano nieco inne dania niż dla wszystkich; Hayna zdążyła już zagonić do roboty kucharza jej wysokości. Pod okiem Czarnej Perły nie było możliwe, by Ezena kosztowała potraw, przy których kręcili się przypadkowi ludzie. Posłany z olbrzymią tacą kuchcik przytargał ją osobiście, nie pozwalając, by ktokolwiek pomógł mu w tym dziele. Hayna udusiłaby go za to.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, księżna zdradziła nurtujące ją wątpliwości, związane z liczebnością wojsk. Yokes, przygotowany na podobne pytanie, skinął tylko głową i powiedział:

— Wasza wysokość, dla tych bez mała dwóch tysięcy ciężkiej jazdy, którą dowodzę z twojego rozkazu, nie ma przeciwwagi w całym

Wiecznym Cesarstwie. To najlepsza konnica, jaka kiedykolwiek istniała w Szererze, uzbrojona równie dobrze, jak rycerze jego godności Enewena, a oprócz tego karna i wyszkolona tak starannie, jak to tylko możliwe. Jedyne, czego brakuje tym żołnierzom, to wojennego doświadczenia. Ale uważam, że już teraz nie istnieją takie wojska, które w otwartej bitwie zatrzymają te dwa tysiące jeźdźców. Przez ćwierćwiecze służyłem w armektańskiej konnicy, dowodziłem nią, współdziałałem z lekką i ciężką piechotą, a na koniec dowodziłem także tą piechotą, bo byłem zarówno dowódcą stancy, jak i całego okręgu wojskowego. Dlatego wiem, co mówię. Twój jeździec, wasza wysokość, rozniosą na swych kopytach i kopytach koni dziesięć armektańskich legionów o wyjściowych stanach, a większych legionów imperium mieć nie będzie, doskonale wiesz, z jakich powodów. Siła twojej armii nie podlega dyskusji. Rzecz w tym, pani, że wroga trzeba zmusić do walnej bitwy w odpowiednim dla ciężkiej jazdy terenie, i to zmusić do bitwy niejednej, bo wielką siłą imperialnych legii jest zdolność do odradzania się wciąż i wciąż na nowo. Tych żołnierzy należy wybić do ostatniego, pozbawić dowódców, odebrać najmniejszy cień szansy na zwycięstwo, bo inaczej, pobici i rozpedzeni na cztery wiatry, zbiorą się z niewiarygodną szybkością i z pięciu rozbitych legionów utworzą zaraz cztery nowe, pełnowartościowe jak tamte. Armektańskiemu żołnierzowi wojna daje wszystko: pozycję, której nikt nie ośmiela się negocować, łupy wojenne, bezwartościowe dla dartańskiego rycerza, ale niezwykle cenne dla ubranego w mundur chłopa, a choćby tylko żołd. Wreszcie, możliwość odznaczenia się i zrobienia oszałamiającej kariery, dość przypomnieć dowódczynię gwardzistów, którą kiedyś wyrzuciłaś z Sey Aye. Ta kobieta wszystko zawdzięcza wojsku i wojnie, a łucznicy z armektańskich legionów patrzą na takich dowódców i wiedzą, że za kilka miesięcy lub lat mogą być ich kolegami. Armekt, wasza wysokość, podbił cały Szerer, bo najmarniejszy z armektańskich wojaków chciał walczyć i walczyć bez końca. Nie dla kaprysu swego władcy, nie dla jakichś politycznych racji, i nawet nie dla samego żołdu, bo żołd można pobierać choćby drzemiąc w miejskim garnizonie. Ale łupów wojennych, chwały i szansy na lepsze życie dostarcza tylko armektańska Arilora. Teraz będzie tak samo.

— Mamy więc silną armię, bo nie mogę ci nie wierzyć, i bardzo

trudnego przeciwnika — powiedziała Ezena. — Ale nie to chyba jest największym twoim kłopotem? Przyjechałam tutaj, bo rycerz dowodzący moimi wojskami wydał mi taki rozkaz — rzekła żartobliwie. — Oboje wiemy, że nie poprowadzę żadnej kampanii ani nawet bitwy. To ty będziesz wydawał rozkazy, ja je tylko podpiszę. Na czym polegają problemy z jego godnością Enewenem? — zapytała wprost.

Yokes zmarszczył brwi. Opowiedział o decydującym starciu pod Vemoną, o przebiegu którego miał już dokładne wiadomości. Uczciwie pochwalił postawę wodza Rycerzy Królowej, który nie dość, że zakończył wojnę domową, to pozyskał sojusznika w osobie odwiecznego wroga i wzmocnił swe siły resztkami jego chorągwi. W Dartanie powszechnie już opowiadano o królowej, która wzorem legendarnej poprzedniczki sprzed wieków wskrzesi świetność dartańskiego królestwa i zapewni dartańskim rodowi należne miejsce w Szererze. Enewen był dobrym wodzem i zdolnym politykiem. Miał też wielką władzę nad sercami i duszami ludzi. Potrafił do nich przemówić i pozyskać dla sprawy, której sam służył. Księżna nie mogła wybrać lepszego wykonawcy dla swych planów i Yokes uczciwie to przyznawał. Miał jednak poważne obawy.

— Jego godność Enewen uważa się za pierwszego z twoich rycerzy, wasza wysokość, i trudno mieć o to pretensję, bo sama mu wbiłaś to do głowy, pozyskując cennego sojusznika — rzekł na koniec. — Powiem raz jeszcze, że jest męznym człowiekiem i dobrym wodzem. Ale wojna z Wiecznym Cesarstwem to nie będą rycerskie zmagania ze Sprawiedliwymi. Jego godność Enewen wie o tym, lecz gotów jest podjąć wyzwanie, ufając swoim strategicznym zdolnościom i męstwu swoich rycerzy.

— Nie podzielasz tego zaufania, jak rozumiem? Nie, nie, komendancie — zaprotestowała, gdy zaczął kręcić głową, że niby „z jednej strony... ale z drugiej strony...”. — Jesteś żołnierzem i masz mówić po wojskowemu. Ma szansę wygrać tę wojnę czy nie ma?

— Zanim poprosiłem cię o przybycie, przysłał mi list, w którym przedstawia swe plany i niemal wprost wydaje mi rozkazy. W ogólnych zarysach są to plany zgodne z wytycznymi, jakie uzyskał od ciebie, wasza wysokość. Ale sposób, w jaki chce to przeprowadzić... Nie oddam mu twoich żołnierzy — rzekł krótko. — Przejdę pod rozkazy jego godności Enewena tylko wtedy, gdy mi rozkażesz. Ale słuchając go, nie zapobiegnę

klęsce. Może uda mi się wygrać jakąś bitwę, ale wojnę przegramy z kretesem.

— Pokażesz mi ten list.

— Oczywiście, wasza wysokość. Czy natychmiast?

— Nie, wiem już, co w nim jest. Chcę dokładnie znać jego treść, tylko tyle. Dlaczego Enewen nie sprost imperialnym legionom? Zrozumiałam, że jego chorągwie, choć nie tak karne, jak moje, ale za to znacznie liczniejsze, dotrzymają w bitwie pola legionistom. Uważasz, że nie będzie umiał doprowadzić do bitwy? — zapytała.

Yokes myślał i myślał. Od dawna miał wyrobione zdanie, ale zastanawiał się, jak najlepiej przedstawić sprawę nie znającej się na wojnie księżnej.

— Wartość chorągwi dartańskich jest trudna do oszacowania. W bezpośrednim boju mogą dokonać tego, co nasze własne chorągwie, bo znane od wieków ustawienie „w grot” jest najlepsze do szarży przełamującej i sami tak ustawiamy nasze siły. Rycerstwo ustępuje naszym żołnierzom pod każdym względem, ale nie w bezpośredniej walce. Zwroty w obliczu nieprzyjaciela, podział sił, wszelkie manewry, nikogo na pewno nie zachwyca. Ale jeśli jednak dojdzie do starcia, to dartański rycerz z Domu kultuwującego orężne tradycje przodków (bo nie wszystkie Domy są takie) zarąbie każdego przeciwnika, skoro ćwiczy się w tej sztuce od dziecka, pod okiem własnego ojca. Prawie każdy z naszych żołnierzy, jeśli odliczyć kilkudziesięciu rycerzy służących w Chorągwi Domu, w bezpośredniej walce uległby dartańskiemu mężczyźnie Czystej Krwi, który chlubi się rycerskim pochodzeniem, cóż dopiero mówić o lekkozbrojnym armeckańskim łuczniku, bardzo słabo wyszkolonym do walki wręcz. Nie można więc zupełnie lekceważyć sił jego godności Enewena, bo nie istnieje taki armeckański legion, który sprostałby uderzeniu jednej jego chorągwi, odpowiednio uszykowanej. Kłopot w tym, wasza wysokość, że ściągane tu z Północnej Granicy legiony to przeciwnik najgorszy z możliwych, zwłaszcza dla niekarnej i niedyscyplinowanej armii, obciążonej dużym taborem. Na północy legioniści bawią się z alerskimi półzwierzętami w wieczną wojnę podjazdową. Zgraja Srebrnych Alerów na wehfetach (tak nazywają się ich wytrzymałe wierzchowce, niepodobne do naszych koni) może być dziś tu, jutro tam, więc tak samo działają legioniści. Piechur z Północnej

Granicy będzie wstrząśnięty siłą dartańskiej jazdy, a może nawet samym wyglądem żelaznych zastępów Enewena, a konny łucznik jest przyzwyczajony do rozbijania szarżą słabszych od niego jeźdźców alerskich, niełatwo więc przyjmie do wiadomości, że tutaj to on jest słabszy, i to słabszy bez porównania. Ale Enewen straci tabory, zanim zda sobie sprawę, że w ogóle może je stracić, porwą mu straż przednią, poszarpią tylną, i tak będzie codziennie. W nocy przelecą przez obóz i podpalą namioty, wymęczą rycerstwo do granic, ogłodzą i ani razu nie staną do walki twarzą w twarz, choć dziesięć razy będą udawali, że właśnie chcą wydać walną bitwę. W końcu ją wydadzą, a jego godność Enewen, zmęczony i wściekły, przyjmie tę bitwę, bo inaczej opuści go resztką zniechęconych paskudną wojną rycerzy. Da się wmanewrować w walkę o niemożliwą do zdobycia pozycję, wybraną i zawczasu umocnioną przez wroga, bo nie będzie miał innego wyboru. Taką wojnę poprowadziłbym ja sam, stojąc na czele północnych legionów, i takiej wojny najbardziej się obawiam. Wasza godność, czy nie tak właśnie wyglądała pierwsza wojna armektańsko-dartańska?

Zagadnięty Gotah skinął głową.

— Właśnie tak. Armektańskie legiony były wszędzie, lecz stoczono ledwie kilka dużych bitew i ani jednej decydującej, czyli takiej, która mogłaby rozstrzygnąć losy wojny. Dartańscy rycerze w końcu rozjechali się do domów. Miasta i twierdze wzięto głodem, kiedy już nie było armii polowych, które mogłyby przyjść z odsieczą. Ale teraz w Dartanie w ogóle nie ma liczących się fortyfikacji i wojna może potrwać znacznie krócej, bo miast nie trzeba zdobywać, wystarczy do nich wkroczyć. Ponadto, wojska imperialne mogą poruszać się po kraju z całkowitą swobodą, bo nigdzie nie zostawiają za sobą nie zdobytych twierdz, których załogi mogłyby zająć ich tyły i przejąć zaopatrzenie.

— Mam rozumieć, że teraz będzie to wyglądać tak samo?

Yokes zachnął się. Przyjęty pokręcił głową.

— Przede wszystkim, wasza wysokość, Armekt miał wtedy, jak szacuję, pięćdziesiąt do sześćdziesięciu legionów pod bronią, a niektóre z tych legionów były bardzo liczne. Do Dartanu wtargnęła blisko stutysięczna armia. Dziś pod Tarwelarem zbierze się najwyżej osiem lub dziewięć legionów, a dziesiąty, podobno bardzo dobry, strzeże Potrójnego Pogranicza. My zaś mamy siły niewiele mniejsze, niż miał

kiedyś dartański król. Niewiele mniejsze, za to bez porównania lepiej dowodzone i zorganizowane.

— Chciałabym wiedzieć — rzekła księżna — co może zmusić imperialnych dowódców do wydania nam walnej bitwy. I jeszcze jedno pytanie... a raczej pomysł, chociaż znam się na wojsku tak słabo, że nie będę się gniewać, nawet jeśli wszyscy wybuchniecie śmiechem — powiedziała, trochę figlarnie patrząc na Yokesa, Haynę i Gotaha. — Czy nie jest tak, że wojska bywają najsilniejsze wtedy, kiedy... kiedy tylko są? Kiedy nie wkraczają do walki, ale samym swoim istnieniem zmuszają jakieś duże armie przeciwnika do bezczynności, no tak... na wszelki wypadek?

Nikt się nie śmiał. Jej wysokość, w ogóle nie znająca się na wojnie i odważnie przyznająca się do swojej niewiedzy, zarazem obdarzona była wojskowym talentem tej miary, że zasługiwała tylko na uznanie i podziw. Prawie nie używając wojskowego języka — bo go nie znała i nie rozumiała — umiała trafić w sedno.

— Garyjczycy ukuli kiedyś termin orre seg gever, co oznacza dokładnie „flota w istnieniu” — powiedział Yokes. — Musieli utrzymywać w gotowości wielkie siły tylko dlatego, że istniały armektańskie okręty. Tylko istniały, nic więcej. Stały na kotwicy i nikt nie wiedział, kiedy i dokąd popłyną. Piraci i korsarze w służbie imperium zrujnowali handel Garry z Wyspami, bo nikt nie ważył się rozpuścić floty do eskortowania kupieckich żaglowców. Dzisiaj każdy wysoki rangą oficer używa określenia „orre seg gever”, mówiąc o dowolnych siłach, które wiążą samym swym istnieniem siły przeciwnika. Odpowiadam: tak, wasza wysokość. Twoje wojsko to orre seg gever, ta doktryna jest podstawą naszej strategii. O ile, ma się rozumieć, jego godność Enewen nie urządzi wszystkiego inaczej.

— Nie urządzi, bo dowodzić będziesz ty — ucięła Ezena. — Już to powiedziałam. Będziesz pisał rozkazy, ja je będę podpisywała, a Enewen wykonywał. Zdaje się, że to właśnie dlatego mam być przy wojsku, zamiast siedzieć w Sey Aye? Żebyś mógł mi bez żadnej zwłoki podyktować każdy rozkaz lub odpowiedź dla jego godności Enewena? No, teraz czekam, aż powiesz mi wreszcie, w jaki sposób wygram tę wojnę, kiedy to się stanie i co może zagrozić naszym planom.

— Najkrócej mówiąc, wasza wysokość, będziemy tutaj orre seg

gever, wiążąc armektańskie legiony z północy, podczas gdy Enewen powinien uderzyć na Armekt, obchodząc od wschodu Puszczę Bukową. Nie ma tam żadnych wojsk poza doborowym legionem z Potrójnego Pogranicza. Doborowym na pewno, bo wiem, kto nim dowodzi, ale tylko jednym. Ci żołnierze, obojętnie jak dobrze wyszkoleni i bitni, nie zatrzymają trzydziestu chorągwi Enewena. Będą siedzieć w Akali lub wydadzą jedno z najbogatszych miast imperium na pastwę jego rycerzy, a i tak niczego nie sprawią. Tysięczniczka Tereza dostanie szału i w ciemno mogą powiedzieć, że nawet z tą garścią żołnierzy narobi trochę kłopotów, ale wojskowego cudu nie dokáže. Jeśli Enewen wywiąże się z zadania, a wywiąże się na pewno, to cały południowo-wschodni Armekt stanie w ogniu. Legiony, które tutaj zwiążemy, nie odejdą, bo wówczas my zrobimy to samo co Enewen, uderzając na Tarwelar i cały Armekt południowy. Imperialni uderzą więc na nas, bo wydanie walnej bitwy chorągwiom Sey Aye będzie jedyną szansą zniszczenia tych wojsk i uniknięcia niemożliwej do wygrania wojny z dwiema operującymi na różnych kierunkach armiami. Tak wygląda nasza strategia, wasza wysokość. Planujemy przeniesienie wojny na rdzenne tereny Armektu, zmuszenie przeciwnika do wydania nam beznadziejnej bitwy, unicestwienie lub skrwawienie jego sił, a potem wymuszenie na Kirlanie rokowań pokojowych, które będziesz mogła prowadzić z pozycji siły.

— Kiedy będziemy gotowi?

— Na czas, wasza wysokość. Legionów północnych jeszcze nie ma pod Tarwelarem. Jego godność Enewen wzmacnia armię i uzupełnia wojenne zapasy, wkrótce ściągnie pod Rollaynę. Ale kampanię rozpocznie dopiero wówczas, gdy imperialne legiony ruszą przeciw nam, licząc na rozpoczęcie swej zabawy w chowanego.

— Jeśli mogę... — powiedział Gotah.

Księżna pozwoliła skinieniem.

— To są wojskowe zręby planu. Ale ty, wasza wysokość, powinnaś już dzisiaj myśleć o tym, kiedy i w jakich warunkach wjechać do Rollayny. Najlepiej byłoby uczynić to na fali pierwszych odniesionych zwycięstw. Odradzam pospieszną koronację, bo akt o takiej doniosłości winien mieć należyłą oprawę i musi zostać potwierdzony przez obecność przedstawicieli najważniejszych rodów i Domów. A nie zostanie, jeśli rycerze będą walczyć na wojnie. Wasza wysokość powinna najpierw

ogłosić się regentką czasu wojny, co zupełnie wystarczy, by Dartan dostał władczynię, a nie urazi delikatnej dumy magnatów i rycerzy. Trzeba, by obrali cię swoją królową, bo twoje własne wojska na razie są zbyt nieliczne, by zdołały obronić tron i pozycję niechcianej monarchini. Jego godność Enewen pozyskał dla twojej sprawy licznych sojuszników, ale nawet im trzeba najpierw dowieść, lub chociaż dać nadzieję, że pod twoim panowaniem nastaną czasy świetności, zamożności i chwały.

Część siódma. Nieistniejące legiony

35.

Tereza od dawna już nie dosiadała swojego stepowego wierzchowca. Kurierskie konie, rozstawione na drodze z Akali do obozu Legii Dartańskiej, wszystkie bez wyjątku były pełnokrwistymi dartańczykami, używanymi przez gońców. Dowódca wywodzący się z innej formacji — na przykład ciężkiej piechoty — przypłaciłby chyba zdrowiem podobne galopady. Nadtysięczniczka, w asyście zaledwie kilku znakomitych jeźdźców, potrafiła pokonać i sto mil w ciągu doby. Obóz dartańskich uchodźców nie mógł leżeć zbyt blisko Akali. Odpowiedzialni za przemarsze oficerowie stawali bez mała na głowach, byle tylko utrzymać w tajemnicy miejsce zbiórki wszystkich oddziałów. Armekt nie leżał na wyspie; zdawano sobie sprawę, że do Dartanu docierają zarówno przywożone przez podróżnych i kupców pogłoski, jak też dokładne raporty opłacanych szpiegów. Tak samo przecież zbierały wieści wojska imperialne, nie polegając wyłącznie na raportach Trybunału, wciąż obecnego w wielu miastach Złotej Prowincji... Najwięcej wywiadowców werbowano właśnie spośród kupców, którzy mogli przemieszczać się stale i wszędzie, nie zwracając niczyjej uwagi. Handel między dwiema największymi krainami Szereru, choć mocno ucierpiał od wojny, wcale jednak nie zamarł. Dokładano więc wszelkich starań, by było zupełnie jasne, że wycofane z Dartanu wojska maszerują na głębokie tyły, do Rapy, a nawet Riny i stołecznego Okręgu Trzech Portów. Posunięto się do przebrania żołnierzy kilku miejskich garnizonów w czerwone tuniki dartańskie; z drugiej strony legioniści z niektórych maszerujących oddziałów udawali jakichś, posyłanych nie wiadomo dokąd, rekrutów: maszerowali pod wodzą armektańskiego, niskiego rangą oficera, a nawet dziesiątnika, nie mieli mundurów ani żadnej broni, bo wszystko wieziono w jukach. Gdzie indziej całe kolumny, a nawet kadrowe półlegiony pokonały dziesiątki niepotrzebnych mil tylko po to, by w wielu obwodach miejskich zobaczono mnóstwo pozornie rozbrojonych żołnierzy, mówiących po

dartańsku i noszących barwy Pierwszej Prowincji; te same półlegiony i kolumny zawracały później i przekradały się nocami po bezdrożach, bez namiotów, obozowych sprzętów, a nawet biwakowych ognisk, obozując za dnia w jakichś zagajnikach, lasach i wykrotach. Żołnierze Legii Dartańskiej w ciągu kilku tygodni dostali w ten sposób naprawdę twardą szkołę wojny — na pewno nauczyli się maszerować, cierpieć niedostatki, a nawet nieść całymi milami chorych kolegów, gorączkujących lub nie mogących chodzić na poobcieranych stopach. Tak samo mieli później nosić rannych towarzyszy broni. Gdy było to możliwe, już podczas pochodów przypomniano wojakom z miejskich patroli, jak zmienia się szyk marszowy na bojowy, jak brzmią komendy polowe i biwakowe, uczono rozpoznawać sygnały dawane proporcami dowódców, świstawkami i głosem. Do ukrytego w dębowo-sosnowym borze obozu docierali wyczerpani ludzie, którym nie pozwalano odpocząć, bo musieli sami zbudować sobie schronienia, lazarety, a nawet wykopać latryny. Dopiero wtedy każdy z przybyłych na miejsce oddziałów dostawał dwa dni wolnego. Po upływie tych dwóch dni zaczynało się wyczerpujące szkolenie według regulaminów ciężkiej piechoty, częściowo tylko podobne do szkolenia ciężkiej piechoty strzelczej, jakie kiedyś przeszli ci ludzie. Kusz jednak rozpaczliwie brakowało — ze wszystkich garnizonów dartańskich wyniesiono zaledwie kilkadziesiąt samostrzałów, używanych do szkoleń — i tylko nieliczni szczęściarze mieli znaleźć się w klinach wyposażonych w znaną sobie broń. Cała reszta z mieczami i kiepskimi (choć bardzo pięknymi) paradnymi tarczami w rękach odbierała szkołę toporników, piechoty przeznaczonej do walki wręcz. Lecz olbrzymi topornicy, którzy już przy naborze wykazać się musieli odpowiednim wzrostem, wagą i krzepą, oprócz pełnych kolczug nosili kirysy, głębokie hełmy, nabiodrki, nałokcice i nakolanki, osłaniali się solidnymi tarczami, do walki zaś mieli przede wszystkim potężne topory. Okryci tylko cienkimi kolczugami Dartańczycy, wśród których o olbrzymów było trudno, bo najpotężniejsi mężczyźni trafiali do Gwardii Dartańskiej, w kapalinach i otwartych łebkach na głowach, mieli walczyć tak samo jak ciężka piechota imperium — bo do niczego innego nie można było ich użyć. Kusz nie mieli; z łuków strzelać nie potrafili; o szkole łuczników konnych — najtrudniejszej ze wszystkich — nie było nawet co myśleć. Utworzono

wprawdzie całkiem nową formację i nazwano konną piechotą: było to kilkuset żołnierzy na świetnych dartańskich wierzchowcach, którzy mieli ich używać tylko do przemarszów, do bitwy zaś zostawiać pod opieką koniowodnych. Taka formacja miała sens o tyle, że konna piechota mogła towarzyszyć imperialnej jeździe, mając tę samą ruchliwość. Gdybyż jeszcze ci żołnierze mieli kusze! Choćby lekkie kusze, zaopatrzone w strzemiączka, jakich używali pocztowi w chorągwiach dartańskich. Nawet nie najlepsi strzelcy mogliby skutecznie wspierać swoich konnych kolegów, rażąc ciężkimi pociskami grubo opancerzonych jeźdźców wroga. Tereza w ciągu niespełna dwóch tygodni przemierzyła na grzbiecie rozstawnych wierzchowców tyle mil, że wystarczyłoby chyba na objechanie Szereru. Dokonywała cudów. Cesarzowa nie wiedziała jeszcze, że godząc się na powierzenie jej dowództwa, najprawdopodobniej uratowała dla imperium kilka tysięcy ludzi. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek inny zdołał przemienić tę niedozbrojoną zbieraninę w sprawne narzędzie wojny. Piętrzyły się trudności tego rodzaju, że należało wątpić, by ktokolwiek poza jedną jedyną Terezą potrafił w ogóle stawić im czoło, a cóż dopiero pokonać. Już to tylko, że na końskim grzbiecie trzymała się jak żaden inny nadtyśnięcznik imperium, było warunkiem decydującym o powodzeniu wielu przedsięwzięć. Wszyscy znali ją samą albo chociaż jej sławne imię. Ona także znała wielu oficerów. Pojawiała się zupełnie nagle w jakimś obwodowym garnizonie, zeskakiwała z siodła wprost na stopnie wiodące do drzwi komendantury, wchodziła razem z wartownikiem i od progu pokazywała swój patent, żeby komendant wiedział, kim jest przybyła. Czasem nawet nie było to potrzebne, bo setnik lub nadsetnik uśmiechał się na jej widok i powiadał: „No, czekałem, kiedy zjawisz się u mnie, wasza godność. Przedwczoraj byłaś u sąsiadów... Czy możesz mi powiedzieć, co się właściwie dzieje?”. Odpowiadała wtedy: „Niestety, nie, nadsetniku. Ale mogę ci powiedzieć, co możesz dla mnie zrobić, a obiecuję, że za jakiś czas dowiesz się, dlaczego potrzebowałam twojej pomocy”. Uzyskiwała to, czego nie uzyskałby nikt inny. Pozostawieni na tyłach oficerowie, którym nie dane było uczestniczyć w nadchodzących zmaganiach, gotowi byli wyrwać spod ziemi wszystko, czego żądała, byle móc kiedyś, niby obojętnie, powiedzieć: „Nadtyśnięczniczka Tereza prosiła mnie wtedy o pomoc. Pomogłem jej, jak umiałem”. W ten sposób

zebrała w różnych garnizonach dobrą setkę hełmów ciężkiej piechoty, przekazując w zamian dartańskie kapaliny. Skutkiem posłanego do Londu listu było dostarczenie do Akali trzydziestu świetnych grombelardzkich kusz: klin Gwardii Grombelardzkiej, służący u boku samej Księżnej Przedstawicielki Cesarza, wypożyczył Dartańczykom własną broń, wraz ze znacznym zapasem pocisków. Drogą morską, na pokładzie niewielkiego żaglowca, dostarczono ten bezcenny oręż wprost do Rapy. Dowódca eskortującego ładunek, pełnego klina kuszników Legii Grombelardzkiej przekazał nadtyśięczniczce pismo, z którego wynikało, że jej wysokość Werena byłaby niepokieszona, gdyby wojska Drugiej Prowincji w ogóle nie wzięły udziału w nadchodzącej wojnie. Symboliczna siła zbrojna, jaką było trzydziestu żołnierzy w ciemnozielonych tunikach, została jednak powitana z otwartymi ramionami; nadtyśięczniczka z miejsca skierowała weteranów z gór do Akali (jeden z jej nadsetników świetnie mówił po grombelardzku, nie był więc skazany na posługiwanie się w rozmowach z nowymi żołnierzami niewygodnym Kinenem; miał ich włączyć do swojego półlegionu). Niedługo potem dostarczono również cenny ładunek z Kirlanu, choć tym razem nie było asysty, która mogłaby zasilić Armię Wschodnią. Nadtyśięczniczka, jeszcze zanim zobaczyła pierwszego ze swych dartańskich żołnierzy, posłała list do samego imperatora. *Wasza Cesarska Wysokość — napisała — wiem, że Twoja osobista Gwardia może być potrzebna i nie wolno zabrać jej broni. Lecz wiem również dobrze, że halabardy są potrzebne żołnierzom Waszej Wysokości tylko do straży w pałacu i parad. To świetna broń do walki z ciężką jazdą. Mam dostać pod komendę półlegion Gwardii Dartańskiej, ale ci żołnierze są uzbrojeni w posrebrzane żeleźca osadzone na cienkich patykach. Wiem na pewno, że Gwardia Cesarska nie używa zabawek zamiast broni.* Doskonale wiedziała, co pisze: żaden Armektańczyk nie ważyłby się na strojenie żartów z narzędzi wojny — a Armektańczyk, do którego pisała, był najpierwszym ze wszystkich. Po pewnym czasie do leśnego obozu przysłano dziesięć ciężkich koni objuczonych bardzo długimi pakunkami. *Wasza Godność — napisał własną ręką imperator — jestem wdzięczny, że moi żołnierze, których pomimo chęci nie wolno mi użyć, mogą jednak wspomóc walczących.* Poza kilkoma oddziałami Legii Garyjskiej halabardnicy z Rollayny byli jedynym wojskiem w całym Szererze, które

przeszkolono do posługiwania się tą — niebywale groźną — bronią w boju. Dartan miał jednak swoje tradycje; przed wiekami dartańskie Domy właśnie w Morskiej Prowincji zaciągały halabardników, z których tworzono groźne oddziały knechtów. Odbicie tej tradycji znalazło się w regulaminach szkoleniowych Gwardii Dartańskiej, strzegącej Księcia Przedstawiciela. Agatra, która nie pomyślała o czymś tak oczywistym, jak pozyskanie od Gwardii Cesarskiej niepotrzebnej broni, szeroko otworzyła oczy, zaraz po powitaniu otrzymując od nowej dowódczyni prezent, który czynił z jej półlegionu jedną z najgroźniejszych formacji pieszych w nadchodzącej wojnie. Nie bez znaczenia było, że gwardziści mogli przekazać swe piękne, ale i mocne tarcze kolegom z drugiego dartańskiego półlegionu pod rozkazami Agatry. Jeden krótki list nadtyśięczniczki Terezy przyczynił się do przebrojenia aż dwóch półlegionów.

Spośród kilkunastu wzorów tarcz, wyniesionych przez legionistów z Dartanu, nie wszystkie przedstawiały taką samą wartość. Korzystając ze wskazówek oficerów i funkcyjnych ciężkiej piechoty, Tereza zabrała tarcze wszystkim legionistom, oceniła ich przydatność i na nowo rozdzieliła między tworzone oddziały, w ramach każdego klina, a w miarę możliwości nawet kolumny, pozostawiając tylko jeden wzór. Niektóre tarcze, choć trochę słabsze i lżejsze, nawiązywały do tarcz ciężkiej piechoty i tych dało się użyć w boju. Inne, choć mało przydatne w walce wręcz, były jednak dość duże, by osłonić nacierających lub broniących się żołnierzy przed strzałami; nawet bełt z kuszy, choć bez trudu przebijał taką tarczę, grzązł w niej i dalej nie leciał. Najsłabsze i najmniejsze trójkątne tarczki, używane przez żołnierzy z Okręgu Semeny, Tereza kazała przerobić do noszenia na plecach. Tarcze, przewieszane na pasie na ukos biegnącym przez pierś, tak samo ukośnie osłaniały plecy legionistów, uzupełniając kolczugę. Wreszcie przełomem stał się pomysł kociego zwiadowcy, który swego czasu wrócił z Puszczy Bukowej. Schorowane kocisko ani myślało umierać. Kryzys jakoś minął, kocur tracił sierść już raczej z powodu nadejścia wiosny niż skórnych dolegliwości, a najlepsi medycy z Akali za pomocą czosnkowych nalewek i różnych tajemniczych mikstur uwolnili go od robactwa we wnętrznościach. Było jasne, że do służby w legii już nie wróci (dostał wojskową rentę), ale mógł jeść, przestrzegając diety, i miało mu się na

życie. Tereza, z ludzkim uporem wciąż na nowo wypytyująca zwiadowcę o szczegóły, sama kiedyś usłyszała pytanie, które ją zdumiało, a brzmiało mniej więcej tak: „Komendantko, dlaczego nie uzbroisz tych żołnierzy w jakieś dzidy, tak jak zrobili z chłopstwem w Sey Aye? To tania broń, którą prawie każdy wojak sam sobie może wystrugać w lesie, a groty wypukają ci kowale w byle wiejskiej kuźni, wystarczy dać im trochę żelastwa, choćby jakichś ćwieków”. Tereza grzmotnęła kota w bury kark, aż stęknął, zerwała się i pobiegła zorganizować szkolenie według nowych zasad. Każdy żołnierz, oprócz tarczy i miecza, miał mieć trzy lekkie oszczepy, przeznaczone wyłącznie do rzucania. Władanie taką bronią nie nastęczało trudności i nie wymagało długich ćwiczeń (przydałyby się, a jakże, ale jednak cisnąć przed siebie dzidę na trzydzieści kroków mógł każdy, gwizdząc na wiatr i bez uwzględniania poprawki na ruch wroga; nie trzeba tu było miesięcy strzeleckiego szkolenia). Mogła to być broń rzeczywiście tania i łatwa w wytwarzaniu, ze smukłym grotem umocowanym do drzewca nawet na pojedynczym krótkim wąsie; jeśli grot miał odpaść po uderzeniu w cel, to trudno — w razie przegranej utrata oszczepów nie miała większego znaczenia; w razie zwycięstwa można było pozbierać groty i drzewca, po czym łatwo znów połączyć jedno z drugim. Grad takich oszczepów, miotanych jednocześnie przez kilkuset żołnierzy, mógł zdeprymować każdego przeciwnika, nawet jeśli rycerskie zbroje trudno było tym przebić. Ale czy na pewno? Pierwsze próby dały zaskakujące wyniki: stary kirys topornika legii imperialnej, trafiony pod dobrym kątem, nie wytrzymawał uderzenia silnie rzuconej broni, ważącej w końcu dziesięć razy tyle, co wypuszczona z łuku strzała... Tereza wyobrażała sobie, że dartańska ciężka jazda, pędząca naprzeciw rzucającym, dołoży do siły ich rzutu własny rozpęd. Zresztą, strzelcy z dartańskich pocztów byli osłonięci znacznie gorzej od swych panów, rycerzy-kopijników. Koci zwiadowca dał, być może, skuteczny oręż dwóm legionom imperium! Wprawdzie rzecz nie przedstawiała się aż tak prosto, jak to wyglądało w pierwszej chwili, bo jednak nie każdy krzywy kij był od razu oszczepem; w zamian wykucie paru tysięcy grotów było przedsięwzięciem gigantycznym, choć wszystkie kuźnie, jakie dało się zaprząć do pracy, huczały dniem i nocą. Żelazo zbierano od ludności miast, dającej nowe dowody ofiarności, a paradne halabardy Gwardii Dartańskiej jednak się przydały, dostarczając od razu trzystu

świątecznych drzewc, zbyt wątych do ręcznej rąbaniny — lecz wybornych do celów Terezy (posrebrzane żeleźca z miejsca sprzedano w Akali; roztropny nabywca wiedział, że jakkolwiek zakończy się wojna, prędzej czy później ktoś zechce uzbroić straż przyboczną w piękne halabardy). Pomimo to wyszło na jaw, że na pewno zabraknie czasu i będą powody do zadowolenia, jeśli każdy legionista dostanie choć jeden oszczep. Lepsze to było niż nic. Opracowano komendy i sygnały gotowości do rzutu i samego rzutu oraz trzeci — że wolno zbierać wyrzuconą broń po zdobyciu całego placu boju lub tylko odparciu atakujących. Miał to czynić ostatni żołnierz z każdej dziesiątki. Obserwując pierwsze szkolenia z oszczepami, Tereza była naprawdę dobrej myśli. Uczciła swego zwiadowcę w bardzo niezwykły sposób: kocur nosił imię Derenet; nową broń, różniącą się zarówno od włóczni jazdy, jak i ciężkich oszczepów, których używały niektóre oddziały tarczowników, nazwano „derenetami”.

Po upływie dwunastu dni od chwili, gdy ostatni dartański oddział dotarł do leśnego obozu, Tereza wyprowadziła trzy nowe legiony na ćwiczenia. Armeктаńscy legionieści i gwardzieści Agatry przeczesali upatrzony teren i rozciągnęli bacny dozór nad okolicą, by nikt postronny nie przeniknął do rejonu, który nocą osiągnęły trzy czerwone legiony. Sprawdżian nie wypadł najlepiej: żołnierze zupełnie znośnie radzili sobie na szczeblu półsetki bądź klina, jako tako w ramach kolumny, potrafili jeszcze od biedy nie przeszkadzać sobie w ramach jednego półlegionu, ale legion był już całością tylko z nazwy, nikt nie umiał zapanować nad tysiącem bezładnie skłębionych żołnierzy, którzy potrafili utrzymać szyk marszowy, jeśli zostali wcześniej ustawieni na drodze, co zabierało nieprawdopodobną ilość czasu. Rozwinięcie z szyku marszowego do boju to był widok wręcz przerażający. Starsi rangą oficerowie, nawet jeśli wiedzieli, co robią, nie potrafili i nie mogli pilnować każdego podsetnika i setnika, więc kolumny i kliny włąziły sobie w drogę, nie potrafiły ustąpić (jak dwaj wychodzący z za rogu domu przechodnie, dający krok to w lewo, to znów w prawo — tak schodziły sobie z drogi oddziały Legii Dartańskiej). Podsetnicy nie umieli zmusić dziesiątników do zgrania komend w klinie. Na tle tego całkiem zgrabne parady skrzyuczanych niegdyś pod Akalą jeźdźców w czarnych tunikach, zachodzących przed łuczników, zamiast toporników, były istnym

popisem sprawności. Dla Terezy stało się jasne, że dzienny przemarsz legionu dartańskiego (jeszcze z taborami!) należy szacować na osiem mil, nie piętnaście. Zwinięcie biwaku, przyjęcie szyku marszowego, a później zwinięcie tego szyku i rozłożenie nowego obozu, musiało zająć pół dnia. Nie było też mowy o wejściu do bitwy z marszu, z czego zawsze słynęły imperialne legie: dartańskie ciężkie chorągwie, obojętnie jak samowolne i niezdyscyplinowane, były już otrzaskane w boju i wgniotłyby bezładny tłum w ziemię, zachowując w szykach wzorowy wręcz porządek — czas na pewno nie mógł naglić dartańskich rycerzy... Najmniejszym zmartwieniem był legion piechoty konnej, od początku pomyślany jako odwód na polu bitwy lub wsparcie dla konnych zagonów Legii Armekańskiej. Tereza wyobrażała sobie, że prowadząc bitwę, będzie mogła tymi szybkimi piechurami doraźnie zatykać dziury w ugrupowaniu i dosyłać posiłki, gdzie trzeba, na co dzień zaś niewielkie oddziały pójdą pod rozkazy doświadczonych dowódców Agatry i jej własnych, przydzielane jako wsparcie samodzielnie działającym kolumnom. Lecz większe manewry wszystkich sił koniecznie należało przeprowadzić jeszcze ze dwa razy; nadtysięczniczce cierpła skóra na myśl, jakie będą straty w jej czerwonych legionach, jeśli dojdzie do niezaplanowanej bitwy.

Na tle tego bardzo dobrze prezentował się legion Agatry. O armekańskich gwardzistach i legionistach nie warto było nawet mówić — był to najlepszy półlegion w całym Wiecznym Cesarstwie, bo Tereza mocno wątpiła, czy doświadczeni i okryci zasłużoną chwałą żołnierze gwardii imperatora zdolni są do podobnych wyczynów, zwłaszcza gdy w grę wchodziło działanie zespołowe. Na dodatek ci żołnierze mieli wszystko: tabory, zaplecze i służby wyglądały jak wycięte z regulaminów, nie brakowało ani jednego muła i jednej sakwy jucznej. Ale i Dartańczycy Agatry trzymali się wcale nieźle: Gwardia Dartańska może i była ćwiczona głównie do parad, ale ćwiczona tak twardo, że równy krok i chrzęst blach półlegionu rozbrzmiewał i gasł w jednej chwili. Tych trzystu żołnierzy na pewno nie mogło wejść nikomu w drogę, bo chodzili i działali jak jeden człowiek, zdolni przybić dwa kroki i zawrócić w miejscu, przejść w marszu z klinów „kolejno” w „szeregiem”, do boju zaś rozwijali trójkątny szyk przełamujący, równie łatwo jak oskrzydlające schody w lewo albo w prawo, czy na koniec trójkąt odwrócony do

oskrzydlenia dwustronnego. Wielkoludy w zbrojach, jakich nie miała żadna piechota Szereru, mogły ze swoimi halabardami dokazać niejednego. Na koniec ostatni półlegion też wyraźnie odstawał od wszystkich, które zebrano w trzech czysto dartańskich legionach. Agatra nie ukrywała, że ukradła dla siebie najlepszych żołnierzy i funkcyjnych, poza tym miała ich od dość dawna i już nieźle zdążyła podszkolić. Legioniści radzili sobie z manewrami na tyle, że na pewno mogli wejść do każdej bitwy prosto z marszu, z dowolnej pozycji w szyku legionu. Uzbrojeni byli przyzwoicie, bo jeszcze pod Tarwelarem otrzymali topory, nałokcice i nakolanki (każdy piechur miał jedno albo drugie, a niektórzy jedno i drugie), co w połączeniu z tarczami przekazanymi przez gwardię stanowiło udaną całość. Dwie flankowe kolumny miały w swym składzie po półsetce konnej piechoty (powołanie tej formacji było pomysłem Agatry), kolumna środkowa zaś piękną półsetkę kuszników. Tereza, zadowolona, że ma pod komendą aż dwa legiony, na których można polegać, nic nie mówiła i czasem tylko uśmiechała się pod nosem, myśląc o tym, że skąpo wydzielane przez Kirlan pieniądze i uzbrojenie w jakiś sposób jednak wiedziały, dokąd płynąć... Ktoś tam chyba kierował je w pożądaną stronę. Agatra miała nawet, dla swoich Dartańczyków, przyzwoity tabor — wprawdzie tylko jeden lub dwa wozy na klin piechoty i po dziesięć mułów na półsetkę jeźdźców pieszych (czyli o jedną trzecią mniej niż trzeba), ale to i tak było nieźle w porównaniu z nowymi legionami, zwłaszcza że wozy i juki mułów nie świeciły pustkami.

Zaopatrzenie stanowiło największą bolączkę Armii Wschodniej. Pieniądzy wciąż brakowało, ale jeszcze poważniejszym kłopotem było sprowadzanie jedzenia dla pięciu tysięcy ludzi — tak żeby nikt o tym nie wiedział... Na krótko przed przybyciem pierwszych dartańskich legionistów zaopatrzone obóz jako tako, ale tych zapasów nie mogło wystarczyć na długo. Tereza nie miała złudzeń: było więcej niż pewne, że niejedna głowa pracuje nad rozwiązaniem zagadki, gdzie właściwie rozpływają się karawany wozów i zwierząt jucznych i dla kogo wiozą ładunek. Chciała ćwiczyć swych żołnierzy dalej, ale jeszcze bardziej chciała ruszyć wreszcie na wojnę, zanim stanie się jasne, że osiem armektańskich legionów zebranych pod Tarwelarem i garnizon Potrójnego Pogranicza to nie wszystko, czym rozporządza cesarstwo.

Kiepsko wyszkoleni żołnierze, o których nikt nie wiedział, warci byli dwa razy więcej niż doborowi, wyglądani przez wroga. Jawiło się kwestią tygodni, a może nawet dni, kiedy cała prawda wyjdzie na jaw.

Wymęczona do ostatnich granic, stale galopująca po gościńcach dowódczyni armii, po nocach prawie nie sypiała, wraz z najlepszymi swoimi dowódcami układając plany kampanii. Napływały meldunki szpiegów i zwiadowców, potwierdzające lub negujące istnienie różnych przepraw mostowych, promowych i brodów. Inni przynosili wieści o zebranych pod Rollayną żelaznych hufcach Ahe Vanadeyone, zatrważająco licznych, zaopatrzonych we wszystko, czego można chcieć na wojnie, czekających nie wiadomo na co. Tereza od dawna uważała za całkiem jasne, że dartańska wojna domowa była tylko wstępem do wypowiedzenia posłuszeństwa cesarstwu. Prawie na pewno stała za tym tajemnicza pani Puszczy Bukowej, a napływające z Dartanu wieści tylko te domysły potwierdzały. Jasno już mówiono o powrocie królowej (właśnie królowej, nie króla!) odbudowie królestwa, potędze Złotego Dartanu... Wciąż jednak nic się nie działo. Wskreszeni Rycerze Królowej (no właśnie, i znów: a dlaczego nie króla?) stali pod Rollayną. Z Puszczy Bukowej nic nie wyszło. Żadne wojska. Tylko w samym Dobrym Znaku ponoć prawie nie było żołnierzy. Dokąd ich zabrano? Czy do wojskowego obozu pod Netenem, o którym doniósł zwiadowca? Jeśli tak — a było to prawdopodobne — to czekali na kierunku uderzenia Armii Zachodniej, przy drodze, która była teraz najważniejszą drogą Szereru. Armeктаńskie legiony musiały wkroczyć do Dartanu, bo tylko w ten sposób dało się zmusić wszystkie siły Pierwszej Prowincji do obrony północno-zachodniej części kraju. Wątpiła, by ciężkie chorągwie Sey Aye, nawet pod wodzą Yokesa, zdołały utrzymać tę drogę. To nie było wojsko do obrony lasu! Armeктаńscy łucznicy z północy mogliby gotować sobie zupy w hełmach najlepszej, być może, ciężkiej jazdy świata. Ale była jeszcze piechota, byli jeszcze słynni gajowi Sey Aye. I nie wiadomo co poza tym, bo kto wiedział, co naprawdę tkwiło za ścianą drzew? A jeśli tych gajowych nie było pięciuset ani nawet tysięcy, tylko dwa tysiące? Kto mógł przysiąc, że nie? Człowiek z łukiem kosztował pięćdziesiąt razy mniej niż człowiek w pełnej zbroi, z rycerskim ekwipunkiem i na bojowym rumaku, także okrytym zbroją. Dlaczegoż by Sey Aye nie mogło mieć dwóch, trzech, czterech tysięcy gajowych, skoro miało dwa tysiące

takich jeźdźców? Gdyby wojska Sey Aye zdołały bez pomocy Enewena zatrzymać uderzenie armektańskich legionów na rubieżach Puszczy Bukowej, stojące pod Rollayną chorągwie przekreśliłyby cały plan kampanii. Armia Wschodnia mogła wkroczyć do wschodniego i środkowego Dartanu, siejąc tam spustoszenie, zwątpienie i przerażenie, rujnując dobra Domów, ale nie wtedy, gdy nad jej głową wisiał żelazny młot Enewena. Stale unikając spotkania z Ahe Vanadeyone, dowódczyni Armii Wschodniej mogła co najwyżej — zwłaszcza na czele swych dartańskich legionów — puścić z dymem wioskę tu i tam, posłać zagon jazdy dla splądrowania małego miasta. To miały być spustoszenia? To miał być odbierający wolę walki podbój? A gdzie zburzone pałace Rollayny? Gdzie nocne łuny wzdłuż całego horyzontu, a za dnia czarne dymy?

Coraz częściej świtła jej w głowie myśl, że przemarszu dartańskich żołnierzy nie udało się jednak utrzymać w tajemnicy... Że jego godność Enewen czeka pod Rollayną właśnie na nią i jej niepewną armię.

*

Pierwsza klęska spadła na imperium, jeszcze nim zadźwięczały krzyżowane miecze. Tereza, pochłonięta bez reszty organizacją armii, szkoleniami, wyprawami po ekwipunek, a na koniec planowaniem kampanii, nie chciała słyszeć o niczym więcej. W końcu jednak płatnik Armii Wschodniej wdarł się do jej kwatery w leśnym obozie, stoczywszy przed drzwiami najprawdziwszy bój z wartownikiem. Półprzytomna Tereza, wyrwana z drzemki, na którą znalazła parę wolnych chwil, z niedowierzaniem patrzyła na funkcyjnego, który szarpał się w drzwiach z urzędnikiem. Urzędnik kopnął żołnierza w nogę i walnął pięścią w ramię. Żołnierz złapał urzędnika za gardło i przyparł do ściany.

— Co to jest? — zapytała ochryple nadtysięczniczka.

Szamotanina ustała.

— Wasza godność nie spała od dwóch dni — powiedział zdyszany dziesiętnik, tak wściekły, że gotów chyba naurągać wszystkim wokół, nawet dowódczyni. — Odprawiłem legionistę i sam stanąłem na warcie. Jutro wasza godność poprowadzi mnie na wojnę! — powiedział z prawdziwym gniewem. — Nie zamierzam zginąć w pierwszej bitwie dlatego, że nie spałaś od tygodnia!

Urzędnik oddychał chrapliwie, masując zdławione gardło. Odzyskał

nareszcie głos i wykrztusił:

— Od pięciu dni... chrrr... Już pięć dni, jak kazałem powiedzieć waszej godności... I nic! A ja nie wiem co robić! Chrrr! Jakie wydatki obciąć?! Żołd?! Chrr?! Zaopatrzenie?!

Rozebrana od pasa w górę Tereza przestała trzeć zaczerwienione powieki i wylazła z barłogu, groźnie potrząsając małymi i ciągle jędrnymi cyckami pięćdziesięciolatki, która, zamiast karmić dzieciaki, dźwigała ciężary z żołnierzami na majdanie. Ochlapała twarz wodą ze stojącego pod ścianą cebra, wreszcie podniosła naczynie i wylała zawartość na głowę. Bosa i półnaga dowódczyni armii to dla dwóch obecnych w izbie Armektańczyków nie było zjawisko godne uwagi. Zaczęli mówić jednocześnie, ale uciszyła ich gestem.

— Dziękuję, dziesiętniku. Obiecuję, że wyśpię się przed wymarszem, bo jest dużo racji w tym, co powiedziałaś. Ale teraz już nie śpię, więc dopuśćmy do głosu płatnika, bo gotów wstrzymać nam żołd.

Dziesiętnik odetchnął głęboko, skinął głową po wojskowemu i wyszedł. Tereza poszukała koszuli.

— No? Dlaczego chcesz obciąć wydatki?

— Nie mogę uwierzyć, że nikt nic waszej godności nie powiedział!
— Urzędnik był naprawdę przerażony.

— Coś słyszałam. Jakieś fałszywe pieniądze, tak? Ale co ja mam do tego? Legie zatrudniają skarbników i płatników właśnie po to, żeby dowódcy nie musieli ustawiać pieniędzy w słupki.

— Wasza godność... Fałszywe pieniądze? Fałszywe pieniądze! — zawołał nieszczęsny dusigrosz. — Tak, ale wszędzie, w całym Szererze! Nasze złoto z dnia na dzień traci wartość, nikt go nie chce! Wczoraj wieczorem otrzymałem pismo z Kirlanu i nie mogłem dostać się do waszej godności, nigdzie cię nie było! Nie będzie już żadnych pieniędzy, koniec, wasza godność! To, co mam w kasie, to wszystko! Na żołd, na wyposażenie, na żywienie, na spyżę, na spłatę zamówień — wyliczał. — Na tabory, na opłacanie szpiegów...

— Zaraz — przerwała Tereza. — Co to znaczy: nie będzie pieniędzy? Urzędnik rozłożył ręce.

— No... nie będzie — powiedział. — Kirlan pisze, że to koniec. Nie dostaniemy już nawet miedziaka. Może zdobędziemy trochę żywności dla ludzi, wystawiając kwity. Ale kwatermistrz mówi, że te pokryją

najwyżej czwartą część zapotrzebowania. Nie wszyscy chcą brać kwity, prywatnych dostawców zmusić nie możemy, a jeśli nawet zgodzą się przyjmować kwity, to nie wolno mi wystawiać ich na sumy większe niż...

— I nie będzie pieniędzy? — nie dowierzała nadtyśnięczka. — Ale... w jaki sposób mam dokończyć organizację armii, skąd mam wziąć zaopatrzenie na kampanię? Nie mamy żadnych zapasów! A czym zapłacę kowalom za wykuwane groty? Tyrają dzień i noc, a i tak z każdego pięciu jeden robią nam darmo!

— No właśnie, wasza wysokość. Intendent i kwatermistrz chcieli mnie pobić, gdy powiedziałem, że nic więcej nie dam. Jeden ma puste składki, a drugi nie może odwołać ani spłacić zamówień... Co mam robić?

— Nie wiem — powiedziała Tereza. — Ja nie znam się na finansach, od tego mam ciebie. Wiem, jak dobrze wydać pieniądze, ale muszę najpierw jakieś mieć. Zarabiać nie umiem, wojsko jest od tego, żeby spokojnie zarabiali inni. Ale co to znaczy, że nie będzie?! — zawołała raz jeszcze, rozgniewana, niebezpiecznie ładna; nawet blizna na policzku nie zgasła wydobytej na wierzch urody wojowniczkii. — Pierwszy raz słyszę coś takiego! Zawsze jest za mało pieniędzy, czasem śmiesznie mało, ale wcale? Mamy kraść jedzenie, czy co?! Jak mogę oszczędzać, jeśli nie mam nic? Ile masz w kasie?

Płatnik wymienił sumę.

— Przecież to jest nic! — ryknęła nadtyśnięczka. — Od jutra będę dowodziła armią głodomorów! I co, mówisz, z tym złotem? Jeszcze, że nikt go nie chce?!

— Z dnia na dzień traci na wartości. Takie wieści rozchodzą się jak wichry, bo wielkie przedsiębiorstwa kupieckie mają sztafety kurierskie między okręgowymi miastami. Z każdą sztuką złota trzeba chodzić do kantoru, żeby ocenili zawartość kruszcu, a nawet jeżeli ocenią i potwierdzą, że to dobra moneta, to drobny handlarz, czy jakiś rzemieślnik, i tak nie weźmie, bo będzie miał kłopoty, chcąc zapłacić tym pieniądzem komukolwiek innemu. W Okręgu Rapy jest najgorzej. W Akali lepiej, ale i tak złoto biorą tylko najwięksi dostawcy, oczywiście pod warunkiem, że słono przepłacamy. Najlepszą cenę dają ci, którzy mogą poczekać, aż pieniądz odzyska wartość, czyli najbogatsi. Przedstawicielstwa właścicieli ziem z Okręgów Riny i Rapy, od których bierzemy zboże, związki rybaków z Garry, od których mamy wędzoną i

soloną rybę, przedstawicielstwo Sey Aye, przedstawicielstwo sukienników z dartańskiej Semeny, browary i gorzelnie...

— Srebra nie mamy?

— Już nie.

— Ściągaj mi wszystkich płatników legionowych, wszystkich intendentów i kwatermistrzów — powiedziała nadtyśniczka. — Macie radzić i uradzić coś mądrego. Nie obchodzi mnie, jak wyżywicie wojsko. Żarcie ma być, koniec!

Płatnik chciał coś powiedzieć.

— Koniec! — wrzasnęła nadtyśniczka, zamierzając się butem, który właśnie miała wzuć na nogę. — Co to ma być, wojna czy jakieś przekłete liczykrupstwo?! Mam dostać w dupę dlatego, że komuś się spodobało zapłacić gdzieś blaszanymi pieniędzmi?! Wszystko nieważne, łuki, legiony i plany kampanii, bo brakuje kawałka śmierdzącego sera dla żołnierza! Po którym i tak srał dalej, niż widzi! Spierdalaj stąd i zrób z tym złotem porządek!

Czegoś podobnego płatnik jeszcze nie widział. Wściekł się na dowódczynię, lecz zarazem miał tyle rozsądku, że nie obraził się i nie odpowiedział wrzaskiem. Ta kobieta od dwóch tygodni nie schodziła z kulbaki. Nadludzkim wysiłkiem doprowadziła pięć legionów do jakiej takiej gotowości bojowej tylko po to, żeby usłyszeć, że teraz jej żołnierze po prostu nie dostaną jedzenia, a jeżeli nawet uda się coś zdobyć, to wystarczy na głodowe racje. Ci ludzie mieli wkrótce uderzyć na Dartan, przemierzyć dziesiątki i setki mil, niedosypiać, przebyć lasy i rzeki, walczyć, umierać z odniesionych ran, podtrzymywać w marszu chorych towarzyszy, przepychać wozy przez piaski i błota — wszystko to o chlebie i wodzie, bez uzupełnień, bez gorzałki. Mieli walczyć o kureę biegającą po spalonej wiosce, zjadać własne konie i oszukiwać głód, w nieskończoność żując cienkie paski suszonego mięsa. Nie mogli nawet sami kupować sobie jedzenia, bo pobierali pokojowy żołd, który i tak wypłacano im nieregularnie, a wystarczał, nawet w czasach spokojnej i zasobnej służby garnizonowej, na tanią dziwkę i jedną uczciwą pijatykę w miesiącu.

— Zrobię, co będę mógł, wasza godność — powiedział płatnik.

Ale wiedział, że może niewiele.

Dwa dni później Tereza otrzymała wiadomość o wymarszu Armii

Zachodniej spod Tarwelaru. Zapowiadano, że Armia Wschodnia odbierze rozkazy do uderzenia na Dartan natychmiast, gdy chorągwie Ahe Vanadeyone ruszą przeciw armektańskim legionom. W Kirlanie wiedzieli, że dłużej zwlekać niepodobna. Istnienie Armii Wschodniej mogło w każdej chwili wyjść na jaw. Poza tym na wrogim terytorium można było przynajmniej żyć z wojennej zdobyczy, a więc nakładać kontrybucje, wymuszać okup od mieszkańców miast albo po prostu rabować...

36.

Armia Zachodnia w ciągu kilku dni osiągnęła rejon Lida Aye. W mieście nadal siedzieli żołnierze Dartańskiej Straży Morskiej, panował spokój, nikt nie rwał się do wojny po którejkolwiek stronie. Armektańczycy skrycie pogardzali tym dartańskim „Pięknym Znakiem”, który był raczej symbolem służalczości, potwierdzeniem brzydkiej legendy o tchórzliwych i płaczących Dartańczykach. Lida nigdy nie była oblegana, bo ojcowie miasta zawsze czekali przed bramą, oddając miejskie klucze każdemu, kto się zgłosił, radośnie i przymilnie płacąc kontrybucje, posyłając dziewczęta z miejskich domów publicznych do armii, która obozowała najbliżej. Teraz także, choć wcale nie było to potrzebne, Lida Aye natychmiast potwierdziła swą wierność wobec imperium i imperialnych porządków. Dowództwo Armii Zachodniej zabrało z miasta kilka dziesiątek piechurów morskich i wzmocniło nimi osłonę taborów, po czym całe wojsko pomaszerowało dalej, z szybkością, o której wspominały wszystkie kroniki armektańskich wojen. Stanowiące rdzeń armii trzy doskonałe legiony północne, korzystając z głównego traktu, przemieszczały się z szybkością dwudziestu mil na dobę; czwarty legion, w całości złożony z jazdy, posuwał się jeszcze szybciej. Cztery pozostałe legiony, zebrane ze wszystkich obwodów środkowego i południowego Armektu, idące gorszymi bocznymi drogami, utrzymywały tempo do piętnastu mil, przez co marszowe ugrupowanie armii przybrało postać trójkąta, albo raczej grotu, którego ostrze stanowiły wojska z Północnej Granicy. Zajmujące wewnątrz szyku tabory były bezpieczne, a do obrzeży Puszczy Bukowej jako pierwsze miały dotrzeć wojska doświadczone, najsprawniejsze, potrafiące

należycie rozpoznać i zabezpieczyć teren. Zapasów na razie nie brakowało — wszystko, czego odmówiono Terezie, trafiło do armii, która pierwsza miała wejść do walki; ponadto liczono, że Tereza zdoła wyżywić swoich żołnierzy kosztem plądrowanego kraju.

Armia Zachodnia była wojskiem, które w rozpoczętej wojnie miało wziąć na siebie cały ciężar walk. Słabsza liczebnie i o niebo gorzej przygotowana armia Terezy nie sprostałaby podobnemu zadaniu — mogła co najwyżej palić bezbronny kraj i staczać małe bitwy z niewielkimi, desperacko wyrywanych z zachodu siłami Rycerzy Królowej. Ale Yokes nie wiedział, że istnieje druga armia imperialna — obojętne, słaba czy silna — i dlatego poczynił zupełnie fałszywe założenia. Sądził, że armektańskie uderzenie spod Tarwelu i Lida Aye będzie wyglądało tak właśnie jak to, które przewidziano dla Terezy. W podjazdowej wojnie, obliczonej na spustoszenie kraju, a także złamanie ducha walki i wyczerpanie przeciwnika, armektańskie legiony z północy mogły bawić się z chorągwiami Enewena w kotka i myszkę — czego pospołu dowodzili księżnej Yokes i mędrzec-Przyjęty. Dowódca wojsk Sey Aye nie posiadałby się ze zdumienia, gdyby mu powiedziano, że L. K. Caronen, naczelny dowódca Armii Zachodniej, pragnie dokładnie tego samego co on: związania sił przeciwnika i niczego więcej. Uderzenie na Neten i utrzymanie wiodącej przez las drogi było, oględnie mówiąc, przedsięwzięciem nie rokującym szybkiego sukcesu... Ale wystarczyło w zupełności do związania i skrwawienia wojsk Sey Aye, które musiały bić się o swoją „bramę do Szereru”.

Pierwsze meldunki, złożone przez konne oddziały rozpoznawcze, potwierdziły założenia armektańskiego planu. Podjazdy stoczyły kilka mniejszych i większych potyczek na skraju Puszczy, potyczek niezbyt krwawych, bo chodziło tylko o rozpoznanie przeciwnika, więc dowódcy armektańskiej jazdy nie naciskali mocno. Najsilniejszy opór stawiano, zgodnie z przewidywaniami dowództwa wojsk imperialnych, przy wylocie leśnej drogi. Tam, gdzie jeszcze dnia poprzedniego swobodnie przejeżdżały karawany kupieckie, nie śmiał przejść ani jeden uzbrojony żołnierz imperium. Uchwycenie skraju lasu było zadaniem dla piechoty, jazda zrobiła swoje i teraz miała już tylko osłaniać zataczających umocniony obóz łuczników i tarczowników. Zaczekano z tym do nadejścia nocy; Caronen nie lekceważył ciężkozbrojnych hufców

dartańskich i wcale nie miał zamiaru wdawać się w bitwę na równinie pod lasem. Zamierzał rano wyjść z umocnionego obozu i pod osłoną całej swojej jazdy, uszykowanej do bitwy, wedrzeć się do puszczy. Zdawał sobie sprawę, że słynni gajowi Sey Aye utoczą jego żołnierzom sporo krwi. Ale piechota z północy, szczególnie piechota lekka, umiała radzić sobie w takich warunkach. Przy znacznej przewadze liczebnej (bo Caronen nie był tak przemęczony jak Tereza i przytomnie zdawał sobie sprawę, że straż leśna Sey Aye na pewno nie liczy czterech tysięcy ludzi) armektańscy piechurzy, gorzej znający knieję, ale lepiej posługujący się łukami, nie powinni mieć dużych problemów z oczyszczeniem położonych wzdłuż drogi połączeń Puszczy Bukowej. Walcząc o las, nadtyśięcznik Caronen zamierzał jednocześnie pchnąć większą część swojej jazdy na obejście południowo-zachodniego leśnego jezora. Dwa tysiące nieuchwytnych konnych łuczników miały zarówno zagrozić tyłom wojsk Yokesa, jak też posiać przerażenie w prywatnych dobrach rycerskich, a na koniec skrwawić i wyczerpać podjazdową walką puszczańskie chorągwie, próbujące powstrzymać zagony. W armektańskim dowództwie uważano, że piechota prędzej albo później oczyści Puszczy Bukową aż po Neten i zdobędzie samą przystań, a wtedy — o ile nie wcześniej — obrońcy staną wobec konieczności zawezwania na pomoc stojących pod Rollayną wojsk Enewena. Do tego czasu Armia Wschodnia powinna być już na pozycjach wyjściowych do uderzenia na Dartan. Plan miał poważną wadę, a mianowicie: nikt nie wiedział na pewno, czy istnienie Armii Wschodniej wciąż jest dla Dartańczyków tajemnicą, a jeśli nawet nią jest, to jak długo jeszcze pozostanie. Armia Zachodnia nie mogła więc bawić się w przewlekłą wojenkę, będąc *orre seg gever*, „flotą w istnieniu” — samo istnienie zachodniego zgrupowania nie mogło zmusić Enewena do przyścia Yokesowi z odsieczą. Należało nacierać, szybko i zdecydowanie, nie unikając krwawych potyczek, a nawet mniejszych bitew, choćby o niepewnym wyniku. Nie do pomyslenia było tylko jedno: wielka bitwa pod lasem, toczona wedle reguł narzuconych przez przeciwnika. Dlatego Caronen nie tylko nie odesłał, ale wręcz ściągnął do siebie całą jazdę, jaką dysponował. Ustawione w bojowym szyku, osłaniające wychodzącą z obozu piechotę, karne kolumny i półlegiony łuczników konnych mogły uniemożliwić każdą próbę rozwinięcia przez wroga sił do bitwy na równinie.

Uszykowanie ciężkiej chorągwi „w grot” było sprawą mozolną i trudną. W pierwszym szeregu stało kilku kopijników, w następnym dwóch więcej, potem znowu — i tak, w zależności od tego, jak liczna była chorągiew, aż do chwili, gdy zabrakło ciężkozbrojnych. Musiało ich jeszcze wystarczyć na osłonięcie boków ugrupowania, którego wewnątrz zajmowali konni kusznicy. W środku ostrza szyku, lub w ostatnim szeregu kopijników, stawał chorąży u boku dowódcy chorągwi. Lekka jazda armektańska nie była w stanie wytrzymać uderzenia tak ugrupowanego oddziału, ale tutaj, pod lasem, nacierając z włóczniami na zajmujących miejsce w szyku ciężkozbrojnych, musiała najwyżej liczyć się z przebicciem przez jakieś rozproszone, nieuszykowane „w grot” siły osłonowe. Caronen uważał, że zwarte armektańskie kolumny podołają temu zadaniu. Następnie, po przedarciu się przez kordon, łatwo mogły zmieszać impetem ataku formujących szyk żołnierzy Yokesa, a potem związać ich walką w miejscu, aż do nadejścia piechoty. Gdy odpadał element siły uderzenia wyciągniętym kłusem lub galopem, przewaga okrytych pełnymi zbrojami jeźdźców nie była już tak oczywista. W zamieszaniu sprawniej powodujący zwrotnym koniem legionista imperium mógł nawiązać mniej więcej równorzędną walkę z przeciwnikiem, piechurzy zaś korzystali na skłębieniu bitewnego szyku jeszcze bardziej. Nadtysięcznik Caronen mocno wątpił, by rozważny dowódca Sey Aye — którego znał osobiście — uwikłał swoich żołnierzy w podobnie beznadziejną rąbaninę, choć po cichu liczył, że może się tak zdarzyć, jeśli zastępy skrytych w lesie gajowych są mniej liczne, niż szacowano. Obustronnie krwawa sieczka była bardzo na rękę dowódcy liczniejszych sił imperialnych i chętnie by ją nawet sprowokował. Dlatego, między innymi, zrezygnował z przemarszu pod osłoną ciemności — ale przede wszystkim zrezygnował dlatego, że dzienne uderzenie na las, pod osłoną własnej jazdy, było o wiele bezpieczniejsze niż nocna bitwa na skraju puszczy, toczona siłami piechoty. Caronen po prostu bał się posłać swych świetnych żołnierzy, jak na dłoni widocznych w świetle księżyca na równinie, pod łuki i kusze niewidzialnych strażników leśnych, którzy nie musieliby się cofnąć nawet po wejściu legionów między drzewa. Siedzący na skraju lasu gajowi znali tam z całą pewnością każdą piędź ziemi, każdy wykrot i każdy pień. Nie dało się też wykluczyć istnienia wilczych dołów i najrozmaitszych pułapek. W

podobnych warunkach nawet dwustu nieuchwytnych, niemożliwych do wypatrzenia strzelców mogło w nocy zdzięsiatkować mu armię. Ci ludzie nie strzelali być może aż tak dobrze jak łucznicy legii, ale kilku zabitych i trzydziestu rannych w ciągu dnia łuczników konnych było najlepszym dowodem, że strzelać jednak umieli. W leśnych ciemnościach nikt nie zdołałby powiedzieć nawet tego, z której strony nadleciała strzała.

Oficerowie starannie wybrali miejsce, a żołnierze legionów północnych sprawnie zatoczyli umocniony obóz w odległości mili od lasu. Z boku i z tyłu osłaniały go zabudowania sporej wsi, był też strumień, co oznaczało dostatek wody dla wojska. Nie liczono się z długim pobytem w obozie; założenie go wynikało z przezorności. Gdyby coś poszło niezgodnie z planem, gdyby przeciwnik, rozwijając swe szyki na równinie, zatrzymał jednak uderzenie armecktańskiej jazdy, piechota miała dokąd się cofnąć. Nadtysięcznik — stary wojak, który niejedno w życiu widział — uważał te połowe fortyfikacje za najzupełniej zbędne, nie chciał jednak niczego zaniedbać. Po pierwsze, żołnierze lepiej się bili, wiedząc, że w razie czego można cofnąć się w bezpieczne miejsce. Po drugie, a nawet przede wszystkim, Wieczne Cesarstwo miało tylko jedną pełnowartościową armię. Nikt nie miał prawa narażać jej bez potrzeby.

Płytki, ale dosyć szeroki rów, nierówną i nieciągłą linią zabezpieczył obozowisko — był to jeden z najprostszych i najlepszych sposobów na złamanie szyku nacierającej jazdy. Wzmocniły ten rów niewysokie skarpy, usypane z wydobytej ziemi. Pokonanie galopem podobnej przeszkody było najzupełniej niemożliwe, żaden „grot” nie mógł się utrzymać w sytuacji, gdy część nadjeżdżających musiała powściągać konie wcześniej niż towarzysze; zresztą wszelkie nierówności, dziury i wykroty były dla jazdy przekleństwem. Brzegi rowu wzmocniono zaostrzonymi palikami; historia wojen uczyła, iż każdy piechur winien mieć przy sobie jeden taki obustronnie zaostrzony palik. Zatknięcie podobnego kołka w ziemię było dziełem chwili; nawet przy pełnym zaskoczeniu przez przeciwnika dobrze wyszkolona piechota natychmiast potrafiła skryć się za lasem pochylonych dzid, zmniejszających nieco impet pierwszego ataku.

Do północy obóz był gotów. Zrezygnowano z rozbijania namiotów; pogoda dopisywała i nie zachodziła obawa, że wojsko przemoknie i zmarznie pod gołym niebem. W wojskowych namiotach i tak sypiało się

na ziemi.

Czwarta część piechoty stała pod bronią, oczekując świtu. Co jakiś czas luzowano oddziały i zastępowano je innymi, by każdy żołnierz mógł odpocząć przed bitwą. Czuwali wszyscy jeźdźcy na równinie, gotowi udaremnić próbę rozwinięcia przez wroga szyku pod osłoną nocy.

Jeszcze przed brzaskiem ruszyły legiony drugiej linii, kolejno ściągając pod obóz „pograniczników”. Legiony północne miały uchwycić skraj lasu i wziąć na siebie cały ciężar walk, jednak nadtyśięcznik Caronen chciał mieć pod ręką odwody, a przede wszystkim zamierzał zabrać całe wojsko z równiny tak szybko, jak to tylko możliwe. Podciągano tabor. Cztery rezerwowe legiony miały go osłaniać do chwili, aż stanie się możliwe wprowadzenie wozów na drogę między drzewami. Zabezpieczenie czoła taboru nie było sprawą trudną: wąski trakt wykluczał zaskakujące szarże ciężkiej jazdy, a zresztą żaden dowódca na miejscu Caronena nie mógłby sobie życzyć niczego piękniejszego niż widok potężnie opancerzonych wojowników na niezwrotnych bojowych wierzchowcach, uwikłanych w beznadziejną walkę między zaprzęgami, wozami, drzewami, wykrwawiających się w szarpaninie z obozową czeladzią i napływającą z lasu po obu stronach drogi piechotą. Myśl, że jego godność M.B.Yokes mógłby połakomić się na tabor, wzniewała we wnętrzościach Caronena intensywne i błogie ciepło.

Tuż przed świtem poderwano żołnierzy na nogi. Kucharze i pomocnicy dostarczyli z zaplecza posiłek, roznosząc kotły z gorącą mleczną zupą do wszystkich klinów w legionach. Także do stojącej w szykach jazdy dotarli konni pachołkowie z suchym prowiantem. Jeźdźcy nie trzymali swoich służb na głębokim zapleczu, lecz w najbliższym sąsiedztwie pola walki. Lekka jazda armektańska nie używała wozów taborowych — zamiast tego na każdym piętnastu ludzi przypadały cztery konie juczne, prowadzone przez służących przy wojsku koniowodnych. Zaplecze łuczników konnych nie mogło być kulą u nogi wojska przeznaczonego do wypadów na tyły wroga, wypuszczania zagonów, zaskakujących przemarszów. Lekkokonni zawsze i wszędzie mieli swoje bagaże „pod ręką”.

W umocnionym obozie wiarusy z Północnej Granicy wyskrobywały drewnianymi łyżkami resztki owsianki z misek, chowały kłamotoy do podręcznych toreb i leniwie spozierały na odległy o milę las, coraz

wyraźniej odcinający się od jaśniejszego nieba. Na równinie konni łucznicy żuli swoje suchary, popijając przywiezionym przez koniuchów piwem. Dzbany przechodziły z rąk do rąk. Oficerowie przejeżdżali stępą wzdłuż swoich oddziałów, gotowi w każdej chwili wydać potrzebny rozkaz. Porzucone dzbany pozbieraliby chłopcy z zaplecza.

Świtało.

Ozwały się sygnały do wymarszu. Ponad sześciuset łuczników z 3. Legionu Północnego wyszło z obozu, rozwijając szyk w lewo od drogi. Z daleka rozbrzmiał okrzyk-salut czterystu pięćdziesięciu jeźdźców tego samego legionu. Piechurzy odpowiedzieli okrzykiem.

Ruszyła piechota 1. Legionu Północnego, rozwijając się na prawo od drogi: prawie trzystu łuczników i dwustu osiemdziesięciu tarczowników. Ci nie mogli wymienić pozdrowień z konnicą legionową, stojącą na lewym skrzydle sił ubezpieczających.

2. Legion Północny, legion ciężkozbrojny, prawie pozbawiony był jazdy — tylko rezerwowa kolumna dowódcy składała się z trzech klinów konnych. Blisko siedmiuset tarczowników i trzystu łuczników ruszyło drogą na wprost. Ci żołnierze mieli uderzyć w sam środek, zdobywając cel główny: wylot leśnej drogi.

Północny Legion Konny, ostatni z czterech „pogranicznych”, wsparty oddziałami środkowo — i południowoarmektańskimi, od dawna trwał w gotowości. Żołnierze w ciągu nocy zdrzemnęli się trochę, jak wszyscy jeźdźcy, na zmianę schodząc z grzbietów zwierząt i przysypiając w trawie bez opuszczania szyku.

Cztery ubezpieczające tabor legiony weszły do opuszczonego obozu.

W sile armektańskich armii, złożonych z oddziałów, które wymieniano między legionami niczym klocki w dziecinnej układance, kryła się zarazem pewna słabość. Wszyscy żołnierze służyli Wojnie-Arilorze, ale tylko pod jej sztandarem... Armektańskie legiony nigdy nie miały własnych bojowych tradycji, tak silnie spajających jednostki. Armia zdobywców Szereru, świetnie zorganizowana, złożona jednak była z żołnierzy nie wiedzących, co to szlak bojowy. Idący na wojnę rycerz dartański zabierał ze sobą pamięć o wszystkich wojnach, w jakich brali udział jego przodkowie. W garyjskich flotach od zawsze istniał zwyczaj, że nowy okręt przybierał imię zniszczonego lub zatopionego poprzednika, przejmując pamięć o wszystkich jego zwycięstwach i

kłękach; załogę, o ile było to możliwe, kompletowano z marynarzy i żołnierzy służących na tamtym żaglowcu. Armektańscy synowie Wielkich Równin niczego podobnego nie mieli. Żaden łucznik nie mógł powiedzieć: „mój legion odznaczył się przed dwustu laty przy zdobyciu Rollayny”. Idących ku skrajowi lasu żołnierzy zebrano ze wszystkich wojskowych okręgów pogranicza i utworzono z nich legiony o takim składzie, jaki uznano za najlepszy. To samo dotyczyło rezerwowych legionów drugiej linii, pozbieranych z całego Armektu. Kliny dostały nowych sąsiadów w kolumnach; kolumny złożyły się na nowe półlegiony... Wszystko to w każdej chwili można było zmienić; w ciągu zaledwie jednego dnia, za sprawą reorganizacji zarządzanej przez dowódcę armii, mogły pojawić się legiony wyłącznie konne i piesze, ciężkie albo lekkie, mieszane w dowolny sposób — tak jak tego wymagała sytuacja. Niezwykle groźna była wojenna machina, zbudowana tak, że wszystkie jej części dało się dowolnie wymieniać, a pomimo to świetnie pasowały i znakomicie współdziałały. Czasem jednak brakowało tym żołnierzom pamięci o bojowym szlaku legionu, w którym służyli. Brakowało chętnych opowieści przy obozowych ogniskach, gdy podejmowano gościa z młodszej stażem jednostki, powiadając na przykład: „My, z Legionu Orłów, nigdy się nie cofnęliśmy”, a on słuchał i przysięgał sobie, że wraz ze swoimi towarzyszami z nowego Legionu Wilków też wkrótce będzie tak mówił. Nie było Legionu Orłów ani Wilków, nazwy i numery nadawano doraźnie. Nie było odrębnych znaków i tradycji... Wszyscy ci bracia-żołnierze służyli w Legii Armektańskiej pod sztandarem Niepojętej Arilory. Szli do jednej z najdonioślejszych bitew swoich czasów, walcząc dla cesarstwa, dla chwały i dla siebie, ale nie dla swojego legionu. Marnowało się w ten sposób wiele pięknych legend i sławy.

Legendą miały obrosnąć w tej bitwie broniące swego lasu dartańskie chorągwie.

Przenikliwe dźwięki świstawek oficerów jazdy rozbrzmiały z wielu stron naraz, bo w świetle wstającego dnia, na wylocie leśnej drogi, coś zamigotało. Coraz wyraźniej rozbrzmiewał tętent wielu koni — wyciągniętym kłusem wyjechała z lasu stłoczona w ciasnym szyku marszowym ciężka chorągiew dartańska: długi wąż jeźdźców, gotowych podjąć próbę rozwinięcia szyku przed frontem ustawionej do natarcia

armektańskiej konnicy. Proporce imperialnych nadsetników i setników na obu skrzydłach poruszyły się, powtarzając znak dany przez białe chorągwie tysięczników, dowodzących zbiorczymi legionami. Uszykowane do kontrszarzy kliny i półsetki ruszyły stępą; żołnierze sięgnęli po włócznie, zatknięte w tulejach przy kulbakach. Maszerująca ku ścianie lasu piechota przystawała, dając miejsce konnym łucznikom. Nie potrzebowano tam żadnych dodatkowych przygotowań — piesze kliny były gotowe do podjęcia marszu, udzielenia wsparcia jeździe, cofnięcia się lub obrony w miejscu. Do skraju lasu miały jeszcze pół mili.

Lecz ta mroczna ściana ożyła. Beładnie i chaotycznie spomiędzy drzew poczęły wysuwać się nowe gromady konnych, spływały ku sobie, szły stępą, inne kłusem. Wielu! Bardzo wielu było tych okrytych zbrojami, siedzących na świetnych koniach wojowników. Zamigotał barwny sztandar, potem drugi. Była to desperacka szarża osłonowa, której oczekiwał Caronen, podjęta bez formowania szyku, według zasady „kupą, rycerze!”. Za plecami tego kordonu stanąć miały uszykowane do walki pozostałe chorągwie. Ile? Po północnej stronie drogi wynurzyła się z lasu tylko jedna, wierzchowce były okryte granatowozielonymi kropierzami. Z drugiej strony wychodziły na równinę aż trzy — końskie szaty miały barwę błękitną, białą i czerwono-zieloną. Szkoleni pod rygorem wojskowej tajemnicy żołnierze dopiero w dniu pierwszej bitwy dostali odmienne stroje dla koni, z dumą ujęli w dłonie barwne bojowe tarcze, otrzymane w miejsce ćwiczebnych, osadzili w tulejach hełmów dodatkowe pióra, chełpiąc się świetnością swych oddziałów. Wcześniej całe wojsko musiało wyglądać tak samo, by nikt nie zdołał policzyć i odróżnić chorągwi. Teraz każdy z żołnierzy Sey Aye miał niezachwianą pewność, że to właśnie jego oddział jest najpiękniejszy ze wszystkich, że warto oglądać tylko róże na zielonym tle, białe fale na dostojnej szarości albo jednolicie mroczne, groźne jak sama śmierć, rozwiane kropierze Czarnej Chorągwi Przybocznej.

Armektańska kontrszarża prowadzona była spokojnie i pewnie.

Chorągiew, która wypadła kłusem z gardzieli leśnej drogi, pociągnęła za sobą drugą. Naraz dziać się zaczęły rzeczy niepojęte: z chrzęstem i łomotem długi wąż ciężkozbrojnych, wciąż idących wyciągniętym kłusem, począł zniekształcać się, skupiać w dziwną, skłębioną gromadę, nad którą płynęła łopocząca czarno-złota banderia z

czerwoną kreską wąskiej książęcej korony. Ze środka gromady rozbrzmiał donośny głos trąby i bezładna zgraja jęta przemieniać się płynnie w tępy, regularny grot. Gdy okrzepł w nowym kształcie, trąba rozbrzmiała po raz drugi. Z hukiem kopyt i stalowych blach potworne dłuto wykute z trzystu jeźdźców przeszło do galopu, płynnym łukiem schodząc z drogi, na której kłębiła się właśnie druga chorągiew, mniej liczna, ale tak samo sprawnie przechodząca z szyku marszowego wprost do szarży. Nie istniała na świecie taka ciężka jazda! Armektańscy lekkokonni, pod wodzą najlepszych dowódców, potrafili zmieniać szyk w obliczu wroga, dzielić się na mniejsze i większe oddziały, ale żelazne dartańskie hufce nie były zdolne do podobnych manewrów! By dokazać takiej sztuki, każdy żołnierz sam sobie musiał być dowódcą, musiał znać swoje miejsce w szyku, odnaleźć bocznych i poprzedzających, a wszystko to w ruchu, w obliczu kontrszarżującego wroga! Ciężkie i niezwrotne wierzchowce nie nadawały się do podobnych przepychanek, trudno je było okiełznać, puszczone galopem bardziej panowały nad jeźdźcami, niż jeźdźcy nad nimi.

Ale w oddziałach Sey Aye nie służyli mężni dartańscy rycerze, zjeżdżający się ze wszystkich stron świata, by stanąć pod wspólnym znakiem. Puszczkańskie oddziały tylko z wyglądu były rycerską konnicą. Ci ludzie nie spotkali się po raz pierwszy w chwili rozpoczęcia kampanii. Od lat siedzieli w leśnym obozie jazdy, na olbrzymiej polanie setki razy zrytej tysiącami kopyt. I tak samo setki razy trąbiono im w uszy sygnały, wymachiwano proporcami, które wyznaczeni do tego żołnierze, zwani podsygnałowymi, stale mieli śledzić, by zaraz wykrzyczeć najbliższymi towarzyszom, jaki znak przekazano. Nawet głosy trąb nie zawsze było słychać w dzikiej wrzawie bitewnej — ale wysoko uniesiony znak chorągwiany powtarzał każdy ich sygnał.

Trzecia z rzędu chorągiew na drodze układała się w tępy grot, najeżona od czoła masywnymi drzewcami kopii, a po bokach włóczniami średniozbrojnych. Przechodzące z kłusa do galopu konie nosiły przepiękne, biało-liliowe kropierze, zaś na dwupolowych tarczach trzymany przez kopijników parzyły czerwienią wszechobecne książęce korony.

Także i pod lasem nie było już bezładnych gromad i pojedynczych jeźdźców. Oniemiały Caronen mógł oglądać popis sprawności, jakiego nie

dałaby nawet jego własna jazda. Droga podzieliła pole bitwy na pół; w południowej części trzy grupy pod trzema łopoczącymi banderiami szły wyciągniętym kłusem, niewiarygodnie szybko równając do linii, płynnie przybierając kształt „grotów”, tak jak chorągwie na drodze. W samym sercu środkowej chorągwi wyrósł nagle wielobarwny gonfanon — zgasły za to banderie chorągwiane. To była armektańska szkoła szarży, te trzy chorągwie, na wzór armektańskich półlegionów, miały działać razem, posłuszne naczelnemu dowódcy! Armektańscy łucznicy konni ujrzeli się nagle przed czołem żelaznej ławy trzech walących galopem oddziałów, uporządkowanych niczym na paradzie — tylko tu i ówdzie powstrzymywał konia pojedynczy jeździec, który nie odnalazł swego miejsca w szyku i teraz próbował skryć się w „ogonie”, za plecami atakujących towarzyszy. Samobójcza kontrszarża imperialnych przygasła w deszczu czterystu bełtów, posłanych nad głowami kopijników, z wnętrza szyku każdej chorągwi. Te pociski, wystrzelone z dokładnością, o której nie mogli marzyć pocztowi dartańskich rycerzy, miały swoją moc. Ktoś próbował dać rozkaz do odwrotu, ale nie było już na to czasu, odległość topniała w oczach i można było przyjąć czołowe uderzenie albo dać rozpaczliwy rozkaz: „W rozsypkę! Ratuń się, kto może!”.

Nie wiadomo, czy poległy w tej bitwie tysięcznik konnych łuczników rozważał wydanie tego rozkazu. Dla każdego dowódcy jazdy jest to rozkaz ostateczny i haniebny, oznaczający niemożność zapanowania nad przebiegiem starcia; rozkaz nieszczęśnika, który wie już, że nie wygra, i chce tylko uratować chociaż garść żołnierzy.

Armektańscy jeźdźcy nie znali gonfanonu Sztandaru Mniejszego, ale jego rosnący w oczach bławat wszyscy, którzy wynieśli głowy, mieli pamiętać do końca życia. Trzy kliny żelaznych jeźdźców w pełnym galopie zderzyły się ze ścianą łuczników imperialnych i rozwały tę ścianę, prawie nie łamiąc szyku. Trzask pękających kopii i opętańczy wrzask z setek gardeł zmieszał się z bojowym zawołaniem ciężkobrajnych, w tle tego rozbrzmiał jękliwy zgrzyt rozrywanych kolczug, wizg armektańskich włóczni na kirysach, tarczach i nabiodrkach, chrapanie i kwik obalonych koni. Idące do kontrszarży w dwóch liniach armektańskie kolumny ucierpiały bardzo podobnie, bo pierwsza linia nie wyhamowała całego impetu żołnierzy księżnej Sey

Aye. Spłaszczony nieco, zniekształcony od zderzenia z wrogiem „groty” wpadły na drugą linię lekkiej jazdy i dopiero tutaj ciężkozbrojni ponieśli godne wzmianki straty. Większość kopijników miała w rękach już tylko ułamki kopii, a brakło czasu na dobyte mieczów. Spadł z konia okryty żelazem jeździec, dalej jeszcze kilku, przewrócił się koń, kłębiąc nieco szyć, ale niebieskie tuniki Legii Armekańskiej utonęły w morzu lśniących, bogato zdobionych kirysów. Ciężkozbrojni nie wdali się w walkę, poszli dalej, zostawiając za sobą poprzewracane konie, podnoszących się z ziemi jeźdźców, skowyczących rannych i wielu beznadziejnie rozproszonych, z trudem panujących nad zwierzętami, wciąż tkwiących w kulbakach łuczników. Rozbrzmiał przenikliwy dźwięk oficerskiej świstawki, ale przepadł gdzieś proporzec tysięcznika, nie było proporców nadsetników i przez wiele długich, śmiertelnie długich chwil, nim tu i ówdzie podniósł się trójkątny znak setnika, armekańscy łucznicy nie wiedzieli, gdzie mają się skupiać, dokąd jechać. W tym czasie zmieszana ciężka jazda drobnym kłusem oddalała się od poboju; gonfanon pochylił się w przód i wyprostował, zabrzmiała trąba na rozkaz dowódcy sztandaru i trzy „groty” znowu przeszły w wyciągnięty kłus, cały czas jadąc prosto przed siebie, jakby chciały zjechać z placu boju. Ale w trakcie jazdy chorągwie jęły wyrównywać swe szyki — ci żołnierze nie umieli chyba stanąć w miejscu dla przywrócenia ładu w szeregach, wydawało się, że koniecznie muszą kłusować, bo inaczej nic im nie wyjdzie! Zaraz, posłuszne nowym rozkazom gonfanonu, kolejno zabrzmiały trąby ze środka każdej chorągwi; sygnał był podobny, lecz każdorazowo dany w innym tempie. Trzy groty niespiesznie poczęły zataczać łuk, zachodząc w prawo, aż oczom patrzących przez wizury hełmów żołnierzy na powrót ukazał się plac boju. Skruszone kopie i włącznie zastąpiła inna broń, wedle uznania dobywana z pochew bądź odczepiana od kulbak. Chorągwie Sztandaru Mniejszego były gotowe ponownie włączyć się do bitwy. Miały przed sobą poszarpane, wciąż jeszcze zmieszane oddziały wstrząśniętych łuczników, którzy na skrwawionym i odbierającym wolę walki polu, pośród setek ciał zabitych i rannych towarzyszy, trupów końskich i resztek połamanej broni, z trudem skupiali się wokół ocalałych dowódców. W tle tego, tuż przed drogą, na samej drodze i za nią, toczyła się bitwa dyktowana przez jazdę Wielkiego Sztandaru.

Spływające z drogi i dalej za drogą cztery chorągwie Sey Aye nie działały razem, jak chorągwie Sztandaru Mniejszego. Prowadzone przez swych naczelników, rozeszły się na wszystkie strony, uderzając w to, co było najbliżej albo po prostu stanęło im na drodze. Potężna Czarna Chorągiew Przyboczna, która wynurzyła się z lasu jako pierwsza, weszła wprost pod ulewę tysiąca strzał, słanych przez piechurów z 2. i 3. Legionu Północnego. Na dumnych żołnierzy, którzy najczęściej ze wszystkich pełnili służbę u boku księżnej, pracując w koszarach obok jej domu na swe wspaniałe miano, których brawurowy marsz potrafił wstrząsnąć dowódczynią imperialnej gwardii, spadały kolejne fale groźnego dżdżu. W wojnie z Garrą Armektańczycy zapoznali się z siłą długich łuków, używanych przez wyspiarzy, i odrzucili tę broń, zakazując jej używania. Dla jeźdźca równin, który poza alerskimi zwierzętami z północy nie miał już wrogów w Szererze, była to broń kłopotliwa i zbędna. Także piechota nie widziała potrzeby przezbrajania się w długie łuki, droższe, niewygodne, a tak samo skuteczne przeciw nieopancerzonym wojownikom alerskim, jak te, których używano od stuleci. Teraz kolejne tysiące wyrzucanych pod niebo pocisków z bezlitosną dokładnością raziły posuwający się obok drogi zastęp żelaznych jeźdźców, zadając niemałe straty stłoczonym w środku „grotu” lżej osłoniętym kusznikom. Znakomicie sprostały wyzwaniu małe tarcze, wożone przez strzelców na plecach, ale w gąszczu spadających z góry pocisków bardzo wielu kuszników zostało rannych w ramiona, uda i karki, kilku zginęło, mocno ucierpiały nieokryte blachami wierzchowce. Lecz samo czoło i boki szarżującej chorągwi, pozostały nieczułe na lekkie armektańskie pociski; spadł z konia tylko jeden ciężkozbrojny jeździec, którego opuściło szczęście wojenne — smukły pocisk trafił prosto w wąską szczelinę hełmu. Nadtysięcznik Caronen, gotów wycofać piechotę do umocnionego obozu, gdyby zaszła taka potrzeba, nie umiał przewidzieć rzeczy niemożliwej, a mianowicie tego, że siedem dartańskich chorągwi po prostu wypadnie z lasu, cudownie przybierze kształt „grotów” i kłusem, a potem galopem wbije się w jego legiony, nie tracąc bodaj chwili na przygotowanie szarży. Gdyby nawet cała jazda Sey Aye, zamiast osłaniać się kordonem kilku chorągwi, od razu runęła do ataku, pędząc bezładnymi kupami, doszłoby do poważnych strat w armektańskich szeregach, ale potem, w chaotycznej rąbaninie wszystkich

ze wszystkimi, liczebna przewaga legionistów przesądziłaby o wyniku bitwy. Jednak w obliczu zwartych, w pełni kontrolowanych przez dowódców chorągwi, uderzających w wybrane punkty, nikt nie mógł stawić skutecznego oporu zaciśniętym na podobieństwo pięści stalowym hufcom, które ani myślały iść w rozsypkę. Nikt też nie mógł uciec, a co dopiero wycofać się w szyku, z przeklętego pola bitwy. Od momentu, gdy wschodzące za lasem słońce wyłowiło pierwszy błysk ze zbroi jeźdźca na wylocie drogi, minęło akurat tyle czasu, ile trzeba, by konny żołnierz pokonał niecałe pół mili — nad tysięcznik nie zdołałby doliczyć do stu. Ogłupiały stary żołnierz, który przemyślał manewry i obroty we wszelkich wojnach wygranych i przegranych przez Armekt, nigdy sobie nie wyobrażał, że w najważniejszej bitwie swego życia zobaczy na własne oczy, co wynika z połączenia dartańskiego konia i zbroi z wyszkolonym według armektańskich zasad, karnym i posłusznym żołnierzem, któremu przez kilka lat płacono tylko za codzienne ćwiczenia. Ćwiczenia prowadzone pod okiem doświadczonego dowódcy i znakomitego jeźdźca, urobionego w imperialnej machinie wojennej na armektańską modłę. Yokes, z powodu braku koni, nie mógł mieć więcej kopijników, ale strzelców konnych zdołałby zebrać dwa razy tyle, ile zebrał. Nie uczynił tego, prowadząc nabór bardzo rozważnie. Nawet żołnierze, których przyjął niedawno, musieli być świetnymi jeźdźcami, przede wszystkim zaś w ciągu ostatniego półrocza przyjął bardzo niewielu. Tak niewielu, że wtopieni w znakomicie wyszkolone oddziały szybko równali do starszych stażem towarzyszy. Taki system sprawdzał się w armektańskich stanicach na północy, dokąd posyłano uzupełnienia pod postacią przeszkolonego, ale jednak „surowego” rekruta. Nowi żołnierze bardzo szybko uczyli się pod okiem doświadczonych kolegów. Yokes niczego sam nie wymyślił. Wszystkiego nauczyły go imperialne legie.

Licząca trzysta koni przyboczna chorągiew księżnej, gubiąc poległych i rannych strzelców, została zmieszana w lżej zbrojnym wnętrzu szyku, ale nie aż tak, by kusznicy zapomnieli o rażeniu wrogiej piechoty. Już wcześniej wystrzelone zza pleców kopijników bełty pierwsze powiedziały armektańskim łucznikom, że nie są nietykalni. Z trzaskiem kruszonych o końskie ladry zaostrzonych palików „grot” Czarnej Przybocznej przedarł się do linii ciężkiej piechoty,

ubezpieczającej łuczników. Mężni legioniści z toporami, osłonięci przez solidne tarcze, nie mieli przecież żadnej możliwości oparcia się ważącym dziesięć razy więcej, rozpędzonym konnym żołnierzom. Tarcze nie wytrzymały uderzenia kopii, a jeśli nawet niektóre sprostały wyzwaniu, to nie było takiego piechura, który ustałby na nogach, odebrawszy podobny cios. Pośród huków, który przewyższył nawet łoskot towarzyszący szarzy Sztandaru Mniejszego, jeźdźcy na spowitych w czarne kropierze koniach, jednym uderzeniem rozbili toporników, po części wgniatając ich w ziemię, po części odrzucając i spychając na stojących z tyłu łuczników. Skłębivszy się z piechotą, żołnierze Sey Aye uwięźli w niej na koniec i wdali się w rąbaninę, o której marzył nad tysięcznik Caronen, ale wdali się na swoich warunkach. Z pięciuset pieszych żołnierzy 1. Legionu Północnego, po zderzeniu z jazdą, na nogach stała najwyżej połowa, na dodatek byli to okryci tylko kolczugami łucznicy, z krótkimi mieczami w dłoniach, bo topornicy z pierwszej linii prawie wszyscy polegli lub zostali ranni. Nie ustępujący liczebnie lekkim piechurom imperium jeźdźcy pani Sey Aye urządzili im istną masakrę, prawie nietykalni pod osłoną grubych blach. Nawet strzelcza jazda z wnętrza szyku uzbrojona była — a i wyszkolona — do walki wręcz znacznie lepiej niż łucznicy Legii Armeckańskiej, dla których regulaminy przewidywały udział w bezpośrednim starciu tylko wraz z ciężką piechotą. Ci żołnierze mieli strzelać, nie rąbać; miecze przydawano im tylko do obrony własnej. Jazda Sey Aye zupełnie bezkarnie wycinała teraz — a raczej rozgniatała — doborowych łuczników, nie mających w takim starciu żadnych szans. W najlepszym z północnych legionów były aż trzy kliny gwardyjskie — tych świetnych, zasłużonych żołnierzy, wraz z innymi rozniesiono na mieczach bądź wdeptano w ziemię.

Żadna odsiecz nie mogła nadejść. Najpotężniejsza ze wszystkich, granatowo-zielona Chorągiew Domu, która jako jedyna ustawiła się do szarzy „w płot”, by w pełni wyzyskać liczbę swych żołnierzy, zderzyła się z armeckańskimi konnymi łucznikami, kontrszarżującymi od lewego skrzydła ku środkowi, i osadziła ich w miejscu. Szyk „w płot” nie miał przełamującej mocy „grotu”, ale dowódca elity Sey Aye chciał tylko na całej linii zatrzymać armeckańską kontrszarżę — i dopiął swego celu. Za plecami jeźdźców Domu łomotały kopyta spływających z drogi chorągwi.

Szara przewaliła się obok uwikłanej w bój z piechotą Czarnej i rozniosła jakąś setkę armektańskich jeźdźców, próbujących wejść w lukę między legionami — była to odwodowa kolumna północnego legionu ciężkozbrojnego — po czym poszła dalej, płynnym łukiem wychodząc na tyły łuczników 3. Legionu. Jadąca na końcu Chorągiew Pierwszego Śniegu, ze swym biało-liliowym sztandarem powiewającym w środku ostrza „grotu”, nie zjechała z drogi. Biorąc trakt „okrakiem” pod siebie, z grzmotem tłukących ziemię podków, pod deszczem strzał pędziła na spotkanie tarczowników z 2. Legionu Północnego. Coś poszło nie tak, jak trzeba, zbyt wielu żołnierzy nie zdołało odnaleźć swego miejsca w szyku i biało-liliowa nie stworzyła tak równego „grotu”, jak dwie poprzedniczki. Niemal trzecia część chorągwi szła w rozsypce, ale nawet to pokazało, jak świetnie wyćwiczono tych jeźdźców. Widząc, że nie dołączą do przełamującej szarży, ciężkozbrojni równali już tylko do siebie, tworząc dwa krótkie „płoty” po obu stronach „grotu”, podczas gdy rozproszeni kusznicy uciekli za ich plecy. Caronen nie mógł dostrzec wyniku tego starcia, bo walczące wojska przysłoniły mu widok, ale po raz kolejny, usłyszał trzask kraszonych o końskie zbroje zaostrzonych pali, kwik zwierząt i jeszcze jeden trzask wpleciony w przeciągły huk, gdy kopie zderzyły się z tarczami. Trzask i huk utonęły w nieludzkim ryku i skowycie, brzmiącym, jakby wydało go jedno olbrzymie gardło. W 2. Legionie było więcej ciężkozbrojnych żołnierzy, a Chorągiew Pierwszego Śniegu liczyła tylko dwustu czterdziestu jeźdźców, z których wielu nie weszło do „grotu”, więc wynik starcia nie był oczywisty; biało-liliowi musieli napracować się o wiele solidniej niż ich towarzysze z Chorągwi Czarnej Przybocznej...

Lecz to nie miało znaczenia dla ogólnego przebiegu bitwy, nad którą nikt nie panował.

Nie, przeciwnie — ktoś nad nią jednak panował, ale nie był to dowódca w białej tunice z obszyciami oficera imperium... Leśna droga wypuściła na równinę jeszcze dwie, migoczące wszystkimi barwami, ciężkie chorągwie, które krótkim kłusem rozeszły się na boki. Jedna przystanęła dla sformowania szyku, lecz jej sąsiadka ruszyła z miejsca, choć bezładnie, na pomoc jeźdźcom Domu, uwikłanym w rąbaninę z całą armektańską jazdą pomocnego skrzydła. Jeźdźcy wydłużyli kłus wierzchowców, przeszli do galopu. Wyjechała i trzecia wielobarwna

chorągiew, ruszając od razu do przodu, po drodze i obok drogi, tak samo bezładną kupą, której jednak nic nie mogło zagrozić. To było dartańskie rycerstwo, mogące teraz, pod osłoną szalejących po całym polu bitwy żelaznych hufców Yokesa, włączyć się do walki. Nie miało już znaczenia, czy pędzące chorągwie trzymają jakiś szyk; nie chodziło o rozbicie wroga impetem szarży, posiłki miały tylko wzmocnić „biało-liliowych”, rąbiących się na drodze z przytłaczającymi ich liczebnie, nierozbitymi szarżą tarczownikami imperium. Na skrzydle, zmagający się z jazdą „granatowo-zieloni” już pomoc otrzymali. W sukurs żołnierzom Pierwszego Śniegu ruszyła ostatnia z posiłkowych chorągwi, ta która pod lasem najpierw próbowała ustawić się w szyku, a teraz poniechała zamiaru — dowodzący tą jazdą rycerz, widać bystry dowódca, uznał, że wystarczy bezładne, byle szybkie, włączenie się do boju. To była dobra decyzja... Nadtysięcznik Caronen pojął, że w żaden sposób nie wesprze swych masakrowanych żołnierzy, usiłował więc wyprowadzić do umocnionego obozu jedyny niezaatakowany legion, 3. Północny, złożony z samych łuczników. Do obozu, bo tylko tam jeszcze stały wojska, którymi mógł dowodzić i które musiał ocalić. Miał pojęcie, że w tej fazie boju, gdy już nie istniały szyki, owi niekarni rycerze musieli dopełnić klęski. Ci synowie dartańskich Domów, włączając się do rozstrzygniętej już bitwy, mieli zakończyć żniwa, wspierając chorągwie Sey Aye, ścigając niedobitki konnych i pieszych legionistów, zmuszając ich do beznadziejnych pojedynków i mordując.

Na przecięcie drogi cofającego się 3. Legionu Północnego pędziło ćwierć tysiąca jeźdźców na koniach okrytych ciemnoszarymi kropierzami, przeciętymi jaskrawobiałą falą — Szara, zazdrosna o wspaniałe miano Czarnej Przybocznej, druga z chorągwi najczęściej strzegących domu księżnej. Teraz, po rozbiciu setki konnych, jeźdźcy Szarej przedarli się na tyły przez lukę między legionami. Najpierw zwolnili, wypatrując celu, teraz znowu puścili konie wyciągniętym kłusem. Nadtysięcznik wiedział już, że pozostało tylko drogo sprzedać skórę. Chciał stanąć do walki na czele nieszczęsnych piechurów, ale nie pozwolili na to dwaj towarzyszący mu oficerowie.

— Dowodzisz armią, nie legionem! — wrzasnął jeden. — Dano ci armię, nie legion, masz więc ratować armię!

Grupka jeźdźców popędziła do obozu, zostawiając za plecami

sześciuset lekkozbrojnych, posyłających właśnie pierwszą chmurę pocisków. Skazani na zagładę piechurzy nie mieli nawet swoich zaostrzonych kołków, zatkniętych w ziemię już wcześniej, na poprzedniej pozycji. Nie było huków, jak wówczas, gdy kopie zderzały się z tarczami; uchodzący do obozu nadtyśięcznik posłyszał tylko grzmot wojennego zawołania „szarych”, trzask łamanej broni i mnogi wrzask łuczników.

Z lasu wyłoniły się dwie lekkie chorągwie Sey Aye. Ci żołnierze, choć ciężiej opancerzeni niż cesarscy, dosiadali jednak szybszych koni dartańskich i niewiele ustępowali ruchliwością konnym łucznikom legii. Chorągwie sprawnie podzieliły się na półsetki, rozjeżdżając się na wszystkie strony. Półsetka lekkiej jazdy mogła już bezpiecznie truchtać po polu bitwy... Równina pod lasem była teraz jednym wielkim kłębowiskiem zwartych i rozproszonych oddziałów, pędzących dokądś konno i pieszo ludzi, galopujących koni bez jeźdźców. Chorągwie Sztandaru Mniejszego raz jeszcze rozbiły armektańską konnicę, przejeżdżając po jej resztkach w drugą stronę. Gonfanon opuszczono, na powrót wykwitły banderie. Chorągiew Stu Róż wyszła z walki, stając pod samym lasem, gdzie pojawiła się grupka jeźdźców w cieniu licznych proporców. M.B.Yokes, rycerz i dowódca wojsk pani Dobrego Znak, życzył sobie mieć pod ręką odwód, który mógłby skierować w dowolne miejsce pola bitwy, choćby na spotkanie piechoty z obozu, jeśli jakimś dowódcy strzeliłoby do głowy postać ją na odsiecz wyrzynam na równinie oddziałom. Chorągwie Błękitna i Trzech Sióstr rozproszyły się w pogoni za niedobitkami jazdy prawego skrzydła. Nie rokowało to sukcesu: prawoskrzydłowe armektańskie półlegiony nie istniały już jako zwarte formacje, mogące odegrać w bitwie jakąkolwiek rolę. Pojedynczych jeźdźców na rącznych wierzchowcach ciężkie poczty Sey Aye na pewno nie mogły wyłapać, a odwrotnie — pierzchający łucznicy potrafili się odgryźć, posyłając pociski, groźne jednak dla niektórych lżej zbrojnych prześladowców. Wkrótce ozwały się trąby i obie chorągwie zaprzestały jałowej gonitwy, wzorem pierwszej ściągając pod rozkazy naczelnego wodza.

Na lewym skrzydle cesarskich skrwawiona przez żołnierzy i rycerstwo armektańską jazda wyrywała z bitwy, co tylko się dało. Najpierw prysnęły do tyłu poczty oficerskie, zaraz rozbrzmiały

świstawki i półlegiony sprawnie oderwały się od wroga. Długa linia Chorągwi Domu nie rozbiła szyku łuczników konnych, tak jak uczyniły to na drugim skrzydle „groty” Sztandaru Mniejszego; cesarscy jeźdźcy wciąż mieli dowódców i stanowili zdolną do walki siłę. Ale jaka to była siła! Okropnie poszarpane kliny jazdy, ostrzeliwując się z łuków, uciekały galopem z pola bitwy, gubiąc rannych, którzy nie mogli sprostać szybkości poruszeń swych oddziałów. Pognali za nimi rycerze z posiłkowej chorągwi przysłanej przez Enewena, ale zwycięska Chorągiew Domu triumfalnie pozostała na placu boju, w miejscu gdzie zatrzymała kontrszarżę czterokrotnie liczniejszego przeciwnika.

Z piechotą w środku pola sprawa miała się inaczej niż z lekkokonnymi. Łucznicy i tarczownicy nie mogli uciec przed wrogimi jeźdźcami. Dorzynano ich bez cienia litości. Tylko zmieszane, na łeb na szyję pędzące gromady łuczników z 3. Legionu, przy którym do końca chciał pozostać Caronen, dopadały czasem zbawczego obozu, o ile nie dogonił ich wcześniej zwarty na powrót klin Szarej Chorągwi, ciężkim kłusem przemierzającej pobojuwisko. Całą resztę mordowano. Bywało, że dartański kopijnik, dosiadający wierzchowca okrytego czarnym lub biało-liliowym kropierzem, teraz już z mieczem lub toporem w dłoni, ścigał nieszczęśnika, którego w ostatniej chwili porywał mu sprzed nosa jakiś konny kusznik, ćwiczący się w celnym strzelaniu. Kiedy indziej to właśnie kusznicy szukający celu musieli obejść się smakiem, na widok zwartej grupki własnych towarzyszy, którzy lada chwila mogli przysłonić im widok. Spod lasu, od grupki dowódców wyprysnęli gońcy z czerwonymi proporczykami na wysokich żerdziach, przymocowanych do kulbak; łatwo było tych posłańców zauważyć. Yokes nakazywał przerwać polowanie, obawiając się, że w narastającym chaosie kusznicy mogą trafiać kopijników. Spływające z pola bitwy resztki armektańskich legionów — pojedynczy żołnierze lub ich grupki — bez tarcz, z pogubionymi hakami, pędzące przed siebie byle dalej, to nie był cel dla siedmiu ciężkich chorągwi Sey Aye, wspartych przez trzy rycerskie. Nawet puszczańska lekka jazda nie miała już nic do roboty.

Pozostał tylko umocniony obóz.

Chorągiew Domu pierwsza stanęła w szyku pod lasem po drugiej stronie drogi, na wprost tego, co niedawno było armektańskim lewym skrzydłem. Dołączały do niej chorągwie Wielkiego Sztandaru. Sztandar

Mniejszy wyszedł z odwodu, krótkim kłusem idąc w stronę gościńca, a potem prosto na obóz imperialnych. Yokes chciał przypieczętować swe zwycięstwo. Istniała szansa, że legioniści, wstrząśnięci tym, co ujrzeli na równinie, ugną się wobec możliwości wznowienia morderczego boju.

Ale tak się nie stało. Gęsta chmura pocisków poderwała się ku niebu i pomknęła na spotkanie niespiesznie nadciągającej jazdy. W obozie siedziało prawie dwa i pół tysiąca łuczników. Banderie i trąby natychmiast dały znak do odwrotu — konnica Sey Aye pospiesznie wychodziła spod ulewy strzał, gubiąc kilkunastu strzelców i uwożąc dwa razy tyle rannych. Pośród tych, co spadli z końskich grzbietów, jeszcze kilku próbowało umknąć na piechotę, kulejąc, ze strzałami w udach i ramionach. Pędziły konie bez jeźdźców. Nie wszystkim ludziom i zwierzętom się udało, cesarscy mieli dużo pocisków... Najeżona tysiącami pierzastych strzał ziemia wyglądała niesamowicie; był to widok odbierający wszelką chęć do walki. Yokes mógł zdobyć obóz cesarskich, lecz zaniechał tego. O szarzy nie było mowy, musiałby przed samym rowem spieszyć swoich jeźdźców i choć polegał na ich umiejętnościach, to wiedział, że przy braku liczebnej przewagi, w dzikiej młócce, jego armia poniesie bardzo znaczne straty. Wojska Sey Aye złamały siłę i ducha bojowego armektańskich legionów, dowódca księżnej Ezeny osiągnął wszystkie założone cele i teraz wolał zachować wojsko dla pani, której służył. Przyszłość była nieodgadniona; nowa królowa Dartanu mogła bardzo potrzebować swoich świetnych wojsk.

Komendant Sey Aye wciąż nie wiedział, że oprócz pobitych właśnie legionów Wieczne Cesarstwo ma jeszcze drugą armię. Sądził, że przed ruszającym na podbój Armektu Enewenem stoi tylko osamotniony czarny Legion Akalski. Gdyby wiedział, że Tereza ma pod komendą jeszcze cztery inne legiony, w tym jeden elitarny, gwardyjski, nie istniałaby taka cena, którą wahałby się zapłacić za całkowite zniszczenie armektańskiej Armii Zachodniej. Zdobyłby obóz Caronena, choćby przyszło mu za to płacić życiem połowy żołnierzy i ranami drugiej połowy. Lecz nie wiedział, że powinien to zrobić. I choć zadał wrogim wojskom druzgoczącą klęskę, zaprzepaścił połowę owoców zwycięstwa.

*

Jej książęca wysokość, po słownej utarczce z dowódcą swojej armii, obraziła się, ale zgodziła zostać w obozie. Anessy jednak nie upilnowała.

Pierwsza Perła kręciła się przez cały wieczór, z błyszczącymi oczyma obserwując wymarsz chorągwi. Minęła noc, potem dzień, a wieczorem do obozu dotarł goniec z wieścią, że legioniści stanęli milę przed skrajem lasu. Towarzystwo podnieconej do ostatnich granic Anessy stało się po prostu nieznośne; piękna Perła nie mogła usiedzieć na miejscu, co chwila biegała za potrzebą, obzerała się nieprzytomnie i w ogóle nie słuchała, co się do niej mówi. Ezena i Hayna także były podekscytowane. Przyszedł Gotah, porozmawiał, życzył księżnej i jej Perłom dobrej nocy i zabrał się do komendantury, gdzie mieszkał i bez przerwy kreślił jakieś mapy. Ezena uznała, że całonocne tkwienie przy świecach to najgorszy pomysł z możliwych, zagoniła więc Perły do łóżek i sama także się położyła. Nie zasnęła łatwo. Kilkanaście mil dalej Yokes szykował się do bitwy (a może już ją toczył?). Od wyników tego starcia mogło zależeć wszystko, nawet losy wojny. Ezena ufała swojemu dowódcy (choć w liście do Enewena dowodziła czegoś przeciwnego; *Wasza Godność* — pisała — *nie każdemu mogę ufać tak jak Tobie, łatwo więc zrozumiesz, że moja obecność przy wojsku, które wystawiłam z takim trudem, jest nieodzowna, gdy odwrotnie — kontrola nad Twoimi poczynaniami najzupełniej zbędna...* — i dalej w podobnym tonie). Jednak zaufanie miało swoje granice; księżna doskonale wiedziała, że na wojnie oprócz odwagi żołnierzy i umiejętności dowódców liczy się coś jeszcze — na przykład szczęście bitewne. Zasnęła w końcu i — o dziwo — spała zupełnie dobrze, nie budząc się i nie śniąc o niczym szczególnym; w każdym razie nic nie pamiętała.

Rano nie znalazła Anessy. Była tylko karteczka.

Wasza Wysokość — napisała niewolnica — uczynisz ze mną, co tylko zechcesz, ale muszę pojechać traktem choć kawałek, może spotkam gońca od Yokesa, a wtedy przywiozę Ci wieści. Muszę pojechać, bo czuję, że zaraz umrę! Przebacz mi, Ezeno! Zaraz wracam!

I tyle.

Ezena przeczytała kartkę dwa razy i wściekła się tak, że Hayna z najwyższym trudem powstrzymała ją od wsiadania na koń. Wyszło zaraz na jaw, że jej wysokość gotowa jest zabić Pierwszą Perłę tylko za to, że... nie pojechały razem.

— Siedzę tu jak... no, jak co?! Nie wiesz?! — wrzasnęła na Haynę, która próbowała jej pomóc przy sznurowaniu sukni. — Wszyscy mną

komenderują, miałam jechać na wojnę, a wyleguję się pod daszkiem na kijkach! Wstrętna dziwka! Jak tylko wróci, od razu ją poślę do Sey Aye! Siedzieć z Kesą, jak nie może wysiedzieć przy mnie! Znalazła się, głupia... — jej wysokość zgrabnie wplotła słówko, bez dwóch zdań zasłyszane od żołnierzy w obozie; Haynie zwiędły uszy pod włosami. — Nawet nie przyszła zapytać: „Jedziesz ze mną czy siedzisz tu, głupia babo?”. Cichutko jak myszka obudziła przyboczną i proszę! Pojechała!

— Jeżeli ją zabiją, to kupisz sobie nową — przytomnie powiedziała gwardzistka. — Jeżeli ją zgwałcą jacyś niesforni żołdacy, to tym bardziej świat w posiadach nie zadrzy. Ale jeśli zabiją ciebie, to trudno będzie o królową Dartanu. Nawet jak tylko zgwałcą i zapłodnią, to będzie następcą tronu, z cokolwiek nieprawego łoża. No tak, wasza wysokość? Nie każda kobieta na drodze w środku lasu oznacza takie same problemy.

— Jeśli mnie zgwałcą, to sobie zaparzę ziółek.

— No, skoro tyle zrozumiałaś z tego, co powiedziałam... Oczywiście, ziółka rozwiązują problem.

Ezena otworzyła usta, zamknęła zaraz i po chwili otworzyła znowu. Dotknęła językiem górnej wargi.

— Głodna jestem — powiedziała. — Zdobądź mi jakieś jabłko.

Wyglądało na to, że rozsądek wrócił.

— Nie uciekniesz? — upewniła się Perła.

— O, patrzcie: głupia Hayna — powiedziała Ezena. — Dokąd mam uciekać? Wiem, że nie mogę szarżować na czele jeźdźców Yokesa. Tak sobie tylko... mówiłam. Daj mi jabłko, muszę coś gryźć.

Czarnej Perle zamarzył się dzień, w którym księżna polubi szyszki. O jabłka w obozie było niezmiernie trudno. Wciąż brakowało wiosennych owoców, a ciężko zdobyte przysmaki z zimowych zapasów Ezena zjadała z ostentacyjnym wstrętem, wyraźnie pokazując, jaką robi łaskę.

Hayna ruszyła szukać jabłek. Siedzenie przy skwaszonej księżnej nie należało do przyjemności.

Oddział trzydziestu jeźdźców, który przewalił się galopem przez obóz, mknąc ku drodze wiodącej do Netenu, wprowadził Czarną Perłę w osłupienie. Przerwała sprzeczkę z kucharzem (który miał jabłko, ale wkładał się w łaski Ezeny, przynosząc je osobiście) i z otwartymi ustami patrzyła na wstrętą, kłamliwą wiedźmę, mknącą na czele swych

gwardzistów. Odzyskała w końcu głos, wrzasnęła, trzasnęła kucharza w papę i, niczym sarna, na przełaj pobiegła po wierzchowca, przeskakując pniaki, korzenie drzew, schylając się pod gałęziami. Krzyknąwszy na pachółka, porwała jedno ze zwierząt, skoczyła na oklep i chwyciwszy garścią zaplecioną w warkocze grzywę, jak leśny demon pognąła śladem swojej pani. Ezena jeździła już konno wcale znośnie, ale przecież nie tak, żeby uciec przed swoją gwardzistką. Hayna dogoniła oddziałek jeszcze przed Netenem. Ryknęła na jednego z żołnierzy, zatrzymała go, odebrała konia, zostawiając w zamian nieokulbaczonego i pomknęła znowu. Wkrótce znalazła się u boku galopującej Ezeny. Księżna spojrzała w bok, a potem w dół, z wyraźną dumą pokazując swej gwardzistce kolczugę, którą nałożyła na suknię. Ta gwarancja pełnego bezpieczeństwa, której udzieliła sobie jej wysokość, do reszty odebrała Haynie mowę. W pierwszej chwili gotowa była sięgnąć do pyska zwierzęcia księżnej, chwycić wodze i ukrócić galopadę, ale jej wysokość spojrzała tak groźnie, że Perła poniechała zamiaru. Ramię przy ramieniu wjechały w wąskie uliczki Netenu, omijając przystań, a także ogromny rynek, na którym pomimo wczesnej pory rozstawiano już budy i stragany. Wkrótce znalazły się za miasteczkiem, na imperialnym trakcie, który kilka mil dalej wychodził z puszczy na równinę... Konie przeszły w kłus, łomocząc kopytami na moście. Hayna odwróciła się i dała znak swoim gwardzistom. Dziesięciu jeźdźców natychmiast wysforowało się przed kobiety; drugi rozkaz, wydany głosem, sprawił, że dwie krótkie kolumny odgrodziły je od lasu po obu stronach drogi.

— Wasza wysokość — niegłówno powiedziała niewolnica — dzisiaj po południu wrócimy do ćwiczeń z bronią. Będą też ćwiczenia bez broni. To jedyna okazja, kiedy mogę bezkarnie cię stłuc.

— Cicho bądź — powiedziała Ezena.

— A co do Anessy — dorzuciła Perła — nie potrzebuję żadnej specjalnej okazji. Jeśli wyjrzysz dzisiaj z namiotu, to zobaczysz, jak włóczę ją po lesie za kudły. Pojedziemy jeszcze pięć mil, nie więcej — zakończyła tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. — Skraj lasu jest o sześć mil. O wyjściu na równinę pod lasem nawet nie myśl! Jeśli nie spotkamy nikogo od Yokesa, to pošlemy do niego gwardzistę.

Księżna chciała coś powiedzieć. Perła nie pozwoliła.

— Najpierw skończę — ucięła. — Dowódca twoich wojsk ma pełne

ręce roboty. Nie wiadomo, czy doszło do bitwy, ale to obojętne. Twoje bezpieczeństwo to w sumie najmniejsze zmartwienie, mocno wątpię, by Yokes wpuścił do lasu jakieś wrogie siły i nie dał o tym znać do obozu. Ale ten człowiek robi właśnie co może, żeby powiodły się twoje plany. Chcesz mu zawracać głowę, posyłając jakichś gońców po wieści, bo na pewno mało gońców przybiega do niego co chwila. Nie umiesz upilnować swoich Pereł, a na koniec sama płaczesz się pomiędzy drzewami. Ślicznie, wasza wysokość. Tak szanujesz pracę komendanta swoich żołnierzy, który gotów przegrać bitwę, martwiąc się o dwie najważniejsze dla siebie kobiety. Bo te kobiety nie potrafią usiedzieć na robaczywych tyłkach. Rób tak dalej.

— Naprawdę nie mogłam usiedzieć — przyznała zawstydzona Ezena. — Dobrze, wasza godność, zrobimy tak, jak mówisz — zatytułowała Perłę z całą powagą; to były przeprosiny i wyraz szczerego szacunku. — Zatrzymamy się na milę przed skrajem lasu i wyślemy żołnierza po wieści. Ale nie do Yokesa, tylko do dowódcy jakiegokolwiek chorągwi. Na pewno będzie coś wiedział. Dobrze, Hayno?

Perła, ze ściągniętymi brwiami, nie umiała długo utrzymać groźnego wyrazu twarzy. Drgnęły jej nozdrza. Uśmiechnęła się w końcu, już otwarcie.

— Nie umiem gniewać się na ciebie... Straszny jest los przybocznej, która pilnuje kogoś, na kogo nie można się gniewać — powiedziała ze skargą. — Wymyśl sobie jakąś karę, proszę cię!

— Nie zjem dzisiaj śniadania — zdecydowała Ezena.

Perła parsknęła krótkim śmiechem.

Wstały późno; ranek już dawno minął. Słońce coraz wyżej wspinało się nad drzewa. Piękny wiosenny dzień rozbrzmiewał szumem lasu i śpiewem ukrytych w gąszczu ptaków. Gdzieś zaterkotał dzięcioł. Wspaniały las dartański — przestronny, podszyty setkami paproci, poprzecinany słonecznymi promieniami — był najpiękniejszym i najspokojniejszym miejscem na świecie. Wydawało się niemożliwe, że gdzieś trwa wojna.

Hayna wydała krótki rozkaz i wszystkie konie znowu poszły galopem. Ale tylko przez krótką chwilę. Zza nieodległego zakrętu drogi wyłonił się silny oddział jeźdźców. Gwardzistka księżnej natychmiast rozpoznała barwy Chorągwi Domu. Na czele, obok prowadzącego, w

asyście dwóch ludzi z czerwonymi proporczykami przymocowanymi do długich żerdzi jechały dwie kobiety, jedna w stroju przybocznej niewolnicy, druga w wojennej sukni, na olbrzymim ladrowanym rumaku, roześmiana, z wielką tarczą osłaniającą bok. Wlokła drzewcem po ziemi trzymany tuż pod bławatem trójkątny biały proporzec tysięcznika Legii Armekańskiej. Na widok gwardzistów księżnej wydała dziki okrzyk i z wysiłkiem zmusiła wielkie bydlę, które ledwie ledwie obejmowała nogami, do kłusa. Dowódca chorągwi krzyknął coś do tyłu. Oddział zatrzymał się.

Nieprzytomna ze szczęścia Anessa wjechała między rozstępujących się gwardzistów i zatrzymała konia przed Ezeną. Chciała coś powiedzieć, ale wyciągnęła tylko przed siebie usztywniony proporzec, zabrany z miejsca, gdzie chorągwie Sztandaru Mniejszego zmiotły przyboczny poczet tysięcznika jazdy. Księżna poczuła rozlewające się w piersi gorąco. Ruszyła. Musnęła Anesę palcami na znak, że przebacza jej ucieczkę z obozu, minęła ją i pojechała prosto ku swym żołnierzom. Pośród radosnych okrzyków wprowadziła stępa wierzchowca w rozstępujący się szyk, starając się choć na chwilę dotknąć spojrzeniem każdej twarzy, widocznej pod krawędzią kapalina, w otwartym wycięciu łebki lub pod uniesioną zasłoną przyłbicy.

*

Yokes stawił się w obozie dopiero następnego dnia wieczorem. Na skraju lasu i pod samym lasem pozostawił większość swego wojska, które miało dawać baczenie na coraz lepiej umacniany obóz cesarskich. Dwie chorągwie lekkie dostały specjalne zadanie odcięcia wroga od świata — bawiły się teraz w chowanego z armekańskimi półlegionami konnymi, które od nowa sformowano z rozbitych. Nie było tego dużo... Komendant wojsk księżnej przywiózł dokładne dane o rozmiarach zwycięstwa. Na polu bitwy legło przeszło tysiąc konnych łuczników i drugie tyle piechoty, licząc ciężko rannych, którzy dostali się do niewoli. Yokes, bez obawy popełnienia większego błędu, szacował, że w obozie imperialnych rannych mają bez mała drugie tyle. Zginęło czterech podsetników, trzech setników i tysięcznik; dwaj ciężko ranni setnicy i nadsetnik dostali się do niewoli. Ezena nie mogła uwierzyć, gdy poznała rozmiary strat własnych. Wojska Sey Aye miały trzydziestu dwóch poległych i stu czterdziestu trzech rannych — w większości byli to

żołnierze, którzy ucierpieli od spadających strzał (jeden ze strzelców miał w ramionach i nogach aż siedem dziur po grotach, które, spadając z nieba, przebiły kolczugę i wytraciwszy siłę, powchodziły w ciało, na szczęście niegłęboko). Ponadto zginęli dwaj rycerze z chorągwi posiłkowych, kilku giermków i pocztowych kuszników. Rany od strzał, choć bolesne, w większości nie były groźne dla życia, a nawet zdrowia; Yokes liczył, że już wkrótce ogromna większość tych jeźdźców wróci do szeregów. Kontuzjowanych i lekko pokłutych przez strzały, którzy nie musieli opuszczać swych chorągwi, w stratach nie uwzględniono. Może największym problemem były pokaleczone i poranione konie, ale w bitwie zdobyto blisko czterysta świetnych armektańskich stepowców, tak samo wdrożonych do jazdy w szyku. Było więc czym zastąpić leczone zwierzęta strzelców.

Wiozący wieść o zwycięstwie gońcy rozjeżdżali się na wszystkie strony świata.

37.

Tereza czuła się Armektanką — nikiem więcej. Była związana tylko z Armektem i żadnym innym miejscem. Ledwie potrafiła wymienić nazwę wsi, w której przyszła na świat. Rodzice już nie żyli, więc od dawna nie posyłała im pieniędzy, rodzeństwo miało własne rodziny... Podczas ostatniego poboru przyjęła do legii siostrzeńca, chłopaka który naprawdę dobrze strzelał z łuku, żadna protekcja nie była mu potrzebna. No, prawda, posłała list poborowy do swojej wioski, chociaż leżała tak daleko, że, gdyby nie mieszkająca tam rodzina, nigdy nie przyszłoby jej do głowy wybierać stamtąd rekruta... Tyle kumoterstwa. Nie była związana ze swą wioską ani żadnym miastem, choć służyła we wszystkich krainach Armektu. Najlepiej wspominała małą stanicę na północy, gdzie zdobyła patent oficerski, a potem, gdy wybuchła prawdziwa wojna, jakiej nigdy tam nie widziano, pod komendą wspaniałego dowódcy, komendanta R. W. Ambegena okryła się sławą wojenną, walcząc z tysiącami Alerów. Drugim szczęśliwym okresem w jej życiu były lata spędzone w Akali. Powoli zaczynała myśleć o tym niezwykłym mieście jak o „swoim”. Moje miasto. Na pewno mogłaby tak powiedzieć, mając na myśli coś więcej niż tylko miasto, w którym

trzymała garnizon.

Nowy dowódca Legii Akalskiej nie potrzebował jej nadzoru, a tym bardziej pomocy, przy wyprowadzaniu wojska w pole. Nie po to pojechała. Pojechała pożegnać się z Akalą, bo ruszała na wojnę i mogła z niej nie wrócić. A poza tym chciała raz jeszcze poprosić swoje miasto o pomoc. Wyruszała na wojnę, miała głodnych żołnierzy i było jej wszystko jedno, co mówi prawo imperialne o finansowaniu garnizonów.

Uprowadzony o przybyciu dowódczyni tysięcznik — jeszcze niedawno nadsetnik, jej zastępca — zgotował dawnej komendantce garnizonu powitanie, o jakim nie marzyła. W ciągu kilku minionych tygodni bywała w mieście, załatwiając niezliczone sprawy, odwiedzała garnizon, ale były to krótkie robocze wizyty — i znów jazda na grzbiecie wierzchowca. Teraz przyjechała trochę inaczej, wciąż w biało-czarnej tunice tysięczniczki akalskiej, ale z liczną asystą. Miała za plecami dziesiątkę własnych jeźdźców — oczywiście z garnizonu Akali, bo ten legion poprosiła o eskortę — a przy boku dwóch gońców i kilku dowódców średniej rangi.

Od bramy miasta witał ją szpaler piechurów w pełnym wojennym rynsztunku.

Nieskłonna do wzruszeń dowódczyni armii czuła ucisk w gardle. Sam dowódca legionu wyjechał konno przed szyk, oddał jej honory i dołączył do oficerów asysty, cofając konia tak, że wszyscy widzieli, kto jest prawdziwym gospodarzem w Akali. Jechała do garnizonu, po prawej ręce mając długi szereg żołnierzy, po lewej zaś tłumy mieszkańców miasta, którym przez wiele lat zapewniała bezpieczeństwo na ulicach. Wojskowa tajemnica wciąż obowiązywała, ale wszyscy już wiedzieli, że akalski garnizon wyrusza na wojnę, że zaczyna się jakaś kampania. Za plecami ludzi widziała przybite do wielu okiennic i drzwi domów odezwy, których treść sama ułożyła... Kilka takich pergaminów przysłała przedwczoraj do Akali — teraz były wszędzie. Ktoś kazał je przepisać, pokrył koszta, ponaglił do pośpiechu.

Żołnierze, których minęła, podrywani komendami, ruszali w ślad za swoją tysięczniczką, dziesiątka za dziesiątką, sprawnie formując szyk trójkowy, trzymając się blisko domów po prawej stronie ulicy, bo lewą płynęły masy mieszczan. Wkrótce oficerski poczet Terezy posuwał się na czele potężniejszego tłumy, złożonego zarówno z karnych oddziałów

wojska, jak i skłębionego pospólstwa. Najkrótsza droga od bramy miejskiej do koszar garnizonu nie wiodła przez rynek główny, ale szpalery legionistów i mieszczan ustawiono tak, że nadtyśnięczniczka zrozumiała, iż oczekuje się, że zajedzie przed ratusz. Nie pytając o nic, pojechała wytyczoną drogą. Już z daleka widziała okalające rynek tłumy, przed ratuszem zaś grupkę rajców, otaczających burmistrza. Stawił się nawet wójt — człowiek, z którym zawsze miała na pieńku, bo jako przedstawiciel Kirłanu rzadko zgadzał się z wojskową komendantką okręgu, mającą na uwadze tylko korzyści swego garnizonu. Domyślała się już, co to wszystko znaczy, i nie wiedziała, czy sprosta wyzwaniu. Stanąwszy na rynku, nie wiedziała nawet, czy powinna zsiąść z konia, czy lepiej, żeby wszyscy dobrze ją widzieli, tkwiącą w żołnierskim siodle. Rozbrzmiał głos trąby i gwar tłumu przygasł. Miejski herold, człowiek o potężnym i donośnym głosie, w ogromnej ciszy odczytał odezwę, którą przysłała — chyba trochę zbyt szorstki, zbyt suchy i oszczędny w słowach apel. Dobrze wypadły tylko podziękowania dla mieszkańców Akali i ich przedstawicieli w ratuszu; cała reszta to były raczej żądania niż prośby. Przyzwyczajona do wydawania rozkazów, stale podejmująca niepodważalne decyzje, w ogóle nie umiała poprosić — i zdała sobie z tego sprawę w obliczu tysiąca ludzi stłoczonych na wielkim rynku.

Herold skończył czytać odezwę. Oddział miejskich pachołków, powołanych kiedyś na jej prośbę (prośbę? a może żądanie?...), odszedł na bok, odsłaniając wylot jednej z wiodących do rynku ulic. Stały tam wozy Legionu Akalskiego, a za nimi inne: odkryte i zakryte, zadane drewnem lub płótnem, często zupełnie niepodobnym do tego, jakie wybierano dla wojskowych taborów. Długi, niekończący się rząd wozów, poprzecinany czwórkami jucznych zwierząt; nierówny wąż, którego koniec zniknął gdzieś w głębi miasta. Wozy ruszały kolejno, ciężko wyrywane z miejsca przez zaprzężone woły i konie. Pełne koła głucho łomotały na bruku, skrzynie ładunkowe skrzypiały. Ciężba rozstępowała się, przepuszczając niezgrabne pojazdy.

Herold czytał teraz odezwę burmistrza, ułożoną w imieniu wszystkich mieszkańców miasta. Akalczyki dostarczyli swoim legionistom przewidziane przez regulaminy zapasy żywności i wystawili drugi tabor rezerwowi. Zobowiązywali się ponadto posyłać wojsku codziennie, aż do zakończenia kampanii, jeden wóz wypełniony

żywnością, piwem i wódką, spyżą dla zwierząt i opatrunkami. Akala zgodziła się przyjmować i leczyć na własny koszt rannych żołnierzy legionu. Tereza dostała wszystko, o co prosiła — i jeszcze drugie tyle.

Herold kończył czytać odezwę, ciężko wyładowane wozy turkotały, zmierzając ku miejskiej bramie. Tereza nie mogła dłużej tkwić w siodle. Zeskoczyła z grzbietu wierzchowca, odetchnęła głęboko i gniewnym ruchem przesunęła dłoń po twarzy. Jeszcze raz odetchnęła, szybkim krokiem podeszła do burmistrza i wyściskała go mocno, po żołniersku, na oczach uszczęśliwionych akalczyków. Rozbrzmiały wiwaty, zaraz dobiegła skądś muzyka, straż miejska sprawnie zrobiła miejsce dla wózków z wielkimi beczkami piwa. Odbijano szpunty. Na beczki wskakiwali zonglerzy, pojawili się cudacznie przebrani akrobaci na szczudłach. Mieszczuchy, wykazując haniebny brak karności i zdyscyplinowania, ruszyły ku szpalerom żołnierzy i jęły bratać się z nimi, przekrzywiając hełmy na głowach wojowników, zmuszając ich do przekładania z ręki do ręki tarcz i toporów. Oficerowie z otoczenia Terezy wzorem dowódczyni serdecznie uściskali rajców. Tereza podała rękę wójtowi i skinęła mu głową, dziękując. „Ja nic nie wiem i o niczym nie słyszałem!” — powiedział, przekrzykując gwar. — „Nie dla ciebie i nawet nie dla tego miasta. Dla Armektu, wasza godność!”. Jeszcze raz skinęła głową, odwróciła się i weszła w tłum ludzi; każdy chciał dotknąć jej tuniki, grubej wojskowej spódnicy, rękojeści miecza. Wiedziała, że nie może teraz jechać do koszar. Zresztą nie miała po co. Dawno już posłała po swoje rzeczy, izba na szczycie krępej baszty od kilku tygodni należała do nowego dowódcy garnizonu. Jeśli chciała pożegnać się z Akalą, to właśnie się żegnała.

Był wieczór, gdy zmęczona, trochę pijana, ale bardzo zadowolona dowódczyni Armii Wschodniej mogła wreszcie wyjechać z miasta. Tabor Legionu Akalskiego dawno zniknął za którymś z licznych zakrętów dartańskiego traktu, przysłonięty przez drzewa; poszła już za nim jazda pierwszego półlegionu, by wyprzedzić i eskortować cenne wozy. Wyszły z miasta także zwarte kolumny żołnierzy, pełen legion. Mniejszy tabor, ufundowany przez Akalę, Tereza kazała zatrzymać kilka mil za przedmieściem. Wkrótce miały nadciągnąć pozostałe legiony jej armii. Miała już prowiant dla tych żołnierzy, wozy należało porozdzielać między wszystkie dartańskie półlegiony. Darowanego przez wspianiałe

miasto jedzenia nie mogło wystarczyć na zawsze, ale było z czym rozpocząć kampanię. Odtwarzanie topniejących zapasów, a nawet, później, gdyby zaszła taka konieczność, zmniejszanie racji dziennych to było jednak zupełnie co innego, niż rozpoczynanie wojny z pustym brzuchem. Jak mogli czuć się żołnierze, patrzący na podskakujące na wybojach, beznadziejnie rozchwybotane puste wozy? Oglądający chude juki, w których nic nie mogło się pojawić, skoro każdy zdobyty przez kwatermistrzów kęs od razu wędrował do kotła?

Myśląc o nowym taborze, Tereza z mściwą satysfakcją postanowiła, że dowódczyni Legionu Gwardyjskiego nie zobaczy z tych zapasów nawet jednej beczułki śledzi. Jednak nie pasowały do siebie; pomimo obustronnych prób poprawienia nie najlepszych stosunków bardzo szybko doszło do pierwszego starcia... Na wieść o wstrzymaniu dopływu pieniędzy dla Armii Wschodniej Tereza zwróciła się do Agatry z żądaniem przekazania części gwardyjskich zapasów Dartańczykom, tak jak uczynił to Legion Akalski. Gwardzistka twardo powiedziała „nie”. To były jej zapasy, na własnych taborowych wozach, i nie zamierzała głodzić swych świętych żołnierzy, byle napchać brzuchy bezwartościowym wożakom. Tereza wściekła się, nic jednak nie wskórała; musiałyby odebrać te zapasy przemocą, a to nie wchodziło w rachubę. Potem, już na spokojnie, po cichu, przyznała tysięcznicze trochę racji. Właściwie tylko jeden z półlegionów Agatry, armektański, miał wozy i juki wypchane wszelkim dobrem — reszta zaopatrzona była dużo gorzej. Połowa zapasów jednego półlegionu, rozdzielona między dziewięć innych, to była kropla w morzu, gest o koleżeńskim wymowie i nic więcej... Ale jednak taki gest należało uczynić. Uparte wmawianie Dartańczykom, że są niegodni nawet gwardyjskich zapasów, nie mogło dobrze wpłynąć na postawę tych żołnierzy w boju. Tereza musiała myśleć jak dowódczyni całej armii. Ale Agatra nie... Ją obchodził tylko własny legion. Poniekąd, może i słusznie.

W małej gospodzie na przedmieściu, a właściwie już za rogiatką (sprytny karczmarzyna wiedział, gdzie postawić budynek), zatrzymała się wraz ze swą asystą, by czekać na nadejście wojska. Legiony miały nadciągnąć boczną drogą, opływającą miasto — parada po ulicach nie mogła być brana pod uwagę. Odgałęzienie armektańskiego traktu, łączącego bramę Akali z okręgami Riny i Rapy, zbiegało się z gościńcem

do Rollayny tuż przy wybranej gospodzie — dlatego Tereza nie skorzystała z kwater garnizonu. Zarazem, zgodnie z obietnicą, której niedawno udzieliła dziesiątnikowi stojącemu na straży jej snu, chciała wyspać się porządnie przed wymarszem. Prosty wojak niejedno w życiu zobaczył i naprawdę wiedział, co mówi. Dowódczyni armii musiała być wypoczęta.

Nie wiedziała, że czeka ją jeszcze jedna niespodzianka...

Żołnierze eskorty rozłożyli się w zamówionej wcześniej wielkiej izbie noclegowej i wystawili warty. Gospodarz, któremu oględnie i grzecznie dano do zrozumienia, że gospoda nie powinna być przepełniona, wziął to sobie do serca tak bardzo, że nie tylko odmawiał izb przejeżdżającym podróżnym, ale wręcz wyrzucił tych wszystkich, którzy zatrzymali się na dłużej. Gospoda stała pusta. Oficerowie z asysty Terezy rozgościli się w małych izbach, najlepszą odstępując dowódczyni. Nadtysięczniczka nie chciała zostawić po sobie złych wspomnień, więc opłatę za nocleg uiściła z góry, sięgając do własnego trzosika i prywatnych sakiewek oficerów (Agatra, zapewne, kazałaby sobie przynieść darmowy posiłek do łóżka...). Zaraz wyszło na jaw, jak dobrze zrobiła: karczmarz, wyczuwając przez skórę, że do końca życia będzie mógł opowiadać o wojskowych, których gościł pod swoim dachem, policzył bezwstydnie tanio.

Tereza rozpakowała sakwę konnej łuczniczki, bo taki miała bagaż podręczny. Własne kłamoty, które wzięła na wojnę, mogłaby wymienić z każdym legionistą. Zapasowe buty, koszula, kubek, miska i łyżka... Parę sucharów na złą chwilę, mały bukłak wódki, czysta szmata, którą można było podrzeć na szarpie do opatrzenia rany. Krótko ostrzyżona żołnierka nie potrzebowała nawet grzebienia. Wprawdzie w taborach cały wóz był załadowany zydlami, składanym stołem, mapami i przyborami do pisania, jechał na nim namiot głównodowodzącej i różne niezbędne sprzęty, ale to nie były jej prywatne rzeczy, tylko regulaminowy ekwipunek nadtysięcznika-komendanta armii.

Rozgościwszy się w schludnej izdebce, nadtysięczniczka zeszła do wielkiej izby jadalnej, chcąc zamówić posiłek. Już na schodach przystanęła na chwilę... Widok był jedyny w swoim rodzaju: na podłodze, na ławach i wprost na stołach siedziało bądź zgoła wylegiwało się blisko dziesięć najprzeróżniej umaszczonych kotów. Płonęły żółte i zielone

ślepia, osadzone w wielkich łbach kocurów i mniejszych, bardziej trójkątnych głowach kocic. Tereza zeszła z ostatnich czterech stopni.

— Zarekrutowałem dla ciebie zwiadowców — mrukliwie rzekło wyleniałe kocisko, siedzące na jednej z ław. — Sam już na wojnę nie pójdę, ale ta młodzież to co innego.

Nadtysięczniczka nie wiedziała co powiedzieć. Tych kilku czworonożnych rozumnych przedstawiało dla armii wielką wartość.

— Legia Armektańska płaci od razu żołd dziesiętnika każdemu kotu, który zgłosi się do służby — powiedziała wreszcie, siadając przy jednym ze stołów. — I w ogóle nie mają chętnych. Kiedyś było więcej, teraz coraz ciężiej o kociego zwiadowcę. Ja... nie mam pieniędzy, żeby wam zapłacić tak wysoki żołd. Zgłóście się do Legii Armektańskiej, tam od razu podpiszą z wami kontrakty. O ile wiem, stracili w Puszczy wszystkich swoich zwiadowców. Tak jak ja...

— Legia Armektańska nie nazywa się Tereza — powiedziała wielka szara kocica, podnosząc białą łapę w Pozdrowieniu Nocy; kocice zazwyczaj mówiły trochę wyraźniej niż kocury i ta tutaj nie była wyjątkiem. — Co to za zabawa, robić zwiad dla jakiejś Legii Armektańskiej? Na razie tylko nas karm i wystawiaj wojskowe kwity zamiast żołdu. Kiedyś zgłosimy się po zaległe pobory.

— Dlaczego to robicie?

— Bo jest wojna — powiedziała kocica, już troszeczkę znudzona. — A ty jesteś sławna tysięczniczka Tereza. W tym roku długo leżał śnieg.

Dowódczyni armii mogła doszukać się związku między wojną a sławą tysięczniczki (nadtysięczniczki, o czym szara nie wiedziała) Terezy; ale już związku między wojną, sławą a śniegiem nie widziała żadnego. I było jasne, że nigdy nie zobaczy... Czworonożni mieli swoje powody, absolutnie niepojęte dla nikogo, kto nieokryty futrem chodził na dwóch długich łapach.

— Masz krawców przy wojsku, tysięczniczko?

— Nadtysięczniczko — powiedziała Tereza. — Dowodzę pięcioma legionami i moi zwiadowcy muszą o tym wiedzieć. Mam krawców.

— Niech uszyją dziewięć wojskowych tunik dla nas. Na północy kot może biegać bez munduru, bo potwory wiedzą, w czyjej jest służbie. Ale tutaj chcemy nosić mundury. Wystawisz kontrakty dla zwiadowców, nie szpiegów.

— Mam nawet na stanie dwie kocie kolczugi, każę posłać po nie do składu garnizonu... Wiem, że zwiadowcy od was nie lubią żelastwa, ale w takiej dużej grupie może znajdzie się chętny. Porozdzielałam was między legiony, a do Akalskiego i Gwardyjskiego pójdzie nawet po osiem łap. Tylko dwoje zostawię przy sobie. Nie będziecie służyć razem.

— Uważasz, że to źle? — zapytała szara, najwyraźniej będąca przywódczynią wszystkich. — Przecież nawet w masie szarza dziewięciu zwiadowców nie ma siły przełamującej.

Tereza od dawna wiedziała, że koty obdarzone są szczególnym poczuciem humoru. Szczególnym, bo koci żart zawsze podszyty był kpina i nieodmiennie czytelny. Nie umiały kłamać ani zmyślać i nawet w żartach było to widoczne.

— „Nie ma siły przełamującej”... — powtórzyła nadtyśniczka. — Służyłaś w wojsku?

— Tylko on. — Kocica popatrzyła na pręgowanego kocura pod ścianą. — Kiedyś, dawno temu. Wiem, co to znaczy „siła przełamująca”, bo od dawna przyjaźnię się z żołnierzem.

Nadtyśniczka uśmiechnęła się do swego starego zwiadowcy.

— Jutro każę powystawiać dla was kontrakty. Mogą być roczne lub dłuższe. Nie znam was, więc sami wyłóńcie spomiędzy siebie dowódcę.

— Po co?

— Bo tak działa wojsko — koty nie miały cierpliwości do ludzi, ale i ludziom czasem brakowało cierpliwości do kotów. — Dowódca dostanie ładniejszą tunikę. Z białymi obszyciami dziesiętnika.

— W takim razie ja — powiedziała szara. — Nazywam się Czeta, wszyscy mnie znają. To ja będę dowódcą.

Nikt nie zaprotestował, tym bardziej że połowa przyszłych zwiadowców już spała.

— Nadtyśniczko — powiedziała Czeta, znikając za stołem; wróciła zaraz i upuściła na blat coś, co miała w zębach. — Zabrać to do taboru czy zostawić w Akali?

Kociak, na oko, jeszcze nie umiał mówić... Odkąd Szerń darowała kotom rozum, żyły prawie tak długo jak ludzie, ale szybciej dorastały i prawie nigdy nie niedołążniały na starość. Nie zakładały rodzin i nie poczuwały się do więzów z potomstwem — odchowany kociak szedł własną drogą natychmiast, gdy to było możliwe, korzystając najwyżej z

opieki grupy, która go przyjęła. Kocice rodziły jedno, najwyżej dwoje dzieci. Koty nie zaczynały mówić tak jak ludzie — młody kot po raz pierwszy odzywał się dopiero wtedy, gdy potrafił rozmawiać jak każdy. Ten tutaj na pewno nie potrzebował już mleka matki. Czeta była bardzo dobrą opiekunką, jeśli do tej pory nie przegoniła go na cztery wiatry.

— Lepiej niech zostanie w garnizonie. — Nadtysięczniczka powściągnęła uśmiech.

— To niech go zawiozą, jak pošlesz po nasze kolczugi. Jedną chcę dla siebie.

— W wielkiej izbie na górze — powiedziała Tereza — kwaterują jeźdźcy z mojej eskorty. Idźcie tam spać. Poznajcie towarzyszy broni. Jutro dowiecie się, jakie z grubsza są plany dowództwa, czego oczekuję i na co trzeba zwracać uwagę. Szczegółowe rozkazy otrzymacie już od dowódców swoich legionów. Aha, jeszcze jedno — dorzuciła, wiedząc, że dla nowych żołnierzy może to mieć znaczenie. — Wojskowe tuniki będą w różnych kolorach, czerwone, czarne lub niebieskie. Ustalcie, kto w jakiej chce chodzić.

Sprawa rzeczywiście musiała być poważna, bo otwarły się nawet ślepia tych, co posnęli. Kota nie obchodziło, o co toczy się wojna — ale miało ogromne znaczenie, jak będzie na niej wyglądał.

*

Legiony Armii Wschodniej, raz ruszone z miejsca, w żaden sposób nie mogły już skryć się z powrotem w cieniu wojskowej tajemnicy. W naczelnym dowództwie wojsk imperium wybornie rozumiano, że przesunięcie armii Terezy na pozycje wyjściowe do uderzenia na Dartan jest właściwie początkiem kampanii na wschodzie. Tego już nie dało się cofnąć. Ryzykownie zakładano, że wojska Enewena zostaną zmuszone do marszu na pomoc Yokesowi, zanim do Ahe Vanadeyone dotrą sprawdzone wieści o drugiej armii imperium. Ale podjęcie tego ryzyka było koniecznością; z każdym dniem wzrastało prawdopodobieństwo wykrycia legionów dartańskich i z dwojga złego bardziej opłacało się ujawnić ich istnienie, niżli gubić się w uzasadnionych domysłach: czy wróg wie? A jeśli tak, to ile wie? Czy wszystko? Szybko przeprowadzone uderzenie mogło sprawić, że Armia Wschodnia pojawiłaby się w Dartanie niemal równo z pierwszymi wieściami o niej. W najgorszym wypadku, nawet gdyby Enewen nie ruszył spod Rollayny, dawało to

przynajmniej efekt zaskoczenia.

Ale Enewen nie ruszył na pomoc Yokesowi, choć — na co bardzo liczone w dowództwie wojsk cesarskich — powinien to zrobić, nawet pomimo klęski wojsk Caronena. Armia Zachodnia wciąż istniała i wydawało się niemożliwe, by wojska Sey Aye, mimo początkowych sukcesów, bez żadnej pomocy uporały się z nią raz na zawsze. Jednak K.B.I.Enewen nie udzielił pomocy Yokesowi... Uczynił coś wręcz przeciwnego: opuścił wygodne kwatery pod Rollayną i w samej Rollaynie, a następnie pociągnął wprost ku Potrójnemu Pograniczu, mając po lewej ręce ścianę Puszczy Bukowej. W oczach głównodowodzących siłami imperium mogło to oznaczać tylko jedno: w dartańskim dowództwie wiedziano o istnieniu armii Terezy. Pytanie: od jak dawna wiedziano?

Wiadomość o marszu Enewena nadtyśięczniczka odebrała na trzecim nocnym postoju po opuszczeniu gospody przy zbiegu dróg. Było to niespełna trzydzieści mil od Akali. Wraz z wieścią o Enewenie przyszedł raport o klęsce Armii Zachodniej — i rozkazy potwierdzające pierwotny plan kampanii. Armia Wschodnia, w obliczu dwudziestu pięciu do trzydziestu chorągwi Ahe Vanadeyone, wiedzących o jej istnieniu i ciągnących na spotkanie, miała spustoszyć wschodni Dartan i zdobyć Rollaynę. Zapowiadano wsparcie tego uderzenia przez Armię Zachodnią, po jej przedarciu się przez kordon Sey Aye. Były jeszcze jakieś baśniowe historie o zagonach wypuszczonych dla odwrócenia uwagi przez... piechotę morską z Llapmy i Nin Aye.

Tereza posłała po wszystkich dowódców legionów. Wraz ze swoim zastępcą, tyśięcznikiem W. Aronetem, czekała na nich w swym namiocie, przy stole zasłanym mapami. Sztuki wykreślenia map Armektańczycy nauczyli się dopiero od żeglarzy z Garry, którzy potrafili bezbłędnie wodzić swe eskadry pośród setek wysp, przesmyków i mielizn. Prymitywne szkice, znane wcześniej w Armekcie, nie mogły się równać z dokonaniem znakomitych garyjskich uczonych, zwanych kartografami — nowe słowo przyjęło się na kontynencie równie szybko jak sam wynalazek. Wojskowe mapy, których używała Tereza, podobne były nieco do kupieckich: uwzględniano na nich tylko drogi, łączące okręgowe i obwodowe miasta, rzeki, na odcinkach gdzie były mosty, przeprawy promowe i brody, ponadto najważniejsze przeszkody terenowe, a więc

większe lasy, wzniesienia i bagna. Czasem jeszcze jakieś ważne punkty orientacyjne; ot, z jakichś przyczyn, na wszystkich mapach będących w posiadaniu Terezy, choć brakowało wsi, zaznaczono olbrzymi głaz, tkwiący przy trakcie z Akali do Rollayny... Ponoć leżał równo w połowie drogi. I to już było właściwie wszystko. Każdy dowódca poprawiał i uzupełniał swoje mapy według potrzeb, mogło więc się zdarzyć, że na mapach Terezy istniały miasta i brody, o których nie słyszał Caronen, i odwrotnie. Przy każdym spotkaniu dowódców dowolnego szczebla najpierw służący przy wojsku kartografowie porównywali i ujednolicali ich mapy. Nieszczęśnicy byli stale zapracowani: prowadzący kampanie tysięcznicy i nadtysięcznicy uwielbiali mazać cenne karty, kreśląc kierunki uderzeń, zakreślając rejony zgrupowań, przerywanymi lub ciągłymi liniami zaznaczając rubieże obrony. Na każdym postoju wojskowy kartograf najpierw szukał miejsca dla swojego stołu i niezwłocznie zasiadał do przerysowywania zabazgranych podczas minionej odprawy map. Mniejsze szkice, z grubsza tylko wyobrażające teren, biedacy wykreślali na kołyszących się i trzęsących podczas jazdy wozach.

Kartograf garnizonu akalskiego — teraz główny kartograf Armii Wschodniej — był osobnikiem nieprawdopodobnie wręcz leniwym, a przez to pomysłowym, co się zowie. Odkąd legioniści akalscy zaczęli patrolować Niski Grombelard, bardzo przybyło mu pracy. Nie mogąc tego znieść, wynalazł stojak dźwigający wielką drewnianą tablicę. Na każde żądanie kreślił na niej, węglem albo kredą, z niezwykłą sprawnością mapę, zaznaczając tylko to, co było akurat potrzebne. Każdą źle narysowaną linię łatwo mógł poprawić; po odprawie mapę zostawiał; przed następną odprawą dowiadywał się, czy nadal będzie potrzebna, czy też winien kreślić nową. Tereza, nim wyruszyła na wojnę, kazała sporządzić jeszcze trzy tablice, każdą z osobnym stojakiem.

Tysięcznik Aronet znał treść dostarczonych raportów i rozkazów. Lecz Tereza nie znała Aroneta... Był to, jak zapewniano, zdolny i sumienny oficer. Ale jaki człowiek? Nadtysięczniczka zetknęła się z nim kiedyś, gdy nosił jeszcze tunikę setnika, ale to była przelotna znajomość. Nie wiedziała, kim właściwie jest ten młodszy od niej o dziesięć lat mężczyzna. Bardzo młody jak na tysięcznika. Odkryła dotąd parę wad, kilka zalet... Stojąc przed tablicą z mapą wschodniego Dartanu,

zastanawiała się, czy może mu zaufać.

To był jej zastępca. Człowiek, z którym miała dzielić odpowiedzialność za los armii, wojenne dole i niedole. Ale także protegowany Tarwelaru, gdzie mieściła się Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa. Przysłano go na pewno także po to, by patrzył swojej dowódczyni na ręce. No dobrze, ale jeśli nawet tak było, co z tego? Jeśli nie mogła polegać na swoim zastępcy, należało to odkryć jak najszybciej.

Wyrzuciła kartografa z namiotu i usiadła przy stole, w cztery oczy z tysięcznikiem Aronetem.

— Posłuchaj, zanim zejda się wszyscy — powiedziała bez żadnych wstępów. — Nie mogę podważać autorytetu naczelnego dowództwa, więc nie powiem, że siedzą tam durnie, miłośnicy bajek i złośliwe kutasy. Zabraniam sobie nawet tak myśleć. Oni po prostu... nietrafnie ocenili sytuację. I możliwości Armii Wschodniej.

Język nadtyśięczniczki nigdy nie brzęczał niczym srebrne dzwoneczki, ale Aronet znał już dowódczynię armii na tyle, by zrozumieć, że jest źle. W ciągu kilku tygodni wspólnej pracy dowiedział się, kiedy trzeba milczeć i schodzić jej z drogi. Najgorzej, gdy zaczynała robić się młoda i ładna. Zwykle była szorstką, ale znośną w obejściu pięćdziesięciolatką o bardzo przeciętnej urodzie.

— Armia Zachodnia wzięła w dupę pod Puszcza Bukową — ciągnęła. — Piszą nam, że to nic wielkiego, ale nie podają strat. Tak się składa, że znam komendanta wojsk Sey Aye, który właśnie spuścił im manto. Jeśli Yokes wygrał bitwę, no to ją wygrał. Na pewno nie wymienił swoich ciężkich jeźdźców na łuczników legii w proporcji jeden za jednego. Ani jeden za dwóch. Armia Zachodnia nie zwiąże więc Rycerzy Królowej, bo ma kłopoty z wojskami puszczańskimi. A Enewen wie o nas i ciągnie nam prosto na spotkanie. Pomimo to — podniosła do góry rozpieczętowane pismo — rozkazy dla Armii Wschodniej brzmią: po pierwsze, szerokim frontem, siłami pojedynczych legionów, wyprowadzić uderzenie na Dartan; po drugie, nacierać na kierunku Rollayny, pustosząc wszelkie dobra prywatne; po trzecie, zająć stolicę. Przy szturmie stolicy obiecują nam wsparcie z zachodu (ciekawam, w jaki sposób przekonają Yokesa, żeby ich przepuścił?) i snują morskie legendy o marynarzach z Llapmy, którzy... nie wiem, spalą pewnie jakąś wioskę pod miastem i z powrotem uciekną na okręty. Bardzo słusznie, bo

trzymamy te porty tylko dlatego, że Ahe Vanadeyone ich nie chcą. Ale gdy straż morską zacznie hałasować, pójdzie tam jakaś niepotrzebna chorągiew i ratunek będzie tylko na morzu.

— Znam te raporty i rozkazy — przypomniał ostrożnie. — O co ci chodzi?

— O to, że właściwie nie dowodzę tą armią. Mówią nie tylko, co mam zrobić, ale jeszcze: jak. Kto zdecydował, że natarcie ma być prowadzone siłami pojedynczych legionów, więc na pięciu kierunkach, nie na dwóch albo czterech? To należy chyba do dowódcy armii? Co jutro? Przyślą rozkaz, że dwa kliny łuczników na prawo, trzy na lewo, a gońcy przy taborach?

Pokiwał głową. Bolączka wielu wojen... Zawsze w jakiejś głównej kwaterze znalazł się ktoś, kto z odległości czterystu mil chciał zastąpić polowego dowódcę.

— Zauważyłem. Ale co poradzisz?

Podeszła do jednej z tablic i wzięła kawałek kredy.

— Jesteśmy tu... skraj Puszczy tu... Enewen idzie dwiema kolumnami, tędy... i nie wiadomo którędy jeszcze, wstępne raporty są sprzeczne. W dartańskich miastach nie mamy już urzędników Trybunału — przypomniała — bo siedzą w twierdzach więziennych. Szpicle działają bez żadnego oparcia, bez funduszy i w ogóle niezbyt skwapliwie. Wieści o Enewenie może więcej nie być. Aż do chwili, gdy zobaczymy jego chorągwie przed sobą. Może czegoś dowiemy się sami, a może nie. Otwieram radę wojenną! — rzekła tyleż szydlerczo, co gromko, trochę ładniejsza niż zwykle, bo z lekko rozdętymi nozdrzami. — Radź, zastępcu! Zaraz przyjdą tu nasi podkomendni, trzeba będzie coś im powiedzieć! Na przykład to, że spisano nas na straty, mamy ni mniej, ni więcej, tylko rozwiązać Armię Wschodnią, rozpuszczając pojedyncze legiony po całym północno-wschodnim Dartanie, byle tylko spalić jak najwięcej. Możemy zacząć już tutaj, w końcu to Dartan. Ta wioska o rzut kamieniem jest prywatna czy imperialna? No, w każdym razie mamy rozejść się szeroką ławą. Żaden legion nie pomoże w tarapatach drugiemu. W jaki sposób Armia Wschodnia ma uderzyć na Rollaynę, jeśli już jej nie będzie? Może dotrze tam jeden legion. Może szczątki drugiego. Ale chyba tylko kryjąc się po lasach, albo w chłopskich przebraniach, bo paląc i niszcząc, na pewno nie.

— Też tak uważam — rzekł ciężko.

— No więc? O co chodzi w tym planie, tysięczniku? Masz pomysł, jak przekonać dowódców legionów do beznadziejnej zabawy w podpalaczy, z której nic zupełnie nie wyniknie? Bo na końcu tego chwalebnego szlaku bojowego widać tylko jedno: żelazną jazdę Enewena. Obojętne, ciężka jazda czy lekka... To jednak jest armia konna. Nie wymigamy się od bitwy, ani pojedynczymi legionami, ani w kupie. Mogłaby wymigać się Armia Zachodnia, ale nie my. Mamy czterystu sześćdziesięciu jeźdźców i tysiąc czterystu konnych piechurów. Co z tym zrobić? Rozpuścić zagony? A jak chłopcy z widłami przegonią tę konną piechotę? Nie wiem, na co liczą w dowództwie. Chyba na to, że przestraszymy rycerzy. — Znowu usiadła przy stole. — I kto wie, może nawet się uda. Ale na co liczą dalej w związku z tym? Przestraszeni rycerze nie rozjadą się przecież po domach, żeby trzymać podpalane przez nas ściany, tylko, właśnie bojąc się o swoje dobra, pognają na nas hurmem, i to tak szybko, jak potrafią. Nikt nie zwiąże ich na zachodzie. Kto stawia czoło bodaj trzem czy czterem chorągwiom? Osamotniony legion głodnych podpalaczy?

— Co masz na myśli? A raczej: co zamierzasz? Bo coś zamierzasz, tak?

— Zamierzam pobić Enewena — powiedziała, zupełnie po prostu. — I dopiero potem wykonać rozkazy Tarwelaru. Bo dopiero wtedy będą wykonalne.

Przez chwilę patrzył, jakby postradała zmysły.

— Mamy sześć tysięcy legionistów, z tego dwa i pół tysiąca pełnowartościowych. A Enewen jakieś trzydzieści chorągwi. Niechby dwadzieścia parę... Osiem do dwunastu tysięcy ludzi, w ogóle nie licząc piechoty przy taborach, a tych żołnierzy też jest parę tysięcy. Żołnierzy, nie pachołków! Ja nie wiem, czy nasza armia jest w stanie zdobyć choć tabor.

Tereza wiedziała, o czym mówi Aronet. Dartańscy ojcowie i synowie Domów pozabierali ze sobą na wojnę znaczne części pocztów, które kiedyś trzymali w swych dobrach — głównie dla fasonu, bo dla zapewnienia spokoju wystarczyłaby połowa tego. I najwyżej połowa została na straży dóbr. Reszta była przy taborach, pilnując licznych wozów, prowadzonych przez swoich panów. Niemożliwie ciężkie tabory Enewena strzeżone były przez parę tysięcy dobrze uzbrojonych

piechurów. Tych ludzi nie należało lekceważyć. Nowinka, o której milczała historia pierwszej wojny armektańsko-dartańskiej.

— Jeśli zdarzy się cud, spadną deszcze i rozmiękną wszystkie łąki... Jeśli nawet zdołamy zaskoczyć Enewena... — wyliczał tysięcznik — mamy szansę na wygranie bitwy jak jeden do dziesięciu.

— Na deszcz się nie zanosi, więc najwyżej jeden do dwudziestu — spokojnie poprawiła Tereza. — Może i popada, ale o tej porze roku trudno liczyć, że będzie lało na okrągło przez dwa tygodnie. To Dartan, nie Grombelard.

— Więc na co liczysz?

— Na tę szansę, jedną do dwudziestu — powiedziała. — Bo jakie są szansę na wykonanie rozkazów Tarwelaru?

Milczał. Może liczył?

— A więc tak na to patrzysz — mruknął po długiej chwili. — Jedna wielka bitwa, jeden cud. No tak, to się zdarza. Ale pięć samotnych legionów, wiele bitew, wiele cudów... Rzeczywiście, nie ma o tym mowy.

— Co powiemy dowódcom legionów? — wróciła do pytania z początku rozmowy.

— A co byś im powiedziała?

— Na przykład, że Enewen ciągnie na Akalę, chcąc zniszczyć jedyny legion w tych stronach, o jakim wie, że jest. Że nie wie o istnieniu Armii Wschodniej i spróbujemy go zaskoczyć.

— Kto w to uwierzy?

— A nie pomyślałeś, że taka może być prawda? — Tereza nie miała złudzeń; Rycerze Królowej na pewno wiedzieli o jej słabej armii, ale próbowała dodać ducha zarówno sobie, jak i swojemu zastępcy. — Zresztą, wymyślmy cokolwiek, byleby nie wyszło na jaw, że dowódczyni armii łamie pierwszy rozkaz, jaki odebrała — powiedziała z nieukrywanym smutkiem i goryczą. — Pierwszy raz w całej karierze... Uwierzysz? Kiedyś poszłam do szarzy na półtora tysiąca Alerów, mając za sobą dwustu pięćdziesięciu jeźdźców... Ale tamten rozkaz miał więcej sensu niż ten odebrany dzisiaj. Nie wykonam tego rozkazu. Albo raczej: spróbuję wykonać tak, jak umiem. Spróbuję usunąć to, co czyni ten rozkaz niemożliwym do wykonania, i dopiero potem zrobię wszystko, jak każą. Punkt po punkcie. Pomożesz mi? Czy pošlesz raport do Tarwelaru, żeby mnie zdjęli z dowództwa? Zanim jednak przyjdzie odwołanie, ja i

tak zrobię swoje.

Wciąż na nią patrzył.

— Nie poślę żadnego raportu, za kogo mnie masz? — rzekł wreszcie.
— Ale znowu liczę nasze szanse... i ta szansa zwycięstwa to nie jest nawet jeden do dwudziestu. Niechby padało i przez miesiąc, co z tego? Przecież to przekłete rycerstwo wytnie nas nawet na piechotę. Tu miało nie być nikogo, mieliśmy uderzyć na opuszczony kraj, do którego co najwyżej będą gnały jakieś pojedyncze chorągwie, wyrwane z zachodu na ratunek... Ale teraz? Tych naszych czerwonych legionów w ogóle nie można brać pod uwagę. — Aronet nie widział, co działo się pod Puszczą Bukową, gdy doborowe oddziały północne, o niebo lepsze od naprędce skleconych klinów dartańskich, trafiały pod kopyta kopijników, ale umiał wysilić wyobraźnię. — Nie wyobrażam sobie, jak można tych ludzi postawić przeciw szarżującej ciężkiej jeździe, a nawet spieszonym kusznikom z pocztów. Czy masz coś więcej niż tylko zadziorność starej dowódczyni jazdy?

Uśmiechnęła się mimo woli.

— Starej w znaczeniu: doświadczonej — rzekł pośpiesznie, pogrążając się do końca. — Nie chodziło mi, no... że starej.

— Zaraz kopnę cię w dupę — powiedziała, szczerze rozbawiona. — Zdaje się, że idą nasi tysięcznicy... Porozmawiamy potem. Co mam teraz mówić?

— Mów, co chcesz — rzekł zrezygnowany.

— W takim razie schowaj ten rozkaz i rób dobrą minę do wszystkiego, co powiem.

38.

Wjazd jej książęcej wysokości do Rollayny przygotowano bardzo starannie. Najpierw do miasta dotarły mocno przesadzone wieści o zwycięskiej bitwie wojsk Sey Aye z cesarskimi legionami — przesadzone dlatego, że potrzebna była wojenna legenda, bohaterskie czyny, nie szara rzeczywistość wojny. Osobiście dowodząca ciężkimi hufcami księżna, w złotej zbroi, strzeżona przez przybocznych kopijników-wielkoludów, sama poprowadziła swą największą chorągiew do walki, przeważając szalę zwycięstwa — oto, jakich historii słuchano we wszystkich

gospodach stolicy. Szły wieści o tysiącach stratowanych łuczników, z których tylko nieliczni skryli się w warownym obozie i siedzieli tam głodni, coraz częściej myśląc o pójściu w niewolę.

Prawda była zupełnie inna. Już dwa dni po bitwie Yokes nie mógł spać ze zgrzyoty, że nie rozbił cesarskich do reszty, żałując krwi swych żołnierzy. A przecież jeszcze niedawno sam opowiadał księżnej, jak trudno złamać ducha bojowego imperialnych legii! Zreorganizowana jazda imperialna wyszła z obozu natychmiast, gdy stało się to możliwe, i zniknęła, rozpływając się po kraju. Zapłonęły wioski, tu i tam. Dwie lekkie chorągwie Sey Aye kilka razy natykały się na jakąś kolumnę i ponosiły porażkę za porażką, tracąc w pościgu za konnymi łucznikami rannych i zabitych. Wreszcie przyszła wiadomość już nie o porażce, a klęsce — próbująca dopaść wroga Chorągiew Straży Przedniej została wprowadzona w pełnej szarży prosto na mokradła, gdzie ugrzęźli wszyscy: cesarscy i książęcy. Ale imperialni mieli łuki... Na suchy teren wydostała się z powrotem zaledwie połowa lekkich jeźdźców Sey Aye.

Pod samą Puszcą Bukową legionieści spali na zmianę, a żołnierze Yokesa wcale. Z umocnionego obozu wychodziło jedno natarcie za drugim, wszystkie pozorowane. Pod obozem rozwijała się kolumna lub dwie, dołączała trzecia... Kolejno ruszały do przodu i wracały, nie osiągając środka pola. Żołnierze spod ciężkich znaków Sey Aye dziesięć razy dziennie stawali w szykach pod lasem i na drodze, czekając, co będzie dalej. Ale dalej nie było nic... W nocy cała historia zaczynała się od początku. Yokes nie mógł lekceważyć tych rozpoczynanych i niekończonych natarć, bo nie wiedział, które z nich zostanie poprowadzone dalej, a prędy czy później musiało wyjść natarcie prawdziwe. Lecz cesarscy odwrotnie: wiedzieli, czy atakują naprawdę, i nie budzili swych żołnierzy bez potrzeby. Taka zabawa nie mogła trwać wiecznie. Yokes miał świadomość, że jego wymęczeniu i bezradni żołnierze wkrótce zaczną upadać na duchu. Zaczynał tęsknić do chwili, gdy z obozu wyjdzie wreszcie prawdziwe, dzienne albo nocne (najprędzej właśnie nocne), uderzenie. Tyle tylko, że imperialni wiedzieli już, czego się spodziewać po żołnierzach Sey Aye. Gdyby udało się im przenieść ciężar walki między drzewa, walczące pieszo w Puszczy chorągwie zapłaciłyby w utarczkach z piechotą straszną cenę. Pozbawieni zaś pomocy pieszych jeźdźców gajowi utrzymać Puszczy nie

mogli. Nie w walce przeciw sześciu tysiącom dobrze wyszkolonych, a nierzadko doświadczonych, legionistów.

Wódz wojsk księżnej Ezeny nie wiedział, jak rozpaczliwe jest w istocie położenie cesarskich legionów. Strumyk pod wsią, o studniach nie wspominając, nie dostarczał dość wody dla ludzi i wszystkich zwierząt, zarówno wierzchowych, jak pociągowych i jucznych. Nie przewidywano, że na wiele dni stanie w tym miejscu cała Armia Zachodnia. Deszczu ciągle nie było. Jazda wyszła z obozu przede wszystkim dlatego, by utrzymywać się własnym staraniem. Nocny szturm na Puszcę Bukową był bliższy, niż Yokes podejrzewał; cesarscy nie mogli już wysiedzieć w zatłoczonym — choć stale powiększanym i umacnianym — obozie, w którym tkwił cały tabor.

Ale doradcy księżnej wiedzieli, że pierwszego sukcesu zmarnować nie wolno. Najbardziej nalegał Przyjęty. Znawca historii Szereru doskonale wiedział, jak zmienne są koleje losu wojennego; pytany, stale mówił to samo: „Do Rollayny!”. I księżna podjęła wyzwanie. Być może najtrudniejsze, przed jakim stanęła do tej pory. Miała pojawić się wśród ludzi, którzy jeszcze niedawno uważali ją za niewolnicę-uzurpatorkę; musiała udowodnić, że jest osobą wartą najwyższych zaszczytów, i narzucić swą władzę wszystkim.

W ślad za wojennymi legendami, rozpowszechnianymi głównie na użytek pospólstwa, poszły do stolicy wieści przeznaczone dla innych uszu. Dartańscy nosiciele rodowych monogramów, ze słabo skrywanym niepokojem — ale i ciekawością — czekali na kobietę, która wplątała Złoty Dartan w wojnę przeciw całej potędze cesarstwa. Za tą kobietą stała stara dartańska legenda, potwierdzana przez ludzi o takim znaczeniu i wpływach, jak K.B.I.Enewen, który gotów był walczyć i umierać za sprawę nowej pani. Tacy jak sławny żołnierz M.B.Yokes, szanowany i ceniony bez mała w całym Szererze, a wywodzący się z rodu surowych rycerzy-wojowników. Stały za nią wielkie pieniądze, dostarczane przez Puszcę Bukową, którą otrzymała od starego księcia K.B.I.Lewina, może i dziwaka, ale bez dwóch zdań pierwszego magnata w Dartanie, którego ród wyrósł z tej ziemi. Wreszcie stała za nią armia o niesłychanej sprawności i sile, rozbijająca w pył karne armektańskie legiony — bo wszystko jedno, jak wielką stworzono wokół bitwy legendę, klęska wojsk cesarskich była przecież faktem. Powątpiewano,

czy księżna naprawdę prowadziła szarżę, ale wojną kierowała z całą pewnością, na podobieństwo dawnych monarchów śląc rozkazy wodzom swych armii; mogła też rzeczywiście, wspólnie z rycerzem Yokesem, dowodzić w bitwie pod Puszczą. Mężczyźni i damy dartańskich Domów nie bardzo chcieli kogoś tak potężnego... Kogoś, kto bardziej nawet niż cesarski Książę Przedstawiciel mógł narzucić wszystkim swoje własne, nie wiadomo jakie prawa. Obawiano się nowych porządków.

Pałac dartańskiego wicekróla, po opuszczeniu przezeń Rollayny — po prostu splądrowano... Świetne Domy stołeczne, najpierw bardzo nieśmiało, potem coraz zuchwałiej, a po likwidacji nieudolnego dartańskiego Trybunału wręcz bezczelnie, przywłaszczyły sobie całe mienie cesarskiego przedstawiciela. Dopiero powrót pod stolicę żelaznych hufców Enewena ostudził zapędy magnatów, rycerzy, a szczególnie ich żon. Enewen nie musiał, jak Ezena, walczyć o znaczenie i pozycję; miał je od dawna, a teraz dodatkowo był opromieniony sławą świetnego wodza, zwycięzcy licznych bitew, za którym stało murem wiele wiernych chorągwi. Może setka, albo nawet więcej, znanych i mniej znanych Domów, wiązała wszystkie swe nadzieje z Enewenem i wojną, którą prowadził, a pięć razy tyle Domów widziało w owej wojnie przynajmniej jakieś korzyści. Były rody gotowe uwierzyć w cokolwiek i każdą prawdę przyjąć za swoją, poprzeć mieczami każdą sprawę, którą popierał wódz, bo na wojennej glebie, uprawianej pod jego okiem, rosło ich znaczenie, zamożność i pozycja. Już teraz wielu rycerzy o świetnych monogramach przed imieniem, ale za to bez miedziaka w sakiewkach, bogaciło się, zgarniając zdobycz wojenną, przyjmując złoto za wykup jeńców, a wszystko to w promieniach sławy i chwały.

Popierany przez takich ludzi Enewen stanął pod Rollayną i bez żadnych ceregieli przepędził z pałacu, który przed wiekami zbudowano dla dartańskiego króla, wszystkich intruzów. Obrażony przez jednego, zaraz wyzwał go na arenę, i to wyzwał w ten sposób, że przełknięcie upokorzenia było niepodobieństwem. Wyśmiał ciężką zbroję turniejową, stawiał się przed zuchwalcem w swoich pogiętych na wyprawie blachach i porąbał go, ale tak, żeby wszyscy widzieli, iż w Dartanie naprawdę trwa wojna. Sam wprowadził się do świetnych komnat i jął pytać, dlaczego stoją puste, odarte nawet z draperii na ścianach. Podejmował gości, rozmawiał i bywał. Nie minął tydzień, a w pałacowych korytarzach i

salach pojawiło się z powrotem sporo skradzionych sprzętów. Srogi wódz Ahe Vanadeyone uprzejmie dziękował każdemu, kto „odebrał cenne przedmioty jakimś nieznanym rabusiom”, i zapewniał, że gdy tylko pozna tożsamość tych rabusiów, natychmiast pośle po kata, co zazwyczaj kończyło się mniej lub bardziej pośpiesznym pożegnaniem. Gdy znowu pociągnął na wojnę, w stolicy została jedna z jego najlepszych chorągwi, Mniejsza Domu. Rycerze i ich pocztowi strzegli pałacu, czekając na osobę, która powinna w nim wkrótce zamieszkać.

Yokesowi mrówki chodziły po plecach, gdy odsyłał do Rollayny elitarną Chorągiew Domu, najpotężniejszą ze wszystkich — zupełnie jakby cierpiał od nadmiaru żołnierzy. Zresztą, choćby i cierpiał.. Wojsko powinno się bić; nie znosił używania go do polityki. Ale było oczywiste, że jej wysokość nie może stawić się w stolicy, otoczona wianuszkiem stu gwardzistów. W Chorągwi Domu, oprócz siły i prezencji, jakiej nie miała żadna chorągiew rycerska, liczyło się coś jeszcze. Nie tylko okryte ladrami rumaki kopijników; nie tylko świetne zbroje. Wagę miały barwy staroksiążęcej linii rodu K.B.I., dębowe liście uwieńczone koroną, a na koniec rodowe monogramy rycerzy występujących pod znakami Ezeny. Oprócz komendantów sztandarowych i dowódców chorągwi wszyscy inni wojownicy Czystej Krwi służyli właśnie pod dumnym gonfanonem Chorągwi Domu.

Już na rogatkach szeroko rozłożonych przedmieść witały wojsko szpalery gapiów. O przyjeździe jej książęcej wysokości wiedziano od dwóch dni. Tłumy gęstniały, w miarę jak jeźdźcy Domu, z kopiami w dłoniach i na bojowych rumakach, zbliżali się do Bramy Pani Seili. Rollayna miała jeszcze Bramę Królewską i Bramę Pani Delary, ale okrążanie miasta dla naprawdę już pustego gestu, jakim byłby wjazd przez Bramę Królewską, mijano się z celem. Na samym czele pochodu jechał dowódca chorągwi, mając u boku nieprawdopodobnie urodziwą, jasnowłosą dziewczynę w haftowanej złotem wojennej sukni, na której pyszniła się tak samo złota kolczuga. Dziewczyna była przy mieczu, którego jelec i głowica rękojeści lśniły od klejnotów. Szeptano, że to żona rycerza dowodzącego chorągwią. Dalej szli już groźni jeźdźcy Domu, niektórzy w rycerskich płaszczach. Do parady ulicami miasta ustawiono ich w kolumnie trójkowej: w każdym szeregu szedł kopijnik lub średniozbrojny w asyście dwóch konnych kuszników, a z boku pieszy

pachoł prowadził podjezdka. Jeźdźcy mieli w rękach kopie, włócznie lub kusze i siedzieli na bojowych wierzchowcach. Chorągiew wywarła oczekiwane wrażenie — ale też, bez dwóch zdań, była to najlepiej wyposażona i strojna ciężka chorągiew Szereru. W żadnej rycerskiej chorągwi — ani nawet w klinie Gwardii Cesarskiej — wszystkie bojowe rumaki nie były okryte zbrojami. Prawdę powiedziawszy, na kompletną końską zbroję mogli sobie pozwolić tylko bardzo nieliczni. Mało tego, wszyscy ciężko — i średniozbrojni jeźdźcy mieli pełne zbroje płytowe, nieznacznie różniące się od siebie, co w ogóle się nie zdarzało w zbiorczych chorągwiach rycerskich. Najbardziej różnorodne, jak zwykle, były hełmy, choć większość kopijników nosiła przyłbice, a średniozbrojnych zamknięte i półzamknięte łebki. Nawet strzelcy, na okrytych krótkimi kropierzami koniach, z jednakowymi tarczami na plecach, w pełnych kolczugach, wzmocnionych nakolankami i nałokcicami, prezentowali się świetnie. Na widok czterystu takich ludzi, których koszt uzbrojenia i wyposażenia równał się cenie ekwipunku może pięciu zwykłych chorągwi, gapiom wychodziły na wierzch oczy. Wiedzano już powszechnie, że Sey Aye ma więcej podobnych oddziałów. Oczywiście nie wszystkie były równie liczne — najmniejsza Chorągiew Błękitna liczyła zaledwie stu pięćdziesięciu jeźdźców — ale tłumy na ulicach Rollayny nie mogły znać takich szczegółów; zresztą nie znał ich prawie nikt. Obwieszeni bronią żołnierze (bo oprócz kopii, włóczni bądź kusz w dłoniach, oraz mieczów i rycerskich sztyletów przy pasach widniały jeszcze, zawieszane u kulbak, topory, maczugi, korbacze i wszelka broń, jaką każdy jeździec uznał za potrzebną) niespiesznie przejeżdżali pod sklepieniem bramy, krzesząc podkowami iskry na bruku, których snopy widoczne były w mrocznym tunelu.

Za jeźdźcami podążała zwarta półsetka kuszników pieszych — najlepsi żołnierze, jakich Yokes mógł wybrać z grona strzelców. Uzbrojenie i wyposażenie tych ludzi, na tle idących przodem jeźdźców, nie robiło wielkiego wrażenia, ale zwracał uwagę bardzo równy krok. Ten oddziałek przyłączono do poczty jej wysokości specjalnie dla rzeczoznawców. Każdy, kto miał jakieś pojęcie o wojsku, musiał docenić karność tej piechoty i zapytać się w duchu, czy o sile Sey Aye na pewno decyduje tylko jazda? Z tego samego powodu za półsetką kuszników szła druga, o wiele mniej karna, ale za to niezwykła — byli to leśni strzelcy,

odziani w zielone, brunatne i szare barwy, z opończami malowniczo spływającymi z ramion. Symbol Puszczy Bukowej, legendarna straż leśna, o której chętnie rozprawiano, snując niewiarygodne historie. Zawołani tropiciele i myśliwi, znawcy bezdroży, mieszkańcy dzikiej kniei, której ludzkie oko nie widziało. Postrach kłusowników i zbiegłych do lasu bandytów — o iluż morderczych potyczkach, iluż leśnych zasadzkach mogłyby opowiedzieć ostępy! I w samej rzeczy ci ludzie wyglądali na bohaterów najbardziej niezwykłych opowieści: zuchowaci, zawadiaccy, może trochę dzicy, ze sterczącymi u ramion różnobarwnymi pierzyskami strzał, świetnymi łukami i kuszami w dłoniach, wszyscy przy mieczach i ciężkich nożach myśliwskich.

Za leśną strażą postępowało dwudziestu lekkozbrojnych, lecz świetnie wyposażonych jeźdźców w barwach domu, a dalej już jechała sama księżna, otoczona bardzo nielicznym, zaiste wojennym, orszakiem. Z każdej strony odgradzał ją od cizby rząd konnych gwardzistów, takich samych jak dwudziestka z przodu. Wpatrywano się zachłannie w twarz tej najbardziej tajemniczej kobiety Szereru, która jechała obojętna, zdawkowo uśmiechnięta, zamieniając czasem kilka słów z oficerem w mundurze gwardzisty lub towarzyszącą jej kobietą o urodzie najdroższej niewolnicy: hodowlanej Perły. Lecz ta Perła na pewno była przyboczną strażniczką — piękna dziewczyna o kasztanowych włosach, prowadząca wierzchowca ze swobodą znakomitego jeźdźca, odziana w srebrzystą kolczugę i czerwoną narzutę, z mieczem i sztyletami przy dwóch pasach. Za księżną jechał, w towarzystwie dwóch młodych, uzbrojonych kobiet (chyba przybocznych niewolnic?), mężczyzna o pospolitym wyglądzie, skrzywiony w dziwnym uśmiechu, ale dobrze odziany — jedyny w całym orszaku człowiek bez żadnej broni. Sama księżna siedziała po męsku na pięknej bułanej klaczy dartańskiej, ubrana w granatową wojenną suknię o obszernej spódnicy; na sukni srebrzyła się świetna kolczuga. Była kobietą bardzo urodziwą, chyba dosyć wysoką, o ile dało się ocenić, gdy siedziała w siodle, o szerokich brwiach i zdecydowanym spojrzeniu, z granatowoczarnymi włosami ujętymi w jedwabną siatkę. Tłum nie wiedział co myśleć o kimś takim.

Ale ta niewiedza trwała krótko.

Przedziwna była łatwość, z jaką pani Puszczy potrafiła zjednywać sobie ludzi. Zaiste królewski dar... Rozmawiając z piękną strażniczką,

księżna dojrzała coś w ciżbie i bezceremonialnie zatrzymała wierzchowca. Wydawało się, że dopiero teraz zauważyła tłumy stojących wzdłuż ulicy mieszczan. Nie bacząc na protesty uzbrojonej towarzyszkii, złamała szyk swoich gwardzistów, przepchnęła się aż do pierwszego szeregu gapiów i pochyliła z uśmiechem, wyciągając rękę ze srebrną zausznicą, którą przed chwilą zdjęła. Przestraszona kobieta z dzieckiem na rękach gotowa była się cofnąć, ale maluch odważnie sięgnął po błyskotkę i księżna roześmiała się szczerze, uszczęśliwiona, spoglądając na zbrojną towarzyszkę. Zaraz skinęła głową matce obdarowanego szkraba i powiedziała coś, ale ujęty ludzkim, nieudawanie ciepłym gestem tłum wrzasnął, wiwatując, i nie dosłyszano słów. Jej wysokość machnęła ręką, pozdrawiając mieszkańców stolicy tak samo naturalnie, jak wcześniej podała zausznicę. Znow się śmiała. Jakże to podobało się ludziom! Kapryśni mieszkańcy wielkiego miasta, widujący na co dzień najświetniejszych rycerzy i ich piękne małżonki, nie oczekiwali przybycia roześmianej kobiety, która poprzedzana przez pyszne wojska, bogata i potężna, pochylała się ku nim, gotowa chyba porozmawiać... Patrzący na to Gotah-Przyjęty po raz setny powiedział sobie, że Ezena dopnie wszystkiego, co zamierzy. Ale przyznał się — sam przed sobą — do czegoś jeszcze. Do kłamstwa... a może tylko pomyłki. Jechał u boku Rollayny, Pierwszej z Trzech Córek Szerni, legendarnej królowej Dartanu. Ezena była Rollayną. Obojętne, czy stary książę Lewin wyrwał ją Pasmom Szerni; obojętne nawet, czy Rollayna kiedykolwiek istniała... Jeśli nie było jej dotąd, to pojawiła się właśnie, prawdziwa, z ciała i duszy. Dysponowała siłą i mocą, jakiej nie mogły dać nawet Pasma. Była to moc człowieka, który dokładnie wie, dokąd zmierza, zna swoje miejsce na świecie i na pewno potrafi je zająć.

Wiwaty, raz rozbudzone, już nie milkły, przekazywane coraz dalej i dalej, podsycane spojrzeniem i uśmiechem, a czasem tylko samym gestem Ezeny. Nikt nie sypał tym ludziom złotych i srebrnych monet. Ktoś się do nich po prostu uśmiechał i był to ktoś naprawdę szczęśliwy.

Bo w istocie jej książęca wysokość wprawdzie lubiła dzieci, ale gest z zauszną płynął z wyrachowania... Za to już chwilę później Ezena odkryła dziwne ciepło w piersi; miasto odezwało się do niej i poczuła, że to jest właśnie JEJ miasto. Zniknęło wyrachowanie, bo pani Dobrego Znak z każdym krokiem była bardziej szczęśliwa, a ludzie to szczęście widzieli. Szczerą radość kogoś, kogo warto było witać; a warto właśnie dlatego, że był wdzięczny za powitanie.

Zamykający pochód konni gwardziści jechali pośród huku rozbudzonej stolicy, która w jednej chwili dostała swoją panią. Kogoś zupełnie innego niż Książę Przedstawiciel Cesarza, Dartańczyk w służbie obcego monarchy, przysłany skądś i dokądś odwołany. Kogoś, kto dotąd nigdy nie był w Rollaynie, ale przyjechał, bo chciał tu zamieszkać, bo tu miał być jego dom i miejsce, nie zaś tylko piastowane za czyimś przyzwoleniem stanowisko. Docierało do ludzi, że nie wyszli na ulice z próżnej ciekawości... Wyszli, by po latach mówić dzieciom i wnukom: „Widziałem, jak królowa wjeżdżała do miasta...”.

Dla pospólstwa Ezena została królową, jeszcze zanim minęła przedmieście.

*

W Rollaynie być może brakowało miejsca, ale tylko w zewnętrznym pierścieniu. Miasto zbudowano na planie dwóch okręgów, jeden w środku drugiego. Wewnętrzny zamykał Dzielnicę Królewską, od czasu nastania imperium przemianowaną na Książęcą. Teraz miała wrócić do swojej pierwszej nazwy.

Olbrzymi pałac królewski — a potem wicekrólewski — nie przytłaczał. Główna bryła budowli była parterowa, w starodartańskim stylu. Tylko skrzydła strzelały do góry — słynne „wieże” Rollayny, mieszczące więcej pokoi i komnat niż jakakolwiek inna budowla na świecie. Ale sam środek pałacu, zbudowany z myślą o panującej rodzinie, był mniejszy niż dom księżnej w Sey Aye. Podobnie rozplanowany... Ezena czuła się niemal jak u siebie. Najbardziej brakowało wąskiej komnaty z oknami wychodzącymi na ogród. Park za domem był zupełnie inny... Najpierw rozbawił księżną. Na wielkiej polanie w środku Puszczy Bukowej wytyczono zwirowe alejki, posadzono krzewy ozdobne. W środku największego miasta Szereru próbowano zapuścić knieję. Za pałacem Ezena miała las. Malutki, śmieszny, wzruszający las. Ale było to

coś bliskiego, potrzebnego. Księżna uświadomiła sobie, jak bardzo zżyła się ze swoim wielkim lasem. Chyba oszukała Przyjętego... Tęskniła do swojej polany.

Ale tutaj był mały las, w którym szumiały sosny, ćwierkały ptaki, a na drzewo uciekła wiewiórka. Jakby... jakby z rozkazu starego księcia zrobiono w Rollaynie coś, co powita panią Sey Aye, przypomni o opiece, którą nad nią roztoczył potężny ród puszczańskich wojowników. Księżna czuła tę opiekę stale. Miał słuszność mądry Gotah, dowodząc, że jej siła bierze się z marzeń, ze snów pokoleń rycerzy. Czuła w sobie te wszystkie marzenia, z całej duszy chciała im sprostać, bo były czymś wielkim, jak armektańska Pani Arilora. Dartan nie znał niczego takiego. Nie znał, bo ukryte były w mrocznej puszczy, gdzie całe pokolenia czekały.

Jej wysokość pokochała malutki lasek za domem, bo połączył ją ze wszystkim, co nadało sens jej istnieniu.

W obozie przy Netenie, jeszcze przed wyjazdem do stolicy, Anessa zajęła się przygotowaniami do pobytu w Rollaynie. Napisała list do Kesy. Pilnująca Sey Aye Perła wiedziała, co będzie potrzebne. Co, a raczej, przede wszystkim — kto. Jednocześnie z księżną (ale przez inną bramę) wjechał do Rollayny przysłany z Puszczy zastęp niewolników, urzędników i dworzan. Księżna, na wojennej wyprawie, mogła mieć przy sobie dwie lub trzy niewolnice, ale w stolicy potrzebowała trochę więcej służby. Kesa uznała, że na razie wystarczy osiemdziesiąt dusz, nie licząc ponad trzydziestu dworzan i urzędników. Ludzie ci przywieźli ze sobą najpotrzebniejsze sprzęty, bo Anessa dała Kesie znać, iż pałac został splądrowany i nie wiadomo, co w nim właściwie jest. Dostarczono księżnej dwadzieścia parę sukni — niektóre Anessa wymieniła jako niezbędne, o innych pomyślała Kesa — oraz kilkanaście par obuwia i sporo kobiecych dodatków. Nie było to wiele dla kogoś, kto przywykł przebierać się nawet i trzy razy dziennie... Ezena wprawdzie buntowała się czasem i paradowała w koszuli praczki, ale na co dzień — przynajmniej, gdy chodziło o stroje — całkiem dobrze rozumiała się z Anessa... I to właśnie Pierwsza Perła miała być w Rollaynie najbardziej nieszczęśliwa. Kesa, bez cienia litości, posłała jej tylko kilka sukni; reszta miała przyjechać dopiero później, na wozach, których istny tabor przygotowywano w Sey Aye. Ale miało to trochę potrwać i nieszczęśliwa Anessa w ogóle nie miała co na siebie włożyć. Mogła pokazać się ludziom

dokładnie sześć razy; potem zostawały już tylko dwie domowe suknie, nie przeznaczona dla oczu gości. Jedynym wyjściem był powrót do Yokesa; twarda żołnierka mogła w surowych obozowych warunkach na okrągło pokazywać się w pięciu wojennych sukniach. Wojna to wojna, wiadomo.

Obrażona Anessa stawiała się przed Ezeną i powiadomiła ją sucho, że nie może być w niczym pomocna. Ezena, jak każda kobieta, była zdolna do współczucia tylko wtedy, gdy spotykało ją dokładnie to samo, co osobę poszkodowaną — gdyby miała sześć sukni, płakałaby razem z Anessą, nad swoim i jej losem. Ale miała prawie trzydzieści i nie rozumiała, o co chodzi Perle.

— Jak to: „nie możesz być pomocna”? A w czym?

— W niczym.

Ezena urządziła sypialnię w zupełnie innym miejscu, niż sypiał Książę Przedstawiciel Cesarza. Oddział niewolników targał łoża wielkości okrętu. Nie miała czasu na głupstwa. Brakowało jej służby, kucharzy... Wszystkiego. Tylko Perle miała w sam raz, a nawet o jedną za dużo.

— Pojutrze wielkie posłuchanie dla całej Czystej Krwi, jaka płynie w tym mieście — powiedziała. — Nie posłuchanie, tylko... Jak to nazwał Gotah? Mniejsza z tym, w każdym razie wysłałam ponad trzysta zaproszeń. Enewen na szczęście zostawił mi człowieka, który zna tutaj wszystkich, ale nie wiem, czy kogoś nie pominęłam. Ja nie będę zajmować się gośćmi, od tego mam Pierwszą Perłę. Niesamowicie drogą, ale na pewno wartą swojej ceny.

— Pierwsza Perła jest naga.

— Bardzo dobrze, będzie po armektańsku — twardo oceniła jej wysokość. — Nie zawracaj mi głowy, właśnie przenoszę łożko.

Anessa nie dała się zbyć.

— Wasza wysokość, uważam...

— Nie, nie, żadne „wasza wysokość” — przerwała Ezena. — Co mam zrobić? Pożyczyć ci suknię? Wybierz sobie jakąś, skróć i wypchaj z przodu. Tutaj nie! — zawołała, szybkim krokiem przemierzając komnatę i spoglądając na łoża, o które ciężko opierali się czerwoni na twarzach niewolnicy. — Bardziej na środku! Wezglowie z drugiej strony.

Anessa poszła do Hayny.

Hayna miała jeszcze mniej czasu, niż Ezena. Pierwsza Perła skarżyła się przyjaciółce, pędząc za nią biegiem. Gwardzistka uczyła się domu na pamięć, liczyła na palcach gwardzistów, wybierała miejsca, gdzie mają podierać ściany, tak żeby każdy widział dwóch najbliższych towarzyszy.

— W skrzydłach na razie nikogo — rzekła do Anessy, przerywając jej niemal w pół słowa. — Wiem już, dlaczego Przedstawiciel miał cały półlegion halabardników. A ja potrzebuję dwa razy tyle. Trzy zmiany warty, po pięćdziesięciu ludzi w skrzydłach i setka tutaj. Od wczoraj próbuję dać sobie z tym radę... Myśl ze mną! — prychnęła na Anesę. — Kogo dam jej do asysty? Pojutrze będzie tu cała Rollayna! Wszystko stoi na głowie, ktoś ukradł nawet drzwi i wybił okna, a ona pojutrze wydaje bal!

— Poproś o jeźdźców Domu — powiedziała zrezygnowana blondynka.

— I chyba tak zrobię. Staną w sali tronowej.

Anessa odszukała Gotaha.

Gotah — miał czas — i bardzo zły humor. Wybrał się do Rollayny na wyraźne życzenie księżnej i na razie nie miał nic do roboty. Najbardziej gniewało go to, że nie mógł być w trzech miejscach naraz. Chciał zobaczyć, jak księżna poradzi sobie w Rollaynie. Równie mocno pragnął towarzyszyć Yokesowi, z którym ostatnio bez mała się zaprzyjaźnił, znajdując w byłym tysięczniku cierpliwego słuchacza; Yokes nigdy nie znał kogoś takiego, jak historyk-Przyjęty, i dopiero na stare lata dowiadywał się, jak ciekawe są dzieje wojskowości w Szererze. Polityczne wstrząsy nudziły go śmiertelnie — za to o przemianach w uzbrojeniu, taktyce i strategii, a także najważniejszych bitwach, mających wpływ na losy świata, gotów był rozmawiać całymi nocami. Umiał odnieść uzyskane wiadomości do sytuacji własnych wojsk, nie było to więc dla niego tylko próżne gadanie. Uczył się, pogłębiał niezbędną dowódcy wiedzę. Spostrzegawczy i potrafiący myśleć, zadawał ciekawe pytania i miał bardzo cenne uwagi. Przyjęty czuł, że to raczej Yokes, niż Ezena, potrzebuje teraz doradcy, a potrzebuje tym bardziej, że odesłał swego zastępcę, dowódcę Chorągwi Domu. Był sam naprzeciw cesarskiej armii pod lasem. Gotah pragnął jak najszybciej wrócić do wojskowego obozu pod Netenem, albo zgoła stawić się od razu w namiocie dowódcy, na polance przy wylocie drogi na równinę. A jeszcze bardziej ciągnęło go

do Sey Aye, gdzie wprawdzie był całkiem zbędny, ale mógł dostać od kogoś kielich wina i skrzydełko kurczaka do łóżka. Anessa trafiła fatalnie. Przyjęty po prostu ją przegnał, w ogóle nie doceniając, że Pierwsza Perła próbuje spełnić swój obowiązek. Miała występować jako najcenniejszy klejnot swojej pani, zaświadczać o jej bogactwie, zajmować się gośćmi, służyć radą, a wszystko to w szorstkiej włosienicy. Ofuknięta niewolnica poszła, nie mówiąc słowa. Jej gorycz była tak bezbrzeżna, że Gotah, pomimo kwaśnego humoru, znowu zastanowił się przez chwilę, jak dziwacznie splątana jest dusza tej pięknej i naprawdę mądrej dziewczyny. Ktoś, kto obmyślał finansowe kampanie, prowadził bez mała wszystkie sprawy Sey Aye, umiał jeździć po Dartanie i dyktować warunki znanym Domom rycerskim — otóż ten ktoś gotów był płakać z powodu braku sukienki. Mędrzec Szerni przeklął się w duchu, że nie znalazł dla Anessy cierpliwości, bo było zupełnie jasne, co niewolnica zaraz zrobi: mianowicie, znajdzie sobie jakiegoś bezbronego biedaka, pisarza lub niewolnego sługę, wbije mu w krtań zęby jadowe, pomnoży obowiązki, odbierze wszystkie prawa i obieca zwolnienie ze służby lub odsprzedanie byle jakiej hodowli przy pierwszej po temu okazji. I pół biedy, jeśli tylko tyle. Mogła jeszcze ruszyć w podróż po ulicach Rollayny i za pół sztuki srebra oddać swe ciało włóczędze w gospodzie, bo tak przecież czyni głodna kobieta w dziurawych łachmanach na grzbiecie, której w oczy zagląda nędza. Gdy szło o Anesę, Przyjęty bywał aż niesprawiedliwy. Nie lubił Pierwszej Perły i gotów był uwierzyć w cokolwiek, co mówiono na jej temat, byle zaświadczało o bezdennej pustocie.

Mędrzec Szerni siedział w pustym, splądrowanym pokoju, który mu wskazano. Więcej wygod miał w budyńeczku leśnej komendantury... Oprócz dwóch krzesel w komnatce nie było żadnych sprzętów. Obiecano mu jakieś legowisko na noc i kandelabr z kilkoma świecami, ale miał to dostać już minionego wieczoru, gdy przekroczył próg pałacu, i nie dostał. Skończyło się na drzemce w jakimś pokoju zachodniego skrzydła, na trzecim piętrze, gdzie na łóżku litościwie zostawiono siennik. Teraz siedział na krześle i gapił się przez okno. Zdążył już przejść się po pałacu, bo wieczorem szukał posłania, a potem był w drugim skrzydle, gdzie mieszkali kiedyś dworzanie Przedstawiciela; książkę zabrał ich ze sobą, uciekając do Tarwelaru. Najrozmaitszych sprzętów zostawiono w pałacu

dość, by urządzić parterową część budowli, ale to właśnie na parterze, gdzie mieszkał sam Przedstawiciel, było kiedyś najwięcej cennych przedmiotów i dało się łatwo je zabrać. Parter splądrowano nieomal doszczętnie, a Enewen odzyskał tylko część tego mienia. Wszystko, co jeszcze było w pałacu, należało teraz poznosić z różnych komnat i pokoi. Takiej pracy nie mogło podołać osiemdziesięciu niewolników, nawet jeśli z pomocą ofiarowali się żołnierze. Gotah wiedział, że księżna Ezena musi jak najszybciej dogadać się z wielkimi rodami Rollayny (był ogromnie ciekaw, jak to zrobi), więc nie domagał się niczego, bo ostatecznie mógł przespać się nawet na posadzce... Najważniejsze było teraz przygotowanie sali tronowej i kilku innych, niezbędnych do przyjęcia armii gości. Sama sala tronowa, urządzona z myślą o takich właśnie zgromadzeniach, mogła na pewno pomieścić ze dwie chorągwie jazdy. Ale w sali miało odbyć się tylko posłuchanie dla głów dartańskich rodów. Stołeczni rycerze i magnaci nie mogli stawić się w pałacu sami, bez małżonek, bez żadnych pocztów, bez nieodzownych Pereł... Wszystkich tych ludzi nie można było trzymać na dziedzińcu przed domem. Chociaż pogoda wciąż dopisywała i Gotah zastanowił się, czy nie podsunąć takiej myśli Ezenie. Dartańskie obyczaje dopuszczały wystawienie pod niebo stołów dla pocztowych i pomniejszej służby. Anessa, zamiast martwić się o suknie, powinna zarządzić przygotowania do wielkiej biesiady. Zgromadzone w sali rycerstwo miało rozmawiać z Ezeną, ale potem należało podać jakiś poczęstunek. Jaki? Gdzie?

Gotah nie wiedział, że martwi się niepotrzebnie. Anessa, choć okradziona z sukni przez przebrzydłą Kesę, jak zwykle stanęła na wysokości zadania. Polecenia dawno już zostały wydane; Pierwsza Perła, nieszczęśliwa i niezadowolona, wstała tego dnia wcześniej jak nigdy i najważniejsze sprawy załatwiła sama, a inne zleciła komu trzeba. Gdy Gotah dumał o wydaniu uczyty na dziedzińcu (co nie było możliwe, bo goście jakoś musieli zajeżdżać przed dom), do Dzielnicy Królewskiej zaczynały właśnie ściągać ciężko załadowane wozy. Dostarczano stoły i ławy, od razu wnoszone przez pachotków do pałacu i ustawiane w korytarzach wschodniego skrzydła, które wyglądało najlepiej. Rozkładano na nich obrusy, a na obrusach zastawę. Zakupiono mnóstwo zupełnie zbędnych rzeczy, tylko po to, by cała stolica miała o czym mówić. Handlowe przedstawicielstwo Sey Aye w Rollaynie mogło

zaspokoić większość zamówień, ale zlecono mu tylko regulowanie rachunków i przedstawiono listę zakupów... Anessa stawiała na głowie, byle tylko wydać jak najwięcej. Dziesiątki stołów, setki lichtarzy i tysiące świec kupowano u konkurencji. Zamówiono potrawy i trunki, które miały pojutrze trafić wprost na stoły, bo pałacowe kuchnie i piwnice w żaden sposób nie mogły jeszcze sprostać zadaniu. Wszystko to kosztowało krocie. Ale finanse Puszczy Bukowej, mimo niesłychanych zakupów, które poczyniono ostatnio (wciąż nabywano liczne dobra imperialne), nie były jeszcze w ruinie, łatanie i naprawiane przez skarbników, spekulujących na rynku pieniężnym. Zresztą, nawet gdyby rzecz przedstawiała się inaczej, Pierwsza Perła gotowa była poważnie nadwyrężyć szkatułę Dobrego Znaku, byle tylko pokazać, na co stać jej panią. Te wydatki miały wymowę polityczną. Przygotowanie w ciągu dwóch dni, w splądrowanym pałacu, okazałego przyjęcia dla kilkuset kobiet i mężczyzn Czystej Krwi, którym musiało towarzyszyć pięć razy tyle pocztowych i służby, graniczyło z niemożliwością. Ale pieniądze potrafiły zdziałać cuda i Anessa zamierzała właśnie dowieść, że jej pani dokonuje łatwo rzeczy niemożliwych. Przyjęty, zdumiony rozmachem, z jakim czyniono przygotowania, musiał w duchu oddać sprawiedliwość Pierwszej Perle, która miała czas na irytujące jęki-stęki, ale wcześniej zdjęła z głowy księżnej właściwie wszystkie kłopoty. Ta niewolnica, choćby jeszcze dwa razy bardziej pusta i kapryśna, warta była każdej sumy w złocie (ostatnio raczej: w srebrze...). Umiała na własną odpowiedzialność podejmować bardzo ważne decyzje i w całej pełni korzystała ze wszystkich swoich uprawnień. Ale tak działało się zawsze, nawet w Dobrym Znaku. Księżna, owszem, była wyjątkową kobietą, lecz ponadto miała do pomocy sprzymierzeńców, o jakich inni mogli tylko marzyć. Nic nie stało na przeszkodzie, by przez całe popołudnie ustawiała swoje łóżko, a potem leżała w nim, myśląc tylko o tym, jak poprowadzić grę z dartańskimi rodami. Hayna dbała o jej bezpieczeństwo i prezencję gwardzistów, Yokes i Enewen kierowali wojną, Kesa pilnowała spraw w Dobrym Znaku, a Anessa zajmowała się całą resztą. I miała jeszcze czas na narzekania.

Nazajutrz, księżna Ezena, korzystając z pięknej pogody, przez cały dzień wylegiwała się w swoim lesie za domem, gawędziła z Przyjętym i karmiła wiewiórki orzechami, bo wiedziała, że gdy stawią się goście,

wszystko będzie gotowe.

39.

W olbrzymiej sali tronowej nie zabrakło miejsca, zwłaszcza że stawiły się w niej tylko głowy rodów. Rozesłane zaproszenia, utrzymane w najlepszym tonie i własną ręką podpisane przez Ezenę (księżna ponad trzysta razy musiała nakreślić swe, poprzedzone monogramami rodu, imię — ale nie użyła żadnych tytułów) w tyleż lekki, co uprzejmy, a nawet dowcipny sposób uprzedzały o „wojennej radzie, na której zapadną istotne dla królestwa decyzje”. W kilku słowach dawano do zrozumienia, że na owej „radzie wojennej” oczekiwani są tylko ci, którzy przyjść powinni. Gotah, którego jej wysokość poprosiła o pomoc, mocno nabiedził się, układając treść owych zaproszeń. Nie mógł obrazić nikogo, a zarazem, spełniając życzenie księżnej, nie chciał dopuścić do zgromadzenia w sali tronowej wszystkich dam Domów z Perłami, jakichś giermków i nie wiadomo kogo jeszcze. Trudno było rozdzielać siłą przybywające pary, więc już w treści krótkich zaproszeń musiała zostać zawarta wiadomość, czego księżna oczekuje od swych gości.

Mędrzec Szerni sprostął zadaniu.

Kesa może i nie lubiła Anessy, ale nie była głupia... Żale Pierwszej Perły miały się całkiem nijak do przysłanej z Sey Aye sukni, w której witała gości. Olbrzymia błękitna szata, tak dartańska, jak to tylko możliwe, należała bez wątpienia do najkosztowniejszych strojów, jakie kiedykolwiek widziano w Szererze. W ciągu zaledwie jednego wieczoru Perła księżnej Ezeny i sama Ezena zostały znienawidzone przez kilkaset kobiet, z których większość mogła mieć tylko niewolnice pierwszego sortu; Perły pozostałych dam Czystej Krwi na tle Anessy i jej sukni wyglądały na fałszywe. Piękna blondynka, dźwigająca na sobie jakieś trzysta brylantów wtopionych w złote hafty zdobiące szatę, miała się do innych Pereł tak, jak Chorągiew Domu do zbiorczych chorągwi rycerskich. Ze swobodą, przyzwyczajona do rozkazywania największym rodom, Anessa zapraszała kobiety do refektarza, porozumiewawczo ubolewając nad obowiązkami, którym musi jeszcze sprostać księżna, zanim opuści męskie towarzystwo; z drugiej strony żartobliwie współczuła magnatom i rycerzom, których wojna, nawet w bezpiecznej

stolicy, właśnie rozdzielała z małżonkami. Niejeden z tych magnatów i rycerzy bladł bądź czerwieniał się lekko pod spojrzeniem niewolnicy, która parę miesięcy temu wcale nie żartowała, tylko mówiła spokojnie: „A oto są, panie, długi twego Domu...”. Spotkanie z tajemniczą panią Puszczą Bukowej wydawało się niegroźne wobec przelotnego spojrzenia Pierwszej Perły, w niebieskich oczach której kryło się krótkie: „Pamiętam...”.

Przybyli prawie wszyscy zaproszeni. Bo też bez względu na to, co kto myślał o niejasnym pochodzeniu księżnej-niewolnicy, o jakichś bajkach i legendach, o wyzwoleniu Dartanu spod władzy imperatora, nikt nie mógł zlekceważyć kobiety, z rozkazu której właśnie pobito najlepiej zorganizowane wojska świata — Legię Armeckańską, nie mającą od stuleci godnego przeciwnika; kobiety, która mogła wiele zdobyć mieczem, a drugie tyle po prostu kupić; kobiety, za którą orężnie stały liczne rody, kultywujące rycerskie tradycje swego kraju.

Tkwiący za wielkim tronem Gotah, podniesiony do rangi pierwszego doradcy jej wysokości, czekał tak samo jak wszyscy inni, kiedy pani domu przyjdzie do sali i co powie. Nie wiedział, w jaki sposób postanowiła narzucić swoją wolę przedstawicielom najświetniejszych rodów, którzy w większości wciąż jeszcze nie poparli jej sprawy, ani własnymi mieczami, ani w żaden inny sposób. Co najwyżej, zachowywali powściągliwą neutralność, a i to najbardziej za sprawą kwitów, które kiedyś pokazywała Anessa. Oczywiście nie każdy zadłużony był w Sey Aye... Ale prawie każdy dłużnik miał przyjaciół i popleczników, od których żądał poparcia własnej sprawy. Księżna, za pośrednictwem Pierwszej Perły, wygrywała takie powiązania na swą korzyść. Ale teraz chodziło o coś więcej: chodziło o uznanie faktycznej władczyni, przyznanie jej tytułu regentki, od którego wiodła już bardzo prosta droga do królewskiej korony na skroniach. Regencja miała w Dartanie bardzo długą i bujną tradycję. W kraju wiecznie wstrząsanym rodowymi wojnami, gdzie panowały i upadały dynastie, by ustąpić miejsca obieralnym władcom, a potem znowu dziedzicznej monarchii, gdzie wiecznie panowało bezkrólewie — wyznaczano regentów zarówno na czas małoletności monarchy, jak i ze stu innych powodów. Najczęstszym powodem była wojna. Regenci czasu wojny, jako władcy tymczasowi, rządzili aż do ustąpienia politycznych zawirowań. Ale teraz o tytuł

regentki miała ubiegać się kobieta, przez ogromną większość możnych po raz pierwszy widziana na oczy. Nie każdy miał dosyć śmiałości, by — pod pozorem załatwiania jakichś spraw — przemierzać stołeczne ulice właśnie wtedy, gdy jej wysokość wjeżdżała do miasta, i choćby rzucić okiem na jej poczet. Większość udawała, że właściwie nie wie, iż zajęty został pałac w Dzielnicy Królewskiej. Zajęty przez jej wysokość K.B.I.Ezenę, księżną Dobrego Znak, która w jakiś... bardzo niezwykły sposób została poślubiona przez starego księcia Lewina. O której powiadano... strach pomyśleć... że niegdyś była niewolnicą. Co prawda, przeczyli temu tacy ludzie, jak jego godność K.B.I.Enewen, a nawet, co ważniejsze, jego przyrodni brat Kenes, który niegdyś sam wytoczył rzekomej niewolnicy proces, a teraz walczył za jej sprawę. Gotah czytał wszystkie te myśli w oczach zgromadzonych. Wierzył w księżną Ezenę, ale miał też obawy. Nie wiedział, jak ta młoda kobieta zachowa się wobec setek najświetniejszych Dartańczyków. W jaki sposób zażąda tytułu regentki, a tym samym praw monarchini?

W sali została celowo zachowana pewna wojenna surowość. Wzdłuż ścian, nieruchomo oparci na mieczach, trwali najznamienitsi żołnierze Chorągwi Domu. Po obu stronach podwyższenia, na którym stał tron, tylko dwaj gwardziści. Przy wielkich drzwiach wejściowych czekał, w pełnym gwardyjskim mundurze, komendant straży przybocznej, w asyście zaledwie czterech własnych żołnierzy. Wszystko to rzeczywiście wyglądało na jakąś... radę wojenną.

Drzwi otwarto bez żadnej zapowiedzi. Pośród gwaru licznych rozmów bardzo wyraźnie rozbrzmiał szcęk blach, gdy stojący pod ścianami zbrojni unieśli miecze w wojskowym salucie, a potem je opuścili, zgrzytając ostrzami o posadzkę. Łoskot stalowych rękawic, uderzających w opancerzone piersi, momentalnie zgasił gwar w sali. Pośród głuchoj ciszy wszystkie twarze zwracały się ku drzwiom, spoza których dobiegał odgłos kroków kilku gwardzistów. Komendant Ohegened odczekał jeszcze chwilę, a potem swym szorstkim, donośnym głosem oficera, powiedział po prostu:

— Jej królewska wysokość księżna regentka K.B.I.Ezena, pani Dobrego Znak.

Czterej gwardziści weszli do sali i natychmiast zajęli miejsca po obu stronach wąskiego czerwonego kobierca. Księżna, z orężną Czarną Perłą

przy boku, spokojnie poszła wprost do tronu.

Gotah stał, z bijącym sercem czekając, co się wydarzy. Ezena rozegrała wszystko po swojemu... Powinien był się domyślić! Nie zamierzała nikogo o nic prosić, ani nawet niczego żądać. Po zapowiedzi Ohegeneda każdy z gości miał prosty wybór: zostać w sali lub wyjść.

Ktoś chyba chciał ruszyć ku drzwiom, ale zaraz znieruchomiał, widząc, że inni nie ruszają się z miejsca. Ilu było takich? Przyjęty wiedział, jak działa wola jednostki w tłumie. W ślad za pierwszym odważnym ruszyliby następni. Ilu? Mogli wyjść nawet wszyscy. Przyjęty czekał na pierwszego odważnego. W gronie trzystu ludzi... Nikt?

Ale Ezena też wiedziała, jak czuje i myśli tłum. Na Szerń, skąd? Skąd ta wiejska dziewczyna, niewolnica i praczka, wiedziała takie rzeczy? Drzwi pozostały otwarte dość długo, by nikt nie ważył się powiedzieć, że księżna uwięziła swoich gości; dość długo, by każdy zdecydowany zdążył przez nie wyjść. Ale zdecydowanych nigdy w tłumie nie było... Wielkie skrzydła złożyły się powoli, zwierając się z wyraźnym stukiem. Koniec. Nikt nie wyszedł i było już wiadomo, że nie wyjdzie. Bo jak? Zabawnie szarpiąc się z drzwiami, uczepiony wielkiej klamki nad głową? Czas minął, okazja uciekła. Jej królewska wysokość Ezena pozwoliła każdemu podjąć decyzję, po czym uznała sprawę za zamkniętą. Zamkniętą jak drzwi do sali tronowej.

Gotah patrzył na idącą ku niemu kobietę w olbrzymiej czerwonej sukni, zamówionej przez starego władcę Sey Aye z myślą o królowej Dartanu. Żadna dama Domu nie mogłaby włożyć tej szaty, bo wyglądałaby w niej śmiesznie — przebrana za królową... Gdzie miała chodzić w takim stroju? Czy po krętych schodach we własnym strzelistym pałacyku, przy jednej z ulic Rollayny? A może w jakimś w majątku na końcu świata? Kto i gdzie mógł w takiej szacie podejmować gości, nie narażając się na uśmieški za plecami? Ale oto tutaj, w sali tronowej pałacu dartańskich monarchów, szła po królewskiej purpurze — trochę niecierpliwie skubiąc jakiś dokument — wysoka kobieta, która chyba nie miała zbyt wiele czasu. Nie wystroiła się przesadnie, na sukni lśniło niewiele klejnotów, a włosów, ujętych w jedwabną siatkę z rubinami, na pewno nie układały przez pół dnia niewolnice. Przyszła załatwić jakieś sprawy, ale bez wątpienia czekały już inne, prawdopodobnie ważniejsze lub chociaż równie ważne... Podeszła do

podwyższenia i weszła po trzech stopniach. Wymieniła spojrzenie z Przyjętym, który po raz setny musiał sobie powtórzyć, że nie ma żadnej praczki Ezeny, jest tylko kobieta, która urodziła się, by zostać władczynią mocarstwa. Odwróciła się przodem do sali i powiedziała:

— Witam wszystkich. Przepraszam za nieporządek w moim domu, zbyt długo tu nie było gospodarza. Ale to samo można powiedzieć o całym państwie... Naprawimy to.

Po czym przysiadła, beztrąsko zagniatając swą ogromną suknię, na poręcz krzesła — tak jak przysiadła się czasem na krawędzi ulubionego fotela. Lecz nad tym fotelem lśniła wąska czterozębna korona książęca, jakiej nie miał nikt inny w tym kraju. To wielkie krzesło było jeszcze nie tak dawno symbolem władzy cesarskiego przedstawiciela w Dartanie.

— Będziemy spotykać się często — ciągnęła, trochę niecierpliwie zerkając do trzymanego w dłoni pisma, które częściowo rozwinęła; nie wiadomo, co tam było napisane — bo trudno mi zajmować się wszystkim, więc będę niejednokrotnie potrzebowała pomocy. Chciałabym dzisiaj usłyszeć, na jaką pomoc mogę liczyć. Orężną, już wiem, że nie. Moi rycerze i żołnierze właśnie w tej chwili umierają w imię tego, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. — Zostawiła wreszcie pismo i powiodła spojrzeniem po setkach twarzy u stóp podwyższenia. — Rozumiem, że dartańskie Domy z Rollayny mogą tutaj, w stolicy, służyć królestwu lepiej niż na bitewnych polach. Porozmawiamy o tym zaraz, ale najpierw zaległe sprawy. — Stojący nieco z boku i z tyłu krzesła Przyjęty ujrzał dłoń nad wysokim oparciem, przyzywającą go gestem. Zbliżył się natychmiast.

— Wezwij, wasza godność, pisarzy — powiedziała niegłośnie.

Gotah skłonił się i podszedł do niewielkich drzwi za tronem.

Wrócił zaraz na czele kilku ubranych w skromne szaty ludzi, niosących liczne zwoje. Ostatni dźwigał pulpit, który można było rozłożyć także jako mały stół. Księżna regentka z całkowitym spokojem panowała nad salą, wciąż przyglądając się zebranym, jakby chciała zapamiętać wszystkich, którzy z daleka od pól bitewnych stworzyli wcale liczną, złożoną z samych rycerzy, chorągiew. Nie zadała dotąd żadnego pytania, padały za to takie słowa, jak „państwo”, „królestwo”. I spokojne stwierdzenia w rodzaju „naprawimy to”, „porozmawiamy”. Wszyscy ci ludzie nigdy nie decydowali o podobnych sprawach. Nie mieli nic do

gadania, bo nie było żadnego królestwa, tylko Pierwsza Prowincja, zarządzana przez księcia-urzędnika. Mianowanego, odwoływanego... Za pomocą kilku zdań jej wysokość zwała na przybyłych cały ciężar współodpowiedzialności za decydowanie o sprawach własnego kraju. Ale Gotah widział, jak cienka była linia, po której kroczyła. Zaledwie pajęcza nitka oddzielała swobodę władczyni, która siadała jak jej się podobało i nie mogła tym nikogo obrazić, od zachowania gburowatej prostaczki, nie wiedzącej gdzie jest i do kogo mówi. Nie popełniła dotąd najmniejszego błędu, narzucając zgromadzonym obraz kogoś... ależ tak, monarchini, która jeszcze wczoraj była w polu ze swymi wojskami, a teraz wróciła do stolicy, by załatwić jakieś ważne sprawy — wciąż zapracowana, bo wojna nie chciała czekać.

Ale w każdej chwili mogła się potknąć. Jedno nieostrożne słowo, a niechby i — dosłownie — potknięcie... Gotah spociał się na samą myśl o tym, że (ludzka rzecz, zwykły przypadek!) jej wysokość choćby tylko straci równowagę na swojej poręczy i uczyni zabawny ruch rękami, żeby nie spaść... Od czegoś takiego mogły zależeć losy wielkiego państwa. Za rok królowa będzie miała prawo nawet wyłożyć się na schodach jak długa. Lecz nie dziś.

— Wasza wysokość — rzekł ktoś z pierwszych rzędów sali.

Stali tam spadkobiercy najświetniejszych rodowych monogramów. Ezena popatrzyła na mężczyznę, który zabrał głos. Przedstawiciele kilku najznamienitszych rodów kazała sobie szczegółowo opisać, zebrała o nich trochę wiadomości... Ale mówiącego nie rozpoznała.

Nawet nie spostrzegła tego, co natychmiast zauważył Gotah: że odniosła kolejne zwycięstwo. Przyzwyczała się już do tytułu, ale z sali nie padło dopuszczalne, lecz niejasne: „pani”... Dla zebranych, bez dwóch zdań, była „jej wysokością”, więc co najmniej pełnoprawną dziedziczką staroksiążęcej korony. Odkąd usiadła i przemówiła, nikt nie wierzył, że ta kobieta w purpurze kiedykolwiek była niewolną praczką.

— Tak, słucham.

— Wszystko to dzieje się bardzo szybko, dopiero od trzech dni jesteś, pani, w stolicy. — Mężczyzna, pięćdziesięcioletni lub niewiele starszy, był doświadczonym mówcą, nie używającym słów, których nie mógłby cofnąć. — Tutaj, w Rollaynie, wydarza się wcale nie mniej niż na polach bitew. I podobnie jak na polach bitew każde działanie może

przynieść różnorakie skutki. Nie zawsze skutki pożądane.

Nie powiedział nic, a zarazem wyraźnie zaznaczył swą obecność. Mógł uchodzić odtąd za pierwszego sojusznika lub najodważniejszego z przeciwników księżnej, zależnie od rozwoju wydarzeń. Z takimi ludźmi jej wysokość miała odtąd rozmawiać.

Potrafiła to robić.

— Nie powiedziałaś właściwie nic, wasza godność. Co dokładnie miałeś na myśli? Albo nawet zapytam inaczej: jakie i czyje działania w Rollaynie mogą przynieść niepożądane skutki? Dartan mamy tylko jeden. Wszystkie nieprzemyślane działania trzeba tłumić w zarodku.

— Wasza wysokość, nie miałem na myśli żadnych konkretnych działań. — Magnat wycofał się.

Przez chwile patrzyła z namysłem.

— Nie, nie — powiedziała. — Wasza godność, jest nas tutaj trzysta parę osób. Jeśli każda z tych osób zechce wypowiedzieć się w podobnie rzeczowym tonie, to lepiej pomilczmy do rana. Potem się pożegnamy. Ostatecznie wszystkie decyzje mogę podjąć sama.

Gdzieś rozbrzmiał stłumiony śmiech, zawtórowało mu kilka innych głosów. Publicznie udzielona nauczka była bolesna, a mówca miał na sali nie samych tylko przyjaciół. Księżna zaś nie samych wrogów...

Nie mogła pozwolić sobie na popełnienie błędu, wybrała więc tylko trzy twarze, co do tożsamości których nie miała żadnych wątpliwości. Całkowicie łyсы, choć jeszcze niestary magnat, z pierwszego rzędu u stóp tronu, był jej przeciwnikiem. Wiele dartańskich Domów jawnie odstąpiło od rycerskich tradycji, co było o tyle łatwe, że popierał taką postawę Kirlan. Do takich rodów należał chociażby — stojący na ich czele — świetny Dom A.B.D., jeden z najznakomitszych w Rollaynie. Pierwszy mężczyzna tego Domu, który kiedyś awanturował się po grombelardzkich górach z mieczem i przywiózł stamtąd żonę dzikuskę, uchodził za dziwaka. Ale K.D.R.Wasanen, ów łyсы magnat rozpoznany przez księżną, był potomkiem świetnego rodu rycerskiego. Wojownikiem, który ostentacyjnie nie wyruszył na cudzą wojnę.

— Wasza godność — łagodnie zapytała księżna regentka — co masz mi do powiedzenia? Kraj bardzo potrzebuje takich wojowników. Nie wyruszyłeś dotąd na wojnę. Dlaczego? Chociaż, może nawet dobrze się stało, bo dzięki temu mogę osobiście dać ci prezent... Mam aż dwa, ale

wręcę tylko jeden! — dorzuciła z przekornym uśmiechem.

Zaskoczony mężczyzna zrazu nie wiedział co odpowiedzieć. Siedząca na poręczy tronu kobieta, którą widział po raz pierwszy w życiu, niemal w jednym i tym samym zdaniu pytała go o przyczyny, dla których nie pociągnął na wojnę, i mówiła o jakichś prezentach. Nie był dobrym mówcą, w przeciwieństwie do poprzednika, a Ezena wiedziała, że nie był, i świadomie zbiła go z tropu. Po krótkiej chwili milczenia, gdy rozważył wreszcie, co odrzec, księżna już nie chciała odpowiedzi; rozmawiała z następnym gościem. I milczenie jego godności K.D.R.Wasanena zostało zauważone przez wszystkich. Zostało też podobnie odczytane: rycerz nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego nie wyruszył na wojnę...

— Wasza wysokość — rzekła księżna do niestarego i postawnego mężczyzny, którego najdokładniej opisała jej Anessa, bo był to wierny, choć ukryty sojusznik — a dlaczego ty nie wyruszyłeś w pole? Czy także oczekujesz podarunku?

Mężczyzna odpowiedział śmiałym, a nawet trochę porozumiewawczym spojrzeniem.

— Nie tytułuj mnie, pani, wysokością, bo nowoksiążęce korony rozdano w Dartanie tak wielu i tak różnym, że wstyd się do nich przyznawać. Nie zbywa mi na niczym, regentko, więc nie oczekuję podarunku. Ale wspieram cię od dawna i mam na to dowody. Mało tego, nadal chcę ci służyć, lecz pod jednym warunkiem.

Dom A.B.D. dyktował swoją politykę jednej trzeciej rodów Rollayny. Jego godność Baylay wart był pięciu znaków rycerskich. Prawie nikt nie wiedział, że ten człowiek jest cichym zausznikiem księżnej.

— A ten warunek?...

— Tylko jeden: nie każesz mi służyć z mieczem w dłoni. Obojętne są mi rycerskie tradycje i nie boję się tego powiedzieć. Miecz nigdy nie przyniósł mi szczęścia. Ale jestem rdzennym Dartem, regentko, moich ojców wyłoniła z tej ziemi sama Szerń, znikąd tu nie przybyli. Oddaję ci wszystko, co mam, bo nie chcę obcego urzędnika na tym krześle, a sam nie potrafię na nim zasiąść.

Dobitne, spokojne słowa docierały do wszystkich. Było jasne, że u boku księżnej regentki stają najznamienitsze rody. Bliska była chwila, gdy człowiek, który wystąpi przeciw niej, zostanie okrzyknięty zdrajcą...

Prawie nikt, spośród wszystkich, którzy stawili się w sali tronowej, jeszcze budząc się rano, nie dałby sztuki srebra za pozycję nikomu nieznaney kobiety. Ale ta kobieta z miejsca dowiodła, że jest u siebie, w swoim własnym pałacu, a inni to potwierdzali.

— Wasza wysokość — rzekł K.D.R.Wasanen. — Chcę jednak odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie wyruszyłem w pole.

Dumny rycerz myślał i mówił wolno, ale nie bał się niczego. Gotów był rąbnąć na całą salę: „Bo jesteś uzurpatorką!” i wszcząć w ten sposób awanturę. Ezena nie mogła dopuścić do awantur, podważających jej nieokrzepłą pozycję.

— Nie musisz mówić, panie, bo wiem. Ale obiecałam ci prezent. Ziemie An Selle Moena i jeszcze... — znów zajrzała do trzymanego w dłoni pergaminu — jeszcze Dorzecze Walecznych, czy tak? Zdaje mi się, że to za miedzą? Kilkanaście wsi, jakieś stawy, ładne lasy... o, i nawet miasteczko z prawem składu! Kupiłam to od cesarstwa i zrobię z tymi dobrami, co zechcę. A chcę je podarować, wasza godność.

Obejrzała się na pisarzy i skinęła. Natychmiast przyniesiono dwa opieczętowane dokumenty. Wzięła je i wstała z poręczy. Zeszła z podwyższenia, stając przed zdumionym magnatem, i wyciągnęła rękę.

— Oto akty własności — powiedziała. — Weź je, wasza godność, i nigdy więcej nie przychodź do mojego domu. Nikt nie potrzebuje rycerzy, którzy nie opowiadają się po żadnej stronie. Można cenić przyjaciół albo szanować wrogów, z tobą jednak nie wiadomo co zrobić. Proszę, panie, to twoje nowe ziemie. Albo... — dorzuciła z namysłem, cofając rękę — albo dam ci coś innego.

W sali panowała całkowita cisza.

— Dam ci możliwość pójścia na wojnę w mojej służbie. Stawisz się konno, zbrojnie i z poczem, z własnymi zapasami i całą odwagą, jaką nosisz w sercu na pamiątkę po wielkich przodkach. Dwa dary, wasza godność. Majątki, które tu trzymam i po które dość sięgnąć... Albo krew, być może śmierć na wojnie, ale i moja życzliwość. Prosty wybór.

Pośród kilkuset rycerzy i magnatów trudno byłoby znaleźć człowieka, który nie wstrzymał oddechu. Przybyła znikąd królowa, mająca w ręku akty własności chyba wszystkich imperialnych majątków w Dartanie — bo ileż było tych rulonów na stole! — gotowa była je rozdawać przeciwnikom lub ofiarować w zamian swą łaskę. Takiego

targu nie prowadził w Rollaynie jeszcze nikt. Ale kto miał dosyć siły, by obdarowywać nieprzyjaciół? Dartańska Czysta Krew, trochę czasem popsuta, zmacona, wciąż jednak była Czystą Krwią. Kiedyś rycerz Enewen przeczytał list, z którego dowiedział się tylko, że nie był pisany ręką niewolnicy. Jego godność K.D.R.Wasanen mógł dotąd nie popierać sprawy, w którą nie wierzył. Ale teraz stała przed nim wysoka pani w królewskiej sukni i mówiła: „Weź pieniądze i odejdz albo walcz dla mnie, a będę ci życzliwa”. Wprost i pogardliwie proponowała wojnę lub — z szacunkiem i respektem — przymierze.

Wasanen nie miał w żyłach ukradzonej krwi. Milczał długo, lecz tym razem pozwolono mu ułożyć odpowiedź.

— Nie chcę tych dokumentów, regentko. Dobrze powiedziałaś: nikt nie potrzebuje rycerzy, którzy nie opowiadają się po żadnej stronie. Więc opowiadam się za tobą, bo pokazałaś mi dzisiaj, że warto.

Na sali wszczął się gwar. Księżna lekko uniosła brwi i cofnęła się na swoje podwyższenie. Usiadła na wielkim krześle, tym razem już normalnie, opierając na kolanach dłonie, w których trzymała dokumenty. Patrzyła na zgromadzonych. Rozmowy ucichły po chwili, bo było widać, że jej wysokość ma coś do powiedzenia.

— Stare Ziemie Eney, Kraj Przyszeczny, Wanea, Soneye Ane, Dolina Stawu i Kessese Aye — wyliczyła, mieszając nazwy dartańskie z armektańskimi, nadanymi różnym krainom przez Kirlan. — I dużo, dużo innych. Wszystko wyprzedane przez Wieczne Cesarstwo. A ten rycerz mi mówi, że niczego nie chce! Czy wszyscy tutaj odmówią przyjęcia tych podarunków, wybierając w zamian moją przyjaźń? Więc po co to kupowałam?! — zawołała z udawanym zmartwieniem. — Może ktoś zechce jednak parędziesiąt wsi w zamian za opuszczenie tej sali? Czy naprawdę nikt?

Gotah patrzył i słuchał, spoglądając od czasu do czasu na stojącą obok Czarną Perłę. Hayna wpatrywała się w Ezenę z zachwytem i uwielbieniem.

Gwar znowu narastał. Jej wysokość księżna regentka żartowała ze swoimi rycerzami.

Tereza, zmyślając o zamiarach Enewena, nie wiedziała, że mówi dowódcom swych legionów samą prawdę. Ahe Vanadeyone wciąż nie wiedzieli o istnieniu imperialnej Armii Wschodniej. Enewen ciągnął na Armekt trzema marszowymi kolumnami, z których środkowa, dowodzona przez niego osobiście, miała za zadanie uderzyć na Akalę i zniszczyć stojący tam legion.

Pierwszy rycerz królowej z całą pewnością ustępował M.B.Yokesowi pod względem doświadczenia wojennego i żołnierskich umiejętności, ale kto wie, czy nie górował wyobraźnią? Wbrew protestom swoich rycerzy zabrał z taborów niemal wszystkich pocztowych, o których z takim respektem wypowiadał się tysięcznik Aronen, i utworzył z nich sześć chorągwi pieszych, liczących razem ponad trzy tysiące ludzi. Pogardzana przez rycerstwo piechota bardzo mogła się przydać; już w zamierzonych czasach przy obleganiu miast korzystano z pomocy pachołków i ciurów — nie do wiary, jak mężnie potrafiło stawać takie „wojsko”, nęczone wizją łupów w opanowanym mieście. Teraz Enewen zostawił pachołków przy wozach, bo miał coś lepszego: dobrze uzbrojone poczty znających się na walce żołnierzy. Akala była miastem szczególnym. Wciąż istniały stare mury miejskie, nienaprawiane od dziesięcioleci, ale po grombelardzku trwałe. Poszczerbione, wyburzone tu i ówdzie, stanowiły jednak poważną przeszkodę. Na pewno nie wchodziło w grę prawdziwe, mozolne obleganie miasta, jak to czyniono przed wiekami, ale silny liczebnie Legion Akalski mógł dzięki owym murom stawić skuteczny opór. Wprawdzie Enewen sądził, że dowodząca garnizonem sławna tysięczniczka wyprowadzi raczej swych żołnierzy w pole, nie chcąc zamykać się z nimi w pułapce, ale był ostrożny, przezorny i nie lekceważył żadnej możliwości. Dlatego w swym hufcu, oprócz czternastu chorągwi jazdy, prowadził nowo sformowane, stubarwne oddziały piechurów i trochę knechtów, wystawionych przez prywatne miasta. Dwa pozostałe hufce były złożone wyłącznie z rycerskiej jazdy: prawoskrzydłowy, pod wodzą K.B.I.Kenesa, liczył cztery tysiące koni w dziewięciu chorągwiach, lewoskrzydłowy (a właściwie tylny, pozostający w odwodzie i strzegący wszystkich zapasowych taobrów) trzy i pół tysiąca pod sześcioma znakami. To były wojska najzupełniej wystarczające do spustoszenia najpierw Niskiego Grombelardu, a następnie południowowschodniego Armektu, gdzie — według wiedzy

Enewena — w garnizonach miejskich pozostały najwyżej kilkudziesięcioosobowe oddziały legionistów. Idący szerokim łukiem prawoskrzydłowy hufiec miał ponadto uniemożliwić wycofanie się Legionu Akalskiego do Drugiej Prowincji.

Pierwsze wieści o legionistach w czerwonych tunikach Enewen zbagatelizował. Wiedział, że do wielu armektańskich garnizonów miejskich trafiły posiłki w postaci dartańskiej piechoty morskiej; wywiadowcy i szpiedzy donosili też o luzowaniu niektórych garnizonów przez oddziały Legii Dartańskiej — nic dziwnego, że widziano tych żołnierzy. Gdy przyszła w końcu wiadomość (tylko jedna) o wielkiej armii ubranej w czerwone dartańskie tuniki, po prostu nie uwierzył. Zwiertzył podstęp wojenny; było najzupełniej oczywiste, że wróg, broniąc się przed najazdem, rozpowszechnia różne pogłoski. A takich wyssanych z palca historii każdego dnia docierało przynajmniej kilka. Czego to już nie było! Widziano schodzącą z gór Legię Grombelardzką w ciemnozielonych tunikach i z kuszami w rękach. Dla odmiany na południu miały lądować w Llapmie kliny Legii Garyjskiej. O samym akalskim garnizonie Enewen wiedział, że jest przynajmniej w trzech miejscach naraz: w samym mieście, potem tutaj, w Dartanie, bez mała przed frontem jego wojsk, a na koniec jeszcze pod Rapa, gdzie widziano niezwykłych jeźdźców w czarnych tunikach. (Być może naprawdę widziano, bo Tereza, organizując dartańskie legiony, jeździła do Rapy ze swą przyboczną eskortą...). Wobec takich nowin pierwszy rycerz królowej niełatwo wierzył w cokolwiek. A już zwłaszcza lekceważył wieści, że kroczy przeciw niemu wielka armia, złożona z męźnych wojaków dartańskich, która nie wiadomo skąd się wzięła. Ani chybi, za sprawą Przyjętych... Prędzej byłby skłonny dać wiarę, że naprawdę zeszyły z gór oddziały Legii Grombelardzkiej. Akala mogła dostać jakieś posiłki od Księżnej Przedstawicielki Cesarza w Londzie; pograniczny garnizon od dawna przecież pilnował porządku w Grombelardzie Niskim i wzmocnienie go paroma klinami zielonych kuszników było bardzo prawdopodobne.

Różne plotki docierały także do dowódców pozostałych hufców dartańskich. Przyjmowane były różnie. C.L.L.Ovenett, dowódca wojsk lewoskrzydłowych, wyśmiał wieści o wielobarwnych legionach, przekazane mu przez dowódców zdążających przed nim. Dla odmiany

wódz hufca prawoskrzydłowego, jego godność K.B.I.Kenes, z przezornością właściwą wiekowi podeszłemu, starał się nie lekceważyć niczego — wzmocnił więc oddziały straży przedniej i tylnej, a także pomnożył patrole, rozsyłane dla zasięgnięcia wieści. Dzięki temu dowiedział się, że spłonął drewniany most nad rzeką Merewą, podpalony przez żołnierzy w czerwonych tunikach... Dokładnie wybadawszy wieśniaków, którzy widzieli i żołnierzy, i samo podpalenie, Kenes poznał niektóre szczegóły. Siedząc w swoim połowym namiocie, w środku obozu rozbitego przy niewielkiej wiosce, dociekliwie badał jeszcze jednego, przysłanego przez dowódcę straży przedniej, wystraszonego chłopka, miętoszącego w dłoniach upleciony ze słomy kapelusz. Wieśniak wytrzeszczał oczy na wielkiego rycerza i otwierał gębę bez mała na widok wszystkiego — srebrny kubek i takiż, napełniony winem, dzban, wydały mu się chyba przedmiotami nie z tego świata. Kenes do tego przywykł. W czasach pokoju prawie nigdy nie podróżował; strach powiedzieć, ale przez całe życie ledwie parę razy był we wsi, najczęściej, gdy wracał z polowania... Ale teraz, wojując od kilku miesięcy, dokładnie obejrzał Dartan. Chłopstwo, pytane o drogę dokądkolwiek, wytrzeszczało oczy. Ci ludzie (czy aby na pewno ludzie?) wiedzieli, że „tamój stoi wielkie miasto, panie” — zwykle nie mające nawet statusu miasta obwodowego — a dalej jest „wielki kraj”. Kenes, pytając o spalony most, starał się łagodnie i cierpliwie traktować nieszczęsne dwunożne stworzenie, przerażone samym ogromem namiotu.

— Ci żołnierze, jak wyglądali?

Chłop bardziej pokazywał, niż wyjaśniał.

— O, tutaj, wielki panie rycerzu, takie mieli... takuśkie, panie...

— Tuniki. Takie narzuty na zbrojach?

— O, wasza wielkość, nie inaczej!

— I na pewno czerwone? Takie? — Kenes pokazał pasy na namiocie, bo sam już nie wiedział, czy wieśniak rozumie, co to czerwień.

— Czerwione, wielki panie, czerwioniutkie. A tutaj jeszcze — schylił się i pokazał brudne gołe nogi — takie jakby...

— Spódnice?

— Nie, panie. Takie jakby...

— Pludry. Hajdawery.

— O, wasza wielkość! Hajdawry. Czarniuśkie.

Most spalili żołnierze straży morskiej. Chłop, rzeczny rybak, potwierdzał wieści uzyskane od wieśniaków mieszkających w siole nad rzeką.

— Dużo ich? Tych żołnierzy?

— Dużo, wielki panie. Tyle! — Chłop dwa razy rozcapierzył wszystkie palce.

— Dwudziestu.

— Nie, wielki panie. Tyle.

Chyba jednak chodziło o dwudziestu. Kenes wypytywał chłopka jeszcze przez parę chwil, ale już niczego ciekawego nie usłyszał. Wyłuskawszy srebrny pieniądz, rzucił go wieśniakowi, który nie zrozumiał, co mu dają, bo nigdy w życiu nie widział sztuki srebra. Jeśli w ogóle znał pieniądze, to najwyżej miedziaki.

— Pójdziesz z tym do miasta i oddasz w kantorze — surowo powiedział rycerz, zapominając, że dartański chłop nie wie, co to kantor, bo w ogóle nie wie nic o niczym. — Tam ci dadzą za to... pieniądze.

Machnął ręką. Dziękującego chłopą wyprowadzono.

Jeszcze tego samego wieczoru, a właściwie już w nocy, Tereza także rozmawiała z chłopem. Trzeba trafu — tym samym, którego przesłuchiwał jego godność Kenes.

— Wiedzieli wszystko już beze mnie, wasza godność — raportował chłop. — Wieśniacy z tej wioski przy moście zobaczyli, co trzeba.

Tereza specjalnie ściągnęła oddziałek piechurów morskich, który miała przy taborach — i opłaciło się.

— To już najmniej ważne, dziesiętniku. Ręczysz mi, że nie mają tam pojęcia o istnieniu Armii Wschodniej? Tylko to mnie teraz interesuje.

— Dałbym głowę, że nie. Inaczej by mnie badano.

Elg, kiedyś szpicel dartańskiego Trybunału, a dopiero potem żołnierz, na pewno wiedział, co mówi.

— Świetnie się spisałeś — rzekła dowódczyni.

— Nie pierwszozna, wasza godność. Ja już dawno mówiłem, że jak oni nawet coś o nas wiedzą, to nie wiadomo co.

— Komu to mówiłeś?

— A tak... między swoimi, wasza godność. Gada się w szeregach.

— Gada się w szeregach... — powtórzyła nadtyśnięczka, patrząc dziwnie. — Nie chcesz opuszczać swojej dziesiątki, co?

— Nie, wasza godność. — Z wrażenia żołnierz zdjął słomiany kapelusz.

— Codziennie wieczorem melduj się wartownikowi przed moim namiotem. Chyba częściej powinnam rozmawiać z żołnierzami. A zwłaszcza z tobą. Odmaszerować.

Dziesiątnik odszedł, bardzo zadowolony. Tereza pomyślała, że nie powinna lekceważyć takich ludzi. Dawny szpieg Trybunału wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jak rozchodzą się wieści, jak dziwacznych kształtów nabierają po drodze i jak mogą wyglądać, gdy docierają do celu. Żołnierze z dziesiątki Elga, rozmawiając ze swym mądrym dziesiątnikiem, byli przekonani, że wróg, nawet jeśli słyszał o Armii Wschodniej, to w nią nie uwierzył. Mieli więcej rozsądku niż wszyscy ich dowódcy razem wzięci...

Nadtysięczniczka od trzech dni zmagala się z nadzieją, to znów zwątpieniem. Wiedziała o dwóch marszowych kolumnach, z których większa na pewno była prowadzona przez samego Enewena. Kolumnę drugą miała przed sobą; koci zwiadowcy nieustannie śledzili jej poruszenia. To nie był marsz wojska, które idzie naprzeciw wrogiej armii! Przed kilkoma dniami, otrzymawszy wieść o pochodzie Enewena w dwóch kolumnach, nadtysięczniczka uważała, że wódz Rycerzy Królowej podzielił wojska ze względu na przepustowość dróg; ponadto, mniejsze siły łatwiej było aprowizować, nie uszczuplając nadmiernie zapasów w taborach. Zdumiała się, usłyszawszy, że w jednym hufcu idzie blisko dziesięć tysięcy żołnierzy, a w drugim tylko trzy do czterech tysięcy. Nic nie uzasadniało podobnej niefrasobliwości; było niemożliwe, by Enewen, wiedząc o istnieniu Armii Wschodniej, utrzymywał stosunkowo słabą kolumnę marszową, której nie mógł w razie czego przyjść z pomocą. Zresztą drogi Enewena i wodza mniejszej kolumny (ponoć był nim K.B.I.Kenes, brat naczelnego wodza) rozchodziły się coraz wyraźniej. Enewen dotarł niemal do ściany Puszczy Bukowej i szedł chyba na Akalę; Kenes zmierzał raczej do brzegu Morza Dartańskiego, jakby chciał ominąć Potrójne Pogranicze od wschodu. Nadtysięczniczka poprawiała plan, którego zarysy nosiła w głowie już podczas pamiętnej rozmowy z Aronetem. Spaliła most nie tylko dlatego, żeby pokazać Rycerzom Królowej niegroźnych piechurów morskich, których widywano niemal wszędzie, od czasu gdy wojska imperialne

uciekły z Dartanu. Przede wszystkim chciała, żeby prawoskrzydłowy hufiec przeszedł przez Merewę w innym miejscu.

Wbrew temu, co mówiła zastępcy, dowódczyni Armii Wschodniej nie była wodzem, który zawierzyłby losy wojny szczęściu bitewnemu. Wręcz przeciwnie — w szczęście wojenne prawie nie wierzyła. Dziwna cecha u — znakomitej przecież, wsławionej wojennymi czynami — oficerki lekkiej jazdy, a więc formacji, która często musiała pokładać nadzieje w jakiejś szczęśliwej gwiazdzie. Tereza liczyła i planowała raczej jak wódz tarczowników, który zawsze musiał wiedzieć, na co dokładnie stać jego ludzi, ile wytrzymają, jak długo ustoją na pozycji, osłaniając łuczników. Od dowódcy takich żołnierzy nie oczekiwano niespodzianek, szybkich i ryzykownych decyzji... Nadtysięczniczka mogłaby dowodzić topornikami. Powiedziała: „Mamy szansę jak jeden do dwudziestu”, tylko po to, by następnego dnia wieczorem zamknąć oczy, pomyśleć, policzyć i rzec sobie: „Teraz już jak jeden do czternastu”. Wczesnym przedpołudniem, tego dnia gdy straż przednia Kenesa sforsowała Merewę, nadtysięczniczka mogła sobie powiedzieć: „Pół na pół”. Ale w krótkiej odezwie do żołnierzy, minionego wieczoru odczytanej we wszystkich półlegionach, posunęła się jeszcze dalej, bo oświadczyła po prostu: „Wygramy jutro bitwę”. Wiedziała, że jeśli proroctwo się nie spełni dla rozbitej, rozpędzonej na cztery wiatry armii, ta odezwa nie będzie miała najmniejszego znaczenia. Jeśli jednak się spełni, to sława żołnierki spod Północnej Granicy obrośnie nową legendą. Łasa na chwałę nadtysięczniczka życzyła sobie tego nie dla samej próżności... Wiedziała, że żołnierze są gotowi ślepo zaufać legendarnej, a do tego nieomyślnej dowódczyni. Taka ufność przyczyniała się do kolejnych zwycięstw. W ciągu zaledwie doby niewyćwiczone i niedozbrojone, sklecone z byle czego wojsko mogło stać się dobrym wojennym narzędziem. Uskrzydleni zwycięstwem, żywiący zaufanie do swych dowódców, uzbrojenia i umiejętności żołnierze stawali się z miejsca armią pewnych siebie, nieustępliwych i odważnych wiarusów.

Teraz trzeba było odnieść to zwycięstwo.

„Pół na pół”...

Rozwaga i wojenna sumienność jego godności Kenesa bardzo podobały się Terezie. Kenes był przewidywalny. Miał wszystko, co trzeba, i takie, jak trzeba: awangardę, ariergardę, ubezpieczenia boczne,

oddziały rozpoznawcze... Wódz, który tego zaniedbywał, w każdej chwili mógł, dla byle kaprysu, zaprzestać robienia głupstw, sprawiając przykrą niespodziankę. Roztropnego Kenesa trudno było podejść, ale jednak raz ułożona łamigłówka mocno trzymała się kupy.

41.

Droga wiodła przez szeroko rozpostarty, ale wąski las. Z samego rana oddziały rozpoznawcze Kenesa przeprawiły się przez Merewę, jeszcze przed nadejściem straży przedniej. Dwie niewielkie grupki pocztowych, każda pod wodzą rycerza, pojechały wzdłuż lewego brzegu rzeki. Trzecia grupka ruszyła drogą w stronę oddalonego o niespełna ćwierć mili lasu. Pod samą jego ścianą, w odległości może trzystu kroków od drogi, widniały zabudowania biednej wioski. Oddziałek rozpoznawczy zajechał między chałupy, wywabiono z nich jakieś wystraszone chłopki. Jeden z pocztowych zadał parę pytań, pokazał dowódcy kamienisty ugór za wsią i machnął ręką. Była to jedna z tych najbardziej dotkniętych wojną wiosek, w których brakło mężczyzn, bo porwali ich i sprzedali w hodowli korzystający z wojennego bezprawia szubienicznicy, łączący się w zbrojne bandy. Wieśniaczki przymierały głodem. Rycerz rzucił pod kopyta wierzchowca monetę i żegnany zgiełkiem bijących się o pieniądź kobiet poprowadził oddziałek z powrotem na drogę. Był to mocno zaniedbany dukt, stanowiący odgałęzienie gościńca do portowego Seyenu. Główna wstęga tego dość wygodnego traktu wiodła przez spalony most i stapiała się z drogą łączącą Akalę z Rollayną. Lecz o pół dnia drogi od mostu rzekę dało się przebyć w bród — i właśnie do tego brodu wiódł wychodzący z lasu dukt, którym pojechał zwiad Kenesa. Na południowym brzegu rzeki, skąd miały nadciągnąć chorągwie Ahe Vanadeyone, droga rozmywała się nieco, ginęła pośród traw. W oddali majaczyły, słabo widoczne w blasku wiosennego słońca, dymy dużej wsi, być może bogatszej od tej pod lasem. Tu i tam wyrastały z łagodnie pofalowanej równiny przestronne dartańskie zagajniki.

Zwiadowców wysłanych na północny brzeg rzeki, tych, którzy zajrzeli do wsi, a potem wjechali do lasu, porwano w chwili, gdy prawie dojeżdżali do łagodnego zakrętu, za którym jaśniał już wylot leśnej drogi.

W mieszanym klinie Gwardii Akalskiej była dziesiątka kuszników, druga łuczników i trzecia lekkiej jazdy, także z łukami w rękach. Znakomici żołnierze Terezy, nie umawiając się, potrafili sprawnie wybrać cele: dowódca konnego oddziałku, w zbroi przybitej do ciała czterema ciężkimi bełtami, zleciał z siodła, w tym samym czasie pocztowi podrywali konie, szpikowani pociskami łuczników; dopomogli im pozostali kusznicy. Wystrzelone z odległości kilkunastu kroków — bo tyle dzieliło zarośla od środka leśnego duktu — pociski najlepszych strzelców legionu poprzedzierały się przez kolczugi, w jednej chwili odbierając życie dziesięciu dartańskim jeźdźcom. Łucznicy konni i piesi natychmiast wybiegli z ukrycia, chwytając konie zabitych. Wprowadzono je do lasu i poprzywiązywano do drzew. Dziesiątka kuszników uprzątęła trupy. Bujnowłosa dziesiętniczka bez hełmu, z krwawiącym od świeżego nacięcia przedramieniem, włożyła w usta dwa palce i gwizdnęła. Za nieodległym zakrętem drogi niemal natychmiast rozbrzmiał bardzo miarowy, spokojny krok maszerującej piechoty. Milczące kliny łuczników w czarnych tunikach ozdobionych srebrnymi gwiazdami, rozkołysane w równym rytmie, miały zadowolonych gwardzistów, podpierających drzewa. Buty żołnierzy Legionu Akalskiego starły świeżą krew z porastającej drogę trawy.

Legion dotarł niemal do wylotu leśnej drogi. Lekkie kliny rozchodziły się na boki, znikając między drzewami. Przyszła kolej na kuszników z drugiego półlegionu; jeden klin nosił ciemnozielone tuniki grombelardzkie. Także i ci ludzie wsiąkli między drzewa. Na drodze, nieco w głębi lasu, pozostała tylko kolumna ciężkiej piechoty: stu dwudziestu wielkich chłopów w zbrojach, z tęgimi czarnymi tarczami, na których lśniły trzy gwiazdy Wiecznego Cesarstwa. Przez długą chwilę w lesie panowała kompletna cisza, przerywana tylko świergoleniem ptaków. W tle tej ciszy po raz drugi rozbrzmiał najpierw cichy, potem wyraźniejszy, odgłos kroków maszerującej piechoty. To dopiero był rytm! Słyszac chrzęst blach, można by pomyśleć, że idzie tylko jeden, zakuty w żelazo, olbrzym. Gdyby wymordowani zwiadowcy mogli jeszcze otworzyć oczy, niechybnie ulegliby wrażeniu, że do tarczowników Legionu Akalskiego chce dołączyć spieszona chorągiew dartańska. Ale olbrzymi żołnierze w pięknie zdobionych, pełnych zbrojach płytowych, byli jednak imperialną piechotą. Nad szykiem

wyrastał gęszcz mocnych halabard, osadzonych na grubych drzewcach. Za półlegionem Gwardii Dartańskiej ustawił się jeszcze jeden: ci żołnierze w czerwonych tunikach byli uzbrojeni jak ciężka piechota, brakowało im tylko kirysów i nabiodrków. Ale wszyscy mieli topory, większość osłony łokci i kolan oraz solidne tarcze, na których, z rozkazu dowódczyni, zamalowano na czerwono szare pola, bo ta barwa przysługiwała tylko gwardii; teraz tarcze były jednolicie czerwone, ze srebrnymi gwiazdami. Nadeszły jeszcze dwie półsetki konnej piechoty i półsetka czerwonych kuszników z lekkimi samostrzałami — ci ostami ominęli szyk i podążając skrajem lasu, wzdłuż drogi, dotarli aż do wyjścia na równinę, po czym zniknęli gdzieś między drzewami, podobnie jak wcześniej kusznicy i łucznicy Legionu Akalskiego.

Na małej równinie pod lasem, obok biednej wioski bez mężczyzn, panowały spokój i cisza.

Północny brzeg wyraźnie górował nad południowym. Nadciągająca wzdłuż rzeki, od strony spalonego mostu, chorągiew straży przedniej widziała po drugiej stronie Merewy dziesiątkę konnych zwiadowców, którzy zawrócili teraz i jechali z powrotem do brodu, wskazując go towarzyszom. Chorągiew awangardy dotarła do piaszczystej łachy — rzeka często wylewała w tym miejscu — i skręciła. Pierwsze szeregi wparły konie w wodę; fale obmywały brzuchy zwierząt i tylko w samym środku nurtu sięgnęły trochę wyżej. Straż przednia szła w gotowości bojowej — rycerze nie dosiadali podjezdzków i trzymali kopie. Idące za nimi, już widoczne milę dalej chorągwie, były ustawione do zwykłego pochodu: przy każdym rycerzu jechał giermek lub pacholek, wiodący bojowego wierzchowca, który dźwigał tylko kopię swego pana. Za wojskiem, jeszcze niewidoczny, ciągnął tabor. Pochód zamykała ariergarda.

Chorągiew straży przedniej wyjeżdżała z rzeki. Konie chwytały kopytami niewysoki uskok północnego brzegu. Szereg za szeregiem omijał wysoką skarpe, piętrzącą się nad wodą — podejście do brodu wrzynało się łukiem między dwie takie skarpy; wyjście na równinę miało postać krótkiego, ciągnącego się wzdłuż rzeki na długości kilkudziesięciu kroków, parowu. Chorągiew przeszła przez ten parów, uporządkowała szyk marszowy i ruszyła drogą ku lasowi, w którym niedawno zniknęli zwiadowcy.

Czarne narzuty legionistów z Potrójnego Pogranicza były zupełnie niewidoczne w półmroku między drzewami. Żołnierzom nakazano zdjąć z głów kapaliny, by żaden promień słońca nie zapalił na nich zdradliwego ognia. Szare kolczugi, okryte tunikami, nie lśniły.

Chorągiew awangardy obojętnie mijała wioskę, podchodząc do samego skraju lasu. Pierwsze szeregi lada chwila miały wejść między drzewa.

Półtorej setki bełtów, wymierzonych starannie, bez pośpiechu, zdziesiątkowało rząd jeźdźców idących prawą stroną drogi; dla tych pocisków nawet płytowa zbroja nie stanowiła przeszkody. Ku środkowym szeregom prysnęły setki strzał z łuków. To było zupełnie inne strzelanie niż pod Puszczą Bukową, gdzie północne legiony okrywały deszczem grotów szarżujące chorągwie Yokesa. Pociski nie sypały się z góry, uderzając już tylko ciężarem. Kilkudziesięciu łuczników, skupionych najbliżej wylotu leśnej drogi, raziło cele widoczne jak na dłoni, prawie nieruchome, bijąc z całą mocą cięciw na odległość kilkudziesięciu kroków. Nie zasłaniali im widoku tarczownicy, próbujący osłonić przed szarżą — tutaj tarczownikami akalczyków były drzewa lasu. Lżej zbrojni pocztowi sypali się na ziemię jak gruszki, tratowani przez poranione wierzchowce, ale niejedna strzała, uderzając pod dobrym kątem, poradziła sobie nawet z rycerskim napierśnikiem. Zaskoczeni nagłym atakiem jeźdźcy cofali się, inni parli do przodu, jeszcze inni zawracali wierzchowce. Strzały niewidzialnych łuczników przyskały z niewiarygodną szybkością, jedna za drugą. Znów bełty załomotały o blachy. Dartańska półsetka nie mogła parzyć czerwienią swych tunik, tkwiąc z innymi na skraju lasu; ci żołnierze dopiero teraz włączyli się do walki. Lekkie kusze nie miały tej mocy, co napinana lewarami i korbami broń grombelardzka lub akalska, ale można je było szybciej załadować, zaczepiając cięciwę o hak przy pasie, stopę zaś wkładając w strzemiączko. I po bitwie miało się okazać, że w walce na bliską odległość, gdy moc słabszych cięciw wystarczała do pokonania zbroi, właśnie szybkostrzelne kusze Dartańczyków zadały wrogiej chorągwi bardzo poważne straty.

Z lasu, nie przy samej drodze, lecz dalej, wysunęły się sprawnie kolumny czarnych łuczników. Dwie wtargnęły do opustoszałej wioski, między pozatrzaskiwane na głucho chałupy; dwie inne nadciągnęły z

drugiej strony, biegnąc przez otwarty teren. Ci żołnierze mogli strzelać tylko tak, jak pod Puszcza Bukową ich armektańscy koledzy: stromo w górę, daleko. Sypiące się spod czystego nieba pociski nie miały tej siły, co wystrzeliwane prosto w twarze, ale było ich wiele, bardzo wiele. Akalczycy nie strzelali wolniej ani gorzej niż łucznicy z legionów północnych, mieli zaś przed sobą nieruchomy cel; to nie był rozpędzony do galopu „grot”. Nad skłębioną na drodze chorągwią nikt już nie panował — poszarpany, porozrywany wąż ludzi i koni miotał się i rozpadał coraz bardziej.

Zwarty klin ciężkozbrojnych piechurów wyłonił się z głębi drogi i skręcił w lewo; druga trzydziestka pobiegła na prawo, ustępując miejsca trzeciemu oddziałowi. Biegiem, w szyku odwróconego trójkąta, kolumna akalczyków runęła na zmieszanych jeźdźców, zagarniając ich skrzydłami klinów ku uderzającej od czoła półsetce. Wypadła jeszcze rezerwowa dziesiątka dowódcy kolumny. Łucznicy przestali strzelać, z obu stron biegli teraz ku środkowi pola, szybko zmniejszając odległość od walczących. Wobec uderzenia tarczowników nieporęczne kopie rycerzy były w zmieszanej, wciąż kłębiącej się w miejscu chorągwi co najwyżej zawadą. Odrzucano je, sięgając po miecze, topory i maczugi. Lecz ci, co trzymali tę broń, nie tratowali przecież zmieszanych, zgniecionych szarżą lekkozbrojnych łuczników — przeciwnie! Brakowało impetu, porządku i swobody ruchu; wszystko to było po stronie tarczowników. Konie, z łbami rozwalanymi uderzeniami toporów, rzucały się, wysadzając jeźdźców z siodła, przygniatały rycerzy i pocztowych. Tęgie tarcze piechurów wytrzymywały uderzenia mieczów; ostrza ślizgały się po krzywiznach głębokich hełmów, zgrzytały o blachy napierśników. Ciężkie żeleźca na solidnych styliskach, trzymane w mocnych dłoniach, przerąbywały blachy, druzgocząc kolana i biodra jeźdźców. Atakowano nogi wierzchowców. Stu dwudziestu toporników do reszty zgniatało czoło i boki poszarpanej przez łuczników ciężkiej chorągwi rycerskiej. Od ogona nadbiegały posiłki, ale też prysnęli w stronę brodu pierwsi uciekinierzy.

Czarny Legion Akalski liczył ośmiuset dwudziestu łuczników i stu czterdziestu kuszników, wspartych przez strzelczą półsetkę z dartańskiego półlegionu Agatry. Wszyscy ci żołnierze już nie ślali pocisków z daleka, właśnie nadbiegali ze skrzydeł. Nie wchodzili sobie w

drogę, to nie były niesforne legiony dartańskie. Każdy klin i każda półsetka знаły swoje miejsce w kolumnie.

Ruszający ku rzece rycerz został strącony przez trzydzieści strzał, które nieomal jednocześnie łupnęły w stal napiecznika i zjeżyły się na zadzie wierzchowca. Tysiąc dobrze wyszkolonych strzelców urządziło sobie straszne polowanie, tłukąc z najbliższej odległości do wszystkiego, co próbowało uciec tarczownikom, lub przeciwnie — chciało włączyć się do walki przeciw nim. Chorągiew straży przedniej masakrowano. Kilkunastu cudem zebranych jeźdźców ruszyło kupą, próbując w rozpaczliwej szarży przebić się przez łuczników. Żaden nie dojechał do sprawnie dowodzonej półsetki w czarnych tunikach, której zresztą zaraz przyszła w sukurs druga, dostrzeliwując poranionych. W samym środku pola, odgradzając resztki nieszczęsnej chorągwi od rzeki, stanęło trzydziestu legionistów w ciemnozielonych tunikach grombelardzkich. Ci żołnierze nie strzelali razem. Dowódca wskazywał pojedynczy cel i natychmiast pryskały ku niemu trzy potężne bełty, dziurawiące żelazną płytę niczym płat świńskiej skóry. Była to mordercza, kręcąca się w kółko machina, wypluwająca śmiertcionośne wiązki, kolejno jedna po drugiej — bo gdy ostatnia z dziewięciu trójek wystrzeliwała pociski, pierwsza właśnie zdejmowała korby z broni i nakładała nowe bełty. Nie strzelali tylko dziesiętnicy, choć mieli napiętą broń. Oznaczone zielonym kolorem grube strzały Legii Grombelardzkiej, można potem było podziwiać tkwiące w kilkudziesięciu ciałach. Kusznicy Legii Akalskiej nie umieli strzelać w ten sposób, bili więc całymi klinami albo dziesiątkami, zmiatając zarówno małe grupki jeźdźców, jak i pojedyncze cele.

Bitewna wrzawa dotarła wreszcie do ciągnących prawym brzegiem rzeki chorągwi. Skoczyły naprzód konne patrole. Wysokie skarpy przysłaniały nieco widok, ale nie aż tak, by ukryć toczącą się bitwę. Rycerze Kenesa przesiadali się z podjezdków na bojowe rumaki — bardzo szybko, ze sprawnością, jaką daje tylko doświadczenie. Ale też byli to wojownicy biorący udział w wojnie od samego początku, walczący jeszcze przeciw Rycerzom Królowej. Zatrzymano tabor. Wkrótce wrócili jeźdźcy, wysłani na rozpoznanie, prowadząc kilku uciekinierów. Nieszczęśnicy, którzy jakimś cudem zdołali przebić się do rzeki i ją pokonać, dosiadali okropnie poranionych zwierząt — z końskich boków i zadów na wszystkie strony sterczały promienie strzał. Kilku dotarło

pieszo. Niedobitków okrywały poprzebijane pociskami blachy i kolczugi; jeden z tych ludzi wyzionął ducha na oczach samego dowódcy. Przednia straż armii już prawie nie istniała.

Szybko i sprawnie, uwolnione od taborów i luźnych koni, ciężkie chorągwie Kenesa ruszały w stronę brodu. Straż tylną zatrzymano przy taborze. Wozy, na rozkaz przezornego dowódcy, ustawiano w obronny wielokąt, w którym mieli znaleźć schronienie pocztowi z ariergardy i pachółkowie taboru. Tylko w jednej ścianie wielokąta polecono zostawić bramę, przez którą rycerstwo miałoby możliwość wyjścia do szarży, gdyby zaszła taka potrzeba.

Do chorągwi, idących na odsiecz awangardzie, napływały wciąż nowe wiadomości. Stało się oczywiste, że straż przednia wpadła w pułapkę zastawioną przez Legion Akalski — czarne mundury nosili tylko żołnierze z Potrójnego Pogranicza. Jego godność K.B.I.Kenes dawno już zasięgnął wieści zarówno o tym legionie, jak i dowodzącej nim tysięcznicze. Rozwścieczony klęską straży przedniej nie posiadał się zarazem z szacunku i podziwu dla zuchwałej żołnierki, która wywiodła swoich ludzi tak daleko poza mury garnizonu, rzucając wyzwanie całej potędze Dartanu, zbuntowanego przeciw jej Wiecznemu Cesarstwu. Znakomicie wybrała miejsce; Kenes wiedział już, dlaczego spalono przed nim most. Nie po to, by spowolnić marsz chorągwi i zmęczyć wojsko, pokonujące dodatkowe mile. Dowódczyni legionistów chciała skierować go do tego właśnie brodu.

Na wysokim północnym brzegu, na niewielkiej równinie, ograniczonej od północy i zachodu ścianą lasu, a z drugiej strony chałupami wioski, dogasała nierówna bitwa, toczona przez stu rycerzy i trzystu pocztowych z półtoratysięczną armią strzelców. Bezprzykładna masakra, z której prawie nikt nie wyniósł głowy, bo wypuszczane setkami pociski były szybsze od najszybszego konia. K.B.I.Kenes doskonale rozumiał, jak ciężka będzie rozprawa z tym bitnym i zadziornym legionem. Szeroki bród pozwalał na wejście do wody choćby całej chorągwi jednocześnie, ale wyjście na równinę wiodło tylko przez wąską szczelinę, wyrżniętą w stromej skarpie. Stary rycerz porozumiał się z doradcami i podległymi dowódcami. Być może rozsądek powinien wziąć górę nad dumą. Należało sforsować rzekę w innym miejscu i dopiero wówczas rozbić wojsko imperium.

Decyzja należała do K.B.I.Kenesa. Pomniejsi wodzowie, niezmiernie radzi, że głównodowodzący gotów jest sam odważnie stawić czoło posądzeniom o tchórzostwo i brak zdecydowania, zadowoleni, że nie żąda się od nich współodpowiedzialności za podejmowane decyzje, jawnie skłaniali się ku myśli o poszukaniu dogodniejszej przeprawy. Już nie było komu iść na ratunek.

Siedem ciężkich chorągwi stało w szyku nad rzeką, czekając na decyzję dowódcy. Kenes już ją podjął — ale natychmiast odwołał. Zdyszany jeździec, który przed chwilą odważnie przeprowił się przez rzekę, wrócił właśnie, przywożąc nowe wieści. Niebogaty (o czym zaświadczała kiepska zbroja) młody rycerz z zapomnianego południowodartańskiego rodu, głodny sławy, przygody i wojennej zdobyczy w służbie legendarnej królowej.

— Uciekają, wasza godność! — zawołał. — Imperialne wojsko ucieka do lasu! Tam otwarty grób... Rycerstwo, wasza godność! Porąbane! Ludzie postrzelani w plecy, zabite konie... Nikomu, wasza godność, nie podarowali! Teraz uciekają do lasu!

Brzeg rzeki oddalony był od ściany drzew o blisko ćwierć mili. Leżał poza zasięgiem strzał z najmocniejszych armektańskich łuków, a nawet ciężkich kusz. Kenes nie wiedział, czy najbliższa przeprawa nie będzie broniona tak samo. Mógł nie znaleźć mostu, spalonego tak jak poprzedni.

Nadjechali dwaj kolejni jeźdźcy, potwierdzając wieść. Imperialni podobijali rannych, nie wzięli żadnych jeńców. Akalski legion, dokonawszy świetnego dzieła, chował się w bezpiecznej gęstwinie.

— Forsować rzekę i sprawiać szyki do bitwy! — rozkazał Kenes. — Najpierw Chorągiew Ciemnej Kniei, Własna i Trzeciej Szarży. Przerwać przeprawę, jeśli tamci zawrócą!

Rycerze skoczyli do swych znaków. Potężna Chorągiew Ciemnej Kniei, okryta nieśmiertelną sławą pod Vemoną i zasilona nowymi rycerskimi pocztami, wparła wierzchowce w leniwe wody Merewy. Dziesiątki i setki kopyt poderwały piasek z dna rzeki, skłębiły go w zagotowanym nurcie. Poczet za pocztem osiągał północny brzeg i wchodził w ciasny parów. Pierwsze grupki jeźdźców wydostały się na równinę, od razu stając „w płot”, bo był to najprostszy szyk do sformowania, a najzupełniej wystarczał do odparcia ataku piechoty czy nawet szarży nielicznej jazdy legionu. Rycerze stawali ramię przy

ramieniu, a za nimi pocztowi. Gryząc wargi, stary wojownik czekał, czy wróg nie naprawi swego błędu, bo jeszcze był czas, jeszcze można go było naprawić... Trzecia część chorągwi stała w szyku... połowa... Dołączały kolejne poczty, nieustannie, jeden za drugim. Tak! Już było za późno, imperialni stracili swą szansę! Chorągiew Ciemnej Kniei stała w szyku, rozwinięta na prawo od drogi. Ruszyła stępa do przodu, dając miejsce Własnej, która z szumem i pluskiem rozrywanego końskimi piersiami nurtu szła w sukurs. Do brodu podchodziła Chorągiew Trzeciej Szarży, nadciągały kolejne. Kenes obserwował przeprawę. Chorągiew Własna stawała w miejscu opuszczonym przez jeźdźców Kniei. Coś wydarzyło się w parowie, przez który wiodła droga na szczyt urwiska, widocznie przewrócił się jakiś koń, bo poczty przestały wychodzić na równinę, u wejścia do rozpadliny zbrojni cofali się z powrotem do wody, odpychając zadami wierzchowców napierające konie towarzyszy. Przy samym brzegu narastał galimatias... ale oto przeszkoda w szczelinie zniknęła, kilku ludzi wyprowadziłozymane za uzdy wierzchowce na urwisko. Dosiadali ich teraz. Strumień rycerskich pocztów znowu zaczął płynąć parowem. Chorągiew Własna uformowała „płot” za plecami jeźdźców Ciemnej Kniei. Teraz szła Chorągiew Trzeciej Szarży, jej pierwsze poczty ustawiały się na lewo od drogi, przedłużając za nią szyk Ciemnej Kniei... Kenes odetchnął głęboko. Wiedział, że legioniści z Akali nie zdołają pokonać na równinie dwóch... a wkrótce już trzech chorągwi. Uchwycił przeprawę, mógł rozwinąć dowolne siły pod osłoną gotowych do boju oddziałów. Zdobycie lasu to była sprawa na później. Tutaj nigdzie nie istniały nieprzebyte bory, to mógł być najwyżej niewielki las, łatwy do pokonania nawet nie po drodze... Legion Akalski, twardo siedząc między drzewami, skazałby się na zamknięcie w pułapce. Kenesowi nie uśmiechało się rzucanie między drzewa spieszego rycerstwa, ale ostatecznie musiał jakoś przejść do Niskiego Grombelardu, a potem do Armektu! Nie mógł stanąć przed jednym wrogiem legionem, dowodząc, że to dla czterotysięcznego wojska armia zgoła nie do pokonania!

Czas płynął. Na równinie były już prawie trzy pełne chorągwie: dwie ustawione „w płot”, linia za linią, trzecia w tym samym szyku, ale na lewym skrzydle. Blisko czwarta część Chorągwi Szarży tłoczyła się jeszcze w wodzie, ale kolejne poczty nieustannie pięły się na równinę,

korzystając z przemielonej setkami kopyt, piaszczystej drogi w parowie. Do brodu podchodziła Chorągiew Nieposkromionych, a za nią Weyeńska, sformowana przez rycerstwo mające swe majątki wokół En Weyenu, starego i sławnego miasta. Jego godność K.B.I.Kenes wysłał gońca z rozkazem ściągnięcia taboru. Ani myślał zostawić swe wozy odgródzone rzeką od sił głównych.

Widok wychodzących z lasu równych linii czarnych łuczników wprawił starego wodza w osłupienie. Z niewielkiego garbu, na którym stanął z chorążym i kilkoma przybocznymi rycerzami, mógł obserwować równinę po drugiej stronie rzeki, ale tylko przez szeroki na kilkadziesiąt kroków prześwit między „płatami”, środkiem którego biegła droga. Na tle drzew w pierwszej chwili trudno było dojrzeć oddziały, a cóż dopiero oszacować liczbę żołnierzy, ale odległość malała i wkrótce szyk imperialnych minął pobojuwisko, na którym wciąż jeszcze unosiły głowy okaleczone, porąbane toporami po nogach, wierzchowce awangardy. Gdzieś tam, pod lasem, po zachodniej stronie drogi, teren układał się w jakąś słabo widoczną fałdę, na tyle jednak wyraźną, że przez parę chwil Kenes widział nad głowami jeźdźców Trzeciej Szarzy niemal całe prawe skrzydło wroga; słońce zapalało się na kapalinach lekkiej piechoty... Domniemywał, że podobne ugrupowanie szło na lewym skrzydle cesarskich. Dwa półlegiony, bardzo liczne, w większej mierze złożone z półsetek niż klinów, co pomimo odległości dało się ocenić wprawnym okiem, rozdzielone idącą środkiem kolumną tarczowników, były jednak zupełnie bezsilne wobec gotowych do szarzy „płatów”. Kenes miał na północnym brzegu prawie tylu jeźdźców, ilu piechurów liczył cały akalski legion. Oniemiały, oglądał samobójcze natarcie sześciu imperialnych kolumn strzelczych, pośrodku których migotały tarcze i zbroje pojedynczej kolumny ciężkiej. Pożałował nagle, że dotąd nie sforsował Merewy. Obojętnie, co właściwie działo się na drugim brzegu, nie miał na to żadnego wpływu. Teraz nie mógł już skoczyć do wody, w której przepychały się dziesiątki, jeśli nie setki zbrojnych. Lecz pchnął gońca do Nieposkromionych, by formowali „grot” zamiast płotu. Nigdzie nie było widać wrogiej jazdy... Kenes chciał mieć chociaż jedną chorągiew uszykowaną do walki manewrowej. Goniec wpadł do wody, wyrzaskując zalecenie wodza. Przekazywany krzykiem z ust do ust rozkaz najwyraźniej dotarł na drugą stronę rzeki, bo Nieposkromieni

rozsypani się na skraju skarpy i sprawnie zaczęli ustawiać od nowa.

Czterystu siedemdziesięciu jeźdźców Chorągwi Ciemnej Kniei z rozwiniętym sztandarem poszło stępą na spotkanie wroga. Odeszli na sto kroków, gdy ruszyła się druga linia — przeszło czterystu jeźdźców pod zielono-granatowym znakiem Własnej. Po lewej stronie, już wcześniej, równo z pocztami Kniei, ruszyła Chorągiew Trzeciej Szarży. Do „grotu” składanego przez Nieposkromionych dołączały kolejne poczty, rozformowywane przez dowódcę. Kopijnikom wskazywano miejsca na czele, a kusznikom w głębi ugrupowania. Zryta kopytami rozpadlina w skarpie wyrzucała nieprzerwany strumień zbrojnych.

Prowadzący swych strzelców i giermków rycerze Ciemnej Kniei puścili konie kłusem. Idąca obok Chorągiew Szarży także zmieniła krok. Zaraz potem przeszła do kłusa Własna w drugiej linii. Imperialni wciąż parli na spotkanie. Wkrótce linie jeźdźców zupełnie przysłoniły widok i stary wódz, z żelazną dłonią opartą na napierśniku, czuł tylko, jak pod zbroją boleśnie wali mu serce. Nie rozumiał, co dzieje się na drugim brzegu. Ku piaskowej łasze, stanowiącej zejście do brodu, ruszały właśnie poczty kolejnej chorągwi. K.B.I.Kenes skinął ręką na chorążego i rycerzy osobistej eskorty, po czym zjechał ku wodzie wraz z innymi. Przez jakiś czas miał nie widzieć zupełnie nic. Ale ufał dowódcom swoich zaprawionych w bojach chorągwi.

Tymczasem imperialni zmykali na łeb, na szyję. Idące już galopem Chorągwie Szarży i Ciemnej Kniei miały przed sobą tysiąc zadków i dwakroć więcej migających spod ciemnych spódnic nóg. Dowódca Kniei pojął, że w tej dziwacznej taktyce kryje się metoda; że jeśli nie dopadnie legionistów tuż przed skrajem lasu, to wpakuje się galopem między drzewa i porozbija swych jeźdźców o konary lub też będzie zmuszony zatrzymać szyk przed samymi nosami siedzących w zaroślach łuczników. Znakomicie wyszkolony legion pozwalał sobie na kpiny z dartańskich żelaznych hufców. Ale co to byli za żołnierze! Prowadzący chorągiew rycerz wiedział, że nie każdy oficer może sobie pozwolić na wydanie podkomendnym rozkazu: „Uciekajcie!”. W obliczu zwartej ławy jazdy, łomoczącej ziemię kopytami, mógł to być ostatni wykonany rozkaz... Pędzący byle dalej od wroga żołnierze rzadko potrafili się zatrzymać.

Prowadzący szarżę doświadczony wojownik czynił to nie po raz pierwszy. Potrafił ocenić odległość i już widział, że na pewno nie dogoni

uciekierów. Krzyknąwszy na chorążego, nakazał dać banderą rozkaz przejścia w kłus. Wiedział, że ma za sobą galopującą Własną, i nie mógł osadzić swoich jeźdźców w miejscu, bo miałby na plecach całą bratnią chorągiew. Dopiero po chwili, niespokojnie patrząc na złowieszczą bliską ścianę lasu, w cieniu której przepadli akalczycy, wydał drugi rozkaz: „Stępa”.

Dwie barwne linie ciężkiej jazdy stawały o pół strzału z łuku od linii pierwszych drzew. Lecz na lewym skrzydle dowódca Chorągwi Trzeciej Szarży podjął inną decyzję, być może o wiele lepszą. Jeźdźcy zatrzymali się dopiero na samym skraju lasu, strzelcy na oślep posłali bełty między drzewa i cała chorągiew zeskoczyła z siodeł, ruszając do walki pieszej. Rycerstwo rzucało kopie i brało się za miecze, kusznicy pospiesznie napinali cięciwy, by wpaść do lasu z nałożonymi bełtami. Lekkozbrojni łucznicy imperialni mogli mieć się z pyszna!

Po nieudanej szarży, ustawienie „w płot” pozwalało na jeden tylko manewr: zwrot w tył i pospieszne odejście galopem. Ale dowódcy Chorągwi Ciemnej Kniei i Własnej mogli jeszcze poderwać swoich jeźdźców i skoczyć do skraju lasu tak samo, jak to uczynili zbrojni z siostrzanego oddziału.

Nie zrobiono żadnej z tych rzeczy.

Ostre głosy oficerskich świstawek rozbrzmiały gdzieś za biednymi chałupami wioski. Przez wąskie wizury hełmów dartańscy rycerze dojrzeliby istne mrowie czerwonych jeźdźców, pędzących bezładnymi kupami wprost na odsłonięte skrzydło podwójnego „płotu”, gdy inne gromady okręzały wioskę, chcąc wyraźnie zająć chorągwie od tyłu. Po niezwykłym natarciu piechoty na ciężką jazdę wychodziło natarcie drugie, jeszcze bardziej zdumiewające. Ktokolwiek prowadził tych żołnierzy, nie miał pojęcia o uszykowaniu klinów i półsetek do szarży. Dartańscy rycerze nie mogli wiedzieć, że pędzi na nich legion piechurów, potrafiących jeździć konno, ale jednak tylko piechurów, zebranych ze wszystkich patroli, jakie jeszcze niedawno przemierzały dartańskie trakty. Ci żołnierze nic zupełnie nie wiedzieli o szykach i sygnałach lekkiej jazdy, nie byli w stanie wykonać najprostszego manewru — lecz jednak umieli galopować do przodu, gotowi wpaść na dwie nieruchome linie i zmieszać je samą liczbą. Uszykowane „w płot” poczty bez rozkazu jęły zwracać się ku atakującym; szyk łamał się i pękał. Nadtysięczniczka

Tereza prowadziła bitwę, nieustannie zaskakując i dezorientując wroga, który musiał zwracać uwagę na wiele jednoczesnych, a czasem niejasnych, zagrożeń. Przede wszystkim jednak była to stara dowódczyni jazdy, jak niedawno uprzejmie powiedział jej zastępca. Wiedziała, dokąd mogą dojść akalscy piechurzy, żeby zdążyć z powrotem do lasu, uciekając przed morderczą szarżą; tak samo gotowa była wskazać ostrzem miecza miejsce, w którym staną ciężkie chorągwie, zdeprimowane beznadziejną i niebezpieczną, godzącą w próżnię galopadą. Zaskoczyła ją tylko odważna decyzja dowódcy wrogiego lewego skrzydła, ale nic strasznego się jeszcze nie stało, bo było więcej niż pewne, że dowodzący łucznikami nadsetnik nie przyjmie bitwy ze spieszoną chorągwią, tylko raczej wciągnie ją głębiej w las, czekając na posiłki. Miał je zaraz otrzymać; Tereza posłała już gońca, najlepszego do biegu w lesie: kosmatego, okrytego niedawno uszytą czerwoną dartańską tuniką. Rozpoczynając bitwę, nadtyśnięczniczka najbardziej obawiała się tego, że już pierwsza chorągiew, która wyjdzie na brzeg, zacznie formować klin. Musiałaby wtedy uderzyć natychmiast, co raczej nie rokowało wielkiego zwycięstwa. Ale najpierw powstały łatwe w formowaniu „płoty”... Liczyła, że tak właśnie będzie.

Teraz niezwrotne linie popękały. Nie było już zwartego, choć płytkiego szyku ciężkiej jazdy.

Od brodu rozpędział się samotny „grot” Chorągwi Nieposkromionych, próbujący osłonić szarżą tyły „płotów”. Z wąskiego żlebu wydostawały się w najwyższym pośpiechu poczty piątej chorągwi. Pędzący z hukiem Nieposkromieni, całą siłą swych pięciuset wierzchowców mogli przejść na wylot przez ławicę bezbronnych dartańskich legionistów, mających do obrony tylko kiepskie tarcze i krótkie miecze piechoty. Mogli przejść na wylot, ale tylko tyle. Jeśli „grot” Nieposkromionych miał wyłobić w bezładnej zbieraninie szeroką na dwadzieścia koni ulicę, zostawiając za sobą sto trupów, to Tereza zgadzała się zapłacić tę cenę. Był tylko jeden sposób na związanie walką wszystkich tych fatalnych jeźdźców w czerwonych narzutach: pójść w rozsypkę i wdać się w rąbaninę.

Śmigające ze skraju lasu strzały przypomniały połamanym „płotom” o istnieniu imperialnych łuczników. Powtarzała się sytuacja z rozniesioną chorągwią straży przedniej: bezładny, zasypywany

pociskami szyk kłębił się w miejscu, pryskając na wszystkie strony oddziałami i oddziałkami konnych, nad którymi nikt nie panował. Pośród szczękania grotów o zbroje i tarcze — był to dźwięk, jakby ktoś nieustannie ciskał w jeźdźców garściami żwiru — rozbrzmiał wyraźniejszy łomot, gdy o swoim istnieniu przypomnieli kusznicy. Natychmiast blisko dwudziestu jeźdźców zważyło się z koni na ziemię; podrywane wierzchowce wierzgały, stając na zadnich nogach. Jakieś poczty rycerskie, zasypywane strzałami przez łuczników, usiłowały podjąć kontrszarżę przeciw czerwonej zbieraninie, która właśnie zalewała przestrzeń między chałupami wsi; jacyś konni strzelcy próbowali słać bełty to do lasu, to przeciw nadciągającej dartańskiej zgrai; kilkadziesiąt pocztów odchodziło do tyłu, natykając się na zmieszane szyki Chorągwi Własnej, która poczyniała sobie równie śmiało i celowo. Lecz to nie było wszystko, bo z leśnej drogi biegiem wypadły na równinę zwarte kliny akalskich tarczowników: ci żołnierze jednak umieli zarówno uciekać, jak też zatrzymać się i z powrotem nacierać na rozkaz... W potężniejącym łomocie kopyt rozproszonych żołnierzy Legionu Konno-Pieszego, w grzmocie biegnącej im naprzeciw chorągwi Nieposkromionych, w tupocie setek zwierząt przepychających się pod lasem, wreszcie w nieustannym, złowrogim turkocie strzał i bełtów prawie nie było słychać bojowego krzyku akalskich tarczowników. Lecz poparł go drugi okrzyk, wydany przez trzykroć liczniejsze gardła: rozwijający się jak na paradzie półlegion srebrzystych wielkoludów, tak samo jak ciężka kolumna z Akali, miał do przebycia najwyżej trzysta kroków. Rozbrzmiał kolejny ryk, dość bezładny, lecz mnogi: dwustu czterdziestu toporników w czerwonych tunikach, bez kirysów, ale z dobrymi tarczami, w trochę pomieszanym, lecz jednak zwartym szyku, runęło śladem akalczyków i halabardników gwardii.

Blżej rzeki, nie tracąc impetu, żelazny „grot” Nieposkromionych porozrywał ażurowe zastępy nieszczęsnych konnych piechurów, bez żadnych strat własnych znacząc szlak obalonymi końmi, poprzebijanymi na wylot ludźmi, których nic nie osłaniało przed pchnięciami rycerskich kopii. Dartański pług przeorał kilka środkowych klinów, rozproszonych jak wszystkie inne, i zaczął zawracać po obszernym łuku, nie wytracając rozpędu. Lecz, o dziwo, straty czerwonych wcale nie były duże... Tym żołnierzom wprawdzie kazano nacierać, ale ani myśleli iść pod kopyta

zwartej dartańskiej chorągwi. Nie trzymając żadnego szyku, a tym samym, mimo braku jeździeckiego wyszkolenia, górując zwrotnością nad „grotem”, bezwstydnie (ale za to rozsądnie) umykali z drogi; śmierć znaleźli tylko nieszczęśnicy, którzy nie uciekli dość szybko. Także bełty posłane nawiją przez rycerskich pocztowych kiepskie zebrały zniwo, bo rozproszona konna piechota nie była wdzięcznym celem.

Pod lasem siedmuset ciężkozbrojnych piechurów uderzyło na zmieszanych jeźdźców z dwóch zwabionych pod drzewa chorągwi. Z boku wpadli w mętlik konni piechurzy dartańscy, z miejsca ponosząc niesamowite straty. Niewprawnie powodujący końmi, wymachujący krótkimi mieczami żołnierze spadali z kulbak, nie mogąc marzyć o dotrzymaniu pola synom dartańskich Domów czy chociażby lżej zbrojnym pocztowym. Lecz natychmiast dostali wsparcie. Topornicy akalscy poniszczyli grupki jeźdźców na obrzeżach kłębu i przedarli się do prawego skrzydła ciężkiej jazdy, prawie pod samymi domami wioski. Dartańscy halabardnicy gwardii, uderzający nieco dalej, w środek tego, co wcześniej było szykiem, nieomal w mgnieniu oka przerąbali się aż do Chorągwi Własnej. Jakże morderczo skuteczny przeciw jeździe był ten słabo znany na kontynencie oręż, składający się z wielkiego żeleźca na solidnym drzewcu! Niepodobieństwem było zbliżyć się do zakutego w stal siłacza, zataczającego halabardą zamaszyste łuki. Gwardziści z rozmachem, zawijając bronią nad głowami, tłukli toporzyskami po zbrojach; inni wymierzali pchnięcia od dołu, jakby mieli w rękach masywne włócznie, lub podcinali wierzchowcom nogi; jeszcze inni zaczepiali hak oręza o zbroje i ściągali jeźdźców na ziemię, by następnie z góry rąbnąć całym ciężarem broni, popartym impetem i siłą ramion. Idący w sukurs halabardnikom topornicy Legii Dartańskiej zrazu trafili w próżnię za ich plecami; tutaj wsparcie było całkiem zbędne! Dopiero po chwili rozkazy oficerów skierowały żołnierzy bardziej ku lewemu skrzydłu zajadle walczących jeźdźców. Źle wyszkoleni, niedozbrojeni czerwoni tarczownicy nie zdołali nawiązać z konnicą równorzędnej walki, ale byli liczni, wciąż zwarci i nie przynieśli swych głów w darze... Kazali za nie płacić. Z głębi leśnej drogi, klin za klinem, wynurzały się czerwone półlegiony, uzbrojone w słynne derenety. Tym żołnierzom kazano słuchać tylko podsetników, nie oglądać się na proporce wyższych oficerów, bo było jasne, że nie utrzymają szyku w kolumnie, a cóż

dopiero w ramach półlegionu, pod wodzą nadsetnika. Ale rozkazy głównodowodzącej dotarły gdzie trzeba: pierwsze kliny natychmiast skręcały w prawo, płosząc konie spiesznej chorągwi, która przepadła między drzewami. Teraz tak samo przepadali oszczepnicy, odcinając wrogowi powrót na równinę. W lesie dawno już wrzała walka: cały legion czerwonych żołnierzy, wsparty przez kolumnę akalskich łuczników, przepychał się między drzewami, nawiązując walkę z zaskoczonymi wojownikami Trzeciej Szarzy. Drugi legion wypadał na równinę, zachodząc z boku popękane „płoty”. Droga uporządkowała ruch tych samodzielnych klinów — a było ich przecież trzydzieści! Pierwsi żołnierze włączyli się do walki i ku własnemu zdumieniu, natychmiast zaufali nowej broni. Nadjeżdżający pocztowy spadł z konia, trafiony w pierś rzuconym z bliska oszczepem, zaraz podobny los spotkał kilkunastu innych śmiazków. Nie byli to tylko lekkozbrojni strzelcy!... Gruchnął na ziemię rycerz w niepełnej zbroi, bez blach na ramionach i nogach — nie wszyscy kopijnicy byli okryci tak samo, zależało to od zamożności. Tańszy i słabszy od innych napierśnik nie wytrzymał uderzenia derenetu; syn biednego dartańskiego Domu zginął z ręki oszczepnika, który po raz pierwszy w życiu stanął do walki z kimkolwiek, a cisnął swój oręż z całą siłą, jaką dało mu śmiertelne przerażenie... Wykute w wielu kuźniach, różnokształtne lecz zawsze smukłe groty derenetów, uczynione takimi najbardziej z oszczędności, bez trudu radziły sobie z kolczugami i bywały skuteczne przeciw blachom! Kilka klinów Legii Dartańskiej łatwo uporało się z obrzeżem chorągwi Ciemnej Kniei, prawie nie nawiązując z jeźdźcami bezpośredniej walki; ciśnięty z odległości parunastu kroków oręż, o ile nie trafił w tarczę lub nie zsunął się po krzywiźnie napierśnika, dokonywał dzieła, zabijając na miejscu lub poważnie raniąc. Dopiero później, gdy przyszło sięgnąć po miecze, nie potrafiący sprostać konnym rębajłom legioniści odebrali swoje, bezlitośnie wycinani przez poczty Chorągwi Własnej.

Z lasu wypływała niekończąca się rzeka klinów dartańskiej piechoty. Wśród oszczepników trafiały się pojedyncze oddziały, uzbrojone w kusze lub tarcze i topory.

Wracająca do bitwy Chorągiew Nieposkromionych szukała celu dla szarzy. Lecz pod lasem kłębił się i przewalał zmieszany tłum pieszych i konnych, swoich i obcych, wrogów i przyjaciół... „Grot” pędem obchodził

kłębowisko, aż zupełnie nieoczekiwanie znalazł się wobec licznych czerwonych oddziałów, włączających się w mętlik walki, próbujących zająć popękane „płoty” od tyłu. Przerażeni piechurzy trafiali wprost pod kopyta ciężkozbrojnej jazdy, roznoszącej w puch kolejne trzydziestki, aż zabrakło wroga przed czołem. Lecz po prawej stronie „grotu” zostało mnóstwo nienaruszonych oddziałów, które teraz, wstrząśnięte widokiem potwornej żelaznej konnicy, nie wiedziały dokąd uciekać. Oto był cel dla szarży! Nieposkromieni doszli pod ostrym kątem niemal do samej ściany lasu, kilkadziesiąt kroków za drogą, gdzie do reszty rozpędzili wierzchowce Chorągwi Trzeciej Szarży i przez chwilę szli wzdłuż linii drzew, lecz zaraz zaczęli zataczać ciasny krąg w lewo, by ponowić uderzenie, tym razem w sam środek strumienia czerwonej piechoty.

Bitwa na ciasnej równinie mogła trwać nawet do wieczora i zakończyć się całkowitą klęską imperialnych. Wychodzące z parowu poczty Chorągwi Weyeńskiej, nie formowały szyków, lecz natychmiast ruszały do walki, idąc w sukurs uwikłanym w bój z piechotą towarzyszą pod lasem. Była to dobra, a nawet jedynie słuszna taktyka, bo w kłębowisku nie ubywało jeźdźców. Mężni tarczownicy i halabardnicy z coraz większym trudem stawiali opór świeżym, niezmęczonym walką, pocztom weyeńczyków, którzy poczet za pocztem pędzili przez równinę, a ostatnie swe szeregi wyrwali z parowu. Wciąż walczyły niedobitki Własnej i Ciemnej Kniei. W wodzie była już Chorągiew Druga Złotej Rollayny, do przeprawy zbliżała się Czwarta. Na południowym brzegu i w samych falach Merewy stało jeszcze ponad tysiąc ciężkich jeźdźców i z górą trzy setki przy taborze — ogromny odwód, który nieprzerwanym strumieniem wychodzących na równinę pocztów mógł nadal zasilać bitwę, przeważając w końcu szalę. Ci okryci żelazem kopijnicy, wsparci przez swoje poczty, umieli niszczyć wroga nie tylko masą i impetem prowadzonej w zwartym szyku szarży. Wdając się w pojedynki i utarczki, walcząc małymi grupkami, w większości starć byli górą. Należało natychmiast odciąć dopływ posiłków na równinę i zlikwidować śmiertelne zagrożenie, jakim dla czerwonego legionu był „grot” Nieposkromionych. Już ta jedna jedyna chorągiew mogła wgnieść w ziemię wszystkie bez mała, wychodzące z lasu kliny Legii Dartańskiej, a bez ich pomocy ciężkozbrojni piechurzy byli skazani na klęskę.

Krwawym śladem Nieposkromionych, w wyciągniętym kłusie, szedł ustępujący im liczebnie półlegion jazdy cesarskiej w czarnych tunikach akalskich — większa część konnicy Armii Wschodniej. Pod kopyta jezdnych dostawali się, rozniesieni szarżą kopijników, zabici i ranni żołnierze w czerwonych dartańskich narzutach. Może było ich dwustu?... Między zwartymi klinami opętańczo darł się, pótleżąc na ziemi, jakiś porąbany piechur, wsparty jedną ręką na swoim derenicie. Nie łamiący szyku lekkokonni przejechali wprost po nim tak samo, jak po wielu innych, ale ci, co byli najbliżej, usłyszeli podobno: „Akala! Dajcie im!...”.

Tereza, od początku bitwy cały swój odwód trzymała na skraju lasu, tuż przy wiosce. Jeszcze gdy Nieposkromieni wracali do środka placu boju, po pierwszej swojej szarży przeciw konnym piechurom, obróciła się ku siedzącej w siodle kilka kroków za nią tysięcznicze i pokazała jej wrogi „grot”.

— No co? — powiedziała, przekrzykując bitewny zgiełk. — Koniec, wszystko mamy w boju! Aronet wie co zrobić z łucznikami. Teraz już tylko my.

Agatra przywołała uśmiech na swą chudą, ogorzałą twarz. Wiedziała co robić, a raczej: wiedziała, czego nie zrobi. Na pewno na czele swych armektańskich gwardzistów nie mogła gonić dartańskiego „grotu”.

— Wbiję szpunt — powiedziała, machając ręką do nadsetnika konnych łuczników, żeby podjechał po rozkazy. — Przerwę się do brodu i pošlę ci w sukurs swoją jazdę.

Tereza skinęła głową.

— Właśnie tak. Uderzę i odskoczę, żeby mieli pole.

Nieposkromieni szli skosem przez ugór, chcąc ominąć wieś. Tereza wetknęła do ust oficerską świstawkę. Trzy kolumny jeźdźców na pozór zupełnie bezładnie wyjechały na pole za wsią, ale każda kolumna tworzyła osobną grupę. Idąc drobnym, a potem wyciągniętym kłusem, półsetki i kliny wyrównywały szyk, dołączali spóźnialscy. Z samej wioski, przedzierając się przez gwar bitewny, dobiegł okrzyk-salut gwardyjskiego półlegionu Agatry, wspartego przez oddziałek Gwardii Akalskiej. Przed czołem kłusujących jeźdźców Terezy, przecinając szlak, którym przeszli Nieposkromieni, przewaliły się, wypadając z wioski, trzy kliny konnych łuczników legii, trzy łuczników pieszych, a na samym końcu mieszana kolumna gwardyjska: klin konny, lekki i ciężki, każdy

wsparty dziesiątką akalczyków. Cały półlegion pognał na łeb, na szyję najpierw wzdłuż drogi, a potem w stronę brodu, od którego nieprzerwanym strumykiem płynęły rycerskie poczty.

Tereza, na czele swoich jeźdźców, przerwała kordon posiłków słanych do chorągwi pod lasem i wyszła za plecy Nieposkromionych, w samą porę, by ujrzeć, jak „grot” bierze pod kopyta i rozjeżdża wychodzące z za kłębowiska kliny czerwonej piechoty. Nieposkromieni szli dalej, aż do samego lasu, tworząc coraz ciaśniejszą pętlę. Dowódczyni armii prowadziła konnych łuczników, jakby chciała dołączyć do rycerzy — to właśnie wtedy jej jeźdźcy musieli przejechać po umierających piechurach... I ten fragment boju ujrzał K.B.I.Kenes, gdy przepchał się wreszcie ze swym pocztem przez stłoczone w rzece zastępy wojowników, pokonał rozpadlinę i stanął na skraju skarpy. Oszołomiony, spoglądał na pokrytą walczącymi, usianą trupami, przemierzaną przez bezpańskie wierzchowce równinę, na której z jego rycerskimi chorągwiami zmagala się nieistniejąca do tej pory, wielka armia legionistów imperium. Zamiast czarnych tunik przyrodni brat Enewena oglądał setki i tysiące jaskrawoczerwonych mundurów, srebrne zbroje jakiejś strasznej piechoty, rąbiącej rycerzy Własnej i Weyeńskiej — istne mrowie cesarskich, o których nikt nie wiedział, że są. Kenesa przeraziła ilość bezpańskich koni, bo nie wiedział, że znaczna część tych wierzchowców to rozproszone zwierzęta jeźdźców Trzeciej Szarzy, którzy pieszo bili się między drzewami.

Przy małej wiosce pod lasem, aż do drogi i okrakiem przez nią, trwała chaotyczna bitwa, toczona przez resztki dwóch chorągwi, skłębionych z ciężką piechotą imperialną, której pomagało mnóstwo czerwonych żołnierzy na koniach. Zasilały ten bój coraz nowe poczty rycerskie, wąską wstęgą płynące od brodu. Od zachodu, szarpiąc skraj kłębowiska, wtapiając się weń i opływając z boku, wychodziły z lasu na równinę coraz to nowe kliny dartańskich oszczepników. Jeszcze dalej na zachód, na samym końcu pola bitwy, pod lasem, kreślił ciasną pętlę potężny „grot” chorągwiany. W ślad za owym „grotem” szło istne stado wilków — czarny półlegion lekkokonnych łuczników, nad którym płynął, nieruchomo rozpięty na ramie, największy z proporców używanych przez cesarskie wojska: prostokątny, wycinany w kwadratowe zęby, biały znak nadtyśięcznika. Nieposkromieni ujrzeli wrogą jazdę dopiero

wówczas, gdy odeszli od ściany lasu, zawracając łukiem najpierw na południe i dalej, skręcając coraz bardziej ku środkowi pola. Jego godność Kenes usłyszał odległy, ale przenikliwy, różny od wszystkich innych bitewnych odgłosów, dźwięk oficerskiej świstawki i ujrzał gwałtowne poruszenie proporca. Trzy zwarte w trójkąt kolumny lekkiej jazdy w jednej chwili przeszły do galopu i nabrały pędu, z nastawionymi włóczniami uderzając w bok ciężkiego „grotu”, na całej jego długości.

Stary rycerz, wbrew woli, zamknął na chwilę oczy.

Nadtysięcznik, który prowadził lekkokonnych, umiał wybrać czas i miejsce uderzenia. Odślonięty bok „grotu” — najwrażliwsze miejsce każdego zgrupowania jazdy w ruchu — nie wytrzymał uderzenia masy akalskich jeźdźców. Włócznie poprzebijały tarcze i blachy, jadący na obrzeżach „grotu” kopijnicy, gorzej zbrojni od towarzyszy tworzących szpic czołowy, zostali wepchnięci na pocztowych w głębi szyku. Imperialna konnica samym impetem i ciężarem przełamała się do wnętrza chorągwi, gdzie obalone wierzchowce były tratowane przez inne, spadali z sodeł jeźdźcy, ogłuszeni siłą i nagłością ataku, a osadzone w miejscu i podrywane konie waliły się na grzbiety, popychane przez inne, wciąż idące kłusem. Uderzenie wymierzono w lewy bok szyku, a wróg po lewej ręce to był koszmar każdego jeźdźcy, zmuszonego do obrony „na krzyż”, kłucia i ciecica mieczem ponad karkiem konia. Rycerze mieli boki osłonięte tarczami, ale strzelcy w głębi ugrupowania trzymali tylko kusze... Lekkokonny półlegion w jednej chwili rozbił rycerską kolumnę, od której odpadło, wciąż idące naprzód, samo ostrze „grotu” — cztery pierwsze szeregi. Przepadła gdzieś łopocząca banderia chorągwiwana. Szyk — bezcenny szyk jedynej zwartej formacji Kenesa — był teraz splątanym kłębem srebrzystych i czarnych jeźdźców.

Jego godność Kenes nie zobaczył niczego więcej. Zapatrzony na klęskę swojej jazdy pod lasem nie dostrzegł, co działo się po drugiej stronie.

Płynący od brodu strumień pocztów porwał się i postrzępił. Kopijnicy i strzelcy obierali nowy kierunek, zamiast na północ, kierując się na wschód, przeciw nadciągającemu zagrożeniu. Mignęły niebieskie armektańskie tuniki, gdy setka pędzących w zwartym szyku jeźdźców rozerwała cienki kordon pocztów, otwierając drogę żołnierzom lekkiej piechoty. Łucznicy pędzili za jazdą, jakby od tego zależało ich życie. Ale w

istocie zależało jeszcze więcej, bo istnienie całej imperialnej armii. Jazda, otworzywszy drogę piechocie, zaraz uciekła ku środkowi pola, ale kolumna pieszych legionistów ani myślała ubezpieczyć swoje boki i tyły... W samobójczym, biegiem prowadzonym natarciu, piechurzy posuwali się prosto do przodu, zostawiając wokół ciężkozbrojne poczty, bo widzieli chyba tylko jedno: ciasny parów, z którego wychodziły posiłki na równinę. Kolumna biegiem doszła do samego urwiska, ustępując drogi jeszcze jednej, niebiesko-szarej, zasilonej ciemniejszymi oddziałkami. Prowadzący tę mieszaną kolumnę klin lekkiej jazdy rozpadł się na dwie części, z których mniejsza, czarno-szara dziesiątka gwardyjska, bez najmniejszego wahania runęła prosto w gardziel rozpadliny, zgniatając wszystko, co było u wylotu, kłębiąc się i tłocząc. Pięćdziesiąt kroków dalej, stary wódz, który już widział, co się dzieje, sięgnął po kopię, szybko podaną przez giermka, bo pełen klin cesarskich lekkokonnych pędził prosto na niego. Skoczyli naprzeciw rycerze eskorty, strącając kopiami pięciu gwardzistów — lecz klin liczył trzydziestu jeźdźców...

Jego godność K.B.I.Kenes, wraz z giermkim i chorążym, został zepchnięty ze skarpy do rzeki, wpadając do niej razem z kilkoma żołnierzami w niebiesko-szarych tunikach Gwardii Armektańskiej.

Znacznie dalej, pod lasem, oficerska świstawka rozbrzmiewała znowu; konni łucznicy, skłębiwszy „grot” Nieposkromionych, ani myśleli wikłać się w siłową rąbaninę. Zmieszany półlegion wyrwał się z mętliku, rozpadając na kilka części, uciekając w różnych kierunkach. Lekkokonni zostawiali za sobą skotłowanych jeźdźców, którzy byli co najwyżej tłumem ludzi na koniach, bo już nie wojskowym oddziałem. Ze środka pola galopem pędziła na ten tłum zwarta kolumna legionistów, którzy przed chwilą otworzyli drogę idącym do parowu towarzyszących. Terezie udało się dokładnie to, co próbował osiągnąć w bitwie pod Puszcą Bukową dowódca Armii Zachodniej: uderzała zwartymi oddziałami jazdy na zmieszanych, tkwiących w miejscu ciężkozbrojnych.

Druga szarża wstrząsnęła bezładnym szykiem; rozpędzeni, idący kolano w kolano legionieści nie mieli tam przeciwnika. Całkowicie rozbita chorągiew rozleciała się na wszystkie strony. Mordowani kolejnymi szarżami jeźdźcy szukali ocalenia w ucieczce.

Przy parowie, stu łuczników Agatry strzelało z wysokiego brzegu w dół, trafiając stłoczonych na brodzie jeźdźców. Strzelali szybko i celnie,

powstrzymując napływ posiłków do szczeliny. W samej dziurze, gdzie nie było już żywych jeźdźców z Akali, walczyli armektańscy topornicy. W ciasnocie, pośród trupów i rannych, spieszeni jeźdźcy tłukli ich mieczami po kirysach i tarczach; ciężkie topory imperialnych łamały zbroje rycerzy. Walczących o parów towarzyszy osłaniały dwa kliny łuczników gwardii, wsparte przez dwudziestu akalczyków. Ta garść piechoty stworzyła zapórę, przez którą nie mogły się przebić wracające z głębi pola, rozciągnięte jeden za drugim poczty weyeńczyków. Liczący kilka koni oddziałek kopijników i strzelców został zmieciony z sodeł przez dziesiątkę czarno-szarych kuszników; dwa następne, szarżujące obok siebie, rozstrzelali łucznicy. Poszarpany gwardyjski klin konny, który porwał wodza rycerzy, wikłał się w utarczki z pojedynczymi pocztami, ponosząc nowe straty. Z rzeki na szczyt urwiska sypały się bełty pocztowych, zabijając i raniąc łuczników, którzy wciąż powstrzymywali napływ świeżych sił do parowu, gdzie resztki ciężkiego klina mordowały ostatnich rycerzy. Ale przez pryzmy trupów usiłowali przedostać się następni, nieustraszenie prac do góry pod deszczem grotów ze skarpy. Z głębi pola nadjeżdżały następne rycerskie poczty, które najpierw miały wesprzeć chorągwie pod lasem, a teraz zawracały do brodu. Siedemdziesięciu pieszych łuczników gwardii, między którymi jaśniała biała narzuta tysięczniczki, wciąż osłaniało towarzyszy walczących o skrwawioną wyrwę w ziemi. Na gwardzistów szły kolejne szarże kopijników i pocztowych. Zmęczeni biegiem i walką piechurzy nie mogli dokonać cudów, trafiając w wąskie szczeliny pancerzy — historie o łucznikach rozszczepiających wbite w tarczę strzały, należały do świata legend, nie do świata wojny. Ale potrafili z niezmałym spokojem, z napiętymi łukami, czekać do ostatniej chwili, nieulękle patrząc na szarżujących jeźdźców, by na koniec strącić ich na ziemię ledwie kilkanaście kroków przed swym szykiem, gdzie wypuszczone pociski miały największą moc. Poczet za pocztem roznoszony był przez zajadłych wojowników, którym nie bez powodu dodano szarą barwę do tunik. Dopiero z większej od innych grupy przedarło się kilkunastu jeźdźców, stratowało klin bezbronnych łuczników i wyszło za ich plecy — ludzie ci zginęli niemal w jednej chwili od ciosów strasznych rębajłów z rezerwowej dziesiątki dowódcy kolumny, trzymany w ostatnim odwodzie na taką właśnie okazję. Dopomogli im akalscy kusznicy,

strzelający z bliska ze swej potężnej broni bądź chwytający za miecze. Dziesięciu tarczowników, którym aż do tej chwili odmawiano udziału w boju, pożerającym życie towarzyszy, wypadło przed zgnieciony szyk łuczników gwardii i pozwoliło im się pozbierać. Ciężkozbrojni osłonili strzelców własnymi zbrojami i tarczami, bo nie czekali w miejscu, lecz rzucili się na kolejny szarżujący poczet, nadziewając się na kopie i miecze, rozwalając końskie łby toporami. Za ich plecami stratowani i porąbani strzelcy z postrącanymi z głów kapalinami pokazywali wymykające się spod kolczych czepców długie włosy... Strzelający z najbliższej odległości do rozpędzonych pocztów nieustraszony klin gwardii składał się głównie z łuczniczek. Dwie pokłócone żołnierki, każda w innej tunice i walczące z inną bronią w ręku, zginęły w tej bitwie zaledwie parę kroków od siebie.

Tysięczniczka Agatra trzymała rozpadlinę resztkami sił swych żołnierzy.

Dziewięć zwartych, samodzielnie działających klinów czarnej jazdy z Akali, pod wodzą swych podsetników, roznosiło luźne poczty rycerskie między lasem a brzegiem rzeki. Całe zastępy piechurów w czerwonych tunikach włączały się do boju przy wiosce bądź nękały zagubionych jeźdźców z rozbitej Chorągwi Nieposkromionych. Pośród tego chaosu nagle pojawiły się zwarte, idące marszowym krokiem kolumny i kliny żołnierzy, którzy zaczęli bitwę, a teraz mieli ją skończyć. Akalscy łucznicy i kusznicy wyszli z lasu przy wiosce i maszerowali ku rzece, zostawiając resztki Nieposkromionych piechocie z derenetami i klinom łuczników konnych. Z drugiej części sosnowo-dębowego boru, gdzie przepadła Chorągiew Trzeciej Szarży, wydostawał się na drogę kolejny lekki półlegion; te oddziały także szły ku rzece, kierowane tam przez ochrypłego tysięcznika, przy którym niesiono z daleka widoczny, trójkątny biały proporzec. Od czasu do czasu jakiś klin przystawał, szpikując strzałami samotnego pocztowego, który uszedł spod kopyt jeźdźców. Na podobieństwo armii mrówek wyćwiczony i karny Legion Akalski oczyścił całe pole bitwy, zostawiając za plecami tylko skłębione zgrupowanie pod wsią, a między drzewami niedobitki spieszonych jeźdźców Szarży, na których polowali czerwoni Dartańczycy. Stłoczeni na brodzie jeźdźcy, z uporem szturmujący zapchany przez trupy parów, próbujący wyrąbać sobie drogę do osamotnionych na równinie

towarzyszy, wciąż ranieni przez łuczników, których dzielnie zwalczali chorągwi strzelcy, ujrzeni nagle na wysokim brzegu całe zastępy legionistów napinających cięciwy. Blisko pięćset pocisków zagotowało wodę na całej szerokości brodu, ale już dołączały następne kliny i strzał z każdą chwilą przybywało. Nie trzeba było celować; stłoczone szyki Chorągwi Złotej Rollayny były okrywane kolejnymi tysiącami grotów, tłukących gęsto niczym strugi deszczu — i nie było w tym gromkiej wojennej przesady. Łucznicy i kusznicy imperialni mordowali ludzi i konie tratujące potopionych rannych. Rzeka zmieniła kolor. W ciągu kilku chwil zaledwie strzelający ze skarpy legioniści posłali w dół przynajmniej piętnaście tysięcy strzał — po pół setki na każdego jeźdźca w wodzie. Przewalały się, brzuchami do góry, naszpikowane pociskami zwierzęta, migwały w spienionym nurcie kopyta i ramiona, błyszczące blachy i barwne tarcze — wszystko to skotłowane pośród różowych bryzgów. Pocztowi z Chorągwi Czwartej Złotej Rollayny, wciąż na drugim brzegu, zeskakiwali z koni, klękali na skraju nurtu, chcąc osłonić strzałami masakrowanych w płytkiej rzece jeźdźców. Lecz na skarpie ktoś wydał rozkaz, okrzyk powtórzyli setnicy, podsetnicy i południowy brzeg momentalnie zjeżył się od pocisków. Nieszczęsnych strzelców, nieokrytych blachami, w jednej chwili zdziesiątkowano. Wszczął się popłoch, powiększony przez wstrząśniętych uciekinierów z rzeki, którzy gorączkowo, pieszo i na grzbietach skrwawionych wierzchowców, próbowali wrócić na przyjazny brzeg. Mnóstwo takich krzyczących ludzi, padających od uderzeń strzał w plecy, zataczających się z pierzyskami sterczącymi z karków i ramion, spadających z kulbak, posiało zamęt i przerażenie w ostatniej, jako tako jeszcze zwartej, chorągwi. Bezlitosna rzeka pochłonęła niemal wszystkich kopijników, niezdolnych do walki z topielą. Na równinie, kto spadł z konia, ten wstawał, lecz ta sama sztuka nie mogła się udać ubranym w żelazo ludziom w wodzie, których przygniatały końskie kopyta i nogi towarzyszy.

Na wysokim brzegu ktoś rozdzielił cele; stojąca za rzeką chorągiew była teraz dziurawiona głównie przez ciężkie bełty, bo kusznicy mieli broń o większym zasięgu i mocy. Łucznicy kontynuowali rzeź w rzece. Dwie Chorągwie Złotej Rollayny, jedna zdziesiątkowana, a druga zmasakrowana, rzuciły się do ucieczki, byle dalej od przekłętego brodu i wznoszącej się za nim skarpy. Pieszko i konno, ranni, zdrowi i

dogorywający, kopijnicy i pocztowi pospołu, uciekali od brzegu na otwartą równinę.

Ale ktoś uznał, że to jeszcze nie wszystko...

Z przewieszonymi przez plecy łukami, z mieczami w dłoniach, akalscy strzelcy jęli zsuwać się po stromej skarpie wprost do rzeki. Dziesiątki i setki legionistów wpadły w brudnoczerwony, bulgoczący pośród trupów i rannych nurt, dorzynając wszystko, co jeszcze w nim żyło. Brnąc przez wodę sięgającą piersi, imperialna piechota wydostała się na płaski południowy brzeg, wielką falą idąc w ślad za pobitymi chorągwiami, noszącymi nazwę dumnej stolicy. Lecz wstrząśnięty rzezią wróg nie był już zdolny do boju. Na widok stojących na brzegu zastępów resztki rycerskiego wojska, rozniesionego przez Armię Wschodnią, podtrzymując swych rannych, skierowały się na południe, a częściowo rozpierchły po błoniach. Liczne oddziały popędziły galopem po zarośniętej drodze, wiodącej do odległej wsi na południu. Piechota legii nie mogła ich ścigać. Ale przez zapchany trupami parów, deptając ciała, konni łucznicy sprowadzali już swoje wierzchowce, wiodąc je za uzdy. Na południowym brzegu, w oddali, majaczyły jeszcze grupki uciekinierów, gdy pierwszy klin zebrał się na brzegu i ruszył w pogoń. Już formowano następny; do wieczora było jeszcze mnóstwo czasu...

Na wysokim brzegu północnym, pod lasem, gdzie zaczęła się bitwa, blisko trzy tysiące imperialnych żołnierzy zmagaly się z resztkami pomieszanych chorągwi. Ciężka i konna piechota, wsparta przez mrowie oszczepników, wciąż toczyła mozolny, krwawy bój, bo mężni dartańscy rycerze, wspierani przez swoich pocztowych, nie zbrukali Czystej Krwi tchórzostwem. Walczyli zawzięcie i w milczeniu, bez posiłków i nadziei na zwycięstwo, śmiertelnie groźni do samego końca.

*

W nocy, cała jazda i konna piechota Armii Wschodniej, dowodzona przez tysięcznika W. Aroneta, dogoniła i zdobyła uchodzący tabor. Wozy były eskortowane przez najmniejszą ze wszystkich chorągwi Kenesa i niekarną tłuszcę obozowych pachółków, którzy pierchli na sam widok wynurzającej się z mroku jazdy. W krótkim nocnym boju chorągiew bez trudu rozbito i rozpędzono na cztery wiatry, do czego walnie przyczynił się zupełny upadek ducha bojowego; rycerstwo, któremu nieliczni uciekinierzy z placu boju donieśli o kompletnej zagładzie całej armii,

śmierci wodza i trzydziestu tysiącach legionistów, ani trochę nie wierzyło w zwycięstwo i załamało się już na widok groźnej konnej piechoty... Nim nastało południe dnia następnego, wyczerpani, zmęczeni, lecz szczęśliwi legioniści, wprowadzali zdobyte wozy do rzeki, wtaczając je następnie na skarpe, przez oczyszczony z trupów parów. Na skleconych tratwach przeciągano zdjęte z wozów dobro, które nie mogło zamoknąć. Tereza znowu miała czym nakarmić swoich ludzi — a czas był najwyższy, bo od trzech dni żołnierze dostawali zmniejszone racjeienne.

Ciasna, ograniczona lasami i korytem rzeki równina, na której stoczono bitwę, była śmiertelną pułapką, z której uszło bardzo niewielu. Legioniści narachowali, z grubsza biorąc, trzy tysiące poległych po stronie wroga, a to oznaczało, że uszły (w zupełnej rozsypce) tylko dwie poszarpane chorągwie i resztki trzeciej, wymordowanej na przeprawie. Jeszcze przed nocą, niejednego z tych nieszczęśników porwały kliny konnych łuczników, rozpuszczone w pościg. Na samym polu bitwy zdobyto dumne znaki chorągwi i niesłychaną ilość oręża, w którym niedobrojeni legioniści mogli dowolnie przebierać. Kusze konnych strzelców dostały się setkom dartańskich legionistów; ci, dla których nie wystarczyło, mieli odtąd po kilka derenetów. Wcale nie wszyscy żołnierze chcieli zrezygnować z tej broni! Czerwoni topornicy poubierali się w blachy, konna piechota dostała długie rycerskie miecze, które miała wozic przy kulbakach, zostawiając własne, krótkie, przy pasach. Załadowano wojenną zdobyczą, opróżnione już z zapasów, wozy małego taboru, darowanego armii przez Akalę. Wojsko okrzepło, zmężniało. Tak jak przewidziała Tereza, wygrana bitwa przemieniła tych ludzi w weteranów, gotowych walczyć z każdym — skoro zwyciężali w boju z ciężką jazdą, to co jeszcze mogło wyjść przeciw nim? Duch w armii był wspaniały.

Gorzej w gronie dowódców...

Miało nie być żadnych uzupełnień. Jeszcze przed wymarszem jasno dano nadtyśięcznicze do zrozumienia, że zapowiadane formowanie na tyłach odwodowych legionów, czy chociażby tylko posiłkowych klinów, nie dojdzie do skutku z powodu braku pieniędzy, które stopniały tak nieoczekiwanie. Nie powiedziano tego zwycięskim legionistom, a nawet starano się ukryć rozmiary strat, dodając do siebie przychodzące z

legionów raporty w taki sposób, że gdzieś zgubiło się kilka setek... W rzeczywistości Armia Wschodnia straciła prawie tysiąc ośmiuset żołnierzy, w zabitych i ciężko rannych, których na zbędnych wozach zaraz skierowano do odległej Akali, podobnie jak łupy wojenne i tabun świętych wierzchowców. Najbardziej ucierpieli dzielni konni piechurzy i niedoszkołeni dartańscy oszczepnicy, ale brakowało też wielu ciężkozbrojnych. Legion Armektańsko-Dartański Agatry stracił sporo halabardników i stu z górą czerwonych toporników, a ponadto miał bardzo poważne straty w elitarnej kolumnie gwardyjskiej — została tam najwyżej połowa żołnierzy. Sama tysięczniczka, walcząca przy parowie z łukiem w ręku, była lekko ranna. W Legionie Akalskim do apelu nie stawiło się sześćdziesięciu kilku tarczowników. Z będącego dumą Potrójnego Pogranicza, gwardyjskiego klina, zostało trzynastu żołnierzy. W całej armii najmniej ucierpieli strzelcy i jazda, która ani razu, poza szarżą Terezy, nie wdała się w walkę ze zwartymi oddziałami wroga.

Nadtysięczniczka wiedziała, że ma teraz przed sobą już nie pomocniczą kolumnę marszową, ale całą armię Enewena. Według zebranych wieści szło tam kilkanaście tysięcy ludzi. Nie mogła wygrać walnej bitwy z K.B.I.Enewenem, wszystko jedno w jakim terenie i jak błyskotliwie prowadzonej. Mogła tylko zatruć mu życie.

Pary kocich zwiadowców wyruszyły na poszukiwanie wrogich wojsk.

*

Pierwszych wieści o klęsce jego godność Enewen... po prostu nie przyjął do wiadomości. Najzwyczajniej w świecie wyrzucił z namiotu dowódcę dziwnego oddziału, poskładanego z resztek dwóch świętych chorągwi, mających w swych znakach wieże Złotej Rollayny. Rozumiał, że doszło do potyczki z żołnierzami Legionu Akalskiego, którzy nie czekali na Potrójnym Pograniczu, lecz zuchwale ruszyli na spotkanie wroga, zamierzając zapewne opóźnić jego marsz i uprzykrzać się na każdym kroku. Ale wieści o kompletnym rozgromieniu całego hufca swego brata do wiadomości nie przyjął. A już za bajkę uważał doniesienia o istnej armii, złożonej z legionów w barwach wszystkich krain Wiecznego Cesarstwa. Czego tam miało nie być! Armektańscy gwardziści w niebiesko-szarych mundurach, całe legiony dartańskiej konnicy (czy w imperialnych legiach istniała w ogóle jakaś dartańska

konnica?), ktoś widział zastępy grombelardzkich kuszników, a o akalczykach nawet szkoda było mówić; z Pogranicza musiałyby nadejść co najmniej cztery silne legiony żołnierzy w czarnych tunikach, by dać pokrycie liczbom, które wymieniano. Wieści jednak napływało coraz więcej, przybywało rozbitków, nadeszły sprawdzone wiadomości o utracie taboru... Wreszcie stawilo się paru rycerzy i pocztowych, którzy brali udział już nie w walce na przeprawie, albo przy wozach z zapasami, lecz na samej równinie pod lasem. Wódz Rycerzy Królowej nie mógł dłużej wątpić w to, co zgodnie mówiono. Żadnych gońców od Kenesa nie było, nikt nie wiedział, co się stało z nim samym, chociaż byli świadkowie dowodzący, że zmiotła go do rzeki szarża armektańskich łuczników konnych. Nikt jednak nie widział ciała. Enewen wierzył, że jego odzyskany brat, nieustraszony wojownik i roztropny wódz, przeżył bitwę. Ale, że ją przegrał, i to przegrał z kretelem, niepodobna już było dłużej wątpić.

Dla odmiany, Enewen, choć najpierw nie wierzył w nic — teraz gotów był uwierzyć we wszystko. Bo jak liczna, w samej rzeczy, musiała być armia, która w otwartej bitwie rozgromiła dziewięć rycerskich chorągwi, każdą dwukrotnie liczniejszą od chorągwi dowodzonych przez Yokesa? Cztery tysiące wypróbowanych wojowników, których męstwo sam miał możność ocenić, choćby tylko w ostatniej, chwalebnej bitwie pod Vemoną. Z pogromu uszły krwawe strzępy zaledwie trzech znaków, ścigane, jak powiadano, jeszcze na przestrzeni wielu mil! Przepadł tabor! Enewen ostrożnie szacował, że w podobnej masakrze musiało wziąć udział co najmniej osiem do dwunastu tysięcy cesarskich, w większości świetnie przygotowanych do wojny, chyba naprawdę wspartych przez jakieś oddziały z Dartanu. Wszystkie doniesienia mówiły dotąd o czterech ściągniętych z północy armektańskich legionach... Czy możliwe, że było ich siedem albo osiem, z których tylko cztery walczyły na zachodzie? Enewen zaczął się skłaniać ku podobnej myśli. Nie zamierzał rezygnować z kampanii, ale wiedział już, że darmo armektańskich wsi i miast nie dostanie. W jaki sposób udało się utrzymać istnienie tak silnych wojsk w tajemnicy? Skąd się wzięły? Pierwszy z Rycerzy Królowej stanął obozem i porozsyłał dziesiątki patroli na wszystkie strony świata, usiłując zebrać wieści o armii, której dotąd nie było. Ale nie mógł czekać, aż dowie się wszystkiego. Miał do spełnienia przykry obowiązek —

najgorszy, jaki może spocząć na barkach wodza.

Ważąc słowa, z wielką ostrożnością przedstawiając swe domysły i przypuszczenia, ale bez ogródek przyznając się do porażki i poniesionych strat, podyktował raport dla jej królewskiej wysokości księżnej regentki w Rollaynie, od której zaledwie dzień wcześniej otrzymał obszerny list.

42.

Gońcy, przysłani z dwóch stron świata, niemal jednocześnie przywieźli podobne wieści: Enewen, a dokładnie jego brat Kenes, został pobity nad rzeką Merewą przez jakieś nieznanne wojska; Yokes poniósł porażkę pod Puszczą, utracił jej obrzeża i cofał się na Neten, tocząc zażarte walki leśne.

Suchy raport dowódcy wojsk Sey Aye rozżłościł księżną Ezenę, bo były tam tylko dane o stratach własnych (niewysokich), szacunkowe o stratach przeciwnika (dwa lub trzy urazy wyższych) i po wojskowemu zwięzłe przedstawienie sytuacji. Yokes widział możliwość opóźnienia marszu nieprzyjaciela jeszcze przez parę dni, ale oceniał, że raczej nie utrzyma Netenu. Ponadto ostrzegał przed możliwością pojawienia się wrogich zagonów jazdy pod Rollayną i prosił o posiłki, zwłaszcza piechotę. To było wszystko. Równie groźnie, a o wiele bardziej zaskakująco, brzmiały wieści od Enewena. Wódz Ahe Vanadeyone przedstawił obraz przegranej bitwy, jaki wyłaniał się z opowieści jej uczestników, ale przytomnie dodawał, że doniesienia o liczebności wrogiej armii na pewno są przesadzone, bo zwycięskie zastępy zawsze mnożą się w oczach pokonanych. Szacował, że imperialni mają około dziesięciu tysięcy dobrze uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy, z których większość to lekka piechota, bo doniesienie o niezliczonych zastępach łuczników, zasypujących chorągwie istnym gradem pocisków, zgodnie powtarzało się w niemal wszystkich relacjach. Na koniec pisał o zamiarze podjęcia marszu na Armekt natychmiast, gdy tylko zbierze dokładniejsze wieści o wrogu. Ostrzegał jednak przed możliwością wypuszczenia przez wroga konnych zagonów ku Rollaynie i przyznawał, że ze swoją ciężką armią rycerską nie będzie mógł temu skutecznie przeciwdziałać.

Jej wysokość księżna regentka, której nieprzerwane pasmo

sukcesów trochę odebrało poczucie rzeczywistości, poczuła naraz, jak grunt usuwa jej się spod nóg. Było zupełnie jasne, że gdy wieści o klęskach dotrą do Rollayny, bardzo wiele stołecznych rodów natychmiast usztywni swoje stanowiska. Pogodzenie się z władzą kogoś, kto prawie na pewno wygra wojnę i będzie rządził w Dartanie, to była jedna sprawa. Popieranie kobiety, którą lada tydzień legioniści imperium wywloką z sali tronowej, rzecz druga. Po powrocie do Rollayny, Książę Przedstawiciel Cesarza mógł nie znaleźć żadnego powodu, dla którego poplecznicy wicherzycielki i rebeliantki mieliby nadal panoszyć się w jego stolicy, a zresztą gdziekolwiek; być może w imperialnej szkatule leżało jeszcze dość srebra, by starczyło jej na wikt dla parudziesięciu osób, osadzonych w twierdzach więziennych (to chyba nie były bardzo duże sumy?). Ezena zrozumiała, że nie ma mowy, by ruszyła się z Rollayny choć na krok, bo mogłaby już do niej nie wrócić. I przestraszyła się. Nic od niej nie zależało, a tego jednego zawsze bała się najbardziej. To Yokes i Enewen mieli utrzymać ją na ciężko zdobytym tronie. W zaistniałej sytuacji nawet nie bardzo umiała im pomóc. Jeszcze wczoraj mogła żądać wystawienia pięciu lub ośmiu nowych chorągwi, pieniędzy na sfinansowanie wojny, a już jutro mogło się okazać, że będzie dobrze, jeśli nikt nie wystawi chorągwi przeciw niej... Słuchający tego Gotah trochę uspokajał. Wycofanie się z powrotem w cień neutralności — dowodził — jak najbardziej wchodziło w rachubę, ale do opowiedzenia się przez Domy po stronie Cesarstwa droga była jeszcze daleka. Zgadzał się natomiast z opinią, że Yokes i Enewen nie mogą sobie pozwolić na kolejne klęski, a w każdym razie jeszcze nie teraz. Wojna była wojną, zdarzały się — i mogły zdarzyć jeszcze wielokrotnie — większe i mniejsze niepowodzenia, ale nie jedno po drugim, bo to rzeczywiście zwiastowało katastrofę, na zasadzie samospełniającego się proroctwa. Porażki osłabiały nie tylko wojska, ale i poparcie dla ich sprawy — a brak tego poparcia, wyrażanego choćby tylko w posiłkach i pieniądzach, znowu osłabiał wojska i przybliżał widmo kolejnych niepowodzeń... Była to śnieżna kula, tocząca się po stoku. Księżna żądała rady. Przyjęty miał aż kilka. „Wyśpij się, wasza wysokość” — powiedział. „Potem rób swoje tak dobrze, jak robiłaś dotąd. A przede wszystkim pošlij Yokesowi wszystko o co prosi, a najbardziej żołnierzy. Nie chce jazdy, więc ją zatrzymaj i daj w zamian nawet swoich gwardzistów. Yokes wie, ilu

żołnierzy przyprowadziłaś do Rollayny, jeśli więc prosi o setkę kuszników i gajowych, to znaczy, że nawet takie siły mogą mu w czymś pomóc. Dwa razy większe pomogą dwa razy bardziej. I poślij mu tam jeszcze Przyjętego, który wprawdzie niewiele pomoże, ale dokładnie opowie, jak radzisz sobie w Rollaynie. Dowódca twojego wojska bardzo teraz potrzebuje dobrych wieści. I na koniec napisz dwa listy do obu swoich rycerzy, zażartuj, okaż im pełne zaufanie i daj do zrozumienia, że prawa wojny rozumiesz i respektujesz”. Jeszcze tego samego dnia osobiście prowadził do Netenu dwie setki żołnierzy Sey Aye, unosząc wspomnienie dzikiej furii, w jaką wpadła zawsze miła i uśmiechnięta Czarna Perła jej wysokości, na wieść o tym, że zabierają jej wszystkich podkomendnych. Oprócz wspomnień wiozł list dla Yokesa.

Komendant siedział w Netenie, bo w środku lasu, zacząjony z łukiem pod krzakiem jałowca, był najzupełniej zbędny. Na widok Ohegeneda i jego gwardzistów ucieszył się tak bardzo, że Przyjęty z miejsca odżałował, iż sprawił swym pomysłem przykrość Haynie. Z właściwym uczonemu dystansem obserwował, jak na przegranego dowódcę działa nieoczekiwana, przyjemna niespodzianka. Yokes, który ani się spodziewał, że dostanie tę chorągiewkę najświetniejszych żołnierzy Sey Aye, z miejsca nabrał animuszu i od razu trochę inaczej spojrzął na możliwość utrzymania Netenu — tak przynajmniej, jakby rzeczywiście mogło to zależeć od stu, choćby i najlepszych, żołnierzy. Także i z listu Ezeny wódz jej wojska wyczytał same dobre rzeczy, poza jedną: powoli kończyły się pieniądze. Nawet szkatuła Sey Aye miała jakieś dno i księżna oględnie przypominała o tej smutnej prawdzie, dodając na pocieszenie, że w Rollaynie Dom A. B. D. postawił do jej dyspozycji wszystkie swoje fundusze, a nie były to kwoty błahe. Niemniej, z powodu nadchodzących kłopotów finansowych, tym większego znaczenia nabierał mały Neten: handlowe wrota do całego Szereru. Nie po raz pierwszy w dziejach wojen pozwalano kupcom prowadzić interesy niejako „obok” toczących się zbrojnych zmagania. Było oczywiste, że Puszcza Bukowa nie sprzedaje do Armektu broni, ale sprzedawała i kupowała mnóstwo innych rzeczy; zresztą kupował i sprzedawał cały Dartan. Zyski i straty w handlowej wojnie, toczonej przez dwa największe narody Szereru, jawiły się na tyle niejednoznaczne, że nikomu nie opłacało się jej wszczynać. Właśnie dlatego przez Neten, w

dół i w górę rzeki, wciąż płynęły barki kupieckie. Yokes wiedział, że Sey Aye nadal musi handlować — bo o tym, że w dół Lidy spływało wszystko, czego mogły potrzebować jego wojska, nawet nie pamiętał, tak było oczywiste. Już od paru dni zachodził w głowę, jak dokazać niezbędnego cudu.

Przyjęty i Ohegened poznali z grubsza przebieg przegranej bitwy.

Najpierw, hasający po północno-zachodnim Dartanie konni łucznicy Caronena ściągnęli do warownego obozu, odpoczęli — i w ciągu następnych dwóch dni bez wytchnienia dawali w skórę ciężkozbrojnym jeźdźcom Sey Aye. Działali samodzielnie. Dowódcy półlegionów i kolumn mieli już pojęcie o sprawności, z jaką żelazne puszczańskie hufce manewrują na polu walki i ani myśleli zderzać się z nimi czołowo. Nie musieli, bo nie osłaniali szyków maszerującej piechoty. Zwarte i sprawne, ale jednak ciężkie chorągwie bezradnie kręciły się po równinie, podgryzane ze wszystkich stron przez dwa razy szybsze i zwrotniejsze formacje armektańskich łuczników, które dzieliły się i łączyły, jak chciały, gdzie chciały i ile tylko chciały. Dartańscy kusznicy konni robili co mogli, ale niewiele mogli wobec półtora tysiąca jeźdźców, z których każdy trzymał łuk i wyczyniał z nim rozmaite sztuki, strzelając za siebie, przed siebie i na lewo, bo tylko na prawo żadną miarą nie szło. Ale przecież zadaniem strzelców chorągwianych nie było polowanie na pędzące tabuny; ci stłoczeni w głębi szyku żołnierze byli szkoleni przede wszystkim do strzelania przed czoło szarżujących kopijników, a potem wspierania ich w walce; ostatecznie umieli trochę mieszać wrogi oddział idący do szarży lub kontrszarży, ale w żaden sposób nie mogli nawiązać równorzędnej walki strzelczej z przeciwnikiem, który na każdy ich bełt odpowiadał dziesięcioma strzałami. Podziobani grotami jeźdźcy na pokaleczonych i zgonionych koniach, prawie bez strat w zabitych i ciężko rannych — bo łuki lekkiej jazdy imperialnej miały jeszcze mniejszą moc niż broń strzelców pieszych — przedstawiali dnia następnego niewielką wartość bojową, a zabawa zaczynała się od nowa. Tylko raz żołnierze Chorągwi Trzech Sióstr przejechali się po Armektańczykach, których zbyt rozzuchwalony — może młody? — setnik wprowadził im wprost pod kopyta. Yokes nie mógł zmuszać swych upadłych na duchu jeźdźców do dalszej zabawy w ganianego, a zarazem nie mógł zabrać ich z przedpoła, bo otwierał w ten sposób drogę

czekającej w gotowości imperialnej piechocie. Na leśnym trakcie stale trzymał w odwodzie dwie własne chorągwie i trzy posiłkowe rycerskie. W końcu jednak musiał ustąpić; obciążone żelazem rumaki kopijników były gotowe padać, podczas gdy armektańskie stepowce miały się jeszcze wcale dobrze. Bezsilny dowódca wojsk Sey Aye zabrał swoją jazdę do lasu i czekał, co będzie dalej — chociaż właściwie dobrze wiedział. Nie mógł wypuścić na równinę pojedynczej chorągwi, żeby inne w tym czasie odpoczywały, bo pojedynczą chorągiew cztery armektańskie półlegiony konne rozjechałyby mu na miazgę w czterech kolejnych szarżach, wychodzących jedna po drugiej, albo zgmiotły w jednej tylko szarży, równocześnie prowadzonej z czterech stron świata. Musiał stale posyłać co najmniej trzy chorągwie. Musiał, ale już nie mógł.

Siedząc w krzakach ze swoimi jeźdźcami, komendant wojsk Sey Aye znał dalszy przebieg bitwy, zupełnie tak, jakby nadtysięcznik Caronen złożył mu wizytę i opowiedział, co robi. Gdy tylko stało się jasne, że ciężkie chorągwie nie przyjmą zaproszenia do dalszej gonitwy, z obozu zaczęły wychodzić zwarte kolumny piechoty. Wściekły Yokes miał ochotę raz jeszcze poderwać swoich jeźdźców, ale wiedział, że gdy tylko to zrobi, piechurzy z miejsca zawrócą. Czekał więc, aż cała lekka jazda — zgodnie z jego przewidywaniami — wpakuje się między drzewa i zatka wylot leśnej drogi. Przewidując taki rozwój wydarzeń, przy samym wylocie nie trzymał ani jednego jeźdźca. Dopiero kilkaset kroków dalej stali żołnierze Chorągwi Czarnej Przybocznej — najlepsi, jakich miał. W świetnej szarży, prowadzonej po wąskiej drodze, nacierając frontem o szerokości czterech jeźdźców, chorągiew przebiła się niemal przez połowę armektańskiego tłumu lekkokonnych, po czym — wbrew nadziejom, a zgodnie z przewidywaniami — uwięzła i wdała się w rąbaninę. Wcześniej, spieszeni konni kusznicy z pozostałych chorągwi, wsparci przez straż leśną i kuszników Sey Aye, wręcz zdziesiątkowali podchodzących do ściany lasu armektańskich konnych łuczników, którzy jednak nie zrezygnowali, dopadli pierwszych drzew, podeskakiwali z kulbak i niemal dali się wyrznąć, trzymając skraj lasu do chwili, aż nadciągnęła piechota. Wylotu leśnej drogi także już nie oddali; został wkrótce zatarasowany pniami i koronami ściętych drzew, żeby jeźdźcom Sey Aye nie przyszło czasem do głowy wypaść na idący śladem armii tabor. Potem Yokes mógł już tylko się cofać. Zabrał swoją bezcenną

ciężką jazdę i walczył o każdy łokieć oddawanego lasu, zastawiając dziesiątki zasadzek, w których siedzieli gajowi i kusznicy. Armektańskie kolumny i kliny nie mogły postąpić nawet stu kroków naprzód, nie upewniwszy się pierwej, czy w widocznej niedaleko, bardziej zwartej od innych kępie drzew, nie siedzi dziesięciu świetnych strzelców, którzy wybiją im dowódców i przepadną nie wiadomo gdzie, ani kiedy, albo jeszcze gorzej: wciągną cały goniący ich półlegion wprost pod łuki stu gajowych, cichutko leżących w paprociach. Taka właśnie, rozciągnięta na kilka dni bitwa, przez cały czas toczyła się w lesie. Yokes nie miał na nią najmniejszego wpływu, otrzymywał tylko raporty o stratach własnych i orientacyjnych przeciwnika, oraz jego postępach. Była to wojna podsetników i dziesiętników przeciw dowódcom drużyn straży leśnej — wojna wodzonych po wertepach i mokradłach żołnierzy z łukami w rękach, przekradających się nocami za kordonowe linie nieprzyjaciela, cierpliwie czekających, aż zwierzyna wyjdzie na cel, zasadzających się na wroga, który sam przygotowywał zasadzkę. Naczelnicy wódzowie obu stron mogli tylko podjąć decyzję o przerwaniu tej bitwy — lub kontynuowaniu. Na razie obaj kontynuowali. Yokes liczył straty własne i wroga, z zestawienia których wychodziło mu, iż dwaj ostatni łucznicy zastrzelą się nawzajem mniej więcej na rogatkach Netenu. Caronen też liczył i nie zgadzał się chyba z rachunkami Yokesa; może trwał przy nadziei, że bardzo szybko biegnący po drodze tarczownik nagłym atakiem zajmie Neten i opanuje przystań, o ile wcześniej nie powstrzyma go na moście jedenaście ciężkich i lekkich chorągwi, szarżujących wężem o długości trzech mil.

Z sarkazmem opowiadający o leśnych podchodach Yokes w gruncie rzeczy wiedział jednak, że będzie musiał ustąpić. Caronen miał pięć tysięcy żołnierzy, których luzował, odsyłał na tyły i kurował, gdy on sam dysponował niespełna tysiącem wymęczonych do granic, niewyspanych, głodnych i poranionych strzelców, którzy bez przerwy wytrzymywali napór wroga idącego frontem szerokości paru mil. Stawiali opór tylko dlatego, że obrona w podobnych warunkach była o niebo łatwiejsza niż atak.

Yokes wiedział już o klęsce Enewena i tak samo doniósł mu o swojej własnej porażce. Minęło sporo czasu, odkąd księżna stanowczo zażądała, by dowódcy obu jej armii współpracowali ze sobą. Działali na

rozbieżnych kierunkach i nie mogli sobie pomagać, ale mieli przynajmniej wymieniać wszelkie wieści. „Nie mam czasu ani ochoty na przepisywanie raportów otrzymanych od jednego z wodzów, po to, by je posłać drugiemu” — oznajmiła Yokesowi, Enewenowi zaś kropka w kropkę napisała w liście to samo. Niezupełnie dopięła swego. Obaj rycerze gotowi byli każdą wieść uznawać za nieistotną, niegodną przekazania dowódcy drugiej armii, ale, na szczęście, o takich rzeczach, jak przegranie bądź wygranie bitwy (nie mówiąc już o wykryciu nieistniejącej dotąd licznej armii wroga), powiadamiać się jednak musieli. Yokes posłał Enewenowi list złożony z jakichś trzydziestu pięciu słów; Enewen wygrał, używając tylko trzydziestu. Gotah czuł głęboką ulgę, że Ezena nie może widzieć tej świetnej współpracy, której obrazem był niemal czysty arkusz, przedstawiony mu przez Yokesa jako list od wodza Ahe Vanadeyone. Obaj dowódcy jednak się trochę polubili, bo wyświadczyli grzeczność jeden drugiemu, biorąc baty w tym samym mniej więcej czasie i tak samo raportując o tym księżnej. Yokes posunął się nawet do tego, że skreślił do Enewena parę słów, wykluczając obecność na wschodzie jakichkolwiek legionów z północy. Przez wiele lat trzymał tam okręg wojskowy i wiedział, ilu żołnierzy obsadza pograniczne stacje; mógł może pomylić się o trzystu, lecz nie o trzy tysiące. W zamian Enewen uprzejmie nie zażądał z powrotem swoich trzech chorągwi, wspierających wojsko Sey Aye. U dwóch ambitnych, głodnych wojennej sławy, rywalizujących o względy regentki dowódców była to współpraca zgoła najwyższej próby.

Po rozmowie Ohegened wyszedł, by — jak oznajmił z cokolwiek cierpkim uśmiechem — obejrzeć sobie miejsce, gdzie zdechną jego ludzie. Yokes wściekł się, ale Grombelardczyka już nie było. Gotah został i dumął. Wreszcie także podniósł się z niewygodnej ławy i począpał do drzwi.

— Tak naprawdę, wasza godność — powiedział jeszcze, zatrzymując się w progu — obaj wiemy, że żaden ze mnie wojskowy doradca. Sam wiesz, co trzeba zarządzić i na co stać twoich ludzi. Ale jednak, patrząc z daleka, zobaczyłem coś i coś pomyślałem.

— I co to takiego, wasza godność?

— Pomyślałem sobie, rycerzu, że jeśli będziesz trząsał się nad każdą kroplą krwi, uronioną przez twoje ukochane ciężkie chorągwie, to

możesz stracić nie tylko te chorągwie i przegrać nie tylko swoją własną sprawę... Już wychodzę — dorzucił pospiesznie, uprzedzając odpowiedź gospodarza — bo nie chcę, żebyś kłócił się ze mną i wykladał racje, a tylko spokojnie pomyślał. To nie moi żołnierze, lecz twoi.

Co powiedziawszy, wyszedł.

Część ósma. Chorągwie Wielkiego Sztandaru

43.

Jego godność K.B.I.Enewen parł do przodu w tempie ślimaka. Sforsował Merewę, ale utknął na linii szerszej i głębszej Raneli. Tutaj już nie było licznych brodów, mosty zaś mógł sobie co najwyżej zbudować, albo raczej: odbudować spalone. Wspaniały most kamienny na głównym szlaku z Rollayny do Akali, most na który najbardziej liczył, zastał wysadzony w powietrze. Prochowych dział używano tylko na okrętach, bo na lądzie więcej było z nimi kłopotu niż pożytku; nikt dotąd nie wymyślił, co można za ich pomocą zatopić na łące albo w lesie. Może przydawałyby się przy obleganiu twierdz, gdyby w Szererze istniały jakieś twierdze do oblegania. W każdym razie imperialne legie nie używały prochu. Ale na Potrójnym Pograniczu znalazła się chyba baryłka, może przeznaczona dla jakiegoś garnizonu straży morskiej? Obojętne zresztą, skąd nadtysięczniczka Tereza wytrzasnęła tę kosztowną i rzadką mieszaninę saletry i... czegoś tam jeszcze, Enewen nie pamiętał. Dość, że zaraz ją unicestwiła, w sposób wielce planowy. W kamiennym moście ziała wyrwa dość duża, by jej załatanie pod gradem strzał, nieustannie sypiących się z przedmościa, było niemożliwe.

Rycerska jazda pełzła wzdłuż rzeki. W chorągwiach narastało zniechęcenie. Zamiast sławy i łupów wojennych były tylko niekończące się pochody. Spadły deszcze, ziemia rozmiękła. Ludzie przemokli i chorowali — niektórzy naprawdę, a inni jeszcze bardziej, tak bardzo naprawdę, że musieli dla poratowania zdrowia wrócić do swoich majątków. Enewen wiedział, co o tym sądzić. Nadtysięczniczka na drugim brzegu też wiedziała. Cesarscy dowódcy dość rzadko porażali zasobem wszelkich możliwych wiadomości, ale historię armektańskich podbojów każdy z nich musiał znać, choćby z grubsza. Jej godność Tereza wiedziała, w jaki sposób zdobyto kiedyś Dartan, i umiała wykorzystać tę wiedzę.

Niepokorna, wezbrana od deszczu Ranela, nie dla wszystkich była nieprzebytą przeszkodą. W strugach rześistego dżdżu, pośród

pomruków nadchodzącej burzy, jakaś śmiesznie mała wataha armektańskich konnych łuczników przewaliła się w nocy przez obóz, tnąc mieczami i dziurawiąc strzałami namioty, tratując obozowe sprzęty i przewracając wstrząśniętych dziką szarżą ludzi, którzy wybiegali ze swych schronień. Jeźdźcy pognali na błonia za obozem, rozpędzili przerażonych pachołków i na cztery wiatry rozegnali konie kilku chorągwi, po czym przepadli gdzieś bez śladu. Rozbiegane wierzchowce chwytało przez cały dzień. Nikt nie zginął podczas napadu, poturbowanych było tylko kilku pocztowych, ale za to wszyscy się dowiedzieli, że w sercu wielotysięcznej armii może sobie harcować setka konnych legionistów i gwardzistów. Znalaziono niebieską i niebieskoszarą tunikę, najwyraźniej porzucone celowo — ci jeźdźcy życzyli sobie, by wróg poznał ich przynależność. Wieczorem zachmurzone niebo podparył liczne słupy dymu. Płonęły dwie wioski — był to niesamowity widok pośród ulewnego deszczu.

Enewen wiedział już, kto dowodzi wojskami przeciwnika, a także i to, że wroga armia nie jest tak silna, jak podejrzewano. Wciąż skłonny był zawyżać jej liczebność, ale już tylko o dwa, trzy tysiące ludzi. Sądził teraz, że ma przed sobą sześć lub siedem tysięcy żołnierzy. W rzeczywistości było ich trochę ponad cztery tysiące.

Regentka, w listach utrzymanych w spokojnym i rzeczowym tonie, donosiła z Rollayny, że wobec utraty Netenu trudno liczyć na poprawę finansów (sam Enewen już od dawna był całkowicie zrujnowany), a jej pozycja jest bardzo niepewna. W stolicy narastał opór przeciw ślamazarnie prowadzonej wojnie, zawiązywały się stronnictwa i krążyły słuchy o potajemnych układach prowadzonych z Kirlanem. Mogło się wkrótce okazać, że własne wojska księżnej pójdą do bitwy nie przeciw Armektańczykom, lecz chorągwiom południowodartańskich i niektórych stołecznych Domów. Pod Rollayną co i rusz pojawiały się wrogie podjazdy — najczęściej w dobrach rodów, które jeszcze zajmowały chwiejne stanowisko. Niczego tam nie paliły, ale swą obecnością dawały do zrozumienia, że nikt im nie przeszkodzi, jeśli spalić zechcą. Wypędzony z Rollayny Książę Przedstawiciel miał armię urzędników i doradców, którzy doskonale wiedzieli, do kogo należy ta lub inna wioska. Konni legioniści nie działali na oślep, wypełniali misję o znaczeniu politycznym, nie wojskowym.

Yokes na czele swych ciężkich chorągwi tkwił pod stolicą, wciąż jeszcze przechylając szalę na stronę księżnej. Te znakomite hufce nawet najodważniejszym dawały do myślenia. Ale wkrótce mogło się okazać, że potrzebne będą do obrony Sey Aye; legionieści Caronena siedzieli w zdobytym — a raczej opuszczonym — obozie wojskowym pod Netenem i najwyraźniej czekali tylko na poprawę pogody, bo puszczańskie mokradła w strugach deszczu były nie do przebycia, rzeka Lida zaś toczyła w swych wezbranych wodach drzewne pnie i konary, uniemożliwiające ruch barek w górę rzeki. Te same ulewy, które podniosły poziom wody Raneli, zakrywając brody i hamując marsz Enewena, zarazem broniły Dobrego Znak. Były tam tylko resztki znakomitej leśnej straży, wspierane przez niedobitki piechoty i stu gwardzistów księżnej Ezeny; żołnierze ci tkwili na samej polanie i podejściach do niej, dowodzeni przez komendanta Ohegeneda.

Po pięciu dniach fatalnej pogody na niebo wróciło słońce. Trwał wyścig pomiędzy wysychającymi w lesie mokradłami, a opadającą wodą w rzekach. Wyglądało na to, że wygrają rzeki.

Ale Lida też była rzeką.

*

Już ostatni z deszczowych dni zapowiadał poprawę pogody. Niebo przejaśniało się często i późnowiosenne słońce na zmianę ogrzewało przemoczoną ziemię, to znów skrywało się za chmurami, które — na złość promieniom — od nowa wypuszczały strugi dżdzu. Ale to już nie były burzowe ulewy, smagające strugami wody Dartan. Przelotne deszcze nie miały dawnej siły. Następnego dnia, i jeszcze następnego, niebo wyglądało tak, jakby nie istniały grube chmury. Jednak białe obłoki, rozsiane tu i tam, nie były aż tak piękne, by rozjaśnić ponure myśli...

Jej wysokość księżna regentka nie wiedziała co sądzić o deszczach. Już zanim nastaly, kolejna porażka Yokesa zapowiadała wszystko co najgorsze. Enewen nie był jeszcze tak zdesperowany, by forsować brody Raneli pod łukami żołnierzy nadtyśięczniczki Terezy. Być może, gdyby nie deszcze, Enewen byłby w Akali. I być może, gdyby nie deszcze, Caronen stałby w Sey Aye... Nikt na całym świecie nie mógł dać prostej odpowiedzi na pytanie: czy pięć paskudnych dni, które nastaly po okresie wojskowych niepowodzeń, odwlekały upadek regentki, czy

przeciwnie — miały przyspieszyć?

Idąc pustym pałacowym korytarzem, księżna myślała, że ten dom już wie. Widział upadki największych dartańskich dynastii. Widział starego i zniedołężniałego monarchę, którego dowódca armektańskich wojsk w grzecznych słowach poprosił przed wiekami o opuszczenie stolicy. A całkiem niedawno widział cesarskiego przedstawiciela, który tak samo odchodził, by ustąpić komuś innemu.

Ale Książę Przedstawiciel Cesarza miał wrócić...

Ezena była w takiej samej sytuacji, jak cesarz przed rozpoczęciem wojny. Miała tyle, ile miała, i nic więcej. Kończyły się pieniądze, zamiast których w kancelarii leżały akty własności imperialnych majątków. Nie było skąd wziąć więcej wojska. Mogła co najwyżej przestawiać klocki, które jej dano do zabawy. Nowych klocków miało już nie być.

Ale Armekt umiał poprzestawiać swoje klocki. Uczynił to tak, że powstał mur. Przerażająca była siła tego kraju, który zrujnowany, pozbawiony wojska, potrafił stawić opór komuś, kto miał wszystko: pieniądze, armie, zaufanych ludzi... A na koniec wielką misję do spełnienia, misję, w którą do końca wierzył. Ale nie miał łaski Niepojętej Arilory, która kochała tylko orężnych synów Równin.

Ezena myślała o tym, co powie rycerzom królowej, śpiącym na leśnym cmentarzu. Co powie władcom Puszczy Bukowej, którzy nigdy nie widzieli w swym księstwie nagiego miecza, trzymanego przez żołnierza z Armektu.

Właśnie rozmówiła się z przyjaciółmi. Ostatnimi, jacy przy niej zostali. Czy wiernymi przyjaciółmi? Wątpiła. Wierne były Perły, wierny Yokes i Enewen. Ale z wątlej grupki nosicieli Czystej Krwi, wierzyła chyba tylko w dwóch ludzi: wyniosłego mężczyznę z Domu A.B.D. i łysego rycerza, który był jej kiedyś niechętny, ale miał tylko jedno słowo i z honorem chciał służyć do końca. Cała reszta... najwyżej czterdzieści osób... trwała przy niej, bo trwali ci dwaj.

Nikt nie miał nic do powiedzenia. Deszcze coś odwlekły, deszcze przyspieszyły... Wszystko jedno, bo oto przeminęły. Pozostała po nich grząska ziemia, przeklęta dla żelaznej jazdy, a przyjazna raczej lekkobrojnym piechurom. Nie zdołała pokonać tych piechurów, gdy kopyta końskie z łoskotem wzbijały kłęby kurzu — jak mogła pokonać teraz, gdy wierzchowce grzęzły po pęciny? I miało tak być jeszcze

przynajmniej przez kilka dni — śmiertelnie długich dni. Książę Przedstawiciel Cesarza z Tarwelu przeniósł się do Lida Aye, pewny, że nic mu nie grozi. Przeniósł się, bo w imieniu Kirlanu prowadził rozmowy z dartańskimi rodami i chciał szybciej wymieniać listy. Obiecywał łaskę jednym, przebaczenie dla innych...

Co mogła obiecać regentka czasu wojny? Wojny, która chyba dobiegała kresu.

Było coś przygnębiającego w białym pałacu w Dzielnicy Królewskiej. Jakaś nieuchwytna klątwa wisiała nad tym domem... Pozornie podobny do budowli władców Dobrego Znak różnił się od niej prawie nieuchwytnie. Skierowane na północ i południe okna tylko z jednej strony wpuszczały słoneczne promienie; o wiele jaśniej było w bocznych skrzydłach-wieżach, przeznaczonych dla dworzan i służby. W załamaniach korytarzy krył się jakiś błąd architektoniczny — kąty zalegał wieczny mrok. Sufity w głównej bryle budowli wisiały zbyt wysoko; zamiast przestrzeni, poczucia wolności, dawały uczucie beznadziei i niemocy — niedosiężne, odległe, dziwnie szare, bo światło w komnatach rozchodziło się nierównomiernie, wpływając przez nazbyt wąskie (a może zbyt niskie?) okna, których ostre łuki także były jakieś... niestrzeliste, spłaszczone. Jej wysokość regentka, siedząc w wielkim, nieudanym i całkowicie pustym domu — bo służba, żołnierze i dworzanie beznadziejnie wsiąkali w boczne wieże — myślała najbardziej o tym, że trzeba by to wszystko przebudować, wyostrzyć łuki okien i drzwi, inaczej przeprowadzić korytarze, podwyższyć i poskracać stopnie schodów, po których wspinaczka była niebywale przykra — płaskie, długie tarasy, ciągnące się bez końca i bez końca... Nikt nie czuł się dobrze w tym domu. I, co gorsza, nikt nie miał nic do roboty. Regentka była tytułarną władczynią, w domu której nie zbiegały się wszystkie nici władzy. Nie zbiegały się żadne nici, bo nie istniało dartańskie królestwo prowadzące własną politykę, mające własne prawo; nie przychodzili petenci ze skargami, nikt nie żądał rozstrzygnięcia jakiejś sprawy lub sporu, wydania edyktu, zarządzenia, przepisu... Księżna, nie czekając na zakończenie wojny, natychmiast (pod dyskretnym nadzorem Anessy) zajęła się sprawami, których nienawidziła i na których się kompletnie nie znała: zarządzaniem, handlem, finansami... Przejęła całą spuściznę po Wiecznym Cesarstwie, próbując — choćby tylko w samej stolicy —

zbudować właśnie fundament królestwa. I natychmiast dowiedziała się, że nic z tego nie będzie. Legiony urzędników były niezniszczalne i niepodatne na próby reorganizacji. Tworzyły armie nie wykonujące żadnych rozkazów, pchane siłą rozpędu, uzbrojone w tysiące przepisów i rozporządzeń, które należało unieważnić, zmienić, zastąpić innymi... Bez tego nic. Bodaj niepodobna było znaleźć kogoś, kto jednoznacznie odpowiadał za cokolwiek. Zawsze dzielił swą odpowiedzialność z kimś tam jeszcze, a tamten zaraz wskazywał następnego, zasłaniając się przepisem, regulaminem, prawem... Jej królewska wysokość mogła wydać przyjęcie dla kilkuset rycerzy i ich pocztów, ale żadną miarą nie była zdolna do zapanowania nad straszliwym urzędniczym krakenem, który leżał na stolicy, oplatając ją mackami. Jedna jedyna Anessa, wsparta przez urzędników Sey Aye, nie mogła ustanowić tysięcy nowych praw, zmienić rozporządzeń, ba! — zrozumieć, z czym w ogóle przychodzą wezwani do księżnej ludzie. Najbardziej dlatego, że nikt nie chciał współpracować z władczynią, która już za parę dni mogła nią nie być, ustępując miejsca dawnemu władcy, najwyższemu urzędnikowi prowincji, gotowemu rozliczyć swych nadgorliwych podwładnych ze wszelkich pochopnych działań. Urzędnicy, jak świat światem, wobec jakichkolwiek zmian mieli własną strategię: przeczekać. Przycupnąć, nie narazić się, zabezpieczyć, zapewnić o swej pracowitości i oddaniu, lecz nie robić nic, póki nie stanie się oczywiste, że zmiany są nieuniknione. Dopiero wtedy pałac królewski mógł liczyć na tłumy gorliwych sług państwa, ściągających na każde skinienie, chętnych do prawdziwej współpracy — choć i to, rzecz jasna, jak najmniejszym kosztem, a już na pewno bez brania na barki jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Ruch w pałacu zamarł. Księżna zrezygnowała, bo było jasne, że prędzej straci zdrowie, niż zbuduje nowe państwo, opierając się na ludziach nie chcących robić nic. Najpierw musiała wygrać wojnę, potem powołać kilka chorągwi złożonych z nowych, własnych urzędników, pragnących wyróżnić się, przypodobać, zabłysnąć gorliwością. Gotowych zarówno zwalniać podwładnych, jak i utrzymywać ich na stanowiskach, zależnie od efektów pracy. Musiała mieć takich ludzi — i kontrolować ich z całą surowością, żeby nie rozkradli budowanego państwa, zanim w ogóle powstanie.

Od dwóch dni do pałacu nie wzywano nikogo. Tym bardziej prawie

nikt nie przychodził z własnej woli, a jeśli już, to w jakiejś mocno podejrzanym sprawie.

Hayna siedziała w swojej komnacie. Już nie strzegła Ezeny, nie towarzyszyła jej zawsze i wszędzie. Pozbawiona żołnierzy Czarna Perła rozumiała, że jest śmieszna, snując się za panią, która tkwiła w samym środku coraz bardziej wrogiego miasta. Za panią, do której mógł zbliżyć się byle poczet marnych pacholców i zrobić, co tylko przyszłoby na myśl ich dowódcy. Gwardia księżnej była w Sey Aye, a żołnierze Chorągwi Domu już nie strzegli królewskiego pałacu, bo potrzebni byli gdzie indziej. Yokes trzymał swe siły rozsiane po całym stołecznym okręgu — wszędzie tam, gdzie coraz bardziej jawnie powstawały załóżki chorągwi, które nie wiadomo komu miały służyć. Albo może, wiadomo... W pałacu i przed nim byli tylko pełniący pieszą służbę jeźdźcy Mniejszej Chorągwi Domu Enewena, którym Hayna mogła rozkazywać tylko za pośrednictwem ich dowódcy... Właściwie, miała więc pod komendą kilka przybocznych niewolnic. Śmieszne, małe wojsko, nie eskorta, lecz istna kpina, gdy w grę wchodziła osoba władczyni wielkiego kraju. Na widok wchodzącej do pokoju Ezeny siedząca na krześle przy oknie gwardzistka uniosła głowę i uśmiechnęła się blado. Księżna podeszła i bez słowa wyrznęła ją w twarz. Wstrząśnięte kasztanowe włosy przez mgnienie oka były w nieładzie, nim na powrót gładko ułożyły się wokół głowy.

— Wiesz za co, suko? — spokojnie zapytała jej wysokość. — Za to, że nie wiesz, gdzie jest twoje miejsce. I za to, że nie wstajesz, kiedy wchodzę. Natychmiast wstań.

Hayna podniosła się z krzesła.

— Nie chcesz być gwardzistką, będziesz popychadłem — powiedziała Ezena. — Biegiem po Yokesa. Ma tu natychmiast przyjść.

Z czerwonym lewym policzkiem niewolnica posłusznie ruszyła ku drzwiom.

— Powiedziałam: biegiem. Nie mam czasu.

Hayna pobiegła.

Ezena usiadła na zwolnionym przez gwardzistkę krześle i zapatrzyła się w okno. Miała na sobie szarą suknię wojenną, tę samą, w której wyruszyła z Sey Aye — najpierw na przystań, a potem do obozu pod Netenem. Po pewnym czasie mogło się wydawać, że regentka zasnęła. Nie patrzyła już w okno, głowę miała nieruchomo opuszczoną na piersi.

Chwile mijały, ciągnęły się jedna za drugą. W wielkim, zbyt ciemnym pokoju, którego szary sufit wisiał nie wiadomo gdzie.

Otwarto drzwi.

— Wasza królewska wysokość?

Ezena uniosła głowę i spojrzała ku drzwiom. W różnobarwnych oczach, ocienionych szerokimi brwiami, była spokojna stanowczość.

— No proszę, wódz chorągwi Sey Aye — powiedziała. — Gdzie powinieneś być?

— Nie rozumiem, wasza wysokość?

— Powinieneś być w polu. Gdzie jest Hayna?

Niewolnica ukazała się w drzwiach.

— No, Perło? Dobrze być popychadłem?

— Nie, wasza wysokość.

— W takim razie czekam, aż przyczepisz do swej pięknej osoby jakąś broń. W tym pałacu są tylko kucharki, bieliźniane, praczki i różni tam odźwierni, poprzetykani co sto kroków wożakami Enewena. Masz jeść razem ze mną, spać razem ze mną i sikać razem ze mną. Nie zamierzam szarpać się z jakimś pomyleńcem, któremu jutro przyjdzie do głowy, że może zwlec ze mnie suknię i dać ją w prezencie kochance. Yokes — powiedziała — co z tobą?

Mężczyzna milczał.

— Wytłumacz się — zażądała Ezena. — Chcę wiedzieć, jak w ogóle jest to możliwe, że przegrywam wojnę, mając dwie silne armie, w tym jedną prawie nienaruszoną? Pozwoliłeś wyrznąć w lesie gajowych i całą piechotę. Dobrze, rozumiem, że chciałeś zachować dla mnie to, co w armii najbardziej wartościowe: jazdę. Najlepszą jazdę na świecie, czy tak? Nie posłałeś jej między drzewa na wsparcie piechoty, ocaliłeś i wyprowadziłeś do Rollayny, zabierając nawet dwa pełne tabory z leśnego obozu. Ale co to znaczy: zachować dla mnie armię? Do konduktu pogrzebowego?

— Wasza wysokość, gdyby nie ta jazda, pod Rollayną stałyby teraz zupełnie inne chorągwie. Gdyby nie ta jazda...

— Ta jazda ma wyginąć do ostatniego konia i jeźdźca — powiedziała Ezena. — Najpierw ona, dopiero potem ja. Ci żołnierze zostali wystawieni z rozkazu i za pieniądze jego wysokości księcia Sey Aye. Zostali wystawieni w jakimś celu. Znasz ten cel? Jest nim wolny Dartan, z

własną królową na tronie, a zresztą niekoniecznie królową... Rycerzom Dobrego Znakę nie chodziło o mnie, chodziło im o kogoś, kto podejmie zaprzepaszczone dzieło królowej Rollayny. Wierzyli, że najlepiej je podejmie sama Rollayna. Ale ja nią nie jestem, a to znaczy, że na krzesło w tej sali tronowej może zasiąść ktokolwiek. Ktokolwiek, byle zaraz z niego nie spadł. Jeśli nie Rollayna, to Ezena, albo Baylay, albo nawet jego królewska wysokość M.B.Yokes. Ale ktoś ma tam siedzieć, ktoś kto odda rycerzom Sey Aye ich Dartan. I za to mają zginąć twoi jeźdźcy. Czy zginęli? No to fruwej stąd, komendancie! — wrzasnęła, wstając z krzesła i idąc ku drzwiom, jakby chciała wbić w nie Yokesa. — Jutro ma cię tu nie być! I ani jednego z twoich jeźdźców!

— Co mam z nimi zrobić, wasza wysokość?

— Nie wiem, to nie ja dowodzę armią. Mają walczyć i ginąć po kolei.

— Jeśli ich zabiorę, to już jutro zaczną powstawać chorągwie...

— Przestań, Yokes. Nie mogę tego słuchać. Jeśli zaczną powstawać te chorągwie, to w końcu powstanie ich tyle, że łyżkami zjedzą cię w kaszy. Jedynym sposobem, żeby nie powstały, jest natychmiast wygrać tę wojnę. Zdasz albo nie zdasz, ale przynajmniej masz szansę. Siedząc tutaj i pilnując mnie przed całym Armektem i Dartanem, nie masz żadnej szansy. Najmniejszej. Fruwej stąd! — powtórzyła. — Wieczorem chcę cię widzieć u mnie z planem kampanii w rękę. Planem ułożonym przez jeźdźca dla jeźdźców, a nie jakichś ogrodników, pilnujących wielkich zarośli. Upilnowałeś przynajmniej?

— Nie upilnowałem — niegłęboko przyznał mężczyzna.

— A wiesz dlaczego? Bo ja wiem. Komendant moich pocztów kiedyś mi powiedział, że na czele swego wojska nie obroni Sey Aye, bo to nie jest wojsko do obrony. Zostało przygotowane z myślą o agresji. Tak powiedział tamten człowiek. Wynoś się teraz z moich oczu, odszukaj go i posłuchaj, co ci powie, a może razem czegoś jeszcze dokonacie.

Odepchnęła mężczyznę i wyszła na pusty pałacowy korytarz, mając za plecami niewolnicę z dwoma sztyletami i mieczem na dwóch skrzyżowanych pasach.

Księżna maszerowała korytarzem, jakby chciała zaraz wybiec z domu i sama pociągnąć na wojnę.

— Gdzie jest to niezastąpione blond cudo, twoja przyjaciółka? — zapytała gniewnie przez ramię.

— Nie wiem, wasza wysokość.

Księżna prychnęła i chyba chciała zakląć (w obozie wojskowym pod Netenem nauczyła się ślicznie kląć). Na szczęście, z mijanych drzwi, wysunął się jakiś niewolnik i pospiesznie zszedł z drogi swojej pani — jednak nie dość szybko. Groźnie zamierzyła się ręką, jakby chciała trzasnąć go w łeb. Sługa przepadł, zniknął, wyparował. Gdy Ezena wpadała w podobny nastrój, nikt poza Pierwszą Perłą nie śmiał odezwać się nieproszony; jedna Anessa mogłaby zwrócić księżnej uwagę, że zachowuje się nieodpowiednio, wszczynając bójki ze służbą. Ale najmniej mogła uczynić to Hayna, która wciąż jeszcze czuła, jak pali ją policzek.

— Każ odszukać Anessę i przywlec ją do mnie za ogon. Gdzie jest Przyjęty?

— Nie wiem, wasza wysokość — powiedziała Hayna i skuliła się w sobie.

Księżna bohatersko powstrzymała się od rękoczynów.

— No to tylko ty mi zostałeś — powiedziała. — Z kim powinnam mieć dziecko? Z rycerzem, który właśnie przegrywa dla mnie wojnę, czy z księciem A.B.D., jedynym tutaj mężczyzną, którego Czysta Krew w żyłach jest widoczna przez skórę?

Haynę zatkało.

— Chcesz mieć teraz dziecko?

— Tak — powiedziała ze złością jej wysokość. — Najlepiej zanim dojdę do tych schodów... Dynastia! Mam założyć dynastię, tak? Czy po mojej śmierci znowu ma tu zapanować bezkrólewie?

Bez względu na to, jak bardzo piekł policzek, Hayna nie mogła powstrzymać się od myśli, że jej pani... że wino do posiłku podano zbyt mocne. Mniejsza o Yokesa, który miał natychmiast szukać jakiegokolwiek wroga i upraszać go o wymordowanie jeźdźców Dobrego Znak. Ale myśli o zamążpójściu, dynastii i następcy tronu... naprawdę były trochę przedwczesne. Dokąd właściwie pędziła Ezena? Może do jego godności Baylaya, z gromkimi oświadczeniami?

— No? Z kim? — ponagliła Ezena.

Nieoczekiwanie Hayna poczuła przypływ odwagi.

— A z kimkolwiek! — powiedziała, przystając. — Najlepiej z kimś mądrym, co daje przynajmniej nadzieję, że następca tronu też będzie miał trochę rozumu. Dałaś mi po twarzy, a sama co wygadujesz? Co

wolno niewolnicy, to nie regentce Dartanu!

Ezena przystanęła i milczała przez chwilę. Ujęła nos w dwa palce.

— Chodź do lasu za domem — rzekła wreszcie. — Pokażę ci wiewiórkę, z którą się zaprzyjaźniłam.

44.

Korytarze świetnego domu na największej polanie świata straszyły pustką tak samo, jak korytarze pałacu w Rollaynie. I tak samo przemierzała je samotna, wysoka kobieta. Ale tamta, w stolicy, wciąż była władczynią Dartanu, ta zaś tylko niewolnicą.

Dom opustoszał, bo niemal cała służba została posłana do Rollayny. Brakowało też wielu sprzętów, które popłynęły na barkach w dół Lidy, a potem trafiły na wozy w przeładunkowej przystani neteńskiej. Po drugiej stronie rzeki było już wtedy widać wychodzące czasem na brzeg kliny piechurów w niebieskich tunikach z gwiazdami. Wozy odjechały, a niebiescy łucznicy zajmowali następnego dnia Neten. Cień Dobrego Znaku.

Samotna Perła przemierzała korytarz, idąc do północnego skrzydła. Skręciła i wkrótce stanęła w pokoju komendanta straży pałacowej, którego kiedyś tak bezceremonialnie obudził Yokes, pokazując list od zamachowca.

Teraz w pokoju nie było nikogo.

Niewolnica przez chwilę stała w drzwiach, z namysłem spoglądając na niezastane łóżko, potem znów wyszła na korytarz i poszła dalej. Kierowała się do sali myśliwskiej.

Niezliczone trofea tworzyły istną puszcze, bo tylko część z nich mogła zdobić ściany. Ogromna sala, nieco mroczna, została wypełniona wypchanymi okazami wszystkich stworzeń, jakie zamieszkiwały największą knieję Szereru. Wystawiono tu najwspanialsze okazy żubrów, turów, łosi i niedźwiedzi, nie licząc całych stad danieli, saren, dzików, wilków i borsuków, bo o drobniejszej zwierzynie nie warto było nawet wspominać. Umocowane pod sklepieniem pyszniły się puchacze i leśne orły z rozpostartymi skrzydłami. Poroża na ścianach tworzyły istny gąszcz. Całe pokolenia myśliwych budowały tę niezwykłą kolekcję. Usuwano trofea, które nie sprostały upływowi czasu, przynosząc w

zamian nowe. Można tu było znaleźć istne potwory — okazy o zadziwiających rozmiarach, jak gigantyczny żubr, o blisko połowę większy niż jego pobratymcy. Ale w samym środku sali, otoczony wolną przestrzenią, stał na podwyższeniu tajemniczy stwór, o którym krążyły legendy, bo nigdy go ludzkie oko nie widziało. Nigdy i nigdzie, tylko raz... Tu, w Sey Aye. Stworzenie większe od najroślejszego człowieka, było okryte rdzawoczarnym futrem. Dwunożny, podparty na niezwykle długich ramionach potwór, marszczył szarą, nagą skórę twarzy, odsłaniając kły. Zwierzęce kły w twarzy — albowiem to zwierzę miało twarz. Podobną trochę do ludzkiej, lecz okrutną, dziką i bezmyślną. Kesa słyszała, że nieco podobne z wyglądu, lecz o wiele mniejsze, były alerskie stwory, przychodzące z za północnej granicy, spod nieba, którym władała wroga Szerni potęga.

Ohegened, zawołany myśliwy, miał swoje słabości jak każdy. Bardzo kochał tę mroczną salę, gdzie w powietrzu stale unosiła się ostra, trochę niemiła woń.

— Wyglądasz, wasza godność, jak jeden z tych okazów — powiedziała Perła.

Mężczyzna, siedzący wprost na podłodze, z plecami opartymi o nogę wielkiego tura, uśmiechnął ironicznie.

— I nie wiadomo, Keso, czy nie stanę tu wkrótce, wypchany jak ten łoś... Zależec to będzie od kaprysu nadtyśnięcznika Caronena. Chociaż, raczej nie każe mnie wypchać. Caronen to żołnierz z krwi i kości. Nigdy bym nie okaleczył jego ciała, ale w zamian wiem, że i on nie sponiewiera mojego.

— A co nadtyśnięcznik Caronen zrobi z pochwyconą niewolnicą? — zapytała.

— Nie wiem, zadajesz bardzo trudne pytania. Legia Armektańska od wieków nie brała tak szczególnych łupów. Może sprzeda? Ja na jego miejscu najpierw bym zdobył posiadł. A potem jeszcze posiadł i znów posiadł.

— To ma być, jak rozumiem, żołnierski komplement?

— Nie gniewaj się na mnie, Perło. Rzeczywiście, jestem tylko wojakiem. Może jeszcze myśliwym. Próbowałem być kiedyś intrygantem, ale wyśmiałaś mnie.

Powolutku chodziła po sali, oglądając okazy, jakby je widziała po raz

pierwszy. Pierwszy albo... ostatni.

— Mamy piękną pogodę. Mokradła nieprędko obsechną, ale Lida już na pewno jest spławna. Kiedy powinniśmy spodziewać się gości?

— Lada dzień.

— Masz już dokładniejsze wieści o nich? Zdawało mi się, że widziałam Vahena...

— Wrócił dopiero co. Właśnie przyszedłem tutaj, żeby sobie przemyśleć, co powiedział.

— A co powiedział? Nie każ mi, komendancie, pytać o każde słowo z osobna — napomniała spokojnie.

— Caronen całą konnicę, jaka mu została, rozesał w podjazdy. Ale konnica tutaj nie jest mu potrzebna. Dostał jakieś posiłki, co prawda bardzo niewielkie. Parę klinów piechoty. Ma pod bronią mniej więcej cztery tysiące żołnierzy.

— Co z Yokesem?

— Strzeże księżnej w stolicy. Nie przyjdzie. Chyba że dostałaś jakiś nowy list?

— Nie dostałam.

— A więc wiesz, co robi, i dobrze wiesz, że nie przyjdzie.

— A my? Co możemy przeciwstawić nadtysięcznikowi?

— Także wiesz, więc po co pytasz?

— Wiem, ilu mamy żołnierzy, ale nie umiem oszacować ich wartości — wytłumaczyła. — Kiedy tu przyszlście, połowa tych piechurów wyglądała na takich, co umrą zaraz ze zmęczenia.

— Bardziej ze zniechęcenia... — poprawił. — Dzień po dniu wyrzynano ich w lesie, gdzie pazurami trzymali się każdego drzewa. Sześciu mil bronili przez okrągły tydzień — dodał z goryczą. — Patrzyli na moich gwardzistów jak na zdrajców, którzy posiedzieli sobie w Netenie, a potem równo pomaszrowali do Sey Aye.

— Komendancie — chłodno powiedziała niewolnica — żołnierze biorą pieniądze za to, żeby się bić i umierać, nie za to, żeby patrzeć na gwardzistów. Pytałam, ile są warte twoje wojska?

— A ja właśnie ci odpowiadam. Gwardziści staną choćby za pięciuset ludzi, bo nie mogą nikomu spojrzeć w oczy i marzą tylko o tym, żeby wejść do lasu i bronić już nie sześciu, a trzech mil, i nie przez tydzień, a przez dwa tygodnie. Strażników leśnych, łącznie z tymi, co

ściągnęli tu ze wszystkich obrzeży Puszczy, a nie walczyli wcześniej pod Netenem, mamy niespełna trzystu. I drugie tyle piechurów, z których dwustu siedzi tu od początku, więc sama wiesz, ile są warci. Wszystko co najlepsze poszło do Yokesa i przepadło, tutaj zostali najstarsi, najślabi i najgorzej wyćwiczeni.

— Ale bardzo dobrze uzbrojeni.

— Tak, z tym jednym nie ma kłopotów — przyznał.

— A co ze strażą miejską i uzbrojonym chłopstwem?

— Nie żartuj sobie, Keso. Ci strażnicy miejscy mogą co najwyżej pełnić służbę wartowniczą. Chłopstwo zbroiliśmy na pokaz, dla szpiegów Trybunału. Jak stu tych wieśniaków rzuci się na dziesięciu łuczników, to pewnie da im radę, o ile dobiegnie więcej niż trzydziestu...

— Nic nie można zrobić z tym chłopstwem?

Wzruszył ramionami.

— Posłuchaj, jeśli do wioski wmaszeruje osamotniony klin łuczników z zamiarem puszczenia chałup z dymem, zgwałcenia dziewczyn i wyrżnięcia świniaaków, to chłopcy się wściekną i przegnają ich. Ale wątpię, żeby nad tysięcznik Caronen zaczął podbój Sey Aye od obrócenia przeciw sobie całej ludności polany. Puści tu wszystko z dymem, ale dopiero wtedy, kiedy już nie będzie moich żołnierzy. A wtedy to zbrojne chłopstwo... — Rozłożył ręce. — Nie wiem, jak miałbym użyć tych wieśniaków. Przeciw tym samym żołnierzom, którzy pod Netenem wygnietli gajowych i wyszkoloną piechotę? Przy takich szansach sfory psów bym nie poszczuła, a ci chłopcy to jednak są ludzie.

— Gwardziści pokonają pięciuset, strażnicy leśni sześciuset, a piechota trzystu — powiedziała. — To razem tysiąc czterysta.

— Znakomicie liczysz — pochwalił. — I gdyby maszerowało tutaj półtora tysiąca żołnierzy, to mielibyśmy szansę w obronie. Ale idzie trzy razy tyle.

— Nie obronimy się.

— Nie ma mowy. Sey Aye było twierdzą, dopóki w lesie siedziało ośmiuset gajowych, a na polanie gwardia i siedem setek piechoty. Teraz to jest twierdza z nieobsadzonymi murami i bez załogi w środku.

— Tak myślałam. No to wstawaj, zabieramy się stąd.

— Oszalałaś? Dokąd?

— Dokądkolwiek. Do lasu. Twoi żołnierze nie obronią Sey Aye, ale

zdołają wypędzić chłopów z wiosek. Zabieramy wszystko: żywy inwentarz, cenne przedmioty, a przede wszystkim dokumenty Sey Aye. Czego nie można zabrać, trzeba zniszczyć albo zakopać, ukryć gdzieś.

— Powoli, czekaj, czekaj — powiedział.

— Właśnie czekać nie będę. Mogą przyplłynąć tutaj nawet jutro. Rusz swoje wojsko. Caronen dostanie gołą polanę, którą może spalić, jeśli chce, bo i tak temu nie zapobiegniemy. Całej Puszczy Bukowej nie spali, a Sey Aye to ludzie, nie domy. Domy zawsze można odbudować.

— Już dziesięć razy chodziło mi po głowie, żeby wyprowadzić stąd wojsko i nękać Caronena szarpaną wojną w lesie.

— To dlaczego nic mi nie mówiłeś?

— Bo tutaj są ludzie i właśnie ich domy... W Sey Aye.

— Ale ludzi zaraz zabieram, chodzić umie nie tylko wojsko. A domów, jak słyszę, i tak nie obronisz?

— Nie mam rozkazu, żeby oddać Sey Aye.

— Już masz, bo ja tutaj rozkazuję, w imieniu księżnej Ezeny. Ostatecznie, jeśli chcesz, to siedź tutaj ze swoją armią, strategu. Ja zabieram ludność, a jak mi staniesz na drodze, to rzucę do walki masy zbrojnego chłopstwa — zagroziła.

Parsknął śmiechem.

— Rozkaz, wasza wysokość — rzekł, powstając. — Ale nawet pustej polany nie oddamy darmo. Gajowych pošlę do lasu, niech polują. Już na samej rzece mogą dostać paru dowódców i ze trzy tuziny legionistów.

— Stracimy tych gajowych — powiedziała, marszcząc brwi.

— A skądże. Umierali pod Netenem, bo nie mogli oddać lasu. Ale tutaj idą na polowanie. Parę strzał i szukaj echa w kniei... — Ohegened odżył, gdy tylko pokazano mu coś, co nie było równie beznadziejne, jak śmierć w obronie majątku, którego obronić niepodobna. — Vahen dostanie tylko jeden rozkaz: zabijać i nie dać się zabić. A dowódcy drużyn na pewno taką taktykę docenią i będą umieli wcielić w czyn. To całkiem co innego niż powtórka z obrony Netenu. Keso, jeszcze jedno — zatrzymał Perłę, która już zmierzała ku drzwiom. — Które z nas dowodzi w Sey Aye? Wojna nie znosi narad w ogniu walki, dowodzenie musi być jednoosobowe.

Z namysłem popatrzyła na oficera, z którego spłynęło całe zniechęcenie.

— Co za pytanie... Ty dowodzisz, mnie już tutaj nie ma. Idę do kancelarii, zagonić urzędników do roboty. Cokolwiek się wydarzy, dokumenty Sey Aye muszą przetrwać. Daj mi wszystkich miejskich pachołków do eskortowania tych rzeczy — poprosiła. — Będzie tego parę wozów, w mieście też jest mnóstwo dokumentów. A jeszcze biblioteki, pałacowa i miejska.

— Oczywiście, weź tych pachołków.

— Poproszę jeszcze o obie przyboczne.

— Są twoje, ma się rozumieć. Teraz ja mam prośbę.

— Tak?

— Pchnij gońców do Rollayny. Ścieżkę wciąż kontrolujemy, ale to zaraz może się zmienić. Napisz księżnej, jaką decyzję podjęłaś. Podjęliśmy — poprawił się.

Lekko uniosła brwi.

— O, bohater... — powiedziała. — Strach zameldować, że bierze się nogi za pas? Dobrze, napiszę ten list. Wyjaśnię, że biciem zmusiłam cię do posłuchu.

*

Nadtysięcznik Caronen szedł na podbój Puszczy Bukowej zupełnie bez entuzjazmu. Zdobył obrzeża lasu a nawet, ku własnemu zdumieniu, sam Neten. Wychodząc z umocnionego obozu i uderzając na Yokesa, pakował się w tarapaty, ale nie miał wyboru. Dalsze tkwienie w obozie było po prostu niemożliwe. Ponosząc spore straty, przerzucił swoją armię do lasu, a potem z przerażeniem patrzył, jak topnieją szeregi piechoty, uwikłanej w przewlekłe boje. Z duszą na ramieniu, oczekiwał, kiedy cała spieszona jazda Sey Aye wesprze straż leśną i zmieni kierunek marszu jego legionistów. Yokes był w stanie wypchnąć go z powrotem na równinę, a przynajmniej miał taką szansę. Licząc trzy posiłkowe chorągwie rycerskie i dwie lekkie, trzymał pod bronią, jak szacował nadtysięcznik, blisko trzy i pół tysiąca ludzi, którzy wspólnie z tysiącem piechoty mogli przeważać nacisk jego zmęczonych legionistów. Z każdym dniem zmęczonych coraz bardziej... Caronenowi wydawało się, że odgadł zamiary wodza wojsk Sey Aye: kosztem swojej piechoty i strażników leśnych, Yokes chciał skrwawić Armię Zachodnią tak bardzo, jak to możliwe, by potem, przy samej rzece, wprowadzić do boju te trzy i pół tysiąca wypoczętych jeźdźców z mieczami i kuszami w rękach. Ale

mogło być jeszcze inaczej — Caronen cały czas bał się o swoje tyły. Chorągwie Sey Aye mogły okrążyć las od południa, wyjść na opuszczony obóz warowny, zaatakować wprowadzony na leśny trakt tabor i tyły jego legionów. Resztki konnych łuczników, którzy w pierwszej bitwie byli wdeptywani w ziemię, a w drugiej ponieśli równie duże straty, kurczowo trzymając uchwycony skraj lasu, w żaden sposób nie mogły zniszczyć, czy choćby nadwyrężyć, dziesięciu ciężkich i dwóch lekkich chorągwi (Caronen nie wiedział, że jeźdźcy Domu odeszli do Rollayny; ciężkich znaków w istocie było dziewięć). Nadtysięcznik chciał jak najdrożej sprzedać swą skórę i wypełnić zadanie, które określono na początku kampanii: związać na zachodzie jak największe siły wroga. Wiedział już o niebywałym sukcesie słabej Armii Wschodniej i pchnął do nadtysięczniczki Terezy gońca z gratulacjami. Upoważniony przez Kwaterę Główną obiecywał ponadto, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by stojący przed Armią Wschodnią Enewen zmuszony był jednak posłać coś Yokesowi. Okazywało się, że nadtysięczniczka mogła, mimo obecności rycerskiej armii Ahe Vanadeyone, wypełnić swoje zadanie. Pokonanie przez nią trzykrotnie liczniejszych, ciężkozbrojnych zastępów, byłoby wydarzeniem na miarę cudu wojennego, ale nadtysięczniczka pokazała właśnie, że potrafi dokazywać takich cudów. I dlatego Caronen był gotów, wraz z całym swoim wojskiem, umrzeć w lesie nad Lida, bijąc się chociażby ze wszystkimi armiami świata, tak jakby zamierzał zdobyć nie tylko Neten, ale i polanę w środku Puszczy.

Jeźdźcy Yokesa nie przyszli z odsieczą mordowanej w lesie piechocie. Nadtysięcznik Caronen zdobył Neten i w samej rzeczy gotów był zdobywać Sey Aye...

Ale nie chciał. To już nie było przedsięwzięcie wojskowe, lecz czysto polityczne. Przede wszystkim miał zabrać z zachodniego Dartanu niemal wszystkie wojska, odsłaniając armektańską granicę. Wprawdzie Księżę Przedstawiciel, w bardzo poufnym liście, powiadał go, że chorągwie Sey Aye nie ruszą się spod Rollayny, i skoro tak twierdził, to pewnie wiedział, co pisze. Polityka... Ale jednak, staremu żołnierzowi nie podobało się takie mieszanie dwóch światów: świata wojny ze światem knowań. Nie negocjował z nikim za pomocą miecza i byłby rad, gdyby w zamian kierunku na Armekt nie osłaniały wojska złożone z intryg politycznych. A marsz na Sey Aye to też było uderzenie polityczne. Miał

utknąć ze swoimi legionami w głębi największego lasu Szereru, tylko po to, by pokazać całemu Dartanowi, jak idą z dymem dobra wichrzycielki, po zajęciu Netenu nie mające już żadnego wojskowego znaczenia, nawet jako zaplecze.

Nadtysięcznik uważał, że armie powinny być kierowane przeciwko innym armiom, bo ich zadaniem jest w pierwszym rzędzie niszczenie zbrojnych sił przeciwnika. Miał rację i zarazem jej nie miał. Imperialne armie były zbyt słabe, by pokonać w bitwach wszystkie chorągwie, jakie mógł wystawić Dartan. Dlatego, niszcząc wojska, które już istniały, armektańskie legiony musiały zarazem zapobiegać powstawaniu nowych. Zniechęcanie niezdecydowanych Domów do poparcia samozwańczej regentki było na to najlepszym sposobem. Caronen, gdyby mu powiedziano, ile chorągwi unicestwił swym dotychczasowym działaniem, jeszcze zanim w ogóle powstały, miałby inne zdanie na temat możliwości swojego wojska. I skutków „politycznych” uderzeń. W żaden sposób nie pokonałyby podobnych sił, walcząc z nimi w polu.

Rzęsiste deszcze dowódca Armii Zachodniej powitał z niemąłą ulgą, jego żołnierze zaś z entuzjazmem. Marsz w głąb Puszczy był niemożliwy, a kwatery w Netenie i zajęтым obozie Yokesa wygodne. Ciężka jazda, grzęznąca w rozmięklej ziemi, traciła połowę swej wartości. Żołnierze odpoczywali, leczyli rany, odzyskiwali animusz, dzieląc się opowieściami o bohaterских czynach. Nadeszły niewielkie posiłki; nowym towarzyszom można było opowiadać o nagłej szarzy ciężkich chorągwi w pierwszej bitwie pod Puszczą Bukową, bojach ze strażą leśną... Przeprowadzono reorganizację, skupiając całą piechotę Armii Zachodniej w czterech silnych legionach, a działającą poza lasem jazdę w legionie piątym. Deszcze padały przez pięć długich dni. Nadtyśięcznik Caronen zablokował przystań (Dartan dalej mógł handlować z Armektem, ale Sey Aye już nie, nawet gdyby nie padały deszcze) i obmyślał plany nowej kampanii, ścigał barki potrzebne do przewiezienia wojska w górę rzeki, sprawdzał stan zapasów. Szykował się do podboju Dobrego Znaku niechętnie, ale z całą żołnierską sumiennością i rutynową sprawnością wysokiego oficera Legii Armektańskiej. Zabrakło mu jednak wyobraźni — nie zdawał sobie sprawy, ile barek trzeba dla przewiezienia trzech tysięcy żołnierzy, co pierwotnie planował. Wyszło na jaw, że przewiezie najwyżej dwa tysiące niemożliwie stłoczonych ludzi i najniezbędniejsze

zapasy. Gdy wróciło słońce, w górę rzeki popłynęły łodzie, prowadzone przez zmuszonych do współpracy rzecznych pilotów, których nadzorowali żołnierze. Obserwowano, jak opada wezbrana woda, badano nurt. W kilku miejscach należało go oczyścić z połamanych drzew, powalonych przez burzę gdzieś w górze rzeki i przywleczonych w dół.

Trzeciego dnia od chwili, gdy ustaliła się ładna pogoda, ścieżką na wschodnim brzegu rzeki, tą samą, po której chodziły muły ciągnące barki, ruszył najlepszy legion — Pieszy Północny. Była to cała piechota z pogranicza, która uszła spod kopyt jeźdźców Yokesa, a potem przetrwała walki w lesie. W ślad za owym legionem podążył jeszcze jeden, do którego dołączono pojedynczą kolumnie legionu trzeciego — dla tych żołnierzy już nie wystarczyło łodzi. Nadtysięcznik, widząc, jak bardzo rozciągnęły się jego oddziały na brzegu, pełen był najgorszych przeczuć. Razem z wojskiem lądowym ruszyły w górę rzeki barki, wiozące pozostałe wojska i najniezbędniejsze zapasy. Taborę odsyłało do Lida Aye. W Netenie mieli zostać żołnierze Dartańskiej Straży Morskiej oraz parę samodzielnych klinów, które nie weszły w skład zreorganizowanych legionów. Caronen doskonale wiedział, że są to śmieszne siły, które w żaden sposób nie zabezpieczą jego tyłów, ale robił tylko to, co zrobić musiał. Yokes mógł bez trudu odbić Neten, lecz nie miało to żadnego znaczenia w przypadku zajęcia Sey Aye; Neten był tylko przystanią, niczym więcej. Pozostawieni tam legioniści mieli co najwyżej rozpoznać atakujące ich siły i uciec do lasu, by połączyć się z resztą armii. Była to naprawdę okropna z wojskowego punktu widzenia awantura. Caronen marzył tylko o jednym: o wkroczeniu do Sey Aye, puszczeniu wszystkiego z dymem i zabraniu się stamtąd tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Już na rzece nadtysięcznik otrzymał meldunek od dowódcy legionu konnego, działającego poza Puszcza. Książę Przedstawiciel rzeczywiście wiedział, co mówi, zapewniając, że wojska Sey Aye pozostaną bierne. Yokes ciągle stał pod Rollayną. Caronen nie mógł się nadziwić takiemu sposobowi prowadzenia wojny. Znakomity dowódca — i to dowódca jazdy! — okazał się przeciwnikiem niezbyt groźnym, niezdolnym do prowadzenia śmiałych i pomysłowych działań. Nadtysięcznik nie wiedział co ma o tym myśleć. Nie znał powodów bierności Yokesa.

Niewykluczone, że ktoś nim nieudolnie kierował, być może sama regentka — takie wtrącanie się władcy do spraw, które należało pozostawić wojskowym, byłoby zgodne z dartańską tradycją... Jakkolwiek było, nadtyśnięcznik Caronen wciąż nie lekceważył przeciwnika i byłby rad, gdyby inni myśleli tak samo.

Goniec od tyśnięcznika konnych łuczniczków to był ostatni kontakt Armii Zachodniej ze światem poza Puszcza Bukową; światem, który gdzieś się rozplynął, stał nierealny i nieosiągalny. Już następnego dnia tyśnięcznik Legionu Konnego posłał kolejnych gońców — ale ci żołnierze nigdy do Caronena nie dotarli. Drużyny gajowych Sey Aye wytrzęsły z nich zarówno wiezione meldunki, jak i życie.

Kilka tygodni wcześniej płynąca w dół rzeki księżna Dobrego Znak potrzebowała doby na dotarcie do Netenu. Wyprawa w górę rzeki trwała dłużej. Ciężko załadowane barki Caronena wlokły się z szybkością najwyżej dziesięciu mil na dobę; idący po błotnistej ścieżce mułów legioniści, pilnujący wodnego szlaku, posuwali się równo z barkami. Zmierzchało już, gdy leśna straż Sey Aye uderzyła z zachodniego brzegu, gdzie nikt się nie spodziewał obecności wroga. Caronen posłał tam wprawdzie kilka niewielkich patroli, które przebijały się z trudem przez podmokły gąszcz, ale nigdy już się nie dowiedział, co właściwie spotkało tych żołnierzy. Pokazano mu za to, jak można w mgnieniu oka zatopić wyładowaną wojskiem barcę. W miejscu, gdzie tor wodny wiódł najbliżej zachodniego brzegu, z trzaskiem jęło walić się do rzeki drzewo, chyba już dawno ścięte i trzymane tylko na linach. Korona starej sosny dosięgła szczytem krępej łodzi i wgniotła ją pod wodę, rozpraszając pokaleczonych i poranionych przez gałęzie legionistów, zaczepiony na brzegu pień odchyłał się pod ciężarem ciągniętej przez nurt korony, drzewo zagrażało kolejnej w szyku łodzi. Z trzaskiem zawaliło się następne, zbyt niskie jednak i za daleko rosnące, by dosięgnąć toru wodnego; Caronen miał szczęście, że takich miejsc było na drodze niewiele. Wysokie drzewa nie rosły na samym brzegu, stale zalewanym przy wszystkich powodziach, podmywanym... Gajowi Sey Aye zdołali zażartować tylko ten jeden raz. Ale wyszło na jaw, że znali wiele dowcipów. Nadtyśnięcznik przez trzy doby przepychał się w górę rzeki, walcząc z pożarami, wznieczanymi na łodziach przez płonące strzały, odpychając żerdziami puszczone z prądem pniaki, licząc żołnierzy

wylatujących za burty z bełtami w karkach lub piersiach, a na koniec wprzęgając do ciągnięcia barek doborowych legionistów z północy, gdy zaczęło brakować zabijanych i ranionych mułów. Przystań w Sey Aye powitał z największą ulgą.

Nie było tam zupełnie nikogo. Poniszczone nabrzeża i pochylnie raczej utrudniały, niż ułatwiały wyładunek. Pierwsze opróżnione barki popłynęły po legionistów na zachodnim brzegu, bo od czasu, gdy runęło do wody drzewo, Caronen zmuszony był ubezpieczać rzekę z obu stron.

Wyładunek wojsk i zapasów szedł kulawo, został zakończony dopiero późną nocą. O świcie pochowano siedmiu wartowników i legiony ruszyły po świetnie utrzymanej drodze prosto do Sey Aye, z silnymi ubezpieczeniami w gąszczu po bokach, poprzedzane przez straż przednią i z oddziałem straży tylnej. Jeszcze przed awangardą poszły na rozpoznanie, z kompletnie samobójczym zadaniem, dwa konne patrole — dwie dziesiątki z jedyne go klina jeźdźców, jaki miał przy swym wojsku Caronen. Nadtysięcznik liczył, że broniące polany oddziały pozwolą wrócić do sił głównych chociaż jednemu z tych konnych łuczników.

Ale przeżyli prawie wszyscy. Gdy nadeszły wojska, jeden z rozpoznawczych oddziałków już czekał, zaczajony na obrzeżu największej polany Szereru. Zaczajony dlatego, że był cokolwiek postrzelany z łuków, lecz poza tym nie atakowany. Nadtysięcznik przyjął raport zwiadowcy.

W Sey Aye nie było nikogo. Upiorna polana straszyla skrzypieniem niedomkniętych drzwi, porozrzucanymi wszędzie kłopotami, których nie warto było brać na tułaczkę, a wreszcie ostrą wonią spalenizny dobiegającą z wielu miejsc, gdzie rozpalono wielkie ogniska. Spłonęło na tych stosach wszystko, co mogłoby się przydać legionistom.

Sporo później, gdy Caronen zakwaterował się już w komnatach najświetniejszego domu, jaki kiedykolwiek oglądał, jeden z tysięczników przyniósł mu list, znaleziony na stole w wielkiej sali biesiadnej. Obok listu leżała kupka oblepionych smołą szmat.

Wasza Godność,

ściany chałup i obór wciąż są mokre i niełatwo przyjmą ogień. Zapasy smoły znajdziesz w składach miasta, zostawiłem tam kilka wozów, ale bez zaprzęgów. Jesteś, Panie, dobrym wodzem, ale już nie opuścisz tego lasu. Ani Ty, ani żaden z Twoich żołnierzy.

salut, Nadtysięczniku

N. Ohegened
dowódca oddziałów w służbie
Jej Królewskiej Wysokości Regentki Dartanu
K.B.I.Ezeny, Pani Dobrego Znaku

W nocy żołnierze Sey Aye uderzyli na przystań, po ciężkim boju rozbili stojące tam dwa półlegiony i spalili bądź puścili z prądem rzeki wszystkie barki. Nadtysięcznik Caronen zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek w Dartanie w ogóle usłyszy o tym, że ukarano samozwańczą regentkę, paląc jej dobra w Puszczy. Wyglądało na to, że w Szererze będzie snuta raczej ponura legenda o armii, która weszła do wielkiego lasu i już nikt nigdy nie dowiedział się, co tych żołnierzy spotkało. Zostawiony w wielkiej sali list nie był czczą pogróżką. Caronen spalił wioski i drewniane zabudowania miasta, zniszczył mosty i młyny, tracąc przy tym klin łuczników, który odszedł zbyt daleko od innych oddziałów, wreszcie porozbijał wszystkie szyby, jakie były na całej polanie, bo na kucie murów nie miał czasu, i zarządził przygotowania do odwrotu. Ale nie mógł wracać prosto do Netenu, nie mając pojęcia, czy przystań wciąż jeszcze jest w rękach jego żołnierzy. Zresztą, nawet gdyby tak było, to marsz wzdłuż przeklętej rzeki, gdzie rozległe mokradła uczyniłyby z wojska niesłychanie długi wąż ludzi, pełznący ścieżką dla mułów, był przedsięwzięciem samobójczym. Nadtysięcznik wybrał leśny „trakt”, wiodący ku Rollaynie. Wolałby ruszyć drugim, wiodącym na wschód, gdzie po wyjściu z lasu mógłby pomaszerować ku Terezie, połączyć się z nią i stworzyć jedną silną armię. Pomysł kusił; scalenie wszystkich rozporządzalnych sił i bicie rozdzielonych wojsk przeciwnika było jedną z reguł sztuki wojennej. Ale Tereza na pewno nie mogła wyżywić dwakroć liczniejszego wojska, a poza tym nie miał o jej armii żadnych wieści. Mogła być gdziekolwiek: w odwrocie na Akalę, za plecami Enewena w Dartanie albo zgoła w niebycie, jeśli doszło do przegranej walnej bitwy. Nadtysięcznik wybrał okrężny odwrót na Neten. Idąc z powrotem do zachodniego Dartanu, wciąż wiązał na tym kierunku jakieś siły wroga i w ten sposób najlepiej mógł dopomóc Terezie. Armia Zachodnia była *orre seg gever* — siłą, która samym swym istnieniem krzyżowała plany przeciwnika i zmuszała go do trzymania odwodów. Caronen niezmiennie był gotów stracić swoje wojsko, byle tylko nadtysięczniczka mogła dokazać następnego cudu i raz jeszcze pobić Ahe Vanadeyone. Wiele kolejno odnoszonych zwycięstw to nie była dziedzina

polityki, lecz wojny.

45.

Jego Godność T.L.Wadelar

w Akali

Wasza Godność,

burmistrz to poczciwa ciapa, a wójt, choć niegłupi, niewiele potrafi przedsięwziąć, bo stale ogląda się na Kirlan. Posyłam pisma dla nich, ale niewiele się spodziewam. Namiestniczka Trybunału w Akali (z całym dla Twojej byłej Małżonki szacunkiem) to ktoś, komu nie powierzyłabym starej koszuli, bo Ty, choć byłeś straszny, to przynajmniej wiedziałeś, co do Ciebie należy.

Krótko mówiąc: Wadelar, przestań pić i weź się do roboty. Już nie pada. Chorągwie Ahe Vanadeyone wgniotą mnie w ziemię, gdy tylko sforsują Ranelę, a w końcu gdzieś ją sforsują. Już niewiele będę mogła opóźnić te wojska, a od wczoraj mam pewność, że skierują się na Akalę. Jesteś w tym mieście znany wszystkim, którzy mają cokolwiek dogadania, a wiem już, że potrafisz działać, jeśli chcesz. Napraw mury, choćbyś miał sypać tam wały z ziemi i utykać nie wiadomo jakie graty, zbierz ludzi, którzy mogą nosić jakąkolwiek broń. Podeślę ci, co tylko zdołam, jutro przyjdzie do miasta klin grombelardzkich kuszników. To żadna siła, ale niech Rycerze Królowej widzą na murach zielone mundury — pomyślą, że to posiłki od Przedstawicielki z Londu. Enewen musi się spieszyć i nie będzie oblegał bronionego miasta, złupi najwyżej przedmieścia i ruszy dalej na Armekt, pałac wioski, bo potrzebny mu wreszcie jakikolwiek sukces. Jeżeli wpuścisz go do Akali, będzie rzeź.

Tereza

nadtysięczniczka-komendantka

Armii Wschodniej

Był jeszcze dopisek, drobnymi literami, jakby pisząca wstydziała się i chciała coś ukryć:

Uratuj to miasto, proszę Cię.

Wadelar musiał najpierw uratować siebie.

Odkąd stracił urząd był gościem w gmachu Trybunału Imperialnego, ledwo tolerowanym przez Pierwszą Namiestniczkę. Z całkowitą

bezduszością, tak znamioną dla matki, której dziecko próbowano skrzywdzić, jej dostojność T.L.Akea prześladowała nieudacznego męża i ojca. Pozwalała mu mieszkać w komnatce obok pomieszczeń służby najbardziej dlatego, że był pod ręką i mogła mu do woli obrzydzać życie. Poza tym jej synek, nie rozumiejąc jeszcze, że ojciec jest potworem gotującym mu straszną przyszłość, uwielbiał Wadelara i nie było mowy o natychmiastowym rozstaniu, choć Akea co wieczór cierpliwie tłumaczyła małemu Lenetowi, że ojciec wcale go nie chce, bo przez całe życie robił wszystko, żeby rodzina przymierała głodem, a jego syn, gdy urośnie, nie miał żadnej przyszłości. Dzieciak, gdy tylko puszczo go do ojca, a ojciec akurat nie był kompletnie ogłuszony, pytał o takie sprawy. Zionący winem Wadelar opowiadał mu wówczas, że to wszystko nieprawda, polecał kochać matkę i nierzadko zasypiał w pół słowa. Wówczas smutna Weseta odprowadzała dziecko Namiestniczce, nigdy nie trzymając go za rękę, bo Akea na to nie pozwalała. Ohydna flama, którą sobie kupił i wyzwolił jej były mąż, nie śmiała dotykać Leneta. Namiestniczka Akali robiła, co w jej mocy, by uratować Wadelara, uświadamiając mu, jak bardzo jest podły i winny. Obudzone wyrzuty sumienia niczego nie mogłyby naprawić, ale pokazałyby przynajmniej, że Wadelar jest w ogóle człowiekiem. Powinien cierpieć, zadręczać się — a nie chciał.

Weseta, wyzwolona przez swojego pana, wzięła do ręki potwierdzający to dokument — i natychmiast odeszła, nie mówiąc słowa pożegnania. Lecz dwa dni później Wadelar, budząc się rano ze strasznym bólem głowy (bo dolegliwości, których raz zasmakował, już go odtąd nie odstępowały), zobaczył ją, gdy krzątała się po sypialni, uprzątając resztki pijackiej biesiady. Było to jeszcze zanim stracił swój urząd.

— Chciałam zobaczyć, jak to jest — powiedziała, zamiast go powitać. — Odejść, nie pytając nikogo o zgodę, stanąć w bramie miasta i pomyśleć, czy nie warto pójść do Armektu albo Grombelardu. Zabawić się z młodymi mężczyznami w gospodzie, a tak. I wrócić, kiedy mi się spodoba i jeżeli mi się spodoba. Wróciłam, ale to jest twój dom. Jeżeli mi pozwolisz, zostanę.

I Wadelar rozrzewnił się po pijacku.

Od tamtej chwili minęło sporo czasu. Trudno powiedzieć, ile. Trzy tygodnie albo może pięć miesięcy... Był Namiestnik Trybunału w Akali ostatnio nie bardzo liczył dni.

List przyniesiono, gdy Wadelar spał. Spał akurat całkiem normalnie, bo nie zawsze zaglądał do kielicha. Zresztą był najzupełniej pewien, że przebiera miarkę w picciu, bo tak chce. W każdej chwili mógł przestać. Tylko nie miał po co.

Ale właśnie dlatego, że nie miał po co przestać, obudził się i podążył do dzbana, który postawiła na stole Weseta. Postawiła jeszcze zanim zasnął, a jednak nie napił się z niego. Był to dowód, że nie musiał pić wina.

Dopiero teraz, w każdej chwili mogąc się powstrzymać, napełnił kubek i wypił.

Leżąca w opuszczonym łóżku kobieta przekręciła się z boku na plecy i wyprostowała ręce. Przeciągnęła się, otworzyła oczy i usiadła, podparta na ramionach. Miała najpiękniejsze piersi na świecie. Nie miał pojęcia, dlaczego odmówiono jej certyfikatu Perły. Na pewno nie z powodu niedostatków urody. Ale nie chciał wracać myślą do jej niewolniczej przeszłości.

— Na razie wystarczy — powiedziała. — Zjedz coś, a przede wszystkim przeczytaj list. Przynieśli go wczoraj, ale już spałeś i bałam się... i nie chciałam cię budzić.

— Jaki list?

Wadelar już zapomniał, że można otrzymywać jakiegokolwiek listy. Gdy był Namiestnikiem Trybunału, otrzymywał po kilka dziennie. Ale to nie były listy do niego, tylko do urzędu, jaki piastował. Stracił urząd i natychmiast przestał otrzymywać listy.

— Od żołnierza — powiedziała Weseta. — To znaczy, nie wiem od kogo, ale list przyniósł żołnierz.

Wadelar wziął pismo, złamał pieczęć, przeczytał i spokojnie napił się wina.

— Chcesz przeczytać?

— A coś ciekawego?

— Nie. Tak sobie — powiedział. — Dowódczyni Armii Wschodniej, nadtyśięczniczka Tereza, z którą przez całe życie byłem w wielkiej przyjaźni, przypomniała sobie, że istnieję.

— I co pisze?

— No... najkrócej mówiąc, chce, żebym wystawił armię, i kiedy nadciągną tutaj hufce Ahe Vanadeyone, stanął w bramie w blaszanej

czapce na głowie, oparł się o jej skrzydło i krzyknął: „Nie przejdziecie! Wara!”.

— Pokaż — powiedziała z uśmiechem. Przestała się uśmiechać, gdy przeczytała.

— O, na Szerń... — szepnęła. — Ale... co możesz zrobić?

— Nic. Zupełnie nic, Weseto — rzekł pogodnie, wracając do łóżka z pełnym kubkiem w dłoni. — Bardzo chciałbym sprostac choć dziesiątej części tego, o czym pisze nadtyśniczka. Ale nie sprostam niczemu.

Legł na plecach i napił się wina.

— Nie mam żadnej władzy, wpływów, pieniędzy, przyjaciół, ani nawet wojskowych zdolności. Mam tylko opinię pijaka, wszystko jedno, zasłużoną czy nie. Teraz taki zdjęty z urzędu pijak, ma wkroczyć do ratusza, jak rozumiem, i powiedzieć: „Do roboty, zacni ojcowie miasta! Wójcie, proszę zaraz udać się po kopię i dosiadać tego, co wójt ma! Teraz ja tutaj rządę!”. Pozostanie na zawsze tajemnicą, czego spodziewa się po mnie nadtyśniczka Tereza.

— Przestań — powiedziała zgorszona. — Ta kobieta walczy z całą dartańską armią, widziałeś tych żołnierzy, którzy przyjechali na wozach? Niektórzy to chłopcy, a ci starsi... Co za różnica? Niektórzy mieli rodziny w tym mieście, poumierali... A ty się z tego śmiejesz?

— Wcale się nie śmieję, Weseto. Ale nadtyśniczka Tereza podobno dokonała wielkiego wojennego czynu, istnego cudu, wygrywając bitwę, po którym to czynie i cudzie nadciągnęły właśnie wozy z tymi setkami rannych. Tak właśnie wygląda wojna. Teraz nadtyśniczka oczekuje, że ja tutaj sprawię drugi cud? Gdybym miał choć tyle władzy, ile ona ma żołnierzy... a podobno ma bardzo mało... Może mógłbym czegoś spróbować. Ale jestem nikiem, nawet dla swego czteroletniego syna.

— Już prawie pięcioletniego — przypomniała z kobiecą dokładnością.

— To istotnie wiele wyjaśnia. Jest dorosły, więc nie musi mnie słuchać. Nawet Lenetowi nie mogę niczego rozkazać. Znasz mnie, Weseto, znasz moich przyjaciół, moje sprawy... Nie, nie chcę tego wina. — Nieoczekiwanie chlusnął resztką napoju w bok i obrócił głowę ku kobiecie, spoglądając jej w oczy. — Nie chcę, bo zaraz powiesz, że w głowie mi tylko pijatyka... Nie jestem pijany i mówię: nadtyśniczka

Tereza straciła poczucie rzeczywistości. Udało jej się dokonać czegoś niezwykłego i myśli, że każdy tak potrafi. To miasto pewnie może się uzbroić i nawet obronić, kto wie. Ale ja będę wtedy... wiesz gdzie? Na murach, rzeczywiście w jakimś hełmie na głowie, może mi coś wydziela z tych łupów przysłanych przez Terezę po bitwie. Właśnie tyle mogę zrobić dla Akali. Wcisnąć jakiś sagan na łeb i dać się mężnie zabić, świecąc wszystkim przykładem.

— Nawet nie spróbujesz? Znają cię w ratuszu, może posłuchają jakiejś rady?

— Jakiej rady? Podsetnik Legii Akalskiej, ten co trzyma teraz komendę w garnizonie, udzieli im dziesięć razy więcej cennych rad niż były namiestnik Wadelar. Napij się ze mną tego wina — powiedział.

Po krótkiej chwili westchnęła, przyniosła dzban i drugi kubek.

— Może lepiej wyjedźmy?

— Nie wiem. Może lepiej.

Późnym wieczorem (ale nie dość późnym, bo Wadelar i Weseta byli jeszcze pijani, nie zdążywszy należycie odespać porannej libacji) do pokoju byłego namiestnika przyszedł posłaniec od jej dostojności Akei. Wadelar zwlókł się z nagiej, leżącej w poprzek łóżka kobiety, ogarnął jako tako i przyodział dosyć porządnie, choć z niemałym trudem. Bez reszty zależał od matki swego syna, mieszkał z jej łaski, dostawał jeść i — od czasu do czasu — trochę srebra. Nie mógł sobie pozwolić na przepędzenie jej posłańca. Tym bardziej że nigdy dotąd nie zdarzyło się nic podobnego. Nigdy go nie wzywała.

Ochędżony, powlókł się korytarzem, potem po schodach i znowu korytarzem.

Namiestniczka czekała w kancelarii. Była wyraźnie zdenerwowana.

— Jak ty wyglądasz? — zapytała i był w tym cień dawnej przyjacielskiej troski.

Wadelar pokiwał tylko głową, bo już wiedział, że owa troska należała się tylko — by zostać przy wojennej retoryce — kopijnikowi, który miał torować drogę dla swego giermka-syna. Gdy wyszło na jaw, że z kopijnika kiepski rycerz, zaraz został skazany na niebyt.

— Nie zbywa ci na niczym?

— Wszystkiego mam w bród, Akeo. Mam wino, kobietę... Śpiewać nigdy dobrze nie umiałem.

Przygryzła usta.

— Rano dostałam list od nadtyśięczniczki-komendantki Armii Wschodniej — powiedziała. — Wiesz, że mamy wojnę... — zabrzmiało to niepoważnie; nie, nie wiedział. — Akala została ogłoszona twierdzą. To już nie jest tylko Wojskowy Okręg Akali, gdzie komendant garnizonu ma najwięcej do powiedzenia. Status twierdzy to, o ile zrozumiałam, coś, co mają stacje na Północnej Granicy... W twierdzy akalskiej nikt nie ma nic do gadania, zupełnie nikt. Tylko komendant.

— W samej rzeczy — przyznał były namiestnik.

— Nadtyśięczniczka Tereza, z woli Kirlanu, jest dowódcą wszystkich działających w tym rejonie wojsk. Zrozumiałam, że może uznać za twierdzę cokolwiek, czego będą bronić jej żołnierze.

— W samej rzeczy. Nawet wiatrak stojący na pagórku — zgodził się Wadelar. — Jest wojna, Akeo, i rządzi wojskowi. Z podjętych decyzji muszą się tłumaczyć tylko przed swoimi zwierzchnikami. Jeśli podejmują złe decyzje, to ci zwierzchnicy pozbawiają ich dowództwa.

— Nadtyśięczniczka mianowała tymczasowym komendantem twierdzy najwyższego tutaj rangą wojskowego. To podsetnik naszego garnizonu... Ten człowiek przyszedł dzisiaj do mnie i zażądał... zażądał rzeczy niemożliwych. Dostępu do wszystkich, nawet najtajniejszych, raportów. Chce mieć wpływ na to, jakie wiadomości zbierają tajni urzędnicy, i dostęp do nich... nawet przede mną. Chce jeszcze... Sama już nie wiem, czego chce. Wszystkiego. Podsetnik legii. Zupełnie nie wiem, do jakich spraw mogę go dopuścić, a do jakich muszę. Na pewno są odpowiednie przepisy, ale... Nie wiem gdzie ich szukać. Zupełnie nie wiem co robić. Ja... posłuchaj, przecież ja dopiero co objęłam ten urząd. Pomóż mi.

— Przecież masz do pomocy swoich śledczych. I Drugiego Namiestnika.

— Uprzedziłam ich na drodze do awansu, uważają, że niezasłużenie. Okłamią mnie albo wprowadzą w błąd, żeby zaszkodzić. A Drugi Namiestnik był... jest nielojalny i posłałam raport do Kirlanu... On o tym wie.

— Wieczne Cesarstwo ma tu takich ludzi, na jakich zasłużyło. Ty wiesz, co jest po armektańsku, Akeo. Ja nie wiedziałem, niestety, i dlatego doniesiono, gdzie trzeba, że jestem nielojalny. Teraz mam działać?

Wbrew interesom Kirlanu, jak rozumiem? Bo w interesie Kirlanu leży przecież zajmowanie tego stanowiska przez ciebie.

— Pomóż mi — powiedziała raz jeszcze.

Patrzył w milczeniu.

— Wasza dostojność, nie możesz mnie dopuścić do tajemnic Trybunału Imperialnego — rzekł wreszcie. — Możesz, albo musisz, dopuścić do nich komendanta twierdzy. Ale nie obcego człowieka, którego uprzejmie gościsz pod swym dachem, odnajmując jeden z prywatnych pokoi.

— Nie mów tak. Chodzi o coś więcej niż moja kariera. Jeśli Akala nie zdoła się obronić... Nie wiem, jak mam pomóc, co zrobić, a czego zaniechać. Kirlan jest za daleko. Tutaj chodzi...

— Wiem — przerwał. — Chodzi o nasze dziecko.

— Tak — powiedziała. — Jeśli Akala padnie... Chodzi o nasze dziecko, pomóż mi.

Znowu patrzył i patrzył.

— Ani mi to w głowie, głupia babo. Ja i Weseta wyjeżdżamy. Możemy zabrać ze sobą Leneta — powiedział, obrócił się na pięcie i wyszedł.

*

Woda opadła i Ranela odsłoniła brody.

Enewen tylko raz spróbował forsowania rzeki pod łukami piechoty Terezy i dowiedział się, że straci w ten sposób wszystkie swoje chorągwie, chyba że łucznikom zabraknie pocisków. Było jednak zupełnie jasne, że znacznie wcześniej rycerzom braknie animuszu. Poległy chwalebny śmiercią Kenes toczył krwawą bitwę, bo nadtyśęczniczka do bitwy dążyła i wpuściła na drugi brzeg połowę jego sił. Teraz jednak Armia Wschodnia nie zamierzała wdawać się w beznadziejne zmagania z dwudziestoma chorągwiami konnymi i sześcioma pieszymi, jako że Enewen dawno ściągnął do sił głównych rezerwową kolumnę Ovenetta. Brodu nie sforsowano; żołnierze nadtyśęczniczki mieli już nie tylko łuki, ale i kusze zabrane poległym w bitwie nad Merewą pocztowym, a nie trzeba było bardzo dobrych strzelców, żeby trafić w to, co kłębiło się w wodzie. Wódz Ahe Vanadeyone pożegnał się po tej bitwie nie tylko z poległymi, ale i wieloma żywymi rycerzami, których nie cierpiące zwłoki sprawy

wzywały do swych majątków. Uzyskał zarazem pewność, że następne forsowanie rzeki koniecznie musi się powieść, bo jeżeli nie, to za trzecim razem będzie przekraczał ją sam. Jeszcze tego samego dnia, ponownie podzielił swoje siły na trzy kolumny marszowe, z których dwie silniejsze natychmiast ruszyły wzdłuż rzeki, na prawo i lewo od kolumny środkowej. Wódz rycerskiej armii został przy niezdobytym brodzie, na czele czterech chorągwi jazdy i sześciu pocztowej piechoty. Czekał, co zrobi stojący na drugim brzegu przeciwnik. A mógł zrobić jedną z trzech rzeczy. Mógł zostać na miejscu, nadal pilnując brodu, co musiało się skończyć nadejściem którejś z bocznych kolumn, przeprowionej przez Ranelę w innym miejscu; mógł podzielić swe siły tak samo na trzy części i próbować pilnowania aż trzech brodów, każdego przy pomocy wątłutkiego oddziału; mógł wreszcie odstąpić od rzeki i przepaść nie wiadomo gdzie, snując nie wiadomo jakie plany.

Rano przeciwnika nie było. Enewen sforsował Ranelę i natychmiast posłał rozkaz powrotu do prawoskrzydłowej kolumny, która musiałaby maszerować do najbliższej przeprawy ze trzy dni. Nieświadomie pokrzyżował w ten sposób plany nadtysięczniczki, która nie odeszła ze swym wojskiem daleko i zamierzała raz jeszcze spróbować szczęścia, wydając jego oddziałom walną bitwę. Ale nie mogła jej wydać w szczerym polu; miejsce, gdzie Enewen sforsował Ranelę, w niczym nie przypominało tego, w którym starła się z jego bratem. Tereza czekała, aż Enewen ruszy naprzód. Nie ruszył, a zamiast tego wieczorem wróciły pod jego rozkazy chorągwie prawego skrzydła i zamiar dowódczyni Armii Wschodniej spełzył na niczym. Miała szansę pokonać, prowadzone przez samego naczelnego wodza wojsko, złożone w głównej mierze z pocztowych piechurów, nie lepszych w boju od dartańskich legionistów, ale nie mogła nawet marzyć o pobiciu wspieranym przez tę piechotę dwunastu chorągwi ciężkiej jazdy.

Czas naglił. Nadtysięczniczka musiała natychmiast podjąć decyzję, co będzie lepsze: dalsze opóźnianie wszystkich wojsk Enewena (rzecz trudniejsza, niż przed sforsowaniem Raneli, ale nadal możliwa) czy też marsz na spotkanie lewoskrzydłowej kolumny i wydanie jeszcze jednej walnej bitwy. To drugie, choć na granicy szaleństwa, mogło wydać nadspodziewane owoce. Już teraz niektóre chorągwie, ani razu nie będące w boju, topniały w oczach. Dzięki nieocenionym kocim

zwiadowcom nadtyśięczniczka miała świadomość, że z całej armii codziennie ubywa kilkudziesięciu do kilkuset ludzi; po nieudanym forsowaniu rzeki szeregi Ahe Vanadeyone opuściło około stu rycerzy, którzy oczywiście zabrali swoje poczty. Tereza wyraźnie widziała, że rycerstwo ma dosyć żmudnej i niechwalebnej wojaczki. Kolejna porażka — bo nawet niekoniecznie wielka klęska — mogła pozbawić Enewena większości jego wojsk. Ale podobny skutek musiały wywrzeć także uporczywe działania opóźniające, a nie groziło to nagłą zagładą całej Armii Wschodniej.

Nadtyśięczniczka wybrała wojnę podjazdową, obliczoną na zniechęcenie i przetrzymanie przeciwnika. Nie był to pierwszy, ale za to ostatni błąd, jaki popełniła w tej wojnie.

Pierwszy błąd nie był czysto wojskowej natury. Tereza, podobnie jak nadtyśięcznik Caronen, także żołnierz do szpiku kości, nie potrafiła na podstawie otrzymywanych raportów i rozkazów ocenić, jak bardzo zniechęcony do wojny był przeciwnik. Po sforsowaniu przez wrogie wojsko rzeki powinna przepuścić je jeszcze dalej i uderzyć wreszcie na Dartan. Prawdopodobnie, gdyby posłuchała ponagleń z Kwatery Głównej, mogłaby zakończyć wojnę, nie przejmując się wcale idącym na Akalę wojskiem Enewena, które rozplynęłoby się w mgnieniu oka. Na pierwszą wieść o tym, że idące szerokim frontem legiony Armii Wschodniej palą z miejsca każdy majątek, w którym nie zastaną gospodarza, rycerze Enewena co tchu w końskich piersiach zawróciliby do swych domów. Enewen zapewne zdobyłby Akalę, opierając się na kilku najwierniejszych chorągwiach, ale byłby to sukces bez żadnego znaczenia, wobec zawiązania się pod Rollayną stronnictwa, które wystawiłoby wreszcie swoje chorągwie i — nie oglądając się na wojsko Yokesa, na pewno nie mogące stratować ich tak, jak tratowało w polu lekkobrojnnych piechurów — na cztery wiatry przepędziło ze stolicy samozwańczą regentkę, o ile zgoła nie wydało jej w ręce wychodzącego z Puszczy Bukowej Caronena. Ale podobne rozważania kryły się bardzo daleko za horyzontem przewidywań prostej żołnierki, jaką koniec końców była Tereza. Nadtyśięczniczka toczyła od pewnego czasu własną wojnę, miała własnego wroga i już trochę nie pamiętała, co jest nadrzędnym celem całej gry. A było nim utrzymanie Dartanu w granicach Wiecznego Cesarstwa, nie zaś ocalenie paru armektańskich

wiosek czy choćby nawet wielkiego miasta. Z czysto wojskowego punktu widzenia nadtyśniczka podejmowała słuszne decyzje, albo może raczej byłyby takimi wtedy, gdyby nie istniały inne armie, pozycja dartańskiej władczyni była niezachwiana, a o wyniku wojny miał zdecydować wyścig dwojga dowódców do dwóch miast: Rollayny i Akali. Może zdołałaby wygrać ten wyścig, krusząc armię przeciwnika aż do jej całkowitego rozpadu. Lecz nie wiedziała tego, co rozumiał Enewen, gorszy wódz, ale lepszy polityk: że potrzebne są tylko natychmiastowe sukcesy, choćby tanie i bezwartościowe z punktu widzenia działających na wschodzie armii, byle dosyć głośne. Enewen mógł znaleźć swój sukces, odnosząc wreszcie zwycięstwo nad wojskami upartej przeciwniczki — ale co mogła znaleźć w swej mozolnej szarpaninie Tereza? Całkowity rozkład upadłej na duchu armii Enewena, okupiony w międzyczasie zjednoczeniem wszystkich sił Dartanu, pod berłem potężnej monarchini? Dotychczasowe powodzenia wojsk imperialnych powinny zostać natychmiast potwierdzone przez nowe, hałaśliwe i buńczuczne dokonania — wychodziło więc na to, że nadtyśniczka Caronen, który spalił puste chałupy w głuchej kniei i wyprowadzał z niej poszarpane, nieomal bezwartościowe resztki czegoś, co parę dni wcześniej było armią, ten właśnie posłuszny rozkazom Caronen zrobił dla Wiecznego Cesarstwa znacznie więcej niż nieustraszona Tereza. Mógł ofiarować siedzącemu w Lida Aye Księżciu Przedstawicielowi Cesarza potężny argument w rozmowach z elitami Dartanu.

Drugi — i ostatni — błąd nadtyśniczki wynikał niejako z pierwszego. Dowódczyni Armii Wschodniej nie chciała być błyskotliwa, lecz skuteczna. Dlatego wybrała drogę, która dość pewnie wiodła do zwycięstwa, zamiast wybrać ryzykowną, ale za to efektowną możliwość odniesienia kolejnego sukcesu. Enewen mógł się obejść bez swojej pomocniczej kolumny marszowej i Tereza o tym wiedziała, nie chciała więc wydać bitwy dla osiągnięcia próżnego, wiodącego donikąd — w jej mniemaniu — zwycięstwa. Rozważała wprawdzie skutki, jakie dla upadłych na duchu wojsk Enewena miałyby takie zwycięstwo, ale nie sięgała myślą dalej: nie myślała, jakie skutki miałyby dla całego Szereru.

Gwoli sprawiedliwości należałoby dodać, że choć Tereza nie umiała rozstrzygnąć wojny na korzyść Wiecznego Cesarstwa, to i tak stale takie rozstrzygnięcie przybliżała. Nie odnosiła nowych wielkich zwycięstw, ale

i nie dawała się pobić, naprawiając w ten sposób błędy naczelnego dowództwa, które postawiło ją w obliczu operującej we wschodnim Dartanie potężnej armii wroga; armii, której przecież miało nie być. Czas działał na korzyść Kirlanu. Może więc nie było wielkim błędem unikanie kolejnej walnej rozprawy, która równie dobrze mogła przynieść zwycięstwo, jak i klęskę. Nadtysięczniczka, z respektem jednak wspominająca postawę wojsk Kenesa nad Merewą, nie wiedziała, jak mała ta klęska jest prawdopodobna. Jej koci zwiadowcy, po pierwsze, nie mogli być wszędzie, a po drugie, brakowało im doświadczenia, zdobywali je dopiero w pierwszej swojej kampanii. Stary kocur Derenet, który pół życia przesłużył w armektańskich stanicach na północy, teraz w mgnieniu oka oceniłby stan lewoskrzydłowej kolumny Ahe Vanadeyone i przybiegł do nadtysięczniczki z wiadomością, że to wojsko nie ma żadnej wartości bojowej. Koty, które miała Tereza, widziały tylko ludzi na koniach.

A tymczasem grzęznące na rozmiękłych drogach chorągwie lewej kolumny, nawet pomimo udanego przekroczenia Raneli, miały tak szczerze dosyć wojowania, że zaskoczone nagłym i zdecydowanym atakiem mogłyby zwyczajnie nie przyjąć bitwy, a nawet pójść w rozsypkę. Były to wojska wystawione przez Domy, które poparły sprawę Enewena już po upadku Stronnictwa Asenavene. Pierwsze wracające z boju chorągwie, jakie ujrzeli ci ludzie, były chorągwiami pobitego Kenesa. Nowe znaki rycerskie nie poznały jeszcze smaku żadnego zwycięstwa, a od chwili rozpoczęcia wyprawy, zamiast łupów i sławy, były tylko uciążliwe marsze, najpierw w słońcu, a potem w ulewie i błocie. Ulewy przeminęły, ale ludzie nadal marzli w swych blachach i przemoczonym od tygodnia odzieniu, które niepodobna było wysuszyć we wszechobecnym bagnie. Co z tego, że deszcz przestał padać, gdy natychmiast przyszło forsować w bród rzekę? Na wozach, w papce z mokrej mąki i kaszy, taplały się cuchnące stęchlizną namioty. Nieprzyzwyczajeni jeszcze do trudów wojny rycerze jedli spleśniałe suchary, chorowali, a uporczywe biegunki wykończyły już niejedną, o wiele bardziej zahartowaną, armię. Dolegliwość, przykra i męcząca nawet we własnym domu, na orężnej wyprawie stawała się nie do zniesienia — wycieńczeni, obolali ludzie, pozwijani w kłębki na końskich grzbietach tak bardzo, jak tylko pozwalało obmierzłe żelastwo, myśleli o

wszystkim, tylko nie o rąbaniu wroga. Imperialny piechur, przeważnie były wieśniak, o niebo lepiej znosił takie niewygody. Pod surowym spojrzeniem Enewena, w asyście jego najświetniejszych, wciąż jeszcze jako tako trzymających się chorągwi, nowopozyskani rycerze mieli jakąś wartość. Pozostawieni sami sobie — prawie żadnej. Dość powiedzieć, że lewoskrzydłowa kolumna C.L.L. Ovenetta, której nikt nie stał na drodze, pokonywała dziennie taką samą odległość, jak Enewen, stale zmagający się z Terezą: cztery do pięciu mil.

W ciągu najbliższych dwóch dni Ahe Vanadeyone mieli się dowiedzieć, że przekłeta rzeka, którą z taką ulgą zostawili za plecami, wyznaczała nie koniec, lecz początek istnego pasma udręki. Z Rollayny na Potrójne Pogranicze, szybkimi marszami po drogach, wojsko mogło dotrzeć zaledwie w tydzień. Szło już prawie trzy tygodnie i wyglądało na to, że potrzebne będą jeszcze trzy. Po sforsowaniu Raneli, pierwszego dnia marszu armia Enewena pokonała właśnie niespełna cztery mile. Wiodącą przez podmokłe łąki drogę rozkopano w nocy, nie było mowy o przeprowadzeniu po niej wozów. Chorągwie grzęzły na błoniach. Między nieodległymi zagajnikami pojawiła się wroga piechota, wojsk przybywało. Enewen sprawił swoje hufce do bitwy, a gdy tego dokonał, przeciwnik spokojnie odmaszerował, nie martwiąc się o to, że ktokolwiek będzie go ścigał, brnąc w grzęzawiskach. Podmokłe tereny nadrzeczne długo trzymały wodę; pierwszy rycerz królowej nie upadał na duchu, bo wierzył, że dalej znajdzie więcej twardego gruntu. Słońce świeciło z całą mocą, podnosząc parę z łąk, pól i lasów. Rzeczywiście, już następnego dnia chorągwie znalazły się na wcale suchej drodze, której nikt nie rozkopał. Ale prowadzono po niej tylko tabor, w obawie przed nadmiernym rozciągnięciem marszowego szyku. Po obu stronach drogi zieleniły się zboża. Chorągwie wlokły się przez pola, ugniatając paskudne zielsko, z którego miał kiedyś powstać chleb, ale na razie tworzyła się tylko pułapka dla każdej jazdy, pragnącej runąć do szarży na przełaj przez świeże łąny. Dalej droga wychodziła spomiędzy pól, lecz w zamian wiodła, szeroką na ćwierć mili, ciaśniną między lasami. Przewrotny Enewen posłał tam oddziały na rozpoznanie, a wtedy wyszło na jaw, że lasy po równo składają się z drzew i żołnierzy. Oddziały pieszych pocztowych, skierowane do walki w pierwszym rzucie, uderzyły w próżnię — w lesie nikogo już nie było. Sformowano na nowo szyk

marszowy — i rozformowano, bo trzy chorągwie piechurów, trzymające las po lewej stronie, wypadły zeń na łeb na szyję, wręcz wymiecione spomiędzy drzew uderzeniem trzykrotnie liczniejszej armii strzelczej, która zawróciła z głębi lasu i poszła do boju niczym na grzybobranie. Enewen stracił trzystu piechurów, zdobywając pusty las, który zaraz mu odebrano, by ponownie oddać, ale znowu pusty. Spieszni jeźdźcy obsadzili jego skraj w takiej liczbie, że kolejnego ataku już nie było, lecz tych spieszonych jeźdźców następnie trzeba było zabrać z powrotem, sformować w kolumny marszowe i... rozformować, bo czas był najwyższy na rozbięcie nocnego biwaku. Wojsko znowu pokonało cztery mile. Oddalona o paręnaście mil Akala jawiła się jako miejsce gdzieś na końcu świata.

K.B.I.Enewen był naprawdę niezłym wodzem, ale jednak wodzem dartańskim, którego istna przepaść oddzielała od armektańskiej żołnierki, żyjącej ze swego zajęcia. Tereza przez całe życie zajmowała się tylko wojskiem, a armektańska sztuka wojenna stała nieporównanie wyżej od tego, co pokazać mógł Dartan. Błyskotliwy dowódca armii rycerskiej, silący się na tak śmiałe rozwiązania, jak scalenie całej piechoty w samodzielnych oddziałach i ograniczenie rozmiarów taboru, umiejący pokonywać rzeki w obliczu nieprzyjaciela, w żaden sposób nie potrafił, na czele swej konnej armii, przyłapać i zmusić do bitwy pieszych zastępów imperialnych. Potrafił tylko wlec się w jednej lub kilku kolumnach, ku wyznaczonemu celowi. Potrafiłby jeszcze spustoszyć zajęty kraj, ale na razie, niestety, wciąż był we własnym kraju.

Lecz pokazał Terezie chociaż to, że prowadzona przez nią „mała wojna” w ciągu czterech, a niechby pięciu dni, nie zdoła całkowicie zniechęcić jego wojska. Nadtysięczniczka stanęła przed nowym wyborem: zamknąć się ze swymi żołnierzami w Akali i popatrywać stamtąd, jak chorągwie Enewena pustoszą armektańskie pogranicze, albo wydać jeszcze jedną bitwę. Tę samą, której nie wydała nad rzeką, gdy wojska Ovenetta były gotowe przeprować się z powrotem na sam widok jej legionistów, a Enewen był za daleko, by pospieszyć z pomocą.

46.

Yokes zabrał swoje chorągwie i tabory i pomaszerował głównym

traktem z Rollayny do Armektu — tym samym traktem, który przecinał skraj Puszczy Bukowej i przekraczał rzekę Lidę koło Netenu. Regentka została w stolicy pod opieką Mniejszej Chorągwi Domu Enewena.

Przyjęty widział minę, z jaką dowódca wojsk Sey Aye wyruszał na wojnę, do której nie miał przekonania i nie obiecywał sobie nazbyt wiele po tej dziwacznej wyprawie na poszukiwanie jakiegokolwiek wroga. Rzeczywiście, po trzech dniach włości po tracie, było już jasne, że Yokes ciągnie na Neten, chcąc prawdopodobnie odzyskać to, co utracił. W marszu bezlitośnie szarpały go lekkokonne półlegiony Caronena.

Zaskoczone zniknięciem niewygodnych wojsk Domy przycichły tylko na chwilę. Gdy wyszło na jaw, że Yokes nie czai się nigdzie w pobliżu, by wyskoczyć znienacka i rozpedzić zawiązki formowanych chorągwi, rycerze i ich poczty jawnie już zaczęli ściągać pod nowe znaki. Wyprawa, do której Ezena zmusiła komendanta swojej armii, nie miała żadnego sensu. Co prawda, po odbiciu Netenu Yokes mógł podjąć marsz na Lida Aye i zagrozić armektańskiemu pograniczu, ale ta kampania powinna była rozpocząć się jeszcze przed deszczami... Czyli wtedy, gdy komendant Sey Aye nie zdobywał Netenu, lecz go bronił, tracąc całą piechotę i strasząc wroga groźnym wyglądem swoich jeźdźców, zamiast wyjść z nimi na tyły Armii Zachodniej, czego tak obawiał się nadtyśięcznik Caronen.

Jeszcze wcześniej napłynęły kiepskie wieści z Sey Aye. Kesa donosiła, że Caronen rusza właśnie do Puszczy, w związku z czym wydała polecenie wyprowadzenia do lasu całej ludności polany. Uspokajała, że wie, co musi zabrać ze sobą, a co zniszczyć, żeby nie wpadło w ręce wroga. Do listu Perły był dołączony krótki raport Ohegeneda. Komendant gwardii księżnej, a ostatnio także dowódca wszystkich sił broniących Sey Aye, zapewniał, że poprowadzi leśną wojnę szarpaną przeciw armektańskim legionom, i był dobrej myśli, co nie mogło jednak przysłonić faktu, że uciekał z majątku swojej pani, wydając jej ziemie na łup najeźdźcom. Krótko mówiąc, pani Dobrego Znaku lada dzień miała zostać panią pogorzeliska. Tylko takiej wiadomości było trzeba Stronnictwu Słusznej Sprawy — bo zarówno zawiązanie się tego bractwa, jak i jego nazwa, nie stanowiły już wielkiej tajemnicy. Choć oczywiście ciągle powtarzano — wprawdzie z coraz wyraźniejszą kpina, jeśli nie zgoła szyderstwem — że są to wojska

szukowane dla księżnej regentki.

Przyjęty nie wąpił, że dla niej. Nikt nie wąpił. Dla niej, ale jako „honorowa eskorta” w drodze do Lida Aye albo zgoła do samego Kirlanu (bo chwilową stolicę Przedstawiciela mógł przecież lada tydzień zdobyć człapiący na czele swych chorągwi Yokes, uporawszy się najpierw z obrońcami Netenu).

Wreszcie przyszły wieści od Enewena, odrobinę pomyślniejsze. Ahe Vanadeyone sforsowali Ranelę i w dwóch kolumnach marszowych posuwali się ku Potrójnemu Pograniczu. Enewen zapewniał, że jest w stanie zarówno zdobyć samo miasto, jak i wywiązać się z zadania spustoszenia wszystkich pogranicznych ziem armektańskich, a nawet grombelardzkich. Nie umiał tylko powiedzieć kiedy. A było to pytanie najważniejsze, na które odpowiedź powinna brzmieć: wczoraj. Upadek regentki był kwestią dni. Dwóch? Może trzech lub czterech... Gotah domyślał się, na co czekają przywódcy Stronnictwa Słusznej Sprawy. Na wieści z Puszczy Bukowej. Przyjąłby każdy zakład, że wiedzieli o rozpoczęciu leśnej kampanii Caronena, i to wiedzieli z najpewniejszego źródła: od samego Księcia Przedstawiciela Cesarza. Armektańscy dowódcy mieli rozeznanie, jakie siły bronią Sey Aye. Od początku było jasne, że Caronen osiągnie sukces. Można było zapytać najwyżej: jakim kosztem?

Idąc do komnaty Anessy, Gotah zastanawiał się, jak przemówić do Pierwszej Perły. Chciał poruszyć sprawę, która dawno powinna zostać poruszona: w jaki sposób ocalić Ezenę? I nie chodziło o tron, lecz wolność, albo zgoła życie. Już dziesięć razy otwierał usta, by zwrócić się do księżnej z tą sprawą, i zawsze milkł pod jej uważnym spojrzeniem, w którym można było wyczytać: „Wiem, z czym przyszedłeś i... nawet nie próbuj”. Postanowił w końcu porozmawiać z Pierwszą Perłą, choć może powinien zacząć od Hayny.

Zapowiedziany przez służkę pięknej Anessy, odczekał trochę pod drzwiami — w sam raz tyle, ile było trzeba, by I. N. Eynes, znakomity rycerz stojący na czele strzegącej pałacu Mniejszej Chorągwi Domu, pozbierał się i wyszedł, uprzejmie pozdrowiwszy go w drzwiach. Perła nie pozbierała się równie starannie; jej włosy wyglądały troszeczkę byle jak. Wprawdzie nie do tego stopnia, by piękna blondynka mogła uchodzić za rozczochraną — ale to jednak na pewno nie był ten sam kok, który

rano ułożyła niewolnica. Gotah poczuł daremność wszystkich wysiłków. Przyszedł do kogoś, kto w samym środku dnia myślał o... pogłębieniu znajomości z rycerzem jego godności Enewena. Zastanawiał się teraz, czy warto coś powiedzieć na ten i na jakikolwiek inny temat.

— Przeszkodziłem — powiedział wreszcie, ale nie dodał „przepraszam”. — Chciałem o czymś porozmawiać, ale nie wiem, czy warto.

Ponowiła gest, który uczyniła już przed chwilą: żeby usiadł.

— A o czym chcesz rozmawiać, wasza godność?

Anessa lubiła Gotaha mniej więcej tak samo, jak Gotah Anessę.

Westchnął mimo woli.

— Naprawdę nie wiem, czy jeszcze chcę. Ale może powinienem, Perło, chociaż raz powiedzieć, co właściwie myślę o tobie. — Tylko Kesę tytułował kiedyś „panią”, pozostałe niewolnice były dla niego co najwyżej „Perłami”. — Nie ma to żadnego znaczenia, ale będzie uczciwe.

Uśmiechnęła się po krótkiej chwili, lecz nie był to ciepły uśmiech.

— No dobrze — pozwoliła. — Obyś tylko nie żałował, wasza godność.

— Miałbym żałować? A dlaczego?

— Dlatego, wasza godność, że już kilkakrotnie byłeś trochę zbyt pochopny w swoich sądach. Nie przepadam za tobą, panie — wyznała z całkowitą szczerością — ale chciałabym zawsze cenić twoją mądrość i wiedzę. Ta druga jest naprawdę ogromna. Ale z tą pierwszą bywa różnie.

Aż uniósł brwi.

— O, naprawdę?

— Naprawdę.

Nie powiedziała nic więcej, zrozumiał więc, że teraz jego kolej. Ale dała mu trochę do myślenia. Zdawał sobie sprawę, że jest do tej kobiety mocno uprzedzony. To ograniczało wiarygodność sądów.

— Właściwie chciałem powiedzieć to samo albo coś bardzo podobnego. Cenię twój żywy umysł, Perło, potrafisz być błyskotliwa i wręcz niezastąpiona. Ale gdzieś, bardzo płytko, schowana jest wstrętne kobieca pustota.

— A dlaczegoż by nie, wasza godność? Mam prawo mieć jakąś wadę. Jestem zapewne najdroższą niewolnicą Szereru. W najlepszej dartańskiej hodowli uzyskano klejnot, jakiego nie było już dawno, i trudno

przypuszczać, żeby od razu pojawił się drugi, podobny.

— Może pojawił się gdzie indziej... Domyślasz się pewnie, Pierwsza Perło, jakie ma dla mnie znaczenie twoja cena?

— Tarzam się z mężczyznami, bo lubię. — Lubiła także być troszeczkę wulgarna. — Ale zawsze wiem, dokąd zmierzam i co trzeba zrobić, wasza godność. Nie jestem Hayną, która obrazi się nagle na rzeczywistość i będzie siedziała w swojej komnacie myśląc: „I tak jej nie upilnuję”. I dostanie za to po buzi.

— Uderzyłaś ją?

— Nie ja. Kogo, Haynę? Tylko raz próbowałam i do dzisiaj boli mnie na samo wspomnienie — rzekła z cierpką. — Wprawdzie to tylko pies, ale bardzo dobrze wytresowany. Czy przyszedłeś, wasza godność, porozmawiać ze mną o czymś ważnym? — zapytała wprost. — Jeśli tak, to mów wreszcie.

Gotah pomilczał. Pomedytował.

— Nie, Perło — powiedział po chwili. — Nie mam żadnych ważnych spraw. Albo raczej mam sprawę, ale tylko jedną. Wyjeżdżam wkrótce, może nawet jutro przed południem i chciałem się pożegnać. Nie wiadomo co może się zdarzyć i później może nie być okazji.

— Wyjeżdżasz? No tak, to co dzieje się właśnie w stolicy, to nie są twoje sprawy, mędrce Szerni... A zatem żegnam waszą godność. Nie będziemy płakać z powodu rozstania, prawda?

— Nie, Perło. Nie będziemy płakać.

Przyjęty poszedł do Hayny.

Czarna Perła warowała w przechodnim pokoju; wiodło stąd troje drzwi do dalszych komnat księżnej regentki. Na widok Gotaha, zapowiedzianego przez jeźdźca z chorągwi Enewena, który trzymał straż na korytarzu, uniosła spojrzenie.

— To najbardziej pusty i cichy pałac w całym Szererze — zażartował blado Przyjęty, o ile w ogóle był to żart.

— Jest tu prawie cała służba z Sey Aye. Ale ten dom wsysa ludzi, jak suchy piasek wodę. Zbudowano go z myślą nie o jednej mieszkance i jej niewolnikach, ale o setkach gości, dworzan i petentów.

Od pewnego czasu Hayna nie nosiła swojej jaskrawoczerwonej narzuty. Na kolczudze miała jasnozieloną tunikę, podobną trochę do munduru legionisty imperium. Ale wysokie buty, czarna spódnica

haftowana złotem, przede wszystkim zaś dwa pasy na biodrach były takie same, jak kiedyś.

— W kolorze zielonym jesteś jeszcze piękniejsza, Hayno.

— Rzeczywiście? Ale to nie mój wybór, wasza godność. Stara tradycja, a dla niektórych ostrzeżenie.

— O, naprawdę? — zdziwił się Przyjęty. — Nie wiem, nic nie słyszałem o tradycyjnych barwach Pereł Domu.

— Raczej tradycyjnych barwach przybocznych gwardzistów. W Dartanie barwa jasnoczerwona oznacza wojnę, a niedawno byłam przeciw wojowniczką strzegącą pani na wojnie. Tutaj wojny nie ma.

— Czy zielona barwa oznacza pokój? — zdziwił się Przyjęty.

Czerń była barwą groźby i żałoby, książęcy szkarłat i królewska purpura barwami władzy. Ale o znaczeniu innych barw Gotah nic dotąd nie wiedział! Zresztą na pewno nie u każdego oznaczały to samo. Różne zamknięte a elitarne klany — takie choćby, jak szkoleni do walki gwardziści — miały własne tradycje.

— W czasie pokoju nosi się wszystkie barwy — powiedziała Hayna z uśmiechem. — Oprócz czerwonej i jasnozielonej. Jasnozielona to ostrzeżenie.

— Przed czym?

— Przed tym, wasza godność, że jestem i czuwam — powiedziała Hayna odrobinę kpiąco. — Że trzeba mnie zabić, nim cokolwiek złego spotka moją panią, i to nie musi być od razu zamach na jej życie. Nie mogę nosić tej barwy bez pozwolenia księżnej, bo to wiadomość od niej, nie ode mnie. Ta wiadomość brzmi mniej więcej tak: „Kimkolwiek jesteś, licz się z tym, że stojąca przy mnie gwardzistka może zabić cię nawet za jedno nieopatrzne słowo”. Odradzałam jej tę barwę.

— Dlaczego? — Gotah był trochę oszołomiony.

— Dlatego, wasza godność — dziewczyna wciąż uśmiechała się lekko — że tak naprawdę to jest barwa strachu. Dowodzi, że miecz wiernej przybocznej jest ostatnim posiadanym argumentem. Powiedziałam to księżnej, ale nie cofnęła decyzji. Ta barwa — dodała jeszcze — uniemożliwia właściwie jakąkolwiek poważną rozmowę, o sporze nie wspominając. Do księżnej regentki można podejść teraz tylko na czele oddziału uzbrojonych rycerzy, z zamiarem użycia siły.

— I jej wysokość kazała ci nosić tę barwę?

— Tak.

— Czy mogę do niej wejść? Właściwie przyszedłem porozmawiać z tobą, ale może lepiej zacznę od księżnej.

— Zapowiem cię, wasza godność.

— I będziesz asystować przy rozmowie? Strach powiedzieć, ale może dojdzie do sporu między jej królewską wysokością a mną...

Hayna parsknęła śmiechem.

— Ciebie, wasza godność, nie obchodzi, co noszę. To nie są wiadomości dla ciebie. Poczekaj, zapowiem cię. Ale nie licz za bardzo, że zostaniesz przyjęty. Ezena... jej królewska wysokość snuje od wczoraj jakieś rozważania, rozmawia sama ze sobą, jak to ma w zwyczaju, i w zamyśleniu drze obrus na długie, bardzo równe pasy... Poczekaj, zaraz wrócę.

Zniknęła za jednymi z trojga drzwi.

Zgodnie z obietnicą wróciła po krótkiej chwili.

— Możesz wejść, wasza godność, jesteś nawet bardzo pożądanym... Nie wiem, o co chodzi — uprzedziła pytanie. — Przejdź przez pierwszy pokój i wejdź prosto w następne drzwi. Odwagi! — dorzuciła z właściwym sobie dobrym humorem.

Gotah nie miał pojęcia, skąd dobry humor u kogoś, kto nosi zieloną narzutę, o której to barwie dowiedział się właśnie tylu niezwyklej rzeczy. Zrobił, jak kazała Hayna: pomaszerował przez wielką salę ku następnym drzwiom. Stała przed nimi przyboczna niewolnica. Widząc Przyjętego, skinęła głową i bez słowa odsunęła się na bok. Gotah wszedł do kolejnego pomieszczenia i przystanął zaraz za progiem.

— O, nie — powiedział. — Prosiłem, wasza wysokość, żebyś nie pokazywała przy mnie takich sztuk.

Był w sypialni; Ezena wszystko, co tylko mogła, robiła w łóżku. Podawano jej do łóżka śniadania, czytała w nim, czasem nawet pisała, niemiłosiernie plamiąc pościel inkaustem. Teraz oddawała się głębokim rozważaniom. I o ile zielona tunika Hayny miała jakąś symboliczną wymowę, to jeszcze bardziej wymowna była rozchełstana koszula jej królewskiej wysokości regentki. Obrażona Armektanka wylegiwała się na wznak, opierając gołą łydkę na kolanie drugiej, ugiętej nogi. Z głębokim namysłem wpatrywała się w palce stopy. Poruszyła nimi, prostując i zadzierając na zmianę. Być może w kształcie paznokci było

coś niezmiernie pouczającego.

— Jestem we własnej sypialni, wasza godność — powiedziała chłodno. — Nie wzywałam cię. Uważasz, że będę pośpiesznie zmieniać strój zawsze, gdy przyjdzie ci do głowy złożyć mi niezapowiedzianą wizytę? W każdej chwili możesz wyjść, pozwalam.

— Przepraszam, wasza wysokość — rzekł Gotah. — Przyszedłem porozmawiać.

— To rozmawiaj — pozwoliła, nie spuszczając wzroku ze swej stopy.

Apatyczna, obrażona. Jak zawsze, gdy nie miała zupełnie nic do roboty.

„Odwagi!” — ponuro pomyślał Przyjęty, wspominając, co przed chwilą powiedziała Hayna. „Skoro pozwoliła, to mogę sobie trochę porozmawiać...”.

— Wasza wysokość, jutro będą tutaj przedstawiciele Domów Rollayny, a także z całego okręgu i nawet z południowego Dartanu. Co zamierzasz?

— Skąd wiesz, że jutro?

— Jutro, pojutrze... Wszystko jedno.

— Wcale nie wszystko jedno. Czekam na wieści z wojny.

Nie miał pojęcia, na jakie wieści liczyła. Yokes, gdyby trochę się pośpieszył, mógł pewnie odbić Neten, a nawet zdobyć Lida Aye. Czyli jedno z dartańskich miast... Jaka była wymowa podobnego wojennego czynu? Książę Przedstawiciel spokojnie mógł zabrać stamtąd manatki, bo naprawdę dało się posyłać tajnych kurierów do Stronników Słusznej Sprawy i z Tarwelaru. Czemu nie? Z kolei Enewen raczej nie mógł rozbić świetnie dowodzonych, imperialnych wojsk na wschodzie, bo gdyby mógł, zrobiłby to już dawno. Ale nie, wręcz przeciwnie. Donosił przecież tylko, że jest w stanie zdobyć Akalę. Czyli kolejne miasto, należące wprawdzie do imperium, ale ani armektańskie, ani dartańskie, ani grombelardzkie... Miasto-księstwo na pograniczu. Czy dartańskie rody, gotowe poprzeć sprawę Kirlanu, mogły zdrzeć na wieść, że Enewen zdobył Akalę? Jedyłą wieścią, jaka powinna wkrótce napłynąć do stolicy, była wieść o spaleniu Dobrego Znak, bo że doszło do tego, trudno było wątpić, choć Puszcza zamknęła w swej głębi wszystkie wojenne echa. Według obliczeń Gotaha nadtyśięcznik Caronen właśnie puszczał

porzucone dobra z dymem... Na przybycie jakiego zdyszanego gońca, zajeżdżającego rozstawne konie, liczyła jej wysokość Ezena? Jaką niby wiadomość miał wieść? Doniesienie o zdobyciu Kirlanu? Chyba tylko to jedno mogło jeszcze odwrócić losy wojny. Wielka szkoda, że Kirlan leżał w odległości kilkuset mil i Yokes nie mógł groźnie powlec się w jego stronę.

Najwyraźniej chciała się dowiedzieć, czy mędrzec Szerni nie skorzysta z pozwolenia i w pół słowa nie wyjdzie z komnaty. Wyprostowała nogi, odrzuciła ręce za głowę i przeciągnęła się z kwaśną miną, jakby przyszło jej dokonać czegoś wielce nieprzyjemnego. Czarny zarost bezwstydnie wylazł spod podciągniętej koszuli. Co jeszcze zamierzała zrobić wobec gościa?

— Chcesz rozmawiać, mędrzce Szerni czy dumać tu razem ze mną? To połów się gdzieś, gdzie ci wygodnie — zrobiła szeroki gest, pokazując na posadzkę — i dumaj.

— Wasza wysokość, wyjedź z tego miasta. To jeszcze może się udać.

— Dokąd mam wyjechać? Do Dobrego Znak? Czy do wojsk Enewena, objąć tam komendę nad jedną z jego chorągwi?

— Choćby do wojsk Enewena.

Przyjęty uzyskał odpowiedź na pytanie, co jeszcze zrobi jej królewska wysokość. Otóż jej królewska wysokość księżna regentka wyprawiała na łóżku łamańce, które miały na celu tylko jedno: rozgniewać Przyjętego i sprowokować go do kłótni. Koniecznie chciała wyżyć się na kimś. Teraz próbowała chyba założyć nogę za głowę, a może tylko oglądała podeszwę stopy, oburącz przyciąganej do oczu. Jeśli mędrzec Szerni nie pamiętał, jak dokładnie wygląda kobieta, to właśnie mógł sobie przypomnieć najdrobniejsze szczegóły.

— Czy wszyscy w tym pałacu poszaleli? — zapytał.

— Przeciwnie. Wszyscy robią swoje, a niektórzy nawet jeszcze więcej... Wasza godność, czy naprawdę nie masz mi do powiedzenia nic, ale to nic ciekawego?

— Wyjedź ze stolicy, Ezeno — rzekł niegłośno. — Proszę cię.

Po raz pierwszy popatrzyła wprost na niego. Po krótkiej chwili obciągnęła nieco koszulę, przekręciła się na bok i podparła głowę ramieniem.

— Nie, wasza godność — powiedziała wreszcie, tak samo cicho, jak

on, — Co ma być, to będzie. Zasiadłam na tym krześle w sali tronowej i wytrwam na nim do końca. Jakiegokolwiek końca.

— Czy jest coś... — zaczął ostrożnie. — Czy jest coś, o czym wiesz, wasza wysokość? Coś, co ma znaczenie dla twojej sprawy?

— Wiem, ale ci nie powiem.

— Nie zasługuję na zaufanie?

Znowu położyła się na plecach.

— Zasługujesz, wasza godność — rzekła, patrząc w sufit. — Ale ja... trochę boję się śmieszności. Czasem liczę na coś, co uznałbyś za zupełnie niepoważne. I wstydę się przyznawać do takich nadziei. W każdym razie nie wyjadę stąd.

— Za to ja chciałbym wyjechać. Przeszedłem poprosić waszą wysokość o pozwolenie.

— Nie pozwalam.

— O... — powiedział zaskoczony. — A dlaczego, wasza wysokość?

— Dlatego, mędrze Szerni, że związałaś swoje losy z moimi. Nie będziesz włóczył się za mną, jak za ciekawym okazem zwierza, wystawianego na jarmarkach. Pooglądasz, a kiedy ci się znudzi, pójdiesz sobie, czy tak? No więc, nie. Jesteś mi dzisiaj zbędny, ale możesz być potrzebny jutro. Proszę, byś nadal zechciał gościć pod moim dachem.

Nic już nie było do powiedzenia. Przyjęty odczekał chwilę, potem skłonił się lekko i wyszedł. Miał wrażenie, że po raz ostatni w cztery oczy rozmawiał z jej wysokością Ezeną, panią Dobrego Znak. Młodą kobietą odzianą w prostą koszulę praczki.

*

Być może regentka lepiej знаła dartańskich magnatów i rycerzy niż Gotah, a może rzeczywiście wiedziała coś więcej... Dość, że minęły jeszcze trzy długie dni, nim pierwsze chorągwie jęły ściągać pod mury i na przedmieścia stolicy. Prawdę rzekłszy, Przyjęty nie był tym zdziwiony; dartański rycerz nie lubił się śpieszyć, a już zwłaszcza wtedy, gdy prowadził z kimś rokowania. Pozostało tylko po raz kolejny pogratulować księżnej przenikliwości, opanowania i chłodnego spojrzenia; gdy wszyscy wokół dowodzili, że katastrofa zdarzy się lada chwila, ona jedna potrafiła ocenić sprawę z należytego dystansu. Przywódcy Stronnictwa Słusznej Sprawy nie mieli żadnego powodu do pośpiechu; przeciwnie, jakieś małe niepowodzenie wojsk imperialnych

mogło tylko wzmocnić ich pozycję przetargową. Im bardziej Kirlan ich potrzebował, tym więcej musiał obiecać. Niewykluczone, że rycerstwo Słusznej Sprawy nie mogło się doczekać, kiedy wreszcie Yokes odbije nieszczęsny Neten... Niemniej, pierwsze ich oddziały przybyły jednak pod Rollaynę. Wierni rycerze i pocztowi Małej Chorągwi Domu pilnowali pałacu regentki dniem i nocą, trwając w pełnej gotowości bojowej, z końmi trzymanymi pod siodłem, na wypadek gdyby jej królewska wysokość podjęła jednak decyzję o wyjeździe, a może raczej ucieczce... dokądś. Dokądkolwiek. Z przedmieścia nadeszła druga chorągiew, nie zabrana przez Yokesa na wyprawę, jedna z posiłkowych, zostawionych przez Enewena. Na przedmieściu przed Bramą Pani Seili stała jeszcze trzecia chorągiew, a raczej licząca stu paru jeźdźców chorągiewka, dowodzona przez jego godność K. D. R. Wasanena, pozyskanego niedawno honorowego sprzymierzeńca. To było całe wojsko, gotowe bronić księżnej i jej sprawy.

Nadeszła długo oczekiwana wiadomość, a raczej od razu dwie wiadomości: jego godność Enewen donosił o zwycięstwie w walnej bitwie z Armią Wschodnią nadtysięczniczki Terezy. Druga wieść, gromko rozpowszechniana w stolicy, brzmiała dokładnie odwrotnie: Armia Wschodnia, w walnej bitwie niedaleko Akali, pobiła wojska Ahe Vanadeyone... Gotah domyślał się, co to naprawdę oznacza, bo historyczne kroniki były pełne obustronnie wygranych bitew. Najprawdopodobniej dwa wojska nawzajem dały sobie tęgiego łupnia, jedno musiało ustąpić, a drugie miało dwa razy więcej poległych... W podobnej sytuacji każdy dowódca, jak świat światem, uważał, że odniósł zwycięstwo, i nawet nie kłamał, przynajmniej we własnym przekonaniu. Dopiero dalszy przebieg zmagania udzielał zwykle odpowiedzi na pytanie, co właściwie było ważniejsze: dotkliwe straty czy utrata jakiegoś terytorium.

Następny list od K.B.I.Enewena, sporo obszerniejszy, w całej rozciągłości potwierdził domysły Przyjętego. Armia Wschodnia uderzyła na słabszą kolumnę Ahe Vanadeyone, przyparła walczące bez zapału rycerstwo do jakichś bagien i bez mała wyrznęła w pień, a częściowo potopiła. Enewen jednak zdążył z odsieczą na plac boju i tuż przed zachodem słońca zdołał rozbić chwilowych zwycięzców. Noc uniemożliwiła przeprowadzenie skutecznego pościgu, ale wszystko

wskazywało na to, że zwartej armii imperialnej już nie ma. Jednak doniesienia o stratach były wręcz przerażające: wódz Ahe Vanadeyone, szczerze i odważnie jak zawsze, raportował, że blisko trzy tysiące ludzi pod wodzą C.L.L. Ovenetta, zostało wręcz zmasakrowanych w powszechnej ucieczce i bezładnym odwrocie na bagna. Godne wzmianki straty cesarscy ponieśli dopiero po nadejściu odsieczy, ale okupiono to życiem jeszcze kilkuset zbrojnych. Krótko mówiąc, jeśli Armia Wschodnia, rozpedzona na cztery wiatry, miała się już nie zebrać, to bez dwóch zdań zwyciężył Enewen. Ale jeśli jednak miało się okazać, że nadtyśięczniczka ściągnęła z powrotem pod rozkazy choć połowę swoich legionistów, to co właściwie osiągnęli rycerze, poza utrzymaniem pola bitwy z przeszło trzema tysiącami własnych trupów?

Jednak polityczne zwycięstwo odniosła na pewno Armia Wschodnia. W rozpowszechniane przez dwór regentki wieści nikt specjalnie nie wierzył — gdy odwrotnie, doniesienia o kolejnej klęsce jej oddziałów były bardzo po myśli przywódców Stronnictwa Słusznej Sprawy. Kwestia opowiedzenia się przez rody po stronie Wiecznego Cesarstwa została przypieczętowana; najwyraźniej czekano już tylko na nadejście chorągwi z południowego Dartanu, nie chcąc bez zdecydowanej przewagi liczebnej wdawać się w krwawe boje z rębajłami Enewena, wspieranymi przez oddział łysego rycerza z Domu K. D. R. Ale w stolicy wszczął się ruch. Wszyscy czuli, że wielkie zmiany wiszą na włosku; przez cały dzień oczekiwano, że zaraz coś się wydarzy, i to oczekiwanie można było wyczuć nawet w rozmowie z ulicznym przekupniem. Jednak czas jeszcze nie nadszedł. Nie wydarzyło się nic, ani w mieście, ani w pałacu regentki.

47.

Zdruzgotane ciosem ramię do reszty pogruchotał upadek z kulbaki na ziemię; w bezkształtnej krwawej masie widniały ostre kawałki kości, które w wielu miejscach przebiły skórę. Medyk w długim, szarym przyodziewku, owinięty od pasa do kolan końską derką, jął kręcić głową, wzdychać i przewracać oczami.

— Czekają następni — ochryple powiedziała Tereza. — Rób, co masz robić, tylko najpierw dajcie mi wódki.

Dwaj nadsetnicy wymienili spojrzenia. Gorzałki brakowało, ale dla

nadtysięczniczki coś jednak mogło się znaleźć... Może ktoś jeszcze miał? Jeden z oficerów oddalił się pospiesznie.

Stękania i przekleństwa ciężko rannych ludzi wypełniały cały zagajnik, ale wciąż znoszono następnych. Było już całkiem widno, ale wciąż jeszcze nie nadeszły żadne pewne wieści o wrogu. Półprzytomna, otępiąta z bólu nadtysięczniczka, próbowała jednak myśleć o pozbieraniu swego wojska. Albo chociaż ocaleniu wszystkich rannych, jakich dało się jeszcze ocalić.

— Jak nie ma wódki, no to trudno — powiedziała. — Już nie mogę z tym... Co się gapisz, całe życie lewą ręką prowadziłam konia! — ofuknęła oficera, parskając jakimś ni to śmiechem, ni szlochem. — Z łuku zawsze strzelałam jak cipa, a miecza nie trzymałam od dwudziestu lat... Od tego są moi żołnierze, ja mam tylko dowodzić...

Nadsetnik widział, że rozmowa pomaga dowódczyni, która nie mogła się powstrzymać od patrzenia na trzymaną przez chirurga piłę.

Pędzący z gorzałką oficer już z daleka krzyczał, że ją ma. Jakiś ranny, który zaraz sam miał trafić pod rękę rzeźnika, oddał natychmiast, gdy tylko usłyszał, że to dla nadtysięczniczki. Tereza pociągnęła potężny łyk, zakrztusiła się i odetchnęła. Poprawiła jeszcze.

— No to... marsz. Dajcie mi coś w zęby. Bez języka... to już na pewno nie będę dowodziła...

Podetknięto kłębek niezbyt brudnych szmat. Nadtysięczniczka wytrzeszczyła oczy i wygięła się pomimo ciężaru trzymających ją ludzi. Medyk szybko okroił nożem mięso wokół kości, trochę poniżej miejsca, gdzie zamierzał odciąć wszystko, co zbędne, podciągnął skórę do góry, a potem wziął swą piłę. Rozbrzmiał zgrzyt, a wraz z nim głuchy ryk mdlejącej z bólu kobiety, którego nie mogły powstrzymać wetknięte w usta szmaty. Po krótkiej chwili litościwa Arilora zakryła dłońią oczy swojej wojowniczką; Tereza straciła przytomność. Medyk szybko dokończył dzieła, przypalił podanym żelazem tryskające krwią naczynia, potem uformował z luźnej skóry zgrabny kikut i machnął ręką, dając znak, że skończył. Owinięcie resztki ramienia szmatami to było zajęcie dla pomocnika, nie samego mistrza. Na specjalny blat, oparty na dwóch zdjętych z wozu skrzyniach, kładziono już łucznika z nogą stratowaną chyba przez setkę galopujących koni. W każdym razie tak wyglądała. Medyk otarł pot z czoła, bo piłowanie kości wcale nie było lekką pracą,

dał łucznikowi łyk niedopitej przez nadtyśniczniczkę berbeluchy i zabrał się do nowej roboty. Gnat udowy był bardzo potężny, łucznik zaś nie myślał mdleć. Ponieważ nie mógł ryczeć na dwie mile, uduszono go niemal, przyciskając do twarzy skłębioną wojskową narzutę.

Tereza nie dotarłaby do swoich, ukrytych w lesie, wozów, gdyby nie ofiarni żołnierze, którzy ją porwali i unieśli z pola bitwy. Półprzytomną dowódczynię armii, leżącą w poprzek końskiego karku, a potem chwiejącą się na wierzchowcu, którego oddał jej napotkany konny łucznik, dowiózł do taborów lekko ranny w głowę trójkowy. Człowiek ten nigdy nie miał usłyszeć od niej podziękowań, bo zaraz z powrotem kazano mu dosiąść wymęczonego zwierzęcia. Nieliczni jeźdźcy musieli być wszędzie jednocześnie, bo tylko oni mogli obieć szmat świata, skupiając niedobitków i kierując ich na miejsca zbiórek. Wstrząśnięci piechurzy słabo znali teren; co innego stale rozsyłana na patrole jazda. Pomimo dokładnych wskazówek, gdzie powinni iść w przypadku zgubienia się po bitwie, żołnierze zwykle nie byli w stanie odnaleźć drogi nawet w dzień, a cóż dopiero w nocy.

Konny łucznik, który przywiózł do taborów Terezę, a potem pojechał szukać towarzyszy, nigdy już nie wrócił do szeregów.

Odzyskawszy przytomność, dowódczyni armii poczuła się znacznie lepiej. Resztką ramienia bolała tak, że miała ochotę jęczeć bez chwili przerwy, na dodatek był to ból bardzo dziwny, bo wciąż jej się zdawało, że dobiega z łokcia, przedramienia, dłoni... Ale to było niewiele w porównaniu ze wspomnieniem piły konowała. Kikut bolał (choć Tereza wołała żołnierskie słówko: napierdalał) jednak równo, rwał bardzo rytmicznie i między tym rwaniem — którego rytm stał się wkrótce całkiem zgodny z rytmem oddechu — nadtyśniczniczka mogła wypowiadać się dość zrozumiale. Złościło ją tylko, że nic nie może poradzić na stale stojące w oczach łzy.

Przyjmowała raporty oficerów i gońców. Tych ostatnich natychmiast posyłała z powrotem do oddziałów. Wieźli wieść o przejściu Armii Wschodniej pod komendę tyśicznika Aroneta (Tereza wiedziała już, że jej zastępca żyje i odniósł bardzo powierzchowną ranę). Wyznaczono dwa miejsca zbiórki wszystkich wojsk: główne i zapasowe.

Jeszcze przed południem nadtyśniczniczka wyrobiła sobie ogólny pogląd na sytuację. Nie była aż taka zła. Przed wszystkim w rozbitej

Armii Wschodniej próżno było szukać objawów rozprężenia, upadku ducha i dyscypliny. Rozproszeni żołnierze szukali towarzyszy, skupiali się w grupy i grupki, wyłaniali tymczasowych dowódców i pod ich kierunkiem podejmowali przemyślane działania. Wiele oddziałów zachowało zwartość; Tereza bez zdziwienia przyjęła gońca od Agatry, która już o północy miała pod komendą większość żołnierzy półlegionu gwardyjskiego. Goniec raportował, że tysięczniczka dowodzi teraz zbiorczym legionem, złożonym z podporządkowanych sobie oddziałów, i nienaciskana przez wroga cofa się powoli ku armijnym taborom, gotowa je osłonić nawet przed dość poważnymi, wysłanymi w pościg, siłami. W ogóle nie było doniesień o jakichś przerażonych ludziach bez broni, pragnących tylko uciekać przed siebie, byle dalej. Odnalazło się za to kilku kocich zwiadowców, działających jak zwykle pod samym nosem wroga. Ahe Vanadeyone stali obozem tuż obok zdobytego pola bitwy, nie podejmując żadnych zdecydowanych działań poza rozpoznawczymi. Z rzadka tylko dochodziło do potyczek między patrolami rycerzy, a jakimiś oddziałkami legionistów. Enewen nie umiał, bądź z jakichś przyczyn nie mógł, zebrać owoców zwycięstwa.

Do taborów spływało coraz mniej raportów i meldunków; miejsce postoju armijnego zaplecza było najpierw jedynym, które wszyscy znali, i dlatego dowódcy kierowali tam gońców. Ale zdecydowane rozkazy Terezy, oddającej dowodzenie armią w ręce Aroneta, wywarły pożądany skutek: tysięcznik coraz pewniej zarządzał oddziałami Armii Wschodniej, zarówno tymi, które już spłynęły do punktu zbornego, jak i pozostałymi, wciąż jeszcze będącymi w marszu. Tereza, już tylko jako komendantka armijnego zaplecza, także nakazała wymarsz swoich „sił”, złożonych z medyków i kilku setek rannych żołnierzy, meldując o tym nowemu dowódcy. Znaczna część zaplecza ruszyła w drogę już z samego rana — były to wozy wyładowane zapasami żywności, a raczej tym, co z tych zapasów zostało, i sprzętami obozowymi. Do wieczora wszystkie taborowe kolumny były w drodze, kierowane ku wiosce oznaczonej jako punkt zborny armii. Osłaniał je, wciąż wchłaniający nowe grupki i pojedynczych żołnierzy, legion Agatry. Tysięczniczka odsyłała do taboru kilkudziesięciu ciężko rannych, jednocześnie raportując, że ma już pod bronią blisko sześciuset zdolnych do walki legionistów.

Pozostawiona wreszcie samej sobie, leżąca na rozchybotanym

wozie, rozgorączkowana Tereza miała wrażenie, że umiera. Próbowwała pozbierać się, ale nic z tego nie wychodziło. Bezsensowność, upływ krwi, a na koniec nieustanny szarpiący ból, nasuwały myśli, jakich nigdy dotąd nie miała. Nadtysięczniczka zasnęła na chwilę i obudziła się, gdy jedno, a zaraz potem drugie koło wozu wpadło w dziurę. Jakieś graty osunęły się na owinięty w skrwawione szmaty kikut i Tereza poznała nowe oblicze bólu. Półprzytomna, po jakimś czasie chciała otrzeć z twarzy pot i łzy, co się nie udawało, i nadtysięczniczka zdała sobie sprawę, że próbuje użyć ręki, której nie ma... W ciemności, pod podziurawionym płóciennym dachem wozu, twarda wojowniczką z wielkim trudem przekręciła się na lewy bok, wtulając twarz w jakieś pakunki, i przez pewien czas była tylko okaleczoną do końca życia, pięćdziesięcioletnią kobietą, na którą nikt nigdzie nie czekał. Nie istniało żadne imię, które mogłaby cicho wymówić, ze świadomością, że ten człowiek martwi się gdzieś... choćby nawet daleko... o swoją zawsze młodą dziewczynę i przyjmie ją taką, jaka wróci, byleby tylko wróciła. Miała jechać na tym wozie dokądś, nie wiadomo dokąd, nie wiadomo jak długo — obolały, wieczny dodatek do konia i kolczugi.

Ale istniało chociaż miejsce — coś, co jest tak bardzo potrzebne przemierzającemu setki mil żołnierzowi. Państwo, naród, kraj... Za takimi wielkimi słowami nie stało nic konkretnego; nic, czego dałoby się dotknąć choć myślą. Lecz istniało najpiękniejsze na świecie miasto: znane uliczki, rynek, mieszkańcy... Widoczne z baszty garnizonu, doskonale znane dachy domów. Skrwawiona, zasikana i brudna, cuchnąca bólem kobieta na wozie myślała o swoim mieście. Skupisku budynków i ludzi, a zarazem jednej wielkiej istocie, która była przez kogoś kochana i umiała odwzajemnić tę miłość. Gorączkująca żołnierka znalazła swoje końące słowo i wymówiła je bardzo cichutko... a może tylko poruszyła w ciemności ustami.

*

Późnym popołudniem kilka chorągwi Enewena mogło wreszcie ruszyć w pościg za uchodzącym wrogiem, wykrytym przez konne patrole. Tuż przed zachodem słońca Ahe Vanadeyone dopadli i po krótkim, krwawym boju, rozbili dowodzoną przez Agatrę ariergardę. Śladem czołowych chorągwi, przez całe popołudnie, aż do zapadnięcia nocy, ciągnęła reszta wojska i tabory.

Kolumny wozów Armii Wschodniej mozolnie posuwały się przez całą noc i nie stanęły po nadejściu świtu. Do celu było jeszcze około czterech mil.

W trakcie całej kampanii opóźniające marsz Enewena legiony bez trudu osłaniały swe zaplecze. Sytuacja uległa zmianie, gdy wojsko poszło w rozsypkę i taborry stały się bez mała tylną strażą wojska. Pojedyncze wozy i juczne zwierzęta, trzymane przy samych oddziałach, czasem zgoła na obrzeżach pól bitewnych, przepadły w powszechnym zamieszaniu, istniała już tylko armijna część taboru, w znacznej mierze składająca się z wozów, na których jechali ciężko ranni. Agatra zrobiła co w jej mocy, by zatrzymać wroga, ale miała sześciuset głodnych żołnierzy, zebranych ze wszystkich legionów i wszystkich możliwych formacji przeciw tysiącowi wypoczętych po bitwie jeźdźców. Niemniej, gdyby nie postawa jej zbiorczego legionu, ogon taborowej kolumny zostałaby zapewne zagarnięty przez rycerskie chorągwie jeszcze przed nastaniem nocy. Teraz ludzie i zwierzęta dobywali wszystkich sił, by ująć przed pościgiem wroga, od którego nie odgradzały już żadne własne oddziały. Aronet, desperacko kładący wojsko z resztek, które przeszły pod jego komendę, w żaden sposób nie mógł osłonić długich na kilka mil kolumn, których czoła właśnie wchodziły do obozu. Armia Wschodnia miała jeszcze blisko trzysta wozów, nadciągających w grupach i grupkach, czasem po kilka lub kilkanaście, tak jak były wysyłane z miejsca poprzedniego postoju — byle prędzej. Pośpiech sprawił, że ocalono wiele zapasów i żołnierze Aroneta dostali w końcu jeść, ale rozkawałkowanych taborów, w których najwięcej było wozów z rannymi, nawet liczna i zwarta armia nie mogłaby należycie ubezpieczyć.

W samym ogonie tych porozcinanych węży wlokły się wozy medyków, którzy do ostatniej chwili ratowali znoszonych na ich białe wołaki wojaków, wyglądających zwykle znacznie gorzej niż nad tysięczniczką Tereza. Odjęcie tylko ręki lub nogi było dla owiniętych końskimi derkami chirurgów bez mała odpoczynkiem. Gorzej, gdy trafiał się łucznik, któremu należało wydłubać resztki kolczugi spomiędzy żeber, podruzgotanych ciosami topora i wepchnąć z powrotem wnętrzności do rozciętego brzucha. Jeszcze na trzęsących się wozach, w świetle łojowych lampek i świec, wspierani przez swych pomocników medycy łatali żołnierskie życie. Zakrawało nieledwie na cud, że którykolwiek z tych

ludzi w ogóle przeżył zabiegi, jakim go poddawano. A jednak przeżywali wcale liczni i nie dość, że przeżywali, to po kilku miesiącach — bywało — wracali do szeregów... Objawiał się kolejny powód, dla którego imperialni żołnierze tak dobrze stawali na wojnach. Najmarniejszy z łuczników wiedział, że nikt nie machnie na niego ręką, gdy z żebrami na wierzchu, rozwalonym łbem i nogą wiszącą na kawałku skóry zostanie zniesiony z pola bitwy. Każdego, w miarę sił i możliwości, starano się ratować, jakby miał dożyć stu lat, a był samym wodzem naczelnym. I jeżeli rannego nie zabiły kolejne przemarsze, nie wdała się gangrena lub nie stracił zbyt wiele krwi, zdarzało się, że dochodził do siebie w jakimś mieście na zapleczu wojny.

Nim nastał świt, pobita w obronie taborów tysięczniczka Agatra, znowu miała pod komendą kilkuset żołnierzy. Ze świetnego półlegionu, który jeszcze tak niedawno zadziwił swym wyszkoleniem samego imperatora, zostały żałosne resztki, ale żałosne tylko pod względem liczebności. Gwardziści i legioniści stawali w szykach tak, jakby dopiero mieli ruszać na wojnę. Nosili podarte narzuty, poszarpane kolczugi i powgniatane kirysy, niektórzy nie mieli kapalinów, ciężkozbrojnym czasem brakowało tarcz, a wielu jeźdźcom połamanych w walce włóczni. Byli głodni i niewyspani, czasem lekko ranni. Łucznicy i kusznicy dzielili się pociskami, których brakowało, bo nie było kiedy ściągnąć nowego zapasu z taborów. Tacy ludzie, wspierani przez różnobarwną zbieraninę, zaskakująco sprawnie formującą się w nowe dziesiątki i kliny, za pomocą własnych hełmów i toporów rozkopywali o świcie drogę, którą miały nadciągnąć chorągwie Ahe Vanadeyone. Praca szła tak sprawnie, jakby zapędzono do roboty półlegion płatnych kopaczy, co prawda kiepsko wyposażonych w narzędzia — topornicy rąbali toporami ziemię, zaraz przychodzili łucznicy i wybierali ją hełmami, sypiąc w płaszcze nastawiane przez lekkokonnych. Topornicy odpoczywali i natychmiast po ustąpieniu łuczników znów rzucali się ze swą bronią, rozdrabniając kolejną warstwę w wykopie. Zwiadowcy Enewena, którzy wyruszyli o świcie, mogli wkrótce donieść dowódcy przedniej straży, że o dwie mile dalej uwija się na drodze banda nieśmiertelnych, nie znających się na żartach, ponuraków w niebieskich i niebiesko-szarych tunikach — prawdopodobnie ta sama, którą rozbili wieczorem, tracąc dwie setki zabitych i ciężko rannych jeźdźców. Rzecz jasna, miejsce pod wykop nie

zostało wybrane przypadkowo. Po lewej stronie drogi rósł las, w którym inna posępna zgraja ani chybi ostrzyła groty strzał. Używając wierzchowców jazdy, ściągano jakieś zrąbane drzewa. Szykowała się kolejna utarczka z tylną strażą Armii Wschodniej. Dowódca trzech czołowych chorągwi posłał te wieści do sił głównych, od razu prosząc zarówno o posiłki, jak i puste wozy, na których mógłby złożyć, tak na oko, kilkudziesięciu zabitych i stu pięćdziesięciu rannych.

Ale kilka mil dalej dwa silne patrole Rycerzy Królowej, wyprowadzone przez rzutkich dowódców jeszcze w nocy, ominęły broniony przez Agatrę las, rozpedziły jakiś, maszerujący na przełaj przez łąkę, oddziałek legionistów i połączyły się. Dwaj rycerze, stojący na czele trzydziestu pocztowych, spoglądali z niewielkiego wzniesienia pod lasem na trakt łączący Rollaynę z Akalą, po którym ciągnęły mniejsze i większe grupki wozów. Nie ubezpieczały tych kolumn żadne oddziały pod bronią. Słaniający się na nogach, wsparci o ciężkie pojazdy ludzie to byli ranni, którzy mogli chodzić. Podobnie nieliczni jeźdźcy, towarzyszący wozom, nie tworzyli zwartego oddziału. Poranieni konni łucznicy, dosiadający swoich zwierząt.

Pocztowi nakładali bełty na cięciwy. Po niedługim czasie oddział jezdnych stoczył się ze wzniesienia pod lasem, kłusując ku oddalonej o pół mili drodze. Dowódczyni Armii Wschodniej dostała od swojej Niepojętej Pani jeszcze jeden — ale nie ostatni — dar. Miała stoczyć może najpiękniejszą w życiu bitwę, broniąc swych wspaniałych żołnierzy, którzy już nie mogli trzymać broni.

Nadtysięczniczka jeszcze przed świtem zażądała konia, ustępując miejsca na wozie żołnierzowi, który bardziej go potrzebował. Półprzytomna i gorączkująca, ledwie trzymająca się w siodle, była jednak świadoma tego, co widzi. I raz jeszcze kościana oficerska świstawka ściągała pod jej rozkazy posłusznych, znakomicie wyszkolonych jeźdźców, poowijanych w zakrwawione szmaty, czasem rozgorączkowanych jak ona. Ale na twarzach kilku pojawiły się blade uśmiechy, gdy wyszło na jaw, kto ich poprowadzi do ostatniej szarży, a potem na spotkanie z piękną Panią Wojny i Śmierci. Dowódczyni nie miała swojej białej tuniki, ale jej twarz znał każdy żołnierz, a już na pewno każdy jeździec.

Lecz nadtyśięczniczka nie myślała o walce.

— Wynocha stąd — rozkazała. — Tysięcznik potrzebuje każdego żołnierza.

Nie wykonano rozkazu.

— A ty, pani?

— Armia Wschodnia ma już dowódcę. Nie muszę porzucać swych żołnierzy dla ratowania armii... bo to już nie moja robota — z wysiłkiem powiedziała Tereza.

Przez chwilę panowała cisza. Nie wiadomo, kto pierwszy się roześmiał. Ale zaraz potem kilkunastu rannych żołnierzy trzęsło się w ataku wisielczej wesołości, wywołanej myślą, że pognają po drodze, byle dalej, zostawiając między wozami ukochaną, sławną komendantkę, która prowadziła ich przez wszystkie dni chwały.

— Pora... wasza godność... — rzekł wreszcie płaczący z wyzwolonego przez śmiech bólu dziesiętnik, pokazując mieczem wrogich jeźdźców. — Prowadź... albo chodź pod moją komendę.

Nadtysięczniczka już wiedziała, że żaden z tych pokrwawionych obdartusów nie dołączy do oddziałów Aroneta.

— No to... przekłęci gamonie... — powiedziała ledwie zrozumiale, ze łzami w gardle. — Stępa, kłusem... marsz...

Rozpłakała się — już wcale nie ze śmiechu — i poprowadziła.

Kilkunastu półżywych ludzi poszło na spotkanie Ahe Vanadeyone na grzbietach swych wiernych koni-legionistów — towarzyszy broni samorzutnie równających szyk.

Niedługo potem jeden z dowodzących rycerzy pytał rannego w brzuch, leżącego na wozie legionistę, kto prowadził kontrszarżę po łące. Żołnierz wiedział, lecz nie mógł donieść wrogowi o śmierci dowódczyni Armii Wschodniej. Więc powiedział:

— Nasza... podsetniczka.

— Kobieta?

— Tak, panie... Nasza podsetniczka.

Rycerz kazał odnaleźć ciało.

Pocztowi wracali z pościgu za zmykającymi pachołkami i woźnicami, odcinali zwierzęta pociągowe, dobijali rannych, podpalali i przewracali wozy.

Dużo później drogą nadciągnęła kolumna jazdy imperialnej, wysłana przez dowódcę Armii Wschodniej — żołnierze ci mieli wesprzeć tylną

straż pod komendą tysięczniczki Agatry. Na tle poprzewracanych i wciąż jeszcze płonących lub tylko dymiących wozów, pośród rozrzuconych wszędzie trupów, zwracał uwagę rząd równo ułożonych na łące ciał. Dowódca oddziału chciał wiedzieć, co to znaczy, i posłał na łąkę dziesięтника, w asyście kilku konnych łuczników. Jedno z ciał okryte było pogniecionym, wyjętym chyba z juków przy siodle, dartańskim płaszczem rycerskim. Dziesięтник uniósł skraj tego płaszcza.

Niepojęta Arilora, opiekunka Wojny i Śmierci, miała dla swej brzydkiej armektańskiej dziewczyny ostatni dar: wspaniałą urodę bez reszty szczęśliwej wojowniczkii. Wiecznej dowódczyni lekkiej jazdy, zakochanej w pędzie wierzchowca, której w nagrodę za wierną służbę pozwolono pomknąć galopem na spotkanie Pani, na czele prowadzonych do szarzy jeźdźców w tunikach ze srebrnymi gwiazdami.

48.

Yokes zdobył, a może raczej opanował Neten i utkwiał tam niemal na całą dobę, najwyraźniej rad ze zwycięstwa. Przystań zastał całkowicie zrujnowaną, miasteczko spalone, mieszkańców zaś wypędzonych lub wymordowanych przez pozostawiony przez Caronena garnizon. Zebrał się wreszcie w sobie i pociągnął dalej traktem przez las, chwilowo nie niepokojony przez konnych łuczników imperium, którym nie uśmiechało się zapuszczać między drzewa. Wyglądało na to, że wojsko Dobrego Znaku zamierza zdobyć Lida Aye. Przyjęty, któremu księżna podczas wieczornego posiłku pokazała list od wodza swych zastępów, nie krył szyderczego podziwu zarówno dla misterności tego wojennego planu, jak i brawurowego wykonania. Wiadomości były dość świeże, wczorajsze, ale nawet taka „świeżość” nie zaimponowała Gotahowi. Goniec, dosiadający kurierskiego wierzchowca, mógł pokonać, zwłaszcza po drodze, sto i więcej mil w ciągu doby, gdy zaś w grę wchodziły sztafety, nawet trzy razy tyle.

— Wasza wysokość — powiedział — jeśli mogę szczerze przedstawić swoje zdanie... Co prawda, niedobrze jest poruszać ważne sprawy w trakcie posiłku.

— To wymówka? — zapytała, odbierając list i przekazując w ręce Anessy. — Ale już nie jemy, bawimy się tylko deserem.

Była w bardzo dobrym humorze. Zastanawiał się, dlaczego. Niemożliwe, by wieść o zdobyciu bezwartościowej i do tego spalonej przystani uznała za naprawdę istotną. Podziękowała skinieniem współbiesiadnikom (w pałacu królewskim utrzymano niektóre puszczańskie obyczaje) i została przy stole tylko w towarzystwie obu Pereł i Przyjętego.

— Ale mam jeszcze wieści od Kesy — powiedziała, pokazując drugi list. — Teraz ci go nie dam, wasza godność, powiem tylko, co napisała.

Mędrzec Szerni nie zdołał ukryć ożywienia — i przykrości. Wolałby przeczytać jeden krótki i nudny list od smukłej jasnowłosej Perły z Dobrego Znak u niż pięć długich i zajmujących od Yokesa.

— Kesa już odbudowuje Sey Aye — mówiła Ezena, z zaciekawieniem spoglądając na Przyjętego. — Ocaliła wszystkich mieszkańców i niemal cały dobytek, trzeba tylko postawić nowe chałupy i wyciosać sprzęty domowe. Nawet marudne chłopstwo nie bardzo narzeka, bo dalej ma krowy, które doi, kury, które znoszą jajka, a ze schowków wyciąga wszystko, czego nie znaleźli żołnierze nadtyśięcznika Caronena. Zdaje się, że niewiele znaleźli, bo bardzo się spieszyli. Trochę gorzej jest w mieście, gdzie zostały tylko murowane domy. Ale za to Ohegened wygrał bitwę na przystani w Sey Aye i stoczył wiele leśnych potyczek, ponosząc niegodne wzmianki straty, tylko ta bitwa na przystani była ciężka i krwawa. Legioniści lada chwila wyjdą z lasu, może nawet wychodzą teraz, w chwili gdy rozmawiamy... Możliwe, że wkrótce znów odbiorą nam Neten, o ile nie pomaszerują prosto na Rollaynę. Poza tym Kesa pisze, że mam we wszystkim słuchać mędrca-Przyjętego, pozdrowić go i poprosić, żeby nie wyjeżdżał do Grombelardu, chyba że wcześniej zajrzy jeszcze na chwilę do Sey Aye.

Zaskoczona Pierwsza Perła uniosła wzrok znad listu Yokesa. Hayna także ze zdziwieniem popatrzyła na Przyjętego, który nie wiedział co powiedzieć.

— Żartowałam — rzekła Ezena. — Ale w liście rzeczywiście jest o tobie ciepłe słowo, wasza godność. Kesa naprawdę pyta, czy nie wybierasz się, panie, do Sey Aye, gdy tylko to będzie możliwe, a przede wszystkim, gdy będzie bezpieczne. Jest tam zupełnie sama, potrzebuje rady i pomocy, a wie doskonale, że nikt inny nie może teraz opuścić księżnej regentki, bo wszyscy potrzebni są tutaj. Proszę, wasza godność.

— Wyciągnęła dłoń z pismem. — Nie musisz mi tego oddawać, ale przeczytaj później, w wolnej chwili. Powiedziałam, co jest tam napisane, specjalnie po to, żebyś nie czytał teraz.

Zmieszany mężczyzna podziękował, trochę dziwiąc się własnemu poruszeniu, które ogarnęło go na myśl, że oto ma w ręku list własnoręcznie napisany przez będącą daleko, mądrą kobietę, zupełnie różną od wszystkich, które znał.

— Wasza godność — powiedziała księżna regentka — prawdę mówiąc, w ogóle cię nie poznaję... Już nie pamiętam, kiedy udzieliłeś mi ostatnio dobrej rady. Rozumiem, że zgłębianie tajemnic Smug i Pasm Szerni to zajęcie nieporównanie spokojniejsze niż udział w wojnie, a zwłaszcza oglądanie wzlotów i upadków zamieszanych w nią ludzi. Ale, jako historyk, powinieneś chyba wiedzieć, że wielkie wydarzenia nie mogą obyć się bez tego. Co cię trapi, mędrcze-Przyjęty? Założę się, że ślamazarność Yokesa, czy zgadłam?

— A ciebie, wasza wysokość, to nie martwi?

— Nie — powiedziała — bo Yokes coś mi obiecał, a ja mu uwierzyłam.

— Co takiego obiecał, wasza wysokość?

Anessa przeczytała już list. Wymieniły spojrzenia z Hayną i wyczekująco zapatrzyły się w twarz księżnej. Czekał także Przyjęty.

Ezena wypila łyk wina.

— Obiecał — powiedziała — że wygra dla mnie tę wojnę. Posłuchał mojej rady i porozmawiał z pewnym znakomitym dowódcą, który został w Sey Aye.

Tylko Hayna, swego czasu obecna przy rozmowie, do której nawiązywała księżna, zrozumiała, o jakiego dowódcę chodzi.

— I wierzysz mu, wasza wysokość?

— Tak, wasza godność. Wierzę mu, uwierzyłam w swojego dowódcę. Nie wiesz, wasza godność, że największą sztuką dla każdego, kto chce rządzić, jest uwierzyć właściwemu człowiekowi? Uwierzyć, wasza godność, bez żadnych gwarancji i zastrzeżeń. Uwierzyłam Yokesowi i nie zawiodę się. Cała reszta zależy ode mnie. Czy tak, Anesso?

Teraz, dla odmiany, Hayna i Przyjęty nie wiedzieli, o czym mówi księżna. Ale i Anessa chyba nie była pewna.

— Tak, wasza wysokość — powiedziała, trochę niepewnie.

— Czy ta wiara w dokonania Yokesa ma coś wspólnego z nadzieją, do której tak niedawno wstydziałaś się przyznać, regentko? — zapytał Przyjęty.

Na chwilę spuściła wzrok.

— Tak, bo wtedy była tylko nadzieją. Ale dzisiaj jest już czymś więcej. Skoro Yokes oszukał ciebie... Anesę i Haynę... to znaczy, że oszukał wszystkich. Dokładnie tak, jak powiedział.

Przyjęty zrozumiał, że dowódca wojska Sey Aye obmyślił jakiś fortel wojenny. Ale nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że jest już na to za późno... Cokolwiek wymyśliła Ezena, nie mogło zatrzymać nieuchronnego biegu wypadków. Knowania, intrygi i podstępny — tak, ale wszystko w swoim czasie. Regentka przegrywała nie dlatego, że źle radziła sobie w stolicy. Przegrywała, bo jej czynów i decyzji nikt nie umiał poprzeć orężem. Gotah na próżno zastanawiał się, co takiego może uczynić Yokes, co przeważy szalę wojny. A może sama księżna liczyła, że zdoła rozbić jedność Stronnictwa Słusznej Sprawy i pozyskać dla siebie tysiąc nowych mieczy? Ale to był, niestety, zaklęty krąg niemożności... Do rozbicia jedności Stronnictwa potrzebne były miecze; tych zaś, przynajmniej w Rollaynie, dostarczyć mogło właśnie Stronnictwo i nikt inny. Gotah uważał, że tylko jakiś cud, zarazem wojskowy i polityczny, może dać regentce broń do ręki.

I miał, niestety, słuszność. Jeszcze tej nocy zaczęło wychodzić na jaw, że jej wysokość grała zbyt wysoko, zbyt ryzykownie — i przeliczyła się. Bo cud nie chciał nastąpić. Potrafiła go wykrzesać nadtysięczniczka Tereza, ale cud nadtysięczniczki nie polegał na samym chceniu. Dowódczyni Armii Wschodniej wiedziała, czym dysponuje, nie polegała na szczęściu, tylko na swoich umiejętnościach, odwadze i liczbie żołnierzy, a na koniec przykrawała swój cud do rozmiarów zaledwie wielkiego wojennego czynu. W tym samym czasie Ezena... liczyła na uśmiech losu.

A los nie zamierzał się uśmiechać, bo chyba po prostu nie lubił niewolnicy o wybujałych ambicjach.

Obudzona tuż przed świtem Hayna nie mogła zrozumieć, czego domaga się od niej Pierwsza Perła. Gwardzistka jej wysokości wprawdzie bardzo szybko dochodziła do siebie, nawet wyrwana z najgłębszego snu, ale za to Anessa, niestety, była kompletnie pijana. Miała czkawkę i nie

potrafiła ustać o własnych siłach. Najpierw podtrzymywała ją przyboczna, potem oparcie krzesła, ale ta podpora mogła okazać się zbyt słaba... Rozmawiały w przechodnim pokoju, z którego wiodła droga do dalszych komnat, a wreszcie sypialni księżnej. Od pewnego czasu przechodni pokój był mieszkaniem Hayny. Czarna Perła warowała tam stale.

— Przystań bełkotać — powiedziała stanowczo, cokolwiek oszołomiona, bo wprawdzie Anessa umiała głębiej zajrzeć do pucharka, ale teraz najwyraźniej doń wskoczyła. — Jak ty wyglądasz? Uciekaj stąd, bo jak Ezena się obudzi...

— Zawałe... He-ep! — rzekła, nabrzmiała na twarzy, Anessa, spoglądając przekrwionymi oczami i przecząco kiwając palcem. — Obuć ją.

Śmierdziała winem nie do wytrzymania, a wyglądała jak ostatnia z podmiejskich kurew. Wszystko wskazywało na to, że niedawno postanowiła poprawić swój wygląd i uróżnowała policzki, czy też raczej próbowała to uczynić. Z jednej strony miała bladoczerwoną skroń, z drugiej zaś krawędź szczeki. Uczerniała też rzęsy i brwi, co dało taki mniej więcej efekt, jakby uwalaną w sadzy ręką kolejno przetarła oczy. Potargane włosy były zlepione czymś, co przywodziło na myśl gęsty sos do pieczenia; ten sam sos pokrywał gors sukni, na której dodatkowo znalazła się zawartość przynajmniej trzech kielichów czerwonego wina.

— Gdzie ty byłaś? Co chcesz, żebyś zrobiła. Mam ją obudzić? Przecież ona cię zabije, zanim zdążysz w ogóle...

— Zia — powiedziała Anessa.

Oparła łokieć na stole, głowę na dłoni i zamknęła oczy. Zasnęła, nim Hayna zdążyła zadać kolejne pytanie.

— Ty mów — powiedziała Czarna Perła, patrząc na przyboczną. — Byłaś z nią? Gdzie?

— Nie wiem, Perło. Nie znam tego domu. Trafiłabym tam, ale nie wiem, do kogo należy. To pałacyk, jeden z tych, jakich wiele w Rollaynie. Byłyśmy tam już przed kilkoma dniami.

— I nie wiesz, do kogo należy? Czekałaś przed wejściem?

— Nie, Perło. Przed drzwiami komnaty, w której...

— Spuściłaś swoją panią z oczu?

Przyboczna była najstarszą ze wszystkich, najlepszą i

najodważniejszą. Jeszcze niedawno strzegła samej Ezeny, dopiero od paru dni, na polecenie księżnej, towarzyszyła Anessie, wiecznie załatwiającej jakieś sprawy poza murami pałacu.

— Tak, Perło — powiedziała bez zmruczenia oka. — A co mam robić, gdy dostaję wyraźny rozkaz, jestem w obcym domu i do tego sama? Przybiec do ciebie, włamać się do komnaty, czy zmusić Pierwszą Perłę do posłuchu? Wolałam podsłuchiwać pod drzwiami.

— Bezczelna — oceniła Hayna, ale nie powiedziała nic więcej, bo lepiej niż ktokolwiek zdawała sobie sprawę, jak niewiele czasem może zrobić przyboczna niewolnica. — I podsłuchiłaś coś?

— Niewiele. Nie byłam sama, towarzyszyło mi dwóch przybocznych gospodarza.

— To wtedy tak się upiła? Za tymi zamkniętymi drzwiami?

— Donoszono potrawy i podawano coraz nowe wina.

— Biesiada? Raczej libacja. W większym gronie czy tylko we dwoje?

— We dwoje.

— I co się tam działo? W tym pokoju? — wypytywała Hayna.

— Wszystko, o czym myślisz — spokojnie powiedziała przyboczna.

Przez chwilę panowało milczenie. Anessa czknęła przez sen. Nie chodziło już nawet o to, że Hayna nigdy nie widziała jej aż tak pijanej. Zadawała sobie pytanie, czy w ogóle widziała w takim stanie kogokolwiek.

— Zrobimy inaczej... Opowiedz mi dokładnie o wszystkim. Gdzie właściwie byliście, co się działo, no, wszystko, co wiesz albo czego się domyślasz.

— Nie o wszystkim mogę powiedzieć.

— Wiem. Powiedz to, co możesz.

Przyboczna niewolnica musiała umieć milczeć. Hayna z miejsca kazałaby sprzedać gadułę, rozpowiadającą o powierzonych jej sekretach. Jeśli przyboczne miały należycie wywiązywać się z obowiązków, to osoba pilnowana musiała mieć pewność, że może je wszędzie zabrać, wszystko pokazać i dopuścić do każdej tajemnicy. Dobra przyboczna niewolnica powinna przeszkadzać — i przypominać o swoim istnieniu — najwyżej w takim samym stopniu jak zawieszony u pasa miecz. Hayna wiedziała, że usłyszy od towarzyszącej Anessie gwardzistki wyłącznie to, co w jej mniemaniu chciałyby powiedzieć Pierwsza Perła. Gdyby była w

stanie.

— Codziennie towarzyszę gdzieś Pierwszej Perle. Przeważnie to zwykłe, nudne sprawy. Handlowe, urzędowe. Rzadziej jakieś dyskretne spotkania. Trzy... nie, cztery dni temu byliśmy w tym samym domu. Tak samo ubrane.

— To znaczy jak?

— Długie płaszcze, kaptury. Same. Wieczorem.

— Co to znaczy: same? Bez pachółków? Twoja pani nie wzięła lektyki?

— Same, bez pachółków, bez lektyki.

— Aha. Dwie prostytutki?

— Raczej kochanka z zaufaną niewolnicą.

— I co dalej?

— I to już wszystko. Przez większą część nocy czekałam pod drzwiami.

— A za drzwiami twoja pani jadła, piła i... przyjmowała wszelkie hołdy gospodarza.

— I rozmawiała.

— Ma się rozumieć — rzekła Hayna. — W jaki sposób udało wam się wrócić?

— Gospodarz posłał po lektykę.

— Gospodarz był w stanie posłać po cokolwiek? Chyba nie piła sama? Posłuchaj: albo wezwę kogoś, kto pomoże ci ją teraz zanieść do łóżka, albo... albo trzeba doprowadzić ją do stanu, w którym będzie mogła pokazać się księżnej. To ty masz o tym zdecydować. Ja nie umiem ocenić, czy Pierwsza Perła przyszła tutaj, bo coś jej się uwidziało, czy też rzeczywiście może mieć powód do obudzenia księżnej. Może mieć taki powód?

— Myślę, że tak. Jej wysokość wiedziała, gdzie chodzimy. To był dom jakiegoś wiele znaczącego rycerza. Ale mnie nie obchodzi polityka — powiedziała przyboczna — bo na rycerza patrzę tak samo, jak na jego pachółka: obchodzi mnie tylko, czy ma broń i czy potrafi jej użyć.

— Nie wymądrzaj się.

— Przepraszam, Perło.

— Ale w takim razie, skoro to może mieć związek z polityką, a regentka wiedziała o waszych wyprawach, przypilnuję twojej pani. Zostaw ją tutaj, obudź parę dziewczyn i wróć. Nigdzie nie będziemy jej ciągać, tylko do pokoju obok. Potrzebny będzie kubek ciepłej wody z solą, kubeł z wodą i drugi pusty. I jeszcze coś do picia, najlepiej jakieś ziółka, na przykład mięta. W kuchni stale ktoś trzyma ogień, pošlij tam, niech zaparzą Pierwszej Perle ziółek. Niech dziewczyny przyniosą jedną z jej domowych sukni.

— Tak, Perło.

Hayna została sama, bo śpiąca z policzkiem na stole Anessa nie była przecież towarzystwem. Chrapała jak armektański gwardzista po przemarszu, zakrztusiła się przez sen i wysmarkała z nosa gluta. Po jakimś czasie zrezygnowana gwardzistka usłyszała coś jeszcze i nie musiała zaglądać pod stół, by wiedzieć, co właściwie oznacza kałuża wokół nóg przyjaciółki. Z mokrej sukni pluskały spóźnione kropelki.

— Świnio jedna — powiedziała. — Ja sobie wyobrażam Ezenę, jak patrzy, kiedy szczysz jej na posadzkę przy łóżku... Zawdzięczasz mi dzisiaj życie i pogadamy na temat tego długu.

Przyboczna nabiegała się, wykonując zleczone przez Czarną Perłę zadania, które nie należały do jej obowiązków. Orężne strażniczki ostentacyjnie pogardzały niewolnicami do drobnych posług i gwardzistka Anessy była trochę obrażona, bo przyszło jej dźwigać kubek ze słoną wodą, na czele oddziałku służących, co nie licowało z godnością srogiej wojowniczkii. Ale Hayna sama była gwardzistką i — co prawda skrycie — wobec innych Pereł odczuwała podobną wyższość, jak przyboczna wobec innych niewolnic.

— Dlaczego sama to nosisz, trzeba było obudzić jedną więcej — powiedziała, pokazując kubek. — Wyśpią się w dzień, gdy ty znowu będziesz nadstawiała karku... Idź już, przyślij tylko zmienniczkę do sypialni Pierwszej Perły.

Takie drobiazgi sprawiały, że żołnierze kochali dowódców.

— Nie będę ci już potrzebna? — Przyboczna specjalnie pominęła słówko „Perło”, chcąc pokazać towarzyszącym niewolnicom, w jak zażyłych stosunkach pozostaje ze swoją komendantką.

— Nie, siostró — odparła pierwsza gwardzistka, zyskując dożywotnią wdzięczność podkomendnej. — Uciekaj i wyśpij się. A wy podnieście Pierwszą Perłę i wnieście ją do pokoju. — Pokazała jedne z trojga drzwi. — I posprzątajcie pod moim stołem.

Polecenia spełniono. Hayna nie odmówiła sobie przyjemności podetknięcia kubka pod nos ledwie przytomnej przyjaciółki.

— Pij, maleńka — powiedziała, drugą ręką przyciągając pusty kubeł.

Anessa, głupia, wypiła. Klęcząc na posadzce, z głową w kubie, rzygała jakby miała zaraz wydać ostatnie tchnienie. Hayna trzymała jej głowę. Trwało to i trwało... Anessa nie żałowała sobie tej nocy jadła ani trunków.

— Ależ ty potrafisz się nazreć! — powiedziała skrzywiona gwardzistka, z obrzydzeniem, ale i podziwem. — No, jak? Lepiej? Rozumiesz, co się do ciebie mówi?

Oddychająca z wysiłkiem Anessa słabo skinęła głową.

— To wypij resztę tego.

— Mm...

— Pij i koniec!

Anessa wypła resztkę wody z solą i znowu zaczęła się dławić. Ale wyglądało na to, że żołądek jest pusty; Pierwsza Perła mogła już co najwyżej wyrzygać flaki. Hayna zaczerpnęła czystej wody z drugiego kubła.

— Wypłucz usta. Wstań.

Przy pomocy służebnych zwlokła z Anessy poplamioną suknię, oczyściła jej włosy z sosu i pomogła się umyć. Zmoczonym w wodzie rękawem sukni obmyła twarz, szyję i dłonie przyjaciółki.

— Kucnij nad tym kubłem. No kucnij, posikałaś się! Co masz zrobić? Nie wiesz?

Pierwsza Perła, podtrzymywana przez przyjaciółkę, podmywała się nieudolnie, rozchlapując wodę. Hayna podniosła ją wreszcie i oblekła w domową suknię, ale biorąc do ręki przyniesione obuwie, popatrzyła na niewolnice.

— Oszalałyście? Przecież z miejsca zabije się, jak tylko włoży to na nogi!

— Nie wiedziałyśmy, Perło...

Rzeczywiście nie wiedziały. Hayna cisnęła obuwie w kąt pokoju; karkołomnie wysokie koturny puknęły o ścianę.

— Co powiedziała? — słabo, ale dosyć wyraźnie zapytała Anessa, oparta ramieniem o ścianę przy drzwiach.

— Kto?

— Księżna.

— Jeszcze z nią nie rozmawiałaś — uprzejmie powiedziała Czarna Perła. — Pij.

— A co to jest?

— Ziółka. Nic na wymioty.

Anessa drobnymi łykami popijała gorący napój. Wyglądała już jako tako, choć na pewno nie na kobietę kosztującą tysiące sztuk złota.

Szczerze mówiąc, Hayna szacowała jej wartość na jakieś pół sztuki srebra, ale tylko w gospodzie, w której nie było żadnego wyboru.

— Przejdź się, pospaceruj.

Anessa, bardzo chwiejnie, powlokła się do okna i z powrotem.

— Musisz widzieć się z księżną?

— Muszę. Zaraz. Już świta? — Blondynka przestraszyła się, spoglądając w okno.

Odwróciła się trochę zbyt gwałtownie i cofnęła, opierając ręką o szybę. Hayna przymknęła oczy... ale okno wytrzymało.

— Posprzątajcie to i idźcie — rzekła do niewolnic.

Gdy wyszły, nakłoniła Anessę do wypicia resztki miętowego napoju. Raz jeszcze popatrzyła uważnie i skinęła głową.

— No to chodź. Załatw swoją sprawę i idź spać. Nie boisz się, że ktoś ci kiedyś zrobi krzywdę w takim stanie?

— Musiałam go upić — powiedziała Anessa. — Zowu mi niedobrze...

— To wymiotuj i chodź.

Anessa podławiła się trochę nad śmierdzącym kubłem, wymiotowała ziółka, pooddychała głęboko i dała się poprowadzić.

W sypialni księżnej panował mrok, słabo rozjaśniany przez blaski świtu. Skierowane na północ okna nigdy nie dostarczały dość światła. Hayna wróciła po kandelabr ze świecami.

— Wasza wysokość — powiedziała.

Nie było gorszej pory do budzenia Ezeny.

— Wasza wysokość, pobudka, wstawaj! — powiedziała rozzłoszczona Hayna, wiedząc, że choćby nawet skrapiała regentkę wodą różaną, to i tak oberwie po uszach. — Już koniec tego wylegiwania się po nocach. Pilna wiadomość od Pierwszej Perły!

Ezena przekręciła się na bok, otworzyła na chwilę oczy i zamknęła je zaraz na powrót.

— Wyrwę ci ten ozór — wymruczała. — Przyślij ją tutaj.

— Już przysłałam. Czeka.

— Wasza wysokość — powiedziała mężnie Anessa, trzymana za łokieć przez towarzyszkę. — Przywódcy Szusz... Szłuszej Sprawy spotkają się dzisiaj po południu. Jak chcesz z nimi tego... to dziś.

Księżna, wciąż z zamkniętymi oczami, spała albo myślała o tym, co jej powiedziano. Jednak myślała.

— Gdzie się spotkają?

Anessa wytłumaczyła, płacząc się tylko tyle o ile. Hayna zrozumiała, że chodzi o jeden ze strzelistych pałacyków, ale raczej nie ten, w którym przyjaciółka bawiła tej nocy. Prawdę rzekłszy, Czarna Perła była trochę zawiedziona, bo wyobrażała już sobie, że Anessa wygłosi istne rewelacje. Ale po krótkim namyśle doszła do wniosku, że tak właśnie było. Jeśli regentka chciała spotkać się ze swymi politycznymi przeciwnikami, w jakimkolwiek celu, to miała jedyną okazję. Od dawna było jasne, że zaproszenia do Dzielnicy Królewskiej nie przyjmie prawie nikt. I równie jasne było, że nikt nie zaprosi regentki na naradę przywódców Stronnictwa Słusznej Sprawy, ani nawet nie powiadomi o takim tajnym spotkaniu. Zrozumiały był także pośpiech Anessy. Na pewno nie mogła wyspać się, ogarnąć i powiedzieć księżnej przy obiedzie: „A, prawda... Za chwilę zaczyna się spotkanie twoich wrogów, powinniśmy zdążyć”.

— Hayna, jesteś jeszcze? — zapytała Ezena, wciąż z zamkniętymi oczami.

— Jestem, wasza wysokość.

— Pojadę tam dzisiaj. Zadbasz o to, żebym była bezpieczna, a zarazem nie musiała ciągnąć ze sobą całej armii. Dowiedz się od Anessy wszystkiego, co trzeba. Anesso?

— Tak wasza wysokość.

Ezena otworzyła wreszcie oczy — co prawda, znowu tylko na chwilę.

— Rozumiem, że musisz czasem, wypełniając moje polecenia, wziąć udział w jakiejś biesiadzie, a nawet nie odmówić wina. Ale jednak, nie przychodź do mnie więcej z płaczącym się językiem i z takim kołtunem na głowie. Najpierw spróbuj doprowadzić się choć trochę do porządku.

— Mmm... tak, wasza wy... sokość. Przepraszam.

— Wyjdźcie. Przyślijcie mi służbę. Zaraz wstaję.

Perły opuściły sypialnię. Ezena została sama, myśląc o tym, czy Yokes zdąży, pomimo iż zabrakło mu jednego dnia.

*

Yokes niestety nie zdążył. Nie zdążył, choć oszukał wszystkich — dokładnie tak, jak powiedziała księżna przy wieczerzy. Musiał zdobyć Neten, bo tylko tam, w lesie, uwolniony od towarzystwa konnych łuczników Caronena, mógł poczynić stosowne przygotowania. Tylko tam

miał wszystko co potrzebne: spokój, drogę, a przede wszystkim oczywisty powód. Nie mógł przecież, bez wzbudzenia podejrzeń, wleźć do pierwszego z brzegu lasu, gdzie nic go nie ciągnęło. Neten był najlepszym z możliwych miejsc, a może nawet więcej: jedynym właściwym miejscem. Yokes zrobił swoje, wywiązał się ze wszystkich obietnic, ale nie zdążył, bo pijana Pierwsza Perła przyniosła ceną wiadomość dzień wcześniej, niż tego życzyła sobie księżna, albo może raczej to nie wiadomość przyszła zbyt wcześnie. Pospieszyli się przywódcy Stronnictwa Słusznej Sprawy.

Yokes już nie człapał.

Księżę Przedstawiciel Cesarza w Lida Aye, przygotowujący się do wyjazdu z miasta, od kilku dni otrzymywał doniesienia o marszu chorągwi Dobrego Znak. Prześladowane przez konnych łuczników ciężkie wojsko Yokesa wlokło się w tempie pięciu, sześciu mil na dobę, pilnując niemałych taborów. Ale w ciągu jednej nocy spędzonej w Netenie owo ciężkie wojsko i taborze przeobraziły się nie do poznania. Yokes postanowił, że już nie będzie dowodził ciężką jazdą, bo przez całe życie dowodził lekkokonnymi i to właśnie potrafił najlepiej. Z wozów zabrano tylko rzeczy niezbędne, wpakowano na grzbiety podjezdaków, które miały odtąd być końmi jucznymi, mogącymi dotrzymać kroku ruchliwym oddziałom — tak jak w imperialnych legiach. Wozy pociągnęły drogą, pod osłoną dwóch posiłkowych chorągwi Enewena, a całe wojsko przepadło, jakby pochłonęła je ziemia. Wypłynęło nieomal natychmiast, bo tego samego dnia... przeszło czterdzieści mil dalej. W ciągu niecałej doby Yokes pokonał odległość, jaka dzieliła go od Lida Aye i którą, zgodnie z czynionymi szacunkami, pokonywać miał przez tydzień, a pochłonął w tempie godnym imperialnych łuczników konnych. Jeźdźcy Chorągwi Straży Tyłnej, wbrew swemu mianu tworzący awangardę, późnym wieczorem wywołali w mieście panikę, pojawiając się nie wiadomo skąd; wkrótce wsparły ich pozostałe chorągwie, co prawda zdziesiątkowane marszem i ciągnące za sobą ogon maruderów, ale i tak nie mające na miejscu godnego przeciwnika. Miasta strzegło nieco ponad dwustu beznadziejnie rozproszonych morskich piechurów, tworzących bojowe trzony załóg trzech stojących w Lida Aye okrętów; jeszcze niedawno było tych żołnierzy trochę więcej, ale część włączono do Armii Zachodniej, jako wzmocnienie eskorty taborów, potem zaś ci

piechurzy w żeglarskich hajdawerach zostali na straży Netenu... Zaskoczeni żołnierze straży morskiej nie mieli najmniejszych szans na stawienie skutecznego oporu. Sam tabor, odesłany niedawno przez nadtyśnięcznika Caronena z Netenu, stał za zachodnimi rogatkami miasta, gdzie w miarę skromnych możliwości uzupełniano zapasy. Nieliczni pilnujący wozów żołnierze zostali wycięci, a bezcenne dla Armii Zachodniej ładunki dostały się zwycięzcom.

Poprzedniego dnia armektański tyśnięcznik, dowodzący legionem konnych łuczników, który przez wiele dni nękał wlokące się wojsko Yokesa, nie chcąc zapuszczać się do lasu, okrążył go niespiesznie, sforsował Lidę i stanął na noc obozem. Zwinął go o świcie i pociągnął na miejsce pierwszej bitwy pod Puszcza Bukową, gdzie czekał, aż przeciwnik ukaze się na drodze i pociągnie na Lida Aye, o ile, rzecz jasna, w ogóle ma taki zamiar. Doczekał się, ale tylko dwóch posiłkowych chorągwi rycerskich, eskortujących tabor. Podokuczał im trochę i zostawił w spokoju, czekając na resztę sił. Lecz siedem ciężkich chorągwi Yokesa było wówczas niemal dwadzieścia mil dalej i nikt o tym nie miał pojęcia, poza zdziwionymi chłopami z przydrożnych wiosek, którzy zupełnie nie wiedzieli, co sądzić o setkach zakurzonych żołnierzy na wielkich koniach, pokonujących mile stępa, kłusem i galopem na zmianę, niczym podjazd armektańskich łuczników. To wojsko w niczym nie przypominało słynnych chorągwi Sey Aye. Przepadły gdzieś świetne płytowe zbroje, pozostały tylko kolczugi. Także wierzchowce uwolniono od ladrów, a kopijnicy nie mieli nawet swojej głównej broni — wszyscy wieźli lżejsze od kopii i wygodniejsze w marszu włócznie, używane przez średniozbrojnych. I na czele takich właśnie żołnierzy komendant Yokes osobiście wyrzynał nieliczne warty pilnujące gmachu Trybunału, w którym zatrzymał się Książę Przedstawiciel Cesarza. Spieszeni jeźdźcy najmniejszej Chorągwi Błękitnej byli jednak dość liczni, by zostawić swe wierzchowce pod silną strażą, otoczyć budynek i wdrzeć się do środka, gdzie w korytarzach i salach nie było żadnego przeciwnika dla pięćdziesięciu rębajłów. Yokes nie zamierzał brać jeńców, bo nie miał żadnej możliwości targania ich wszędzie ze sobą, ani tym bardziej trzymania pod kluczem — zarówno więc urzędników Trybunału, jak i dworzan księcia, a na koniec wszelką służbę, wycinano bez cienia litości. Opowieści o upiornym gmachu, straszącym setkami trupów, miały stać

się wkrótce jedną z najbardziej ponurych legend tej wojny. Ale do legendy przeszło całe miasto, bo w Lida Aye nie oszczędzono niczego, na czym odcisnął się choć ślad armektańskiej obecności. Zamordowano wójta i całą jego rodzinę, podobny los spotkał niemal wszystkich imperialnych urzędników, a o koszarach Dartańskiej Straży Morskiej nie warto było nawet mówić; poszło tam z dymem wszystko, co tylko chciało się palić. Niemal w każdym kwartale spłonął jakiś dom, a ktokolwiek na widok żołnierzy krzyknął choć słowo po armektańsku, kładziony był trupem na miejscu. Przezorne miasto, poddające się każdemu, kto przyszedł, tym razem nie zdążyło przysłać zdobywcy kluczy do swych bram, a dziewczęta z domów publicznych wojownicy wzięli sobie sami, nie pytając nikogo o zgodę (choć wzięli, trzeba przyznać, bardzo pospiesznie, bo do spalenia było jeszcze kilka armektańskich składów i dowódca mógłby zawrzeć gniewem, dostrzegłszy tam rano coś więcej niż dymiące zgliszcza). Bitwa w porcie, gdzie poszła chorągiew lekka, wsparta przez dwie Sztandaru Mniejszego, nie trwała długo i zgasła jeszcze przed północą; strażnicy wyprowadzili na morze jeden z trzech okrętów eskadry, tracąc pozostałe, podpalone u nabrzeży. Straty nieszczęsnych Dartańczyków, w ogóle niedowodzonych (bo komendant eskadry wieczerał tego dnia z Księciem Przedstawicielem, zastępcy zaś nigdzie nie było), rozproszonych w ulicznych patrolach, trzymających wachty na żaglowcach, w garnizonie, przy gmachu Trybunatu i nie wiadomo gdzie jeszcze, były bardzo wysokie, a na dodatek okupione zaledwie paroma trupami po stronie przeciwnika.

Yokes, bez hełmu i bez zbroi, bo nie miał nawet swojej kolczugi, a tylko narzutę w barwach Domu K.B.I., na czele swoich żołnierzy metodycznie i sumiennie oczyszczał pałac Trybunału od dołu, piętro po piętrze. Niezliczonych uciekinierów, wyskakujących przez okna bądź wybiegających przez boczne drzwi, niezwłocznie chwyтали rozstawieni wokół domu jeźdźcy. Na drugim piętrze Yokes przebił mieczem jeszcze jednego urzędniczynę, zrzucił po schodach wrzeszczącą wniebogłosy niewolnicę, bo nie miał czasu jej zgwałcić, poszedł dalej i na czele kilku zbrojnych wkroczył do komnat, gdzie najwyraźniej dopiero co biesiadowano przy suto zastawionych stołach. Rycerz księżnej regentki pościągał obrusy, otworzył kopniakiem jeszcze jedne drzwi, po czym skłonił się uprzejmie, ale powściągliwie. Cesarskiego przedstawiciela

znał bowiem osobiście, jeszcze z czasów, gdy na rozkaz księcia K.B.I.Lewina podróżował po Dartanie, szukając koni i jeźdźców — tych samych jeźdźców, których teraz miał za plecami.

— Wasza wysokość — powiedział, odrobinę zdyszany — jestem M.B.Yokes, rycerz w służbie jej królewskiej wysokości księżnej regentki K.B.I.Ezeny. Proszę tędy, bo mamy bardzo mało czasu.

To rzekłszy, wskazał zakrwawionym mieczem drzwi.

Nim nastał świt, jeźdźcy Chorągwi Straży Tylnej dostarczyli cenną przesyłkę swoim towarzyszom spod bratniego znaku. Chorągiew Straży Przedniej, nieliczna, skrwawiona swego czasu na mokradłach przez konnych łuczników, od kilku dni stała na sztafetach, obsadzając okrężny szlak do Rollayny, wiodący od wybrzeża Morza Zamkniętego, przez Senelettę i dalej. Była to droga zupełnie niepokrywająca się z tą, którą szło całe wojsko Sey Aye. Yokes wprawdzie włókł się noga za nogą, ale nie znaczyło to, że próżnował. Wiedział, co chce osiągnąć, i nie życzył sobie, by konni łucznicy Caronena wykryli jego pochowane po lasach posterunki kurierskie. Książę Przedstawiciel rozpoczynał właśnie najdzikszą i najszybszą ze wszystkich podróży, jakie odbył w całym swoim życiu.

Szlak jednak był długi, a Stronnictwo Słusznej Sprawy wyznaczyło termin narady o jeden dzień wcześniej, niż trzeba. I księżna regentka, chcąc wziąć udział w owej naradzie, a tym samym wpłynąć na podejmowane tam decyzje, nie mogła dłużej czekać. Półzywego dartańskiego wicekróla, piastującego urząd z nadania imperatora, przywleczono do Rollayny w chwili, gdy jej wysokość wracała już do swego pałacu w Dzielnicy Królewskiej.

49.

Jeszcze z samego rana księżna Ezena pchnęła dwóch gońców do Lida Aye, gdzie, jak sądziła, powinien już być Yokes. Gońcy, na wypadek jakiejś złej przygody jadąc jeden za drugim, w odstępie paru mil, popędzili okrężną drogą przez Senelettę, a więc tym samym szlakiem, którym z przeciwnej strony gnał pod eskortą Książę Przedstawiciel. Posłańcy Ezeny spotkali ten „orszak”, zasięgnęli wieści i pojechali dalej. W tym czasie Yokesa w Lida Aye już nie było. Rycerz księżnej posłał

traktem w kierunku Netenu kilka chorągwi, w tym Chorągiew Straży Tyłnej, z zadaniem wzmocnienia eskorty taboru (który, wraz z dwiema chorągwiami rycerskimi, utrzymywał świetne tempo dwudziestu mil na dobę), zostawił w Lida Aye Chorągiew Domu, sam zaś pociągnął na Tarwelar. Nie mając nigdzie przeciwnika, mógł zrobić to, czego kiedyś nie uczyniła zagrożona przez hufce Enewena Tereza: podzielił swe szczupłe siły i pomaszerował szerokim frontem, paląc wszystkie napotkane wioski, a były to już wioski armeckańskie. Nadtysięcznik Caronen miał więc sporo racji, obawiając się, że legiony złożone z samych tylko intryg i układów w żaden sposób nie osłonią pogranicza. Żołnierze Yokesa zupełnie bezkarnie, w oddziałkach po pięćdziesięciu, lub najwyżej stu ludzi, przebiegali bezbronny kraj na przestrzeni wielu mil i puszczali z dymem wszystko, co mogło stanąć w ogniu, nawet napotkane zagajniki i lasy. Chętnie odwiedzali małe miasteczka, z których dawno już zabrano każdego legionistę, mogącego maszerować i dźwigać broń. Malutkie garnizony, w głównej mierze złożone z chorych lub rannych, odesłanych na tyły wojaków, nie mogły stawić skutecznego oporu rozbestwionym jeźdźcom Yokesa. W prywatnych dobrach natykano się czasem na prywatne poczty — przydatne co najwyżej do odpędzenia liczącej paręnaście koni watahy Jeźdźców Równin, stepowych rozbójników, będących tu kiedyś największym zagrożeniem... W ciągu zaledwie jednego dnia pięciuset bezkarnych jeźdźców Sztandaru Mniejszego puściło z dymem jedną z najbogatszych krain Szereru: spokojne od wieków, bogacące się w oparciu o dwa wielkie porty, dartańsko-armeckańskie pogranicze i północne wybrzeże Morza Zamkniętego. Wieczorem owa nie mająca przeciwnika półtysięczna armia zebrała się w wyznaczonym przez dowódcę miejscu i pomaszerowała jeszcze milę lub dwie, by stanąć wreszcie obozem, z wyraźnym zamiarem podjęcia nazajutrz marszu na Tarwelar.

Z Tarwelar, gdzie dotarły już wieści o zdobyciu Lida Aye i rzezi w gmachu Trybunału, pospiesznie wyprowadzano Główną Kwaterę sił imperialnych, a w zamian ściągano każdego zdolnego do walki żołnierza. Byli to w pierwszym rzędzie morscy piechurzy z eskadry tarwelarskiej, wsparci przez obsady wszystkich żaglowców, jakie dało się ściągnąć na ląd — w tej liczbie także załoga jedyne okrętu zbiegłego z Lida Aye. Najwyżsi rangą wojskowi, dowodzący siłami Wiecznego Cesarstwa,

mogli w milczeniu wysłuchiwać raportów wracających zwiadowców, mówiących o rozciągającej się na wschodzie chmurze dymu; wieczorem ten dym ustąpił miejsca łunom. Nie było żadnych dokładnych meldunków o postępkach wroga; wiedzano tylko ogólnie, że ciągnie na Tarwelar. Brakowało wieści o sile tej armii. Wyglądało na to, że Yokes prowadzi wszystkie chorągwie Dobrego Znak — taki obraz wyłaniał się zarówno z opowieści uciekinierów z Lida Aye, jak i rozmiarów dokonanych zniszczeń. Najgorsza była świadomość, że wróg jest nieobliczalny, zdolny do niebywałych wysiłków marszowych. Podobnych zagonów nie mogły powstrzymać żadne formacje piesze, w grę wchodziła tylko podjazdowa wojna, prowadzona przez Legion Konny Armii Zachodniej, do dowódcy którego słano kolejne ponaglenia. Jednak wobec wchodzących w grę odległości nie mogły nadejść jeszcze żadne potwierdzenia tych rozkazów. Było za to więcej niż pewne, że nie wszyscy gońcy docierali na miejsce, bo na drodze stały wrogie wojska; dzielni kurierzy musieli przekradać się między płonącymi wioskami i lasami, unikając spotkania z oddziałami wroga, a w zamian oglądając setki uchodźców, pozbawionych dachu nad głową, opłakujących stratę najbliższych — był to widok wstrząsający, wywołujący zarówno przerażenie, jak i chęć dzikiego odwetu.

Tysięcznik dowodzący konnymi łucznikami zupełnie nie wiedział co ma robić. Wieczorem dotarło do niego jednocześnie aż dwóch kurierów z zachodu i jeden ze wschodu. Szarpany był sprzecznymi rozkazami: wzywał go do siebie zarówno bezpośredni przełożony, wyprowadzający właśnie z Puszczy Bukowej resztki pieszych legionów, jak i wódz naczelny z Kwatery Głównej w Tarwelarze. Na dodatek było całkiem jasne, że obaj wodzowie błędnie oceniali sytuację. Po pierwsze, w Kwaterze Głównej stracili jednak głowę: nie istniała na świecie taka armia konna, która mogła codziennie pokonywać czterdzieści albo pięćdziesiąt mil — był to jednorazowy wysiłek, po którym należało zadbać o wierzchowce, jeśli konnica nie miała przemienić się w piechotę. Yokes mógł, po krótkim odpoczynku, jeszcze przez dłuższy czas utrzymywać forsowne tempo marszu, czyli robić jakieś dwadzieścia, a niechby nawet dwadzieścia pięć mil na dobę, lecz nie więcej. Oznaczało to, że od Tarwelaru dzieliły go jeszcze przynajmniej dwa dniene przemarsze, bo pałac Armekt, niewiele odsunął się od Lida Aye. Po

wtóre, tysięcznik konnych legionistów nie miał pojęcia, jakie siły puszczają z dymem Armekt i kierują się na Tarwelar, ale widział, że nie była to cała armia Sey Aye, bo większość tej armii skupiała się właśnie przy taborze, niemożliwym już do zdobycia. Gdy zaś szło o Caronena, to nadtyśięcznik, od dawna pozbawiony jakichkolwiek wieści, kompletnie zgłupiał w dzikiej kniei — nie wiedział zgoła nic o niczym, pytał o Neten i chciał wiedzieć, czy chorągwie Yokesa nadal stoją pod Rollayną. Przez cały dzień dowódca Legionu Konnego usiłował zarówno potwierdzić otrzymane rozkazy, jak i przesłać zebrane wieści. Mógł pognać na odsiecz zagrożonemu Tarwelarowi, ale nie chciał, bo miał świadomość, że większość wojska Sey Aye skupiła się między Puszczą Bukową a spalonym portowym miastem i tutaj tkwiło największe zagrożenie, wcale nie w chorągwiach (dwóch? trzech? nie więcej jednak niż czterech) ciągnących na Tarwelar. Ale, z drugiej strony, wrogie chorągwie eskortujące tabor nie mogły dokonać niczego nadzwyczajnego, podczas gdy upadek Tarwelarowi oznaczałby katastrofę; od nastania imperium nikt nie spalił armektańskiego miasta! Wielkiego, ludnego miasta, portu będącego oknem na Morze Zamknięte. Tyśięcznik słał gońca za gońcem na wszystkie strony świata, żądał potwierdzenia rozkazów, przedstawiał własny obraz sytuacji — i nie robił nic poza zdobywaniem nowych, coraz dokładniejszych, wieści o wrogu. Siedząc na wrogim terytorium, nie mógł nawet palić wiosek w odwecie za spalone własne, albowiem ręce miał związane rozkazami Księcia Przedstawiciela, potwierdzanymi od dawna przez Kwaterę Główną. Wioski w okręgach Rollayny i Lida Aye miały być zagrożone, ale w żadnym wypadku nie spalone, bo to mogłoby obrócić przeciw Kirlanowi rycerzy Słusznej Sprawy. W ten oto sposób, w ciągu zaledwie dwóch dni, jego godność M.B.Yokes, rycerz księżnej regentki, bez reszty przejął inicjatywę w wojnie na zachodzie i mógł zrobić co tylko chciał. Chciał zaś bardzo wiele, poza jednym: ani myślał zdobywać Tarwelar. W myśl świętej zasady lekkokonnych, która brzmiała: „Nigdy nie idź tam, gdzie cię oczekują”, dowódca pocztów Sey Aye zamierzał zawrócić, połączyć się z chorągwiami strzegącymi taboru, po czym dać wytchnienie swoim ludziom, a jeszcze bardziej zwierzętom, i ruszyć szerokim frontem na północ, z Puszcą Bukową po prawej ręce. Nie widział powodu, dla którego miałby poprzestać na spalaniu kilkudziesięciu wiosek, skoro mógł spalić kilkaset, licząc się z poważnym

oporem chyba dopiero na Północnej Granicy, gdzie siedzieli żołnierze walczący z alerskimi półzwierzętami.

Znakomity dowódca, którego na tak długo zostawiono w Sey Aye, porozmawiał wreszcie z Yokesem i przypomniał mu, że nieruchome wojsko, tkwiące pod jakimś lasem, niczego nie obroni, a nawet nie zdoła zmusić wroga do stoczenia bitwy. Gdy przeciwnie: dość było ruszyć je z miejsca, by imperialni legioniści sami pędzili na spotkanie, stając do zupełnie beznadziejnych potyczek w obronie palonego kraju. Nie mogli unikać walki, bo wioski nie chciały uciekać razem z nimi i nie mogły toczyć podjazdowej wojny.

Yokes czekał na wieści z Rollayny. Dał swojej pani wszystko, o co prosiła: zwycięstwo, chaos, płonące armektańskie wioski, a na koniec zakładnika, którym na pewno umiała się posłużyć. Teraz czekał na listy, bo nie wiedział, czy Księżę Przedstawiciel Cesarza bezpiecznie dotarł na miejsce, a tym samym, czy jej królewska wysokość dostała do ręki oręż. Ufał zdolnościom księżnej, lecz zarazem — jak prawie każdy wojskowy — nie lubił polegać na samych intrygach i układach; liczył się z tym, że w ciągu kilku dni będzie musiał stawić się pod Rollayną i poprzeć orężem sprawę regentki. Nie mógł ruszyć na podbój Armektu, zostawiając ją samą i bezbronną wobec wrogich oddziałów na przedmieściach Rollayny, które na dodatek mogły uzyskać wsparcie od resztek wojsk Armii Zachodniej. Musiał mieć pewność, że jego pani zdołała przeciągnąć na swoją stronę chorągwie rycerzy Słusznej Sprawy.

Gońcy przybyli dopiero wieczorem, bo wcześniej nie zdołali go odnaleźć. Oddziały Sztandaru Mniejszego ścigały do prowizorycznego obozu, meldując o dokonanych spustoszeniach. Yokes przeczytał przywiezione przez kurierów listy i złapał się za głowę. Nie miał szansy stawić się do bitwy, którą chciała wydać Ezena, mógł podesłać jej najwyżej wymęczoną do cna chorągiew lekką — dwustu jeźdźców, a więc tyle co nic. Księżna potrafiła czasem zadziwić intuicją, ale w gruncie rzeczy nie miała pojęcia o wojnie; nie mogła wydać tej bitwy, nie będąc pewna poparcia przynajmniej przez kilka chorągwi przeciwnika. A pisała właśnie, że pewna nie jest. Udawała się na jakąś naradę, nie mogąc dłużej czekać. Yokes zaczął ryczeć, jakby postradał zmysły. Żądał inkaustu, pergaminu i piór. Wkrótce potem z obozu, jeden po drugim, jeśli wypadać posłańcy, na złamanie karku pędzący w stronę Lida Aye.

*

Tego samego dnia, gdy Yokes odnosił swoje zwycięstwa, bezlitośnie pustosząc pogranicze, jego pani poniosła klęskę. Nie знаła jeszcze rzeczywistych jej rozmiarów, ale że była to klęska lub — co najmniej — porażka nie ulegało wątpliwości.

Jadąc na spotkanie z przywódcami Stronnictwa Słusznej Sprawy, księżna regentka po raz pierwszy mogła dokładnie obejrzeć swą stolicę. Nie uczyniła tego w dniu przyjazdu, gdy dostrzegała tylko nieprzebrane tłumy. Także i później nie znalazła czasu, by wybrać się na przejażdżkę po ulicach; najpierw czasu, a później ochoty... Dopiero teraz oglądała największe i najbogatsze, a podobno także najpiękniejsze miasto Szereru. Miasto, w którym chciała zostać wbrew woli jego najznamienitszych mieszkańców.

W siedzącej na koniu, okrytej niebieskim płaszczem postaci nikt nie domyślał się jej królewskiej wysokości regentki. Jadący z tyłu rycerze, tworzący zaledwie kilkunastoosobowy poczet, nie nosili barw Enewena. Księżna miała przy boku swoją wierną Perłę, tak samo okrytą płaszczem, z twarzą w cieniu obszernego kaptura. Dwie damy Czystej Krwi (bo na to wskazywały zarówno świetne wierzchowce, jak i stroje), przemierzające ulice pod orężną eskortą to nie było w Rollaynie nic nadzwyczajnego, zwłaszcza teraz, gdy trwała wojna. Także i wcześniej nikogo nie dziwiły lektyki, a nawet kobiety jadące dokądś konno, choćby na polowanie w podmiejskich lasach; co prawda, w czasach pokoju rzadko widziało się tyłu zbrojnych jeźdźców. Ezena i Hayna jechały środkiem ulicy, obojętnie mijając uciekających z drogi mieszczuchów. W Dzielnicy Królewskiej, gdzie przeważały magnackie pałacyki (w których gospodarze rzadko ostatnio bywali, najwyraźniej niedobrze czując się pod samym bokiem regentki...), ruch na równo brukowanych ulicach był niewielki, ale w pozostałych dzielnicach — „ćwiartkach” noszących szumne nazwy dartańskie — trudno było zauważyć coś, czego mogło zabraknąć w jakimkolwiek innym mieście Szereru. Rzeczywiście, Rollayna była bardzo bogata i piękna — drewniane domy stały tylko na przedmieściach, samo miasto w całości zbudowano z cegły, po dartańsku tynkowanej. Bielone ściany domów — może nieco wyższych, niż bywało zazwyczaj — utrzymywano w czystości, nierzadko pokrywano freskami. W ogóle nie było zaniedbanych ruder; każdy, kto nie mógł utrzymać

kamienicy w „złotej” stolicy Dartanu, mógł sprzedać ją od ręki, za dowolną bez mała cenę, ale takich było niewielu. Czysze, nie mające sobie równych w całym Wiecznym Cesarstwie, pozwalały na dostatnie życie; tylko utracjusz i hulaka mógłby przetrwonić dochody uzyskiwane od najemców izb, choćby nawet dom stał na przedmieściu. Opłacało się zatem dbać o kurę znoszącą szczerozłote jajka.

Po ucieczce imperialnych żołnierzy, na żądanie Enewena, powołano do służby straż miejską — liczną i pięknie odzianą, bo miasto naprawdę nie było ubogie. Wartość tych pachółków budziła spore wątpliwości, ale pierwszy rycerz królowej dał ojcom miasta bardzo potężną broń: otóż, zgodnie z prawem czasu wojny, każdy rabuś bądź awanturnik, przyłapany na gorącym uczynku, z miejsca był przekazywany w ręce dowódcy Mniejszej Chorągwi Domu, ten zaś wiedział, gdzie mieszka kat. Księżna regentka nie uchyliła tych zarządzeń i na ulicach miasta, pomimo nieobecności dartańskich legionistów, nikt nie martwił się o mienie i życie — w każdym razie nie bardziej niż za starych porządków. Rzecz jasna, ściganie i osądzanie występków zasługiwało na poważniejsze traktowanie, ale jej królewska wysokość miała na razie znacznie większe kłopoty niż spisywanie nowego kodeksu zbrodni i wykroczeń oraz umniejszanie bądź zwiększanie uprawnień straży miejskiej i dowódcy garnizonu. Tymczasowe rozwiązanie, jeśli nawet nie było bardzo sprawiedliwe, to jednak dość skuteczne, a ponadto gorąco popierane przez większość mieszkańców stolicy; jak świat światem, ludność uważała, że zabójcy i gwałciciele winni być z miejsca wieszani, a złodzieje... złodzieje, najlepiej, też wieszani lub przynajmniej pozbawiani rąk. Coś takiego właśnie wprowadził Enewen i działało dalej za zgodą regentki, więc lud gorąco kochał ich oboje.

Wojna powołała do życia nową modę: niemal wszyscy przechodnie poczytywali sobie za właściwe przyozdobić stroje czymś, co przywodziło na myśl narzuty, wkładane na kolczugi przez pocztowych z rycerskich chorągwi. Lecz wąskie, delikatne pasy materiału, nie szersze od dłoni, spływające z przodu i z tyłu, oczywiście narzutami nie były. Ładnie — ale i trochę zabawnie — wyglądały na sukniach kobiet, szczególnie sukienkach mieszczek, które chętnie ozdabiały w ten sposób niewyszukane szatki. Ezena, z wysokości grzbietu swego silnego wałacha, patrzyła na ludzi, którym wojna dostarczyła okazji do zabawy.

Rollayna nie uroniła dotąd nawet kropli krwi. W każdym razie nie uroniła jej Rollayna mieszczańska, Rollayna rzemieślników, kupców, stręczycieli, oberżystów i urzędników... Rollayna rycerska bardzo wiele oddała swojej pani — a jak wiele, wiedziały tylko płytkie wody Merewy, którymi spłynęły do morza dziesiątki tysięcy kolorowo opierzonych strzał. Księżna myślała o tym, próbując stale pamiętać, że garstka krętaczy, z którymi miała się spotkać, to w istocie właśnie marna garstka. Synowie Domów z byle jaką krwią w żyłach, Czystą tylko z nazwy, ani sprzymierzeńcy, ani wrogowie — co kiedyś wytknęła jednemu z nich, najznamienitszemu, i sprawiła, że uniósł się honorem. Prawdziwi rycerze dawno już znaleźli w tej wojnie swoje miejsce. Knowania prowadzili tylko siedzący w swoich domach nieudacznicy i tchórze, w najlepszym razie kupcy, gotowi handlować, kupować i sprzedawać cokolwiek, choćby swoje poparcie, ale na pewno nie walczyć. Ci wspaniali rycerze od wielu miesięcy przyglądali się zbrojnym zmaganiom i byli gotowi ruszyć do boju dopiero teraz, gdy stało się jasne, kto wygra i po której stronie będzie można zebrać owoce zwycięstwa. Jeszcze niedawno była gotowa rozmawiać z tymi ludźmi. Ale teraz bała się, że nie sprosta wyzwaniu. Czuła wzbierającą w piersi pogardę. Nie powinna jej jawnie okazywać, bo — niestety — potrzebowała pomocy, musiała mieć nowych rycerzy, choćby takich, którzy siedzieli w domach i nigdzie się nie wybierali. Ale czuła, że gotowa jest pogrzebać własną sprawę, pozwalając sobie na kilka szczerych słów. Słowa zaś były wszystkim, co wiozła, i musiała wybrać najwłaściwsze. Yokes nie zdążył... Rozmawiałaby zupełnie inaczej, prowadząc za kołnierz, lub ucho, Jego Wysokość Księcia Przedstawiciela Cesarza. Myślała, że postawi go przed zgromadzonymi i powie: „Kurierzy są już niepotrzebni. Książę przyjął moje zaproszenie do Rollayny, proszę więc prowadzić z nim rozmowy, a ja chętnie posłucham, co obieca dartańskim rycerzom”. Niestety. Wiedziała, że Yokes dopiął swego, bo kurierzy wyprzedzili „przesyłkę”, ale wiadomość o tym nie mogła zastąpić wrażenia, jakie zrobiłaby sama osoba. Jeszcze wczoraj Ezena była pewna zwycięstwa. Teraz już nie. Sugestie, odpowiednie wrażenie, odpowiednio dozowana stanowczość... To właśnie od takich spraw zależały decyzje rycerzy tego formatu, jacy zebrali się pod sztandarem Słusznej Sprawy. Mogła pokazać się na tle wystraszonego, przywleczonego z końca świata człowieka, którego

obietnice, składane prosto w oczy, brzmiałyby wręcz niepoważnie na tle zbrojnego pocztu regentki i jej samej. Mogła i musiała wygrać taką grę. Tajni kurierzy, przybywający z Lida Aye, przywozili listy od władcy, przemawiającego w imieniu samego imperatora — siedzącym w Rollaynie intrygantom Książę Przedstawiciel nieodmiennie jawił się jako otoczony dworem, najwyższy urzędnik Dartanu, który jeszcze niedawno podejmował decyzje w pałacu w Dzielnicy Książęcej. Chciała im pokazać tego... wicekróla.

Zamiast tego wiozła tylko słowa. Pogróżki, obietnice, zapewnienia.

Nie mogła, niestety, grać na zwłokę i zyskiwać na czasie. To już nie od niej zależało. Było zupełnie jasne, jakie decyzje zapadną na naradzie, w której zamierzała wziąć udział. Już tej nocy, a najpóźniej dnia następnego, mogła mieć nieproszonych gości w swym pałacu. A za cztery lub pięć dni mogły nadejść pierwsze południowodartańskie chorągwie. Jedyne, co jej pozostało, to uprzedzić cios.

Zmierzający z naprzeciwka poczet powitała z ulgą, chociaż wiedziała, że ci ludzie na pewno stawią się, by ją wesprzeć. Dwaj rycerze, obaj tak samo mężni, choć tylko jeden z nich nosił miecz. W środku dnia, na ulicy wypełnionej tłumem mieszczan, nie było miejsca na powitania, ale wierni sprzymierzeńcy potrafili okazać jej szacunek. Rozstąpili się, biorąc regentkę w środek, i poprowadzili konie, strzegąc boków. Towarzyszący im zbrojni dołączyli do pocztu, który teraz stanowił siłę na tyle znaczną, że wzbudzał powszechną uwagę. Blisko czterdziestu jeźdźców to już była spora kawalkada. Ezena zauważyła, że jej pierwsza gwardzistka odetchnęła nieco. Hayna była przeciwna podobnej awanturze. Jej pani wybierała się w sam środek wrogiego gniazda, do istnej sadyby zbójców, mających pod swymi rozkazami nie wiadomo jaką liczbę mieczy.

— Wasza wysokość — odezwał się młodszy z mężczyzn.

Regentka zwróciła ku niemu ocienioną kapturem twarz.

— Twój list niewiele mi wyjaśnił. Czy naprawdę zamierzasz, regentko, rzucić dziś tym ludziom wyzwanie?

— Tak, wasza godność.

— Pod Rollayną stoi siedem chorągwi.

— Ale liczy się tylko sześć.

Widząc pytające spojrzenie, dodała:

— Dowódca jednej z tych chorągwi, nawet jeśli nie będzie mógł opowiedzieć się po mojej stronie, nie stanie do walki.

Jego godność A.B.D.Baylay nie zapytał, skąd pewność, że tak właśnie będzie. I uczynił słusznie, albowiem nie dostałby odpowiedzi. Nawet księżna nie znała szczegółów, bo nie wypytywała o nie swojej Pierwszej Perły. „Tego człowieka mamy w ręku” — powiedziała jej niedawno Anessa. „Żadne tam kwity czy weksle... Zabójstwo i sfałszowanie testamentu. Jeśli te sprawy wyjdą na jaw, będzie po nim. Nie poprze cię, jeśli nie uczynią tego inni, ale znajdzie pretekst, by uchylić się od otwartej walki. Gdzieś się spóźni, coś opacznie zrozumie... To już nie nasza sprawa”. I Ezena nie pytała o nic więcej, bo wcale nie chciała zbyt wiele wiedzieć o człowieku, który już wkrótce, być może, miał być jej lojalnym poddanym. A może wręcz sojusznikiem, gościem, współbiedziakiem?... Morderca i oszust. Wystarczyło, że Anessa wiedziała, co trzeba.

— Pozostanie więc sześć chorągwi, przeciw którym mamy dwie i pół.

— Umiesz liczyć, wasza godność, więc bez trudu zrozumiesz, jak niewiele trzeba, byśmy uzyskali przewagę. Ale tylko teraz. Nie zdobędziemy jej, gdy nadciągną chorągwie południowodartańskie. Spróbuj zaufać mi, panie, bo wiem, co musimy zrobić.

Rycerz lekko skłonił się w siodle i cofnął nieco konia na znak, że nie ma już żadnych pytań.

— Wasza godność — powiedziała regentka, zwracając się do drugiego z towarzyszy — zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, że nigdy nie dowodziłam wojskami, a mój udział w bitwie pod Puszczą Bukową to legenda?

K.D.R.Wasanen skłonił się równie powściągliwie jak Baylay.

— Liczę, że zechcesz już dzisiaj objąć komendę nad wszystkimi moimi wojskami. Bez względu na to, co się stanie... i czy w ogóle coś się stanie, chorągwie muszą mieć dowódcę.

— Mają go zatem, wasza królewska wysokość. Pytanie, czy twoi przeciwnicy także będą mieli.

— Co masz na myśli, wasza godność?

— Coś, co nie jest sprawą kobiety, regentko. Nawet kobiety o rycerskim sercu.

Księżna przestraszyła się, że surowy wojownik gotów popełnić jakieś głupstwo. Ale już dojeżdżali do celu i nie mogła dalej prowadzić rozmowy.

Smukły, biały pałacyk nawiązywał do starodartańskiego stylu wykrojem okien i drzwi, wszechobecnymi ostrymi łukami, a na koniec bardzo niskimi, lecz szerokimi stopniami, które spływały od drzwi na dziedziniec, zajmując znaczną jego część. Był to bowiem dziedziniec maleńki i ciasny — jak wszystko w tych niewygodnych domostwach, mających tylko jedną zaletę: zostały wzniesione w stolicy. Od ulicznego bruku oddzielało dziedziniec delikatne żelazne ogrodzenie, obficie zdobione miedzią. Na podwórku stały stłoczone liczne wierzchowce. Wprawdzie dość szeroka, brukowana alejka wiodła na zaplecze budowli, gdzie zapewne były stajnie, ale księżna regentka domyślała się, jak te stajnie wyglądają. Mogły pomieścić najwyżej kilka koni. Życie w podobnym domu przedstawiało się jako jedno pasmo udręki. Ale, koniec końców, strzeliste pałacyki nie służyły do mieszkania; niemal każdy z właścicieli miał gdzieś normalny dom. Były to budynki przypominające w pewien sposób hodowlane niewolnice o statusie Pereł: zaświadczały o czyjejsz pozycji — i tyle.

Na widok oddziału jeźdźców, wjeżdżającego przez bramę na dziedziniec, jacyś ludzie wybiegli na spotkanie, chcąc chyba pytać, kto i dlaczego wkracza na teren prywatnej posiadłości. Towarzyszący księżnej rycerze poznali, że mają do czynienia ze służbą i nie zniżyli się do jakichkolwiek rozmów. Jego godność A.B.D.Baylay wyzwolił nogę ze strzemięcia i kopnął bezczelnego niewolnika w łeb; Wasenean gotów był zrobić coś znacznie gorszego, albowiem po prostu dobył miecza. Słudzy uciekli. Jeźdźcy posiadali z koni i udzielili pomocy regentce.

Przed drzwiami stali dwaj zaskoczeni i dezorientowani pocztowi z halabardami w rękach; na widok tych halabard oficerowie Armii Wschodniej zapłakaliby rzewnymi łzami i pobiegli szukać świętego oręża, tak niebacznie sprzedanego jako ozdobny szmelc. Kilkudziesięciu zbrojnych ruszyło wprost do drzwi, a wtedy pocztowi bohatercko skrzyżowali drzewca, zagradzając drogę. Przed idących wysunęła się kobieta, ściągając z kasztanowych włosów kaptur płaszcz. Pierwsza podeszła do wartowników, złapała jedną z halabard i po krótkiej szarpaninie wyrwała ją strażnikowi, który zupełnie nie wiedział co ma

począć. Hayna złamała drzewce na kolanie, szacując chyba w ten sposób jego wartość, po czym oddała pocztowemu obie części oręża; dokładnie to samo zrobiła z drugą halabardą. Wartownicy, przełykając ślinę, beznadziejnie bezradni i śmieszni z połamaną przez kobietę bronią w dłoniach, w milczeniu patrzyli na wchodzących do budynku i obstawiających dziedziniec wojowników. Ci ludzie nie chcieli zwracać uwagi na ulicach, ale teraz każdy zarzucał na ramię pyszny rycerski płaszcz. Jej królewska wysokość księżna regentka nie przyjechała w gości na czele jakichś pocztowych. Towarzyszyli jej wyłącznie mężczyźni Czystej Krwi, mogący się poszczycić rycerskim pochodzeniem.

Czarna Perła z armektańskiej hodowli, odwrotnie niż mężczyźni, zdjęła płaszcz i porzuciła go przy wejściu. W parzącej jaskrawą czerwienią narzucie szła po niebywale stromych schodach, nie mających nic wspólnego ze stopniami-tarasami na zewnątrz. Znów pojawił się sługa, lecz tym razem nie był to niewolnik, lecz młody mężczyzna Czystej Krwi; gospodarze pałacyku już wiedzieli, że mają nieproszonych gości. Silnie zbudowany młodzieniec ze spokojną stanowczością zagroził drogę wspinającej się po schodach niewolnicy, śladem której, brzęcząc ostrogami, szło kilkunastu zbrojnych. Jednym rzutem oka ocenił dwa pasy podtrzymujące sztylety i miecz idącej ku niemu dziewczyny, po czym otworzył usta, ale uprzedziła go, pokonując kolejne stopnie:

— Mów, co chcesz, ale nie wyjmuj broni. Z drogi, przyboczny, ja tu tylko fikam koziołki przed orszakiem mojej pani.

Podeszła i odepchnęła go, ale równie szybko złapał ją za ramię i pociągnął, wytrącając z równowagi. Jeśli ją straciła, to w szczególny sposób, bo przysiadła na chwilę na stopniu, złamała mężczyźnie rękę i szarpnęła, aż poleciał w dół, omal nie zbijając z nóg łysego rycerza, który stanął na drodze, by zasłonić kobietę w niebieskim płaszczu.

— Przepraszam, wasza wysokość — powiedziała Hayna, idąc dalej po schodach. — W twojej służbie trudno się nauczyć celnego rzucania pachółkami.

Rycerze, omijając stękającego nieszczęśnika na schodach, spokojnie szli za groźną przewodniczką. Wykruszali się z orszaku, obstawiając schody, drzwi. Hayna skręciła w ciasny korytarz, gdzie napotkała jakiegoś wystraszonego niewolnika i kolejnych pocztowych z halabardami. Nie zatrzymując się, rozbiła niewolnikowi łeb o ścianę,

złamała trzecią halabardę i kopnęła właściciela czwartej w miejsce nieosłonięte żadną zbroją. W głębi korytarza majaczyły następne wąskie i strome schody. Zbiegło po nich kilku uzbrojonych ludzi i dopiero na ich widok niewolnica przystanęła, usuwając się z drogi swojej pani.

— Wasza wysokość — powiedziała — zdaje się, że nareszcie ktoś wyszedł cię powitać.

Dwaj rycerze poprzedzający regentkę szli nieco przed nią, ale wzdłuż ścian, dając tym do zrozumienia, że nie oni są najważniejsi, stanowią tylko eskortę osoby na czele oddziału. Ludzie czekający u stóp schodów być może chcieli coś powiedzieć, ale uprzedzono ich — widocznie wszystkim w tym pałacu pisany był dzisiaj taki los.

— Którędy? — zapytała z daleka regentka, nie zwalniając kroku. — Przyszłam na naradę rycerzy Stronnictwa Słusznej Sprawy. Którędy? — powtórzyła niecierpliwie.

Było jasne, że nie zamierza przystanąć bodaj na chwilę; mężczyźni przy schodach mogli ruszyć z powrotem albo czekać, aż jej wysokość, idąc ciągle naprzód, uderzy któregoś skrytymi pod kolczugą, wypukłymi piersiami... Wybór był oczywisty.

Poprzedzani przez grupkę przewodników goście weszli po schodach na piętro, a następnie do niedużej, lecz i tak bez wątpienia największej w pałacyku komnaty.

— Jej królewska wysokość księżna regentka K.B.I.Ezena, pani Dobrego Znaku — rzekł spokojnie A.B.D.Baylay, usuwając się pod ścianę przy drzwiach.

Z drugiej strony stanął Wasanen. Księżna, na czele kilku rycerzy z wiernej chorągwi Enewena, spokojnie postąpiła ku środkowi komnaty. Nie miała już niebieskiego płaszcza, zamiast tego na granatowej sukni lśniła srebrzysta kolczuga.

Gdy tylko umilkły kroki, w komnacie zaległa cisza. Blisko trzydziestu mężczyzn, siedzących za stołami ustawionymi w podkowę, w milczeniu spoglądało na samozwańczą władczynię Dartanu. Jej królewska wysokość przez długą chwilę odwzajemniała spojrzenia, zapamiętując twarze tych rycerzy-nie-rycerzy, kupców-nie-kupców, przekupniów... Walczyła z pokusą wydania jednego krótkiego rozkazu, który przemieniłby tę salę w pole bitwy, a raczej kaźni, bo jej okryci zbrojami wojownicy nie mieli tu godnego przeciwnika. Ale byłyby to tylko

niemądry kaprys rozgniewanej kobiety. Władczyni nie mogła zrobić niczego podobnego. Za tymi bezbronnymi krętacami stały orężne hufce, stały nadciągające z południa chorągwie, a na koniec mógłby stanąć cały, wahający się jeszcze, Dartan. Nikt nie śmiał, poza polem bitwy lub turniejową areną, sięgnąć po życie tych ludzi, takich ludzi. A już na pewno nie mogła tego uczynić walcząca o uznanie i pozycję regentka, popierana przez trzy chorągwie przeciw siedmiu.

Nikt nie wstał. Stała przed zgromadzonymi w komnacie mężczyznami niczym podsądna przed sędziami.

— Nie zaproszono mnie tutaj — powiedziała — choć zaledwie dwa tygodnie temu nikt nie wyszedł z mojego domu, gdy pytałam, kto chce zostać, a kto woli odejść. Zrozumiałam, że wszyscy zostają. Lecz powinnam była poprosić o jakieś kwity i rewersy, dzisiaj już o tym wiem — nie ustrzegła się pogardy w głosie.

— Pozwól, pani, powiedzieć sobie, że nikt wtedy nie ślubował, iż zostanie twoim niewolnikiem — rzekł mężczyzna siedzący u szczytu podkowy. — Mam prawo przyjmować gości i nikt mi tego prawa nie odbierze. Mam też prawo zamknąć drzwi swego domu przed każdym, kogo nie zaprosiłem.

Człowiek ten nazywał się T.J.Seneres; jego Dom w stolicy znaczył tyle samo co Dom A.B.D.

— Obyś, wasza godność, nigdy już tych drzwi pospiesznie nie otwierał. Bo może się okazać, że znuży cię czekanie na progu, a przepędzony gość nie zechce wrócić.

— Gdy odmawiam komuś gościny, to zawsze wiem, co robię — w głosie gospodarza zabrzmiała niemal jawna ironia.

Ezena zrozumiała, że tym razem nie użyła właściwych słów, nie zapanowała nad przeciwnikami i na pewno niczego nie wskóra. Może zawiniła pogarda, której nieopatrznie dała ujście, mówiąc o kwitach i rewersach... Już jadąc ulicami Rollayny, obawiała się, że nie zdoła zapanować nad uczuciami — i tak właśnie się stało. A może po prostu nie istniało nic, co odwiodłoby tych ludzi od powziętego postanowienia? Dopiero jutro mieli się dowiedzieć, że nie ma już z kim negocjować, że jej żołnierze palą Armekt, a wynik wojny nie jest jeszcze przesądzony. Lecz czy chcieli czekać do jutra? A jeśli nawet, to czy mogli cofnąć raz podjęte decyzje? Regentka zadała sobie pytanie, czy dobrze uczyniła,

przychodząc na tę tajną naradę. Być może siedzący w tej komnacie ludzie mogli uznać za niebyłe słowa, które padły w ich własnym gronie. Lecz czy mogli jawnie opowiedzieć się przeciw niej, a potem udawać, że nic się nie wydarzyło?

Nie. Na pewno nie.

— Pojutrze rano — powiedziała — poprowadzę moje chorągwie do bitwy.

Ludzie za stołami wymienili spojrzenia.

— A przeciw komu, pani?

— Jeszcze nie wiem. Z jednej strony staną moje wojska, a naprzeciwko... staną jakieś inne. Będzie to bitwa nie mająca wielkiego znaczenia dla losów całej wojny, a może nawet zupełnie bez znaczenia. Ale jestem we własnym kraju, we własnej stolicy i nie życzę sobie nieproszonych gości, co na pewno łatwo zrozumiesz, wasza godność... Pojutrze na przedmieściach Rollayny będą stały tylko moje wojska. Moje i żadne inne.

— Dlaczego dopiero pojutrze? — zapytano kpiąco, z drugiego końca stołu.

— Dlatego, wasza godność, że właśnie tyle czasu mi trzeba na przygotowanie się do bitwy. Wydaję rycerski bój przeciwnikom, których mam za rycerzy. Ale, jeśli się pomyliłam, to być może już dzisiaj napadnie na mój dom banda skrytobójców, z zamiarem wywleczenia mnie z sypialni?

— Czy taka banda, jak ta, która dzisiaj poturbowała moją służbę w moim własnym domu? — zagadnął gospodarz, słuchający niewolnika szepczącego mu właśnie coś do ucha.

Zaległo krótkie milczenie.

Pomoc przybyła z najmniej oczekiwanej strony.

— Regentko.

Posępny łysy rycerz pochylił głowę, czekając na pozwolenie. Uzyskał je.

— Powiedziano dzisiaj w tej sali, że ci, którzy nie wyszli kiedyś z twojego domu, są niewolnikami. A teraz powiedziano jeszcze, że przyprowadziłaś bandę skrytobójców.

Rycerz ruszył przed siebie i szedł, aż stanął przed gospodarzem.

— Czy powtórzysz to raz jeszcze, wasza godność?

Zaległa cisza.

— Gotów jestem powtórzyć każde słowo, które kiedykolwiek wymówię.

— Więc zabiję cię, pachołku w obcej służbie — powiedział K.D.R.Wasanen. — Tu i teraz. Wyjdź z za tego stołu i każ przynieść swoją zbroję.

Gospodarz nie zdołał ukryć konsternacji.

— Natychmiast?

Wasanen odstąpił pół kroku.

— Jej królewska wysokość chce stanąć do walki pojutrze. Jeśli nie respektujesz, pachołku, rycerskich obyczajów, to i ja ich nie muszę respektować. Twierdzisz, że można stanąć do równej walki bez jakichkolwiek przygotowań, no to wychodź z za tego stołu, albo zaraz cię nim przywalę.

Być może po raz pierwszy i ostatni w swym życiu nieobrotny w języku rycerz przygwoździł przeciwnika samym słowem. Przed pałacową bramą Ezena obawiała się skrytych zamiarów, które powziął w swym sercu sojusznik; teraz mogła tylko błogosławić jego gniewną porywczosć. Wcale nie było pewne, czy Wasanen wiedział, co w ogóle osiągnął. Być może, w swoim mniemaniu, znalazł tylko znakomity pretekst, by niezwłocznie porąbać pierwszego ze Stronników Słusznej Sprawy, co sobie w duszy poprzysiągł.

— Moje życie i mój czas nie należą dziś do mnie — rzekł sucho wyzwany. — Lecz pojutrze ma dojść do bitwy, jak słyszałem. Przyprawdzą tam swoją chorągiew i stanę po właściwej stronie. Znajdziesz mnie łatwo, rozbójniku. I odpowiesz za nazwanie pachołkiem.

Regentka zobaczyła, że jej zawzięty sprzymierzeniec wcale nie zamierza ustąpić... Rzeczywiście myślał tylko o tym, żeby zaraz zakłuć wodza wrogich wojsk.

— Wasanenie — wymieniła imię swego wojownika, wyróżniając go wobec licznych świadków — przyjmij, proszę, warunki przeciwnika.

— Czy tak ma być, wasza królewska wysokość?

Teraz, przez krótką chwilę, regentka była górą. Od niej zależało, co zrobi łysy rębajło, a z całą pewnością mógł chlusnąć w twarz przeciwnika winem ze stojącego przed nim kielicha, opłazować mieczem lub zrobić zgoła cokolwiek, byle zaraz wywlec z za stołu i zmusić do

pojedyńku. W przegranej bitwie na słowa jedyny sukces i drobną satysfakcję zawdzięczała najbardziej nieporadnemu ze swych sojuszników.

— Tak — powiedziała. — Dartan to ojczyzna rycerzy i rycerskich zwyczajów.

— A zatem pojutrze?

— Pojutrze — odpowiedziano zza stołu.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Gdzie odbędzie się ta bitwa, pani?

— Na błoniach za Przedmieściem Czterech Jeźdźców. Zgraja armektańskich koczowników spaliła moje dobra w Puszczy Bukowej, co na pewno dla nikogo nie jest tajemnicą.

Było. Nikt tu jeszcze o tym jeszcze nie wiedział, choć na pewno spodziewano się podobnej wieści. Regentka raz jeszcze pożałowała, że nie może teraz zaprosić do komnaty Księcia Przedstawiciela Cesarza.

— Moje wojska wystawiły już Armektowi rachunek za ten czyn — mówiła dalej — o czym Rollayna dowie się jutro, a może nawet dziś w nocy... Ale chcę ukarać jeszcze samych podpalaczy. Nauczona jednak smutnym doświadczeniem, nie zostawię stolicy zdanej na łaskę obcych wojsk. Dlatego pojutrze wydam im bitwę, a przy okazji... policzę swoje chorągwie, zanim ruszę na ich czele przeciw Armektańczykom.

Siedzący mężczyźni raz jeszcze porozumieli się wzrokiem. Ktoś skinął głową, inny tylko wzruszył ramionami.

— Niech tak będzie, pani.

Odwróciła się. Rycerstwo rozstało się, robiąc przejście.

Księżna zyskała trochę czasu, ale jednak przegrała swą potyczkę z przywódcami Stronnictwa Słusznej Sprawy. Było jasne, że pojutrze nie stanie u jej boku ani jedna nowa chorągiew.

50.

Przez cały wieczór, noc i ranek dnia następnego królewski pałac wyglądał jak wymarły. Księżna regentka zamknęła się w swoich komnatach, nikogo nie wzywała, z nikim nie rozmawiała. Gotah-Przyjęty dowiedział się od Hayny, jaki przebieg miała rozmowa z przywódcami wrogiego stronnictwa, i mógł tylko pokiwać głową. A jednak, ku

własnemu zaskoczeniu, nie czuł przygnębienia. Wbrew rozsądkowi spokojnie spoglądał w przyszłość. Wieści o poczynaniach Yokesa podniosły go na duchu tak bardzo, że aż wstydził się przyznać do tego. Jakieś dziwne powietrze parowało ze ścian tego domu, nieodmiennie trujące dla jednych, ożywcze dla drugich... ale nigdy takie samo dla wszystkich. Zaraz po śniadaniu zaszło wydarzenie, które wprawiło Przyjętego w doskonały nastrój. Przyszła doń Hayna, we własnej pięknej osobie.

— Potrzebuję pomocy, wasza godność — powiedziała. — Księżna nie życzy sobie z nikim rozmawiać, a do pałacu przyszedł właśnie człowiek, który twierdzi, że ma niechybny sposób na wygraną wojny.

— Co ma? — nie zrozumiał Przyjęty.

— Sposób na wygraną wojny. Ni mniej, ni więcej.

— Czy posłałaś już, Perło, gońca do domu obłąkanych, z pytaniem, czy nikt im nie uciekł?

— Bądź pewien, wasza godność, że przyszło mi to do głowy... Ale ten człowiek mówi o Szerni, Porzuconych Przedmiotach i wielu innych sprawach, na których się nie znam. Na szczęście jest w pałacu ktoś, kto się zna.

— O? — powiedział Gotah. — Ja naprawdę trochę się znam! Chodźmy szybko. Skoro tak, to chodźmy.

W średniej wielkości komnacie, przeznaczonej do przyjmowania niezbyt ważnych gości, czekał zamożnie odziany mężczyzna Czystej Krwi, na pewno jednak nie mający rycerskiego pochodzenia. Przyjęty z wielkim zaciekawieniem wysłuchał długiej historii wyprawy po Porzucone Przedmioty, najeżonej niebezpieczeństwami (w co nie wątpił), której owocem był okazały zbiór potężnych artefaktów, mogących przechylić szalę każdej bitwy. Dowiedział się, czym są i do czego służą Przedmioty, a szczególnie potężne Geerkoto. Ostrożnie zapytał o ceny i popatrzył na Perłę, która nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Potem wrócił spojrzeniem do kupca-domokrądcy.

— Wasza godność — zapytał — czy oprócz potężnych Przedmiotów wojennych, masz jakieś inne?

— A o jakich myślisz, panie?

— O kamykach nazywanych Listkami Szczęścia.

— O... Nie. To Przedmioty strzegące przed wszystkimi

dolegliwościami, bardzo drogie, ale też bardzo poszukiwane. Miałem, lecz niestety już nie mam.

— Wielka szkoda — rzekł Gotah, po czym zwrócił się do Perły: — Cokolwiek mówić o wynoszeniu Porzuconych Przedmiotów za granice Nienazwanego Kraju, Listki rzeczywiście zapewniają życie w dobrym zdrowiu, choć nie jest prawdą, że ustrzegą przed każdą chorobą.

— Wasza godność... — zaczął przybysz, ale Przyjęty machnął ręką.

— Nie masz ich, panie, więc nie zalecaj mi tak usilnie, bo szkoda rozmawiać o czymś, czego nie ma. To wszystko, wasza godność.

Hayna spojrzała pytająco na Gotaha, po czym wezwała niewolnicę, by odprowadziła handlarza do drzwi.

— Wasza godność, mam Czarny Kamień. — Gość najwyraźniej raz jeszcze pragnął wymienić nazwy wszystkich Przedmiotów, jakimi dysponował. — Ten Przedmiot...

Przyjęty znowu zamachał ręką i powiedział coś, co zdumiało, ale i rozbawiło Haynę:

— Ten Przedmiot, panie, wsadź sobie w tyłek i noś. Tam jest jego miejsce; jeśli nie w Romogo-Koor, Nienazwanym Kraju, to tam. No już, uciekaj panie, bo stracę cierpliwość, kopnę cię i nie będziesz mógł niczego tam nosić.

Przyjęty i Perła zostali sami. Gotah widział, że niewolnica z trudem powściąga ciekawość, więc poprosił ją gestem, by usiadła, gotów porozmawiać.

— Czy na pewno nie miał nic, co mogłoby się przydać? — zapytała. — Dużo słyszałam o Przedmiotach...

Pokręcił głową.

— Listek Szczęścia, Perło. Jeśli kiedyś natkniesz się na ten Przedmiot, to go sobie kup, choć kosztuje, o ile wiem, fortunę. Nie daj się oszukać, bo pokazywano mi już zwykłe zielone kamyki, nie mające żadnej wartości. Listek można nosić jako kolczyk albo wisiorek, bo jest w nim mały otwór umożliwiający choćby przeciągnięcie łańcuszka. Ale żadne znane w Szererze narzędzie nie zarysuje tego Przedmiotu, możesz nim, Perło, ciąć diamenty. W ofiarowany Listek grzmotnij najpierw głowicą swojego miecza, a dopiero potem kup, albo nakarm nim ofiarodawcę.

— Nie wiedziałam... Czy naprawdę strzeże przed chorobami?

— Raczej usuwa objawy, łagodzi ból. Ale rzeczywiście przyspiesza gojenie się ran, a przede wszystkim... hm, przede wszystkim nazywany jest Kamieniem Dziwek, co dość wyczerpująco, jak mniemam, daje odpowiedź na pytanie, przed jakimi chorobami najskuteczniej chroni. Takimi i w ogóle wszystkimi, które można przejąć od kogoś.

Hayna zadumała się.

— Muszę powiedzieć Anessie — rzekła z głębokim namysłem i dopiero po chwili, gdy Przyjęty nie wytrzymał i zarechotał od serca, zdała sobie sprawę, co właściwie palnęła. Zaczerwieniła się.

— Daruj, Perło — rzekł Przyjęty, ocierając łzy. — Pozostałe Przedmioty... no, powiedziałem handlarzowi, co może z nimi zrobić. To także mi daruj.

— Ale, wasza godność, Czarny Kamień?

— Geerokto. — Przyjęty skinął głową. — Ciemny Przedmiot, aktywny. Silnie rzucony leci bardzo daleko i może przebić mur, nie mówiąc o zbrojach kilku stojących jeden za drugim rycerzy.

— Czy to do niczego nie może się przydać?

Przyjęty spoważniał.

— Posłuchaj, Czarna Perło... Wszystko może się do czegoś przydać. Takie cuda, jak ten Przedmiot, są wożone na pokładach wszystkich dużych żaglowców i nazywane bombardami. Mają jedną wielką zaletę: można z nich wystrzelić wiele kamieni, zwykłych, niekoniecznie Czarnych. Druga zaleta to taka, że nikt tych wystrzelonych kamieni nie odrzuci z powrotem... Porozmawiaj kiedyś ze swoją panią, Hayno. Ona już wie, że Szerń jest Szernią, a świat światem. Żadne wyszarpięte z Pasm moce nie pomogą nieudolnemu dowódcy wygrać bitwy, a dowódca zdolny tym bardziej żadnych mocy nie potrzebuje. Porzucone Przedmioty spinają świat z niektórymi Pasmami i do tych Pasm można się odwoływać, nic właściwie nie wiedząc o Szerni. Tylko tyle.

— Trzeba znać Formuły — powiedziała Hayna.

Przyjęty z namysłem spoglądał na mądrą dziewczynę, której dość było opowiedzieć bajkę o zaczarowanych przedmiotach, by bez reszty zgłupiała. W umyśle — ludzkim, bo już nie kocim — tkwiła jakaś potrzeba cudowności. Gotah wiele razy zastanawiał się, dlaczego człowiek nie jest w stanie przyjąć świata takiego, jakim był: rządzącego się swoimi własnymi prawami, dość przecież cudownego, nawet bez

latających kamieni i innych dziwów.

— Formuły nadają tylko kształt myślom — powiedział. — Za pomocą każdego Przedmiotu można dotknąć Pasma Szerni na tysiąc różnych sposobów, a wśród tych sposobów jeden albo dwa są dostępne człowiekowi, lub jakiegokolwiek żywej i rozumnej istocie. Żaden Czarny Kamień donikąd nie poleci, rzucony przez człowieka, który wprawdzie wymówi Formułę, ale nie będzie wiedział, jakiego skutku oczekuje. Bo Formułą jest tutaj oczekiwanie tego skutku, nie zaś jakiś dźwięk. Te dźwięki, one tylko... jakby rzec... — uniósł palec do ucha — pomagają istocie, używającej na co dzień mowy, wyzwolić moc własnego umysłu. Nie chce mi się tego tłumaczyć, nie dzisiaj. Porozmawiaj ze swoją panią, Perło — doradził raz jeszcze. — Ona to wszystko wie, chyba że zapomniała... Będzie jeszcze niejeden wieczór, gdy znudzona lub znużona sprawami państwa królowa zechce porozmawiać ze swoją wierną gwardzistką.

— Tak myślisz, wasza godność? Że będą jeszcze takie wieczory?

— A ty, Hayno?

— Nie wiem — powiedziała. — Będę wiedziała jutro.

Wieczorem poproszony do stołu księżnej Przyjęty wziął udział w najbardziej ponurej biesiadzie, o jakiej w ogóle słyszał. Na tle tego stypa byłaby istnym balem. Przy stole zasiadło tylko sześć osób: regentka, mędrzec-Przyjęty, jego godność A.B.D.Baylay (który już w południe złożył księżnej wizytę, lecz nie doczekał się posłuchania), dwie Perły i... jeniec. Książę Przedstawiciel Cesarza, któremu dopiero teraz dano możliwość spotkania z jej wysokością. Hayna usługiwała regentce, Anessa zaś Baylayowi; mędrzec Szerni i dostojny zakładnik korzystali z pomocy dwóch niewolnic niższej rangi.

Od początku do końca posiłku nikt nie powiedział słowa. Ktokolwiek otworzył usta i rozejrzał się po twarzach współbiesiadników, rezygnował z zamiaru zagajenia rozmowy, pod spojrzeniem gospodyni, która zastygała nieruchomo i patrzyła dokładnie tak, jakby gość co najmniej zakasał spódnicę i przymierzał się do ulżenia pęcherzowi. Było jasne, że przy stole ma panować śmiertelna cisza. Gotah nie wiedział co o tym myśleć. Widywał Ezenę energiczną, zbuntowaną, obrażoną... Ale nigdy nie widział nieżywej. A tym razem, na krześle u szczytu stołu, siedział trup regentki Dartanu — martwa kobieta, która nie życzyła

sobie, by ktokolwiek przemawiał na jej stypie.

Księżna wstała od stołu, gdy inni jeszcze jedli, dając znak, że posiłek skończony.

— Panie — powiedziała do zakładnika — zechciej mi towarzyszyć.

Po czym wyszła.

Sześćdziesięcioletni mężczyzna, na twarzy którego wciąż jeszcze widoczne było piętno wyciśnięte przez dziką galopadę, nieomal przewrócił krzesło, próbując nadażyć za kobietą, która lada moment mogła zniknąć za zakrętem korytarza, idąc w niewiadomym kierunku, do któregoś z tysiąca pokoi.

Perły Domu wymieniły spojrzenia. To samo zrobili Baylay i Przyjęty.

— Jeśli moje towarzystwo nie jest ci przykre, wasza godność — powiedział Gotah do magnata — to je ofiarowuję. Przeszedłeś dzisiaj, jak sądzę, porozmawiać z jej wysokością, ale chyba... No, nie wiem.

Hayna wyszła, idąc za swoją panią i Księciem Przedstawicielem.

— Ja także, wasza godność, oddaję się do twojej dyspozycji — powiedziała Pierwsza Perła.

Być może była to propozycja rozmowy we troje. Ale Gotah nie zamierzał jej podjąć, a Baylay potrafił dostrzec takie rzeczy.

— Dziękuję, pani — powiedział. — Chyba potrzebne mi dzisiaj męskie towarzystwo.

Anessa wydeła usta, wzruszyła ramionami, popatrzyła przeciągle na Gotaha i wyszła. Magnat i Przyjęty zostali przy stole sami.

— Moje wyobrażenia o niewolnicach uległy zmianie, odkąd znam Perły jej wysokości Ezeny — rzekł Gotah.

— To niewolnice tylko z nazwy. Pani Anessa jest przyjaciółką i pierwszą damą dworu jej królewskiej wysokości. Może będzie wkrótce najbardziej wpływową osobą w królestwie, przed którą będą zginali karki magnaci. To, skąd przyszła, nie ma żadnego znaczenia. A skąd przyszła sama księżna, wasza godność?

— Jeśli nie potępisz tego, panie — rzekł mędrzec Szerni, zasiadając z powrotem na krześle, z którego wstał, gdy wychodziła jej wysokość — to uchybię gospodyni i nie przyjmę do wiadomości, że posiłek dobiegł końca. Jestem głodny, przez cały wieczór żułem jeden kęs i nijak nie mogłem przełknąć! — dorzucił z zabawną złością.

Baylay uśmiechnął się lekko i także usiadł z powrotem.

— Regentka miewa humory — zauważył porozumiewawczo, gestem dając znak niewolnicom, że nie są już potrzebne. — Niezwykłe humory, jak przystało na kogoś niezwykłego. Ale wady ludzi nietuzinkowych prawie zawsze są na miarę zalet i trzeba się z tym pogodzić.

Uderzała swoboda, z jaką ten niestary mężczyzna potrafił prowadzić rozmowę. W jednej krótkiej wypowiedzi pozwolił sobie skrytykować panią, której służył, a zarazem podniósł jej znaczenie. Znał swoją wartość, ale i swoje miejsce.

— Czy wiesz, wasza godność — zagadnął Gotah, sięgając do półmiska i odłamując potężny kawał dziczyzny — że nie jesteś osobą mi nieznaną?

— Domyślam się, że dotarły do ciebie, panie, jakieś echa moich poczynań w Grombelardzie?

— Echa... Znałem twoją małżonkę, wasza godność.

Mężczyzna spoglądał w milczeniu.

— Czy rozmowa na ten temat jest ci niemiła, panie? — zapytał wprost Przyjęty.

— Nie potrafię powiedzieć. Moja żona nie żyje, ale to wszystko, co wiem. Słyszałem jeszcze różne bajki i legendy. Byłem w Grombelardzie dość długo, by nauczyć się, ile są warte.

— Czy opowiedzieć ci, panie, co wiem o jej godności A.B.D.Karenirze i... o tobie?

Magnat znowu milczał.

— Opowiedz, wasza godność.

— Na zlecenie jej królewskiej wysokości Księżnej Przedstawicielki Cesarza w Londzie spisano pewne dzieło. To, w rzeczy samej, grombelardzka legenda, opowiadająca o losach jednej z najbardziej niezwykłych kobiet, jakie chodziły po ziemi Szereru. Większość mojej wiedzy pochodzi z tego dzieła — przyznał Gotah.

— Była najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znałem i o jakiej słyszałem — powiedział A.B.D.Baylay. — Najwspanialszą wojowniczką, wierną przyjaciółką i... najgorszą żoną dla kogoś takiego jak ja. Opowiedz mi, wasza godność, co wiesz. Proszę o to.

Gotah opowiedział. Ale przemilczał szczegóły śmierci legendarnej Łowczyni, bo nie chciał dręczyć człowieka, którego szanował, a nawet, w pewien sposób, polubił.

Do komnaty wniesiono rozłożyste świeczniki, bo za oknami coraz śmieiej rozpościerał się zmierzch.

— Co mogę powiedzieć, wasza godność... — rzekł na koniec magnat, przemyślawszy zasłyszana historię. — To bajka i nie bajka zarazem. Więcej tam prawdy, niż przypuszczasz. Może poza jednym, i tutaj zgodzę się z twoimi zastrzeżeniami: pisał to człowiek niewiele wiedzący o Dartanie, a na dodatek ktoś, kto chciał w najlepszym świetle przedstawić księżnej Werenie postać jej przyjaciółki, kosztem zniewieściałego i małostkowego małżonka. Nie usprawiedliwiam się ani nie tłumaczę, ale postać żałosnego młodzieńca, który wypłakiwał się w górach przed każdym, kogo spotkał, naprawdę niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Tutaj zaś... nie byłem dobrym mężem dla największej wojowniczkii Szereru, to prawda. Ale nie istnieje na świecie taki mężczyzna, który godnie stanąłby u jej boku, co nie od razu potrafiłem przyznać. Pominięty zupełnie w twojej opowieści dartański rozdział dziejów Łowczyni to może najbarwniejsza karta z jej życia. Nie uwierzysz, wasza godność, co jedna grombelardzka Armektanka potrafiła urządzić w Złotej Stolicy Dartanu. I nie zawsze były to rzeczy, których bym nie poparł... — Uśmiechnął się, chyba mimo woli. — Powiem tylko, że od czasu, gdy wyjechała, nie było tu żadnej kobiety o podobnym formacie. Aż do dziś.

— Pytanie, czy będzie jutro — zauważył Gotah.

— A to już, wasza godność, obojętne — rzekł magnat, odchylając się na oparcie krzesła. — Dla mnie obojętne. Jutro, wbrew wszystkim zasadom, które w ciągu ostatnich lat wyznawałem i miałem za słuszne, wbrew rozumowi przy wdzieję zbroję i wezmę do ręki miecz. Wrócę do tego pałacu u boku mojej królowej albo nie wrócę wcale.

Gotah pokiwał głową, bo nie były to słowa rzucone na wiatr.

W tym samym czasie królowa rozmawiała z człowiekiem, któremu odebrała całą władzę, znaczenie, a nawet cel i sens życia — słowem wszystko, w co wierzył i co miało dla niego wartość.

W jednym z dziennych pokoi — a był to ten sam pokój, w którym jeszcze niedawno Anessa piła wodę z solą i próbowała wypchnąć okno ręką — jej wysokość księżna regentka pół siedziała, pół leżała na szerokiej ławie, wymoszczonej miękkimi poduszkami. Ława, pięknie rzeźbiona, stała wzdłuż ściany, o którą księżna opierała głowę. Zakładnik

siedział na krześle przy niedużym kwadratowym stole, ponad splecionymi dłońmi wpatrując się w barwny kobierzec, kryjący część posadzki.

— Możemy porozmawiać jak dwoje ludzi, którzy spotkali się po raz pierwszy i nie spotkają już nigdy — mówiła księżna regentka. — Powiedz, panie, jak mam cię tytułować, bo nie chcę być nieuprzejma, a zarazem rozumiesz, że nie uznaję twojego tytułu. Tylko symbolicznie jesteś krewnym cesarza i tak samo przysługuje ci tytuł wysokości. Ale nie chcesz chyba być tytułowany dostojnością, jak byle urzędnik imperialny?

— Mogę być chyba Księciem Przedstawicielem? — zapytał mężczyzna. — Choćby tylko jego godnością Księciem Przedstawicielem, bo wysokością niekoniecznie. Cesarskim przedstawicielem jestem w samej rzeczy, wszystko jedno, czy rządę w Dartanie, czy nie rządę nigdzie. Możesz, pani, zająć ten pałac i sięgnąć po dowolne miano, ale ja stale reprezentuję Kirlan i nie od ciebie to zależy.

— To prawda — przyznała. — Niech tak będzie, Przedstawicielu Cesarza. Dla miłej zgody pominiemy także „jej królewską wysokość”. Najzupełniej wystarczy: Ezeno.

Zdziwiony mężczyzna uniósł na chwilę wzrok.

— Przywleczono cię tutaj, panie, na złamanie karku — ciągnęła — a jednak jechałeś zbyt wolno. Teraz już w ogóle nie jesteś mi potrzebny, bo w żaden sposób nie mogę cię użyć. W każdym razie jeszcze nie dziś. Nie pošlę przecież posłańca do przywódcy Stronnictwa Słusznej Sprawy z wiadomością, że gościsz pod moim dachem i chętnie poprowadzisz dalsze rokowania z rycerzami. Taka wieść, nieledwie zdawkowa, dowiedzie najwyżej mojej bezsilności... Dopiero jutro, wasza godność, przed rozpoczęciem bitwy, pošlę przeciwnikom twoją głowę, zatknietą na długiej żerdzi. To na pewno dziki obyczaj, ale nie mogę zaniedbać niczego, co zwiększy moje szansę. Rozumiesz przecież, że nie mogę?

— Rozumiem.

— Jesteś Dartańczykiem, wasza godność. Wytłumacz mi, dlaczego stoimy po przeciwnych stronach, zamiast ramię przy ramieniu? Czy zdajesz sobie sprawę, że gdybyś z tego samego pałacu, z tej samej sali tronowej, rządził jako dartański król, władający własnym królestwem, to nigdy byśmy się nie spotkali? Albo może raczej spotkalibyśmy się wówczas, gdyby ktoś zapragnął strącić koronę z twojej głowy. Wówczas

księżna Ezena, pani Dobrego Znak, przybyłaby na twoje wezwanie, prowadząc swoje chorągwie. Zresztą może nie byłoby w ogóle księżnej Ezeny pani Dobrego Znak... — powiedziała z głębokim namysłem. — Dlaczego jesteś urzędnikiem obcego monarchy, panie?

— To mój monarcha. Cesarz Wiecznego Cesarstwa, król Armektu, Dartanu, Grombelardu i Garry.

— Dlaczego go uznajesz?

— Bo Dartan pod jego panowaniem miał wszystko, czego mu brakło pod panowaniem własnych królów. Sprawiedliwość, dobrobyt i pokój. Armekt pokazał Dartanowi rzeczy, których nikt tu kiedyś nie oglądał. Warto, odkładając na bok pychę, uczyć się od sprawiedliwszych i mądrzejszych, a nawet oddać im władzę. Dlatego że niczego ważniejszego od sprawiedliwości i mądrości nie widzę.

— „Armekt pokazał Dartanowi rzeczy, których nikt tu nie oglądał”? — powtórzyła. — Co pokazał Armekt, wasza godność? Bo ja widzę przed sobą kogoś, kto reprezentuje władcę tego wspaniałego kraju, czy tak? I ten człowiek, w imieniu swego władcy z Kirlanu, pokazał mi knowania z rycerzami niewartymi splunięcia; knowania z miernotami przeciw wojownikom. To, jak rozumiem, podoba się armektańskiej Pani Arilorze, władczyni Wojny i Śmierci? Tego właśnie Dartan powinien się uczyć od Armektu? Odpowiedz mi, wasza godność.

Przedstawiciel milczał.

— Gdy upadał Złoty Dartan królów — powiedziała — rzeczywiście armektański porządek, armektańskie tradycje i prawa godne były podziwu. Narzucono je wszystkim, widocznie tak miało być. Ale nie widzisz tego, panie, że minęły stulecia i oto pod niebem Szereru inny kraj stoi na straży takich cnót, jak uczciwość, męstwo i duma? Nie widzisz, że Niepojętej Arilory od dawna już nie ma w Armekcie, bo odeszła razem ze swoimi wojownikami, na których miejsce przyszli urzędnicy, krętacze i szpiedzy? Zamiast żołnierzy siepacze, gotowi tłuc kijami każdego, kto podniesie głowę. Co Armekt może dzisiaj pokazać Dartanowi? Wicekróla, który sprzymierzy się z najżałośniejszymi kreaturami, wskrzeszając to wszystko, co już wymierało? Intrygi, kupowanie prywatnych korzyści w zamian za udzielone poparcie? Armekt, który kiedyś, szanując odrębność i dumę kilku tysięcy ludzi na pograniczu, powołał do istnienia miastoksięstwo, nie należące do żadnego kraju, dzisiaj nie jest w stanie dostrzec

rozbudzonej dumy narodowej milionów Dartańczyków, spośród których wielu mieni się być Dartami, rdzennymi mieszkańcami tej ziemi. Nie ma już szacunku dla tego, co kraj wspaniałych żołnierzy-koczowników uznawał za najcenniejsze i najwartościowsze: dla męstwa, uczciwości, poczucia tożsamości, dumy z bycia tym, kim się jest. Nie opowiadaj mi, panie, że bronisz takich wartości. Bronisz tylko skarbcza Wiecznego Cesarstwa.

Mężczyzna westchnął.

— To bardzo piękne, co mówisz, pani, ale, niestety, nieprawdziwe. Przyszłaś znikąd, natchniona wzniosłymi ideami, marząca o potężnym sprawiedliwym królestwie, które może współistnieć zarówno z Armektem, jak i całym Wiecznym Cesarstwem. Ale ja, wasza wysokość, w granicach tego „sprawiedliwego królestwa” spędziłem całe życie, a od wielu lat nim rządę. W tym sprawiedliwym królestwie nadal na każde skinienie stawi się zgraja Czystej Krwi łapserdaków, którzy za byle przywilej sprzedadzą godność, uczciwość i honor, i gdy tacy ludzie chcą poprzeć jakąkolwiek godną uwagi sprawę, dajmy na to sprawę wiecznego pokoju w granicach Wiecznego Cesarstwa, to należy się z tego tylko cieszyć, bo równie łatwo mogliby poprzeć sprawę córki z nieprawego łoża przeciw adoptowanemu synowi albo równie ważną. Mogliby toczyć o to wojnę i palić wioski razem z ich mieszkańcami. W tym „sprawiedliwym i dumnym królestwie” po staremu sądzą sądy, gotowe przyznać rację temu, kto hałasuje najgłośniej, bo na pewno nie przyznają jej niewolnicy, podniesionej, za sprawą czyjegoś kaprysu, do godności księżnej... czy nie tak, wasza wysokość? To nie Armekt wymyślił te sądy, przeciwnie: przyzwolił tylko na ich istnienie, bo są mniejszym złem niż wieczne wojny rodowe. Walczysz, pani, o mit, a zresztą sama jesteś mitem, bo wiem przecież, z kim cię utożsamiają niektórzy. Powiem coś ważnego, wasza królewska wysokość — powoli i wyraźnie wymówił tytuł, żeby było zupełnie jasne, iż się nie przejęzyczył. — Być może naprawdę istniała legendarna królowa Rollayna i być może ty właśnie jesteś kimś, kto mógłby zająć jej miejsce. Ale życie ludzkie trwa krótko, wasza wysokość, a mówi to człowiek stary. Za kilkadziesiąt lat, nawet gdyby twoje panowanie miało trwać aż tyle, w Złotym Dartanie zapanuje chaos, wybuchnie wojna domowa, a wkrótce potem armektańskie wojska będą zmuszone wkroczyć w granice tego kraju i zaprowadzić

swoje porządki, zresztą jakiegokolwiek porządki, bo inaczej ten szererski wrzód będzie ropiał i ropiał bez końca, zakażając wszystkie inne kraje, tak jak to było przed wiekami. Oto, wasza królewska wysokość, najważniejszy powód, dla którego już nigdy nie użyję tytułu, który aż dwukrotnie usłyszałaś przed chwilą. Wieczne Cesarstwo ma być jedno, a w jego granicach wieczny pokój. To sprawa, za którą chcę umrzeć. I za którą, nawet o tym nie wiedząc, będą jutro umierać nędzni krętacze, myślący tylko o swych trzosach. Krętacze stający przeciw szlachetnym marzycielom.

*

Była noc, lecz przy resztkach wieczerzy dwaj mężczyźni wciąż rozmawiali o Grombelardzie, Dartanie, Szerni i Szererze, niezwykłych kobietach... O wszystkim, tylko nie o wojnie, która jutro, być może, miała zostać ostatecznie rozstrzygnięta. Nie zażądali więcej światła, więc płonęły tylko świece osadzone w dwóch rozłożystych kandelabrach, postawionych na stole.

— Dwaj wielcy wojownicy, człowiek i kot, przybyli do tego miasta i skryli się pod obcymi imionami, bo byli ścigani przez prawo — mówił Gotah. — Znałeś obu, wasza godność. Co się z nimi stało?

Dartańczyk patrzył w milczeniu, wyraźnie ważąc słowa.

— Powiem, wasza godność, że znam wielu wojowników. Powiem coś takiego: być może istnieją na świecie wojownicy, którzy uciekli od jednej wojny nie po to, żeby wziąć udział w innej. Być może są wojownicy, którzy byli niemal królami, a porzucili swe królestwo nie po to, by służyć innym, obcym monarchom. I nie snujmy więcej domniemań, wasza godność.

Gotah uszanował tajemnicę, która nie była tajemnicą rozmówcy.

— Być może istnieją też wojownicy — powiedziała od drzwi czarnowłosa kobieta — którzy nie biorą do ręki miecza, a pomimo to potrafią walczyć o ważne sprawy.

Nie zauważyli, kiedy weszła. Być może już długo stała w drzwiach, słuchając, co dwaj mężczyźni mówią o Dartanie, Grombelardzie... i niezwykłych kobietach.

Wstali.

Księżna niespiesznie podeszła do stołu, wzięła swój pucharek, którego nikt dotąd nie sprzątnął, i sama nalała wina. Spojrzała pytająco

na mężczyzn, najwyraźniej gotowa usłużyć i im. Miała na sobie lekką domową suknię, białą, rozciętą po bokach, bardzo podobną do szat noszonych często przez Perły. Tak samo w talii zbierał ją złoty łańcuszek i podobnie delikatna zapinka nie pozwalała wychylić się piersiom. Gotah — pomimo iż brutalnie mu o tym przypominano — zapomniał już trochę, że jej wysokość jest nie tylko księżną regentką, ale także młodą i bardzo urodziwą dziewczyną. Ta dziewczyna unosiła teraz dzbanek z winem i pytała spojrzeniem: „Chcecie?”

— Dziękuję, wasza wysokość — powiedzieli jednocześnie.

Usiadła i pokazała gestem, że powinni zrobić to samo.

— Przyszłam pomarzyć — powiedziała. — Powiedziano mi dzisiaj, że jestem mitem, walczę o sny i marzenia... Może to wszystko prawda. Ale chcę pomarzyć jeszcze raz, tylko trochę. Najwyżej do świtu. Potem już nie będzie żadnych mitów i marzeń.

Zrobiła niejasny ruch ręką, opierając plecy o oparcie krzesła.

— Tam leżą listy... Od jego godności Enewena, od Yokesa. Ja już wiem. A wy?

— O czym, wasza wysokość? — zapytał Gotah.

— Yokes nie zdąży. Jutro rano, być może, stawi się do bitwy jedna z lekkich chorągwi. Pozostałe nie zdążą. Yokes pisze, że zdążyłby, gdyby miał pod siodłem armektanskie konie stepowe. Ale wielkie rumaki ciężkiej jazdy nie są wytrzymałe. Są tylko bardzo silne. Yokes obiecuje, że żołnierze zajeżdżą te konie i będą dalej szli pieszo... ale na pewno nie zdążą. Może przybędzie trochę kuszników konnych. Trochę. Wierzchowce ze Złotych Wzgórz to wprowadzie konie bardzo szybkie, ale i one nie są wytrzymałe.

Przez chwilę panowało milczenie. Księżna przymknęła oczy, dotknęła dłonią skroni i umoczyła usta w winie.

— Co radzi jego godność Yokes? — zapytał A.B.D.Baylay.

— Żebym jak najdłużej zwlekała z rozpoczęciem bitwy. Właściwie radzi, żebym uciekała, a tego jednego nie zrobię. Rzuciłam wyzwanie, które po rycersku zostało podjęte, i nie uchylę się od tego boju.

— Wasza wysokość...

Otworzyła oczy.

— Jestem regentką Dartanu i pierwszą damą Domu K.B.I. Jestem panią Dobrego Znaku, gdzie spoczywają najwspanialszy rycerze, jakich

nosiła ziemia Szereru. Uczynili mnie spadkobierczynią swych tradycji. Czy mam dowieść, że pobłądzili?

Nikt nic nie powiedział. Po chwili podjęła:

— Yokes czyni mi zarzut, że nie wyznaczyłam późniejszego terminu tej bitwy. Chcę się usprawiedliwić... może tylko przed tobą, panie — popatrzyła na mędrca-Przyjętego — bo jego godność Baylay był ze mną w tym pałacu spiskowców i widział, że zrobiłam wszystko, co możliwe. Ludzie, którzy tam siedzieli, byli gotowi bez żadnej zwłoki przyjść tutaj, do pałacu, i wywlec uzurpatorkę na dziedziniec. Już minionej nocy. Nie mogłam uzyskać niczego więcej, niż uzyskałam. Ale przyszłam pomarzyć — powiedziała raz jeszcze. — Chociaż raz wybiec myślą dalej niż do dnia następnego, do najbliższej bitwy, najbliższego spotkania... Uwierzyć na chwilę, że wojna już się skończyła, że nie trzeba palić wiosek, wysyłać gońców ani cieszyć się, że gdzieś umiera tysiąc żołnierzy w tunikach z gwiazdami Cesarstwa. Ci żołnierze wyszli z takich wiosek jak moja i z takich jak te tutaj, pod Rollayną, i to wcale nie są nędzni podpalacze. Ja musiałam to mówić do przywódców Stronnictwa, ale tak nie myślę. To bardzo dobrzy i odważni żołnierze, wierni sprawie, której służą. Jak potoczyłyby się losy Dartanu i moje własne losy, gdybym jutro wygrała? Wasza godność — zapytała, chyba trochę zawstydzona, patrząc na przystojnego magnata — czy zostałbyś posłem jej królewskiej wysokości regentki? Czy pojechałbyś do Kirlanu, z propozycją zawieszenia broni i rozpoczęcia rokowań pokojowych? Przecież ta wojna prowadzi donikąd... Dlaczego dwa największe narody Szereru nie mogłyby żyć w zgodzie, w dobrym sąsiedztwie, wspierając się w razie potrzeby? Dlaczego nie miałyby chociaż spróbować? Wasza godność — powiedziała, zwracając się z kolei do mędrca Szerni — jak należałoby przemówić do pierwszego Armektańczyka w Armekcie, by zechciał w ogóle słuchać? Przecież ten człowiek, tak naprawdę, nie wyrządził nigdy krzywdy Dartanowi, odziedziczył tron w Kirlanie po swym ojcu i czasem myślę, że mogłabym się z nim porozumieć.

— Może to łatwiejsze niż doprowadzenie do zawieszenia broni, wasza wysokość. Nie będzie go, dopóki armektańskie armie są w Dartanie, a szala wojny przechyla się na stronę Kirlanu. To naród wojowników, którzy nie podejmą z nikim rozmów, dopóki widzą choć cień szansy na zwycięstwo.

Spuściła wzrok.

— Ale ja chcę tylko pomarzyć — powiedziała. — Chcę... opowiedzieć sobie bajkę. O tym, że mi się udało. Czy to dużo?

— Kirlan na pewno nie uzna dartańskiego królestwa za równorzędnego partnera, współdecydującego o losach Szereru — rzekł Baylay. — Na to jeszcze zbyt wcześnie, w Armeckie mają tylko wyobrażenia o Dartanie, przeważnie wyobrażenia fałszywe. Ale imperator to człowiek bardzo mądry, gotów uznać monarchinię, jeśli ta uzna jego zwierzchnictwo i ogłosi Dartan lennem Wiecznego Cesarstwa. Umiem marzyć, regentko, i też o czymś marzyłem. — Uśmiechnął się lekko znad kielicha. — Może o tym, że pojedę... kiedyś, dokądś... z propozycją nowego wiecznego pokoju? Z czymś listem, obdarzony czymś zaufaniem, świadom ogromnej wagi swej misji... dumny, że mi ją powierzono. Będę słał listy, żądał dodatkowych instrukcji, negocjował. Z poczuciem, że buduję nowe państwo, i jeżeli zbuduję, to na zawsze zostanę nieśmiertelny...

Urwał.

Lecz opowieść podjął grombelardzki uczony.

— Władca zrujnowanego Wiecznego Cesarstwa przyjmie hołd dartańskiej królowej, a jeszcze chętniej daninę i reparacje wojenne — powiedział, bo też czegoś pragnął; może tylko uśmiechu na czyjejś twarzy? — Jeśli królowa ponadto zobowiąże się do wystawienia kontyngentu wojsk, które na każde wezwanie poprą interesy Kirlanu... Przecież wciąż do odzyskania są Agary, wkrótce po raz drugi trzeba będzie ujarzmić Grombelard... Dartańskie królestwo, zależne lecz niepodległe, z własną dynastią na tronie, może dać Cesarstwu o wiele więcej, niż dawała Złota Prowincja. Tyle mógłby uzyskać zręczny poseł, odwołujący się do cenionych przez Armekańczyków tradycji i wartości, a wreszcie do zdrowego rozsądku. Tyle na początek, a uważam, że to niemało dla królestwa, którego od stuleci nie ma... — Podniósł kielich, upił mały łyk i odstawił. — Własne granice, własne wojsko, własna moneta i własne prawa. Na tronie zaś własna królowa, dająca początek dynastii.

Regentka odchyliła głowę na oparcie krzesła i przez chwilę patrzyła w sufit. Odetchnęła głębiej raz i drugi.

— Dziękuję — powiedziała na koniec, lekko stłumionym głosem. —

Właśnie po to... Tak, właśnie po to tu przyszłam.

Wstała i szybko ruszyła ku drzwiom. Przystanąła przy samym progu.

— Jeszcze chciałam... Chciałam jeszcze wam podziękować. Wiele razy dawałeś mi oparcie, mędrco Szerni. A ty, wasza godność... Dajesz mi nawet coś więcej. Dziękuję. Nie zapomnicie o mnie?

Gotah i Baylay zostali sami przy stole z resztkami wieczerzy.

51.

Wojna wymknęła się spod kontroli. Nikt już nad nią nie panował.

Nadtysięcznik Caronen wyprowadził z lasu cztery legiony głodnych, do cna wyczerpanych żołnierzy, którym przez ostatnie trzy doby nie pozwolono zmrużyć oka. Odwrót z Sey Aye był istną drogą przez mękę. Wojska brnęły przez las, jako że sławetna ścieżka, poprzegradzana zwalonymi pniami drzew, nie była nawet namiastką traktu, a co najwyżej dróżką-przewodniczką. Oficerowie nosili tuniki prostych żołnierzy, bo każdy, kto miał jakiegokolwiek obszycia przy mundurze, był oczywistym i rzetelnym trupem. Łucznikom rozpaczliwie brakowało strzał, niektóre kliny miały do walki już tylko swoje miecze. Podczas biwaków żołnierze wszystkie potrzeby załatwiali wprost pod siebie, bo ktokolwiek oddalił się od towarzyszy choć na dwadzieścia kroków, mógł nie wrócić. Wróg był wszędzie: z przodu, po bokach i z tyłu. Na drodze przemarszu armii zastawiano dziesiątki pułapek, sideł, wilczych dołów — te myśliwskie sposoby, choć nie powodowały śmiertelnych strat, przyczyniły się do kontuzjowania i okaleczenia wielu żołnierzy, których towarzysze musieli nieść. Cztery poszarpane legiony stanęły na skraju puszczy wymęczone, pozbawione jakichkolwiek zapasów. Dowodzący leśnymi wojskami Ohegened nie dotrzymał wprawdzie słowa i nie unicestwił wrogiej armii, ale zdołał ją dosłownie zdziesiątkować, godne uwagi straty ponosząc tylko w bitwie o przystań. Podczas leśnego przemarszu Caronen, nawet nie widząc wroga, codziennie tracił parudziesięciu żołnierzy.

Nadtysięcznik skierował się na Neten. Działął zupełnie na oślep, nie mając pojęcia o tym, gdzie jest wróg; wiedział tylko o żołnierzach Ohegeneda, których miał w lesie za plecami. Dysponując samą piechotą, nie był w stanie rozesłać szybkich patroli dla zebrania wieści. Garstka

konnych łuczników, którymi dysponował, zdołała odnaleźć tylko jakiś oddział Legionu Konnego — i był to najszcześniejszy przypadek. Nadtysięcznik dowiedział się o zdobyciu przez Yokesa Lida Aye, a wcześniej Netenu, o marszu ciężkich chorągwi na Tarwelar, krwawej bitwie stoczonej przez Armię Wschodnią... i to było wszystko. Nie miał żadnych rozkazów, żadnego celu dla swych legionów, a przede wszystkim żadnych możliwości działania. Zdobycie Lida Aye oznaczało, że nie istnieje już tabor armijny, a to z kolei znaczyło, że w ciągu najwyżej tygodnia przestaną istnieć jego legiony, przemienione w tłum myślących tylko o jedzeniu dziadów-włóczęgów, mogących strzelać ze swych łuków znalezionymi na gościńcu patykami. Na gościńcu dlatego, że nikt po owe patyki nie śmiałyby zapuścić się do lasu... Nadtysięcznik, pozbawiony jakiegokolwiek kontaktu z Kwaterą Główną w Tarwelarze, bezradny, mógł kontynuować swój marsz na Neten, a dalej na Lida Aye i Tarwelar (co oznaczało przebijanie się przez wojska Yokesa, ale dawało nadzieje na wyprowadzenie do Armektu choćby części armii) albo ruszyć do ryzykownej szarży na Rollaynę, z zamiarem zdobycia stolicy, pod którą już nie było wojsk Sey Aye. W Rollaynie wojsko mogłoby żyć na koszt miasta, wymuszając na kupcach przyjmowanie bezwartościowych kwitów wojskowych. Caronen wybrał drugie rozwiązanie. Kategorycznie, biorąc za to pełną odpowiedzialność, nakazał dowódcy Legionu Konnego ignorowanie rozkazów z Kwatery Głównej i stanął obozem, czekając na jego przybycie. Bez jazdy nie mógł ruszyć się nawet na krok. Działając na oślep, bez ruchliwych oddziałów rozpoznawczych i ubezpieczających, mógł po prostu stracić całe wojsko, nie osiągnąwszy niczego. O chorągwiach Yokesa przychodziły niejasne i sprzeczne wieści; te wojska miały być zarówno pod Tarwelarem, jak w Lida Aye, między Lida Aye a Netenem... a wreszcie nie wiadomo gdzie. Nadtysięcznik stanął więc pod Puszczą Bukową, ogarnął trochę swoje wojsko i czekał.

Jeszcze większe kłopoty miał działający pod Akalą tysięcznik W. Aronet, dowodzący resztkami Armii Wschodniej. Z wielobarwnych legionów, które wyruszyły na wojnę, pozostało pod bronią niespełna dwa i pół tysiąca żołnierzy — głodnych i zabiedzonych tak samo, jak legioniści Caronena. Aronet gonił resztkami. Kto wie, czy o wyniku wojny na wschodzie nie przesądziły finansowe intrygi, uknute przez Perły Sey Aye?... Gdyby legiony Armii Wschodniej mogły wchłonąć uzupełnienia,

albo gdyby wychowanych przez Terezę weteranów wsparły bodaj dwa świeże legiony, tysięcznik mógłby myśleć nawet o pobiciu Wskrzeszonych Rycerzy Królowej. Ale zrujnowane finanse Kirlanu nie podołały wyzwaniu. Z trudem wystarczyło pieniędzy na utrzymanie tego, co już było w polu. Rezerwowe legiony, które miano sformować na tyłach, nigdy nie powstały. Aronet miał strzepy wojsk i nie mógł dłużej osłaniać Akali, bo działające w trzech kolumnach chorągwie Ahe Vanadeyone stały na samym Potrójnym Pograniczu. Mógł zamknąć się w twierdzy albo wyprowadzić skrwawioną armię do Armektu. Tysięcznik gorąco pragnął bronić wiernego miasta, ale uważał, że właśnie zamknięcie się za jego szczyrbatymi, nieotoczonymi fosą murami, byłoby wyrokiem śmierci, zarówno dla jego żołnierzy, jak i samej Akali. Enewen mógł poniechać zdobywania bronionej, choćby słabo, twierdzy i poszukać, być może, łatwiejszego sukcesu gdzie indziej — lecz nie wtedy, gdy jej zdobycie oznaczało zarazem unicestwienie wszystkich wrogich sił. Dowódca Armii Wschodniej nie wierzył, że zdoła się obronić przed dwukrotnie liczniejszym, najwyraźniej gotowym na wszystko, przeciwnikiem. Całkowite skruszenie chorągwi Enewena okazało się mrzonką. Do domów rozjechali się już wszyscy, którym świtał w głowach taki zamiar, lecz ci, co zostali, chyba nie mieli nic do stracenia. Tym ludziom chodziło widocznie o coś więcej niż udział w wojennej awanturze. Oprócz półtora tysiąca piechurów przy taborze Enewen wciąż miał pod komendą kilkanaście chorągwi, poszarpanych, słabych liczebnie — lecz były to chorągwie najlepsze i najwierniejsze, z którymi rozpoczął wojnę, stając jeszcze przeciw Stronnictwu Sprawiedliwych. Aronet, podobnie jak nad tysięcznik Caronen, miał do wyboru: bez widoków na zwycięstwo bronić miasta, które Enewen po prostu musiał zdobyć, jeśli chciał osiągnąć w swojej wojnie cokolwiek lub poświęcić Akalę, wyprowadzając w zamian żołnierzy do Armektu. Wybierając drugą możliwość, mógł liczyć na wciągnięcie Enewena w dalszą wojnę podjazdową już na terenach armektańskich, lub — co bardziej prawdopodobne — w wypadku zdobycia Akali, na nieformalne, być może długotrwałe, zawieszenie broni. Mocno wątpił, by zdesperowani wojownicy Ahe Vanadeyone, osiągnąwszy wreszcie upragniony cel, jakim było zasobne Potrójne Pogranicze, natychmiast rzucili się dalej, maszerując w trudzie i znoju, byle tylko spalić jeszcze parę wiosek.

Tysięcznik bił się z myślami, ale był głównodowodzącym wszystkich imperialnych sił na wschodzie i nikt nie mógł zdjąć z jego ramion brzemienia odpowiedzialności. Gdy zostawał sam, niewidziany przez nikogo, próbował rozmawiać ze swą poległą dowódczynią, zasięgał rady i opinii. Lecz niczego nie uzyskał. Wzywana nadtysięczniczka mówiła: „Ocal wojsko, bo wojny wygrywają wojska, nie miasta”, lecz w oczach miała coś innego, coś czego nie umiał nazwać... Zdał sobie sprawę, że oszukuje sam siebie. Enewen nie mógł ominąć Akali, kontentując się w zamian spaleniem jakichś wiosek. Wybór był prosty: wydanie wrogowi bezbronno miasta lub bohaterska obrona, okupiona całkowitym zniszczeniem Armii Wschodniej.

Aronet podjął być może najtrudniejszą w życiu decyzję: wciąż osłaniany przez żelazną ariergardę tysięczniczki Agatry, pod której rozkazami walczyli żołnierze ze wszystkich możliwych formacji, w nocy oderwał się od przeciwnika i forsownym marszem pociągnął w kierunku Rapy. Jednocześnie pchnął do Akali gońca, wiozącego krótki, wojskowym językiem napisany list, z którego wynikało, że miasto nie będzie bronione przez siły Armii Wschodniej.

Następnego dnia rycerze i pocztowi Enewena, pospołu z piechurami i obozową czeladzią, rabowali i puszczali z dymem szeroko rozłożone przedmieścia, z których uciekli niemal wszyscy mieszkańcy. Stare grombelardzkie mury Akali były ostatnią ostoją tysięcy opuszczonych przez Wieczne Cesarstwo ludzi.

Tysięcznik W. Aronet, dobry dowódca i żołnierz, nie żywił do Akali żadnego sentymentu, ale wielokrotnie budził się w nocy z uczuciem, że nienawidzi wojny. Nienawidził Niepojętej Pani, której wiernie służył, a która kazała mu być zdrajcą. Bo kogoś zdradzić musiał: albo wierne miasto, albo własnych żołnierzy, rozkazując im stoczyć z góry przegraną bitwę.

Po długich tygodniach wojennych niepowodzeń, wstrętnych deszczach, nieudanych przeprawach przez rzekę i marszach w błocie zasobne Potrójne Pogranicze stanowiło dla rycerzy Enewena — i dla samego wodza — cel sam w sobie. Ci ludzie już prawie nie pamiętali, o co toczy się wojna, wiedzieli tylko, że mają zdobyć i puścić z dymem Akalę. Aronet po stokroć miał rację, uważając, że nie było mowy o jakichś „innych” sukcesach. K.B.I.Enewen, rycerz o wielkiej duszy, który potrafił

okazać łaskę pokonanej stolicy swego brata, w ogóle by nie zrozumiał pytania o przyszłość Akali. Ogromna większość mieszkańców uciekła, lecz nie wszyscy mogli lub chcieli to uczynić. W ratuszu pozostała część rady miejskiej — mężczyźni ludzie, uczeni nadziei, że ich wstawiennictwo i prośba ulżą doli mieszkańców. Ale nieszczęsnego burmistrza, próbującego prosić tylko o życie kalek, kobiet i dzieci, nawet nie wysłuchano. Czołowy oddział jednej z Chorągwi Rollayny wpadł do miasta, włokąc na sznurach bezkształtne toboły skrwawionego mięsa — byli to rajcy towarzyszący burmistrzowi. Sam burmistrz został zatknięty na rycerskiej kopii i podparty dwiema innymi; koszmarny trójnóg ustawiono na odkrytym wozie, który powoli, majestatycznie toczyli po ulicach porwani z przedmieścia mieszkańcy. Nieszczęsny ojciec miasta, nie tyle konający, co wręcz zdychający niczym nadziany na patyk robak, do ostatniej chwili swego życia mógł patrzeć na to, co robią z jego miastem pocztowi i czeladź obozowa, a nawet niektórzy rycerze. Ulica, którą kiedyś jechała do rynku wzruszona tysięczniczka Tereza, stała się placem kaźni, gdzie zmuszano mieszkańców, by męczyli i mordowali się nawzajem. Ludzie podpalali własne domy i zapędzali w płomienie sąsiadów. Ku wściekłości zdobywców w Akali prawie wcale nie było młodych i zdrowych kobiet — odgadując, jaki los je czeka, uciekły z miasta, czasem niosąc tylko tyle mienia, ile mogły unieść. Teraz pomyloną, głupkowato uśmiechniętą dziewczynę, wyciągniętą z jakiegoś zaułka, obozowe ciury wręcz rozdarły, bo każdy ciągnął zdobycz w swoją stronę; pijany zrabowanym winem pachol nawet nie zauważył, że na środku ulicy, pośród pożarów i dymów, gwałci trupa bez ręki i z wydartymi razem ze skórą włosami. Stawały w ogniu kolejne domy; w byle kamienicy rzadko trafiały się godne uwagi łupy, czekały przecież liczne sklepy kupieckie, z których właściciele niedużo zdołali uratować, można więc było palić nieomal wszystko bez wyboru. Wspaniałe miasto, które tak wiele wozów oddało żołnierzom, spełniając prośbę komendantki swego garnizonu, nie znalazło ich dość, by wywieźć mienie najzamożniejszych mieszkańców...

Pośród wszechobecnych pożarów i powszechnej rzezi, uszanowano tylko jedno, jedyne miejsce. Rycerz, który na czele swych ludzi wdarł się do koszar garnizonu, ujrzał wypełnione dziesiątkami i setkami rannych wielkie izby żołnierskie. Olbrzymi lazaret, gdzie garść ślaniających się na

nogach ludzi gotowa była raz jeszcze stanąć do walki w obronie ciężko rannych towarzyszy. Rycerz stał w drzwiach śmierdzącej bólem i ranami izby, wreszcie z chrzęstem oparł żelazną dłoń na piersi, bez słowa odwrócił się i wyszedł. Musiało minąć sporo czasu, nim koszary garnizonu zostały odkryte ponownie — lecz tym razem przez zgraję czeladzi obozowej, której nie przewodził żaden mężczyzna Czystej Krwi. Bezbronni żołnierze imperium dołączyli do wielkiego legionu, który miał stopić się z Pasmami Szerni, jakie wchłonęły duszę ich dzielnej dowódczyni.

Wielkie miasto zamordowano — i miało już nigdy nie zmartwychwstać. Umarła jeszcze jedna legenda: niezależne od wszystkich prowincji Potrójne Pogranicze, gdzie stykały się Armekt, Dartan i Grombelard.

*

Gdy płonęły pierwsze domy na rogatkach Akali, ze stołecznej Dzielnicy Królewskiej wychodziły do boju chorągwie jej królewskiej wysokości regentki. Sama księżna, w brązowej sukni wojennej i połacanym łuskowym pancerzu, wciąż jeszcze siedziała w pałacu, nie mogąc się zdobyć na opuszczenie murów, których nie kochała, w których źle się czuła, ale które jednak miały być jej domem. Po raz ostatni wyszła do leśnego ogrodu, bo musiała jeszcze z kimś porozmawiać... Między pniami sosen, w półmroku, czekały na nią cienie wielkich wojowników z książęcego rodu rycerzy królowej, których imiona wyczytała z nagrobnych tablic znalezionych na puszczańskim cmentarzu.

Nikt nie widział w lasku za pałacem zastępu martwych rycerzy, ale wszyscy czuli, że księżna nie jest sama. Wiedziały o tym Perły, wiedział mędrzec-Przyjęty, wiedział nawet magnat z Domu A.B.D.

Młoda dziewczyna, piorąca niegdyś w potoku sterty brudnych koszul, rozmawiała ze starym, dobrym księciem, którego nie ośmieliła się nazywać małżonkiem.

— Wasza wysokość — mówiła cicho, dotykając ręką szorstkiego pnia sosny — powiedz proszę, czego nie uczyniłam, a co koniecznie należało zrobić? Przecież wiem, że nie pomyliłam się co do mnie, bo nie mogłam oddać Dartanowi więcej, niż oddałam. Nie jestem królową Rollayną, ale potrafiłabym zasiąść na jej tronie. Dlaczego mi się nie udało? Skąd bierze się ta nieśmiertelna potęga Armektu, kraju, który

pozbawiony wszystkiego potrafi podjąć każde wyzwanie? Czy są odpowiedzi? Czy będzie jeszcze kiedyś królowa Rollayną? Czy pojawi się gdzieś, może tak samo w Dobrym Znak? Mędrzec Szerni powiedział, że Rollayną powstała z marzeń rodu wielkich rycerzy... Tego rodu już nie ma, ale ja też o niej marzę, wasza wysokość. Czy uda mi się sprawić, by wróciła jeszcze raz, mądrzejsza i silniejsza ode mnie?

Książę milczał, ale błędzącej między drzewami Ezenie wydawało się, że czuje na włosach dotyk jego dłoni. Ten sam dotyk, który zwykłą niewolnicę skierował kiedyś ku marzeniom, jakich nie śmiał snuć nikt inny pod niebem Szereru.

— Przebacz mi, wasza wysokość. Bardzo pokochałam ten... nieudany kraj, który miał być moim krajem. Bardzo chciałam, ale... Nie udało mi się.

Skryci w leśnym półmroku rycerze milczeli. Pani Dobrego Znak nie znalazła pociechy, ale nie usłyszała też ani jednego słowa potępienia. Cienie wielkich wojowników potrafiły zajrzeć w głąb duszy i było oczywiste, że ta młoda kobieta, której nieudane życie być może właśnie dobiegało kresu, nie kłamie. Zrobiła wszystko, co w jej mocy; wszystko, czego od niej żądano. Kochała ich Złoty Dartan i wierzyła, że zasiądzie na tronie, by uczynić go piękniejszym i lepszym.

W małym lasku za pałacem dartańskich monarchów umarło tego poranka marzenie o wspaniałej królowej — lecz natychmiast zrodziło się nowe. Było to marzenie nieśmiertelne, czy też raczej wskrzeszane wciąż i wciąż na nowo.

Chorągwie jechały przez miasto. Przodem szła świetna Mniejsza Chorągiew Domu jego godności K.B.I.Enewena, za nią zaś Potok — jeden z trzech znaków, przydzielonych swego czasu Yokesowi jako wsparcie. Na przedmieściu czekała malutka chorągiewka K.D.R. Wasanena — ci rycerze przybrali sobie zasłużone miano Wiernych.

Dwie jadące z Królewskiej Dzielnicy chorągwie mozolnie przebijały się przez tłum. Nie wiadomo, kto i kiedy rozpowszechnił wieść o mającej nastąpić bitwie, ale wiedzieli o niej wszyscy. Rycerze i pocztowi regentki, pozdrawiani z prawa i lewa, słuchali niemilkających okrzyków zachęty i wiwatów. Jego godność I. N. Eynes, dowodzący Mniejszą Domu, zrozumiał wkrótce, że nie może posuwać się dalej. Tłumy rosły, towarzyszyły oddziałom, szły dalej, pragnąc obejrzeć bitwę na

przedpolach stolicy. Rycerz zawrócił do pałacu trzecią część Potoku z wieścią, że regentka musi natychmiast dołączyć do swojego wojska, bo z niewielką przyboczną asystą nie zdoła opuścić stolicy.

W tym samym czasie do Rollayny wkraczali, przez Bramę Pani Seili, okryci kurzem jeźdźcy na zgonionych koniach — Chorągiew Straży Tyłnej, jedna z dwóch lekkich, wzmocniona przez kilkudziesięciu żołnierzy Chorągwi Straży Przedniej, których dało się ściągnąć z kurierskiego szlaku. Lekko uzbrojeni wojownicy, przeznaczeni do ubezpieczania sił głównych i zwalczania podjazdów wroga, dosiadali najwytrzymalszych i najszybszych koni, będących w posiadaniu wojska Dobrego Znaku. Nie były to wierzchowce równie odporne na trudy, jak konie imperialnych łuczników, lecz sprostały wyzwaniu wielomilowego przemarszu. Zbiorcza lekka chorągiew przemierzała zupełnie puste, niemal wymarłe ulice, bo cała ludność miasta podążyła ku Bramie Pani Delary.

Nie wiadomo, co sprawiło ten cud, że uśmiechnięta kobieta o granatowych włosach, raz tylko widziana przez pospólstwo, stała się jego ulubienicą. Czy surowe dla przestępców prawa, które utrzymała? Czy plotki i niezwykle opowieści, rozpowszechniane w gospodach i przed budami kramarzy? Najprędzej uśmiech, szczery i prawdziwy, jakiego nigdy nie miała dla tłumu żadna z dam Domów Rollayny. Wjazd księżnej do stolicy obrósł prawdziwą legendą, o jej dobroci i przyjaźni, którą żywiła dla ludu, opowiadano niestworzone historie. Ileż to razy widziano regentkę, gdy rozmawiała gdzieś z kimś, nie wiadomo gdzie ani z kim... Ileż razy rozpoznawano jej granatowe włosy, gdy z niewielką przyboczną asystą chodziła pośród zwykłych ludzi, pytając, jak im się wiedzie... Dumna i pyszna Rollayna, bogata i rozgrymaszona, potrzebowała swojego mitu, a może raczej miała wspaniały mit, który koniecznie należało oczyścić z patyny. Mieszkańcy miasta po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuli, że ich świetna stolica ma prawdziwą władczynię, kogoś będącego na właściwym miejscu. Tchnięto duszę w zbiorowisko ludzi, ulic i domów; legendarna królowa wróciła. Wierzono w to gorąco, bo jakże wspaniała była taka wiara!... Nie dawano ucha plotkom, że istnieje spisek zawiązany przeciw księżnej regentce; wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek chciał zdradzić władczynię, uznawaną już przez miasto za prawowitą królową.

Lecz ta królowa nie umiała wykorzystać zapału i oddania ludu; nie umiała go nawet dostrzec... Marząc o czymś, Ezena nie pomyślała, że i zwykli ludzie mogą mieć swoje marzenia, swoje sny o świetności i potędze, sny o własnym Dartanie. Nie dziwiło, że zawiodła kapryśna i wyniosła Anessa, gotowa intrygować z najznamienitszymi, gdy należało raczej schylić się i spojrzeć w dół, gdzie kilkadziesiąt tysięcy ludzi gotowych było natychmiast rozedrzeć zdrajców, gdyby tylko ich pokazano. Ale i grombelardzki mędrzec-historyk, zapatrzony w niezwykłą kobietę, nie widział nikogo i niczego więcej. Teraz zdumieni i skołowani, nic nie wiedzący o wojnie ludzie, szli obejrzyć zapowiedzianą bitwę, rozumiejąc, że wierne ich pani wojska przegonić mają jakieś oddziały, zapewne armektańskie, bo wiadomo było od dawna, że cesarska jazda zapuszcza się pod samą stolicę.

Coś dziwnego wydarzyło się w Złotym Dartanie, Pierwszej Prowincji Wiecznego Cesarstwa. Coś bardzo niezwykłego zrodziło się w samym sercu kraju, w samej jego stolicy. Bogaty lud, od zawsze żyjący pod panowaniem odległego — i dobrego — władcy z Kirlanu, odstąpił odeń w jednej chwili, kierując swe uczucia ku przybyłej znikąd, jak niedawno powiedział cesarski przedstawiciel, ale własnej władczyni. Co takiego zaszło w Dartanie, że prości ludzie chcieli być naraz u siebie, chcieli być Dartańczykami, poddanymi dartańskiego monarchy, nie zaś poddanymi armektańskiego cesarza? Nie ciemieni, jeszcze niedawno ochraniani przez legionistów, którzy wprawdzie nosili na piersiach srebrne gwiazdy, lecz wywodzili się spośród nich, nagle wybrali wojnę — prawda, że odległą, trochę niewyraźną i nierealną — odtrącając wieczny pokój w granicach Wiecznego Cesarstwa.

Otoczona przez poczty Potoku regentka jechała do swoich chorągwi pośród ryku rozentuzjasmowanego tłumu, nie wierząc własnym uszom, oszołomiona i niemal przestraszona, a przede wszystkim przygnieciona poczuciem winy, że o czymś zapomniała. Straciła coś wielkiego, a może największego. Zapomniała, kto witał ją na ulicach, gdy wjeżdżała do Rollayny; zapomniała, dla kogo miała pierwszy uśmiech, najpierw wyrachowany, a potem szczery do głębi. Wolała rozmawiać z krętaczami, rzucać im rycerskie wyzwania, może nawet płacić za niechętnie poparcie, zamiast przyjść do ludzi, którzy z radością i darmo wystawiliby dla niej pięćotysięczną armię uzbrojonych na koszt miasta knechtów — tak jak

w innym mieście, inni lecz podobni ludzie, spełnili prośbę kochanej tysięczniczki. W jednym szeregu stanęliby synowie stołecznych rzemieślników, drobnych urzędników i kupców, słuchający rozkazów wyłonionych ze swego grona oficerów. Przybyliby na wezwanie, okryci niebogatymi kolczugami i na niepięknych konikach, ubodzy mężczyźni Czystej Krwi, gotowi pod sztandarem królowej Dartanu wywalczyć dla siebie rycerskie płaszcze i pierścienie. Stawiłaby się cała gołota, dla której nigdy nie było miejsca w imperialnych legiach — setki i tysiące ubogich, lecz przeważnie uczciwych ludzi, potrafiących przyjąć obowiązki i rygory dyscypliny, gotowych służyć za samo utrzymanie i byle sztukę srebra miesięcznego żołdu, bo tę sztukę srebra i trochę odjętego od ust żołnierskiego chleba mogli przekazać żonom na wykarmienie dzieci. Księżna nie mogła mieć z tych ochotników sprawnej armii polowej, ale w ciągu tygodnia wystawiłaby potężny stołeczny garnizon, gotów bronić Rollayny i osoby władczyni przed każdym. Mając kwaterującą we własnych domach, silną milicję terytorialną, mogła siedzieć w swym pałacu i śmiać się z rycerskich chorągwi na przedmieściach, które dla byle jej kaprysu rozpędzono by na cztery wiatry. Za lada przyzwoleniem ze strzelistych białych pałacyków nie pozostałby kamień na kamieniu, a świadomi tego stołeczni magnaci przypochebialiby się zarówno swej władczyni, jak ludowi — i nie byłoby żadnego Stronnictwa Słusznej Sprawy. W zamian byłyby nowe chorągwie w służbie księżnej regentki. Lecz Ezena nie dostrzegła tego, rozmawiając tylko z rycerzami, widząc się na czele wielkich Domów i rodów, a zapominając o milionach zwykłych ludzi, zamieszkujących jej Złoty Dartan.

Teraz było za późno, by wykorzystać potęgę żywiołu. Pospólstwu brakowało przywódców. Nikt nie przyszedł do tych ludzi, nie pokazał im wielkiego Dartanu, chwały wspaniałej stolicy — ich własnego miasta, które miało stać się równe Kirlanowi. Nikt nie opowiedział o samotnej władczyni, opuszczonej i zdradzonej przez możnych, pragnących tylko utuczyć swe sakiewki. Jej królewska wysokość mogła już tylko milczeć, ze spuszczoną głową jadąc pośród zakochanych w niej tłumów.

A jednak obecność tych tłumów wywarła na kimś wielkie wrażenie. Bo nie tylko księżna regentka zapomniała, że Złota Rollayna nie składa się z samych białych pałacyków... Chorągwie Stronnictwa Słusznej

Sprawy, ruszające na błonia za Przedmieściem Czterech Jeźdźców, odprowadzane były wiwatami, tak jak Mniejsza Chorągiew Domu i Potok, i tak samo ciągnęły za nimi tłumy, pragnące obejrzeć bitwę. Lecz wiwatowano na cześć regentki; żaden z idących do bitwy rycerzy nie słyszał swego imienia i żaden nie śmiałby przyznać, przeciw komu rusza do walki. Siedzący na bojowych wierzchowcach wojownicy, z kopiami w rękach i konnymi kusznikami za plecami, patrzyli prosto przed siebie — bo inaczej musieliby popatrzeć na nieprzebrane tłumy, które za chwilę miały być świadkami ich triumfu. Dartański mężczyzna Czystej Krwi mógł pogardzać motłochem, ale ten motłoch jednak istniał. Gdzieś na dartańsko-armektańskim pograniczu żelazne hufce Dobrego Znaku puszczały właśnie z dymem wioski, których Wieczne Cesarstwo nie zdołało obronić. Wieści o tym już dotarły do Rollayny i rycerze Słusznej Sprawy zadawali sobie pytanie, czy imperium, które nie obroniło armektańskich wiosek, na pewno zdoła obronić inne, należące do dartańskich sprzymierzeńców. Ale największą grozą napawały te wiwatujące na cześć regentki ulice, na które lada chwila należało wrócić, wlokąc trupa tejże regentki lub prowadząc ją w łykach. Te ulice nie były daleko — gdzieś tam, odległe... nierealne... Były tu. I w chorągwiach ciągnących z przedmieść na błonia trudno byłoby znaleźć choć jednego człowieka, który nie zadałby sobie pytania: gdzie właściwie ma jechać po zwycięskiej bitwie? Bo rozum podpowiadał tylko jedną odpowiedź: gdziekolwiek, byle dalej i byle jak najszybciej.

Już na podmiejskich łąkach, prowadzący swych rycerzy T.J. Seneres, wódz Stronnictwa Słusznej Sprawy, którego przed dwoma dniami wyzwał do walki Wasanen, przyjął gońca, przybyłego od jednej z chorągwi. Jej dowódca, chcąc skrócić sobie drogę, pojechał przez miasto i donosił, że spóźni się na plac boju, bo jego jeźdźcy uwięźli w tłumie i jedynym wyjściem jest wyrąbanie sobie drogi. Seneres odesłał gońca z ponagleniem, lecz zarazem przestrzegął przed pochopnymi posunięciami; w gruncie rzeczy jednak wiedział, co ma myśleć o owym „spóźnieniu na plac boju”... Zachodziło podejrzenie, że za chwilę otrzyma podobne raporty od dowódców pozostałych znaków i stawi się do bitwy na czele swoich trzystu pięćdziesięciu jeźdźców. Ale sam widział, że skończyły się żarty. Mogło się okazać, że zwyciężywszy na błoniach, będzie zmuszony zaraz szlachtować mieszczan na ulicach Rollayny.

Dumny mężczyzna Czystej Krwi nie bał się motłochu i był pewien, że rycerstwo pod jego wodzą rozpędzi tłumy w pół dnia. Lecz zarazem umiał przewidywać i wiedział, jakie mogą być tego dalekosiężne skutki.

Chorągwie, wbrew obawom, kolejno spływały na błonia i na koniec brakło tylko jednej, tej, która ugrzęzła w środku miasta. Jego godność Seneres zaczął sprawiać swoje wojsko do bitwy, ustawiając „groty” w szachownicę. Miał pod bronią dwa tysiące dobrze uzbrojonych ludzi. Naprzeciwko stawały, także w szyku „grotów”, dwie silne chorągwie Enewena, chorągiewka Wasanena i lekka jazda Dobrego Znaku, o której przybyciu dowódca Stronnictwa dowiadywał się właśnie teraz. Zaniepokoiła go ta, przybyła znikąd, jazda. Wojska Dobrego Znaku miały być pod Lida Aye... lecz lekka chorągiew, której czarno-białą banderę doskonale znał, chorągiew, która jeszcze niedawno stała pod Rollayną, i chyba wraz ze wszystkimi poszła pod Lida Aye, trwała u boku regentki, najwyraźniej pełniąc rolę straży przybocznej. Czy za tym lekkim znakiem mogły nadciągnąć następne? A może już nadciągnęły, być może stały w gotowości, pod osłoną drzew niedalekiego lasu? Seneres naraz zaczął się obawiać, czy nie został wciągnięty w pułapkę. Przebiegła intrygantka, której nie docenił, którą pochopnie zlekceważył, narzuciła mu czas i miejsce stoczenia bitwy, dostrzegał to coraz wyraźniej. Nie mógł przegrać, mając dwukrotną przewagę liczebną, ale rodziło się pytanie, czy na pewno ma tę przewagę? Im dłużej myślał o okolicznościach, w jakich rzucono mu wyzwanie, tym bardziej był pewien, że regentka wiedziała, co robi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie parłby przecież do bitwy z dwukrotnie silniejszym wrogiem!

Istne morze pospólstwa wylało się z przedmieść i jęło rozplýwać po błoniach. Ci ludzie przyszli obejrzeć widowisko, z którego jednak rozumieli coraz mniej. Nie było jasne, dlaczego małe wojsko rycerskie stanęło naprzeciwko większego, nie było nawet jasne, które oddziały do kogo należą. Wszyscy chcieli widzieć regentkę i dostrzegali ją to tu, to znowu tam. Wyrostki obsiadły sterczące na równinie drzewa, których gałęzie uginały się, niczym pod ciężarem dorodnych owoców. Jego godność Seneres nie potrafił podjąć decyzji o rozpoczęciu boju; zamiast tego przemyślał gorączkowo, w jaki sposób sprawdzić, czy na pomoc samozwańczej regentce nie runą zaraz straszne wojska Sey Aye. Nie opuszczało go wrażenie, że lada chwila, zza widocznego na zachodzie

niewielkiego garbu, przez który biegła droga z Rollayny do Armektu, wyłonią się żelazne, najlepiej na świecie okryte chorągwie. Seneres nie miał żadnych złudzeń; wiedział, że wojenna sprawność jego rycerstwa ma się zupełnie nijak do sprawności żołnierzy pani Dobrego Znaku.

Na tę samą nierówność, co Seneres, spoglądała nieszczęśliwa Ezena.

Księżna nie mogła pogodzić się z tym, co zobaczyła na ulicach. Siedziała w swoim zimnym i pustym pałacu, mając tylko Perły i kilku wiernych przyjaciół, gdy dość było wyjść za próg domu, choćby tylko z Hayną u boku, by poczuć się zupełnie bezpiecznie w morzu rozradowanych ludzi. Mogła pójść na rynek, jak zwykła dziewczyna, i sama kupować ulubione jabłka; mogła potargować się o barwny pas materiału, udający narzutę pocztowego strzelca. Dlaczego śmiała się z tych narzut, zamiast dojrzeć w nich poparcie dla toczonej przez siebie wojny? Te narzuty nie udawały tunik legionistów imperium! Dlaczego nie przyszło jej do głowy — choćby wtedy, gdy jechała na naradę Stronnictwa Słusznej Sprawy — zsiąść z konia, zsunąć na plecy kaptur kryjący granatowe włosy i kupić sobie taką narzutę, pośród zgiełku i okrzyków zachwyconych ludzi, mających swą królową między sobą? Próbowwała zaprząć do pracy falangi gnuśnych urzędasów, zamiast wykorzystać entuzjazm ludu, gotowego wręcz spełniać jej kaprysy. Samotna w zimnym pałacu, mogła znaleźć na rynkach Rollayny to wszystko, za czym tęskniła: szczerze uśmiechy, rozmowy z dziewczynami, do których kiedyś należała...

Księżna miała ochotę rozplakać się z żalu nad tym, czego już nie mogła naprawić. Przysięgła sobie kiedyś, że płakać nie będzie, ale teraz, stając do ostatniej bitwy, żałowała całego nieudanego życia. Za chwilę jej trzy wierne chorągwie miały zderzyć się z dwakroć silniejszym przeciwnikiem — wspaniałe, lecz niepotrzebne, wiodące donikąd bohaterstwo. Znalazła odpowiedź, której nie udzieliły cienie wielkich rycerzy. Dlaczego się jej nie udało? Otóż dlatego, że miała wszystko: wierne wojska, przyjaciół, a na koniec niezasłużoną miłość swych poddanych... i roztrwonila to.

Nie było już jej wysokości K.B.I.Ezeny, księżnej regentki, pani Dobrego Znaku. Biedna dziewczyna odnalazła swoje miejsce: było to miejsce taniej niewolnicy, która poczuła się kimś wielkim i od razu zapomniała, że najwięcej mogą sprawić właśnie mali ludzie — tacy jak

ona sama. Dość okazać im zaufanie, pozwolić o czymś marzyć... Śnić i marzyć! Mądry książę Lewin zaufał i pozwolił marzyć niewolnicy.

Teraz niewolnica śniła ostatni, śmieszny sen. Sen o swym wspaniałym i wiernym wojsku, które jej kiedyś powierzono. Sen o żołnierzach, którzy gdzieś tam, daleko, wyteżali wszystkie siły, żeby tylko zdążyć — ale nie zdążyli. Ezena śniła o wspaniałych znakach Trzech Sióstr, Stu Róż i Pierwszego Śniegu, o chorągwi Szarej, Błękitnej i świetnej Czarnej Przybocznej. O przepysznej Chorągwi Domu, która tak niedawno wprowadziła swą panią do Rollayny.

I tylko raz, ten jeden jedyny raz w całej wojnie — wyśniła... Może Niepojęta Pani Arilora, choć zrodzona w Armekcie, potrafiła zwrócić spojrzenie ku każdemu, kto jej wiernie służył? Żaden cud wojenny nigdy nie wziął się znikąd, zawsze stał za nim rozkaz dowódcy i wysiłek świetnych żołnierzy.

Na odległej o ćwierć mili nierówności, przez którą biegła droga, coś zamajaczyło. Księżna, z sercem bijącym mocno i boleśnie, nie od razu poznała, że są to dwaj jeźdźcy, trzymający łopoczące banderie chorągwiane... Ludzie ci stali w miejscu, powiewając tylko bławatami na potężnych drzewcach, jakby chcieli coś pokazać, dać do zrozumienia... może tylko tyle, że są? Na prawo i lewo od nich wkrótce zaczęli się pojawiać następni jeźdźcy. Ci nie zatrzymali się na szczycie garbu, zjeżdżali po łagodnej pochyłości, kierując się w stronę małego wojska pod miastem. Po drodze i obok drogi, ciężkim kłusem, albo już tylko stępa, szli rozproszeni żołnierze dwóch wspaniałych chorągwi: Szarej i Czarnej Przybocznej. Księżna nie wiedziała, jak wyglądał ten przemarsz. Nie widziała ludzi, którzy całe mile pokonywali pieszo, biegnąc obok kłusujących wierzchowców, by dosiadać ich tylko do jazdy galopem albo stępa. Nie widziała, jak na krótkich postojach żołnierze przemawiają do swych czworonożnych przyjaciół, przekonując, że trzeba biec dalej. Nie widziała kopijnika, który zapłakał nad swym zajeżdżonym na śmierć, potężnym rumakiem, nie potrafiącym sprostać kolejnemu wysiłkowi marszowemu. Nie mogła też widzieć ludzi, którzy zostawiali na drodze kulejące zwierzęta, chwyтали się strzemienia któregoś z towarzyszy i po prostu biegli — tak długo, aż zabrakło im sił. Pod Rollayną stawała armia cieni: wymęczonych do granic wierzchowców, dosiadanych przez ledwie żywych wojowników, mających za całą osłonę kolczugi, a do walki tylko

miecze przy boku. Ci ludzie nie przedstawiali żadnej wartości bojowej, ale też nie przybyli, by zwyciężyć... Przyjechali walczyć i zginąć u boku swojej pani, bo ta pani zażądała tego kiedyś. Ezena dowiedziała się, jaką wagę ma słowo królowej. Nie wolno było mówić bezkarnie: „Oni wszyscy mają zginąć, najpierw oni, dopiero potem ja!” — bo takie słowa miały moc sprawczą. Nadciągały grupy i grupki, nadjeżdżali pojedynczy żołnierze z dwóch zdziesiątkowanych morderczym marszem, zmieszanych z sobą, znakomitych chorągwi, a każdy z nich spoglądał ku regentce w złotym łuskowym pancerzu, z dumą, a zarazem nadzieją, że zostanie przez nią dostrzeżony, że pani uśmiechnie się, może tylko spojrzy, wykona drobny gest... Lecz księżnej żadna siła nie mogła utrzymać w miejscu; półprzytomna ze wzruszenia kobieta ponagliła wierzchowca i wyjechała naprzeciw, żołnierze mijali ją z salutem i wszyscy mogli zobaczyć, że po policzkach ich pani spływają ogromne łzy. Ze wzniesienia wciąż jeszcze zjeżdżali, bądź schodzili, prowadzący konie za uzdy żołnierze Szarej i Czarnej, gdy obok dwóch banderii wykwitła trzecia: białoliliowa. Ostatniemu ze znaków Wielkiego Sztandaru, Chorągwi Pierwszego Śniegu, dawano gorsze konie niż chorągwi Szarej i Czarnej, które stale pełniły służbę u boku pani Sey Aye. Pod Rollayną stawiła się tylko garść tych pięknych, jeszcze do niedawna, żołnierzy, teraz pokrytych potem i kurzem, bez zdobiących wierzchowce kropierzy, w narzutach szaro-brązowych, bo już nie białoliliowych. Ich towarzysze mieli dopiero nadciągnąć, ale kilkudziesięciu jeźdźców na najlepszych koniach stawiło się do bitwy wraz z towarzyszymi dwóch pierwszych znaków.

O czym myślał stojący naprzeciw przywódca Stronnictwa Słusznej Sprawy? Czy o tym, jak haniebnie dał się wywieść w pole? Jeśli tak, to był w błędzie, bo nikt przecież nie mógł uwzględnić w rachubach rzeczy niemożliwej. Sam komendant Yokes, dobrze znający wartość swych żołnierzy, był pewien, że nie stawia się do bitwy. Lecz ci ludzie wcale nie liczyli szans, obojętne im było, jak daleko leży Rollayna. Wbrew rozumowi, a nawet wbrew rozsądkowi, postanowili biec przed siebie tak długo, aż dobiegną.

Przybycie chorągwi Sey Aye wywarło wrażenie nie tylko na wodzu rycerzy Słusznej Sprawy. Z uliczek przedmieścia wysunął się zwarty, bardzo silny oddział, uformowany w długą kolumnę. Jadący trójkami

spóźnieni jeźdźcy siódmej chorągwi Stronnictwa przybywali na pole bitwy. Chorągiew, wciąż w szyku marszowym, porozrywała się nieco, bo jej czoło poszło wyciągniętym kłusem. Dowódca wskazał miejsce i jął ustawiać podkomendnych w „grot”. Cokolwiek myślał jego godność Seneres, stojący na czele sześciu zbuntowanych znaków, nie mogło zmienić wymowy faktów... Nie miał już przewagi liczebnej, a w zamian dowodził niedoświadczonymi w boju, zdezorientowanymi, upadłymi na duchu wojownikami, którzy najpierw oglądali tłumy na ulicach, potem przybycie posiłków dla regentki, a na koniec własną chorągiew, dołączającą do jej szyku. Słysząc było odległe okrzyki i wiwaty; wrogie wojsko mieszało się nieco, bo wielu ludzi nie zdołało tam zapanować nad uniesieniem i opuściło szeregi, by uściskać nowych sprzymierzeńców, bądź tylko przypatrzeć się z bliska twardym jak żelazo żołnierzom Sey Aye — ludziom, którzy z końca świata gotowi byli przybiec na ratunek swojej pani.

Wkrótce wszczęło się nowe poruszenie. Ku środkowi pola zmierzała niewielka grupka jeźdźców, w środku której migotały powleczone złotem łuski świetnej półbroi. Milczące zastępy Słusznej Sprawy coraz wyraźniej widziały otoczoną przez kilku rycerzy młodą kobietę, na której twarzy widniały ślady przeżytych wzruszeń. Dojrzano kogoś jeszcze... Za plecami tej kobiety jechał bez zbroi i broni sześćdziesięcioletni, zgaszony mężczyzna, doskonale znany rycerstwu. Ktoś, z kim jeszcze niedawno, za pośrednictwem tajnych wysłanników, prowadzono rokowania, negocjowano warunki przymierza. Przedstawiciel imperatora, symbol potęgi i znaczenia cesarstwa...

Poczet zatrzymał się o kilkanaście kroków przed stojącym nieruchomo przywódcą Stronnictwa. Kobieta odetchnęła głęboko i chciała zapewne powiedzieć coś bardzo doniosłego... ale, być może nieoczekiwanie dla samej siebie, zawołała trochę drżącym, ale wyraźnym głosem:

— Co wy tutaj robicie, po tej stronie pola bitwy? Chodźcie ze mną! Nic jeszcze nie jest stracone, możemy być wszyscy razem! Przecież wspólnie dokonamy... wszystkiego!

Zabrzmiało to żarliwie i szczerze.

Jeden z towarzyszących jej rycerzy zdjął hełm i cisnął go precz za siebie. Każdy mógł wyraźnie zobaczyć twarz łysego wojownika z domu

K.D.R. Rycerz, kierując się ku dowódcy wrogiego stronnictwa, szukał chyba odpowiednich słów, a raczej przypominał sobie to, co ułożył, przemierzając równinę między wojskami. Ten wysiłek tęgiego rębajły, lecz marnego mówcy, był doskonale widoczny, lecz nikomu nie wydał się śmieszny. Wasanen miał silny i donośny głos.

— Seneres! Odwołuję, co powiedziałem w twoim domu, i wiesz, że nie ze strachu to robię! Są ważniejsze sprawy niż duma jednego rycerza! Nie chcę mieć w tobie wroga, wolę towarzysza! To jest moja ręka! Przyjmij ją!

Wódz Stronnictwa Słusznej Sprawy wiedział, jak wiele musiały te słowa kosztować Wasanena. Ale wypowiedział je wobec setek ludzi, którzy już nie tworzyli groźnych „grotów”, bo ścigali zewsząd, chcąc wszystko zobaczyć i usłyszeć. Na ich oczach tworzyła się historia. I jakże dartańskie było to nieskrwawione jeszcze pole bitwy, gdzie pomiędzy wrogimi zastępami od nowa wszczynano układy!... Przede wszystkim jednak dumni wojownicy Słusznej Sprawy zupełnie jasno rozumieli, że ich sprawa (słuszna czy niesłuszna) w każdym razie jest przegrana z kretesem... T.J. Seneres nie widział z bliska żołnierzy Dobrego Znak i nie mógł ocenić, w jakim stanie stawili się do bitwy. Rozumiał za to wybornie, że może skorzystać z otwartej przed chwilą drogi i podążyć nią bez uszczerbku na honorze — lub stracić wszystko, przegrywając bitwę, do której musiałby siłą zapędzić swe rycerstwo. Pytanie, czy udałooby się wcielić ów zamiar w czyn...

Nakłoniwszy wierzchowca do zrobienia kilku kroków, wódz rycerzy Słusznej Sprawy, pośród głuchoj ciszy, która zaległa w szeregach jego wojska, powoli i uroczyście wyciągnął ukrytą w stalowej rękawicy rękę i połączył ją z tak samo opancerzoną, wyciągniętą dłonią K.D.R. Wasanena. Zgrzytnęło żelazo o żelazo i nim przebrzmiał dźwięk tego pojednania, magnat zeskoczył z siodła, po czym pieszo podszedł do regentki.

— Wasza królewska wysokość — powiedział — każdy czasem błądzi, lecz trzeba dać mu możliwość naprawienia błędu. Zbłądziłem i nie wstydę się przyznać do tego. Nie brak mi odwagi, a stojący tutaj rycerze także mają jej dosyć. Chcemy poszukać chwały, stając przeciw żołnierzom ze srebrnymi gwiazdami na piersiach. Jeśli tylko poprowadzisz nas, pani, dowiedziemy, że obcy nam lęk.

Dwa tysiące ludzi, którzy wcale nie pragnęli bezsensownie umierać,

przeklinani przez dziesiątki tysięcy wzburzonych mieszkańców stolicy, jęło wiwatować tak potężnie i radośnie, jak potrafią tylko krętacze, których matactwa właśnie uszły płazem. Księżna roześmiała się nagle z głębi duszy, otarła oczy i pochyliła w siodle, na chwilę dotykając dłonią żelaznego ramienia nowego sojusznika. Potem uniosła w górę rękę, pozdrawiając swoje świeżo zyskane zastępy, i zawróciła ku linii wiernych, wspaniałych chorągwi, prowadząc zmieszany tłum ciągle wiwatujących ludzi. Ku jadącym zaczęli przyskać najpierw pojedynczy jeźdźcy, potem grupki, a wreszcie całe chorągwie. Dwa migoczące zbrojami wojska bratały się na błoniach pod miastem. Ale regentka wolała pojechać dalej, ku zakurzonym, najbrzydszym i najgorzej uzbrojonym wojownikom, jakich miała. Chciała być z żołnierzami swojego Wielkiego Sztandaru, których wymarzyła i wyśniła pod uważnym spojrzeniem Niepojętej. Nie mogła przemówić do każdego z osobna, zamiast tego podjechała do jednego z prostych wojaków, przechyliła się w siodle i uściskała go jak siostra, a potem pocałowała w zakurzone czoło, na którym pot wyżłobił kręte ścieżki. Żołnierze cisnęli się zewsząd; było zupełnie jasne, że gotowi są choćby zaraz ruszyć w dalszą drogę i jechać tam, gdzie będą mogli służyć swojej wspaniałej pani.

Bezkrwawa bitwa pod Rollayną, którą mieli opisywać kronikarze, rozpamiętywać zaś historycy Szereru, bitwa, w której bez reszty zostało unicestwione silniejsze wojsko, oznaczała całkowity zwrot w wojnie.

Księżna nie od razu wróciła do pałacu. Najpierw, otoczona przez rozentuzjasmowane tłumy, nieomal niesiona przez pospólstwo wraz z koniem, podążyła na rynek, gdzie długo wybierała dla siebie zabawną, wąską, kolorową narzutę, którą mogłaby nosić na sukni.

EPILOG

Brodaty mężczyzna w kolczudze i prostej wojskowej spódnicy, przy mieczu, stawił się na skraju największej polany Szereru w towarzystwie ośmiu jeźdźców. Byli to gońcy na znakomitych koniach, potrzebni rządzącej w Sey Aye Perle.

Nie było huczącego młyna ani mostu przy młynie, zamiast tego straszyły czarne zgliszcza. Przeprawiwszy się w bród przez rzeczkę, jeźdźcy stanęli na rozstajach, skąd próżno było sięgać spojrzeniem ku dachom przydrożnej gospody, gdzie niegdyś kwaterowali, a potem byli

więzieni żołnierze z pocztu K.B.I.Denetta. Gospodę spalono tak samo jak wszystkie inne drewniane budynki.

Jeźdźcy ominęli niewielki lasek na pagórku i ujrzeli sędziwy zameczek, a wkrótce potem dziedziniec i królujący na jego skraju biały dom, z którym nie mógł się równać, godzący w niebo wieżowymi skrzydłami, pałac w stolicy Dartanu. Z bliska widać było okna pozastłaniane jakimiś tkaninami, a niektóre wręcz zabite deskami; wciąż jeszcze nie sprowadzono szklanych tafli, bo czekały pilniejsze sprawy i wydatki.

O przybyciu jeźdźców wiedziano. Pilnujący leśnych szlaków gajowi dali znać, że przyjadą goście. Ale powiedziano tylko, że przez las podąża oddziałek gońców; dowódca tego oddziałku nie zdradził swej tożsamości, bo chciał sprawić komuś niespodziankę.

Perła księżnej Ezeny, jeszcze bardziej szczupła i wiotka niż kiedyś, zmęczona, stale zapracowana, nie miała w ogóle czasu, ale wieści z Dartanu były chciwie oczekiwane. Brodaty dowódca gońców stawiał się w jednej z komnat, do której dawno już wstawiono uratowane sprzęty. Pod szpakowatym zarostem i nieco zbójowatą czapką niewolnica o królewskim spojrzeniu z najwyższym trudem rozpoznała twarz jedyne prawdziwego przyjaciela, jakiego znalazła w życiu; przyjaciela, lecz i podłego zdrajcy, który uciekł na daleką wojnę, doradziwszy wpierw księżnej Ezenie, by nie brała ze sobą najstarszej, najmniej znaczącej z trzech Pereł.

— Oto listy z Rollayny, pani — powiedział Przyjęty, wyciągając rękę. — Jej królewska wysokość dziękuje za odesłanie jej gwardii, a jeszcze bardziej dziękuje ci Hayna, która wreszcie ma swoich żołnierzy. A tutaj... jest jeszcze jeden list, który kiedyś sama napisałaś. Wspominasz tam, że przydałby ci się ktoś do pomocy i tę prośbę właśnie spełniono.

Biedna niewolnica, zawsze spokojna i opanowana, tym razem nie potrafiła się odnaleźć. Odetchnęła głęboko... i nagle zdecydowanym krokiem ruszyła wprost ku drzwiom komnaty. Osłupiały przybysz nie doczekał się powitania, ani nawet jednego przelotnego spojrzenia, od chwili, gdy go poznała.

— Keso! — powiedział.

— Perło! — odparła gniewnie, odwracając się w drzwiach, ale tylko na chwilę. — Proszę tu poczekać, zaraz przyślę kogoś, kto odbierze listy.

Mędrzec Szerni, od wielu miesięcy poznający świat, ludzi, a przede wszystkim kobiety, niczego się jednak nie nauczył. W jego rozumieniu czynami winien rządzić rozum, nie emocje. Tak przynajmniej, jakby sam nie miał kapryśnej natury i zawsze działał rozsądnie, ze spokojem i wyrachowaniem.

— Prosisz Ezenę — zawołał do pustych drzwi — żeby mnie tu przysłała, a kiedy przyjeżdżam, zaczynasz stroić fochy?! Już się stąd zabieram, listy kładę na stole!

Zawróciła, z powrotem stając w drzwiach.

— Jedziesz sobie na wojnę! — wrzasnęła, zarumieniona na policzkach. — Nawet się nie pożegnasz! Potem udajesz, że nie umiesz pisać!... Ani jednego listu, nic! „Keso, czy jesteś zdrowa? Bo ja owszem”. A gdzie tam! Mam cię w nosie! — krzyknęła, czyniąc gest, jakby czymś rzucała w Przyjętego; w ustach dystygowanej Perły było to iście żołnierskie przekleństwo.

— Chciałem się pożegnać, to ty uciekałaś przede mną!

— Tak, to ja uciekałam na wojnę! To ja nie mogłam wytrzymać w Sey Aye!

— Chciałem ci wytłumaczyć! Szukałem cię przed wyjazdem, ale nigdzie cię nie było! „Perły nie ma, Perła jest zajęta”...

— Bo kazałeś mnie tu zostawić jak niepotrzebny rupieć! Wiem, że nikt mnie nie potrzebuje, ale... myślałam, że chociaż ty — dokończyła z nagłą goryczą. — Przez pół roku udawałeś, że lubisz ze mną rozmawiać, kłamałeś, że cenisz sobie moje spostrzeżenia... Uwierzyłam w to. Biegałam koło ciebie jak głupia czternastolatka, próbowałam się mądrzyć... A potem mnie wyrzuciłeś, tak jak wszyscy, zawsze... Idź sobie — powiedziała. — Nie chcę cię.

Z Gotaha w jednej chwili wyparował cały gniew.

— Ale ja cię chcę — powiedział. — Nie chciałem, żebyś jechała na wojnę, bo to niebezpieczne... Były też inne powody, ale ważne dla księżnej, nie dla mnie.

Gotowa była się rozpłakać.

— Akurat! — powiedziała z żalem. — Po co przyjechałeś? Po drodze do Grombelardu?

Pokiwał głową.

— Tak. Właściwie tak. Ale nie chcę wyjeżdżać dzisiaj ani jutro.

Przygaszona, nie miała już ochoty na kłótnie.

— Wyjedziesz, kiedy będziesz chciał albo musiał. Czy w tych listach jest coś ważnego? Jeśli nie, to naprawdę nie mam czasu na czytanie ich teraz. Każę przygotować twój pokój — nie powiedziała, że jest przygotowany, bo był jednym z pierwszych pokoi, które kazała doprowadzić do porządku po „wizycie” wojsk armektańskich.

Może po raz pierwszy w życiu Gotah-Przyjęty nie przyjął do wiadomości sensu i znaczenia czyichś słów; zamiast tego posłuchał intuicji. Przyszło mu do głowy, by rozmowę z rozżaloną Perłą odłożyć na później. Jednocześnie jednak czuł, że tej kobiety nie należy zostawić samej już ani na chwilę. Mężczyzna, być może, mógł przemyśleć wszystko do wieczora i pójść za głosem rozsądku. Ta tutaj, rozgoryczona i skrzywdzona dziewczyna (bo dla Gotaha trzydziestoczteroletnia Kesa zawsze była „dziewczyną”) mogła tylko rozjątrzyć swoje żale.

— To najważniejsze listy na świecie, przynajmniej jeden z nich. Właściwie nie list, a dokument. Nie może go przeczytać nikt inny, tylko ty. I bez najmniejszej zwłoki.

Patrzyła z wahaniem.

— Jeśli to żart, wasza godność... — ostrzegła chłodno.

Wróciła na środek komnaty i wyciągnęła rękę. Gotah poczuł, jak mocno uderza mu serce, bo brał właśnie byka za rogi i już nie mógł się cofnąć. Podał jedno z pism i patrzył, jak Perła łamie pieczęć.

— Jeszcze zanim stąd wyjechałem — rzekł pospiesznie, gdy czytała — księżna obiecała mi coś bardzo ważnego i dotrzymała słowa. Jesteś wolną kobietą, wasza godność. Księżna regentka prosi, żebyś jeszcze przez jakiś czas zarządzała jej majątkiem, ale nie musisz spełnić tej prośby. Możesz, ale nie musisz. Wszystko zależy od ciebie.

Nie usłyszała ani jednego słowa. Litery zlewały jej się przed oczyma.

— Co to jest? — zapytała zduszonym głosem.

— Najważniejsze pismo na świecie — powtórzył. — Ważniejsze dla mnie niż... nawet niż Księga Całości — powiedział z największą powagą.

Kobieta gotowa była zemdleć. Cofnęła się do krzesła i usiadła. Próbowała jeszcze raz przeczytać potwierdzony przez licznych świadków akt wyzwolenczy. Rozpłakała się. Były tam monogramy rodowe największych stołecznych Domów; regentka potwierdziła wolność swojej Perły tak dobitnie, jak to tylko możliwe.

— No... tym razem już mi nie uciekniesz... — trochę chaotycznie i od rzeczy powiedział Przyjęty. — Nauczyłem się na tej wojnie niejednego, a przede wszystkim nauczyłem się, że trzeba mieć swoje miejsce, swój dom... i koniecznie swojego człowieka. Odbuduję z tobą Sey Aye, ale już teraz muszę wiedzieć, Keso, czy pojedziesz potem ze mną? Tak, jestem tu tylko po drodze, muszę wrócić do Grombelardu... Ale jeśli nie będzie innego wyjścia, to wrócę tam tylko na chwilę. Trudno! Mam... mam w nosie Szerń i Grombelard. Dzisiaj wszystko mam w nosie, oprócz twojego „tak”, albo „nie”.

Chyba nadal nie słuchała, wpatrując się w zaczarowany dokument, obiecujący ziszczenie snów. Było tam zaklęte własne życie, były własne decyzje, własne, zupełnie własne sprawy, o które nikt nie miał prawa zapytać. Był tam własny dom, a może nawet własna rodzina... dzieci... Ale o czym mówił stojący przed nią, dziwnie wzruszony, a nawet przestraszony mężczyzna?...

— Co ty wygadujesz? — zapytała niegłęboko i zobaczyła, że trzydziestoczteroletnia niewolnica, nawet z wyzwolenieczym aktem w rękę, nie potrafi w jednej chwili stać się kimś innym. — To nie ode mnie... Nie należę do siebie, ja... nie mogę!

Urwała, bo miała przed oczami dowód na to, że owszem może — lecz zarazem nie umiała przyjąć tego do wiadomości. Gotah dostrzegł coś, czego nie oczekiwał: Kesa męczyła się, gotowa znowu wybuchnąć płaczem, bardziej chyba przerażona niż uradowana cudownym snem, z którego zaraz należało się obudzić.

— Ależ możesz, a nawet musisz, bo odtąd nikt nie podejmie w twoim imieniu decyzji. Wszystko zależy od ciebie — powiedział z wysiłonym spokojem, kucając u nóg siedzącej na krześle kobiety i opierając splecione dłonie na jej kolanach, gdzie spoczywał rozpostarty dokument (przykucnął zaś najbardziej dlatego, że mocno trzęsły mu się nogi). — Nie wykręcisz się od niczego... Posłuchaj: wojna niedługo się skończy. Imperialna armia właściwie nie istnieje, Yokes stoi pod Tarwelarem, gotów spalić jutro cały południowy Armekt. Regentka ma pod Rollayną blisko dwadzieścia nowych chorągwi, przeważnie południowodartańskich, a w samej Rollaynie trzytysięczną milicję, wystawioną dla niej przez miasto. Do Kirlanu pojechało poselstwo, lada dzień zostanie ogłoszone formalne zawieszenie broni, bo nieformalne

trwa od dwóch tygodni. Nie jesteś już potrzebna swojej pani, która wkrótce dotknie na skroniach ciężkiej korony królewskiej. Odbudujmy Sey Aye i zajmijmy się wreszcie własnym życiem, Keso. Moje nie było udane, zapomniałem o tak wielu sprawach... A twoje życie? Powiedz?

Spokojny głos Przyjętego, napomknienie o toczącej się wciąż wojnie, podziałały otrzeźwiająco. Kesa pojmowała już, co mówi do niej Gotah.

— Moje życie? Przecież wiesz — odparła, mocno trzymając w dłoniach bezcenne pismo, o którym dotąd nawet nie śmiała marzyć. — Ale... o co ty mnie pytasz? Ja nic z tego wszystkiego nie rozumiem! — wyznała z całkowitą bezradnością.

Wciąż było to bliskie prawdy. Stawał przed nią wyjątkowy i wspaniały mężczyzna, nie widzący niewolnicy, lecz człowieka. Pytał, czy chce odmienić swoje życie i był gotów zrezygnować ze wszystkiego, co uważał dotąd za ważne, a nawet święte. Kesa bała się, że jest obiektem najbardziej ponurej, okrutnej kpiny, jaką można było dla niej wymyślić. Drżała na myśl, że czar pryśnie w chwili, gdy przyjmie złudzenie za prawdę. Setki niedosiężnych dotąd tęsknot, setki pragnień, w jednej chwili ogarnęły kobietę, która jeszcze wczoraj mogła co najwyżej marzyć o czymś tak zwyczajnym dla każdego, jak pójście dokądś... z kimś... Lub pozostanie dla kaprysu w domu, bez pytania nikogo o zgodę.

— Nic z tego nie rozumiem... — powtórzyła. — Boję się — przyznała cicho i szczerze.

— Wiem. Ja też — spróbował zażartować, ale czuł tylko istną trwozę i dlatego to nie był żart. — A jednak, Keso, żadne „później”, żadne „może” i „nie wiem” — uprzedzał odpowiedzi. — Nie mam już czasu na głupstwa, bo zdążyłem zmitrężyć pół życia... Jestem, kim jestem. Tego nie można zmienić. Nie mam dla ciebie nic więcej, tylko niekończące się rozmowy, wgłębianie się w treść starych kronik i roczników. Nie mam i mieć nie będę takiego domu, jak ten tutaj... Jeżeli pojedziesz ze mną, to zabierzesz ze sobą swoje suknie i wszystko, co zechcesz, ale nieprędko dostaniesz jakikolwiek prezent od swojego przyjaciela i... swojego mężczyzny. Nic dla ciebie nie mam, zupełnie nic, to prawda — mówił szybko, trochę chaotycznie, bo z głębi serca, tak jak nigdy dotąd.

— Przecież uciekłeś ode mnie... na wojnę — powiedziała oskarżycielsko, ocierając na policzkach łzy.

— E, tam! — odparł niecierpliwie; gotów był nakrzyczeć na nią, byle

wreszcie udzieliła odpowiedzi, bo już nie mógł wytrzymać lęku, że zrobił z siebie durnia. — Więc spróbujmy po grombelardzku, skoro armektański taki trudny... Chcę cię stąd zabrać w najbardziej ponure miejsce, o jakim słyszał Szerer, do Romogo-Koor, gdzie mam coś na kształt domu. Chcę siedzieć z tobą w pustelni na końcu świata, co nie znaczy, że tylko tam, bo dowiedziałem się czegoś bardzo ważnego. Tego, że wiedząc wszystko o Szerni, zarazem nic nie rozumiem, jeśli nie odniosę jej praw do świata. Będziemy więc dużo podróżować i myślę, że jej królewska wysokość przyjmie nas kiedyś w swej stolicy... Ale odezwiź się wreszcie! Robię z siebie błazna, opowiadając niestworzone historie kobiecie, która tylko patrzy, jakbym postradał zmysły! Postradałem? Jeśli tak, powiedz to wreszcie! Ale to straszne — poskarżył się z głębi serca. — Nie wiedziałem!

Zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie, bez poczucia winy, bo nikomu nie przysięgała, iż do końca życia nie uroni łzy.

— Czy oświadczył mi się... mędrzec-Przyjęty? — zapytała urywanie, z prawdziwym rozbawieniem, ocierając łzy. Ale było w tym rozbawieniu niedowierzanie i dużo strachu; Kesa nie sądziła dotąd, że kiedykolwiek wypowie, zastrzeżone dla innych, takie zaczarowane słowa, jak „oświadczył mi się”. Bali się oboje.

— Jasne, że tak — powiedział. — I proszę się z tego nie śmiać... Dostałem kosza?

— Nie! — zawołała, nie próbując już panować nad śmiechem, który wreszcie wziął górę nad łzami. — Czy coś takiego... zdarzyło się już komukolwiek?

— Jasne, że tak — powtórzył. — Nie dałaś mi kosza?

— Nie. Gdzie jest prezent? No, prezent zaręczynowy?

Uradowany Gotah, któremu wielki ciężar spadł z serca — bo nie ma dla mężczyzny straszliwszej chwili w życiu, niżli ta, gdy czeka się na odpowiedź wybranki — rozejrzał się bezradnie, ale nagle przypomniał sobie o zbójeckiej czapce, którą zapomniał zdjąć. Zwłókł ją z głowy i niezwłocznie podarował pięknej blondynce, która wciąż siedziała na swym krześle.

— A ten pierścień? — zapytała, przyjmując wprawdzie czapkę, ale bez entuzjazmu.

Przyjęty spojrział na rubin, migoczący na małym palcu.

— O, nie — powiedział z nieoczekiwaną powagą. — Zaraz to zdejmę i założę z powrotem dopiero wtedy, gdy będziemy wyjeżdżać. Miejsce tej rzeczy jest w Romogo-Koor.

Patrzyła pytająco.

— To Geerkoto, Rubin Córki Błyskawic — wytłumaczył. — Hayna kupiła tę błyskotkę od marnego handlarza, którego przegnałem z pałacu, i przeżyła najgorsze chwile w swoim życiu, gdy dowiedział się o tym Głupi Gotah... Postanowiłem, że tym razem Delara nie zdradzi swojej najstarszej siostry i nie zabije średniej.

Tego było już naprawdę zbyt wiele dla kobiety, która w jednej chwili odzyskała przyjaciela, zdobyła swojego mężczyznę i odczytała, zaklętą w pieczęciach i literach, obietnicę dzikiego, żywiołowego życia, nad którym nikt w całym Szererze nie miał i nie mógł mieć władzy.

— Czy Hayna to... Delara? — zapytała trochę nieprzytomnie. — Trzecia Siostra?

Gotah wstał i przeszedł się po komnacie, by na powrót stanąć przed krzesłem, z którego pytająco spoglądała ku niemu piękna narzeczona. Jedyna na całym świecie kobieta, z którą umiał rozmawiać o tym wszystkim, co wypełniało mu życie.

— Nie... — powiedział niechętnie.

Wzruszył ramionami.

— Tak — powiedział.

Pytająco przekrzywiła głowę.

— Właściwie nie wiadomo — powiedział i unióś palec do ucha. — Wzięłaś czapkę?

— Wzięłam.

— No, to załatwione.

Łódź, 2001

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Mapy](#)

[Prolog](#)

[Tom pierwszy. Wieczny pokój](#)

[Część pierwsza. Polana](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[Część druga. Potrójne Pogranicze](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[Część trzecia. Perły jej wysokości](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[Część czwarta. Rycerz](#)

[23.](#)

[24.](#)

Tom drugi. Wieczne Cesarstwo

Część piąta. Oddech Arilory

25.

26.

27.

28.

29.

30.

Część szósta. Rycerze i żołnierze królowej

31.

32.

33.

34.

Część siódma. Nieistniejące legiony

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

Część ósma. Chorągwie Wielkiego Sztandaru

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.